

Stephen King

Stukostrachy

The Tommyknockers
Przełożył Łukasz Praski

DLA TABITHY KING
„...mam obietnice do spełnienia”

Podobnie jak wiele wierszyków dla dzieci, ten o Stukostrachach wydaje się na pozór nieskomplikowany. Trudno wytropić pochodzenie tego słowa*. Słownik Webstera powiada, że Stukostrachy to (a) olbrzymy drążące podziemne korytarze lub (b) duchy nawiedzające opuszczone kopalnie i jaskinie, natomiast według słownika oksfordzkiego Stukostrachy to duchy górników, którzy umarli z głodu, ale nadal stukają, domagając się, aby ich uwolnić i nakarmić.

Pierwszy wers („W nocy, gdy cały dom już śpi” itd.) jest dość znany i oboje z żoną słyszeliśmy go w dzieciństwie, mimo że wychowaliśmy się w różnych miastach, w różnej wierze i mamy różne pochodzenie — żona ma przodków francuskich, ja szkockich i irlandzkich.

Pozostałe wersy są wytworem wyobraźni autora.

Autor — czyli ja — pragnie podziękować swojej małżonce Tabicie, która jest nieocenionym, choć czasem irytującym krytykiem (jeśli irytują was krytycy, to możecie być prawie pewni, że mają rację), redaktorowi Alanowi Williamsowi za jego staranność i pełną życzliwości uwagę, Phyllis Grann za cierpliwość (ta książka została nie tyle napisana, ile wyszarpana), a w szczególności George’owi Everettowi McCutcheonowi, który czytał wszystkie moje powieści i niezwykle starannie je sprawdzał — zwracając uwagę głównie na sprawy związane z bronią i balistyką, ale także i ciągłością akcji. Mac zmarł w trakcie redagowania tej książki. Właśnie posłusznie wprowadzałem poprawki, jakie zasugerował w jednym ze swoich listów, gdy dowiedziałem się, że w końcu skapitulował przed białaczką, z którą toczył bitwę od dwóch lat. Bardzo mi go brakuje, nie dlatego że pomagał mi naprawiać błędy, ale dlatego że miał miejsce w moim sercu.

Podziękowania należą się wielu innym, których nie potrafię nawet wymienić: pilotom, dentystom, geologom, kolegom pisarzom, nawet moim dzieciom, które słuchały, kiedy im głośno czytałem. Jestem także wdzięczny Stephenowi Jayowi Gouldowi. Choć kibicuje Jankesom, co oznacza, że nie do końca można mu ufać, jego uwagi na temat prawdopodobieństwa tego, co nazywam „drętwą ewolucją”, pomogły mi w redakcji tej powieści (np. „The Flamingo’s Smile”).

Haven nie jest prawdziwe. Bohaterowie nie są prawdziwi.

To fikcja literacka z jednym wyjątkiem:

Prawdziwe są Stukostrachy.

Jeśli sądzicie, że żartuję, to przegapiliście dzisiejsze wiadomości.

* Autor podaje bardziej rozbudowaną genezę tytułu oryginału „The Tommyknockers” — wymieniając znaczenie słowa tommy („szeregowiec armii brytyjskiej”, a także „racja żywnościowa w wojsku”) oraz wspominając wiersz Kiplinga „Tommy” (przyp. tłum.).

*W nocy, gdy cały dom już śpi,
Stukostrachy, Stukostrachy
stukają do drzwi.
Chciałbym stąd uciec, lecz boję się,
że Stukostrach zabierze mnie.*

KSIĘGA I
STATEK W ZIEMI

Płynąc z Independence, zabraliśmy Harry'ego Trumana.

Mówimy: Co z wojną?

On na to: Krzyżyk na drogę!

Mówimy: Co z bombą? Przykro ci, że to zrobiłeś?

On na to: Podajcie flaszkę i pilnujcie własnego nosa.

THE RAINMAKERS „Downstream”

1

ANDERSON SIĘ POTYKA

1

Kamyczek uruchamia lawinę — do tego mniej więcej sprowadza się katechizm. Koniec końców wszystko sprowadza się do czegoś podobnego — tak w każdym razie o wiele później myślała Roberta Anderson. Albo wszystko zrzucił przypadek... albo los. Dwudziestego pierwszego czerwca 1988 roku w miasteczku Haven w stanie Maine Anderson dosłownie potknęła się o własne przeznaczenie. Cała sprawa zaczęła się od tego właśnie potknięcia; reszta to już historia.

2

Tego popołudnia Anderson wybrała się na spacer z Peterem, starym beagle'em, który był już ślepy na jedno oko. Dostała Petera od Jima Gardenera w roku 1976. Rok wcześniej Anderson opuściła college, zaledwie dwa miesiące przed uzyskaniem dyplomu, i zamieszkała w domu swojego wuja w Haven. Nie zdawała sobie sprawy z własnej samotności, dopóki Gard nie przywiózł jej psa. Peter był wtedy szczeniakiem i Anderson czasem nie mogła uwierzyć, że tak bardzo się zestarzał — według psiego wieku miał osiemdziesiąt cztery lata. W ten sposób liczyła własny wiek. Rok 1976 wydawał się zamierzchną przeszłością. Tak, bez dwóch zdań. Gdy masz dwadzieścia pięć lat, możesz wciąż pozostawać w bardzo przyjemnym przeświadczeniu, że w twoim przypadku dorastanie to tylko urzędniczy błąd, który w końcu zostanie naprawiony. Kiedy jednak pewnego dnia budzisz się i stwierdzasz, że twój pies ma osiemdziesiąt cztery lata, a ty sama trzydzieści siedem, dochodzisz do przekonania, że należy zrewidować swoje poglądy. Tak, bez dwóch zdań.

Anderson szukała drzew do ścięcia. Odłożyła już półtora sanga drewna, lecz na zimę chciała zgromadzić co najmniej trzy. Ścięła już niemało drzew od czasów, gdy Peter był szczeniakiem i ostrzył sobie zęby na starym kapciu (bardzo często brudząc dywan w jadalni), ale wciąż ich tu jeszcze rosło sporo..

Ziemia (którą ludzie w miasteczku ciągle nazywali farmą Franka Garricka) przylegała do drogi numer 9 na długości zaledwie stu osiemdziesięciu stóp, ale kamienne mury wyznaczające jej północną i południową granicę rozchodziły się, tworząc kąt rozwarty. Trzy mile dalej, w głębi chaotycznie rosnącego lasu, w którym stare drzewa były przemieszane z młodymi, stał jeszcze jeden mur — tak stary, że rozpadł się na pojedyncze sterty obrośniętych mchem kamieni — wyznaczający koniec posiadłości. Powierzchnia tego klina przypominającego kształtem porcję tortu była naprawdę duża. Za zachodnim murem ziemi Bobbi Anderson rozciągała się ogromna puszcza należąca do Papierni Nowej Anglii. Słynny Ognisty Las.

Prawdę mówiąc, Anderson wcale nie musiała szukać dobrego miejsca. Ziemia, jaką zostawił jej w spadku brat matki, była cenna przede wszystkim dlatego, że rosły tu głównie drzewa dające dobre, twarde drewno, w niewielkim stopniu zaatakowane przez brudnicę nieparkę. Ale po deszczowej wiośnie nadszedł śliczny, ciepły dzień, w ogrodzie jeszcze nic nie wyrosło (przez deszcze pewnie wszystko zgnije w ziemi), a na rozpoczęcie nowej książki Anderson miała jeszcze czas. Zamknęła więc maszynę do pisania i wyruszyła na wędrowkę ze swoim wiernym jednookim Peterem.

Za farmą biegła stara droga, utwardzona okrągłakami. Anderson przeszła nią prawie milę, po czym skręciła w lewo. Niosła plecak (miała w nim kanapkę i książkę dla siebie oraz psie ciastka dla Petera, a także pomarańczowe wstążki do zawiązania na pniach drzew, które

będzie chciała ściąć, gdy wrześniowe upały ustąpią przed łagodniejszym październikiem) oraz manierkę. W kieszeni miała kompas Silva. Zgubiła się na swojej ziemi tylko raz, ale ten jeden jedyny raz wystarczył. Spędziła okropną noc w lesie, nie dowierzając, że naprawdę zgubiła się na terenie posiadłości, której była, na litość boską, właścicielką, przekonana, że umrze w tej głuszy. A było to wówczas bardzo prawdopodobne, ponieważ tylko Jim zauważyłby jej nieobecność, a Jim zjawiał się zwykle w najmniej oczekiwanych chwilach. Rano Peter zaprowadził ją do strumienia, a strumień zawiódł ją do drogi numer 9, gdzie z wesołym bulgotem przepływał przez przepust pod asfaltem dwie mile od jej domu. Dziś miała prawdopodobnie lepszą orientację w lesie i potrafiłaby odnaleźć drogę do szosy albo do jednego z granicznych murów, ale „prawdopodobnie” pozostawało słowem kluczowym.

Około trzeciej natknęła się na dobrą kępę klonów. Właściwie znalazła kilka innych dobrych kęp drzew, lecz ta znajdowała się niedaleko ścieżki, którą знаła, na tyle szerokiej, że mógł się na niej zmieścić jej tomcat. W okolicach dwudziestego września — jeśli wcześniej nikt nie wysadzi świata w powietrze — doczepi do traktora sanki, przyjedzie tu i natnie drewna. Poza tym dość się już nachodziła jak na jeden dzień.

— Może być, Pete?

Pete szczechnął słabo i Anderson spojrzała z głębokim smutkiem na psa, który dziwił ją i napawał niepokojem. Peter był wykończony. Rzadko już rzucał się w pościg za ptakami, wiewiórkami, pręgowcami czy wchodzącym im czasem w drogę świszczem; myśl o pogoni Petera za jeleniem była śmiechu warta. W drodze powrotnej będą musieli często robić przerwy na odpoczynek... a były czasy, wcale nie tak odległe (jak uparcie w duchu utrzymywała), gdy Peter zawsze biegł ćwierć mili przed nią, ujadając na cały las. Pomyślała, że być może kiedyś nadejdzie dzień, gdy uzna, że dość już tego; ostatni raz klepnie siedzenie z przodu chevroleta pikapa i zabierze Petera do weterynarza w Auguście. Ale nie tego lata, Boże, jeszcze nie. Ani tej jesieni, ani zimy. Błagam, dobry Boże, jeszcze nie.

Bo bez Petera będzie zupełnie sama. Jeśli nie liczyć Jima, a Jim Gardener w ciągu ostatnich trzech lat zaczął sprawiać wrażenie nieco stukniętego. Wciąż był jej przyjacielem, lecz trochę... stukniętym.

— Stary pocziwy Pete, dobrze, że ci się podoba — powiedziała, wiążąc wstążki na drzewach, choć doskonale wiedziała, że być może postanowi ściąć zupełnie inną kępę i wstążki zgniją. — Doprawdy, twój gust dorównuje urodzie.

Wiedząc, czego od niego oczekuje pani (był stary, ale nie głupi), Peter zamerdał krótkim, cienkim ogonem i szczechnął.

— Zrób Wietkong! — rozkazała Anderson.

Peter posłusznie padł na bok — wydając przy tym rzęzące sapnięcie — i przeturlał się na grzbiet, wyciągając w górę łapy. Ta scena prawie zawsze rozbawiała Anderson, lecz dziś widok psa robiącego Wietkong (Pete udawał martwego również na komendę „chata” albo „My Lai”) za bardzo kojarzył się jej z tym, o czym właśnie rozmyślała.

— Wstań, Pete.

Pete podniósł się wolno. Ziajał, rozchylając posiwiały pysk.

— Wracamy.

Rzuciła mu ciastko. Peter kłapnął zębami i chybił. Obwąchując ziemię, przesunął nos obok ciastka, potem wrócił i w końcu je znalazł. Jadł wolno, bez entuzjazmu.

— Dobra — powiedziała Anderson. — Idziemy.

3

Kamyczek uruchomił lawinę... wybór ścieżki spowodował odnalezienie statku.

Anderson była tu już kiedyś w ciągu trzynastu lat, które okazały się za krótkim okresem, by farma Garricka stała się farmą Anderson; poznała nachylenie terenu, pułapkę zastawioną

na zwierzęta przez pracowników papierni, którzy zmarli prawdopodobnie jeszcze przed wojną koreańską, wielką sosnę z pękniętym wierzchołkiem. Chodziła już tędy i bez kłopotu odnalazłaby drogę do tamtej ścieżki, na której zmieściłby się tomcat. Być może w ogóle nie trafiłaby w to miejsce, gdzie pewnie nieraz się już potykała, mijając je o kilka jardów, stóp czy nawet cali.

Tym razem poszła za Peterem, który skręcił trochę w lewo. Widziała przed sobą ścieżkę, gdy nagle jeden z jej wysłużonych butów o coś zahaczył... zahaczył dość gwałtownie.

— Aj! — wrzasnęła, lecz było za późno, mimo że zamachała ramionami jak wiatrak. Upadła na ziemię. Gałązka niskiego krzewu zadrapała jej policzek do krwi.

— Niech to szlag! — krzyknęła, słysząc głos besztającej ją sójki.

Wrócił Peter, który najpierw obwąchał, a potem polizał jej nos.

— Rany boskie, nie rób tego, cuchnie ci z pyska!

Peter zamerdał ogonem. Anderson usiadła. Potarła policzek i zobaczyła na dłoni i palcach krew. Chrząknęła.

— Niezła droga, nie ma co — powiedziała, patrząc, o co się potknęła; najprawdopodobniej o opadłą z drzewa gałąź albo wystający z ziemi kamień. W Maine było mnóstwo kamieni.

Zobaczyła lśniący kawałek metalu.

Dotknęła go, przesunęła wzdłuż niego palcem, a potem zdmuchnęła czarną, leśną ziemię.

— Co to jest? — spytała Petera.

Peter podszedł, obwąchał metal i zrobił coś dziwnego.

Cofnął się o dwa psie kroki, usiadł, a potem cicho i krótko zawył.

— Co cię napadło? — zapytała Anderson, lecz Peter siedział, nie reagując. Anderson przybliżyła się, przesuwając się na siedzeniu dzinsów. Obejrzała tkwiący w ziemi metal.

Z przykrytej warstwą liści ziemi wystawały zaledwie trzy cale — akurat tyle, aby można było się potknąć. Było tu nieznaczne wzniesienie i metal odsłoniła pewnie woda spływająca podczas wiosennych deszczów. Anderson w pierwszej chwili pomyślała, że ciągniki pracujące przy wyрубie w latach dwudziestych i trzydziestych zakopały w tym miejscu śmieci pozostawione przez drwali w ciągu trzydniowej pracy, zwanej wówczas „weekendem drwala”.

Przemknęło jej przez myśl, że to blaszana puszka — po fasoli B&M albo zupie Campbella. Poruszyła metalem tak jak porusza się puszka, aby wyciągnąć ją z ziemi. Po chwili uświadomiła sobie, że o wystający brzeg puszkę mogłoby się potknąć tylko stawiające pierwsze kroki dziecko. Metal w ziemi ani drgnął. Tkwił mocno jak skała. Czyżby jakieś dawne urządzenie używane przy wyрубie lasu?

Anderson zaintrygowana przyjrzała się dokładniej, nie zauważając, że Peter wstał, cofnął się jeszcze cztery kroki i znów usiadł.

Metal był szary i matowy — barwą w ogóle nie przypominał blachy ani żelaza. Był też grubszy od puszkę, na końcu miał może ćwierć cala. Gdy Anderson położyła opuszkę palca wskazującego na krawędzi, poczuła przez chwilę dziwne mrowienie. Jakby wibrację.

Oderwała palec od metalu i przyjrzała mu się zdziwiona.

Przyłożyła jeszcze raz.

Nic. Żadnego drgania.

Chwyliła metal kciukiem i palcem wskazującym, usiłując wyciągnąć go z ziemi jak obłuzowany ząb z dziąsła. Nie udało się. Trzymała wystający kawałek za chropowatą środkową część. Cofnął się w głąb ziemi — tak się jej przynajmniej zdawało — niecałe dwa cale z każdej strony. Później Anderson miała powiedzieć Jimowi Gardenerowi, że przez następne czterdzieści lat mogłaby przechodzić tędy nawet trzy razy dziennie i nigdy się nie potknąć.

Odgarnęła nieco sypkiej ziemi, odsłaniając więcej metalu. Palcami wygrzebała wzdłuż niego kanał głębokości dwóch cali — ziemia ustępowała łatwo, jak to w lesie... przynajmniej

dopóki nie trafi się na płataninę korzeni. Anderson ryła dalej. Uniosła się na kolanach i kopła z obu stron równocześnie. Znów próbowała poruszyć metalem. Wciąż nic z tego.

Zdrapała paznokciami jeszcze trochę ziemi, odsłaniając coraz więcej — sześć, potem dziewięć cali, wreszcie stopę szarego metalu.

Nagle pomyślała, że to samochód, ciężarówka albo ciągnik zakopany na odludziu. A może piec z dawnych domków dla biedoty. Ale dlaczego tutaj?

Nie przychodził jej do głowy żaden powód. Absolutnie żaden. Od czasu do czasu znajdowała w lesie jakieś przedmioty łuski po nabojach, puszki po piwie (najstarsze nie miały uszka tylko trójkątne otwory, które w latach sześćdziesiątych robiło się tak zwanym kluczem kościelnym), papierki po cukierkach i inne rzeczy. Haven nie znajdowało się na żadnym z dwóch głównych szlaków turystycznych biegnących przez Maine, z których jeden prowadził przez jeziora i góry na zachodni kraniec stanu, a drugi wzdłuż wybrzeża na kraniec wschodni, lecz od bardzo dawna nie było dziewiczą puszcą. Pewnego razu (znalazła się wtedy za zdewastowanym kamiennym murem stanowiącym granicę jej ziemi i weszła na teren Papierni Nowej Anglii) znalazła zardzewiały wrak hudsona horneta z końca lat czterdziestych, stojący na dawnej leśnej drodze, która dwadzieścia lat po zakończeniu wycięcia zarosła młodym lasem i nazywana jest przez miejscowych gównostwiną. Nie było żadnego logicznego wytłumaczenia, skąd wrak auta miałby się tam znaleźć... ale łatwiej można było wyjaśnić to niż fakt, że ktoś zakopał w ziemi piec, lodówkę czy inne cholerne urządzenie.

Wykopała dwa bliźniacze rowy długości jednej stopy po obu stronach wystającego przedmiotu, ale nie znalazła jego końca. Dołki miały już głębokość stopy, gdy jej palce w końcu trafiły na kamień. Być może zdołałaby go wyciągnąć — kamień przynajmniej dał się poruszyć — ale nie było sensu.

Przedmiot sięgał jeszcze dalej w głąb ziemi.

Peter zaskomlał.

Anderson zerknęła na psa, a potem wstała. Strzeliło jej w obu kolanach. Poczła mrowienie w lewej stopie. Z kieszeni spodni wydobyła zegarek — stary i zmatowiały zegarek kieszonkowy Simon także był częścią spadku po wuju Franku i ze zdumieniem stwierdziła, że spędziła tu bardzo dużo czasu — co najmniej godzinę i kwadrans. Było już po czwartej.

— Chodź, Pete — powiedziała. — Spadamy stąd.

Peter znów zaskomlał, ale nie ruszył się z miejsca. Anderson poważnie zaniepokojona zauważyła, że jej stary beagle cały się trzęsie, jak gdyby dostał febry. Nie miała pojęcia, czy psy w ogóle chorują na febrę, ale pomyślała, że stare mogą.

Przypomniała sobie, że widziała Petera w takim stanie tylko raz, jesienią 1975 roku (a może to było w 1976). W okolicy pojawiła się puma. Kilka, chyba dziewięć, nocy z rzędu zawodziła i wrzeszczała, prawdopodobnie była w rui. Co noc Peter szedł do salonu i wskakiwał na starą ławkę kościelną, która stała obok regału z książkami. Nie czekał. Rozchylając nozdrza i strzygąc uszami, wpatrywał się tylko w ciemność, skąd dobiegał upiorny wrzask. I trzął się na całym ciele.

Anderson przekroczyła zrobiony przez siebie wykop i podeszła do Petera. Ukłękła przy nim, ujmując w dłoń jego pysk i czując, jak drży.

— Co się dzieje, stary? — mruknęła, lecz dobrze wiedziała, co się dzieje. Zdrowe oko Petera na moment spoczęło na przedmiocie wykopanym z ziemi, po czym znów spojrzało na Anderson. W oku, którego nie zasnuła katarakta, wyraźnie mogła wyczytać błaganie: *Chodźmy stąd, Bobbi, ta rzecz podoba mi się tak samo jak twoja siostra.*

— W porządku — powiedziała niepewnie Anderson. Nagle przyszło jej do głowy, że nie pamięta, aby kiedykolwiek przedtem straciła poczucie czasu tak jak dziś.

Peterowi się to nie podoba, mnie też nie.

— Chodź. — Zaczęła się wspinać po zboczu w stronę ścieżki. Pete ochoczo za nią ruszył.

Prawie dotarli do ścieżki, gdy Anderson jak żona Lota obejrzała się za siebie. Gdyby nie to ostatnie spojrzenie, mogłaby dać sobie spokój z tajemniczym przedmiotem. Od dnia gdy rzuciła college tuż przed egzaminami końcowymi — mimo błagań zapłakanej matki oraz diatryb i ultimatów wścieklej siostry — Anderson nabrała wprawdy w dawaniu sobie spokoju z różnymi rzeczami.

Patrząc z oddali, zauważyła dwie rzeczy. Po pierwsze, przedmiot wcale nie cofnął się w głąb ziemi, jak jej się wcześniej zdawało. Jęzor metalu wystawał pośrodku pochyłości, niezbyt szerokiej, lecz dość stromej, która powstała dość niedawno, niewątpliwie pod wpływem roztopów i późniejszych intensywnych wiosennych deszczów. Tak więc teren po obu stronach wystającego metalu był wyższy, a metal po prostu zniknął w ziemi. Jej pierwsze wrażenie, że przedmiot jest końcem czegoś większego, okazało się błędne albo niekoniecznie słuszne. Po drugie, to coś przypominało talerz — nie taki, z którego się je, ale jakiś okrągły element z matowego metalu albo...

Peter szczechnął.

— W porządku — powiedziała Anderson. — Słyszę. Chodźmy. Chodźmy i dajmy sobie z tym spokój.

Ruszyła środkiem ścieżki, pozwalając prowadzić się Peterowi do lasu w jego własnym ociężałym tempie i rozkoszując się bujną zielenią lata... a właśnie dziś przypadał pierwszy dzień lata, prawda? Przesilenie. Najdłuższy dzień w roku. Zabiła komara i uśmiechnęła się radośnie. Lato to dobra pora w Haven. Najlepsza. A w Haven, chyba najlepszym miejscu, położonym daleko na północ od Augusty w centralnej części stanu, którą większość turystów omijała, na pewno dobrze się odpoczywało. Kiedyś Anderson była przekonana, że spędzi tu najwyżej kilka lat, by dojść do siebie po bolesnych przeżyciach okresu dojrzewania, odetchnąć od siostry, wrócić do równowagi po nieoczekiwanym i pospiesznym wycofaniu się (kapitulacji, jak nazywała to Anne) z college'u, lecz z paru lat zrobiło się pięć, z pięciu dziesięć, z dziesięciu trzynaście i patrzcie państwo, Peter się zestarzał, a w jej włosach, niegdyś czarnych jak toń Styksu, zaczynają połyskiwać liczne siwe kosmyki (dwa lata temu próbowała obciąć włosy bardzo krótko, robiąc się na punka, ale z przerażeniem stwierdziła, że siwizna stała się jeszcze bardziej widoczna, toteż odtąd dała spokój swojej fryzurze).

Teraz zdawało się jej, że spędzi w Haven resztę życia i będzie wyjeżdżać wyłącznie raz na rok lub dwa lata do Nowego Jorku, aby spotkać się ze swoim wydawcą. Przywiązujesz się do miasteczka. Do miejsca. Do ziemi. Zresztą nie ma w tym nic złego. Może to nawet dobrze.

Jak talerz, metalowy talerz...

Odłamała giętką gałązkę gęsto porośniętą zielonymi listkami i zaczęła wywijać nią nad głową. Znalazły ją komary i postanowiły zrobić sobie z niej podwieczorek. Komary wirowały wokół jej głowy... a w głowie podobnie jak one wirowały myśli. Tych nie mogła odpędzić.

Przez sekundę czułam pod palcem wibrację. Jak dźwięczący kamer ton. Ale kiedy tego dotknęłam, przestało. Czy to możliwe, żeby coś wibrowało w ziemi w ten sposób? Na pewno nie. Może...

Może to była wibracja psychiczna. Anderson nie do końca nie wierzyła w takie zjawiska. Być może jej umysł wyczuł coś w zagrzebanym przedmiocie i dał jej znać w jedyny możliwy sposób, wysyłając wrażenie dotykowe: wrażenie wibracji. Peter z pewnością coś wyczuł; stary beagle nie miał ochoty zbliżyć się do tajemniczego przedmiotu.

Daj spokój.

Dała na jakiś czas.

Tego wieczoru zerwał się silny i ciepły wiatr. Anderson wyszła na frontową werandę zapalić i posłuchać mowy wiatru. Kiedyś — jeszcze rok temu — wyszedłby z nią Peter, lecz dziś został w salonie zwinięty w kłębek na swoim plecionym dywaniku.

Anderson przyłapała się na tym, że odtwarza w myślach chwilę, w której ostatni raz spojrziała na wystający z ziemi metalowy talerz, a potem doszła do przekonania, że właśnie wtedy — może gdy pstryknęła niedopałkiem na żwirowy podjazd uznała, że musi wykopać to coś i zobaczyć, co to jest... choć wówczas wcale sobie tego nie uświadomiła.

Bezustannie dręczył ją zagadkowy zakopany przedmiot i tym razem Anderson pozwoliła myślom krążyć tam, gdzie chciały — nauczyła się, że gdy myśli chcą wrócić do jakiegoś tematu bez względu na twoje wysiłki, by je przed tym powstrzymać, najlepiej dać im swobodę. Tylko ogarnięci obsesją przejmują się obsesjami.

To pewnie część jakiegoś budynku, snuła domysły, prefabrykat. Ale nikt nie budowałby blaszanych baraków w środku lasu. Po co ciągnąć tyle metalu, skoro w sześć godzin trzech mężczyzn mogło naprędce sklecić szałas, korzystając z pił, siekier i piły dwuręcznej? Nie mógł to także być samochód, bo wówczas wystający kawałek metalu pokrywałyby płyty rdzy. Bardziej prawdopodobny wydawał się blok silnika, ale dlaczego tu?

Z nadciągającym mrokiem wróciło do niej wspomnienie tamtej wibracji, nie miała już żadnych wątpliwości, że ją poczuła. To musiała być wibracja psychiczna. To musiała...

Nagle zmroziła ją myśl granicząca z pewnością: ktoś tam został pochowany. Może odłoniła krawędź samochodu, starej lodówki czy czegoś w rodzaju stalowego kufra, lecz czymkolwiek ta rzecz była w normalnym życiu, teraz stała się trumną. Ofiary morderstwa? A kogo innego pochowano by w taki sposób, w takim pudle? Ludzie, którzy wędrowali po lesie podczas sezonu polowań, gubili się i umierali, nie nosili ze sobą metalowych trumien, do których wskakiwali w chwili śmierci... Zresztą gdyby nawet ktoś wpadł na tak idiotyczny pomysł, kto zasypałby stalowy sarkofag? Zbastujcie, goście, jak mawialiśmy w czasach cudownej młodości.

Wibracja. Głos ludzkich kości.

Przestań, Bobbi — nie bądź tak kurewsko głupia.

Mimo to przebiegł ją lodowaty dreszcz. Myśl wydawała się w niesamowity sposób przekonująca jak wiktoriańska opowieść o duchach, która w ogóle nie powinna mieć żadnej siły oddziaływania w dzisiejszych czasach, gdy świat pędzi Aleją Układów Scalonych, zmierzając w stronę zaskakujących i przerażających zagadek dwudziestego pierwszego wieku — mimo to wywołała u Anderson gęsią skórkę. Usłyszała śmiech Anne, mówiącej: „Robi ci się nierówno pod sufitem, tak samo jak wujowi Frankowi, Bobbi, zresztą na nic innego nie zasługujesz, jeśli mieszkasz sama z tym śmierdzącym psem”. Jasne. Syndrom samotności. Zespół pustelnika. Prędko, dzwońcie po doktora, z Bobbi źle, jest bardzo chora...

Mimo to nagle zapragnęła porozmawiać z Jimem Gardenerem — musiała z nim porozmawiać. Poszła do niego zadzwonić (mieszkał przy tej samej drodze, w Unity). Zdażyła wykręcić cztery cyfry, kiedy przypomniała sobie, że wyjechał na spotkania literackie — które wraz z warsztatami poetyckimi stanowiły jego źródło utrzymania. Dla wędrownych artystów najlepszą porą było lato. „Wszystkie te głupie damulki w okresie menopauzy muszą coś latem robić — usłyszała ironiczny ton Jima — a ja muszę coś jeść zimą. Ręka rękę myje. W każdym razie, Bobbi, powinnaś dziękować Bogu za to, że oszczędził ci cykli wieczorów literackich”.

Tak, Bóg oszczędził jej tego, chociaż sądziła, że Jim lubi to bardziej, niż byłby skłonny przyznać. W każdym razie często dawał się tak wykorzystywać.

Anderson odłożyła słuchawkę i spojrziała na regał z książkami stojący obok pieca. Nie był to zbyt ładny regał — Anderson nie była stolarzem i nie chciała nim zostać — ale spełniał swoją funkcję. Dwie dolne półki zajmowały wydawane przez Time-Life serie tomów poświęconych dawnemu Zachodowi. Kolejne dwie półki były zapchane beletrystyką i

literaturą faktu na ten sam temat: wczesne westerny Briana Garfielda walczyły o miejsce z opasłą „Kroniką terytoriów zachodnich” Huberta Hamptona. Saga o braciach Sackett Louisa L’Armoura tkwiła obok dwóch wspaniałych powieści Richarda Mariusa, „Nadejście deszczu” i „W drodze do Ziemi Obiecanej”. Między „Złoczyńcami i bandytami” Jaya R. Nasha a „Ekspansją zachodnią” Richarda F. K. Mudgetta tłoczyła się wielobarwna masa tanich wydań westernów w miękkich okładkach: Raya Hogana, Archiego Joceylena, Maksa Branda, Ernesta Haycocksa i oczywiście Zane’a Greya — egzemplarz „Jeźdźców purpurowego stepu” był zaczytany niemal do cna.

Na górnej półce stały książki jej autorstwa — trzynaście. Dwanaście westernów, poczynając od wydanego w 1975 roku „Miasta bez litości” i kończąc na „Długim powrocie” wydanym w 1987. Nowa powieść, „Masakra w kanionie”, miała wyjść we wrześniu, jak wszystkie jej dotychczas opublikowane westerny. Przyszło jej na myśl, że pierwszy egzemplarz „Miasta bez litości” dostała już tutaj, w Haven, choć zaczynała powieść w pokoju obskurnego mieszkania w Cleaves Mills na rozpadającej się ze starości zabytkowej maszynie Underwood z lat trzydziestych. Dokończyła ją jednak już tutaj, tu także pierwszy raz trzymała w rękach egzemplarz wydanej książki.

Tutaj, w Haven. Cała jej pisarska kariera była związana z tym miejscem... z wyjątkiem pierwszej książki.

Zdjęła ją z półki i spojrzała na nią z zaciekawieniem, zdając sobie sprawę, że ostatni raz miała w rękach ten tomik chyba pięć lat temu. Przygnębiła ją nie tylko świadomość upływającego czasu; przygnębiła ją także myśl, jak często o tym ostatnio rozmyślała.

Książka znacznie różniła się od pozostałych, których okładki przedstawiały wzgórza i płaskowyże, jeźdźców, krowy i przysypane kurzem miasteczka na szlakach, którymi pędzono bydło. Na tej okładce widniał dziewiętnastowieczny drzeworyt przedstawiający kliper zmierzający do brzegu. Surowy kontrast bieli i czerni wydawał się uderzający, niemal szokujący. Nad drzeworytem wydrukowano tytuł „Powrót do punktu wyjścia”. A pod spodem: „Wiersze Roberty Anderson”.

Otworzyła książkę, przewróciła stronę tytułową, zadumawszy się przez chwilę nad datą wydania, 1968 rok, a potem zatrzymała się przy dedykacji. Była równie surowa jak drzeworyt. „Dla Jamesa Gardenera”. Człowieka, do którego próbowała zadzwonić. Drugiego z trzech mężczyzn, z którymi uprawiała seks, i jedyne, który potrafił doprowadzić ją do orgazmu. Choć specjalnie nie przywiązywała do tego wagi. W każdym razie nie było to najważniejsze. Tak się jej przynajmniej zdawało. Albo sądziła, że tak się jej zdaje. Wszystko jedno. Zresztą to i tak nie miało już znaczenia, dawne czasy.

Westchnęła i odłożyła książkę, nie zaglądając do żadnego wiersza. Tylko jeden był w miarę dobry. Napisała go w marcu 1967 roku, miesiąc po śmierci dziadka, który zmarł na raka. Reszta to były brednie — choć przypadkowy czytelnik mógłby się nabrać, bo miała pisarski talent... który najlepiej wyrażał się jednak gdzie indziej. Kiedy opublikowała „Miasto bez litości”, wyparł się jej cały krąg pisarzy, których знаła. Wszyscy z wyjątkiem Jima, który nawiasem mówiąc, wydał „Powrót do punktu wyjścia”.

Krótko po przyjeździe do Haven napisała długi i serdeczny list do Sherry Fenderson, a w odpowiedzi dostała pocztówkę z oschłą informacją: „Proszę do mnie więcej nie pisać, nie znam pani”, podpisaną skreślonym zamaszyście S, równie oschłym jak treść. Siedziała na werandzie, becząc nad kartką, gdy zjawił się Jim.

„Dlaczego beczysz z powodu tego, co myśli jakaś głupia baba? — spytał ją. — Naprawdę chcesz polegać na zdaniu kobiety, która krzyczy «Władza dla ludzi» i pachnie przy tym Chanel nr 5?”.

„Tak się składa, że jest bardzo dobrą poetką” — chlipnęła.

Jim wykonał zniecierpliwiony gest.

„Ale nie jest przez to ani trochę starsza — odrzekł — i nie potrafi odwołać frazesów, których ją nauczono i których potem sama uczyła innych. Przestań pleść głupstwa, Bobbi. Jeżeli chcesz dalej robić to, co lubisz, przestań pleść te pieprzone głupstwa i skończ się mazać, do ciężkiej cholery. Niedobrze mi się robi od tego cholernego płaczu. Rzygać mi się chce od tego cholernego płaczu. Nie jesteś słaba. Od razu poznam się na kimś słabym. Dlaczego chcesz być kimś innym? Przez swoją siostrę? Dlatego? Nie ma jej tu, poza tym ona to nie ty i wcale nie musisz otwierać jej drzwi, jeśli nie masz ochoty. Przestań już marudzić o swojej siostrze. Dorośnij wreszcie. Przestań kwękać”.

Przypomniała sobie, z jakim zdumieniem wtedy na niego spojrzała.

„To coś zupełnie innego, dobrze coś robić, a świetnie coś wiedzieć — powiedział. — Daj Sherry trochę czasu, żeby dorosła. Sama daj sobie trochę czasu, żebyś dorosła. I przestań odgrywać sędziego samej siebie. Nie nudź. Nie mam ochoty słuchać twoich postękiwań. Tylko kretyni postępują. Przestań być kretynką”.

Poczuła wtedy, że go nienawidzi i kocha, pragnie i wzdraga się przed jego dotykiem. Mówił, że od razu umie poznać się na kimś słabym? Rany, powinien się na niej poznać. Nie mówił jej prawdy. Już wtedy o tym wiedziała.

„Powiedz, chcesz przelecieć swojego byłego wydawcę czy wolisz beczeć nad tą głupią kartką?” — zapytał.

Przeleciała go. Nie wiedziała ani teraz, ani wtedy, czy naprawdę tego chciała, jednak to zrobiła. I osiągając orgazm, krzyczała.

Działo się to na krótko przed końcem.

O tym także sobie przypomniała — jak było przed końcem. Niedługo potem Jim się ożenił, zresztą i tak nastąpiłby koniec. Był słaby i nie mówił prawdy.

Zresztą nieważne, pomyślała, udzielając sobie starej sprawdzonej rady: odpuść sobie.

Łatwiej dawać rady niż ich słuchać. Tej nocy Anderson długo nie mogła zasnąć. Zaglądając do swoich młodzieńczych wierszy, zbudziła stare duchy... a może to przez ten silny i ciepły wiatr, który huczał pod okapem i szumiał w gałęziach drzew.

Ledwo zapadła w sen, gdy zbudził ją Peter. Wył przez sen.

Anderson wyskoczyła przerażona z łóżka — Peter wydawał przez sen wiele różnych dźwięków (nie wspominając o niewiarygodnie cuchnących psich bąkach), lecz nigdy dotąd nie wył.

Miała wrażenie, jakby zbudził ją krzyk dręczonego koszmarami dziecka.

Pobiegła do salonu naga, jeśli nie liczyć skarpet, i uklękła obok Petera, który wciąż leżał na dywaniku przy piecu.

— Peter — powiedziała cicho. — Hej, Peter, spokojnie.

Pogłaskała psa. Peter dygotał i gdy Anderson go dotknęła, wzdrygnął się gwałtownie, obnażając resztki zębów. Po chwili otworzył oczy — to chore oraz to zdrowe — i wyglądał, jak gdyby oprzytomniał. Zaskomlał słabo i walnął ogonem o podłogę.

— Dobrze się czujesz? — spytała Anderson.

Peter polizał ją w rękę.

— To leż cicho. Przestań jęczeć. Nie nudź. Przestań odgrywać pieprzoną ofiarę.

Peter położył łeb na dywaniku i zamknął oczy. Anderson klęczała, przyglądając mu się z niepokojem.

Śni mu się tamten przedmiot.

Jej racjonalny umysł nie dopuszczał takiej myśli, lecz noc rządziła się własnymi bezwzględnyymi prawami — to była prawda, o czym Anderson dobrze wiedziała.

Wreszcie wróciła do łóżka. Zasnęła dopiero po drugiej nad ranem, Przyśnił się jej osobliwy sen. Poruszała się po omacku w ciemnościach... nie próbowała wcale nic znaleźć, tylko przed czymś uciec. Była w lesie. Gałęzie smagały ją po twarzy i kłuły w rękę. Od czasu do czasu potykała się o korzenie i zwalone drzewa. Nagle zobaczyła tuż przed sobą okropne

zielone światło, które rozbłysło pojedynczym promieniem przypominającym ołówkę. We śnie pomyślała o opowiadaniu Poeego „Serce — oskarzycielem”, o latarni szalonego narratora, szczelnie osłoniętej z wyjątkiem wąskiego otworu, przez jaki kierował promień światła wprost w oko swego starego dobroczyńcy, które — jak się szaleńcowi zdawało — było złe.

Bobbi Anderson poczuła, jak wypadają jej zęby.

Wszystkie wyleciały bezboleśnie. Niektóre dolne wypadły na zewnątrz, inne zostały w ustach. Na języku i pod nim czuła małe twarde bryłki. Górne wylądowały na jej bluzce. Jeden wpadł za zapięcie stanika i ją kłuł.

Światło. Zielone światło. Światło...

5

...było nie takie, jak powinno.

Nie chodziło o to, że światło miało szaroperłową barwę; mogła się spodziewać, że nocny wiatr przyniesie zmianę pogody. Ale Anderson była przekonana, że ze światłem coś jeszcze jest nie tak, zanim spojrzała na zegar na nocnym stoliku. Wzięła budzik w obie ręce i przysunęła blisko twarzy, choć miała doskonały wzrok. Było piętnaście po trzeciej po południu. Fakt, że późno poszła spać. Ale wszystko jedno, o jakiej porze się kładła, przyzwyczajenie albo potrzeba pójścia do toalety budziła ją zwykle o dziewiątej, najpóźniej o dziesiątej. A dziś przespała całe dwanaście godzin... i czuła wilczy głód.

Powłócząc nogami, wyszła do salonu, wciąż mając na sobie tylko skarpetki, i zobaczyła Petera leżącego bezwładnie na grzbiecie z łbem odrzuconym do tyłu, obnażonymi żółtymi pienkami zębów i wyciągniętymi w górę łapami.

Nie żyje, pomyślała z mrozącą krew w żyłach absolutną pewnością. Peter nie żyje. Umarł w nocy.

Podeszła do psa, spodziewając się poczuć dotyk chłodnego ciała i futra martwego zwierzęcia. Wtedy Peter wydał niewyraźne prychnięcie — coś w rodzaju psiego chrapnięcia. Anderson poczuła ogromną ulgę. Wypowiedziała głośno imię psa i Peter ocknął się niemal z poczuciem winy, jak gdyby też zdał sobie sprawę, że zaspał. Anderson przypuszczała, że tak właśnie było — psy zdawały się mieć świetnie rozwinięte poczucie czasu.

— Zaspaliśmy, stary — powiedziała.

Peter wstał i przeciągnął się, prostując najpierw jedną, a potem drugą tylną łapę. Rozejrzał się jakby komicznie zakłopotany, a potem podszedł do drzwi. Anderson je otworzyła. Peter stał przez chwilę na progu, nie mając ochoty wychodzić na deszcz. W końcu jednak ruszył załatwić swoje sprawy.

Anderson pozostała jeszcze moment w salonie, wciąż dziwiąc się swojej pewności, że Peter nie żyje. Co się z nią ostatnio działo, do cholery? Wszystko widziała w czarnych barwach. Wreszcie poszła do kuchni przygotować... coś w rodzaju śniadania o trzeciej po południu.

Po drodze skręciła do łazienki. Potem przystanąła, przyglądając się własnemu odbiciu w lustrze poplamionym cętkami pasty do zębów. Kobieta zbliżająca się do czterdziestki. Zaczynały jej siwieć włosy, ale poza tym wyglądała całkiem nieźle — nie piła ani nie paliła za dużo, a większość czasu spędzała na świeżym powietrzu, kiedy nie pisała. Ciemne włosy Irlandki — nie ogniście rude jak w romansach — raczej za długie. Szaroniebieskie oczy. Nagle wyszczerzyła zęby, spodziewając się przez chwilę ujrzeć tylko gładkie różowe dziąsła.

Jednak wszystkie zęby były na miejscu. Dzięki ci, fluoryzowana woda z Utiki w stanie Nowy Jork. Dotknęła zębów, przesuwając po nich palcami i upewniając mózg o ich kościanej autentyczności.

Ale coś było nie tak.

Wilgoć.

Poczuła wilgoć na udach.

Och, nie, niech to szlag, prawie tydzień za wcześnie, dopiero wczoraj nałożyłam czystą pościel...

Wzięła prysznic, włożyła podpasę do czystej pary bawełnianych majtek i naciągnęła to wszystko, a potem obejrzała pościel, lecz nie zauważyła na niej żadnych śladów. Okres zjawiał się wcześniej, ale przynajmniej miał tyle taktu, by poczekać, aż wstanie z łóżka. Nie było żadnych powodów do obaw; miesiączkowała dość regularnie, choć od czasu do czasu za wcześnie lub za późno; być może z powodu diety, może z powodu podświadomego stresu, a może jej wewnętrzny zegar odrobinę spieszył się lub spóźniał. Nie miała specjalnej ochoty szybko się zestarzeć, ale często myślała, że gdyby skończył się ten cały ambaras z menstruacją, poczułaby się o niebo lepiej.

Gdy uleciały resztki koszmarów, Bobbi Anderson poszła zrobić sobie bardzo późne śniadanie.

2 ANDERSON KOPIE

1

Przez kolejne trzy dni bez przerwy padało. Anderson wałęsała się niespokojnie po domu, wybrała się z Peterem do Augusty na zakupy i przywiozła rzeczy, których właściwie nie potrzebowała, piła piwo i słuchała starych piosenek Beach Boysów, naprawiając różne rzeczy w domu. Trzeciego dnia krążyła wokół maszyny do pisania, zastanawiając się, czy zacząć nową książkę. Wiedziała już, o czym ma być ta historia: o młodej nauczycielce i łowcy bizonów wplątanych w wojnę osadników w Kansas na początku lat pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, gdy wszyscy w środkowej części kraju szykowali się do wojny secesyjnej, choć niektórzy nawet o tym nie wiedzieli. Sądziła, że to będzie dobra książka, ale uważała, że jeszcze nie jest „gotowa”, cokolwiek to oznaczało (w jej głowie odezwał się drwiący głos naśladujący Orsona Wellesa: *Nie piszemy westernu, dopóki nie nadejdzie jego pora*^{*}). Mimo to wciąż nie potrafiła znaleźć sobie miejsca dręczona niepokojem i obserwowała wszystkie jego oznaki: zniecierpliwienie książkami, muzyką i samą sobą. Odchodziła gdzieś... by za chwilę spojrzeć na maszynę do pisania, jak gdyby chciała ją zbudzić ze snu.

Peter także wydawał się niespokojny. Drapał w drzwi, żeby go wypuścić, pięć minut później drapał z drugiej strony i wracał, a potem wałęsał się po domu, kładł się i znowu wstawał.

Niskie ciśnienie, pomyślała Anderson. Nic więcej. To dlatego oboje jesteśmy niespokojni i rozdrażnieni.

I ten cholerny okres. Zwykle był bardzo obfity i nagle się kończył. Jakby w jednej chwili ktoś zakręcił kran. Tym razem trwał i trwał. Słaba uszczelka, cha, cha, pomyślała, choć wcale nie było jej do śmiechu. Drugiego deszczowego dnia tuż po zapadnięciu zmroku zasiadła przed maszyną, w którą wkręciła czystą kartkę. Zaczęła pisać, ale wyszło jej tylko kilka rzędów znaków X i O jak w dziecinnej zabawie w kółko i krzyżyk, a potem coś przypominającego równanie matematyczne... głupie, zważywszy na fakt, że ostatni raz miała do czynienia z matematyką w szkole średniej, ucząc się z podręcznika Algebra II. Dziś X był do wykreślenia błędnych słów i tyle. Wyciągnęła arkusz z maszyny i wyrzuciła.

Trzeciego deszczowego dnia po lunchu zadzwoniła na wydział anglistyki uniwersytetu. Jim nie uczył już od ośmiu lat, ale nadal miał tam przyjaciół, z którymi utrzymywał kontakt. Sekretarka Muriel zwykle wiedziała, gdzie był.

Tym razem też wiedziała. Poinformowała Anderson, że Jim Gardener dwudziestego czwartego czerwca, czyli dziś wieczorem, ma spotkanie w Fali River, a potem kolejno wieczór literacki i wykład w Providence i New Haven — jako część czegoś, co nazywało się Karawaną Poezji Nowej Anglii. Pewnie stała za tym Patricia McCardle, pomyślała Anderson, uśmiechając się nieznacznie.

— Więc... kiedy wraca? Czwartego lipca?

— Rany, nie wiem, kiedy wróci, Bobbi — powiedziała Muriel. — Znasz Jima. Ostatni wieczór ma trzydziestego czerwca. Tyle wiem na pewno.

Anderson podziękowała jej i odłożyła słuchawkę. Patrzyła w zamyśleniu na telefon, mając przed oczyma Muriel — także irlandzką dziewczynę (tyle że natura obdarzyła Muriel rudą czupryną, jaka zwykle kojarzyła się z jej nacją), dobiegającą już swych najlepszych lat, o okrągłej twarzy, zielonych oczach i pełnych piersiach. Spała z Jimem? Zapewne. Anderson

^{*} Pod koniec lat siedemdziesiątych Orson Welles wystąpił w reklamówce wina Paula Massona, wygłaszając slogan „Nie sprzedajemy wina, dopóki nie nadejdzie jego pora” (przyp. tłum.).

poczuła ukłucie zazdrości — ale nie za mocne. Muriel była w porządku. Rozmowa z nią poprawiła jej nastrój. Wiedziała, kim jest Anderson, traktowała ją jak żywą osobę, nie jak klienta po drugiej stronie lady w sklepie żelaznym w Auguście, nie jak kogoś, komu rzuca się krótkie słowo na powitanie przy skrzynce na listy. Bobbi z natury była samotniczką, ale nie mniszką... i czasem satysfakcję mógł jej sprawić zwykły kontakt z drugim człowiekiem.

Przypuszczała, że już wie, dlaczego chce się skontaktować z Jimem — przynajmniej taki skutek miała rozmowa z Muriel. Wciąż myślała o tamtej rzeczy w lesie, już zupełnie przekonana, że to coś w rodzaju ukrytej trumny. I nie mogła sobie znaleźć miejsca nie dlatego, że chciała pisać; chciała kopać. Nie miała tylko ochoty robić tego sama.

— Wygląda jednak na to, Pete, że będę musiała — powiedziała, siadając na bujanym fotelu przy wschodnim oknie, na swoim fotelu do czytania. Peter zerknął na nią przelotnie, jak gdyby mówiąc: „Jak sobie chcesz, mała”. Anderson pochyliła się nagle, patrząc na Pete’a — patrząc naprawdę uważnie. Peter wesoło odwzajemnił spojrzenie, waląc ogonem w podłogę. Przez chwilę zdawało się jej, że Peter jest jakiś inny... w tak widoczny sposób, że powinna to od razu dostrzec.

Jednak nie dostrzegła.

Usadowiła się wygodnie i otworzyła książkę — pracę magisterską z Uniwersytetu Nebraska, w której najbardziej ekscytujący był tytuł: „Wojna osadników a wojna secesyjna”. Przypomniała sobie, jak parę dni temu powtórzyła sobie w myślach zdanie swojej siostry Anne: „Robi ci się nierówno pod sufitem, tak samo jak wujowi Frankowi, Bobbi”. Cóż... być może.

Niedługo potem zagłębiła się w lekturze, od czasu do czasu zapisując coś w leżącym obok notatniku. Na dworze wciąż padał deszcz.

2

Nazajutrz wstał nieskazitelnie błękitny, jasny i bezchmurny poranek: letni dzień jak z widokówki, z lekkim wiatrem, dzięki któremu owady trzymały się z daleka. Anderson pokręciła się trochę po domu prawie do dziesiątej, coraz bardziej świadoma presji, by wyjść do lasu i zacząć kopać. Czowała, że stara się przeciwstawić temu impulsowi (znów Orson Welles: *Nie wykopujemy ciała, dopóki nie nadejdzie...* och, zamknij się, Orson). Skończyły się czasy, w których słuchała każdego impulsu, kierując się w życiu prostym mottem „Jeżeli uważasz, że to dobre, zrób to”. Zresztą ta filozofia nigdy nie przynosiła jej korzyści — prawie wszystkie złe rzeczy, jakie się jej przytrafiły, brały swój początek z działania pod wpływem impulsu. Nie oceniała pod względem moralnym ludzi, kierujących się impulsem; może nie miała tak dobrej intuicji jak oni.

Zjadła sute śniadanie, dorzuciła Peterowi trochę jajeczniczy do karmy Gravy Train (Pete jadł z większym apetytem niż zwykle, co przypisała końcowi deszczowych dni), a potem zmyła naczyń.

Gdyby jeszcze przestało z niej ciec, wszystko byłoby doskonale. *Nic z tego; nie zatrzymamy okresu, dopóki nie nadejdzie jego pora. Mam rację, Orson? Niech cię cholera.*

Bobbi wyszła z domu, nacisnęła na głowę stary kapelusz kowbojski i spędziła godzinę w ogrodzie. Po takim deszczu wszystko wyglądało lepiej. Groszek zaczął wschodzić, a kukurydza już nieźle strzelała w górę, jak powiedziałby wujek Frank.

O jedenastej się poddała. Do dupy z tym. Poszła do szopy z drugiej strony domu, wzięła szpadel i łopatę, a po chwili namysłu dorzuciła łom. Już wychodziła, ale cofnęła się i ze skrzynki z narzędziami wyciągnęła jeszcze śrubokręt i klucz nastawny.

Peter jak zawsze ruszył za nią, ale tym razem powiedziała:

— Nie, Peter. — I pokazała mu dom. Pete przystanął, jakby poczuł się zraniony. Zaskomlał i niepewnie zrobił krok w jej stronę.

— Nie, Peter.

Peter dał za wygraną i z podkulonym ogonem i opuszczoną głową niechętnie powłókł się z powrotem do domu. Anderson zrobiło się przykro na ten widok, lecz poprzednio Peter bardzo źle zareagował na talerz w ziemi. Przez chwilę stała na ścieżce, która miała ją zaprowadzić do leśnej drogi. Trzymając łopatę w jednej, a szpadel i łom w drugiej ręce, przyglądała się, jak Pete wchodzi po schodkach, nosem otwiera drzwi i znika w domu.

Pomyślała: Był jakiś inny... jest jakiś inny. Co z nim jest nie tak? Nie wiedziała. Ale przez moment, niemal podświadomie, ujrzała przelotnie tamten sen — strzała obrzydliwego zielonego światła... i zęby bezboleśnie wypadające jej z dziąseł.

Obraz zniknął i Bobbi wyruszyła do miejsca, gdzie w ziemi tkwiła tajemnicza rzecz. Słuchała miarowego cykania świerszczy grających na niewielkim poletku za domem, które wkrótce miało się doczekać pierwszych zniw.

3

O trzeciej po południu ze stanu półoszołomienia, w którym pracowała, wyrwał ją Peter, uświadamiając jej dwie rzeczy: że niemal umiera z głodu i pada z wyczerpania.

Peter wył.

Na ten dźwięk Anderson poczuła na plecach i ramionach gęsią skórę. Upuściła łopatę i zaczęła się cofać od tej rzeczy w ziemi — która nie była ani talerzem, ani skrzynią, ani czymkolwiek innym, co potrafiła objąć rozumem. Wiedziała jedynie, że popadła w dziwny, bezmyślny stan, który wcale jej się nie podobał. Tym razem nie tylko straciła poczucie czasu; miała wrażenie, jak gdyby straciła także poczucie samej siebie. Jak gdyby ktoś zasiadł w jej głowie jak operator w kabinie koparki, uruchamiając ją i pociągając za odpowiednie dźwignie.

Peter wył z pyskiem skierowanym w niebo — długi i żalony, mrozący krew w żyłach skowyt.

— Przestań, Peter! — wrzasnęła Anderson i, dzięki Bogu, Pete posłuchał. Jeszcze chwila i po prostu odwróciłaby się i uciekła.

Nie bez trudu odzyskała panowanie nad sobą. Cofnęła się jeszcze o krok i krzyknęła, bo coś miękkiego pacnęło ją w plecy. Słyszając jej okrzyk, Peter wydał jeszcze jedno krótkie i cienkie szczeknięcie, po czym zamilkł.

Anderson sięgnęła po to, co jej dotknęło, myśląc, że to może być... nie wiedziała właściwie co, lecz zanim jeszcze jej dłoń zacisnęła się na tym przedmiocie, przypomniała sobie, co to jest. Jak przez mgłę pamiętała, że na krótko przerwała pracę, żeby powiesić na krzaku bluzkę; i rzeczywiście.

Zdjęła ją z gałęzi, nałożyła i pozapinała, ale krzywo, tak że jedna poła zwisała niżej. Zapięła więc bluzkę jeszcze raz, równo, patrząc na rozpoczęte przez siebie wykopalisko — teraz archeologiczny termin dobrze oddawał charakter jej pracy. Cztery godziny spędzone na kopaniu pamiętała podobnie jak moment powieszenia bluzki na krzaku — jak przez mgłę i fragmentarycznie. To w ogóle nie były wspomnienia, tylko fragmenty.

Jednak teraz, gdy spoglądała na swoje dzieło, zdjęła ją zgroza, ogarnął ją lęk... i narastające podniecenie.

Cokolwiek to było, było ogromne. Nie duże, ale ogromne.

Szpadel, łopata i łom leżały w pewnej odległości od siebie wzdłuż piętnastostopowego wykopu w leśnym runie. Usypała zgrabne kopczyki czarnej ziemi i kamieni w regularnych odstępach. W miejscu, gdzie parę dni temu Anderson potknęła się o trzy cale wystającego szarego metalu, widniał rów głębokości czterech stóp, z którego sterczała krawędź jakiegoś gigantycznego przedmiotu. *Szary metal... jakiś przedmiot...*

Od pisarza należałoby oczekiwać lepszego i konkretniejszego opisu, pomyślała, ocierając ręką pot z czoła, ale już nie była pewna, że to stal. Być może jakiś egzotyczny stop berylu, — ale pomijając skład chemiczny, nie miała najmniejszego pojęcia, co to w ogóle jest.

Zaczęła rozpinąć dzinsy, by wepchnąć do nich bluzkę, gdy nagle zamarła w bezruchu.

Wypłowiałe levisy był przesiąknięte w kroku krwią.

Chryste... Chryste panie. To nie okres. To Niagara.

Na chwilę ogarnął ją strach, prawdziwy strach, lecz zaraz wybiła sobie z głowy głupstwa, przemawiając do własnego rozsądku. Popadła w jakiś rodzaj oszołomienia i wykopała dół, z którego byłoby dumnych czterech krzepkich mężczyzn... a ważyła sto dwadzieścia pięć, najwyżej sto trzydzieści funtów. Zrozumiała, że krwawiła obficie. Nic jej nie było właściwie powinna się cieszyć, że nie zmieniła się w bolesny węzeł skurczów ani tryskający rześistymi strumieniami gejzer.

Ho, ho, aleśmy dziś poetyczni, Bobbi, pomyślała, parszcząc krótkim śmiechem.

Wystarczy, jeżeli doprowadzi się do porządku: przysznic i czysty strój powinny załatwić sprawę. Zresztą dzinsy i tak nadawały się już do śmieci albo na stare szmaty. W dzisiejszym niespokojnym i zagmatwanym świecie o jeden wybór mniej, prawda? Prawda. Nic wielkiego.

Zapięła spodnie, ale nie włożyła do nich bluzki — nie było sensu też jej niszczyć, choć Bóg jeden wiedział, że nie była to rzecz od Diora. Skrzywiła się, czując przy każdym ruchu lepką wilgoć. Boże, ależ miała ochotę się umyć. Jak najszybciej.

Zamiast jednak ruszyć ścieżką z powrotem do domu, podeszła bliżej tajemniczego obiektu w ziemi, jakby ją przyciągał. Peter zawył, znów wywołując u niej gęsią skórę.

— Peter, zamkniesz się wreszcie, na litość boską!

Prawie nigdy nie krzyczała na Pete'a — naprawdę — ale teraz przez głupiego kundla zaczynała się czuć jak obiekt badań psychologii behawioralnej. Zamiast ślinić się na dźwięk dzwonka, miała gęsią skórę, kiedy wyl pieś, lecz zasada pozostała ta sama.

Stojąc blisko swego znaleziska, zapomniała o Peterze i wpatrywała się w nie ze zdumieniem. Po kilku chwilach wyciągnęła rękę i dotknęła go. Znów poczuła zagadkową wibrację — wsiąkła jej w dłoń, — a potem znikła. Tym razem Bobbi miała wrażenie, jakby dotykała powłoki kadłuba, pod którą pracują jakieś bardzo ciężkie maszyny. Metal był tak gładki, że w dotyku wydawał się niemal śliski — można się było spodziewać, że pozostawi na palcach tłusty ślad.

Zacisnęła dłoń w pięść i kostkami zastukała w metal. Rozległ się głuchy dźwięk, jak gdyby pukała w gruby kawał mahoniu. Postąpiła jeszcze trochę, a następnie z tylnej kieszeni spodni wyciągnęła śrubokręt, trzymała go przez moment niezdecydowana, a potem z dziwnym poczuciem winy — czując się niemal jak wandal — przeciągnęła ostrzem narzędzia po powierzchni metalu. Nie zostawiło śladu zadrapania.

Jej oczy zatrzymały się na jeszcze dwóch szczegółach, choć każdy z nich mógł być po prostu złudzeniem optycznym. Po pierwsze, metal wydawał się grubszy od krawędzi do miejsca, w którym zniknął w ziemi. Po drugie, krawędź była lekko zaokrąglona. Te dwie rzeczy — jeśli były prawdą nasuwały wniosek, który był zarazem fascynujący, niedorzeczny, przerażający, niewiarygodny... ale na swój szalony sposób logiczny.

Lepiej zadzwoń do kogoś, Bobbi. Natychmiast.

Zadzwoń do Jima. Gdy tylko wróci.

Jasne, dzwoń do poety. Świetny pomysł. Potem zadzwoń do wielbego Moona. I może do Edwarda Goreya i Gahana Wilsona, żeby przyjechali zrobić rysunki. Potem możesz wynająć parę zespołów rockowych i zorganizować tu pieprzone Woodstock 1988. Nie pora na żarty, Bobbi. Zadzwoń do policji stanowej.

Nie. Najpierw chcę porozmawiać z Jimem. Chcę, żeby to zobaczył. Chcę z nim o tym porozmawiać. Tymczasem wykopię jeszcze trochę.

To może być niebezpieczne.

Tak. Nie tylko może być, pewnie będzie — przecież to czuła. Peter też. Ale to nie wszystko. Schodząc tu ścieżką rano, znalazła martwego świszczaka — prawie na niego nadepnęła. Kiedy pochyliła się nad zwierzakiem, zapach powiedział jej, że nie żyje co najmniej od dwóch dni, jednak nie ostrzegło jej brzęczenie much. Nad biednym świszczakiem w ogóle nie było żadnych much i Anderson nie pamiętała, by kiedykolwiek przedtem widziała coś podobnego. Nie znalazła żadnej widocznej przyczyny śmierci stworzenia, lecz myślała, że to coś w ziemi może mieć z tym jakiś związek, była bzdurą do kwadratu i na resorach. Poczciwy świszczak zżarł pewnie jakąś trutkę wyłożoną przez rolnika i dowlóknął się aż tu, gdzie w końcu padł.

Wróć do domu. Włóż czyste spodnie. Jesteś zakrwawiona i cuchniesz.

Cofnęła się od wykopaliska, a potem ruszyła w górę zbocza do ścieżki. Peter skoczył na nią niezdarnie i zaczął lizać jej rękę z nieco żalną gorliwością. Jeszcze rok temu próbowałby wcisnąć jej nos między nogi, zaintrygowany zapachem, ale już nie dziś. Teraz potrafił tylko dygotać.

— Sam jesteś sobie winien — powiedziała Anderson. — Kazałam ci przecież zostać w domu. — Mimo to cieszyła się, że Peter przyszedł. Gdyby się nie zjawił, pracowałyby do zmierzchu... a myśl o ocknięciu się z oszołomienia w ciemnościach w pobliżu tego ogromnego czegoś... nie była zbyt kusząca.

Stojąc na ścieżce, obejrzała się za siebie. Ze wzniesienia miała lepszy widok. Zobaczyła, że to coś sterczy z ziemi pod pewnym kątem. Znowu odniosła wrażenie, że krawędź rzeczywiście jest zaokrąglona.

Talerz, tak pomyślałam, kiedy palcami rozgrzebałam wokół tego ziemię. Stalowy talerz, nie taki, z jakiego się je, ale może już wtedy, chociaż widziałam tylko kawałek, pomyślałam o normalnym talerzu. Albo spodku.

Pieprzonym latającym spodku.

4

W domu wzięła prysznic i przebrała się, zakładając podpaszkę w rozmiarze maxi, chociaż krwawienie zaczęło się już zmniejszać. Potem otworzyła puszkę z fasolą i kiełbaskami i przygotowała sobie naprawdę dużą kolację. Stwierdziła jednak, że jest zbyt zmęczona i tylko skubała jedzenie. Resztę więcej niż połowę — zostawiła Peterowi i podeszła do fotela bujanego przy oknie. Na podłodze obok niego wciąż leżała praca magisterska, którą czytała. Rolę zakładki odgrywał oderwany kawałek paczki zapalek. Obok spoczywał notatnik. Anderson podniosła go, otworzyła na czystej stronie i zaczęła szkicować to coś w lesie, opierając się na tym, co zobaczyła z góry, gdy ostatni raz spojrzała za siebie.

Nie umiała posługiwać się piórem zbyt wprawnie, jeśli nie tworzyła słów, ale miała niewielki talent rysowniczy. Szło jej jednak bardzo wolno, nie dlatego że chciała wykonać jak najdokładniejszy szkic, po prostu była wykończona. Na domiar złego podszedł do niej Peter, trącał nosem jej rękę i domagał się pieszczot. Pogłaskała go po łbie z roztargnieniem, wycierając gumką linię horyzontu, którą narysowała krzywo, gdy pies poruszył jej dłoń.

— Tak, dobry piesek, grzeczny piesek. Idź sprawdzić, czy jest poczta, dobrze?

Peter ruszył truchtem przez salon i nosem otworzył zewnętrzne drzwi. Anderson wróciła do pracy nad szkicem, ale uniosła głowę, by zerknąć na Pete'a odgrywającego swój słynny psi numer pod tytułem „Aport poczty”. Oparł się przednią lewą łapą o słupek skrzynki na listy, a potem zaczął walić w klapkę skrzynki. Joe Paulson, listonosz, znał jego zwyczaje i zawsze zostawiał ją uchyloną. Peter otworzył drzwiczki, ale zanim zdążył wysunąć pocztę łapą, stracił równowagę. Anderson skrzywiła się lekko — do tego roku Peter ani razu nie stracił równowagi. Wyciąganie poczty było jego popisową sztuczką, lepszą od udawania Wietkongu i o wiele lepszą niż banalne stawanie na tylnych łapach czy dawanie głosu, by

dostać ciastko. Widząc to, wszyscy robili wielkie oczy, a Peter dobrze o tym wiedział... lecz w ostatnich czasach było to smutne widowisko. Anderson przypuszczała, że czułaby coś podobnego, gdyby zobaczyła Freda Astaire'a i Ginger Rogers usiłujących zaprezentować po latach jeden ze swoich tańców.

Pies zdołał jeszcze raz wspiąć się na słupek i tym razem jednym ruchem łapy udało mu się wysunąć ze skrzynki pocztę — katalog i list (albo rachunek — tak, zbliżał się koniec miesiąca, więc to najprawdopodobniej rachunek). Gdy obie przesyłki sfrunęły na ziemię, Pete wziął je do pyska. Anderson wróciła do swojego szkicu, powtarzając sobie, żeby przestała co dwie minuty bić w dzwon pogrzebowy, szykując się na śmierć Petera. Pies wyglądał dziś na ledwie żywego; ostatnio zdarzały się wieczory, gdy musiał trzy czy cztery razy stawać chwiejnie na tylnych łapach, zanim udało mu się wyciągnąć pocztę — która zwykle okazywała się bezpłatną próbką z Procter & Gamble albo gazetką reklamową z K-Mart.

Anderson przyglądała się uważnie szkicowi, z roztargnieniem cieniując pień sosny z pękniętym wierzchołkiem. Rysunek nie był w stu procentach dokładny... ale dość udany. Zdołała w każdym razie uchwycić ką, pod jakim wystawało z ziemi to coś.

Narysowała wokół tego ramkę, którą potem zmieniła w sześcian... jak gdyby chciała to odizolować. Na szkicu wyraźnie zaznaczyła łuk krawędzi, ale czy rzeczywiście była zaokrąglona?

Tak. A to, co nazywała metalowym talerzem, chyba naprawdę było kadłubem. Gładkim jak szkło, pozbawionym nitów kadłubem.

Zaczynasz bzikować, Bobbi... i zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Peter poskrobał w zewnętrzne drzwi, żeby go wpuścić. Poszła mu otworzyć, nie odrywając wzroku od szkicu. Pies wszedł i położył pocztę na krześle w korytarzu. Potem powłókł się do kuchni, chcąc pewnie sprawdzić, czy nie przeoczył jakichś resztek na talerzu swej pani.

Anderson wzięła z krzesła przesyłki i z grymasem niesmaku otarła je o nogawkę spodni. Zgoda, sztuczka była świetna, ale ona chyba nigdy nie polubi psiej śliny na poczcie. Katalog był z sieci Radio Shack — chcieli, żeby kupiła procesor tekstu. Rachunek przysłał Centralny Zakład Energetyczny Maine. Znów przyszedł jej na myśl Jim Gardener. Rzuciła katalog i rachunek na stół w korytarzu, wróciła na fotel pod oknem, usiadła, otworzyła notatnik na czystej stronie i skopiowała pierwszy szkic.

Zmarszczywszy brwi, patrzyła na łagodny łuk krawędzi, który prawdopodobnie w pewnym stopniu stanowił wynik ekstrapolacji — jak gdyby nie wykopała dołu na cztery stopy, ale co najmniej dwanaście czy czternaście. I co z tego? Nie przejmowała się odrobiną ekstrapolacji; do diabła, w końcu na tym między innymi polega praca powieściopisarza, a ludzie, którzy sądzą, że należy to tylko i wyłącznie do pisarzy science fiction i fantasy, nigdy nie spojrzeli przez drugi koniec teleskopu, nigdy nie stanęli przed zadaniem zapelnienia białych plam, o których milczy historia — nie próbowali na przykład odpowiedzieć na pytanie, co się stało z kolonizatorami wyspy Roanoake u wybrzeży Karoliny Północnej, którzy po prostu zniknęli bez śladu, pozostawiając po sobie tylko wycięte na drzewie tajemnicze słowo CROATAN, albo skąd się wzięły kamienne posągi na Wyspie Wielkanocnej, albo dlaczego mieszkańcy małego miasteczka Blessing w stanie Utah nagle postradali zmysły — na to przynajmniej wszystko wskazywało — jednego dnia latem 1884 roku. Jeżeli nie wiedziało się na pewno, wolno było puścić wodze wyobraźni — o ile nie poznało się w końcu prawdy.

Anderson była pewna, że istnieje wzór pozwalający ustalić obwód na podstawie łuku. Kłopot w tym, że zupełnie zapomniała, jak to cholerstwo wygląda. Ale może będzie umiała z grubsza określić długość obwodu — przy założeniu, że nie pomyliła się co do zaokrąglenia krawędzi — i odnaleźć w przybliżeniu środek tego czegoś...

Bobbi wróciła do stołu w korytarzu i otworzyła środkową szufladę, w której gromadziła różności. Zaczęła grzebać w stercie anulowanych czeków, wyczerpanych baterii R14, R20 i dziewięciowoltowych (z jakiegoś powodu nigdy nie potrafiła wyrzucić w diabły starych

baterii — Bóg wie dlaczego, wkładała je po prostu do szuflady, która stała się czymś w rodzaju cmentarzyska słoni, tyle że był to cmentarz baterii), pękach gumek recepturek i szerokich czerwonych gum do weków, listów od fanów, na które nie odpisała (listów od fanów podobnie jak wyczerpanych baterii nie umiała się pozbyć), a także przepisach notowanych na fiskach. Na samym dnie szuflady wałały się drobne narzędzia, między którymi znalazła to, czego szukała — cyrkiel z włożonym do uchwytu ogryzkiem żółtego ołówka.

Usiadłszy z powrotem na bujanym fotelu, Anderson przewróciła stronę w notatniku i trzeci raz naszkicowała wystającą krawędź tego czegoś w ziemi. Starła się trzymać skali, lecz tym razem narysowała nieco większy kształt, nie zwracając sobie głowy otaczającymi go drzewami i ledwie zaznaczając wykop, by zachować perspektywę.

— Dobra, to tylko domysły — powiedziała i wbiła szpic cyrkla w żółtą kartkę pod łukowatą krawędzią. Ustawiła ramię cyrkla, aby dokładnie wodziło po łuku — a potem zatoczyła ołówkiem pełny okrąg. Spojrzała na kartkę, a następnie otarła dłonią usta. Poczula nagle, że jej usta są zbyt wilgotne i drżące.

— Bzdura do kwadratu i na resorach — szepnęła.

Jednak nie była to wcale bzdura do kwadratu i na resorach. Jeżeli oceniając krzywiznę krawędzi, nie trafiła kulą w płot, to wyglądało na to, że odkryła obiekt, którego obwód wynosił co najmniej trzysta jardów.

Anderson upuściła notatnik i cyrkiel na podłogę, a potem spojrzała przez okno. Serce waliło jej mocno.

5

Kiedy zachodziło słońce, Anderson usiadła na werandzie z tyłu domu i patrzyła przez ogród w stronę lasu, słuchając głosów w głowie.

Na pierwszym roku college'u brała udział w seminarium na temat kreatywności, zorganizowanym na wydziale psychologii. Ze zdumieniem — i nie bez ulgi — dowiedziała się, że nie skrywa żadnej wstydliwej nerwicy; prawie wszyscy ludzie obdarzeni wyobraźnią słyszeli głosy. Nie myśli, ale właśnie głosy, należące do różnych postaci, doskonale rozpoznawalne jak głosy w słuchowisku radiowym z dawnych czasów. Wykładowca wyjaśniał, że pochodziły z prawej półkuli mózgu tej, którą powszechnie kojarzy się z wizjami i telepatią, a także wyjątkową ludzką zdolnością do kreowania obrazów przez tworzenie porównań i metafor.

Nie ma czegoś takiego jak latające spodki.

Doprawdy? A kto tak powiedział?

Po pierwsze, siły powietrzne. Już dwadzieścia lat temu ludzie z lotnictwa zamknęli rozdział latających spodków. Udało im się wyjaśnić wszystkie potwierdzone wypadki zauważenia UFO z wyjątkiem trzech procent, po czym doszli do wniosku, że te trzy procenty prawie na pewno zostały spowodowane efemerycznymi zjawiskami atmosferycznymi — takimi jak halo, turbulencja bezchmurnego nieba, strefy wyladowań elektrycznych na bezchmurnym niebie. Do diabła, o światłach w Lubbock gazety pisały na pierwszych stronach, a okazało się... że to była wina przelatujących stad ciem, pamiętasz? Światło latarń w Lubbock padało na ich skrzydła, odbijając wielkie i jasne poruszające się kształty na niskich masach chmur, które z powodu zastoju pogody wisiały nad miastem przez cały tydzień. Większość ludzi w kraju żyła przez ten tydzień w przekonaniu, że na głównej ulicy Lubbock lada chwila pojawi się ktoś ubrany jak Michael Rennie w „Dniu, w którym Ziemia zamarła” ze swoim nieodłącznym robotem Gortem sunącym z klekotem u jego boku i zażąda spotkania z naszym przywódcą. A to były tylko ćmy. Podoba ci się? Czy nie powinno ci się podobać?

Zabawne, ale doskonale rozpoznawała ten głos — należał do doktora Klingermana, który prowadził tamto seminarium. Prowadził wykład z charakterystycznym dla pocziwego Klingy'ego niewyczerpanym entuzjazmem, choć nieco piskliwie. Anderson uśmiechnęła się i zapaliła papierosa. Trochę za dużo dziś paliła, ale tytoń szybko wietrzył, kiedy paczka za długo leżała otwarta.

W roku 1947 kapitan sił powietrznych, niejaki Mantell, wznosił się za wysoko, ścigając latający spodek — a raczej coś, co uważał za latający spodek. Stracił przytomność. Jego samolot rozbił się i Mantell zginął. Umarł, goniąc odbicie Wenus na mknącej po niebie chmurze — czyli halo. Widzisz, Bobbi, istnieją więc odbicia ciem, odbicia Wenus i prawdopodobnie także odbicia w złotym oku, jak w filmie z Marlonem Brando, ale latających spodków nie ma.

Wobec tego co spoczywa w ziemi?

Głos wykładowcy zamilkł. Nie wiedział. Jego miejsce zajął więc głos Anne, który mówił po raz trzeci, że robi się jej nierówno pod sufitem, dziwaczeje tak samo jak wuj Frank, że niebawem przyjadą przymierzyć jej jeden z tych płóciennych mundurków, które nosi się tyłem naprzód; odwiozą ją do szpitala w Bangor albo w Juniper Hill i będzie mogła do woli bełkotać o latających spodkach, wyplatając koszyki w środku lasu. To był głos Siostruni, bez dwóch zdań; mogłaby zaraz do niej zadzwonić, opowiedzieć jej, co się stało, i usłyszałyby dokładnie to samo, słowo w słowo. Była tego pewna.

Ale czy to w porządku?

Nie, nie w porządku. Anne utożsamiałyby samotne życie siostry z szaleństwem, wszystko jedno, co Bobbi by mówiła czy robiła. Owszem, myśl, że to coś w ziemi jest statkiem kosmicznym, bez wątpienia była szalona... ale czy rozważenie takiej możliwości, przynajmniej dopóki nie zostanie obalona, też jest oznaką szaleństwa? Anne uważałyby, że tak, ale Anderson nie. Otwarty umysł to przecież nic złego.

Jednak taka możliwość przyszła jej do głowy bardzo szybko...

Wstała i weszła do domu. Ostatnim razem, gdy bawiła się tym czymś w lesie, spała dwanaście godzin. Zastanawiała się, czy i tym razem czeka ją podobny maraton snu. Czowała takie zmęczenie, że mogłaby przespać dwanaście godzin, Bóg jej świadkiem.

Zostaw to, Bobbi. To niebezpieczne.

Nie miała jednak takiego zamiaru, pomyślała, zdejmując koszulkę z pingwinem i napisem OPUS NA PREZYDENTA. Jeszcze nie.

Odkryła, że kłopot z mieszkaniem w pojedynkę — i powód, dla którego większość ludzi, jakich znała, nie chciała być sama ani przez chwilę — polegał na tym, że im dłużej mieszka się samotnie, tym głośniejszą zaczynają przemawiać głosy z prawej półkuli. W ciszy normy racjonalizmu zaczynają się zmieniać, a głosy już nie proszą o uwagę: żądają, by ich wysłuchać. Nietrudno było się ich przestraszyć i dojść do wniosku, że są jednak oznaką szaleństwa.

Anne na pewno by tak pomyślała, uznała Bobbi, kładąc się w łóżku. Lampa rzucała na narzutę krąg czystego światła, które poprawiło jej samopoczucie, lecz praca magisterska, którą wcześniej czytała, została na podłodze. Bobbi wciąż spodziewała się skurczów, jakie zazwyczaj towarzyszyły zdarzającym się jej od czasu do czasu wczesnym i obfitym okresom, ale na razie nie następowały. Wcale jej nie zależało na ich nadejściu.

Skrzyżowała ręce pod głową i spojrzała na sufit.

Nie, nie jesteś ani trochę wariatką, Bobbi, pomyślała. Uważasz, że to Gard zaczyna się zachowywać jak stuknięty, ale z tobą jest absolutnie wszystko w porządku — czy to także nie znak, że jesteś trochę rozchwiana? To nawet ma swoją nazwę... zaprzeczenie i substytucja. „Nic mi nie jest, to świat zwariował”.

To wszystko prawda. Ale wciąż czuła, że doskonale nad sobą panuje i wiedziała jedno: w Haven była bardziej normalna niż w Cleaves Mills i o wiele bardziej normalna niż w Utice.

Gdyby spędziła jeszcze parę lat w Utice, parę lat blisko Siostruni, miałyby dziś kompletnego bzika. Anderson była przekonana, że Anne uważa doprowadzanie najbliższych krewnych do szaleństwa za swoje... zadanie? Nie, to zbyt trywialne. Za swą świętą misję.

Wiedziała, co naprawdę ją niepokoi — i nie był to fakt, że bardzo szybko przysła jej do głowy właśnie taka możliwość. Chodziło o uczucie pewności. Będzie się nadal starała zachować otwarty umysł, lecz przede wszystkim otwarty na to, co Anne nazwałaby „zdrowymi zmysłami”. Bo wiedziała, co znalazła, i zdjęła ją zgroza, ogarnął ją lęk... i palące podniecenie.

Widzisz, Anne, pocziwa Bobbi nie przeprowadziła się do pipidówki i nie zwariowała; pocziwa Bobbi przeprowadziła się tutaj i odzyskała zdrowe zmysły. Szaleństwo to ograniczanie możliwości, kapujesz, Anne? Szaleństwo to brak zgody na to, żeby pójść pewnymi drogami spekulacji, chociaż nie są pozbawione logiki... jakbyś miała żeton do kołowrotu w wejściu. Rozumiesz, o czym mówię? Nie? Oczywiście, że nie rozumiesz. Nigdy nie rozumiałaś. Wobec tego odejdz, Anne. Zostań w Utice i zgrzytaj przez sen zębami, aż nic z nich nie zostanie, doprowadzaj do szaleństwa każdego, kto będzie na tyle bezmyślny, żeby zostać w zasięgu twojego głosu, proszę bardzo, ale wara od mojej głowy.

To coś w ziemi było statkiem z kosmosu.

Proszę. Jasno i otwarcie. Koniec z bzdurami do kwadratu. Mniejsza o Anne, mniejsza o światła w Lubbock, mniejsza o to, że siły zbrojne zamknęły sprawy latających talerzy. Mniejsza o rydwany bogów, o Trójkąt Bermudzki, o to, że Eliasza porwał do nieba ognisty wóz. Mniejsza o to wszystko — w głębi serca wiedziała. To był statek, który wylądował albo się rozbił dawno temu — być może miliony lat temu.

Boże!

Leżała w łóżku z rękami pod głową. Była spokojna, tylko serce waliło jej coraz szybciej.

Potem odezwał się inny głos, tym razem należący do jej nieżyjącego dziadka, powtarzający to, co przedtem mówił głos Anne.

Zostaw to, Bobbi. To niebezpieczne.

Tamta trwająca ledwie chwilę wibracja. Pierwsze przeczucie, dławiące i graniczące z pewnością, że znalazła krawędź jakiejś dziwacznej stalowej trumny. Reakcja Petera. Jej okres, który przyszedł za wcześnie; tu na farmie ledwie z niej ciekło, ale gdy była blisko tego czegoś, chlustało z niej jak z zarżniętego prosięcia. I nie zapominajmy o pocziwym świszczu. Wydzielał woń i gazy rozkładu, ale nie krążyły nad nim muchy. Mucha nie siada na świszczu, można rzec.

Tyle że nic nie trzyma się kupy. Kupiłam teorię, że w ziemi jest statek, dlatego że chociaż na pozór brzmi to idiotycznie, to jednak jest w tym pewna logika. Za to w reszcie nie ma ani krzty logiki; jakbym miała koraliki toczące się po stole. Trzeba je nawlec na nitkę i może wtedy to kupię. W każdym razie pomyślę nad tym, dobra?

Znów usłyszała głos dziadka, wolny i apodyktyczny, jedyny w domu zdolny uciszyć nawet małą Anne.

To wszystko zdarzyło się dopiero po tym, kiedy to znalazłaś, Bobbi. Masz swoją nić.

Nie. To za mało.

Łatwo odpowiadać teraz dziadkowi; nie żył od szesnastu lat. Mimo to zasypiając, słyszała właśnie głos dziadka.

Zostaw to, Bobbi. To niebezpieczne.

....sama o tym wiesz.

3

PETER WIDZI ŚWIATŁO

1

Wydawało się jej, że dostrzegła jakąś zmianę w Peterze, choć nie umiała jej dokładnie określić. Gdy zbudziła się nazajutrz rano (o najzupełniej normalnej godzinie dziewiątej), zobaczyła to prawie natychmiast.

Stała przy blacie kuchennym, nalewając karmę Gravy Train do starej czerwonej miski Petera. Pete jak zawsze zjawił się na ten dźwięk, krocząc niespiesznie. Gravy train pojawił się w jego menu stosunkowo niedawno; jeszcze w zeszłym roku na jego dzienną rację składał się gaines meal rano, pół puszki psiej karmy Rival wieczorem plus wszystko, co udało mu się skubnąć w lesie. Potem Peter przestał jeść gaines meal i Anderson dopiero po miesiącu pojęła dlaczego — Pete wcale nie znudził się karmą; po prostu tym, co zostało z jego zębów, nie mógł już pogryźć twardych kawałków. Tak więc teraz dostawał gravy train... jak przypuszczała, odpowiednik jajek w koszulkach, jakie jadają na śniadanie staruszkowie.

Dolała do gravy train ciepłej wody i zamieszała starą pociętą łyżką, która trzymała specjalnie w tym celu. Wkrótce rozmiękle kawałki karmy pływały w mętnej cieczy. Wyglądała jak gulasz, pomyślała Anderson... albo coś, co się wylało z zapchanego szamba.

— Proszę — powiedziała, odwracając się od zlewu. Peter zajmował swoje tradycyjne stanowisko na linoleum — grzecznie trzymając się w pewnej odległości, aby Anderson się o niego nie potknęła — i walił w podłogę ogonem. — Mam nadzieję, że będzie ci smakowało. Bo ja na sam widok mam ochotę puścić pa...

W tym momencie urwała, nachylona nad Peterem, z czerwoną miską w ręce i kosmykiem włosów opadającym na oko.

Odgarnęła włosy.

— Pete? — Usłyszała własny głos.

Peter przez chwilę patrzył na nią lekko zdziwiony, a potem cicho zbliżył się do swego porannego dania. Chwilę później zaczął je z entuzjazmem chleptać.

Anderson wyprostowała się, patrząc na psa, raczej zadowolona, że nie widzi pyska Petera. W głowie znów usłyszała głos dziadka, który kazał jej, żeby to zostawiła, że to niebezpieczne i że chyba nie musi już szukać nici łączącej w całość koraliki, prawda?

Tylko w tym kraju mieszka milion ludzi, którzy zlecieliby się tu biegiem na wieść o takim niebezpieczeństwie, pomyślała Anderson. I Bóg jeden wie ilu na całym świecie. To wszystko, co może sprawić? A jak zadziałałoby na przykład na raka?

Nogi odmówiły jej nagle posłuszeństwa. Cofnęła się resztką sił, aż namacała za plecami krzesło. Usiadła i przyglądała się, jak Peter je.

Mleczna katarakta, która zasłaniała jego lewe oko, w połowie zniknęła.

2

— Nie mam zielonego pojęcia — powiedział tego samego dnia po południu weterynarz.

Anderson siedziała na jedynym krześle w gabinecie, a Peter posłusznie siedział na stole do badań. Anderson przypomniawszy sobie, jak się okropnie bała na myśl, że jeszcze tego lata będzie musiała przywieźć Petera do weterynarza... jednak teraz nic nie wskazywało na to, by trzeba go było uśpić.

— Wcale mi się nie wydaje? — zapytała Anderson, przypuszczając, że tak naprawdę chce, żeby doktor Etheridge potwierdził prawdę zawartą w słowach, jakie sączył do jej głowy głos

Anne: Zresztą na nic innego nie zasługujesz, mieszkając sama z tym śmierdzącym psem... lub jej zaprzeczył.

— Nie — odrzekł Etheridge — chociaż rozumiem pani zdezorientowanie. Sam czuję się trochę zdezorientowany. Nastąpiła aktywna remisja katarakty. Możesz już zejść, Peter.

Pete zeskoczył ze stołu, schodząc najpierw na taboret Etheridge'a, potem na podłogę, a później siadł przy Anderson.

Położyła dłoń na łbie psa i spojrzała badawczo na Etheridge'a, myśląc: Widziałeś to? Nie miała za bardzo ochoty zadać mu tego pytania na głos. Etheridge przez chwilę patrzył jej w oczy, ale zaraz odwrócił wzrok. Owszem, widziałem, ale nie zamierzam się do tego przyznawać. Peter zszedł ze stołu ostrożnie, o wiele spokojniej niż w czasach, gdy jako szczeniak wszędzie pędził na złamanie karku, ale i nie niepewnym, drżącym i chwiejnym krokiem, jakim poruszałby się jeszcze tydzień temu, nienaturalnie przekrzywiając głowę w prawo, żeby widzieć drogę, i z trudem utrzymując równowagę. Anderson serce zamierało na ten widok, dopóki nie znalazł się na dole i niczego sobie nie złamał. Peter zszedł, stawiając łapy uważnie, ale z pewnością siebie dystyngowanego męża stanu, jak jeszcze dwa czy trzy lata temu. Przypuszczała, że częściowo przyczyną jego większej sprawności było odzyskiwanie wzroku w lewym oku — Etheridge potwierdził to za pomocą kilku prostych testów. Ale oko to nie wszystko. Peter miał o wiele lepszą koordynację ruchów. Tak po prostu. Szaleństwo, jednak właśnie tak było.

Ustępowanie katarakty nie mogło przecież spowodować, że jego biały jak mleko pysk zaczął zmieniać kolor, stając się ledwie przyprószony siwizną, prawda? Anderson zauważyła to jeszcze w samochodzie w drodze do Augusty. Omal nie zjechała na pobocze.

Ile z tego zobaczył Etheridge i nie chciał przyznać, że widzi? Domyślała się, że niemało, lecz problem polegał między innymi na tym, że Etheridge nie był doktorem Daggetem.

Dagget oglądał Petera co najmniej dwa razy w roku w ciągu pierwszych dziesięciu lat życia psa... i pomagał mu w nagłych wypadkach, na przykład wtedy, gdy Pete miał małą przygodę z ursonem i doktor Dagget wyciągał mu jeden po drugim kolce, pogwizdując przy tym melodię z „Mostu na rzece Kwai”, i wielką dłonią gładził po łbie dygoczącego rocznego psiaka. Innym razem Peter wrócił do domu, utykając, z tyłkiem nafaszerowanym śrutem — prezentem od jakiegoś myśliwego, który był zbyt głupi, żeby przed oddaniem strzału przyjrzeć się celowi, albo nie mogąc znaleźć kuropatwy ani bażanta, wyładował swoje sadystyczne skłonności, wyrządzając krzywdę psu. Doktor Dagget dostrzegłby wszystkie zmiany u Petera i nie mógłby im zaprzeczać, gdyby nawet chciał. Doktor Dagget zdjąłby swoje okulary w różowych oprawkach, przetarł je połą fartucha i powiedział coś w rodzaju: „Musimy się dowiedzieć, gdzie był i w co takiego się wpakował, Roberto. To poważna sprawa. Psy nie młodnieją ot tak sobie, a wszystko wskazuje na to, że właśnie tak się dzieje z Peterem”. Anderson musiałaby wtedy odpowiedzieć: „Wiem, gdzie był i wydaje mi się, że znam powód”. Atmosfera od razu stałaby się mniej napięta. Ale stary doktor Dagget przed wyjazdem na Florydę sprzedał swoją praktykę Etheridge'owi, który był całkiem miły, ale nadal sprawiał wrażenie kogoś obcego. Etheridge oglądał Petera częściej niż Dagget — w zeszłym roku badał go cztery razy — ponieważ starzejąc się, Peter stawał się coraz bardziej niedołączny. Mimo to nie widział go tak często jak jego poprzednik... Anderson podejrzewała, że nie miał bystrego oka swego poprzednika. Ani jego odwagi.

W sali za nimi nagle odezwał się owczarek niemiecki, który zaszczekał grubo, wyrzucając z siebie coś przypominającego stek psich przekleństw. Po chwili dołączyły do niego inne psy. Peter nastawił uszu i zaczął dygotać pod dłonią swej pani. Najwidoczniej numer z odgrywaniem Benjamina Buttona nie miał żadnego wpływu na spokój beagle'a, pomyślała; gdy tylko Peter miał już za sobą burzliwy okres szczeniństwa, stał się tak wyluzowany, że czasem niemal sprawiał wrażenie paralytyka. Jednak nerwowy dygot był czymś zupełnie nowym.

Etheridge słuchał psów, lekko marszcząc brwi — szczekały już prawie wszystkie.

— Dziękuję, że zgodził się pan nas przyjąć tak szybko — powiedziała Anderson. Musiała podnieść głos, żeby ją usłyszał. W poczekalni także rozległo się szczekanie psa — szybkie i zniecierpliwione ujadanie małego zwierzęcia... najprawdopodobniej szpica albo pudła. — To bardzo... — Urwała na chwilę. Pod opuszkami palców wyczuła wibrację i pierwszą rzeczą, jaka przyszła jej na myśl

(statek)

było to coś w lesie. Ale wiedziała, co to za wibracja. Mimo że czuła ją bardzo, bardzo rzadko, nie stanowiła żadnej tajemnicy.

Źródłem wibracji był Peter. Z głębi jego gardła zaczęło dobiegać ciche warczenie.

— ...miło z pana strony, ale chyba powinniśmy już zmykać. Zdaje się, że ma pan bunt na pokładzie. — To miał być żart, ale wcale nie wydawał się zabawny. Nagle cały budynek — kwadrat z pustaków, w którym mieściła się poczekalnia i gabinet zabiegowy, plus dobudowany trójkąt z pustaków, gdzie mieściła się sala dla chorych zwierząt i sala operacyjna — utonął w ogłuszającym zgiełku. Szczekały wszystkie psy za drzwiami, a do szpica w poczekalni dołączyło kilka innych psów... i trochę drżące, wysokie zawodzenie, niewątpliwie kocie.

Do gabinetu zajrzała pani Alden z wyrazem cierpienia na twarzy.

— Doktorze Etheridge...

— Już idę — odrzekł zirytowany. — Przepraszam, pani Anderson.

Wyszedł pospiesznie, kierując się najpierw do sali. Gdy otworzył drzwi, ujadanie zabrzmiało ze zdwojoną siłą — zupełnie im odwaliło, tylko tyle zdążyła pomyśleć Anderson, bo Peter omal nie wyskoczył jej spod ręki. Cichy gardłowy bulgot przerodził się nagle we wściekły i groźny jazgot. Za Etheridge'em, który kroczył już szybko głównym korytarzem, mijając gromadę szczekających psów, wolno zamknęły się drzwi zaopatrzone w pneumatyczny mechanizm zamykający, toteż weterynarz nie usłyszał ujadania Petera, ale Anderson usłyszała i gdyby nie zdążyła złapać psa za obrozę, beagle popędziłby przez salę za doktorem jak strzała. Zdała sobie sprawę, że Pete dygotał i warczał... wcale nie ze strachu. Po prostu oszalał z wściekłości niepojęte i zupełnie do niego niepodobne.

Gdy Anderson pociągnęła Petera za obrozę, jazgot uwiązał mu w gardle, przechodząc w zdławiony dźwięk — akch! Pies odwrócił do niej głowę, a w jego nabiegłym krwią oku Anderson ujrzała coś, co dopiero potem umiała określić jako czystą furię z powodu zawrócenia go z wybranej drogi. Mogła pogodzić się z faktem, że przypuszczalnie na jej działce jest zakopany latający spodek, który ma trzysta jardów obwodu; że pewnie jakaś emanacja czy wibracja pochodząca z tego statku zabiła świszczka, który na swoje nieszczęście znalazł się trochę za blisko, i to w tak nieprzyjemny sposób, że nawet muchy nie miały na niego ochoty; mogła przystać na nieregularny okres, na remisję katarakty u psa, nawet na coraz bardziej widoczny fakt, że jej pies stawał się młodszy.

Tak, mogła się z tym wszystkim pogodzić.

Ale ze świadomością, że w oczach swego starego przyjaciela Petera zobaczyła szaloną nienawiść do niej, do Bobbi Anderson... nie.

3

Na szczęście ta chwila trwała bardzo krótko. Drzwi do sali zamknęły się, tłumiąc kakofonię psich głosów. Z Petera chyba już częściowo opadło napięcie. Wciąż dygotał, ale przynajmniej usiadł.

— Chodź, Pete, zabieramy się stąd — powiedziała Anderson. Była wstrząśnięta — o wiele bardziej, niż przyznała później w rozmowie z Jimem Gardenerem. Bo rozmowa na ten temat

być może wywołałaby wspomnienie zajadłej wściekłości, jaką dojrzała w zdrowym oku Petera.

Namacala smycz, do której nie była przyzwyczajona i którą zdjęła Peterowi, gdy tylko weszli do gabinetu (wymóg, aby właściciele zawsze wprowadzali psy na badanie na smyczy, zawsze irytował Anderson — do dziś). Omal nie upuściła jej na podłogę, ale w końcu przypięła do obroży Petera.

Podeszła z psem do drzwi poczekalni, które otworzyła nogą. Hałas był jeszcze gorszy niż przedtem. Rzeczywiście, okazało się, że ujadającym cienko stworzeniem był szpic należący do grubej kobiety ubranej w żółte spodnie i żółtą bluzkę. Grubaska próbowała trzymać szpica, mówiąc mu: „Bądź grzeczny, Erie, słuchaj mamusi”. Spomiędzy pulchnych i obwisłych ramion „mamusii” ledwie było widać błyszczące złością oczy psa.

— Pani Anderson... — zaczęła pani Alden. Wyglądała na skonsternowaną i trochę wystraszoną, kiedy starała się robić wszystko, co do niej należało jak gdyby nigdy nic, mimo że lecznica nagle zmieniła się w istny dom wariatów. Anderson świetnie ją rozumiała.

Szpic dostrzegł Petera — Anderson mogła później przysiąc, że od tego się zaczęło — i oszalał. Bez kłopotu znalazł ofiarę.

Zatopił ostre zęby w ramieniu pani.

— Skurwielu! — wrzasnęła, zrzucając psa na podłogę. Po ręce pociekła jej strużka krwi.

W tym momencie Peter rzucił się naprzód, czekając i ujadając. Krótka smycz osadziła go w miejscu, ale i tak szarpnął Anderson. Pociągnął mocno jej prawą rękę, która wyprostowała się bezwładnie. Przyjrawszy się sytuacji bystrym okiem pisarza, Anderson od razu domyśliła się, co zaraz nastąpi. Beagle Peter i szpic Erie mieli stanąć oko w oko pośrodku sali niczym Dawid i Goliat. Szpicowi brakowało jednak sprytu, nie mówiąc o procy. Peter odgryzłby mu łeb jednym kłapinięciem zębów.

Nieszczęściu zapobiegła może jedenastoletnia dziewczynka, która siedziała po lewej ręce „mamusii”. Dziewczynka trzymała na kolanach przenośne terrarium z dużym węzem smugowym, którego lśniące łuski świadczyły o doskonałym zdrowiu zwierzęcia. Błyskawicznie wystawiła odzianą w dżinsy nogę z niewiarygodnym refleksem dziecka i przydeptała koniec smyczy Erica. Szpic wykonał pełną beczkę. Dziewczynka przyciągnęła go z powrotem. Była zdecydowanie najspokojniejszą osobą w poczekalni.

— A jeśli gnojek zaraził mnie wściekłą? — wrzeszczała „mamusia”, idąc w kierunku pani Alden. Spomiędzy palców przyciśniętych do ramienia spływały błyszczące kropelki krwi. Gdy przechodziła obok nich, Peter odwrócił łeb w jej stronę, toteż Anderson pociągnęła go, ruszając w stronę drzwi. Pieprzyć tabliczkę umieszczoną nad pokoikiem pani Alden, informującą wszystkich: **ZA USŁUGĘ NALEŻY PŁACIĆ GOTÓWKĄ, JEŻELI WCZEŚNIEJ NIE USTALONO INNEJ FORMY ZAPŁATY**. Chciała stąd jak najprędzej wyjść, wcisnąć gaz do dechy i pojechać do domu. A potem wypić porządnego drinka. Cutty sark. Podwójną. Nie, po namyśle uznała, że lepiej potrójną.

Z lewej dobiegł ją długi, cichy i przepełniony jadem syk. Anderson odwróciła się w tym kierunku i ujrzała kota, który wyglądał jak żywcem wzięty z dekoracji na Halloween. Był zupełnie czarny, jeśli nie liczyć małej białej plamki na ogonie. Cofnął się tak daleko, jak pozwalały mu rozmiary przenośnej klatki, wygiął grzbiet w pałąk, zjeżył wściekle futro i wlepił w Petera zielone oczy, które lśniły niesamowitym blaskiem. Rozdziawił na oścież różowy pysk, ukazując zęby.

— Niech pani zabierze psa — powiedziała właścicielka kota głosem zimnym jak stal odwiedzonego kurka rewolweru. — Blacky go nie lubi.

Anderson miała jej ochotę powiedzieć, że nic jej nie obchodzi, co Blacky lubi czy puszcza bąki lub czy umie gwizdać, ale taka mało zrozumiała, choć na swój sposób niezwykle trafna riposta, przysła jej na myśl dopiero później — rzadko popisywała się refleksem. Bohaterowie jej książek zawsze świetnie wiedzieli, co powiedzieć i rzadko musiała się

zastanawiać nad ich kwestiami — przychodziły łatwo i naturalnie. W prawdziwym życiu prawie zawsze było inaczej.

— Niech się pani sama trzyma kupy — rzuciła ni w pięć, ni w dziewięć. Nic lepszego nie przyszło jej do głowy, a w dodatku bąknęła tak niewyraźnie, że wątpiła, by właścicielka Blacky'ego cokolwiek zrozumiała, a nawet usłyszała. Teraz naprawdę zaczęła ciągnąć Petera, szarpiąc smycz tak samo jak ci okropni ludzie, którzy ciągnęli swoje psy na ulicy, na co nie cierpiała patrzeć. Peter wydawał zduszone dźwięki, jakby tłumił kaszel, a z boku pyska zwiślał mu zaśliniony język. Gapił się na boksera, który miał gips na przedniej prawej nodze. Boksera trzymał na smyczy oburącz wysoki mężczyzna ubrany w niebieski kombinezon mechanika; musiał owinać sobie smycz dwa razy wokół wielkiej dłoni zabrudzonej smarem, ale i tak z trudem trzymał psa, który mógłby zabić Petera z równą łatwością, jak Peter szpica. Bokser mimo złamanej nogi mocno szarpał się na uwięzi, a Anderson bardziej wierzyła w siłę uchwytu mechanika niż w wytrzymałość cienkiej smyczy, która wyglądała na przetartą.

Anderson zdawało się, że zanim zdołała namacać klamkę drzwi wyjściowych, minęła cała wieczność. Czowała się jak w koszmarach sennych, kiedy człowiek ma zajęte ręce i nagle bardzo powoli, ale nieuchronnie, zaczynają opadać mu spodnie.

Do tego wszystkiego doprowadził Peter. W jakiś niepojęty sposób.

Nacisnęła klamkę, a potem obrzuciła poczekalnię ostatnim pospieszonym spojrzeniem. Pomieszczenie zmieniło się w absurdalną ziemię niczyją. „Mamusia” żądała od pani Alden udzielenia pierwszej pomocy (i chyba rzeczywiście jej potrzebowała; krew spływała jej już po ręce prawdziwymi strumieniami, plamiąc żółte spodnie i nijakie białe buty); kot Blacky wciąż syczał; nawet myszoscoczki doktora Etheridge'a biegały jak zwariowane w labiryncie plastikowych rurek i wież ustawionym na półce na przeciwległej ścianie, w którym mieszkały. Szalony szpic Erie stał na wyprężonej smyczy, szcękając na Petera zduszonym głosem. Peter ujadął w odpowiedzi.

Wzrok Anderson zatrzymał się na wężu jedenastoletniej dziewczynki, który stanął dęba jak kobra w swoim terrarium i też patrzył na Petera; rozdziawił pozbawioną kłów paszczę, rytmicznie dżgając powietrze wąskim różowym językiem.

Węże smugowe tak się nie zachowują, nigdy w życiu nie widziałam węża smugowego, który tak by się zachowywał.

W stanie bliskim panicznego przerażenia Anderson uciekła, pociągając za sobą Petera.

4

Peter zaczął się uspokajać niemal w chwili, gdy z cichym westchnieniem zamknęły się za nimi drzwi. Przestał kaszeć i ciągnąć smycz i szedł obok Anderson, popatrując na nią od czasu do czasu, jak gdyby mówił: „Nie lubię tej smyczy i nigdy nie polubię, ale zgoda, w porządku, jeśli chcesz”. Zanim oboje znaleźli się w kabinie pikapa, Pete był już znowu tym samym starym, dobrze znanym Peterem.

Natomiast Anderson nie była taka jak zawsze.

Trzęsły się jej ręce i dopiero za trzecim razem zdołała włożyć kluczyk do stacyjki. Potem za szybko puściła sprzęgło i silnik zgasł. Kiedy chevroletem gwałtownie szarpnęło, Peter spadł z siedzenia na podłogę. Posłał Anderson pełne wyrzutu spojrzenie beagle'a (choć wszystkie psy potrafią patrzeć z wyrzutem, to tylko beagle są zdolne spoglądać z tak wymownym cierpieniem w oczach). „Skąd masz prawo jazdy, Bobbi? zdawał się pytać jego wzrok. — Mówiłaś zdaje się, że ze sklepu «Sears and Roebuck», zgadza się?”. Potem wgramolił się z powrotem na siedzenie. Anderson ledwie mogła uwierzyć, że jeszcze pięć minut wcześniej Peter warczał i ujadął jak zły pies, jakiego dotychczas nie знаła, gotów ugryźć wszystko, co się ruszało, a tamto spojrzenie, które... Zanim jednak zaczęła je szczegółowo rozpamiętywać, przestała o tym myśleć.

Ponownie uruchomiła silnik, a później wyjechała z parkingu. Mijając z boku budynek opatrzony eleganckim napisem KLINIKA WETERYNARYJNA W AUGUŚCIE, odkręciła okno. Usłyszała kilka pojedynczych szczęknięć. Nic niezwykłego.

Wszystko się skończyło.

Nie tylko to, pomyślała. Choć nie była zupełnie pewna, wydawało się jej, że skończył się też jej okres. Jeśli tak, krzyżyk na drogę.

Jak to mówią.

5

Bobbi nie chciała — a raczej nie potrafiła — czekać aż do powrotu do domu, by wypić drinka, którego sobie obiecała. Tuż za granicami Augusty stał zajazd o uroczej nazwie „Grill-Bar Stracony Weekend” (specjalność lokalu — zeberka; w piątek i sobotę grają Nashville Kitty-Cats).

Anderson zaparkowała między starym kombi a traktorem John Deere z doczepioną z tyłu brudną broną, która miała uniesione na sztorc zęby. Nieco dalej stał duży stary buick z przyczepą do przewozu koni. Anderson wołała się do niego nie zbliżać.

— Zostań — powiedziała, a Peter, który leżał na siedzeniu zwinięty w kłębek, rzucił jej przelotne spojrzenie, które oznaczało: „A po co miałbym z tobą iść? Żebyś mnie znowu dusiła tą głupią smyczą?”.

W środowe popołudnie „Grill-Bar Stracony Weekend” był ciemny i niemal pusty, a parkiet taneczny przypominał lekko połyskującą pieczarę. Lokal cuchnął skwaśniałym piwem. Zjawił się barman i kelner w jednej osobie:

— Siema słysznej damie. Dzisiaj polecamy chili. Mamy też...

— Poproszę cutty sark — przerwała mu Anderson. — Podwójną. Bez wody.

— Zawsze pije pani jak facet?

— Zwykle ze szklanki — odparła. Żart zupełnie bez sensu, ale czuła się bardzo zmęczona i rozbita... jakby przejechała przez nią broną. Poszła do toalety zmienić podpaszkę, wsuwając tę w najmniejszym rozmiarze, tak na wszelki wypadek... lecz, jak z ulgą stwierdziła, zrobiła to rzeczywiście tylko na wszelki wypadek. Wyglądało na to, że czerwona flaga zostanie wciągnięta na maszt dopiero w przyszłym miesiącu.

Wróciła do baru w lepszym humorze niż przed chwilą, gdy wychodziła, a o wiele lepiej poczuła się, kiedy wlała w siebie połowę zawartości szklaneczki.

— No, nie chciałem nikogo obrażać — rzekł barman. — Po południu robi się pusto. Kiedy wchodzi ktoś nieznajomy, język sam mi się rozwiązuje.

— To moja wina — powiedziała Anderson. — Nie miałam dzisiaj najlepszego dnia.

Skończyła drinka i westchnęła.

— Chce pani jeszcze jednego?

Chyba bardziej podobała mi się „słyszna dama”, pomyślała Anderson i pokręciła przecząco głową.

— Za to napiję się mleka. Bo inaczej do wieczora będę miała zgagę.

Barman podał jej mleko. Anderson popijała, rozmyślając o tym, co zdarzyło się u weterynarza. Odpowiedź znalazła szybko, i to bardzo prostą: nie wiedziała.

Powiem ci jednak, co się stało, kiedy weszliście. Absolutnie nic.

Uczepiła się tej myśli. Kiedy wprowadziła Petera do kliniki, poczekalnia była tak samo zatłoczona jak w chwili, gdy go stamtąd wywlekała, choć za pierwszym razem nie rozgrywały się tam żadne dantejskie sceny. Oczywiście, nie było całkiem cicho — zwierzęta różnych gatunków i odmian, instynktownie wyczuwając obok siebie odwiecznych naturalnych wrogów, nie potrafią wytworzyć atmosfery biblioteki, gdy znajdują się w jednym miejscu — ale było normalnie. Czując w sobie działanie whisky, przypomniała sobie mężczyznę w

kombinezonie mechanika, który przytrzymał na smyczy boksera. Bokser popatrzył na Petera. Peter spokojnie popatrzył na niego. Nic takiego.

Więc co?

Więc wypij mleko, wracaj do domu i zapomnij o tym.

Dobra. A to coś w lesie? Też mam o tym zapomnieć?

Zamiast odpowiedzi usłyszała w głowie głos dziadka: *A propos, Bobbi, jak to coś działa na ciebie? Zastanawiałaś się nad tym?*

Nie zastanawiała się.

Kiedy jednak teraz sobie to uświadomiła, kuśiło ją, żeby zamówić jeszcze jednego drinka... tyle że jeszcze jednym, nawet pojedynczym, na pewno by się upiła, a czy naprawdę miała ochotę spędzić wczesne popołudnie w tej wielkiej stodole, zaprawiając się w samotności i czekając na nieuniknione nadejście kogoś (może i samego barmana), kto zapytałby, co tak urocze miejsce robi wokół takiej dziewczyny jak ona?

Położyła na barze piątkę, a barman zsalutował jej na pożegnanie. Wychodząc, zauważyła automat telefoniczny. Książka telefoniczna była brudna, miała ośle uszy i wydzielala woń przetrawionego burbona, ale przynajmniej była. Anderson wrzuciła dwadzieścia centów i przytrzymując słuchawkę ramieniem, zaczęła szukać w spisie firm numeru pod literą W. Po chwili zadzwoniła do kliniki Etheridge'a. Głos pani Alden po drugiej stronie wydawał się całkiem opanowany. W tle Anderson usłyszała szczeknięcie psa. Jedno jedyne szczeknięcie.

— Nie chciałam, żeby pani myślała, że chciałam was wykiwać — powiedziała. — Smycz odeślę jutro.

— Nie ma sprawy, pani Anderson — odrzekła. — Jest pani naszą klientką od tylu lat, że byłaby pani ostatnią osobą, którą podejrzewalibyśmy o uchylanie się od płacenia długów. A smyczą proszę się nie przejmować. Mamy spory zapas.

— Wydawało się, jakby przez chwilę wszystko stanęło na głowie, prawda?

— Jeszcze jak! Musieliśmy wezwać pogotowie do pani Perkins. Nie sądziłam, że to coś poważnego — oczywiście, ranę trzeba było zszyć, ale mnóstwo ludzi z taką raną potrafi iść do lekarza o własnych siłach. — Odrobinię ściszyła głos, dzieląc się z Anderson sekretem, do którego nie dopuściłaby pewnie żadnego mężczyzny. — Dzięki Bogu, że ugryzł ją jej własny pies. To taka osoba, która z byle powodu zaczyna krzyczeć o procesie.

— Wie już pani, co mogło być powodem tej awantury?

— Nie, doktor Etheridge też nie. Może upał po deszczu. Doktor Etheridge mówił, że słyszał o czymś takim na jakiejś konferencji. Pewna pani weterynarz z Kalifornii opowiadała, jak przed ostatnim silnym trzęsieniem ziemi na wszystkie zwierzęta w jej klinice padł „urok dzikiego szału”, jak to nazwała.

— Doprawdy?

— W zeszłym roku mieliśmy trzęsienie ziemi w Maine — powiedziała pani Alden. — Mam nadzieję, że nie będzie następnego. Ta elektrownia atomowa w Wiscasset jest za blisko, żeby można było spać spokojnie.

Gard mógłby coś na ten temat powiedzieć, pomyślała Bobbi. Jeszcze raz podziękowała, po czym odłożyła słuchawkę.

Wróciła do pikapa. Peter spał. Kiedy Anderson wsiadła, otworzył oczy, ale zaraz zamknął z powrotem. Położył pysk na łapach. Siwizna na pysku zaczęła zanikać. Nie było wątpliwości, absolutnie żadnych wątpliwości.

A propos, jak to coś działa na ciebie?

Zamknij się, dziadku.

Pojechała do domu. Wzmocniwszy się jeszcze jedną szkocką — słabą — weszła do łazienki i stanęła blisko przed lustrem, najpierw badawczo obejrzała swoją twarz, a potem przeczesala palcami włosy, które uniosła i którym pozwoliła opaść.

Siwizna była tam, gdzie przedtem — jeśli wzrok jej nie mylił, nie ubyła ani jedna nitka spośród tych, które dotąd zdążyły się pojawić.

Nigdy nie sądziła, że ucieszy ją widok siwych włosów, ale dziś się ucieszyła. W pewnym sensie.

6

Przed wieczorem na zachodzie zaczęły się gromadzić ciemne chmury, a zanim zapadł zmierzch, rozległy się pierwsze grzmoty. Wyglądało na to, że miały wrócić deszcze, przynajmniej na jedną noc. Anderson wiedziała, że wypuści dziś Petera na dwór tylko po to, żeby załatwił najpilniejsze psie sprawy, ale nic poza tym; od szczenięcych lat beagle panicznie bał się burzy.

Anderson siedziała na fotelu bujanym przy oknie i gdyby ktoś ją teraz zobaczył, zapewne doszedłby do wniosku, że czyta, ale tak naprawdę brnęła przez książkę; brnęła przez pracę „Wojna osadników a wojna secesyjna” z uporem godnym lepszej sprawy. Tekst był nudny jak flaki z olejem, ale Anderson sądziła, że okaże się niezwykle przydatny, gdy w końcu zabierze się do następnej rzeczy... co powinno nastąpić już niebawem.

Ilekróć przetaczał się grzmot, Peter przysuwał się coraz bliżej fotela, wyglądał przy tym, jakby uśmiechał się ze skruchą. *Tak, nic mi się nie stanie, wiem, wiem, ale podejść troszkę bliżej, dobrze? I jeżeli naprawdę potężnie huknie, chyba wypchnę cię z tego pieprzonego fotela, co ty na to? Nie masz nic przeciwko temu, prawda, Bobbi?*

Burza rozpełtała się dopiero po dziewiątej, ale kiedy się już zaczęła, Anderson nie miała wątpliwości, że czeka ich porządna nawałnica — taka, jaką mieszkańcy Haven nazywali „prawdziwym Jezusmaria”. Poszła do kuchni, poszperała w dużej szafie ściennej, która służyła jej za spiżarnię, i na górnej półce znalazła lampę gazową Colemana. Peter szedł za nią krok w krok z podkulonym ogonem i wciąż tą samą skruszoną miną. Wychodząc ze spiżarni z lampą, Anderson omal się o niego nie potknęła.

— Pozwolisz mi przejść, Peter?

Pete cofnął się odrobinę, przepuszczając ją... by po chwili z powrotem przypaść jej do kostek, gdy grzmot wstrząsnął szybami w oknach. Kiedy Anderson siadała na fotelu, błyskawica rozświetliła pokój błękitnobiałym blaskiem, a telefon wydał pojedynczy dźwięk. Wiatr zaczął przybierać na sile, szumiąc w gałęziach drzew.

Peter siadł kamieniem przy fotelu, spoglądając błagalnie na Anderson.

— No dobrze — powiedziała z westchnieniem. — Chodź, bałwanie.

Pies nie dał się dwa razy prosić. Wskoczył Anderson na kolana, wymierzając jej przy tym solidny cios łapą w krocze. Prawie zawsze walił ją w to miejsce albo w pierś; wcale nie celował — działo się tak w jakiś tajemniczy sposób, podobnie jak winda niezmiennie zatrzymuje się na każdym piętrze, kiedy akurat się spieszysz. Jeżeli istniał środek obrony przed atakiem Petera, Bobbi Anderson musiała go znaleźć.

Niebo rozdarła błyskawica. Peter wtulił się w Anderson, którą uderzył w nozdrza jego zapach — Eau de Beagle.

— Może od razu na mnie naskoczysz i załatwisz to od razu, co, Pete?

Peter posłał jej pełen skruchy psi uśmiech: *Wiem, wiem, przestań mi to ciągle wypominać.*

Wiatr przybierał na sile. Światła zaczęły mrugać, co niezawodnie oznaczało, że Robertę Anderson i Centralny Zakład

Energetyczny Maine czeka czułe rozstanie... przynajmniej do trzeciej lub czwartej nad ranem. Anderson odłożyła książkę i objęła psa. Naprawdę nie miała nic przeciwko burzom, od czasu do czasu przetaczały się latem, ani przeciwko śnieżycom atakującym miasteczko zimą. Podobała się jej ich ogromna siła. Lubiała widok i odgłos tej potęgi, która okrutnie i ze ślepą stanowczością rozprawiała się z jej ziemią. W działaniach takich nawałnic wyczuwała

pewną pozbawioną wrażliwości litość. Czuła, jak ta burza działa na nią — włoski na ramionach i karku zjeżyły się lekko, a błyskawica, która przecięła niebo szczególnie blisko, niemal ją naelektryzowała.

Anderson przypomniała sobie dziwną rozmowę, jaką odbyła kiedyś z Jimem Gardenerem. Gard miał w czaszce stalową płytkę — pamiątkę po wypadku na nartach, w którym omal nie zginął w wieku siedemnastu lat. Gardener opowiadał jej, jak kiedyś, gdy zmieniał żarówkę, okropnie poraził go prąd, gdy przez przypadek wsunął do oprawki palec wskazujący. Nie byłoby w tym nic niecodziennego, gdyby nie fakt, że przez następny tydzień słyszał w głowie muzykę, spikerów i wiadomości. Twierdził, że przez pewien czas miał wrażenie, jakby wariował. Czwartego dnia Gard zidentyfikował nawet sygnał stacji, którą odbierał: WZON, jedna z trzech stacji radiowych w Bangor nadających na falach długich. Zapisał sobie tytuły trzech nadawanych kolejno piosenek, a potem zadzwonił do radia, aby sprawdzić, czy naprawdę je grali — razem z reklamą restauracji polinezyjskiej Singa, dealera Subaru oraz Muzeum Ptaków w Bar Harbor. Grali.

Piątego dnia sygnał zaczął zanikać, a dwa dni później umilkł zupełnie.

— Wszystko przez tę cholerną płytkę w głowie — mówił, lekko stukając pięścią w bliźnę na lewej skroni. — Bez wątpienia. Mnóstwo ludzi na pewno miało kupę śmiechu, ale ja jestem absolutnie pewien.

Gdyby tę historię opowiedział jej ktoś inny, Anderson pomyślałaby, że usiłuje ją nabrać, ale Jim nie żartował — wystarczyło spojrzeć mu w oczy, żeby się przekonać.

Wielkie burze miały wielką siłę.

Następna błyskawica rozświetliła niebieskim fleszem teren, który Anderson nauczyła się uważać — tak jak jej sąsiedzi — za swoje podwórko. Ujrzała pikapa z pierwszymi kroplami deszczu na przedniej szybie; krótki podjazd z ubitej ziemi; skrzynkę pocztową z opuszczoną i bezpiecznie przyciśniętą do aluminiowej ścianki chorągiewką; skręcające się na wietrze drzewa. Chwilę później huknął grzmot i Peter przypadł do niej, skomląc. Zgasły światła. Nie bładły stopniowo, nie bawiły się w żadne mruganie; po prostu zupełnie nagle wszystkie zgasły jednocześnie. Zgasły ostatecznie i nieodwołalnie.

Anderson sięgnęła po lampę — lecz jej ręka znieruchomiała.

Na przeciwległej ścianie, tuż obok kredensu wuja Franka, zobaczyła zieloną plamkę, która przesunęła się dwa cale w górę, potem odrobinę w lewo i w prawo. Na moment zniknęła, by zaraz pojawić się z powrotem. Sen Anderson wrócił z upiorną siłą *déjà vu*. Znow pomyślała o latarni z opowiadania Poego, ale tym razem skojarzyła widok z jeszcze jednym wspomnieniem: „Wojną światów”. Marsjańskim snopem gorąca, zsyłającym zieloną śmierć na Hammersmith.

Odwróciła głowę w stronę Petera, słysząc, jak ścięgną szyi skrzypią jej niczym nienaoliwione zawiasy i dobrze wiedząc, co zobaczy. Światło padało z oka Petera. Z lewego. Jarzyło się czarnoksiężkim zielonym blaskiem ognia świętego Elma, jaki unosi się nad bagnami po parnym, bezwietrznym dniu.

Nie... to nie oko. Świeciła katarakta... przynajmniej to, co z niej zostało. Od porannej wizyty u weterynarza ubyłó jej jeszcze więcej. Połowę pyska Petera rozjaśniał trupi zielony blask, przez co wyglądał jak monstrum z komiksu.

Anderson w pierwszym odruchu zapragnęła odsunąć się od Petera, wyskoczyć z fotela i uciec...

...ale przecież to był Peter, mimo wszystko. A Peter bał się już śmiertelnie. Gdyby go zostawiła, ogarnęłoby go prawdziwe przerażenie.

W ciemności rozległ się grzmot. Tym razem oboje podskoczyli. Po chwili zaszumił deszcz, siekąc gęsto nieprzerwanymi strugami. Anderson znow spojrzała na ścianę po drugiej stronie pokoju na chyboczącą się tam zieloną kropkę. Przypomniały się jej czasy dzieciństwa,

gdy leżała w łóżku i bawiła się w puszczanie „zajaczków” na ścianie, używając do tego celu paska od zegarka i poruszając przegubem.

À propos, Bobbi, jak to coś działa na ciebie?

Zielony płomień z głębi oka Petera pochłaniał kataraktę.

Zjadał ją. Popatrzyła na psa i musiała się opanować, by się od niego nie odsunąć, gdy nagle polizał ją w rękę.

Tej nocy Bobbi Anderson prawie w ogóle nie spała.

Kiedy Anderson w końcu się obudziła, dochodziła dziesiąta i paliły się prawie wszystkie światła — wyglądało na to, że Centralny Zakład Energetyczny Maine w końcu poradził sobie z awarią. Chodziła po domu w skarpetkach, gasząc lampy, a potem wyjrzała przez okno od frontu. Na werandzie stał Peter. Anderson wpuściła go i uważnie przyjrzała się jego oku. Pamiętała swoje przerażenie poprzedniego wieczoru, ale w jasnym blasku letniego poranka przerażenie ustąpiło miejsca fascynacji. Pomyślała, że każdy by się przestraszył, widząc coś takiego w ciemnościach, gdy nie było prądu, a ziemią i niebem wstrząsała burza.

Dlaczego, u diabła, nie zobaczył tego Etheridge?

Odpowiedź była prosta. Fosforyzujące tarcze zegarków jarzą się i za dnia, i w ciemności; tyle że w świetle nie widać ich blasku. Dziwiła się nieco, że w ciągu ubiegłych kilku wieczorów nie zauważyła zielonego blasku w oku Petera, ale nie była specjalnie zdumiona... w końcu dopiero po paru dniach zorientowała się, że katarakta się cofa. A jednak... Etheridge widział psa z bardzo bliska, prawda? Przecież Etheridge zaglądał do wnętrza oka Petera za pomocą starego oftalmoskopu.

Zgodził się z Anderson, że katarakta się cofa... lecz nie wspominał o żadnym zielonym czy innym blasku.

Może zobaczył to i postanowił nie widzieć. Zauważył, że Peter wygląda młodziej i tego też postanowił nie widzieć. Bo nie chciał tego widzieć.

Chwilami Anderson nie znosiła nowego weterynarza; zapewne dlatego, że tak bardzo lubiła starego doktora Daggetta i przyzwyczała się do głupiej (choć na pozór nieuniknionej) myśli, że Daggett będzie pod ręką, dopóki będzie miała przy sobie Petera. Nie był to najmądrzejszy powód wrogości wobec następcy staruszka; ale nawet jeżeli Etheridge nie zauważył (albo nie chciał zauważyć) zanikających oznak starzenia się Petera, w niczym nie zmieniało to faktu, że sprawiał wrażenie niezwykle fachowego weterynarza.

Katarakta, która jarzy się zielonym blaskiem... Anderson nie sądziła, że zignorowałyby coś takiego.

Wysnuła z tego wniosek, że gdy Etheridge zaglądał Peterowi do oka, zielonego blasku po prostu nie było.

Przynajmniej nie od razu.

Nie od razu też powstał taki harmider w poczekalni, prawda? Na pewno nie wtedy, gdy weszli. Ani w trakcie badania. Dopiero kiedy zbierali się do wyjścia.

Czy właśnie wtedy oko Petera zaczęło świecić?

Anderson nałożyła grawy train do miski Petera i przez chwilę trzymała lewą rękę pod kranem, czekając, żeby zaczęła lecieć ciepła woda, której chciała dolać do karmy. Czekanie wydłużało się coraz bardziej. Bojler działał coraz wolniej, coraz częściej odmawiał posłuszeństwa i był żałośnie przestarzały. Anderson zamierzała go naprawić — i z pewnością będzie musiała to zrobić przed nadejściem chłodów — ale jedynym hydraulikiem w Haven i okolicznych miasteczkach na południu i północy był dość nieprzyjemny facet, Delbert Chiles, który zawsze patrzył na nią tak, jak gdyby doskonale wiedział, jak wygląda bez ubrania (*nieszczególnie* — mówił jego wzrok — *ale ujdzie w tłoku*) i zawsze chciał wiedzieć, czy Anderson „pisze ostatnio jakieś nowe książki”. Chiles lubił jej powtarzać, że sam mógłby być cholernie dobrym pisarzem, ale ma za dużo energii i „za mało ołowiu w gaciach, nie?”. Ostatnim razem musiała wezwać go na pomoc przedostatniej zimy, kiedy w dwudziestostopniowym mrozie popękały rury. Zrobił, co trzeba, a potem zapytał, czy miałyby kiedyś ochotę „iść popłasać”. Anderson grzecznie odmówiła, a Chiles puścił do niej oko, co

miało świadczyć o mądrości życiowej, ale wyglądało najwyżej na wyraz uświadomionej bezmyślności. „Nie wiesz, co tracisz, złotko” — powiedział. Bardzo dobrze wiem, dlatego właśnie mówię nie, miała na końcu języka, lecz nie odezwała się ani słowem; chociaż nie lubiła Chilesa, wiedziała, że może go jeszcze kiedyś potrzebować. Dlaczego w prawdziwym świecie najlepsze odzywki przychodzą na myśl zawsze wtedy, gdy nie ma się odwagi ich wykorzystać?

Mogłabyś coś zrobić z bojlerem, Bobbi — przemówił do niej głos, którego nie rozpoznała. Obcy głos w głowie? Kurczę, może powinna zadzwonić na policję? *Ależ mogłabyś* — upierał się głos. — Wystarczy tylko, żebyś...

Wreszcie z kranu poleciała ciepła woda — w każdym razie letnia — i Anderson zapomniała o bojlerze. Zamieszała grawy train, postawiła miskę na podłodze i przyglądała się, jak Peter je. Od pewnego czasu bardzo poprawił mu się apetyt.

Powinna obejrzeć jego zęby, pomyślała. Może da się wrócić do gaines meal. Ziarnko do ziarnka i zbierze się miarka, a amerykańscy czytelnicy raczej nie walą do ciebie drzwiami i oknami, skarbie. Poza tym...

Poza tym kiedy właściwie zaczął się jazgot w klinice?

Anderson zaczęła się nad tym głębiej zastanawiać. Nie była całkiem pewna, lecz im dłużej o tym rozmyślała, tym bardziej zdawało się jej, że być może — nie na pewno, ale być może — stało się to, gdy tylko Etheridge zakończył badanie katarakty Petera i odłożył oftalmoskop.

Posłuchaj, Watsonie — odezwał się nagle głos Sherlocka Holmesa, rzucając słowa w szybkim, niemal gorączkowym tempie charakterystycznym dla Basila Rathbone'a. — *Oko świeci. Nie... nie oko; świeci katarakta. Ale Anderson tego nie zauważa, chociaż powinna. Etheridge też tego nie zauważa, a na pewno powinien. Czy możemy przypuścić, że zwierzęta w lecznicy zdradzają niepokój dopiero wówczas, gdy katarakta Petera zaczyna świecić... czyli, idąc tropem tej hipotezy, wtedy, gdy wznawia się proces zanikania katarakty? Być może. A więc zielony blask jest widoczny dopiero wtedy, gdy może się bezpiecznie uwidocznić? Ach, Watsonie, takie założenie jest równie przerażające, jak nieuzasadnione. Ponieważ wskazywałoby to na pewnego rodzaju...*

...na pewnego rodzaju inteligencję.

Anderson nie podobały się takie wnioski, próbowała więc uciszyć głos za pomocą starej sprawdzonej rady: odpuść sobie.

Tym razem podziałało.

Na jakiś czas.

2

Anderson miała ochotę iść i jeszcze trochę pokopać.

Jej mózgowiu ten pomysł w ogóle się nie podobał.

Jej mózgowie uważało, że pomysł jest do dupy.

Zostaw to, Bobbi. To niebezpieczne.

Zgadza się.

A propos, Bobbi, jak to coś działa na ciebie?

Nie widziała żadnych skutków oddziaływania tego czegoś. Ale efektu działania dymu papierosowego na płuca też nie widać; dlatego ludzie ciągle palą. Możliwe, żegniła jej wątroba albo komory jej serca zamulił cholesterol, albo stała się bezpłodna. Równie dobrze w tym momencie jej szpik mógł jak szalony produkować zakazaną liczbę białych krwinek. Po co zadowalać się przedwczesnym okresem, Bobbi, skoro można mieć coś naprawdę ciekawego, na przykład białaczkę?

Mimo to dalej chciała kopać.

To proste i elementarne pragnienie nie miało nic wspólnego z mózgowiem. Powstało w innym, głęboko ukrytym zakamarku i miało wszystkie cechy potrzeby fizycznej — jak ochota na sól, na colę, heroinę, papierosa czy kawę. Mózgowie podpowiadało jej logikę; druga tajemnicza część gadała bez ładu i składu, nakazując jej: *Kop, Bobbi, to nic złego, kop dalej, cholera, czemu miałabyś nie pokopać jeszcze trochę, wiesz, że chcesz wiedzieć, co to jest, więc kop, aż sama się przekonasz, kop, kop, kop...*

Zdołała świadomie wyłączyć ten głos, lecz już po piętnastu minutach zorientowała się, że znów go słucha niczym wyroczeni delfickiej.

Musisz komuś powiedzieć, co znalazłaś.

Komu? Policji? Nie ma mowy. Albo...

Albo komu?

Była w ogrodzie i pielila jak szalona... jak gdyby była ćpunem na głodzie.

...albo komuś, kto ma władzę — dokończyła w myśli.

Z prawej strony mózgu, tak jak się spodziewała, dobiegł ją sarkastyczny śmiech Anne... ale nie z taką siłą, jak się obawiała. Jak wielu przedstawicieli swojego pokolenia Anderson niespecjalnie wierzyła w skuteczność metody „niech władze się tym zajmą”. Nieufność wobec metod, jakimi władze zajmowały się pewnym rzeczami, obudziła się w niej jeszcze w Utice, gdy Anderson miała trzynaście lat. Siedziała w salonie na kanapie między Anne a matką. Jadła hamburgera, przyglądając się, jak policja z Dallas eskortuje przez podziemny parking Lee Harveya Oswalda. Było tam mnóstwo policjantów z Dallas — tyłu, że gdy spiker oznajmił widzom w całym kraju, iż ktoś zastrzelił Oswalda, wszyscy ci policjanci ludzie przy władzy — nie mieli zielonego pojęcia, że coś się stało, nie mówiąc o tym, co to mogło być.

Policja z Dallas tak dobrze chroniła Johna F. Kennedyego i Lee Harveya Oswalda, że to pewnie jej powierzono zadanie przywrócenia spokoju podczas zamieszek na tle rasowym, które wybuchły dwa lata później, a potem wysłano ją na wojnę do Wietnamu. Wkrótce pojawiły się kolejne misje: embargo naftowe dziesięć lat po zamachu na Kennedy'ego i negocjacje w sprawie uwolnienia amerykańskich zakładników z ambasady w Teheranie — gdy stało się jasne, że Arabowie nie zamierzają usłuchać głosu rozsądku i autorytetu, Jimmy Carter wysłał tym biedakom na ratunek policję z Dallas. Przecież na władze, które poradziły sobie z demonstracją na Uniwersytecie Kent State z takim opanowaniem i pewnością siebie, zawsze można liczyć i kto jak kto, ale goście, którzy co tydzień dokonują rzeczy niemożliwych, staną na wysokości zadania. Wprawdzie pocziwa policja z Dallas miała odrobinę pecha, ale ogólnie rzecz biorąc, zdołała opanować sytuację. Trzeba było tylko patrzeć i podziwiać, jak cholernie uporządkowany stał się świat w ciągu lat, jakie upłynęły od dnia, w którym facet w pasiastej koszulce, o przerzedzonych włosach ułożonych za pomocą płynu Vitalis i z tłuszczem z kurczaka za paznokciami rozwalił głowę prezydenta siedzącego na tylnej kanapie lincolna, który toczył się ulicą teksańskiego miasta.

Powiem Jimowi Gardenerowi. Kiedy wróci. Gard będzie wiedział, co robić, jak się do tego zabrać. W każdym razie będzie miał jakiś pomysł.

Głos Anne: *Chcesz prosić o radę stuprocentowego pomyłeńca. Brawo.*

Nie jest pomyłeńcem. Może trochę dziwakiem.

Faktycznie, w czasie ostatniej demonstracji w Seabrook aresztowano go z naładowaną czterdziestkąpiątką w plecaku. Rzeczywiście objaw dziwactwa.

Zamknij się, Anne.

Pielila dalej. Spędziła nad grządkami cały ranek w palącym słońcu. Koszulka lepiała się jej do pleców, a kapelusz, którym zwykle chroniła się przed słońcem, nałożyła zeszlórocznemu strachowi na wróble.

Po lunchu postanowiła uciąć sobie drzemkę, lecz nie mogła zasnąć. Myśli wciąż kłębiły się jej w głowie, a obcy głos nie chciał zamilknąć. *Kop, Bobbi, to nic złego, kop...*

W końcu wstała, chwyciła łom, szpadel i łopatę, po czym ruszyła do lasu. Na końcu swojego pola przystanęła, marszcząc w głębokim namyśle czoło, i wróciła po oskard. Peter stał na werandzie. Spojrzał na nią przelotnie, ale nie zrobił żadnego ruchu, by iść z Anderson. Wcale się nie zdziwiła.

3

I tak mniej więcej po dwudziestu minutach stanęła nad tym czymś, patrząc w dół z boczna na rów, który zdołała wykopać, odsłaniając, jak sądziła, drobny fragment pozaziemskiego statku kosmicznego. Szary kadłub był twardy i namacalny jak klucz czy śrubokręt, przecząc marzeniom, przypuszczeniom i fantazjom. Ziemia, którą usypała po obu stronach rowu, wilgotna, czarna i pełna leśnych tajemnic, po wczorajszym deszczu stała się ciemnobrazowa i mokra.

Gdy Anderson schodziła po zboczu, coś zachrząściło jej pod stopą jak gazeta. Nie była to jednak gazeta, tylko martwy wróbel. Dwadzieścia stóp niżej leżała martwa wrona z komicznie wyciągniętymi w górę nogami jak padły ptak z kreskówki. Anderson przystanęła, rozejrzała się i spostrzegła ciała jeszcze trzech ptaków — następnej wrony, sójki i pirangi szkarłatnej. Brakowało widocznych przyczyn śmierci. Po prostu martwe. I nad żadnym nie unosiły się muchy.

Doszła do rowu i rzuciła narzędzia obok jego brzegu. Weszła do środka, mimo że buty grzęzły jej w kleistym błocku.

Pochyliła się i ujrzała szary gładki metal niknący w ziemi, obok którego zrobiła się kałuża.

Czym jesteś?

Położyła na tym dłoń. Wibracja przeszła jej skórę, przez chwilę przenikając na wskroś całe ciało. Zaraz jednak ustała.

Anderson odwróciła się, kładąc rękę na szpadlu i czując dotyk nagrzanego nieco w słońcu drewna. Miała niejasne wrażenie, że nie słyszy żadnych leśnych odgłosów... ani śpiewu ptaków, ani trzasku gałązek pod nogami zwierząt uciekających od woni człowieka. Wyraźniej czuła za to zapachy: torfu, igieł sosnowych, kory i soków drzew.

Wewnętrzny głos — dobiegający ze środka, nie z prawej półkuli mózgu, ale z samych korzeni umysłu — zaczął krzyczeć w przerażeniu.

Coś się dzieje, Bobbi, coś się naprawdę dzieje. Uciekaj od tych martwych świszczy, od tych martwych ptaków, proszę, Bobbi, proszę...

Jej dłoń zacisnęła się na trzonku szpadla, a Anderson zobaczyła to znowu tak dokładnie jak na swoim szkicu — szarą krawędź czegoś ogromnego w ziemi.

Znów zaczął się jej okres, ale nie było powodów do paniki; jeszcze przed wyjściem do ogrodu zabezpieczyła się podpaską. W rozmiarze maxi. W paczce miała jeszcze kilka, prawda? A może nawet kilkanaście?

Nie wiedziała, ale to nie miało znaczenia. Nie zaniepokoiła jej nawet świadomość, że w głębi duszy wiedziała, iż w końcu tu trafi, mimo że wcześniej usiłowała się mamić głupstwami o wolnej woli. Wypełnił ją jakiś świetlisty spokój. Martwe zwierzęta... okresy, które kończyły się, a potem znowu zaczynały... zjawiała się tu w pełnym rynsztunku, choć przedtem zapewniała się, że jeszcze nie podjęła decyzji... to były drobiazgi, najdrobniejsze z drobnych, bzdury do kwadratu. Pokopie przez jakiś czas, wygrzebie jeszcze trochę tego cholerstwa i zobaczy, czy znajdzie coś więcej niż gładką metalową powłokę. Bo wszystko...

— Wszystko w porządku — powiedziała w nienaturalnej ciszy Bobbi Anderson i zabrała się do kopania.

Gdy Bobbi Anderson cyrklem wykreślała gigantyczny kształt i próbowała objąć myślą niepojęte, czując odrętwienie mózgu wywołane krańcowym wyczerpaniem, Jim Gardener zajmował się jedyną pracą, jaką mógł w ostatnich czasach wykonywać. Tym razem pracował w Bostonie. Wieczór poetycki dwudziestego piątego czerwca odbywał się na Uniwersytecie Bostońskim. Poszło całkiem dobrze. Dwudziestego szóstego miał wolne. I tego właśnie dnia Gardener potknął się — choć „potknięcie” niestety nie oddawało w pełni tego, co się stało. Nie była to drobna wywrotka podczas przechadzki po lesie, gdy zahaczy się stopą o wystający korzeń. To był prawdziwy upadek, cholernie długi i bolesny upadek, jak gdyby Gard stoczył się po długich schodach, łamiąc kości, nie dostając żadnych zwrotów kosztów. Po schodach? Do diabła, jakby stoczył się z powierzchni ziemi.

Upadek zaczął się w pokoju hotelowym; zakończył na falochronie w Arcadia Beach w stanie New Hampshire osiem dni później.

Bobbi chciała kopać; Gard zbudził się dwudziestego szóstego rano i poczuł, że chce pić.

Wiedział, że nie istnieje nic takiego jak „częściowo trzeźwy alkoholik”. Albo się pije, albo nie. Teraz nie pił, czyli było dobrze, ale zawsze zdarzały mu się dłuższe okresy, gdy nawet nie myślał o chlaniu. Czasem całe miesiące. Raz na jakiś czas wpadał na spotkania (kiedy Gard przez dwa tygodnie nie pojawiał się na spotkaniu AA, czuł się nieswojo — jakby rozsypał sól i nie rzucił szczypty przez ramię), wstawał i mówił: „Cześć, mam na imię Jim i jestem alkoholikiem”. Gdy jednak nie odczuwał chęci picia, zdawało mu się, jakby to wszystko było nieprawdą. Podczas tych okresów nie zachowywał abstynencji; mógł pić i pił — co było przeciwieństwem chlania. Parę koktajli kolo piątej, jeżeli akurat był na przyjęciu czy kolacji dla kadry uniwersyteckiej. Nic więcej. Mógł też zadzwonić do Bobbi Anderson i zapytać, czy nie chciałaby wyskoczyć na parę piw. Nie było sprawy.

Potem nadchodził ranek taki jak ten, gdy Gard budził się, czując ochotę na całą wódę tego świata. Było to autentyczne pragnienie fizyczne — przywodziło mu na myśl dawne rysunki Virgila Partcha z „Saturday Evening Post”, na których jakiś ekscentryczny wędrowiec pełźnie po pustyni z wywieszonym językiem, szukając oazy.

Gdy nachodziła go ta ochota, mógł ją tylko zwalczyć trzymać na dystans, próbować chociażby grać na remis. Czasem lepiej było spędzić ten czas w takim miejscu jak Boston, bo co wieczór mógł iść na spotkanie — albo co cztery godziny, jeśli było trzeba. Po trzech czy czterech dniach pragnienie mijało.

Zazwyczaj.

Jim sądził, że może je po prostu przeczekać. Zostanie w pokoju, będzie oglądał filmy w kablówce, dopisując do rachunku obsługę do pokoju. Osiem lat, jakie upłynęły od rozvodu i zerwania z college'em, spędził jako poeta etatowy... co oznaczało, że stał się członkiem dziwnego kręgu społecznego, w którym barter zwykle był ważniejszy niż pieniądze.

Wymieniał wiersze na jedzenie: pewnego razu za urodzinowy sonet dla żony farmera dostał trzy torby młodych ziemniaków. „Lepiej, żeby się kurna rymowało — powiedział farmer, utkwivszy w Gardenerze ciężkie spojrzenie. — Prawdziwe wiersze się rymują”.

Gardener, który pojął aluzję (zwłaszcza gdy chodziło o jego żołądek), ułożył sonet pełen żywiołowych męskich rymów i czytając ostateczną wersję, wybuchnął gromkim śmiechem. Zadzwonił do Bobbi, przeczytał jej wiersz i oboje zaczęli ryczeć. Czytany na głos brzmiał jeszcze lepiej, niemal jak list miłosny od Dr. Seussa. Nie potrzebował jednak zdania Bobbi, aby wiedzieć, że mimo wszystko był to uczciwy kawałek roboty, jaskrawej, lecz pozbawionej protekcjonalnego tonu.

Innym razem mała oficyna z West Minot zgodziła się wydać tomik jego wierszy (stało się to na początku roku 1983 i jak się miało później okazać, był to ostatni tomik wierszy opublikowany przez Gardenera), jako zaliczkę proponując mu pół saga drewna. Gardener przystał na tę ofertę.

— Powinieneś zażądać trzech czwartych saga — powiedziała mu Bobbi wieczorem, gdy siedzieli przed piecem, opierając stopy o metalową osłonę i paląc papierosy, podczas gdy za oknem świstał wiatr, nawiewając świeży śnieg na pola i gałęzie drzew. — To dobre wiersze. Poza tym sporo ich.

— Wiem — odparł Gardener — ale było mi zimno. Pół saga wystarczy mi do wiosny. — Puścił do niej oko. — Zresztą facet jest z Connecticut. Chyba nawet nie wiedział, że to prawie sam jesion.

Spuściła stopy na ziemię i spojrzała na niego.

— Serio?

— No.

Zaczęła chichotać, a on pocałował ją mocno i zabrał do łóżka, a potem spali jak łyżeczki. Przypomnił sobie, jak zbudził się w nocy, nasłuchując wiatru, myśląc o szalejącym w mroku chłodzie i łóżku wypełnionym spokojem i ciepłem pulsującym pod dwiema kołdrami. Chciał, żeby tak było zawsze — ale nic nie trwa zawsze. Wychowano go w przekonaniu, że Bóg jest miłością, lecz należało się zastanowić nad uczuciami Boga, który stwarzając mężczyzn i kobiety, obdarzył ich sprytem pozwalającym im wylądować na Księżycu i jednocześnie głupotą, przez którą przestali wierzyć, że istnieje coś niezmiennego i na zawsze.

Następnego dnia Bobbi znów zaproponowała mu pieniądze, a Gardener ponownie odmówił. Nie miał forsy jak lodu, ale jakoś sobie radził. Nie potrafił jednak zdusić w sobie iskry złości, mimo rzeczowego tonu, jakim Bobbi złożyła propozycję.

— Nie wiesz, kto zwykle dostaje pieniądze po nocy w łóżku? — zapytał.

Wysunęła podbródek.

— Chcesz mnie nazwać dziwką?

Uśmiechnął się.

— Potrzebujesz alfonsa? Podobno z tego może być niezła kasa.

— Chcesz śniadanie, Gard, czy chcesz mnie wkurzyć?

— Może i jedno, i drugie?

— Nie — odrzekła i zobaczył, że jest naprawdę wściekła. Boże, coraz gorzej się czuł, widząc coś takiego, kiedyś było o wiele łatwiej. Objął ją. Tylko żartowałem, czy ona tego nie widzi, pomyślał. Zawsze umiała się zorientować, kiedy żartuję. Ale oczywiście nie zorientowała się, bo nie żartował. Jeśli wydawało mu się, że jest inaczej, mógł żartować tylko z samego siebie. Próbował ją zranić dlatego, że wprawiła go w zakłopotanie. To nie jej propozycja była głupia, lecz jego zakłopotanie. Przecież mniej więcej zdecydował, jak ma wyglądać jego życie, prawda?

Nie chciał ranić Bobbi, nie chciał jej do siebie zrazić. Łóżko było świetne, ale łóżko wcale nie było takie ważne. Ważne było to, że Bobbi Anderson jest jego przyjaciółką, a zdawało się, że ostatnio dzieje się coś strasznego. Bardzo szybko tracił przyjaciół. To było naprawdę straszne, bez dwóch zdań.

Tracił przyjaciół? A może sam ich gubił? Jak to właściwie jest, Gard?

Obejmując ją, z początku miał wrażenie, jakby obejmował deskę do prasowania i bał się, że Bobbi będzie się próbowała wyrwać, a on popełni błąd, starając się jej nie wypuścić. W końcu jednak uległa.

— Chcę śniadanie — rzekł. — I chcę cię przeprosić.

— Nic się nie stało — powiedziała i odwróciła się, zanim zdążył spojrzeć jej w twarz, lecz w jej głosie dało się słyszeć sztuczne ożywienie oznaczające, że albo już płakała, albo była

bardzo bliska łoż. — Ciągle zapominam, że proponowanie pieniędzy jankesom z Nowej Anglii nie należy do dobrego tonu.

Gard nie wiedział, czy to jest w dobrym tonie, czy nie, ale nie chciał brać od Bobbi pieniędzy. Ani wcześniej, ani nigdy w przyszłości.

Karawana Poezji Nowej Anglii była jednak zupełnie inną sprawą.

„Łap tę kurę, chłopie — powiedziałyby Ron Cummings, któremu forsa była potrzebna jak piasek pustyni. — Jest za wolna, żeby biegać, i za tłusta, żebyś jej mógł przepuścić”.

Karawana Poezji Nowej Anglii płaciła gotówką. Oficjalna waluta królestwa poezji — dwieście z góry i dwieście po zakończeniu trasy. Można by rzec, że słowo to było bardzo namacalne. Ale żywa gotówka była tylko częścią umowy.

Reszta zamykała się w haśle „rachunek”.

W trasie można było skorzystać z każdej okazji. Zamawiało się posiłki do pokoju, chodziło do fryzjera hotelowego, jeśli taki był, brało się drugą parę butów (jeśli się ją miało) i jednego dnia wieczorem wystawiało za drzwi zamiast tych codziennych, żeby i te drugie mieć wyczyszczone na błysk.

W pokojach wyświetlano też filmy, których nigdy nie można było zobaczyć w kinach, ponieważ kina upierały się, by brać pieniądze mniej więcej za to samo, co poeci, nawet bardzo dobrzy, mieli z jakichś powodów produkować za darmo albo prawie za darmo — na przykład trzy torby kartofli = jeden (1) sonet. Za oglądane w pokoju filmy trzeba było oczywiście płacić, ale co z tego? Nie trzeba ich było nawet dopisywać do rachunku; jakiś komputer robił to automatycznie i Gardener mógł tylko powiedzieć „Wielkie dzięki, rachunku nie trzeba, dawajcie to cholerstwo!”. Oglądał dosłownie wszystko, od „Emmanuelle w Nowym Jorku” (której fragment, gdy dziewczyna trzepie facetowi kapucyna pod stolikiem w restauracji „Okna na świat”, uznał za scenę o szczególnych walorach artystycznych, wręcz podnoszącą na duchu — w każdym razie na pewno podnoszącą fragment Gardenera) po „Indianę Jonesa i świątynię zagłady” oraz „Rainbow Brite i złodziejkę gwiazd”.

I to właśnie będą teraz robił, pomyślał, pocierając gardło i myśląc o smaku dobrej starej whisky. Nic innego. Będę tu siedział i oglądał je jeszcze raz od początku, nawet „Rainbow Brite”. Na lunch zamówię trzy cheeseburgery z bekonem i zjem jedno koło trzeciej, kiedy będzie już zupełnie zimny. Może jednak daruję sobie „Rainbow Brite” i zdrzemnę się. Nie będę wieczorem nigdzie wychodził. Wcześniej się położę. Przetrzymam na dystans.

Bobbi Anderson potknęła się o trzycalowy jęzor metalu wystający z ziemi.

Jim Gardener potknął się o Rona Cummingsa.

Różne powody, skutek ten sam.

Kamyczek wywołał lawinę.

Ron wpadł do niego mniej więcej w tej samej chwili, gdy dwieście dziesięć mil stąd Anderson i Peter wracali do domu ze swej niezbyt normalnej wizyty u weterynarza. Cummings zaproponował, żeby zeszli do baru hotelowego na kolejkę albo i dziesięć.

— Możemy też darować sobie grę wstępną — ciągnął wesoło Ron — i od razu nawalić się jak autobusy.

Gdyby sformułował to nieco łagodniej, może Gardowi nic by się nie stało. Ale tak znalazł się z Ronem Cummingsiem w barze i ochoczo unosił do ust szklaneczkę jacka danielsa, powtarzając sobie starą śpiewkę o tym, że zawsze potrafi z tym skończyć, jeśli naprawdę będzie chciał.

Ron Cummings był dobrym, poważnym poetą i tak się akurat złożyło, że dosłownie srał pieniędzmi... tak w każdym razie często powtarzał. „Sam jestem swoim Cosimo de' Medici — mawiał. — Dosłownie sram pieniędzmi”. Jego rodzina mniej więcej od dziewięciuset lat pracowała w branży tekstylnej i należała do niej większa część południowego New Hampshire. Uważali Rona za wariata, ale ponieważ był młodszym z synów, a starszy nie był wariatem (to znaczy, nie wykazywał obojętności dla tekstyliów), pozwolili Ronowi robić to,

na co miał ochotę, czyli pisać wiersze, czytać wiersze i prawie ciągle pić. Cummings był chudym młodzieńcem o twarzy gruźlika. Gardener nigdy nie widział, by jadł coś innego poza orzeszkami i krakersami Goldfish. Na jego wątpliwe usprawiedliwienie przemawiał fakt, że nie miał pojęcia o kłopotach Gardenera z wodą... ani o tym, że kiedyś omal nie zabił po pijanemu żony.

— Dobra — rzekł Gardener. — Wchodzę w to. Nawalamy się jak autobusy.

Po kilku szybkich w barze hotelowym Ron uznał, że tacy szykowni goście jak oni mogą znaleźć miejsce, które zaoferuje odrobinę lepszą rozrywkę niż muzyka z puszki sącząca się z górnych głośników.

— Sądzę, że moje serce to wytrzyma — powiedział Ron. Nie jestem pewien, ale...

— ...Bóg nienawidzi tchórzy — dokończył Gardener.

Ron zarechotał, walnął go w plecy i zawołał o rachunek. Złożył na nim zamaszty podpis, sięgnął do portfela i dorzucił sowity napiwek.

— No to tango, stary.

I wyszli.

Promienie popołudniowego słońca zakłuły Gardenera w oczy jak szklane włócznie i nagle przyszło mu do głowy, że chyba to był jednak zły pomysł.

— Słuchaj, Ron — powiedział — może ja...

Cummings klepnął go w ramię. Jego dotychczas blade policzki pokraśniały, a wodniście niebieskie oczy rozbłysły (Gardowi Cummings przypominał teraz Ropucha w chwilę po otrzymaniu samochodu).

— Nie wciskaj mi kitu, Jim! — odrzekł przymilnym tonem.

— Boston leży u naszych stóp, tak nowy i rozmaity, lśniący niczym świeży skutek pierwszego mokrego snu młodzieńca...

Gardener wybuchnął bezradnym śmiechem.

— Oto i Gardener, jakiego wszyscy poznaliśmy i pokochaliśmy — rzekł Ron, zanosząc się rechotem.

— Bóg nienawidzi tchórzy — powiedział Gard. — Złap taksówkę, Ronnie.

Wtedy to zobaczył: lej na niebie. Wielki i czarny i coraz bliższy. Za chwilę miał opaść na ziemię i porwać go gdzieś daleko.

Ale nie do Krainy Oz.

Taksówka zatrzymała się przy krawężniku. Wsiedli. Taksówkarz zapytał, dokąd chcą jechać.

— Do Krainy Oz — mruknął Gardener.

Ron zarechotał.

— Chciał powiedzieć, że tam, gdzie szybciej piją i szybciej tańczą. Poradzisz pan sobie z tym?

— Och, chyba tak — powiedział szofer i ruszył.

Gardener otoczył ramieniem Rona i wykrzyknął:

— Niech się zacznie zabawa!

— Wypiję za to — odrzekł Ron.

2

Gardener obudził się nazajutrz rano kompletnie ubrany w wannie pełnej zimnej wody. Jego najlepsze rzeczy — które na nieszczęście miał na sobie w chwili, gdy razem z Ronem Cummingssem wyruszyli w rejs — wolno przyklejały mu się do skóry. Spojrzał na swoje palce i zobaczył, że są bardzo białe i pomarszczone. Paluszki rybne. Widocznie leżał tu od jakiegoś czasu. Być może nawet woda była gorąca, gdy wchodził do wanny. Nie pamiętał.

Otworzył odpływ wanny. Ujrzał stojącą na sedesie butelkę burbona. Była do połowy pełna i umazana jakimś tłuszczem. Wziął butelkę do ręki. Tłuszcz miał zapach jakby smażonego kurczaka. Gardenera bardziej interesował aromat, jaki wydzielala zawartość butelki. Nie rób tego, pomyślał, ale zanim jeszcze zdążył dokończyć myśl, szklana szyjka zadzwoniła mu o zęby. Napił się. I znów urwał mu się film.

Kiedy się ocknął, stał nago w sypialni ze słuchawką telefonu przy uchu i niejasnym wrażeniem, że właśnie wykręcił czyjś numer. Czyj? Nie miał pojęcia, dopóki po drugiej stronie nie odezwał się Cummings. Jego głos świadczył, że jest z nim jeszcze gorzej niż z Gardenerem. Gardener mógłby przysiąc, że to niemożliwe.

— Bardzo było źle? — Usłyszał swój głos Gardener. Zawsze tak się kończyło, gdy wpadał w wir cyklonu; nawet jeśli był przytomny, wszystko robiło się zamazane i ziarniste jak na kiepskim zdjęciu w gazecie, a on miał wrażenie, jakby do końca nie mieścił się w sobie. Najczęściej zdawało mu się, że unosi się nad własną głową jak srebrzysty dziecięcy balonik. Wpakowaliśmy się w duże kłopoty?

— Kłopoty? — powtórzył Cummings, po czym zamilkł.

Gardenerowi zdawało się, że się zastanawia. Miał nadzieję, że Cummings się zastanawia. A może bał się samej myśli. Czekał, czując, że ma bardzo zimne ręce. — Nie było żadnych kłopotów — powiedział wreszcie Cummings i Gardener poczuł nieznaczną ulgę. — Jeśli nie liczysz kłopotu z moją głową. Jeezuu, z głową mam straszliwy kłopot.

— Jesteś pewien? Na pewno nic nie było?

Myślał o Norze.

Strzeliłeś do żony — odezwał się nagle głos w jego głowie; głos zastępcy szeryfa, który czytał komiks. — *Nieźle, kurwa, co?*

— Noo... — rzekł z namysłem Cummings i urwał.

Dłoń Gardenera znów zacisnęła się mocno na słuchawce.

— Co: no? — Nagle światła w pokoju wydały mu się za jasne. Tak jak wczorajszy blask słońca, gdy późnym popołudniem wyszli z hotelu.

Coś zrobiłeś. Znowu urwał ci się pieprzony film i zrobiłeś coś głupiego. Albo szalonego. Albo okropnego. Kiedy się wreszcie nauczysz, żeby się trzymać od tego z daleka? A w ogóle potrafisz się tego nauczyć?

W głowie ni stąd, ni zowąd zadźwięczał mu dialog ze starego filmu.

Zły El Commandante: Jutro przed świtem będziesz martwy, *señor!* Ostatni raz oglądałeś słońce!

Dzielny *Americano*: Tak, za to ty do końca życia będziesz łysy.

— Co to było? — spytał Rona. — Co zrobiłem?

— Wdałeś się w dyskusję z paroma ludźmi w lokalu „Grill-Bar Stone Country” — rzekł Cummings. Parsknął krótkim śmiechem. — Chryste, kiedy tak cię boli, że nie możesz się śmiać, to znak, że zrobiłeś sobie naprawdę dobrze. James, skarbie, pamiętasz „Grill-Bar Stone Country” i tych pocziwych chłopaków?

Zaprzeczył. Z ogromnym wysiłkiem przypomniał sobie jakąś knajpę o nazwie „Smith Brothers”. Słońce właśnie chyliło się ku zachodowi, tonąc w krwawej łunie, skoro więc kończył się czerwiec, mogła być... która? Wpół do dziewiątej? Za kwadrans dziewiąta? Czyli mniej więcej pięć godzin po tym, jak razem z Ronem wyruszyli z hotelu. Przypomniał sobie, że tabliczka przed wejściem przypominała braci znanych z opakowań pastylek na kaszel. Przypomniał sobie, jak kłócił się z Cummingsiem o Wallace’a Stevensa, przekrzykując łomot szafy grającej, z której leciała jakaś piosenka Johna Fogerty’ego. Dalej jego poszarpana pamięć nie zdołała już sięgnąć.

— Nad barem była naklejka WAYLON JENNINGS NA PREZYDENTA — dodał Cummings. — No i coś drgnęło w mózgownicy?

— Nie — odrzekł żałośnie Gardener.

— No więc wdałeś się w dyskusję z paroma pocziwymi chłopakami. Doszło do wymiany słów. Bardzo ożywionej, potem wręcz gorącej. Następnie w ruch poszły pięści.

— Moje? — Głos Gardenera brzmiał głucho.

— Twoje — przytaknął wesoło Cummings. — I w tym momencie lekko wzbiliśmy się w powietrze, lądując na chodniku. Prawdę mówiąc, uważam, że wywinęliśmy się dość gładko. Wkurzyłeś ich tak, że goście mieli pianę na ustach, Jim.

— Chodziło o Seabrook czy Czarnobyl?

— Niech cię szlag, pamiętasz!

— Gdybym pamiętał, nie pytałbym cię, o co chodziło.

— Właściwie o jedno i drugie. — Cummings zawahał się. Dobrze się czujesz, Gard? Mam wrażenie, jakbyś był w dołku.

Doprawdy? Otóż wręcz przeciwnie, Ron. Uniosło mnie nad ziemię. Cyklon porwał mnie w górę, obraca mnie w kółko i w kółko, a gdzie i kiedy to się skończy — tego nie wie nikt.

— Nic mi nie jest.

— To dobrze. Można mieć nadzieję, że wiesz, komu powinieneś za to dziękować.

— Może tobie?

— Nie inaczej. Stary, wylądowałem na tym chodniku jak dzieciak, który pierwszy raz zjechał ze zjeżdżalni. Nie potrafię zobaczyć w lustrze własnego tyłka i tak chyba lepiej. Założę się, że wygląda jak odblaskowy plakat Grateful Dead z sześćdziesiątego dziewiątego. A ty chciałeś wracać i pogadać o dzieciach z okolic Czarnobyła, które za pięć lat umrą na białaczkę. Chciałeś pogadać o tym, jak jacyś goście o mało nie wysadzili w powietrze Arkansas, szukając ze świeczką awarii w instalacji elektrowni jądrowej. Mówiłeś, że zaproszyli ogień. Stawiam swój zegarek — prawdziwy rolex — że to byli Snopesowie z Missisipi. Udało mi się wsadzić cię do taksówki tylko dlatego, że obiecałem ci, że później wrócimy i spuścimy im manto. Uprosiłem cię, żebyś wszedł do pokoju i odkręciłem wodę. Powiedziałeś, że dobrze się czujesz. Mówiłeś, że weźmiesz kąpiel, a potem zadzwonisz do jakiegoś faceta o imieniu Bobby.

— Ten facet to dziewczyna — rzekł z roztargnieniem Gardener. Pocierał dłonią prawą skroń.

— Ładna?

— Niebrzydka. Choć może nie olśniewająca. — Przez głowę przebiegła mu nagle nonsensowna, choć niezwykle wyraźna myśl — *Bobbi ma kłopoty* — jak zbłąkana bila tocząca się po zielonym suknie stołu. Po chwili zniknęła.

3

Wolno podszedł do krzesła i usiadł, masując skronie. Jasne, znowu ten nuklearny syf. Cóż by innego? Jeśli nie chodziło o Czarnobyl, chodziło o Seabrook, jeżeli nie o Seabrook, to o Three Miles Island, a jeśli nie o Three Miles Island, to o Maine Yankee w Wiscasset albo o to, co mogło się stać w elektrowni Hanford w stanie Waszyngton, gdyby ktoś przypadkiem w ostatniej chwili nie zauważył, że zużyte pręty paliwowe składowane w niezabezpieczonym rowie zamierzają wylecieć w powietrze.

Ile może jeszcze być takich ostatnich chwil?

Wypalone pręty paliwowe składowane w wielkich gorących stosach. Uważali, że straszna jest klątwa Tutenchamona? Kurczę! Niech jakiś archeolog z dwudziestego piątego wieku wykopie porcję tego gówna! Próbujesz powiedzieć ludziom, że to wszystko kłamstwo, bezczelne łągarstwo, że energia jądrowa w końcu zabije miliony ludzi i wyjąłowi ogromne połacie ziemi, na których już nigdy nie będzie można zamieszkać. Napotykałeś jednak tylko obojętne spojrzenia. Mówiłeś do ludzi przeżywających rządy kolejnych administracji, których wybierani przez nich urzędnicy karmili kolejnymi kłamstwami, potem kłamali na temat tych

kłamstw, a gdy i te kłamstwa demaskowano, łgarze mówili: Boże, tak nam przykro, zapomnieliśmy i ponieważ zapomnieli, ludzie, którzy ich wybierali, zachowywali się jak chrześcijanie i przebaczeni. Nie mogłeś uwierzyć, że było aż tylu chętnych do wybaczenia, dopóki nie przypomniałeś sobie, co P.T. Barnum mówił o niezwykle wysokim wskaźniku urodzeń frajerów. Gdy próbowałeś powiedzieć im prawdę, patrzyli ci prosto w oczy i informowali cię, że wciskasz im cholerny kit, bo amerykański rząd nigdy nie kłamie, bo wielkość Ameryki zbudowano na wystrzeganiu się kłamstwa. *Ojczyźnie wyznaję prawdę szczerą, ja zrobiłem to siekierą, co ma się stać, niech wnet się stanie, nie będę milczał i nie skłamię.* Kiedy próbowałeś do nich mówić, patrzyli tak, jakbyś przemawiał w obcym języku. Minęło osiem lat od dnia, w którym niemal zabił swoją żonę, i trzy od wydarzeń w Seabrook, po których aresztowano jego i Bobbi — Bobbi pod ogólnym zarzutem udziału w nielegalnej demonstracji, Garda pod znacznie konkretniejszym: posiadania ukrytej broni ręcznej, na którą nie miał pozwolenia. Pozostali zapłacili grzywnę i wyszli. Gardener odsiedział dwa miesiące. Adwokat powiedział mu, że ma szczęście. Gardener spytał adwokata, czy wie, że siedzi i trzępie gruchę na bombie zegarowej. Adwokat zapytał go, czy nie myślał, aby skorzystać z pomocy psychiatry. Gardener spytał adwokata, czy nie myślał, aby się wypchać.

Miał jednak dość rozsądku, żeby więcej nie chodzić na demonstracje. W każdym razie tyle. Trzymał się od nich z daleka. Miały na niego trujący wpływ. Jednak kiedy się upił, jego umysł — przynajmniej to, co z niego zostało po wódzcie — obsesyjnie wracał do reaktorów, prętów rdzeniowych, obudów bezpieczeństwa, niemożności zwolnienia niekontrolowanego wzrostu mocy, kiedy już do niego dojdzie...

Innymi słowy, do całego nuklearnego gówna.

Gdy się upijał, serce zaczynało w nim szaleć. Nuklearny syf. Jasne, to tylko symbol, nie trzeba być Freudem, żeby dojść do wniosku, że naprawdę protestował przeciw reaktorowi we własnym sercu. Jeśli chodziło o kwestię ograniczeń, system bezpieczeństwa Jamesa Gardenera szwankował. Miał w środku technika, którego już dawno należało wyrzucić. Siedział i bawił się przełącznikami. Nie potrafił osiągnąć pełni szczęścia, jeśli Jima Gardenera nie opętał chiński syndrom.

Cholerny, pieprzony nuklearny syf.

Daj spokój.

Spróbował. Na początek zaczął myśleć o dzisiejszym wieczorze w Northeastern — wesołych igraszkach sponsorowanych przez grupę, która przybrała nazwę Przyjaciele Poezji.

Na jej dźwięk Gardenera przechodziły ciarki. Grupy o takich nazwach często składały się wyłącznie z kobiet, które mawiały o sobie „damy” (większość w wieku zdecydowanie balzakowskim). Damy z klubu często o wiele lepiej znały twórczość Rona McKuena niż Johna Berrymana, Harta Crane’a, Rona Cummingsa czy nawet pocziwego fana pijatyk, bijatyk i urwanych filmów, którego ulubioną rozrywką jest strzelanie do żony, Jamesa Erica Gardenera.

Uciekaj stąd, Gard. Mniejsza o Karawanę Poezji Nowej Anglii. Mniejsza o Northeastern, Przyjaciół Poezji i tę sukę McCardle. Uciekaj stąd jak najszybciej, zanim stanie się coś złego. Coś bardzo złego. Bo jeżeli zostaniesz, dojdzie do czegoś złego. Widać krew na księżycu.

Nie ucieknie jednak do Maine z podkulonym ogonem, choćby nie wiadomo co. Na pewno nie on.

Poza tym była jeszcze ta suka.

Nazywała się Patricia McCardle i była jedną ze światowej klasy najgorszych suk, jakie Gard w życiu spotkał.

Trzymała go w szachu umową, zgodnie z którą „do końca trasy nie ma kasy”.

— Jezu — powiedział Gardener i zasłonił ręką oczy, próbując powstrzymać nasilający się ból głowy, wiedząc, że pomoc może mu tylko jedno lekarstwo, wiedząc też, że właśnie przez to lekarstwo może się stać coś naprawdę złego.

Zdawał sobie jednak sprawę, że ta wiedza do niczego się nie przyda. Tak więc po chwili woda zaczęła płynąć, wciągając go w wir cyklonu.

Jim Gardener spadał w jego czeluść.

4

Patricia McCardle była najważniejszym twórcą Karawany Poezji Nowej Anglii i jej naczelnym szefem. Miała długie, lecz chude nogi i arystokratyczny nos, choć nieco za cienki i za ostry, by można go było uważać za atrakcyjny. Gard próbował sobie kiedyś wyobrazić pocałunek z Patricia i przeraził go obraz, jaki ujrzał w myślach: jej nos nie tylko wbijał się w jego policzek, ale rozciął go jak brzytwa. McCardle miała wysokie czoło, nieistniejące piersi i oczy szare jak lodowiec w pochmurny dzień. Znała swoją genealogię do pierwszych osadników z „Mayflower”.

Gardener pracował już kiedyś dla niej i kiedyś były już kłopoty. Do Karawany Poezji Nowej Anglii dołączył w dość makabrycznych okolicznościach... lecz powód jego nagłego pojawienia się wśród jej uczestników nie był niczym nadzwyczajnym w świecie poezji, tak samo jak w świecie jazzu i rock and rolla. W ostatniej chwili Patricii McCardle zrobiła się dziura w programie, ponieważ jeden z sześciu poetów, którzy zapisali się na ten wesoły letni objazd, powiesił się na pasku w szafie.

— Zupełnie jak Phil Ochs — powiedział Ron Cummings do Gardenera, gdy siedzieli z tyłu autobusu pierwszego dnia trasy. Mówił to z nerwowym chichotem uczniaka z ostatniej ławki. — Swoją drogą Bill Claughtsworth nigdy nie grzeszył oryginalnością.

Patricia McCardle załatwiła dwanaście terminów i całkiem niezłe zaliczki, a umowa po odarciu z górnolotnej retoryki sprowadzała się do wynajęcia sześciu poetów za cenę jednego. Po samobójstwie Claughtswortha miała trzy dni na znalezienie publikującego poety w sezonie, gdy większość publikujących poetów miała pełne kalendarze. („Albo wzięła wieczne wakacje jak głupi Billy Claughtsworth” — rzekł Cummings, śmiejąc się niepewnie).

Zapewne żadna albo prawie żadna z grup, które zamówiły wizytę Karawany, nie wzdragałaby się przed zapłatą ustalonego honorarium tylko dlatego, że brakowało jednego poety — byłoby to w bardzo złym guście, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę powód tego braku. Mimo wszystko Spółce Karawana groziło, że nie wywiąże się z umowy, przynajmniej pod względem formalnym, a Patricia McCardle nie należała do osób tolerujących jakiegokolwiek luki prawne.

Rozmawiała z czterema poetami, z których każdy był o klasę gorszy od poprzedniego, a gdy do pierwszego wieczoru pozostało zaledwie trzydzieści sześć godzin, zdecydowała się w końcu zadzwonić do Jima Gardenera.

— Ciągłe pijesz, Jimmy? — spytała bez ogródek. Jimmy — tej formy nie cierpiał. Większość ludzi mówiła mu Jim. Jim brzmiało w porządku. Nikt nie nazywał go Gard z wyjątkiem jego samego... i Bobbi Anderson.

— Trochę — odrzekł. — Ale z tęgim chłaniem skończyłem.

— Mam wątpliwości — rzekła chłodno.

— Zawsze miałaś, Patty — odparł, dobrze wiedząc, że nie cierpi tego bardziej niż on „Jimmy’ego” — jej purytańska krew buntowała się przeciw takiemu zdrobnieniu. — Pytasz, bo brakuje ci flaszki, czy masz jakiś pilniejszy powód?

Oczywiście wiedział, a ona oczywiście wiedziała, że on wie i oczywiście wiedziała, że on się uśmiecha, i oczywiście była wściekła, i oczywiście wszystko to bawiło go do rozpuku, i oczywiście wiedziała, że on też o tym wie — i bardzo mu się to podobało.

Jeszcze przez kilka minut wymieniali złośliwości, aż wreszcie postanowili wejść w układ, który nie był małżeństwem z rozsądku, lecz z konieczności. Gardener chciał przed najbliższą zimą kupić dobry używany piec opalany drewnem; zmęczyły go już bajzel, jaki przypominał

jego dom, i wieczory, które spędzał zwinięty w kłębek przed piecem kuchennym, słuchając łopoczącej na wietrze folii, która zabezpieczała okna; Patricia McCardle chciała kupić poetę. Porozumienia nie przypieczętowali jednak przyjaznym uściskiem dłoni. Patricia McCardle przyjechała z Derry jeszcze tego samego dnia po południu z umową (w trzech egzemplarzach) oraz w towarzystwie notariusza. Gard trochę się zdziwił, że nie przywiozła drugiego notariusza na wypadek, gdyby pierwszy cierpiał na chorobę wieńcową czy coś podobnego.

Pomijając uczucia i przeczucia, nie było sposobu, by opuścić trasę i zdobyć piecyk, bo gdyby opuścił trasę, nigdy nie zobaczyłby drugiej połowy honorarium. Patricia włóczyłaby go po sądach i wydała nawet tysiąc dolarów, żeby wydusić od niego trzy stowy, które Spółka Karawana zapłaciła z góry. Byłaby do tego zdolna. Wziął udział w prawie wszystkich wieczorach, lecz podpisana przez niego umowa określała rzecz wyraźnie, nie pozostawiając żadnych wątpliwości: gdyby zwiął „z powodów nieakceptowanych przez Koordynatora Tournee, wszystkie niezapłacone honoraria zostaną unieważnione, a wszystkie otrzymane wcześniej zaliczki honorarium należy zwrócić Spółce Karawana w ciągu trzydziestu (30) dni”.

I Patricia McCardle zaczęłaby go ścigać. Pewnie wydawałoby się jej, że robi to dla zasady, ale prawdziwym powodem byłby fakt, że gdy znalazła się w potrzebie, Gard powiedział do niej „Patty”.

Zresztą na tym by się nie skończyło. Gdyby uciekł, zaangażowałaby swój czas i energię, aby spotkał go powszechny ostracyzm. Z pewnością już nigdy nie mógłby czytać swoich wierszy na żadnym poetyckim tournee, z którym Patricia McCardle miałyby jakiś związek, czyli na bardzo wielu. Dochodziła jeszcze delikatna sprawa dotacji stypendiów. Mąż zostawił jej sporo pieniędzy (choć Gard nie sądził, że można o niej powiedzieć, jak mawiał Ron Cummings, że dosłownie sra pieniędzmi, ponieważ nie wierzył, by Patricia McCardle wykonywała tak wulgarne czynności, pewnie nawet się nie wypróżniała — gdy odczuwała potrzebę, prawdopodobnie dokonywała aktu niepokalanego wydalenia). Sporą część swojego majątku przeznaczyła na fundowanie wielu stypendiów. Dzięki temu została poważnym mecenasem sztuki i jednocześnie wyjątkowo sprytną kobietą interesu, która doskonale poradziła sobie z nieprzyjemnym problemem podatków: stypendia odpisywało się od dochodu. Część przyznawano poetom na określony czas. Część środków przeznaczano na nagrody pieniężne w dziedzinie poezji, a część na wsparcie finansowe czasopism poświęconych współczesnej poezji i prozie. Pieczę nad stypendiami sprawowały komisje, którymi sterowała Patricia McCardle, dbając o to, by były ze sobą tak doskonale powiązane jak kawałki chińskiej układanki... albo nici pajęczej sieci.

Mogła nie tylko odebrać mu te parszywe sześć stów, ale zrobić coś znacznie gorszego. Mogła mu nałożyć kaganiec. Tymczasem było możliwe — mało prawdopodobne, lecz możliwe — że Gard napisze jeszcze parę dobrych wierszy, zanim szaleniec, który wsadził lufę w tyłek świata, postanowi w końcu pociągnąć za spust.

Musisz to przetrwać, pomyślał. Zamówił do pokoju butelkę johnnie walkera (niech Bóg błogosławi rachunek na wieki wieków, amen) i nalewał sobie drugiego drinka ręką, która stała się wyjątkowo pewna. Musisz to przetrwać, nic więcej.

Jednak w miarę upływu dnia zaczynał coraz częściej się zastanawiać, czy wsiąść do autobusu Greyhounda na pętli przy Stuart Street i pięć godzin później wysiąść przed przykurzoną drogerią w Unity. Potem złapać stop do Troy. Zadzwoić do Bobbi Anderson i powiedzieć: „O mała nie porwał mnie cyklon, Bobbi, ale w ostatniej chwili znalazłem schron. Szczęście, nie?”.

Pieprzyć to. Sam decydujesz o swoim szczęściu. Jeżeli będziesz silny, Gard, będziesz miał szczęście. Musisz to przetrwać, nic więcej. Oto co masz zrobić.

Pogrzebał w torbie, szukając najlepszych rzeczy, jakie mu zostały, ponieważ galowy strój, w którym występował na wieczorach, okazał się nie do odratowania. W końcu cisnął na

narzute łóżka wyblakłe dzinsy, białą koszulę, parę wystrzępionych bokserek i parę skarpet (dziękuję pani, ale nie trzeba słać, spałem w wannie). Ubrał się, zjadł trochę dropsów Cert, wlał w siebie nieco wody, potem znów zjadł trochę certów, po czym znów zaczął grzebać w torbie, tym razem szukając aspiryny. Znalazł i wrzucił w siebie kilka pastylek. Spojrzał na butelkę. Odwrócił wzrok. Pulsujący ból głowy stawał się coraz bardziej nieznosny. Gard usiadł przy oknie, zajrzał do swoich notatników i starał się zdecydować, co przeczytać dziś wieczorem.

W okropnym świetle długiego popołudnia wszystkie jego wiersze wyglądały, jakby napisano je po fenicku. Zamiast wpłynąć łagodząco na ból głowy, aspiryna zdawała się jeszcze go potęgować. Bum, trach, łup, bach — dudniło mu w głowie z każdym uderzeniem serca. Był to ten sam znajomy ból, który niczym tępy stalowy świder wolno wwierał mu się w czaszkę tuż obok lewego oka i trochę nad nim. Opuszkami palców musnął ledwie widoczną bliznę. Stalowa płytką pod skórą była rezultatem wypadku na nartach, jaki przeżył w wieku kilkunastu lat. Przypomnił sobie, jak lekarz powiedział: „Od czasu do czasu może cię boleć głowa. Ale dziękuj Bogu, chłopcze, że w ogóle coś czujesz. Masz szczęście, że żyjesz”.

Ale kiedy nadchodziły dni takie jak ten, zaczynał się zastanawiać.

W takie dni mocno się nad tym zastanawiał.

Drżącą ręką odłożył notatniki i zamknął oczy.

Nie dam rady tego przetrwać.

Dasz.

Nie dam. Krew na księżycu. Czuję to, prawie widzę.

Przestań mi wciskać swoje prowincjonalne irlandzkie zabobony! Musisz być twardy, pieprzony mięczaku! Twardy!

— Spróbuję — mruknął, nie otwierając oczu, i piętnaście minut później, gdy z nosa zaczęła mu się sączyć krew, w ogóle tego nie zauważył. Zasnął na krześle.

5

Zawsze przed wieczorem poetyckim ogarniała go trema, nawet gdy publiczność nie była zbyt liczna (współczesnej poezji zwykle chciało słuchać niewiele osób). Dwudziestego siódmego czerwca tremę Jima Gardenera potęgował jeszcze ból głowy. Gdy ocknął się z drzemki na krześle w pokoju hotelowym, drzenie i mdłości ustąpiły, lecz głowa bolała go jeszcze bardziej: ból nigdy nie był tak potworny, zasłużyłby na tytuł Mistrz Łomotu i Dudnienia Klasy Światowej.

Kiedy wreszcie nadeszła jego kolej czytania wierszy, Gard usłyszał własny głos, jakby dobiegał z bardzo daleka. Czuł się, jak gdyby słuchał nagrania swojego głosu nadawanego na falach krótkich z Hiszpanii albo Portugalii. Potem ogarnęła go fala zawrotów głowy i przez kilka chwil mógł tylko udawać, że szuka wiersza, jakiegoś szczególnego wiersza, który gdzieś się na moment zapodział. Przerzucał papiery zdrętwiałymi, pozbawionymi czucia palcami, myśląc: Chyba zemdleję. Tu przed wszystkimi. Upadnę na mównicę i razem z nią zlecę na pierwszy rząd. Może wyląduję na tej arystokratycznej cipie i ją zabiję. Moje życie zyska w końcu cień sensu.

Musisz to przetrwać, odpowiedział mu nieustępliwy głos wewnętrzny. Czasami wydawał się należeć do jego ojca; częściej jednak przypisywał go Bobbi Anderson. *Musisz to przetrwać, nic więcej. Oto co masz zrobić.*

Publiczność była dziś liczniejsza niż zwykle. W ławki sali wykładowej Uniwersytetu Northeastern wcisnęło się może ze sto osób. Zdawało mu się, że wszyscy mają za duże oczy. *Babciu, ależ ty masz wielkie oczy!* Wyglądali, jak gdyby chcieli go pożreć oczami. Wyssać z niego duszę, jego *ka* czy jakkolwiek inaczej chciałby to nazwać. Przemknął mu przez myśl

fragment starej piosenki T. Rex: „Z miłości do ciebie jestem wampirem... i wszystko z ciebie wysse!”.

Oczywiście, T. Rex już nie było. Marc Bolan owinął swój sportowy wóz wokół drzewa i miał szczęście już nie żyć. Tak, Marc, *Get it on, Bang a Gong*... W 1986 roku twoją piosenkę nagra grupa Power Station i to będzie bardzo niedobre, to... to...

Uniósł do czoła drżącą dłoń, a przez publiczność przeszedł lekki szmer.

Lepiej bierz się do roboty, Gard. Tubylcy zaczynają się niecierpliwić.

Tak, to na pewno był głos Bobbi.

Jarzeniówki w prostokątnych kryształowych kloszach zdawały się pulsować w tym samym rytmie co ból rozsadzający jego głowę. Widział Patricię McCardle. Była ubrana w krótką czarną sukienkę, która z pewnością kosztowała najwyżej trzysta dolarów i ani centa więcej — kupiła ją chyba na wyprzedazy w którymś z tandetnych sklepików przy Newbury Street. Wąska i blada twarz Patricii wyrażała bezwzględność jej purytańskich przodków, wspaniałych, uwielbiających dobrze się bawić gości, którzy z największą radością wsadzali cię na kilka tygodni do cuchnącego więzienia, jeśli na twoje nieszczęście ktoś podejrzwał, że w świętą niedzielę wyszedłeś z domu bez chustki do nosa w kieszeni. Utkwiła w nim ciemne oczy jak dwa szare, ciężkie kamienie, a Gard pomyślał: Widzi, co się dzieje i cieszy się jak dziecko. Wystarczy popatrzeć. Czeka, żebym upadł. I kiedy polecę na twarz, wiesz, co pomyśli?

Oczywiście, że wiedział.

Masz za to, że nazwałeś mnie Patty, pijany sukinsynu. Właśnie tak sobie pomyśli. Masz za to, że nazwałeś mnie Patty, masz za wszystko, co zrobiłeś, żeby mnie upokorzyć, co ci się nie udało. No, dalej, Gardener. Może nawet pozwolę ci zatrzymać zaliczkę. Trzysta dolarów to wcale nie taka wysoka cena za nadzwyczajną przyjemność oglądania cię, jak się sypiesz na oczach tych wszystkich ludzi. No, dalej. Dalej, skończ już z tym wreszcie.

Niektórzy ze słuchaczy zaczęli zdradzać widoczne zaniepokojenie — przerwa między wierszami przedłużała się znacznie ponad pauzę, którą można uznać za normalną. Szmer przerodził się w przytłumiony gwar. Gardener usłyszał dobiegające zza swoich pleców chrząknięcie Rona Cummingsa.

Musisz być twardy! — wrzasnął znów głos Bobbi, ale zaczął powoli zanikać. Zanikał. Lada chwila umilknie na dobre.

Gard spojrział na twarze publiczności, lecz zobaczył tylko trupioblade gładkie kręgi, zera, wielkie białe dziury we wszechświecie.

Gwar narastał. Gard stał na podwyższeniu, kołysząc się zauważalnie, oblizując wargi i spoglądając na słuchaczy, jakby był odrętwiały z przerażenia. A potem nagle zamiast usłyszeć Bobbi, zobaczył ją. Wizja porażała wyrazistością.

Bobbi była w tym momencie w Haven. Ujrzał, jak siedzi w bujanym fotelu ubrana w szorty i krótką bluzkę z odsłoniętymi plecami, przykrywającą jej piersi, czyli niewiele. Na nogach miała sfatygowane mokasyny, a u jej stóp leżał zwinięty w kłębek Peter, pogrążony w głębokim śnie. Bobbi miała książkę, ale jej nie czytała. Trzymała ją otwartą na kolanach, okładką do góry (Gardener widział to tak dokładnie, że zdołał nawet odczytać tytuł książki — „Opiekunowie” Deana Koontza) i patrzyła przez okno w ciemność, snując myśli — myśli, które następowały po sobie rozsądnie i racjonalnie, tworząc uporządkowaną kolejkę. Logicznemu pociągowi nie groziło wykolejenie, spóźnienie dostawy ani zderzenie czołowe. Bobbi wiedziała, jak trzymać się torów.

Gardener stwierdził nawet, że wie, o czym Bobbi rozmyśla. O czymś w lesie. O czymś... o czymś, co znalazła w lesie. Tak. Bobbi była w Haven, zastanawiała się, co to może być i dlaczego czuje się taka zmęczona. Nie myślała o Jamesie Ericu Gardenerze, znanym poecie, który brał udział w protestach i strzelał do żony w Święto Dziękczynienia, a w tej chwili stał w sali wykładowej Uniwersytetu Northeastern w pełnym świetle oraz towarzystwie pięciu

innych poetów i jednego tłustego dupka nazwiskiem Arberg czy Arglebargle i był bliski omdlenia. W sali wykładowej stał magister katastrofy. Niech Bóg błogosławi Bobbi, która potrafi jakoś zebrać się do kupy, podczas gdy ludzie wokół niej wyglądali jak kupa nieszczęścia. Bobbi była w Haven i myślała tak, jak ludzie powinni myśleć...

Nie. Bobbi wcale tego nie robi.

Nagle po raz pierwszy dotarła do niego wyraźna myśl, pozbawiona dźwiękoszczelnej osłony; dotarła głośno, z prędkością pioruna kulistego w środku nocy: *Bobbi ma kłopoty! Bobbi ma wielkie kłopoty!*

Przekonanie to poraziło go jak cios sierpowy i nagle zawroty głowy ustąpiły jak ręką odjął. Gardener wrócił do siebie z tak gwałtownym wstrząsem, że niemal poczuł, jak zadzwoniły mu zęby. Głowę przeszyła mu okropna błyskawica bólu, lecz powitał go z radością — skoro czuł ból, to znaczy, że znów znalazł się tu i teraz, przestając unosić się gdzieś w warstwie ozonowej.

Przez chwilę ujrzał nowy zagadkowy obraz, który trwał bardzo krótko, był bardzo wyraźny i złowróżbny: zobaczył Bobbi w piwnicy domu, który odziedziczyła po wuju. Siedziała w kucki przed jakimś urządzeniem i coś przy nim robiła... ale czy naprawdę? W piwnicy było dość ciemno, a Bobbi nigdy nie miała smykałki do maszyn. Ale na pewno coś robiła, bo widać było widmowe błękitne płomyki przeskakujące między jej palcami, które majstrowały w płataninie kabli wewnątrz... wewnątrz... lecz było za ciemno, żeby zobaczyć, co to za cylindryczny kształt. Wydawał się znajomy, jakby Gardener już go wcześniej widział...

Potem do obrazu dołączył dźwięk, choć to, co usłyszał, jeszcze bardziej go zaniepokoiło niż upiorny błękitny płomień. To był Peter. Peter wył. Bobbi nie zwracała jednak na to uwagi, co było do niej zupełnie niepodobne. Dalej majstrowała przy drutach, chcąc je połączyć tak, żeby urządzenie robiło coś w ciemnej piwnicy wydzielającej woń korzeni...

Wizja rozwiała się wśród podniesionych głosów.

Twarze, które towarzyszyły głosom, nie były już białymi dziurami we wszechświecie, lecz twarzami prawdziwych ludzi: na niektórych (choć na niewielu) malowało się rozbawienie, na kilku innych zakłopotanie, ale większość wyrażała niepokój albo obawę. Innymi słowy, większość wyglądała tak, jak wyglądałby on sam, gdyby zamienił się miejscami z jednym z nich. Czy się ich bał? Bał się? Jeśli tak, to dlaczego?

Tylko twarz Patricii McCardle nie pasowała do reszty. Przyglądała mu się ze skrywaną, lecz wyraźnie widoczną satysfakcją, która do końca sprowadziła go na ziemię.

Nagle Gardener przemówił do publiczności, zdziwiony, jak naturalnie i miło brzmi jego głos:

— Przepraszam. Proszę mi wybaczyć. Mam tu garść nowych wierszy i obawiam się, że przeglądając je, przez chwilę bujałem w obłokach. — Pauza. Uśmiech. Zobaczył, jak z niektórych twarzy znika niepokój i pojawia się wyraz ulgi. Tu i ówdzie rozległ się śmiech, ale życzliwy. Gardener ujrzał za to, jak na policzki Patricii McCardle wypełza rumieniec gniewu. Nic nie mogło mu pomóc lepiej na ból głowy.

— Właściwie to niezupełnie prawda — ciągnął. — W istocie próbowałem podjąć decyzję, czy przeczytać państwu coś z tych nowych rzeczy. Po wścieklej wymianie ciosów między dwiema potężnymi przeciwniczkami, Dumą Autora i Roztropnością, większością głosów sędziów zwyciężyła Roztropność. Duma Autora przyrzekła, że odwoła się od tej decyzji...

Rozbrzmiało więcej wybuchów śmiechu, tym razem głośniejszego. Policzki poczciwej Patricii wyglądały jak widziane przez okienka drzwiczek wewnątrz jego pieca kuchennego w mroźny zimowy wieczór. Splotła dłonie tak mocno, że zbieleły jej kostki. Nie obnażyła zębów, ale niewiele brakowało, drodzy przyjaciele, niewiele brakowało.

— Tymczasem zamierzam wykonać karkołomny numer: przeczytam państwu dość długi wiersz z mojego pierwszego tomiku „Księga zaklęć”.

Mrugnął do Patricii McCardle, po czym żartobliwie zwierzył się słuchaczom:

— Lecz Bóg nienawidzi tchórzcy, prawda?

Ron parsknął śmiechem za jego plecami, a potem roześmiali się wszyscy i Gardener przez chwilę naprawdę zobaczył błysk białych zębów za tymi napiętymi z wściekłości wargami — kurczę, przecież właśnie o to ci chodziło, nie?

Uważaj na nią, Gard. Wydaje ci się, że rozłożyłeś ją na łopatki i być może rzeczywiście teraz tak jest, ale uważaj na nią. Nie zapomni ci tego.

Ani nie wybaczy.

Później będzie się tym martwił. Na razie otworzył sfatygowany egzemplarz swojego pierwszego tomiku wierszy. Nie musiał szukać „Leighton Street”; książka otworzyła się na nim sama. Jego wzrok odnalazł przypis: „Dla Bobbi, która pierwsza poczuła w Nowym Jorku zapach szaławii”.

„Leighton Street” powstał w roku, w którym poznał Bobbi, gdy nie potrafiła mówić o niczym innym poza Leighton Street. Była to, oczywiście, ulica w Utice, gdzie wychowała się Bobbi; ulica, z której musiała się wyrwać, zanim mogła zostać tym, kim chciała — prostą pisarką tworzącą proste historie. Mogła to zrobić; mogła to zrobić w mgnieniu oka i bez najmniejszych kłopotów. Gard domyślił się tego prawie od razu. Jeszcze tego samego roku odniósł wrażenie, że dziewczyna może być zdolna do czegoś więcej: mogła przewyciężyć naturalną i rozrzutną łatwość, z jaką pisała, i stworzyć dzieło jeśli nie wielkie, to na pewno wspaniałe. Ale najpierw musiała uciec od Leighton Street. Nie chodziło o ucieczkę z prawdziwej ulicy, lecz z Leighton Street, którą nosiła w sobie, z demonicznej krainy pełnej kamienic, w których straszyciło, od chorego ukochanego ojca, słabej i ukochanej matki oraz bezczelnej wiedźmy, swojej siostry, która gnębiła ich wszystkich jak demon o nieograniczonej władzy.

Pewnego razu, też tamtego roku, Bobbi zasnęła na zajęciach — były to ćwiczenia z pisania dla pierwszego roku. Gardener potraktował ją łagodnie, bo już wtedy był w niej trochę zakochany i dostrzegł jej mocno podkrążone oczy.

— Źle spałam dziś w nocy — powiedziała, gdy po zajęciach zatrzymał ją na chwilę w sali. Wciąż była na wpół pogrążona we śnie, bo inaczej nie powiedziałaby tego, co dodała na końcu; tak potężną władzę miała nad nią Anne i Leighton Street.

Lecz Bobbi przypominała osobę pod wpływem narkotyków, która zastygła, siedząc okrakiem na ciemnym kamiennym murze snu. — Prawie udało mi się zasnąć, kiedy ją usłyszałam.

— Kogo? — spytał łagodnie.

— Siostrunię... to znaczy, moją siostrę Anne. Zgrzyta zębami i to brzmi jak k...kko...

„Kości” chciała powiedzieć, ale nagle ocknęła się i dostała ataku historycznego szloch, który bardzo go przestraszył.

Anne.

Leighton Street to przede wszystkim była Anne.

Anne była

(stukają do drzwi)

kneblem potrzeb i ambicji Bobbi.

Dobra, pomyślał Gard. Dla ciebie, Bobbi. Tylko dla ciebie. I zaczął czytać „Leighton Street” tak płynnie, jakby przez całe popołudnie ćwiczył tekst w pokoju.

*Te ulice zaczynają się tam, gdzie bruk
przebija przez asfalt jak głowy dzieci
pogrzebanych w płytkich grobach.*

Gardener czytał.

*Co to za mit?
pytamy, ale
dzieci, które grają tu w palanta i
we „Wskocz na Konika”, wybuchają śmiechem.*

*Żaden mit — mówią nam — żaden mit,
to tylko — mówią — skurwielu
jest Leighton Street,
nic więcej tylko małe domy
nic tylko werandy, gdzie nasze matki
piorą zmywają sprzątają.*

*Gdzie w dzień przychodzi upał
i na Leighton Street słuchają radia
a pterodaktyle płyną między antenami
na dachu, a oni mówią — hej skurwielu — mówią
Hej skurwielu!*

*Żaden mit — mówią nam — żaden mit,
tu tylko — mówią — skurwielu
jest Leighton Street*

*Oto — mówią — jak masz być cicho w ciszy
dni. Skurwielu.*

*Gdy odwróciliśmy się plecami od tych dróg w głębi stanu,
magazynów z gładkiej cegły,*

*gdy mówisz „Och, dotarłam do kresu
tego, co znam, i wciąż słyszę ją jak zgrzyta,
zgrzyta w nocy...”*

Tak dawno nie czytał tego wiersza, nawet cicho, że teraz nie tylko go deklamował (czego, jak stwierdził, nie dało się uniknąć pod koniec trasy takiej jak ta); odkrywał wiersz na nowo. Większość słuchaczy uczestniczących w wieczorze na Uniwersytecie Northeastern — nawet ci, którzy byli świadkami jego obrzydliwego zakończenia — zgodnie uznali, że czytanie „Leighton Street” przez Gardenera było tego dnia najlepsze. Wielu twierdziło nawet, że było to najlepsze wykonanie wiersza, jakie w życiu słyszeli.

Ponieważ miało się okazać, że Jim Gardener po raz ostatni czytał publicznie swój wiersz, może to wcale nie był taki zły koniec.

6

Przeczytanie całego wiersza zajęło mu prawie dwadzieścia minut, a kiedy skończył, niepewnie spojrzął na widownię, która zmieniła się w głęboką studnię absolutnej ciszy. Zdążył pomyśleć, że może w ogóle nie czytał „Leighton Street” i że wszystko było cholerną halucynacją, jakiej doznał tuż przed omdleniem.

Potem ktoś wstał i zaczął klaskać, miarowo i mocno. Był to młody człowiek, na którego policzkach lśniły łzy. Dziewczyna obok niego także wstała i zaczęła klaskać — ona też płakała. Po chwili wszyscy stali i bili brawo, tak, zrobili mu pieprzoną owację na stojąco, a on

zobaczył coś, co chciałby ujrzeć każdy poeta lub niedoszły poeta, gdy skończy czytać swój wiersz: twarze ludzi przebudzonych ze snu piękniejszego od jakiegokolwiek rzeczywistości. Wyglądali na zupełnie oszołomionych, tak jak Bobbi tamtego dnia, niezbyt pewnych, gdzie są.

Gardener zobaczył, że nie wszyscy jednak stoją i biją brawo; Patricia McCardle sztywno i prosto siedziała na krześle w trzecim rzędzie, trzymając złączone dłonie na kolanach, gdzie spoczywała mała wieczorowa torebka. Usta miała zaciśnięte. Ani śladu błyskających zębów; jej usta zmieniły się w wąską bezkrwistą ranę. Mimo znużenia Gard poczuł rozbawienie. Według wyznawanej przez siebie prawdziwej purytańskiej etyki, Patty, ktoś, kogo uważa się za czarną owcę, nie powinien wznosić się ponad przyznany mu poziom mierności, zgadza się? Ale w twoim kontrakcie nie ma klauzuli na temat mierności, prawda?

— Dziękuję — bąknął do mikrofonu, drżącymi rękami układając książki i papiery w bezładną stertę, której omal nie upuścił na podłogę, odsuwając się od podwyższenia. Z głębokim westchnieniem opadł na krzesło obok Rona Cummingsa.

— Mój Boże — szepnął Ron Cummings, wciąż bijąc brawo. — Mój Boże!

— Przystań klaskać, bałwanie — odpowiedział mu szeptem Gardener.

— Za nic w świecie. Nie obchodzi mnie, kiedy to napisałeś, ale to było, kurwa, rewelacyjne — rzekł Cummings. — Postawię ci za to później drinka.

— Dzisiaj nie będę pił niczego mocniejszego od wody sodowej — odparł Gardener, wiedząc, że to kłamstwo. Wracał ból głowy, którego nie mogła uleczyć aspiryna ani percodan, ani żaden środek uspokajający. Bólu głowy nie mogło uśmierzyć nic z wyjątkiem porządnej dawki wody. Ona pomoże najszybciej.

Brawa zaczęły wreszcie cichnąć. Mina Patricii McCardle wyrażała przesyconą sarkazmem wdzięczność.

7

Tłusty dupek, który przedstawiał wszystkich poetów, nazywał się Arberg (choć Gardener wciąż miał ochotę nazywać go Arglebargle* i był profesorem na wydziale anglistyki, kierującym grupą sponsorów. Należał do rodzaju ludzi, których ojciec Garda nazywał „napakowanymi sukinsynami”).

Po wieczorze poetyckim napakowany sukinsyn urządził w swoim domu przyjęcie dla Karawany, Przyjaciół Poezji oraz większości kadry wydziału anglistyki. Rozpoczęło się około jedenastej wieczorem. Z początku było sztywno — ludzie stali w małych grupkach, trzymając kieliszki i kartonowe talerze i jak zwykle rozmawiając na bezpieczne akademickie tematy. Kiedy Gard uczył, uważał takie bzdety za idiotyczną stratę czasu. Nie zmienił zdania, lecz dziś przyjęcie wywoływało w nim także miłe wspomnienia — niepozbawione nutki melancholii.

Żyłka Imprezowego Potwora mówiła mu jednak, że mimo sztywności jest to impreza z perspektywami. Około północy etiudy Bacha niemal na pewno ustąpią miejsca Pretenders, a rozmowy o zajęciach, polityce i literaturze zastąpią o wiele ciekawsze treści — gra Red Soxów, kto na wydziale za dużo pije i ulubiony od zawsze temat, kto kogo posuwa.

W sali stał duży bufet, w którego stronę natychmiast ruszyli prawie wszyscy poeci, zachowując się zgodnie z Pierwszą Zasadą Trasy Poetów Gardenera: Jeśli coś jest gratis, korzystaj z tego. Gard zobaczył, jak Ann Delaney, która pisała oszczędne w słowach i zapadające w pamięć wiersze o wiejskiej i robotniczej Nowej Anglii, szeroko rozciągnęła szczęki i wpakowała między nie wielką kanapkę. Spomiędzy jej palców trysnął majonez o konsystencji i kolorze byczego nasienia, a Ann zlizwała go nonszalancko z dłoni. Puściła oko

* *Argle-bargle* lub *argy-bargy* — kłótnia, awantura (przyp. tłum.).

do Gardenera. Po jej lewej ręce stał zeszłoroczny laureat Nagrody Hawthorne'a przyznawanej przez Uniwersytet Bostoński (za długi poemat „Sny o przystani 1650–1980”) i z zawrotną szybkością napychał sobie usta zielonymi oliwkami. Jon Evard Symington, bo tak się nazywał, przestał na moment tylko po to, żeby napełnić krążkami serków Bonbel obie kieszenie sztruksowej marynarki (z połatanymi łokciami, rzecz jasna), po czym wrócił do oliwek.

Do Gardenera zbliżył się wolnym krokiem Ron Cummings. Jak zwykle nie jadł. Trzymał w ręku szklaneczkę Waterford pełną, jak się zdawało, czystej whisky. Wskazał głową bufet.

— Świetne żarcie. Jeśli jesteś koneserem kielbasek Kirschnera i sałaty lodowej, masz ubaw, przyjacielu, jak Errol Flynn w hotelu.

— Ten Arglebargle naprawdę zna się na rzeczy — powiedział Gardener.

Cummings, który właśnie pił, parsknął tak gwałtownie, że oczy prawie wyszły mu na wierzch.

— Jesteś dzisiaj w formie, Jim. Arglebargle. Jezu. — Spojrzał na szklanekę w dłoni Gardenera. Była tam wódka z tomkiem — słaba, ale za to już druga.

— Tonik? — spytał chytrze Cummings.

— No... przede wszystkim.

Cummings znów się zaśmiał i odszedł.

Zanim ktoś wyłączył Bacha i puścił płytę B. B. Kinga, Gard sączył już czwartego drinka — poprosił barmana, który był na wieczorze poetyckim, by tym razem bardziej skupił się na wódce. Zaczął powtarzać dwie uwagi, które wydawały mu się coraz dowcipniejsze, im bardziej stawał się pijany: pierwszą, że jeśli jesteś koneserem kielbasek Kirschnera i sałaty lodowej, masz ubaw, przyjacielu, jak Errol Flynn w hotelu, oraz drugą, że wszyscy docenci przypominają koty z wierszy T. S. Eliota przynajmniej pod jednym względem: wszyscy noszą sekretne imiona. Gardener zwierzał się, że intuicyjnie poznał imię gospodarza: Arglebargle. Wrócił po piątego drinka i powiedział barmanowi, żeby tylko machnął butelką toniku nad tym zacnym trunkiem. Barman pełnym powagi ruchem przechylił butelkę schweppesa nad szklaneczką wódki. Gardener roześmiał się, aż łzy stanęły mu w oczach i zabolął go żołądek. Naprawdę dobrze się dzisiaj czuł... a kto, panie i panowie, bardziej niż on na to zasłużył? Od lat nie przeczytał swojego wiersza tak dobrze, może nawet nigdy.

— Wiesz — powiedział do barmana, biednego magistranta zatrudnionego specjalnie na tę okazję — że wszyscy profesorowie uczelniani pod jednym względem przypominają koty z wierszy T. S. Eliota?

— Doprawdy, panie Gardener?

— Jim, po prostu Jim. — Z oczu chłopaka wyczytał jednak, że nigdy nie będzie dla niego po prostu Jimem. Student zobaczył dziś, jak Gardener wykrzesał z siebie płomień, a ludzi, którzy potrafią wykrzesać z siebie płomień, nigdy nie można nazywać tak pospolicie jak „po prostu Jim”.

— Owszem — rzekł do chłopaka. — Każdy nosi sekretne imię. Odgadłem imię naszego gospodarza. Brzmi ono Arglebargle. Jak odgłos, który wydajesz, płuczac gardło płynem Listerine. — Urwał, zamyślając się. — Którego, nawiasem mówiąc, mogliby częściej używać wspomniani panowie. Wybuchnął gromkim śmiechem. Świetny dodatek do głównej idei. Jak gustowna ozdoba maski świetnego samochodu, pomyślał i znów się roześmiał. Tym razem kilka osób przerwało na moment rozmowę, by odwrócić się w jego stronę.

Za głośno, pomyślał. Gard, skręć trochę głośność, stary. Wyszczrzył zęby w uśmiechu przekonany, że trafił mu się jeden z tych magicznych wieczorów — dziś nawet myśli miał zabawne.

Barman także się uśmiechał, lecz w jego uśmiechu kryła się troska.

— Powinien pan uważać, co pan mówi o profesorze Arbergu — powiedział — albo do kogo. Profesor jest... odrobinę szorstki w obejściu, jak niedźwiedź.

— Och, doprawdy! — Gardener wybałuszył oczy i energicznie poruszył brwiami w górę i w dół jak Groucho Mara. Fakt, ma odpowiednie warunki fizyczne. Napakowany sukinsyn, nie? — Mówiąc to pamiętał, żeby skrócić głośność.

— Taa — odrzekł barman. Rozejrzał się, w potem pochylił nad prowizorycznym barem w stronę Gardenera. — Krąży taka historia, że w zeszłym roku mijał pokój młodszych asystentów i usłyszał, jak jeden żartuje, że zawsze chciał trafić do szkoły, w której „Moby Dick” nie jest tylko nudną klasyką, ale żywym członkiem kadry naukowej. Podobno ten gość był jednym z najbardziej obiecujących studentów, jakich miał Northeastern, ale przed końcem semestru już go nie było... i wszystkich, którzy się wtedy śmiali. Zostali ci, którzy się nie śmiali.

— Jezus Maria — powiedział Gardener. Słyszał już nieraz takie historie — nawet parę gorszych — lecz mimo to poczuł niesmak. Podążając za spojrzeniem barmana, zobaczył Arglebargle’a stojącego przy bufecie, obok Patricii McCardle. Arglebargle trzymał w dłoni kufel z piwem i gestykulował nim. Drugą ręką zanurzał chipsy ziemniaczane w miseczce z zimnym sosem z mały, po czym niósł je do zaślinionych ust, które przeżuając chipsy, nie przestawały mówić. Gardener nie pamiętał, by widział w życiu taką kwintesencję obrzydlistwa. Jednak ta suka McCardle wpatrywała się w niego z natężoną uwagą i można było odnieść wrażenie, że za chwilę padnie na kolana i zrobi mu loda z czystego uwielbienia. A tłusty kutas cały czas by jadł, pomyślał Gardener, sypiąc jej na włosy okruchy chipsów i chłapiąc sosem z mały.

— I Jezus zapłakał — powiedział i wychylił połowę wódki bez toniku. W ogóle go nie paliła... po raz pierwszy tego wieczoru poczuł jednak palącą wrogość — zwiastun cichej i niewytłumaczalnej wściekłości, która dręczyła go, odkąd zaczął pić.

— Jeszcze raz poproszę.

Barman chlusnął wódką do szklaneczki i rzekł nieśmiało:

— Uważam, że wspaniale pan dzisiaj czytał, panie Gardener.

Gardener poczuł się absurdalnie wzruszony. Zadeedykował „Leighton Street” Bobbi Anderson, a ten chłopak za barem ledwie przekroczywszy wiek, od jakiego mógł legalnie pić alkohol — przypominał mu Bobbi z czasów, gdy zaczęła studiować.

— Dziękuję.

— Powinien pan trochę uważać z tą wódką — powiedział barman. — Potrafi sprawiać niemiłe niespodzianki.

— Panuję nad sytuacją — zapewnił Gardener, mrugając do niego porozumiewawczo. — Widzialność dziesięć mil, czujny, zwarty i gotowy.

Odkleił się od baru, znów zerkając w stronę napakowanego sukinsyna i McCardle. Patricia przyłapała go na tym i posłała mu chłodne, niechętne spojrzenie. Jej niebieskie oczy przypominały płatki lodu. Całuj mnie gdzieś, oziębła suko, pomyślał i uniósł szklanekę w geście prostackiego pozdrowienia rodem z saloonu, z bezczelnie szerokim uśmiechem.

— Tylko tonik, nie? Czysty tonik.

Rozejrzał się. U jego boku zjawił się Ron Cummings, zupełnie nieoczekiwanie jak sam szatan. Na jego twarzy jaśniał stosownie szatański uśmiech.

— Odpieprz się — powiedział Gardener. Odwróciło się więcej osób niż poprzednio.

— Jim, stary...

— Wiem, wiem, skrócić głośność. — Uśmiechnął się, ale czuł, jak w głowie narasta coraz bardziej uporczywe pulsowanie. Nie było podobne do bólów głowy, o których mówił lekarz po wypadku; nie zaczynało się z przodu, ale raczej gdzieś w głębi czaszki. I wcale nie było przykre.

Właściwie było całkiem przyjemne.

— Popatrz tylko. — Cummings niemal niedostrzegalnym ruchem głowy wskazał McCardle. — Ona cię nie trawi. Z największą przyjemnością wyrzuciłaby cię z trasy. Nie dawaj jej powodów.

— Pierdol ją.

— Sam ją pierdol — odrzekł Cummings. — Rak, marskość wątroby i uszkodzenie mózgu — to statystycznie dowiedzione skutki nałogowego picia, więc z dużym prawdopodobieństwem mogę się spodziewać któregoś z nich w przyszłości, a jeżeli jedno z tych paskudztw mnie spotka, będę mógł winić tylko siebie. W mojej rodzinie odnotowano przypadki cukrzycy, jaskry i przedwczesnego starzenia się. Ale hipotermia penisa? Obejdę się bez tego. Przepraszam.

Gardener stał przez chwilę zdezorientowany, patrząc w ślad za odchodzącym Cummingssem. Potem załapał i ryknął śmiechem. Tym razem łyzy nie tylko stanęły mu w oczach; tym razem dosłownie spłynęły mu po policzkach. Trzeci raz tego wieczoru ludzie patrzyli na niego — wysokiego mężczyznę ubranego dość łycho, trzymającego w dłoni szklanekę, której zawartość podejrzenie przypominała czystą wódkę, stojącego bez towarzystwa i śmiejącego się na całe gardło.

Uspokój się, myślał. Skręć głośność, myślał. Hipotermia penisa, pomyślał i znów zaniósł się śmiechem.

Powoli zdołał się opanować. Ruszył w stronę sprzętu grającego, który stał w sąsiednim pokoju — tam zwykle można znaleźć najbardziej interesujących ludzi na przyjęciach. Chwycił parę kanapek z tacy i połknął. Bardzo wyraźnie czuł, że Arglebargle i McCarglebargle ciągle na niego patrzą i że McCarglebargle przedstawia Arglebargle'owi skrót historii jego życia, dobierając eleganckie zdania, z tym samym spokojnym, nieznośnym uśmiechem na twarzy. *Nie wiedział pan? To absolutna prawda. Strzelił jej prosto w twarz. Powiedziała mu, że nie wniesie oskarżenia, jeśli on da jej rozwód za zgodą obu stron. Kto wie, czy to była słuszna decyzja, czy nie? Potem nie strzelał już do żadnych innych kobiet... przynajmniej na razie. Chociaż dziś świetnie czytał — oczywiście, po tym nieco ekscentrycznym potknięciu — to jednak jest niezrównoważony i jak pan widzi, nie potrafi kontrolować picia...*

Lepiej uważaj, Gard, pomyślał i po raz drugi dzisiaj przemknęła mu myśl wypowiedziana głosem bardzo podobnym do głosu Bobbi. *Znowu wychodzi twoja paranoja. Przecież nie rozmawiają o tobie, na litość boską.*

Już w drzwiach obejrzał się na nich.

Patrzyli prosto na niego.

Poczuł, jak przeszywa go paskudny dreszcz przerażenia... ale po chwili zmusił się do kolejnego bezczelnie szerokiego uśmiechu i uniósł szklaneczkę w stronę ich obojga.

Uciekaj stąd, Gard. To wszystko może się źle skończyć. Jesteś pijany.

Panuję nad sytuacją, spokojna głowa. To ona chce, żebym stąd uciekł, dlatego ciągle na mnie patrzy, dlatego opowiada o mnie temu tłustemu kutasowi — że strzelałem do żony, że zgarnęli mnie w Seabrook z naładowaną bronią w plecaku — chce się mnie pozbyć, bo nie sądzi, żeby największe brawa tego wieczoru należały się pijanemu skurwysynowi, który sympatyzuje z czerwonymi, strzela do żony i protestuje przeciw elektrowniom jądrowym. Nie ma sprawy, złotko. Trochę się pokręcę, stopniowo zmniejszę dopływ wody ognistej, walnę jakąś kawę i wcześniej wrócę do domu. Nie ma sprawy.

I choć nie wypił żadnej kawy, nie wrócił wcześniej do domu i nie zmniejszył stopniowo dopływu wody ognistej, przez następną godzinę wszystko było w porządku. Skręcał głośność, ilekroć słyszał, że wymyka mu się spod kontroli, i gryzł się w język, gdy usłyszał, jak zaczyna — według określenia swojej żony — „perorować”. „Kiedy się upijesz, Jim — mówiła — jeden z twoich większych kłopotów polega na tym, że przestajesz rozmawiać, a zaczynasz perorować”.

Przebywał głównie w salonie Arberga, gdzie zebrało się młodsze towarzystwo, nie tak ostrożne i nadęte. Prowadzono tu ożywione, wesole i inteligentne rozmowy. W głowie Gardenera pojawiła się myśl o elektrowniach jądrowych — zawsze zjawiała się o takiej porze, niczym gnijące ciało wynurzające się na powierzchnię wody po strzałach z armaty. O takiej porze — i w tej fazie upojenia — wypływało na wierzch głębokie pragnienie, by ostrzec tych młodych ludzi, i ciągnęło za sobą jak zgniłe wodorosty ślepy, irracjonalny gniew. Jak zawsze. Ostatnie sześć lat jego życia były nieszczęściem, a ostatnie trzy prawdziwym koszmarem, w ciągu którego Gardener stał się zagadką dla samego siebie i postrachem dla wszystkich naprawdę znających go ludzi. Kiedy pił, wściekłość, przerażenie, a przede wszystkim niemożność wytłumaczenia, co się stało z Jimmym Gardenerem, niemożność wyjaśnienia nawet samemu sobie — znajdowały ujście w sprawach energii jądrowej.

Dziś jednak ledwie zdążył poruszyć ten temat, do salonu wtoczył się Ron Cummings, którego wąska, wychudzona twarz błyszczała jak w gorączce. Pijany czy nie, Cummings wciąż doskonale wiedział, skąd i jak wieje wiatr. Zręcznie skierował rozmowę z powrotem na temat poezji. Gardener był mu trochę wdzięczny, ale i zły. Irracjonalny gniew, lecz nic nie mógł na to poradzić: pozbawiono go działki upragnionego narkotyku.

Tak więc, częściowo dzięki temu, że sam wziął się w cugle, a częściowo dzięki przytomnej interwencji Rona Cummingsa, Gardener uniknął kłopotów prawie do samego zakończenia przyjęcia u Arberga. Jeszcze pół godziny i być może nie wpadłby w żadne kłopoty... przynajmniej tego wieczoru.

Ale gdy Ron Cummings zaczął perorować na temat poezji beatników z typowym dla siebie ciętym dowcipem, Gardener trafił z powrotem do jadalni, żeby zamówić następnego drinka i może skubnąć coś z bufetu. To, co nastąpiło potem, mógł wyreżyserować tylko diabeł obdarzony szczególnie złośliwym poczuciem humoru.

— Kiedy tylko uruchomimy Iroquois, zaoszczędzi pan równowartość trzech tuzinów pełnych stypendiów — usłyszał z lewej czyjs głos Gardener i obejrzał się gwałtownie, omal nie wylewając drinka. Na pewno wyobraził sobie tylko tę rozmowę — za duży zbieg okoliczności, aby mogła to być prawda.

Przy końcu bufetu zgromadziło się sześć osób — trzech mężczyzn i trzy kobiety. Jedną z par stanowił Słynny Duet Wodewilowy Arglebargle i McCarglebargle. Mężczyzna, który mówił, wyglądał jak sprzedawca samochodów ubrany z nieco lepszym gustem niż inni w jego branży. Obok stała jego żona. Sprawiała wrażenie spiętej, lecz na swój sposób była ładna. Jej niebieskie oczy powiększały grube okulary. Gardener od razu zauważył jedną rzecz. Owszem, był alkoholikiem i miał obsesję na punkcie tej szczególnej sprawy, ale zawsze był bystrym obserwatorem, co zostało mu do dziś. Kobieta w grubych okularach wiedziała, że jej mąż robi dokładnie to samo, o co Nora oskarżała Gardenera, gdy za dużo wypił na przyjęciach: perorował. Chciała wyciągnąć stąd męża, lecz na razie nie wiedziała, jak ma to zrobić.

Gardener przyjrzał im się jeszcze raz i uznał, że pobrali się osiem miesięcy temu. Może rok, ale osiem miesięcy wydawało się bardziej prawdopodobne.

Mężczyzna musiał pracować w Bay State Electric. Na pewno w Bay State, bo właśnie Bay State był właścicielem tego bezsensownego przedsięwzięcia, czyli elektrowni Iroquois. Facet opowiadał o niej, jak gdyby było to największe osiągnięcie od czasów wynalezienia krojonego chleba, a ponieważ wydawał się naprawdę w to wierzyć, Gardener doszedł do wniosku, że nie jest to żadna szucha, ale zwykły trybik, może nawet trybik zapasowy. Wątpił, by ważne figury miały takiego bzika na punkcie Iroquois. Pomijając nawet szaleństwo samej energetyki jądrowej, „uruchamianie” elektrowni spóźniało się już pięć lat, a od tego, kiedy — jeśli w ogóle — zacznie działać, zależał los trzech powiązanych ze sobą sieci banków Nowej Anglii. Wszyscy tkwili po szyję w ruchomych radioaktywnych piaskach i handlowali na papierze. Przypominało to zwariowaną zabawę w krzeselka do wynajęcia.

W końcu w zeszłym miesiącu sądy oczywiście wydały firmie zgodę na rozpoczęcie ładowania prętów i Gardener podejrzewał, że dzięki temu skurwiele trochę się uspokoili.

Arberg słuchał go z powagą i szacunkiem. Nie należał do zarządu college'u, ale każdy od prostego wykładowcy wzwyż miał na tyle oleju w głowie, by wiedzieć, że warto podlizać się emisariuszowi z Bay State Electric, choćby i był trybikiem. Wielki prywatny zakład użyteczności publicznej taki jak Bay State, gdyby zechciał, mógł zrobić dla szkoły bardzo dużo.

Czyżby nasz Reddy Kilowat był Przyjacielem Poezji? Gard podejrzewał, że w takim samym stopniu, jak on mógł być Przyjacielem Bomby Neutronowej. Za to jego żona — ta w grubych okularach i z napięciem malującym się na ładnej twarzy — wyglądała na Przyjaciółkę Poezji.

Wiedząc, że popełnia straszliwy błąd, Gardener zbliżył się do nich. Na ustach igrał mu uprzejmy uśmiech pod tytułem „Rzeczywiście już późno, zaraz będę się zbierał”, ale pulsowanie w głowie przybierało na sile, skupiając się z lewej strony. Czuł nadszycą czerwoną falę dobrze znanego bezsilnego gniewu. „Czy ty w ogóle wiesz, o czym mówisz?” — zdawało się krzyczeć jego serce. Mógłby mu przedstawić całą listę logicznych argumentów przeciw elektrowniom jądrowym, lecz w takich chwilach odzywał się tylko nieartykułowany krzyk jego serca.

Czy ty w ogóle wiesz, o czym mówisz? Nie wiesz, o jaką stawkę tu się gra? Czy żadne z was nie pamięta, co się stało w Rosji dwa lata temu? Oni nie wiedzieli; nie mogli. Będą grzebać ofiary raka jeszcze w następnym stuleciu. Chryste Panie w niebiosach! Wsadź sobie w tyłek jeden z tych zużytych prętów, potrzyмай przez pół godziny, a potem mów wszystkim, jaka bezpieczna jest energia jądrowa, kiedy gównem zacznie ci świecić w ciemnościach! Jezu! Jezu! A wy stoicie, palanty, i słuchacie go, jakby był przy zdrowych zmysłach!

Stał z drinkiem w ręku i uprzejmym uśmiechem na twarzy, słuchając, jak zapasowy trybik wygłasza stek bzdur.

Trzeci z mężczyzn miał około pięćdziesiątki i wyglądał na dziekana college'u. Pytał o prawdopodobieństwo zorganizowanych protestów jesienią. Do trybika zapasowego zwracał się „Ted”.

Ted Energetyk twierdził, że nie ma się czym przejmować. Swego czasu w modzie było Seabrook i instalacja Arrowhead w Maine — ale odkąd sędziowie federalni zaczęli wydawać surowe wyroki za to, co dla nich było zwykłą awanturą, protesty szybko ucichły.

— Tym grupkom cele zużywają się tak szybko jak zespoły rockowe — powiedział Ted. Arberg, McCardle i reszta roześmiali się — wszyscy z wyjątkiem żony Teda Energetyka. Jej nerwowy uśmiech zdradzał jeszcze większe napięcie.

Gardener wciąż miał przyklejony na twarzy uprzejmy uśmiech.

Ted Energetyk rozkręcał się coraz bardziej. Powiedział, że nadszedł czas, aby pokazać Arabom, że Ameryka i Amerykanie ich nie potrzebują. Mówił, że nawet najnowocześniejsze generatory węglowe za mocno brudzą, by Agencja Ochrony Środowiska mogła wyrazić zgodę na ich dalsze działanie. Mówił, że energia słoneczna to świetna rzecz... dopóki świeci słońce. Znów gruchnął śmiech.

W głowie Gardenera huczało i łomotało. W jego uszach dostrojonych na odbiór nadnaturalnych dźwięków rozległ się cichy odgłos jakby kruszonego lodu i w samą porę rozluźnił palce, które za moment rozgniotłyby szklanę.

Gdy zamknął i otworzył oczy, Arberg miał łeb świni. Halucynacja była absolutnie plastyczna i absolutnie doskonała do najdrobniejszych szczegółów, takich jak szczecina na tłustym ryju. Po bufecie pozostały już tylko ruiny, ale Arberg grzebał w odpadkach, dojadając ostatnie krakersy, nabijając na plastikową wykałaczkę ostatni plasterek salami i kawałek serca, na koniec chrupiąc okruchy chipsów. Wszystko zniknęło w ryju, podczas gdy on nie

przestawał pochrząkiwać i kiwać łbem, słuchając, jak Ted Energetyk tłumaczył, że alternatywą jest tylko energia jądrowa.

— Dzięki Bogu Amerykanie zaczynają w końcu trzeźwo oceniać to, co się zdarzyło w Czarnobyliu — powiedział. Trzydzieści dwie ofiary. To straszne, oczywiście, ale ledwie miesiąc temu była katastrofa lotnicza, w której zginęło sto dziewięćdziesiąt kilka osób. Jednak nikt nie wrzeszczy na rząd, żeby pozamykał linie lotnicze, prawda? Trzydzieści dwie ofiary to straszna tragedia, ale nieporównywalna z Armageddonem głoszonym przez tych antynuklearnych maniaków. Odrobinę ściszył głos. — Są tak samo stuknięci jak ci ludzie od LaRouche'a, których spotyka się na lotniskach, ale pod pewnym względem są jeszcze gorsi. Wydają się bardziej racjonalni. Gdybyśmy im jednak dali to, czego chcą, jakiś miesiąc później zmieniliby zdanie i zaczęli skomleć, że nie mogą używać suszarek do włosów albo nie będzie działał mikser, kiedy będą chcieli sobie przygotować makrobiotyczne jedzenie.

Dla Garda Ted nie wyglądał już jak człowiek. Z kołnierza białej koszuli w wąskie czerwone prążki wystawała kudłata głowa wilka z wywieszonym różowym językiem i rozglądała się wokoło zielonożółtymi oczami. Arberg kwiknął z aprobatą, pychając sobie do ryja kolejną porcję resztek. Patricia McCardle miała gładką i smukłą głowę charta. Dziekan college'u i jego żona byli parą łasic. A żona człowieka z przedsiębiorstwa energetycznego zmieniła się w przerażonego królika z rozbieganymi różowymi oczami za grubymi szklami okularów.

Och, Gard, nie, jęknął w myślach.

Jeszcze raz zamknął i otworzył oczy. Znów wszyscy byli ludźmi.

— Poza tym wszyscy protestujący zawsze zapominają wspomnieć o jednej rzeczy — ciągnął Ted Energetyk, spoglądając na wszystkich po kolei jak adwokat na procesie, który zbliża się do punktu kulminacyjnego mowy końcowej. W ciągu trzydziestu lat rozwoju energetyki jądrowej do celów pokojowych w Stanach Zjednoczonych Ameryki nie było ani jednej śmiertelnej ofiary działania energii nuklearnej. Uśmiechnął się skromnie i wychylił resztkę szkockiej.

— Jestem pewien, że wiedząc o tym, możemy spać spokojnie — powiedział człowiek, który wyglądał jak dziekan college'u. — Ale my z żoną chyba już...

— Wiedział pan, że Maria Curie zmarła na skutek promieniowania? — spytał swobodnym tonem Gardener. Głowy odwróciły się w jego stronę. — Tak. Na białaczkę spowodowaną bezpośrednim kontaktem z promieniowaniem gamma. Była pierwszą ofiarą w marszu śmierci, na którego końcu stoi elektrownia tego pana. Przeprowadziła wiele badań i wszystkie opisała.

Gardener rozejrzał się po pokoju, w którym nagle zaległa cisza.

— Jej notatki są zamknięte w sejfie — powiedział. — W sejfie w Paryżu. Wyłożonym ołowiem. Notatki są całe, ale zbyt radioaktywne, żeby można ich dotykać. A jeśli chodzi o ofiary u nas, to nie znamy ich liczby. Komisja do spraw Energii Atomowej i Agencja Ochrony Środowiska zatajają informacje tego rodzaju.

Patricia McCardle patrzyła na niego spod zmarszczonych brwi. Zapominając chwilowo o dziekanie, Arberg wrócił do myszkowania na ogołoconym stole, który wcześniej był bufetem.

— Piątego października 1966 roku — mówił Gardener — nastąpiło częściowe stopnienie rdzenia reaktora powielającego Enrica Fermiego w Michigan.

— Nic się tam nie stało — odrzekł Ted Energetyk, rozkładając ręce, jak gdyby chciał powiedzieć zgromadzonym „Widzicie? Cbdo.”

— Rzeczywiście — zgodził się Gardener. — Nic. Bóg jeden wie dlaczego, ale przypuszczam, że nikt więcej. Reakcja łańcuchowa ustała sama. Nikt nie wie dlaczego. Jeden z inżynierów wezwanych przez wykonawców zajrzał tam, uśmiechnął się i powiedział: „O mały włos nie sprowadziliście zagłady na Detroit”. A potem zemdleł.

— Ależ, panie Gardener! To było...

Gardener powstrzymał go gestem.

— Jeżeli przyjrzeć się statystykom zgonów na raka w okolicach wszystkich elektrowni jądrowych w kraju, można dostrzec anomalie, liczby znacznie odbiegające od normy.

— To całkowita nieprawda i...

— Proszę mi pozwolić skończyć. Nie sędzę, żeby fakty mogły mieć jeszcze jakieś znaczenie, mimo to proszę mi dać skończyć. Na długo przed katastrofą w Czarnobylu Rosjanie mieli wypadek w reaktorze w mieście Kysztym. Ale wtedy pierwszym sekretarzem był Chruszczow, a Sowieci trzymali gębę na kłódkę o wiele skuteczniej niż dzisiaj. Zdaje się, że składowali wypalone pręty za płytko. Czemu nie? Jak powiedziałaaby madame Curie, wówczas wydawało się, że to dobry pomysł. Możemy przypuszczać, że pręty rdzenia uległy utlenieniu, tylko że w przeciwieństwie do prętów stalowych, które pokrywają się tlenkami żelaza czyli rdzą, te zardzewiały czystym plutonem. To jakby rozpaść ognisko tuż obok zbiornika z gazem płynnym, ale oni o tym nie wiedzieli. Przypuszczali, że wszystko będzie w porządku. Przypuszczali. — Słyszał wściekłość w swoim głosie, lecz nie potrafił jej powstrzymać. — Przypuszczali, igrali z życiem istot ludzkich, jakby to były... lalki... i proszę zgadnąć, co się stało?

W pokoju panowała cisza. Usta Patty wyglądały jak zastygła czerwona rana cięta. Jej cera była mlecznobiała z wściekłości.

— Spadł deszcz — powiedział Gardener. — Ulewa. I wtedy zaczęła się reakcja łańcuchowa, która spowodowała wybuch. Przypominał erupcję błotnego wulkanu. Ewakuowano tysiące ludzi. Wszystkim kobietom w ciąży dokonano aborcji. Nie było żadnego wyboru. Droga — coś w rodzaju rosyjskiej autostrady — w rejonie Kysztymu była zamknięta prawie przez rok. Potem, gdy pojawiły się przecieki o okropnym wypadku, jaki wydarzył się na obrzeżach Syberii, Rosjanie otworzyli drogę. Ustawili tam jednak bardzo zabawne tablice. Widziałem na zdjęciach. Nie znam rosyjskiego, ale poprosiłem kilka osób, żeby mi przetłumaczyły i wszystkie wersje zgadzały się ze sobą. To może zabrzmieć jak kiepski antynarodowy dowcip. Proszę sobie wyobrazić, że jedziecie jakąś międzystanówką w Ameryce — I-95 albo I-70 — i trafiacie na tablicę z napisem PROSZĘ ZAMKNAĆ WSZYSTKIE OKNA, WYŁĄCZYĆ WSZYSTKIE URZĄDZENIA WENTYLACYJNE I JAK NAJSZYBCIEJ POKONAĆ NAJBLIŻSZE DWADZIEŚCIA MIL.

— Bzdura! — powiedział bardzo głośno Ted Energetyk.

— Fotografie są dostępne dzięki Ustawie o Prawie do Informacji — odparł Gard. — Gdyby ten facet tylko kłamał, może jakoś bym to przelknął. Ale on i reszta takich jak on robią coś znacznie gorszego. Przypominają sprzedawców, którzy wmawiają klientom, że papierosy nie tylko nie wywołują raka, ale są pełne witaminy C i pomagają zapobiegać przeziębieniom.

— Sugeruje pan, że...

— Trzydzieści dwie ofiary w Czarnobylu to liczba, którą można zweryfikować. Do diabła, może rzeczywiście były tylko trzydzieści dwie. Mamy zdjęcia zrobione przez lekarzy amerykańskich i wynika z nich, że jest już dobrze ponad dwieście, ale dobrze, powiedzmy, że trzydzieści dwie. To w niczym nie zmienia naszej wiedzy o działaniu promieniowania. Ofiary nie wszystkie giną od razu. Dlatego promieniowanie jest takie podstępne. Są trzy fale ofiar. Pierwsza to ci, którzy giną w samym wypadku. Druga to ofiary białaczki, przede wszystkim dzieci. Trzecia, zbierająca największe żniwo: rak u dorosłych powyżej czterdziestki. Na raka zapada tyle ludzi, że można to nazwać zarazą. Najpowszechniej występuje rak skóry, rak piersi, rak wątroby, czerniak i rak kości. Co nie znaczy, że nie można dostać raka jelit, raka pęcherza, guza mózgu i...

— Dosyć, może pan przestać? — krzyknęła żona Teda. Histeria nadała jej głosowi zdumiewającą moc.

— Mógłbym, gdybym potrafił, droga pani — rzekł łagodnie. — Ale nie potrafię. W 1964 roku Komisja do spraw Energii Atomowej zamówiła badania skutków najczarniejszego

scenariusza, gdyby w Ameryce wybuchł reaktor wielkości jednej piątej reaktora z Czarnobyla. Wyniki były tak przerażające, że komisja schowała je głęboko. Według tego raportu...

— Zamknij się, Gardener — powiedziała głośno Patty. — Jesteś pijany.

Zignorował ją, nie odrywając oczu od żony gościa od elektrowni.

— Według raportu taki wypadek na stosunkowo słabo zaludnionym obszarze USA — wybrali wiejskie tereny Pensylwanii, gdzie nawiasem mówiąc, leży Three Miles Island — spowodowałby śmierć czterdziestu pięciu tysięcy osób, skaził promieniowaniem siedemdziesiąt procent stanu i wyrządził szkody wartości siedemnastu milionów dolarów.

— Ja pierdziele! — krzyknął ktoś. — Nie bajerujesz?

— Nie — rzekł Gardener, wciąż nieruchomo patrząc na kobietę, która wyglądała jak zahipnotyzowana z przerażenia. Jeśli pomnożyć te liczby przez pięć, byłoby dwadzieścia pięć tysięcy ofiar i osiemdziesiąt pięć milionów strat. W grobowej ciszy nonszalanckim ruchem nalał sobie czystej wódki, uniósł szklaneczkę w stronę Arberga i opróżnił ją dwoma łykami. Można było mieć nadzieję, że wódka była nie tylko czysta, ale i nieskażona. — Tak więc — dokończył — mówimy o liczbie ofiar sięgającej ćwierć miliona, gdy rozproszy się ostatnia, trzecia fala w okolicach roku 2040. — Mrugnął do Teda Energetyka, który rozciągnął wargi, obnażając zęby. — Ciężko byłoby zabrać tylu ludzi na pokład boeinga 767, prawda?

— Wzięłeś te pieprzone liczby z powietrza — warknął ze złością Ted Energetyk.

— Ted... — powiedziała nerwowo jego żona. Była śmiertelnie blada, jeśli nie liczyć płonących czerwonych plamek na jej kościach policzkowych.

— Spodziewasz się, że będę grzecznie wysłuchiwał tej... partyjnej retoryki? — spytał, podchodząc do Gardenera, dopóki nie stanęli pierś w pierś. — Tak?

— W Czarnobylu zabili dzieci — powiedział Gardener. Nie rozumiesz? Te dziesięcioletnie i te w łonie matek. Większość może jeszcze żyje, ale właśnie umiera, gdy my stoimy z drinkiem w rękę. Niektóre nie umieją jeszcze czytać. Większość nigdy nie pocałuje namiętnie dziewczyny. Wszystko dzieje się w tej chwili, gdy stoimy z drinkiem w rękę.

— Zabili swoje dzieci.

Popatrzył na żonę Teda i głos zaczął mu drzeć, podnosząc się lekko, jak gdyby przybierał błagalny ton.

— Znamy to z Hiroszimy, Nagasaki, z naszych własnych prób w operacji Trinity i na Bikini. Zabili własne dzieci, kojarzysz, o czym mówię? Dziewięćlatki w Prypeci umrą, srając własnymi jelitami! Oni zabili dzieci!

Żona Teda cofnęła się o krok, szeroko otwierając oczy za szklami okularów. Jej usta drgały.

— Chyba wszyscy przyznamy, że pan Gardener jest świetnym poetą — rzekł Ted Energetyk, otaczając ramieniem żonę i przyciągając ją z powrotem do siebie. Wyglądał trochę jak kowboj ciągnący złapanego na lasso cielaka. — Nie ma jednak najlepszych informacji na temat energii jądrowej. Naprawdę nie wiemy, co się mogło lub nie mogło stać w Kysztymie, a liczby ofiar w Czarnobylu podawane przez Rosjan są...

— Przestań pieprzyć — przerwał mu Gardener. — Dobrze wiesz, o czym mówię. Bay State Electric ma to wszystko w swoich archiwach, razem z danymi o podwyższonej liczbie zachorowań na raka w okolicach amerykańskich siłowni jądrowych, o wodzie skażonej odpadami radioaktywnymi — wodzie w głęboko położonych warstwach wodonośnych, wodzie, w której ludzie piorą ubrania, zmywają naczynia i myją się, wodzie, którą piją. Wiecie o tym. Wy i każda prywatna, miejska, stanowa i federalna firma energetyczna w Ameryce.

— Przestań, Gardener — ostrzegła McCardle, wysuwając się naprzód. Uśmiechnęła się do wszystkich przesadnie promiennie. — Jest trochę...

— Ted, wiedziałeś? — zapytała nagle żona Teda.

— Oczywiście, mamy jakieś statystyki, ale...

Urwał. Zamknął usta tak raptownie, że niemal można było usłyszeć stuk zwierających się szczęk. Niewiele... lecz wystarczyło. Nagle wszyscy przekonali się, że w swoim kazaniu Ted opuścił sporą część Pisma. Gardener przeżył chwilę nieoczekiwanego, choć gorzkiego triumfu.

Przez moment panowała niezręczna cisza, a potem żona Teda dość zdecydowanie odsunęła się od męża. Ted poczerwieniał. Gard pomyślał, że wygląda jak gość, który właśnie rąbnął się młotkiem w kciuk.

— Och, mamy całe mnóstwo różnych raportów — powiedział Ted. — Większość to stek kłamstw — ruska propaganda. Tacy idioci jak ten z radością łapią się na ten haczyk i łykają razem z ciężarkiem i żyłką. Z tego, co wiemy, w Czarnobylu mogło w ogóle nie być żadnego wypadku, a oni chcieli tylko, żebyśmy...

— Jezu, za chwilę będziesz nam wmawiał, że Ziemia jest płaska — powiedział Gardener. — Widziałeś zdjęcia żołnierzy w kombinezonach antyradiacyjnych, którzy chodzili wokół elektrowni pół godziny jazdy od Harrisburga? Wiesz, jak próbowali zatkać przeciek? Do uszkodzonej rury wylotu wpakowali piłkę do koszykówki owiniętą taśmą izolacyjną. Przez chwilę działało, ale potem ciśnienie wysadziło piłkę i wyrwało dziurę w ścianie obudowy bezpieczeństwa.

— Wygłaszasz nam propagandowe bzdety. — Ted wykrzywił się we wściekłym uśmiechu. — Ruscy uwielbiają takich jak ty! Płacą ci czy robisz to za darmo?

— Kto teraz mówi jak sekciarz z lotniska? — zapytał Gardener, parszkając krótkim śmiechem. Podszedł bliżej Teda. Reaktory jądrowe są lepiej zbudowane niż Jane Fonda, co?

— Jeśli o mnie chodzi, owszem, tak się mniej więcej sprawy mają.

— Proszę — odezwała się żona dziekana. — Możemy dyskutować, ale proszę nie krzyczeć — w końcu jesteście ludźmi z college'u...

— Ktoś jednak powinien to, kurwa, krzyczeć! — krzyknął Gardener. Żona dziekana wzdrgnęła się, mrugając zaskoczona, a jej mąż utkwiał w Gardenerze oczy przypominające dwa kawałki lodu. Patrzył, jak gdyby chciał go na zawsze zapamiętać. Gard przypuszczał, że rzeczywiście tak jest. — Czy nie krzyczałaby pani, gdyby w domu wybuchł pożar, a z całej rodziny tylko pani obudziłaby się w środku nocy i zobaczyła, co się dzieje? A może chodziłaby pani na paluszkach i szeptała z uwagi na to, że jest pani z college'u?

— Po prostu sądzę, że to zaszło trochę za...

Gardener zlekceważył ją, zwracając się do pana z Bay State Electric i mrugając do niego konfidencjonalnie.

— Powiedz mi, Ted, jak blisko z twojego domu do tej nowej przecudnej elektrowni jądrowej, którą budujecie?

— Nie muszę stać i wysłuchiwać...

— Czyli nie za blisko, he? Tak właśnie myślałem. — Spojrzał na żonę Teda. Odsunęła się raptownie, łapiąc kurczowo ramię męża. *Co takiego widzi, żeby się tak ode mnie odsuwać*, pomyślał Gard. *Co takiego?*

Smutnej odpowiedzi udzielił mu głos zastępcy szeryfa, który czytał komiks, wydłubując z nosa glut: *Strzeliłeś do żony. Niezłe, kurwa, co?*

— Planujecie dzieci? — spytał ją łagodnie. — Jeżeli tak, to przez wzgląd na panią i męża wypada mieć nadzieję, że mieszkanie w bezpiecznej odległości od elektrowni... bo ciągle nawalają. Jak w Three Mile Island. Krótko przed otwarciem tego szajsu ktoś odkrył, że hydraulicy zamiast wody pitnej podłączyli do wodotrysków zbiornik na płynne odpady radioaktywne pojemności trzech tysięcy galonów. Dowiedzieli się o tym zaledwie tydzień przed uruchomieniem reaktora. Co pani o tym sądzi?

Płakała.

Płakała, ale Gardener nie potrafił przestać.

— Ludzie, którzy prowadzili dochodzenie, napisali w raporcie, że podłączenie rur z radioaktywnym zużytym chłodziwem do wodotrysków z wodą pitną było „ogólnie niewskazaną praktyką”. Jeśli mąż zaprosi panią na zwiedzanie swojej firmy, dam pani radę, jaką zwykle słyszy się w Meksyku: proszę nie pić wody. A jeżeli mąż zaprosi panią, kiedy będzie pani w ciąży — albo nawet będzie pani podejrzewać, że jest — proszę mu powiedzieć... — Gardener uśmiechnął się, najpierw do niej, a potem do Teda. — Proszę mu powiedzieć, że boli panią głowa.

— Zamknij się — powiedział Ted. Jego żona zaczęła pojękiwać.

— Racja — odezwał się Arberg. — Moim zdaniem najwyższy czas, żeby się pan zamknął, panie Gardener.

Gard spojrzał na nich, a potem na resztę gości, wśród których był także młody barman, przyglądających się scenie przy bufecie w ciszy i zdumieniu.

— Zamknąć się! — wrzasnął Gardener. Lewą stroną czaszki przeszył mu ból jak stalowa igła. — Tak! Zamknąć się i pozwolić, żeby przeklęty dom spokojnie się spalił! Można się założyć, że kiedy popioły ostygną, zjawią się właściciele, żeby odebrać pieniądze z ubezpieczenia od pożaru i ograbić to, co zostało z ciał lokatorów! Zamknąć się! Właśnie tego chcą od nas ci wszyscy goście! A jeżeli nie zamkniesz się sam, mogą ci pomóc, jak Karen Silkwood...

— Milcz, Gardener — syknęła Patricia McCardle. Mimo że syknięcie było niemożliwe, bo nie wymówiła żadnej spółgłoski syczącej, ale wyraźnie syknęła.

Gard nachylił się nad żoną Teda, której ziemiste policzki były mokre od łez.

— Może pani też sprawdzić współczynnik śmiertelności niemowląt. Znacznie wzrasta w okolicy elektrowni jądrowej. Podobnie wady wrodzone, takie jak zespół Downa — innymi słowy mongolizm — ślepotę i...

— Chcę, żeby opuścił pan mój dom — powiedział Arberg.

— Ma pan chipsy na brodzie — rzekł Gardener, po czym odwrócił się z powrotem do państwa z Bay State Electric. Jego głos zdawał się dochodzić z coraz większej głębi, jakby słuchał głosu dobywającego się ze studni. Wszystko wskazywało na stan krytyczny. Na tablicy kontrolnej błyskały czerwone lampki.

— Ted może kłamać o tym, że wszystkie liczby są ogromnie zawyżone, że to zaledwie mały pożar i pożywka dla gazet i wszyscy możecie mu nawet uwierzyć... ale faktem jest, że po tym, co się stało w elektrowni w Czarnobylu, do atmosfery tej planety dostało się więcej odpadów radioaktywnych niż po wszystkich wybuchach naziemnych bomb atomowych od czasu operacji Trinity.

— Czarnobyl jest napromieniowany.

— I będzie jeszcze bardzo długo. Jak długo? Nikt naprawdę nie wie, prawda, Ted?

Uniósł szklaneczkę w stronę Teda, spojrzał po twarzach gości, którzy stali, przyglądając mu się w milczeniu. Wielu wyglądało na równie przerażonych jak żona Teda.

— To się jeszcze powtórzy. Może w stanie Waszyngton. Przy reaktorach pod Hanford przechowują zużyte pręty w niezabezpieczonych składowiskach, tak jak w Kysztymie. W Kalifornii podczas następnego trzęsienia ziemi? We Francji? W Polsce? A może tu w Massachusetts, jeżeli ten facet dopnie swego i wiosną ruszy Iroquois. Wystarczy, żeby jeden człowiek wcisnął nieodpowiedni guzik w nieodpowiednim momencie i Red Soksi zagrają następny mecz otwarcia na Fenway Park w okolicach 2075 roku.

Patricia McCardle była biała jak wosk... z wyjątkiem oczu, z których sypały się błękitne skry jak ze spawarki łukowej. Arberg wyglądał jak jej przeciwieństwo: ciemnoczerwony niczym cegły w murach jego starego rodzinnego domu w Back Bay w Bostonie. Żona Teda spoglądała to na Gardenera, to na męża, jak gdyby byli psami, które zaraz kogoś ugryzą. Ted dostrzegł to: poczuł, że usiłuje wysunąć się z uścisku oplatającego ją ciasno ramienia.

Gardener przypuszczał, że właśnie jej reakcja na to, co mówił, spowodowała ostateczną eskalację. Teda niewątpliwie wyuczono, jak należy postępować z historykami takimi jak Gardener; firma rutynowo uczyła tego swoich Tedów, podobnie jak linie lotnicze uczą stewardesy demonstrowania awaryjnego systemu tlenowego na pokładzie odrzutowców.

Jednak było już późno, a atak Gardenera, który mimo zamroczenia alkoholem popisał się elokwencją, wybuchł jak kieszonkowa burza... i teraz żona zachowywała się, jakby był co najmniej Rzeźnikiem Rygi.

— Boże, zaczynacie mnie męczyć tymi głupimi uśmieszkami! Dziś wieczorem czytaliście swoje bełkotliwe wiersze do mikrofonu, który działa na prąd, wasze ryczące głosy wzmacniały głośniki, też na prąd, widzieliście dzięki elektrycznemu oświetleniu... jak wam się wydaje, luddyści, skąd jest prąd? Od Czarnoksiężnika z Oz? Jezu!

— Późno już — powiedziała pospiesznie McCardle — i wszyscy...

— Białaczka — rzekł Gardener, zwracając się przerażająco poufnym tonem bezpośrednio do żony Teda, która patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. — Dzieci. Dzieci zawsze pierwsze padają ofiarą po częściowym stopieniu rdzenia reaktora. Jedno w tym wszystkim jest dobre; jeżeli stracimy Iroquois, dużo pracy będzie miała Fundacja imienia Jimmy'ego.

— Ted? — jęknęła. — On się myli, prawda? To znaczy... Zaczęła szukać chusteczki w torebce, którą nagle upuściła na podłogę. Rozległ się chrzęst pęknięcia czegoś kruchego.

— Przestań — powiedział do Gardenera Ted. — Porozmawiamy o tym, jeśli chcesz, ale przestań celowo denerwować moją żonę.

— Chcę, żeby się zdenerwowała — powiedział Gardener. Ciemność zawładnęła nim w pełni. Należał do niej, a ona do niego i było im dobrze. — Nie wie o tylu sprawach. A powinna. Zwłaszcza jeśli wyszła za takiego człowieka.

Posłał jej szeroki uśmiech szaleńca. Tym razem nie wzdrygnęła się, tylko patrzyła na niego zahipnotyzowana jak łania w zbliżające się reflektory samochodu.

— Zużyte pręty rdzenia. Wie pani, co się z nimi dzieje, kiedy nie nadają się już do pracy w reaktorze? Powiedziała pani, że zabiera je Dobry Duszek Prętów? Nieprawda. Panowie z elektrowni chomikują je, że się tak wyrażę. Tu i tam w paskudnych płytkich kałużach leżą sobie wielkie, gorące stopy prętów. Naprawdę gorące, proszę pani. I bardzo długo nie stygną.

— Gardener, chcę, żebyś opuścił mój dom — powiedział znów Arberg.

Ignorując go, Gardener mówił dalej, zwracając się tylko i wyłącznie do żony Teda.

— Przystają powoli orientować w tych stosach, wiedziała pani o tym? Jak dzieci, które bawią się cały dzień, kładą się spać i kiedy budzą się nazajutrz, nie pamiętają, gdzie zostawiły swoje zabawki. I jeszcze znikające materiały — bach i nie ma! Ostateczna broń Szalonego Terrorysty. Zniknęło już tyle plutonu, że wystarczyłoby do wysadzenia w powietrze całego wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Ale przecież muszę mieć mikrofon, żeby czytać swoje bełkotliwe wiersze. Żebym tylko, broń Boże, nie musiał podnosić gło...

Nagle chwycił go Arberg. Był gruby i niemrawy, ale całkiem silny. Wyszarpnął mu połe koszuli ze spodni. Szklanka wysunęła się z dłoni Gardenera i roztrzaskała się na podłodze. Donośnym i grzmiącym głosem — jaki mógł dobyć z siebie tylko rozsierdzony nauczyciel, który spędził wiele lat w salach wykładowych — oznajmił wszystkim obecnym:

— Wyrzucam tego włóczęgę.

Jego deklaracja spotkała się ze spontaniczną owacją. Nie wszyscy w pokoju bili brawo — klaskała może zaledwie połowa. Żona Pana Energetyka zanosila się płaczem, wtulając się mocno w męża i nie próbując już się od niego odsuwać; zanim Arberg go złapał, Gardener wisiał nad nią, jak gdyby jej groził.

Gardener poczuł, jak stopy ślizgają mu się po podłodze, by za chwilę zupełnie się od niej oderwać. Dostrzegł Patricię McCardle, która mierząc go wściekłym spojrzeniem i zaciskając wargi, plaskała zapamiętałe w dłonie, wyrażając aprobatę, której odmówiła mu wcześniej. Ujrzał Rona Cummingsa, który stał przy drzwiach biblioteki, trzymając w jednej ręce

monstrualnego drinka, a drugą otaczając ładną blondynkę i przyciskając mocno dłoń do wypukłości jej biustu. Cummings wyglądał na zatroskanego, lecz niezbyt zaskoczonego. W końcu był to tylko ciąg dalszy kłótni z „Grill–Baru Stone Country”, prawda?

Pozwolisz temu spasionemu gnojowi wystawić się za próg jak bezdomny kot?

Gardener postanowił, że nie pozwoli.

Z całej siły zamachnął się lewą ręką do tyłu.

Łokieć trafił Arberga w klatkę piersiową. Gardener miał wrażenie, jakby rąbnął w miszkę wyjątkowo dobrze stężącej galaretki.

Arberg wydał zduszony krzyk i puścił Gardenera, który odwrócił się, zwijając dłonie w pięści, gotów uderzyć Arberga, gdyby ten próbował znowu go złapać, gdyby próbował go nawet dotknąć. W pewnym sensie miał nawet nadzieję, że Argleberg zechce się z nim bić.

Jednak napakowany sukinsyn nie zdradzał najmniejszej ochoty do bitki. Najwyraźniej porzucił także zamiar wystawienia Gardenera za próg. Przyciskał dłonie do piersi gestem egzaltowanego aktora szykującego się do odśpiewania kiepskiej arii. Jego twarz straciła ceglastą barwę, choć na policzkach pozostały ślady rumieńców. Grube wargi Arberga ułożyły się w literę O, potem rozluźniły się, znowu ułożyły się w O, i znowu rozluźniły.

— ...serce... — wyrzeźił.

— Jakie serce? — spytał Gardener. — Chcesz powiedzieć, że masz serce?

— Atak... serca — rzeźił Arberg.

— Atak serca, gówno prawda — rzekł Gardener. — Jeżeli cokolwiek ucierpiało, to nie twoje serce, ale najwyżej poczucie przyzwoitości. Zresztą zasłużyłeś sobie na to, skurwysynu.

Minał Arberga, który wciąż stał w pozie śpiewaka, przyciskając ręce do lewej strony klatki piersiowej, gdzie wylądował łokieć Gardenera. W drzwiach między korytarzem a jadalnią tłoczyli się ludzie; cofnęli się pospiesznie na widok zbliżającego się Gardenera, który przeszedł między nimi, zmierzając do drzwi wyjściowych.

Zza jego pleców dobiegł kobiecy wrzask:

— Wynoś się, słyszysz? Wynoś się, kanalio! Wynoś się stąd! Nie chcę cię już więcej widzieć!

Jędzowaty, histeryczny głos był tak niepodobny do typowego dla Patricii McCardle mruczenia (stalowe pazury chowała głęboko między aksamitnymi poduszczkami), że Gardener przystanął. Odwrócił się... i zakołysał, gdy wymierzyła mu siarczysty policzek, od którego łzy stanęły mu w oczach. Jej twarz wykrzywiał grymas wściekłości.

— Powinam była od razu wiedzieć — wydyszała. — Jesteś tylko nędznym, zapijaczonym chamem — kłótniawą, opętaną, zwyrodniałą kreaturą. Ale załatwię cię. Zrobię to. Dobrze wiesz, że potrafię.

— Och, Patty, nie wiedziałem, że tak ci na mnie zależy powiedział. — Jak miło z twojej strony. Całe lata czekałem, żebyś mnie załatwiła. Pójdziemy na górę czy sprawimy wszystkim przyjemność i zrobimy to na dywanie?

Ron Cummings, który przysunął się bliżej całej akcji, parsknął śmiechem. Patricia McCardle obnażyła zęby. Jej ręka znowu wystrzeliła, tym razem trafiając Gardenera w ucho.

Powiedziała cicho, lecz tak, żeby słyszeli ją wszyscy w pokoju:

— Nie powinam się spodziewać niczego lepszego po człowieku, który strzela do własnej żony.

Gardener rozejrzał się, dostrzegł Rona i rzekł:

— Przepraszę cię na chwilę.

Wyjął Ronowi szklanekę z dłoni, po czym szybkim, płynnym ruchem zahaczył dwa palce o dekolt czarnej sukienki McCardle — elastyczny materiał dał się rozciągnąć bardzo łatwo — i wlał tam całą whisky.

— Na zdrowie, skarbie — rzekł i ruszył w kierunku wyjścia.

Uznał, że to najlepsza kwestia pożegnalna, na jaką go stać w tych okolicznościach.

Arberg wciąż stał jak wryty z pięściami przyciśniętymi do piersi, składając usta w O i rozkładając.

— ...serce... — wyrzeźbił znów do Gardenera — Gardenera lub kogokolwiek, kto zechciałby go słuchać. W sąsiednim pokoju Patricia McCardle krzyczała piskliwie:

— Nic mi nie jest! Nie dotykajcie mnie! Zostawcie mnie! Nic mi nie jest!

— Hej, ty!

Gdy na dźwięk tego głosu Gardener odwrócił się, pięść Teda trafiła go w policzek. Gardener poleciał przez korytarz, zataczając się i czepiając rękami ściany, by utrzymać równowagę. Potrącił stojak na parasole, wywracając go, a na koniec zderzył się z drzwiami wyjściowymi z taką siłą, że zadygotały szyby w okienku nad nimi.

Ted szedł korytarzem krokiem rewolwerowca.

— Moja żona jest w łazience. Dostała przez ciebie napadu hysterii i jeżeli nie wyniesiesz się stąd w tej chwili, poprzetrącam ci gnaty.

Ciemność eksplodowała jak wypełniony cuchnącym gazem wór pełen gnijących flaków.

Gardener chwycił jeden z parasoli — złożony, długi i czarny parasol prawdziwego angielskiego lorda. Natarł na Teda, na tego gościa, który doskonale wiedział, o jaką stawkę tu się gra, ale który mimo to brnął w to gównu, czemu nie, zostało do spłacenia siedem rat za datsuna Z i osiemnaście za dom, więc czemu nie? Dla Teda sześćset procent więcej zachorowań na białaczkę to tylko fakt, który może zdenerwować jego żonę. Ted, pocziwy Ted, miał szczęście, że w stojaku na korytarzu nie było strzelb myśliwskich tylko parasole.

Ted patrzył na Gardenera szeroko otwartymi oczami, rozdziawiając w zdumieniu usta. Rumieniec gniewu ustąpił miejsca niepewności i lękowi — lękowi, który ogarnia nas, gdy zdajemy sobie sprawę, że mamy do czynienia z kompletnie irracjonalną istotą.

— Hej...!

— *Caramba*, gnojku! — wrzasnął Gardener. Pomachał parasolem, po czym dźgnął nim Teda Energetyka w brzuch.

— Hej! — sapnął Ted, zginając się wpół, — Przestań!

— *Andale, andale!* — darł się Gardener, zaczynając okładać Teda parasolem — zamach i cios, zamach i cios, zamach i cios. Pasek, który przytrzymał parasol wokół uchwytu, rozpiął się. Parasol nadal był zamknięty, ale uwolnione druty rozchyliły się nieco. — *Arriba, arriba!*

Ted był zbyt wytrącony z równowagi, by myśleć o ponowieniu ataku, by myśleć o czymkolwiek innym poza ucieczką. Odwrócił się i wziął nogi za pas. Gardener gonił go, rechocząc i waląc go parasolem po głowie i karku. Śmiał się... ale nie było w tym nic zabawnego. Wcześniejsze poczucie zwycięstwa szybko go opuszczało. Co to za zwycięstwo pokonać kogoś takiego w dyskusji, nawet na chwilę? Albo doprowadzić do łez jego żonę? Albo pobić go złożonym parasolem? Czy w ten sposób przeszkodzi w uruchomieniu elektrowni Iroquois w maju przyszłego roku? Czy w ten sposób ocali to, co zostało mu z marnego życia, albo czy zabije tasiemce, które kłębiły się w jego wnętrzu, rosnąc i pożerając wszystko, co zostało w nim nietknięte obłędem?

Nie, oczywiście, że nie. Jednak w tym momencie liczył się tylko bezmyślny atak... bo tylko on mu pozostał.

— *Arriba*, kanalio! — krzyknął, wbiegając za Tedem do jadalni.

Ted wymachiwał rękami nad głową; wyglądał, jakby atakowało go stado nietoperzy. Rzeczywiście, tłukący go metodycznie parasol mógł wyglądać trochę nietoperzowato.

— Na pomoc! — pisnął Ted. — Na pomoc, ten facet oszalał!

Ale wszyscy cofali się w przerażeniu.

Ted zawadził biodrem o róg bufetu. Stół przechylił się na bok i do przodu, srebra zsunęły się po przechylonej płaszczyźnie zmarszczonego obrusu, talerze wylądowały z trzaskiem na

podłodze. Kryształowa waza do ponczu wybuchła jak bomba, a potem rozległ się kobiecy wrzask. Stół kołysał się przez chwilę niepewnie i w końcu runął.

— Na pomoc! Na poomoooc!

— *Andale!* — Gardener wymierzył Tedowi szczególnie mocny cios w głowę. Zwolnił się zaczep i parasol wystrzelił z głuchym szszszp! Gardener wyglądał jak szalona Mary Poppins ścigająca Teda Energetyka z parasolem w dłoni. Dopiero potem miało się okazać, że otwarcie parasola w domu miało mu przynieść pecha.

Czyjeś ręce złapały go od tyłu.

Obrócił się na pięcie, spodziewając się zobaczyć Arberga, który doszedł do siebie po nagłym urazie poczucia przyzwoitości i postanowił jeszcze raz spróbować wykopać go za drzwi.

Nie był to jednak Arberg. To był Ron. Wciąż wydawał się spokojny — lecz w jego twarzy było coś strasznego. Współczucie? Tak, Gardener był tego pewien.

Nagle uznał, że nie potrzebuje już parasola. Odrzucił go na bok. W jadalni panowała cisza i słychać było tylko szybki oddech Gardenera i ciężkie, urywane posapywanie Teda. Wywrócony stół leżał w stosie zmiętej tkaniny, skorup naczyń i rozbitych kryształów. Od woni rozlanego rumowego ponczu łzawiły oczy.

— Patricia McCardle dzwoni po policję — powiedział Ron. — Jesteśmy w Back Bay, więc gliny zjawią się bardzo szybko. Lepiej spadaj stąd, Jim.

Gardener rozejrzał się i zobaczył grupki gości stojących pod ścianami i w drzwiach, którzy przyglądali mu się z przestachem. Jutro nie będą już pamiętać, czy poszło o energię jądrową, Williama Carlosa Williama czy o kwestię, ile aniołów może zatańczyć na główce szpilki, pomyślał. Połowa z nich będzie mówiła drugiej połowie, że przystawiałem się do jego żony. Strzelający do własnych żon figlarz Jim Gardener, oszalał i stłukł faceta na kwaśne jabłko parasolem. Wcześniej wylał pół kwarty chivas regal na tycie cycki kobiety, która dała mu zajęcie, gdy był bez pracy. Energia jądrowa, co to ma do rzeczy?

— Co za sakramencki bajzel — wychrypiął do Rona.

— Cholera jasna, przez kilka lat będą o tym mówić — odparł Ron. — Najlepszy wiersz, jaki w życiu słyszeli, a potem najlepszy rozpieprz przyjęcia, jaki w życiu widzieli. Idź już. Zabieraj dupę w troki do Maine. Zadzwoń.

Zapłakany Ted Energetyk usiłował rzucić się na niego. Powstrzymało go dwóch młodych ludzi — jednym z nich był barman.

— Do widzenia — powiedział Gardener do zbitych w grupki gości. — Dziękuję za uroczy wieczór.

Podszedł do drzwi i odwrócił się.

— Gdybyście zapomnieli o całej reszcie, pamiętajcie o białaczce i dzieciach. Pamiętajcie...

Ale zapamiętajają tylko, jak okładał Teda parasolem. Widział to w ich twarzach.

Gardener skinął głową i poszedł korytarzem do wyjścia, mijając po drodze Arberga, który wciąż stał z rękami przy piersi, zaokrąglając i rozluźniając wargi. Gardener nie oglądał się za siebie. Kopnął na bok rozsypane parasole, otworzył drzwi i wyszedł w noc. Nigdy w życiu nie miał większej ochoty na drinka i przypuszczał, że chyba znalazł coś do picia, bo właśnie wtedy wpadł prosto do brzucha wielkiej ryby i nieodwołalnie urwał mu się film.

Krótko po świcie czwartego lipca 1988 roku Gardener obudził się — w każdym razie się ocknął — w pobliżu końca kamiennego falochronu ciągnącego się w głąb Atlantyku niedaleko Wesołego Miasteczka Arcadia w Arcadia Beach, w stanie New Hampshire. Jednak wtedy Gardener o tym nie wiedział. W ogóle niewiele wiedział; poza tym, jak się nazywa, był świadomy faktu, że cierpi potworne męczarnie fizyczne, oraz nieco mniej ważnego faktu, że w nocy chyba omal się nie utopił.

Leżał na boku ze stopami w wodzie. Przypuszczał, że gdy przydryfował tu wieczorem, wyciągnięto go z wody, ale widocznie we śnie odwrócił się, zsunął odrobinę po spadzistej północnej stronie falochronu... a teraz zbliżał się przypyływ. Gdyby obudził się pół godziny później, mógł pewnie po prostu spłynąć z kamieni falochronu jak statek, który utknął na mieliźnie, lecz spływa na fali z piaszczystej łachy.

Miał na nodze jeden mokasyn, ale but wysechł, zrobił się pomarszczony i był do niczego. Gardener zrzucił go i przyglądał się apatycznie, jak odpływa w zieloną dal. Homary będą miały do czego srać, pomyślał i usiadł.

Głowę przeszła mu błyskawica intensywnego bólu i przez chwilę myślał, że dostał udaru, przeżył noc na falochronie, by nazajutrz rano umrzeć na zator.

Ból trochę osłabł, a w szarej mgle, w której się rozplątał, znów pojawił się świat. Gardener zdawał sobie sprawę ze swego żalosego stanu, który Bobbi Anderson niewątpliwie określiłaby jako „doznanie całego ciała”. „Rozkoszuj się doznaniami całego ciała, Jim. Co może być lepsze od tego, jak się czujesz po nocy spędzonej w oku cyklonu?”

Po nocy? Jednej nocy?

Nie, skarbie. To był ciąg. Prawdziwy pieprzony ciąg.

Miał wzdęty brzuch, a w ustach czuł kwaśny smak. Gardło i okolice ust i nosa oblepiały mu płaty zaskorupiałych rzygowin. Spojrzał w lewo i oczywiście tuż nad sobą, czyli tam gdzie pewnie wcześniej leżał, zobaczył czytelny podpis pijaka — wielką kałużę wysychających wymiocin.

Gardener brudną i drżącą dłonią otarł nos — na palcach zobaczył grudki zeschłej krwi. Miał krwotok z nosa. Od wypadku na nartach, który miał w wieku siedemnastu lat w Sunday River, zdarzało mu się to od czasu do czasu. Kiedy pił, mógł być prawie pewien, że z nosa polecą mu krew.

Po wszystkich swoich poprzednich popijawach — a teraz poszedł na całość pierwszy raz od prawie trzech lat — Gardener czuł się tak samo jak w tej chwili: owszem, dudniło mu w głowie, żołądek przypominał skręconą gąbkę nasączoną kwasem, wszystko go bolało i drżały mu mięśnie, ale ogarnęła go również niemoc, która sięgała znacznie głębiej. Nie można by jej nawet nazwać depresją — było to poczucie całkowitego nieszczęścia.

Tym razem było gorsze niż kiedykolwiek, gorsze nawet od depresji, jaka nastąpiła po Słynnym Ciągu Święta Dziękczynienia 1980 roku, tym, który zakończył jego karierę nauczycielską oraz małżeństwo. O mało nie zakończył też życia Nory. Gardener ocknął się wtedy w więzieniu okręgowym Penobscot. Przed celą siedział zastępca szeryfa, czytając czasopismo „Crazy” i dłubiąc w nosie. Dopiero później Gardener dowiedział się, że we wszystkich oddziałach policji dobrze wiedzą, że nałogowi opoje często kończą dłuższe tango z głęboką depresją. Jeżeli więc mają kogoś pod ręką, stawiają go, aby miał na ciebie oko, żebyś nie sfiksował... przynajmniej dopóki nie złożysz kaucji i nie zdejmiesz z siebie rzeczy należących do okręgu.

— Gdzie jestem? — zapytał Gardener.

— A jak sądzisz? — odpowiedział pytaniem zastępca szeryfa. Spojrzał na wielkiego zielonego gila, którego przed chwilą wyciągnął z nosa, a potem wolno i z widoczną przyjemnością przykleił go do podeszwy buta i rozgniół na ciemnej, brudnej podłodze. Gardener nie potrafił oderwać oczu od tej czynności: rok później napisał o tym wiersz.

— Co zrobiłem?

Poza pojedynczymi obrazami dwa poprzednie dni spowijała nieprzenikniona ciemność. Obrazy były zupełnie od siebie oderwane, jak niepewne przebłyski słońca prześwitujące między pędzącymi chmurami, gdy nadciąga burza. Podawał Norze filiżankę herbaty, potem zaczynał jej prawie kazanie o elektrowniach jądrowych. *Ave nukea eterna*. Kiedy umrze, jego ostatnim słowem na tym popieprzonym świecie nie będzie „pączek róży”, tylko „energia nuklearna”. Pamiętał, jak upadł na podjeździe przed domem. Jak dostał zamówioną pizzę i był tak pijany, że kawałki roztopionego sera wpadały mu za koszulę, parząc skórę na piersi. Pamiętał, jak dzwonił do Bobbi. Dzwonił i coś do niej bełkotał, coś okropnego. A Nora krzyczała. Krzyczała?

— Co zrobiłem? — spytał niespokojnie.

Zastępca szeryfa patrzył na niego przez chwilę z nieskrywaną pogardą.

— Strzeliłeś do żony. To zrobiłeś. Nieźle, kurwa, co?

Zastępca szeryfa wrócił do lektury „Crazy”.

Wtedy było źle; teraz było gorzej. Uczucie bezdennej pogardy dla samego siebie, potworna pewność. Zrobiłeś coś złego i nic nie pamiętasz. I nie chodziło o za dużo lampek szampana w sylwestra, gdy nałożyłeś na głowę abażur, który ciągle opadał ci na oczy, kiedy tańczyłeś po całym pokoju, a wszyscy obecni (z wyjątkiem twojej żony) sądzili, że to najzabawniejsza rzecz, jaką w życiu widzieli. Chodziło o tak zabawne rzeczy jak pobicie dyrekcji wydziału. Albo strzelanie do żony.

Tym razem było gorzej.

Jak mogło być coś gorszego od sprawy z Norą?

Coś. Na razie za bardzo bolała go głowa, by mógł spróbować odtworzyć ostatni nieznany okres swego życia.

Siedząc z rękami na kolanach i zwieszoną głową, Gardener patrzył w wodę, na unoszące się łagodnie fale, które sunęły w jego stronę. Gdy się cofały, widział pąkle i śliskie zielone wodorosty. Nie... to nie były wodorosty. Zielony szlam... śluz. Jak smarki.

Strzeliłeś do żony. Nieźle, kurwa, co?

Ból pulsował okropnie i Gardener zamknął oczy. Po chwili je otworzył.

Skacz, zachęcił go cichy głos. Do dupy z tym wszystkim, po co dalej tkwić w tym gównie? Mecz przerwany po drugiej zmianie w pierwszej rundzie. Z powodu deszczu. Przełożony na przyszłość, gdy Wielkie Kolo Karmy obróci się w kolejne życie... albo w jeszcze następne, gdybym przyszele musiał za karę spędzić jako żuk gnojowy czy coś w tym rodzaju. Daj spokój, Gard, zwiń interes. W tym stanie od razu dostaniesz skurczu w obu nogach i szybko będzie po wszystkim. I tak musiałbyś gnić w celi. No już, skacz.

Wstał i kołysał się na skałach, spoglądając w wodę. Wystarczyło zrobić jeden duży krok. Mógłby to zrobić we śnie.

Cholera, o mało tego nie zrobił.

Jeszcze nie. Najpierw chcę porozmawiać z Bobbi.

Część jego duszy, która wciąż trochę chciała żyć, uczepiła się kurczowo tej myśli. Bobbi. Bobbi chyba jako jedyna osoba z jego dawnego życia pozostała cała i zdrowa. Bobbi mieszkała w Haven, pisała swoje westerny, wciąż była normalna i wciąż pozostawała jego przyjaciółką, choć już nie kochanką. Ostatnią przyjaciółką.

Najpierw chcę porozmawiać z Bobbi, dobra?

Po co? Żebyś na koniec jej też próbował spieprzyć życie? Bóg ci świadkiem, że mocno się o to starałeś. Przez ciebie jest już notowana i na pewno ma już własną teczkę w FBI. Nie wciągaj w to Bobbi. Skacz i przestań się opieprzać.

Przechylił się w przód i naprawdę niewiele brakowało, żeby to zrobił. Część jego duszy, która chciała jeszcze żyć, nie miała już żadnych argumentów, żadnego pomysłu, by grać na zwłokę. Mogłaby mu szepnąć, że przez ostatnie trzy lata był mniej więcej trzeźwy, że odkad w 1985 roku aresztowano jego i Bobbi w Seabrook, nie urywał mu się film. Jednak te argumenty były niewiele warte. Jeśli nie liczyć Bobbi, został zupełnie sam. Myśli prawie cały czas kłębiły mu się w głowie, uparcie wracając — nawet gdy był trzeźwy — do energii jądrowej. Gardener zdawał sobie sprawę, że jego wcześniejsze zaniepokojenie i gniew przerodziły się w prawdziwą obsesję... ale wiedza o tym nie oznaczała rehabilitacji. Popsuła się jego poezja. Popsuło mu się w głowie. Najgorsze ze wszystkiego było jednak to, że kiedy nie pił, miał ochotę pić. *Ból już w ogóle nie ustępuje. Przypominam bombę, która szuka sobie miejsca, żeby wybuchnąć. Czas się rozbroić.*

No, dobra. Dobra. Zamknął oczy i przygotował się.

Wtedy ogarnęło go dziwne przeświadczenie, silne przeczucie, graniczące z jasnowiedzeniem. Poczul, że to Bobbi chce z nim porozmawiać, bardziej niż on z nią. I że to nie jest żaden figiel, jaki płata mu zmacony umysł. Bobbi naprawdę ma kłopoty. Poważne kłopoty.

Otworzył oczy i rozejrzał się jak ktoś wyrwany z głębokiego zamroczenia. Znajdzie telefon i zadzwoni do niej. Nie powie: „Cześć, Bobbi, znowu urwał mi się film” i nie powie:

„Bobbi, nie wiem, gdzie jestem, ale tym razem nie powstrzyma mnie żaden dłubiący w nosie zastępca szeryfa”. Powie do niej: „Hej, Bobbi, co u ciebie?”, a gdy usłyszy, że u niej wszystko w najlepszym porządku, że właśnie bierze udział w strzelaninie z bandą Jessego Jamesa w Northfield albo ucieka z Butenem Cassidym i Sundancem Kidem w głąb terytoriów, a tak w ogóle to co u ciebie, stary, Gard odpowie jej, że świetnie i dla odmiany pisze coś dobrego, zamierza skoczyć na trochę do Vermontu odwiedzić przyjaciół. Potem wróci na koniec falochronu i skoczy. Nic takiego, po prostu walnie brzuchem w powierzchnię wody i w ten sposób znajdzie się po tamtej stronie życia. To by nawet pasowało; w końcu po tej stronie poruszał się z podobną gracją. Ocean był tu jakiś miliard lat. Poczekaj jeszcze pięć minut.

Ale żadnego wyżalania się przed nią, słyszysz? Obiecuj to, Gard. Żadnych płaczów i mazgajstwa. Masz być jej przyjacielem, a nie męskim odpowiednikiem tej pindy, jej siostruni. Żadnego cholernego lamentu.

Bóg świadkiem, że złamał już w życiu wiele obietnic w tym parę tysięcy złożonych samemu sobie. Ale tej dotrzyma.

Niezgrabnie wspiął się na szczyt falochronu. Na jego nierównej i kamienistej powierzchni łatwo było złamać nogę w kostce. Rozejrzał się apatycznie, szukając swojej sfatygowanej brązowej torby, którą zawsze brał ze sobą w trasy i na każdą wędrowkę. Podejrzewał, że utknęła gdzieś między kamieniami. Nie było jej. Torba była jego starym zaprawionym w bojach towarzyszem, znoszonym i sfatygowanym, pamiętającym jeszcze ostatnie burzliwe lata jego małżeństwa, którego zdołał zatrzymać, choć stracił wszystkie cenne rzeczy. Cóż, teraz zniknęła także torba. Ubrania, szczoteczka do zębów, mydło w plastikowej mydelniczce, paczuszka kawałków suszonego mięsa (czasem Bobbi dla rozrywki suszyła mięso w swojej szopie), dwudziestodolarowy banknot schowany pod dnem torby... i oczywiście niepublikowane wiersze.

O wiersze martwił się najmniej. Te napisane w ciągu kilku ostatnich lat, którym nadał niesłychanie dowcipny i optymistyczny tytuł „Cykl promieniowania”, złożył u pięciu różnych wydawców i wszyscy je odrzucili. Jeden anonimowy redaktor napisał: „Poezja i polityka

rzadko idą ze sobą w parze; poezja i propaganda nigdy”. Wiedział, że w tym króciutkim kazaniu tkwi prawda... mimo to nie potrafił przestać.

Tak, przyływ okazał się dla nich cenzurą ostateczną. Idź, i ty czyn podobnie, pomyślał i powlókł się wolno wzdłuż falochronu, kierując się w stronę plaży i myśląc, że jego marsz do miejsca, gdzie się zbudził, musiał wyglądać lepiej od najniebezpieczniejszych numerów cyrkowych. Szedł, mając za plecami wschód słońca, którego ogromny czerwony okrąg wyłaniał się z Atlantyku. Przed sobą widział swój wydłużony cień i ubranego w dżinsy i koszulkę dzieciaka na plaży, który detonował serię petard.

2

Cud: jego torba wcale nie zginęła. Leżała do góry dnem na plaży, tuż nad linią przyływu. Była rozpięta i Gardener pomyślał, że wygląda jak wielki skórzany pysk wgryzający się w piasek. Podniósł ją i zajrzał do środka. Wszystko zniknęło. Nawet wystrzępione majtki. Wyciągnął dno torby ze sztucznej skóry. Dwadzieścia dolców też zniknęło. Złudzenia uleciały jak sen.

Gardener rzucił torbę. Wszystkie trzy jego notatniki leżały na plaży trochę dalej. Jeden stał na okładkach jak namiot, drugi utknął tuż pod linią przyływu, namókł i rozmiarem przypominał już książkę telefoniczną, a kartki trzeciego przewracał od niechcienia wiatr. Nie warto się przejmować, pomyślał Gardener. Same bździny.

Chłopak z petardami ruszył w jego stronę... ale nie podszedł za blisko. Chce mieć drogę ucieczki, gdyby się okazało, że naprawdę jestem takim dziwakiem, na jakiego wyglądam, pomyślał Gardener. Sprytny dzieciak.

— To pana rzeczy? — zapytał chłopak. Obrazek na jego koszulce przedstawiał faceta dmuchającego najedzenie. Napis brzmiał: OFIARA SZKOLNYCH LUNCHÓW.

— Tak — odrzekł Gardener. Pochylił się i podniósł rozmokły notatnik, popatrzył na niego przez chwilę, a potem cisnął z powrotem do wody.

Chłopak podał mu tamte dwa. Co miałby mu powiedzieć? *Nie warto zawracać sobie głowy, mały? Te wiersze są do kitu, mały? Poezja i polityka rzadko idą ze sobą w parze, poezja i propaganda nigdy?*

— Dzięki — powiedział.

— Nie ma sprawy. — Chłopak przytrzymał mu torbę, by Gardener mógł wrzucić do środka dwa suche notatniki. Dziwne, że w ogóle coś zostało. W lecie pełno tu doliniarzy. Chyba przez miasteczko.

Pokazał kciukiem za siebie i Gardener zobaczył na tle nieba sylwetkę kolejki górskiej. W pierwszej chwili pomyślał, że zanim padł na falochronie, w pijackim widzie ruszył na północ i dotarł aż do Old Orchard Beach. Gdy przyjrzał się uważniej, zmienił zdanie. Nie było mola.

— Gdzie jestem? — zapytał Gardener, odnosząc wrażenie, że niesamowitym zrządzeniem losu wrócił do więziennej celi i dłubiącego w nosie zastępcy szeryfa. Przez chwilę był pewien, że chłopak odpowie: „A jak ci się wydaje?”.

— W Arcadia Beach. — Chłopak patrzył na niego z mieszaniną rozbawienia i pogardy. — Musiał pan nieźle dać w gaz w nocy.

— W nocy, gdy cały dom już śpi — wyrecytował Gardener trochę schrypniętym i trochę demonicznym głosem — Stukostrachy, Stukostrachy stukają do drzwi.

Chłopiec wlepił w niego zdumione spojrzenie... i nieoczekiwanie, ku jego radości, dokończył dwuwierszem, którego Gardener nigdy nie słyszał:

— Chciałbym stąd uciec, lecz boję się, że Stukostrach zabierze mnie.

Gardener uśmiechnął się szeroko... ale uśmiech zmienił się w grymas bólu.

— Skąd to znasz, mały?

— Mama mi mówiła. Jak byłem dzieckiem.

— Ja też słyszałem o Stukostrachach od matki — rzekł Gardener. — Ale nigdy nie mówiła tej drugiej części.

Chłopak wzruszył ramionami, jak gdyby zupełnie stracił zainteresowanie tematem, jeśli w ogóle się nim zainteresował.

— Zmyślała różne rzeczy. — Posłał mu badawcze spojrzenie. — Boli pana?

— Mały — powiedział Gardener, pochylając się nad nim z poważną miną. — By użyć nieśmiertelnych słów Eda Sandersa i Tuli Kupferberga, czuję się jak gównu domowej roboty.

— Wygląda pan, jakby pił od dawna.

— Tak? Skąd wiesz, jak się wtedy wygląda?

— Widziałem mamę. Zawsze mówiła śmieszne rzeczy jak to o Stukostrachach albo miała takiego kaca, że w ogóle nie mogła mówić.

— Przestała pić?

— Tak. Wypadek samochodowy.

Nagle Gardener dostał dreszczy. Chłopiec wyglądał, jakby tego nie zauważył; wpatrywał się w niebo, śledząc lot mewy. Ptak krążył po niebieskim porannym niebie, po którym płynęły delikatne baranki. Na chwilę zmienił się w czarny kształt, przecinając unoszące się czerwone oko słońca, a potem wylądował na falochronie, gdzie zaczął dziobać coś, co mewy uważają zapewne za przysmak.

Gardener oderwał wzrok od mewy i spojrzał na chłopaka. Wszystko zdecydowanie zaczynało nabierać znamion jakiejś przepowiedni. Chłopak znał bajkowe Stukostrachy. Ile dzieci je znało i jakie było prawdopodobieństwo, że Gardener natknie się na dzieciaka, który (a) słyszał o Stukostrachach i (b) stracił matkę przez alkohol?

Chłopak sięgnął do kieszeni i wyciągnął garść petard. Słodki ptak młodości, pomyślał Gardener, uśmiechając się.

— Chce pan parę odpalić? Z okazji czwartego? Może się pan trochę rozchmurzy.

— Czwartego? Czwartego lipca? Jest Święto Niepodległości?

Chłopak uśmiechnął się kpiąco.

— Pewnie, że nie święto sadzenia drzew.

Dwudziesty szósty czerwca był... policzył wstecz. Chryste panie. Osiem dni okrywał mrok. Właściwie... niezupełnie. Tak byłoby lepiej. Ale ciemność zaczynały przecinać promienie światła, wydobywając z niej niezbyt miłe rzeczy. Nabierał przekonania, że — znowu — wyrządził komuś krzywdę. Czy chciał wiedzieć, kto

(arglebargle)

to był i co jej lub mu zrobił? Prawdopodobnie nie. Najlepiej zadzwonić do Bobbi i skończyć ze sobą, zanim sobie przypomni.

— Proszę pana, skąd ma pan bliznę na czole?

— Jeździłem na nartach i zderzyłem się z drzewem.

— Pewnie bolało.

— Tak, było gorzej niż teraz, ale nie za bardzo. Wiesz, gdzie jest jakiś automat telefoniczny?

Chłopak wskazał ekscentryczną rezydencję z zielonym dachem niedaleko plaży, która stała w odległości mniej więcej mili od nich. Budynek wznosił się na kruszącym się granitowym cyplu i wyglądał jak wzięty z okładki taniego wydania powieści gotyckiej. To musiał być jakiś hotel. Gardener pogrzebał w pamięci i po chwili wydobył z niej jego nazwę.

— To jest Alhambra, prawda?

— Jedyna i niepowtarzalna.

— Dzięki — powiedział i ruszył w stronę budynku.

— Proszę pana?

Odwrócił się.

— Nie chce pan tego ostatniego zeszytu? — Chłopak wskazał mokry notatnik leżący na linii przyływu. — Mógłby go pan wysuszyć.

Gardener pokręcił głową.

— Mały — powiedział — wystarczy, że wysuszam każde szkło.

— Na pewno nie chce pan odpalić petardy?

Gardener znów pokręcił głową z uśmiechem.

— Bądź z nimi ostrożny, dobrze? Ludzie robią sobie krzywdę wybuchającymi rzeczami.

— Dobrze. — Uśmiechnął się trochę nieśmiało. — Moja mama często to robiła, zanim no wie pan...

— Wiem. Jak masz na imię?

— Jack. A pan?

— Gard.

— Wszystkiego najlepszego z okazji czwartego lipca, Gard.

— Wszystkiego najlepszego, Jack. I uważaj na Stukostrachy.

— Które stukają do drzwi — przytaknął z powagą chłopak, spoglądając na Gardenera dziwnie porozumiewawczo.

Przez moment Gardenerowi zdawało się, że znów ma przecucie (*kto mógłby przypuszczać, że kac może tak sprzyjać nadprzyrodzonym emanacjom wszechświata?* — spytał gorzko sarkastyczny głos wewnętrzny). Nie wiedział, co właściwie przeczuwa, ale znowu zdjął go niepokój o Bobbi. Skinął chłopakowi ręką i zaczął brnąć plażą. Szedł szybkim, równym krokiem, mimo że piasek lepił się mu do stóp, usiłując go powstrzymać. Wkrótce zaczęło mu walić serce, a w głowie łomotało tak mocno, że miał wrażenie, jakby pulsowały mu gałki oczne.

Alhambra nie wydawała się znacząco zbliżać.

Zwolnij, bo inaczej dostaniesz ataku serca. Albo udaru mózgu. Albo jednego i drugiego.

Zwolnił... ale nagle przemknęło mu przez głowę, że to oczywisty absurd. Za jakieś piętnaście minut miał się utopić i nagle zaczynał przejmować się sercem. Jak w starym dowcipie, w którym skazaniec odmawia przyjęcia papierosa od dowódcy plutonu egzekucyjnego. „Próbuję rzucić” — mówi facet.

Gardener ponownie przyspieszył kroku, a pulsujący ból zaczął wybijać rytm układający się w melodię wiersza:

*W nocy, gdy cały dom już śpi
Stukostrachy, Stukostrachy stukają do drzwi.
Nim Stukostrachy przyszły, pamiętam
z nas dwojga to Bobbi nie była stuknięta.*

Przystanął. *O co chodzi z tymi Stukostrachami?*

Zamiast odpowiedzi usłyszał głęboki głos, przerażający i donośny jak krzyk nura nad pustym jeziorem, który powtórzył z uporem: *Bobbi ma kłopoty!*

Ruszył dalej, wpadając w poprzednie tempo... a potem przyspieszając jeszcze bardziej. Chciałby stąd uciec, pomyślał, lecz bojąc się, że Stukostrach zabierze mnie.

Zaczął się wspinać po zbiegających i niszczących schodach, które prowadziły z plaży do hotelu na cyplu. Otarł nos i zauważył, że znów zaczął krwawić.

3

W holu Alhambry Gardener spędził dokładnie jedenaście sekund — tyle wystarczyło recepcjonistce, by zauważyć, że nie ma butów. Recepcjonista dał znak krzepkiemu boyowi i mimo protestów Gardenera we dwóch wyrzucili go za drzwi.

Wykopaliby mnie, nawet gdybym miał buty, pomyślał Gardener. Cholera, sam bym się wykopał.

Wcześniej dobrze przyjrzał się swojemu odbiciu w szybie drzwi holu. Aż za dobrze. Zdołał zetrzeć rękawem prawie całą krew z twarzy, lecz pozostały po niej widoczne ślady. Miał przekrwione, spoglądające tępo oczy. Tygodniowy zarost upodabniał go do jeżozwierz, którego ostrzyżono przed sześcioma tygodniami. W dystyngowanym świecie Alhambry, gdzie mężczyźni byli mężczyznami, a kobiety nosiły tenisowe spódniczki, wyglądał jak bezdomny, który cały dobytek nosi w torbach.

W hotelu wstało jeszcze niewielu gości — na razie same ranne ptaszki — więc boy poświęcił trochę swego cennego czasu, by poinformować Gardenera, że najbliższy automat telefoniczny jest na stacji Mobil.

— Skrzyżowanie US 1 i drogi numer 26. A teraz spadaj stąd w cholere, zanim zadzwonię na policję.

Jeśli chciał się dowiedzieć o sobie czegoś nowego, ujrzał to w oczach krzepkiego boya, w których malowało się obrzydzenie.

Gardener powlókł się ciężko w dół wzniesienia w stronę stacji benzynowej. Skarpetki szurały i miękko plaskały o asfalt. Jego serce uderzało w rytmie krztuszącego się silnika forda model T, który przejechał wiele mil, ale rzadko zaglądał do niego mechanik. Czuł, jak ból głowy przesuwa się w lewo, gdzie na koniec skupiłby się w jednym palącym punkcie... gdyby Gardener planował tak długo żyć. Nagle znów miał siedemnaście lat.

W wieku siedemnastu lat nie miał obsesji na punkcie energii jądrowej, ale jądrem jego zainteresowania było ciupcianie. Dziewczyna miała na imię Annmarie, a on sądził, że niedługo uda mu się ją przelecieć, jeżeli nie straci zimnej krwi. Jeśli zachowa spokój. Może nawet dziś wieczorem. Zachowanie spokoju polegało jednak między innymi na tym, żeby niczego dziś nie schrzanić. Dziś i tu, czyli na Straight Arrow, średnio trudnej nartostradzie na stoku Victory Mountain w stanie Vermont. Patrzył na narty, powtarzając sobie w pamięci kolejność czynności przy hamowaniu pługiem, powtarzając, jakby czekał go egzamin, który chce zdać, wiedząc, że wciąż jeszcze słabo sobie radzi, a Annmarie całkiem nieźle, i nie przypuszczał, żeby była skłonna przystać na jego propozycję, gdyby od razu pierwszego dnia po zejściu z trasy dla początkujących wyglądał jak bałwanek; nie miał nic przeciwko temu, by sprawiać wrażenie trochę niedoświadczonego, jeśli nie wyjdzie na ostatniego głupka — tak więc gapił się na swoje narty zamiast na drogę przed sobą, na której stała wiekowa sękata sosna z namalowanym na korze ostrzegawczym czerwonym pasem; w uszach miał tylko świst wiatru i suchy szum śniegu pod nartami, które zlewały się w jeden kojący dźwięk: szszsz...

We wspomnienia wkradł się wierszyk, każąc mu zatrzymać się w pobliżu stacji Mobil. Wierszyk wrócił i pozostał, zestrajając swój rytm z pulsującym bólem głowy. *W nocy, gdy cały dom już śpi, Stukostrachy, Stukostrachy stukają do drzwi.*

Gard odchrząknął, poczuł w ustach niemiły, metaliczny posmak własnej krwi i splunął czerwonawą flegmą na zaśmiecony piasek pobocza. Przypomnił sobie, jak pytał matki, kim albo czym są Stukostrachy. Nie pamiętał już, co mu wtedy mówiła, jeśli w ogóle odpowiedziała, ale zawsze zdawało mu się, że to rozbójnicy, złodzieje, którzy kradną przy blasku księżyca, zabijają w ciemnościach i grzebią ofiary wśród najczarniejszej nocy. I zanim sen w końcu się nad nim zlitował i miłosiernie zamknął mu powieki, spędzał ciągnące się w nieskończoność i przerażające pół godziny, rozmyślając w ciemnościach sypialni, że może wcale nie są złodziejami, tylko kanibalami. Zamiast grzebać ofiary, mogą je gotować i... no...

Gardener objął się chudymi rękoma (w oku cyklonu nie było widocznie żadnych restauracji) i wstrząsnął nim dreszcz.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i znalazł się na stacji Mobil, która była udekorowana chorągiewkami, ale której jeszcze nie otwarto. Napisy na zewnątrz brzmiały: SUPER

BEZOŁOWIOWA 99 oraz NIECH BÓG BŁOGOSŁAWI AMERYKĘ i KOCHAMY WINNEBAGO! Telefon znajdował się na bocznej ścianie budynku. Gardener z ulgą zauważył, że to nowy aparat; można było wystukać numer zamiejscowy, nie wrzucając żadnych pieniędzy. Przynajmniej oszczędzi sobie upokorzenia i swego ostatniego poranka na ziemi nie spędzi na żebraniu.

Wcisnął zero, lecz zaraz musiał przerwać. Dłoń drżała mu gwałtownie, skacząc po całej klawiaturze. Przycisnął słuchawkę głową do ramienia, aby mieć wolne obie ręce. Lewą ręką chwycił za przegub prawej, opanowując jej dygot — w każdym razie w takim stopniu, w jakim się dało. Jak strzelec celujący do tarczy, palcem wskazującym uważnie i okropnie wolno wciskał po kolei właściwe klawisze. Głos automatu polecił mu albo wstukać numer jego telefonicznej karty kredytowej (Gard uznał, że to zadanie absolutnie przerastałoby jego możliwości, nawet gdyby miał taką kartę), albo wcisnąć zero, żeby połączyć się z dyżurnym telefonistą. Gardener wduśił zero.

— Dzień dobry, wszystkiego najlepszego z okazji Święta Niepodległości, mówi Eileen — zaszczebiotał głosik w słuchawce. — Proszę podać zamówienie.

— Dzień dobry, Eileen, wszystkiego najlepszego — rzekł Gard. — Chciałbym zadzwonić na koszt rozmówcy, Jim Gardener.

— Dziękuję, Jim.

— Proszę bardzo — powiedział, lecz nagle dodał: — Nie, zaczekaj. Powiedz, że dzwoni Gard.

Gdy telefon Bobbi w Haven zaczął dzwonić, Gardener odwrócił się i spojrzął na wschodzące słońce. Było jeszcze czerwiejsze niż wcześniej i wznosiło się w stronę gęstniejących i sunących coraz szybciej chmur, przypominając wielki okrągły pęczek. Widok słońca i chmur przypomniawszy mu jeszcze jeden wierszyk z dzieciństwa: *Gdy o zachodzie niebo czerwone, wtedy, żeglarzu, ciesz się. Kiedy o wschodzie ognista luna, wtedy, żeglarzu, strzeż się.* Gard nie znał się na czerwonym niebie o zachodzie czy o wschodzie, wiedział jednak, że te delikatne chmurki są niezawodnym zwiastunem deszczu.

Za dużo wierszyków jak na ostatni ranek na ziemi, pomyślał zirytowany, a potem: Obudzę cię, Bobbi. Obudzę cię, ale przyrzekam, że to się więcej nie powtórzy.

Po drugiej stronie nie było jednak Bobbi, którą mógłby zbudzić. Telefon dzwonił i tyle. Dzwonił... dzwonił... i dzwonił.

— Abonent się nie zgłasza — poinformowała go telefonistka, gdyby przypadkiem był głuchy albo na kilka sekund zapomniał, co robi i zamiast do ucha przyłożył sobie słuchawkę do tyłka. — Proszę spróbować później, dobrze?

Tak, może. Ale chyba za pośrednictwem tabliczki ouija, podczas seansu spirytystycznego, Eileen.

— Dobrze — odrzekł. — W każdym razie dzięki za dobre chęci.

— Dziękuję, Gard!

Odsunął słuchawkę od siebie, jakby go ugryzła, i spojrzął na nią zdumiony. Jej głos przez chwilę zabrzmiał tak podobnie do głosu Bobbi... tak bardzo...

Ponownie przyłożył słuchawkę do ucha i zdążył tylko powiedzieć:

— Dlaczego... — ale zorientował się, że wesola Eileen już się wyłączyła.

Eileen. Nie Bobbi, tylko Eileen.

Powiedziała do niego „Gard”. Przecież tylko Bobbi...

Nie, zaczekaj — rzekł do niej — *powiedz, że dzwoni Gard.*

Proszę bardzo. Masz sensowne wytłumaczenie.

Dlaczego jednak zdawało mu się inaczej?

Wolno odłożył słuchawkę. Stał na skraju stacji benzynowej Mobil w mokrych skarpetkach i skurczonych spodniach, z których wystawała koszula, i rzucał bardzo długi cień. Drogą numer 1 przejechała falanga motocyklistów, kierując się w stronę Maine.

Bobbi ma kłopoty.

Może jednak dasz sobie z tym spokój? Bzdura do kwadratu i na resorach, jak powiedziałaaby Bobbi. Ktoś ci powiedział, że do domu jeździ się tylko na święta Bożego Narodzenia? Pojechała do Utiki na czwartego lipca i tyle.

Tak, jasne. Prawdopodobieństwo, że Bobbi wróci na Święto Niepodległości do Utiki było mniej więcej takie jak możliwość, że Gard zgłosi się na staż w nowej elektrowni jądrowej otwieranej przez Bay State Electric. Siostra Anne uczciłaby zapewne święto, wpychając Bobbi kilka pocisków M-80 i podpalając je.

Może zaproszono ją, żeby prowadziła paradę — albo żeby prowadziła pościg szeryfa, cha, cha — w jednym z tych miasteczek na zachodzie, o których ciągle pisze. W Deadwood, Abilene, Dodge City czy gdzie indziej. Zrobiłeś, co mogłeś. Teraz skończ to, co zacząłeś.

Rozum nie próbował się sprzeciwić; i tak by sobie z nim poradził. Powtórzył tylko swój poprzedni komunikat: „Bobbi ma kłopoty”.

To tylko wymówka, śmierdzący tchórz.

Sądził jednak, że jest inaczej. Przeczucie wolno przechodziło w pewność. Bzdura do kwadratu czy nie, głos uparcie powtarzał, że Bobbi wpakowała się w prawdziwą kabałę. Gard przypuszczał, że może odłożyć na jakiś czas swoje sprawy osobiste, dopóki się nie przekona, jak jest naprawdę. Przecież niedawno powiedział sobie, że ocean nigdzie nie ucieknie.

— Może złapały ją Stukostrachy — powiedział głośno, a potem parsknął ochryplym śmiechem. Nie ma co, naprawdę wariował.

Szszsz...

Patrzy na swoje narty, na gładkie, brązowe kawałki drewna sunące po śniegu. Zaczął spoglądać w dół, żeby sprawdzić, czy prowadzi narty ładnie i równolegle, starając się nie wyglądać jak żółtodziób, który właściwie nie ma tu nic do roboty. Jest niemal zahipnotyzowany zawrotną szybkością nart i kryształowo błyszczącym śniegiem, którego pas szerokości sześciu cali przesuwa się między nimi. Nie zdaje sobie sprawy z tego stanu częściowej hipnozy, dopóki Annmarie nie zaczyna wrzeszczeć:

— Uważaj, Gard! Uważaj!

Jakby wyrwał się z płytkiej drzemki. Dopiero wtedy orientuje się, że był w półtransie, że o wiele za długo patrzył na lśniący biały pas.

— Krystiania! Gard! Krystiania! — wrzeszczy Annmarie.

Potem znów wrzeszczy, ale tym razem każe mu upaść — tak po prostu upaść? Chryste, przecież można sobie złamać nogę!

W ciągu kilku ostatnich sekund przed uderzeniem wciąż nie może zrozumieć, jakim cudem w tak krótkim czasie znalazł się w niebezpieczeństwie.

Udało mu się zjechać daleko na lewą stronę nartostrady. W odległości trzech jardów migają szaroniebieskie gałęzie sosen i świerków uginające się pod śniegiem. Przemyka kamień wystający ze śniegu; lewa narta mija go zaledwie o kilka cali.

Z panicznym przerażeniem zdaje sobie sprawę, że zupełnie stracił panowanie, zapomniał wszystko, czego nauczyła go Annmarie, wszystkich manewrów, które na stoku dla dzieci wydawały się takie łatwe.

A teraz pędzi z prędkością... dwudziestu mil na godzinę? Trzydziestu? Czterdziestu? Zimne powietrze szczypie go w twarz, a on widzi zbliżającą się coraz bardziej linię drzew na skraju nartostrady Straight Arrow. Zamiast prosto jak strzała, mknie po łagodnej przekątnej*. Łagodnej, lecz mimo to śmiertelnie niebezpiecznej. Widzi, że za chwilę zjedzie z trasy, a potem zatrzyma się, tak, na pewno zatrzyma się bardzo szybko.

Annmarie piszczy przeraźliwie, a on myśli: Krystiania? naprawdę to powiedziała? Nie potrafię nawet zahamować normalnym pługiem, a ona chce, żebym zrobił krystianię?

Próbuje skrócić w prawo, ale narty uparcie trzymają się linii prostej. Widzi już drzewo, z którym się zderzy, wielką wiekową sosnę. Wokół sękatego pnia wymalowano czerwony pas zupełnie niepotrzebny znak ostrzegawczy.

Znów próbuje skrócić, ale zapomniał, jak to się robi.

Drzewa potężnieją, zdają się pędzić prosto na niego, podczas gdy on stoi jak wryty; widzi ostre guzy, poszarpane kikuty gałęzi, na które może się nadziać, widzi nacięcia na korze, widzi zaschnięte krople w miejscu, gdzie farba spłynęła.

Annmarie znowu piszczy, a on słyszy własny wrzask.

Szszsz...

— Hej, panie! Nic panu nie jest?

Zaskoczony Gardener usiadł raptownie, spodziewając się, że ten gwałtowny ruch przypłaci dotkliwym bólem, rozsadzającym czaszkę. Nic takiego się jednak nie stało. Przez chwilę czuł

* Straight arrow — „prosta strzała” lub „porządny człowiek” (przyp. tłum.).

mdłości i zawroty głowy, zapewne z głodu, lecz ból ustąpił. Niepostrzeżenie minął, gdy Gardener spał — może nawet w momencie, gdy śnił mu się wypadek.

— Wszystko w porządku — powiedział, rozglądając się. Znów poczuł łomot w głowie — ale tym razem grzmotnął nią tylko w bęben. Dziewczyna w dżinsach z obciętymi nogawkami wybuchnęła śmiechem.

— Gra się na nim pałkami, nie głową. Coś pan mamrotałeś przez sen.

Stwierdził, że jest w furgonetce — i wszystkie kawałki układanki wskoczyły na swoje miejsce.

— Naprawdę?

— Tak. Nic dobrego.

— Bo to nie był dobry sen — odrzekł Gardener.

— Pociągnij sobie pan. — Dziewczyna podała mu skręta osadzonego w staromodnym trzymadełku: Richard Nixon w niebieskim garniturze pokazujący palcami obu rąk charakterystyczne V, którego prawdopodobnie nie pamiętali nawet najstarsi z piątki ludzi w furgonetce. — Gwarantowane wyleczenie ze wszystkich złych snów — dodała z powagą dziewczyna.

To samo mówili mi o gorzale, panienko, pomyślał. Czasem jednak kłamią. Uwierz mi. Czasem kłamią.

Przez grzeczność pociągnął odrobinę i niemal natychmiast zakręciło mu się w głowie. Oddał skręta dziewczynie, która siedziała oparta o przesuwane drzwi i rzekł:

— Wolałbym raczej coś zjeść.

— Mamy krakersy — odezwał się kierowca i podał mu pudełko. — Resztę zjedliśmy. Cholerny Beaver zeżarł nawet suszone śliwki. Przykro mi.

— Beaver wszystko by zeżarł — powiedziała dziewczyna w krótkich dżinsach.

Chłopak siedzący z przodu odwrócił się do nich. Był pulchny i miał dobroną, szeroką twarz.

— Nieprawda — powiedział. — Nie—pra—wda. Nigdy nie zeżarłbym swojej matki.

Wszyscy wybuchnęli niepohamowanym śmiechem, Gardener też. Kiedy już mógł mówić, rzekł:

— Krakersy mogą być, naprawdę.

I rzeczywiście. Z początku jadł wolno, niepewnie, uważnie obserwując swoje reakcje i czekając na oznaki buntu. Nic się jednak nie działo, zaczął więc jeść coraz szybciej i szybciej, wpychając w siebie krakersy pełnymi garściami przy akompaniamencie głośnych odgłosów wydawanych przez pusty żołądek.

Kiedy jadł ostatni raz? Nie wiedział. Chwila przepadła między klatkami urwanego firnu. Z doświadczenia wiedział, że kiedy pił na umór, zawsze jadł niewiele — a to, co próbował zjeść, zwykle lądowało mu na kolanach albo na koszuli. Przypomniał sobie tłustą pizzę, którą jadł — próbował jeść — w wieczór Święta Dziękczynienia 1980 roku. W dniu, w którym przestrelił Norze policzki.

...mógł pan też uszkodzić jeden lub obydwa nerwy wzrokowe! — wrzasnął mu nagle w głowie wściekły głos adwokata Nory. — Doprowadzić do częściowej albo zupełnej utraty wzroku! Paraliżu! Śmierci! Wystarczyło, że kula odhupałaby kawałek zęba, który poleciałby w niewłaściwą stronę, w jakąkolwiek stronę! Jeden jedyne kawałeczek! Niech mi pan też nie próbuje wciskać kitu, że wcale nie chciał jej pan zabić. Strzelił jej pan w głowę, więc co innego próbował pan zrobić?

Znów ogarnęła go depresja, okrywając go jak czarny szeroki i długi całun.

Powinieneś się zabić, Gard. Nie trzeba było czekać.

Bobbi ma kłopoty.

Być może. Ale gdyby pomocy miał jej udzielić gość taki jak ty, to jakby zlecić naprawę palnika olejowego piromanowi.

Zamknij się.

Jesteś zapitym dupkiem, Gard. Menelem. Kimś, kogo tamten dzieciak na plaży nazwałby żurem.

— Jesteś pewien, że dobrze się czujesz? — spytała dziewczyna. Miała rude włosy obcięte króciutko na punka. Jej nogi kończyły się mniej więcej pod brodą.

— Tak — odparł. — A nie wyglądam?

— Tam przez chwilę wyglądałeś strasznie — odrzekła poważnie. Słyszając to, Gardener wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Nie rozbawiły go jej słowa, lecz powaga, z jaką je wypowiedziała. Odpowiedziała mu uśmiechem pełnym ulgi.

Gdy wyjrzał przez okno, stwierdził, że jadą autostradą Maine na północ — ale pokonali dopiero trzydzieści sześć mil, co znaczyło, że nie spał za długo. Pierzaste chmurki na niebie sprzed dwóch godzin zaczęły gęstnieć w jednolitą szarość, która zapowiadała deszcz po południu — zanim dotrze do Haven, pewnie będzie już ciemno, a on przemoknie do suchej nitki.

Kiedy odłożył słuchawkę telefonu na stacji Mobil, ściągnął skarpetki i wrzucił je do kubła na śmieci stojącego na wysepce. Potem ruszył boso w stronę północnego wylotu drogi numer 1 i stanął na poboczu, w jednej ręce trzymając swoją starą torbę, a drugą wyciągając przed siebie z kciukiem zwróconym na północ.

Po dwudziestu minutach minęła go ta furgonetka — dość nowy dodge caravel na numerach z Delaware. Na boku samochodu widniały skrzyżowane jak miecze dwie gitary elektryczne i nazwa zespołu: EDDIE PARKER BAND. Wóz zatrzymał się i Gardener musiał do niego podbiec. Torba obijała mu się o nogę, ciężko dyszał i czuł, jak ośrodek pulsującego bólu głowy przesuwa się w lewo. Mimo cierpienia, poweselał na widok ostrzeżenia starannie wymalowanego na drzwiach furgonetki: GDY EDDIE W WOZIE BRYKA, NIE PUKAJ, TYLKO ZNIKAJ.

Siedząc teraz na podłodze z tyłu i przypominając sobie, żeby nie odwracać się zbyt gwałtownie, by nie wyrznąć znów głową w werbel, Gardener zobaczył zbliżający się zjazd do Old Orchard. Równocześnie na przednią szybę spadły pierwsze krople deszczu.

— Słuchaj — powiedział Eddie, zjeżdżając na pobocze. Nie chcę cię tu tak zostawiać. Zaczyna padać, a ty nawet, kurwa, butów nie masz.

— Nic mi nie będzie.

— Już teraz wyglądasz, jakby coś ci było — powiedziała cicho dziewczyna w krótkich spodniach.

Eddie ściągnął z głowy czapkę (nad daszkiem miała napis: NIE WIŃ MNIE, JA GŁOSOWAŁEM NA KACZORA HOWARDA) i rzekł:

— Ściepa, ludzie.

Pojawiły się portfele; w kieszeniach dzinsów zadzwoniły drobne.

— Nie! Dzięki, ale nie! — Gardener poczuł, jak na policzki wypełza mu palący krwisty rumieniec. Nie było to zażenowanie, lecz absolutny wstyd. Gdzieś w środku coś w nim głucho huknęło — choć od tego łoskotu nie zadzwoniły mu zęby ani nie zagrzechotały kości. Pomyślał, że oto dokonał się ostateczny upadek duszy. Z melódramatycznym jak diabli odgłosem. Odczucie było... było bardzo rzeczywiste. Właśnie to było w tym okropne. Po prostu... rzeczywiste. No, dobra, pomyślał. A więc to takie uczucie. Całe życie słyszałeś, jak ludzie mówili, że ktoś sięgnął dna. Oto się stało. James Erie Gardener, który chciał być Ezrą Poundem swojego pokolenia, zbiera drobniaki od knajpianego zespołu z Delaware.

— Naprawdę... nie.

Nie zważając na jego protesty, Eddie Parker podał czapkę dalej. Zebrała się w niej garść bilonu i parę banknotów jednodolarowych. Ostatni czapkę wziął Beaver. Wrzucił kilka ćwierćdolarówek.

— Słuchajcie — powiedział Gardener — naprawdę doceniam gest, ale...

— Dalej, Beaver — rzekł Eddie. — Wyskakuj z kasy, pieprzony sknerusie.

— Naprawdę, mam przyjaciół w Portland, zadzwonię do paru osób... zresztą chyba zostawiłem książeczkę czekową u jednego gościa w Falmouth — dodał pośpiesznie Gardener.

— Beaver sknerus — zaczęła radośnie skandować dziewczyna w krótkich spodniach. — Beaver sknerus! Beaver sknerus!

Pozostali dołączyli do niej, dopóki Beaver, śmiejąc się i przewracając oczami, nie dorzucił jeszcze jednej ćwierćdolarówki i losu na loterię nowojorską.

— Nic więcej z siebie nie wyduszę — powiedział. — Chyba że chcecie zaczekać, aż zaczną działać suszone śliwki.

Chłopaki z zespołu i dziewczyna znów wybuchnęli dzikim śmiechem. Patrząc ze zrezygnowaniem na Gardenera, jak gdyby chciał powiedzieć: „Widzisz, z jakimi kretydami muszę się zadawać?”, Beaver podał czapkę Gardenerowi, który musiał ją wziąć; gdyby tego nie zrobił, drobne rozsypałyby się na podłodze furgonetki.

— Naprawdę — powiedział, próbując oddać czapkę Beaverowi. — Nie trzeba...

— Trzeba — przerwał mu Eddie Parker. — I skończ wreszcie z tymi duperelami.

— To chyba powiem dziękuję. Nic innego nie przychodzi mi na razie do głowy.

— Trochę tego za mato, żebyś musiał podawać to w zeznaniu podatkowym — rzekł Eddie.

— Ale wystarczy na parę hamburgerów i jakieś gumowe sandały.

Dziewczyna odsunęła boczne drzwi caravela.

— I czuj się lepiej, rozumiesz? — powiedziała. Potem, zanim zdążył odpowiedzieć, objęła go i pocałowała. Jej przyjazne, rozchylone i wilgotne usta pachniały trawką. — Trzymaj się, duży.

— Spróbuję. — Stojąc już w drzwiach, nagle też mocno ją uściśnął. — Dzięki. Dziękuję wam wszystkim.

Stał na końcu zjazdu z autostrady w gęstniejącym deszczu i patrzył, jak drzwi furgonetki zamykają się z hukiem. Dziewczyna pomachała do niego. Gardener też pomachał, a po chwili furgonetka zaczęła się toczyć pasem awaryjnym, by w końcu włączyć się z powrotem do ruchu. Gardener patrzył w ślad za nią, wciąż trzymając uniesioną rękę, gotów pomachać, gdyby jeszcze na niego spojrzeli. Po policzkach płynęły mu łzy, mieszając się z deszczem.

3

Nie miał okazji kupić sobie gumowych sandałów, ale dotarł do Haven przed zmrokiem i nie musiał pokonywać pieszo ostatnich dziesięciu mil dzielących go od domu Bobbi, czego się wcześniej obawiał; wydawać by się mogło, że ludzie będą bardziej skłonni podrzucić człowieka, który moknie w deszczu, ale okazało się, że większość woli go omijać. Kto chciałby mieć na przednim siedzeniu ludzką kałużę?

Spod Augusty zabrał go jednak jakiś farmer, który cały czas gorzko narzekał na rząd, aż do granic China, gdzie wysadził Garda. Gard przeszedł kilka mil, próbując zatrzymać parę samochodów i zastanawiając się, czy tylko mu się wydaje, czy naprawdę stopy zaczynają mu się zmieniać w lód, aż wreszcie obok niego zatrzymała się ze zgrzytem ciężarówka do przewozu drewna.

Gardener szybko wdrapał się do szoferki, która załatywała starymi wiórami i kwaśnym potem drwali... ale było w niej ciepło.

— Dzięki — powiedział.

— Nie ma za co — odparł szofer. — Freeman Moss. — Wyciągnął do niego rękę. Gardener, który nie miał pojęcia, że w niedalekiej przyszłości spotka tego człowieka w znacznie mniej radosnych okolicznościach, uściśnął mu dłoń.

— Jim Gardener. Jeszcze raz dzięki.

— Daj se siana — rzekł kpiąco Freeman Moss. Ciężarówka ruszyła poboczem, dygocząc. Gardenerowi wydawało się, że nabiera prędkości nie tylko niechętnie, ale z prawdziwym cierpieniem. Wszystko się trzęsło. Przeguby pod nimi jęczały jak wiedźma w kominie. Na desce rozdzielczej podrygiwała najstarsza szczoteczka do zębów na świecie o wystrzępionym włosiu, którego kolor świadczył, że używano jej do usuwania nadmiaru smaru z zębatek i przekładni; szczoteczka przesuwiała się obok starego odświeżacza powietrza z wizerunkiem nagiej kobiety o ogromnych piersiach. Moss wcisnął sprzęgło i po długich manewrach dźwignią zdołał ze zgrzytem wrzucić dwójkę i wyprowadzić wóz z powrotem na jezdnię. — Wyglądasz, jakbyś się przed chwilą topił. Mam jeszcze pół termosu kawy z Donkin Donuts z Augusty, zostało mi po kolacji... chcesz?

Gardener przyjął propozycję z wdzięcznością. Kawa była mocna, gorąca i dobrze posłodzona. Wziął też podsuniętego przez kierowcę papierosa i zaciągnął się głęboko, z przyjemnością, choć dym drażnił mu gardło, które bolało go coraz bardziej.

Moss wysadził go tuż przed granicą Haven za kwadrans siódma. Deszcz trochę zelżał i niebo na zachodzie zaczęło się przejaśniać.

— Trzeba wierzyć, że Bóg ześle trochę słońca — powiedział Freeman Moss. — Żałuję jak nie wiem co, że nie mogę ci dać żadnych butów — zwykle wożę za siedzeniem starą parę, ale dzisiaj tak lało, że wziąłem tylko gumiaci.

— Dzięki, poradzę sobie. Moja przyjaciółka mieszka niecałą milę stąd. — Naprawdę do domu Bobbi miał trzy mile, lecz gdyby powiedział to Mossowi, ten pewnie zawiózłby go pod same drzwi. Gardener był zmęczony, gorączkował i wciąż był mokry, mimo że spędził czterdzieści pięć minut przed suchym strumieniem powietrza z dmuchawy... jednak dziś nie zniósłby już więcej uprzejmości. W obecnym stanie umysłu nadmiar ludzkiej życzliwości mógł doprowadzić go do szaleństwa.

— W porządku. Powodzenia.

— Dziękuję.

Wysiadł i pomachał kierowcy, gdy ciężarówka skręciła w boczną drogę i dudniąc, potoczyła się do domu.

Nawet gdy muzealny pojazd Mossa zniknął mu już z oczu, Gardener stał jeszcze przez chwilę, trzymając w ręce mokrą torbę i czując, jak jego białe jak lilie bosa stopy zagłębiają się w miękką ziemię pobocza. Patrzył na znak znajdujący się dwieście stóp dalej przy drodze, którą tu przyjechał. Dom to miejsce, w którym muszą cię przyjąć, jeśli będziesz musiał tam zapukać, powiedział niegdyś Frost. Lepiej będzie jednak pamiętać, że wcale nie był w domu. Chyba największy błąd, jaki człowiek może popełnić, polega na tym, że zaczyna uważać dom swojego przyjaciela za własny, zwłaszcza jeśli przyjacielem jest kobieta, z którą kiedyś dzieliło się łóżko.

Nie, nie wrócił do domu — ale był w Haven.

Ruszył drogą w stronę domu Bobbi.

4

Piętnaście minut później, kiedy chmury na zachodzie wreszcie się rozstały, odsłaniając chylące się ku linii horyzontu słońce, stało się coś dziwnego: w głowie na krótką chwilę rozbrzmiała mu wyraźnie muzyka.

Przystanął, spoglądając na blask oblewający rozległe połacie mokrego lasu i łąk na zachodzie, na ukośne promienie słońca widowiskowe jak w biblijnej epopei De Mille'a. Tu zaczynała się droga numer 9 i stąd rozciągał się rozległy, cudowny i dostojny widok na zachód, skąpany w wieczornym świetle, które w swym czystym pięknie wydawało się bardzo angielskie i sielankowe. Deszcz oczyścił krajobraz, nadając mu lśniący wygląd, wydobywając głębię barw i dopełniając struktury wszystkiego. Myśl, że nie popełnił samobójstwa, nagle

sprawiła Gardenerowi ogromną radość — nie w ckliwym stylu Arta Linklettera, lecz dlatego, że dane mu było doczekać takiej chwili i ujrzeć to piękno i blask. Stojąc tu, niemal do cna wyczerpany, chory i z gorączką, poczuł prosty, dziecięcy zachwyty.

W dogasającej wieczornej zorzy wszystko było ciche i nieruchome. Gardener nie widział śladu przemysłu ani techniki. Owszem, dostrzegł ślady ludzkiej obecności; dużą czerwoną stodołę obok białego domu na farmie, szopy, jakieś przyczepy, ale to było wszystko.

Światło. Właśnie światło wywarło na nim najsilniejsze wrażenie. Jego uroczą czystość i odwieczną głębia — promienie słońca nachylone niemal poziomo i przezierające przez rozstępujące się chmury pod koniec długiego i męczącego dnia. To pradawne światło zdawało się przeczyć upływowi czasu i Gardener spodziewał się, że zaraz usłyszy sygnał rogu zwołujący zbiórkę myśliwych. Usłyszy psy, tętent końskich kopyt i...

...i właśnie w tym momencie rozległa się w jego głowie drażniąca i nowoczesna muzyka, rozpraszając myśli. Zaskoczony uniósł do skroni ręce. Jazgot trwał może pięć sekund, najwyżej dziesięć, mimo to rozpoznał utwór od razu: Dr Hook śpiewał „Baby Makes Her Blue Jeans Talk”.

Słowa brzęczały metalicznie, ale brzmiały dość wyraźnie jakby słuchał jednego z małych tranzystorów, jakie ludzie zabierali ze sobą na plażę, zanim na świecie nastąpiła era punk-rockowych walkmanów i wielkich kaseciaków. Tekst piosenki nie rozbrzmiewał mu jednak wcale w uszach; dobiegał z przodu głowy, gdzie lekarze wypełnili dziurę w czaszce kawałkiem metalu.

*Królowa ptaków nocy
Kusicielka w mroku,
Nie powie ani słowa
Ale mówią jej dżinsy.*

Nateżenie dźwięku było wręcz nieznośne. Zdarzyło mu się już słyszeć muzykę w głowie, gdy wsadził palec w oprawkę żarówki — czy był wtedy pijany? Boże, też pytanie.

Odkrył wtedy, że takie muzyczne zjawy nie są halucynacją i wcale nie należą do rzadkości — ludzie odbierali transmisje radiowe na trawnikowych flamingach przed swoimi domami; odbiornikiem mogły być plomby w zębach albo stalowe oprawki okularów. W 1957 roku pewna rodzina w Charlotte w Karolinie Północnej przez półtora tygodnia odbierała sygnał kanału z muzyką klasyczną nadającego z Florydy. Z początku dźwięk dochodził ze szklank w łazience. Wkrótce potem zaczęły odbierać pozostałe szklanki w domu. Zanim to dziwne zjawisko ustało, cały dom wypełniał niesamowity dźwięk szkła nadającego muzykę Bacha i Beethovena przerywaną jedynie od czasu do czasu głosem spikera, który podawał godzinę. W końcu, gdy kilkanaście skrzypiec zagrało jedną długą i wysoką nutę, prawie wszystkie szklanki w domu pękły w jednej chwili i na tym się skończyło.

Zatem Gardener wiedział, że nie jest jedyny i był pewien, że nie zwariował — ale nie znalazł w tym fackie pociechy, poza tym nigdy wcześniej nie słyszał muzyki tak głośno jak po incydencie z oprawką żarówki.

Piosenka Dr. Hooka umilkła równie nagle, jak się zaczęła. Gardener stał w napięciu, czekając na nową porcję muzyki. Ale jej nie usłyszał. W głowie rozległ mu się natomiast głośniejszy i bardziej natarczywy niż poprzednio komunikat, który kazał mu tu przyjechać: Bobbi ma kłopoty!

Odwrócił się od zachodniego krajobrazu i ruszył drogą numer 9. Mimo gorączki i wyczerpania szedł szybko — a po niedługim czasie prawie biegł.

O wpół do ósmej Gardener wreszcie dotarł do farmy Bobbi, którą po tylu latach miejscowi wciąż jeszcze nazywali farmą starego Garricka. Gardener nadszedł drogą, kołysząc się, głośno sapiąc, z niezdrowym rumieńcem na twarzy. Zobaczył skrzynkę na listy z lekko uchylonymi drzwiczkami, których ani Bobbi, ani Joe Paulson, listonosz, nigdy nie zamykali, aby Peter mógł je otwierać łapą. Na podjeździe stał niebieski pikap Bobbi. Rzeczy na pace były przykryte brezentem, aby nie zmoczył ich deszcz. I wreszcie zobaczył dom, w którym paliło się światło w oknie od wschodu, tym, przy którym stał bujany fotel Bobbi — jej ulubione miejsce do czytania.

Wszystko wyglądało normalnie; spokoju tego widoku nie psuła żadna niepokojąca nuta. Jeszcze pięć, może nawet trzy lata temu byłoby słychać szczekanie Petera, który zwietrzył obcego, ale Peter się zestarzał. Do diabła, wszyscy się zestarzeli.

Dom Bobbi miał w sobie ten sam sielankowy urok co zachodni krajobraz na granicy miasta — symbolizował wszystko to, co Gardener bardzo chciał mieć. Poczucie spokoju, a może po prostu poczucie posiadania swojego miejsca. Stojąc obok skrzynki na listy, Gardener nie dostrzegał, rzecz jasna, niczego dziwnego. Dom wyglądał — sprawiał wrażenie — jakby należał do osoby zadowolonej z życia. Do kogoś, kto niezupełnie wycofał się z rzeczywistości, przeszedł na emeryturę czy pożegnał się ze sprawami świata... ale kogoś opanowanego. To był dom rozsądnej, względnie szczęśliwej kobiety. Nie został zbudowany w strefie tornad.

Mimo wszystko coś było nie tak.

Gardener stał jak obcy w ciemnościach

(przecież nie jestem obcy jestem jej przyjacielem przyjacielem Bobbi... prawda?)

gdy przestraszył się nagłej chęci, by odejść. Odwrócić się na bosej pięcie i zmyć się stąd. Bo nagle zwątpił, czy chce się dowiedzieć, co się działo w domu i w jakiego rodzaju kłopoty wpakowała się Bobbi.

(Stukostrachy Gard to właśnie Stukostrachy)

Zadygotał.

(W nocy gdy nie cały dom już śpi Stukostrachy Stukostrachy stukają do drzwi Gard chciałby uciec lecz boi się)

Przestań.

(że Stukostrach go zaraz zje)

Oblizął wargi, próbując przekonać samego siebie, że są suche tylko przez gorączkę.

Uciekaj, Gard! Krew na księżycu!

Trząśł się ze strachu i gdyby nie chodziło o Bobbi, lecz o kogoś innego — kogokolwiek, ale nie o jego ostatnią prawdziwą przyjaciółkę — na pewno dałby nogę. Dom wyglądał sielsko i miło, z okna od wschodu padało ciepłe światło i wszystko wyglądało dobrze... ale deski, szkło, kamienie na podjeździe i nawet powietrze napierające na jego twarz... krzyczały, żeby stąd zniknął, żeby uciekał, bo w domu czai się niebezpieczeństwo, może nawet zło.

(Stukostrachy)

Cokolwiek by się czaiło w domu, była tam także Bobbi. Nie pokonał tylu mil, z czego większość w ulewnym deszczu, żeby w ostatniej chwili odwracać się i brać nogi za pas. Mimo dławiącego strachu ruszył spod skrzynki na listy i wszedł na podjazd. Poruszał się powoli, krzywiąc się, gdy ostre kamienie wbijały się w delikatne podeszwy jego stóp.

Nagle gwałtownie otworzyły się drzwi wejściowe. Serce podskoczyło mu do gardła i Gardener pomyślał: To on, to Stukostrach, zaraz mnie złapie i pożre! Ledwie udało mu się powstrzymać od krzyku.

Sylwetka w drzwiach była chuda. O wiele za chuda, pomyślał, jak na Bobbi Anderson, która nigdy wprawdzie nie była korpulentna, ale miała ciało dość mocno zbudowane i przyjemnie zaokrąglone w odpowiednich miejscach. Jednak piskliwy i drżący głos bez

wątpienia należał do Bobbi... i Gardener poczuł niejaką ulgę, ponieważ Bobbi wydawała się jeszcze bardziej przerażona niż on, gdy stał obok skrzynki i patrzył na dom.

— Kto to? Kto tu jest?

— To ja, Gard, Bobbi.

Nastąpiło długie milczenie. Rozległ się odgłos kroków na werandzie. Potem niepewne:

— Gard? To naprawdę ty?

— Tak. — Pokonał z trudem ostatni odcinek wysypanego ostrymi kamieniami podjazdu i stanął na trawniku. I zadał pytanie, dla którego tu przyjechał i postanowił odłożyć własne samobójstwo:

— Bobbi, nic ci nie jest?

Jej głos przestał drżeć, lecz Gardener wciąż nie widział wyraźnie przyjaciółki — słońce już dawno skryło się za drzewami, pogrążając dom w głębokich cieniach. Zastanawiał się, gdzie może być Peter.

— Nic, czuję się świetnie — powiedziała Bobbi, jak gdyby zawsze była taka chuda i zawsze witała gości na podwórku głosem piskliwym ze strachu.

Zeszła po schodkach werandy, wysuwając się z cienia, jaki rzucał wystający dach. Gardener po raz pierwszy zobaczył ją w szarym świetle zmierzchu. Ogarnęło go zdumienie i zgroza.

Bobbi szła w jego stronę, uśmiechając się, najwyraźniej szczerze uradowana jego przybyciem. Dżinsy wisiały na niej luźno, podobnie jak koszula; miała wymizerowaną twarz, zapadnięte głęboko oczy, blade i jakby za szerokie czoło. Nieuczesane włosy opadały w nieładzie na kark i ramiona jak kiść wodorostów wyrzuconych przez fale na plażę. Koszula była krzywo pozapinana. Rozporek dżinsów w trzech czwartych rozsunięty. Bobbi roztaczała woń brudu i potu, a także... cóż, jak gdyby przytrafiło się jej nieszczęście i zapomniała zmienić bieliznę.

Gardener ujrzał nagle w myślach pewien obrazek: zdjęcie Karen Carpenter zrobione tuż przed jej śmiercią, której przyczyną przypuszczalnie była anoreksja. Z fotografii patrzyła na niego kobieta, która już nie żyje, choć jeszcze jakimś cudem oddycha, kobieta, której usta układają się w promienny uśmiech, ale oczy krzyczą w gorączce. Bobbi właśnie tak wyglądała.

Zapewne straciła nie więcej niż dwadzieścia funtów — gdyby straciła więcej, nie mogłaby się już utrzymać na nogach, lecz zszokowany Gard był głęboko przekonany, że musiała zrzucić ponad trzydzieści.

Wydawała się półżywym, krańcowo wyczerpanym strzępem człowieka. Jej oczy, tak jak oczy tamtej biednej kobiety na okładce czasopisma, były wielkie i błyszczące, a uśmiech przypominał szeroki i bezmyślny uśmiech znokautowanego boksera tuż przed upadkiem na deski ringu.

— Naprawdę świetnie! — powtórzył ten ledwo powłóczący nogami, potykający się i brudny szkielet, a gdy Bobbi zbliżała się do niego, Gardener znów usłyszał w jej głosie drżenie — nie był to strach, jak sądził wcześniej, lecz skrajne wyczerpanie. Myślałam, że już machnąłeś na mnie ręką! Dobrze cię widzieć!

— Bobbi... Bobbi, Jezus Maria, co...

Bobbi wyciągnęła do Gardenera dłoń, która trzęsła się w powietrzu, i Gardener zobaczył, jak chuda, jak przeraźliwie i niewiarygodnie chuda stała się jej ręka.

— Dzieje się strasznie dużo rzeczy — wychrypiała Bobbi drżącym głosem. — Strasznie dużo już zrobione, jeszcze więcej zostało do zrobienia, ale uda mi się, uda, zaczekaj, aż zobaczysz...

— Bobbi, co...

— Świetnie, czuję się świetnie — powtórzyła Bobbi i półprzytomna padła w ramiona Gardenera. Próbowwała powiedzieć coś jeszcze, lecz wydała tylko nieartykułowany gulgot,

pryskając odrobiną śliny. Jej drobne piersi przycisnęły się do jego przedramienia jak dwie cieniutkie poduszcзки.

Gardener wziął ją na ręce, wstrząśnięty lekkością jej ciała. Tak, musiała stracić trzydzieści funtów, co najmniej trzydzieści. Niewiarygodne, ale niestety prawdziwe. Przyszła mu do głowy wstrząsająca i ponura myśl: To wcale nie jest Bobbi. To ja. Ja pod koniec ciągu.

Szybko wniósł Bobbi po schodkach do domu.

8 PRZERÓBKI

1

Położył Bobbi na kanapie i natychmiast podszedł do telefonu. Podniósł słuchawkę, zamierzając wcisnąć zero i zapytać telefonistkę, jaki numer ma wykręcić, żeby wezwać najbliższą karetkę pogotowia. Bobbi musiała natychmiast pojechać do szpitala w Derry. Gardener przypuszczał, że to załamanie (choć prawdę mówiąc, był tak zmęczony i miał w głowie taki mętlik, że właściwie sam nie wiedział, co myśli). Coś w rodzaju załamania. Bobbi Anderson wydawała się ostatnią osobą na świecie, którą mogło dotknąć coś takiego, ale wszystko wskazywało na to, że tak się stało.

Bobbi coś powiedziała. Gardener w pierwszej chwili nie zrozumiał; jej głos brzmiał jak cichy, chrapliwy jęk.

— Co, Bobbi?

— Nigdzie nie dzwoń — powiedziała Bobbi. Tym razem odezwała się nieco głośniej, lecz wysiłek kosztował ją chyba resztkę sił. Na policzkach miała rumieńce, poza tym twarz była blada jak wosk, a oczy błyszczały gorączkowo jak niebieskie kamienie szlachetne — diamenty albo szafiry. — Nigdzie... Gard, do nikogo!

Anderson opadła z powrotem na kanapę, dysząc ciężko. Gardener odłożył słuchawkę i podszedł do niej zaniepokojony. Było jasne, że Bobbi potrzebuje lekarza i Gardener zamierzał go sprowadzić... lecz w tym momencie ważniejsze było jej poruszenie.

— Zostanę z tobą — powiedział, biorąc ją za rękę — jeśli to cię niepokoi. Bóg świadkiem, że byłaś przy mnie, kiedy babrałem się w tym strasznym gów...

Ale Anderson coraz gwałtowniej kręciła głową.

— Potrzebuję tylko snu — szepnęła. — Snu... i czegoś do jedzenia rano. Przede wszystkim snu. Nie spałam od... trzech dni. Może czterech.

Gardener spojrział na nią wstrząśnięty. Skojarzył sobie wygląd Bobbi z tym, co przed chwilą powiedziała.

— Coś ty brała? (i po co? — dodał w myślach) Amfę? Piguły? — Przez moment pomyślał, że to koka, ale zaraz odrzucił takie przypuszczenie. Bobbi mogłaby sobie pozwolić na kokę, gdyby jej przyszła ochota, ale Gardener nie sądził, by prochy mogły powstrzymać człowieka od snu przez trzy czy cztery dni i uczynić go lżejszym o ponad trzydzieści funtów w ciągu policzył szybko, ile czasu upłynęło od ich ostatniego spotkania — trzech tygodni.

— To nie prochy — powiedziała Bobbi. — Nic... nie brałam. — Obróciła na niego błyszczące oczy. Z kącików ust pociekła jej ślina i Bobbi wciągnęła ją z powrotem. Przez chwilę Gardener ujrzał na jej twarzy minę, która bardzo mu się nie spodobała... i trochę go przestraszyła. To była mina Anne. Przebiegła i dobrze znana. Potem Bobbi zamknęła oczy, ukazując powieki, które miały lekko sinawy kolor wskazujący na zupełne wyczerpanie. Kiedy je otworzyła, na kanapie znów leżała Bobbi... która potrzebowała pomocy.

— Chcę zadzwonić po pogotowie — rzekł Gardener, wstając. — Naprawdę źle wyglądasz, Bo...

Chuda ręka chwyciła go za przegub, gdy Gardener odwracał się do telefonu. Trzymała go ze zdumiewającą siłą. Spojrział na Bobbi i choć nadal wyglądała na straszliwie wyczerpaną i rozpaczliwie zmizerniałą, z jej oczu zniknął blask gorączki. Patrzyła bystro i rozsądnie.

— Jeżeli do kogoś zadzwonisz — powiedziała jeszcze trochę drżącym głosem, który poza tym brzmiał już prawie normalnie — koniec z naszą przyjaźnią, Gard. Mówię serio. Jeżeli zadzwonisz na pogotowie, do szpitala w Derry albo nawet do starego doktora Warwicka, koniec z nami. Nigdy więcej nie zobaczysz mojego domu od środka. Drzwi będą dla ciebie zamknięte.

Gardener patrzył na Bobbi z rosnącym przerażeniem i zgrozą. Gdyby mógł sobie wytłumaczyć, że Bobbi majaczy, na pewno chętnie by to zrobił... ale było jasne, że nie majaczy.

— Bobbi... — ty *chyba nie wiesz, co mówisz?* Jednak wiedziała; na tym właśnie polegała groza sytuacji. Groziła mu zerwaniem przyjaźni, gdyby Gardener nie zrobił tego, co chciała, po raz pierwszy w ciągu długich lat znajomości użyła ich przyjaźni jako straszaka. W oczach Bobbi Anderson było coś jeszcze: świadomość, że jej przyjaźń jest być może ostatnią rzeczą na ziemi, która przedstawia jakąś wartość dla Gardenera.

Czy to by coś zmieniło, Bobbi, gdybym ci powiedział, że bardzo przypominasz teraz swoją siostrę?

Nie — z jej twarzy wyczytał, że nic nie mogłoby niczego zmienić.

— ...ty chyba nie wiesz, jak źle wyglądasz — dokończył nieprzekonująco.

— Nie wiem — zgodziła się Anderson, a na jej twarz wypełził błady cień uśmiechu. — Ale wierz mi, wyobrażam sobie. Twoja twarz... jest lepsza od lustra. Ale, Gard — potrzebuję tylko snu. Snu i... — znów wolno zamknęła oczy i otworzyła je z widocznym wysiłkiem — śniadania — dokończyła. — Snu i śniadania.

— Bobbi, potrzebujesz czegoś więcej.

— Nie. — Dłoń Bobbi, którą wciąż trzymała go za nadgarstek, znowu się zacisnęła. — Potrzebuję ciebie. Wzywałam cię. I usłyszałeś, prawda?

— Tak — odrzekł z niewyraźną miną Gardener. — Chyba tak.

— Gard... — Głos Bobbi zamarł. Gard czekał, nie mogąc zebrać myśli. Bobbi potrzebowała pomocy lekarskiej... ale to, co powiedziała o zakończeniu ich przyjaźni, gdyby Gardener do kogokolwiek zadzwonił...

Zaskoczył go delikatny pocałunek, jaki złożyła na jego brudnej dłoni. Spojrzył na nią zdumiony, zaglądając w jej ogromne oczy. Zniknął z nich gorączkowy blask, zobaczył w nich tylko błaganie.

— Zaczekaj do jutra — powiedziała Bobbi. — Jeśli jutro nie poczuję się lepiej... tysiąc razy lepiej... pójdę do lekarza. Zgoda?

— Bobbi...

— Zgoda? — Dłoń zacisnęła się mocniej, żądając od niego potwierdzenia.

— No... chyba...

— Obiecuj mi.

— Obiecuję. — *Może* — dodał w duchu Gardener. *Pod warunkiem że nie zaczniesz śmiesznie oddychać, kiedy już zaśniesz. Pod warunkiem, że gdy przyjdę zajrzeć do ciebie o północy, nie zobaczę, że twoje wargi wyglądają, jakbyś jadła jagody. Pod warunkiem że nie dostaniesz żadnego ataku.*

To było głupie. Niebezpieczne, tchórzliwe... ale przede wszystkim głupie. Wszedł z głębi potężnego, czarnego tornada przekonany, że samobójstwo będzie najlepszym sposobem, by zakończyć własną udrękę i nie zmieniać więcej życia innych w pasmo udreki. Naprawdę chciał to zrobić; był tego pewien.

Był o krok od skoku do zimnej wody. Potem jednak nabrał przekonania, że Bobbi ma kłopoty

(wzywałam cię i usłyszałeś prawda?)

i przyjechał tu. *A teraz, panie i panowie* — usłyszał radosny i energiczny, teleturniejowy głos Allena Luddena — pytanie do wszystkich. Każdy z państwa może zarobić dziesięć punktów, jeśli odpowie, dlaczego Jim Gardener przejmuje się groźbą Bobbi Anderson zerwania ich przyjaźni, skoro sam Gardener zamierza ją zakończyć, popelniając samobójstwo? Nikt? A więc niespodzianka! Ja też nie wiem!

— To dobrze — mówiła Bobbi. — Dobrze, doskonale.

Jej poruszenie graniczące ze strachem ustąpiło — przyspieszony oddech uspokoił się, a z policzków częściowo zniknął rumieniec. Przynajmniej obietnica na coś się przydała.

— Śpij, Bobbi. — Posiedzi przy niej i będzie obserwował, czy zachodzą jakieś zmiany. Był zmęczony, ale mógł napić się kawy (i może wziąć ze dwie dawki prochów, które brała Bobbi, gdyby przypadkiem gdzieś je znalazł). Był Bobbi winien nocne czuwanie. Zdarzało się, że czuwała przy nim całą noc. Śpij. — Łagodnym ruchem uwolnił przegub z jej uścisku.

Bobbi zamknęła oczy, a potem jeszcze raz je otworzyła. Uśmiechnęła się tak słodko, że znów się w niej zakochał. Miała nad nim władzę.

— Zupełnie... jak kiedyś, Gard.

— Tak, Bobbi. Jak kiedyś.

— ...kocham cię.

— Ja też cię kocham. Śpij.

Jej oddech stał się głębszy. Gard siedział przy niej trzy minuty, potem pięć, przyglądając się temu uśmiechowi madonny i coraz bardziej przekonany, że Bobbi zasnęła. Potem, bardzo wolno, jej oczy znowu otworzyły się z wielkim trudem.

— Fantastyczne — szepnęła.

— Co? — Gardener nachylił się nad nią. Nie był pewien, co powiedziała.

— To... to, co potrafi... co jeszcze robi...

Mówi przez sen, pomyślał Gard, ale poczuł powracającą falę chłodu. Na twarz Bobbi wróciła tamta przebiegła mina.

Właściwie nie twarz, ale do środka twarzy, jak gdyby uformowała się pod skórą.

— To ty powinieneś to znaleźć... to chyba czekało na ciebie, Gard...

— Co takiego?

— Rozejrzyj się po domu — powiedziała Bobbi. Jej głos powoli cichł. — Zobaczysz. Razem skończymy kopać. Zobaczysz, że to lek na... kłopoty... wszystkie kłopoty...

Gardener musiał się nachylić bardzo blisko, aby cokolwiek usłyszeć.

— Co takiego, Bobbi?

— Rozejrzyj się po domu — powtórzyła, a ostatnie słowo zmieniło się w lekkie chrapnięcie. Bobbi spała.

2

Gardener znów ruszył do telefonu. Aparat stał niedaleko.

Wstał, lecz gdy był już w połowie salonu, skrzył w stronę fotela na biegunach. Pomyślał, że najpierw trochę popilnuje Bobbi. Przez chwilę jej popilnuje i spróbuje się zastanowić, co to wszystko może znaczyć.

Przełknął ślinę, krzywiąc się; ból gardła dokuczał mu coraz bardziej. Miał gorączkę i podejrzewał, że nie jest to tylko lekka temperatura. Czuł się gorzej niż źle, czuł się nierzeczywisty.

Fantastyczne... to... to, co potrafi...

Posiedzi tu jeszcze trochę i pomyśli. Potem zaparzy sobie dzbanek mocnej kawy i wrzuci do niego z sześć aspiryn. Przynajmniej na jakiś czas przestanie myśleć o bólu i gorączce.

I może uda mu się nie zasnąć.

....co jeszcze robi...

Gard zamknął oczy, zapadając w drzemkę. W porządku. Mógł drzemać, ale nie za długo; nigdy nie potrafił spać na siedząco. Poza tym w każdej chwili mógł się tu zjawić Peter; zobaczy swojego starego przyjaciela Garda, wskoczy mu na kolana i trafi w jaja. Zawsze tak było. Jeśli chodziło o wskakiwanie na kolana i trafienie prosto w jaja, Peter nigdy nie pudłował. Cholernie skuteczny budzik, jeżeli przydybał ofiarę we śnie. Pięć minut, nie dłużej. Czterdzieści mgnień oka. Nikomu nie stanie się krzywda.

To ty powinieneś to znaleźć... to chyba czekało na ciebie, Gard...

Pograżał się w nieświadomości coraz głębiej i wkrótce drzemka przeszła w twarde sen przypominający śpiączkę.

3

Szszsz...

Patrzy na swoje narty, na gładkie, brązowe kawałki drewna sunące po śniegu, zahipnotyzowany ich zawrotną szybkością. Nie zdaje sobie sprawy z tego stanu częściowej hipnozy, dopóki nie odzywa się czyjś głos z lewej:

— Na swoich pieprzonych komunistycznych wiecach antyenergetycznych zawsze zapominacie o jednym: w ciągu trzydziestu lat rozwoju energii jądrowej do celów pokojowych ani razu nas nie przyłapano.

Ted ma na sobie sweter w renifery i sprane dzinsy. Jedzie na nartach szybko i z wprawą. Natomiast Gardener w ogóle nie potrafi zapanować nad nartami.

— Rozbijesz się — mówi głos po prawej. Patrzy w tę stronę i widzi Arglebargle'a. Arglebargle zaczął gnić. Jego tłusta twarz, która na przyjęciu była zaczerwieniona od alkoholu, zrobiła się szarozółta, przybierając barwę starych firanek wiszących w brudnych oknach. Ciało nierównymi faldami zaczęło zapadać się do środka. Widząc jego zszokowaną i przerażoną minę, Arglebargle rozciąga szare wargi w szerokim uśmiechu.

— Zgadza się — mówi. — Nie żyję. To naprawdę był atak serca. Nie niestrawność ani pęcherzyk żółciowy. Pięć minut po twoim wyjściu zaśląłem. Wezwali karetkę, a ten chłopak, którego wynająłem do obsługi baru, zaczął mnie reanimować i udało mu się, ale w karetce umarłem na dobre.

Jego uśmiech robi się jeszcze szerszy; wygląda równie głupkowato jak uśmiech martwego pstrąga leżącego na pustej plaży zatrutego jeziora.

— Umarłem na czerwonym świetle na Storrow Drive — mówi Arglebargle.

— Nie — szepcze Gardener. Tego... właśnie tego zawsze się bał. Ostatecznego i nieodwracalnego aktu pijackiego.

— Ależ tak — upiera się nieboszczyk. Mkną w dół zbocza, coraz bliżej drzew. — Zaprosiłem cię do swojego domu, nakarmiłem cię i napiłem, a ty w zamian zabiłeś mnie w pijackiej awanturze.

— Proszę... ja...

— Co ty? Co ty? — dobiega z lewej. Ze swetra Teda zniknęły renifery. Zastąpiły je żółte znaki ostrzegające przed promieniowaniem. — Właśnie o to chodzi, że ty nic! Jak się wam, współczesnym luddystom wydaje, skąd się bierze prąd?

— Zabiłeś mnie — gędzi z prawej Arglebargle — ale mi za to zapłacisz. Rozbijesz się, Gardener.

— Myślicie, że od Czarnoksiężnika z Krainy Oz? — wrzeszczy Ted. Na jego twarzy nagle wyskakują sączące się wrzody.

Jego usta wydymają się, łuszczą, pękają, zaczynają ropieć. Jedno oko okrywa się mleczną kataraktą. Gardener uświadamia sobie z rosnącą zgrozą, że patrzy na twarz z oznakami ostatnich faz zaawansowanej choroby popromiennej.

Symbole ostrzegawcze na koszuli Teda czernieją.

— Rozbijesz się, na pewno — gędzi dalej Arglebargle. — Rozbijesz.

Placze z przerażenia, tak jak płakał wtedy, gdy strzelił do żony, gdy usłyszał niewiarygodny huk pistoletu, który trzymał w ręce, i przyglądał się, jak Nora leci do tyłu na kuchenny blat, przyciskając dłoń do policzka jak kobieta, która w szoku wykrztusza: „Wielkie nieba! Nigdy dotąd...!”. Potem spomiędzy jej palców trysnęła krew, a on w ostatnim rozpaczliwym

odruchu, by wszystkiemu zaprzeczyć, mówił sobie w myślach — spokojnie, to ketchup, to tylko ketchup. I rozplakał się, tak jak teraz.

— Cala wasza odpowiedzialność kończy się na gniazdku w ścianie, gdzie podłączacie wtyczkę. — Po twarzy Teda płynie ropa i ścieka z niej kroplami. Wypadają mu wszystkie włosy. Całą czaszkę pokrywają wrzody. Usta rozciągają się w takim samym głupkowskim uśmiechu jak usta Arberga. W krańcowym przerażeniu Gardener uświadamia sobie, że zjeżdża na leb na szyję nartostradą Straight Arrow, mając obok siebie dwóch nieboszczyków. — Ale nigdy nas nie powstrzymacie. Nikt nas nie powstrzyma. Widzisz, stos wymknął się spod kontroli. Wszystko zaczęło się... zdaje się w 1939 roku. Mniej więcej w 1965 osiągnęliśmy masę krytyczną. Straciliśmy kontrolę. Niedługo nastąpi wybuch.

— Nie... nie...

— Przez chwilę byłeś na szczycie, ale ze szczytu spada się najniżej — głędzi Arberg. — Morderstwo gospodarza to najohydniejsze z morderstw. Rozbijesz się... rozbijesz... rozbijesz!

To prawda! Próbuje skrócić, ale narty uparcie trzymają się linii prostej. Widzi przed sobą wiekową sosnę. Arglebargle i Ted Energetyk znikają, a on myśli: czy to były Stukostrachy, Bobbi?

Widzi czerwony pas namalowany na sękatym pniu sosny... a kora zaczyna się łuszczyć i pękać. Zjeżdżając bezradnie prosto w stronę drzewa, widzi, że drzewo ożyło i otworzyło się, żeby go połknąć. Rozdziawione drzewo rośnie i potężnieje, jakby pędziło w jego stronę, wyrastają mu macki, a pośrodku ziele zgnięła czernią otwór obmalowany czerwoną farbą jak uszmińkowane usta jakiejś potwornej dziwki i Gardener słyszy wycie wiatrów w czeluści czarnych poruszających się ust i

4

nie budzi się, mimo że wszystko zdaje się na to wskazywać wszyscy wiedzą, że nawet najdziwniejsze sny dają złudzenie rzeczywistości, że mogą nawet kierować się własną pozorną logiką, ale nie są rzeczywiste, nie mogą być. Po prostu zamienił jeden sen na inny. Tak jak się to zwykle zdarza.

W tym śnie śnił o swoim dawnym wypadku na nartach drugi raz tego dnia, dacie wiarę? Tylko że tym razem w drzewie, z którym się zderzył i które omal go nie zabiło, wyrosła zgnięła paszcza jak ruchoma dziura po sęku. Budzi się i stwierdza, że siedzi w fotelu bujanym Bobbi. Czuje ogromną ulgę i nie zwraca uwagi na to, że zeszytywniało mu całe ciało, a gardło boli go tak strasznie, jakby utkwiał w nim zwój drutu kolczastego.

Myśli: wstanę, zaparzę sobie kawę i połknę aspirynę. Przecież chciałem to zrobić przedtem, prawda? Zaczyna się podnosić i w tym momencie Bobbi otwiera oczy. Gardener już wie, że na pewno śni, bo z oczu Bobbi pada zielone światło — przypominają mu rentgenowskie spojrzenie Supermana z komiksów, przedstawione przez rysownika jako żółtozielone wiązki promieniowania. Ale światło w oczach Bobbi jest blaskiem na moczarach, trochę straszny... jest w nim coś zgniętego jak w łunie ognia świętego Elma nad bagnem w duszny wieczór.

Bobbi siada i rozgląda się... patrzy w stronę Gardenera. On próbuje ją powstrzymać... nie, proszę, nie kieruj na mnie tego światła.

Nie pada ani jedno słowo i gdy oblewa go zielone światło, Gardener widzi, że płonie ono w oczach Bobbi — u źródła jest zielone jak szmaragdy, jasne jak słońce. Nie może na nie patrzeć, musi odwrócić wzrok. Próbuje osłonić twarz dłonią, ale nie potrafi unieść ręki, która staje się za ciężka. Sparzy mnie, myśli, sparzy, a po paru dniach pokażą się pierwsze wrzody, najpierw wydaje się, że to zwykle pryszczki, bo tak wygląda początek choroby popromiennej, po prostu kilka pryszczki, tyle że te pryszczki nigdy nie znikają, ale wyglądają coraz gorzej... i gorzej...

Dobiega go głos Arberga, bezcielesna pozostałość po poprzednim śnie, tym razem słychać triumfalny ton:

— Wiedziałem, że się rozbijesz, Gardener!

Światło dotyka go... prześlizguje się po nim. Mimo że mocno zaciska powieki, ciemność pod nim zalewa poświata zielona jak fosforyzująca tarcza zegara. Ale w snach nie ma prawdziwego bólu, więc go nie czuje. Jasnozielone światło nie jest ani gorące, ani zimne. Jest niczym. Tylko że...

Gardło.

Przestaje go boleć gardło.

I słyszy bardzo wyraźnie:procent zniżki! Taka przecena może się już nigdy nie powtórzyć! Kredyt dla każdego! Fotele rozkładane! Łóżka wodne! Meble do salo...

Znów odezwała się płytka w głowie. I niemal natychmiast umilkła.

Tak jak ból gardła — jeszcze się nie zaczął i już minął.

Zielone światło też zgasło.

Gardener otworzył oczy... ostrożnie.

Bobbi leży na kanapie z zamkniętymi oczami, pogrążona w głębokim śnie... tak jak przedtem. A te zielone promienie padające z jej oczu? Boże drogi!

Znów siedzi w bujanym fotelu. Przełyka ślinę. Żadnego bólu. Gorączka też znacznie się obniżyła.

Kawa i aspiryna, myśli. Miałaś wstać, zrobić sobie kawę i wziąć aspirynę, pamiętasz?

Jasne, myśli, sadowiać się wygodniej w fotelu i zamykając oczy. Ale we śnie nikt nie parzy kawy i nie łyka aspiryny. Zrobię to, kiedy się tylko obudzę.

Gard, już się obudziłeś.

Ale to oczywiście niemożliwe. Na jawie z oczu ludzi nie padają zielone promienie, które leczą gorączkę i ból gardła.

W snach si, w rzeczywistości no.

Splata ramiona na piersi i zapada w sen. I przez resztę nocy nie wie już nic więcej — wszystko jedno, czy śpi, czy nie.

5

Kiedy Gardener się obudził, twarz oblewało mu jasne światło wpadające przez zachodnie okno. Plecy bolały go jak diabli, a kiedy wstał, skrzywił się, bo w szyi strzeliło mu jak artretykowi. Była za kwadrans dziewiąta.

Spojrzał na Bobbi i przez chwilę ogarnął go dławiący strach — był pewien, że Bobbi nie żyje. Ale potem stwierdził, że sprawia wrażenie martwej, bo po prostu głęboko i nieporuszenie śpi. Patrząc na nią, każdy mógłby się pomylić. Pierś Bobbi unosiła się wolno i rytmicznie, a między kolejnym wydechem i wdechem następowały długie przerwy. Gardener policzył, że oddycha zaledwie sześć razy na minutę.

Ale dziś rano wyglądała lepiej — może nie świetnie, ale lepiej niż tamten zabiedzony strach na wróble, który wczoraj wieczorem stoczył się z werandy, aby go przywitać.

Wątpię, czy ja lepiej wyglądam, pomyślał i poszedł do łazienki, żeby się ogolić.

Twarz w lustrze nie wyglądała tak źle, jak się obawiał, ale stwierdził z niepokojem, że w nocy znów leciała mu krew z nosa — niewiele, ale wystarczyło, żeby zaschnąć pod nosem i na górnej wardze. Z szafki na prawo od umywalki wyciągnął myjkę i odkręcił ciepłą wodę, żeby ją zmoczyć.

Podstawił myjkę pod kran z roztargnieniem wynikającym z dawnego przyzwyczajenia — Bobbi miała taki bojler, że zanim zaczęła płynąć letnia woda, człowiek miał czas wypić filiżankę kawy i wypalić papierosa — jeżeli akurat miał szczęście...

— Au!

Cofnął dłoń spod strumienia, który był tak gorący, że parował. No dobrze, spotkała go kara za przypuszczenie, że Bobbi będzie spokojnie żyła, nie zwracając sobie głowy naprawą przeklętego bojlera.

Gardener przyłożył oparzoną dłoń do ust i spojrzał na strumień płynący z kranu. Zaparowało się już lusterko do golenia na apteczce. Sięgnął do kurka, ale stwierdził, że jest za gorący, żeby go można bezpiecznie dotknąć, zakręcił go więc przez myjkę. Potem zatkał odpływ umywalki gumowym korkiem, nalał trochę ciepłej wody — ostrożnie! — a potem dopełnił solidną porcją zimnej. Skóra pod kciukiem lewej dłoni odrobinę się zaczerwieniła.

Otworzył apteczkę i zaczął przestawiać w niej przedmioty, dopóki nie odnalazł fiołki valium ze swoim nazwiskiem wypisanym na nalepce. Jeżeli to się robi lepsze z czasem, powinno być świetne, pomyślał. Fiolka wciąż była prawie pełna. A czego się spodziewał? Cokolwiek zaaplikowała sobie Bobbi, na pewno było to przeciwieństwo valium.

Gardener też nie miał na to ochoty. Chciał natomiast dostać się do czegoś, co stało z tyłu, jeżeli jeszcze tam było...

Ach! Sukces!

Wyciągnął maszynkę do golenia z podwójnym ostrzem i opakowanie żyletek. Spojrzał z niejakim smutkiem na warstwę kurzu na maszynce — minęło sporo czasu, od kiedy ostatni raz golił się rano w łazience u Bobbi — a potem ją opłukał. Przynajmniej jej nie wyrzuciła, — pomyślał. To byłoby gorsze niż kurz.

W trakcie golenia poczuł się lepiej. Skupiał się na tej czynności, przedłużając ją i pozwalając swobodnie krążyć myślom.

Skończył i odłożył przybory do golenia na miejsce, za fiołką valium, a potem umył twarz. Następnie długą chwilę patrzył w zamyśleniu na kran z ciepłą wodą i postanowił zejść do piwnicy i sprawdzić, co to za cudowny bojler Bobbi zamontowała. Drugą możliwością było przyglądanie się, jak Bobbi śpi, ale wszystko wskazywało na to, że sama dobrze sobie radzi.

Poszedł do kuchni, myśląc, że istotnie czuje się lepiej, zwłaszcza gdy zaczęły ustępować bóle w plecach i karku, których nabawił się po nocy spędzonej w bujanym fotelu. Nigdy nie potrafię spać na siedząco, tak?, zadrwił z siebie w duchu. Bardziej w twoim stylu jest kimanie na falochronach, co? Jednak to droczenie się z samym sobą w niczym nie przypominało okrutnych, niezbyt zrozumiałych szyderstw, jakich nie szczędził sobie poprzedniego dnia. Gdy był we władzy kaca i strasznej depresji po ciągach alkoholowych, zawsze zapominał o jednym — uczuciu odrodzenia, jakie później następowało. Można się zbudzić następnego dnia z myślą, że nie wprowadziło się do organizmu żadnej trucizny poprzedniego wieczoru... w ciągu poprzedniego tygodnia... może nawet całego miesiąca... i człowiek czuł się naprawdę dobrze.

Wieczorem obawiał się, że zaczyna mu się grypa albo zapalenie płuc — ale po oznakach choroby też nie było już śladu. Gardło już go nie bolało. Nie miał zapchanego nosa. Ani gorączki. Bóg mu świadkiem, że po ośmiu dniach picia, spania pod gołym niebem i podróży do Maine na bosaka w ulewnym deszczu był idealnym celem dla zarazków. Ale w nocy wydobrał. Czasem Bóg bywał łaskawy.

Przystanął na środku kuchni, a uśmiech na jego ustach zamarł, na moment ustępując miejsca wyrazowi konsternacji i lekkiego niepokoju. Wrócił do niego fragment snu — czy raczej snów

(reklamy radiowe w nocy... czyżby miały coś wspólnego z dzisiejszym dobrym samopoczuciem?)

ale zaraz uleciał. Zlekceważył sen, zadowolony, że dobrze się czuje, a Bobbi dobrze wygląda — w każdym razie lepiej. Jeśli Bobbi nie wstanie do dziesiątej, najpóźniej do wpół do jedenastej, obudzi ją. Jeżeli będzie się lepiej czuła i mówiła do rzeczy, świetnie. Będą mogli porozmawiać o tym, co jej się przytrafiło (Gardener sądził, że coś musiało się stać, może dostała jakieś straszne wiadomości z domu... niewątpliwie przygotowane i podane

przez siostrę Anne). Od tego zaczął. Gdyby nadal choć trochę przypominała zamroczoną i dość odpychającą Bobbi Anderson, która powitała go poprzedniego wieczoru, Gardener zamierzał wezwać lekarza bez względu na to, jakie zdanie na ten temat miałyby Bobbi.

Otworzył drzwi piwnicy i po omacku zaczął szukać staromodnego włącznika światła na ścianie. Znalazł. Włącznik był ten sam co zawsze. Światło już nie. Zamiast słabutkiego blasku dwóch sześćdziesięciowatowych żarówek — jedyne oświetlenia piwnicy w domu Bobbi od niepamiętnych czasów — piwnicę zalała powódź białego światła. Było jasno jak na stoisku domu towarowego. Gardener ruszył schodkami w dół, wyciągając rękę do starej rozklekotanej poręczy. Poręcz była jednak nowa, gruba i mocna, przymocowana do ściany solidnymi mosiężnymi wspornikami. Wymieniono także kilka stopni, które przedtem mocno się chygotały.

Gardener zszedł do piwnicy i stał, rozglądając się ze zdumieniem graniczącym ze znacznie silniejszym uczuciem — prawie szoku. Nie czuł utrzymującego się tu zawsze lekko stęchłego zapachu.

Wyglądała, jakby gonila resztką sił, bez żartów. Była zupełnie wykończona. Nie pamiętała nawet, od ilu dni nie spała. Nic dziwnego. Słyszałem o różnych naprawach w domu, ale to śmiechu warte. Przecież nie mogła tego wszystkiego zrobić sama. A może mogła? Ależ skąd.

Jednak Gardener podejrzewał, że jakimś cudem Bobbi tego dokonała.

Gdyby zamiast na falochronie w Arcadia Beach Gardener ocknął się tutaj, nie pamiętając, co się wcześniej działo, nie domyśliłby się, że jest w piwnicy u Bobbi, choć był tu mnóstwo razy. Teraz był pewien, gdzie się znalazł, tylko dlatego, że zszedł tu prosto z kuchni Bobbi.

Stęchły zapach nie zniknął wprawdzie zupełnie, ale był znacznie słabszy. Ziemia została starannie zagrabiona — nie, po dokładniejszych oględzinach Gardener stwierdził, że nie tylko zagrabiona. Ziemia na podłodze wkrótce starzała się i kwaśniała; trzeba z nią było coś zrobić, jeżeli ktoś zamierzał spędzić w piwnicy dużo czasu. Widocznie Anderson wrzuciła tu sporą ilość ziemi i przed zagrabieniem rozrzuciła ją, żeby obeschła. Gardener przypuszczał, że dzięki temu poprawiło się tu powietrze.

Ze starych belek u sufitu zwisały się na łańcuchach i mosiężnych wspornikach klosze z rzędami jarzeniówek. Rzucały równomierny biały blask. W każdym kloszu tkwiła tylko jedna świetlówka z wyjątkiem lamp nad stołem do pracy; tu w oprawach były po dwie świetlówki, które dawały światło jasne jak w sali operacyjnej. Gardener podszedł do stołu. Do nowego stołu Bobbi.

Wcześniej stał tu zwykły stół kuchenny przykryty zabrudzonym papierem samoprzylepnym i oświetlony nastawną lampą biurkową. Walało się na nim parę narzędzi, których większość była w nie najlepszym stanie, oraz kilka plastikowych pudełek z gwoździami, śrubami, nakrętkami i innymi podobnymi rzeczami. Słowem było to miejsce do dokonywania drobnych napraw dla kobiety, która nie przejawia specjalnych zdolności ani zainteresowania drobnymi naprawami.

Stary stół kuchenny zniknął, a na jego miejscu pojawiły się trzy długie lekkie stoły, w rodzaju tych, na których rozkłada się wypieki na kościelnych kiermaszach dobroczynnych. Zostały ustawione wzdłuż lewej ściany piwnicy jeden przy drugim, tak że tworzyły jeden długi stół. Leżały na nim różne metalowe elementy, narzędzia, szpulki cienkich i grubych przewodów w izolacji, stały puszki po kawie pełne gwoździ, złączek, klamer... i kilkudziesięciu innych przedmiotów. Może nawet setek.

Były też baterie.

Pod stołem stał karton pełen mnóstwa przeróżnych baterii o przedłużonej trwałości, w oryginalnych opakowaniach: R14, R20, paluszki, cienkie paluszki, dziewięciowoltowe. Są warte ze dwieście dolarów, pomyślał Gardener, i jeszcze te na stole. Co to wszystko, do diabła...

Szedł wzdłuż stołu w oszołomieniu jak klient sprawdzający jakość towaru i podejmujący decyzję, kupić czy nie. Wyglądało na to, że Bobbi pracuje nad kilkoma rzeczami jednocześnie... a Gardener nie bardzo wiedział, na czym właściwie polega ta praca. Pośrodku długiego stołu stała duża kwadratowa skrzynka z odsuniętą na bok płytą, na której było widać osiemnaście przycisków. Przy każdym z nich wypisano tytuł popularnej piosenki: „Raindrops Keep Fallin’ On My Head”, „New York, New York”, „Lara’s Theme” i tak dalej. Według instrukcji starannie przypiętej obok pinezkami do blatu stołu był to jedyny w swoim rodzaju elektroniczny dzwonek do drzwi SilverChime (produkcji tajwańskiej).

Gardener nie potrafił sobie wytłumaczyć, po co Bobbi dzwonek z wbudowanym układem scalonym, dzięki któremu użytkownik może zaprogramować piosenkę, na jaką miałby ochotę — sądziła, że Joe Paulson ucieszy się, słysząc „Lara’s Theme”, gdy przyniesie paczkę i naciśnie przycisk u drzwi? Ale to nie wszystko. Gardener mógłby zrozumieć używanie dzwonka SilverChime, choć nie bardzo rozumiał powód, dla którego Bobbi chciałaby go zainstalować. Wszystko wskazywało jednak na to, że Bobbi pracuje nad ulepszeniem urządzenia — podłączając je do przenośnego radia wielkości małej walizki.

Między odbiornikiem (którego instrukcja też została przypięta do stołu) a otwartymi wnętrzościami dzwonka biegło pół tuzina przewodów — cztery cienkie i dwa nieco grubsze.

Gardener przyglądał się temu przez chwilę, a potem ruszył dalej.

Załamania. Bobbi przeżyła jakieś dziwaczne załamanie nerwowe. W rodzaju tych, które uwielbia Pat Summerall.

Rozpoznał tu coś jeszcze. Kanał zwrotny — dodatkowe urządzenie do pieca zamykające obieg. Dołączano je do przewodu kominowego i dzięki temu odzyskiwano część ciepła, które zwykle się marnowało. Był to gadżet, który Bobbi mogła zobaczyć w jakimś katalogu albo w sklepie żelaznym w Auguście i wspominałaby o kupnie. Ale naprawdę nigdy by tego nie kupiła, bo gdyby to zrobiła, musiałaby urządzenie zainstalować.

Wyglądało jednak, że nie tylko to kupiła... ale także zamontowała.

Nie można powiedzieć, że Bobbi ma jakieś załamanie nerwowe „i tyle”, bo kiedy ktoś naprawdę twórczy fiksuje, rzadko można skwitować to krótkim „i tyle”. Przypadki obłądu nigdy nie wyglądają zbyt pięknie, ale kiedy zwariuje ktoś taki jak Bobbi, może to wyglądać zdumiewająco. Wystarczy spojrzeć na ten cały szajs.

Wierzysz w to?

Tak, wierzę. Nie twierdzą, że ludzie twórczy są delikatniejsi czy bardziej wrażliwi i dlatego przeżywają załamania w delikatniejszy i bardziej wrażliwy sposób — te bzdety są dobre dla wyznawców Sytoii Plath. Po prostu ludzie twórczy mają twórcze załamania. Jeżeli nie wierzysz, powtarzam: spójrz na ten cały szajs.

Zobaczył bojler, gruby biały cylinder po prawej stronie drzwi do piwnicy. Wyglądał tak samo, ale...

Gardener podszedł do bojlera, chcąc sprawdzić, w jaki sposób Bobbi udało się go tak radykalnie podkreć.

Dostała bzika na punkcie napraw domowych. Najbardziej zwariowane jest to, że chyba nie widzi różnicy między naprawą bojlera a przeróbką dzwonka. Zrobiła nową poręcz. Przyniosła świeżą ziemię, rozrzuciła na podłodze piwnicy i zagrabiła. Bóg jeden wie, co jeszcze. Nic dziwnego, że jest wykończona. Nawiasem mówiąc, Gard, jak Bobbi zdobyła wiedzę techniczną potrzebną do tych wszystkich rzeczy? Jeśli z kursu korespondencyjnego Popular Mechanix, musiała niezłe zakuwać.

Początkowe oszołomienie, jakie towarzyszyło mu od wejścia do zwariowanego warsztatu Bobbi, przeradzało się w coraz głębszy niepokój. Nie chodziło tylko o dowody obsesji, które zobaczył na stole — stos starannie ułożonego sprzętu i instrukcje pieczołowicie przypięte czterema pinezkami do blatu. Ani o objawy manii, o której świadczył fakt, że Bobbi

najwyraźniej nie odróżniała potrzebnych prac od bezsensownych (na pozór bezsensownych, poprawił się Gardener) działań.

Gardener poczuł gęsią skórę, kiedy pomyślał — starał się pomyśleć — o ogromnej, rozrzutnej ilości energii, jaką musiała włożyć w pracę. Aby zrobić tylko to, co zobaczył do tej pory, Bobbi musiała się spalać jak pochodnia. Niektóre z projektów, na przykład montaż jarzeniówek, zostały już ukończone. Inne były jeszcze w toku. Bobbi musiała jeździć do Augusty po urządzenia, materiały i baterie. *I nie zapomnij o przywiezieniu świeżej ziemi do piwnicy.*

Co mogło rozpętać w niej to szaleństwo majsterkowania?

Gardener nie wiedział, lecz nie podobał mu się obraz Bobbi, jaki ujrzał w wyobraźni — biegającej tam i z powrotem, pracującej nad dwiema, pięcioma czy dziesięcioma rzeczami równocześnie. Widział ją bardzo wyraźnie. Bobbi miała podwinięte rękawy i rozpięte górne guziki u koszuli, kropelki potu perlily się między jej drobnymi piersiami, włosy zebrała byle jak w koński ogon, oczy jej płonęły i była blada, jeśli nie liczyć gorączkowo zaróżowionych policzków. Wyglądała jak obłąkana Pani Czarodziej; słabła i mizerniała, wkręcając śruby, dociskając nakrętki, lutując przewody, wożąc ziemię, a później stała na drabinie przechylona do tyłu jak baletnica, pot oblewał jej twarz, a żyły na twarzy nabrzmiwały, gdy wieszala nowe lampy. A skoro o tym mowa, nie zapomnij, że Bobbi założyła nową instalację i naprawiła bojler.

Gardener dotknął emaliowanej ściany zbiornika i natychmiast odsunął rękę. Bojler wyglądał tak samo, ale nie był taki sam. Był gorący jak diabli. Gardener kucnął i otworzył drzwiczki u dołu zbiornika.

W tym momencie naprawdę poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg.

6

Przedtem bojler działał na gaz płynny, który dostarczały do palnika miedziane rurki niewielkiej średnicy połączone z butlami zamontowanymi za domem. Raz na miesiąc przyjeżdżał samochód z Dead River Gas z Derry i wymieniał butle, jeśli było trzeba — a zwykle było trzeba, ponieważ bojler był nieekonomiczny i nie wydajny... Gard doszedł do wniosku, że te dwie cechy najczęściej szły w parze. Najpierw Gardener zauważył, że miedziane rurki zostały odłączone od zbiornika. Wisiały za nim luźno, a ich wyloty były zatkałe szmatkami.

Cholera jasna, jak ona ogrzewa wodę?, pomyślał. Zajrzał za drzwiczki i na pewien czas skamieniał.

Zachował jasność myśli, ale wróciło do niego tamto nierzeczywiste ulotne odczucie — uczucie oddzielenia od samego siebie. Poczciwy Gard znów unosił się jak srebrzysty dziecięcy balonik. Wiedział, że się boi, lecz świadomość tego była mało wyraźna i mało istotna w porównaniu z rozpaczliwym uczuciem zrywania się z uwięzi i odpływania od samego siebie. *Jeżu, Gard, nie!* — krzyknął żałośnie wewnętrzny głos.

Przypomnił sobie wyprawę do wesołego miasteczka Fryeburg, gdy był małym dzieckiem, najwyżej dziesięcioletnim. Weszli z matką do labiryntu luster i w pewnym momencie się rozdzielili. Wtedy po raz pierwszy doznał tego dziwnego wrażenia oddzielenia od samego siebie, odsuwania albo unoszenia się nad swoim fizycznym ciałem i fizycznym (jeśli istniało coś takiego) umysłem. Owszem, widział matkę — pięć, tuzin, setkę matek: niskich, wysokich, grubych i chudych. Równocześnie widział pięciu, tuzin, setkę Gardów. Czasem spostrzegał, jak jego odbicie zbliża się do jej odbicia i niemal w roztargnieniu wyciągał rękę, spodziewając się dotknąć jej spodni. Trafiał tylko w pustkę... albo w kolejne lustro.

Krążył tam bardzo długo i przypuszczał, że wpadł w panikę, ale wcale tego nie czuł i o ile sobie przypominał, niczyje zachowanie nie wskazywało na to, żeby rzeczywiście panicznie

się bał, kiedy wreszcie odnalazł wyjście — po piętnastu minutach wahań, miotania się wśród luster, nagłych zwrotów i zderzania się z barierami ze szkła. Matka lekko zmarszczyła brwi, ale tylko na chwilę. To wszystko. Mimo to czuł, że ogarnęła go panika, tak jak teraz: znów miał wrażenie, że umysł odłącza się od reszty jak części maszyny rozpadające się w stanie nieważkości.

To minie. Zaczekaj, Gard. Po prostu zaczekaj, aż to się skończy.

Siedział w kukki, zaglądając w otwarte drzwiczki pod bojlerem, i czekał, aż to się skończy, tak samo jak kiedyś czekał, aż nogi zaprowadzą go do właściwego korytarza wiodącego do wyjścia ze straszego labiryntu luster w wesołym miasteczku Fryeburg.

Po usuniętych palniku u podstawy zbiornika pozostała okrągła pusta przestrzeń. Wypełniał ją kłęb splątanych przewodów — czerwonych, zielonych, niebieskich i żółtych. Pośrodku kolorowej plątany tkwił kartonowy pojemnik na jajka z niebieskim napisem HILL CREST FARMS: DUŻE. W każdej kształtce znajdowała się bateria R20 Eveready zwrócona biegunem dodatnim do góry. Bieguny wieńczyły jakieś maleńkie elementy w kształcie lejka i wszystkie przewody zaczynały się albo kończyły w tych zagadkowych nasadkach. Przyglądając się dłużej tajemniczemu urządzeniu w stanie, którego nie odczuwał jako paniki, Gardener stwierdził, iż jego początkowe wrażenie — że różnobarwne przewody tworzą bezładną plątaninę — jest nie mniej błędne niż początkowe wrażenie, że na stole Bobbi panuje bałagan. Nie, przewody wchodziły w lejkowate nasadki i wychodziły z nich w pewnym porządku — w niektórych zaczynały się albo kończyły dwa druciki, w niektórych zaczynało się albo kończyło sześć drucików. Układały się nawet w określony kształt — małego łuku. Niektóre przewody były zagięte i połączone z lejkami na innych bateriach, ale większość biegła do płytek montażowych opartych o ściany komory grzewczej zbiornika. Gardener domyślił się, że płytki pochodziły z elektronicznych zabawek produkowanych w Korei — na żłobionych powierzchniach było za dużo taniego srebrzystego lutu. Urządzenie wyglądało jak najbardziej cudaczne dzieło stukniętego Diodaka z Kaczogrodu... jednak cudaczne urządzenie miało jakąś funkcję. Och, tak. Przede wszystkim błyskawicznie zmieniało wodę we wrzątek.

Pośrodku komory, tuż nad pojemnikiem po jajkach, w łuku utworzonym przez kolorowe przewody, płonęła kula światła, nie większa od ćwierćdolarówki, lecz jasna jak słońce.

Gardener odruchowo wyciągnął rękę, żeby osłonić oczy przed oślepiającym blaskiem. Z otwartych drzwiczek padał snop ostrego białego światła, rzucając na podłogę piwnicy długi cień. Gardener mógł na nie patrzeć tylko przez mocno zmrużone powieki, rozchylając lekko palce.

Jasne jak słońce.

Tak — tyle że zamiast żółtego, miało błękitnobiały, szafirowy odcień. Światło pulsowało i delikatnie drgało, potem na moment nieruchomiało, by po chwili znów pulsować i drgać: w regularnych cyklach.

Ale skąd bije ciepło?, pomyślał Gardener, czując, że zaczyna wracać do siebie. Skąd bije ciepło?

Znowu wyciągnął dłoń i położył na gładkiej emaliowanej powierzchni zbiornika — lecz tylko na sekundę. Oderwał ją, przypominając sobie parujący strumień, jaki trysnął z kranu w łazience. Nie było wątpliwości, że w zbiorniku jest gorąca woda — na dobrą sprawę powinna zmienić się w parę i rozerwać bojler Bobbi Anderson na kawałki. Nic takiego się oczywiście nie działo, co stanowiło zagadkę... ale mniej ważną w porównaniu z faktem, że Gardener nie czuł ciepła buchającego z drzwiczek — żadnego. Powinien się oparzyć, dotykając uchwyty, który trzeba pociągnąć, aby otworzyć drzwiczki, a kiedy już były otwarte, słoneczko wielkości monety powinno mu spalić skórę twarzy. Więc...?

Powoli i z wahaniem sięgnął lewą ręką do otworu, osłaniając oczy prawą dłonią. Wykrzywił usta, spodziewając się oparzenia.

Rozczapierzone palce wśliznęły się do komory... i trafiły na jakąś miękką i elastyczną przeszkodę. Potem doszedł do wniosku, że przypominało to dotknięcie rozciągniętej nylonowej pończochy — tyle że przeszkoda ustąpiła tylko do pewnego momentu, nie pozwalając mu sięgnąć głębiej. Palce nie mogły jej przebić tak, jak przebiłyby nylonową pończochę.

Ale w środku nie było żadnej przegrody. W każdym razie żadnej nie widział.

Przestał naciskać i niewidzialna membrana wypchnęła jego palce z otworu. Spojrzał na palce i zobaczył, że drżą.

To pole siłowe. Jakieś pole siłowe, które nie przepuszcza ciepła. Boże wielki, znalazłem się w jakiejś opowieści science fiction prosto ze „Startling Stories”. Z roku, powiedzmy, 1947. Ciekawe, czy trafiłem na okładkę. A jeżeli tak, to kto mnie narysował? Virgil Finlay? Hannes Bok?

Ręka zaczęła mu drżeć jeszcze bardziej. Chciał złapać drzwiczki, nie trafił, namacał je jeszcze raz i zatrzasnął, kładąc tamę oślepiającej powodzi białego światła. Wolno opuścił prawą rękę, lecz w oczach wciąż miał powidok maleńkiego słońca, tak jak widzi się blask żarówki w chwilę po jej zgaszeniu.

Tylko że Gardener zobaczył unoszącą się w powietrzu dużą zieloną rękę z jasnym błękitem ektoplazmy między palcami.

Powidok minął. Drżenie rąk — nie.

Gardener nigdy w życiu nie miał takiej ochoty się napić.

7

Pragnienie zaspokoił w kuchni Anderson...

Bobbi nie piła dużo, ale w szafce za garnkami i patelniami zawsze trzymała „niezbędne zapasy”: butelkę ginu, butelkę szkockiej, butelkę bourbona, butelkę wódki. Gardener wyciągnął bourbona — jakiś przeceniony gatunek, ale na bezrybiu i rak ryba — nalał odrobinę do plastikowego kubka i wychylił.

Lepiej patrz pod nogi, Gard. Kuisz los.

Wcale nie kusił. W tej chwili byłby nawet wdzięczny, gdyby wpadł w kolejny ciąg, ale cyklon oddalił się i wiał gdzie indziej... przynajmniej na razie. Nalał podwójną porcję poprzedniego drinka, kontemplował przez moment zawartość kubka, a następnie większą jej część wylał do zlewu. Odstawił butelkę na miejsce, dołał do kubka wody i wrzucił parę kostek lodu, zmieniając płynny dynamit w kulturalnego drinka.

Pomyślał, że pochwaliliby to tamten chłopak z plaży.

Przypuszczał, że senny spokój, który ogarnął go po wyjściu z labiryntu luster i który czuł także teraz, stanowił reakcję obronną przed impulsem, by położyć się na podłodze i wrzeszczeć do utraty przytomności. Nie miał nic przeciwko spokojowi. Przestraszył się natomiast tego, że umysł natychmiast zaczął próbować go przekonać, że to wszystko nieprawda — że po prostu uległ halucynacji. Nie do wiary, ale umysł sugerował, że to, co zobaczył po otwarciu drzwiczek komory pod bojlerem, było po prostu bardzo mocną żarówką — powiedzmy dwustuwatową.

To nie była żarówka ani halucynacja. To było coś podobnego do słońca, bardzo małego, gorącego i jasnego. Unosiło się na przewodach ułożonych w luk nad kartonowym pudełkiem po jawkach wypełnionym bateriami. Możesz teraz zwariować albo wzywać Boga, albo się upić, ale widziałeś to, co widziałeś, i nie próbuj dodawać niczego od siebie, zgoda? Zgoda.

Zajrzał do Anderson, która wciąż spała jak kamień. Gardener wcześniej postanowił obudzić Bobbi około wpół do jedenastej, gdyby sama się nie ocknęła; zerkając na zegarek, zobaczył ze zdumieniem, że jest dwadzieścia po dziewiątej. Był w piwnicy o wiele dłużej, niż mu się wydawało.

Myśl o piwnicy wywołała surrealistyczną wizję miniaturowego słońca zawieszona na łuku z przewodów, błyszczącego jak rozgrzana do białości piłka tenisowa... a myśl o tym przypomniła mu nieprzyjemne uczucie odłączania się od umysłu. Usiłował o tym zapomnieć, ale nie potrafił. Spróbował jeszcze raz, mówiąc sobie, że po prostu nie będzie o tym myślał, aż Bobbi się obudzi i powie, co tu się dzieje.

Spojrzał na swoje ręce i zdał sobie sprawę, że się poci.

8

Gardener wyszedł z drinkiem z domu, a na dworze znalazł nowe dowody wybuchu nadnaturalnej aktywności Bobbi.

Przed dużą szopą w lewo od ogrodu stał jej tomcat — nie było w tym nic dziwnego, zwykle zostawiała traktor w tym miejscu, kiedy według prognoz nie miało być deszczu. Ale nawet z odległości dwudziestu stóp Gardener zauważył, że Anderson dokonała zasadniczej przeróbki silnika tomcata.

Nie, dość tego. Daj sobie z tym spokój, Gard. Wracaj do domu.

Głos, który to wypowiedział, nie miał nic z atmosfery snu ani oderwania — brzmiał ostro i drgało w nim najczystsze, paniczne przerażenie. Przez chwilę Gardener o mały włos mu nie uległ... lecz zaraz uznał, że byłaby to haniebna zdrada — zdradziłby Bobbi i samego siebie. Przecież to myśl o Bobbi powstrzymała go wczoraj przed samobójstwem. Wierzył, że dzięki temu ją także uratował przed śmiercią. Chińczycy mają przysłowie: „Jeśli ratujesz życie, jesteś za nie odpowiedzialny”. Ale jeżeli Bobbi potrzebowała pomocy, jak miał jej pomóc? Aby się tego dowiedzieć, musiał najpierw spróbować się dowiedzieć, co tu się działo, prawda?

(Gard, przecież wiesz, kto to wszystko zrobił, nie?)

Wychylił resztę drinka, odstawił pustą szklaneczkę na ostatni stopień schodków i ruszył w stronę tomcata. Słyszał granie świerszczy w wysokiej trawie, dobiegające go jak przez mgłę. Nie czuł się pijany ani nawet na rauszu; jakby whisky przepłynęła przez niego, w ogóle nie naruszając układu nerwowego. Jakby sobie odpuściła.

(jak skrzaty, które stuku-puku, stuku-puku, robiły buty, kiedy szewc smacznie sobie spał)

Ale Bobbi wcale nie spała. Bobbi nosiło, dopóki nie padła — dosłownie padła — w ramiona Gardenera.

(stuku-puku, stuk, puk-puk, w nocy gdy cały dom już śpi Stukostrachy Stukostrachy stukają do drzwi)

Stojąc obok tomcata i zaglądając w otwartą komorę silnika, Gardener nie tylko zadrzał — zadygotał jak ktoś umierający z zimna, bezwiednie przygryzając dolną wargę. Był blady, a na czoło i skronie wystąpił mu pot.

(bojler naprawią i traktor więc nikt nie zaprzeczy że Stukostrachy potrafią wiele rzeczy)

Tomcat był niedużym pojazdem, który zupełnie nie nadawałby się do pracy przy uprawach na dużym polu. Był większy od kosiarki i mniejszy od najmniejszego traktora produkcji Deere albo Farmall, ale w sam raz dla kogoś, kto miał ogród trochę za duży, aby nazwać go działką — czyli dla Bobbi nadawał się doskonale. Jej ogród miał mniej więcej półtora akra — fasola, ogórki, groszek, kukurydza, rzodkiewki i ziemniaki. Nie było marchewki, kapusty, cukinii ani kabaczków. „Nie uprawiam warzyw, których nie lubię — powiedziała kiedyś Gardenerowi. — Życie jest za krótkie”.

Tomcat miał sporo zastosowań; musiał być wieloczynnościowy. Nawet zamożny ziemianin mógłby mieć poważny kłopot z wytłumaczeniem zakupu minitraktora za dwa tysiące dolarów do użytku w akrowym ogrodzie. Traktor potrafił orać glebogryzarką, podcinać trawę za pomocą jednej końcówki i kosić siano za pomocą drugiej; potrafił przewozić różne rzeczy po wertepach (Bobbi używała go jesienią jako ciągnika i z tego, co

wiedział Gardener, tylko raz utknęła gdzieś w terenie), natomiast zimą montowała do niego dmuchawę śnieżną i w ciągu pół godziny odśnieżała podjazd. Tomcat był napędzany mocnym czterystucentymetrowym silnikiem.

To znaczy, tak było dotąd.

Silnik nadal znajdował się na swoim miejscu, lecz zdobył go najdziwniejszy zbiór gadżetów i dodatków, jakie można sobie wyobrazić — Gardener mimo woli pomyślał o dzwonko — radiu w piwnicy, zastanawiając się, czy Bobbi też chciała je zamontować w tomcacie... może to było coś w rodzaju radaru. Parsknął krótkim nerwowym śmiechem.

Z boku silnika wystawał słoik po majonezie wypełniony jakąś bezbarwną cieczą, która na pewno nie była benzyną, przykręcony do mosiężnego elementu w głowicy. Na obudowie znajdowało się natomiast coś, co wyglądałoby bardziej na miejscu w chevrolecie nova albo supersport: wlot powietrza sprężarki doładowującej.

Miejsce skromnego gaźnika zajął wycyganiony od kogoś czteroprzeptywowy. Bobbi musiała wyciąć dziurę w obudowie, żeby się zmieścił.

I przewody — wszędzie wiły się przewody, wchodziły w różne miejsca i wychodziły, tworząc jakieś połączenia, które nie miały absolutnie żadnego sensu... przynajmniej według Gardenera.

Zerknął na ascetyczny zestaw przyrządów traktora, zaczął odwracać wzrok... i nagle z powrotem utkwił w nim zdumione spojrzenie.

Tomcat miał dźwignię zmiany biegów, a schemat ustawienia biegów był wydrukowany na kwadratowej metalowej tabliczce przykręconej na tablicy rozdzielczej pod wskaźnikiem ciśnienia oleju. Gardener dość często widywał metalowy kwadracik; nieraz jeździł tomcatem. Wcześniej schemat wyglądał tak:

1		3
	N	4
2		R

Pojawiło się na nim coś nowego — coś, co w swej prostocie było przerażające:

1		3	GÓRA
	N	4	
2		R	

Nie wierzysz w to, prawda?

Nie wiem.

Daj spokój, Gard — latające traktory? Nie żartuj sobie!

W bojlerze ma miniaturowe słońce.

Gówna prawda. To musiała być żarówka, bardzo jasna, może dwustuwatowa...

To nie była żarówka!

Już dobrze, uspokój się. Po prostu brzmi jak reklama z jakiejś podroby „ET”.
Uwierzycie, że traktor umie latać”.

Zamknij się.

Albo „John Deere dzwonić do domu”. Co ty na to?

Znów stał w kuchni Anderson, spoglądając tęsknie na szafkę, gdzie znajdowała się woda. Odwrócił wzrok — nie było to łatwe, bo odniósł wrażenie, że jego oczy zrobiły się bardzo ciężkie — i poszedł do salonu. Zobaczył, że Bobbi zmienia pozycję i szybciej oddycha. Pierwsze oznaki budzenia. Gardener zerknął na zegarek; dochodzi dziesiąta. Podszedł do biblioteczki, chcąc znaleźć coś do czytania, zająć czymś myśli, dopóki Bobbi się nie ocknie.

Obok starej i zdezelowanej maszyny do pisania na biurku ujrzał coś, co wywołało u niego największy szok. W każdym razie na tyle głęboki, że ledwie zwrócił uwagę na jeszcze jedną zmianę: na ścianie nad maszyną wisiała rolka papieru komputerowego jak gigantyczna rolka papierowych ręczników.

9

ŁOWCY BIZONÓW powieść Roberta Anderson

Gardener odłożył pierwszą kartkę na bok zapisaną stroną do dołu i zobaczył swoje nazwisko — a raczej przezwisko, którego używał tylko on i Bobbi.

Dla Garda, który w potrzebie jest zawsze przy mnie

Znów wstrząsnął nim gwałtowny dreszcz. Położył drugą kartkę na pierwszej.

1

W tamtych czasach, zanim jeszcze Kansas zaczęło sphywać krwią, równiny roiły się od bizonów — żyło ich tyle, że wszystkich, biedaków, białych i Indian, chowano okrytych skórami bizonów zamiast w trumnach.

„Gdy poznasz smak mięsa bizona, nigdy więcej nie będziesz chciał wziąć do ust niczego, co pochodzi od krowy” — mawiali weterani prerii i pewnie wierzyli w to, co mówią, bo wszyscy myśliwi równin, wszyscy łowcy bizonów, żyli w świecie kosmatych, garbatych duchów; roztaczali wokół siebie bizonią atmosferę, a nawet woń bizonów — tak, woń, ponieważ wielu z nich smarowało sobie twarz, szyję i ręce bizonim łojem, aby słońce prerii nie spaliło ich na węgiel. Nosili zęby bizonów na szyjach, czasem w uszach; ochroniacze spodni mieli zrobione ze skóry bizonów; niejeden z tych koczowników nosił przy sobie penis bizona jako amulet, który miał mu zapewnić potencję.

Jak duchy podążali za stadami, które pędziły po porośniętej niską trawą ziemi niczym ogromne chmury przykrywające prerię cieniem; chmury nadal wiszą nad krainą, lecz po ogromnych stadach nie pozostał żaden ślad... nie ma też śladu po łowcach bizonów, szaleńcach z pustkowi, gdzie nikt nigdy nie stawiał zagród, ludziach, którzy przybyli znikąd i zniknęli za niewiadomym horyzontem, ludziach w mokasynach ze skóry bizonów i naszyjnikach z kości; duchach spoza czasu i miejsca, które żyły, zanim kraj zaczął sphywać krwią.

Późnym popołudniem dwudziestego czwartego sierpnia 1848 roku Robert Howell, który niecałe piętnaście lat później miał zginąć pod Gettysburgiem, rozbił obóz niedaleko strumyczka, na ponurym skrawku ziemi znanym jako Sand Hill Country, gdzie w głąb terytorium wcinał się wąski pas Nebraski. Strumyczek był niewielki, lecz woda pachniała tak zachęcająco...

Gardener był zupełnie pochłonięty lekturą i zdążył przeczytać już czterdzieści stron powieści, kiedy usłyszał senne wołanie Bobbi Anderson:

— Gard? Gard, jesteś tu jeszcze?

— Jestem, Bobbi — powiedział i wstał, myśląc z lękiem o tym, co jeszcze może się zdarzyć, prawie przekonany, że zwariował. Tak, to na pewno obłąd. Niemożliwe, żeby pod zbiornikiem z wodą płonęło małe słońce albo żeby dzięki nowym urządzeniom tomcat mógł lewitować... mimo to łatwiej mógłby uwierzyć w jedną z tych rzeczy niż w to, że Bobbi napisała czterystustronicową powieść pod tytułem „Łowcy bizonów” w ciągu mniej więcej

trzech tygodni, jakie upłynęły od ich ostatniego spotkania — powieść, która, nawiasem mówiąc, była jej najlepszym dziełem. Niemożliwe, bez dwóch zdań. Łatwiej — do diabła, po prostu rozsądniej — będzie uwierzyć, że zwariował i na tym poprzestać.

Gdyby tylko było można.

Bobbi wolno podnosiła się z kanapy, krzywiąc się jak staruszka.

— Bobbi... — zaczął Gardener.

— Chryste, wszystko mnie boli — poskarżyła się Anderson. — I muszę zmienić... nieważne. Jak długo spałam?

Gardener zerknął na zegarek.

— Chyba czternaście godzin. Może trochę dłużej. Bobbi, twoja nowa książka...

— Tak, tak. Zaczekaj z tym, aż wrócę. — Wolnym krokiem ruszyła do łazienki, rozpinając po drodze koszulę, w której spała. Gdy szła, powłócząc nogami, Gardener zobaczył — nawet lepiej niż chciał — ile Bobbi straciła na wadze. Jej chudość wyglądała wręcz chorobliwie.

Przystanęła, jak gdyby świadoma spojrzenia Gardenera, i nie odwracając się, powiedziała:

— Mogę ci wszystko wytłumaczyć.

— Naprawdę? — spytał Gardener.

Anderson bardzo długo przebywała w łazience — o wiele dłużej, niż powinno trwać skorzystanie z toalety i zmiana podpaski — Gardener był prawie pewien, że po to właśnie tam poszła. Wyglądała, jak gdyby na twarzy miała wypisane „mam okres”. Nasłuchiwał szumu prysznica, ale na próżno, toteż zaczął się niepokoić. Po przebudzeniu Bobbi sprawiała wrażenie zupełnie przytomnej, ale czy to znaczyło, że faktycznie była?

Oczyrna wyobraźnia Gardener ujrzał Bobbi, jak przeciska się przez okno łazienki, a potem z dzikim śmiechem ucieka do lasu w samych dżinsach.

Dotknął dłonią lewej strony czoła, gdzie widniała blizna. Znów zaczęła go boleć głowa. Odczekał jeszcze dwie minuty, a potem wstał i zbliżył się do drzwi łazienki, starając się stapać jak najciszej, choć nie uświadamiał sobie tego do końca. Wizja Bobbi uciekającej przez okno łazienki, aby uniknąć wyjaśnień, ustąpiła miejsca wizji Bobbi spokojnym ruchem podcinającej sobie gardło jedną z żyłek Garda, aby w ten sposób uniknąć wyjaśnień.

Postanowił, że tylko posłucha. Gdyby usłyszał odgłosy normalnych czynności w łazience, zamierzał pójść do kuchni, nastawić kawę, może zrobić jakąś jajecznicę. Gdyby nie usłyszał nic...

Jego obawy były zupełnie niepotrzebne. Gdy Bobbi weszła do łazienki, drzwi niedokładnie się za nią zamknęły, a pomijając inne przeróbki w domu, niedomykające się drzwi chyba wciąż po dawnemu same się uchylały. Żeby usunąć tę usterkę, Bobbi musiałaby unieść i podłożyć kliny pod całą północną stronę domu. Może planowała to na przyszły tydzień, pomyślał.

Drzwi uchyliły się akurat na tyle, że Gardener zobaczył Bobbi stojącą przed lustrem, przed którym sam niedawno stał. W jednej ręce trzymała szczoteczkę do zębów, a w drugiej tubkę pasty... ale jeszcze nie odkręciła tubki. Wpatrywała się w lustro skupiona jak w hipnotycznym transie. Rozchyliła wargi, obnażając zęby.

Dostrzegła w lustrze ruch i odwróciła się, nie czyniąc najmniejszego wysiłku, by zasłonić wychudłe piersi.

— Gard, jak sądzisz, czy moje zęby dobrze wyglądają?

Gardener przyjrzał się uważnie. Wyglądały tak jak zawsze, choć nie pamiętał, by kiedykolwiek widział je tak wyeksponowane — znów przypomniało mu się tamto okropne zdjęcie Karen Carpenter.

— Jasne. — Starał się nie patrzeć na widoczne pod skórą żebra, kości miednicy załośnie sterczące nad džinsami, które opadały mimo paska ściągniętego mocno jak sznurek podtrzymujący spodnie włóczęgi. — Chyba tak. — Uśmiechnął się powściągliwie. — Ubytków nie widzę.

Anderson próbowała odpowiedzieć mu uśmiechem, wciąż rozciągając wargi do samych dziąseł; rezultat tego eksperymentu był nieco groteskowy. Nacisnęła palcem jeden zęb trzonowy.

— Ucha e ey o oię?

— Co?

— Rusza się, kiedy to robie?

— Nie. W każdym razie nie widzę. Czemu pytasz?

— Ciągle mam taki sen, w którym... — Spojrzała na siebie. — Wyjdź, Gard, jestem w negliżu.

Nie bój się, Bobbi. Wcale nie zamierzałem się na ciebie rzucić. Nie rzucam się na kości.

— Przepraszam — rzekł. — Drzwi były otwarte. Myślałem, że wyszłaś.

Zamknął drzwi, dociskając je starannie.

Usłyszał dobiegający zza nich wyraźny głos Bobbi:

— Wiem, nad czym się zastanawiasz.

Nic nie powiedział — po prostu stał za drzwiami. Miał jednak przecucie, że ona wie — wie, że on wciąż tu jest. Jak gdyby widziała przez drzwi.

— Zastanawiasz się, czy straciłam rozum.

— Nie — powiedział. — Nie, Bobbi. Ale...

— Jestem tak samo normalna jak ty — odrzekła zza drzwi Bobbi. — Zesztywniałam tak, że ledwo mogę chodzić, i mam zabandażowane kolano, tylko że nie pamiętam dokładnie dlaczego, poza tym jestem głodna jak wilk i wiem, że za bardzo straciłam na wadze... ale jestem przy zdrowych zmysłach, Gard. Pewnie jeszcze dziś parę razy będziesz się zastanawiał, czy sam jesteś przy zdrowych zmysłach. Odpowiedź brzmi: żadne z nas nie zwariowało.

— Bobbi, co się tu dzieje? — spytał Gardener. Zabrzmiało to jak bezradny krzyk.

— Chcę rozwinąć ten przeklęty bandaż i zobaczyć, co pod nim jest — mówiła przez drzwi Anderson. — Zdaje się, że mocno nadwreżyłam kolano. Chyba w lesie. Potem chcę wziąć gorący prysznic i przebrać się w czyste rzeczy. Tymczasem mógłbyś zrobić jakieś śniadanie. Potem wszystko ci opowiem.

— Opowiesz?

— Tak.

— Zgoda, Bobbi.

— Cieszę się, że jesteś, Gard — powiedziała. — Raz czy dwa miałam złe przecucia. Że nie najlepiej sobie radzisz.

Gardener stwierdził, że widzi podwójnie, potrójnie, a potem wszystko rozbija się na kolorowe pryzmaty i ulatuje.

Przetarł twarz dłonią.

— Spokojna głowa — rzekł. — Zrobię śniadanie.

— Dzięki, Gard.

Odszedł od drzwi, lecz musiał iść powoli, bo choć kilka razy przecierał oczy, wzrok wciąż płatał mu figle.

3

W kuchni przystanął i wrócił pod zamknięte drzwi łazienki, jak gdyby coś mu przyszło do głowy. Słysząc było prysznic.

— Gdzie jest Peter?

— Co? — zawołała przez szum wody.

— Pytam, gdzie Peter — zawołał.

— Nie żyje — odpowiedziała Bobbi, przekrzykując szum wody. — Płakałam, Gard. Ale był... wiesz...

— Stary — mruknął Gardener. Przypomniał sobie, że powinien podnieść głos, więc powtórzył głośno: — Umarł ze starości?

— Tak — zawołała Anderson przez szum wody.

Gardener stał przez chwilę, po czym wrócił do kuchni, zastanawiając się, dlaczego odniósł wrażenie, że Bobbi skłamała, mówiąc o śmierci Petera.

4

Gardener zrobił jajecznicę i usmażył bekon na grillu. Zauważył, że od jego ostatniej wizyty nad zwykłą kuchenką pojawiła się kuchenka mikrofalowa, a także rząd lampek na szynie nad blatem i stołem, przy którym Bobbi jadła większość posiłków — trzymając zwykle w wolnej ręce książkę.

Zaparzył mocną i czarną kawę. Stawiał wszystko na stole, gdy weszła Bobbi ubrana w czyste sztruksy i koszulkę z wizerunkiem meszki i napisem PTAK STANU MAINE. Mokre włosy miała owinięte ręcznikiem.

Anderson obrzuciła spojrzeniem stół.

— Nie ma grzanek? — zapytała.

— Sama sobie zrób cholerne grzanki — odrzekł uprzejmie Gardener. — Nie przejechałem autostopem dwustu mil, żeby ci podawać ulubione śniadanko.

Anderson wlepiła w niego zdumione spojrzenie.

— Co takiego? Wczoraj? W deszczu?

— Tak.

— Rany boskie, co się stało? Muriel mówiła, że jesteś w trasie i ostatni wieczór masz trzydziestego czerwca.

— Dzwoniłaś do Muriel? — Poczul niedorzeczne wzruszenie. — Kiedy?

Anderson machnęła ręką, jak gdyby to nie miało żadnego znaczenia — pewnie rzeczywiście nie miało.

— Co się stało? — powtórzyła.

Gardener zastanawiał się, czyjej powiedzieć — skonsternowany doszedł do wniosku, że chce jej powiedzieć. A więc po to była Bobbi? Bobbi Anderson miała być dla niego tylko ścianą płaczu? Zawahał się... i chociaż chciał, jednak jej nie powiedział. Później będzie na to czas.

Może.

— Później — rzekł. — Najpierw chcę wiedzieć, co tu się stało.

— Najpierw śniadanie — odparła Anderson. — To rozkaz.

5

Gard postawił przed Bobbi większą porcję jajecznicy i bekonu, a ona nie marnowała czasu — zabrała się do śniadania z zapałem kogoś, kto od dawna nie jadł nic porządnego. Przyglądając się jej, Gardener przypomniał sobie biografię Tomasza Edisona, którą czytał,

gdy był bardzo mały — miał nie więcej niż dziesięć, może jedenaście lat. Edison wpadał w szalone ciągi pracy, w trakcie których pomysł gonił pomysł, wynalazek gonił wynalazek. Podczas tych gwałtownych przyływów weny zapominał o żonie, dzieciach, kąpieli, a nawet o jedzeniu. Gdyby żona nie przynosiła mu posiłków na tacy, mógł dosłownie umrzeć z głodu między wynalezieniem żarówki i fonografu. W książce było jego zdjęcie, na którym Edison zanurzał dłonie w dziko rozczochranych włosach — jak gdyby usiłował przez czaszkę sięgnąć mózgu, który nie pozwalał mu na chwilę wytchnienia — a spoglądając na fotografię, Gardener odniósł wrażenie, że wynalazca wygląda jak skończony szaleniec.

Dotykając czoła z lewej strony, pomyślał, że Edison cierpiał na migreny. Migreny i głębokie depresje.

U Bobbi nie dostrzegła jednak żadnych oznak depresji.

Pochłonęła jajecnicę, zjadła siedem czy osiem plasterków bekonu na grzance grubo posmarowanej margaryną, popijając to dwiema pełnymi szklankami soku pomarańczowego. Kiedy skończyła, wydała głośne beknięcie.

— Fe, Bobbi.

— W Portugalii porządne beknięcie jest uważane za komplement dla kucharza.

— A co robią po dobrym numerku? Pierdzą?

Anderson odrzuciła głowę do tyłu i ryknęła śmiechem.

Ręcznik zsunął się jej z włosów, a Gardener w jednej chwili zapragnął zabrać ją do łóżka, choć została z niej tylko skóra i kości.

Uśmiechając się lekko, rzekł:

— Zgoda, to było dobre. Dzięki. W jakąś niedzielę zrobię ci świetne jajka sadzone na grzance z szynką. A teraz gadaj.

Anderson sięgnęła za jego plecy i położyła na stole na wpół opróżnioną paczkę cameli. Zapaliła jednego, podsuwając pudełko Gardenerowi.

— Nie, dzięki. To jedyny nałóg, jaki prawie udało mi się rzucić.

Ale zanim Bobbi skończyła mówić, Gardener wypalił cztery papierosy.

6

— Rozejrzałeś się po domu — powiedziała Anderson. — Prosiłam, zdaje się — chociaż niewiele pamiętam — żebyś to zrobił. Wiem, że się rozejrzałeś, bo wyglądasz podobnie jak ja, gdy znalazłam to coś w lesie.

— Co takiego?

— Gdybym ci teraz powiedziała, pomyślałbyś, że zwariowałam. Później ci pokażę, ale teraz po prostu pogadajmy. Powiedz mi, co zobaczyłeś w domu. Jakie zmiany.

Gardener wyliczył wszystko, co zauważył: ulepszenia w piwnicy, bałagan na stole, związany z rozpoczętymi pracami, zagadkowe słoneczko pod bojlerem. Dziwne przeróbki silnika tomcata. Przez chwilę wahał się, myśląc o dodatku w schemacie biegów traktora, ale dał spokój. Bobbi i tak pewnie wiedziała, że to dostrzegł.

— I gdzieś w środku tego wszystkiego — dodał — znalazłaś czas na napisanie nowej książki. Bardzo długiej. Czekając, aż się obudzisz, przeczytałem mniej więcej czterdzieści stron i uważam, że jest nie tylko gruba, ale i dobra. Chyba najlepsza z twoich dotychczasowych powieści... chociaż napisałaś parę niezłych.

Anderson z zadowoleniem kiwała głową.

— Dziękuję. Też tak sędzę. — Pokazała ostatni plaster bekonu na talerzu. — Chcesz?

— Nie.

— Na pewno?

— Tak.

Bobbi wzięła plaster, który po chwili zniknął.

— Jak długo ją pisałaś?

— Nie jestem pewna — odrzekła Anderson. — Może trzy dni. W każdym razie nie dłużej niż tydzień. Większość pisałam przez sen.

Gardener się uśmiechnął.

— Nie żartuję — dodała z rozbawieniem Anderson.

Gardener przestał się uśmiechać,

— Poczucie czasu trochę mi się popieprzyło — przyznała. Wiem, że nie pracowałam nad nią jeszcze dwudziestego siódmego. To był ostatni dzień, w którym miałam świadomość upływu czasu — w porządku sekwencyjnym. Przyjechałeś wczoraj, czwartego lipca, i książka była skończona. Czyli... najwyżej tydzień. Ale naprawdę nie sędzę, żebym pisała dłużej niż trzy dni.

Gardener wpatrywał się w nią z otwartymi ustami. Anderson odpowiedziała mu spokojnym spojrzeniem, wycierając palce w serwetkę,

— Bobbi, to niemożliwe — wykrztusił wreszcie Gardener.

— Jeśli tak myślisz, to nie widziałeś mojej maszyny do pisania.

Gardener zerknął na starą maszynę, siadając przy stole, ale to było wszystko — jego uwagę natychmiast pochłonął maszynopis. Czarnego underwooda widział już tysiące razy, natomiast maszynopis był nowy.

— Gdybyś przyjrzał się uważnie, zobaczyłbyś za nią rolkę papieru komputerowego na ścianie i jeszcze jeden taki aparat. Pudełko po jajkach, baterie i tak dalej. Co, chcesz?

Podsunęła mu papierosy i Gardener wziął jednego.

— Nie wiem, jak to działa, zresztą nie wiem naprawdę, jak działają te wszystkie aparaty — razem z tym, który produkuje prąd dla całego domu. — Uśmiechnęła się na widok miny Gardenera. — Odłączyłam się od cycka Central Maine Power, Gard. Kazałam im przerwać dostawę energii... tak to właśnie sformułowali, jak gdyby byli pewni, że niedługo będą chciała z powrotem korzystać z ich usług... to było... cztery dni temu. To akurat pamiętam.

— Bobbi...

— Taki sam aparat jak w bojlerze i za maszyną do pisania jest za domem w skrzynce przyłączeniowej, ale to dziadek ich wszystkich. — Anderson parsknęła śmiechem, jakby wróciły do niej jakieś miłe wspomnienia. — W skrzynce jest dwadzieścia czy trzydzieści baterii R20. Poley Andrews z Cooper Market myśli pewnie, że zwariowałam — wykupiłam u niej cały zapas baterii, a potem pojechałam do Augusty po więcej.

— Czy to było tego dnia, gdy przywiozłam ziemię do piwnicy? — Ostatnie pytanie zadała sama sobie, marszcząc brwi. Potem twarz jej pojaśniała. — Tak, chyba tak. Historyczna Wyprawa po Baterie 1988. Zrobiłam trasę po siedmiu różnych sklepach, z których wyszłam z setkami baterii, a potem zatrzymałam się w Albion i kupiłam przyczepę piasku gliniastego, żeby odświeżyć podłogę w piwnicy. Jestem prawie pewna, że obie rzeczy zrobiłam tego samego dnia.

Na jej twarzy znów pojawił się wyraz niepokoju i przez chwilę Gardenerowi zdawało się, że Bobbi wygląda na przestraszoną i wyczerpaną — to jasne, że wciąż była wyczerpana. Wczoraj wieczorem Gardener był przekonany, że to zmęczenie sięga szpiku kości i nie usunie go jedna porządnie przespana noc. Poza tym te zwariowane fantasmagorie — gadanie o książkach pisanych przez sen, zasilaniu wszystkich domowych urządzeń na prąd zmienny za pomocą baterii R20, o wyjazdach do Augusty na szalone zakupy...

Tyle że wszędzie wokół siebie miał dowody. Widział je na własne oczy.

— ...z tym — powiedziała ze śmiechem Anderson.

— Co, Bobbi?

— Mówię, że miałam cholerne kłopoty z ustawieniem tego, który generuje prąd w domu i przy wykopie.

— Jakim wykopie? Chodzi o to coś w lesie, które chcesz mi pokazać?

— Tak. Niedługo. Daj mi jeszcze kilka minut. — Znów miała rozmarzoną minę, jak gdyby rozkoszowała się opowiadaniem, a Gardenerowi przyszło nagle do głowy, że takie miny mają pewnie wszyscy ci, którzy nie tylko chcą, ale wręcz muszą podzielić się ze słuchaczami swoją opowieścią — od pewnego nudziarza z sal wykładowych, który brał udział w wyprawie antarktycznej w 1937 roku i na dowód wciąż pokazywał wyblakłe slajdy, po żeglarza Izmaela, ostatniego z nieszczęsnego „Peauoda”, kończącego swą opowieść zdaniem, które zdaje się brzmieć jak ledwie skrywany krzyk rozpaczy udający informację: „I tylko ja ocalałem, aby wam powiedzieć”. Czyżby pod powierzchnią wesołych bezładnych wspomnień Bobbi z Dziesięciu Wariackich Dni w Haven kryła się rozpacz i szaleństwo? Gardener przypuszczał, że tak... wiedział, że tak. Kto lepiej niż on potrafiłby dostrzec oznaki? To, co spotkało tu Bobbi, podczas gdy Gardener czytał poezje korpulentnym damom i ich znużonym mężom, prawie zupełnie pomieszało jej w głowie.

Anderson zapaliła lekko drżącą ręką następnego papierosa; płomyk zapalki mrugnął przez moment. Można to było zauważyć, jeżeli zwracało się uwagę na każdy, nawet najmniejszy gest.

— Skończyły mi się kartony po jajkach, zresztą musiałam tam włożyć więcej baterii, niż mogłoby się zmieścić w jednym czy nawet dwóch. Przyniosłam więc jedno z pudeł po cygarach wujka Franka — na strychu jest chyba z tuzin takich drewnianych pudełek, pewnie nawet Mabel Noyes z „Rupieciowiska” zapłaciłaby za nie parę dolców — a sam wiesz, jaka z niej sknera — i napchałam do środka papieru toaletowego, żeby zrobić gniazdko na baterie. Wiesz... takie gniazdko, żeby stały.

Anderson pokazała, dźgając zamasyżycie powietrze palcem wskazującym, a potem spojrzała na Garda roziskrzonymi oczami, żeby sprawdzić, czy rozumie. Gardener skinął głową. Chyłkiem wracało uczucie nierzeczywistości, poczucie, że umysł przeniknie mu przez czaszkę i wzbije się pod sufit. Drink wszystko by załatwił, pomyślał, czując narastające pulsowanie w głowie.

— Ale baterie ciągle się przewracały. — Zdusiła papierosa i natychmiast zapaliła następnego. — Byli wściekli, po prostu wściekli. Ja zresztą też. A potem wpadłam na pewien pomysł.

Wściekli? Oni?

— Pojechałam do Chipa McCauslanda. Mieszka przy Dugout Road, wiesz gdzie?

Gardener pokręcił głową. Nigdy nie był na Dugout Road.

— Mieszka tam ze swoją kobietą — chyba konkubiną i dziesięciorgiem dzieci. W życiu nie widziałam takiego brudasa... Gard, żeby umyć taką szyję jak jej, trzeba najpierw użyć młota pneumatycznego. On chyba był kiedyś żonaty i... nieważne... po prostu... nie miałam z kim pogadać... to znaczy, oni nie gadają, nie tak jak dwoje ludzi, ciągle mieszam rzeczy nieważne z rzeczami, które są...

Słowa Anderson pędziły coraz szybciej i szybciej, tak że zaczęły się o siebie potykać. Rapuje jak zawodowiec, pomyślał nie bez obawy Gardener. I zaraz albo wybuchnie płaczem, albo zacznie wrzeszczeć. Nie wiedział, której z tych możliwości bardziej się bał i znów pomyślał o Izmaelu, Izmaelu, który snuje się ulicami Bedford w Massachusetts i roztacza woń szaleństwa silniejszą od smrodu wielorybiego tłuszczu, a w końcu łapie jakiegoś pechowego przechodnia i krzyczy: *Słuchaj! Tylko ja ocalałem, żeby ci powiedzieć, więc lepiej mnie, kurwa, posłuchaj! Lepiej mnie posłuchaj, jeżeli nie chcesz, żebym zrobił z tego harpuna czopek! Chcę ci opowiedzieć o pierdolonym białym wielorybie, a ty będziesz grzecznie słuchał!*

Wyciągnął rękę nad stołem i dotknął jej dłoni.

— Możesz opowiadać, jak tylko chcesz. Siedzę tu i będę cię słuchał. Mamy czas; mówiłaś, że zrobisz sobie dziś wolne. A więc zwolnij. Jeżeli zasnę, to będzie znak, że za bardzo zбочyłaś z tematu, dobra?

Anderson uśmiechnęła się, już rozluźniona. Gardener chciał jeszcze raz ją zapytać, co się dzieje w lesie. Bardziej chciał wiedzieć, kim są ci tajemniczy „oni”. Najlepiej będzie jednak poczekać. Tego, kto czeka, spotyka najgorsze, pomyślał. Bobbi wzięła się w garść i po chwili podjęła opowieść.

— Chip McCausland ma kilka kurników, to chciałam powiedzieć. Za parę doliców dostałam tyle kartonów na jajka, ile chciałam... nawet kilka takich dużych skrzynek. W każdej jest dziesięć tuzinów kształtek.

Anderson zaśmiała się wesoło i dodała coś, od czego Gardener dostał gęsiej skórki.

— Jeszcze ich nie używałam, ale kiedy to w końcu zrobię, będziemy mieli dość mocy, żeby odłączyć całe Haven od cycka Central Maine Power. Zostanie jeszcze dla Albion i Troy.

— No i tak podłączyłam sobie prąd — Jezu, ale się rozgadałam — i założyłam ten aparat na maszynę do pisania — i naprawdę spałam — w każdym razie drzemałam — od tego chyba zaczęliśmy, nie?

Gardener skinął głową, wciąż nie mogąc uporać się z myślą, czy Bobbi mówi prawdę, czy opowiada bajki, twierdząc, że potrafi skonstruować „aparat”, który da radę wyprodukować energię dla trzech miasteczek ze stu dwudziestu baterii R20.

— Ten aparat na maszynie do pisania potrafi... — Anderson zmarszczyła brwi. Odrobinę przekrzywiła głowę, jak gdyby słuchając głosu, którego nie słyszał Gardener. — Może łatwiej będzie ci pokazać. Idź tam i wkręć kartkę, dobrze?

— W porządku. — Ruszył do drzwi salonu, lecz po chwili się obejrzał. — Ty nie idziesz?

Anderson się uśmiechnęła.

— Zostanę tu — powiedziała i w tym momencie Gardener pojął. Zrozumiał na jakimś poziomie umysłu, który dopuszczał tylko logiczne argumenty, że to istotnie możliwe — czy nie sam nieśmiertelny Holmes powiedział, że kiedy wyeliminuje się niemożliwe, należy uwierzyć w to, co zostaje, bez względu na to, jak wydawałoby się nieprawdopodobne? A na stole faktycznie leżała nowa książka, tuż obok maszyny, którą Bobbi nazywała akordeonem do słów.

Zgadza się, Gard, tyle że maszyny same nie piszą książek, stary. Wiesz, co prawdopodobnie powiedziałby nieśmiertelny Holmes? Z faktu, że obok maszyny do pisania leży nowa powieść Bobbi, i z dodatkowego faktu, że nigdy wcześniej tej powieści nie widziałeś, wcale nie wynika, że to nowa powieść. Holmes powiedziałby, że Bobbi napisała ją dawniej. Kiedy cię nie było, a Bobbi straciła piątkę klepkę, przyniosła książkę tu i położyła obok maszyny. Być może wierzy w to, co ci mówi, ale to wcale nie musi być prawda.

Gardener podszedł do zagraconego kącika w salonie, który służył Bobbi za miejsce pracy. Pod ręką miała tu regał z książkami, mogła więc odchylić się na tylnych nogach krzesła i nie wstając, sięgnąć po prawie wszystko, czego chciała. *To za dobra rzecz, żeby mogła leżeć w szufladzie.*

Wiedział, co na ten temat powiedziałby nieśmiertelny Holmes: zgodziłby się, że to nieprawdopodobne, aby powieść „Łowcy bizonów” leżała w szufladzie; upierałby się jednak, że napisanie takiej książki w trzy dni — i to nie przy maszynie, ale podczas krótkich drzemek między kolejnymi okresami szalonej aktywności — jest nie-moż-li-we.

Ale Gardener wiedział, że to nie jest powieść z szuflady, bo dobrze znał Bobbi. Bobbi nie umiałaby trzymać tak dobrej książki w szufladzie, podobnie jak Gard nie potrafił trzymać się racjonalnych argumentów w dyskusji o energii nuklearnej.

Pierdol się, Sherlock, razem ze swoim doktorem Watsonem i waszym powozikiem. Jezu, ale bym się napił.

Pragnienie — potrzeba — drinka wróciło do niego z dawną przerażającą siłą.

— Jesteś już tam, Gard? — zawołała Anderson.

— Tak.

Tym razem zwrócił uwagę na rolkę papieru komputerowego, który swobodnie wisiał na ścianie. Zajrzał za maszynę do pisania i rzeczywiście zobaczył jeszcze jeden „aparat” Bobbi. Ten był mniejszy — składał się z połowy kartonu po jajkach, w którym dwie kształtki pozostały puste. Natomiast w czterech stały baterie R20, każda ze starannie nasadzonym małym lejkiem (przyglądając się im dokładniej, Gardener uznał, że to kawałki blachy wycięte z puszek, którym nadano odpowiedni kształt za pomocą nożyc do blachy), z którego biegł przewód od dodatniego bieguna... jeden czerwony, jeden niebieski, jeden żółty, jeden zielony. Druciki znów łączyły się z płytką montażową. Ta wyglądała jakby wyciągnięto ją z radia i stała pionowo wciśnięta między dwa krótkie i płaskie kawałki drewna, które zostały przyklejone do biurka. Drewnienka przypominające rynienkę na krede, jaka znajduje się u dołu tablicy, wydały się Gardenerowi tak absurdalnie znajome, że przez moment nie umiał ich rozpoznać. Wreszcie go oświeciło. Były to stojaki, jakich używa się do układania płytek z literami podczas gry w scrabble.

Od płytki do maszyny do pisania biegł jeden przewód, za gruby jak na kabel sieciowy.

— Wkręć papier! — zawołała Anderson, śmiejąc się. A o tym prawie zapomniałam, czy to nie głupie? Nie umieli mi pomóc i zanim znalazłam rozwiązanie, mało nie zwariowałam. Kiedyś siedziałam na kłopię, żałując, że w końcu nie sprawiłam sobie edytora tekstów i kiedy sięgnęłam po papier toaletowy... eureka! Ale poczułam się głupia! Wkręć, Gard!

Nie. Spadam stąd, łapię okazję, jadę do Purple Cow w Hampden i zalewam się w trupa, żeby zapomnieć o wszystkim, co tu widziałem. Za nic nie chcę wiedzieć, kim są „oni”.

Pociągnął jednak rolkę papieru, wsunął jego koniec w wałek starej maszyny i przekręcił pokrętło, opuszczając listwę dociskową. Serce waliło mu szybko i mocno.

— Już! — zawołał. — Mam... coś włączyć? — Nie widział żadnego włącznika, a gdyby nawet zauważył, nie miałby ochoty go naciskać.

— Nie trzeba! — odrzyknęła Bobbi. Gard usłyszał trzask. Potem rozległ się szum — jak odgłos transformatora dziecięcej kolejki elektrycznej.

Z maszyny do pisania zaczęło się sączyć zielone światło.

Gardener mimo woli cofnął się o krok na nogach sztywnych jak szczudła. Światło padało spomiędzy klawiszy dziwnymi rozchodzącymi się i pulsującymi promieniami. Underwood miał z boków szklane płytki, które lśniły teraz jak ściany akwarium.

Nagle klawisze maszyny zaczęły się same wciskać, poruszając się w dół i w górę jak klawisze pianoli. Wózek gwałtownie ruszył, a na kartce wystukały się słowa:

Ojciec na dnie morza spoczął

Trzask! Bach!

Wózek wrócił na początek strony.

Nie. Wcale tego nie widzę. Nie wierzę, że to widzę.

Blade perły w miejscu oczu *

Mdłe zielone światło sączyło się przez klawisze, padając na słowa jak rad.

Trzask! Bach!

Piję Rheingold, wytrawne piwo

Zdawało się, że linijka pojawiła się w jednej sekundzie. Klawisze łomotały z zawrotną szybkością. Jak gdyby przyglądał się dalekopisowi.

* Szekspir, „Burza”, pieśń Ariela w przekładzie Stanisława Barańczaka, Akt I, scena II (przyp. tłum.).

Pomyśl o Rheingold, gdy kupujesz piwo!

Boże wielki, czy ona naprawdę to robi? Może to jakaś sztuczka?

Jego umysł znów zachwiał się w posadach na widok nowego cudu i Gard zaczął gorączkowo szukać ratunku u Sherlocka Holmesa — sztuczka, oczywiście, że to sztuczka, kolejny produkt załamania nerwowego Bobbi... jej niezwykle twórczego załamania nerwowego.

Trzask! Bach! Wózek skoczył z powrotem na początek.

To nie sztuczka, Gard.

Wózek wrócił w lewo, a klawisze wystukały przed jego zdumionymi oczami:

Miałaś rację za pierwszym razem. Tak, siedzę w kuchni. Aparat za maszyną reaguje na myśli, tak jak fotokomórka na światło. Aparat wychwytuje moje myśli z odległości do pięciu mil. Kiedy jestem dalej, zaczyna przekreślać słowa. Przestaje w ogóle działać, gdy oddalę się ponad dziesięć mil.

Trzask! Bach! Szeroka srebrna dźwignia z lewej sama przeskoczyła dwa razy, przekreślając arkusz — na którym widniały trzy doskonale napisane wiadomości — o kilka linijek w górę. Po chwili maszyna znów zaczęła stukać.

Sam widzisz, że nie musiałam siedzieć przy maszynie, pracując nad książką — zobacz, umiem bez trzymanki! Biedny stary underwood walił jak wariat przez te dwa czy trzy dni, gdy ja byłam w lesie, pracowałam w domu albo w piwnicy. Ale, jak ci już mówiłam, robiłam to przede wszystkim przez sen. Zabawne... gdyby nawet ktoś mnie przekonał, że taki aparat istnieje, nie uwierzyłabym, że mogłabym z niego korzystać, bo dyktowanie zawsze szło mi słabo. Zawsze twierdziłam, że muszę sama wypisywać litery, bo muszę widzieć słowa na papierze. Nie mogłam uwierzyć, że ktoś potrafi przedyktować całą książkę na, powiedzmy, taśmę magnetofonową, chociaż podobno niektórzy pisarze tak robią. Ale to nie było nic w rodzaju dyktowania, Gard, raczej bezpośrednie połączenie z podświadomością, raczej sen niż pisanie... ale rezultat wcale nie przypominał snu, który bywa surrealistyczny i chaotyczny. To naprawdę nie jest już zwykła maszyna do pisania. To maszyna snów. Która umie śnić racjonalnie. To kosmicznie śmieszne, że dali mi ją, abym napisała „Łowców bizonów”. Masz rację, to naprawdę najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek napisałam, ale to tylko zwykły western. Jak gdybyś wynalazł perpetuum mobile, żeby dzieciak przestał cię męczyć o wymianę baterii w swoim samochodziku! Wyobrażasz sobie, jaki mógłby być efekt, gdyby taki aparat miał Francis Scott Fitzgerald? Albo Hemingway? Faulkner? Salinger?

Po każdym znaku zapytania maszyna zastygała na chwilę, po czym wyrzucała kolejne nazwisko. Po nazwisku Salingera zupełnie się zatrzymała. Gardener czytał tekst w miarę, jak się pojawiał, lecz robił to mechanicznie, niemal nie rozumiejąc treści. Jego wzrok powędrował na początek. *Zastanawiałem się, czy to nie jest jakaś sztuczka, czy Bobbi zrobiła jakiś hokus-pokus przy maszynie, żeby ta napisała te dwie krótkie linijki. I wtedy napisała...*

Napisała: *To nie sztuczka, Gard.*

Nagle pomyślał: Potrafisz czytać w moich myślach, Bobbi?

Trzask! Bach! Wózek maszyny wrócił na początek strony tak raptownie, że Gardener podskoczył, z trudem powstrzymując krzyk.

Tak. Ale tylko trochę.

Co robiliśmy czwartego lipca w roku, kiedy przestałem uczyć?

Pojechaliśmy do Derry. Powiedziałeś, że znasz faceta, który sprzeda nam trochę petard. Sprzedał nam petardy, ale wszystkie okazały się niewypałami. Byłeś już niezłe wstawiony. Chciałeś wrócić i sprawić mu łomot. Nie mogłam ci tego wybić z głowy, więc wróciliśmy i nas zamurowało, bo cały dom się palił. Facet miał w piwnicy kupę prawdziwych fajerwerków i rzucił niedopalek do jednego pudełka. Kiedy zobaczyłeś pożar i wozy strażackie, zacząłeś się śmiać, aż upadłeś na ulicę.

Uczucie nierzeczywistości nigdy nie było tak silne jak teraz. Gardener starał się je zwalczyć, nie dopuścić go do siebie, szukając w poprzednim tekście czegoś innego. Po dwóch sekundach znalazł: *To kosmicznie śmieszne, że dali mi ją, abym napisała „Łowców bizonów”...*

Wcześniej Bobbi powiedziała: *Baterie ciągle się przewracały, a oni byli wściekli, po prostu wściekli.*”..

Czuł, że policzki płoną mu jak w gorączce, lecz czoło miał zimne jak bryła lodu — nawet jednostajne pulsowanie bólu nad lewym okiem wydawało się zimne... jak płytkie ostrza dźgające go w regularnym rytmie metronomu.

Patrząc na maszynę wypełnioną upiornym zielonym światłem, Gardener pomyślał: Bobbi, kto to są „oni”?

Trzask! Bach!

Klawisze zadudniły, wystukując na papierze słowa układające się w dziecięcy wierszyk:

W nocy, gdy cały dom już śpi

Stukostrachy, Stukostrachy stukają do drzwi.

Jim Gardener wrzasnął.

7

Ręce w końcu przestały mu drżeć — tak że mógł przechylić do ust kubek z kawą, nie rozlewając jej przy tym na siebie. W ten sposób zakończył szalone zabawy poranne kilkoma oparzeniami.

Siedząc po drugiej stronie stołu, Anderson przyglądała mu się z troską w oczach. W najgłębszych zakamarkach spiżarni, z dala od „niezbędnych zapasów”, trzymała butelkę bardzo dobrej brandy i zaproponowała Gardowi, że doleje mu jej do kawy. Odmówił, nie z żalem, ale wręcz z prawdziwym bólem. Potrzebował brandy — ona stępiłaby łupanie w głowie, może nawet zupełnie by je zagłuszyła. Co ważniejsze, pozwoliłaby mu ponownie skupić myśli i pozbyć się wrażenia, jak gdyby ziemia usunęła mu się spod nóg.

Jedyny kłopot w tym, że w końcu osiągnął „ten” etap, zgadza się? Zgadza. Etap, w którym nie skończyłoby się na paru kroplach brandy w kawie. Od chwili gdy otworzył drzwiczki pod bojlerem w piwnicy, a potem poszedł na górę na szklaneczkę bourbona, miał zdecydowanie za dużo wrażeń. Wtedy było bezpiecznie; teraz powietrze stało się niespokojne, jak gdyby miało dać początek tornadu.

Wniosek: żadnego picia. Nawet niewinnej kawy po irlandzku, dopóki nie zrozumie, co tu się dzieje. I co się dzieje z Bobbi. Tak, przede wszystkim chodziło o to.

— Przykro mi z powodu tej ostatniej części — powiedziała Anderson — ale nie jestem pewna, czy mogłabym temu zapobiec. Mówiłam ci, że to maszyna snów; to także „maszyna

podświadomości”. Odbieram niewiele twoich myśli, Gard, próbowałam z innymi ludźmi i na ogół poszło bardzo łatwo, jakbym wsadzała palec w surowe ciasto. Można się przebić na sam dół, do tego, co pewnie nazwałbyś id... chociaż na dnie jest okropnie, pełno potwornych... nawet nie można tego nazwać myślami... chyba obrazami. Prostych jak dziecięce bazgroły, ale żywych. Podobnych do tych ryb, które żyją w głębinach oceanów. Kiedy wydobyć je na powierzchnię, wybuchają. — Nagle Bobbi się wzdygnęła. — One żyją — powtórzyła.

Przez chwilę słychać było tylko śpiew ptaków za oknem.

— W każdym razie u ciebie umiem czytać tylko z wierzchu, a nawet to jest poprzekęcane i w kawałkach. Gdybyś był podobny do innych, wiedziałabym, co się z tobą dzieje i dlaczego tak nędznie wyglądasz.

— Dzięki Bobbi. Wiedziałem, że jest jakiś powód, dla którego ciągle tu wracam, ale skoro nie chodzi o twoją świetną kuchnię, pewnie przychodzę po pochlebstwa. — Uśmiechnął się, lecz był to uśmiech nerwowy. Zapalił następnego papierosa.

— I dlatego — ciągnęła Bobbi, jak gdyby w ogóle się nie odezwał — na podstawie tego, co się z tobą wcześniej stało, mogłabym postawić pewną hipotezę, ale musiałbyś mi opowiedzieć o szczegółach... nie umiem nic wywęszyć, nawet gdybym chciała. Nie jestem pewna, czy zobaczyłabym wyraźnie, gdybyś nawet wystawił wszystko do przedpokojku, a przed drzwiami położył słomiankę. Kiedy mnie jednak zapytałeś, kim są „oni”, wierszyk wypłynął na powierzchnię jak wielka bańka. I sam rozprysnął się na maszynie.

— No dobrze — powiedział Gardener, choć nie było dobrze... wcale nie było dobrze. — Ale kim właściwie są te Stukostrachy? Chochlikami? Skrzatami? Gremli...

— Prosiłam cię, żebyś się rozejrzył, bo chciałam, żebyś miał pojęcie o skali tego wszystkiego — powiedziała Anderson. Jak wielkie mogą być konsekwencje.

— Na pewno mam już pojęcie — odrzekł Gardener, a w kącikach ust zadrgał mu uśmiech. — Jeszcze parę takich wielkich konsekwencji i będą mi mogli nałożyć kaftanik.

— Twoje Stukostrachy przybyły z kosmosu — powiedziała Anderson — jak już się zapewne domyśliłeś.

Gardener przypuszczał, że taka myśl zakołatała mu w głowie więcej niż raz — ale poczuł suchość w ustach, a dłonie znieruchomiały na kubku z kawą.

— Są tu? — zapytał głosem, który zdawał się dobiegać z bardzo, bardzo daleka. Nagle stwierdził, że boi się odwrócić, boi się ujrzeć wychodzące ze spiżarni jakieś powykrzywiane stworzenia z trojgiem oczu i rogiem w miejscu ust, jakie istnieją tylko w filmach w rodzaju sagi „Gwiezdne wojny”.

— Sądzę, że — w znaczeniu fizycznym — od dawna nie żyją — powiedziała spokojnie Anderson. — Prawdopodobnie umarli jeszcze przed pojawieniem się ludzi na Ziemi. Ale przecież... Caruso też nie żyje, a śpiewa na milionach płyt, nie?

— Bobbi — rzekł Gardener — opowiedz mi, co się stało. Zaczynaj od początku i skończ zdaniem: „I wtedy zjawiłeś się na drodze, w samą porę, żeby mnie złapać, kiedy zemdlałam”. Możesz to zrobić?

— Niezupełnie — odparła z uśmiechem. — Ale postaram się.

8

Anderson mówiła bardzo długo. Kiedy skończyła, minęło południe. Gardener siedział przy stole naprzeciw niej, paląc i wychodząc tylko raz do łazienki, gdzie zażył jeszcze trzy aspiryny.

Anderson zaczęła od swojego potknięcia w lesie, opowiedziała o powrocie i odkopaniu części statku — na tyle dużej, by zorientowała się, że znalazła coś absolutnie wyjątkowego i o trzeciej wyprawie do lasu. Nie wspomniała o martwym świszczu, nad którym nie latała ani jedna mucha; ani o zanikającej katarakcie Petera; ani o wizycie u weterynarza, doktora

Etheridge'a. Prześliznęła się gładko nad tymi wydarzeniami, mówiąc jedynie, że gdy wróciła po pierwszym dniu pracy przy wykopie, znalazła Petera martwego na werandzie.

— Wyglądał, jakby zasnął — powiedziała Anderson, a w jej głosie zabrzmiała nutka ckliwości zupełnie nie w stylu Bobbi, na której dźwięk Gardener uniósł zaskoczony głowę... a potem szybko spojrział na własne ręce. Anderson popłakiwała.

Po chwili Gardener zapytał:

— I co potem?

— Potem zjawileś się na drodze, w samą porę, żeby mnie złapać, kiedy zemdlałam — odrzekła Anderson i uśmiechnęła się.

— Jak to? Nie rozumiem.

— Peter umarł dwudziestego ósmego czerwca — powiedziała Anderson. Nie miała zbyt dużej wprawy w kłamaniu, lecz sądziła, że ostatnie kłamstwo zabrzmiało gładko i naturalnie. — To ostatni dzień, jaki pamiętam wyraźnie i w porządku sekwencyjnym. To znaczy, aż do wczoraj, kiedy przyszedłeś. Uśmiechnęła się do Gardenera szczerze i prostodusznie, ale to także było kłamstwo — jej wyraźne, sekwencyjne i uporządkowane wspomnienia kończyły się poprzedniego dnia, dwudziestego siódmego czerwca, gdy stała nad gigantycznym obiektem zagrzebanym w ziemi, trzymając stylisko łopaty.

Kończyły się, gdy szepnęła „Wszystko w porządku” i zaczęła kopać. Opowieść miała wiele dziur, owszem, całe mnóstwo, ale Bobbi nie pamiętała jej sekwencyjnie, a to, co pamiętała, należałoby zredagować... bardzo starannie zredagować. Na przykład nie mogła powiedzieć Gardowi o Peterze. Jeszcze nie. To *oni* powiedzieli jej, że nie może, lecz w tej sprawie nie potrzebowała żadnych instrukcji.

Powiedzieli jej też, że Jima Gardenera należy bardzo, bardzo uważnie obserwować. Oczywiście, niedługo — wkrótce Gard miał

(należeć do nas)

stać się częścią zespołu. Tak. Świetnie będzie go mieć w zespole, bo jeżeli Anderson kochała kogokolwiek na świecie, na pewno był to Jim Gardener.

Bobbi, kim są „oni”?

Stukostrachy. Słowo, które wyskoczyło z dziwnie nieprzejrzystego umysłu Garda jak srebrzysta bańka, było równie dobrym imieniem jak każde inne. Jasne. Na pewno lepszym niż niektóre.

— I co teraz? — spytał Gardener, zapalając jej ostatniego papierosa. Wyglądał na oszołomionego i równocześnie nieufnego. — Nie twierdę, że potrafię to wszystko przełknąć... Zaśmiał się nieco hałaśliwie. — A może po prostu mam za wąskie gardło, żeby połknąć wszystko naraz.

— Rozumiem — powiedziała Anderson. — Przypuszczam, że z zeszłego tygodnia pamiętam tak niewiele dlatego, że to wszystko jest takie... dziwaczne. Jak gdyby przywiązali ci umysł do raketowych sanek.

Nie lubiła kłamać Gardowi, robiła się wtedy niespokojna. Ale już niedługo skończą się wszystkie łgarstwa. Gard zostanie... zostanie...

...przekonany.

Kiedy zobaczy statek. Kiedy go dotknie i poczuje.

— Wszystko jedno, w ile rzeczy wierzę, ale chyba muszę uwierzyć w większość tego, co mi mówisz.

— Kiedy wyeliminuje się niemożliwe, należy uwierzyć w to, co zostaje, bez względu na to, jak nieprawdopodobne by się wydawało.

— To też wyczytałaś?

— Tylko zarys. Być może nawet nie wiedziałabym, jak to brzmi, gdybym nie słyszała, jak wypowiadasz to raz czy dwa.

Gardener skinął głową.

— Zdaje się, że pasuje do sytuacji, jaką tu mamy. Jeżeli nie uwierzę własnym zmysłom, będę musiał uwierzyć, że zwariowałem. Chociaż, Bóg mi świadkiem, po świecie chodzi wielu ludzi, którzy z radością poświadczyliby moją niepoczytalność.

— Nie jesteś wariatem, Gard — powiedziała cicho Anderson, kładąc dłoń na jego rękę. Odwrócił dłoń i ścisnął jej palce.

— Wiesz... facet, który strzelał do własnej żony... niektórzy powiedzieliby, że to dość przekonujący dowód szaleństwa. Nie sądzisz?

— Gard, to było osiem lat temu.

— Jasne. A tego faceta zdzieliłem łokciem w cyc osiem dni temu. Gonilem też z parasolem jednego gościa po korytarzu i jadalni Arberga, mówiłem ci? Moje zachowanie w ciągu ostatnich pięciu lat staje się coraz bardziej autodestrukcyjne...

— Witam wszystkich w kolejnym programie z cyklu Godzina Narodowego Rozczulania Się Nad Sobą! — zaszczębiotała wesoło Bobbi Anderson. — Dzisiejszym gościem jest...

— Wczoraj rano chciałem się zabić — rzekł cicho Gardener. — I gdyby nie przekonanie — naprawdę głębokie przekonanie że masz kłopoty, już dawno żarłyby mnie ryby.

Anderson spojrzała na niego uważnie. Jej dłoń wolno zaciskała się na jego rękę, aż do bólu.

— Serio? Jezu!

— Jasne, że serio. Chcesz wiedzieć, czy było źle? Uznałem, że w tamtych okolicznościach to najrozsądniejsza rzecz, jaką mogę zrobić.

— Nie wygłupiaj się.

— Mówię poważnie. Potem przyszła do mnie ta myśl. Przekonanie, że masz kłopoty. Odłożyłem więc wszystko na później, żeby do ciebie zadzwonić. Ale nie było cię w domu.

— Pewnie byłem w lesie — powiedziała Anderson. — A ty od razu przybiegłeś. — Uniosła jego dłoń do ust i delikatnie pocałowała. — Jeżeli to wariactwo nie ma żadnego znaczenia, to przynajmniej dzięki niemu żyjesz, dupku...

— Jak zawsze jestem pod wrażeniem iście francuskiego bogactwa komplementów, jakimi mnie obsypujesz, Bobbi.

— Gdybyś kiedykolwiek to zrobił, dopilnuję, żeby wypisali ci to na nagrobku, Gard. DUPEK, głęboko rytmami literami, żeby napis nie zniknął co najmniej przez sto lat.

— Wielkie dzięki — odrzekł Gardener. — Ale na razie nie musisz tym sobie zawracać głowy. Bo znowu wraca.

— Co?

— Przeczucie, że masz kłopoty.

Próbowała odwrócić wzrok i odsunąć rękę.

— Bobbi, popatrz na mnie, do cholery.

W końcu niechętnie na niego spojrzała, wysuwając nieco dolną wargę i przybierając dobrze znaną minę wyrażającą upór — ale czy na jej twarzy nie odmalował się też cień niepokoju? Tak mu się zdawało.

— Wszystko wygląda tak wspaniale — prąd w domu z baterii R20, książki, które same się piszą, Bóg jeden wie, co jeszcze — czemu więc czuję, że masz kłopoty?

— Nie wiem — odrzekła cicho i wstała, żeby pozmywać.

9

— Oczywiście, pracowałam prawie do upadłego, to po pierwsze — mówiła Anderson. Stała odwrócona do niego plecami, a Gardener odniósł wrażenie, że woli rozmawiać z nim w ten sposób. Naczynia pobrzękiwały w gorącej pianie. — Nie powiedziałam tak po prostu: „Kosmici, phi, tania i czysta energia i telepatia, wielkie rzeczy”. Mój listonosz zdradza żonę, wiem o tym — wcale nie chciałam wiedzieć, do diabła, nie jestem wścibska, ale miał to w

głowie, Gard, na samym wierzchu, jak na talerzu. Widoczne jak neon wysokości stu stóp. Jezu, z wrażenia nie mogłam dojść do siebie.

— Rozumiem — rzekł i pomyślał: Nie mówi mi prawdy, w każdym razie nie całą i nie sądzę, żeby sobie nawet zdawała z tego sprawę. — Pozostaje jednak pytanie: co dalej?

— Nie wiem. — Zerkając przez ramię, ujrzała uniesione pytająco brwi Gardenera i dodała — Sądziłeś, że dam ci odpowiedź w formie zwięzłej pracy pisemnej zawierającej pięćset słów? Nie potrafię. Mam parę pomysłów, ale nic więcej. Może nawet niezbyt dobrych. Przypuszczam, że najpierw powinnam cię wziąć do lasu

(żeby cię przekonać)

żebyś zobaczył to na własne oczy. A potem... no...

Gardener patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Tym razem Bobbi nie spuściła oczu; spoglądała na niego szczerze i prostodusznie. Ale coś tu było nie tak, coś brzmiało fałszywie, jak źle zagrana nuta. Jak tamta nuta ckliwości w głosie Bobbi, gdy mówiła o Peterze. Łzy może były prawdziwe, ale ton... brzmiał zupełnie nie tak.

— Dobra. Chodźmy popatrzeć na ten twój statek w ziemi.

— Ale najpierw zjedźmy lunch — odparła łagodnie Anderson.

— Znowu jesteś głodna?

— Pewnie. A ty nie?

— Chryste, nie!

— Wobec tego zjem za nas oboje — powiedziała Anderson i tak uczyniła.

— Boże wielki. — Gardener usiadł ciężko na świeżym jeszcze pniu. Czuł, że musi usiąść, żeby nie upaść. Jakby dostał pięścią w brzuch. Nie, wrażenie było bardziej osobliwe i skrajne. Jak gdyby ktoś wepchnął mu do ust rurę przemysłowego odkurzacza i włączył maszynę, w ciągu sekundy wysysając mu z płuc całe powietrze. — Boże wielki — powtórzył słabym głosem, bez tchu. Nic więcej nie potrafił wykrztusić.

— Jest na co popatrzeć, nie?

Byli w połowie wzniesienia, niedaleko miejsca, w którym Anderson znalazła martwego świszczą. Przedtem wzniesienie gęsto porastały drzewa. Teraz wycięto szeroką drogę, aby mógł tu wjechać dziwny pojazd, który wyglądał jakby znajomo. Pojazd stał na skraju dołu i wydawał się bardzo mały w porównaniu z głębią wykopu i ogromem odsłanianego obiektu.

Rów miał już długość dwustu stóp i szerokość dwudziestu na końcu i na początku. Jego środek na odcinku czterdziestu stóp poszerzał się, osiągał mniej więcej trzydzieści stóp i przypominał kształtem zarys kobiecych bioder. Z wykopu sterczała szara krawędź statku, triumfalnie eksponując krzywiznę przywodzącą na myśl krawędź gigantycznego stalowego spodka od filizanki.

— Boże wielki — wydusił z siebie znowu Gardener. — Patrzcie tylko.

— Ja patrzyłam — odparła Bobbi. Na jej ustach igrał lekki uśmiech. — Przez tydzień się temu przyglądałam. To najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam. I będzie mogła rozwiązać wiele spraw, Gard. „Pojawił się człowiek na koniu i pędził, pędził...”

Jej słowa przedarły się przez mgłę. Gardener spojrzał na Anderson, która być może odpłynęła w głąb ciemności, skąd przybyła ta niewiarygodna rzecz. Wyraz jej twarzy go zmroził. Wzrok Bobbi nie był po prostu rozmarzony. Był absolutnie nieobecny.

— Co masz na myśli?

— Hm? — Anderson obejrzała się z miną kogoś wyrwanego z głębokiego oszołomienia.

— Co to znaczy — człowiek na koniu?

— To znaczy ty, Gard. To znaczy ja. Ale chyba... chyba chodzi o ciebie. Zejdź i przyjrzyj się temu.

Anderson szybko ruszyła w dół zbocza ze swobodą i wprawą nabytą po wielu dniach pracy. Zeszła już dwadzieścia stóp, kiedy zorientowała się, że nie ma obok siebie Gardenera. Obejrzała się.

Wstał z pniaka, ale to wszystko.

— Chodź, nie ugryzie cię — powiedziała Anderson.

— Nie? A co mi zrobi?

— Nic! Oni nie żyją, Gard! Twoje Stukostrachy może były i prawdziwe, ale śmiertelne. Statek leży tu co najmniej pięćdziesiąt milionów lat. Przełamał się na nim lodowiec! Przykrył go, ale nie dał rady go ruszyć. Nie mogły go ruszyć nawet tony lodu, dlatego lodowiec po prostu się przełamał. Jeśli zajrzysz do środka, możesz to zobaczyć — wygląda jak zamrożona fala. Doktor Borns z uniwersytetu pewnie by ocipiał, gdyby tu stanął... ale oni już nie żyją, Gard.

— Byłaś w środku? — zapytał Gardener, nie ruszając się z miejsca.

— Nie. Myślę, a właściwie czuję, że statek ma jakiś właz, ale jest jeszcze pod ziemią. To nie zmienia jednak tego, co wiem. Oni nie żyją, Gard. Nie żyją.

— Oni nie żyją, ty nie byłeś we wnętrzu statku, ale pracujesz nad wynalazkami jak Edison na speedzie i potrafisz czytać w myślach. Powtarzam więc: co mi robi to żelastwo?

Anderson dopuściła się największego kłamstwa w swoim życiu — wypowiedziała je spokojnie i bez najmniejszego żalu.

— Nic, czego sam nie będziesz chciał.

I ruszyła w dół, nie oglądając się za siebie, żeby sprawdzić, czy idzie za nią Gard.

Gardener zawahał się, czując świdrujący ból głowy, a potem ruszył za Bobbi.

2

Pojazd nad rowem był starym pikapem Bobbi — tylko że kiedyś był to kombi, ford country squire. Anderson przyjechała nim z Nowego Jorku, gdy była jeszcze w college'u. To było trzynaście lat temu i już wtedy wóz nie był nowy. Jeździła nim potem do 1984 roku, kiedy nawet Elt Barker z Shella jedynej stacji benzynowej i warsztatu samochodowego w Haven — nie chciał już naklejać na aucie nalepki kontrolnej. Pewnego weekendu, podczas którego Bobbi i Gard pracowali jak szaleni — większość czasu byli pijani i Gardener nadal sądził, że to cud, iż wtedy nie wysadzili się w powietrze starą lampą lutowniczą Franka Garricka — odcięli dach kombi nad siedzeniem z tyłu, zmieniając wóz w gównianą półciążarówkę.

— Gard, popatrz no, stary — oznajmiła uroczyście Bobbi Anderson, przyglądając się resztkom kombi. — Zrobiliśmy sobie prawdziwą rakietę szos. — Po czym pochyliła się i zwymiotowała. Gardener wziął ją na ręce i zaniósł na werandę (przez całą drogę plątał mu się pod nogami Peter). Zanim doszli na miejsce, Bobbi straciła przytomność. Gardener położył ją ostrożnie i sam też runął bez czucia.

Gówniana półciążarówka z Detroit okazała się dość zwawym rzęchem, ale w końcu odwaliła kitę. Anderson ustawiła samochód na klockach w głębi ogrodu, twierdząc, że nikt nie zechce go kupić, nawet na części. Gardener sądził, że zrobiła to z sentymentu.

Teraz wóz zmartwychwstał — chociaż ledwie przypominał tamten pojazd, jeśli nie liczyć niebieskiego lakieru i okładzin na drzwiach z imitacji drewna, które stanowiły jeden ze znaków firmowych Country Squire. Zniknęły drzwi od strony kierowcy i większa część przodu, który zastąpił przedziwny zestaw sprzętu do kopania i robót ziemnych. Gardener stwierdził, że samochód przypomina zabawkowy buldożer obłąkanego dziecka. Tam gdzie kiedyś była kratownica wlotu powietrza, sterczało coś na kształt ostrza gigantycznego śrubokrętu. Silnik wyglądał jakby wyrwano go z ciągnika gąsienicowego D-9.

Bobbi, skąd wytrzasnąłaś ten silnik? Jak go tu przeniosłaś stamtąd, gdzie był przedtem? Słodki Jezu!

Gardener zatrzymał wzrok na tym niezwykłym widoku zaledwie przez chwilę. Przeszedł przez połączone ziemie i stanął obok Bobbi, która z rękami w kieszeniach zaglądała do potężnej wyrwy.

— Co o tym sądzisz, Gard?

Nie wiedział, co sądzi, zresztą i tak odebrało mu mowę.

Wykop miał zdumiewającą głębokość: chyba trzydziestu albo czterdziestu stóp. Gdyby promienie słońca nie padały dokładnie pod kątem prostym, Gardener nie mógłby dojrzeć dna rowu. Między ścianą wykopu a matową powierzchnią kadłuba był prześwit szerokości około trzech stóp. Kadłub był idealnie gładki. Bez żadnych numerów, symboli, obrazków ani hieroglifów.

Na dole gigantyczny kształt zniknął pod ziemią. Gardener pokręcił głową. Otworzył usta, lecz zaraz je zamknął, bo doszedł do wniosku, że nadal nie znajduje odpowiednich słów.

Tuż przed sobą, w odległości trzech stóp, miał część kadłuba, o którą Anderson się potknęła i którą próbowała wyciągnąć — myśląc, że to puszka pozostawiona przez drwali. Gardener mógł bez trudu chwycić metal tak jak Anderson dwa tygodnie temu... była jednak mała różnica: kiedy Anderson złapała krawędź statku, klęczała na ziemi. Gardener stał.

Mimochodem zauważył skutki wielkiego sprzątania na zboczu wzniesienia — grząski, błotnisty teren, ścięte i złożone z boku drzewa, pnie powyrywane jak przegniłe zęby — ale nie zwrócił na to szczególnej uwagi. Przyjrzałby się lepiej, gdyby Anderson powiedziała mu, jaką część zbocza wycięła. Wzgórze utrudniało dostęp do statku... więc usunęła jego część.

Latający talerz, pomyślał słabo Gardener, a potem: Jednak naprawdę skoczyłem. To jest przedśmiertna fantazja. Lada chwila ocknę się i stwierdzę, że próbuję oddychać słoną wodą. Lada chwila. Na pewno lada chwila.

Tyle że nic takiego nie miało się stać, bo wszystko działo się naprawdę. To był latający talerz.

Właśnie to było najgorsze. Nie statek kosmiczny, nie pojazd przybyszów z obcej planety, nie pozaziemski wehikuł. To latający talerz. Mit obalony przez siły powietrzne, przez naukowców, przez psychologów. Żaden szanujący się pisarz science fiction nie wspomniałby o latających talerzach w swojej powieści, żaden szanujący się wydawca nie chciałby mieć z nimi nic wspólnego. Latające talerze wyszły w tym gatunku literackim z mody mniej więcej w tym samym czasie co Edgar Rice Burroughs i Otis Adelbert Kline. Stanowiły najstarszy i najbardziej oklepany motyw na świecie. Latające talerze były bardziej niż *passé*; samo pojęcie mogło być tylko przedmiotem żartów, a serio mogli o nich dziś myśleć jedynie maniacy religijni, świry i oczywiście redaktorzy brukowców, w których co tydzień musiał się znaleźć co najmniej jeden artykuł o latającym talerzu, w rodzaju SZEŚCIOLETNIA DZIEWCZYŃKA ZASZŁA W CIĄŻĘ Z KOSMITĄ Z LATAJĄCEGO TALERZA. WYZNANIA ZROZPACZONEJ MATKI.

Z nieznanymi powodów takie wydarzenia zawsze działy się w Brazylii albo w New Hampshire.

A jednak miał coś takiego przed sobą — tkwiło tu cały czas, podczas gdy górą przetaczały się stulecia niczym minuty. Nagle przez myśl przemknął mu werset Księgi Rodzaju i Gardener zadygotał, jak gdyby czując podmuch zimnego wiatru: „A w owych czasach byli na ziemi giganci”.

Odwrócił się do Anderson, spoglądając na nią niemal błagalnie.

— To jest prawdziwe? — zdołał wyszeptać.

— Prawdziwe. Dotknij. — Zastukała w kadłub i rozległ się dźwięk, jakby ktoś uderzył pięścią w mahoniowe drewno. Gardener wyciągnął rękę... lecz zaraz ją cofnął.

Przez twarz Anderson przemknął cień złości.

— Mówiłam ci już — nie ugryzie cię.

— Nie zrobi mi nic, czego sam nie będę chciał.

— Absolutnie nic.

Gardener pomyślał — o ile można tak było nazwać rozpaczliwy wysiłek zebrania skołatanych myśli — iż kiedyś wierzył, że tak samo jest z wodą. Poza tym słyszał, jak niektórzy ludzie — przede wszystkim jego studenci na początku lat siedemdziesiątych — to samo mówili o różnych narkotykach. Wielu z nich trafiło do klinik i na sesje terapeutyczne, kiedy wpadli w poważne kłopoty przez kokę.

Powiedz, Bobbi, chciałaś pracować do upadłego? Chciałaś stracić aż tyle na wadze i wyglądać jak anorektyczka? Chcę wiedzieć chyba tylko jedno: czy robiłaś to z własnej woli, czy ktoś cię zmusił? Dlaczego kłamałaś o Peterze? Dlaczego nie słyszysz śpiewu ptaków w lesie?

— No, dotknij — powtórzyła cierpliwie Anderson. — Mamy parę rzeczy do omówienia, musimy podjąć parę trudnych decyzji i nie chcę, żebyś wycofał się w połowie drogi i uznał, że to tylko halucynacja wywołana ostrym picciem.

— To wredne, co powiedziałaś.

— Jak większość rzeczy, które ludzie muszą sobie mówić. Miałaś już ataki delirium. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Tak, ale dawna Bobbi nigdy nie poruszyłaby tego tematu... a przynajmniej nie w ten sposób.

— Dotknij, a uwierzysz, tylko tyle ci powiem.

— Można odnieść wrażenie, że to dla ciebie bardzo ważne.

Anderson niespokojnie przestąpiła z nogi na nogę.

— W porządku — powiedział Gardener. — W porządku, Bobbi.

Wyciągnął rękę i chwycił krawędź statku, prawie tak jak Anderson pierwszego dnia. Dostrzegł — bardzo wyraźnie — jej przejętą minę, której nawet nie próbowała maskować. Bobbi wyglądała, jak gdyby czekała na wybuch petardy.

Nagle wydarzyło się kilka rzeczy naraz.

Najpierw poczuł pod palcami wibrację, zupełnie jakby położył dłoń na słupie wysokiego napięcia. Przez chwilę zdawało mu się, że drętwieje mu ręka, jakby ruchy wibracyjne odbywały się z niewiarygodną prędkością. Następnie wrażenie zniknęło. W tym samym momencie głowę Gardenera wypełniła muzyka tak głośna, że bardziej przypominała wrzask niż muzykę. W porównaniu z nią fragment piosenki, który słyszał zeszłego wieczoru, brzmiał jak szept — wydawało mu się, że siedzi wewnątrz rozkręconego na cały regulator głośnika.

*Dniem brzydzę się, wiem to na pewno,
W robocie myślami błędzę gdzie indziej
Po pracy do domu gnam spotka...*

Otwierał już usta, by wrzasnąć, gdy hałas raptownie ustał. Gardener znał tę piosenkę, która była popularna, kiedy chodził do podstawówki, później podśpiewywał sobie ten urywek, spoglądając na zegarek. Kolejność wydarzeń ułożyła się tak: najwyżej dwie sekundy wibracji; wybuch ogłuszającej muzyki, która trwała nie dłużej niż dwanaście sekund; potem krwawienie z nosa.

Ścisłe mówiąc, muzyka nie była „ogłuszająca”, ale rozsadzała głowę. Nie słyszał jej w uszach. Wdarła się do głowy przez ten przeklęty kawałek stali w czole.

Zobaczył, jak Anderson cofa się chwiejnie, wyciągając przed siebie ręce w geście obronnym. Wyraz przejęcia na jej twarzy zmienił się w zaskoczenie, lęk, konsternację, wreszcie w cierpienie.

Na koniec ustąpił ból głowy.

Bez śladu.

Natomiast krew z nosa nie płynęła, lecz chlustała.

3

— Masz. Jezu, Gard, dobrze się czujesz?

— Nic mi nie będzie — odrzekł Gardener głosem nieco stłumionym przez chusteczkę. Złożył ją wpół i przyłożył do nosa, mocno przyciskając do grzbietu. Odchylił głowę do tyłu i gardło zaczął mu wypełniać śluzowaty smak krwi. — Bywało już gorzej. — Rzeczywiście... ale od dawna nie miał tak potężnego krwotoku.

Odsunęli się o dziesięć stóp od krawędzi wykopu i usiedli na powalonym drzewie. Bobbi patrzyła na niego z obawą.

— Jezu, Gard, nie wiedziałam, że stanie się coś takiego. Wierzysz mi, prawda?

— Tak — powiedział Gardener. Nie wiedział dokładnie, czego Bobbi się spodziewała... ale tego nie. — Słyszałaś muzykę?

— Niezupełnie słyszałam — rzekła Anderson. — Odebrałam z twojej głowy. O mało mnie nie rozerwało.

— Naprawdę?

— Tak. — Bobbi zaśmiała się odrobinę niepewnie. — Gdy jestem w towarzystwie wielu osób, wyłączam ich...

— Potrafisz to zrobić? — Odsunął chustkę od nosa. Cała nasiąkła krwią — Gardener mógłby ją wykręcić w palcach, aż na ziemię pociekłby czerwony strumyczek. Ale krew leciała już słabiej... dzięki Bogu. Rzucił chustkę i oderwał połę własnej koszuli.

— Tak — odparła Anderson. — No... niezupełnie. Nie umiem zupełnie wyłączyć ich myśli, ale potrafię je wyciszyć, tak że brzmią... jak ledwie słyszalny szept na dnie głowy.

— Niewiarygodne.

— To konieczność — oświadczyła ponuro Anderson. Gdybym nie umiała tego robić, chyba nigdy nie wyszłabym więcej z domu. W sobotę byłam w Auguście i otworzyłam umysł, żeby zobaczyć, jak to będzie.

— I dowiedziałas się.

— Tak, dowiedziałam się. Jak gdybym w głowie szalał mi huragan. Najstraszniejsze było to, że bardzo trudno zamknąć z powrotem drzwi.

— Te drzwi... bariera... czy jak to nazywasz... jak ją stawiasz?

Anderson pokręciła głową.

— Nie umiem wyjaśnić, tak jak gość, który rusza uszami, też nie potrafi wytłumaczyć, jak to robi. — Odchrząknęła, spoglądając na swoje buty — zabłocone buty robocze. Wyglądały, jakby w ciągu ostatnich tygodni Bobbi nie zdejmowała ich za często.

Uśmiechnęła się nieznacznie. Uśmiech był zażenowany i aż nazbyt żartobliwy równocześnie — w jednej chwili Gardener rozpoznał w niej dawną Bobbi. Tę, która pozostała jego przyjaciółką, gdy inni odwrócili się od niego. Tak wyglądała jej nieśmiałość prowincjuszki. Gardener zauważył tę minę przy pierwszym spotkaniu, gdy Bobbi była nieopierzoną studentką pierwszego roku anglistyki, a Gardener nieopierzonym nauczycielem angielskiego, dłubiącym apatycznie przy pracy doktorskiej, o której chyba już wtedy wiedział, że nigdy jej nie skończy. Gardener, skacowany i dręczony atakami mdłości, spytał grupę pierwszego roku, co to jest celownik. Nikt nie kwapił się z odpowiedzią. Gardener nie bez przyjemności szykował się już do ataku, gdy Roberta Anderson, rząd 5, miejsce 3, podniosła rękę. Odpowiedziała bardzo niepewnie... ale dobrze. Nic dziwnego, ponieważ potem okazało się, że jedyna w grupie uczyła się w szkole średniej łaciny. Gard ujrzał w jej twarzy tę samą nieśmiałość prowincjuszki co wtedy i poczuł falę uczucia. Cholera, przeżyła okropne rzeczy... ale to przecież Bobbi. Nie miał wątpliwości.

— W każdym razie najczęściej stawiam bariery — mówiła. W przeciwnym razie czuję się, jakbym zaglądała ludziom do okien. Pamiętasz, jak ci mówiłam, że listonosz Paulson ma kogoś na boku?

Gardener skinął głową.

— Wcale nie chcę tego wiedzieć. Nie mam ochoty wiedzieć, że jakaś łajza jest kleptomanem ani że ktoś ukradkiem popija... jak twój nos?

— Przestał krwawić. — Gardener położył kawałek koszuli obok chusteczki Bobbi. — A więc zakładasz blokadę.

— Tak. Wszystko jedno, z jakiego powodu — moralnego, etycznego albo dlatego, żeby po prostu nie ocipieć od hałasu.

Przy tobie zwolniłam blokadę, bo odbierałam figę z makiem, nawet kiedy próbowałam. Bo kilka razy próbowałam i rozumiem, jeżeli się o to wściekasz, ale robiłam to z ciekawości, dlatego że nikt inny nie jest tak... czysty...

— Nikt?

— Nie. Musi być jakiś powód, na przykład bardzo rzadka grupa krwi. Może nawet właśnie o to chodzi.

— Przykro mi. Mam grupę zero.

Anderson roześmiała się i wstała.

— Czujesz się na siłach wrócić, Gard?

To przez moją płytkę w głowie, Bobbi. Już miał to na końcu języka, lecz z jakiegoś powodu postanowił jej o tym nie mówić. Przez tę płytkę nie możesz się dostać do moich myśli.

Nie mam pojęcia, skąd to wiem, ale wiem.

— Tak, nic mi nie jest — powiedział. — Ale mam ochotę (na drinka) na filiżankę kawy.

— Masz to jak w banku. Chodź.

4

Część Bobbi reagowała na Garda ciepło i serdecznie jak zawsze, nawet w najgorszych chwilach, natomiast inna jej część (która, ściśle mówiąc, nie miała już nic wspólnego z Bobbi Anderson) stała z boku, uważnie obserwując wszystko chłodnym okiem. Oceniała. Zadawała pytania. Pierwsze z nich brzmiało: czy

(naprawdę chcą)

naprawdę chce, żeby Gardener tu był. Z początku myślała

(myśleli)

że wszystkie jej problemy zostaną rozwiązane, Gard razem z nią zacznie pracować przy wykopie i nie będzie już musiała robić tego... to znaczy, w pierwszym etapie... sama. Miał rację co do jednego: omal nie przypłaciła życiem wysiłków, żeby samotnie dać sobie ze wszystkim radę. Jednak nie nastąpiła w nim zmiana, jakiej oczekiwała. Tylko ten przykry krwotok z nosa.

Jeżeli leci mu z nosa krew, więcej już tego nie dotknie. Nie dotknie i na pewno nie wejdzie do środka.

Może do tego wcale nie dojdzie. Przecież Peter w ogóle tego nie dotknął. Peter nie chciał nawet podejść, ale jego oko... i młodnienie...

To nie to samo. Jest człowiekiem, nie starym beagle'em. Poza tym spójrz prawdzie w oczy, Bobbi: jeśli nie liczyć krwawienia z nosa i ryku muzyki, nie zaszła w nim absolutnie żadna zmiana.

Żadna natychmiastowa zmiana.

Czyżby przez tę stalową płytkę w czaszce?

Być może... ale czemu coś takiego miałoby sprawiać różnicę?

Zimna i obojętna część Bobbi nie miała pojęcia; wiedziała jedynie, że to możliwe. Sam statek emitował jakąś ogromną, prawie żywą siłę; ktokolwiek przybył tu na jego pokładzie, dawno już nie żył, była pewna, że nie skłamała, ale sam statek zdawał się żyć, emitując przez metalową powłokę potężną dawkę energii... i Bobbi wiedziała, że promień zasięgu tej emisji zwiększa się w miarę, jak cal po calu kadłub wyłania się spod ziemi.

Gard na pewno odebrał dotyk energii. Ale potem... co się stało?

Energia uległa przemianie. Najpierw została przetworzona, a potem wystrzeliła w formie krótkiej transmisji radiowej o potwornej sile.

Co więc mam robić?

Nie wiedziała, lecz zdawała sobie sprawę, że to nie ma znaczenia.

Oni jej powiedzą.

Gdy nadejdzie pora, powiedzą jej.

Tymczasem warto mu się przyjrzeć. Gdyby jednak mogła w nim czytać! O ile prostsze byłoby wszystko, gdyby mogła w nim czytać, do cholery!

Upij go, poradził jej chłodno jakiś głos. Wówczas będziesz w nim mogła czytać. Będziesz w nim mogła czytać jak w książce.

5

Do lasu pojechali tomcatem, który wcale nie latał, tylko jak zawsze toczył się po ziemi — lecz zamiast dawnego warkotu silnika jeździe towarzyszyła kompletna cisza, co sprawiało nieco upiorne wrażenie.

Traktor wytoczył się z lasu i podskakując na wybojach, przejechał wzdłuż ogrodu. Anderson zaparkowała tomcata tam, gdzie stał rano.

Gardener zerknął w niebo, które znów zaczynało się chmurzyć i rzekł:

— Lepiej wstaw go do szopy, Bobbi.

— Nic mu nie będzie — odparła krótko. Schowała kluczyk do kieszeni i ruszyła do domu. Gardener spojrział przez ramię na szopę, a potem ruszył za Bobbi, ale jeszcze raz się obejrzał. Na drzwiach szopy wisiała duża kłódka Kreig. Kolejna nowość. Wyglądało na to, że w lesie jest ich pełno.

Co tam trzymasz? Wehikuł czasu na baterie paluszki? Co tam trzyma Nowa Udoskonalona Bobbi?

6

Kiedy wszedł do domu, Bobbi szperała w lodówce.

W końcu wyciągnęła z niej dwa piwa.

— Mówiłeś serio o kawie? Może wolisz browar?

— A mógłbym dostać colę? — zapytał Gardener. — Do latających talerzy lepiej pasuje cola, tak brzmi moje motto. — Roześmiał się dość hałaśliwie.

— Jasne — odrzekła Bobbi. Kiedy wkładała piwo z powrotem do lodówki i wyciągała dwie puszki coli, zastygła w pół ruchu. — Zrobiłam to, prawda?

— Co?

— Zabrałam cię do lasu i pokazałam. Statek. Pokazałam, prawda?

Jezu, pomyślał Gardener. Jezu Chryste.

Stojąc przez chwilę z butelkami w rękach, wyglądała jak ktoś cierpiący na chorobę Alzheimera.

— Tak — powiedział Gardener, czując, jak skóra cierpnie mu z zimna. — Pokazałaś.

— To dobrze — odrzekła z ulgą Bobbi. — Tak mi się zdawało.

— Bobbi, dobrze się czujesz?

— Jasne — zapewniła go, dodając od niechcienia, jak gdyby chodziło o coś zupełnie nieznaczącego: — Po prostu niewiele pamiętam od chwili, gdy wyszliśmy z domu, aż do teraz. Ale to chyba nieważne, prawda? Masz swoją colę, Gard. Wypijmy za życie w innych światach, co ty na to?

7

I wypili za życie w innych światach, a potem Anderson spytała go, co powinni zrobić ze statkiem kosmicznym, o który potknęła się w lesie za własnym domem.

— My nic nie zrobimy. To ty sama coś z tym zrobisz.

— Już robię, Gard — powiedziała łagodnie.

— Oczywiście — odrzekł nieco cierpkim tonem — ale mam na myśli jakąś ostateczną decyzję. Chętnie udzielę ci wszelkiej rady — my, upadli poeci z rynsztoka, potrafimy świetnie radzić

— ale koniec końców to ty będziesz musiała coś zrobić. Coś więcej niż tylko wykopać statek. Bo należy do ciebie. Jest na twojej ziemi, więc należy do ciebie.

Anderson wyglądała na wstrząśniętą.

— Nie sądzisz chyba, że to może należeć do kogokolwiek? Bo co, bo wuj Frank zapisał mi dom i działkę w spadku? Bo miał do niej bezsporny tytuł własności pochodzący jeszcze z prawa do ziemi, rąbnętej przez króla Jerzego III Francuzom, którzy wcześniej rąbnęli ją Indianom? Jezu, Gard, to coś było tu już pięćdziesiąt milionów lat, gdy praojcowie całego przekłętego rodzaju ludzkiego siedzieli w kucki w jaskiniach i dłubali w nosie!

— Nie wątpię, że masz sporo racji — przytaknął oschle Gardener — mimo to prawo pozostaje prawem. Zresztą chcesz tak siedzieć, próbując mnie przekonać, że nie czujesz się właścicielką statku?

Anderson sprawiała wrażenie zdenerwowanej i równocześnie zamyślonej.

— Właścicielką? Nie — powiedziałałabym inaczej. Czuję się raczej za to odpowiedzialna.

— Wszystko jedno. Skoro pytasz mnie o zdanie, powiem ci, co o tym sądzę. Zadzwoń do bazy lotniczej Limestone. Powiedz temu, kto odbierze telefon, że znalazłaś na swojej działce niezidentyfikowany obiekt, który wygląda jak jakaś nowoczesna maszyna latająca. Z początku możesz mieć pewne kłopoty, ale ich przekonasz. Potem...

Bobbi Anderson wybuchnęła śmiechem. Śmiała się długo, głośno i serdecznie. Śmiech brzmiał naturalnie i nie było w nim cienia złośliwości, mimo to Gardener poczuł się ogromnie nieswojo. Śmiała się, dopóki po policzkach nie pociekły jej łzy. Gardener zeszywniał.

— Przepraszam — wykrztusiła Bobbi na widok jego miny. Ale nie mogę uwierzyć, że słyszę od ciebie coś takiego, właśnie od ciebie. Wiesz... to po prostu... — znów parsknęła śmiechem —szok. Jak gdyby pastor baptystów radził mi, żebym wyleczyła się z żądzę piciem.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi.

— Oczywiście, że rozumiesz. Słucham, jak gość, którego zgarnęli w Seabrook z bronią w plecaku, gość, który sądzi, że rząd będzie szczęśliwy dopiero wtedy, gdy wszyscy od napromieniowania będziemy świecić jak fosforyzujące zegarki, radzi mi zadzwonić do lotnictwa, żeby ktoś od nich przyjechał tu i zajął się międzygwiazdowym statkiem kosmicznym.

— To twoja ziemia...

— Do cholery, Gard! Rząd amerykański ma takie samo prawo do mojej własności jak czyjejkolwiek ziemi. Na wywłaszczonych ziemiach buduje się autostrady.

— A czasem reaktory jądrowe.

Bobbi usiadła i w milczeniu mierzyła Gardenera spokojnym spojrzeniem.

— Zastanów się, o czym mówisz — powiedziała cicho. Gdybym zadzwoniła, po trzech dniach ani ziemia, ani statek nie byłyby już „moje”. Sześć dni później ogrodziliby cały teren drutem kolczastym i co pięćdziesiąt stóp ustawiliby strażników. Sześć tygodni później osiemdziesiąt procent mieszkańców Haven zostałoby wykupionych, wyrzuconych... albo by po prostu zniknęło. Byliby do tego zdolni, Gard. Dobrze o tym wiesz. Twoja rada oznacza tylko jedno: chcesz, żebym podniosła słuchawkę i zadzwoniła po policję z Dallas.

— Bobbi...

— Tak. Do tego się to sprowadza. Znalazłam statek kosmiczny, a ty chcesz, żebym przekazała go policji z Dallas. Wydaje ci się, że przyjadą tu i powiedzą: „Pani Anderson, proszę z nami pojechać do Waszyngtonu, Połączony Komitet Szefów Sztabów bardzo chciałby poznać pani pogląd na tę sprawę nie tylko dlatego, że jest pani — a raczej była — właścicielką ziemi, na której to znaleziono, ale przed podjęciem decyzji w takich sprawach komitet zawsze zbiera opinie pisarzy westernów. Również prezydent chciałby, aby wpadła pani do Białego Domu i podzieliła się z nim swoim zdaniem. Poza tym pragnie pani powiedzieć, jak bardzo podobało mu się «Boże Narodzenie i winchestery».

Anderson odrzuciła w tył głowę i wybuchnęła głośnym śmiechem, który tym razem zabrzmiał histerycznie i trochę strasznie. Gardener prawie nie zwrócił na to uwagi. Naprawdę sądził, że będą się zachowywać jak wzór uprzejmości, kiedy się tu zjawią? Skoro w grę

wchodziło coś o tak ogromnych możliwościach? Oczywiście — nie. Zajmą ziemię. Zamkną usta jemu i Bobbi... lecz nawet to może im nie wystarczyć, żeby poczuć się bezpiecznie. Być może oboje trafią do jakiegoś ośrodka będącego osobliwym skrzyżowaniem rosyjskiego gułagu i snobistycznego ośrodka Club Med. Kupony do baru za darmo, jedyny kłopot w tym, że nie można wyjść.

Ale nawet to mogłoby nie wystarczyć, wtedy... poprosi się żałobników, żeby nie przynosili kwiatów. Dopiero wtedy i tylko wtedy nowi dozorczy statku będą mogli spać spokojnie.

W końcu nie było to znalezisko w rodzaju wazy etruskiej czy pocisków Minie wykopanych w miejscu, gdzie dawno temu rozegrała się bitwa wojny secesyjnej. Kobięcie, która to coś znalazła, udało się później wyprodukować prąd dla całego domu za pomocą baterii R20... a Gardener zaczynał wierzyć, że nowy sprzęt w tomcacie, choć jeszcze nie działał, wkrótce zacznie.

I co właściwie sprawia, że to wszystko działa? Układy scalone? Półprzewodniki? Nie. Dodatkowym składnikiem była Bobbi, Nowa Udoskonalona Bobbi Anderson. A może każdy, kto znalazł się blisko tego czegoś w ziemi. To coś... przecież nie można pozwolić, aby należało do zwykłego obywatela, prawda?

— Czymkolwiek to cholerstwo jest — mruknął — musi być jakimś piekielnie mocnym wzmacniaczem mózgu. Zmieniło cię w geniusza.

— Nie, w idiotkę genialną — odparła cicho Anderson.

— Co?

— Idiotkę genialną. W Pineland — tym ośrodku dla opóźnionych w rozwoju — mieszka kilkoro idiotów genialnych. Byłam tam w wakacje dwa lata z rzędu w ramach stażu studenckiego w college'u. Spotkałam tam człowieka, który mnożył w pamięci sześciocyfrowe liczby i w ciągu niecałych pięciu sekund podawał prawidłowy wynik... najczęściej sikając przy tym w spodnie. Był tam dwunastolatek z wodogłowiem. Jego głowa przypominała dynię rekordowych rozmiarów, ale potrafił składać idealnie wyjustowany tekst w tempie stu sześćdziesięciu słów na minutę. Nie umiał mówić, nie umiał czytać, nie umiał nawet myśleć, ale składał druk jak burza.

Anderson wygrzebała z paczki papierosa i zapaliła. Spoglądała na Gardenera nieruchomymi oczami, które wydawały się bardzo duże w porównaniu z wymizerowaną twarzą.

— Stałam się właśnie kimś w tym rodzaju. Genialną idiotką. Niczym więcej, zresztą zorientowałiby się. Te moje wynalazki — przeróbki maszyny do pisania, naprawa bojlera — pamiętam jak przez mgłę, w kawałkach. Kiedy nad nimi pracuję, wszystko jest jasne jak słońce. Ale później... — Popatrzyła na Gardenera błagalnie. — Rozumiesz?

Gardener skinął głową.

— Odbieram sygnał ze statku tak, jak radio odbiera transmisję z wieży nadawczej. Ale z tego, że radio potrafi zmienić ten sygnał w dźwięk słyszalny dla człowieka, nie wynika, że potrafi mówić. Rząd chętnie zamknąłby mnie gdzieś, a potem pokroił na małe kawałeczki, żeby sprawdzić, czy zaszły jakieś zmiany fizyczne... naturalnie, przeprowadziliby sekcję zaraz po wypadku, jakiemu pechowo bym uległa.

— Jesteś pewna, że nie umiesz czytać mi w myślach, Bobbi?

— Nie umiem. Ale naprawdę sądzisz, że będą mieć jakieś skrupuły, by sprzątnąć parę osób, skoro chodzi o coś tak wielkiego?

Gardener wolno pokręcił głową.

— Słowem radzisz mi coś takiego — powiedziała Anderson.

— Najpierw mam zadzwonić po policję z Dallas, później dać się aresztować policji z Dallas, a potem dać się zabić policji z Dallas.

Gard posłał jej zatroskane spojrzenie, po czym rzekł:

— W porządku, poddam się. Ale masz jakiś wybór? Przecież coś musisz zrobić. Jezu, przecież to cię zabije.

— Co?

— Straciłaś trzydzieści funtów, mało ci?

— Trzy... — Anderson wyglądała na zaskoczoną i niespokojną. — Nie, Gard, nie ma mowy. Może piętnaście, ale i tak miałam już wałki tłuszczu i...

— Idź się zważyć — przerwał jej Gardener. — Jeżeli wskazówka wychyli się dalej niż dziewięćdziesiąt pięć, nawet gdybyś nie zdjęła butów, waga wyrośnie mi na ręce. Stracisz jeszcze parę funtów i może być z tobą źle. W takim stanie mogłabyś dostać arytmii i umrzeć po dwóch dniach.

— Musiałam trochę schudnąć. Poza tym byłam...

— ...zbyt zajęta, żeby jeść, to chciałaś powiedzieć?

— Może niedokładnie tymi słowami...

— Kiedy cię wczoraj zobaczyłem, wyglądałaś jak jedna z ocalałych po marszu śmierci przez Bataan. Wiedziałaś, kim jestem i nic więcej. Do tej pory nie bardzo kontaktujesz. Pięć minut po naszym powrocie z lasu, gdzie oglądaliśmy twoje, przyznaję, zdumiewające znalezisko, pytasz mnie, czy już mnie tam zabrałaś.

Bobbi siedziała ze wzrokiem wbitym w stół, ale Gardener widział jej minę: zaciętą i ponurą.

Dotknął jej łagodnie.

— Chcę tylko powiedzieć, że choćby i to coś w lesie było nie wiem jak wspaniałe, zrobiło z twoim ciałem i umysłem potworne rzeczy.

Bobbi odsunęła się od niego.

— Jeśli uważasz, że zwariowałam...

— Nie, nie uważam, że zwariowałaś, na litość boską! Ale możesz zwariować, jeśli trochę nie zwolnisz. Nie zaprzeczysz, że urywał ci się film?

— Przesłuchujesz mnie, Gard.

— I jak na kogoś, kto piętnaście minut temu prosił mnie o radę, jesteś cholernie wrogo nastawiona.

Przez chwilę patrzyli na siebie ze złością przez stół.

Anderson pierwsza odwróciła wzrok.

— „Urwany film” to niedobry termin. Nie próbuj przyrównywać tego, co ci się zdarza, gdy za dużo wypijesz, do tego, co mnie się zdarzyło. To nie to samo.

— Nie zamierzam kłócić się z tobą o semantykę, Bobbi.

Chcesz po prostu zmienić temat i wiesz o tym równie dobrze jak ja. Najważniejszy temat dla mnie brzmi: to coś w lesie jest niebezpieczne.

Anderson uniosła głowę i popatrzyła na niego. Jej twarz była nieprzenikniona.

— Tobie się tak wydaje — powiedziała i nie było to ani pytanie, ani zdanie twierdzące — słowa zabrzmiały zupełnie nijako i bezbarwnie.

— Bobbi, chodzi o to, że nie tylko odbierałaś jakieś myśli powiedział Gardener. — Uległaś przymusowi.

— Przymusowi. — Twarz Anderson nie drgnęła.

Gardener potarł czoło.

— Tak, przymusowi. Zostałaś zmuszona, podobnie jak zły i głupi człowiek zmusza do biegu konia, dopóki biedne zwierzę nie padnie w zaprzęgu... a potem staje nad nim i okłada batem padlinę dlatego, że przeklęta szkapa miała czelność zdechnąć. Taki człowiek jest niebezpieczny dla koni, a to, co kryje się w tym statku... chyba jest niebezpieczne dla Bobbi Anderson. Gdybym nie przyjechał...

— Co? Co by się stało, gdybyś nie przyjechał?

— Myślę, że do tej pory pracowałabyś dzień i noc, nic nie jedząc... iw najbliższy weekend już byś nie żyła.

— Nie sędzę — odparła spokojnie Bobbi. — Ale przyjmijmy teoretycznie, że masz rację. Teraz już kontaktuję i czuję się całkiem dobrze.

— Nie kontaktujesz i wcale się dobrze nie czujesz.

Wróciła tamta uparta mina, która świadczyła, że Gard wygaduje bzdury, których Bobbi zaraz przestanie słuchać.

— Słuchaj — rzekł Gardener — od początku zgadzam się z tobą przynajmniej w jednej sprawie. To największa, najważniejsza, najfantastyczniejsza rzecz, jaka się kiedykolwiek wydarzyła. Kiedy wyjdzie na jaw, nagłówki „New York Timesa” będą wyglądać jak „National Enquirer”. Pod wpływem tego czegoś ludzie będą zmieniać wiarę, zdajesz sobie sprawę?

— Tak.

— To nie jest beczka prochu, to bomba atomowa. Zdajesz sobie sprawę?

— Tak — powtórzyła Anderson.

— Więc przestań patrzeć, jakbyś była na mnie wkurzona. Skoro mieliśmy o tym rozmawiać, to rozmawiajmy, do kurwy nędzy.

Anderson westchnęła.

— Tak. Dobra. Przepraszam.

— Przyznaję, że moja propozycja zadzwonienia do bazy lotniczej to błąd.

Odezwali się jednocześnie, potem jednocześnie wybuchnęli śmiechem i to był dobry znak.

— Kupuję — powiedziała Anderson.

— Ale, Bobbi, Jezu! W szkole oblałem chemię i ledwie udało mi się zaliczyć fizykę. Nie znam się na tym, ale wydaje mi się, że trzeba to... no... wygasić czy coś w tym rodzaju.

— Potrzebujemy fachowców.

— Zgadza się! — podchwycił Gardener. — Fachowców!

— Gard, wszyscy fachowcy pracują dla policji z Dallas.

Gardener uniósł ręce ze zniesmaczoną miną.

— Jesteś przy mnie, więc nic mi się nie stanie, teraz już wiem.

— Może być raczej odwrotnie. Następnym razem to mnie może się urwać film.

— Sędzę, że warto zaryzykować — powiedziała Anderson.

— Już postanowiłaś, prawda?

— Owszem, postanowiłam, co chcę zrobić. Nie chcę nikomu o tym mówić, dopóki nie skończymy kopać. Pewnie nie trzeba będzie nawet wykopywać całego statku. Wystarczy, że pogłębimy — razem, mam nadzieję — wykop o jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt stóp i dostaniemy się do włazu. Jeżeli wejdziemy do środka... — Oczy Bobbi rozbłysły, a Gardener sam poczuł narastające podniecenie na myśl o tym. Żadne wątpliwości świata nie mogły powstrzymać tego podniecenia.

— Jeśli wejdziemy do środka? — powtórzył Gardener.

— Jeśli wejdziemy do środka, pewnie dostaniemy się do sterów. A wtedy zamierzam poderwać tego skurwiela w górę.

— Sędzisz, że będziesz potrafiła?

— Wiem, że będę potrafiła.

— A potem?

— Potem nie wiem — odrzekła Bobbi, wzruszając ramionami. Było to najlepsze, najbardziej wiarygodnie brzmiące kłamstwo, jakie wypowiedziała dotychczas... lecz Gardener domyślał się, że to kłamstwo. — Potem coś się wydarzy, nie wiem co.

— Ale twierdzisz, że to ja powinienem podjąć decyzję.

— Tak. Jeżeli chodzi o świat zewnętrzny, mogę po prostu dalej milczeć. Jeżeli postanowisz powiedzieć, co będę mogła zrobić, żeby cię powstrzymać? Zastrzelić cię ze strzelby wuja

Franka? Nie wchodzi w rachubę. Przepuszczalnie jakiś bohater z moich książek mógłby, ale ja nie. Niestety, to jest rzeczywiste życie, w którym nie ma rzeczywistych odpowiedzi. W rzeczywistości pewnie po prostu patrzyłabym, jak odchodzisz.

— Ale do kogokolwiek byś się zwrócił, Gard — naukowców z uniwersytetu w Orono, biologów z Laboratoriów Jennigs czy fizyków z MIT — w końcu okazałoby się, że zwróciłeś się do policji z Dallas. Sprowadziłbyś tu ciężarówkę z drutem kolczastym i uzbrojonymi ludźmi. — Uśmiechnęła się lekko. Przynajmniej nie musiałabym iść do stanowego ośrodka Club Med sama.

— Nie?

— Nie. Też się w to wpackowałeś. Gdyby mnie więc wsadzili do samolotu, siedziałbyś na fotelu obok. — Uśmiechnęła się szeroko, choć na jej twarzy nadal nie było cienia radości. — Witaj w małpiarni, przyjacielu. Nie cieszysz się, że przyjechałeś?

— Jestem zachwycony — odparł Gardener i nagle oboje parsknęli śmiechem.

8

Gdy przestali się śmiać, Gardener stwierdził, że atmosfera w kuchni Bobbi znacznie się oczyściła.

Anderson spytała:

— Jak myślisz, co by się stało ze statkiem, gdyby dostał się w ręce policji z Dallas?

— Słyszałaś o Hangarze 18? — odpowiedział pytaniem Gardener.

— Nie.

— Opowiadają, że Hangar 18 jest częścią bazy lotniczej pod Dayton. Albo Dearborn. Albo gdzie indziej, w każdym razie gdzieś w Stanach Zjednoczonych. Podobno trzymają tam ciała pięciu ludzików z rybimi twarzami i skrzelałami na szyi. Pasażerów latającego talerza. To po prostu historia, jakich mnóstwo się słyszy, że ktoś znalazł szczurzy łeb w hamburgerze albo że w nowojorskich kanałach mieszkają aligatory. Chociaż teraz zastanawiam się, czy to faktycznie bajka.

Chyba jednak skończą ją opowiadać.

— Mogę ci opowiedzieć inną ze współczesnych bajek, Gard?

— Wal.

— Słyszałaś kiedyś o wynalazcy pastylki, która miała zastąpić benzynę?

9

Słońce zniknęło za horyzontem w feerii czerwieni, żółci i fioletołów. Gardener siedział na grubym pieńku na skraju ogrodu Bobbi Anderson, przyglądając się zachodowi. Przegadali większość popołudnia, czasem dyskutując, czasem usiłując przekonać się nawzajem, czasem się kłócąc. Bobbi zakończyła tę cczą gadaninę, oświadczając, że znów zgłodniała. Ugotowała wielki garnek spaghetti i upiekła na grillu grube kotlety wieprzowe. Gardener poszedł za nią do kuchni, chcąc podjąć przerwana rozmowę — myśli śmigały mu w głowie jak bile na stole bilardowym. Anderson nie chciała się na to zgodzić. Zaproponowała mu drinka, którego Gardener po długim namyśle przyjął. Przelknął whisky bez kłopotu, smakowała doskonale, ale uznał, że nie potrzebuje drugiej — no, może nie czuje palącej potrzeby. Siedząc teraz na pieńku, objedzony i napojony, spoglądał w niebo, przypuszczając, że Bobbi być może ma rację. Chyba odbyli już konstruktywną dyskusję która była niezbędna.

Przyszła pora na decyzję.

Bobbi zjadła olbrzymią kolację.

— Porzygasz się, Bobbi — powiedział Gardener. Mówił serio, choć wciąż nie umiał powstrzymać się od śmiechu.

— Nie — odparła spokojnie Bobbi. — Nigdy nie czułam się lepiej. — Odbiło się jej. — W Portugalii uważa się to za komplement dla kucharza.

— A po dobrym numerku... — Gard uniósł nogę i puścił bąka. Bobbi parsknęła gromkim śmiechem.

Pozmywali („Nie wymyśliłaś jeszcze niczego do zmywania, Bobbi?” „Daj mi trochę czasu, coś wykombinuję”) a potem poszli obejrzeć wieczorne wiadomości do małego, smutnego salonu, który niewiele się zmienił od czasów wuja Franka. Nie usłyszeli żadnych dobrych nowin. Znów dymił Bliski Wschód, izraelskie samoloty atakowały syryjskie wojska w Libanie (i przez przypadek trafiły w szkołę — Gardener skrzywił się na widok poparzonych i krzyczących z bólu dzieci), Rosjanie szturmowali górskie twierdze rebeliantów w Afganistanie, w Ameryce Południowej dokonano zamachu stanu.

W Waszyngtonie Komisja do spraw Energii Atomowej opublikowała listę dziewięćdziesięciu elektrowni w trzydziestu siedmiu stanach, w których odnotowano problemy związane z bezpieczeństwem, „od średnich do poważnych”.

Od średnich do poważnych, świetnie, pomyślał Gardener, czując, jak wzbiera w nim dawna bezsilna wściekłość, paląc go jak żywy ogień. Jeżeli padnie Topeka, to średni problem. Jeżeli Nowy Jork — poważny.

Zdał sobie sprawę, że Bobbi patrzy na niego z odrobiną smutku.

— Ciągle ta zmora, zgadza się?

— Zgadza się.

Gdy skończyły się wiadomości, Anderson oznajmiła Gardenerowi, że idzie spać.

— O wpół do ósmej?

— Ciągle jestem wypompowana. — Wygląd potwierdzał jej słowa.

— Dobra. Sam niedługo się położę. Też jestem zmęczony.

Przeżyłem parę zwariowanych dni, ale nie jestem pewien, czy zasnę, bo cały czas wszystko kłębi mi się pod czaszką.

— Chcesz valium?

Uśmiechnął się.

— Widziałem, że ciągle jeszcze stoi. Nie, nie skorzystam. To ty w ciągu ostatnich tygodni mogłabyś czasem zażyć coś na uspokojenie.

Ceną, jaką wyznaczył mu stan Maine za to, że Nora nie wniosła oskarżenia, był warunek, że Gardener podda się terapii. Program trwał sześć miesięcy, natomiast valium miał zażywać już chyba zawsze. Gardener od trzech lat nie wziął ani jednej pastylki, ale od czasu do czasu — zwykle, gdy wybierał się w podróż — realizował recepty. W przeciwnym razie jakiś komputer wyrzuciłby jego nazwisko i psycholog pobierający od stanu Maine parę dodatkowych dolców mógłby mu złożyć wizytę, by sprawdzić, czy z jego głową wszystko w porządku.

Kiedy Bobbi poszła się położyć, Gardener wyłączył telewizor i przez chwilę siedział w fotelu bujanym, czytając „Łowców bizonów”. Wkrótce usłyszał dobiegające z sypialni chrapanie. Gardener przypuszczał, że chrapanie Bobbi może być częścią jej tajnego planu, by powstrzymać go od zaśnięcia, lecz niespecjalnie mu to przeszkadzało — Bobbi miała skrzywioną przegrodę nosową i zawsze chrapała, co nieodmiennie irytowało Gardenera, jednak poprzedniego wieczoru doszedł do wniosku, że są gorsze rzeczy. Na przykład upiorna cisza, w jakiej Bobbi spała wczoraj na kanapie. Tak, to było o wiele gorsze.

Gardener zajrzał do niej i zobaczył, że Bobbi śpi w bardziej typowej dla Bobbi Anderson pozycji — w samych spodniach od piżamy, z obnażonymi piersiami, jedną ręką podłożoną pod policzek i drugą zgiętą obok głowy, prawie wkładając sobie kciuk do ust, skopawszy

przez sen koce, które leżały zmięte w nogach łóżka. Wyglądało, że z Bobbi wszystko w porządku.

Tak więc Gardener wyszedł z domu, aby podjąć decyzję.

Rośliny w ogrodzie Bobbi rosły jak na drożdżach — w drodze z Arcadia Beach Gardener nigdzie nie widział tak wysokiej kukurydzy, pomidory mogły stawać do konkursu o pierwszą nagrodę na każdej wystawie. Niektóre krzaki sięgały piersi wysokiego mężczyzny. Pośrodku rosły gigantyczne słoneczniki, kiwając się na lekkim wietrze, groźne jak krwiożercze rośliny z „Dnia Tryfidów”.

Kiedy Bobbi zapytała go, czy słyszał historię o tak zwanej pastylce benzynowej, Gardener z uśmiechem pokiwał głową. Fakt, to była bardziej dwudziestowieczna bajka. Potem spytała go, czy w to wierzy. Gardener, wciąż się uśmiechając, zaprzeczył. Bobbi przypomniała mu o Hangarze 18.

— I co, wierzysz, że taka pastylka istnieje? Albo istniała? Wrzucasz jedną do baku i możesz jeździć cały dzień?

— Nie — odrzekła cicho Bobbi. — W żadnym artykule nie znalazłam sugestii, aby możliwe było wynalezienie takiej pastylki. — Nachyliła się, opierając przedramiona na udach. Ale powiem ci, w co wierzę: gdyby istniała pastylka benzynowa, nigdy nie trafiłaby na rynek. Kupiłby ją... albo ukradł jakiś wielki kartel, a może sam rząd.

— Tak — odparł Gard. Nieraz rozmyślał nad ironią losu związaną z każdym status quo: otworzyć granice kraju i wyrzucić z pracy wszystkich celników? Zalegalizować narkotyki i rozwalić Agencję do Walki z Narkotykami? Równie dobrze można było na Księżycu zastrzelić człowieka z wiatrówki.

Gard wybuchnął śmiechem.

Bobbi spojrzała na niego ze zdziwieniem, ale także lekko się uśmiechnęła.

— Co? Podzielisz się?

— Właśnie sobie myślałem, że gdyby taka pastylka istniała, policja z Dallas zastrzeliłaby faceta, który ją wynalazł, i umieściła obok zielonych ludzików w Hangarze 18.

— Nie mówiąc o jego rodzinie — dodała Bobbi.

Gardowi tym razem nie było do śmiechu. Tym razem nie zabrzmiało to ani trochę zabawnie.

— No więc teraz pomyśl o tym, co zrobiłam — powiedziała Anderson. — Nie mam nawet zdolności manualnych, a co dopiero przygotowania naukowego, ale ta siła kazała mi pracować. I zbudowałam parę urządzeń, które przypominają projekty z „Boy’s Life” — na dodatek zrealizowanych przez mało zdolnego chłopca.

— Ale działają — odparł Gardener.

Owszem, zgodziła się Anderson. Działają. Miała nawet mgliste pojęcie o tajemnicy ich działania, opierającego się na zasadzie, którą można nazwać „syntezą rozpadających się cząsteczek”. Absolutnie czyste źródło energii, zero reakcji jądrowych. Bobbi powiedziała, że telepatyczna maszyna do pisania jest zasilana dzięki fuzji molekularnej, ale właściwa zasada jej działania jest zupełnie inna i ona w ogóle jej nie rozumie. W środku był zasilacz, który wcześniej działał jako antyradar, ale niczego więcej Bobbi nie potrafiła wyjaśnić.

— Paru naukowców z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego albo Sklepiku* w sześć godzin miałyby to w małym palcu powiedziała Anderson. — Pewnie wyglądaliby, jakby ich ktoś kopnął w krocze i bez przerwy pytaliby się nawzajem, jakim cudem przez tak długi czas nie zauważyli tak prostej zasady.

I wiesz, co by się stało później?

Gardener myślał intensywnie, pochyliwszy głowę, jedną ręką ściskając puszkę piwa, którą dostał od Bobbi, drugą trzymając się za czoło — i nagle wrócił na tamto okropne przyjęcie.

* DSI (Department of Scientific Intelligence) — Wydział Wywiadu Naukowego; „Sklepik” pojawia się w polskim przekładzie powieści Kinga „Firestarter” — „Podpalaczka” (przyp. tłum.).

Słuchał Teda Energetyka, który bronił elektrowni Iroquois, gdzie już uruchamiano reaktor: *Gdybyśmy jednak dali antynuklearnym maniakom to, czego chcą, jakiś miesiąc później zmieniliby zdanie i zaczęli skomleć, że nie mogą używać suszarek do włosów albo nie będzie działał mikser, kiedy będą chcieli sobie przygotować makrobiotyczne jedzenie.* Zobaczył samego siebie, jak prowadzi Teda Energetyka do bufetu — widział to tak wyraźnie, jak gdyby wszystko wydarzyło się naprawdę... cholera, jakby działo się właśnie wtedy. Na stole między chipsami a surowymi warzywami stał jeden z wynalazków Bobbi. Baterie były podłączone do płytki drukowanej, która z kolei była podłączona do zwykłego włącznika ściennego, jaki można kupić za dolca czy dwa w każdym sklepie żelaznym. Gardener zobaczył samego siebie, jak przekręca włącznik i nagle wszystko, co było na stole — chipsy, warzywa, taca obrotowa z pięcioma gatunkami sosów, resztki wędlin i truchło kurczaka, popielniczki i drinki — uniosło się w powietrze i zawisło sześć cali nad blatem, rzucając na płótno obrusu majestatyczny cień. Ted Energetyk przyglądał się temu przez moment nieco rozdrażniony. Potem strącił urządzenie ze stołu. Pękły przewody. Baterie poturlały się tu i tam. Wszystko runęło z trzaskiem na stół, z kieliszków wylały się drinki, z popielniczek wysypał się popiół i niedopałki. Ted zdjął marynarkę i przykrył nią resztki aparatu, tak jak przykrywa się zwłoki przejechanego zwierzęcia na drodze. Następnie odwrócił się z powrotem do swego audytorium i podjął przerwany wykład. *Ci ludzie uważają, że można wiecznie mieć ciasteczko i jeść ciasteczko. Ci ludzie zakładają, że zawsze znajdzie się jakieś wyjście awaryjne. Mylą się. Nie ma wyjścia awaryjnego. Sprawa jest prosta: energia jądrowa albo nic.* Gardener usłyszał własny krzyk wściekłości, zupełnie trzeźwy: *A to, co właśnie rozwalileś? Co o tym powiesz?* Ted pochylił się i wziął swoją marynarkę zręcznym ruchem magika wymachującego peleryną przed osłupiałą publicznością. Podłoga była pusta, jeśli nie liczyć kilku chipsów. Ani śladu urządzenia. Najdrobniejszego śladu. *Niby o czym?* — zapytał Ted Energetyk, patrząc prosto na Gardenera z mieszaniną współczucia i solidnej porcji pogardy. Odwrócił się do audytorium. *Czy ktoś coś tu widzi?. Nie.* Odpowiadali chórem jak dzieci recytujące wierszyk: Arberg, Patricia McCardle i reszta; do chóru dołączyli nawet młody barman i Ron Cummings. *Nie, niczego nie widzimy, absolutnie niczego, Ted, masz rację, energia jądrowa albo nic.* Ted patrzył na nich z uśmiechem. *Zaraz zacznie nam opowiadać tę starą uroczą bajeczkę o pastylce, którą można wrzucić do baku i jeździć cały dzień bez tankowania.* Ted Energetyk zaczął się śmiać. Dołączyła cała reszta gości. Wszyscy śmiali się z niego do rozpuku.

Gardener uniósł głowę i utkwiał udręczony wzrok w Bobbi Anderson.

— Myślisz, że... wszystko by utajnił?

— A jak ci się wydaje? — Po chwili milczenia Anderson odezwała się bardzo łagodnym głosem: — Gard?

— Tak — powiedział wreszcie i przez moment czuł, że jest bliski łez. — Tak, pewnie. Pewnie tak by zrobili.

10

Siedział teraz na pieńku w ogrodzie Bobbi, nie mając pojęcia, że ma za sobą wycelowaną w tył głowy naładowaną strzelbę.

Siedział, zastanawiając się nad przebiegiem przyjęcia, które odtwarzał w myślach. Było to tak przerażające i oczywiste, że chyba można mu było wybaczyć, iż dopiero po pewnym czasie dostrzegł to i pojął. Statkiem w ziemi należało się zająć nie tylko przez wzgląd na dobro Bobbi czy Haven. Bez względu na wpływ, jaki statek wywierał na Bobbi lub kogokolwiek innego, kto przebywał w pobliżu, należało podjąć ostateczną decyzję o jego losie przez wzgląd na dobro całego świata. Gardener zasiadał w kilkudziesięciu komisjach, które wyznaczały sobie różne cele, od realnych po zupełnie zwariowane. Brał udział w manifestacjach; wydał więcej, niż było go stać, by pomóc zapłacić za ogłoszenia w gazecie

podczas dwóch nieudanych kampanii na rzecz referendum w sprawie zamknięcia Maine Yankee; jako student college'u uczestniczył w demonstracjach przeciwko interwencji w Wietnamie; należał do Greenpeace; popierał NARAL^{*}. Chwytał się kilku różnych sposobów, aby zrobić coś dobrego dla świata, ale wszystkie wysiłki, mimo że wpływały z indywidualnej woli, wyrażały się w zbiorowym działaniu. A teraz...

Teraz wszystko w twoich rękach, stary. Wyłącznie twoich. Westchnął. Zabrzmiało to jak szloch. *Dobra, wprowadzaj te pojechane zmiany, biały chłopcze... Ale najpierw spytaj sam siebie, kto chce, żeby świat się zmienił? Niedożywieni, chorzy i bezdomni, tak? Rodzice afrykańskich dzieci z wyдутymi brzuchami i śmiercią w oczach. Czarni w RPA. Organizacja Wyzwolenia Palestyny. Czy Ted Energetyk ma ochotę na dużą porcję zmian? Ugryź się w język! Ani Ted, ani rosyjskie Politbiuro, ani Kneset, ani prezydent Stanów Zjednoczonych, ani Siedem Sióstr^{*}, ani Xerox, ani Barry Manilow.*

Och, nie, na pewno nie silni chłopcy, którzy mają prawdziwą władzę i wprawiają w ruch Maszynę Status Quo. Ich motto brzmi: „Zabierzcie ode mnie wszystkie pojechane zmiany”.

Kiedyś nie zawahałby się ani przez moment i ten czas wcale nie należał do odległej przeszłości. Bobbi nie musiałaby się uciekać do żadnych argumentów; sam Gard byłby gotów okładać konia batem, dopóki zwierzęciu nie pękłoby serce... tyle że on też stałby w zaprzęgu i ciągnął wóz. Nareszcie znalazło się bogate źródło czystej energii, którą można było bardzo łatwo wyprodukować niemal za darmo. W ciągu sześciu miesięcy można było wygasić wszystkie reaktory w Stanach Zjednoczonych. W ciągu roku — wszystkie reaktory na świecie. Tania energia. Tani transport. I zapewne podróże na inne planety i do innych układów gwiazdnych — przecież Bobbi nie znalazła parostatku, który wyruszył w piękny rejs do Haven w stanie Maine. To naprawdę była — maestro, proszę o tusz — odpowiedź na wszystko.

Sądzisz, że na pokładzie statku jest jakaś broń?

Już chciał spytać o to Bobbi, ale coś kazało mu zamknąć usta. Broń? Być może. I jeżeli Bobbi dzięki szczątkowej sile, jaką zdołała odebrać, potrafiła stworzyć telepatyczną maszynę do pisania, może umiała skonstruować coś, co wyglądałoby jak broń laserowa z „Flasha Gordona”, ale mogłoby faktycznie działać? Albo dezintegrator? Wiązkę holowniczą jak ze „Star Treka”? Coś, co zamiast robić brummmmmmmmm albo dum–dum–dum, potrafiłoby faktycznie zmieniać ludzi w kupki dymiącego popiołu? Całkiem możliwe. A jeżeli nie, czy któryś z hipotetycznych naukowców Bobbi mógłby wykorzystać aparat pod bojlerem albo przerobiony silnik tomcata do skonstruowania czegoś, co będzie wyrządzać ludziom poważną krzywdę? Jasne. Przecież na długo przed wynalezieniem tosterów, suszarek do włosów i ogrzewania podłogowego stan Nowy Jork wykorzystywał elektryczność, posyłając na krzesła morderców w Sing–Sing.

Gardener uświadomił sobie z lękiem, że myśl o broni jest na swój sposób nęcąca. Jej atrakcyjność częściowo zapewne wynikała z troski o własny interes. Gdyby nakazano ukryć cały bałagan, on i Bobbi z pewnością znaleźliby się pod marynarką Teda Energetyka. Ale rysowały się inne możliwości. Jedną z nich była szalona, choć atrakcyjna myśl, że razem z Bobbi mogliby dać kopniaka tym, którzy na to zasługiwali. Myśl o wysłaniu przyjemniaczków w rodzaju ajatollaha Chomeiniego do Strefy Widm^{*} wydała mu się tak rozkoszna, że Gardener omal nie zachichotał z radości. Po co czekać, aż Izraelczycy i

^{*} National Association for Repeal of Abortion Law — Narodowe Stowarzyszenie na rzecz Zniesienia Ustawy Antyaborcyjnej zał. w 1968 r. (przyp. tłum.).

^{*} Tym mianem określa się potężne wielonarodowe koncerny naftowe: Exxon, Mobil, Gulf, Socal, Texaco, Shell, British Petroleum.

^{*} Phantom Zone — strefa istniejąca poza czasem i przestrzenią, w głąb której podróżował Superman (przyp. tłum.).

Arabowie sami załatwią swoje problemy? I terroryści wszelkiej maści... do widzenia, przyjaciele. Do zobaczenia w drodze powrotnej.

Świetne, Gard! Cudowne! Pokażemy to w telewizji! Lepsze niż „Policjanci z Miami”! Zamiast dwóch nieustraszonych tropicielei narkotyków, Gard i Bobbi krążący po całej planecie w latającym talerzu! Niech ktoś mi poda telefon! Muszę zadzwonić do CBS!

To nie jest zabawne, pomyślał Gardener.

Kto tu się śmieje? Przecież o to chodzi, nie? Ty i Bobbi macie zagrać Samotnego Jeźdźca i Tonto, prawda?

I co z tego? Ile jeszcze czasu musi upłynąć, żeby ten pomysł zaczął ci się podobać? Ile ma wybuchnąć bomb walizkowych? Ile kobiet ma zostać zastrzelonych w toaletach ambasad? Ile dzieci ma umrzeć? Jak długo mamy na to pozwalać?

*Cudownie, Gard. Wszyscy na planecie Ziemia, śpiewajcie razem z Gardem i Bobbi — tekst pojawi się na ekranie: Odpooowiedź, bracie, przynieeesie ci wiatr...**

Jesteś obrzydliwy.

A to, co mówisz, zaczyna brzmieć wręcz niebezpiecznie. Pamiętasz swoje przerażenie, kiedy gliniarz ze stanowej znalazł pistolet w twoim plecaku? Byłeś przerażony, bo nawet nie pamiętałeś, że go tam włożyłeś. I znów to samo od nowa. Różnica polega tylko na tym, że chodzi o większy kaliber. Chryste słodki, o kosmicznie większy.

Gdyby był młodszy, takie pytania w ogóle nie przysłyby mu do głowy... a gdyby przysły, odegnałby je jak uprzykrzoną muchę. Bobbi chyba właśnie tak zrobiła. To przecież ona wspomniała o człowieku na koniu.

Co to znaczy — człowiek na koniu?

To znaczy ty, Gard. To znaczy ja. Ale chyba... chyba chodzi o ciebie.

Bobbi, gdy miałem dwadzieścia pięć lat, cały czas płonąłem z gniewu. Gdy miałem trzydzieści, płonąłem od czasu do czasu. Ale chyba w powietrzu jest mniej tlenu, bo teraz płonę tylko wtedy, gdy jestem pijany. Boję się wsiąść na tego konia, Bobbi. Jeżeli historia mnie czegoś nauczyła, to tego, że konie lubią ponosić.

Przesunął się odrobinę na pniaku i przesunęła się także strzelba. Anderson siedziała na taborecie w kuchni, obracając lufę na parapecie z każdym ruchem Gardenera. Odbierała bardzo niewiele jego myśli; denerwowało ją to i frustrowało. Udało się jej jednak odebrać wystarczająco dużo, by wiedzieć, że Gardener zbliża się do momentu podjęcia decyzji... a kiedy tego dokona, Anderson sądziła, że ją pozna.

Gdyby decyzja była niewłaściwa, zamierzała strzelić mu w tył głowy i zakopać ciało w miękkiej ziemi na końcu ogrodu. Zrobiłaby to bardzo niechętnie, lecz gdyby musiała, zrobiłaby.

Anderson spokojnie czekała na tę chwilę, dostrajając umysł do ledwie wyczuwalnego biegu myśli Gardenera i nawiązując słabiutki kontakt.

Już niedługo.

11

Tak naprawdę boisz się działania z pozycji siły — taka okazja trafiłaby ci się po raz pierwszy w całym pogmatwanym, nędznym życiu.

Wyprostował się skonsternowany. To chyba nieprawda? Oczywiście, że nieprawda.

Ależ, Gard, to prawda. Nawet kibicujesz katastrofalnie słabszym drużynom baseballowym. Dzięki temu zawsze masz pewność, że będziesz przygnębiony, gdy któraś z nich przetrznie w mistrzostwach. To samo dotyczy twoich kandydatów w wyborach i spraw, które popierasz,

* Cytat z protest songu Boba Dylana „Blowin’ In The Wind” (przyp. tłum.).

zgadza się? Skoro twoich polityków nigdy nie można wypróbować, zawsze masz pewność, że nowy szef okaże się taki sam jak poprzedni, prawda?

Nie boję się. Nie tego.

Gówno prawda. Człowiek na koniu? Ty? Stary, śmiechu warte. Dostałbyś zawału, gdyby ktoś cię poprosił, żebyś pojeździł na rowerku trójkołowym. Całe twoje życie osobiste to ciągle wysiłki, by zniszczyć każde oparcie, jakie uda ci się zdobyć. Na przykład małżeństwo. Z Norą nie było łatwo, w końcu uznałeś, że musisz ją zastrzelić, żeby się jej pozbyć, ale gdy przyszło co do czego, nie bardzo się przyłożyłeś, prawda? Muszę ci przyznać, że jesteś człowiekiem, który staje na wysokości zadania.

Przestałeś uczyć na własne życzenie, straciłeś pracę i kolejne oparcie. Dwanaście lat zalewałś wodą tę maleńką iskrę talentu, jaką obdarował cię Bóg, i w końcu ją zgasiłeś. Teraz jeszcze to.

Lepiej uciekaj, Gard.

To nie fair! Słowo daję, nie fair!

Nie? Za mało prawdy, żeby nauczyć cię rozumu?

Być może. Być może nie. Tak czy siak, stwierdził, że decyzję już podjął. Zostanie przy Bobbi, przynajmniej na razie, i przystanie na jej plan.

Beztroskie zapewnienia Bobbi, że wszystko jest w najlepszym porządku, nie bardzo pasowały do jej wyczerpania i utraty wagi. Statek w ziemi mógł z nim zrobić prawdopodobnie to samo co z Bobbi. To, co się stało — a raczej co się nie stało — dziś, o niczym jeszcze nie świadczyło; nie spodziewał się, że wszystkie zmiany wystąpią natychmiast. A jednak statek — i siła, jaką emitował — mogły zdziałać wiele dobrego. To przede wszystkim się liczyło, a... zresztą pierdolić Sukostracha.

Gardener wstał i ruszył do domu. Słońce już dawno zaszło, szarzało coraz bardziej. Gardenerowi zeszywniały plecy. Przeciągnął się, stając na palcach i skrzywił się, gdy strzyknęło mu w kręgosłupie. Spojrzał na nową kłódkę zawieszoną na drzwiach szopy, przed którą majaczyła ciemna bryła tomcata.

Pomyślał, czy podejść i spróbować zajrzeć do środka przez brudne okno... ale zrezygnował. Może się bał, że w ciemnym oknie zjawi się nagle biała twarz, ukazując w uśmiechu rząd śmiertelnie ostrych zębów ludożercy. *Cześć, Gard, chcesz poznać prawdziwe Stukostrachy? Wejdz! Jest nas tu trochę!*

Gardener zadygotał — nieomal usłyszał skrobanie cienkich paskudnych paluszków o szybę. Za dużo się wydarzyło wczoraj i dziś. Miał pobudzoną wyobraźnię, która cały wieczór będzie nerwowo chodziła i gadała. Nie wiedział, czy lepiej będzie spać, czy nie dopuścić, by zmorzył go sen.

12

Gdy znalazł się w domu, jego niepokój zaczął opadać.

Równocześnie wolno odchodziła mu ochota na drinka. Zdjął koszulę i zajrzał do Anderson. Bobbi leżała w identycznej pozycji co poprzednio, z wyciągniętą ręką, ledwie przykryta skopanymi kocami, które zaplątały się między jej strasznie chude nogi; pochrapywała.

Nawet nie drgnęła. *Jezu, ale musi być zmęczona.*

Wziął długi prysznic, ledwie odkręcając ciepłą wodę (przy nowym bojlerze Bobbi oznaczało to lekkie trącenie gałki o pięć stopni w prawo od ustawienia na lodowato zimną).

Kiedy skóra zaczęła mu czerwienić, wyszedł z kabiny do łazienki zaparowanej jak Londyn spowity mgłą końca epoki wiktoriańskiej. Wytarł się, umył zęby palcem — chyba trzeba kupić parę rzeczy, pomyślał — i poszedł się położyć.

Zapadając w sen, myślał o ostatniej rzeczy, jaką podczas rozmowy powiedziała mu Bobbi. Sądziła bowiem, że statek w ziemi zaczął mieć wpływ na ludzi w miasteczku. Kiedy spytał ją o konkrety, zaczęła wyrażać się niejasno, a potem zmieniła temat. Gardener przypuszczał, że w tym wariactwie wszystko jest możliwe. Choć stary dom Franka Garricka stał na zadupiu, to znajdował się dokładnie w geograficznym centrum powiatu Haven. Samo miasteczko — Haven Village — było pięć mil na północ.

— Mówisz, jak gdyby statek zrzucił gaz trujący — powiedział w nadziei, że jego głos nie zdradza ogromu niepokoju, jaki go ogarnął. — Parakwat z kosmosu. Zesłał ich Agent Orange*.

— Gaz trujący? — powtórzyła Bobbi. Znowu wyglądała, jakby odpłynęła gdzieś myślami. Jej niezwykle chuda twarz była nieruchoma, a spojrzenie nieobecne. — Nie, nie gaz trujący. Jeżeli chcesz, możesz to nazwać „oparami”. Ale to coś więcej niż wyczuwalna dotykaniem wibracja.

Gardener milczał, nie chcąc burzyć jej nastroju.

— Opary? Nie, też nie. Ale coś w rodzaju oparów. Gdyby przyjechali tu ludzie z Agencji Ochrony Środowiska z wykrywaczami, chyba nie znaleźliby żadnych zanieczyszczeń. Jeżeli w powietrzu jest jakaś fizyczna pozostałość, to najwyżej drobny ślad, nic więcej.

— Uważasz, że to możliwe, Bobbi? — spytał cicho Gardener.

— Tak. Nie twierdzę, że wiem, co się naprawdę stało, bo nie wiem. Nie mam poufnych informacji. Wydaje mi się jednak, że kiedy odsłoniłam statek, mogła zacząć się utleniać jakaś cienka warstwa pokrywająca kadłub — bardzo cienka, grubości jednej albo dwóch cząsteczek. To by znaczyło, że dostałam pierwszą, największą dawkę... a potem to coś uleciało z wiatrem jak opad promieniotwórczy. Większość mogli dostać ludzie w mieście... chociaż „większość” w tym wypadku oznacza „cholernie mało”...

Bobbi poruszyła się w bujanym fotelu i spuściła prawą rękę. Był to gest, który Gardener widział u niej wiele razy i serce ścisnęło mu się na widok wyrazu smutku, jaki przemknął po jej twarzy. Bobbi położyła dłoń z powrotem na kolanie.

— Ale rozumiesz, nie jestem pewna, czy tak się rzeczywiście stało. Jest taka powieść Petera Strauba „Pływający smok” — czytałeś?

Gardener pokręcił głową.

— Opiera się na założeniu podobnym do twojego Agenta Orange z kosmosu czy parakwatu zesłanego przez bogów.

Gardener uśmiechnął się.

— Eksperymentalna substancja chemiczna dostaje się do atmosfery i opada na dzielnicę mieszkalną w Connecticut. Tyle że to naprawdę trucizna — jakiś gaz wywołujący obłęd. Ludzie bez powodu zaczęli się bić ze sobą, jeden facet postanowił pomalować cały dom — nie wyłączając okien — na jaskraworóżowo, pewna kobieta biegała, dopóki nie zmarła na rozległy zawał i tak dalej.

— Jest jeszcze jedna powieść, pod tytułem „Olśnienie”, którą napisał... — Anderson zmarszczyła w zamyśleniu brwi. Jej dłoń znowu powędrowała w dół fotela i wróciła. — Autor nazywa się tak jak ja. Anderson. Poul Anderson. Opowiada o tym, jak Ziemia przechodzi przez warkocz komety, a część materiału, jaki spada na powierzchnię, powoduje, że zwierzęta stają się inteligentniejsze. Książka zaczyna się od sceny, w której królik obmyśla sposób wydostania się z sideł.

— Inteligentniejsze — powtórzył jak echo Gardener.

— Tak. Jeżeli przed przejściem Ziemi przez warkocz komety miałeś iloraz inteligencji 120, to potem miałeś 180, rozumiesz?

— Pełna i gruntowna inteligencja?

* Parakwat — środek chwastobójczy; Agent Orange — defoliant, środek chemiczny ogalający rośliny i drzewa z liści, zrzucany przez amerykańskie bombowce na Wietnam Południowy (przyp. tłum.).

— Tak.

— Ale wcześniej użyłaś określenia „genialna idiotka”. To zupełnie przeciwieństwo pełnej inteligencji, prawda? Jedno... kłóci się z drugim.

Anderson machnęła ręką.

— Nieważne — powiedziała.

Leżąc w łóżku i zapadając w sen, Gardener rozmyślał.

13

W nocy miał sen. Dość nieskomplikowany. Stał w ciemnościach niedaleko szopy między domem a ogrodem. Po lewej majaczył ciemny kształt tomcata. Gardener zastanawiał się nad tym samym co wieczorem — czy podejść i zajrzeć przez okno do środka. Co by zobaczył? Oczywiście, Stukostrachy. Jednak wcale się nie bał. Zamiast strachu czuł radość i ulgę. Bo Stukostrachy nie były potworami ani kanibalami; przypominały elfy z baśni o dobrym szewcu. Zajrzy przez brudne okno szopy, tak jak zachwycone dziecko na ilustracji do „Nocy wigilijnej” wygląda przez okno sypialni (a kim był Święty Mikołaj, ten stary, wesoły elf, jeśli nie starym, wielkim Stukostrachem w czerwonych szatach?), i zobaczy ich, jak siedzą przy długim stole, gwarząc i śmiejąc się, klekąc generatory prądu, lewitujące deskorolki i telewizory, w których zamiast zwykłych filmów można oglądać projekcje własnych myśli.

Podszedł do szopy, a w środku nagle rozbłysło takie samo światło, jakie wydobywało się z przerobionej maszyny Bobbi — jak gdyby szopa zmieniła się w wydrążoną dynię na Halloween, tylko że blask wewnątrz nie był ciepły i żółty, lecz paskudnie zgniłozielony. Sączył się spomiędzy desek; sączył się promieniami przez dziury po sękach, tatuując w ziemi błyszczące kocie oczy, wypełniał okna. I teraz zaczął się bać, bo takim światłem nie mógł emanować żaden przyjazny kosmita; gdyby rak miał kolor, to na pewno taki, jak blask sączący się z każdej szczeliny, szpary i dziury po sęku w szopie Bobbi Anderson.

Mimo to przysunął się bliżej, bo w snach nie zawsze można się powstrzymać. Przysunął się bliżej, choć nie miał już ochoty patrzeć, jak dziecko nie chciałoby wyjrzeć przez okno sypialni w Wigilię, bojąc się, że zobaczy Świętego Mikołaja przechadzającego się po zaśnieżonym dachu domu naprzeciwko i trzymającego w odzianych w rękawice dłoniach zmasakrowane głowy, z których kapie krew, parując na mrozie.

Proszę, nie, proszę, nie...

Lecz przysuwał się bliżej i gdy wkroczył w zieloną mgiełkę, w głowie gruchnęła mu fala ostrej muzyki rockowej, paraliżująca i rozdzierająca myśli. To był George Thorogood i Destroyers, a on wiedział, że kiedy George zacznie grać na gitarze techniką slide, czaszka przez moment będzie mu wibrować zabójczą harmonią, a potem po prostu wybuchnie jak szkło w domu, o którym przedtem opowiadał Bobbi.

To jednak nie miało znaczenia. Liczył się tylko strach strach przed Stukostrachami w szopie Bobbi. Wyczuwał ich obecność, niemal czuł ich gęsty, elektryczny zapach podobny do woni ozonu i krwi.

I... usłyszał dziwne chlupoczące dźwięki mimo ogłuszającej muzyki w głowie. Przypominały odgłos starodawnej pralki, tyle że to nie była woda, i brzmiała zupełnie nie tak, nie tak, nie tak...

Kiedy wspiął się na palce, żeby zajrzeć do szopy, a jego twarz przybrała zielony kolor twarzy trupa wyciągniętego z ruchomych piasków, George Thorogood zaczął grać swojego bluesa i Gardener wrzasnęła z bólu — właśnie wtedy eksplodowała mu głowa i obudził się, siedząc wyprostowany w starym podwójnym łóżku w pokoju gościnnym. Był spocony i drżały mu ręce.

Położył się, myśląc: Boże! Jeżeli masz mieć koszmary, lepiej zastanów się, co będzie jutro. Spokojnie.

Spodziewał się koszmarów po podjęciu decyzji; ułożył się z powrotem, myśląc, że to był dopiero pierwszy. Ale nic mu się więcej nie śniło.

Tej nocy.

Nazajutrz stanął razem z Bobbi do pracy przy wykopie.

KSIĘGA II

OPOWIEŚCI Z HAVEN

*Terrorysta dał w gaz!
Prezydent leży!
Ochrona urżnięta!
Tajniacy podcięci!
I wszyscy są zalani,
Wszyscy narąbani,
Wszyscy są na bani,
I nic tego nie zmieni,
Bo wszyscy są zalani
Wszyscy narąbani,
Wszyscy chleją w pracy.*

The Rainmakers
„Drinkin’ on the Job”

*Pobiegł więc do miasta, krzycząc
„To spadło z nieba!”*

Creedence Clearwater Revival
„It Came Out of the Sky”

1 MIASTECZKO

1

Zanim Haven otrzymało swe obecne miano, nosiło cztery różne nazwy.

Swoje miejskie istnienie rozpoczęło w 1816 roku jako Plantacja Montville. Należało w całości do niejakiego Hugh Crane'a. Crane kupił je w 1813 roku od stanu Massachusetts, do którego należała wówczas prowincja Maine. Podczas wojny o niepodległość był porucznikiem.

Nazwa „Plantacja Montville” była kpina. Ojciec Crane'a przez całe życie nie odważył się wyruszyć dalej na wschód niż do Dover i kiedy doszło do oddzielenia kolonii, pozostał lojalnym torysem. Zakończył życie jako par, dwunasty hrabia Montville. Jako jego najstarszy syn, Hugh Crane zostałby trzynastym hrabią Montville, jednak ojciec w ataku wściekłości wydziedziczył go. Ani trochę niespeszony Crane zaczął się wszystkim przedstawiać jako pierwszy hrabia środkowego Maine, a czasem jako księżę niczego.

Ziemia, którą Crane nazwał Plantacją Montville, obejmowała obszar około dwudziestu dwóch tysięcy akrów. Kiedy Crane złożył wniosek i teren oficjalnie przyłączono do stanu, Plantacja Montville została sto dziewięćdziesiątym trzecim miastem prowincji Maine stanu Massachusetts. Crane wybrał tę ziemię, ponieważ było na niej mnóstwo drewna, a dwadzieścia mil dalej leżało Derry, skąd drewno można było spławiać rzeką do morza. Ile kosztowała połączyć ziemi, która w końcu została nazwana Haven?

Hugh Crane kupił wszystko za równowartość tysiąca ośmiuset funtów.

Oczywiście, w tamtych czasach funt był wart o wiele więcej.

2

Gdy Hugh Crane zmarł w roku 1826, na Plantacji Montville mieszkało stu trzech ludzi. Przez sześć czy siedem miesięcy w roku populacja zwiększała się dwukrotnie za sprawą drwali, którzy jednak się nie liczyli, bo zarobione tu skromne pieniądze wywozili do Derry, gdzie zwykle osiedlali się, kiedy byli już za starzy, by pracować przy wyrębie lasu. „Za starzy, by pracować przy wyrębie lasu” oznaczało w tych czasach wiek około dwudziestu pięciu lat.

Niemniej przed rokiem 1826 osada, która miała się stać miasteczkiem Haven, zdążyła się już rozrosnąć wzdłuż błotnistej drogi, która biegła na północ, w stronę Derry i Bangor.

Drogę nazywano różnie (w końcu stała się drogą numer 9, choć nie dla najstarszych dziadków takich jak Dave Rutledge) i korzystali z niej drwale, gdy pod koniec miesiąca wybierali się do Derry, aby przepić i przehulać zarobione pieniądze. Najwięcej chcieli wydać w dużym mieście, ale większość chętnie zatrzymywała się na dłużej w Tawernie i Gospodzie Coodera, gdzie splukiwała kurz jednym lub dwoma piwami. Było to niewielkie źródło dochodów, ale wystarczyło, by interes zaczął całkiem nieźle prosperować. Znajdujący się po przeciwnej stronie drogi sklep (prowadzony przez właściciela, siostrzeńca Hirma Coodera) radził sobie nieco gorzej, lecz przynosił pewien zysk. W roku 1828 obok sklepu otwarto zakład cyrulika — fryzjera (prowadzony przez właściciela, kuzyna Hirma Coodera). W tamtych czasach, jeśli ktoś zajrzał do tej tętniącej życiem i rozwijającej się firmy, często mógł ujrzeć drwala rozpartego na jednym z trzech krzeseł, któremu równocześnie obcinano włosy, szyto ranę na rękę i przystawiano do skroni pijawki, na co dzień trzymane w słoju obok pudełka z cygarami; pijawki grubiały, zmieniając barwę z szarej w czerwoną, chroniąc drwala jednocześnie przed zakażeniem i chorobą znaną wówczas jako „boleść rozumu”. W 1830

roku na południowym końcu miasteczka otwarto sklep z paszą i oberżę (własność brata Hirama Coodera, George'a).

W 1831 roku Plantacja Montville zmieniła nazwę na Coodersville.

Nikogo to nie zdziwiło.

Coodersville zachowało nazwę do roku 1864, w którym przemianowano je na Montgomery na cześć Ellisa Montgomery'ego, miejscowego chłopca, który poległ pod Gettysburgiem, gdzie, jak twierdzili niektórzy, dwudziesty stan Maine sam jeden ocalał Unię. Zmianę nazwy powitano przychylnie. Zresztą ostatni z Cooderów, stary zwariowany Albion, zbankrutował i dwa lata wcześniej popełnił samobójstwo.

Po zakończeniu wojny secesyjnej stan ogarnęło szaleństwo, niewytłumaczalne jak większość szaleństw. Ale nie było to szaleństwo noszenia krynolin czy zapuszczania bokobrodów; polegało na nadawaniu małym miasteczkom klasycznych nazw. Stąd w Maine wzięły się Sparta, Kartagina (Carthage), Ateny (Athens) i oczywiście Troja (Troy), tuż za miedzą. W roku 1878 mieszkańcy miasteczka zagłosowali za kolejną zmianą nazwy, tym razem z Montgomery na Ilium. Decyzja wywołała protesty matki Ellisa Montgomery'ego, która na zgromadzeniu mieszkańców wygłosiła pełną żalu tyradę. Nie była to jednak płomienna przemowa, lecz bezsilny lament zniedołężniałej kobiety, ponieważ matka bohatera liczyła sobie wówczas wiele lat — dokładnie siedemdziesiąt pięć. Legenda głosi, że wszyscy słuchali jej cierpliwie, nie bez poczucia winy, i może nawet byłiby skłonni odwołać podjętą wcześniej decyzję (niektórym wydawało się, że pani Montgomery ma rację, mówiąc, że czternaście lat to raczej nie jest „wieczna pamięć”, jaką obiecano jej nieżyjącemu synowi podczas uroczystości zmiany nazwy miasta, jakie odbyły się czwartego lipca 1864 roku), gdyby właśnie w tym momencie nie zbuntował się pęcherz czcigodnej damy. Wyprowadzono ją z sali, podczas gdy staruszka wciąż rzucała gromy na niewdzięcznych filistrów, którzy będą jeszcze przeklinać ten dzień.

Mimo to Montgomery zmieniło się w Ilium.

Minęły dwadzieścia dwa lata.

3

W miasteczku pojawił się wygadany wędrowny pastor głoszący odnowę religijną, który z jakiegoś powodu ominął Derry i postanowił rozbić namiot w Ilium. Używał nazwiska Colson, lecz Myrtle Duplissey, samozwańczy kronikarz Haven, nabrał pewności, że Colson naprawdę nazywał się Cooder i był nieślubnym synem Albiona Coodera.

Kimkolwiek był kaznodzieja, udało mu się przekonać większość chrześcijan w miasteczku do swej dynamicznej wersji wiary zanim nadeszła pora zbiorów kukurydzy — ku wielkiej rozpaczy pana Hartleya, pastora kościoła metodystów w Ilium i Troy, oraz pana Crowella, który sprawował opiekę duchową nad baptystami w Ilium, Troy, Etnie i Unity (powiadano w tamtych czasach, że plebania Emory'ego Crowella należy do miasta Troy, ale jego gmaszyska należą do Boga). Jednak przestrogi obu wielebnych okazały się wołaniem na puszczy. Gromada wiernych pastora Colsona rosła w miarę jak bliskie doskonałości lato roku 1900 zbliżało się ku końcowi. Gdyby plony tamtego roku nazwać „rekordowymi”, byłoby to określenie pogardliwe; kiepska ziemia Nowej Anglii, zwykle skąpa niczym dickensowski Ebenezer Scrooge, wydała tamtego roku niezwykle szczodry dar. Pan Crowell, baptysta, którego gmachy należały do Boga, stawał się coraz bardziej przygnębiony i milczący, a trzy lata później powiesił się w piwnicy swojej plebani w Troy.

Pan Hartley, pastor metodystów, zdradzał coraz większe zaniepokojenie ewangeliczną euforią, która szerzyła się w Ilium jak epidemia cholery. Jego obawy wynikały być może z faktu, że metodyści w normalnych okolicznościach są najbardziej skrytymi wyznawcami Boga; nie słuchają kazań, lecz „przesłań”, modlą się głównie w ciszy i uważają, że wierni

mogą wspólnie wypowiadać „amen” jedynie na zakończenie Modlitwy Pańskiej oraz paru psalmów, których nie śpiewa chór.

Teraz jednak owi dotychczas skryci ludzie nagle zyskali dar mówienia nieznanymi językami i zaczęli wpadać w ekstazę jak zielonoświątkowcy. Pan Hartley mawiał czasem, że niedługo zaczną poskramiać węże. Spotkania odnowy religijnej w namiocie przy Derry Road, odbywające się we wtorki, czwartki i niedziele, stawały się coraz głośniejsze i towarzyszyły im coraz gwałtowniejsze wybuchy emocji.

— Gdyby to wszystko działo się w wesołym miasteczku, nazwaliby to histerią — powiedział pastor do Freda Perry’ego, diakona i swego jedyne go bliskiego przyjaciela. — Ale ponieważ dzieje się w namiocie kaznodziei, mają czelność nazywać to Ogniem Zielonych Świątek.

Podejrzenia wielebnego Hartleya wobec Colsona z biegiem czasu okazały się w pełni uzasadnione, lecz zanim jeszcze Colson uciekł, zebrałszy przedtem spore żniwo w postaci żywej gotówki i równie żywych kobiet, zamiast dyń i ziemniaków, wcześniej zdążył wycisnąć swe piętno na historii miasteczka, dokonując ostatniej zmiany jego nazwy.

Kazanie tego gorącego sierpniowego wieczoru rozpoczęło się od tematu żniw jako symbolu wielkiej nagrody od Boga, by potem poruszyć temat samego miasta. Colson zdążył już zdjąć surdut. Zlepione potem włosy opadały mu na oczy.

W kącie, gdzie gromadzili się najgorliwsi wierni, zaczęły już klękać kobiety, choć jeszcze nie nadszedł czas na ekstazę i mówienie obcymi językami.

— Uważam, że to miasto zostało uświęcone — oświadczył zebrany Colson, chwytając wielkimi dłońmi ambonę. Być może uważał Ilium za uświęcone z jakiegoś innego powodu niż ten, że zaszczycił je swą czcigodną osobą, postanawiając, że tu rozbije namiot (i pozostawi swe nasienie), ale nie wspomniał o tym ani słowem. — Uważam je za cichą przystań*.

Tak! Odnalazłem tu przystań, która przywodzi mi na myśl przystań moich rodzinnych stron, cudownej ziemi, być może podobnej do krainy, jaką znali Adam i Ewa, dopóki nie zerwali owocu z drzewa, które powinni byli pozostawić w spokoju. Uświęcone! — zagrzmiął pastor Colson.

Wiele lat później niektórzy z wiernych wspominali z podziwem, jak wielkim głosem potrafił wzywać imię Jezusa, chociaż może i był łajdakiem.

— Amen! — wykrzyknęli w odpowiedzi wierni. Mimo że wieczór był bardzo ciepły, nie można było wyłącznie upałem wytłumaczyć ognistych rumieńców na kobiecych policzkach i czołach; w mieście bardzo często widywało się takie rumieńce od przybycia pastora Colsona.

— To miasto jest prawdziwym obrazem chwały Bożej!

— Alleluja! — wrzasnęli rozradowani wierni. Falowały piersi. Iskrzyły się oczy. Języki zwilżały wyschnięte wargi.

— To miasto otrzymało obietnicę! — krzyknął pastor Colson, chodząc energicznie tam i z powrotem, od czasu do czasu odrzucając z czoła kosmyk włosów szybkim ruchem, ukazując przy tym muskularną szyję, która wyglądała bardzo efektownie. — A obietnicą są pełne zbiory. Obietnica zostanie spełniona!

— Chwała Jezusowi!

Colson wrócił na ambonę, chwycił się jej i spojrzał na zebranych posepnie.

— Dlaczego więc chcecie, aby miasto, które obiecuje boskie żniwo i boską przystań — dlaczego chcecie, aby miasto, które o tym mówi, nosiło jakieś obrzydliwe makaroniarskie imię? Nie potrafię tego zrozumieć, bracia. Mogę się tylko domyślać, że za życia poprzedniego pokolenia gdzieś tu maczał palce diabeł.

* Przystań — *haven* (przyp. tłum.).

Nazajutrz po kazaniu zaczęto mówić o zmianie nazwy miasta z Ilium na Haven. Wielebny Crowell dość niemrawo protestował przeciw zmianie, natomiast wielebny Hartley znacznie bardziej stanowczo. Radni Ilium zachowali neutralność, zauważając jedynie, że zmiana wpisu w dokumentach inkorporacji znajdujących się w aktach w Augustie będzie kosztowała miasto dwadzieścia dolarów, a następne dwadzieścia pochłonie zmiana miejskich tablic drogowych. Nie wspominając o nagłówkach miejskich dokumentów i urzędowym papierze listowym.

Na długo przed marcowym zgromadzeniem miejskim, na którym dyskutowano i głosowano punkt czternastego porządku dziennego — „propozycję zatwierdzenia przez zgromadzenie zmiany nazwy inkorporowanego miasta stanu Maine nr 193 z ILIUM na HAVEN” — pastor Colson dosłownie zwinął swój namiot i uszedł w ciemną noc. Wspomniane zwinięcie i ucieczka nastąpiły w nocy siódmego września, tuż po wydarzeniu, jakie Colson od wielu tygodni nazywał Wielkim Odrodzeniem Dożynek roku 1900. Co najmniej od miesiąca dawał wszystkim do zrozumienia, że będzie to najważniejsze tegoroczne zgromadzenie w mieście, być może najważniejsze w jego życiu, nawet gdyby osiadł tu na stałe — do czego, jak coraz częściej czuł, wzywał go Bóg; ach, jak na tę wieść zabiły niewieście serduszka! Miała to być, jak mówił, wielka ofiara miłości dla miłującego Boga, który zesłał miasteczku wspaniałą urodzaj i pozwolił zebrać obfite żniwo.

Colson także urządził własne żniwo. Zaczął od namawiania zebranych do złożenia największej „ofiary miłości” podczas swego pobytu, a skończył po zgromadzeniu na polu za namiotem, gdzie zaorał i szczerze obsiał nie dwie, nie cztery, ale sześć dziewcząt.

— Chłopy lubią gadać, ale każdy nosi w gaciach marnego derringera, choćby nie wiem co gadał — rzekł pewnego wieczoru u fryzjera stary Duke Barfield. Gdyby kiedykolwiek zorganizowano konkurs na Najgorszego Śmierdziała w mieście, stary Duke wygrałby w cuglach. Wydzielał zapach jak marynowane jajko, które przez miesiąc leżało w błotnistej kałuży. Słuchano go, ale z pewnej odległości i stojąc pod wiatr, jeżeli się dało. Słyszałem o chłopach, co noszą w gaciach dubeltówkę, pewnie się taki gdzie trafi, a raz słyszałem nawet o takim, co miał pistolet trzystrzałowy, ale nigdy żem nie słyszał o takim, co nosi sześciostrzałowca jak ta gnida Colson.

Trzy ze zdobyczy pastora Colsona przed inwazją zielonoświątkowego zaganiacza były dziewczycami.

Ofiara miłosna owej nocy końca lata 1900 roku była rzeczywiście szczodra, choć plotkarze u fryzjera nie byli zgodni co do jej wartości pieniężnej. Wszyscy zgadzali się, że jeszcze przed Wielkim Odrodzeniem Dożynek tam, gdzie do dziesiątej odbywały się kazania, do północy śpiewano psalmy, a do drugiej i jeszcze długo później odbywało się polowe pieprzenie, płynął wartki potok gotówki. Niektórzy zwracali uwagę, że Colson podczas swego pobytu nie ponosił zbyt wielu wydatków. Kobiety prawie walczyły o przywilej przynoszenia mu posiłków, ówczesny właściciel oberży oddał mu wóz do dyspozycji... i oczywiście nikt nie żądał od niego zapłaty za nocne rozrywki.

Rankiem ósmego września po namiocie i kaznodziei nie było śladu. Zebrał dobre żniwo... i dokonał równie udanego siewu. Między pierwszym styczniem a zgromadzeniem mieszkańców, jakie odbyło się pod koniec marca 1901 roku, w okolicy urodziło się dziewięć nieślubnych dzieci, trzy dziewczynki i sześciu chłopców. Wszystkie „dzieci miłości” były niezwykle do siebie podobne — sześciu miało niebieskie oczy, a wszystkie urodziły się z bujnymi czarnymi czuprynami. Według plotkarzy u fryzjera (a nikt na świecie nie potrafi tak doskonale pożenić logiki i lubieżnych myśli jak grupa próżniaków pierdzących w wiklinowe krzesła i skręcających papierosy albo strzykających do blaszanych spluwaczek brązowym sokiem z przeżutego tytoniu) nikt nie potrafił powiedzieć, ile dziewcząt wyjechało „z wizytą do krewnych” na południe, do New Hampshire albo nawet do Massachusetts. Zauważono również, że między styczniem a marcem w miasteczku urodziło dzieci całkiem sporo mężatek. Któż mógł być pewien, jak to z nimi naprawdę było? Ale, rzecz jasna,

plotkowano u fryzjera o tym, co się zdarzyło dwudziestego dziewiątego marca, gdy Faith Clarendon urodziła dorodnego ośmiofuntowego chłopca. Pod okapem domu Clarendonów huczał wilgotny północny wiatr, zrzucając ostatnią przed listopadem porcję śniegu ze sporych zapasów na 1901 rok. Cora Simard, akuszerka, która odbierała poród, siedziała i na pół drzemała przy kuchennym piecu, czekając na swojego męża Irwina, aby wreszcie przedarł się przez burzę i zabrał ją do domu. Zobaczyła Paula Clarendona, jak podchodzi do łóżeczka, w którym leżał jego nowo narodzony syn — łóżeczko stało po drugiej stronie pieca, w najcieplejszym kącie — i przez godzinę nieruchomo patrzy na dziecko. Cora popełniła straszliwy błąd, biorąc nieruchome spojrzenie Clarendona za wyraz zachwytu i miłości. Zamknęła oczy. Gdy ocknęła się z drzemki, Paul Clarendon stał nad łóżeczkiem z otwartą brzytwą w ręku. Chwycił dziecko za gęste kruczoczarne włosy i zanim Cora zdołała wydusić ze ściśniętego gardła wrzask, poderżnął gardło chłopcu. Wyszedł z pokoju bez słowa. Po chwili Cora usłyszała dobiegający z sypialni zdławiony gulgot. Kiedy przerażony Irwin Simard zdobył się wreszcie na odwagę i wszedł do sypialni Clarendonów, zastał małżonków leżących na łóżku i trzymających się za ręce. Clarendon zabił żonę, położył się obok, chwycił lewą ręką jej prawą dłoń, po czym sam poderżnął sobie gardło. Wszystko to stało się dwa dni po przegłosowaniu zmiany nazwy miasteczka.

4

Wielebny Hartley z całej duszy sprzeciwiał się nowej nazwie miasta, jaką podsunął człowiek, który okazał się złodziejem, cudzołożnikiem, fałszywym prorokiem i najpodlejszym zdrajcą. Powiedział to nawet ze swojej ambony i zauważył z mściwą satysfakcją, która zazwyczaj była mu raczej obca, jak parafianie potakująco kiwają głowami. Przyszedł na zgromadzenie mieszkańców miasta dwudziestego siódmego marca 1901 roku pewien, że gdy nadejdzie pora na punkt czternasty porządku dziennego, wniosek zostanie odrzucony miażdżącą przewagą głosów. Nie zaniepokoił się nawet faktem, że między odczytaniem wniosku przez urzędnika a lakonicznym „Jak sobie życzycie, ludzie?” przewodniczącego rady Luthera Ruvalla odbyła się tylko bardzo krótka dyskusja. Gdyby Hartley miał choć cień podejrzenia, zacząłby jedyne raz w życiu długo i żarliwie, może nawet z furią przemawiać. Ale nie miał absolutnie żadnych podejrzeń.

— Ci, którzy zgadzają się z wnioskiem, niech powiedzą „za” — rzekł Luther Ruvall i na dźwięk gromkiego — jeśli nie płomiennego — „za!”, które zatrzęsło belkami w dachu, Hartley poczuł, jak gdyby dostał pięścią w brzuch. Rozejrzał się z wściekłością, lecz było już za późno. Moc tego „za!” zaskoczyła go do tego stopnia, że nie miał pojęcia, ilu wiernych zwróciło się przeciw niemu, glosując wbrew jego nakazom.

— Chwileczkę... — powiedział zduszonym głosem, którego nikt nie usłyszał.

— Kto się nie zgadza?

Odezwały się słabe pojedyncze głosy przeciw. Hartley próbował wrzasnąć, ale zamiast „przeciw!” zdołał wykrztusić tylko bezsensowne „rzeć!”

— Wniosek przeszedł — powiedział Luther Ruvall. — Przystępujemy do punktu piętnastego...

Wielebny Hartley poczuł nagle, że robi mu się ciepło o wiele za ciepło. Właściwie czuł się tak, jak gdyby miał zemdleć. Zaczął torować sobie drogę w zbitej ciżbie mężczyzn ubranych w koszule w czerwono — czarną kratę i zabłocone flanelowe spodnie — nad którymi unosiły się gęste obłoki gryzącego dymu z fajek i tanich cygar. Nadal czuł się bardzo słabo, lecz teraz zdawało mu się, że zanim zemdleje, to jeszcze zwymiotuje. Tydzień później nie pojmie głębi szoku, w jakim się znalazł, szoku graniczącego z panicznym przerażeniem. Rok później w ogóle się nie przyzna, że kiedykolwiek ogarnęło go podobne uczucie.

Stał na najwyższym stopniu schodów prowadzących do ratusza, wciągając głębokie hausty chłodnego powietrza, trzymając się kurczowo balustrady i patrząc na pola, na których śnieg zaczął już topnieć. Gdzieś pod spodem ukazała się mokra ziemia, a pastor pomyślał z grubiańską złośliwością, która także była mu obca, że pola wyglądają jak zacieki z gówna na koszuli nocnej. Po raz pierwszy i jedyny w życiu z goryczą uświadomił sobie, że zazdrości Bradleyowi Colsonowi — czy Cooderowi, jeśli tak brzmiało jego prawdziwe nazwisko. Colson uciekł z Ilium... och, wybaczcie, z Haven. Uciekł, a Donald Hartley doszedł do wniosku, że gorąco pragnąłby uczynić to samo. *Dlaczego to zrobili? Dlaczego? Wiedzieli, kim jest, wiedzieli! Dlaczego więc...*

Ktoś położył mu na plecach mocną i ciepłą dłoń. Odwrócił się i ujrzał swego przyjaciela Freda Perry'ego. Na pociągłej i mało urodziwej twarzy Freda malował się wyraz troski i głębokiego smutku. Hartley poczuł, jak uśmiecha się mimo woli.

— Don, dobrze się czujesz? — spytał Fred Perry.

— Tak. Przez chwilę zakręciło mi się w głowie. To przez głosowanie. Nie spodziewałem się tego.

— Ja też nie — odparł Fred.

— Moi parafianie też brali w tym udział — dodał Hartley. Na pewno. Krzyk był tak głośny, że na pewno i oni krzyczeli, nie sądzisz?

— No...

Wielebny Hartley uśmiechnął się blado.

— Widocznie nie znam ludzkiej natury tak dobrze, jak mi się wydawało.

— Wróć na salę, Don. Będą dyskutować o wybrukowaniu

Ridge Road.

— Chyba jeszcze trochę zostanę na dworze — odrzekł Hartley — i pomyślę o naturze ludzkiej. — Zamilkł, ale gdy Fred Perry odwrócił się, by dołączyć do reszty zebranych, wielebny Donald Hartley zapytał niemal błagalnym tonem: — A ty rozumiesz, Fred? Rozumiesz, dlaczego to zrobili? Jesteś starszy ode mnie prawie o dziesięć lat. Rozumiesz?

Wtedy Fred Perry, który sam krzyknął „za!”, przysłaniając usta pięścią, pokręcił głową i odparł, że nie, nie potrafi tego zrozumieć. Wprawdzie lubił wielebnego Hartleya, szanował wielebnego Hartleya, ale mimo to (a może — po prostu może — właśnie dlatego) ze złośliwą satysfakcją zagłosował za nazwą zaproponowaną przez Colsona; Colsona fałszywego proroka, Colsona złodzieja, Colsona uwodziciela.

Nie, Fred Perry w ogóle nie rozumiał ludzkiej natury.

2 BECKA PAULSON

1

Rebecca Bouchard Paulson była żoną Joego Paulsona, jednego z dwóch listonoszy w Haven, który należał do trzyosobowej załogi pracującej na pocztce Haven. Joe zdradzał żonę, o czym Bobbi już wiedziała. Teraz wiedziała o tym także Becka Paulson. Wiedziała od trzech dni. Powiedział jej Jezus. W ciągu minionych trzech dni Jezus powiedział jej o najbardziej zdumiewających, strasznych i przygnębiających rzeczach, jakie można sobie wyobrazić. Wzbudzały w niej odrazę, nie pozwalały zasnąć, mieszały w głowie... ale czy nie były zarazem wspaniałe? Rany Julek! I czy mogła przestać słuchać, położyć Jezusa twarzą do dołu albo wrzasnąć na Niego, żeby się zamknął? Absolutnie nie. Po pierwsze, odczuwała jakiś makabryczny przymus, aby słuchać rzeczy, o których mówił jej Jezus. Po drugie, Jezus był Zbawicielem.

Jezus stał na telewizorze Sony Paulsonów. Był tam od sześciu lat. Przedtem patrzył na nią z dwóch kolejnych zenithów. Według szacunków Becki znajdował się w tym samym miejscu od około szesnastu lat. Jezus spoglądał jak żywy z trójwymiarowego obrazka, który podarowała im w prezencie ślubnym starsza siostra Becki, Corinne, która mieszkała w Portsmouth. Gdy Joe zauważył, że z siostry Becki jest trochę dusigrosz, Becka kazała mu być cicho. Wcale się jednak bardzo nie zdziwiła: po mężczyźnie takim jak Joe trudno spodziewać się zrozumienia dla faktu, że nie można ustalić ceny prawdziwego piękna.

Jezus na obrazku był ubrany w prostą białą szatę i trzymał pasterski kij. Chrystus na telewizorze Becki czesał się trochę jak Elvis zaraz po wyjściu z wojska. Tak, był całkiem podobny do Elvisa w „Bluesie szeregowca”. Miał łagodne brązowe oczy. Za Nim w idealnej perspektywie widać było wielkie, ciągnące się aż po horyzont stado owieczek białych jak płótno w reklamach telewizyjnych. Becka i Corinne wychowały się na farmie owczej w New Gloucester i Becka wiedziała z doświadczenia, że owce nigdy nie są tak białe i jednolicie wełniste jak chmurki na pogodnym niebie, które spłynęły na ziemię. Ale pomyślała, że skoro Jezus potrafił zmienić wodę w wino i wskrzeszać umarłych, nie było żadnego powodu, by nie potrafił spowodować, gdyby tylko chciał, żeby zniknęły resztki gówna poprzylepiane do owczych zadów.

Joe kilka razy próbował zdjąć obrazek z telewizora i teraz Becka domyślała się już dlaczego, och, tak! Rany Julek! Oczywiście, Joe zmyślał sobie różne historyjki.

— Nie powinno się chyba mieć Jezusa na telewizorze, jak się ogląda „Magnum” albo „Policjantów z Miami” — mówił na przykład. — Becka, dlaczego nie postawisz Go na komodzie? Albo... wiesz co? Może niech postoi na komodzie do niedzieli, a potem postawisz Go z powrotem, kiedy będziesz oglądać Jimmy’ego Swaggarta albo Jacka van Impe, co? Założę się, że Jezusowi o wiele bardziej spodoba się Jimmy Swaggart niż „Policjanci z Miami”.

Odmówiła.

Innym razem Joe powiedział:

— Kiedy w czwartek przypada moja kolej i chłopaki przychodzą tu na pokera, nie podoba im się ten obrazek. Nikt nie ma ochoty, żeby patrzył na niego Jezus Chrystus, kiedy próbuje dobrać do strita.

— Może czują się nieswojo, bo wiedzą, że hazard to sprawka szatana — rzekł Becka.

Joe, który całkiem nieźle grał w pokera, obruszył się.

— W takim razie to szatan kupił ci suszarkę do włosów i ten pierścionek z granatem, co ci się tak podoba — powiedział. — Oddaj jedno i drugie, a jak ci zwrócą pieniądze, wpłać na Armię Zbawienia. Chyba jeszcze mam rachunki w swoim pokoju.

Pozwalała więc Joemu odwracać trójwymiarowy obrazek z Jezusem w jeden czwartek w miesiącu, kiedy przychodzili na pokera jego kumple, którzy rzucali mięsem i trąbili piwo... ale to wszystko.

A teraz poznała prawdziwą przyczynę, dla której chciał się pozbyć obrazka. Od początku musiał się domyślać, że to może być magiczny obraz. Och, przypuszczała, że lepszym słowem będzie „święty”, bo magia była dla pogan, łowców głów, ludożerców, katolików i tak dalej, ale to prawie jedno i to samo, prawda? W każdym razie Joe musiał wyczuć, że obrazek jest wyjątkowy i to dzięki niemu jego grzech wyjdzie na jaw.

Och, Becka pewnie już wcześniej wiedziała, że coś jest nie tak. Joe już się do niej nie przystawiał i choć sprawiło jej to niejaką ulgę (seks był dokładnie taki, jak mówiła jej matka: nieprzyjemny, brutalny, czasem bolesny i zawsze upokarzający), to od czasu do czasu czuła na jego kołnierzyku zapach perfum, a to nie sprawiło jej żadnej ulgi. Przypuszczała, że mogłaby bez końca ignorować związek tych dwóch zjawisk faktu, że skończyły się macanki, i zapachu perfum, jaki czasem pojawiał się na kołnierzyku — gdyby siódmego lipca obraz Jezusa na telewizorze Sony nie zaczął mówić. Mogłaby nawet zignorować trzeci czynnik: mniej więcej w tym czasie, gdy skończyły się macanki i zaczął zapach perfum, stary Charlie Estabrooke z poczty przeszedł na emeryturę, a na jego miejsce przyjęto niejaką Nancy Voss z poczty w Augustcie. Becka oceniała, że ta Voss (o której myślała po prostu „Latawica”) jest o jakieś pięć lat starsza od niej i Joego, czyli musiała mieć około pięćdziesiątki, lecz była pięćdziesięciolatką zadbaną i dobrze utrzymaną. Becka musiała przyznać, że sama trochę przybrała na wadze — z dawnych stu dwudziestu sześciu funtów zrobiło się dwieście trzy, których większość przybyła od czasu, gdy opuścił dom Byron, ich jedyne dziecko. Mogłaby to wszystko zignorować i zignorowałyby, być może nawet przyjęłaby to z ulgą; jeżeli Latawicy podobały się zwierzęce akty kopulacji z całym tym pochrząkiwaniem, rytmicznymi ruchami i finałem w postaci strumienia lepkiej cieczy, która lekko zalatywała dorszem i wyglądała jak tani płyn do mycia naczyń, był to tylko dowód, że Latawica sama jest kimś niewiele lepszym od zwierzęcia. Zwalniało to także Beckę od męczącego, choć coraz rzadszego obowiązku. Tak więc mogłaby to wszystko zignorować, gdyby nie przemówił do niej obraz z Jezusem.

Pierwszy raz zdarzyło się to tuż po trzeciej po południu w czwartek. Becka wracała do salonu z kuchni, niosąc małą przekąskę (pół ciasta drożdżowego i kufel soku wiśniowego Za-Rex), którą chciała sobie umilić oglądanie kolejnego odcinka „General Hospital”. Nie wierzyła już w powrót Luke’a i Laury, ale nie potrafiła zupełnie wyzbyć się nadziei.

Pochylała się właśnie, aby włączyć telewizor, gdy Jezus powiedział:

— Becka, Joe posuwa Latawicę na poczcie prawie codziennie w porze lunchu, a czasem nawet po pracy. Raz był tak napalony, że posunął ją, kiedy miał jej pomagać sortować korespondencję. I wiesz co? Nie powiedziała nawet: „Zaczekaj przynajmniej, aż skończę z przesyłkami priorytetowymi”.

— To jeszcze nie wszystko — ciągnął Jezus. Przeszedł na drugą stronę obrazka, powiewając skrajem białej szaty, która owijała Mu się wokół kostek, i usiadł na wystającym z ziemi kamieniu. Postawił kij między kolanami i spojrzał na nią ponuro. — W Haven dzieje się mnóstwo rzeczy. Nie uwierzysz nawet w połowę z nich.

Becka wrzasnęła i padła na kolana.

— Panie! — zapiszczała. Jedno kolano wylądowało prosto w kawałku ciasta (które grubością i wielkością przypominało rodzinną Biblię), strzykając malinowym nadzieniem prosto w pyszczek Ozziego, kota, który podkraść się do pokoju z kuchni, aby zobaczyć, co się dzieje. — Panie! Panie! — krzyczała przeraźliwie Becka. Ozzie z sykiem uciekł z powrotem do kuchni i włożył pod piec z wąsami ociekającymi czerwoną mazią. Spędził tam resztę dnia.

— Żaden z Paulsonów nie był zbyt wiele wart — rzekł Jezus. Podeszła do niego owieczka, ale odgonił ją kijem roztargnionym i zniecierpliwionym ruchem, który przywiódł Becce na

myśl jej nieżyjącego ojca. Owieczka odeszła, falując lekko z powodu efektu trójwymiarowego, jak gdyby wyginając się w łuk, kiedy znikła za brzegiem obrazka... ale Becka była pewna, że to tylko złudzenie optyczne. — Tak jest! — oświadczył Jezus. — Stryjeczny dziadek Joego był mordercą, jak sama wiesz, Becko. Zamordował swojego syna i żonę, a potem popełnił samobójstwo. A kiedy do nas przyszedł, wiesz, co mu powiedzieliśmy? „Nie ma miejsce!” To od nas usłyszał. — Jezus wychylił się do niej, wspierając się na kiju. — Powiedzieliśmy mu: „Idź na dół, do pana Rogatego. Tam na pewno znajdziesz cichy kątek, swoją przystań. Tylko że nowy właściciel zażąda diabelnie wysokiego czynszu i nigdy nie zakręci ogrzewania”. — Niewiarygodne, ale Jezus mrugnął do niej... i wtedy Becka z przeraźliwym wrzaskiem wypadła z domu.

2

Przystanąła na podwórku, dysząc ciężko. Mysie włosy opadały jej na twarz, a serce waliło tak szybko, że aż się przestraszyła. Dzięki Bogu, nikt nie słyszał jej pisków ani niestosownych wybryków; ona i Joe mieszkali przy Nista Road dość daleko od innych, a ich najbliższymi sąsiadami byli Brodscy, którzy mieszkali w obskurnej przyczepie. Brodscy byli pół mili stąd. To dobrze. Każdy, kto by ją usłyszał, na pewno pomyślałby, że u Paulsonów jest jakaś wariatka.

Bo jest, prawda? Jeżeli ci się zdawało, że obraz zaczął mówić, to musisz być wariatką. Tatusz po trzykroć stłucze cię na kwaśne jabłko za to, że mówisz takie rzeczy — raz za to, że kłamiesz, drugi raz za to, że w to wierzysz, i trzeci za to, że podniosłaś głos. Becka, obrazki nie mówią.

Nie... i ten też nie mówił, odezwał się nagle inny głos. Ten głos dochodził z twojej głowy, Becka. Nie wiem, jak to możliwe... jak możesz wiedzieć takie rzeczy... ale tak się właśnie stało. Kazałaś obrazowi Jezusa mówić głosem samej siebie, tak jak Edgard Bergen kazał kiedyś mówić Charliemu McCarthy'emu w programie Eda Sullivana.

Ta myśl jednak wydawała się bardziej przerażająca, bardziej zwariowana niż myśl, że sam obraz przemówił do niej, toteż Becka nie chciała jej do siebie dopuścić. Przecież cuda zdarzają się codziennie. Na przykład jeden Meksykanin znalazł wizerunek Najświętszej Marii Panny zapieczony w enchiladose. Były cuda w Lourdes. Nie wspominając o dzieciach, o których rozpisywały się brukowce — dzieci płakały kamiennymi łzami. To były autentyczne cuda (choć trzeba przyznać, że ten z dziećmi płaczącymi kamiennymi łzami nieco zbyt zwirowato — realistyczny), budujące jak kazanie Pata Robertsona. Natomiast słyszenie głosów było dowodem, że ktoś ma świra.

Ale tak się właśnie stało. Zresztą od jakiegoś czasu słyszysz głosy, prawda? Słyszysz jego głos. Joego. Właśnie stąd pochodzi. Nie od Jezusa, ale od Joego...

— Nie — zakwiliła Becka — nie słyszę żadnych głosów w głowie.

Stała na podwórku przy sznurze do bielizny, patrząc pustym wzrokiem w stronę lasu po drugiej stronie Nista Road.

Spowijała go mgielka upału. W głębi lasu, niecałe pół mili w linii prostej od drogi, Bobbi Anderson i Jim Gardener bez przerwy pracowali, odkopując coraz więcej gigantycznej skamieniałości.

Zwariowałaś, zadzwieczał jej w głowie nieugięty głos zmarłego ojca. Zwariowałaś od upału. Podejdź do mnie, Becko Bouchard, bo za to, co mówisz, chcę cię po trzykroć stłuc na kwaśne jabłko.

— Nie słyszę głosów w głowie — jęknęła Becka. — Ten obraz naprawdę mówił, przysięgam, nie jestem brzuchomówcą!

Lepiej, żeby to był obraz. Gdyby naprawdę przemówił do niej obraz, toby był cud, a cuda pochodzą od Boga. Od cudu można było dostać świra — a Bóg jej świadkiem, czuła się, jak

gdyby właśnie dostawała świra — ale przeżycie cudu nie znaczyło, że jest się wariatem. Natomiast jeśli ktoś słyszał głosy albo wierzył, że potrafi słyszeć myśli innych...

Becka spuściła wzrok i ujrzała krew płynącą jej z lewego kolana. Znów wrzasnęła i pobiegła z powrotem do domu, żeby zadzwonić do lekarza, na pogotowie, do kogokolwiek. Wpadła do salonu i trzymając przy uchu słuchawkę, usiłowała trafić w odpowiednie klawisze, kiedy znów odezwał się Jezus:

— To tylko nadzienie malinowe z ciasta, Becko. Uspokój się, zanim dostaniesz ataku serca, co?

Spojrzała na telewizor Sony, a słuchawka ze stukiem wylądowała na stole. Jezus nadal siedział na wystającym kamieniu.

Chyba założył nogę na nogę. Naprawdę zaskakująco przypominał jej ojca... tyle że nie wyglądał nieprzystępnie, jak gdyby w każdej chwili był gotów wybuchnąć gniewem. Spoglądał na nią z cierpliwością, choć trochę zirytowany.

— Sprawdź sama, czy mam rację — rzekł Jezus.

Dotknęła delikatnie kolana, krzywiąc się w oczekiwaniu na ból. Nic jednak nie bolało. Zobaczyła ziarenka w czerwonej substancji i poczuła ulgę. Zlizła z palców malinowe nadzienie.

— Musisz jeszcze sobie wybić z głowy te bzdury o głosach i wariowaniu — powiedział Jezus. — To przecież Ja i mogę mówić, do kogo zechcę i jak zechcę.

— Bo jesteś Zbawicielem — szepnęła Becka.

— Zgadza się — odrzekł Jezus. Spojrzał w dół. Na ekranie pod Nim tańczyło kilka animowanych miseczek z sałatką, ciesząc się, że zaraz poleją je sosem Hidden Valley Ranch.

— Poproszę cię jeszcze, żebyś z łaski swojej wyłączyła te pierdoły.

Nie można przy tym rozmawiać. Poza tym łaskocze mnie w stopy.

Becka podeszła do telewizora i wyłączyła go.

— Panie — szepnęła.

3

W następną niedzielę po południu Joe Paulson spał twardo w hamaku na podwórku, a na jego okazałym brzuchu leżał jak nieżywy kot Ozzie. Becka stała w oknie salonu i odsłoniwszy firankę, przyglądała się Joemu. Spał sobie w hamaku. Pewnie śniła mu się Latawica — we śnie rzucają na wielką stertę katalogów i reklamówek Woolco, a potem — jak powiedziałby to Joe i jego chamscy kumple od pokera? — włazi na nią.

Trzymała firankę lewą ręką, bo w prawej miała garść prostokątnych baterii dziewięciowoltowych. Zabrała baterie do kuchni, gdzie montowała coś na stole. Jezus kazał jej to zrobić. Powiedziała Mu, że nie potrafi nic takiego robić. Była niezdarą. Tato zawsze jej to powtarzał. Chciała jeszcze dodać, iż czasem się dziwił, że umie podtrzeć sobie tyłek bez instrukcji obsługi, ale uznała, że nie powinna mówić takich rzeczy Zbawicielowi.

Jezus powiedział jej, żeby się nie wygłupiała; skoro potrafi ugotować coś według przepisu, będzie umiała zbudować ten aparacik. Z zachwytem stwierdziła, że miał absolutną rację. Okazało się, że to nie tylko proste, ale bardzo przyjemne! Na pewno przyjemniejsze od gotowania; zresztą do tego też nigdy nie miała szczególnego talentu. Ciasta z reguły jej opadały, a chleb nie chciał rosnąć. Zaczęła budować swój aparacik wczoraj wieczorem, używając do tego tostera, starego miksera Hamilton Beach i śmiesznej płytki pełnej różnych elektronicznych części, którą wyjęła ze starego radia z szopy. Sądziła, że na pewno skończy, zanim Joe obudzi się i wejdzie do domu, żeby obejrzeć w telewizji mecz Red Soxów.

Wzięła małą lampę lutowniczą i zręcznie zapaliła zapalką. Jeszcze tydzień temu wybuchnęłyby śmiechem, gdyby jej ktoś powiedział, że będzie używała palnika na propan.

Ale okazało się, że to łatwe. Jezus dokładnie jej powiedział, jak i gdzie ma przylutować przewody do elektronicznej płytki ze starego radia.

W ciągu minionych trzech dni Jezus mówił nie tylko o tym. Opowiedział jej o rzeczach, od których nie mogła spać, bała się iść do miasteczka na zakupy, żeby nie zdradzić się swoim poczuciem winy, żeby nikt nie wyczytał z jej twarzy, że już wie (zawsze wiem, że zrobiłaś coś złego, Becka, mówił jej ojciec, bo twoja twarz nie potrafi ukryć żadnej tajemnicy); od tego po raz pierwszy w życiu straciła apetyt. Joe, zupełnie pochłonięty pracą, meczami Red Soxów i swoją Latawicą, ledwie zauważył, że coś jest nie w porządku... choć zobaczył, jak pewnego dnia wieczorem, gdy oglądali „Posterunek przy Hill Street”, Becka obgryza paznokcie, a nigdy przedtem tego nie robiła — nawet strofowała go, gdy sam to robił. Joe Paulson zastanawiał się nad tym przez całe dwanaście sekund, a potem znów wlepił wzrok w ekran telewizora, pogrążając się w marzeniach o falujących białych piersiach Nancy Voss.

Oto niektóre z rzeczy, jakie opowiedział jej Jezus, od których Becka zaczęła źle sypiać i obgryzać paznokcie w wieku czterdziestu pięciu lat:

W 1973 roku Moss Harlingen, jeden z koleżków Joego od pokera, zamordował swojego ojca. Polowali na jelenie w Greenville, wszystko więc wskazywało na to, że śmiertelny strzał był tragicznym wypadkiem, ale Abel Harlingen wcale nie zginął w wypadku. Moss po prostu ukrył się za zwalonym drzewem i czekał, aż ojciec przebrnie przez wąski strumyk, który płynął u stóp wzgórza pięćdziesiąt jardów od miejsca, gdzie leżał Moss. Moss trafił go równie łatwo jak glinianą kaczuszkę na strzelnicy. Wydawało mu się, że zabił ojca dla pieniędzy. Firma Mossa, Big Ditch Construction, miała dwie noty debetowe w dwóch różnych bankach z terminem sześciu tygodni i żadna spłata nie mogła zostać odroczone z powodu drugiej. Moss poszedł do Abla, ale tato odmówił pomocy, chociaż było go na to stać. Tak więc Moss zastrzelił ojca i odziedziczył kupę forsy po tym, jak koroner okręgowy wydał orzeczenie, że śmierć nastąpiła wskutek nieszczęśliwego wypadku. Kredyt został spłacony, a Moss Harlingen naprawdę uwierzył (może tylko w najskrytszych snach widział co innego), że popełnił morderstwo dla zysku. Prawdziwy motyw był jednak inny. Dawno temu, gdy Moss miał dziesięć, a jego brat Emory siedem lat, żona Abla wyjechała na południe do Rhode Island na całą zimę. Jej brat nagle zmarł i trzeba było pomóc otrząsnąć się jego żonie po tragedii. Kiedy nie było ich matki, w domu Harlingenów doszło do aktów homoseksualnych. Praktyki te ustały po powrocie matki i nigdy się już nie powtórzyły. Moss całkiem o nich zapomniał. Nie pamiętał już, jak leżał w ciemnościach i w śmiertelnym strachu patrzył na drzwi, czy pojawi się w nich cień ojca. Nie miał absolutnie żadnych wspomnień z chwil, gdy leżał, przyciskając usta do przedramienia i czując słony smak łez wstydu i wściekłości, które płynęły mu z gorących oczu po zimnych policzkach do ust, podczas gdy ojciec smarował sobie kutasa smalcem i wsadzał go synowi w tyłek, wzdychając przy tym i pochrząkując. Na Mossie wywarło to tak niewielkie wrażenie, że nie pamiętał, jak gryzł sobie rękę do krwi, żeby nie krzyknąć, i na pewno nie pamiętał zdyszanych i piskliwych krzyków Emory’ego dobiegających z sąsiedniego łóżka — „Proszę, tato, nie, dzisiaj nie ja, tato”. Oczywiście dzieci bardzo łatwo zapominają. Jednak jakiś ślad wspomnienia mógł pozostać, gdy bowiem Moss Harlingen pociągał za spust, celując w tego pieprzonego amatora sodomii, gdy rozległo się echo strzału, wróciło, a potem rozpląnęło się wreszcie w ciszy leśnego pustkowiec północnego Maine, Moss szepnął:

— Nie, Em, dzisiaj nie ty.

Alice Kimball, która uczyła w szkole podstawowej Haven, była lesbijką. Jezus powiedział o tym Becce w piątek, krótko po wizycie owej pani, która zbierała datki na Amerykańskie Stowarzyszenie Walki z Rakim; w zielonym kostiumie postawna dama wyglądała niezwykle odpowiedzialnie i dostojnie.

Daria Gaines, ładna siedemnastolatka, która przynosiła niedzielną gazetę, między materacem a sprężynami swojego łóżka trzymała pół uncji „zajebistego skręta”. Jezus

powiedział o tym Becce zaraz po wyjściu Darli, która przyszła w sobotę po pieniądze za ostatnie pięć tygodni (trzy dolary plus pięćdziesiąt centów napiwku, którego teraz Becka wolałaby jej nie dawać). Dodał jeszcze, że Daria pali skręta w łóżku razem ze swoim chłopakiem, a potem odbywają stosunek, tylko że nazywają go „dmuchaniem poziomo”. Palili skręta i „dmuchali się poziomo” prawie codziennie po południu od wpół do trzeciej mniej więcej do trzeciej. Rodzice Darli pracowali w Splendid Shoe w Derry i wracali do domu dopiero po czwartej.

Hank Buck, kolejny z kumpli Joego do pokera, pracował w dużym supermarkecie w Bangor i tak bardzo nie cierpiał swojego szefa, że rok temu wsypał mu pół opakowania środka przeczyszczającego Ex-Lax do koktajlu czekoladowego, gdy szef wysłał Hanka po lunch do McDonalda. Następnie szef wykonał coś o wiele bardziej widowiskowego niż akt wypróżnienia; piętnaście po trzeciej tego samego dnia zrobił w spodnie coś, co mogłoby być odpowiednikiem bomby atomowej z gówna. Wybuch bomby jądrowej — lub bomby gównianej, jeśli wolicie — przydarzył się, gdy szef kroił mielonkę w barze „U Paula” w Down-East SuperMart. Hankowi udało się zachować kamienną twarz do końca pracy, ale zanim wsiadł do samochodu, tak się śmiał, że sam o mało nie narobił w spodnie. Potem dwa razy musiał zjeżdżać na pobocze, bo nadal pękał ze śmiechu.

— Ze śmiechu — powiedział do Becki Jezus. — Jak ci się to podoba?

Becka uznała, że to było podle świństwo. To chyba jednak dopiero był początek. Jezus znał nieprzyjemne i przykre rzeczy chyba o każdym, z kim Becka się kontaktowała.

Nie mogła żyć z takim nadmiarem okropnej wiedzy.

Nie mogła też żyć bez niej.

Jedno wiedziała na pewno: musiała coś z tym zrobić.

— Właśnie robisz — rzekł Jezus. Mówił zza jej pleców, z obrazka stojącego na telewizorze Sony. To musiał być On. Myśl, że Jego głos mógł dobiegać z jej własnej głowy — że jakimś cudem potrafi... no... potrafi czytać w ludzkich myślach... to tylko przelotne złudzenie. Tak, na pewno. Druga możliwość była potworna.

Szatan. Czary.

— Właściwie — ciągnął Jezus, potwierdzając swe istnienie oschłym i rzeczowym głosem, który tak bardzo przypominał głos jej ojca — tę część prawie skończyłaś. Trzeba jeszcze przylutować ten czerwony drucik w tamtym miejscu, na lewo od tego wihajstra... nie, nie tam... tam. Bardzo ładnie! Uważaj, nie za dużo lutu. Jak z żelazem do włosów, Becko. Wystarczy tylko odrobina.

Dziwnie słyście, jak Jezus Chrystus mówi o żelu do włosów.

4

Joe zbudził się za piętnaście druga, zrzucił z siebie Ozziego, ruszył na drugą stronę trawnika, strzepując z koszulki kocie kłaki, po czym z ogromną ulgą wysikał się pod sumakiem. Następnie skierował kroki do domu. Yankee i Red Soksi. Świetnie. Otworzył lodówkę, zerkając przelotnie na skrawki przewodów leżące na blacie i zastanawiając się przez chwilę, co znowu kombinuje ta durna buta Becka. Ale niewiele go to obchodziło. Myślał o Nancy Voss. Zastanawiał się, jakby to było spuścić się między cycki Nancy. Może przekona się w poniedziałek. Żarli się ze sobą; Jezu, czasem żarli się jak dwa psy w sierpniu. Chyba jednak nie tylko oni; ostatnio wszyscy chodzili dziwnie podminowani. Ale jeżeli chodzi o pieprzenie... o żeż kurwa! Ostatni raz był taki napalony, kiedy miał osiemnaście lat, z nią było tak samo. Zdawało się, jakby nigdy nie mieli dość. Kilka razy nawet spuścił się w nocy. Jak gdyby znowu miał szesnaście lat. Wziął z lodówki kwartę budweisera i ruszył do salonu. Był prawie pewien, że dzisiaj wygra Boston. Obstawiał 8-5. Ostatnio miał niesamowity łeb do obstawiania. W Auguście jeden facet przyjmował zakłady i w ciągu kilku ostatnich

tygodni Joe zarobił u niego prawie pięć stów... choć Becka nic o tym nie wiedziała. Wszystko chomikował. Zabawne; dokładnie wiedział, kto wygra i dlaczego, a gdy przyjeżdżał do Augusty, zapominał „dlaczego” i pamiętał tylko „kto”. Ale to było ważniejsze, nie? Ostatnim razem gość w Augusty zaczął marudzić, wypłacając mu wygraną w stosunku trzy do jednego za postawione dwadzieścia dolców. Metsi ze swoim miotaczem Goodenem mogli spacerkiem wygrać z Piratami, ale Joe postawił na Piratów i wygrali 5–2. Joe nie wiedział, jak długo jeszcze facet z Augusty będzie przyjmował jego zakłady, ale gdyby nawet odmówił, co z tego? Mógł jechać do Portland, gdzie było dwóch czy trzech bukmacherów. Ostatnio kiedy wyjeżdżał z Haven, zaczynała go boleć głowa — może potrzebował okularów — ale ból głowy był niewielką ceną za fantastyczną passę. Niech tylko zbierze dość forsy, to wyjadą stąd oboje. Zostawią Beckę z Jezusem. Zresztą i tak właśnie za niego Becka chciała wyjść.

Była zimna jak lód. A Nancy? Gorąca jak marzenie! Na dodatek inteligentna! Na przykład dzisiaj zabrała go na zaplecze urzędu, żeby mu coś pokazać.

— Zobacz! Zobacz, co wymyśliłam! Chyba powinnam to opatentować, Joe! Naprawdę!

— Co to za pomysł? — spytał Joe. Prawdę mówiąc, był na nią trochę zły. Prawdę mówiąc, bardziej interesowały go jej cycki niż pomysły i mimo złości poczuł, że stoi mu już jak drut. Naprawdę jakby znowu był dzieciakiem. Kiedy mu jednak pokazała swój wynalazek, zapomniał, że stoi mu jak drut. W każdym razie co najmniej na cztery minuty.

Nancy Voss wzięła transformator z dziecięcej kolejki Lionel i w jakiś sposób podłączyła go do paru baterii R20. Od aparatu biegły przewody, łącząc się z siedmioma sitkami do maki, z których usunięto siatkę do przesiewania. Siatka leżały na boku. Gdy Nancy włączyła transformator, kilka cieniutkich drucików podłączonych do czegoś, co przypominało mikser, zaczęło wybierać przesyłki priorytetowe ze sterty na podłodze i wkładać je do sitek, jak się zdawało na chybił trafił.

— Co to niby robi? — zapytał Joe.

— Sortuje pocztę priorytetową — powiedziała. Wskazując każde sito po kolei, mówiła: — To do Haven Village... to na Rejon 1, wiesz, Derry Road., to na Ridge Road... to na NistaRoad... to...

Z początku nie wierzył. Sądził, że to żart i zastanawiał się, czy Nancy ma ochotę dostać po głowie. „Dlaczego to zrobiłeś?” — pisałyby. „Niektórzy faceci znają się na żartach — odpowiedziałyby jak Sytaester Stallone w «Kobrze» — ale ja do nich nie należę”. Ale zobaczył, że to naprawdę działa. Niezły aparat, bez dwóch zdań, ale od dźwięku drucików drapiących o podłogę ciarki chodziły po plecach. Ostry szmer, jakby pomieszczenie oblażyły wielkie pająki. Urządzenie działało; Joe nie miał pojęcia jak, ale działało. Zobaczył, jak jeden drucik wyciągnął list do Roscoe Thibaulta i wrzucił do właściwego sitka — Rejon 2, czyli Hammer Cut Road — mimo że zaadresowano go błędnie na Haven Village.

Chciał ją zapytać, jak to działa, lecz bał się wyjść na głupka, więc spytał ją tylko, skąd wzięła druciki.

— Z telefonów, które kupiłam w Radio Shack — odrzekła.

— W Bangor Mail. Była wyprzedaż! Podłączyłam jeszcze inne części z telefonów. Musiałam wszystko przemontować, ale to było łatwe. Po prostu... tak mnie jakoś oświeciło. Rozumiesz?

— Taa — powiedział wolno Joe, myśląc o minie bukmachera, gdy przyjdzie po swoje sześćdziesiąt dolców po tym, jak Piraci pokonają Goodena i Metsów. — Nieźle. Jak na kobietę.

Na moment zmarszczyła brwi, a on pomyślał: Chcesz coś powiedzieć? Chcesz się kłócić? Daj spokój. Przecież to prawda. Jedno i drugie.

Nancy rozchmurzyła się i uśmiechnęła.

— Teraz możemy to robić jeszcze dłużej. — Jej palce przesunęły się po twardej wypukłości w jego spodniach. — Chcesz to zrobić, prawda, Joe?

Chciał. Osunęli się na podłogę i Joe zapomniał, że był na nią zły, i nagle stwierdził, iż w mgnieniu oka potrafiłby obstawić wszystko, od meczów baseballu i wyścigów konnych do rozgrywek golfa. Kiedy się w nią wśliznął, zaczęła jęczeć, a Joe zapomniał nawet o mrocznym szemrzącym odgłosie, który wydawały druciki, segregując pocztę do odpowiednich sitek do przesiewania mąki.

5

Kiedy Joe stanął w drzwiach salonu, Becka siedziała na bujanym fotelu, udając, że czyta najnowszy numer „Wiecznika”. Ledwie dziesięć minut przed wejściem Joego skończyła podłączać z tyłu telewizora Sony aparat, który zbudowała według wskazówek Jezusa. Wypełniła Jego polecenia co do joty, bo powiedział, że trzeba być bardzo ostrożnym, kiedy majstruje się we wnętrzu telewizora.

— Może cię porazić — radził Jezus. — W środku jest więcej prądu niż w górskim strumieniu, nawet jeżeli telewizor jest wyłączony.

Sony był właśnie wyłączony i Joe powiedział zniecierpliwiony:

— Myślałem, że już mi rozgrzałaś.

— Chyba wiesz, jak się włącza cholerny telewizor — odrzekła Becka, odzywając się do męża ostatni raz.

Joe uniósł brwi. „Cholerny” brzmiało cholernie dziwnie w ustach Becki. Zastanawiał się, czyją za to ochrzanić, ale postanowił dać spokój. Całkiem możliwe, że niebawem stare krówsko będzie musiało samo utrzymywać dom.

— Chyba tak — powiedział Joe, odzywając się do żony po raz ostatni.

Wcisnął włącznik i w tym momencie strzeliło w niego ponad dwa tysiące woltów; prąd zmienny ze zwiększonym napięciem zmienił się w śmiertelny prąd stały, który też został wzmocniony. Oczy otworzyły mu się szeroko, wyszły z orbit i pękły jak winogrona w kuchence mikrofalowej. Wcześniej zaczął stawiać piwo na telewizorze obok Jezusa, a gdy trzepnął go prąd, dłoń zacisnęła się na butelce, krusząc ją. Odłamki brązowego szkła weszły jak grot włóczni w jego palce i dłoń. Spienione piwo ściekło na telewizor, którego plastikowa obudowa pokryła się już pęcherzami, i zmieniło się w parę o zapachu drożdży.

— Eeeeeoooooaaahmmmmmmmm! — wrzasnął Joe Paulson. Twarz zaczęła mu czernieć; z włosów i uszu uniósł się błękitny dym. Palec wciąż miał przyklejony do włącznika telewizora.

Na ekranie rozbłysnął obraz, ukazując Dwighta Goodena wykonującego potężny rzut, po którym przeciwnicy zdobyli dwa punkty, wzbogacając Joego o czterdzieści dolarów. Potem telewizor pokazał Joego posuwającego Nancy Voss na podłodze urzędu pocztowego w stercie katalogów, biuletynów Kongresu i reklam firm ubezpieczeniowych, które zapewniały potencjalnego klienta, że otrzyma pełen pakiet, nawet jeśli ma ponad sześćdziesiąt pięć lat, do jego drzwi nie zapuka żaden agent, nie trzeba też przeprowadzać żadnych badań, a wszyscy jego najbliżsi otrzymają ochronę za opłatą paru centów dziennie.

— Nie! — wrzasnęła Becka i obraz znów się zmienił. Ujrzała Mossa Harlingena ukrytego za pnem zwalonej sosny, który brał ojca na celownik swojej trzydziestki, mruczając pod nosem: „Nie, Em, dzisiaj nie ty”. Po chwili Becka zobaczyła na ekranie mężczyznę i kobietę, którzy kopali w lesie. Kobieta siedziała w kabinie czegoś, co wyglądało jak skrzyżowanie koparki z urządzeniem rodem z komiksów Rube’a Goldberga, a mężczyzna zapinał łańcuch wokół pnia drzewa. Za ich plecami widać było wystający z ziemi jakiś wielki obiekt w kształcie dysku. Był srebrzysty, ale matowy; promienie słońca trafiały w jego powierzchnię, ale się nie odbijały.

Z ubrania Joego Paulsona buchnął płomień.

W salonie rozszedł się zapach gotowanego piwa. Trójwymiarowy obrazek z Jezusem zadygotał, a potem wybuchł.

Becka wrzasnęła przeraźliwie, zrozumiałwszy, chcąc nie chcąc, że od początku słuchała samej siebie, że to była ona i tylko ona, i właśnie ona mordowała męża.

Podbiegła do niego, łapiąc go za spazmatycznie zaciśniętą rękę... i sama została porażona.

Jezu, Jezu Chryste, zbaw go, zbaw mnie, zbaw nas oboje, pomyślała, gdy strzelił w nią prąd i uniosła się na palcach niczym najgrubsza primabalerina świata na puentach. W jej głowie rozległ się drwiący głos, trąkający wściekle głos jej ojca: *Dalaś się nabrać, Becka, co? Dalaś się nabrać! Ja cię nauczę kłamać! Nauczę raz na zawsze!*

Tylna ściana telewizora, którą Becka przykręciła z powrotem, gdy skończyła montować swoje urządzenie, odpadła z potężnym błękitnym błyskiem, lądując na ścianie. Becka osunęła się na dywan, pociągając za sobą Joego. Joe już nie żył.

Zanim od tłącej się tapety za telewizorem zajęły się perkalowe zasłony, Becka Paulson także nie żyła.

3

HILLY BROWN

1

Hillman Brown wykonał najbardziej widowiskowy numer w swej karierze sztukmistrza — amatora — i właściwie jedyny widowiskowy numer w swej karierze sztukmistrza — amatora w niedzielę siedemnastego lipca, dokładnie tydzień przed wybuchem ratusza w Haven. Nie było w tym jednak nic dziwnego, że Hillmanowi Brownowi nigdy przedtem nie udało się żaden naprawdę widowiskowy numer. W końcu miał dopiero dziesięć lat.

Imię, jakie mu nadano, było panińskim nazwiskiem jego matki. Hillmanowie mieszkali w Haven od czasów, gdy miasteczko nazywało się jeszcze Montgomery, a choć Marie Hillman nie żałowała, że została Marie Brown — przecież bardzo kochała męża! — chciała jakoś zachować nazwisko i Bryant nie miał nic przeciwko temu. Już tydzień przed urodzeniem dziecka wszyscy w domu mówili o nim „Hilly”.

Hilly był nerwowym dzieckiem. Ojciec Marie, Ev, mawiał, że chłopiec ma druciki stykowe zamiast nerwów i całe życie będzie siedział jak na rozżarzonych węglach. Bryant i Marie nie ucieszyli się, słysząc tę przepowiednię, ale pierwszy rok życia z Hillym udowodnił, że to nie jest przepowiednia, lecz fakt, z którym trzeba się pogodzić. Niektóre dzieci próbują się uspokoić, kołyszając się w łóżeczkach czy kołyskach, inne ssą kciuk. Hilly niemal bez przerwy kołysał się w łóżeczku (najczęściej płacząc przy tym ze złości) i ssał obydwie kciuki — ssał tak mocno, że zanim skończył osiem miesięcy, miał na kciukach bolesne pęcherze.

— Przystanie to robić — oznajmił im z przekonaniem doktor Lester z Derry, obejrzawszy brzydkie pęcherze zarastające opuszki kciuków Hilly’ego... pęcherze, nad którymi Marie płakała tak gorzko, jakby sama się ich nabawiła. Ale Hilly nie przestał. Potrzeba spokoju była widocznie większa od bólu wywołanego ssaniem kciuków. Pęcherze zmieniły się w końcu w stwardniałe odciski.

— Zawsze będzie siedział jak na rozżarzonych węglach prorokował dziadek chłopca, ilekroć ktoś go pytał (a nawet niepytany; w wieku sześćdziesięciu trzech lat Ev Hillman stał się nieznośnie gadatliwy). — Aha, druciki zamiast nerwów, ot co. Mamie i tacie też napsuje nerwów ten nasz Hilly.

I rzeczywiście Hilly psuł nerwy rodzicom. Wzdłuż podjazdu przed domem Brownów stały pieńki, które za namową Marie wkopał tam Bryant. Marie postawiła na każdym klomb i w każdym z nich zasadziła inną roślinę lub kompozycję kwiatów. Pewnego dnia trzyletni Hilly wylazł ze swojego łóżeczka, kiedy miał spać po południu („Czemu muszę spać, mamo?” — pytał Hilly. „Bo muszę odpocząć, Hilly” — odparła jego wyczerpana matka), przecisnął się przez okno i poprzewracał wszystkie dwanaście klombów razem z pniakami. Gdy

Marie zobaczyła, co Hilly zrobił, rozpląkała się równie żałośnie jak nad jego pęcherzami. Widząc jej łzy, Hilly także wybuchnął płaczem (z kciukami w buzi; próbował ssać obydwie naraz). Nie przewrócił pieńków z klombami ze złośliwości; po prostu wydawało mu się, że to dobry pomysł.

— Nie bierzesz pod uwagę kosztów — powiedział wówczas ojciec. Miał to jeszcze powtórzyć wiele razy przed niedzielą siedemnastego lipca 1988 roku.

W wieku pięciu lat Hilly wsiadł na sanki pewnego grudniowego dnia i pomknął w dół oblodzonym podjazdem przed domem Brownów prosto na drogę. Nie przyszło mu do głowy, tłumaczył później pobladłej jak wosk matce, że coś mogło nadjeżdżać Derry Road; po prostu wstał, zobaczył szklisty blask lodu i pomyślał tylko, jak szybko jego Flexible Flyer może zjechać stromym podjazdem. Marie zobaczyła go, a także cysternę toczącą się ciężko drogą numer 9 i wykrzyknęła imię syna tak głośno, że przez następne dwa tygodnie nie potrafiła wydobyć z siebie prawie niczego poza szeptem. Wieczorem tego dnia, drząc w objęciach

Bryanta, powiedziała mężowi, że w tym momencie ujrzała nagrobek chłopca — ujrzała jak na dłoni cmentarz i napis na płycie: „Hillman Richard Brown. 1978–1983. Odszedł za wcześnie”.

— Hiiillyyyyyyy!

Słyszając wrzask matki, przypominający odgłos silników odrzutowych, Hilly gwałtownie odwrócił głowę w jej stronę. W wyniku tego spadł z sanek w ostatniej chwili, zanim znalazły się u stóp podjazdu. Podjazd był wyasfaltowany, a warstewka śniegu z deszczem naprawdę cienka, poza tym Hilly Brown nie miał talentu, jakim dobry Bóg obdarza najbardziej ruchliwe i aktywne dzieci — talentu do szczęśliwych upadków. Złamał lewą rękę tuż nad łokciem i tak okropnie wyrzwał się w czoło, że stracił przytomność.

Flexible Flyer wypadł na drogę. Kierowca cysterny Webber Fuel zareagował, zanim zdążył się zorientować, że na sankach nikt nie siedzi. Skręcił ostro kierownicą i cysterna z gracją słoniowatej baletnicy w „Fantazji” bujnęła się w tanecznym pas wprost w niską zaspę śniegu. Przebiła ją, lądując w rowie, niebezpiecznie przechylona na bok. Niecałe pięć minut po tym, jak kierowca zdołał się wygramolić przez okno po stronie pasażera i podbiec do Marie Brown, samochód runął na bok i znieruchomiał w zamarzniętej trawie jak martwy mastodont, a z trzech otworów przelewowych zbiornika zaczął wylewać się z chłupotem drogi olej napędowy nr 2.

Marie biegła drogą, wrzeszcząc, z nieprzytomnym dzieckiem na rękach. Z przerażenia zupełnie straciła głowę i była przekonana, że Hilly został przejechany, choć wyraźnie widziała, że spadł z sanek na dole podjazdu.

— Nie żyje? — wrzasnął kierowca cysterny. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami blady jak papier. Włosy stanęły mu dęba, a w kroku spodni wolno powiększała się ciemna plama. — Jezu Chryste, kobieto, nie żyje?

— Chyba tak — załkała Marie. — Chyba tak, och, chyba nie żyje.

— Kto nie żyje? — zapytał Hilly, otwierając oczy.

— Och, Hilly, Bogu dzięki! — wrzasnęła Marie i uściśnęła syna. Hilly odpowiedział entuzjastycznym wrzaskiem. Matka miażdżyła mu skruszone końce złamanej kości ręki.

Następne trzy dni Hilly spędził w szpitalu w Derry.

— Przynajmniej trochę się uspokoi — rzekł nazajutrz wieczorem Bryant Brown przy kolacji złożonej z fasoli i parówek.

Akurat tego wieczoru jadł z nimi Ev Hillman; od śmierci żony Ev Hillman przychodził do nich od czasu do czasu na kolację; zazwyczaj pięć razy w tygodniu.

— Chcesz się założyć? — spytał Ev, rechocząc z ustami pełnymi chleba kukurydzianego.

Bryant posłał teściowi pełne wyrzutu spojrzenie i nic nie powiedział.

Ev jak zwykle miał rację — był to jeden z powodów, dla których Bryant miał do niego żal. Drugiego dnia pobytu w szpitalu, późnym wieczorem, gdy wszystkie dzieci na pediatрії dawno już poszły spać, Hilly postanowił trochę pozwiedzać. Jak udało mu się minąć dyżurującą pielęgniarkę, nie wiadomo, ale mu się udało. Jego nieobecność stwierdzono dopiero o trzeciej nad ranem. Pierwsze przeszukanie oddziału pediatrycznego nie przyniosło rezultatów. Przeszukano więc całe piętro, również bez skutku. Wezwano ochronę. Zorganizowano poszukiwania w całym szpitalu — administracja, która z początku była lekko zirytowana, zaczęła zdradzać oznaki niepokoju — ale chłopca nie znaleziono. Wezwano zatem rodziców Hilly’ego, którzy natychmiast się zjawili. Oboje wyglądali na zupełnie zszokowanych. Marie szlochała, ale z powodu opuchniętej krtani wydobywała z siebie jedynie chrypliwy skrzek.

— Sądźmy, że mógł jakimś cudem wyjść z budynku — powiedział im kierownik działu administracji.

— Jak pięciolatek mógłby tak po prostu wyjść z budynku? — krzyknął Bryant. — Co za instytucję tu prowadzicie?

— No... rozumie pan, panie Brown, że to nie jest więzienie...

Przerwała im Marie.

— Musicie go znaleźć — wyszeptała. — Na dworze jest ledwie minus pięć stopni. Hilly był ubrany tylko w piżamę. Może już... już...

— Och, pani Brown, naprawdę takie obawy są z pewnością przedwczesne — wtrącił ze szczerym uśmiechem kierownik działu administracji. W istocie jednak nie uważał, aby były przedwczesne. Gdy tylko się zorientował, że chłopiec mógł opuścić szpital tuż po obchodzie o dwudziestej trzeciej, natychmiast sprawdził temperaturę na zewnątrz. Odczyt skłonił go do zatelefonowania do doktora Elfmana, który specjalizował się w przypadkach hipotermii — bardzo częstej podczas zimy w Maine. Rokowania doktora Elfmana były poważne.

— Jeżeli wyszedł, prawdopodobnie już nie żyje — rzekł doktor.

Kolejne przeszukanie całego szpitala, tym razem w asyście policji z Derry i strażaków, znów okazało się bezowocne. Marie Brown podano środek uspokajający i położono ją do łóżka. Jediną pocieszającą wiadomością był brak wiadomości, że znaleziono zamrożone ciało Hilly'ego ubrane w piżamę. Oczywiście kierownik działu administracji myślał o rzece Penobscot, która płynęła niedaleko szpitala. Z wierzchu woda była zamrożona. Całkiem możliwe, że chłopiec chciał przejść na drugą stronę i lód się pod nim załamał. Och, szczerze żałował, że Brownowie nie umieścili swojego bachora w Ekstern Maine Medical.

O drugiej po południu Bryant Brown siedział otępiąły przy łóżku pogrążonej we śnie żony, zastanawiając się, jak jej powie, że ich jedyny syn nie żyje, jeżeli trzeba będzie to zrobić.

Mniej więcej w tym samym czasie dozorca, który sprawdzał w piwnicy kotły w pralni, ujrzał zdumiewający widok: mały chłopiec w samych spodniach od piżamy i z gipsem na ręce i boso przechadzał się nonszalancko między dwoma gigantycznymi piecami szpitalnymi.

— Hej! — krzyknął do niego dozorca. — Hej, mały!

— Dzień dobry — powiedział Hilly, podchodząc do niego. Stopy miał czarne od brudu; spodnie od piżamy lepiły się od smaru. — Jezu, ale to wielkie! Chyba się zgubiłem.

Dozorca zaniósł Hilly'ego na górę do biura administracji. Kierownik posadził Hilly'ego w wielkim fotelu (przedtem rozłożywszy na nim roztopnie podwójną płachtę „Daily News” z Bangor), a potem wysłał sekretarkę po pepsi — colę i torebkę reese pieces dla bachora. W innych okolicznościach kierownik sam by poszedł, chcąc chłopcu pokazać, że traktuje go z troskliwością dziadka. W innych okolicznościach, czyli, pomyślał ponuro kierownik, z innym chłopcem. Bał się zostawić Hilly'ego samego.

Kiedy sekretarka wróciła z cukierkami i puszką napoju, kierownik znowu ją wysłał... tym razem po Bryanta Browna. Bryant był silnym mężczyzną, ale gdy ujrzał Hilly'ego siedzącego w fotelu kierownika, dyndającego brudnymi nogami cztery cale nad dywanem, szeleszczącego gazetą, którą podłożono mu pod pupę, zjadającego cukierki i popijającego pepsi, nie potrafił powstrzymać łez ulgi i wdzięczności. Na ten widok Hilly — który nigdy w życiu świadomie nie zrobił nic złego — także wybuchnął płaczem.

— Jezu, Hilly, gdzie ty się podziewał?

Hilly opowiedział, jak umiał najlepiej, a Bryant i kierownik musieli przeprowadzić dokładną analizę opowieści i wyłowić z niej obiektywną prawdę. Hilly się zgubił, zawędrował do piwnicy („Poszedłem za skrzatem” — powiedział im Hilly), a potem wczołgał się pod piec, żeby się przespać. Mówił, że było tam bardzo ciepło, dlatego zdjął bluzę piżamy, uważając, żeby nie uszkodzić świeżego gipsu.

— Bardzo mi się podobały szczeniaki, tato — powiedział. Możemy mieć szczeniaka?

Dozorca, który zauważył Hilly'ego, znalazł też jego bluzę. Leżała pod piecem numer dwa. Wyciągając bluzę, zobaczył też „szczeniaki”, które uciekły przed światłem. Nie wspomniał o nich państwu Brown, bo sprawiali wrażenie, jak gdyby jeszcze jeden wstrząs mógł ich załamać. Dozorca, uprzejmy i życzliwy człowiek, doszedł do wniosku, że rodzice chłopca naprawdę nie muszą wiedzieć, że ich syn spędził noc ze stadem szczurów, które uciekały

przed snopem światła jego latarki; sporo z nich rzeczywiście wielkością przypominało szczeniaki.

2

Pytany o swoją ocenę tych wydarzeń — i podobnych (nawet jeśli mniej widowiskowych) incydentów, do których doszło w ciągu kolejnych pięciu lat jego życia — Hilly wzruszał ramionami, mówiąc:

— Chyba zawsze pakuję się w kłopoty.

Hilly chciał przez to powiedzieć, że jest szczególnie podatny na wypadki, ale nikt jeszcze nie nauczył go tego cennego wyrażenia.

Gdy miał osiem lat — dwa lata po narodzinach Davida przyniósł do domu wiadomość od pani Underhill, wychowawczynie trzeciej klasy, która prosiła, aby państwo Brown zechcieli przyjść do szkoły na krótkie konsultacje. Brownowie poszli, nie bez pewnej trwogi. Wiedzieli, że w poprzednim tygodniu w trzeciej klasie w Haven przeprowadzono testy na inteligencję. Bryant był w głębi duszy przekonany, że pani Underhill powie im, iż wyniki Hilly'ego wypadły grubo poniżej normy i trzeba go będzie posłać na zajęcia wyrównawcze. Marie była przekonana (również w głębi duszy), że Hilly ma dysleksję. W nocy przed wizytą w szkole żadne z nich nie spało zbyt dobrze.

Pani Underhill poinformowała ich natomiast, że wyniki Hilly'ego nie mieszczą się w skali — mówiąc bez ogródek, chłopak jest geniuszem.

— Jeżeli chcą państwo znać jego iloraz inteligencji, trzeba go będzie zabrać do Bangor i poddać testowi Wechslera — powiedziała pani Underhill. — Poddawanie go testowi Tompalla to jakby próbować zmierzyć ludzkie IQ za pomocą testu dla kóz...

Marie i Bryant omówili sprawę... i postanowili nic nie robić. Naprawdę nie chcieli wiedzieć, jak błyskotliwy jest Hilly. Wystarczyła im świadomość, że nie jest upośledzony... i, jak powiedziała Marie, gdy już leżeli w łóżku, ten fakt wyjaśniał wiele zagadek: dlaczego Hilly jest tak niecierpliwy, dlaczego nie potrafi spać dłużej niż sześć godzin na noc, dlaczego jego pasje wybuchają gwałtownie jak burza z piorunami i równie gwałtownie zamierają. Pewnego dnia, gdy Hilly miał prawie dziewięć lat, Marie wróciła do domu z poczty z Davidem na rękach i zobaczyła, że kuchnia, którą zaledwie piętnaście minut wcześniej pozostawiła w nieskazitelnym stanie, zmieniła się w istne pobojuwisko. W zlewie pięturyły się upačkane mąką miski. Na blacie była kałuża stopionego masła. I coś piekło się w piekarniku. Marie szybko posadziła Davida w kojcu i otworzyła piekarnik, spodziewając się, że buchnie jej w twarz kłęb dymu i woń spalenizny. Zobaczyła jednak blachę pełną bułeczek z gotowej mieszanki Bisquick, które, choć nieforemne, okazały się całkiem smaczne. Zjedli je wieczorem na kolację... ale wcześniej Marie dała przepaszającemu ją ze szlochom Hilly'emu klapsa w tyłek i kazała iść do siebie. Potem usiadła przy stole w kuchni i płakała, dopóki nie wybuchnęła śmiechem, podczas gdy David — spokojne i beztróskie dziecko, które w porównaniu z Hillym, Przylądkiem Burz, było słonecznym Tahiti — siedział, trzymając się szczebelków kojca i przyglądając się jej komicznie.

Na zdecydowaną korzyść Hilly'ego przemawiało jego szczere uczucie do brata. I chociaż Marie i Bryant wahali się, czy pozwolić Hilly'emu potrzywać dziecko, a nawet zostawić go w pokoju samego z Davidem na dłużej niż trzydzieści sekund, stopniowo wyzbyli się obaw.

— Moglibyście wysłać Hilly'ego i Davida na dwa tygodnie na obóz do Allagash i głowę dają, że wróciliby cali — powiedział Ev Hillman. — Kocha tego małego. I nieźle sobie z nim radzi.

I tak rzeczywiście było. Większość — jeśli nie wszystkie nieszczęsne „pakowania się w kłopoty” Hilly'ego wynikała albo ze szczerzej chęci pomocy rodzicom, albo z chęci poprawy.

Po prostu wychodziło to nie tak, jak powinno. Ale w przypadku Davida, który wielił starszego brata bez pamięci, Hilly'emu zawsze wychodziło...

Aż do siedemnastego lipca, czyli dnia, w którym Hilly wykonał swój numer.

3

Robertson Davies (niech jego śmierć zostanie odłożona o tysiąc lat) sugerował w swojej „Trylogii Deptfordzkiej”, że nasza postawa wobec magii i czarodziejów w dużej mierze świadczy o naszej postawie wobec rzeczywistości, natomiast nasza postawa wobec rzeczywistości świadczy o naszej postawie wobec całego świata cudów, w jakim się znaleźliśmy — jesteśmy tylko dziećmi zagubionymi w lesie, nawet najstarsi z nas (czyli zapewne nawet sam Davies), w lesie, gdzie niektóre drzewa gryzą, a inne obdarzają nas specjalnymi względami — bez wątpienia mają to w korze.

Hilly Brown był głęboko przekonany, że istotnie żyje w świecie cudów. Jego postawa wobec rzeczywistości nigdy się nie zmieniła, bez względu na liczbę kłopotów, w jakie się pakował. Świat był mistycznie piękny, jak szklane bombki, które mama i tata co roku wieszali na choince (Hilly też chciał parę zawiesić, lecz doświadczenie nauczyło go — i jego rodziców — że wręczenie Hilly'emu bombki równało się wydaniu na nią wyroku). Dla Hilly'ego świat był cudownie zadziwiający jak kostka Rubika, którą dostał na dziewiąte urodziny (w każdym razie kostka była cudownie zadziwiająca przez dwa tygodnie, po których upływie Hilly zaczął ją układać z prawdziwą rutyną). Jego postawę wobec magii można więc było łatwo przewidzieć — uwielbiał ją. Magia była wprost stworzona dla Hilly'ego Browna. Niestety, Hilly Brown, tak jak Dunstable Ramsey w „Trylogii Deptfordzkiej” Daviesa, nie był stworzony dla magii.

Bryant Brown musiał wstąpić do Derry Mail, aby kupić jeszcze jeden prezent na dziesiąte urodziny swojego syna. Marie zadzwoniła do niego, gdy miał przerwę na kawę.

— Mój tato zapomniał kupić coś Hilly'emu. Pytał, czy mógłbyś wstąpić do centrum i kupić mu jakąś zabawkę czy coś. Zwróci ci pieniądze, kiedy dostanie swój czek.

— Jasne — odparł Bryant, myśląc: A świny będą latać na miotłach.

— Dzięki, kochanie — powiedziała z wdzięcznością. Doskonale wiedziała, że Bryant ma prawdziwe utrapienie z jej ojcem, który przychodził do nich na kolację sześć i siedem razy w tygodniu zamiast pięciu. Ale nigdy się nie skarżył i Marie szczerze go za to kochała.

— Co jego zdaniem mogłoby się spodobać Hilly'emu?

— Powiedział, że całkowicie zdaje się na ciebie.

Typowe, pomyślał Bryant. I tak po południu znalazł się w jednym z dwóch sklepów z zabawkami w centrum handlowym, gdzie oglądał gry, lalki (te dla chłopców nosiły eufemistyczną nazwę „figurki z akcesoriami”) modele i zestawy (Bryant zobaczył duży zestaw dla młodego chemika i wzdrygnął się na myśl o Hillym mieszającym różne substancje w probówkach). Nic nie wydawało się odpowiednim prezentem; jego starszy, dziesięcioletni syn osiągnął wiek, w którym był już za duży na zabawki dla dzieci i za mały na tak skomplikowane rzeczy jak duże zestawy czy modele samolotów na benzynę. Nic nie wydawało się odpowiednie na prezent, poza tym czas go naglił. Przyjęcie urodzinowe miało się zacząć o piątej, a dochodził kwadrans po czwartej. Oznaczało to, że ledwie zdąży do domu na oznaczoną godzinę.

Niemal na chybił trafił chwycił komplet dla młodych magików. „Trzydzieści nowych sztuczek!” — głosił napis na pudełku. Świetnie. „Wiele godzin zabawy dla młodych prestidigitatorów!” — głosił kolejny napis. Jeszcze lepiej. „Wiek: 8–12 lat”. Doskonale. „Bezpieczeństwo młodego sztukmistrza potwierdzone testami” — głosił ostatni dopisek na pudełku i to było najlepsze. Bryant kupił zestaw i przemycił do domu pod marynarką, gdy

tymczasem Ev Hillman dyrygował chórem złożonym z Hilly'ego, Davida i trzech przyjaciół Hilly'ego, którzy śpiewali, fałszując, porywający refren „Słodkiej Betsy z Pike”.

— Zdażyłeś akurat na tort — powiedziała Marie, całując męża.

— Najpierw to zapakuj, dobrze? — Wręczył jej zestaw dla magików. Marie obrzuciła prezent krótkim spojrzeniem i skinęła głową. — Jak przyjęcie?

— Dobrze — odrzekła. — Bawili się w „Przypnij osiołkowi ogon” i gdy nadeszła kolej Hilly'ego, potknął się o nogę stołu i wbił pinezkę w rękę Stanleya Jernigana, ale poza tym na razie w porządku.

Bryant od razu poweselał. Rzeczywiście wszystko szło dobrze. Przed rokiem Eddie Golden, gramoląc się do „najlepszej kryjówki wszech czasów” Hilly'ego podczas zabawy w chowanego, rozorał sobie nogę o kawałek zardzewiałego drutu kolczastego, który Hilly'emu zawsze udawało się ominąć (właściwie Hilly w ogóle nie zauważył starego drutu). Eddiego trzeba było zawieźć do lekarza, który założył mu trzy szwy i zrobił zastrzyk przeciwțęczowy. Biedny Eddie miał reakcję alergiczną na zastrzyk i spędził dwa dni po urodzinach Hilly'ego w szpitalu.

Marie uśmiechnęła się i jeszcze raz ucałowała Bryanta.

— Tato bardzo ci dziękuje — powiedziała. — Ja też.

Hilly otwierał wszystkie prezenty z przyjemnością, ale gdy rozpakował zestaw do magii, nie posiadał się z radości. Popędził do dziadka (który zdażył już spałaszować połowę urodzinowego tortu czekoladowego i kroił sobie jeszcze jedną porcję) i dziko rzucił mu się na szyję.

— Dzięki, dziadku! Dziękuję! Właśnie taki chciałem! Skąd wiedziałeś!

Ev Hillman uśmiechnął się serdecznie do wnuka.

— Chyba nie do końca jeszcze zapomniałem, jak to jest być chłopcem — rzekł.

— Cudo, dziadku! Jej! Trzydzieści sztuczek! Zobacz, Barney...

Obracając się, by pokazać zestaw Barneyowi Applegate'owi, zawadził rogiem pudełka o filiżankę Marie i ją stłukł.

Bryznęła gorąca kawa, parząc Barneya w rękę. Barney wrzasnął.

— Przepraszam, Barney — powiedział Hilly, ciągle podskakując ze szczęścia. Oczy dosłownie mu płonęły. — Ale sam zobacz! Ekstra, nie? Suuper!

Bryant i Marie, którzy oszczędzali na trzy czy cztery prezenty, a potem o wiele wcześniej zamówili je z katalogu FAO Schwartz, aby mieć pewność, że dotrą na czas, zostali więc sprowadzeni do roli statystów trzymających włócznię w opowieści z dżungli. Wymienili telepatyczne spojrzenie.

Och, skarbie, tak mi przykro... — mówiły oczy Marie.

A niech tam... takie jest życie z Hillym — odpowiedział jego wzrok.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

Uczestnicy przyjęcia popatrzyli na nich przez chwilę — Marie nigdy nie mogła zapomnieć okrągłych i poważnych oczu Davida — a potem odwrócili się, obserwując, jak Hilly otwiera swój zestaw magiczny.

— Ciekawe, czy zostało jeszcze trochę lodów klonowo — orzechowych — zastanawiał się na głos Ev Hillman. I Hilly, który tego popołudnia uważał dziadka za najwspanialszego człowieka na ziemi, popędził po lody dla niego.

4

Robertson Davies sugerował również w „Trylogii Deptfordzkiej”, że ten sam truizm, który odnosi się do pisania, malowania, obstawiania zwycięzcy w wyścigach konnych i wygłaszania kłamstw tak, by brzmiały ze wszech miar wiarygodnie, odnosi się także do magii: niektórzy mają do tego dryg, inni nie.

Hilly nie miał.

W pierwszej części trylogii Daviesa pod tytułem „Piąta niema rola” narrator, oczarowany magią (chłopiec mniej więcej w wieku Hilly’ego), wykonuje mnóstwo sztuczek — źle przed zycziwą, bezkrytyczną publicznością złożoną z jednej osoby (znacznie młodszego chłopca mniej więcej w wieku Davida), a rezultat jest paradoksalny: starszy chłopiec odkrywa, że młodszy, w przeciwieństwie do niego, ma wielki talent do prestidigitatorstwa. Młodszy zupełnie zawstydzia narratora już przy pierwszej próbie, gdy ukrywa w dłoni szylinga.

W tym miejscu podobieństwo się kończyło; David nie miał ani trochę więcej zdolności magicznych niż Hilly. Ale David uwielbiał brata i siedziałby z równą cierpliwością, w takiej samej ciszy i nabożnym skupieniu, gdyby zamiast próbować numeru z „wyskakiwaniem” waletów z talii albo wyciąganiem Victora, ich kota, z cylindra magika (cylinder został wyrzucony w czerwcu, gdy Victor zrobił do niego kupę), Hilly robił Davidowi wykład na temat termodynamiki pary lub czytał pierwszy rozdział Ewangelii według św. Mateusza.

Nie znaczy to, że Hilly był jako sztukmistrz kompletnym nieudacznikiem; nie było tak źle. Właściwie PIERWSZY POKAZ SZTUKI MAGICZNEJ HILLY’EGO BROWNA urządzony na trawniku za domem Brownów w dniu, w którym Jim Gardener wyjeżdżał z Troy na Karawanę Poezji Nowej Anglii, uważano za spory sukces. Na spektakl przyszło kilkunastu widzów — głównie kolegów Hilly’ego, choć było też kilkoro dzieci z przedszkola Davida oraz czworo czy pięcioro dorosłych — którzy obejrżeli mniej więcej tuzin numerów, jakie zaprezentował Hilly. Większość sztuczek się udała, jednak nie dzięki wielkiemu talentowi ani klasie magika, lecz determinacji, z jaką Hilly nad nimi pracował. Żadna inteligencja i determinacja świata bez odrobiny talentu nie może stworzyć sztuki, ale inteligencja i determinacja potrafią dokonać całkiem udanych fałszerstw.

Poza tym o twórcach zestawu dla młodych magików, który Bryant wybrał na chybił trafił, dobrze świadczył fakt, że wiedząc, iż większość początkujących iluzjonistów, do których rąk trafi ich dzieło, będzie raczej nieporadna i pozbawiona talentu, oparli swój projekt głównie na urządzeniach mechanicznych. Na przykład trzeba się było bardzo postarać, żeby zepsuć numer pod tytułem „Mnożące się monety”. To samo dotyczyło „Magicznej gilotyny”, małego modelu (z dyskretnym napisem WYPRODUKOWANO NA TAJWANIE na plastikowej podstawie) nafaszerowanego żyłkami. Gdy zdenerwowany widz (albo zupełnie obojętny David) wkładał palec pod ostrze gilotyny tuż nad otworem, w którym tkwił papieros, Hilly spuszczał ostrze, które rozcinało papieros na pół... ale palec w cudowny sposób pozostawał cały.

Efekt sztuczek nie zawsze zależał od urządzeń mechanicznych. Hilly całymi godzinami ćwiczył tasowanie kart, dzięki któremu mógł spowodować, że karta ze spodu talii „wypływała” na wierzch. Robił to naprawdę całkiem dobrze, nie wiedząc, że sztuczka bardziej niż magikowi może się przydać kanciarzowi takiemu jak „Pits” Barfield. Jeśli publiczność liczyła więcej niż dwadzieścia osób, z intymności salonu nic nie zostawało i nawet najbardziej widowiskowe sztuczki karciane zwykle wychodziły zupełnie nieefektywnie. Publiczność Hilly’ego była jednak dość nieliczna, potrafił ją więc oczarować — zarówno dorosłych, jak i dzieci — nonszalancko wyciągając z wierzchu talii karty, które jeszcze przed chwilą były w środku, pokazując Rosalie Skehan kartę, którą przedtem dokładnie obejrzała i schowała do talii spoczywającej w jej torebce, i naturalnie pokazując numer z „wyskakiwaniem” z talii waletów, co było chyba najlepszą sztuczką karcianą, jaką kiedykolwiek wymyślono.

Oczywiście zdarzały się wpadki. Hilly, który niczego nie schrzani, to jak McDonald, który nie sprzedaje hamburgerów, powiedział tego wieczoru Bryant, gdy leżeli w łóżku. Gdy chłopiec próbował nalać dzban wody do chustki pożyczonej od Joego Paulsona, listonosza, którego miesiąc później miał porazić prąd, udało mu się zmoczyć i chustkę, i przód własnych spodni. Victor nie chciał wyskakiwać z kapelusza. Najbardziej zenująca była jednak sytuacja,

gdy nie wyszedł mu numer „Znikające monety”, którego opanowanie kosztowało go wiele godzin harówki. Bez kłopotu ukrył w dłoni monety (właściwie były to krążki z czekolady wielkości srebrnych dolarówek opakowane w złotą folię i sprzedawane jako „pieniądze do żucia”), lecz kiedy się odwracał, wszystkie wypadły mu z rękawa, ku ogólnej radości i dzikiemu aplauzowi kolegów.

Mimo to owacje po zakończeniu występu Hilly’ego były szczerze. Wszyscy się zgadzali, że Hilly Brown to niezły iluzjonista „jak na dziesięciolatka”. Tylko trzy osoby nie zgadzały się z tą oceną: Marie Brown, Bryant Brown i sam Hilly.

— Wciąż nie znalazł tego czegoś, prawda? — spytała męża Marie, gdy leżeli w łóżku. Oboje rozumieli, że „to coś” oznacza przeznaczenie wielkiego reflektora, jaki Bóg umieścił w mózgu Hilly’ego.

— Nie — odrzekł Bryant po długiej chwili namysłu. — Nie sądzę. Ale starał się, prawda? Harował jak wół.

— Tak — powiedziała Marie. — Cieszyłam się, że się stara.

Dobrze wiedzieć, że potrafi się przyłożyć, zamiast ganiać z miejsca na miejsce. Ale z drugiej strony trochę mnie zasmucił. Pracował nad tymi sztuczkami jak student kujący do egzaminów.

— Wiem.

Marie westchnęła.

— Urządził już pokaz. Pewnie rzuci magię i zabierze się do czegoś nowego. I w końcu znajdzie to coś.

5

Z początku wydawało się, że Marie miała rację; że zainteresowanie Hilly’ego magią wygaśnie tak samo jak zainteresowanie hodowlą mrówek, skałami księżycowymi i brzuchomówstwem. Zestaw do magii, który dotąd leżał pod łóżkiem, aby zawsze był pod ręką, gdyby Hilly zbudził się w środku nocy z jakimś pomysłem, trafił w końcu na zabałaganione biurko. Marie rozpoznała pierwszą scenę dobrze znanej sztuki. Rozwiązanie akcji miało nastąpić, gdy zestaw zostanie ostatecznie przeniesiony w zakurzone zakamarki strychu.

Co nie znaczy, że Hilly przestał myśleć o magii i zaczął nowy etap poszukiwań — to byłoby zbyt proste. Dwa tygodnie po występie były dla niego okresem dość głębokiej depresji. Rodzice nic o tym nie wiedzieli i niczego nie wyczuwali. David wiedział, ale w wieku czterech lat niewiele mógł począć mógł jedynie mieć nadzieję, że Hilly w końcu się rozchmurzy.

Hilly Brown próbował poradzić sobie z myślą, że po raz pierwszy w życiu nie udało mu się coś, co naprawdę chciał zrobić. Owszem, brawa i gratulacje sprawiły mu przyjemność i nie był aż tak skromny, by wziąć szczerze pochwały za przejaw uprzejmości... lecz jakiś uparty głos w środku — który w innych okolicznościach uczyniłby go wielkim artystą — powtarzał, że nie może się zadowolić tylko szczerymi pochwałami. Szczerymi pochwałami, upierał się ów nieprzejednany głos, wszyscy partacze tego świata obsypują tych, którzy są co najwyżej poprawnymi rzemieślnikami.

Słowem, szczerze pochwały to za mało.

Oczywiście Hilly nie rozmyślał o tym w tak dorosły sposób... ale rozmyślał. Gdyby matka знаła jego myśli, miałaby mu za złe pychę... po której, jak nauczyła ją Biblia, następował upadek. Złościłaby się o to jeszcze bardziej niż wtedy, gdy śmignął na drogę przed cysterną Webber Oil albo gdy próbował przygotować Victorowi kąpiel z pianą w muszli klozetowej. „Czegoż ty chcesz, Hilly? — wykrzyknęłaby, unosząc ręce.

— Nieszczerych pochwał?”

Ev, który sporo widział, i David, który widział jeszcze więcej, mogliby jej powiedzieć.

Chciał, żeby wszyscy zrobili wielkie oczy, tak wielkie, jakby za moment miały im wyjść z orbit. Chciał, żeby dziewczyny piszczały, a chłopcy wrzeszczeli. Chciał, by wszyscy wybuchnęli śmiechem na widok Victora wychodzącego z kapelusza z kokardką zawiązaną na szyi i czekoladową monetą w pyszczku. Zamieniłby wszystkie szczere pochwały i autentyczne brawa świata na jeden pisk, jeden niepohamowany wybuch radości, jedną kobietę, która zemdlalaby z wrażenia, tak jak według broszurki dołączonej do zestawu działo się podczas słynnego numeru Harry'ego Houdiniego, gdy legendarny iluzjonista uwalniał się z zamkniętej bańki na mleko. Bo szczere pochwały oznaczają, że jesteś po prostu dobry. Kiedy piszczą, śmieją się i mdleją, oznacza to, że jesteś wielki.

Podejrzał jednak — nie, miał pewność — że nigdy nie będzie wielki i żadne chęci świata tego nie zmienia. To był bolesny cios. Nie tyle sama porażka, ile świadomość, że nie można tego zmienić. Jak gdyby przestał wierzyć w Świętego Mikołaja.

Tak więc, choć rodzice byli przekonani, że utrata zainteresowania magią jest po prostu kolejną zmianą kierunku kapryśnego wiatru, jaki zawsze towarzyszy dzieciństwu, w istocie była to decyzja wynikająca z pierwszego dojrzałego wniosku, do jakiego doszedł Hilly: jeśli nigdy nie zostanie wielkim magikiem, powinien odłożyć zestaw na półkę. Nie mógłby zostawić go na widoku i od czasu do czasu robić jakąś sztuczkę dla samej przyjemności. Uczucie porażki byłoby zbyt dotkliwie. Było to złe równanie. Najlepiej je wymazać i spróbować nowego.

Gdyby dorośli potrafili z taką samą stanowczością odkładać na bok swoje obsesje, świat bez wątpienia zmieniłby się w lepsze miejsce. Robertson Davies nie mówi tego wprost w „Trylogii Deptfordzkiej”... ale niedwuznacznie daje do zrozumienia.

6

Czwartego lipca David wszedł do pokoju Hilly'ego i zobaczył, że brat znów wyciągnął zestaw iluzjonisty. Rozłożył przed sobą urządzenia do różnych sztuczek... i coś jeszcze.

Baterie. David pomyślał, że to baterie z dużego radia taty.

— Co robisz, Hilly? — spytał David całkiem życzliwym tonem.

Hilly zmarszczył brwi. Skoczył na równe nogi i wypchnął Davida z pokoju tak gwałtownie, że malec upadł na dywan. Zachowanie brata było tak niecodzienne, że David był zbyt zaskoczony, aby się rozplakać.

— Wyjdź! — krzyknął Hilly. — Nie możesz patrzeć na nowe sztuczki! Medyceusze kazali wykonywać egzekucję na tych, których przyłapano na podglądaniu sztuczek swoich ulubionych magików!

Wygłosivszy to oświadczenie, Hilly zatrzasnął drzwi przed nosem Davida. David zaczął ryczeć, żeby go wpuścić, ale na próżno. Niespotykany brak czułości u roztrzępanego, lecz zwykle łagodnego brata, był czymś tak niezwykłym, że David zszedł do salonu, włączył telewizor i płaczem ukołysał się do snu, oglądając „Ulicę Sezamkową”.

7

Zainteresowanie magią nagle odżyło w Hillym mniej więcej w tym samym czasie, gdy obrazek z Jezusem zaczął mówić do Becki Paulson.

Opanowała go jedna przemożna myśl: jeżeli mechaniczne sztuczki w rodzaju „Mnożących się monet” to wszystko, na co go stać, wymyśli własne mechaniczne sztuczki. Najlepsze, jakie kiedykolwiek oglądano! Lepsze niż mechanizm Thurstona czy składane lustra Blackstone'a! Jeśli okrzyki zdumienia i niepohamowany śmiech miały zamiast manipulacji wywoływać wynalazki, niech tak będzie.

Ostatnio czuł, że jest zdolny dokonać wielu wynalazków.

Ostatnio miał wrażenie, że w głowie aż roi mu się od pomysłów przeróżnych wynalazków.

Nie pierwszy raz przyszedł mu do głowy pomysł, żeby coś wynaleźć, lecz poprzednie pomysły były dotąd niejasne i opierały się bardziej na mrzonkach niż zasadach nauki — rakiety z kartonów, broń laserowa, która podejrzanie przypominała cienkie gałęzie z kawałkami styropianu nasadzonymi na lufy, i tak dalej. Od czasu do czasu miewał dobre pomysły, które mogły znaleźć zastosowanie praktyczne, ale zawsze porzucał je, bo nie miał pojęcia, jak się do nich zabrać — potrafił wbić prosto gwóźdź i uciąć deskę, lecz nic więcej.

Teraz jednak metody działania wydawały mu się jasne i wyraźne.

Wielkie numery, myślał, dokręcając śruby, wkręcając wkręty i lutując przewody. Kiedy ósmego lipca matka powiedziała mu, że jedzie do Augusty na zakupy (mówiła to z pewnym roztargnieniem; mniej więcej od tygodnia Marie cierpiała na ból głowy, którego raczej nie pomogła uleczyć wiadomość, że Joe i Becka Paulsonowie zginęli w pożarze domu), Hilly poprosił ją, żeby wstąpiła do sklepu Radio Shack w Capitol Mail i kupiła mu parę drobiazgów. Dał jej listę rzeczy, osiem dolarów, jakie zostały mu z pieniędzy urodzinowych, i poprosił, aby resztę „pożyczyła mu czy coś”.

*Dziesięć (10) styczek sprężynowych — 0,70 dol. za szt.
(nr 1334567)*

*Trzy (3) potrójne styki (sprężynowe) — 1,00 dol. za szt.
(nr 1334709)*

*Jedna (1) wtyczka „zaporowa” do kabla koncentrycznego 2,40 dol. za szt.
(nr 19776–C)*

Gdyby nie ból głowy i uczucie ogólnej apatii, Marie na pewno zastanowiłaby się, po co mu te rzeczy. Na pewno zastanowiłaby się, skąd Hilly miał tak dokładne informacje znał nawet numery katalogowe — skoro nie dzwonił wcześniej do Radio Shack w Augusty. Może nawet zaczęłaby podejrzewać, że Hilly w końcu znalazł „to coś”.

Na swój przerażający sposób tak się właśnie stało.

Ale zamiast się zastanawiać, zgodziła się kupić mu te drobiazgi i „pożyczyć czy coś” brakujące cztery dolary z kawałkiem.

Zanim wróciła z Davidem z Augusty, przyszły jej jednak do głowy niektóre z tych pytań. Przejazdźka dobrze jej zrobiła; głowa całkiem przestała boleć. A David, który odkąd Hilly wypchnął go z pokoju, był milczący i zamyślony — zupełnie niepodobny do zwykłego siebie, wierzącego się i rozgadanego — także trochę poweselał. Buzia mu się nie zamykała i w pewnej chwili zdradził matce, że za dziewięć dni Hilly zamierza urządzić swój DRUGI POKAZ SZTUKI MAGICZNEJ na trawniku za domem.

— Będzie robił dużo nowych sztuczek — powiedział David z nieco przybitą miną.

— Naprawdę?

— Tak — odrzekł David.

— Myślisz, że będą dobre?

— Nie wiem — odparł David, myśląc o tym, jak Hilly wypchnął go z pokoju. Był bliski łez, lecz Marie tego nie zauważyła. Dziesięć minut wcześniej opuścili Albion, wjeżdżając do Haven i znów zaczęła ją boleć głowa... i równocześnie wróciło tamte uczucie — teraz nieco wyraźniejsze — że nie panuje nad swoimi myślami. Po pierwsze, zdawało się, jakby było ich za dużo. Po drugie, niektórych nie potrafiła nawet nazwać. To było jak... zastanowiła się i wreszcie znalazła odpowiedź. W szkole średniej uczyła się na kółko teatralne (podejrzewała, że Hilly musiał odziedziczyć po niej znaczną część swoich skłonności do dramatów) i doszła do wniosku, że myśli w jej głowie przypominają szept publiczności

dobiegające zza kurtyny przed rozpoczęciem przedstawienia. Nie było wiadomo, o czym widzowie mówią, ale wiadomo było, że mówią.

— Chyba nie będą fajne — powiedział w końcu David. Patrzył przez okno wzrokiem osamotnionego więźnia zamkniętego w szklanej celi. Zobaczył Justina Hurda, który telepał się traktorem na swoim polu, bronując je. Bronował pole, chociaż był już drugi tydzień lipca. Przez moment czteroletni David Brown przeniknął myśli czterdziestodwuletniego Justina Hurda i zrozumiał, że Justin rozdziera swój ogród na strzępy, tratuje niedojrzałą kukurydzę i wgniata ją z powrotem w ziemię, ryje w zagonie grochu i kołami traktora rozdusza na miazgę melony. Justinowi Hurdowi zdawało się, że jest maj. Ściśle mówiąc, maj 1951 roku. Justin Hurd zwariował.

— Chyba w ogóle nie będą dobre — dodał David.

8

Na PIERWSZYM POKAZIE SZTUKI MAGICZNEJ Hilly'ego było mniej więcej dwadzieścia osób. Na drugi przyszło zaledwie siedem: matka, ojciec, dziadek, David, Barney Applegate (który tak jak Hilly miał dziesięć lat), pani Crenshaw z miasteczka (wpadła do Marie w nadziei, że sprzeda jej jakiś produkt Avon) oraz sam Hilly. Drugi pokaz różnił się od pierwszego nie tylko drastycznym spadkiem frekwencji.

Na pierwszym publiczność była ożywiona — nawet odrobinę bezczelna (szydercze brawa powitały wpadkę Hilly'ego, kiedy czekoladowe monety wyleciały mu z rękawa). Publiczność na drugim pokazie była przybita i apatyczna, siedziała sztywno jak manekiny w domu towarowym na krzeselkach ogrodowych ustawionych przez Hilly'ego i jego „asystenta” (bladego i milczącego Davida). Tato Hilly'ego, który na pierwszym przedstawieniu bił brawo, śmiał się i robił strasznie dużo hałasu, przerwał wygłaszane przez syna słowo wstępne na temat tajemnic Orientu, mówiąc, że nie bardzo chce słuchać gadania o tajemnicach, bo właśnie skosił trawnik i ma ochotę na prysznic i zimne piwo.

Pogoda też się zmieniła. PIERWSZY POKAZ SZTUKI MAGICZNEJ odbył się pięknego i ciepłego dnia, najcudowniejszego, jaki może się trafić pod koniec wiosny w północnej Nowej Anglii. Lipcowemu przedstawieniu towarzyszył upał i nieznośna wilgoć w powietrzu, a z nieba koloru chromu prażyło zasnutę mgiełką słońce. Pani Crenshaw wachlowała się katalogiem Avon, czekając, aż to się wreszcie skończy. Siedząc na słońcu, można było zemdleć. A ten rozpieszczony dzieciak ubrany w czarny garnitur, z namalowanym pastą do butów wąsem, popisowywał się na scenie ze skrzyń po pomarańczach... Pani Crenshaw nagle zapragnęła go zamordować.

Tym razem sztuczki byty o wiele lepsze — wręcz zaskakujące — ale Hilly ze zdumieniem i wściekłością zdał sobie sprawę, że mimo to publiczność ziewa z nudów. Widząc wiercącego się niecierpliwie ojca, który szykował się do opuszczenia występu, Hilly poczuł, jak ogarnia go bezsilny gniew, bo przede wszystkim chciał zrobić wrażenie na ojcu.

O co im chodzi?, pomyślał ze złością, pocąc się pod niedzielnym garniturem z czarnej wełny tak samo obficie jak pani Crenshaw. Przecież idzie mi świetnie — nawet lepiej niż Houdiniemu — ale nie piszczą, nie śmieją się ani nie wyglądają na oniemiałych z wrażenia. Dlaczego? Co jest nie tak, do licha?

Pośrodku sceny ze skrzynek po pomarańczach stało nieduże podwyższenie (zrobione z jeszcze jednej skrzynki nakrytej prześcieradłem). W środku było ukryte urządzenie, które Hilly skonstruował, używając baterii — to te baterie David zobaczył wtedy w jego pokoju — oraz elementów starego kalkulatora Texas Instruments; bez żadnych skrupułów ukradł go z szuflady stolika mamy w korytarzu. Prześcieradło przykrywające skrzynkę po pomarańczach było zebrane na brzegach i zasłaniało ukrytą z jednej strony jeszcze jedną rzecz, którą ukradł Hilly — co było zupełnie nie w jego stylu. Był to pedał z maszyny do szycia należącej do

mamy. Hilly połączył pedał ze swoim aparatem za pomocą zacisków sprężynowych, które matka kupiła w Auguście.

Urządzenie, które wynalazł, powodowało, że różne przedmioty najpierw znikają, a potem się pojawiają.

Hilly uważał, że to bardzo widowiskowy numer, zupełnie niewiarygodny. Jednak widzowie od początku byli ospali i reagowali coraz bardziej niemrawo.

— Oto mój pierwszy numer, „Znikający pomidor”! — obwieścił Hilly. Wyciągnął pomidora ze skrzynki z „przedmiotami magicznymi” i pokazał. — Potrzebuję ochotnika z widowni, aby sprawdził, że to prawdziwy pomidor, a nie żadna imitacja. Pan! Dziękuję! — Wskazał na ojca, który machnął zniecierpliwioną ręką i powiedział:

— To pomidor, Hilly, stąd widzę.

— Dobrze! A teraz przyjrzyjcie się, jak tajemnice Orientu... trzymajcie się mocno!

Hilly pochylił się, położył pomidora na środku białego prześcieradła zakrywającego skrzynkę, a potem zasłonił jedwabną apaszką matki. Następnie machnął magiczną różdżką nad okrągłym wybrzuszeniem pod niebieską tkaniną. „*Presto-majesto!*” — krzyknął, nadeptując ukradkiem na pedał maszyny do szycia. Rozległ się krótki cichy szum.

Wybrzuszenie pod apaszką zniknęło. Sama apaszka opadła płasko na prześcieradło. Hilly zdjął chustkę, aby pokazać, że na podwyższeniu nic nie ma, zadowolony z siebie, czekając na oniemiałe miny i okrzyki zdumienia. Dostał brawa.

Uprzejme brawa, nic więcej.

Wyraźnie usłyszał myśli pani Crenshaw: Zapadnia. Nic wielkiego. Nie mogę uwierzyć, że siedzę w słońcu i patrzę, jak ten bachor wsadza pomidory do zapadni, tylko po to, żeby sprzedać jego matce buteleczkę perfum. Naprawdę!

Hilly’ego zaczęła ogarniać pasja.

— A oto następna tajemnica Orientu! „Powrót znikającego pomidora”! — Spojrzał na panią Crenshaw, groźnie marszcząc brwi. — Niektórym przychodzi do głowy coś tak głupiego jak zapadnia, chyba jednak nawet głupi ludzie muszą wiedzieć, że łatwo wrzucić pomidora do zapadni, ale trudno sprawić, żeby sam stamtąd wyskoczył, prawda?

Pani Crenshaw uśmiechała się uprzejmie. Jej pośladki zwisały po bokach krzeselka ogrodowego, którego nogi wolno wrzynały się w trawę. Hilly przestał odbierać jej myśli, które przycichły jak kiepski sygnał radiowy.

Znów nakrył podwyższenie apaszką. Machnął różdżką.

Nacisnął na pedał. Pod niebieską apaszką ukazał się sferyczny kształt. Hilly triumfalnym gestem zerwał chustkę, ukazując wszystkim pomidora.

— Ta-daaam! — wykrzyknął. Teraz na pewno usłyszysz wrzaski i zobaczy zdumione miny.

Znowu rozległy się uprzejme brawa.

Barney Applegate ziewnął.

Hilly z rozkoszą by go zastrzelił.

Hilly zamierzał stopniowo przejść od sztuczki z pomidorem do wielkiego finału i to był nie najgorszy plan, tyle że nie sprawdził się w praktyce. Można mu było wybaczyć ogromne podniecenie wywołane świadomością, że wynalazł maszynę, dzięki której przedmioty naprawdę znikają (myślał, że mógłby przekazać ją Pentagonowi albo podobnej instytucji, a wcześniej zobaczyłby swoje zdjęcie na okładce „Newsweeka” jako największego magika w historii), lecz Hilly przeoczył dwie rzeczy. Po pierwsze, na każdym występie iluzjonisty tylko małe dzieci i kretyni wierzą, że oglądają prawdziwe czary, a po drugie, cały czas powtarzał mniej więcej ten sam numer. Każda kolejna sztuczka minimalnie różniła się od poprzedniej.

Od „Znikającego pomidora” i „Powrotu znikającego pomidora” Hilly z ponurą miną przeszedł do „Znikającego radia” (radio ojca było dużo lżejsze bez ośmiu baterii R20, które pracowały teraz w urządzeniu ukrytym pod podwyższeniem) i „Powrotu tegoż”.

Uprzejme brawa.

Potem było „Znikające krzesło ogrodowe” i „Powrót zgadliście—czego”.

Publiczność siedziała oklapnięta, jak gdyby otepiała od słońca... albo otepiała od czegoś, co unosiło się w powietrzu Haven. Jeżeli jakakolwiek substancja utleniała się na kadłubie statku i ulatywała do atmosfery, tego dnia musiało jej być wyjątkowo dużo, ponieważ nie wiał najłżejszy wiatr.

Muszę coś zrobić, pomyślał Hilly w panice.

Pod wpływem impulsu postanowił opuścić „Znikający regał”, „Znikający rower treningowy” (należący do mamy) oraz „Znikający motocykl” (należący do taty, który w obecnym nastroju raczej nie zechciałby wjechać nim na podwyższenie). Od razu przejdzie do wielkiego finału:

„Znikający młodszy brat”.

— A teraz...

— Hilly, przepraszam cię, ale... — zaczął ojciec.

— ...mój ostatni numer — dodał szybko Hilly i ojciec niechętnie został na krzeselku. — Potrzebuję ochotnika z publiczności. Chodź, David.

David zbliżył się do niego z miną, która wyrażała w idealnie równych proporcjach lęk i rezygnację. Choć Hilly nie objaśnił mu szczegółów, David wiedział, jak ma wyglądać finałowy numer. Wiedział aż za dobrze.

— Nie chcę — wyszeptał.

— Musisz — odparł surowo Hilly.

— Hilly, boję się. — W głosie Davida brzmiał błagalny ton, w jego oczach lśniły łzy. — A jak nie wrócę?

— Wrócisz — szepnął Hilly. — Przecież wszystko wróciło, prawda?

— Tak, ale nie zniknęło nic żywego — powiedział David. Łez było już za dużo i potoczyły mu się po policzkach.

Spoglądając na brata, którego kochał mocno i szczęśliwie (miłość do Davida okazała się szczęśliwszym przedsięwzięciem niż wszystko, co próbował dotąd robić, nie wyłączając magii), Hilly przeżył chwilę okropnego zwątpienia. Jak gdyby ocknął się na moment ze strasznego koszmaru, który zaraz wciągnął go z powrotem w mroczną otchłań. Nie zrobisz tego, prawda? *Nie wypchnąłbyś go na zatłoczoną ulicę, bo zdawałoby ci się, że wszystkie samochody zdążą się zatrzymać, prawda? Nawet nie wiesz, co się dzieje z tymi rzeczami, kiedy stąd znikają!*

Potem spojrzął na publiczność — znudzoną i rozkojarzoną, wśród której na jedyną w miarę żywą osobę wyglądał Barney Applegate, z uwagą skubiący strup na łokciu — i znów wezbrała w nim złość. Przestał zauważać łzy w oczach przestraszonego Davida.

— Stawaj na skrzynce, David! — wyszeptał surowo Hilly.

Drobna twarzyczka Davida zaczęła się trząść... ale malec podszedł do podwyższenia. Zawsze słuchał Hilly’ego, który był dla niego idolem przez te tysiąc pięćset parę dni życia, toteż posłuchał go i teraz. Mimo to ledwo mógł ustać na pulchnych nóżkach, gdy wszedł na przykrytą prześcieradłem skrzynkę po pomarańczach, która ukrywała zwariowaną maszynę.

Mały, puciołowaty chłopczyk odwrócił się twarzą do publiczności. Był ubrany w niebieskie szorty i koszulkę z napisem NAZYWAJĄ MNIE DR LOVE. Łzy płynęły mu strumieniem po policzkach.

— Uśmiechnij się, psiakrew — syknął Hilly, stawiając stopę na pedale maszyny do szycia.

David płakał coraz gwałtowniej, mimo to zdołał wykrzywić twarz w szkaradnej parodii uśmiechu. Marie Brown nie widziała łez przerażenia na twarzy swego młodszego syna. Pani Crenshaw przesiadła się na inne krzeselko (aluminiowe nogi tego, na którym dotąd siedziała, do połowy pograżyły się w miękkiej ziemi trawnika) i szykowała się do wyjścia. Nie obchodziło jej, czy sprzeda jakiś produkt Avonu tej głupiej cipie, czy nie. Cel naprawdę nie był wart męczarni.

— A teraz! — zagrział Hilly w twarz oszołomionej publiczności. — Największy z sekretów Orientu! Niewielu go zna, a praktykuje jeszcze mniej! „Znikający człowiek”, patrzcie uważnie!

Narzucił prześcieradło na dygoczącego brata. Gdy biała tkanina spłynęła do stóp Davida, dobiegł spod niej słyszalny szloch. Hilly znów przeżył chwilę, w której nieśmiało próbował dojść do głosu strach, a może rozsądek.

— Hilly, proszę... proszę, boję się... — Zduszony szept zamilkł.

Hilly zawahał się przez moment. I nagle pomyślał: Znikniesz, gdy tylko różdżką pomacham! Nauczyłem się od Stukostracha!

Krótko potem Hilly Brown naprawdę stracił głowę.

— *Presto-majesto!* — krzyknął i machnął ręką w stronę drżącej pod prześcieradłem sylwetki, wciskając mocno pedał.

Szszummmmm.

Prześcieradło leniwie opadło, tak jak wtedy, gdy ktoś rozpościera je na łóżku, pozwalając, by ułożyło się samo.

Hilly zerwał je z podwyższenia.

— Ta-daaam! — wrzasnął. Był niemal nieprzytomny z triumfu i strachu, które przez chwilę balansowały w doskonałej równowadze, jak para dzieci o podobnej masie na huśtawce.

Davida nie było.

9

Wydarzenie na chwilę wyrwało publiczność z apatii. Barney Applegate przestał skubać strup. Bryant Brown wyprostował się na krześle, otwierając w zaskoczeniu usta. Marie Brown i pani Crenshaw przestały szeptać, a Ev Hillman zmarszczył z troską brwi... ale jego mina nie była niczym nowym. Od kilku dni Ev wyglądał, jakby go coś trapiło.

Ach, pomyślał Hilly i balsam spłynął mu na duszę. Sukces!

Jednak zarówno zainteresowanie widzów, jak i triumf Hilly'ego trwały krótko. Sztuczki, w których biorą udział ludzie, są ciekawsze niż numery z przedmiotami czy zwierzętami (wyciąganie królika z kapelusza jest w porządku, lecz żaden szanujący się iluzjonista nie uznałby w związku z tym, że publiczność wołałaby oglądać przepiłowywanego na pół konia zamiast ładnej dziewczyny o bujnych kształtach wciśniętej w za mały kostium)... ale mimo wszystko sztuczka była ta sama. Rozległy się brawa głośniejsze niż dotąd (a Barney Applegate wydał z siebie żywiołowe „Jaaaa, Hilly!”), lecz wkrótce umilkły. Hilly zobaczył, że matka znowu szepcze z panią Crenshaw. Ojciec wstał.

— Idę wziąć prysznic, Hilly — mruknął. — Diabło dobre przedstawienie.

— Ale...

Od strony podjazdu dobiegł dźwięk klaksonu.

— To moja mama — powiedział Barney, podskakując tak gwałtownie, że o mało nie przewrócił pani Crenshaw. — Na razie, Hilly! Fajna sztuczka!

— Ale... — Hilly poczuł napływające do oczu łzy.

Barney przyklęknął i pomachał ręką, jak gdyby do kogoś ukrytego pod podwyższeniem.

— Na razie, Davey! Fajnie ci wyszło!

— Nie ma go tam, do cholery! — wrzasnął Hilly.

Ale Barney zdążył już czmychnąć. Matka Hilly'ego szła w stronę domu z panią Crenshaw, oglądając katalog Avon. Wszystko działo się bardzo szybko.

— Nie przeklinaj, Hilly — zawołała mama, nie oglądając się za siebie. — I kiedy wrócicie do domu, każ Davidowi umyć ręce. Na dole jest dość brudno.

Na widowni pozostał tylko dziadek Davida, Ev Hillman. Ev przyglądał się Hilly'emu z tą samą zmartwioną miną.

— A ty czemu nie idziesz? — spytał Hilly z wściekłością i rozgoryczeniem, które ledwie maskował jego niewyraźny głos.

— Hilly, jeżeli twojego brata tam nie ma — rzekł wolno Ev głosem zupełnie niepodobnym do swego zwykłego głosu — to gdzie jest?

Nie wiem, pomyślał Hilly i w tym momencie huśtawka zaczęła się zdecydowanie przechylać w jedną stronę. Złość opadła, a lęk poszybował wysoko, wysoko. Razem z lękiem odezwało się poczucie winy. Mignęła zalana łzami, przerażona twarz Davida. Mignęła jego własna twarz (dzięki plastycznej wyobraźni), na której malowała się złość, niemal okrucieństwo — tyran terroryzujący młodszego brata. Uśmiechnij się, psiakrew. I David próbujący uśmiechnąć się przez łzy.

— Och, na pewno jest pod spodem — powiedział Hilly. Wybuchnął głośnym szlochem i usiadł na swojej scenie, podciągając pod brodę kolana i wtulając w nie twarz. — Jest pod spodem, tak, wszyscy odgadli, na czym polegają moje sztuczki i nikomu się nie podobały. Nienawidzę magii. Żałuję, że w ogóle dałeś mi w prezencie ten głupi zestaw do magii...

— Hilly... — Ev postąpił naprzód z miną, która wyrażała już prawdziwą rozpacz. Coś było nie tak... i tu, i w całym Haven. Czuł to. — Coś nie tak?

— Odejdź! — krzyknął z płaczem Hilly. — Nienawidzę cię! Nienawidzę!

Dziadków można zranić i zawstydzić oraz zamącić im w głowie z równą łatwością jak komukolwiek innemu. Ev Hillman poczuł, że spotkały go te trzy rzeczy naraz. Zraniły go słowa Hilly'ego, który powiedział, że go nienawidzi — zraniły go, choć miał świadomość, że chłopiec jest emocjonalnie wyczerpany. Ev zawstydził się, że powodem łez wnuka jest prezent od niego... i nieważne, że zestaw magiczny w rzeczywistości wybrał i kupił jego zięć. Kiedy Hilly się ucieszył, Ev zaakceptował prezent jako swój; przypuszczał więc, że nie może się go wyrzec teraz, gdy przez niego Hilly płakał, opierając czoło o brudne kolana. Czuł też, że mąci mu się w głowie, bo działo się coś jeszcze... tylko co? Ev nie miał pojęcia. Nie wiedział, że wraz z nadejściem tego lata zaczął się przyzwyczajać do myśli, że niedołęźnieje — och, oznaki były jeszcze nieznaczące, niemniej proces zdawał się przyspieszać z każdym rokiem. A tego lata wszyscy zdawali się niedołęźnieć... ale co właściwie miał na myśli? Spojrzenie? Dziwne pomyłki, szukanie w pamięci imion, które powinny przychodzić do głowy łatwo i szybko? Owszem, to także. Ale było coś więcej. Nie potrafił jednak dokładnie określić, czym może być to „coś więcej”.

Przez mętlik w głowie, tak odmienny od marazmu, w jaki popadli wszyscy pozostali widzowie DRUGIEGO POKAZU SZTUKI MAGICZNEJ, Ev Hillman — jedyna osoba, która pozostała *compos mentis* (właściwie jedyna osoba w Haven, której *mentis* pozostał *compos* — oddziaływaniu statku w ziemi opierał się też Jim Gardener, lecz przed siedemnastym znów zaczął ostro pić) — zrobił coś, czego miał później gorzko żałować. Zamiast przyklęknąć mimo skrzypiącego w kolanach reumatyzmu i zajrzeć pod zaimprovizowaną scenę Hilly'ego, by sprawdzić, czy naprawdę jest tam David Brown, Ev Hillman się wycofał. Uciekł przede wszystkim przed myślą, że powodem smutku Hilly'ego był prezent, jaki wnuk dostał od niego na urodziny. Zostawił Hilly'ego, uznając, że wróci, gdy chłopak weźmie się w garść.

10

Patrząc w ślad za powłóczącym nogami dziadkiem, Hilly poczuł się podwójnie przygnębiony i winny... potem potrójnie. Zaczekał, aż Ev zniknie mu z oczu, a potem zerwał się na nogi i podszedł do podwyższenia. Postawił stopę na ukrytym pedale maszyny do szycia i nacisnął.

Szszummmmm.

Czekał, aby pod prześcieradłem ukazał się kształt Davida.

Zerwałby wtedy prześcieradło i powiedział: „Widzisz, mały? Nic wielkiego, nie?”. Może nawet dałby mu fangę za to, że tak się przez niego bał i czuł się tak podle. A może po prostu...

Nic się nie działo.

Strach zaczął dławić Hilly'ego w gardle. Zaczął... choć może dławił go cały czas? Tak, cały czas. Ale teraz zaczął... puchnąć, tak, to było odpowiednie słowo! Strach puchł mu w gardle, jak gdyby ktoś wepchnął mu tam balon i zaczął nadmuchiwać. W porównaniu z tym dławiącym strachem wcześniejsze przygnębienie wydawało się dobre, a poczucie winy absolutnie kapitalne. Próbował przełknąć ślinę, lecz uniemożliwiło mu to spuchnięte strachem gardło.

— David? — szepnął i jeszcze raz wcisnął pedał.

Szszummmmm.

Postanowił, że nie da Davidowi fangi. Uściśnie go. Kiedy David wróci, Hilly padnie przed nim na kolana, uściśnie Davida i powie mu, że może sobie wziąć na cały tydzień wszystkich jego GI Joe (może z wyjątkiem Snake — Eyes i Crystal Bali).

Nadal nic się nie działo.

Prześcieradło, którym przedtem nakrył Davida, leżało zmięte na tym, które zasłaniało skrzynkę nad jego maszyną.

Nie chciało się unieść i przybrać pulchnego kształtu Davida.

Hilly stał samotnie na podwórku w prażącym lipcowym słońcu, czując, jak serce wali mu coraz szybciej, a balon w gardle puchnie coraz bardziej. Kiedy będzie już miał pęknąć, pomyślał, pewnie wrzasnę.

Przestań! David wróci! Na pewno! Przecież wrócił pomidor i radio, i krzeselko. I wszystkie rzeczy, z którymi eksperymentowałem w pokoju. On na pewno...

— Hilly, chodźcie cię umyć z Davidem! — zawołała matka.

— Tak, mam! — odkrzyknął Hilly drżącym, nienaturalnie wesołym głosem. — Zaraz!

Proszę, Boże, pomyślał, pozwól mu wrócić. Przepraszam, Boże, zrobię wszystko, może sobie wziąć wszystkich GI Joe na zawsze, przysięgam, może wziąć MOBAT, nawet Terrordome, ale błagam, Boże, niech to tym razem zadziała, niech on wróci!

Znów wduśił pedał.

Szszummmmm...

Zamglonym przez łzy wzrokiem spojrzął na zmięte prześcieradło. Przez chwilę zdawało mu się, że coś się dzieje, ale to tylko podmuch wiatru je poruszył.

W głowie Hilly'ego zawirowała panika jak chmura ostrych opiłków żelaza. Za moment naprawdę zacznie wrzeszczeć i wyciągnie z domu matkę i ociekającego wodą ojca, który wybiegnie goły, tylko z ręcznikiem na biodrach i szamponem spływającym po policzkach — i oboje będą się zastanawiać, co tym razem Hilly zmalował. Panika stanowiła w pewnym sensie wybawienie: zakrzyczałyby wszystkie myśli.

Ale sprawy, niestety, nie zaszły jeszcze tak daleko. Dwie myśli, jedna po drugiej, przemknęły Hilly'emu przez głowę.

Pierwsza: Nigdy nie robiłem sztuczki ze znikaniem czegoś żywego. Nawet pomidor był wcześniej zerwany, a tato mówił, że kiedy coś zrywasz, to przestaje żyć.

Druga myśl: A jeżeli David nie może oddychać tam, gdzie teraz jest? Jeżeli nie może oddychać?

Do tej chwili nie bardzo się zastanawiał, co się dzieje z rzeczami, które „znikał”. Ale teraz...

Ostatnią sensowną myślą, jaką zdążył zarejestrować, zanim panika spowiła go jak całun — albo żałobny welon — był obraz. Hilly ujrzał Davida leżącego w jakiejś dziwacznej,

nieprzyjemnej scenerii. Krajobraz wyglądał jak powierzchnia nieprzyjaznego, martwego świata. Szara ziemia była sucha i zimna; ziały w niej szczeliny przypominające paszcze gadów. Pęknięcia biegly zygzakowato we wszystkich kierunkach. Niebo było czarniejsze niż aksamit u jubilera i jaśniał na nim miliard gwiazd, płonących blaskiem, jakiego nikt nigdy na Ziemi nie oglądał, bo miejsce, które przerażony Hilly oglądał oczyma wyobraźni, było prawie albo zupełnie pozbawione powietrza.

Pośrodku upiornego pustkowia leżał jego puciołowaty czteroletni brat w szortach i koszulce z napisem NAZYWAJĄ MNIE DR LOVE. David trzymał się kurczowo za gardło, próbując oddychać niepowietrzem świata, który mógł być oddalony o bilion lat świetlnych od domu. David krztusił się, a jego twarz robiła się fioletowa. Na wargach i paznokciach mróz zaczął rysować śmiertelne wzory. David...

Ach, lecz właśnie wtedy ogarnęła go litościwa panika.

Zdarł prześcieradło, którym wcześniej nakrył Davida, i przewrócił skrzynkę zasłaniającą maszynę. Depcząc bez opamiętania pedał maszyny do szycia, zaczął wrzeszczeć. Dopiero gdy przybiegła matka, zdał sobie sprawę, że nie wydaje nieartykułowanego wrzasku, ale krzyczy jakieś słowa.

— Wszystkie GI Joe! — krzyczał Hilly. — Wszystkie GI Joe! Wszystkie GI Joe! Na zawsze! Wszystkie GI Joe!

A potem słowa mrozące krew w żyłach:

— Wróć, David! Wróć, David! Wróć!

— Boże wielki, o co mu chodzi? — zawołała Marie.

Bryant złapał syna za ramiona i odwrócił go twarzą do siebie.

— Gdzie David? Dokąd poszedł?

Ale Hilly zemdlał i nigdy naprawdę się nie ocknął. Niedługo potem setka ludzi, wśród których byli Bobbi i Gard, zaczęła przeczesywać las w poszukiwaniu Davida, brata Hilly'ego.

Gdyby można go było zapytać, Hilly powiedziałby im, że jego zdaniem szukają za blisko domu.

O wiele za blisko.

4 BENT I JINGLES

1

Wieczorem dwudziestego czwartego lipca, tydzień po zniknięciu Davida Browna, około dwudziestej z Haven wyjeżdżał radiowóz, który prowadził funkcjonariusz policji stanowej Benton Rhodes. Obok niego siedział Peter Gabbons, znany wśród policjantów jako Jingles. Zmierch dogorywał, rozpadając się w proch. Oczywiście „proch” był metaforyczny, w przeciwieństwie do prochów na rękach i twarzach obu gliniarzy ze stanowej. Te prochy były prawdziwe. Rhodes cały czas wracał myślą do urwanej dłoni i ramienia; wystarczyło, że rzucił okiem, by od razu domyślić się, do kogo należały. Jezu!

Przestań o tym myśleć! — nakazał swojemu umysłowi.

W porządku — zgodził się umysł i natychmiast wrócił do tamtego makabrycznego obrazu.

— Spróbuj jeszcze raz połączyć się przez radio — powiedział. — Pewnie mamy zakłócenia od tego nowego talerza mikrofalowego w Troy.

— Dobra. — Jingles chwycił mikrofon. — Tu szesnastka do bazy. Słyszysz, Tug? Odbiór.

Zwolnił przycisk i obaj zaczęli nasłuchiwać. Z głośnika dobywały się jednak tylko dziwne piszczące zakłócenia, a w głębokim tle pobrzmiwały dalekie głosy jakby z zaświatów.

— Spróbować jeszcze raz? — spytał Jingles.

— Nie. Niedługo wyjedziemy z tej strefy.

Z włączonymi kogutami Bent gnał siedemdziesiąt mil na godzinę drogą numer 3 w kierunku Derry. Gdzie, do cholery, podziewały się posiłki? W drodze do Haven Village i z powrotem nie było kłopotów z łącznością; komunikaty radiowe brzmiały wręcz upiornie czysto. Zresztą dziś wieczorem w Haven nie tylko radio było źródłem upiornych wrażeń.

Zgadza się! — odpowiedział mu umysł. — *Nawiasem mówiąc, rozpoznałeś obrączkę od razu, prawda? Nie da się nie rozpoznać obrączki policjanta nawet na palcu kobiety, nie? Widziałeś, jak zwisały jej ścięgna? Wyglądało to jak odrąbany kawał mięsa u rzeźnika, co? Barani udziec czy coś w tym rodzaju. Wyrwało jej całe ramię! Nie...*

Powiedziałem przestań! Niech cię szlag, zamknij się wreszcie!

W porządku, jasne. Na moment zapomniałem, że nie masz ochoty o tym myśleć. Albo pieczona rolada, co? I tyle krwi!

Błagam, przestań już — jęknął w duchu.

Jasne, nie ma sprawy, wiem, że zwariuję, ciągle o tym myśląc, ale i tak będę o tym myśleć, bo chyba nie potrafię przestać. Jej ręka, jej ramię — wyglądały gorzej niż wszystkie wypadki drogowe, jakie widziałem, ale co z resztą? Z urwanymi głowami? Oczami? Stopami? Tak, to musiał być nielichy wybuch pieca, nic innego.

— Gdzie nasze posiłki? — zapytał niespokojnie Jingles.

— Nie wiem.

Kiedy ich jednak zobaczy, może im zabić nielichego klina, co?

„Mam dla was zagadkę — mógłby powiedzieć. — Nie do rozwiązania. Jak to możliwe, że po wybuchu znajdujecie dookoła zmasakrowane ciała, ale jest tylko jedna ofiara śmiertelna? A przy okazji, jakim cudem wybuch pieca spowodował tylko urwanie wieży ratuszowej, nie wyrządzając więcej szkód? I jeśli o tym mowa, jakim cudem przewodniczący rady Berringer nie potrafił zidentyfikować ciała, skoro nawet ja wiedziałem, kto to jest? No jak, poddajecie się, chłopaki?”

Nakrył to ramię kocem. Z pozostałymi częściami ciała nie można było nic zrobić, zresztą przypuszczał, że to i tak nie miało znaczenia. Przykrył tylko ramię Ruth.

Zrobił to na chodniku głównego placu w Haven Village. Zrobił to, kiedy ten idiota szef ochotniczej straży pożarnej, Allison, stał, szczerząc zęby w uśmiechu, jak gdyby to było

przyjęcie charytatywne, a nie eksplozja, w której wyniku zginęła zacna kobieta. Wariactwo. Istne wariactwo.

Peter Gabbons zyskał ksywę Jingles, ponieważ miał chropawy głos Andy'ego Devine'a — a Jingles był postacią, którą Devine grał w starym serialu o Dzikim Zachodzie. Gdy Gabbons przyjechał z Georgii, zaczął go tak nazywać Tug Ellender, dyspozytor z centrali, i przezwisko przyłgnęło. Wysokim i zduszonym głosem, który zupełnie nie przypominał głosu Jinglesa, Gabbons powiedział:

— Stań, Bent. Niedobrze mi.

Rhodes pospiesznie zjechał na pobocze, o mało nie wpadając w poślizg, po którym radiowóz mógł wylądować w rowie. Przynajmniej propozycja padła z ust Gabbonsa; to już było coś.

Jingles wyskoczył z samochodu i dał nura w prawo. Bent Rhodes dał nura w lewo. W migającym błękitnym świetle lamp na dachu radiowozu obaj zwrócili wszystko, co było do zwrócenia. Bent oparł się ciężko o drzwi wozu, ocierając usta dłonią i słysząc odgłosy wymiotowania wciąż dobiegające z zarośli za skrajem drogi. Uniósł głowę, spoglądając w niebo i z ulgą czując na twarzy lekki podmuch wiatru.

— Już lepiej — powiedział w końcu Jingles. — Dzięki, Bent.

Benton odwrócił się do partnera. Oczy Jinglesa wyglądały jak dwie ciemne studnie pełne bezdenne go zdumienia. Było to spojrzenie człowieka, który analizuje wszystkie informacje i nie umie dojść do żadnych rozsądnych wniosków.

— Co tam się stało? — zapytał Bent.

— Ślepy jesteś, stary? Odpaliło wieżę ratuszową jak raketę.

— Jak wybuch pieca mógł oderwać wieżę?

— Nie wiem.

— Pluj na to. — Bent próbował splunąć. Nie mógł. — Wierzysz w to? Lipcowy wybuch pieca wysadza w powietrze wieżę ratuszową?

— Nie. Tu coś śmierdzi.

— Zgadza się, chłopie. Śmierdzi jak cholera. — Bent zamilkł na chwilę. — Jingles, co tam czułeś? Nie czułeś czegoś dziwnego?

— Może — odrzekł niepewnie Jingles. — Może coś czułem.

— Co?

— Nie wiem — powiedział Jingles. Głos zaczął mu się nieco załamywać, wchodząc w górne rejestry jak głos dziecka bliskiego płaczu. Nad ich głowami jaśniał firmament gwiazd.

W pachnącej letniej ciszy cykały świerszcze. — Tak się cieszę, że stamtąd wyjechaliśmy...

I nagle Jingles, który wiedział, że nazajutrz wróci do Haven, żeby asystować przy sprzątaniu i śledztwie, naprawdę zaczął płakać.

2

Po chwili ruszyli w dalszą drogę. Na niebie zgasły już ostatnie ślady dnia. Bent cieszył się z ciemności. Naprawdę nie chciał patrzeć na Jinglesa... i naprawdę nie chciał, żeby Jingles patrzył na niego.

Nawiasem mówiąc, Bent — odezwały się znów jego myśli — to było cholernie zaskakujące, nie? Cholernie niesamowite. Oderwane głowy i nóżki, niektóre jeszcze w bułkach, co? I korpusy! Widziałeś te korpusy? I oko! Widziałeś to niebieskie oko? Musiałeś widzieć! Kopnąłeś je do rynsztoka, kiedy się schyliłeś po rękę Ruth McCausland. Tyle urwanych rąk, nóg, głów i tułowi, ale tylko Ruth zginęła. Zagadka na mistrzowski konkurs zagadek, nie ma co.

Rozrzucone części ciała wyglądały okropnie. Poszatkowane szczątki nietoperzy — ogromnie dużo — także wyglądały okropnie. Ale nic nie wyglądało tak okropnie jak ramię Ruth z obrączką od męża na trzecim palcu prawej dłoni, bo dłoń i ramię Ruth były prawdziwe.

Z początku wstrząsnął nim widok urwanych głów, nóg i okaleczonych tułowi — przez moment pomyślał ze zgrozą, że w chwili wybuchu ratusz zwiedzała jakaś klasa, choć były wakacje. Potem do jego sparaliżowanej strachem świadomości dotarło, że nawet dzieci z przedszkola nie mają takich drobnych ciał i żadne dzieci nie mają rąk i nóg, które nie krwawią, kiedy oderwać je od tułowia.

Rozejrzał się i dostrzegł Jinglesa, który trzymał w jednej ręce dymiącą główkę, a w drugiej częściowo stopioną nóżkę.

— Lalki — powiedział Jingles. — Pieprzone lalki. Skąd tu się wzięły te pieprzone lalki, Bent?

Już miał odpowiedzieć, że nie wie (choć już wtedy widok lalek z czymś mu się kojarzył; dopiero później miał się domyślić), gdy nagle zauważył, że ludzie w Haven Lunch wciąż jedzą. Ludzie w sklepie nie przerwali robienia zakupów. Poczul w sercu dojmujący chłód, jak gdyby ktoś dotknął go tam palcem zrobionym z lodu. Przecież to była kobieta, którą większość ich znała całe życie — znała, szanowała, a wielu ją kochało — mimo to jak gdyby nigdy nic wrócili do swoich spraw.

Wrócili do swoich spraw, jakby nie stało się absolutnie nic złego.

Właśnie wtedy Bent Rhodes zapragnął — naprawdę zapragnął — jak najszybciej wyjechać z Haven.

Ścisząc radio, w którym wciąż terkotały tylko niezrozumiałe trzaski, Bent przypomniał sobie, co mu się wcześniej skojarzyło.

— To były jej lalki. Pani McCausland. — Ruth, pomyślał Bent. Szkoda, że nie znałem jej tak dobrze, żeby mówić jej po imieniu. Bestia Dugan jest z nią na ty. Był. O ile wiem, wszyscy ją lubili. Dlatego właśnie dziwne było to, że wszyscy wrócili do swoich spraw.

— Chyba coś słyszałem — odezwał się Jingles. — To było jej hobby, nie? Mogłem o tym słyszeć w Haven Lunch. Albo u Coodera, jak piłem jakąś colę z tymi, co pamiętają dawne czasy.

Raczej piłeś z nimi piwo, pomyślał Rhodes, ale tylko skinął głową.

— Tak. I to, zdaje się, były właśnie jej lalki. W zeszłym roku wiosną rozmawiałem o pani McCausland z Bestią...

— Z Bestią? — przerwał mu Jingles. — To Bestia Dugan znał panią McCausland?

— Chyba całkiem dobrze. Przed śmiercią jej męża, on i Bestia byli partnerami. W każdym razie mówił, że ma ze sto albo i dwieście lalek. Powiedział, że to jej jedyne hobby i kiedyś były nawet wystawione w Augustcie. Podobno była z tej wystawy o wiele bardziej dumna niż z rzeczy, które zrobiła dla miasta — a z tego co wiem, zrobiła sporo.

Szkoda, że nie byłem z nią po imieniu, pomyślał znowu.

— Bestia powiedział, że jeśli nie liczyć zbierania to cały czas pochłaniała ją praca. — Bent zastanawiał się przez chwilę, po czym dodał: — Bestia tak o niej mówił, że wydawało mi się, jakby, hm... miał do niej feblik. — Zabrzmiało to cholernie staroświecko, jak w westernie z Royem Rogersem, ale dokładnie określało uczucie, jakie Butch „Bestia” Dugan żywił do Ruth McCausland. — Ciebie pewnie nie wrobią w przekazanie mu tej wiadomości, ale w razie gdyby, dam ci radę: nie próbuj dowcipkować.

— W porządku, odnotowano. Akurat tego mi jeszcze trzeba na koniec dnia — żeby czepiał się mnie Bestia Dugan.

Bent uśmiechnął się niewesoło.

— A więc to jej kolekcja lalek — powiedział Jingles, kiwając głową. — Jasne, wiedziałem, że to lalki... — Dostrzegł drwiące spojrzenie Benta i uśmiechnął się blado. —

Dobra, może rzeczywiście przez sekundę... ale kiedy potem zobaczyłem, jak wyglądają w słońcu i że nie ma krwi, wiedziałem już, co to jest. Nie mogłem tylko zrozumieć, skąd ich się tyle wzięło.

— I dalej nie wiesz. Tego i wielu innych rzeczy. Nie wiemy, co lalki tam robiły. Do diabła, co w ogóle robiła tam Ruth?

Jingles miał nieszczęśliwą minę.

— Kto mógłby ją zabić, Bent? Taką miłą kobietę. Szlag by to trafił!

— Wydaje mi się, że została zamordowana — powiedział Bent. Własny głos zabrzmiał mu w uszach jak suchy odgłos łamanych patyków. — A tobie się wydaje, że to był wypadek?

— Nie. To nie był wybuch pieca. A ten dym, przez który nie mogliśmy zejść do piwnicy — twoim zdaniem miał zapach oleju?

Bent pokręcił głową. Cokolwiek to było, nigdy w życiu nie czuł podobnego zapachu. Być może ta gmda Berringer miał rację tylko co do jednego: że wdychanie tego dymu mogło być niebezpieczne i najlepiej byłoby zostać na górze, dopóki powietrze w ratuszowej piwnicy się nie oczyści. Teraz Bent zaczął się zastanawiać, czy nie powstrzymano ich celowo — może po to, żeby nie zobaczyli, że piec był zupełnie nietknięty.

— Kiedy złożymy raport o tej pieprzonej sprawie — rzekł Jingles — miejscowe kmiotki będą miały sporo rzeczy do wyjaśnienia. Allison, Berringer. I niewykluczone, że będą musieli tłumaczyć się przed Duganem.

Bent w zamyśleniu skinął głową.

— Kurwa, wszystko jakby zwariowało. Samo miasto jakby zwariowało. W pewnym momencie naprawdę zaczęło mi się kręcić w głowie. Tobie nie?

— Przez ten dym... — zaczął z powątpiewaniem Jingles.

— Pierdolić dym. Zakręciło mi się w głowie na ulicy.

— Lalki, Bent. Co tam robiły jej lalki?

— Nie wiem.

— Ja też nie. Ale to jeszcze jedna rzecz, która za cholerę nie pasuje do układanki. Pomyśl: jeśli ktoś tak bardzo jej nienawidził, że chciał ją zamordować, może nienawidził jej do tego stopnia, że postanowił razem z nią wysadzić w powietrze lalki. Myślisz, że to możliwe?

— Nie bardzo — odparł Bent Rhodes.

— A jednak — powiedział Jingles takim tonem, jakby słowa mogły stanowić niezbity dowód. Bent zaczynał rozumieć, że Jingles usiłuje stworzyć coś dorzecznego z niedorzeczności. Kazał mu jeszcze raz spróbować połączyć się z bazą.

Tym razem odbiór był nieco lepszy, ale nadal nie było się czym zachwycać. Bent nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek przedtem zakłócenia anteny mikrofalowej z Troy docierały tak blisko Derry.

3

Według świadków, z którymi rozmawiali, wybuch nastąpił o piętnastej pięć, plus minus pół minuty. Zegar ratuszowy wybił trzecią jak zawsze. Pięć minut później łubu—du! A teraz, wracając w ciemnościach do Derry, Bent Rhodes oczyma wyobraźni ujrzał dziwnie sugestywny obraz, od którego dostał gęsiej skórki na całym ciele. Zobaczył zegar na ratuszowej wieży pokazujący cztery po trzeciej gorącego i bezwietrznego lipcowego popołudnia. I nagle wszyscy wymieniają między sobą spojrzenia klienci w Haven Lunch, klienci w sklepie Coodera, klienci w sklepie żelaznym; panie w „Rupieciowisku”; dzieci siedzące na huśtawkach i wiszące apatycznie na drabinkach na placu zabaw za szkołą; jedna z tęgawych pań rozgrywających debła na miejskim korcie tenisowym za ratuszem spogląda na swoją partnerkę, a potem na tęgawę przeciwniczki po drugiej stronie siatki. Decydująca piłka

toczy się na przeciwny róg kortu, a one kładą się, zasłaniają dłońmi uszy... i czekają. Czekają na wybuch.

Wszyscy w mieście leżą na ziemi i czekają na to łubu—du, które za chwilę wedrze się w ciszę dnia jak huk wielkiego młota walącego w kawał grubego drewna.

Bent wzdygnął się za kierownicą radiowozu.

Kasjerki w sklepie Coodera. Klienci między regalami. Ludzie w Haven Lunch przy stolikach albo za barem. O piętnastej cztery wszyscy jak jeden mąż położyli się na ziemi. A o piętnastej sześć wstali i wrócili do swoich spraw. Wszyscy, z wyjątkiem wyznaczonych gapiów. A także Allisona i Berringera, którzy powiedzieli, że to była eksplozja pieca, choć nie była, i że nie wiedzą, kim jest ofiara, choć doskonale wiedzieli.

Chyba nie wierzysz, że wszyscy wiedzieli, co się stanie, prawda?

Jakaś część jego duszy wierzyła, że tak właśnie było. Bo gdyby dobrzy ludzie z Haven nie wiedzieli, jakim cudem jedyną ofiarą była Ruth McCausland i jej lalki? Jakim cudem nikt inny nie został nawet drażnięty, mimo że deszcz odłamków szkła przeszedł przez Main Street z prędkością mniej więcej stu dziesięciu mil na godzinę?

— Chyba już wyjechaliśmy poza zasięg tego pieprzonego talerza — powiedział Bent. — Spróbuj jeszcze raz.

Jingles wziął mikrofon.

— Ciągle nie rozumiem, co się stało z naszymi przeklętymi posiłkami.

— Może gdzie indziej coś się dzieje. Niestety chodzą...

— Taa, parami. Na przykład parami urwanych nówek lalek. I rączek. — Gdy Jingles wcisnął guzik mikrofonu, Bent brał łagodny zakręt. Blask reflektorów i niebieskich kogutów radiowozu odbił się nagle od pikapa, który stał w poprzek drogi.

— Jezu Chry... — Refleks był jednak szybszy. Rhodes wduślił hamulec. Gumy firestone zapiszczały i uniósł się spod nich dym; Bentowi zdawało się przez chwilę, że nie da rady. Ale radiowóz zatrzymał się trzy jardy od cielska pikapa niewiadomej marki.

— Podaj papier toaletowy — powiedział Jingles cichym, drżącym głosem.

Wysiedli, bezwiednie odpinając kabury. W rozgrzanym powietrzu unosił się zapach palonej gumy.

— Co za cholera? — krzyknął Jingles, a Bent pomyślał: On też to czuje. Coś tu nie tak, mamy ciąg dalszy tego, co się działo w tym strasznym miasteczku i on też to czuje.

Dmchnął wiatr i Bent usłyszał łopot plandeki; brezent ześliznął się z jakiegoś przedmiotu na platformie samochodu z suchym dźwiękiem, jaki wydaje grzechotnik. Bent poczuł, jak kurczą mu się jądra. To coś wyglądało jak lufa bazooki. Już miał się skulić, ale ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że to nie bazooka, ale kawałek rury przepustowej na czymś w rodzaju drewnianej podstawy. Nie było się czego bać. Mimo to bał się. Był przerażony.

— Bent, widziałem ten wóz w Haven. Stał zaparkowany przed restauracją.

— Kto tam jest? — krzyknął Bent.

Brak odpowiedzi.

Spojrzał na Jinglesa. Zobaczył jego pobladłą twarz i szeroko otwarte ciemne oczy.

Bent pomyślał nagle: Zakłócenia od anteny? Naprawdę przez to nie mogliśmy się połączyć z bazą?

— Jeżeli ktoś jest w samochodzie, niech się lepiej odezwie! — zawołał Bent. — Jesteście...

Z paki dobiegł piskliwy i szalony chichot, który zaraz umilkł.

— Jezu, nie podoba mi się to — jęknął Jingles Gabbons.

Bent ruszył naprzód, unosząc broń, a potem świat wypełniło zielone światło.

Ruth Arlene Merrill McCausland miała pięćdziesiąt lat, ale wyglądała na młodszą o dziesięć, a bywały dni, że i o piętnaście lat. Wszyscy w Haven uważali, że chociaż to kobieta, miasteczko nigdy przedtem nie miało lepszego konstabla. Zdaniem niektórych była tak dobra dlatego, że jej mąż pracował w policji stanowej. Zdaniem innych Ruth to była Ruth i już. W każdym razie wszyscy sądzili, że w jej osobie Haven spotkało wielkie szczęście. Była osobą stanowczą, lecz sprawiedliwą. W krytycznych sytuacjach potrafiła zachować rozsądek. Ludzie z Haven mówili o niej jeszcze dużo innych pochlebnych rzeczy. Jak na miasteczko w Maine, rządzone od zawsze przez mężczyzn, były to wybitne referencje. I słusznie; Ruth była bowiem kobietą wybitną.

Urodziła się i wychowała w Haven; traf chciał, że była wnuczką siostry wielebnego Donalda Hartleya, którego tak okrutnie zaskoczyło głosowanie rady w sprawie zmiany nazwy miasta w 1901 roku. W roku 1955 przyjęto ją na Uniwersytet Maine — była trzecią w historii szkoły studentką, której przyznano status słuchacza studiów dziennych w wieku zaledwie siedemnastu lat. Zapisała się na kurs przygotowujący do studiów prawniczych.

Rok później zakochała się w Ralphie McCauslandzie, uczestniku tego samego kursu. Był to wysoki chłopak; wprawdzie przy sześciu stopach i pięciu calach wzrostu był o trzy cale niższy od swego przyjaciela Anthony'ego Dugana (dla przyjaciół znanego jako Butch, a dla dwóch czy trzech naprawdę bliskich przyjaciół jako Bestia), ale Ruth przewyższał o całą stopę. Jak na tak dużego człowieka był dziwnie niemal absurdalnie — taktowny i dobroduszny. Chciał wstąpić do policji stanowej. Gdy Ruth zapytała go o powód, odparł, że jego ojciec tam pracował. Tłumaczył jej, że aby zostać gliną, nie trzeba mieć wykształcenia prawniczego; wystarczyło skończyć szkołę średnią, mieć dobre oko, niezły refleks i czystą kartotekę. Ale Ralph McCausland chciał czegoś więcej, niż tylko oddać honor ojcu, idąc w jego ślady.

— Jeżeli mężczyzna zaczyna pracę i nie ma żadnych konkretnych planów na przyszłość, musi być leniem albo wariatem — powiedział do Ruth pewnego wieczoru, gdy siedzieli, popijając colę w Bear's Den. Nie powiedział jej jednak, bo wstydził się swoich ambicji, że pewnego dnia chciałby zostać najlepszym gliną w Maine. Zresztą Ruth i tak o tym wiedziała.

W następnym roku przyjęła oświadczyzny Ralpha po warunkiem, że zaczekają, aż ona skończy studia. Powiedziała, że nie chce praktykować prawa, ale chce mu z całych sił pomagać. Zgodził się. Każdy normalny mężczyzna by się zgodził, gdyby miał do czynienia z bystrą, inteligentną i piękną Ruth Merrill. Gdy Ralph ożenił się z nią w 1959 roku, była już prawnikiem.

Do sypialni małżeńskiej weszła jako dziewica. Martwiła się trochę z tego powodu, choć tylko w najgłębszych zakamarkach duszy — nad którymi nawet ona nie potrafiła roztoczyć typowej dla siebie żelaznej kontroli — odważyła się snuć przypuszczenia, czy ta jego część jest tak samo duża jak reszta; odnosiła takie wrażenie, gdy tańczyli albo się przytulali. Ale był bardzo delikatny i tylko przez chwilę poczuła ból, który szybko przerodził się w rozkosz.

— Zajdźmy w ciążę — szepnęła mu do ucha, gdy zaczął się poruszać nad nią, w niej.

— Z przyjemnością, droga pani — odrzekł Ralph, odrobinę zdyszany.

Ale w łonie Ruth nigdy nie poczęło się nowe życie.

Ruth, jedyna córka Johna i Holly Merrillów, po śmierci ojca w 1962 roku odziedziczyła sporą sumkę i piękny stary dom w Haven Village. Razem z Ralphem sprzedali więc swój mały domek z okresu powojennego w Derry i w roku 1963 przeprowadzili się do Haven. I choć obydwójce zapewniali, że niczego do szczęścia im nie brakuje, mieli świadomość, że w

starym wiktoriańskim domu jest za dużo pustych pokoi. Być może, myślała czasem Ruth, pełnię szczęścia można osiągnąć tylko wśród drobnych zaburzeń harmonii: huku roztrzaskiwanego wazonu albo akwarium, rozdzierającego ciszę ryku radości, gdy człowiek właśnie zapada w popołudniową drzemkę, dziecka, które w Halloween napchało się słodyczy, czego konsekwencją jest napad koszmarów sennych bladym świtem pierwszego listopada. W chwilach smutku (a bardzo dbała, żeby było ich jak najmniej) Ruth czasem myślała o muźmańskich rzemieślnikach wyrabiających dywany, którzy zawsze celowo popełniali przy pracy błąd, by w ten sposób oddać cześć doskonałemu Bogu, który stworzył ich, istoty omylne. Nieraz przychodziło jej do głowy, że dziecko zapewniłoby taką skazę w gobelinie uczciwego życia — znamię będące wyrazem szacunku dla Stwórcy.

Na ogół byli jednak szczęśliwi. Razem przygotowywali najtrudniejsze sprawy Ralpa, a potem w sądzie zawsze cichym i pełnym szacunku głosem składał druzgocące zeznanie. Nieważne, czy chodziło o pijanego kierowcę, podpalacza czy gościa, który w pijackiej burdzie w przydrożnym barze rozbił butelkę piwa na głowie kompana. Jeśli aresztował cię Ralpa McCausland, prawdopodobieństwo wymigania się od kary było zbliżone do prawdopodobieństwa, z jakim człowiek stojący w strefie zero obszaru próbnych wybuchów jądrowych odniesie jedynie lekkie rany powierzchowne.

Podczas gdy Ralpa powoli, lecz nieustępliwie piał się po szczeblach hierarchii policji stanu Maine, Ruth rozpoczęła swoją karierę w służbie dla miasta — choć nigdy nie myślała o tym jako „karierze” i na pewno nigdy nie myślała o tym jako „polityce”. Nie była to polityka, ale służba. Mała, lecz zasadnicza różnica. Nie była wcale tak spokojna i zadowolona z pracy, jak się wydawało ludziom, dla których pracowała. Do spełnienia brakowało jej tylko dziecka. Nie było w tym nic zaskakującego ani poniżającego. Była przecież dzieckiem swoich czasów, ale nawet bardzo inteligentne osoby nie są odporne na zmasowany ogień propagandy. Poszli z Ralphem do lekarza w Bostonie, który po szczegółowych badaniach zapewnił ich, że oboje są płodni. Poradził im, żeby się po prostu zrelaksowali. W pewnym sensie była to dla nich okrutna wiadomość. Gdyby jedno z nich okazało się bezpłodne, mogliby dokonać adopcji. W tej sytuacji postanowili jeszcze jakiś czas poczekać, stosując się do rady lekarza... a raczej próbując. Choć żadne z nich jeszcze o tym nie wiedziało ani tego nie przeczuwało, kiedy znów zaczęli rozmawiać o adopcji, Ralpa nie miał już zbyt wiele życia przed sobą.

W ostatnich latach ich małżeństwa Ruth dokonała swojej adopcji — adoptowała Haven.

Na przykład biblioteka. Na plebanii metodystów od niepamiętnych czasów było pełno książek — trochę z serii „Detective Book Club”, trochę z „Reader’s Digest”, z których po otwarciu unosiła się wyraźna woń pleśni; inne po awarii rur w probostwie, z których w roku 1947 trysnęła woda, rozdeły się do wielkości książek telefonicznych, ale większość była w zaskakująco dobrym stanie. Ruth cierpliwie je przejrzała, pozostawiając dobre, złe sprzedając na makulaturę, a te, których nie dało się już uratować, wyrzuciła. Oficjalne otwarcie Miejskiej Biblioteki Haven urządzonej w odmalowanej i odnowionej plebanii metodystów nastąpiło w grudniu 1968 roku, a Ruth zgłosiła się na ochotnika do jej prowadzenia i była bibliotekarką do roku 1973. Kiedy skończyła pracować, powieszono jej zdjęcie nad gzymsem kominka w czytelnicy. Ruth protestowała, lecz w końcu dała za wygraną, kiedy zrozumiała, że chcą ją uhonorować, czy tego chce, czy nie. Zrozumiała, że może zranić ich uczucia, ale nie odwiedzie ich od powziętego zamiaru. Musieli ją uhonorować. Biblioteka, którą Ruth zakładała sama, siedząc na zimnej podłodze plebanii, otulona w myśliwską kurtkę Ralpa w czerwonej kratę, puszczać ustami i nosem gęste pióropusze pary i cierpliwie sortując całe pudła książek, dopóki ręce jej nie zdrętwiały, w 1972 roku uzyskała tytuł Miejskiej Biblioteki Roku w Maine.

Fakt ten w innych okolicznościach sprawiłby zapewne Ruth przyjemność, ale w 1972 i 1973 roku niewiele rzeczy mogło jej sprawić przyjemność. W siedemdziesiątym drugim roku zmarł Ralpa McCausland. Pod koniec wiosny zaczął się skarżyć na silne bóle głowy. W

czerwcu w prawym oku pojawiła się duża czerwona plamka. Prześwietlenie wykazało guza mózgu. Umarł w październiku, dwa dni przed swoimi trzydziestymi siódmymi urodzinami.

W sali domu pogrzebowego Ruth bardzo długo stała nad odkrytą trumną. Przez cały tydzień niemal przez przerwy płakała i podejrzewała, że jeszcze nie skończyła, że nosi w sobie jeszcze oceany łez na przyszłe tygodnie i miesiące. Ale płacz przy ludziach uważała za równie niestosowny jak pokazywanie się nago. Tym, którzy się jej wtedy przyglądali (czyli prawie wszystkim), wydawała się równie opanowana i urocza jak zawsze.

— Zegnaj, kochany — powiedziała w końcu i pocałowała go w kącik ust. Zsunęła z jego palca obrączkę policyjną i włożyła na swój trzeci palec. Nazajutrz pojechała do G. M. Pollocka w Bangor, aby ją dopasować. Nosila ją do końca życia i choć w chwili śmierci całe jej ramię zostało oderwane od tułowia, ani Bent, ani Jingles nie mieli kłopotów z identyfikacją obrączki.

2

Zorganizowanie biblioteki i praca w niej nie były jedyną służbą dla miasta, jakiej poświęciła się Ruth. Przez siedem lat każdej jesieni zbierała datki dla Stowarzyszenia Walki z Rakim i co roku zbierała największą kwotę dla stowarzyszenia w kategorii małych miast w stanie Maine. Tajemnica jej sukcesu była bardzo prosta: Ruth chodziła dosłownie wszędzie. Bez lęku i bardzo życzliwie rozmawiała na odludziu z mieszkańcami o krzaczastych brwiach i zapadniętych oczach, którzy zupełnie zeszli na psy i przypominali kundle ujadające na ich podwórkach zagraconych wrakami aut i niszczącym sprzętem polowym. I w większości wypadków udawało się jej uzyskać datek. Być może niektórzy płacili przez zaskoczenie, ponieważ pierwszy raz od bardzo dawna mieli towarzystwo.

Tylko raz ugryzł ją pies. Było to jednak pamiętne wydarzenie. Pies nie był wcale duży, ale miał mnóstwo zębów.

Na skrzynce na listy widniał napis MORAN. W domu nie było nikogo z wyjątkiem psa, który wybiegł zza budynku, warcząc na Ruth, pukając w niemalowane drzwi od strony werandy. Wyciągnęła rękę, a pies pana Morana natychmiast ją ugryzł, odskoczył i zsiakł się z przejścia na werandzie. Ruth ruszyła w dół po schodkach, wyciągając z torebki chusteczkę i owijając nią krwawiącą rękę. Pies przypadł do niej i ugryzł ją znowu, tym razem w nogę. Kiedy go kopnęła, cofnął się, lecz gdy utykając, szła w stronę swojego darta, podbiegł z tyłu i ugryzł po raz trzeci. Była to jedyna poważna rana. Pies pana Morana wygryzł z lewej łydki Ruth spory kawałek ciała (tego dnia miała na sobie spódnice; nigdy więcej nie wychodziła już w spódnicy zbierać datków na Stowarzyszenie Walki z Rakim), a potem zrejterował na porośnięty chwastami trawnik przed domem pana Morana, gdzie usiadł, śliniąc się i ujadając. Z wywieszzonego języka psa kapłała krew Ruth. Zamiast usiąść za kierownicą, Ruth otworzyła bagażnik. Nie spieszyła się. Czowała, że gdyby wykonała gwałtowny ruch, pies na pewno zaatakowałby ją ponownie. Wyciągnęła remingtona 30–06, którego miała, odkąd skończyła szesnaście lat. Zastrzeliła psa w momencie, gdy znowu ruszył truchtem w jej kierunku. Podniosła zwłoki, włożyła do wysłanego gazetami bagażnika i zawiozła do doktora Daggetta, weterynarza w Augustie, który leczył Petera, psa Bobbi, zanim sprzedał interes i wyniósł się na Florydę.

— Jeśli ten kundel miał wściekliznę, będę miała spore kłopoty — oświadczyła Daggettowi. Weterynarz odwrócił wzrok od psa, który miał kulę między oczami i mizerne resztki czaszki z tyłu, po czym spojrzął na Ruth McCausland, która, choć została pogryziona i krwawiła, była jak zawsze miła. — Wiem, że nie zostawiłam tyle mózgu do badania, ile by pan sobie życzył, ale to było nieuniknione. Zechce pan spojrzeć, doktorze?

Daggett powiedział jej, że sama musi iść do lekarza; trzeba oczyścić rany i założyć szwy na łydce. Weterynarz był wytrącony z równowagi jak nigdy dotąd. Ruth oświadczyła mu, że

przecież on świetnie potrafi oczyścić rany. Natomiast jeśli chodzi o — jak to określiła — „szydełkowanie”, zaraz pojedzie na ostry dyżur do szpitala w Derry, tylko wcześniej musi zadzwonić do kilku osób. Powiedziała mu, żeby tymczasem zajął się badaniem psa, i spytała, czy może zatelefonować z jego prywatnego gabinetu, aby nie denerwować klientów. Gdy Ruth weszła do lecznicy, jakaś kobieta krzyknęła, czemu zresztą wcale nie należało się dziwić. Jedną nogę miała rozharataną i zakrwawioną. W poplamionych krwią rękach trzymała zawiniętego w koc, sztywniejącego trupa psa Morana. Daggett zapewnił ją, że może skorzystać z jego telefonu. Pierwszy raz Ruth zadzwoniła na koszt rozmówcy, a drugą rozmowę kazała doliczyć do swojego rachunku; miała wątpliwości, czy pan Moran będzie skłonny zapłacić. Ralph był u Bestii Dugana i razem z nim przeglądał zdjęcia z miejsca zbrodni, przygotowując się do procesu o zabójstwo. Żona Bestii nie wyczuła w głosie Ruth, że coś jest nie w porządku, Ralph też nie; później powiedział jej, że jest świetnym materiałem na przestępcę. Poinformowała go, że dzisiejszy objazd w sprawie datków na Stowarzyszenie Walki z Rakim trochę się przedłużył. Powiedziała Ralphowi, że jeśli wróci przed nią, niech sobie odgrzeje klopsa i usmaży jedną z tych warzywnych mieszanek, które tak lubi; w zamrażarce jest jeszcze sześć czy siedem paczek. Gdyby przyszła mu ochota na coś słodkiego, w pojemniku na pieczywo znajdzie ciasto drożdżowe. Wtedy do gabinetu wszedł Daggett i zaczął dezynfekować jej rany. Ruth była bardzo blada. Ralph dopytywał się, co takiego ją zatrzymało. Odrzekła, że mu opowie, kiedy wróci do domu. Ralph odparł, że będzie na nią czekał i że ją kocha. Ruth odpowiedziała, że czuje do niego dokładnie to samo. Potem, gdy Daggett skończył opatrywać ranę z tyłu kolana (z ręką uporał się, gdy Ruth rozmawiała z Ralphem) i zabrał się do głębokiej rany w łydce (dosłownie czuła, jak zranione ciało próbuje się cofać przed alkoholem), zadzwoniła do pana Morana. Powiedziała mu, że jego pies ugryzł ją trzy razy, o jeden raz za dużo, więc była zmuszona go zastrzelić. Zostawiła mu w skrzynce na listy deklarację wpłaty i Stowarzyszenie Walki z Rakim będzie mu bardzo wdzięczne za każdą kwotę, jaką przekaże na jego rzecz. Nastąpiła chwila ciszy. Potem pan Moran zaczął mówić. Wkrótce pan Moran podniósł głos. Wreszcie pan Moran zaczął wrzeszczeć. Pan Moran tak się wściekł, że potok wulgaryzmów, jaki bluznął z jego ust, w swej płynności zbliżył się nie tyle do poezji, ile wręcz do wiersza homeryckiego. Nigdy potem nie wspiął się już na takie wyżyny, a gdy bez powodzenia próbował, zawsze przypominał sobie tę rozmowę ze smutną, niemal czułą nostalgią. Nie da się zaprzeczyć, że Ruth obudziła w nim mistrza. Pan Moran zapowiedział, że ją zaskarży, oskubie z ostatniego dolara i wpędzi w długi. Oświadczył, że pozwie ją do sądu, a grywa w pokera z najlepszym adwokatem w okręgu. Pan Moran wyraził opinię, że Ruth wkrótce się przekona, iż pocisk, którego użyła, by zabić jego poczciwego psa, okaże się najdroższym pociskiem, jakim kiedykolwiek załadowała strzelbę. Powiedział, że kiedy się policzą, Ruth będzie przeklinała swoją matkę za to, że rozchyliła nogi przed jej ojcem. Nadmienił, że mimo głupoty jej matki, rozmawiając z Ruth, dochodzi do wniosku, że jej lepsza część wytrysnęła z niewątpliwie niezbyt okazałego kutasa jej ojca i potoczyła się po kawale słoniny, który matka Ruth nazywała udem. Pan Moran poinformował ją, że choć Jej Napuszonej Mości Ruth McCausland wydaje się, że jest Królową Gównianego Wzgórza, niedługo się przekona, że jest tylko zwykłym kawałkiem gówna pływającym w Wielkiej Muszli Klozetowej Życia. Dodał, że w tym konkretnym wypadku trzyma łańcuszek wielkiej spluczki i zamierza za niego pociągnąć. Pan Moran mówił jeszcze dużo innych rzeczy. Nie tylko mówił, wygłaszał kazanie. Nawet pastor Colson (a może jednak Cooder?) w szczytowej formie nie dorównałby tego dnia Moranowi. Ruth czekała cierpliwie, żeby w końcu skończyła mu się wena, przynajmniej na jakiś czas. Wtedy cichym i miłym głosem, który w najmniejszym stopniu nie zdradzał, że czuła, jakby jej łydkę włożono do pieca, powiedziała panu Moranowi, że choć prawo nie jest całkiem jednoznaczne w tej kwestii, to w wypadku zaatakowania przez

zwierzę, częściej zasądza się odszkodowania na rzecz gościa, nawet nieproszonego, niż na rzecz właściciela. Pytanie natomiast, czy właściciel dołożył wszelkich starań, aby...

— O czym ty gadasz, do kurwy nędzy?! — wrzasnął pan Moran.

— Próbuje panu powiedzieć, że sądy niezbyt przychylnie patrzą na człowieka pozostawiającego przy domu nieuwiązanego psa, który może ugryźć kobietę prowadzącą zbiórkę na organizację charytatywną w rodzaju Stowarzyszenia Walki z Rakiem. Innymi słowy, staram się pana przekonać, że sąd każe panu zapłacić za to, że zachował się pan jak ostatni dupek.

Po drugiej stronie zapadło osłupiałe milczenie. Muza pana Morana opuściła go na zawsze.

Ruth nie odzywała się przez chwilę, walcząc z falą zawrotów głowy, gdy tymczasem Daggett skończył dezynfekować ranę i nałożył sterylny opatrunek.

— Gdyby pozwał mnie pan do sądu, panie Moran, czy mój adwokat znajdzie świadka, który potwierdzi, że pański pies kogoś już wcześniej pogryzł?

Po drugiej stronie telefonu wciąż panowała cisza.

— Może dwóch świadków?

Nadal cisza.

— Może trzech...

— Pierdol się, przemądrzała cipo — powiedział nagle Moran.

— Cóż — odparła Ruth — rozmowa z panem nie należy do przyjemności, ale wysłuchanie poglądów, jakie zechciał pan wygłosić, z pewnością było pouczające. Czasem człowiek sądzi, że ujrzał już dno studni ludzkiej głupoty, ale spotyka kogoś, dzięki komu dowiaduje się, że ta studnia jednak nie ma dna. Obawiam się, że muszę już kończyć. Miałam nadzieję, że odwiedzę jeszcze dzisiaj co najmniej sześć domów, ale niestety będę to musiała odłożyć. Muszę jechać do szpitala w Derry, żeby założyli mi parę szwów.

— Mam nadzieję, że cię tam zapierdolą — rzekł Moran.

— Rozumiem. Proszę się jednak postarać wspomóc Stowarzyszenie Walki z Rakiem. Każdy grosz się liczy, jeżeli jeszcze za naszego życia mamy powstrzymać raka. Może się do tego przyczynić nawet tak choleryczny, ordynarny, głupi i niewydarzony skurwysyn jak pan.

Pan Moran nie pozwał jej do sądu. Jednak tydzień później otrzymała od niego kopertę z deklaracją wpłaty na Stowarzyszenie Walki z Rakiem. Nie nakleił znaczka, jak przypuszczała Ruth, celowo, aby opłatę musiał uiścić adresat. W środku była karteczka i jednodolarowy banknot z dużą brązową plamą. **PODTARŁEM TYM SOBIE DUPEŁ, DZIWKO!** brzmiała wiadomość nagryzmołona na karteczce triumfalnymi kulfonami. Było to pismo pierwszoklasisty, który ma kłopoty z koordynacją ruchową. Trzymając dolara za brzeżek,

Ruth wrzuciła go do brudnej bielizny i uprała. Potem wyciągnęła banknot (był już czysty; przy swej ignorancji pan Moran widocznie nie wiedział, że gówno daje się zmyć) i wyprasowała. Tak więc banknot był nie tylko czysty, ale wyglądał jakby wczoraj wypłacono go z banku. Włożyła dolara do płóciennego worka, w którym trzymała wszystkie zebrane pieniądze.

Na liście wpłacających zanotowała: „B. Moran, ofiarowana kwota: 1,00 dol.”.

3

Miejska Biblioteka Haven, Stowarzyszenie Walki z Rakiem, Konferencja Małych Miast Nowej Anglii. We wszystkich tych instytucjach Ruth pełniła służbę dla Haven. Działała też aktywnie w kościele metodystów; rzadko zdarzała się kolacja dobroczynna, na której zabrakłoby zapiekanki Ruth McCausland, czy kieras wypieków bez jej placka lub bochenka chleba z rodzynkami. Zasiadała także w radzie szkoły i szkolnej komisji opiniującej podręczniki.

Ludzie mówili, że nie wiedzą, jakim sposobem robiła to wszystko. Kiedy ją pytano, uśmiechała się i mówiła, że jej zdaniem szczęście to ręce pełne roboty. Można przypuszczać, że przy takim natłoku zajęć nie znajdowała czasu na żadne hobby... lecz miała dwie pasje. Uwielbiała czytać (szczególnie podobały się jej westerny Bobbi Anderson; miała je wszystkie, każdy opatrzony podpisem autorki) i kolekcjonowała lalki.

Psychiatra powiedziałby, że kolekcjonowanie lalek jest u Ruth tożsamy z niespełnionym pragnieniem posiadania dzieci. Ruth, choć nie bardzo popierała psychiatrów, pewnie by się zgodziła. W każdym razie do pewnego stopnia. „Wszystko jedno, jaka jest przyczyna, ale dają mi dużo szczęścia — rzekłaby, gdyby ktoś zwrócił jej uwagę na opinię psychiatrii w tej sprawie. — I wierzę, że szczęście to przeciwieństwo smutku, goryczy i nienawiści: szczęścia nie należy badać, jak długo się da”.

W pierwszych latach po przeprowadzce do Haven Ruth i Ralph mieli na górze wspólny pokój do pracy. Dom był na tyle duży, że każde z nich mogłoby mieć osobny kącik, ale lubili spędzać wieczory razem. Właściwie duży gabinet na początku był dwoma pokojami, dopóki Ralph nie zburzył dzielącej ich ściany, tworząc wewnątrz przestronniejsze od salonu na dole. Ralph miał tu swoją kolekcję monet i pudełek po zapalniczkach, całą ścianę regałów z książkami (w ogóle nie miał beletrystyki, większość książek była o historii wojskowości) oraz sekretarzyk z żaluzjowym zamknięciem, którego blat Ruth odnowiła sama.

A dla Ruth urządził coś, co oboje zaczęli wkrótce nazywać klasą.

Mniej więcej dwa lata przed pierwszymi bólami głowy Ralph zauważył, że Ruth szybko zaczyna brakować miejsca na lalki (cały rząd siedział już na jej biurku i gdy Ruth pisała na maszynie, czasem spadały na podłogę). Lalki zajmowały stołek w kącie, nonszalancko dyndały nóżkami z parapetów, a kiedy goście siadali na krzesłach, zwykle musieli brać na kolana ze trzy czy cztery. Ruth miała wielu gości: była notariuszem i zawsze ktoś wpadał poświadczyć akt kupna — sprzedaży albo ostemplować weksel.

Tak więc na Boże Narodzenie Ralph zbudował dla lalek kilkanaście ławeczek podobnych do ławek kościelnych. Ruth była zachwycona. Mebelki przypominały jej jednoizbową szkołę przy Crosman Corner, do której chodziła. Ustawiła ławeczki w równych rzędach i posadziła na nich lalki. Odtąd tę część gabinetu Ruth nazywano klasą.

W Boże Narodzenie następnego roku — były to ostanie święta Ralpha, choć guz, który miał go zabić, stanowił dopiero mikroskopijną kropeczkę w głowie — podarował jej jeszcze cztery ławki, trzy nowe lalki i tablicę wielkości odpowiedniej do ławeczek — wszystko, czego było trzeba, by dopełnić uroczą iluzję sali lekcyjnej.

Na tablicy był napis: „Droga Pani Profesor, Kocham Panią szczerze — CICHY WIELBICIEL”.

Dorośli byli oczarowani klasą Ruth. Większość dzieci także i Ruth zawsze się cieszyła, gdy dzieci — zarówno dziewczynki, jak i chłopcy — bawiły się lalkami, choć znajdowały się wśród nich cenne egzemplarze, a wiele starych lalek było bardzo kruchych. Niektórzy rodzice denerwowali się, gdy zdawali sobie sprawę, że ich dzieci bawią się chińską lalką sprzed rządów komunistycznych albo lalką, która należała kiedyś do córki Johna Marshalla, prezesa Sądu Najwyższego. Ruth była uprzejma; kiedy wyczuwała, że radosna zabawa dzieci sprawia, iż rodzice czują się nieswojo, wyciągała Barbie albo Kena, które trzymała z myślą o takich właśnie sytuacjach. Dzieci bawiły się nimi, lecz nieco apatycznie, jak gdyby się zorientowały, że naprawdę dobre lalki z nieznanых powodów zostały zakazane. Kiedy jednak Ruth wyczuwała, że rodzice zabraniają, bo wydaje się im, że jakoś nie wypada, aby ich dzieci bawiły się zabawkami dorosłej osoby, jednoznacznie dawała im do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko temu.

— Nie boisz się, że jakiś dzieciak ci je popsuje? — spytała ją kiedyś Mabel Noyes. W jej „Rupieciovisku” było pełno wywieszek w rodzaju OBEJRZEC I DOTKNAĆ — TO NIE KOSZTUJE, ALE ZAPŁACISZ, GDY SIĘ ZEPSUJE. Mabel wiedziała, że lalka, która

należała do córki prezesa Sądu Najwyższego, jest warta co najmniej sześćset dolarów — pokazała jej zdjęcie sprzedawcy w sklepie z rzadkimi lalkami w Bostonie i dowiedziała się, że może kosztować czterysta, więc Mabel doszła do wniosku, że sześćset może być uczciwą ceną. I lalka, która należała do Anny Roosevelt... prawdziwa haitańska laleczka wudu... Bóg wie, jakie jeszcze okazy siedziały w jednej ławeczce z tak pospolitymi zabawkami jak Szmaciana Ann i Andy.

— Ani trochę — odparła Ruth. Postawa Mabel była dla niej równie niezrozumiała jak jej postawa dla Mabel. — Jeśli Bóg zechce, żeby któraś z tych lalek została zepsuta, sam może ją zepsuć albo kazać to zrobić jakiemuś dziecku. Na razie jednak żadne dziecko nie zepsuło ani jednej. Och, to prawda, że spadło parę główek i Joe Pell zrobił coś ze sznurkiem na plecach Pani Beasley, tak że lalka mówi tylko coś w rodzaju „Czy chcesz wziąć prysznic?“, ale więcej szkód nie było.

— Wybacz, ale mimo to uważam, że to okropne ryzyko dla tak kruchych i niepowtarzalnych rzeczy — powiedziała Mabel. Pociągnęła nosem. — Czasem wydaje mi się, jakbym w życiu nauczyła się tylko jednego — że dzieci wszystko psują.

— Cóż, może ja po prostu miałam więcej szczęścia. Ale dzieci naprawdę uważają. Chyba dlatego, że kochają lalki. — Ruth zamilkła, marszcząc lekko brwi. — To znaczy, większość dzieci — poprawiła się po chwili.

Nie wszystkie dzieci chciały się bawić „maluchami z klasy” — niektóre wręcz się ich bały — i ten fakt zastanawiał i smucił Ruth. Na przykład mała Edwina Thurlow. Kiedy matka wzięła ją za rękę i przyciągnęła do lalek siedzących w rzędach i patrzących uważnie w tablicę, Edwina wydała z siebie serię przeraźliwych wrzasków. Zdaniem pani Thurlow lalki Ruth były „milutkie jak kotki i słodziutkie jak miód”; jeżeli istniały inne oklepane zwroty wyrażające zachwyt, pani Thurlow z pewnością użyła ich do określenia lalek Ruth i za nic nie potrafiła uwierzyć, że jej córka może się ich bać. Sądziła, że Edwina „po prostu trochę się wstydzi”. Ruth, która zobaczyła w oczach dziecka wyraźny błysk lęku, nie umiała odwieść matki (którą uważała za głupią, upartą babę) od tego, by niemal siłą wepchnąć dziecku lalki w rękę.

Tak więc Norma Thurlow zaciągnęła małą Edwinę do klasy, a mała Edwina darła się tak głośno, że Ralph usłyszał ją z piwnicy, gdzie właśnie wyplatał krzesła, i przyszedł zobaczyć, co się dzieje. Rozhisteryzowaną Edwinę uspokajano dwadzieścia minut i oczywiście trzeba ją było zabrać na dół, jak najdalej od lalek. Norma Thurlow była chora ze wstydu i ilekroć posyłała Edwinie karcące spojrzenie, córka znów zaczynała histerycznie łkać.

Tego samego dnia wieczorem Ruth weszła na górę i utkwiała smutne spojrzenie w klasie pełnej milczących dzieci (wśród „dzieci” były tak dostojne starowinki jak Pani Beasley i Babcia Czerwonego Kapturka, którą po odwróceniu i nieznacznych zmianach wyglądu można było przepoczwaczyć w Złego Wilka), zastanawiając się, jak mogły tak śmiertelnie przestraszyć Edwinę. Edwina naturalnie nie potrafiła sama tego wytłumaczyć; najdelikatniejsze nawet pytania wywoływały nowe wrzaski przerażenia.

— Wyrządziłście temu dziecku prawdziwą przykrość odezwała się w końcu Ruth, przemawiając cicho do lalek. Coście jej zrobiły?

Lalki gapily się na nią szklanymi oczami, oczami z guzików i nici.

— Hilly Brown też nie chciał się do nich zbliżyć, gdy jego matka przysłała poświadczyć akt sprzedaży — powiedział z za jej pleców Ralph. Ruth obejrzała się zaskoczona, a potem uśmiechnęła się do niego.

— Tak, Hilly też — odrzekła. I jeszcze kilkoro. Niewiele, ale dość, by zaczęła się martwić.

— Daj spokój — powiedział Ralph, otaczając ją w pasie ramieniem. — Przyznajcie się, które z was przestraszyło tę małą?

Lalki patrzyły na niego w milczeniu.

I nagle przez chwilę... króciutką chwilę Ruth poczuła skurcz w żołądku i dreszcz strachu, który przebiegł jej po krzyżu, grając na kęgach jak na kościanym ksylofonie... i zniknął.

— Nie przejmuj się tym, Ruthie — powiedział Ralph, przysuwając się bliżej. Od jego zapachu Ruth jak zawsze lekko zakręciło się w głowie. Pocałował ją, obejmując twardym ramieniem. W tym momencie nie tylko ramię miał twarde.

— Proszę — szepnęła nieco zdyszana, odrywając usta od jego warg. — Nie przy dzieciach.

Wybuchnął śmiechem, przytulając ją.

— To może przy dziełach zebranych Henry'ego Steele'a Commagera?

— Cudownie — wykrztusiła, zdając sobie sprawę, że już do połowy... w trzech czwartych... czterech piątych... całkiem wyluskała ją z sukienki.

Kochali się gwałtownie, ku ogromnej i... dogłębnej satysfakcji obojga. Ruth zupełnie zapomniała o chwili lodowatego lęku.

Ale w tym roku przypomniała ją sobie dziewiętnastego lipca wieczorem. Siódmego lipca obrazek z Jezusem zaczął mówić do Becki Paulson. Dziewiętnastego lipca lalki zaczęły mówić do Ruth McCausland.

4

Mieszkańcy miasta zdziwili się, ale i ucieszyli, kiedy dwa lata po śmierci Ralpa McCauslanda w 1972 roku wdowa po nim postanowiła ubiegać się o stanowisko konstabla miejskiego w Haven. Jej przeciwnikiem był „młodzieniec” nazwiskiem Mumphry. Większość ludzi uważała, że był głupi, ale była również zdania, że nic nie mógł na to poradzić; był w mieście nowy i nie wiedział, jak się zachować. Klienci Haven Lunch uważali, że nad Mumphrym należy się raczej litować, niż okazywać mu niechęć. W kampanii zaprezentował się jako gorący zwolennik demokratów, a sedno jego programu sprowadzało się do przekonania, że zadaniem osoby wybranej na stanowisko konstabla będzie przede wszystkim aresztowanie pijaków, kierowców przekraczających dozwoloną prędkość i chuliganów; od czasu do czasu będzie wzywany do zatrzymania niebezpiecznego przestępcy, którego następnie odstawi do więzienia okręgowego. Obywatele Haven z pewnością nie zamierzają wybrać na taką posadę kobiety, choćby miała wykształcenie prawnicze, prawda?

Zamierzali i wybrali. McCausland otrzymała czterysta siedem głosów, Mumphry dziewięć. Należało przypuszczać, że wśród tych dziewięciu były głosy żony Mumphry'ego, jego brata, dwudziestotrzyletniego syna oraz samego kandydata. Pozostawało pięć głosów. Nikt się nigdy do nich nie przyznał, lecz Ruth była zawsze przekonana, że Moran mieszkający na południowym krańcu miasta mógł mieć czterech przyjaciół czterech więcej, niż mogłaby podejrzewać. Trzy tygodnie po wyborach Mumphry z żoną wyjechali z Haven. Ich syn, całkiem miły chłopak imieniem John, postanowił zostać i mimo że spędził tu już czternaście lat, wciąż mówili o nim „nowy”: „Rano był tu się ostrzyc ten nowy, Mumphry; pamiętacie, jak jego stary startował przeciwko Ruth i jakie dostał baty?”. Od tej pory Ruth nie miała już przeciwników.

Mieszkańcy miasta trafnie odczytali jej kandydaturę jako publiczne ogłoszenie końca żałoby. Jedną z rzeczy (między innymi), której nieszczęsny Mumphry nie potrafił zrozumieć, był fakt, że przygniatająca różnica głosów stanowiła, przynajmniej w części, radosny okrzyk Haven: „Hura! Witaj z powrotem w domu, Ruthie!”.

Śmierć Ralpa była nieoczekiwanym wstrząsem i mały włos — naprawdę mały — zniszczyłaby otwartą i ofiarną stronę osobowości Ruth. Stronę, która w jej odczuciu łagodziła i uzupełniała dominujący rys jej charakteru. Dominującą stroną cechowała inteligencja, spryt, logika oraz — choć Ruth przyznawała się do tego z niechęcią, mimo że była tego świadoma — pewna niezycliwość.

Doszła do wniosku, że jeśli pozwole zgiąć swej otwartości i ofiarności, będzie tak, jakby drugi raz uśmierciła Ralpha. Tak więc wróciła do Haven. Wróciła, by znowu mu służyć.

W miasteczku nawet jedna osoba potrafi wiele zmienić w tym, co spece od żargonu z upodobaniem nazywają „jakością życia”; osoba taka może się nawet stać sercem miasta.

Ruth była na dobrej drodze, by zostać tak cenną osobą, kiedy zmarł jej mąż. Dwa lata później — po okresie, który z perspektywy czasu wydawał się długim i ponurym pobytem w piekle odkryła w sobie na nowo tę cenną osobę, tak jak odkrywa się jakieś чудо w ciemnym kącie strychu — szkiełko z wesołego miasteczka albo gięty fotel bujany, jeszcze na chodzie. Obejrzała odnaleziony skarb pod światło, upewniła się, że jest cały, odkurzyła, wypolerowała i przywróciła do życia. Ubieganie się o stanowisko konstabla to był dopiero pierwszy krok. Nie umiała wytłumaczyć, dlaczego wydawał się jej słuszny, ale tak było — wybrała doskonały sposób, aby równocześnie uczcić pamięć Ralpha i nadal pozostać sobą. Przypuszczała, że praca okaże się nudna i nieprzyjemna... ale podobnie było ze zbieraniem datków na Stowarzyszenie Walki z Rakim i zasiadaniem w Komisji Kwalifikacji Podręczników. Jeśli zajęcie było nudne i nieprzyjemne, to wcale nie oznaczało, że musi być bezowocne — wiele osób nie wiedziało o tym fakcie lub świadomie go ignorowało. Poza tym, powiedziała sobie, gdyby rzeczywiście się jej nie podobało, nigdzie nie jest napisane, że musi się ubiegać o drugą kadencję. Chciała służyć, a nie robić z siebie męczennicę. Gdyby praca okazała się niewdzięczna, zawsze mogła ustąpić miejsca Mumphry'emu lub komuś podobnemu.

Ale Ruth przekonała się, że praca bardzo się jej podoba. Dzięki niej miała okazję między innymi powstrzymać niektóre paskudne praktyki, na które stary John Harley przymykał oko... i którym pozwolił się rozwijać.

Na przykład Del Cullum. Cullumowie mieszkali w Haven od niepamiętnych czasów, a Delbert — mechanik o krzaczastych brwiach, który pracował w Shellu u Elta Barkera — nie był zapewne pierwszym z nich, który utrzymywał kontakty seksualne z córkami. Linia rodu Cullumów była niewiarygodnie zawiła i splątana; w Pineland mieszkało co najmniej dwóch katastrofalnie upośledzonych Cullumów, o których istnieniu Ruth wiedziała (według krążących po mieście plotek, jeden urodził się z błoną między palcami rąk i nóg).

Kazirodztwo to jedna z uświęconych zwyczajem wiejskich tradycji, o których rzadko piszą poeci romantyczni. Być może właśnie przez wzgląd na tradycję John Harley nigdy nie próbował zdecydowanie tego powstrzymać, lecz tak groteskowe pojmowanie „tradycji” nie trafiło do przekonania Ruth. Pojechała do Cullumów. Z domu dobiegł jakiś krzyk. Albion Thurlow słyszał wyraźnie, choć mieszkał ćwierć mili dalej i był głuchy na jedno ucho. Następnie rozległ się odgłos włączanej piły łańcuchowej, a potem strzał i wrzask. Po chwili warkot piły umilkł i Albion, który stał na środku drogi, patrząc w stronę domu Cullumów i osłaniając dłonią oczy, usłyszał zrozpaczone dziewczęce głosy (Bóg pokarał Delberta samymi córkami, których było sześć — były dosłownie jego przekleństwem, tak jak on ich przekleństwem).

Później, opowiadając o wszystkim zafascynowanym słuchaczom w Haven Lunch, stary Albion powiedział, że przez chwilę miał zamiar wrócić do domu i zadzwonić do pani konstabl... gdy zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie ona strzelała w domu Culluma.

Albion stał więc obok swojej skrzynki na listy, czekając na rozwój wypadków. Mniej więcej pięć minut po tym, jak ucichł odgłos piły łańcuchowej, Ruth McCausland pojechała z powrotem do miasta. A pięć minut potem obok Albiona przejechał swoim pikapem Del Cullum. Obok niego siedziała jego żona o zmęczonej twarzy. Na pace samochodu był materac i parę kartonowych pudeł załadowanych ubraniami i naczyniami. W Haven nigdy więcej nie widziano już Delberta i Maggie Cullumów. Ich trzy córki, które ukończyły już osiemnaście lat, pojechały pracować w Derry i w Bangor. Trzy niepełnoletnie zostały umieszczone w rodzinach zastępczych. Większość mieszkańców Haven ucieszyła się z rozpadu rodziny

Cullumów. Tkwili sobie na końcu Ridge Road jak cuchnące muchomory w ciemnej piwnicy. Ludzie gubili się w domysłach, co takiego Ruth zrobiła i jak tego dokonała, ale nigdy o tym nie mówiła.

Cullumowie nie byli jedynymi ludźmi, których podczas swej służby przepędziła z miasta lub aresztowała Ruth McCausland — siwiejąca i drobna kobieta (pięć stóp i pięć cali wzrostu, sto dwadzieścia pięć funtów wagi). Na przykład do domu położonego milę na wschód od farmy starego Franka Garricka wprowadzili się hipisi — narkomani. Nie upłynął miesiąc i filigranowa stopa Ruth kopniakiem wyrzuciła te nędzne, zawszone karykatury z miasta. Ludzie w miasteczku przypuszczali, że siostrzenica Franka, która pisała książki, też pewnie od czasu do czasu popalała trawkę (ludzie w miasteczku przypuszczali, że wszyscy pisarze muszą palić trawkę, pić na umór albo uprawiać seks w dziwacznych pozycjach), lecz jej nie sprzedawała, a hipisi pół mili od niej właśnie to robili.

Byli jeszcze Jorgensonowie z Miller Bog Road. Benny Jorgenson zmarł na wylew, a Iva trzy lata później ponownie wyszła za mąż, zostając Ivą Haney. Niedługo potem jej siedmioletniemu synowi i pięcioletniej córce zaczęły się przydarzać w domu różne nieszczęścia. Chłopiec przewrócił się, wychodząc z wanny; dziewczynka oparzyła rękę o piecyk. Potem chłopiec pośliznął się na mokrej podłodze w kuchni i złamał rękę, a dziewczynka nastąpiła na grabie zagrzebane w kupie opadłych liści i trzonek rąbnął ją prosto w głowę. Wreszcie wydarzył się poważny wypadek: chłopiec, schodząc do piwnicy po drewno, potknął się na schodach i doznał pęknięcia czaszki. Przez długi czas sądzono, że z tego nie wyjdzie. Bez wątplenia była to niebywale pechowa seria.

Ruth uznała, że u Haneyów coś za dużo tych pechowych wydarzeń.

Pojechała tam swoim starym dodge'em dartem i zastała Elmera Haneya siedzącego na werandzie, popijającego piwo Miller Lite, dłubiącego w nosie i zatopionego w lekturze czasopisma „Soldier of Fortune”. Ruth zasugerowała mu, że to on przynosi pecha w domu Ivy i jest nieszczęściem zwłaszcza dla małej Bethie i Richarda Jorgensonów. Powiedziała, że jej zdaniem niektórzy ojczymowie są prawdziwym nieszczęściem dla swoich pasierbów. Wyraziła też przypuszczenie, że do dzieci znów może się uśmiechnąć szczęście, jeśli Elmer Haney wyjedzie z miasta. Najlepiej niedługo. Jeszcze w tym tygodniu.

— Nie przestraszysz mnie — odrzekł spokojnie Elmer Haney. — To jest teraz mój dom. Lepiej się stąd wynoś, zanim rozwałę ci łeb polanem, wścibska suko.

— Przemyśl to — poradziła mu z uśmiechem Ruth.

Chwilę wcześniej przy skrzynce na listy zatrzymał się Joe Paulson. Wszystko słyszał — Elmer Haney mówił trochę podniesionym głosem, a Joe miał słuch w porządku. Później tego samego dnia Joe opowiadał w Haven Lunch, że kiedy tych dwoje dyskutowało, cały czas sortował pocztę i jakoś nie udało mu się posegregować przesyłek, dopóki rozmowa się nie skończyła.

— To skąd wiesz, że się uśmiechała? — zapytał Elt Barker.

— Poznałem po głosie — odparł Joe.

Tego samego dnia Ruth pojechała na komendę policji stanowej w Derry, żeby porozmawiać z Butchem „Bestią” Duganem. Mający sześć stóp i osiem cali Bestia był prawdopodobnie najwyższym gliną w całej Nowej Anglii. Dla wdowy po Ralphie był gotów zrobić wszystko z wyjątkiem popełnienia morderstwa (choć może i do tego byłby zdolny).

Dwa dni później razem pojechali do domu Haneyów. Bestia miał wolne i był po cywilnemu. Iva Haney była w pracy. Bethie w szkole. Richard oczywiście nadal leżał w szpitalu. Elmer Haney, który wciąż nie miał pracy, siedział na werandzie z butelką miller lite w jednej ręce i ostatnim numerem „Hot Talk” w drugiej. Wizyta Ruth i Bestii Dugana trwała mniej więcej godzinę. W ciągu tej godziny Elmer Haney miał wyjątkowego pecha. Ci, którzy widzieli go, jak wieczorem wyjeżdżał z miasta, mówili, że wyglądał, jakby go przeciągnięto

przez sortownik ziemniaków, ale jedyną osobą, która odważyła się zapytać, co się właściwie stało, był stary John Harley.

— Słowo daję — powiedziała z uśmiechem Ruth — w życiu czegoś takiego nie widziałam. Kiedy próbowaliśmy mu wytłumaczyć, że szczęście jego przybranych dzieci się odwróci, jeżeli zgodzi się wyjechać, Haney postanowił wziąć prysznic. W chwili kiedy z nim rozmawialiśmy! I dasz wiarę, że przewrócił się w wannie! Potem oparzył rękę o piecyk i kiedy się cofnął, pośliznął się na linoleum! Potem uznał, że musi wyjść na świeże powietrze i na dworze nadepnął na te same grabie, na które dwa miesiące wcześniej weszła mała Bethie Jorgenson. Wtedy postanowił się spakować i wyjechać. Chyba miał biedak rację. Gdzie indziej będzie miał mniejszego pecha.

5

Ruth naprawdę należała do osób, które można nazwać sercem miasta, i zapewne dlatego jedna z pierwszych poczuła zmianę.

Zaczęło się od bólu głowy i złych snów.

Ból głowy przyszedł z początkiem lipca. Czasem był tak nieznaczny, że ledwie go zauważała. Potem, bez ostrzeżenia, zaczynał narastać, zmieniając się w tępe pulsowanie w okolicach czoła. Czwartego lipca wieczorem stał się tak dokuczliwy, że zadzwoniła do Christiny McKeen, z którą wybierała się na pokaz sztucznych ogni do Bangor, i wymówiła się od wyjazdu.

Położyła się, kiedy niebo było jeszcze szare, ale gdy wreszcie zdołała zapaść w płytki sen, zupełnie się ściemniło. Przypuszczała, że nie może zasnąć z powodu upału i wilgoci pewnie inni ludzie w całej Nowej Anglii też — a to nie była pierwsza taka noc. Lato w tym roku należało do jednego z najgorętszych i najbardziej bezwietrznych, jakie pamiętała.

Śniły się jej sztuczne ognie.

Ale fajerwerki nie były czerwone, białe i ogniście pomarańczowe, tylko okropnie bladozielone. Śmigły w niebo snopami światła... lecz rozgwiezdzi z iskier, zamiast się rozpryskiwać, zlewały się ze sobą w wielkie wrzody.

Rozejrzawszy się, ujrzała ludzi, z którymi mieszkała przez całe życie: Harleyów, Crenshawów, Brownów, Duplisseyów, Andersonów i Clarendonów — patrzyli w niebo, a na ich twarzach odbijał się zgnity blask bagiennych świateł. Stali przed budynkiem poczty, przed apteką „Rupiecioviskiem”, Haven Lunch, Bankiem Northern National, przed szkołą i stacją Shella, z oczami pełnymi zielonego ognia i głupkowato rozchylonymi ustami.

Zaczęły im wypadać zęby.

Justin Hurd odwrócił się do niej i uśmiechnął, ukazując gładkie różowe dziąsła. W świetle szalonego snu jego ślina ściekająca z dziąseł wyglądała jak smarki.

— Dobrze mi jeszt — wyseplenił Justin, a ona pomyślała: Uciekaj stąd! Wszyscy muszą stąd natychmiast uciekać! Jeżeli zostaną, umrą tak samo jak Ralph!

Justin ruszył w jej stronę, a ona z narastającą grozą zobaczyła, jak jego twarz zaczyna się marszczyć i przepoczwarzać, wydymając się jak pokryta szwami twarz Lumpkina, lalki — stracha na wróble z jej kolekcji. Rozejrzawszy się gorączkowo, stwierdziła, że wszyscy zamienili się w lalki. Odwróciła się do niej Mabel Noyes; w jej niebieskich oczach malowało się to samo wyrachowanie i skąpstwo co zawsze, ale usta zamarły w szerokim uśmiechu chińskiej lalki.

— Sztukosztrachy — wysepleniła Mabel dzwięcym, donośnym głosem i Ruth zbudziła się zdyszana, otwierając szeroko oczy i wpatrując się w ciemność.

Ból głowy zniknął, przynajmniej na razie. Ocknęła się ze snu z wyraźną myślą: Ruth, musisz natychmiast wyjechać.

Nie trać czasu na pakowanie — ubierz się, wsiadaj do samochodu i jedź!

Nie mogła jednak tego zrobić.

Położyła się z powrotem i po długim czasie znów zasnęła.

6

Kiedy nadeszło zgłoszenie, że pali się dom Paulsonów, na miejsce przybyła ochotnicza straż pożarna z Haven... ale po zaskakująco długiej zwłoce. Ruth przyjechała dziesięć minut przed pojawieniem się pierwszego strażaka. Urwałaby głowę Dickowi Allisonowi, gdyby się tylko zjawił, tyle że wiedziała, iż oboje Paulsonowie nie żyją... i oczywiście, Dick Allison także o tym wiedział. Dlatego nie za bardzo się spieszył, jednak Ruth nie poczuła się przez to ani trochę lepiej. Wręcz przeciwnie.

Skąd wiedziała o śmierci Paulsonów?

Nie miała pojęcia.

Nawet uświadomienie sobie faktu, że wie, było prawie niemożliwe. W dniu, kiedy spłonął dom Paulsonów, Ruth zdała sobie sprawę, że od mniej więcej tygodnia wie o rzeczach, o których nie miała prawa wiedzieć. Ale wydawało się to zupełnie naturalne! Stało się to niepostrzeżenie, bez żadnych fanfar. Wiedza o nieznanych dawniej rzeczach stała się dla Ruth — i dla wszystkich w Haven — tak naturalna jak bicie serca i oddychanie. Nie myślała już o tym, tak jak nie myśli się o cichym i miarowym biciu własnego serca.

Musiała jednak o tym myśleć. Dlatego że przez to Haven zaczęło się zmieniać... i nie były to zmiany na lepsze.

7

Kilka dni przed zniknięciem Davida Browna Ruth uświadomiła sobie z niejasnym uczuciem niepokoju, że ze strony wszystkich mieszkańców miasta spotykają ostracyzm. Nikt jej nie opluwał, kiedy rano szła ulicą ze swojego domu do biura w ratuszu... nikt nie rzucał w nią kamieniami... wyczuwała w ich myślach sporo dawnej życzliwości... ale wiedziała, że ludzie odwracają się i odprowadzają ją spojrzeniem. Szła z podniesioną głową i spokojną twarzą, jak gdyby w jej głowie nie pulsował rwący ból niczym w psującym się zębie, jak gdyby w nocy (tej i wczorajszej, a także poprzedniej i...) nie rzucała się na łóżku, usiłując zasnąć, a gdy udało się jej zapaść w płytką drzemkę, nie nachodziły jej okropne sny, których nie pamiętała, kiedy wyrywała się z ich zimnych macek.

Przyglądali się jej... przyglądali, czekając, aż...

Aż co?

Wiedziała: czekali, aż zacznie się „przemieniać”.

8

W tygodniu między pożarem u Paulsonów a DRUGIM POKAZEM SZTUKI MAGICZNEJ Hilly’ego Browna sytuacja Ruth zaczęła zmieniać się na gorsze.

Po pierwsze, zaczęły się kłopoty z pocztą.

Ruth nadal dostawała rachunki, ulotki reklamowe i katalogi, ale nie byto żadnych listów. Ani jednej prywatnej przesyłki. Po trzech dniach postanowiła przejść się na pocztę. Za ladą nieruchomo jak głąz stała Nancy Voss, patrząc na nią z obojętną miną. Zanim Ruth skończyła do niej mówić, zdawało się jej, że dosłownie czuje ciężar wzroku tej Voss. Jak gdyby ktoś położył jej na twarzy dwa szare kamyki.

W ciszy usłyszała jakiś szum dobiegający z zaplecza urzędu pocztowego, jak gdyby chrobot pajaków. Nie miała pojęcia, co to

(poza tym, że to coś sortuje pocztę)

może być, ale nie podobał się jej ten dźwięk. Nie podobała się jej też rozmowa z tą kobietą, która spała z Joem Paulsonem i nie cierpiała Becki, a...

Na dworze było gorąco. Na poczcie jeszcze bardziej. Ruth poczuła, że zaczyna się pocić na całym ciele.

— Musisz wypełnić formularz reklamacyjny — powiedziała Nancy Voss cichym, bezbarwnym głosem. Podsunęła jej kartkę. — Proszę. — Rozciągnęła wargi w ponurym uśmiechu.

Ruth zobaczyła, że brakuje jej połowy zębów.

Zza ich pleców w ciszy wciąż dobiegało: *skrob–skrob, szust–skrob, skrob–skrob, szust–skrob*.

Ruth zaczęła wypełniać formularz. Pod pachami wykwitły jej dwie ciemne plamy potu. Parking przed pocztą cały czas prażył się w ostrym słońcu. W cieniu musiało być ponad trzydzieści stopni, w rozgrzanym powietrzu nie czuło się najłżejszego tchnienia wiatru i Ruth wiedziała, że nawierzchnia parkingu jest już pewnie miękka jak guma do żucia i można odrywać ją palcami...

„Proszę określić rodzaj zaistniałych kłopotów” — brzmiała instrukcja w formularzu.

Zaczynam wariować — pomyślała — oto rodzaj zaistniałych kłopotów. Na dodatek mam pierwszą miesiączkę od trzech lat.

Pewną ręką ujęła pióro i zaczęła pisać, że od tygodnia nie dostaje prywatnej korespondencji i chciałaby wyjaśnić tę sprawę.

Skrob–skrob, szust–skrob.

— Co to za hałas? — spytała, nie podnosząc głowy znad formularza. Bała się unieść głowę.

— Aparat do sortowania poczty, który wymyśliłam — wycodziła Nancy. Zamilkła na chwilę, po czym dodała: — Przecież wiesz, prawda, Ruth?

— Skąd mogłabym o czymś wiedzieć, zanim mi powiesz? odrzekła Ruth, ze wszystkich sił starając się, aby jej głos brzmiał uprzejmie. Pióro zdrzało, robiąc na druczku plamę — ale to i tak nie miało znaczenia; poczta nie przychodziła, bo Nancy Voss ją wyrzucała. O tym Ruth także wiedziała. Ale musiała być twarda; na jej twarzy wciąż malował się spokój i zdecydowanie. Popatrzyła Nancy prosto w oczy, choć bała się ciężaru jej mrocznego spojrzenia.

Dalej, powiedz to głośno — mówiło spojrzenie Ruth. — *Nie boję się takich jak ty. Mów... ale jeżeli się spodziewasz, że czmychnę jak mysz pod miotłę, przygotuj się na niespodziankę.*

Nancy zamrugała i spuściła oczy. Odwróciła się.

— Zawołaj mnie, kiedy wypełnisz formularz — powiedziała. — Mam za dużo pracy, żeby tracić czas na pogaduszki. Od śmierci Joego jestem zavalona pracą. Pewnie dlatego twoja poczta

(uciekaj z miasta dziwko uciekaj dopóki ci jeszcze pozwalamy uciec)

nie dochodzi na czas.

— Tak sądzisz? — Zachowanie uprzejmego tonu wymagało od niej teraz nadludzkiego wysiłku. Ostatnia myśl Nancy podziałała na nią jak cios prosto w szczękę. Ruth ujrzała ją jasno i wyraźnie jak błyskawicę. Spojrzawszy na formularz reklamacji, zobaczyła duży i czarny

(guz)

kleks rozlewający się na papierze. Zmięła druczek i wyrzuciła.

Skrob–skrob, szust–skrob.

Drzwi za jej plecami się otworzyły. Odwróciła się i ujrzała wchodzącą Bobbi Anderson.

— Dzień dobry, Bobbi — powiedziała.

— Dzień dobry, Ruth.

(ona ma rację uciekaj dopóki jeszcze możesz dopóki ci jeszcze wolno proszę Ruth ja my większość nas nie żyjemy do ciebie żadnej urazy)

— Pracujesz nad nową powieścią, Bobbi? — Ruth ledwie potrafiła zapanować nad drżeniem głosu. Źle było słyszeć myśli — człowiekowi wydawało się, że oszalał i ma halucynacje.

Ale usłyszeć coś takiego od Bobbi Anderson

(dopóki ci jeszcze wolno)

właśnie od niej, od Bobbi, która była chyba najbardziej życzliwa...

Niczego takiego nie słyszałam, pomyślała znużona i rozpaczliwie uczepliła się tej myśli. Pomyliłam się i tyle.

Bobbi otworzyła swoją skrytkę i wyciągnęła plik korespondencji. Spojrzała na nią i uśmiechnęła się. Ruth dostrzegła, że Bobbi straciła dolnego trzonowca z lewej i górny kieł z prawej.

— Lepiej stąd wyjedź, Ruth — powiedziała łagodnie. — Po prostu wsiądź do samochodu i wyjedź. Nie sądzisz, że to dobry pomysł?

Wtedy poczuła, że się uspokaja — mimo lęku i bólu pulsującego w głowie, uspokoiła się.

— Nigdy — odrzekła. — To moje miasto. I jeżeli wiesz, co się tu dzieje, powiedz innym, którzy też wiedzą, żeby mnie nie naciskali. Poza Haven mam przyjaciół, którzy mnie wysłuchają i potraktują serio, choćbym miała im opowiadać o nie wiadomo jak szalonych rzeczach. Wysłuchają, co mam do powiedzenia, jeżeli nie przez wzgląd na mnie, to przez wzgląd na mojego zmarłego męża. A ty powinnaś się wstydzić. Przecież to także twoje miasto. W każdym razie kiedyś było twoje.

Przez chwilę zdawało się jej, że Bobbi wygląda na zmieszaną i trochę zawstydzoną. Potem jednak rozpromieniła się i w tym szerokim uśmiechu małej dziewczynki, której brakowało dwóch zębów, było coś, co przeraziło Ruth bardziej niż wszystko do tej pory. W jej uśmiechu było tyle cech ludzkich co w uśmiechu ryby. Ruth widziała Bobbi w oczach tej kobiety i wyczuwała w jej myślach... lecz uśmiech nie miał nic wspólnego z Bobbi.

— Jak sobie życzysz, Ruth — powiedziała. — Wiesz, że wszyscy w Haven cię kochają. Wydaje mi się, że w ciągu tygodnia albo dwóch... najwyżej trzech... przestaniesz walczyć. Po prostu pomyślałam, że zaproponuję ci inne wyjście. Skoro postanowiłaś zostać, w porządku. Za jakiś czas wszystko będzie już... dobrze.

9

Wstąpiła do Coodera po tampaksy. Nie było. Ani tampaksów, ani modessów, ani stayfree — mini i maxi — ani zwykłych podpasek, ani tamponów.

Ręcznie napisana wywieszka informowała: DOSTAWA TOWARU JUTRO. PRZEPRASZAMY ZA NIEDOGODNOŚCI.

10

W piątek piętnastego lipca zaczęły się kłopoty z telefonem w biurze.

Rano słyhać było tylko irytujący szum, który Ruth i jej rozmówca musieli przekrzykiwać. Przed południem doszły jeszcze głośnie trzaski. Około czternastej hałasy przybrały na sile do tego stopnia, że nie można już było w ogóle rozmawiać.

Po powrocie z pracy Ruth stwierdziła, że w słuchawce jej domowego telefonu nie słyhać żadnych hałasów. W ogóle niczego nie słyhać. Poszła do sąsiadów, aby zadzwonić do firmy telekomunikacyjnej i zgłosić awarię numeru. Wendy Fannin piekła w kuchni chleb, wyrabiając jedną porcję ciasta, podczas gdy mikser wyrabiał drugą porcję.

Ruth bez zdziwienia dostrzegła, że mikser nie jest podłączony do gniazdka w ścianie, ale do urządzenia, które wyglądało jak gra elektroniczna ze zdjętą osłoną. Gdy Wendy mieszała ciasto, z wnętrza aparatu wydobywało się mocne światło.

— Jasne, że możesz skorzystać z telefonu — powiedziała Wendy. — Wiesz

(uciekaj Ruth uciekaj z Haven)

gdzie jest, prawda?

— Tak — odrzekła. Ruszyła korytarzem, ale przystanęła. Wstąpiłam do Coodera. Chciałam kupić podpaski, ale żadnych nie mieli.

— Wiem. — Wendy uśmiechnęła się, ukazując trzy przerwy w nieskazitelnym jeszcze przed tygodniem użębieniu. — Mam przedostatnie pudełko. Ale to już niedługo. Trochę bardziej się „przemienimy” i ten okres się skończy.

— Naprawdę? — spytała Ruth.

— Och, tak — powiedziała Wendy i wróciła do chleba.

Telefon u Fanninów działał doskonale. Ruth wcale to nie dziwiło. Telefonistka w New England Contel powiedziała, że zaraz kogoś przyślą. Ruth podziękowała jej i wychodząc, podziękowała także Wendy Fannin.

— Nie ma sprawy — odrzekła z uśmiechem Wendy. — Czego sobie tylko życzysz. Wiesz, że wszyscy w Haven cię kochają.

Ruth zadygotała mimo upału.

Przyjechała ekipa monterów i zrobiła coś z przyłączem obok domu Ruth. Potem przeprowadzili próbę. Telefon działał znakomicie, więc wyjechali. Godzinę później telefon znów przestał działać.

Idąc wieczorem ulicą, Ruth słyszała w głowie narastający szept głosów — myśli lekkich jak liście, którymi zaszeleścił podmuch październikowego wiatru.

(nasza Ruth kochamy cię całe Haven kocha)

(ale jeżeli nie wyjedziesz zmienisz się)

(jeśli zostaniesz nikt nie będzie chciał ci zrobić krzywdy Ruth więc uciekaj albo zostań)

(tak uciekaj albo zostań ale zostaw nas)

(tak zostaw nas w spokoju Ruth nie przeszkadzaj nam daj nam spokój daj nam)

(daj nam się „przemieniać” tak daj nam się „przemieniać” zostaw nas w spokoju żebyśmy mogli się „przemienić”)

Szła wolno, a głowę rozsadał jej chór głosów.

Zajrzała do Haven Lunch. Beach Jemigan, kucharz, który przygotowywał szybkie dania, pozdrowił ją, unosząc dłoń. Ruth także uniosła dłoń. Zobaczyła, jak usta Beacha poruszają się, wypowiadając wyraźnie: „O, jest”. Kilku mężczyzn przy ladzie odwróciło się i pomachało do niej. Uśmiechnęli się. Ruth zobaczyła szpary w miejscach, gdzie jeszcze niedawno mieli zęby. Minęła sklep Coodera. Minęła Zjednoczony Kościół Metodystyczny. Przed sobą ujrzała ratusz z kanciastą wieżą zegarową. Wskazówki na tarczy pokazywały dziesiętnastą piętnaście — był letni wieczór i mężczyźni w całym Haven otwierali pewnie butelki z zimnym piwem, nastawiając radia na głos Neda Martina i dźwięk „Rozgrzewki Red Soxów”. Widziała Bobby’ego Tremaina i Stephanie Colson, którzy szli drogą numer 9 w stronę granic miasteczka, trzymając się za ręce. Chodzili ze sobą od czterech lat i Ruth naprawdę się dziwiła, że Stephanie nie jest jeszcze w ciąży.

Nadciągał najzwyczajniejszy zmierzch normalnego lipcowego dnia.

Nic nie było normalne.

Z biblioteki wyszli Hilly Brown i Barney Applegate, za którymi włókł się jak ogon latawca młodszy brat Hilly’ego, David. Ruth spytała chłopców, jakie książki pożyczili i nawet chętnie jej pokazali. Tylko oczy małego Davida mówiły, że chyba zauważył jej panikę... i sam też odczuwał coś podobnego. Potem, gdy dwa dni później chłopiec zniknął, nie pozwalała sobie na chwilę wytchnienia przede wszystkim dlatego, że wtedy wyczuła jego

strach i nic nie zrobiła. Kto inny mógłby szukać usprawiedliwienia, mówiąc: „Zrozumcie, nawet bez problemów Davida Browna miałam dość na głowie”. Ale Ruth nie należała do kobiet, które potrafią się w ten sposób pocieszać. Przecież chłopiec wyraźnie się bał. Na domiar złego wyczuła u niego rezygnację — przekonanie, że biegu wypadków nie da się już odwrócić — że wszystko rozegra się według ustalonego z góry planu i skończy jak najgorzej. Jak gdyby na potwierdzenie, że miał rację, presto!, David zniknął. A Ruth, podobnie jak dziadek chłopca, wzięła na siebie część winy.

Przy ratuszu skręciła i poszła do domu, cały czas spoglądając życzliwie na ludzi, mimo strachu i tępego bólu łupiącego w głowie. Myśli wirowały jak szeleszczące na wietrze liście.

(kochamy cię Ruth)

(cii cii idź spać)

(tak idź spać i śnij)

(śnij o tym co śnij o tym jak)

(jak się „przemienić” śnij o tym jak się „przemienić”)

Weszła do domu, zamknęła za sobą drzwi, poszła na górę i przycisnęła twarz do poduszki.

Śnij o tym, jak się „przemienić”.

Boże, żałowała, że nie wie, co to dokładnie znaczy.

Jeśli wyjedziesz to wyjedziesz jeśli zostaniesz zmienisz się.

Żałowała, że nie wie, bo, cokolwiek to mogło znaczyć, bez względu na to, czy tego chciała, czy nie, już się zaczęła zmieniać. Mogła się opierać, lecz i tak ulegała „przemianie”.

(tak Ruth tak)

(śpij... śnij... myśl... „przemieniaj” się)

(tak Ruth tak)

Szeleszczące obce myśli towarzyszyły jej aż do chwili zaśnięcia, by potem ulecieć w ciemność. Ruth leżała w poprzek łóżka zupełnie ubrana, pogrążona w głębokim śnie.

Kiedy się zbudziła, całe ciało miała zeszytywniałe, ale umysł jasny i wypoczęty. Ból głowy zniknął jak ręką odjął. Ustał też okres, który wydawał się nieprzyzwoity i wstydlivy i zjawiał się, gdy już się jej zdawało, że z tym wszystkim koniec na dobre. Po raz pierwszy od prawie dwóch tygodni poczuła, że wraca do siebie. Postanowiła, że weźmie długi, zimny prysznic, a potem spróbuje zgłębić tę tajemnicę. Jeżeli trzeba będzie szukać pomocy poza miastem, trudno. Jeżeli będzie musiała spędzić kilka dni lub tygodni z ludźmi, którzy pomyślą, że brak jej piątej klepki, niech się tak stanie. Przez całe życie budowała sobie reputację osoby rozsądnej i godnej zaufania. Na nic taka reputacja, gdyby dzięki niej nie mogła przekonać ludzi, żeby potraktowali ją serio, nawet gdyby mówiła bzdury.

Gdy zaczęła zdejmować zmięte ubranie, nagle jej palce zastygły na guzikach.

Językiem wyczuła puste miejsce między dolnymi zębami w szparze pulsował tępy ból, który docierał jakby z oddali. Jej wzrok spoczął na narzucie łóżka. W miejscu, gdzie leżała jej głowa, zobaczyła ząb, który wyleciał jej w nocy. Nagle pojęła, że nic nie jest już proste — absolutnie nic.

Ruth zorientowała się, że znów zaczęła ją boleć głowa.

11

Haven czekały jeszcze większe upały — w sierpniu miał nadejść tydzień, w ciągu którego temperatura codziennie przekraczała trzydzieści siedem stopni — tymczasem jednak wszyscy w mieście mieli już dość duchoty i wilgoci, które utrzymywały się w powietrzu od dwunastego do dziewiętnastego lipca.

Ulice migotały w blasku słońca. Zakurzone liście bezwładnie zwisały na gałęziach. W nieruchomym powietrzu rozchodziły się różne dźwięki; w ciągu ośmiu skwarnych dni prawie ciągle słychać było stary samochód Bobbi Anderson przerobiony na koparkę. Ludzie wiedzieli, że na działce starego Franka Garricka dzieje się coś ważnego — ważnego dla

całego miasta — ale nikt nie mówił o tym głośno, tak jak nie rozmawiano o fakcie, że zupełnie zwariował przez to Justin Hurd, najbliższy sąsiad Bobbi. Justin budował różne rzeczy — na tym między innymi polegała jego „przemiana” — lecz z powodu jego szaleństwa niektóre urządzenia stanowiły potencjalne zagrożenie. Jedno z nich wywoływało fale harmoniczne w skorupie ziemskiej. Fale mogły spowodować poważne trzęsienie ziemi, w wyniku którego cały stan mógł pęknąć na pół, a wschodnia część utopiłaby się w Atlantyku.

Justin zbudował generator fal harmonicznyc, żeby wywabić z nor cholerne króliki i świszczę. Zzerały mu całą pieprzoną sałatę. Wytrzęsę tych małych skurwieli z ziemi, pomyślał.

Pewnego dnia Beach Jernigan wpadł do Justina, kiedy Justin bronował swoje zachodnie pole (tego dnia orał dwanaście akrów kukurydzy, pocąc się obficie i krzywiąc usta w maniackim grymasie, bo martwił się o trzy rządki sałaty) i rozmontował mu aparat zbudowany z wnętrzości wyprutych z zestawu stereo. Spodziewał się, że gdy Justin wróci i nie znajdzie urządzenia, być może pomyśli, że ukradły je te cholerne świszczę i króliki albo przystąpi do rekonstrukcji... a wtedy Beach lub ktoś inny znowu je rozmontuje. A jeśli będą mieli szczęście, coś każe Justinowi zbudować rzecz mniej groźną.

Słońce wschodziło co dzień na niebie koloru bladej porcelany, a potem zdawało się wisieć na dachu świata. Za Haven Lunch w wazutkim cieniu okapu leżały pokotem psy, dysząc ciężko; w upale nie chciało im się nawet łapać pcheł. Ulice były przeważnie wyludnione. Od czasu do czasu ktoś przejeżdżał przez Haven, zdążając do Derry czy Bangor albo wracając stamtąd. Samochodów było jednak niewiele, bo o wiele szybciej podróżowało się autostradą.

Ci, którzy przejeżdżali przez miasteczko, zauważali nagłą i nieoczekiwaną poprawę w odbiorze radia — jeden kierowca ciężarówki znużył się autostradą I-95, skrzył na drogę numer 9 i znalazł w radiu stację nadającą rocka, która, jak się potem okazało, nadawała z Chicago. Dwaj starsi mężczyźni jadący do Bar Harbor znaleźli stację z muzyką klasyczną z Florydy. Niesamowicie wyraźny i czysty sygnał zanikł, gdy tylko wyjechali z Haven.

Niektórzy z przejezdnych doświadczyli bardziej przykrych skutków: przede wszystkim bolała ich głowa i czuli mdłości czasem silne. Z reguły winili za to prowiant, który zepsuł się w upale.

Mały chłopiec z Quebecu, który jechał z rodzicami do Old Orchard Beach dużym kombi, w ciągu dziesięciu minut, bo tyle trwała podróż od granicy do granicy Haven, stracił cztery zęby mleczne. Jego matka przysięgała, że niczego takiego w życiu nie widziała. Wieczorem w motelu w Old Orchard Beach dobra wróżka zabrała ząbki (matka dziecka oświadczyła, że ruszał się tylko jeden) i zostawiła pod poduszką dolara.

Pewien matematyk z MIT, jadąc na Uniwersytet Maine na dwudniową konferencję poświęconą liczbom quasi — logicznym, nagle zdał sobie sprawę, że jest bliski zrozumienia zupełnie nowej teorii matematyki i filozofii matematycznej. Twarz mu poszarzała, a skóra oblała się zimnym potem, gdy pojął, że ta koncepcja może szybko dostarczyć dowód na to, iż każda liczba parzysta większa od dwóch stanowi sumę dwóch liczb pierwszych; dzięki tej koncepcji można było dokonać trysekcji kąta, a także...

Zjechał na pobocze, wygramolił się z samochodu i zwymiotował do rowu. Potem stał na drżących nogach nad plamą treści własnego żołądka (w której znajdował się też jego kieł, choć w tym momencie matematyk był zbyt przejęty, by się zorientować, że stracił ząb) i świerbiły go palce, żeby chwycić kredę i pokryć tablicę sinusami i kosinusami. W przegrzanym mózgu majaczyła mu Nagroda Nobla. Wskoczył do samochodu i ruszył w stronę Orono, wyciskając z zardzewiałego subaru ponad osiemdziesiąt mil na godzinę. Zanim jednak dotarł do Hampden, wspaniała wizja nieco się rozmyła, a gdy był już w Orono, pozostało po niej tylko wspomnienie. Przypuszczał, że miał chwilowy udar cieplny. Prawdziwe były tylko torsje; na ubraniu czuł zapach wymiocin. Podczas pierwszego dnia konferencji był blady i rzadko się odzywał, oplakując swą wspaniałą efemeryczną wizję.

Tego samego ranka podczas majsterkowania w piwnicy swego „Rupieciowiska” została ewaporowana Mabel Noyes. Wyrażenie „zabiła się przez przypadek” czy „zginęła w wyniku nieszczęśliwego wypadku” nie byłoby zbyt precyzyjne, ponieważ nie oddawało w pełni tego, co się z nią stało. Mabel nie strzeliła sobie w głowę, czyszcząc broń, ani nie wsadziła palca do gniazdka elektrycznego; po prostu dokonała rozpadu własnych cząsteczek i w mgnieniu oka przestała istnieć. Szybko i czyściutko. Błysnęło błękitne światło i już było po niej. Nie zostało nic z wyjątkiem tłącego się ramiączka stanika i urządzenia, które wyglądało jak polerka do srebra. I takie właśnie było przeznaczenie aparatu. Mabel sądziła, że dzięki temu żmudna i czasochłonna praca stanie się o wiele łatwiejsza, i dziwiła się, dlaczego dotąd nie skonstruowała takiego urządzenia — i dlaczego, na litość boską, nigdzie czegoś takiego nie można było kupić, skoro tak łatwo to zrobić i te żółtki z Korei mogłyby pewnie naprodukować tego do diabła i trochę. Żółtki z Korei naprodukowały do diabła i trochę wiele innych rzeczy, chociaż przypuszczała, że powinna być wdzięczna, ponieważ żółtki z Japonii najwyraźniej za bardzo zadzierały nosa, żeby zawracać sobie głowę głupstwami. Widziała już przeróżne rzeczy, jakie można zbudować z używanych urządzeń w sklepie. Cudowne rzeczy. Ciągłe przeglądanie katalogi, nie mogąc wyjść ze zdumienia, że nie ma tam ani jednego takiego aparatu. Mój Boże, myślała, chyba będę bogata! Jednak coś źle połączyła w polerce do srebra i w ciągu sześciu dziesięciotysięcznych nanosekundy przeniosła się do strefy cienia.

Prawdę mówiąc, w Haven nie bardzo jej żalowano.

Miasteczko leżało bezwładnie na dnie wielkiej nieruchomej misy z gorącym powietrzem. Z lasu za domem Franka Garricka, gdzie Bobbi i Gardener wciąż kopali, dochodził odgłos silników.

Poza tym całe miasto zdawało się drzemać.

12

Tego popołudnia Ruth nie drzemała.

Rozmyślała nad dźwiękami dobiegającymi z działki Bobbi Anderson (przynajmniej ona nie myślała już o tej ziemi jako o farmie starego Franka Garricka) oraz o samej Bobbi.

W mieście powstała jakaś wspólnota wiedzy, zasób myśli znanych wszystkim. Jeszcze przed miesiącem Ruth uznałaby, że to szaleństwo. Teraz był to niezaprzeczalny fakt. Tak jak szepczące coraz natarczywiej głosy, ta wiedza istniała.

Wszystkim było między innymi wiadomo, że zapoczątkowała to Bobbi.

Zrobiła to nieumyślnie, lecz uruchomiła lawinę. Teraz razem ze swoim przyjacielem (który był dla Ruth pusty jak niezapisana kartka; wiedziała o jego obecności tylko dlatego, że widziała go wieczorami, jak siedział z Bobbi na werandzie) pracowali dwanaście i czternaście godzin na dobę, jeszcze bardziej pogarszając sytuację. Ruth nie sądziła, żeby przyjaciel miał pojęcie, co właściwie robi. Z jakiegoś powodu pozostawał poza wspólnotą.

W jaki sposób mogli pogarszać sytuację?

Nie wiedziała. Nie miała nawet pewności, co właściwie robią. Tego nie potrafiła przeniknąć ani Ruth, ani nikt inny w Haven. Z czasem poznają prawdę; nie dowiedzą się jednak o tym w zwykły sposób, ale poprzez „przemianę”, której etapem była także miesięczka u wszystkich mieszkanki miasta w wieku od ośmiu do sześćdziesięciu lat, a co ciekawe, ustała mniej więcej w tym samym czasie. Kopanie w lesie na pewno miało z tym coś wspólnego — tylko tyle Ruth mogła stwierdzić. Pewnego popołudnia zdrzemnęła się i przysniło się jej, że Bobbi i jej przyjaciel z Troy wykopują ogromny srebrny cylinder o średnicy około dwustu stóp. W miarę jak go odsłaniaли, ukazał się o wiele mniejszy cylinder, stalowy, średnicy może dziesięciu i wysokości pięciu stóp, który sterczał jak sutek pośrodku olbrzymiego srebrzystego koła. Na sutku był wryty symbol + i kiedy Ruth się ocknęła,

zrozumiała: śniła się jej gigantyczna bateria alkaliczna zagrzebana w ziemi i granicę za domem Bobbi, większa od stodoły Franka Spruce'a.

Ruth wiedziała, że cokolwiek Bobbi i jej przyjaciel odkopują w lesie, na pewno nie jest to gigantyczna bateria R20. Chociaż... w pewnym sensie działanie było takie same. Bobbi odkryła jakieś potężne źródło energii i stała się jego więźniem. Ta sama siła napędzała i równocześnie więziła całe miasto. Jej napięcie stale wzrastało.

Ruth słyszała szept własnych myśli: *Musisz sobie odpuścić. Musisz się po prostu wycofać i pozostawić rzeczy własnemu biegowi. Kochali cię, Ruth; przynajmniej wiesz, że to prawda. Słyszysz w głowie ich myśli jak październikowe liście niesione przez wiatr, który już nie tylko lekko dmucha i pozwala im opaść, ale porywa je z siłą cyklonu; słyszysz głos ich myśli i chociaż czasem są przekrecone i mało zrozumiałe, nie sądzę, by mogły kłamać. I kiedy głosy twierdzą, że wszyscy cię kochali i że nadal cię kochają, mówią prawdę. Gdy jednak zaczniesz się mieszać w to, co się tu dzieje, chyba cię zabiją, Ruth. Z wyjątkiem przyjaciela Bobbi — jakimś cudem jest odporny. Nie słyszy głosów. Nie „przemienia się”. Za to pije. Tak mówi głos Bobbi: „Gard znowu pije”. Ale reszta... jeżeli zaczniesz się mieszać do ich spraw... zabiją cię, Ruth. Łagodnie. Z miłością. Wycofaj się. Niech się dzieje, co ma się dziać.*

Gdyby tak jednak postąpiła, jej miasto zostałoby unicestwione... nie, nie zmienione, tak jak kilkakrotnie zmieniano mu nazwę, ani nie skrzywdzone, tak jak skrzywdził je miodousty kaznodzieja, ale unicestwione. Ona też zostałaby unicestwiona, ponieważ niszczycielska siła zaczęła już ją przenikać do szpiku kości. Czowała to.

No, dobrze... co więc masz począć?

Na razie nic. Może wszystko poprawi się samo z siebie. Tymczasem może istnieje jakiś sposób, żeby strzec przed innymi własne myśli?

Zaczęła eksperymentować z łamańcami językowymi: *Szedł Sasza suchą szosą. Król Karol kupił królowej Karolinie korale koloru koralowego. Stół w powylamywanymi nogami.* Po paru próbach zauważyła, że umie cały czas powtarzać jedno z tych zdań głęboko na dnie myśli. Wyszła do miasta, wstąpiła do sklepu i kupiła mielone mięso oraz dwie kolby kukurydzy na kolację, zamieniła parę słów z Madge Tilletts przy kasie, a potem Dave'em Rutledge'em, który siedział na swoim zwykłym miejscu przed sklepem, wypłatając niespiesznie krzesło pomarszczonymi, artretycznymi dłońmi. Tyle że ostatnio Dave nie wyglądał już tak staro jak dotychczas. Ani trochę.

Oboje patrzyli na nią nieufnie, ze zdziwieniem... zaskoczeni.

Słyszają mnie... ale niezbyt wyraźnie. Naprawdę zagłuszam swoje myśli! Udało się!

Nie wiedziała, z jakim powodzeniem, i nie mogła polegać na swoich zdolnościach — niemniej to działało. Możliwe, że gdyby kilkoro z nich połączyło siły, odczytaliby jej myśli. Odnosiła wrażenie, że coś takiego można zrobić. Ale przynajmniej coś się udało. Miała pierwszą strzałę w pustym dotąd kołczanie.

W sobotę wieczorem postanowiła, że zaczeka do wtorku, do południa — czyli mniej więcej sześćdziesiąt godzin. Gdyby sytuacja nadal się pogarszała, pojedzie na posterunek policji stanowej do Derry, znajdzie dawnych przyjaciół swojego męża — na początek Bestię Dugana — i powie im, co się dzieje w miasteczku przy drodze numer 9, czterdzieści mil na południe od nich.

Być może nie był to najlepszy plan, ale lepszego nie mogła wymyślić.

Ruth McCausland zasnęła.

I śniła o zakopanych bateriach.

6
RUTH McCAUSLAND
— ZAKOŃCZENIE

1

Plany Ruth legły w gruzach po zniknięciu Davida Browna. Kiedy chłopiec zniknął, stwierdziła, że nie chce wyjechać z miasta. Dlatego że Davida nie było i wszyscy o tym wiedzieli... ale wiedzieli także, że David wcale nie opuścił Haven.

Zawsze podczas przemiany następował okres, który można było nazwać „tańcem obłudy”. W Haven ten okres rozpoczął się zniknięciem Davida Browna i trwał podczas poszukiwań, jakie potem zorganizowano.

Ruth właśnie zasiadała, by obejrzeć wiadomości lokalne, gdy zadzwonił telefon. Marie Brown histeryzowała i ledwie można ją było zrozumieć.

— Uspokój się, Marie — powiedziała Ruth, myśląc, że dobrze zrobiła, jedząc wcześniej kolację. Niewykłuczone, że przez długi czas nie będzie miała okazji niczego zjeść. Z początku udało się jej wydobyć z Marie tylko tyle, że jej syn David wpadł w jakieś kłopoty, które zaczęły się na pokazie iluzjonistycznym na podwórku za ich domem i Hilly wpadł w histerię...

— Daj mi Bryanta — powiedziała Ruth.

— Ale przyjedziesz, prawda? — zatkała Marie. — Proszę, Ruth, zanim zrobi się ciemno. Będziemy go jeszcze mogli znaleźć, znajdziemy go, jestem pewna.

— Oczywiście, że przyjadę — odrzekła Ruth. — Ale teraz daj mi Bryanta.

Bryant też był w szoku, ale potrafił trochę lepiej nakreślić sytuację. Wciąż brzmiało to nieprawdopodobnie, ale czy ostatnio Haven wydawało się normalne? Po pokazie magii publiczność rozeszła się, zostawiając na podwórku Hilly’ego i Davida, żeby posprząтали. I David zniknął. Hilly zemdłał, a teraz w ogóle nic nie pamięta z wydarzeń tego popołudnia.

Wiedział tylko, że kiedy zobaczy Davida, będzie mu musiał oddać wszystkie GI Joe. Nie pamiętał jednak dlaczego.

— Lepiej przyjedź jak najszybciej — powiedział Bryant.

Wychodząc z domu, Ruth przystanąła na moment w drodze do darta i z nienawiścią spojrzała na Main Street przebiegającą przez Haven Village. Coś ty zrobiła tym razem?, pomyślała. Coś ty zrobiła tym razem, do cholery?

2

Do zmierzchu pozostały tylko dwie godziny, więc Ruth nie traciła czasu. Na podwórku za domem Brownów zebrała Bryanta, Eva Hillmana, mieszkającego po sąsiedzku Johna Goldena oraz Henry’ego Applegate’a, ojca Barneya. Marie chciała przyłączyć się do grupy poszukiwawczej, ale Ruth upierała się, żeby została z Hillym. W obecnym stanie ducha Marie bardziej by przeszkadzała, niż pomagała. Oczywiście zaczęli już szukać, lecz nieuważnie i po łebkach. W końcu, gdy rodzice chłopca doszli do wniosku, że David musiał przejść przez drogę i zapuścić się w głąb lasu, w ogóle przestali szukać, choć cały czas błakali się bez celu wokół domu.

Ruth część wydarzeń poznała z ich opowiadań, część z ich dziwnie roztargnionych i dziwnie załęcznionych min, ale najwięcej dowiedziała się z ich myśli.

Myśli pochodziły z umysłów dwojakiego rodzaju: ludzkich i obcych. Zawsze następował moment, gdy przemiana mogła ulec degeneracji, przeradzając się w szaleństwo — schizofrenię — gdy umysły ludzkie próbowały walczyć z obcym umysłem grupowym, który

powoli zespałał je ze sobą... a potem całkowicie je przysłaniał. To był czas koniecznej akceptacji. Teraz więc nastąpił etap tańca obłudy.

Mogłaby go uruchomić Mabel Noyes, ale nie była aż tak lubiana, by ludzie mieli tańczyć z jej powodu. Natomiast Hillmanowie i Brownowie tak: ich rodziny od dawna mieszkały w Haven, były bardzo lubiane i bardzo szanowane.

A przecież David Brown był tylko małym chłopcem.

Ludzka część jej umysłu, „część Ruth”, jakby ją można nazwać, myślała: Mógł zabłądzić w wysokiej trawie na polu za domem Brownów i zasnąć. To bardziej prawdopodobne niż przypuszczenia Marie, że poszedł do lasu — musiałyby przejść przez drogę, a był bardzo grzeczny. Oboje tak twierdzą, Marie i Bryant. Ważniejsze, że inni też tak twierdzą. Bez przerwy mu powtarzano, że nie wolno mu przechodzić przez drogę bez dorosłego, więc raczej nie przepadł w lesie.

— Sprawdzimy trawnik i pole za domem, kawałek po kawałku — powiedziała Ruth. — Będziemy nie tylko chodzić, ale naprawdę szukać.

— A jeśli go nie znajdziemy? — Bryant utkwiał w niej przerażone i błagalne spojrzenie. — Ruth, co będzie, jeśli go nie znajdziemy?

Nie musiała mu odpowiadać; wystarczyło, że pomyślała odpowiedź. Jeżeli szybko nie znajdą Davida, zaczną dzwonić do różnych osób. Zorganizuje się znacznie większą grupę poszukiwawczą — złożoną z ludzi z latarkami i megafonami — która zaczną przeczesywać las. Gdyby nie znaleziono Davida do rana, zadzwoniłaby do Owała Davidsona z Unity, żeby przyjechał tu ze swoimi psami tropiącymi. Większość ludzi mniej więcej znała rutynowe postępowanie w takich sytuacjach. Wiedzieli, co ma robić grupa poszukiwawcza, niektórzy brali już udział w podobnych akcjach, które często organizowano w sezonie łowieckim, gdy w lesie pełno było ludzi spoza stanu uzbrojonych w broń dużego kalibru i ubranych w nowiutkie pomarańczowe flanele od L.L. Beana. Zwykle odszukiwano ich żywych, byli tylko lekko wyziębieni i mocno zawstydzeni.

Czasem jednak odnajdywano ich martwych.

A czasem w ogóle ich nie odnajdywano.

Wiedzieli, że nie znajdą Davida Browna, zdawali sobie z tego sprawę, zanim jeszcze rozpoczęły się poszukiwania. Gdy tylko zjawiła się Ruth, wszyscy sprzęgli umysły w sieć. Był to instynktowny odruch, jak mruganie. Połączyli umysły i próbowali znaleźć umysł Davida. Głosy ich myśli zjednoczyły się w tak potężny chór, że gdyby David znajdował się w promieniu siedemdziesięciu mil, musiałyby zakryć uszy i wrzasnąć z bólu. Usłyszałyby ich i wiedziały, że go szukają, nawet gdyby był pięć razy dalej.

Nie, David Brown nie zaginął. Po prostu znajdował się... nie tutaj.

Poszukiwania, do których się szykowali, były zupełnie bezcelowe.

Jednak wiedział o tym tylko umysł Stukostrachów, a mieszkańcy Haven wciąż uważali się za istoty ludzkie, więc rozpoczęli taniec obłudy.

Przemiana wymagała wielu kłamstw.

Uparcie wmawiali sobie, że wciąż są tacy sami jak zawsze — i to było najważniejsze kłamstwo.

Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Nawet Ruth McCausland.

3

Jeszcze przed wpół do dziewiątej, gdy zmierzch zgęstniał, ale nie zapadły jeszcze nocne ciemności, pięcioosobowa grupa rozrosła się do ekipy złożonej z tuzina osób. Wieść rozeszła się bardzo szybko — trochę szybciej niż zwykle. Sprawdzili wszystkie podwórka i pola po stronie drogi, na której stał dom Brownów, zaczynając od sceny Hilly'ego (sama Ruth wczołgała się pod nią z mocną latarką, przypuszczając, że jeżeli David Brown ma być gdzieś

niedaleko, to powinien być tu, pogrążony w głębokim śnie — ale znalazła tylko wygniecioną trawę i skrzywiła się, czując dziwny elektryczny zapach) i stąd stopniowo poszerzając obszar poszukiwań.

— Sądysz, że jest w lesie, Ruth? — zapytał Casey Tremain.

— Na pewno — odpowiedziała znużonym głosem. Znowu bolała ją głowa. David był
(nie tutaj)

gdzieś, ale prawdopodobieństwo znalezienia go w lesie równało się prawdopodobieństwu spotkania tam prezydenta Stanów Zjednoczonych. Mimo to...

Na dnie jej myśli jeden łamaniec językowy gonił drugi z cierpliwością chomików biegnących w drucianych bębenkach.

Zmierch nie zgęstniał jeszcze na tyle, by Ruth nie mogła dostrzec, jak Bryant zasłonił dłonią usta i odwrócił się od innych. Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy, którą w końcu przerwała Ruth.

— Potrzebujemy więcej ludzi.

— Z policji stanowej? — spytał Casey.

Poczuła na sobie wzrok wszystkich, zobaczyła ich poważne, nieruchome twarze.

(nie Ruth nie)

(żadnych obcych sami poradzimy)

(sami sobie poradzimy z tą sprawą nie potrzebujemy obcych kiedy)

(kiedy zrzucimy starą skórę nałożymy nową kiedy)

(kiedy będziemy się „przemieniać”)

(jeśli jest w lesie usłyszymy go gdy zawoła)

(zawoła myślą)

(żadnych obcych Ruth cii cii nie wolno Ruth wszyscy)

(wszyscy cię kochamy ale żadnych obcych)

Głosy rozbrzmiewały jej w głowie, rozbrzmiewały w nieruchomym wilgotnym mroku: spoglądała na nich i zobaczyła tylko sylwetki i białe twarze, sylwetki i twarze, które przez chwilę jakby prawie w ogóle nie należały do ludzi. Ilu z was ma jeszcze zęby?, pomyślała histerycznie Ruth McCausland.

Otworzyła usta, obawiając się, że wrzaśnie, ale jej głos zabrzmiał — przynajmniej w jej uszach — zupełnie normalnie i naturalnie. W głowie jeszcze szybciej

(Król Karol kupił królowej stół z powyłamywanymi)

powtarzała łamańce językowe.

— Nie sądzę, żeby w tej chwili mogli się nam przydać. A ty, Casey?

Casey posłał jej odrobinę zdumione spojrzenie.

— No, to chyba od ciebie zależy, Ruth.

— Dobra — powiedziała. — Henry... John... i reszta. Idźcie dzwonić. Zanim wyruszymy, chcę mieć pięćdziesięciu ludzi, którzy umieją poruszać się po lesie. Każdy, kto się stawi pod domem Brownów, musi mieć latarkę, bo inaczej nie ma mowy, żeby zbliżył się do lasu. Zaginął mały chłopiec; lepiej by było, gdyby nie zgubił się żaden dorosły.

Gdy mówiła, jej głos brzmiał coraz bardziej autorytatywnie, lękliwy dygot prawie ustał. Wszyscy patrzyli na nią z respektem.

— Zadzwoń do Adleya McKeena i Dicka Allisona. Bryant, idź do domu i powiedz Marie, żeby zaparzyła dużo kawy. To będzie długa noc.

Rozeszli się w różne strony; ci, którzy mieli zadzwonić, skierowali się do domu Henry'ego Applegate'a. Dom Brownów był bliżej, ale wobec pogorszenia sytuacji nikt nie chciał tam teraz wchodzić. W każdym razie nie w chwili, gdy Bryant mówił żonie, że zdaniem Ruth McCausland ich czteroletni synek jednak prawdopodobnie się zgubił

(nie tutaj)

w lesie.

Ruth czuła obezwładniające zmęczenie. Wolałaby wierzyć, że traci rozum; gdyby w to uwierzyła, wszystko stałoby się prostsze.

— Ruth?

Uniosła głowę. Stał przed nią Ev Hillman z rozwianymi na wietrze rzadkimi, siwymi włosami. Wyglądał, jakby dręczył go poważny niepokój.

— Hilly znowu kimnął. Znaczy się, ma otwarte oczy, ale...

— Wzruszył ramionami.

— Bardzo mi przykro — powiedziała Ruth.

— Zabieram go do szpitala w Derry. Bryant i Marie zostaną, jasna sprawa.

— Może najpierw powinien go obejrzeć doktor Warwick?

— Zdaje mi się, że lepiej zabrać go od razu do Derry. — Ev spojrzał na Ruth bez drgnienia powieki. Miał zamglone oczy starego człowieka, o czerwonych obwódkach, niegdyś błękitne, a dziś wyblakłe do tego stopnia, że wydawały się bezbarwne. Wyblakłe, lecz nie głupie. Nagle Ruth zdała sobie sprawę ze wstrząsem, który omal nie zwalił jej z nóg, że prawie w ogóle nie potrafi odczytać jego myśli! Cokolwiek działo się w Haven, Ev, podobnie jak przyjaciel Bobbi, był z tego wyłączony. Wiedział — przynajmniej częściowo — co się wokół niego dzieje, ale nie brał w tym udziału.

Ruth była poruszona, ale zaraz potem poczuła gorzką zawiść.

— Chyba będzie dla niego lepiej, jeżeli wywozę go z miasta, nie sądzisz, Ruthie?

— Tak — odrzekła wolno, myśląc o szepczących coraz donośniej głosach, po raz ostatni myśląc o tym, że David jest „nie tutaj”, a potem odsuwając od siebie na zawsze to szalone przekonanie. Oczywiście, że chłopiec tu jest. Przecież byli ludźmi, prawda? Byli. No właśnie, byli. Ale...

— Tak, pewnie tak będzie dla niego lepiej.

— Mogłabyś jechać z nami, Ruthie.

Patrzyła na niego dłuższą chwilę.

— Czy Hilly coś zrobił, Ev? Widzę w twojej głowie jego imię. Nic więcej — tylko imię. Pulsuje jak neon.

Spojrzał na nią, jak gdyby zupełnie się nie dziwił, że wprowadzie nie wprost, ale przyznała się — rozsądna Ruth McCausland — iż albo potrafi czytać mu w myślach, albo wydaje się jej, że potrafi.

— Może. W każdym razie tak się zachowuje. Ten stan... jakby półprzytomności... jeżeli tak to można nazwać... przypuszczalnie znaczy, że coś zrobił i żałuje. Ale to nie jego wina, Ruthie. To, co się dzieje w Haven... tak naprawdę to moja robota.

Trzasnęły drzwi zewnętrzne. Ruth spojrzała w stronę domu Applegate'ów i zobaczyła sylwetki wracających mężczyzn.

Ev obejrzał się za siebie, a potem odwrócił się z powrotem do Ruth.

— Jedź z nami, Ruthie.

— Mam zostawić swoje miasto? Ev, nie mogę.

— Dobrze. Gdyby Hilly sobie przypomniał...

— Skontaktuj się ze mną — powiedziała.

— Jak dam radę — mruknął Ev. — Mogą mi utrudniać.

— Tak — odrzekła. — Wiem.

— Już idą, Ruth — powiedział Henry Applegate, mierząc Eva chłodnym, badawczym spojrzeniem. — Mnóstwo niezłych ludzi.

— Świetnie — odparła.

Ev przez chwilę patrzył bez mrugnięcia okiem na Applegate'a, a potem odszedł. Godzinę później, gdy Ruth organizowała ekipę, szykując ludzi do pierwszego przeszukania, zobaczyła starego valianta Eva, który wyjechał spod domu Brownów i skręcił w stronę Bangor. Na

siedzeniu z przodu mający drobny kształt — Hilly — oparty sztywno jak manekin z wystawy.

Powodzenia, pomyślała Ruth. Żałowała — och, jak bardzo! — że nie wyjeżdża z tego koszmaru.

Kiedy samochód staruszka zniknął za pierwszym wzniesieniem, Ruth spojrzała na grupę poszukiwawczą: dwudziestu pięciu mężczyzn i pół tuzina kobiet, którzy nieruchomo stali po obu stronach drogi, wpatrując się w

(kochamy)

Ruth. Znowu przemknęło jej przez myśl, że ich sylwetki skracają się i przemieniają w jakieś nieludzkie kształty; tak,

„przemieniają” się, przemieniają w coś, o czym nawet nie miała odwagi myśleć... a ona razem z nimi.

— Na co się gapicie? — zawołała trochę piskliwie. — Idziemy! Spróbujmy znaleźć Davida Browna!

4

Nie znaleźli go ani tej nocy, ani w poniedziałek, w który panował straszliwy upał i głucha cisza. Do grupy przyłączyli się także Bobbi Anderson i jej przyjaciel; na jakiś czas umilkł ryk maszyn za farmą starego Garricka. Przyjaciel Bobbi, Gardener, był blady i wyraźnie skacowany. Kiedy Ruth go zobaczyła, miała wątpliwości, czy wytrzyma cały dzień. Gdyby zaczął odstawać od grupy i opuszczać swoje miejsce w tyralierze, przez co mogliby przeoczyć zaginionego chłopca, Ruth od razu wysłałaby go do domu Bobbi... ale mimo kaca dotrzymywał kroku innym.

Sama Ruth przeżyła chwilę słabości, stawiając czoło dwóm wyzwaniom jednocześnie: próbowała odnaleźć Davida i walczyła z postępującymi zmianami we własnej głowie.

Po dwóch godzinach niespokojnego snu przed świtem w poniedziałkowy ranek wróciła do lasu, pijąc jeden kubek kawy za drugim i wycyganijając coraz więcej papierosów. Nie zastanawiała się już, czy sprowadzić pomoc z zewnątrz. Gdyby zwróciła się do stanowej, policjanci bardzo szybko by się zorientowali — pewnie już po paru godzinach — że Haven zmieniło nazwę na Swirowice. Zamiast zaginionego chłopca, ich uwagę natychmiast zaprzętnąłby nowy — by tak rzec — styl bycia Haven. David przepadłby na zawsze.

Upał utrzymywał się jeszcze długo po zachodzie słońca. Z oddali zadudnił grzmot, ale nie było ani wiatru, ani deszczu. Niebo na horyzoncie co jakiś czas przecinały błyskawice. W gęstwinie zarośli, nad zwalonymi pniami i młodymi drzewkami bzyczały komary. Trzaskały gałęzie. Mężczyźni kłęli, brnąc przez mokradła i gramoląc się przez chaszczę. Światła latarek tańczyły beładnie. Wszyscy działali w pośpiechu, ale brakowało ducha współpracy; przed północą w niedzielę doszło nawet do kilku bójek. Łączność telepatyczna nie zdołała zaszcześcić w Haven spokoju i harmonii; zdawało się, że miała przeciwny skutek. Ruth prowadziła ekipę najlepiej, jak umiała.

Potem, krótko po północy — czyli nad ranem w poniedziałek — świat po prostu usunął się jej spod nóg. Śmignął błyskawicznie jak wielka ryba, która wygląda na ospałą, a w jednej chwili lekko rusza ogonem i znika. Ruth zobaczyła, jak latarka wypada jej z ręki. Miała wrażenie, że ogląda film. Na policzki wystąpił jej gorący pot, a czoło nagle zrobiło się zimne. Coraz bardziej dokuczliwy ból głowy, który dręczył ją cały dzień, pękł nagle z bezbolesnym hukiem. Mogłaby przysiąc, że usłyszała ten dźwięk, jak gdyby ktoś w jej głowie pociągnął za sznurek strzelającej zabawki z niespodzianką. Przez moment widziała nawet wstążki z jaskrawej bibułki wijące się krętymi szarymi kanałami mózdzku. Potem ugięły się pod nią kolana. Ruth poleciała do przodu prosto w gąszcz krzewów. W padającym ukośnie sнопie

światła latarki dostrzegła kolce, długie i ostre, ale krzaki okazały się miękkie jak poduszki z gęsiego puchu.

Próbowała krzyknąć, ale nie potrafiła.

I tak ją usłyszeli.

Usłyszała odgłos zbliżających się kroków. Mignęły zygzaki latarek. Ktoś

(Jud Tarkington)

wpadł na kogoś innego

(Hanka Bucka)

i doszło między nimi do krótkiej i gniewnej wymiany zdań

(uważaj, jak chodzisz, łamago)

(walnę cię tą latarką Buck przysięgam)

a potem myśli wszystkich skupiły się na niej z autentyczną i niezaprzeczalną

(kochamy cię Ruth)

czułością — ale czułością zachłanną, która ją przeraziła.

Czyjeś ręce dotknęły jej, odwróciły i

(kochamy cię i pomożemy ci się „przemienić”)

delikatnie uniosły.

(Też was kocham... proszę, znajdźcie go. Skupcie się na tym, skupcie się na Davidzie Brownie. Nie bijcie się, nie kłóćcie.)

(kochamy cię Ruth...)

Zobaczyła, że niektórzy z nich płaczą, a inni (choć wołała tego nie widzieć) warczą na siebie, unosząc groźnie wargi jak psy, które zaraz skoczą sobie do gardeł.

5

Ad McKeen zabrała ją do domu, a Hazel McCready położyła do łóżka. Zapadła w sen pełen szalonych, pogmatwanych widziadeł. Kiedy ocknęła się we wtorek rano, pamiętała tylko jedno z nich — obraz Davida Browna rozpaczliwie chwyającego oddech w niemal pozbawionej powietrza próżni; leżał na czarnej ziemi pod czarnym niebem usianym lśniąco gwiazdami, ziemi, która była spalona na popiół i spękana.

Widziała krew buchającą mu z ust i nosa, widziała, jak pękają mu oczy i w tym momencie zbudziła się i usiadła na łóżku, wstrzymując oddech ze zgrozy.

Zadzwoiła do ratusza. Telefon odebrała Hazel. Powiedziała jej, że w lesie jest już połowa zdrowych ludzi z miasta.

Jeżeli jednak nie znajdą chłopca do jutra... Hazel nie dokończyła.

O dziesiątej rano we wtorek Ruth wróciła do grupy poszukiwawczej, która przesunęła się już dziesięć mil w głąb lasu.

Newt Berringer spojrział na nią i rzekł:

— Nie powinnaś...

(w ogóle wychodzić z domu, Ruth)

— ...i dobrze o tym wiesz — dokończył głośno.

— Powinam, bo to mój obowiązek, Newt — odparła szorstkim tonem, zupełnie do niej niepodobnym. — Daj mi spokój, będę robiła, co do mnie należy.

I robiła przez całe długie skwarne popołudnie, wołając, aż ochrypła. Gdy zaczął nadciągać zmierzch, pozwoliła Beachowi Jerniganowi odwieźć się do miasta. Beach ukrywał coś pod brezentem swojego pikapa. Nie miała pojęcia, co to jest, i nie chciała wiedzieć. Pragnęła zostać w lesie, lecz siły zaczęły ją opuszczać i bała się, że gdyby znów zasłabła, nie pozwoliliby już jej wrócić. Zamierzała wmusić w siebie coś do jedzenia, a potem przespać jakieś sześć godzin.

Zrobiła sobie kanapkę z szynką i zamiast kawy, na którą miała ochotę, wzięła szklanekę mleka. Weszła na górę do klasy, usiadła i postawiła na biurku swoją skromną kolację. Siedziała, patrząc na lalki. Odpowiadały szklistym spojrzeniem nieruchomych oczu.

Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy, pomyślała. Kto się pierwszy ruszy...

Myśl uleciała jak dym.

Jakiś czas później Ruth zamrugała oczami, nie budząc się, ale wracając po krótkiej chwili do rzeczywistości, i spojrzała na zegarek. Szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. Przyniosła na górę swą skromną kolację o wpół do dziewiątej. Wciąż miała obok siebie kanapkę i mleko, ale był już kwadrans po jedenastej.

I...

...i niektóre lalki zmieniły swoje położenie.

Niemiecki chłopiec w krótkich spodniach tyrolskich — Lederhosen — zamiast siedzieć między japońską lalką w kimonie a hinduską ubraną w sari, opierał się o lalkę Effanbee. Ruth wstała, czując, jak serce wali jej o wiele za szybko i za mocno. Lalka kaczina Indian Hopi siedziała na kolanach haitańskiej lalki wudu z grubego płótna, która zamiast oczu miała dwa białe krzyżyki. A mechaty rosyjski ludzik leżał na podłodze, wpatrując się w sufit, z głową skreconą na bok jak zwłoki na szubienicy.

Kto ruszał moje lalki? Kto tu był?

Rozejrzała się gorączkowo, a zamroczony lękiem umysł podsunął jej myśl, że zaraz zobaczy Elmera Haneya, oprawcę dzieci, stojącego z głupkowatym uśmiechem w ciemnym kącie obszernego pokoju, gdzie kiedyś mieścił się gabinet Ralpa.

Już ci powiedziałem, kobieto: jesteś tylko wścibską cipką.

Nic. Nikogo.

Kto tu był? Kto ruszał...

Ukradkowy, chichotliwy głosik.

Ruth zakryła dłonią usta. Dopiero teraz zobaczyła w osłupieniu koślawe litery nagryzmolone na tablicy. Ktoś pisał z taką siłą, że kilka razy złamał krede, której kawałki leżały w nieładzie w rynience pod tablicą.

DAVID BROWN JEST NA ALTAIRZE-6

Co? Co? Co to ma...

To znaczy, że odszedł za daleko — powiedziała kaczina i nagle z porów jej ciała z topolowego drewna zaczęło wypływać zielone światło. Gdy Ruth patrzyła na to sparaliżowana z przerażenia, drewniane usta lalki rozchyliły się w szerokim, makabrycznym uśmiechu. Wypadł z nich martwy świerszcz i wylądował na podłodze z suchym stukiem. Odszedł za daleko, za daleko, za daleko...

— Nie, nie wierzę w to! — krzyknęła Ruth.

Całe miasto, Ruth... odeszło za daleko... za daleko... za daleko...

Nie!

Zgubione... zgubione...

Oczy lalki Greiner z papier-mâché wypełniły się takim samym zielonym blaskiem.

Ty też jesteś zgubiona — powiedziała lalka. — *Oszalałaś tak samo jak reszta. David Brown to tylko wymówka, żeby tu zostać...*

Nie...

Ale wszystkie lalki zaczęły się poruszać i wszystkie po kolei zapalały się zielonym światłem, które w końcu rozjarzyło całą klasę. Światło na przemian jaśniało i przygasało, a Ruth ze zgrozą pomyślała, że czuje się jak we wnętrzu jakiegoś upiornego szmaragdu.

Lalki patrzyły na nią szklistymi oczami i wreszcie zrozumiała, dlaczego Edwina Thurlow tak bardzo się ich przelękała.

Teraz w jej głowie wirowały jak jesienne liście głosy lalek, szepcząc, trajkocząc po cichu między sobą, trajkocząc do niej... ale Ruth McCausland usłyszała wśród nich głosy ludzi z miasta.

Trzeba coś zrobić, Ruth. To lalka z nieglazurowanej porcelany, z której ust buchał zielony płomień; mówiła głosem Beacha Jernigana...

Musisz kogoś ostrzec. Powiedziała to francuska marionetka z gutaperki — głosem Hazel McCready.

Teraz już cię nie wypuszczą, Ruth. To kukielka Nixona, której wypchane palce obu dłoni były ułożone w znak V; odezwała się głosem Johna Endersa, nauczyciela ze szkoły podstawowej.

Mogliby, ale to byłby błąd.

Kochają cię, Ruth, ale jeśli spróbujesz wyjechać, zabiją cię.

Wiesz o tym, prawda? Lalka Kewpie z 1910 roku, której gumowa głowa przypominała odwróconą łzę; głos należał do Justina Hurda.

Musisz wysłać sygnał.

Sygnał, Ruth, tak, wiesz, jak masz to...

Weź nas, pokażemy ci, jak to zrobić, wiemy...

Cofnęła się na nogach jak z waty, zakrywając rękami uszy, jak gdyby w ten sposób mogła zagłuszyć głosy. Skrzywiła usta. Była przerażona, najbardziej tym, że mogła kiedykolwiek wziąć te szepty, sączące jej do głowy swe pokrętne prawdy, za głos rozsądku. Miała tu jak na dłoni kwintesencję całego szaleństwa Haven.

Daj sygnał, weź nas, pokażemy ci jak, wiemy, a ty chcesz wiedzieć, ratusz, Ruth, wieża zegarowa...

Szeleszczące głosy połączyły się w chór: *Ratusz, Ruth! Tak!*

Tak, otóż to! Ratusz! Ratusz! Tak!

— Przestańcie! — krzyczała. — Przestańcie, przestańcie, błagam...

I wtedy, po raz pierwszy od dnia, gdy w wieku jedenastu lat zemdląła po zwycięstwie w biegu dziewcząt na jedną milę podczas Letniego Pikniku Metodystów, Ruth McCausland padła nieprzytomna na ziemię.

6

Zanim nastąpiła głęboka noc, odzyskała świadomość i czując, jakby oblepiało ją coś kleistego, powlokła się do sypialni, nie oglądając się za siebie. Bała się spojrzeć za siebie. Jak przez mgłę uświadomiła sobie, że łupie ją w głowie, tak samo jak niewiele razy w życiu, gdy odrobinę za dużo wypła i rano budziła się z kacem. Uświadomiła sobie także, że stary wiktoriański dom kołysze się i trzeszczy jak stary szkuner podczas sztormu. Gdy Ruth leżała bez czucia w klasie lalek, nad środkowym i wschodnim Maine przeszły straszne burze. Zimny front z Środkowego Zachodu zdołał się w końcu wedrzeć do Nowej Anglii, wypychając banie wilgotnego upału, który przez półtora tygodnia zalegał nad okolicą. Zmianie pogody towarzyszyły gdzieś tam straszne burze. Haven uchroniło się przed najgwałtowniejszą nawałnicą, ale znów wysiadł prąd i tym razem miał zostać włączony dopiero po kilku dniach.

Ale przerwa w dostawie prądu nie była wcale taka ważna; Haven miało własne wyjątkowe źródła energii. Ważna była natomiast zmiana pogody. Kiedy nastąpiła, Ruth nie była jedyną osobą w Haven, która zbudziła się z potwornym bólem głowy jak przy ciężkim kacu.

Gdy silny wiatr zniósł skażone powietrze na wschód, rozrywając je na niegroźne strzępy i wypychając nad ocean, wszyscy w mieście, od najstarszych do najmłodszych, po przebudzeniu czuli się tak samo.

W środę Ruth spała do pierwszej po południu. Wstała ze śladowym bólem głowy, ale dwie pastylki anacyny załatwiły sprawę. Bolało ją całe ciało i miała zeszywniałe mięśnie, lecz była to drobnostka w porównaniu z rzeczami, jakie dręczyły ją od początku lipca, i nie pogorszyła jej dobrego samopoczucia. Nawet strach o Davida Browna nie mógł go zupełnie zepsuć.

Każdy, kogo mijala na Main Street, spoglądał na nią nieco oszołomiony, jak gdyby właśnie ocknął się z czaru, który rzuciła na niego jakaś czarownica.

Ruth poszła do swojego biura w ratuszu, ciesząc się wiatrem, który mierzwił jej włosy i pędził chmury po niebie koloru głębokiego błękitu: było to prawie jesienne niebo. Zobaczyła dwoje dzieci, które na polu za szkołą podstawową puszczały latawiec, i głośno się roześmiała.

Ale nie było jej do śmiechu, gdy rozmawiała z małą grupą ludzi, którą szybko zebrała — trzema radnymi Haven, przewodniczącym zarządu miasta i oczywiście Bryantem i Marie Brownami. Ruth zaczęła od przeprosin za to, że jeszcze nie wezwała policji stanowej i straży ani nawet nie zgłosiła zaginięcia chłopca. Zapewniła ich, że była przekonana, iż szybko odnajdą Davida, prawdopodobnie w nocy, a na pewno następnego dnia. Wiedziała, że to jej nie tłumaczy, ale właśnie dlatego postanowiła tak, a nie inaczej. Powiedziała, że to największy błąd w ciągu jej pracy na stanowisku konstabla Haven i jeżeli okaże się, że David Brown na tym ucierpiał... nigdy sobie tego nie wybaczy.

Bryant kiwał tylko głową, z oszołomioną i nieobecną miną. Za to Marie wzięła ją za rękę.

— Nie bierz na siebie winy — powiedziała cicho. — W grę wchodziły inne okoliczności. Wszyscy o tym wiemy. — Pozostali pokiwali głowami.

Nie słyszę już ich myśli, zdała sobie nagle sprawę Ruth, a jej umysł podchwycił: *Sądzisz, że naprawdę kiedykolwiek je słyszałaś? Może to były halucynacje wywołane niepokojem o Davida Browna?*

Tak. Naprawdę słyszałam.

Łatwiej byłoby uwierzyć, że miała halucynacje, lecz to nie była prawda. Uświadamiając to sobie, zdała sobie sprawę z czegoś jeszcze: nadal słyszała ich myśli. Jak daleki i słaby szum w wielkiej konsze, który dzieci biorą za odgłos fal oceanu. Nie miała pojęcia, o czym są ich myśli, mimo to nadal je słyszała. A czy oni ją słyszeli?

Jesteście tam jeszcze? — krzyknęła, jak umiała najgłośniej.

Marie Brown dotknęła dłonią skroni, jak gdyby coś ją raptem zakłuło. Newt Berringer zmarszczył brwi, a Hazel McCready, która bezwiednie rysowała coś w notesie, uniosła głowę, jakby Ruth coś do niej powiedziała.

O, tak, wciąż mnie słyszają.

— Cokolwiek się stało, dobrego czy złego, już się nie odstanie — powiedziała Ruth. — Najwyższy czas, żebym skontaktowała się z policją stanową w sprawie Davida. Wyrażacie na to zgodę?

W innych okolicznościach w ogóle nie przyszłoby jej do głowy pytać ich o to! W końcu płacili jej te marne grosze za odpowiadanie na pytania, a nie ich stawianie.

Ale teraz w Haven wszystko wyglądało inaczej. Mimo wiatru i świeżego powietrza w Haven nadal wszystko wyglądało inaczej.

Spojrzeli na nią zaskoczeni i nieco wstrząśnięci.

Teraz już wyraźnie usłyszała głosy: *Nie, Ruth, nie... żadnych obcych... sami damy sobie radę... nie potrzebujemy tu obcych, kiedy będziemy się „przemieniać”... cii... nie wolno ci, Ruth... cii...*

Na dworze dmuchnął wyjątkowo silny wiatr, od którego zadygotały okna w biurze Ruth. Adley McKeen spojrział w tę stronę... wszyscy spojrzeli. Po chwili Adley uśmiechnął się zagadkowo.

— Oczywiście, Ruth — powiedział. — Jeżeli uważasz, że pora zawiadomić stanowych, zrób to. Ufamy ci i wiemy, że na pewno podejmiesz właściwą decyzję, prawda?

Wszyscy przytaknęli.

Pogoda się zmieniła, wiał wiatr, a w środę po południu kierowanie poszukiwaniami Davida Browna przejęła policja stanowa.

8

W piątek Ruth McCausland zrozumiała, że środa i czwartek stanowiły chwilę złudnego wytchnienia w toczącym się już procesie. Obca siła cały czas pchała ją w ramiona szaleństwa.

Zdawała sobie z tego sprawę tylko na dnie umysłu, gdy obserwowała zmiany z rozpaczliwą bezsilnością... lecz nie mogła tego powstrzymać. Miała jedynie wątłą nadzieję, że w głosach lalek poza szaleństwem była przynajmniej odrobina prawdy.

Jak gdyby przyglądając się sobie z boku, widziała, jak wyciąga z szuflady najostrzejszy nóż kuchenny — ten, którym filetowała ryby. Poszła z nim na górę, do klasy lalek.

Klasa jaśniała zgnięzionym blaskiem. Światłem Stukostrachów. Tak nazywali ich już wszyscy w mieście i to była dobra nazwa, prawda? Jak każda inna. Stukostrachy.

Daj sygnał. Nic innego nie możesz zrobić. Chcą się ciebie pozbyć, Ruth. Kochają cię, ale to zabójcza miłość. Pewnie odkryjesz w tym jakąś skrzywioną formę szacunku. Bo ciągle się ciebie boją. Nawet teraz, gdy jesteś już prawie tak samo stuknięta jak reszta, wciąż się ciebie boją. Może ktoś usłyszy sygnał... usłyszy... zobaczy... zrozumie...

9

Na tablicy widniał koślawy rysunek przedstawiający wieżę ratuszową... nieporadne dzieło pierwszoklasisty.

Ruth nie mogła zająć się lalkami w klasie... nie przy tym pulsującym okropnym świetle. Zabrała je jedną po drugiej do gabinetu męża i jak chirurg rozcięła każdej brzuch — francuskiej madame, dziewiętnastowiecznemu klaunowi, lalce Kewpie — wszystkim po kolei. Do każdej włożyła mały aparat złożony z baterii R14, przewodów, płytek drukowanych wyciągniętych z kalkulatorów oraz kartonowych tulejek z rolek papieru toaletowego. Szybko zszyła nacięcia zwykłą czarną nicią. Na biurku Ralpa wydłużał się rząd nagich lalek, które zaczęły przypominać martwe dzieci, jakby ofiary jakiegoś straszego zbiorowego zatrucia, które po śmierci odarto z odzieży i obrabowano.

W każdym zszytym nacięciu zostawiła na środku przerwę, z której niczym dziwny teleskop wystawała tuleja z papieru toaletowego. Mimo że tuleje były z kartonu, mogły skierować siłę we właściwym kierunku, gdy zostanie wygenerowana. Nie miała pojęcia, skąd to wie ani skąd wiedziała, jak zbudować aparaty... wiedza zdawała się spływać na nią z powietrza.

Z tego samego powietrza, w którym rozplynał się

(jest na Altairze-4)

David Brown.

Gdy wbijała nóż w miękkie, bezbronne brzuchy, buchało z nich zielone światło.

Właśnie

(wysyłam sygnał)

morduję jedyne dzieci, jakie miałam.

Sygnał. Myśl o sygnale, nie o dzieciach.

Połączyła ze sobą wszystkie lalki za pomocą przedłużacza. Z końcówki kabla ściągnęła cztery cale izolacji i wetknęła lśniące miedziane druciki do petardy M-16, którą mniej więcej tydzień przed początkiem szaleństwa w mieście skonfiskowała czternastoletniemu synowi

Beacha Jernigana, zwanemu przez wszystkich Garbusem, ponieważ miał jedno ramię odrobinę wyżej. Obejrzała się za siebie na puste ławki w klasie, jak gdyby przez moment opadły ją wątpliwości. W świetle, jakie stamtąd padało, wyraźnie widziała rysunek wieży zegarowej na ratuszu. Zrobiła go podczas jednego z okresów niepamięci, które stawały się coraz dłuższe.

Wskazówki zegara na rysunku pokazywały trzecią.

Ruth odłożyła swoje dzieło i poszła się położyć. Spała, ale miała niespokojny sen; wierciła się, przewracała i jęczała. Nawet we śnie w jej głowie dźwięczały głosy — myśli o planowanej zemście, o ciastach, które trzeba będzie upiec, fantazje seksualne, strach przed zatwardzeniem, pomysły dziwnych aparatów i maszyn, marzenia o władzy. A w dalekim tle uparcie brzęczał ledwie słyszalny szum jakby zatrutego strumyka, szum myśli mieszkańców miasteczka, które nie były ludzkimi myślami. We śnie pełnym koszmarów część Ruth McCausland, która wytrwale opierała się szaleństwu, знаła już prawdę: to nie były głosy ludzi, z którymi mieszkała tyle lat, ale należały do obcych. To były głosy Stukostrachów.

10

Przed południem we czwartek Ruth zrozumiała, że zmiana pogody niczego nie rozwiązała.

Przyjechali ludzie z policji stanowej, lecz nie wszczęli poszukiwań na większą skalę; według raportu Ruth, jak zawsze pełnego i szczegółowego, niezbitcie wynikało, że czteroletni David

Brown nie mógł wydostać się z terenu, który dotychczas przeszukano, chyba że został porwany — i taką możliwość będą teraz musieli wziąć pod uwagę. Do raportu Ruth dołączyła mapy topograficzne opatrzone przypisami sporządzonymi jej starannym charakterem pisma, który znamionował rzeczowość. Wynikało z nich, że przeprowadziła poszukiwania bardzo dokładnie.

— Porządna i dokładna robota, Ruth — powiedział jej wieczorem Bestia Dugan. Na jego twarzy malowała się troska, a zmarszczki na czole przypominały pęknięcia po trzęsieniu ziemi. — Jak zawsze. Ale nigdy dotąd nie wycinałaś takich numerów w stylu Johna Wayne'a.

— Przepraszam, Butch.

— No... — Wzruszył ramionami. — Co się stało, to się nie odstanie, nie?

— Tak — odrzekła, uśmiechając się słabo. Było to jedno z ulubionych powiedzeń Ralpa.

Butch zadał jej mnóstwo pytań z wyjątkiem tego, na które najbardziej chciała odpowiedzieć: Ruth, co się dzieje w Haven? Silne wiatry oczyściły atmosferę w mieście; żaden z obcych nie zorientował się, że coś jest nie tak.

Ale wiatr nie przyniósł końca kłopotów. Zły czar wciąż działał. Wydawało się, że po przekroczeniu pewnego punktu proces toczy się dalej sam. Ruth domyśliła się, że ten punkt został już przekroczony. Zastanawiała się, do jakich wniosków doszedłby zespół lekarzy, gdyby przeprowadził masowe badania w Haven. Stwierdziliby niedobór żelaza u kobiet? Nagłe przyspieszenie łysienia u mężczyzn? Poprawę ostrości wzroku (zwłaszcza widzenia obwodowego) połączoną z zaskakująco dużymi ubytkami w uzębieniu? Stwierdziliby nie bez dreszczu zgrozy, że ludzie stali się niezwykle przenikliwi, do tego stopnia, że niemal potrafią — cha-cha — czytać innym w myślach?

Sama Ruth w środę w nocy straciła jeszcze dwa zęby. Jeden znalazła na poduszce w czwartek rano — groteskowy spóźniony prezent dla wróżki zbierającej mleczaki dzieci. Drugiego nie mogła nigdzie znaleźć. Przypuszczała, że musiała go połknąć. Zresztą to i tak nie miało znaczenia.

11

Przymus, by wysadzić ratusz, stał się nie do zniesienia, bezustannie drażnił ją jak oplatający mózg sumak jadowity.

Głosy lalek wciąż szeptały i szeptały. W piątek podjęła ostatnią próbę ratowania się.

W końcu postanowiła wyjechać z Haven — które nie było już jej miastem. Domyślała się, że pozostając tu tak długo, wpadła w jedną z pułapek zastawioną na nią przez Stukostrachy... dała się złapać jak zając w sidła, tak samo jak nabrała się na fortel z Davidem Brownem.

Obawiała się, że dodge może nie ruszyć. Mogli coś w nim uszkodzić. Jednak silnik zaskoczył.

Potem pomyślała, że może nie wypuszczą jej z Haven Village, że zatrzymają ją, uśmiechając się jak sekciarze od Moona i wysyłając jej nieustanne komunikaty „kochamy cię, Ruth”. Ale nikt jej nie zatrzymał.

Jadąc Main Street w stronę granicy miasteczka, siedziała wyprostowana, ściskając kierownicę, aż białaty jej kostki, z przyklepionym na twarzy uśmiechem, powtarzając obłąkańczo w myślach

(kupił królowej stół suchą szosą)

łamańce językowe. Jej wzrok powędrował ku zegarowi na wieży ratuszowej

(sygnał Ruth daj)

(tak cudowny wybuch)

(huknie i walnie aż na Altairze—4 Ruth)

ale opierała się z całej siły. Wysadzenie ratusza, żeby zwrócić uwagę innych na to, co się dzieje w mieście, było szalonym pomysłem. Jak gdyby ktoś chciał podpalić dom, żeby upiec kurczaka.

Poczuła się lepiej, gdy ceglana wieża zniknęła jej z oczu.

Gdy znalazła się na Derry Road, musiała powstrzymać ochotę, by pomknąć dartem najszybciej, jak się da (choć zważywszy na jego wiek, samochód jechał zadziwiająco szybko). Czowała się jak uciekinierka z jaskini lwów, której udało się przede wszystkim dzięki szczęściu, a nie rozsądkowi. Zostawiwszy za sobą zabudowania i szeleszczące głosy, zaczęła się obawiać, że ktoś na pewno poniewczasie ruszy w pogoń.

Co chwilę spoglądała w lusterko wsteczne, spodziewając się zobaczyć samochody i ludzi, którzy będą się starali zawrócić ją z drogi. Będą nalegać, aby wróciła.

Za bardzo ją kochali, by pozwolić jej wyjechać.

Ale droga wciąż była pusta. Nie było Dicka Allisona krzyczącego w jednym z trzech wozów strażackich, jakie miało miasteczko. Ani Newta Berringera w wielkim starym trawiastozielonym oldsmobile’u ‘88. Ani Bobby’ego Tremaina w żółtym dodge’u challengerze.

Dojeżdżając do granicy oddzielającej Haven od Albion, gnała dartem pięćdziesiąt mil na godzinę. Im bardziej zbliżała się do granicy miasta — jak się jej zdawało, z tego punktu już nie miała odwrotu — tym bardziej była przekonana, że ostatnie dwa tygodnie stanowiły jedynie ponury koszmar.

Nie mogę wrócić. Nie mogę.

Noga na pedale gazu stawała się coraz cięższa.

W końcu coś ją ostrzegło — może coś, co powiedziały jej głosy i co zarejestrowała jej podświadomość. Przecież odbierała teraz wszystkie informacje, na jawie i we śnie. Gdy pojawiła się tablica granicy miasta —

A

L

B

I

O

— jej stopa zwolniła pedał gazu i wdusiła hamulec. Pedał wszedł miękko i za głęboko, tak jak mniej więcej od czterech lat. Ruth zjechała z asfaltu na pobocze. Za samochodem wzbił się obłok kurzu, białego i suchego jak mączka kostna.

Wiatr ustał. Powietrze nad Haven znów zupełnie znieruchomiało. Ruth pomyślała, że tuman kurzu pewnie jeszcze długo nie opadnie.

Siedziała, zaciskając mocno dłonie na kierownicy i zastanawiając się, dlaczego stanęła.

Zastanawiała się. Ale chyba wiedziała. Zaczynała się

(„przemieniać”)

domyślać.

Bariera? O to chodzi? Sądzisz, że ustawili barierę? Ze udało im się zmienić Haven w... hodowlę mrówek pod kloszem? Ruth, to nedorzeczne!

I rzeczywiście, myśl ta przeczyła nie tylko logice i doświadczeniu, ale także dowodom, których dostarczały jej zmysły. Gdy siedziała w samochodzie, słuchając radia (stacji grającej soft jazz, emitowanej z nadajnika małej mocy z college’u w Bergenfield w stanie New Jersey), minęła ją z łoskotem ciężarówka Hillcrest z kurczakami, zmierzająca prawdopodobnie do Derry. Kilka sekund później przejechał chevrolet vega, zdążając w przeciwnym kierunku. Za kierownicą siedziała Nancy Voss. Na tylnym zderzaku miała nalepkę z napisem POCZTOWCY ROBIĄ TO EKSPRESOWO.

Nancy Voss nie spojrzała na Ruth, jechała tylko w swoją stronę — czyli prawdopodobnie do Augusty.

Widzisz? Ich nic nie zatrzymuje, pomyślała Ruth.

Nie — odpowiedziały jej myśli. — Ich nie, Ruth, tylko ciebie. Zatrzymałoby też przyjaciela Bobbi Anderson i może jeszcze ze dwie osoby. Jedź! Pędź pięćdziesiąt mil na godzinę, jeżeli nie wierzysz! Wszyscy cię kochamy i nie chcielibyśmy, żeby cię to spotkało... ale powstrzymamy... nie możemy tego powstrzymać.

Zamiast ruszyć dalej, wysiadła z samochodu i podeszła do granicy oddzielającej Haven od Albion. Rzuciła długi cień, który miała za plecami; gorące lipcowe słońce prażyło jej głowę. Słyszała dobiegające z dala nieprzerwane dudnienie maszynierii w lesie za domem Bobbi. Znowu kopia. Skończył się urlop zafundowany im przez Davida Browna. Zdawało się jej, że już są blisko... czegoś. Uświadamiając to sobie, znów wpadła w panikę.

Zbliżyła się tablicy... minęła ją... szła dalej... i wstąpiła w nią dzika nadzieja. *Wydostała się z Haven! Była w Albion! Za chwilę pobiegnie z krzykiem do najbliższego domu, najbliższego telefonu i...*

Zwolniła.

Na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie... a potem przerażenie, bo już wiedziała.

Szło się coraz trudniej. Powietrze gęstniało, sztywniało.

Czuła, jak rozciąga jej policzki i skórę na czole; czuła, jak rozplaszcza jej piersi.

Ruth opuściła głowę i szła dalej; miała wykrzywione z wysiłku usta i żyły wystąpiły jej na szyi. Wyglądała, jakby szła, zmagając się z wichurą, choć liście na drzewach rosnących wzdłuż drogi ledwie się poruszały. Oczyma wyobraźni ujrzała ten sam obraz co Gardener, gdy usiłował włożyć dłoń pod przerobiony bojler w piwnicy domu Anderson; różnica polegała tylko na skali wrażenia. Ruth zdawało się, w poprzek całej drogi rozciąga się niewidzialna nylonowa pończocha, która mogłaby pasować na żeńskiego tytana. Słyszałam o przejrzystych pończochach, pomyślała histerycznie, ale to naprawdę nedorzeczne.

Piersi zaczęły ją boleć od ucisku. I nagle stopy zaczęły się ślizgać po ziemi. Panika uderzyła ją jak obuchem. Dotarła i minęła punkt, w którym jej zdolność posuwania się naprzód pokonywała elastyczność niewidzialnej bariery. Zaczęło spychać ją do tyłu.

Usiłowała się odwrócić, uciec, zanim to się stanie, ale straciła równowagę i brutalnie rzuciło ją z powrotem. Patrzyła zszokowana, jak jej stopy suną bezwolnie po ziemi. Czowała się, jakby pchała ją ściana potężniejącego gumowego balonu.

Na moment zupełnie oderwała się od ziemi. Potem wylądowała na kolanach, ocierając je boleśnie i drąc sukienkę.

Wstała i poszła z powrotem do samochodu, popłakując z bólu.

Prawie przez dwadzieścia minut siedziała za kierownicą, czekając, aż ustanie pulsowanie w kolanach. Od czasu do czasu mijały ją auta i ciężarówki jadące Derry Road w obu kierunkach. W pewnej chwili nadjechał na rowerze Ashley Ruvall z wędką. Zobaczył Ruth i uniósł rękę.

— Dzień dobry, pani McCauszland! — zawołał radośnie i uśmiechnął się szeroko. Nic dziwnego, że sepleni, pomyślała ze smutkiem. Chłopak nie miał zębów. Nie stracił kilku, stracił wszystkie.

Mimo to przeszył ją lodowaty dreszcz, gdy Ashley zawołał:

— Kochamy panią, pani McCauszland...

Po dłuższej chwili cofnęła samochód, nawróciła i w bezwietrznym upale ruszyła do Haven Village. Jadąc Main Street do domu, miała wrażenie, jakby przyglądało się jej wiele par oczu, a których zamiast zrozumienia malowała się przebiegłość.

Ruth zerknęła w lusterko wsteczne i ujrzała wieżę zegarową na drugim końcu krótkiej Main Street.

Wskazówki pokazywały prawie trzecią po południu.

Zatrzymała darta przed domem Fanninów, wjeżdżając krzywo na krawężnik. Silnik zakrzuszył się i zgasł. Ruth nie chciało się nawet przekręcać kluczyka. Na tablicy rozdzielczej świeciły się czerwone lampki, a ona siedziała za kierownicą, wpatrując się w lusterko wsteczne i odpływając gdzieś myślami. Gdy się ocknęła, zegar wybijał szóstą. Straciła trzy godziny... i następny ząb. Zgubionych godzin nie można było nigdzie odnaleźć, ale ząb — siekacz — leżał na jej kolanach.

12

Lalki mówiły do niej całą noc. I zdawało się jej, że nic z tego, co mówiły, nie było do końca kłamstwem... to było najstraszniejsze. Siedziała w zielonym chorym blasku, poddając się jego obezwładniającej mocy i słuchając szalonych baśni, które opowiadały jej lalki.

Mówiły jej, że nie myli się, podejrzewając, iż traci rozum; gdyby neurolog zobaczył zdjęcie rentgenowskie jej mózgu (i każdego mieszkańca Haven), uciekłyby gdzie pieprz rośnie, wrzeszcząc z przerażenia. Jej mózg ulegał przeobrażeniom. Po prostu się „przemieniał”.

„Przemieniał” się jej mózg, jej zęby — to znaczy, przepraszam, były zęby. I jej oczy... zmieniały kolor, prawda? Tak. Ich brąz zaczął tracić głębię, przechodząc w barwę wyblakloorzechową... a pewnego dnia w Haven Lunch zauważyła, że jasnoniebieskie oczy Beacha Jernigana ciemnieją, też chyba zmieniając kolor na orzechowy.

Orzechowe oczy... brak zębów... Boże drogi, co się z nami dzieje?

Lalki patrzyły na nią szklanym wzrokiem, uśmiechając się.

Nie przejmuj się, Ruth, to tylko inwazja z kosmosu, o której od lat robi się tanie filmy. Już to zrozumiałaś, prawda? Inwazja Stukostrachów. Jeżeli chcesz zobaczyć najeźdźców z kosmosu, o których było mnóstwo tandetnych filmów i opowiadań science fiction, popatrz w oczy Beacha Jernigana. Albo Wendy. Albo we własne.

— Chcecie powiedzieć, że mnie powoli pożera? — wyszeptwała w ciemnościach, gdy piątkowa noc przechodziła w sobotni poranek.

A co, Ruth! Jak ci się zdawało, co może oznaczać „przemiana”? Lalki roześmiały się, a jej myśli na szczęście znów odpłynęły gdzieś daleko.

Kiedy zbudziła się w sobotę rano, słońce stało już wysoko na niebie. Na szkolnej tablicy widniał koślawy dziecienny rysunek ratuszowej wieży zegarowej, a na biurku Ralpa leżały ponad dwa tuziny kalkulatorów. Spoczywały w płóciennej torbie, której Ruth zwykle używała, zbierając datki na Stowarzyszenie Walki z Rakiem. Na niektórych kalkulatorach były nalepki. BERRINGER. MCCREADY. BIURO PRZEW. RADY NIE USUWAĆ. WYDZ. PODATKOWY. A więc wcale nie kładła się spać. Przeżyła kolejny okres niepamięci... i zdaje się, że ogołociła wszystkie biura w ratuszu z kalkulatorów.

Po co?

Nie musisz się zastanawiać po co, Ruth — szeptały lalki, a ona z każdym dniem, z każdą minutą, z każdą sekundą coraz lepiej rozumiała, czego tak bardzo przełękała się Edwina Thurlow. — *Ty masz tylko dać sygnał... i umrzeć.*

W jakim stopniu to mój pomysł? A w jakim ich?

Nieważne, Ruth. To się i tak stanie, więc twoja w tym głowa, żeby się stało jak najszybciej. Przestań myśleć. Niech się stanie... bo przecież w głębi duszy tego chcesz, prawda?

Tak. Prawdę mówiąc, chciała tego z całej duszy. I nie chodziło o wysłanie światu sygnału ani żadne tego rodzaju bzdury; to akurat była łyżka rozsądku w wielkiej beczce obłądu.

Chciała tam być w chwili wybuchu.

Kartonowe tuleje skierują w stronę wieży zegarowej siłę w formie jasnego strumienia energii, a wieża oderwie się od ratusza jak startująca rakietą; fala uderzeniowa wstrząśnie ulicą skażonego miasta, siejąc zniszczenie, a ona pragnęła właśnie zniszczenia; na tym polegała jej „przemiana”.

Tego wieczoru zadzwonił Butch Dugan, aby przekazać jej najświeższe nowiny o sprawie Davida Browna. Niektóre wydarzenia były naprawdę zaskakujące. Brat Davida, Hillman, leżał w szpitalu w stanie zbliżonym do katatonii. Z dziadkiem chłopca było niewiele lepiej. Zaczął przekonywać ludzi, że David Brown wcale nie zaginął, ale naprawdę zniknął. Innymi słowy, że sztuczka magiczna okazała się prawdziwa. Podobno opowiadał też każdemu, kto chciał słuchać, że połowa ludzi w Haven wariuje, a reszta już zwariowała.

— Pojechał do Bangor i rozmawiał z niejakim Brightem z „Bangor News” — rzekł Bestia. — Chcieli mieć jakąś historię z życia wziętą, a dostali opowieść świra. Staremu powoli rzuca się na mózg, Ruth.

— Lepiej mu powiedz, żeby nie zbliżał się do miasta — powiedziała Ruth. — Wpuszczą go, ale już nie będzie mógł wyjechać.

— Co? — krzyknął Bestia. Jego głos nagle stał się ledwie słyszalny. — Połączenie się psuje, Ruth.

— Powiedziałam, że być może jutro wydarzy się coś nowego. Jeszcze nie straciłam nadziei. — Cały czas pocierała skronie, spoglądając na lalki leżące na biurku Ralpa i połączone kłębem przewodów jak bomba zamachowca. — Czekać jutro na sygnał.

— Co? — Głos Bestii niemal rozplątywał się w szumie zakłóceń na linii.

— Do Widzenia, Butch. Świetny z ciebie kumpel. Nasłuchuj jutro. Chyba będzie słychać w Derry. Punkt trzecia.

— Ruth, nie słyszę cię... zadzwoń... niedługo...

Odłożyła głuchą słuchawkę, popatrzyła na lalki, posłuchała głosów i zaczęła czekać, aż nadejdzie pora.

W niedzielę w Maine był dzień śliczny jak na obrazku: jasny, pogodny i ciepły. Za kwadrans pierwsza Ruth McCausland ubrana w piękną niebieską letnią sukienkę po raz ostatni wyszła z domu. Zamknęła drzwi i wspiąwszy się na palce, zawiesiła klucz na haczyku. Ruth zawsze twierdziła, że każdy szanujący się złodziej, zanim zacznie się włamywać, zawsze będzie szukał klucza nad drzwiami, lecz Ralph wciąż go tam zostawiał i nigdy nikt nie okradł domu. Przypuszczała, że to w gruncie rzeczy kwestia zaufania... i nie zawiodła się na Haven. Wszystkie lalki włożyła do starego worka marynarskiego Ralpa i zniosła po schodkach werandy.

Akurat przechodził, pogwizdując, Bobby Tremain.

— Pomóc, pani McCausland?

— Nie, dziękuję, Bobby.

— W porządku. — Uśmiechnął się do niej. Zostało mu kilka zębów — niewiele, ale parę, jak resztki sztchet w płocie otaczającym dom, w którym straszy. — Kochamy panią.

— Tak — odrzekła, wciągając worek na siedzenie z przodu. Głowę przeszył jej ból. — O tym akurat doskonale wiem.

(co chcesz zrobić Ruth dokąd jedziesz)

(szedł Sasza szedł Sasza szedł Sasza)

(powiedz nam Ruth powiedz co kazały ci zrobić lalki)

(król Karol kupił królowej Karolinie)

(przyznaj się Ruth powiedz czy chcesz zrobić to co chcemy czy coś ukrywasz)

(chcielibyście wiedzieć stół z powyłamywanymi)

(to co chcemy, prawda? nic się nie zmienia, prawda?)

Przez chwilę patrzyła na Bobby'ego, a potem uśmiechnęła się do niego. Uśmiech Bobby'ego Tremaina lekko przybladł.

(kochacie mnie? tak... ale wciąż się mnie boicie i macie rację)

— Idź już, Bobby — powiedziała cicho i chłopak posłuchał.

Obejrzał się przez ramię z zatroskaną i nieufną miną.

Ruth pojechała do ratusza.

W budynku, zakurzonym kościele administracji, panowała niedzielna cisza. Jej kroki rozlegały się echem w korytarzu. Worek był za ciężki, by mogła go nieść, dlatego ciągnęła go po woskowanej posadzce. Wydawał suchy odgłos przypominający syk węża. Przetransportowała swój ciężar na trzecie piętro, schodek po schodku, ściskając w dłoniach sznurek, którym zawiązywało się worek. W głowie jej huczało i łomotało. Gdy przygryzła wargę, dwa zęby miękko rozjechały się na boki, toteż je wypluła. Przy każdym oddechu odnosiła wrażenie, jakby miała w gardle suchą słomę. Przez wysokie okna na trzecim piętrze wpadały przytłumione promienie słońca.

Pociągnęła worek przez krótki, niezwykle duszny korytarz — były tu tylko dwa pokoje, po jednym z każdej strony. Trzymano tu wszystkie miejskie dokumenty. Jeżeli ratusz był mózgiem Haven, to tu, na zacisznym poddaszu, znajdowała się jego papierowa pamięć od czasów, gdy miasto nosiło nazwę Ilium, Montgomery, Coodersville, Plantacja Montville.

Głosy szeptały i wirowały wokół niej z szelestem.

Przez chwilę stała, patrząc przez ostatnie okno na krótką Main Street. Jakieś piętnaście samochodów stało pod sklepem Coodera, który w niedzielę był czynny od południa do osiemnastej — miał całkiem niezłe obroty. Ludzie niespiesznie wchodzili do Haven Lunch na kawę. Od czasu do czasu ulicą przejeżdżało jakieś auto.

Wszystko wygląda tak normalnie... tak cholernie normalnie!

Na moment ogarnęło ją zwątpienie... a potem Moose Richardson spojrział w górę i pomachał, jakby zobaczył ją w brudnym oknie na trzecim piętrze.

Moose nie był zresztą jedyny. Patrzyło na nią wiele osób.

Cofnęła się, odwróciła i ze ślepego końca korytarza wzięła maszt, na którym wywieszano w oknie flagę. Końcem masztu zahaczyła kółko wystające ze środka sufitu i spuściła składane schody. Następnie odstawiła maszt na miejsce i wychyliła się do tyłu, zaglądając do wieży. Słyszała mechaniczny grzechot i szum zegara oraz znacznie cichszy szelest, jaki wydawały śpiące nietoperze. Mnóstwo ich gnieździło się w wieży. Miasto już dawno temu powinno się ich pozbyć, ale sądzono, że odymianie może być nieprzyjemne i... drogie. Gdyby znów zepsuł się mechanizm zegara, co zapewne nastąpi już niedługo, przed przystąpieniem do naprawy trzeba by usunąć nietoperze. Natomiast zdaniem radnych, wszystko będzie dobrze, pod warunkiem że gdy zegar wybiję dwunastą w południe o trzeciej nad ranem, a potem stanie, u władzy będzie ktoś inny.

Ruth trzykrotnie owinęła bawełniany sznurek wokół ręki i wolno zaczęła się wspinać po drabinie, ciągnąc między nogami worek, który sunął w górę, objając się ciężko o stopnie, jak gdyby w środku były zwłoki. Sznurek wrzynał się jej w rękę, toteż po chwili dłoń jej zsiniała i zdrętwiała. Łapała głębokie hausty powietrza, a przy każdym oddechu czuła ból w piersiach.

W końcu ogarnął ją półmrok. Weszła po drabinie na strych ratusza i powoli wciągnęła na górę worek. Ledwie zdawała sobie sprawę, że zaczęła krwawić z uszu i dziąseł, a usta ma pełne kwaśnego, metalicznego smaku krwi.

Wokół niej w suchym, gorącym i nieruchomym powietrzu unosiła się woń starej cegły jak w dusznej krypcie. Po lewej ujrzała niewyraźne ciemne koło: tylną ścianę tarczy zegarowej zwróconej w stronę Main Street. W lepiej prosperującym mieście zegar miałby tarcze ze wszystkich czterech stron; na wieży w Haven była tylko jedna. Miała dwanaście stóp średnicy. Za tarczą zobaczyła jeszcze mniej wyraźnie poruszające się wolno koła i przekładnie. Dostrzegła miejsce, gdzie młotek uderzał w dzwon, wybijając godzinę. Widać tam było powstałe w ciągu wielu lat głębokie wgniecenie. Mechanizm zegara pracował bardzo głośno.

Szybkimi i gwałtownymi ruchami — jakby sama była zegarem, który powoli ustawał i trzeba w nim było wymienić sprężynę — Ruth odwinęła bawełniany sznurek z głębokiego spiralnego rowka, jaki odcisnął jej na rękę, i otworzyła worek. Zaczęła pośpiesznie wyjmować lalki jedną po drugiej. Kładła je w kole z wyciągniętymi nogami, tak, że wszystkie stykały się stopami i rękami. W ciemności wyglądały, jakby brały udział w seansie spirytystycznym.

Petarę M-16 umocowała pośrodku wgniecenia w wielkim dzwonie. Gdy zegar wybiję godzinę i młotek spadnie...

Bum.

Posiedzę tu sobie, pomyślała. Posiedzę i zaczekam, aż spadnie młotek.

Nagle opadło ją senne zmęczenie. Myśli Ruth odpływały.

16

Powoli dochodziła do siebie. Z początku zdawało się jej, że leży we własnym łóżku z twarzą wciśniętą w poduszkę. Leży w łóżku, a wszystko to jest tylko koszmarnym snem. Ale jej poduszka nie była tak szczeniasta i gorąca; jej pościel nie pulsowała i nie oddychała.

Wyciągnęła rękę i dotknęła gorącego, skórzastego ciała składającego się głównie z kości i niewielu mięśni. Nietoperz przysiadł tuż nad jej prawą pierś, w zagłębieniu pod barkiem... a ona zdała sobie sprawę, że go przywołała... że przywołała je wszystkie. Słyszała jego szorstkie, zwierzęce myśli, mroczne i szalone, kierowane wyłącznie instynktem. Stworzenie myślało tylko o krwi, robakach i lataniu w nieprzeniknionych ciemnościach.

— O Boże, nie — krzyknęła... obce myśli zwierzęcia drażniły ją nieznośnie, wdzierając się do głowy jak żywe ciernie. Boże, błagam, nie...

Odruchowo zacisnęła dłonie i cienkie kości skrzydeł chrupnęły jej pod palcami. Nietoperz pisnął i ugryzł ją. Poczowała ostry, przeszywający ból w policzku.

Wszystkie zaczęły popiskiwać, zorientowała się, że ma ich na sobie dziesiątki, może nawet setki. Na drugim ramieniu, na butach, we włosach. Gdy opuściła wzrok, zobaczyła, że sukienka na kolanach porusza się i faluje.

— Nie! — wrzasnęła w zakurzony półmrok wieży zegarowej. Nietoperze krążyły wokół jej głowy, popiskując. Szmer ich skrzydeł przypominał cichy odgłos nadciągającej burzy, jak wzmagający się szept głosów z Haven. — Nie, och, nie, nie!

Nietoperz z piskiem i trzepotem skrzydeł wczepił się jej we włosy.

Inny trafił ją prosto w twarz. Jego oddech cuchnął zatęchłym kurnikiem.

Cały świat zawirował. Udało się jej wstać. Wymachiwała rękami nad głową, a nietoperze były wszędzie, otaczając ją czarną chmurą, i nagle cichy furkot skrzydeł i szum głosów

(kochamy cię Ruth)

głosów

(nienawidzimy cię Ruth nie mieszaj się ani się waz mieszać)

głosów z Haven stopiły się w jedno.

Zapomniała, gdzie jest. Zapomniała o otwartej klapie w podłodze, którą miała pod stopami. Gdy przedzierała się w jej stronę, usłyszała, jak zegar wybija godzinę — lecz dźwięk był stłumiony, nieczysty, ponieważ młoteczek uderzył w detonator i...

...nic się nie stało.

Odwróciła się i przez chmurę nietoperzy spojrzała z niedowierzaniem na zegar. Oczy też jej zaczęły krwawić, lecz przez czerwonawą mgłę ujrzała, jak młotek spada drugi raz i trzeci mimo to świat pozostał na miejscu.

Niewypał, pomyślała Ruth McCausland. To niewypał.

I wypadła przez otwartą klapę.

Nietoperze zerwały się z niej, zleciała z niej sukienka i jeden but. Ruth spadła na drabinę, odbiła się od niej i w półobrocie wylądowała z chrzęstem na boku, łamiąc wszystkie żebra. Usiłowała się odwrócić i jakimś cudem jej się udało. Większość nietoperzy odnalazła drogę z powrotem do przyjaznego mroku wieży zegarowej, ale kilka zostało — latały ogłupiałe pod dachem korytarza na trzecim piętrze. Zdezorientowane wydawały dziwne obce dźwięki, jak rój obłąkanych owadów — to były głosy, które słyszała w głowie od czwartego lipca. Miasto dotknęło coś gorszego niż szaleństwo. Boże, coś znacznie, znacznie gorszego.

I wszystko na nic. Petarda Garbusa Jernigana okazała się w końcu niewypałem. Świat nagle pociemniał, a gdy po czterech minutach odzyskał normalne barwy i ostrość, na nosie przysiadł jej nietoperz i zlizywał z policzka krwawe łyżki.

— O nie, skurwielu! — wrzasnęła i dygocząc z obrzydzenia rozerwała zwierzę na pół. Rozległ się odgłos jak przy darciu grubego papieru. Wnętrznosci nietoperza ściekły na jej zwróconą w górę i oblepioną pajęczynami twarz. Nie mogła otworzyć ust, by krzyknąć

(Boże, daj mi umrzeć, nie pozwól mi się „przemienić”)

bo potknęłaby trzewia zdychającego stworzenia, gdy nagle petarda M-16 eksplodowała pod uderzeniem młotka z zupełnie nieefektywnym hukiem. Zielone światło najpierw wypełniło kwadrat klapy w podłodze wieży... a potem cały świat.

Ruth przez chwilę wyraźnie widziała kości nietoperzy jak na zdjęciu rentgenowskim.

Potem zieleń stała się czarna.

Było pięć po trzeciej.

Ludzie w całym Haven leżeli twarzą do ziemi. Niektórzy zeszli do piwnicy, bo akurat przyszło im do głowy, żeby przynieść trochę przetworów, a innym zdawało się po prostu, że

tam będzie chłodniej. Beach Jernigan leżał za barem w Haven Lunch z rękami splecionymi na karku. Rozmyślał o przedmiocie na pace swojego pikapa, o rzeczy pod brezentem.

O piętnastej pięć rozerwała się podstawa wieży zegarowej, rozsiewając wszędzie sproszkowaną cegłę. Po polach rozniósł się potężny grzmot, wybijając prawie wszystkie okna w Haven i niejedno w Troy i Albion.

Przez wyrwę w ceglanych ścianach bryznęło zielone światło, a wieża ratuszowa zaczęła się wznosić jak surrealistyczny pocisk z cegły, jak rakieta z obrazu Magritte'a z wbudowanym zegarem. Wzniosła się na słupie zimnego zielonego płomienia na pewno zimnego, bo inaczej w ogniu spłonęłyby lalki oraz ramię Ruth McCausland... i zapewne całe miasteczko.

Wieża zegarowa wzniosła się na zielonej pochodni, a jej boki zaczęły się wybrzuszać — jednak przez chwilę iluzja była naprawdę sugestywna: w popołudniowe niebo wzbijała się ceglana rakieta... a przez huk wybuchu dał się słyszeć zegar wybijający godzinę za godziną. Przy dwunastym uderzeniu — południe? północ? — wieża eksplodowała jak nieszczęsny *Challenger*. Cegły poleciały wszędzie — Benton Rhodes miał później zobaczyć szkody, ale najgorsze szybko zostały zamaskowane.

Cegły przebijały ściany domów, okna piwnic i ogrodzenia z desek. Spadały z nieba jak bomby. Długa wskazówka zegara z kutego żelaza świsnęła jak śmiercionośny bumerang i wbiła się w jeden ze starych dębów stojących pod biblioteką w Haven.

Kamienie i roztrzaskane kawałki drewna runęły z łoskotem na ziemię.

A potem nastąpiła cisza.

Po chwili ludzie w Haven zaczęli ostrożnie wstawać, rozglądać się... zamiatać szkło albo oceniać szkody. Przez miasto przeszła fala zniszczenia, lecz nikomu nie stała się krzywda. I tylko jeden człowiek w całym mieście naprawdę widział, jak ceglana rakieta wzniosła się w powietrze niczym we śnie szaleńca.

Tym człowiekiem był Jim Gardener. Bobbi poszła się zdrzemnąć — Gardener ją namówił. Żle się im pracowało w upalne popołudnie — zwłaszcza Bobbi. Nie była już wprawdzie w tak okropnym stanie, w jakim Gardener ją zastał, ale wciąż narzucała sobie mordercze tempo i nagle znów dostała obfitego okresu.

Ciekawe, myślał ze szczyptą czarnego humoru, kiedy będzie potrzebowała transfuzji zamiast kilku tabletek z żelazem dziennie? Wiedział jednak, że to mało prawdopodobne. Jego była żona miała straszne problemy z miesiączką, prawdopodobnie dlatego, że jej matce zaaplikowano kiedyś lek o nazwie DES. Tak więc Gardener przeszedł przyspieszony kurs na temat czynności kobiecego organizmu i wiedział, że laicka definicja menstruacji — wypływ krwi z pochwy raz w miesiącu jest po prostu błędna. Materia wydalana podczas miesiączki składa się przede wszystkim nie z krwi, lecz z niepotrzebnej tkanki. Menstruacja to nic innego jak proces skutecznego usuwania zbędnych produktów u kobiety, która jest zdolna do rodzenia dzieci, ale akurat tego nie robi.

Nie, nie wierzył, aby Bobbi miała się wykrwawić na śmierć... chyba że doszłoby do pęknięcia macicy, co też raczej było mało prawdopodobne.

Bzdura. Nie wiadomo, co w takiej sytuacji jest prawdopodobne, a co nie.

Zgoda. W porządku. Wiedział też, że kobiety nie są stworzone po to, by miesiączkować dzień po dniu i tydzień po tygodniu, bez względu na okoliczności. W gruncie rzeczy krew i tkanki to jedno i to samo: materiał, z którego składała się Bobbi Anderson. Jak gdyby ktoś usiłował ją rozmontować na części zamienne...

Nie, wcale nie. Raczej jakby ktoś ustawił jej termostat na cały regulator i Bobbi zaczęła się spalać. Podczas upału panującego w ubiegłym tygodniu kilka razy omal nie zasłabła i Gardener zdawał sobie sprawę, że, choć mogło to brzmieć groteskowo, poszukiwania małego Browna były dla Bobbi formą odpoczynku.

Gardener za bardzo nie wierzył, że uda mu się ją przekonać do drzemki. Jednak mniej więcej za kwadrans trzecia Bobbi powiedziała, że jest zmęczona i może trochę się zdrzemnie. Spytała Gardenera, czy też ma ochotę kimnąć z godzinkę.

— Tak — odrzekł. — Ale posiedzę jeszcze parę minut na werandzie i poczytam. — *I dokończę tego małego drineczka.*

— Nie siedź za długo — powiedziała Bobbi. — Też ci się przyda krótka siesta.

Ale Gardener siedział dość długo, powoli sącząc drinka, tak długo, że był jeszcze na werandzie, gdy huk wstrząsnął polami i wzgórzami między domem Bobbi a miasteczkiem, które dzieliło mniej więcej pięć mil.

— Co, do kurwy nę...

Huk potężniał... i nagle Gardener zobaczył coś rodem z koszmaru, to musiał być początek delirium, nic innego, nic, I kurwa, tylko delirka. Tym razem nie była to telepatyczna maszyna do pisania ani bojler z kosmosu — ale pieprzona ceglana rakietka, która startowała z Haven Village. To koniec, słuchajcie, drodzy przyjaciele i sąsiedzi, dograłem się na amen.

Zanim eksplodowała, rozbryzgując na niebie zielony ogień, rozpoznał ją i już wiedział, że to nie halucynacja.

Oto energia Bobbi Anderson; oto moc, dzięki której powstrzymają jądrowy obłęd, wyścig zbrojeń, powódź krwi zalewającą świat; wznosiła się do nieba na słupie płomieni: jednemu z wariatów w miasteczku udało się podpalić lont pod ratuszem i posłać wieżę zegarową Haven prosto w niebo jak pieprzone ognie rzymskie.

— Jasny gwint — wyszeptał przerażony Gardener przez ściśnięte gardło.

Patrz, Gard! Oto przyszłość! Tego chcesz? Przecież wiesz, że kobieta tam w domu powoli dostaje fioła... oznaki są zupełnie wyraźne. Chcesz dać jej do ręki taką moc? Naprawdę?

Nie jest stuknięta — odpowiedział przestraszony Gardener. — *Wcale nie jest stuknięta, a sądzisz, że to, co właśnie zobaczyłeś, zmienia równanie? Skąd, nawet je podkreśla. Jeżeli nie ja i Bobbi, to kto? Tylko policja z Dallas. Wszystko będzie dobrze, będę miał na nią oko, będę jej patrzeć na ręce...*

Rzeczywiście, robisz to świetnie, pieprzony moczymordo, doprawdy świetnie.

Niewiarygodna rzecz na niebie eksplodowała, bryzgając na wszystkie strony zielonym ogniem. Gardener przysłonił oczy. Zerwał się na nogi, gdy tylko rozległ się huk.

Z domu wybiegła Anderson.

— Co to było, do cholery? — zapytała, ale wiedziała... wiedziała, a Gardener z lodowatym dreszczem stwierdził, że wie, iż ona wie.

Gardener ustawił sobie w głowie barierę — w ciągu dwóch tygodni nauczył się, jak to dobrze robić. Bariera składała się z recytowanych w myślach przypadkowych adresów, fragmentów wierszy, urywków piosenek... ale działała. Odkrył, że wytworzenie takich fal zagłuszających jest bardzo łatwe; niewiele różniło się to od strumienia przypadkowych myśli, jaki najczęściej przepływa przez głowę prawie wszystkim (może zmieniłby zdanie, gdyby wiedział, jakie rozpaczliwe wysiłki podejmowała Ruth McCausland, aby ukryć swoje myśli Gardener nie miał pojęcia, jak wielu kłopotów oszczędza mu płytka w głowie). Wiele razy widział, jak Bobbi przygląda mu się z dziwnie zaskoczoną miną i choć odwracała wzrok, ilekroć zauważyła, że Gardener ją obserwuje, wiedział, że próbuje czytać mu w myślach... bardzo się stara... lecz wciąż bez powodzenia.

Skorzystał teraz z tej bariery, aby zamaskować pierwsze kłamstwo, jakie wypowiedział, odkąd prawie trzy tygodnie temu związał swój los z losem Bobbi, czyli od piątego lipca.

— Właściwie nie wiem — rzekł. — Drzemałem na krześle. Usłyszałem wybuch i zobaczyłem błysk światła. Chyba było zielone. Nic więcej nie widziałem.

Bobbi badawczo wpatrywała się w jego twarz, a potem skinęła głową.

— Chyba lepiej pojedźmy do miasta zobaczyć.

Gardener odetchnął. Nie był pewien, dlaczego skłamał, ale wydawało mu się, że tak będzie bezpieczniej... a ona mu uwierzyła. Nie chciał też zawieść jej zaufania.

— Mogłabyś pojechać sama? To znaczy, jeżeli chcesz mieć towarzystwo...

— W porządku — odparła niemal skwapliwie i poszła do samochodu.

Gardener odprowadził wzrokiem oddalające się auto i gdy wracał na werandę, kopnął szklankę. Tracił kontrolę nad piciem, pora więc przestać. Bo działo się tu coś naprawdę dziwnego. Warto się temu przyjrzeć, a kiedy się pije, człowiek ślepnie.

Już nieraz to sobie przyrzekał. Czasem nawet przez pewien czas dotrzymywał słowa. Tym razem nie dotrzymał. Kiedy Bobbi wróciła, Gardener spał pijany na werandzie.

Mimo to sygnał Ruth został odebrany. Ten, który go odebrał, był zaangażowany w projekt Bobbi, choć wątpliwości dręczyły go do tego stopnia, że pił coraz więcej. Sygnał został jednak odebrany i przynajmniej częściowo odczytany: oznaką tego było kłamstwo Gardenera. Ruth zapewne bardziej ucieszyłaby się z nieco większego dokonania, ale dobre i to.

Choć słyszała głosy, w chwili śmierci była przy zdrowych zmysłach.

**BEACH JERNIGAN
I DICK ALLISON**

Nikt w Haven nie był bardziej zachwycony „przemianą” niż Beach Jernigan. Gdyby Stukostrachy Garda ukazały mu się osobiście, niosąc broń jądrową, i poprosiły go, aby podłożył taki ładunek w siedmiu największych miastach świata, Beach natychmiast zaczęłby rezerwować bilety lotnicze. Nawet w Haven, gdzie fanatyzm stawał się powszechnym elementem stylu życia, Beach wykazywał wyjątkową gorliwość. Gdyby wiedział o narastających wątpliwościach Gardenera, zapewne by go usunął. Definitywnie. I z miejsca.

Beach miał swoje powody. W maju — krótko po urodzinach Hilly’ego Browna — nabawił się suchego kaszlu, który nie chciał ustąpić. Beach zaniepokoił się, bo kaszlowi nie towarzyszył ani katar, ani gorączka. Zaniepokoił się jeszcze bardziej, gdy zaczął kasłać krwią. Kiedy prowadzi się restaurację, lepiej w ogóle nie kaszleć. Klientom nie bardzo się to podoba. Denerwują się. Prędzej czy później ktoś powie Urzędowi Zdrowia, który może zamknąć lokal na jakiś tydzień i zaczekać na wyniki testu tuberkulinowego. Haven Lunch przynosił w najlepszym razie skromny dochód (Beach spędzał dwanaście godzin dziennie na przygotowywaniu szybkich posiłków, żeby zarobić na czysto sześćdziesiąt pięć dolarów tygodniowo; gdyby miał jakieś zobowiązania finansowe, przymierałby głodem) i Beach nie mógłby sobie pozwolić na zamknięcie latem knajpy na cały tydzień. Wprawdzie lato jeszcze nie nadeszło, lecz zbliżało się wielkimi krokami. Poszedł więc do starego doktora Warwicka, a doktor Warwick wysłał go do szpitala w Derry na prześwietlenie klatki piersiowej. Gdy nadeszły wyniki rentgena, doktor Warwick przyglądał się zdjęciu przez dwadzieścia sekund, a potem wezwał. Beacha i gdy ten się zjawił, doktor Warwick powiedział:

— Mam dla ciebie złe wiadomości, Beach, usiądź.

Beach usiadł. Miał wrażenie, że gdyby w gabinecie nie było krzesła, upadłby na podłogę. Nogi zupełnie odmówiły mu posłuszeństwa. W maju mieszkańcy Haven nie mieli jeszcze zdolności telepatycznych — w każdym razie poza zwyczajnymi, z których korzystają na co dzień — ale Beachowi wystarczyła zwyczajna telepatia. Wiedział, co doktor Warwick powie, zanim to jeszcze usłyszał. To nie gruźlica, to rak. Nowotwór płuca.

Ale to było w maju. W lipcu Beach był zdrow jak ryba. Doktor Warwick powiedział mu wcześniej, że przed piętnastym lipca pewnie trafi do szpitala, lecz on jadł za dwóch, był jurny jak buhaj i czuł, że mógłby wygrać bieg nawet z Bobbym Tremainem. Nie pojechał do szpitala na następne prześwietlenie. Nie potrzebował badania, by wiedzieć, że po dużej ciemnej plamie na lewym płucu nie ma już śladu. Zresztą gdyby chciał się prześwietlić, mógłby poświęcić jedno popołudnie i sam zbudować aparat rentgenowski. Wiedział, jak to zrobić.

Jednak teraz, po wybuchu, trzeba było zbudować inne rzeczy, zrobić wiele innych rzeczy... i to szybko.

Urządzili naradę. Wszyscy w mieście. Nie zebrali się w jednym miejscu jak podczas zgromadzeń miejskich; było to zupełnie zbędne. Beach smażył hamburgery w Haven Lunch, Nancy Voss nie przerwała sortowania znaczków na poczcie (po śmierci Joego przynajmniej można tu było przychodzić, nawet w niedzielę), Bobby Tremain leżał pod swoim challengerem, montując kanał zwrotny, dzięki któremu będzie mógł przejechać na jednym galonie o siedemdziesiąt mil więcej. Nie była to pastylka benzynowa, o której mówiła Anderson — niezupełnie — ale coś o zbliżonym działaniu. Newt Berringer, który doskonale wiedział, że nie ma czasu do stracenia, gnał na złamanie karku do domu Applegate’ów. Lecz

bez względu na to, gdzie przebywali i co robili, byli razem, w sieci niemych głosów — głosów, które tak bardzo przeraziły Ruth.

Niecałe czterdzieści pięć minut po wybuchu u Henry'ego Applegate'a zebrało się około siedemdziesięciu osób. Henry miał największy i najlepiej wyposażony warsztat w mieście, nie licząc stacji Shella, która prawie już przestała naprawiać i regulować silniki. Po niecałych dwóch godzinach zjawiała się tam Christina Lindley, która miała zaledwie siedemnaście lat, ale w zeszłym roku zdobyła drugą nagrodę w Czternastym Dorocznym Konkursie Fotograficznym Stanu Maine; była przestraszona, zdyszana (prawdę mówiąc, czuła się także dość seksowna) po szalonej jeździe z miasta z Bobbym Tremainem, który chwilami pędził ponad sto dziesięć na godzinę. Od kiedy Bobby tchnął w dodge'a nowe życie, auto zmieniło się w żółtą błyskawicę.

Wysłano ją, aby zrobiła dwa zdjęcia wieży zegarowej. Zadanie wymagało nie lada umiejętności, ponieważ wieża zmieniała się w kupę porozrzucanych kawałków cegieł, kamieni i części mechanizmu zegarowego, trzeba więc było zrobić zdjęcie zdjęcia.

Christina szybko przekartkowała album ze zdjęciami miasta. Newt powiedział jej telepatycznie, gdzie ma go szukać w biurze Ruth McCausland. Odrzuciła dwie fotografie, całkiem dobre, gdyż były czarno — białe. Tymczasem oni zamierzali zbudować iluzję — wieżę zegarową, na którą ludzie mogliby spoglądać... ale przez którą mógłby przelecieć samolot.

Innymi słowy, mieli zamiar wyświetlić na niebie gigantyczny slajd.

Niezła sztuczka.

Dawno temu Hilly Brown mógłby im pozazdrościć.

Christina zaczęła powoli tracić nadzieję, gdy wreszcie znalazła: wspaniałe zdjęcie ratusza w Haven z wyeksponowaną wieżą... zrobione pod takim kątem, że wyraźnie było widać dwie ściany. Świetnie. Będą mieli odpowiednią głębię ostrości. Według starannej adnotacji sporządzonej ręką Ruth, zdjęcie pochodziło z czasopisma „Yankee” nr 5/87.

Musimy iść, Chris — powiedział Bobby, nie otwierając ust. Przystępował z nogi na nogę jak dziecko, które musi udać się do toalety.

Dobrze, już, tylko...

Urwała.

Ojej — powiedziała — O Boże.

Bobby Tremain podszedł szybko. Co jest?

Pokazała na zdjęcie.

— O żeż kurde! — wrzasnął głośno Bobby Tremain, a Christina skinęła potakująco głową.

2

Przed siódmą wieczorem, pracując szybko i w milczeniu (tylko od czasu do czasu ktoś na kogoś warknął, kiedy mu się zdawało, że ten drugi pracuje za wolno), skonstruowali urządzenie, które wyglądało jak wielki rzutnik zamontowany na odkurzaczu przemysłowym.

Kiedy je sprawdzili, na polu Henry'ego pojawiła się wielka kamienna twarz kobiety. Zgromadzeni ludzie przyglądali się stereofotografii babci Henry'ego Applegate'a w milczeniu, lecz z aprobatą. Maszyna działała. A więc gdy tylko dziewczyna przyniesie zdjęcie ratusza — właściwie zdjęcia, bo oczywiście musieli stworzyć obraz stereofotograficzny — będą mogli...

Nagle dotarł do nich głos Christiny, słaby, ale wzmocniony myślą Bobby'ego Tremaina.

Złe wieści.

— Co? — zapytał Newta Kyle Archinbourg. — Nie zrozumiałem do końca.

— Głuchy, kurwa, jesteś? — warknął Andy Baker. — Jezu, kiedy ta dziwka wysadziła dach w powietrze, huk usłyszeli ludzie w trzech okręgach. Jeśli chcecie znać moje zdanie... — Zaciśnięła pięści.

— Przestańcie, obaj — odezwała się Hazel McCready.

Zwróciła się do Kyle'a. — Dziewczyna naprawdę odwalila kawał dobrej roboty. — Formułowała myśli powoli i wyraźnie, nadając im jak największą moc, aby jednocześnie skontaktować się z Christiną Lindley i wyjaśnić sytuację Kyle'owi Archinbourgowi... żeby dodać otuchy dziewczynie, która

(myślała)

wydawała się bliska hysterii i mogło się okazać, że nie będą z niej mieli żadnego pożytku. W takim stanie na pewno spieprzyłaby sprawę, a oni nie mieli czasu na spieprzenie czegokolwiek.

— To nie jej wina, że na zdjęciu widać godzinę na zegarze.

— Jak to? — zapytał Kyle.

— Znalazła kolorowe zdjęcie zrobione pod idealnym kątem — rzekła Hazel. — Wygląda jak trzeba od strony kościoła i cmentarza i tylko jest lekko zniekształcone od strony drogi. Trzeba będzie przez parę dni uważać, żeby obcy nie zaglądali z tyłu, dopóki Chris nie znajdzie zbliżonego kąta, ale skoro będzie ich interesować piec... i Ruth... chyba powinno się udać. Może zamknąć jakieś ulice? — Spojrzała na Newta.

— Remont kanalizacji — odparł natychmiast. — Nic prostszego.

— Wciąż nie rozumiem, na czym polega problem — odezwał się Kyle.

— Może na tobie, pieprzony idioto — odparł Andy Baker.

Kyle odwrócił się gwałtownie do mechanika, a Newt powiedział:

— Przestańcie, obaj. — Zwracając się do Kyle'a, dodał. Problem polega na tym, że Ruth wysadziła wieżę ratusza pięć po trzeciej. Na jedynym dobrym zdjęciu, jakie znalazła Christina, dokładnie widać tarczę zegara.

— Pokazuje za kwadrans dziesiątą.

— A — powiedział Kyle. Na jego twarz nagle wystąpił pot. Kyle wyciągnął chustkę i osuszył ją. — Cholera. I co zrobimy?

— Kombinujemy — odrzekła spokojnie Hazel.

— Dziewka! — krzyknął Andy. — Gdyby jeszcze żyła, zabiłbym ją!

— Wszyscy w mieście ją kochali, dobrze o tym wiesz, Andy — powiedziała Hazel.

— Taa. I mam nadzieję, że diabeł smaży ją w piekle na długich widłach. — Andy wyłączył aparat.

Babcia Henry'ego zniknęła. Hazel odetchnęła. Było coś upiornego w widoku trójwymiarowej podobizny tej kobiety o ostrych rysach unoszącej się nad polem Henry'ego. Krowy które już dawno powinny się znaleźć w oborze — pasły się i od czasu do czasu przechodziły przez jej twarz lub znikwały w wielkiej staromodnej broszce, którą kobieta miała wpiętą w wysoki kołnierzyk.

— Wszystko będzie dobrze — powiedziała nagle w ciszy Bobbi Anderson. Usłyszeli to wszyscy — Christina Lindley też — i odetchnęli z ulgą.

3

— Zawieź mnie do domu — powiedziała do Bobby'ego Tremaina. — Szybko. Wiem, co zrobić.

— No to już. — Chwycił ją za rękę i zaczął ciągnąć w stronę drzwi.

— Zaczekaj — powiedziała.

— Hę?

— Nie sądzisz, że powinnam

...zabrać zdjęcie? — dokończyła.
Kurde! — powiedział Bobby i plasnął się w czoło.

4

Tymczasem Dick Allison, który był szefem ochotniczej straży pożarnej w Haven, siedział w biurze i pocąc się jak mysz mimo klimatyzacji, odbierał telefony. Pierwszy był od konstabla z Troy, drugi od szefa policji w Unity, trzeci z policji stanowej, czwarty z policji lotniczej.

Zapewne i tak by się pocił, ale jednym z powodów nieskutecznego działania klimatyzacji był fakt, że siła wybuchu wyrwała drzwi jego biura z zawiasów. Ze ścian spadł prawie cały tynk, odsłaniając listwy przypominające gnijące żebra. Allison siedział pośrodku tego gruzowiska, zapewniając wszystkich rozmówców, że istotnie huk był potworny, że prawdopodobnie jest jedna ofiara śmiertelna, ale skutki nie są wcale tak poważne, jak mogłoby się wydawać. Właśnie wciskał ten kit dziennikarzowi z wychodzącego w Bangor „Daily News”, niejakiemu Johnowi Leandrowi, gdy na głowę spadła mu z sufitu korkowa płyta. Dick odtrącił ją na bok z wściekłym pomrukiem, zaśmiał się do słuchawki i powiedział, że to tylko tablica ogłoszeń. Cały czas cholerstwo spada ze ściany. Z tyłu ma tylko takie przyssawki, wie pan, matka zawsze mu mówiła, że jeśli kupuje się za półdarmo, to zwykle tandetę i...

Rozmowa trwała jeszcze pięć minut, ale Allisonowi udało się zanudzić Leandra do tego stopnia, że w końcu dał spokój. Kiedy odłożył słuchawkę, prawie cały sufit w korytarzu za drzwiami runął z suchym trzaskiem.

— Żeż ty w dupę łusą jebany skurwysynu! — wrzasnął Dick Allison i z całej siły grzmotnął pięścią w blat biurka. Mimo że złamał przy tym cztery palce, w furii nawet tego nie zauważył. Gdyby w tym momencie ktoś wszedł do biura, Allison rozerwałby mu gardło, napelnił usta gorącą krwią i zbryzgał nią twarz konającego. Wrzeszczał, przeklinał i nawet tupał nogami jak dziecko, które wpada w złość, kiedy rodzice zabronią mu iść na wycieczkę.

Wyglądał jak dziecko.

Wyglądał wyjątkowo niebezpiecznie.

Stukostrachy, Stukostrachy stukwały do drzwi.

5

Między jednym telefonem a drugim Dick poszedł do gabinetu Hazel, w szufladzie jej biurka znalazł midol i wziął sześć pastylek. Potem ciasno owinał puchnącą rękę i przestał o niej myśleć. Gdyby jeszcze był człowiekiem, byłoby to niemożliwe; nie sposób tak po prostu zapomnieć o złamanych palcach.

Ale on zaczął już przechodzić „przemianę”. Jednym z jej skutków była umiejętność panowania nad bólem dzięki świadomej woli.

Przydała się.

Pomiędzy rozmowami ze światem zewnętrznym — a czasem w trakcie tych rozmów — Dick komunikował się z ludźmi, którzy w szalonym tempie pracowali u Henry’ego Applegate’a. Powiedział im, że mogą się spodziewać przyjazdu dwóch gliniarzy ze stanowej około wpół do piątej, najpóźniej o piątej. Zapytał, czy zdążą do tej godziny przygotować rzutnik. Gdy Hazel wyjaśniła mu sprawę, Dick znów zaczął się wydierać, tym razem nie tylko z wściekłości, ale i ze strachu. Kiedy Hazel wyjaśniła mu, co zamierza zrobić Christina Lindley, uspokoił się... w każdym razie trochę. Dziewczyna miała w domu ciemnię. Chciała ostrożnie zrobić negatyw ze zdjęcia wieży w magazynie „Yankee” i trochę go powiększyć — nie dlatego, że trzeba było wykonać większą odbitkę do rzutnika (w zbyt dużym

powiększeniu wieża zegarowa miałyby dziwnie ziarnisty wygląd), ale dlatego, że do obróbki potrzebowała nieco większego obrazu.

Tak więc Christina zrobi negatyw — mówiła w jego myślach Hazel — a potem aerografem usunie wskazówki z tarczy zegara. Następnie Bobby Tremain za pomocą noża introligatorskiego wykona nowe wskazówki tak, aby pokazywały pięć po trzeciej. Ma pewną rękę i trochę talentu. W tej chwili ważniejsza była jednak pewna ręka.

Wydawało mi się, że jak się robi negatyw z pozytywu, wychodzi niewyraźny — rzekł Dick Allison. — Zwłaszcza kiedy pozytyw jest w kolorze.

Ulepszyła sprzęt do wywoływania — powiedziała Hazel. Nie musiała dodawać, że siedemnastoletnia Christina Lindley miała teraz najnowocześniejszą ciemnię fotograficzną na Ziemi.

Kiedy więc będziecie gotowi?

Jej zdaniem przed północą — odrzekła Hazel.

Chryste panie! — krzyknął Dick tak głośno, że wszyscy ludzie na polu Henry'ego się skrzywili.

Będziemy potrzebowali około trzydziestu baterii R20 włączył się spokojny głos Bobbi Anderson. — Dick, bądź tak miły i zajmij się tym. Słyszeliśmy o policjantach. Zagraj im coś wesołego, jak w „Hee-Haw”, rozumiesz?

Tak — odrzekł po chwili. — Jak Buck i Roy. I Junior Samples.

Otóż to. I przytrzymaj ich. Najbardziej martwi mnie ich radio, nie oni — na początek przyślą tylko jeden radiowóz, najwyżej dwa. Ale jeżeli zobaczą... jeżeli nadadzą komunikat...

Rozległ się szmer aprobaty jak szum oceanu w muszli.

Można im w jakiś sposób uniemożliwić nadawanie z miasta? — zapytała Bobbi.

No...

Nagle włączył się Andy Baker, informując ich radośnie:

Mam lepszy pomysł. Powiedzcie Buckowi Petersowi, żeby wziął w troki swoją tłustą dupę i przyjechał na stację benzynową.

Tak! — zagłuszyła go piskliwie myśl przejętej Bobbi. Świetnie! Doskonale! A kiedy wyjadą z miasta, ktoś... może

Beach...

Beach był zaszczycony wyborem.

6

Bent Rhodes i Jingles Gabbons z policji stanu Maine przyjechali do Haven o siedemnastej piętnaście. Spodziewali się zastać typowy obrazek jak po wybuchu pieca — jeden stary wóz strażacki pyrkający przed ratuszem, dwudziestu czy trzydziestu gapiów stojących na chodniku. Zobaczyli natomiast, że cała wieża zegarowa na ratuszu w Haven została wystrzelona w górę jak ognie rzymskie. Z okien powylały szyby, na ulicy wszędzie wałały się cegły oraz porozdzierane na kawałki lalki... a prawie wszyscy ludzie krzękali się wokół własnych spraw.

Dick Allison powitał ich dziwnie serdecznie, jak gdyby to nie była poważna katastrofa, ale darmowe przyjęcie zorganizowane przez republikanów.

— Chryste panie, co tu się stało, człowieku? — spytał go Bent.

— Chyba rzeczywiście wygląda trochę gorzej, niż mówiłem przez telefon — odrzekł Dick, rozglądając się po zasypanej gruzami ulicy, a potem posyłając policjantom co najmniej niestosowny uśmiech psotnego chłopca. — Przypuszczałem, że nikt mi nie uwierzy, jeżeli nie zobaczy tego na własne oczy.

— Ja widzę i nie wierzę — mruknął Jingles. Obaj zlekceważyli Dicka Allisona, uważając go za prowincjonalnego patałacha, prawdopodobnie w dodatku stukniętego. I dobrze. Stał za ich plecami, przyglądając się, jak patrzą na gruzy wieży. Uśmiech stopniowo zniknął z jego ust, a twarz stężała.

Między nieprawdziwymi kończynami Rhodes dostrzegł ludzkie ramię. Kiedy odwrócił się do Dicka, był bledszy niż wcześniej i wyglądał na znacznie młodszego.

— Gdzie jest pani McCausland? — zapytał podniesionym głosem, urywając pytanie na ostatniej sylabie.

— No, wie pan, na tym właśnie między innymi polega nasz problem — zaczął Dick. — Widzi pan...

7

Dick rzeczywiście zatrzymał ich w mieście najdłużej, jak się dało, starając się nie wzbudzić w nich podejrzeń. Wyjechali dopiero za piętnaście ósma, kiedy zaczął nadciągać zmierzch. Dick wiedział, że jeśli zaraz nie opuszczą miasta, zaczną się zastanawiać, dlaczego nie przyjechał ani jeden radiowóz ze wsparcia, o które prosili.

Obaj rozmawiali przez radio z centralą w Derry i obaj odłożyli mikrofony zdenerwowani i skonsternowani. Wprawdzie otrzymali odpowiedź, jakiej się spodziewali, lecz głos po drugiej stronie brzmiał trochę nie tak, jak powinien. Żaden z nich nie zawracał sobie jednak głowy takimi drobiazgami, przynajmniej na razie. Musieli poradzić sobie ze zbyt wieloma sprawami naraz. Po pierwsze, z rozmiarami katastrofy. Po drugie, z faktem, że znali ofiarę. Po trzecie, musieli przygotować pole dla potencjalnie dużej sprawy, uważając, aby niczego nie spieprzyć w procedurze, bo później mogłoby to zaciemnić obraz.

Zaczęli także odczuwać skutki przebywania w Haven.

Przypominali ludzi, którzy kładą powłokę winylową na drewnianej podłodze w pokoju pozbawionym wentylacji i narkotyzują się, nawet o tym nie wiedząc. Nie odnosili wrażenia, że ich myśli nabierają wyjątkowej jasności — na to było za wcześnie, a zanim mogłoby to nastąpić, zdążą już wyjechać z miasta — lecz czuli się bardzo dziwnie. Mieli zwolnione reakcje i nawet rutynowe działania sprawiały im wielką trudność.

Dick Allison wyczytał to wszystko z ich myśli, siedząc przy kawie po drugiej stronie ulicy w Haven Lunch. Aha, byli zbyt zajęci i roztrzęsieni, żeby przejmować się faktem, że

(Tug Ellender)

ich dyspozytor mówi dziś odrobinę zmienionym głosem.

Przyczyna była bardzo prosta. Wcale nie rozmawiali z Tugiem Ellenderem. Rozmawiali z Buckiem Petersem; nie łączyli się przez radio z Derry, tylko z warszatem na stacji Shella Elta Barkera, gdzie Buck Peters siedział zgarbiony i spocony nad mikrofonem, mając obok siebie Andy'ego Bakera. Buck nadawał najnowsze komunikaty i wydawał dyspozycje przez radio Andy'ego (małą zabawkę, którą Baker sklecił w wolnej chwili, zabawkę, która mogłaby nawiązać łączność z żywymi istotami na Uranie, gdyby mieszkali tam jacyś goście zdolni potwierdzić odbiór wielkim OK). Kilka osób skupiało się na myślach Benta Rhodesa i Jinglesa Gabbonsa. Przekazywali Buckowi wszystko, co zdołali odebrać na temat Ellendera, którego gliniarze naturalnie spodziewali się usłyszeć. Buck Peters miał pewien wrodzony talent parodystyczny (cieszył się wielkim powodzeniem podczas corocznej Gali Farmerów, gdy naśladował obecnego prezydenta oraz wiecznych faworytów Jimmy'ego Cagneya i Johna Wayne'a). Nie był może Richem Little'em i nigdy nie miał osiągnąć takich umiejętności, ale jeśli kogoś „robił”, wszyscy wiedzieli kogo. Zazwyczaj.

Ważne, że ludzie wyczytali w myślach gliniarzy i przekazali Buckowi, jak powinien reagować na każdy komunikat, ponieważ prawie każdy wie, jakiej reakcji oczekuje na swoje pytania albo stwierdzenia. Jeżeli Bent i Jingles dali się nabrać a w dużym stopniu dali — stało

się tak nie dzięki talentowi Bucka, lecz przede wszystkim dzięki temu, że odpowiedzi „Tuga” spełniły ich oczekiwania. Poza tym Andy’emu udało się nieco przytłumić głos Bucka, nakładając na niego niewielkie zakłócenia — nie tak duże, jakie mieli potem słyszeć w drodze do Derry, ale wystarczające, by go trochę zaguszać, ilekroć głos „Tuga”

(Jezu Tug mówi zupełnie nieswoim głosem ciekawe czy się przeziębił czy co)

zaczynał im brzmieć trochę dziwnie.

Piętnaście po siódmej, gdy Beach przyniósł mu świeżo zaparzoną kawę, Dick spytał:

— Jesteś gotowy?

— Jasne.

— I jesteś pewien, że aparat będzie działał?

— Działa jak ta lala... chcesz zobaczyć? — Beach był nadskakująco uprzejmy.

— Nie. Nie ma na to czasu. A jelen? Masz?

— Aha. Zabił go Bill Elderly, a Dave Rutledge oprawił.

— Dobra. Rób swoje.

— W porządku, Dick. — Beach zdjął fartuch i zawiesił na gwoździu za barem. Przekręcił wywieszkę nad drzwiami z OTWARTE na ZAMKNIĘTE. Zwykle wisiaby tak jak trzeba, ale w chwili wybuchu wyleciała szyba, toteż swobodnie kręciła się na wietrze.

Beach przystanął i spojrzął na Dicka z tłumionym wzburzeniem.

— Nie miała zrobić nic takiego — powiedział.

Dick wzruszył ramionami. Nieważne, już się stało.

— Już jej nie ma. To się liczy. Dzieciakom nieźle idzie z obrazkiem. A Ruth... w mieście nie ma już nikogo takiego.

— Jeszcze ten facet na farmie starego Garricka.

— Cały czas jest schlany. Poza tym chce kopać. Ruszaj,

Beach. Gliny niedługo odjadą i najlepiej dla nas wszystkich, jeżeli to się stanie jak najdalej od miasteczka.

— Dobra, Dick. Będę uważał.

Dick uśmiechnął się.

— Wszyscy musimy teraz uważać. Sprawa jest delikatna.

Patrzył, jak Beach wsiada do swego pikapa i wycofuje wóz z miejsca parkingowego przed Haven Lunch, gdzie stary chevrolet spędził większość ostatnich dwunastu lat. Gdy samochód zaczął się toczyć ulicą, omijając szerokimi łukami walające się na jezdni szkło, Dick zobaczył kształt ukryty na pace pod plandeką, a obok niego coś jeszcze, opakowanego w grubą folię. Największy jelen, jakiego udało się znaleźć Billowi Elderly’emu w tak krótkim czasie. Polowanie na jelenie w lipcu w stanie Maine było zdecydowanie niezgodne z prawem.

Gdy półciężarówka Beacha zniknęła mu z oczu (nalepka na tylnym zderzaku głosiła: NIE WALCZCIE, KOCHAJCIE SIĘ — BĄDŹCIE GOTOWI NA JEDNO I DRUGIE. KRAJOWY ZWIĄZEK MYŚLISTWA SPORTOWEGO), Dick odwrócił się i podniósł kubek z kawą. Kawa Beacha jak zawsze była mocna i dobra. Taka, jakiej potrzebował. Dick był bardziej niż zmęczony; był wykończony. Mimo że dzień jeszcze się nie skończył, a on należał do ludzi, którzy prawie nigdy nie kładą się spać, dopóki ostatni program telewizyjny nie nada hymnu państwowego, teraz pragnął jedynie znaleźć się we własnym łóżku. Miał za sobą dzień pełen strachu i napięcia, który skończy się dopiero wtedy, gdy Beach zamelduje się z powrotem. Jeżeli zlikwidują dwóch gliniarzy, nie uda im się posprzątać całego bałaganu, jakiego udało się narobić Ruth McCausland. Będą mogli ukryć wiele rzeczy, ale nie ukryją prostego faktu, że ci dwaj wracali z Haven, gdzie z równania zniknęła właśnie inna niewiadoma — kolejny gliniarz (wprawdzie tylko miejski konstabl, ale glina to glina, żeby było zabawniej, żona krawężnika ze stanowej).

Wszystko to oznaczało, że zabawa dopiero się zaczyna.

— Jeżeli uważacie, że to zabawa — powiedział cierpko Dick, nie zwracając się do nikogo konkretnego — to ja mam, kurwa, zupełnie inne zdanie. — Kawa zaczęła wywoływać niestrawność i Dicka rozboleł brzuch, mimo to pił dalej.

Na ulicy rozległ się ryk potężnego silnika. Dick obrócił się na stołku i przyglądał się, jak gliny wyjeżdżają z miasta. Koguty na dachu radiowozu rzucały na grzyzy niebieskie błyski i czarne cienie.

8

Christina Lindley i Bobby Tremain stali obok siebie, obserwując biały arkusz zanurzony w wywoływaczu i wstrzymując oddech w obawie, czy zdjęcie wyjdzie, czy nie.

I zaczęło powoli wychodzić.

Ratusz Haven z wieżą zegarową. W żywych, rzeczywistych kolorach. Wskazówki zegara pokazywały pięć po trzeciej.

Bobby cicho i wolno wypuścił powietrze. Idealnie — powiedział.

Niezupełnie — odrzekła Christina. — Jeszcze jedno.

Odwrócił się do niej szczerze zaniepokojony. Co? Coś nie tak?

Nie, wszystko w porządku. Musisz zrobić coś jeszcze.

Nie była brzydka, ale ponieważ nosiła okulary i miała buro-mysie włosy, zawsze uważała się za brzydką. Miała siedemnaście lat i nigdy jeszcze nie umawiała się z żadnym chłopakiem. W tym momencie nie miało to żadnego znaczenia. Rozpięła spódnicę, zsunęła półhalkę ze sztucznego jedwabiu oraz bawełniane majtki — kupione z rabatem w tanim sklepie w Derry — pozwalając im opaść na podłogę. Potem ostrożnie wyciągnęła mokrą fotografię z kąpeli wywołującej. Powiesiła ją do wyschnięcia, wspinając się na palce i prężąc gładkie pośladki. Potem odwróciła się do Bobby'ego, rozchylając nogi.

Musisz się mną zająć.

Wziął ją na stojąco, opierając o ścianę. Kiedy pękła jej błona dziewicza, Christina ugryzła Bobby'ego w ramię tak mocno, że też zaczął krwawić. Skończyli jednocześnie, krzycząc i drapiąc się nawzajem i było im bardzo, bardzo dobrze.

Zupełnie jak za dawnych czasów, pomyślał Bobby, gdy jechali do Applegate'a. Zastanawiał się, co właściwie miał na myśli.

Potem uznał, że to i tak nie ma znaczenia.

9

Beach gnał zdezelowanym chevroletem sześćdziesiąt pięć mil na godzinę — najszybciej, jak się dało. Stary gruchot był jedną z niewielu rzeczy, której jeszcze nie wyremontował, korzystając ze swej nowej, fantastycznej wiedzy. Miał jednak nadzieję, że dziś dowiezie go tam, dokąd chciał, i rzeczywiście poczciwa Betsy znów stanęła na wysokości zadania.

Gdy minął granicę Troy, nie słysząc glin i nie widząc zbliżających się świateł radiowozu, zwolnił do pięćdziesięciu pięciu (z niejaką ulgą; silnik zaczynał się już bowiem przegrzewać), a gdy dotarł do Newport — do czterdziestu pięciu na godzinę. Na dobre zapadła już ciemność.

Przejechawszy granicę Derry, zaczął się obawiać, czy ci popieprzeni gliniarze nie wrócili inną drogą — choć było to mało prawdopodobne, bo najkrótsza trasa wiodła właśnie tędy, ale gdzie oni są? — gdy usłyszał cichy poszum ich myśli.

Zjechał na bok i przez chwilę siedział w ciszy, przekrzywiając głowę i nasłuchując z półprzymkniętymi oczami. Jego usta, dziwnie zapadłe i ściągnięte — stracił już większość zębów — były ustami znacznie starszego człowieka. Słyszał coś o

(piegach)

Ruth. Tak, to oni. Myśl zabrzmiała wyraźniej
(przez krew widać skórę w piegach)

i Beach pokiwał głową. Tak, to oni. Zbliźali się dość szybko. Ma jeszcze czas, ale musi się pospieszyć.

Beach przejechał jeszcze ćwierć mili, minął zakręt i zobaczył ostatnią prostą drogi numer 3 dzielącą go od Derry. Ustawił pikapa bokiem, blokując jezdnię. Potem zdjął brezent ze skonstruowanej przez siebie strzelby, nerwowo szarpiąc zaplątany w supły sznurek, gdy tymczasem głosy w głowie brzmiały coraz mocniej i mocniej.

Kiedy na drzewach po zewnętrznej stronie zakrętu pokazały się światła radiowozu, Beach pochylił głowę. Sięgnął do sześciu transformatorów z kolejki, które były przybite do deski (a deska została przykręcona do paki samochodu, żeby nie suwała się w drodze), i włączył je po kolei. Usłyszał buczenie, gdy zaczęły działać... a potem buczenie i wszystkie inne dźwięki zagłuszył pisk hamulców i opon. Platformę pikapa zaalać oślepiająco białe światło przetykane niebieskimi stroboskopowymi błyskami, a Beach przywarł do dna, splatając ręce na głowie, myśląc, że wszystko schrzanił, że zaparkował za blisko zakręt z ograniczoną widocznością i zaraz rozbiją się o pikapa; może będą tylko ranni, ale on na pewno zginie na miejscu, a gliniarze znajdą jego „strzelbę” i spytają: „A co to takiego?”. I wtedy... wtedy...

Daleś dupy, Beach, ocalili ci życie, a ty daleś dupy... niech cię szlag... nie cię szlag... niech cię...

Pisk opon urwał się nagle. Beach poczuł mdlący smród palonej gumy, ale do zderzenia nie doszło. Błyskały niebieskie światła. Słuchać było trzaski zakłóceń w radiu.

Usłyszał głos schrypniętego gliniarza dobiegający jakby z oddali:

— Co za cholera?

Beach z drzeniem uniósł się na rękach, robiąc dziewczynską pompkę, i najostrożniej wyjrzał ponad krawędź platformy. Zobaczył długie czarne ślady hamowania ciągnące się za radiowozem, wyraźnie widoczne nawet w świetle gwiazd. Samochód stał lekko przechylony nie dalej niż dziewięć stóp od pikapa. *Gdyby jechali choć pięć mil na godzinę szybciej...*

Tak, ale nie jechali.

Słysząc było dźwięki. Dwa trzaśnięcia drzwi, gdy obaj wysiadali. Głuche, przytłumione buczenie transformatorów zasilających aparat — niewiele różniący się od tych, które Ruth zamontowała w brzuchach lalek. I ciche bzyczenie. Muchy. Poczują krew pod płachtą folii, lecz nie mogły się dostać do ścierwa jelenia.

Niedługo będziecie miały okazję, pomyślał Beach, uśmiechając się. Szkoda, że nie poznacie smaku tych dwóch poczciwców.

— Bent, widziałem ten wóz w Haven — powiedział zachrypnięty glina. — Stał zaparkowany przed restauracją.

Beach obrócił lekko rurę przepustową spoczywającą na drewnianej podstawie. Patrząc przez nią, widział ich obu. Gdyby nawet jeden z nich zszedł z osi strumienia siły, nic złego by się nie stało; aparat miał dość szeroki promień rażenia.

Odsuńcie się od samochodu, chłopaki, pomyślał Beach, biorąc do ręki włącznik dzwonka Western Audio i kładąc na nim kciuk. W uśmiechu ukazał gładkie różowe dziąsła. Nie chcę nawet drasnąć wozu. Odsuńcie się, dobrze?

— Kto tam jest? — zawołał drugi gliniarz.

Stukostrachy stukają do twoich drzwi, wścibski palancie, pomyślał i zaczął chichotać. Nie mógł się powstrzymać, choć ze wszystkich sił starał się stłumić śmiech.

— Jeżeli ktoś jest w samochodzie, niech się lepiej odezwie!

Zaczął chichotać głośniej, po prostu nie umiał się powstrzymać. I chyba na szczęście, bo gliniarze spojrzeli po sobie i ruszyli w stronę pikapa, wyciągając broń. Szli w stronę pikapa, odsuwając się od radiowozu.

Beach zaczekał, aż nabrał pewności, że strumień siły nie dotknie radiowozu — powiedzieli mu, żeby nie odłupał nawet kawałeczka chromu ze zderzaka. Gdy gliniarze odsunęli się od samochodu, nacisnął przycisk dzwonka. Tu Avon, palanty, pomyślał. Już nie chichotał; zapał z radości. Ciemność rozdarł gruby strumień zielonego ognia, trafiając w obu policjantów i otaczając ich szczelnie. W środku bańki zielonego światła Beach ujrzał parę jasnożółtych iskier i domyślił się, że jeden z gliniarzy kilka razy nacisnął spust pistoletu.

Beach czuł ciężki zapach rozgrzanych transformatorów. Nagle coś trzasnęło i z jednego z nich trysnął snop iskier. Parę iskier spadło mu na ramię, parząc go, i Beach strzepnął je szybko. Zgasł zielony ogień buchający z końca rury przepustowej. Policjanci zniknęli. No... prawie zniknęli.

Beach przeskoczył przez klapę pikapa, poruszając się jak najszybciej. Chociaż to nie była autostrada i o tej porze nikt spoza miasta nie wybierał się do Derry na zakupy, to prędzej czy później ktoś może nadjechać. Powinien...

Na jezdni leżał dymiący but. Beach podniósł go i o mało nie upuścił z powrotem. Nie spodziewał się, że będzie taki ciężki. Zagląając do niego, przekonał się dlaczego. Tkwiła w nim stopa w skarpetce.

Beach zaniósł but do auta i wrzucił do szoferki. Pozbędzie się go po powrocie do miasta. Nie trzeba go będzie zakopywać; w Haven mieli o wiele skuteczniejsze sposoby pozbywania się różnych rzeczy. Gdyby mafia wiedziała, co mają kmiotki z Nowej Anglii, pewnie miałyby ochotę kupić licencję, pomyślał Beach i znów zachichotał.

Odpiął zamki klapy, która opadła z przeraźliwym skrzypnięciem. Chwycił opakowanego w folię martwego jelenia. Zastanawiał się, czyj to był pomysł. Starego Dave'a? Nieważne. W Haven wszystkie pomysły przemieniały się w jeden wspólny.

Pakunek w folii był ciężki i nieporęczny. Beach otoczył ramionami tylne nogi jelenia i pociągnął. Martwe zwierzę zsunęło się z paki i walnęło łbem w asfalt. Beach rozejrzał się jeszcze raz, wypatrując świateł. Nie spostrzegł żadnych, powlókł więc jelenia przez drogę, pospiesznie przebierając nogami. Stękając z wysiłku, odwrócił pakunek, aby odwinąć folię ze ścierwa. Następnie chwycił oburącz jelenia, który został starannie wypatroszony i oczyszczony, i podniósł. Żyły na szyi wystąpiły mu jak grube kable; między rozchylonymi wargami błysnęłyby zęby, gdyby mu jakieś zostały. Spod jego prawego przedramienia zwisał łeb jelenia z ledwie wyrosłym porożem. Zapiaszczone oczy zwierzęcia wpatrywały się w mrok nocy.

Chwiejąc się na nogach, Beach szedł trzy kroki w dół miękkiego strome go pobocza i cisnął zwłoki jelenia do rowu, gdzie wylądowały z głuchym łomotem. Wracając, zabrał z jezdni folię. Zwinął ją byle jak i wcisnął do kabiny samochodu od strony pasażera. Wolałby ją wrzucić na pakę — śmierdziała — ale zawsze mogło się zdarzyć, że sfrunęłaby i ktoś by ją znalazł. Potem szybko pobiegł do drzwi z drugiej strony, z grymasem obrzydzenia szarpiąc przesiąkniętą krwią koszulę, która lepiała mu się do piersi. Przebierze się, gdy tylko wróci do domu.

Wsiadł i uruchomił silnik Betsy. Manewrował autem, dopóki nie ustawił go przodem w stronę Haven, a potem na moment znieruchomiał, lustrując scenę i próbując ocenić, czy dość sugestywnie pozoruje to, co ma pozorować. Doszedł do wniosku, że chyba tak. Pośrodku drogi stał pusty radiowóz, za którym ciągnęły się długie ślady hamowania. Silnik wyłączony, migające koguty. W rowie leżało wypatroszone ścierwo sporego jelenia. Dość szybko go zauważą, szczególnie że był lipiec.

Czy wywąchają jakiś ślad Haven?

Beach sądził, że nie. Historyjka miała wyglądać tak: dwaj gliniarze wracają do bazy z oględzin wypadku, w którym zginęła jedna osoba. Przypadkiem natykają się na bandę kłusowników polujących w nocy na jelenie. Co się stało z glinami? Oto jest pytanie. Z biegiem dni mogą się nasuwać coraz bardziej złowróżbne odpowiedzi. To przecież byli

kłusownicy, którzy prawdopodobnie wpadli w panikę, zabili policjantów i zakopali ich w lesie. A Haven? Zdaniem Beacha dojdą do wniosku, że to zupełnie inna historia, o wiele mniej ciekawa.

W lusterku wstecznym dojrzał zbliżające się reflektory. Wrzucił jedynkę i ominął radiowóz. Koguty skąpały go w sześciu błękitnych błyskach i po chwili zostały z tyłu. Zerkając w prawo, Beach zobaczył czarny but służbowy z wystającą ze środka służbową niebieską skarpetą, która wyglądała jak ogon latawca. Zarechotał. Założę się, że jak rano wkładałeś ten but, panie cwany glino, nie miałeś pojęcia, gdzie się znajdzie wieczorem.

Beach Jemigan znów zarechotał i szarpnął dźwignię, wrzucając ze zgrzytem drugi bieg. Wracał do domu i nigdy w życiu nie czuł się tak dobrze.

8

EV HILLMAN

1

Temat dnia, „Daily News”, Bangor, 25 lipca 1988 r.:

ZNIKNIĘCIE DWÓCH FUNKCJONARIUSZY POLICJI STANOWEJ Obława w catej okolicy

David Bright

Wczoraj o 21.30 w Derry znaleziono porzucony radiowóz policji stanowej i natychmiast wszczęto akcję poszukiwawczą — drugą na tak dużą skalę w środkowowschodniej części Maine tego lata. Podczas pierwszej szukano czteroletniego Davida Browna z Haven, którego do dziś nie znaleziono. Jak na ironię, zaginieni funkcjonariusze, Benton Rhodes i Peter Gabbons, wracali właśnie z tego miasta, gdzie rozpoczęli dochodzenie w sprawie pożaru pieca, który pochłonął jedną ofiarę śmiertelną (zob. artykuł niżej).

Według najnowszych doniesień naszego informatora z kręgów policji, który określił tę wiadomość jako „najgorszą, jaka mogła w tej chwili nadejść”, w pobliżu porzuconego radiowozu znaleziono zwłoki jelenia, który został zastrzelony, wypatroszony i oprawiony. W związku z tym pojawiły się przypuszczenia...

2

— Tu, zobaczcie — powiedział Beach do Dicka Allisona i Newta Berringera, gdy nazajutrz rano pili kawę. Siedzieli w Haven Lunch, czytając gazetę, która właśnie nadeszła. A zdawało się nam, że nikt nie skojarzy jednego z drugim. Niech to szlag!

— Spokojnie — odezwał się Newt, a Dick przytaknął. Nikt nie skojarzy zniknięcia czteroletniego chłopca, który pewnie zgubił się w lesie albo został porwany przez zboczeńca, ze zniknięciem dwóch wielkich i silnych krawężników ze stanowej. Mam rację, Dick?

— Jasne.

3

Nie mieli racji.

4

Strona pierwsza, „Daily News”, Bangor, dół kolumny:

KONSTABL HAVEN GINIE W ZAGADKOWYM WYPADKU ŚMIERĆ LIDERA SPOŁECZNOŚCI LOKALNEJ

John Leandro

Wczoraj w Haven, swoim rodzinnym mieście, zginęła Ruth McCausland, jedna z trzech kobiet pełniących funkcję konstabli w stanie Maine. Miała pięćdziesiąt lat. Zdaniem szefa ochotniczej straży pożarnej w Haven, Richarda Allisona, przyczyną śmierci pani McCausland był najprawdopodobniej zapłon oparów oleju, które w wyniku wadliwego działania zaworu nagromadziły się w piwnicy ratusza. Według słów Allisona oświetlenie w piwnicy, gdzie

przechowuje się dużą część archiwów miejskich, nie jest najlepsze. „Być może zapaliła zapalną — powiedział Allison. — Taką przynajmniej na razie przyjęliśmy hipotezę”.

Zapytany, czy znaleziono ślady podpalenia, Allison zaprzeczył, ale przyznał, że trudno ustalić to jednoznacznie, ponieważ zaginęli dwaj funkcjonariusze policji stanowej, którzy dokonali oględzin miejsca wypadku. „Żaden z funkcjonariuszy nie może złożyć raportu, przypuszczam więc, że zjawia się tu stanowi inspektorzy ochrony przeciwpożarowej. W tej chwili najbardziej zależy mi na tym, by obaj funkcjonariusze znaleźli się cali i zdrowi”.

Newt Berringer, przewodniczący rady miejskiej w Haven, powiedział, że po śmierci pani McCausland całe miasto pograżyło się w żałobie. „To była wspaniała kobieta — powiedział Berringer. — Wszyscy ją kochaliśmy”. Inni mieszkańcy Haven podzielają tę opinię, a gdy mówią o pani McCausland, wielu ma łzy w oczach.

Jej służba publiczna w Haven zaczęła się...

5

Te dwie rzeczy oczywiście skojarzył dziadek Hilly’ego, Ev. Ev Hillman, którego nie bez racji można by nazwać całym miastem na wygnaniu, Ev Hillman, który wrócił z drugiej wojny światowej z dwiema małymi stalowymi płytkami w głowie — pamiątką po niemieckim granacie typu tłuczek, który wybuchł obok niego podczas bitwy o Ardeny.

Poniedziałkowy ranek po tragicznym niedzielnym wybuchu w Haven spędził tam, gdzie spędzał wszystkie poranki w sali numer 371 szpitala w Derry, czuwając przy łóżku Hilly’ego. Wynajął umeblowany pokój przy Lower Main Street, gdzie spędzał noce — najczęściej bezsenne — kiedy pielęgniarki w końcu wyganiały go z sali.

Czasem leżał w ciemności i zdawało mu się, że słyszy jakieś chichoty dobiegające z kanalizacji. Zaczynasz świrować, dziadku, myślał. Ale wcale nie świrował. Czasem żałował, że nie.

Próbował rozmawiać z niektórymi pielęgniarkami o tym, co jego zdaniem stało się z Davidem — co na pewno stało się z Davidem. Współczuły mu. Z początku nie dostrzegał tego współczucia; oczy otworzyły mu się dopiero wówczas, gdy na nieszczęście postanowił porozmawiać z dziennikarzem. Zdawało mu się, że pielęgniarki podziwiają go za lojalność wobec Hilly’ego i było im przykro, bo chłopiec chyba powoli gasł... ale z drugiej strony uważały go za wariata. Mali chłopcy nie znikają podczas sztuczek magicznych pokazywanych na podwórku. Aby to wiedzieć, nie trzeba wcale kończyć szkoły pielęgniarskiej.

Ev zaczął popijać w małym barze przy Lower Main Street po pewnym czasie spędzonym w samotności, dręczony niepokojem o Hilly’ego i Davida, obawą o Ruth McCausland i innych w Haven oraz odczuwając pogardę wobec siebie za — jak uważał — własne tchórzostwo. Podczas rozmów z barmanem poznał opowieść o pewnym facecie, który nazywał się John Smith i przez jakiś czas uczył w szkole w pobliskim miasteczku Cleaves Mills. Smith przez wiele lat był w śpiączce, a kiedy się ocknął, miał pewne zdolności parapsychiczne. Kilka lat ternu dostał świra — próbował zabić niejakiego Stillsona, który był kongresmanem z New Hampshire.

— Nie wiem, czy to była prawda z tą parapsychologią, czy nie — mówił barman, nalewając Evowi kolejne piwo. — Po mojemu to prawie same brednie. Ale jak pan masz jakąś porypaną historyjkę — Ev dał mu wcześniej do zrozumienia, że przy jego opowieści „Horror w Amityville” może się okazać nudną bajeczką — to powinien pan pogadać z Brightem z „Daily News” w Bangor. To on pisał w gazecie o tym Smisie. Od czasu do czasu wpada tu na piwo i powiem panu, że on naprawdę wierzył w wizje Smitha.

Ev wypił już szybko trzy piwa, jedno po drugim — czyli dość, by móc uwierzyć, że istnieją proste rozwiązania. Podeszedł do automatu telefonicznego, wyłożył na półeczce

drobne i zadzwonił do „Daily News” w Bangor. David Bright był w redakcji, toteż Ev mógł z nim porozmawiać. Nie opowiedział mu o wszystkim przez telefon, wspominał tylko, że ma dla niego ciekawą historię i choć nie do końca ją rozumie, sądzi, że ludzie powinni się o niej dowiedzieć, i to jak najszybciej.

Bright wydawał się zainteresowany. Co więcej, wydawał się człowiekiem życzliwym. Zapytał Eva, kiedy mógłby przyjechać do Bangor (nie zaproponował, że sam przyjedzie do Derry, aby przeprowadzić z nim wywiad, co powinno wzbudzić w Evie pewne podejrzenia co do zaufania i życzliwości Brighta), a Ev spytał, czy zgodzi się z nim spotkać jeszcze tego wieczoru.

— Będę w redakcji jeszcze dwie godziny — powiedział Bright. — Może pan przyjechać przed północą, panie Hillman?

— Murowane — rzekł krótko starszy i odłożył słuchawkę. Z baru wychodził sprężystym krokiem i z błyszczącymi oczami. Wyglądał, jakby był o dwadzieścia lat młodszy od mężczyzny, który wcześniej wchodził do Wally’s Spa, powłócząc nogami.

Ale do Bangor miał dwadzieścia pięć mil, a trzy piwa szybko przestały działać. Zanim Ev dotarł do siedziby „Daily News”, zupełnie wytrzeźwiał. Na domiar złego miał mętlik w głowie. Zdawał sobie sprawę, że jego opowiadanie nie trzyma się kupy, że ciągle wraca do podwórkowego pokazu magii, opisując minę i zachowanie Hilly’ego i podkreślając swoją pewność, że David Brown naprawdę zniknął.

Wreszcie skończył... tyle że zamiast normalnie się zakończyć, historia wyszła jak płynący z coraz większym móżdżkiem strumyk.

Bright stuknął ołówkiem o kant biurka, nie patrząc na Eva.

— W ogóle nie zajrzał pan pod scenę, panie Hillman?

— Nie... nie. Ale...

W końcu Bright spojrzał na niego, a chociaż miał uprzejmy wyraz twarzy, Ev ujrzał minę, która w końcu otworzyła mu oczy — facet uważał, że jest stuknięty jak Zajac Marcowy.

— Panie Hillman, to wszystko jest bardzo ciekawe...

— Mniejsza o to — rzekł Ev, wstając. Krzesło, na którym siedział, zachybotało się gwałtownie i omal się nie przewróciło. Jak przez mgłę słyszał stukot klawiszy komputerów i terkot telefonów, widział ludzi z papierami wchodzących do pokoju działu miejskiego i wychodzących. Przed wszystkim zdawał sobie sprawę, że jest północ, że jest zmęczony i wystraszony, a ten człowiek uważa go za wariata. — Nieważne, jest już późno, a pan pewnie chciałby już wrócić do domu i swojej rodziny.

— Panie Hillman, jeżeli spojrzysz pan na to z mojego punktu widzenia, zrozumie pan, że...

— Widzę to już z pańskiej strony — powiedział Ev. — Chyba po raz pierwszy. Muszę już iść, panie Bright. Mam przed sobą kawałek drogi, a odwiedziny w szpitalu zaczynają się od dziewiątej. Przepraszam, że zabrałem panu czas.

Wypadł z budynku redakcji, przypominając sobie z wściekłością prawdę, o której nigdy nie powinien zapominać — że jest stary, a głupi. Dzisiejszy występ ukazał go w pełnej krasie jako najgłupszego ze starych durniów. Cóż, to tyle, jeśli chodzi o próby opowiadania ludziom o tym, co się dzieje w Haven. Był stary, ale niech go diabli, jeżeli zniesie jeszcze jedno takie spojrzenie.

Nigdy w życiu.

6

Wytrwał w tym postanowieniu dokładnie pięćdziesiąt sześć godzin — do chwili gdy zobaczył nagłówki gazet w poniedziałek. Czytając je, doszedł do wniosku, że chce się spotkać z człowiekiem, który prowadził śledztwo w sprawie zniknięcia dwóch policjantów ze stanowej. „Daily News” podała, że nazywa się Dugan, i wspomniała też, że dobrze znał Ruth

McCausland — mimo że dostał bardzo pilną sprawę, miał się na chwilę zwolnić, żeby powiedzieć parę słów na jej pogrzebie. Faktycznie, musiał ją znać cholernie dobrze, pomyślał Ev.

Gdy jednak szukał w sobie wczorajszego zapału i przejęcia, znalazł tylko lodowaty strach i zwątpienie. Dwa artykuły na pierwszej stronie odebrały mu resztki odwagi. Haven zmienia się w gniazdo węży, które zaczynają kąsać. *Muszę kogoś o tym przekonać, ale jak mam to zrobić? Jak mam kogoś przekonać, że w mieście posługują się telepatią i robią Bóg wie co jeszcze? Jak skoro sam nie bardzo pamiętam, skąd wiedziałem, co się dzieje? Jak, skoro właściwie sam nic nie widziałem? Jak? Przede wszystkim, jak miałby to zrobić, skoro stoją tuż obok i nic nie widzą? Całe miasto rzut kamieniem od nich traci piątą klepkę i nikt nie ma o tym zielonego pojęcia.*

Znów otworzył gazetę na stronie z nekrologami. Jasne oczy Ruth patrzyły na niego z dziwnego gazetowego zdjęcia, które składa się z gęsto upakowanych kropek. Jej jasne, szczerze i piękne oczy spoglądały na niego z niezwykłym spokojem. Ev domyślał się, że kochało się w niej co najmniej pięciu, a może i więcej mężczyzn w Haven, a ona w ogóle o tym nie wiedziała. Jej oczy zdawały się zaprzeczać jakiegokolwiek myśli o śmierci, jak gdyby z niej drwiły. A jednak Ruth nie żyła.

Przypomniał sobie, jak zabierał Hilly'ego, gdy formowała się grupa poszukiwawcza.

Mogłabyś jechać z nami, Ruthie.

Nie mogę, Ev... Skontaktuj się ze mną.

Próbował tylko raz, przekonany, że gdyby Ruth przyjechała do niego do Derry, byłaby bezpieczna... i mogłaby poprzeć jego opowieść. Cierpienie, mętlik w głowie i — tak — tęsknota za domem sprawiły, że Ev nie był pewien, co jest dla niego ważniejsze. Zresztą okazało się, że to i tak nieistotne. Trzy razy próbował wykręcić bezpośredni numer w Haven, ostatni raz po rozmowie z Brightem, i ani razu nie udało mu się połączyć. Raz próbował skorzystać z pomocy telefonistki, ale poinformowała go, że prawdopodobnie linia jest uszkodzona. Może zadzwoni później? Ev powiedział, że spróbuje, ale tego nie zrobił. Leżał w ciemnościach i słuchał chichotu dobiegającego z odpływów kanalizacyjnych.

A dziś, po niecałych trzech dniach, skontaktowała się z nim Ruth. Za pośrednictwem strony z nekrologami.

Popatrzył na Hilly'ego. Hilly spał. Lekarze nie chcieli tego nazwać śpiączką — mówili, że jego mózg nie pracuje tak jak mózg pacjenta w śpiączce; jego mózg pracował, jakby Hilly głęboko spał. Eva nie obchodziło, jak lekarze to nazwą. Zdawał sobie sprawę, że Hilly gaśnie w oczach i nie widział różnicy, czy chłopiec popada w śpiączkę, czy w stan zwany autyzmem — Ev nie orientował się, co oznacza ten termin, lecz słyszał go, gdy lekarze rozmawiali ze sobą półgłosem. To były tylko słowa. Wszystko sprowadzało się do faktu, że Hilly powoli gasł i to było wystarczająco straszne.

W drodze do Derry chłopiec zachowywał się, jakby był w głębokim szoku. Ev miał niejasne wrażenie, że dla Hilly'ego będzie lepiej, jeżeli zabierze go z Haven, natomiast ani Bryant, ani Marie, szalejący ze zmartwienia po zniknięciu Davida, zdawali się nie zwracać uwagi na dziwny stan starszego syna.

Wyjazd z Haven nie pomógł. Hilly wciąż coraz gorzej kontaktował się z otoczeniem. Pierwszego dnia pobytu w szpitalu spał jedenaście godzin. Potrafił odpowiadać na proste pytania, ale z bardziej złożonymi już sobie nie radził. Skarżył się na ból głowy. Nie pamiętał niczego z pokazu magii na podwórku i zdawało mu się, że od jego urodzin upłynął zaledwie tydzień. Tej nocy, gdy głęboko spał, wypowiedział wyraźnie jedno zdanie: „Wszystkie GI Joe”. Ev poczuł ciarki przebiegające mu po plecach. To samo Hilly krzyczał, kiedy wszyscy wybiegli z domu i zauważyli, że Davida nie ma, a Hilly dostał ataku hysterii.

Następnego dnia Hilly spał czternaście godzin i kiedy odzyskiwał nieco świadomość, wyglądał, jakby miał w głowie jeszcze większy zamęt. Gdy pani psycholog dziecięcy, która

się nim zajmowała, spytała go o drugie imię, Hilly powiedział: „Jonathan”. Było to drugie imię Davida.

Teraz spał praktycznie całą dobę. Czasem otwierał oczy i zdawało się nawet, że patrzy na Eva albo pielęgniarkę, ale kiedy coś do niego mówili, uśmiechał się jedynie tak słodko, jak tylko on potrafił, po czym znów zapadał w sen.

Gasł. Leżał jak zaczarowany chłopiec w baśniowym zamku, ale iluzję psuł widok kroplówki i dobiegające od czasu do czasu komunikaty z głośników znajdujących się na szpitalnym korytarzu.

Z początku zapanowało wielkie poruszenie wśród neurologów; ciemna nieswoista plama na korze mózgowej Hilly’ego nasuwała podejrzenia, że przyczyną dziwnego otepienia chłopca może być guz mózgu. Kiedy jednak dwa dni później zabrano Hilly’ego na drugie prześwietlenie (technik obsługujący aparat rentgenowski wyjaśnił Ewowi, że zarządzono powtórne badanie, bo nikt nie spodziewa się znaleźć guza mózgu u dziesięciolatka, jeśli wcześniej nie było żadnych objawów), okazało się, że plama zniknęła. Po naradzie neurologa z technikiem Ev wywnioskował z tonu technika, że musiało dojść do poważnej awantury. Neurolog powiedział mu później, że wykonają jeszcze jeden zestaw klisz, ale jego zdaniem wynik będzie negatywny. Pierwszy zestaw, jak mówił, musiał mieć jakąś wadę.

— Podejrzałem, że coś musiało się pochrzanić — powiedział do Eva.

— Dlaczego?

Neurolog, wysoki mężczyzna z ogniste rudą brodą, uśmiechnął się.

— Bo ta plama była wielka. Mówiąc wprost, dzieciak z takim dużym guzem mózgu musiałby od bardzo dawna poważnie chorować... gdyby w ogóle jeszcze żył.

— Rozumiem. Czyli dalej nie wiecie, co Hilly’emu dolega.

— Mamy kilka hipotez i pracujemy nad nimi — odrzekł neurolog, lecz jego uśmiech stał się nieco roztargniony i lekarz odwrócił wzrok od Eva. Nazajutrz znów zjawiała się pani psycholog. Była to bardzo gruba kobieta o ciemnych włosach.

Zapytała, gdzie są rodzice Hilly’ego.

— Próbują znaleźć swojego drugiego syna. — Ev spodziewał się, że ta wiadomość ją speszy.

Tak się jednak nie stało.

— Proszę do nich zadzwonić i przekazać, że chciałabym, aby mi pomogli.

Przyjechali, ale w niczym nie pomogli. Zmienili się, byli dziwni. Pani psycholog też to dostrzegła i po wstępnej serii pytań zaczęła się od nich odsuwać — Ev dosłownie to wyczuwał. Sam musiał bardzo się starać, żeby nie wstać i nie wyjść z sali. Nie chciał czuć na sobie ich dziwnych spojrzeń; gdy na niego patrzyli, czuł się, jakby był napiętnowany. Kobieta w bluzie w kratę i spranych dzinsach była kiedyś jego córką i wciąż wyglądała jak jego córka, ale... prawie cała Marie umarła, a to, co po niej pozostało, ginęło w oczach.

Psycholog już więcej nie prosiła ich o konsultacje.

Od ich wizyty jeszcze dwa razy badała Hilly’ego. Ostatni raz odwiedziła go w sobotę po południu, dzień przed wybuchem ratusza w Haven.

— Czym oni go karmili? — zapytała nagle.

Ev siedział senny pod oknem, w gorącym słońcu. Pytanie grubej kobiety wyrwało go z drzemki.

— Co?

— Czym oni go karmili?

— No, dawali mu normalne jedzenie — odparł.

— Wątpię.

— Niepotrzebnie — powiedział. — Wiem, bo nieraz z nimi jadłem. Czemu pani pyta?

— Bo stracił dziesięć zębów — odrzekła szorstko.

Mimo łupiącego w kościach artretyzmu Ev zacisnął mocno pięść i wałnął się w kolano.

I co teraz zrobisz, staruchu? Davida nie ma i byłoby ci łatwiej, gdybyś mógł uwierzyć, że nie żyje, prawda?

Tak. Dzięki temu wszystko stałoby się prostsze. Smutniejsze, ale prostsze. Nie potrafił w to jednak uwierzyć. W głębi duszy wciąż żywił przekonanie, że David żyje. Być może były to tylko pobożne życzenia, ale Ev sądził, że jest inaczej. W swoim czasie wiele razy się ludził, lecz tym razem wyraźny i mocny głos intuicji mówił mu: *David żyje. Zaginął i najpewniej grozi mu śmierć... ale ciągle jeszcze można go uratować. Jeżeli zdecydujesz się w końcu coś zrobić. I jeżeli to, co zdecydujesz się zrobić, będzie właściwe. Bez szans w przypadku takiego starego pierdziela, który od czasu do czasu moczy spodnie, kiedy nie zdąży w porę do kibla. Naprawdę bez szans.*

Późnym wieczorem w poniedziałek zbudził się z płytkiego snu, drżąc w sali Hilly'ego — pielęgniarki często przysmykały oko i pozwalały mu zostawać długo po zakończeniu oficjalnej pory odwiedzin. Miał koszmarne sny. Śniło mu się, że jest w jakimś ciemnym, kamienistym miejscu — na tle czarnego nieba usianego gwiazdami rysowały się góry o ostrych jak igły wierzchołkach, a w skalistych wąwozach gwizdał przenikliwie lodowaty wiatr. W blasku gwiazd widział pod stopami wielką równinę. Wydawała się sucha, zimna i pozbawiona wszelkiego życia. Biegły przez nią zygzakowate szczeliny, wskutek czego wyglądała jak chodnik zbudowany z nieregularnych płyt. I gdzieś z oddali usłyszał słaby głosik Davida: „Pomóż mi, dziadku! Boli, jak oddycham! Pomóż mi, dziadku! Boli, jak oddycham! Pomóż mi! Boję się! Nie chciałem występować w sztuczce, ale Hilly mnie zmusił i teraz nie mogę trafić do domu!”.

Siedział, patrząc na Hilly'ego i czując, jak całe ciało oblepia mu pot. Spływał mu po twarzy jak lzy.

Wstał, podszedł do łóżka i nachylił się nad Hillym.

— Hilly — powiedział, nie po raz pierwszy. — Gdzie jest twój brat? Gdzie jest David?

Ale tym razem Hilly otworzył oczy. Everetta zmroził widok jego szklanego, niewidzącego wzroku — to było spojrzenie ślepej sybilli.

— Na Altairze-4 — powiedział chłopiec spokojnie i niezwykle wyraźnie. — David jest na Altairze-4 i tam Stukostrachy, Stukostrachy stukają do drzwi.

Zamknął oczy i znów pogrążył się w głębokim śnie.

Ev stał nad nim w bezruchu. Jego skóra miała barwę kitu.

Dopiero po chwili zaczął dygotać.

Był całym miastem na wygnaniu.

Jeśli Ruth McCausland była sercem i sumieniem Haven, to siedemdziesięcioletni Ev Hillman (wcale nie tak niedołężny, jak się ostatnio obawiał) był jego pamięcią. W ciągu swego długiego życia w miasteczku wiele widział i jeszcze więcej słyszał; zawsze umiał słuchać.

Opuszczając szpital w poniedziałek wieczorem, skręcił do Mr. Paperbacka, gdzie zainwestował dziewięć dolarów w Atlas Maine — kompendium złożone z dużych map, przedstawiających cały stan w równych częściach, z których każda obejmowała sześćset mil kwadratowych. Otworzył go na mapie 23 i znalazł Haven. W sklepie zaopatrzył się również w cyrkiel i teraz, nie zastanawiając się, po co to robi, obrysował miasto okręgiem. Oczywiście, nie wbił nóżki cyrkla w Haven Village, ponieważ miasteczko znajdowało się na obrzeżu powiatu.

David jest na Altairze-4.

David jest na Altairze-4 i tam Stukostrachy, Stukostrachy stukają do drzwi.

Ev siedział nad mapą i okręgiem, jaki narysował, marszcząc czoło i zastanawiając się, czy to, co powiedział mu Hilly, może mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Powinieneś kupić czerwony ołówek, staruchu. Haven trzeba teraz zaznaczać na czerwono. Na tej mapie... i na każdej innej.

Pochylił się niżej. Z daleka wciąż widział doskonale i potrafił odróżnić ziarno fasoli od kukurydzy, gdyby położyć obydwie na słupku ogrodzenia oddalonym od niego o czterdzieści jardów, lecz z bliska widział coraz gorzej, a okulary do czytania zostawił u Marie i Bryanta — miał niejasne wrażenie, że gdyby po nie wrócił, mógłby mieć większe kłopoty niż problem z drobnym drukiem. Na razie będzie lepiej — bezpieczniej — radzić sobie jakoś bez okularów.

Z nosem w atlasie oglądał punkt, w który wbił nóżkę cyrkla. Wypadł dokładnie na Derry Road, odrobinę na północ od strumienia Preston i na wschód od miejsca, które on i jego przyjaciele w dzieciństwie nazywali Wielkim Lasem Indiańców. Według mapy był to Ognisty Las — ta nazwa kilka razy obita się Ewowi o uszy.

Zmniejszył rozstaw ramion cyrkla do jednej czwartej promienia okręgu, którym otoczył Haven, i zakreślił drugie koło. Stwierdził, że dokładnie pośrodku znalazł się dom Bryanta i Marie. Na zachód znajdował się krótki odcinek Nista Road, który biegł od drogi numer 9 — Derry Road — do ślepej dróżki prowadzącej do żwirowni na skraju lasu — Wielkiego Lasu Indiańców czy Ognistego, chodziło o to samo miejsce, ten sam las.

Nista Road... Nista Road... coś mu się kojarzyło, tylko co? Coś, co się tam wydarzyło jeszcze przed jego urodzeniem, ale o czym przez wiele lat wciąż mówiono...

Ev zamknął oczy. Wyglądał, jakby spał na siedząco — chudy, prawie zupełnie łysy staruszek w schludnej koszuli khaki i schludnych spodniach khaki z kantem.

Po chwili sobie przypomniał, dziwiąc się, że tak długo musiał grzebać w pamięci. Clarendonowie. Oczywiście, Clarendonowie. Mieszkali przy skrzyżowaniu Nista Road i dawnej Derry Road. Paul i Faith Clarendonowie. Faith, którą tak urzekł miouusty, uroczy kaznodzieja i która urodziła dziecko o czarnych włosach i uroczych niebieskich oczach dziewięć miesięcy po tym, jak pastor dał nogę z miasta. Paul Clarendon, który długo przyglądał się dziecku w łóżeczku, a potem wziął brzytwę...

Niektórzy ludzie kręcili głowami, twierdząc, że winien jest wędrowny pastor, który nazywał się Colson — tak w każdym razie mówił.

Inni ludzie kręcili głowami, mówiąc, że winien jest Paul

Clarendon; że zawsze był z niego wariat i Faith w ogóle nie powinna za niego wychodzić. Jeszcze inni uważali, że winna jest, oczywiście, Faith. Ev przypomniał sobie, jak pewien staruszek u fryzjera — wiele lat później, lecz miasta takie jak Haven są bardzo pamiętliwe powiedział o niej, że była „cycatą dziwką, która urodziła się tylko po to, żeby sprawiać innym kupę kłopotów”.

A niektórzy, ścisząc głos, twierdzili, że wszystkim winien jest las.

Ev raptownie otworzył oczy.

Tak, tak właśnie mówili. Jego matka powtarzała, że tacy ludzie są niedouczeni i przesądni, lecz ojciec tylko kręcił wolno głową, pykał z fajki i mówił, że czasem w dawnych opowieściach kryje się ziarno prawdy i lepiej nie kusić losu. Dlatego zawsze się żegnał, gdy czarny kot przebiegał mu drogę.

— Phi! — parsknęła matka Eva, sam Ev, jak sobie teraz przypominał, miał wtedy dziewięć lat.

— I pewnie dlatego twoja matka zawsze rzuca przez ramię szczyptę soli, kiedy rozleje wino — powiedział łagodnie tato, zwracając się do Eva.

— Phi! — powtórzyła matka i weszła do domu, zostawiając na werandzie męża, który palił fajkę, i syna, słuchającego w skupieniu opowieści, jakie snuł ojciec. Ev zawsze umiał słuchać... poza jedną chwilą, w której ktoś bardzo chciał mu coś powiedzieć, poza jedynym nieodżałowanym momentem, gdy zostawił zalanego łzami Hilly'ego i odszedł, nie mogąc zebrać myśli.

Teraz Ev słuchał. Słuchał swojej pamięci... pamięci miasta.

9

Las nazywano Wielkim Lasem Indiańców, bo właśnie tu umarł Wódz Atlantyck. Nazwali go tak biali — jego imię w języku Micmaców brzmiało Wahwayvokah, co oznaczało „nad wysoką wodą”. Przetłumaczono to pogardliwie na „Wódz Atlantyck”. Plemię zamieszkiwało pierwotnie większość terenu znanego dziś jako okręg Penobscot, a duże grupy skupiły się w Oldtown, Skowhgan i w Wielkim Lesie, który ciągnął się aż od Ludlow — właśnie w Ludlow grzebali zmarłych, gdy w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku zdziesiątkowała ich grypa. Potem podążyli na południe pod przywództwem Wahwayvokah i jeszcze więcej ich zmarło. Wahwayvokah umarł w 1885 roku, a na łożu śmierci oświadczył, że las, do którego przywiódł swój ginący lud, jest przeklęty. Wiadomo o tym z relacji dwóch białych świadków jego śmierci — antropologa z Boston College oraz przedstawiciela Muzeum Narodowego Indian w Waszyngtonie — którzy przyjechali szukać wytworów kultury indiańskiej plemion północnego wschodu, gdyż te bardzo szybko wymierały i wkrótce miały zupełnie zniknąć. Nie bardzo było jednak do końca wiadomo, czy Wódz Atlantyck sam rzucił na las klątwę, czy stwierdził istniejący stan rzeczy.

Tak czy inaczej, jedynym jego pomnikiem była nazwa Wielki Las Indiańców — nie wiedziano już nawet, gdzie znajduje się jego grób. Ev wiedział, że w Haven i innych miastach należących do rozległego lasu nadal funkcjonuje przede wszystkim ta nazwa, rozumiał jednak, że kartografowie, którzy przygotowali atlas Maine, mogli się wzdragać przed umieszczeniem na mapach słowa „Indiańcy”. Ludzie bywali drażliwi na punkcie podobnych obelg.

Ojciec mawiał, że w dawnych opowieściach czasem kryje się ziarno prawdy...

Ev, który także się żegnał, ilekroć czarny kot przebiegał mu drogę (prawdę mówiąc, nawet wtedy, gdy któryś zamierzał to zrobić, tak dla pewności), uważał, że tato miał rację i zazwyczaj w każdej opowieści tkwiło to ziarno. Zresztą Wielki Las Indiańców, przeklęty czy nie, nigdy nie przynosił nikomu szczęścia.

Nie był szczęśliwy dla Wahwayvokah, nie był szczęśliwy dla Clarendonów. Ev przypomniał sobie, że nie był też szczęśliwy dla myśliwych, którzy próbowali tu swoich sił. Pamiętał dwa... nie, trzy... zaraz...

Ev otworzył szeroko oczy i cicho gwizdnał, gdy zaczął w pamięci przerzucać kartotekę WYPADKI NA POLOWANIACH W HAVEN. Mógł od ręki wyliczyć kilkanaście wypadków, do jakich doszło w Wielkim Lesie Indiańców przede wszystkim postrzeżeń — i kilkunastu myśliwych, których wywlekano z lasu broczących krwią i rzucających przekleństwa albo broczących krwią i nieprzytomnych, albo po prostu martwych. Niektórzy sami się postrzelili, podpierając się strzelbami, gdy gramolili się przez pnie powalonych drzew, upuszczając broń na ziemię albo diabli jeszcze wiedzą jak. Było też jedno domniemane samobójstwo. Lecz Ev przypomniał sobie, że dwa razy w listopadzie w Wielkim Lesie Indiańców popełniono morderstwo — jedno i drugie w porywie złości. Pierwsze wydarzyło się w trakcie kłótni przy kartach na jakimś obozie, a drugie było wynikiem sprzeczki przyjaciół o to, czyja kula położyła rekordowo wielkiego byka.

Myśliwi często się także gubili. Chryste! I to ilu! Chyba co roku wysyłano grupę na poszukiwania jakiegoś biednego przerażonego ćwoka z Massachusetts, New Jersey albo z Nowego Jorku. Czasem ginęło dwóch, trzech jednego roku. Nie wszystkich odnajdywano.

Byli to przede wszystkim ludzie z miasta, którzy w ogóle nigdy nie powinni znaleźć się w lesie, choć nie zawsze. Starzy wyjadacze mówili, że w Wielkim Lesie Indianców kompasy działają źle albo w ogóle przestają funkcjonować. Ojciec Eva uważał, że gdzieś tam musi być — zakopany wielki kawał skały magnetycznej, od którego igła kompasu wariuje. Miastowi i stare leśne wygi różnili się tym, że miastowi uczyli się, jak korzystać z kompasu i ślepo ufali w jego wskazania. Kiedy więc busola nawalała i pokazywała północ na wschodzie, wschód na zachodzie albo kręciła się w kółko jak butelka w zabawie w całowanie, przypominali facetów, którzy utknęli w kiblu z rozwolnieniem, ale bez papieru do podtarcia. Mądrzejsi przeklinali kompasy, dawali sobie z nimi spokój i próbowali któregoś z pół tuzina innych sposobów określenia kierunku. Jeśli nie pozostawało już nic innego, trzeba było poszukać strumienia, który w końcu wyprowadzał człowieka z lasu. Prędzej czy później, jeżeli trzymałeś się linii prostej, trafiałeś w końcu na drogę albo słupy elektryczne.

Ev znał jednak kilku ludzi, którzy całe życie polowali w Maine, a mimo to wysyłano po nich grupy poszukiwawcze; czasem znajdowali drogę własnymi siłami albo dzięki ślepemu zrządzeniu losu. Jednym z nich był Delbert McCready, którego Ev znał od dzieciństwa. We wtorek dziesiątego listopada 1947 roku Del wybrał się do Wielkiego Lasu Indianców ze swoją dwunastką. Gdy po czterdziestu ośmiu godzinach nie dał znaku życia, pani McCready zadzwoniła do Alfa Tremaina, który był wtedy konstabłem. W miejscu, gdzie przy Diamentowej Żwirowni urywa się Nista Road, wkroczyła do lasu dwudziestoosobowa grupa poszukiwawcza, która pod koniec tygodnia powiększyła się do dwustu ludzi.

Już mieli uznać Dela — którego córką była oczywiście Hazel McCready — za zaginionego, gdy wyłonił się z lasu przy Strumieniu Preston, utykając, blady, oszołomiony i lżejszy o dwadzieścia funtów.

Ev odwiedził go w szpitalu.

— Jak to się stało, Del? Noc była jasna, z gwiazdami.

Znasz się na gwiazdach, nie?

— Aha. — Del wyglądał na głęboko zawstydzonego. W każdym razie zawsze się znałem.

— No i mech. To ty mi mówiłeś, jak rozpoznawać północ po mchu na drzewach, jak byliśmy mali.

— Aha — powtórzył Del. „Nic więcej nie powiedział. Ev dał mu trochę czasu i znów zaczął naciskać.

— No, powiesz mi, co się stało?

Del bardzo długo milczał. Potem rzekł prawie niedosłyszalnym głosem:

— Zawróciło mnie.

Ev nie przerywał ciszy, chociaż było mu trudno.

— Przez jakiś czas wszystko szło dobrze — podjął w końcu Del. — Prawie całe rano polowałem, ale nie widziałem żadnych świeżych śladów. Siadłem, zjadłem obiad, wypilem flaszkę piwa. Zmorzyło mnie i trochę się zdrzemnąłem. Śniło mi się coś śmiesznego... nie pamiętam co, ale wiem, że było śmieszne. I zobacz, co mi się stało, jak spałem!

Del McCready uniósł górną wargę i pokazał Evowi szparę.

— Straciłeś ząb?

— Aha... jak się obudziłem, leżał na spodniach. Chyba wyleciał, jak spałem, ale nigdy nie miałem żadnych kłopotów z zębami, przynajmniej od czasu, gdy mi się zaklinował ząb mądrości i mało nie umarłem. Zaczęło się już robić ciemno...

— Ciemno!

— Wiem, jak to brzmi, spokojna głowa — powiedział ze złością Del, ale była to złość kogoś, kto bardzo się wstydzi. Przespałem całe popołudnie, a jak wstałem, Ev...

Na sekundę podniósł wzrok i spojrzał prosto w oczy Eva, lecz zaraz się odwrócił, jak gdyby nie mógł patrzeć w oczy starego przyjaciela dłużej niż sekundę.

— Jakby mi ktoś rozum zabrał. Pewnie dobra wróżka od zębów.

Del zaśmiał się, ale nie było w tym ani krztyny wesołości.

— Łaziłem tak jakiś czas i zdawało mi się, że idę za Gwiazdą Polarną, ale kiedy do dziewiątej nie wyszedłem na Hammer Cut Road, przetarłem oczy i zobaczyłem, że to wcale nie jest Gwiazda Polarna, tylko któraś planeta — chyba Mars albo Saturn. Położyłem się spać i z tego tygodnia, co minął, zanim wyszedłem wzdłuż Strumienia Preston, pamiętam tylko kawałki obrazów.

— No... — Ev urwał. To zupełnie nie pasowało do Dela, który zawsze miał w głowie poukładane jak na półce sklepowej. — Znaczy, wpadłeś w panikę, Del?

Del znów popatrzył na Eva i mimo że w oczach wciąż miał wstyd, zamigotały w nich wesołe iskierki.

— Nikt chyba nie może panikować cały tydzień — rzekł cierpko. — To cholernie męczące.

— Czyli po prostu...

— Po prostu — przytaknął Del — tylko nie wiem, co „po prostu”. Wiem, że kiedy obudziłem się z drzemki, nogi i tyłek jeszcze spały i były zupełnie zdrętwiałe. I wiem, że śniło mi się, jakbym słyszał buczenie — wiesz, tak jak w bezwietrzny dzień buczą linie energetyczne — i tyle. Zapomniałem, jak trzeba chodzić po lesie i łaziłem, jakbym pierwszy raz zobaczył las. Kiedy trafiłem nad Strumień Preston, wiedziałem tylko, że muszę iść wzdłuż niego i obudziłem się dopiero tutaj. Pewnie jestem pośmiewiskiem w całym mieście, ale cieszę się, że w ogóle żyję. Bóg się nade mną zlitował.

— Wcale nie jesteś pośmiewiskiem, Del — powiedział Ev. Kłamał, oczywiście, bo wszyscy śmiali się z Dela. Prawie przez pięć lat Del starał się nad tym zapanować, ale gdy się zorientował, że dowcipnisie u fryzjera nigdy mu tego nie zapomną, przeprowadził się do East Eddington i otworzył komis z małym warształem samochodowym. Ev nadal widywał się z nim od czasu do czasu, ale Del nigdy nie przyjeżdżał do Haven. Ev chyba wiedział dlaczego.

10

Siedząc w swoim wynajętym pokoju, Ev ustawił ramiona cyrkla na najmniejszy promień i narysował maleńkie kółeczko. Wewnątrz mikroskopijnego okręgu znalazł się tylko jeden dom, a Ev pomyślał: Ten dom stoi najbliżej środka Haven. Dziwne, że nigdy o tym nie pomyślałem.

Była to farma starego Garricka przy Derry Road, za którą rozciągał się Wielki Las Indianców.

Przynajmniej ten dom powinienem obrysować na czerwono.

U Garricka mieszkała teraz siostrzenica Franka, Bobbi Anderson — oczywiście, nie uprawiała ziemi; pisała książki. Ev nie zamienił z Bobbi zbyt wielu słów, ale dobrze o niej mówiono w mieście. Podobno płaciła rachunki na czas i nie plotkowała. I pisała niezłe westerny, takie, co to czyta się jednym tchem, a nie jakieś pełne nieprzyzwoitych słów niestworzone historie o wymyślonych potworach, które pisał ten facet z Bangor. Lądzie mówili, że to diablo dobre westerny.

Zwłaszcza jak na dziewczynę.

Ludzie w Haven byli życzliwi dla Bobbi Anderson, ale mieszkała w mieście dopiero trzynaście lat, dlatego musieli się jeszcze wstrzymać z oceną. Garrick, jak prawie wszyscy zgodnie twierdzili, był zdrowo stuknięty. Wprawdzie jego ogród dawał piękne zbiory, ale nie miało to żadnego wpływu na stan jego umysłu. Frank zawsze próbował opowiadać ludziom swoje sny. Zwykle śnił o powtórnym przyjściu Chrystusa. Po jakimś czasie doszło do tego, że

Arlene Cullum, która sprzedawała wyroby Amwaya z zapalem chrześcijańskiej męczennicy, ulatniała się w jednej chwili, gdy tylko zobaczyła na Main Street samochód Franka Garricka (z nalepkami na zderzaku, które głosiły rzeczy w rodzaju: GDYBYM DZIŚ POSZEDŁ DO NIEBA, NIECH KTOŚ PRZEJMIE KIEROWNICĘ).

Pod koniec lat sześćdziesiątych dostał bzika na punkcie latających talerzy. Gadał coś o Eliaszu, który zobaczył koło w kole i został zabrany do nieba przez anioły powożące ognistymi rydwanami zasilanymi elektromagnetycznie. Był stuknięty i zmarł na atak serca w 1975 roku.

Ale przed śmiercią, przypomniał sobie Ev, czując lodowaty dreszcz, stracił wszystkie zęby. Zauważyłem to i pamiętam, jak Justin Hurd komentował to na drodze... a teraz, nie licząc

Bobbi, Justin jest najbliżej. Zresztą on też nigdy nie był wzorem rozważli i rozsądku. Widziałem go parę razy przed wyjazdem i nawet przypominał mi starego Franka.

Z początku wydawało mu się zaskakujące, że nigdy dotąd nie powiązał ze sobą zagadkowych rzeczy, jakie działy się wewnątrz tych dwóch okręgów, że nikt inny tego nie skojarzył. Po dłuższym namyśle uznał jednak, że to może wcale nie jest aż tak dziwne. Życie — zwłaszcza długie życie — składa się z milionów wydarzeń; tworzą one wielobarwny gobelin z mnóstwem przeróżnych wzorów. Wzór, jaki zauważył Ev — śmierć, morderstwa, zaginięci myśliwi, stuknięty Frank Garrick, może nawet tajemniczy pożar u Paulsonów — można by dostrzec tylko wówczas, gdyby uważnie się przyjrzeć obrazowi. Wtedy człowiek zachodził w głowę, jak mógł wcześniej tego nie widzieć. Ale jeśli nie szukał...

Nagle przyszła mu do głowy nowa myśl: Bobbi Anderson też być może nie jest całkiem normalna. Przypomniał sobie, że od początku lipca, a może i wcześniej, z Wielkiego Lasu Indianców dobiegały odgłosy pracujących maszyn. Ev słyszał je i nie zwrócił na nie uwagi. Maine było gęsto zalesione, a odgłosy brzmiały znajomo. Najprawdopodobniej Papiernia Nowej Anglii wycinała drzewa na kawałku swojej ziemi.

Tyle że teraz — kiedy zobaczył już wzór na obrazie — Ev doszedł do wniosku, że odgłosy nie dochodziły z głębi lasu, gdzie papiernia miała swoją ziemię — dobiegały ze znacznie bliższej odległości, czyli z farmy Garricka. Zdał sobie również sprawę, że wcześniejsze dźwięki — regularny bzycający wizg piły łańcuchowej, trzask i łomot walących się drzew i ryk krztuszącego się rębaka spalinowego — ustąpiły miejsca odgłosom, które w ogóle nie kojarzyły mu się z wyrębem drzew. To był hałas, jaki wydawał... być może sprzęt do robót ziemnych.

Kiedy dostrzegło się wzór, wszystko zaczynało pasować do siebie i wskakiwało na swoje miejsce jak kilkanaście ostatnich kawałków dużej układanki.

Ev siedział, patrząc na mapę i okręgi. Przerazenie zmroziło mu krew w żyłach, przeszywając go na wylot chłodem, od którego drętwiało całe ciało.

Kiedy dostrzegło się wzór, nie można już było oderwać od niego oczu.

Ev zatrzaskał atlas i położył się spać.

11

Nie mógł jednak zasnąć.

Co oni tam dzisiaj robią? Budują maszyny? Wymyślają sposoby, żeby ludzie znikali bez śladu? Co?

Za każdym razem, gdy osuwał się w sen, widział ten sam obrazek: wszyscy w Haven Village stali na Main Street z ogłupiałymi, rozmarzonymi minami ćpunów i patrzyli na południowy zachód, w stronę źródła odgłosów jak muzułmanie, którzy odwracają się twarzą do Mekki, gdy zaczynają modły.

Ciężki sprzęt... sprzęt do robót ziemnych.

W miarę jak kolejne kawałki układanki trafiały na swoje miejsce, powoli wyłaniał się cały obraz. Leżąc na wąskim łóżku, niedaleko od łóżka, w którym leżał w śpiączce Hilly, Ev Hillman uznał, że widzi już obraz dość dobrze. Jeszcze nie cały, zwróćcie uwagę, ale już sporo. Zobaczył i doskonale wiedział, że nikt mu nie uwierzy. Na pewno nikt, jeżeli nie będzie miał dowodu. A nie miał odwagi tam wracać, bał się znaleźć w ich zasięgu. Drugi raz już by go nie wypuścili.

Coś. To coś było w Wielkim Lesie Indiańców. Zakopane w ziemi na farmie, którą Frank Garrick zapisał siostrzenicy piszącej westerny. To coś mieszało ludziom w głowach i kręciło igłami kompasów, jeżeli ktoś podszedł za blisko. Ev przypuszczał, że na całej ziemi rozsiane są takie dziwne złoża. Mogłoby to tłumaczyć, dlaczego ludzie w pewnych miejscach na świecie cały czas wydają się tacy wkurzeni. To coś złego, nawiedzonego. Może nawet obłożonego klątwą.

Ev poruszył się niespokojnie, przewrócił na plecy i spojrział w sufit.

Coś tam jednak było. Bobbi Anderson znalazła to coś i zaczęła odkopywać, razem z tym gościem, który zamieszkał u niej na farmie. Facet nazywał się... nazywał się...

Ev nie potrafił odgrzebać nazwiska w pamięci. Przypomniał sobie, jak Beach Jernigan zacisnęła usta, kiedy pewnego dnia ktoś w Haven Lunch wspomniał o przyjacielu Bobbi.

Stali klienci rozmawiający przy kawie zauważyli, że wyszedł ze sklepu, taszcząc torbę zakupów. Beach powiedział, że facet ma dom w Troy, marną chałupinkę z piecem na drewno i oknami zasłoniętymi folią.

Ktoś powiedział, że podobno jest wykształcony.

Na co Beach odparł, że jeśli ktoś ma wykształcenie, to jeszcze nie znaczy, że nie może być zerem.

Ev pamiętał, że nikt w Haven Lunch nie zaprotestował.

Nancy Voss wyrażała się o nim z równą dezaprobatą. Powiedziała, że przyjaciel Bobbi postrzelił własną żonę, ale puścili go wolno, bo był nauczycielem w college'u.

— Jak w tym kraju masz dyplom wypisany po łacinie, wszystko ci się upiecze — zawyrokowała.

Przyglądali się, jak facet wsiada do samochodu Bobbi i odjeżdża na farmę starego Garricka.

— Słyszałem, że jego specjalizacja to chłanie — odezwał się stary Dave Rutledge ze stołka na końcu baru, będącego jego stałym miejscem. — Każdy, kto tamtędy jeździ, mówi, że gościu cięgiem siedzi nawalony jak zając.

Buchnął złośliwy, plotkarski śmiech. Nie podobał im się przyjaciel Bobbi; ani jednej osobie. Dlaczego? Bo mieszkał z kobietą bez ślubu? Ev wiedział swoje. Tego dnia w Haven

Lunch byli mężczyźni, którzy nie tylko bili żony, ale tłukli je tak, że biednym kobietom zmieniały się figury. Takie tu panowały zasady: należało przyłożyć babie, jeżeli „się wymądrzała”. Byli tu mężczyźni, którzy od jedenastej przed południem do szóstej wieczorem żyli samym piwem, a od szóstej do północy tanią whisky z monopolowego, gdy zaś nie było ich stać na whisky, byli gotowi pić mazidło na muchy „Old Woodsman” precedzone przez chustkę do nosa. Mężczyźni, którzy prowadzili życie seksualne królików, skacząc od nory do nory... Ale jak on się nazywał?

Ev zaczął zapadać w sen. Zobaczył ich, jak stoją na chodnikach, na trawniku przed biblioteką publiczną, niedaleko małego parku i patrzą tęsknie w stronę lasu, skąd dobiegały te odgłosy. Znowu się ocknął.

Czego się dowiedziałaś, Ruth? Dlaczego cię zamordowali?

Przewrócił się na lewy bok.

David żyje... ale żeby go odnaleźć, muszę zacząć od Haven.

Przewrócił się na prawy bok.

Jeżeli wrócę, zabiją mnie. Kiedyś lubili mnie prawie tak samo jak Ruth... przynajmniej tak mi się zawsze wydawało. Teraz mnie nienawidzą. Widziałem to w ich oczach tamtego wieczoru, kiedy zaczęli szukać Davida. Tak, wywozłem z miasta Hilly'ego, bo był chory i potrzebował pomocy lekarza... ale dobrze było mieć powód wyjazdu. Może pozwolili mi jechać, bo ich uwagę zaprzętał wtedy David. A może po prostu chcieli się mnie pozbyć. Tak czy inaczej miałem szczęście, że się stamtąd wyrwałem. Drugi raz by mi się nie udało. Jak więc mam wrócić? Nie mogę.

Ev przewracał się jeszcze jakiś czas, uświadamiając sobie, że znalazł się między młotem a kowadłem: musi wracać do Haven, jeżeli chce uratować Davida, ale jeżeli wróci do Haven, zostanie zabity i natychmiast pochowany na czyimś polu.

Krótko przed północą zapadł w niespokojną drzemkę, która szybko przeszła w głęboki sen wycieńczonego do cna człowieka. Nic mu się nie śniło.

12

Spał długo jak nigdy od wielu lat i we wtorek zbudził się piętnaście po dziesiątej. Po raz pierwszy od dawna poczuł się zdrowy i wypoczęty. Sen bardzo dobrze mu zrobił: śpiąc, wymyślił sposób na to, jak wrócić do Haven i być może wyjechać stamtąd cało. Być może. Dla Davida i Hilly'ego postanowił zaryzykować.

Sądził, że uda mu się wjechać do Haven i wyjechać z niego w dniu pogrzebu Ruth McCausland.

13

Butch „Bestia” Dugan był największym człowiekiem, jakiego Ev w życiu widział. Pewnie mógłby się z nim równać ojciec Justina Hurda, Henry, który miał sześć stóp i sześć cali wzrostu, ważył trzysta osiemdziesiąt funtów i był tak szeroki w barach, że przez większość drzwi musiał przechodzić bokiem — ale Ev sądził, że ten facet był odrobinę wyższy. Może lżejszy o dwadzieścia czy trzydzieści funtów, lecz nie więcej.

Gdy Ev podawał mu rękę, zorientował się, że Dugan już o nim słyszał. Miał to wypisane na twarzy.

— Proszę usiąść, panie Hillman — rzekł Dugan, sadowiąc się na obrotowym krześle, które wyglądało jak wyciosane z potężnego dębu. — Co mogę dla pana zrobić?

Spodziewa się, że zacznę pleść bzdury, pomyślał Ev. Tak samo jak Frank Garrick, kiedy dogonił kogoś na ulicy. I chyba go nie zawiodę. Ale jeżeli będziesz stapał uważnie, Ev, możesz uda ci się znaleźć drogę. Zresztą już wiesz, dokąd zmierzasz.

— Może rzeczywiście może pan coś zrobić — odrzekł Ev. Przynajmniej tym razem nic nie pił. Rozmowa z dziennikarzem po trzech piwach była karygodnym błędem. — W gazetach napisano, że wybiera się pan jutro na pogrzeb Ruth McCausland.

Dugan skinął głową.

— Owszem. Przyjaźniliśmy się z Ruth.

— Pojedzie ktoś jeszcze z komendy w Derry? Gazeta pisała, że jej mąż pracował w stanowej, a Ruth też była jakby z policji — jasne, konstabl w małym miasteczku to nic nadzwyczajnego, ale wie pan, o co mi chodzi. Będą jeszcze inni, tak?

Dugan zmarszczył czoło, a miał co marszczyć.

— Panie Hillman, jeśli ma pan jakąś sprawę, to na razie nic nie rozumiem. — I dzisiaj rano jestem bardzo zajęty, jeśli jeszcze nie zauważyłeś, mówiła jego mina. — Zaginęło mi dwóch ludzi i wszystko zaczyna wskazywać na to, że natknęli się na jakichś kłusowników, którzy wybrali się w nocy na jelenia, wpadli w panikę i zastrzelili ich; nie wiem, jak się do tego

zabrać, a na dodatek zginęła moja dobra przyjaciółka Ruth McCausland, więc naprawdę nie mam czasu ani cierpliwości na takie bzdety.

— Wiem. Ale zrozumie pan. Czy Ruth miała innych przyjaciół, którzy wybierają się na pogrzeb?

— Tak. Z sześciu, może więcej. Ja pojedę wcześniej, żeby pogadać z paroma osobami o sprawie, która ma z tą związek.

Ev skinął głową.

— Wiem, co to za sprawa — powiedział. — A pan wie, kim jestem. Tak mi się w każdym razie wydaje.

— Panie Hillman...

— Wygadywałem głupstwa i rozmawiałem z niewłaściwymi osobami w niewłaściwym czasie — powiedział Ev tym samym spokojnym tonem. — W innych okolicznościach najpierw bym się zastanowił, ale byłem zdenerwowany. Zaginał jeden z moich wnuków. Drugi jest w jakiejś sypialni.

— Tak, wiem.

— Miałem w głowie taki mętlik, że naprawdę nie wiedziałem, jak się nazywam. Naplotłem coś jednej pielęgniarce, a potem pojechałem do Bangor porozmawiać z dziennikarzem. Brightem. Zdaje mi się, że słyszał pan o tym, co mu mówiłem.

— Z tego co wiem, sądzi pan, że za zniknięciem Davida Browna kryje się jakiś... spiszek...

Ev musiał powstrzymać wybuch śmiechu. Słowo, jakiego użył Dugan, zabrzmiało dziwnie, ale było trafne. Nigdy sam by na to nie wpadł. Tak, to był spiszek. Spiszek na cholernie wielką skalę.

— Tak. Sądzę, że to spiszek i uważam, że te trzy sprawy mają ze sobą związek większy, niż się panu wydaje — zniknięcie mojego wnuka, zniknięcie dwóch pana ludzi i śmierć Ruth McCausland, z którą też się przyjaźniłem.

Dugan wyglądał na trochę zaskoczonego i po raz pierwszy z jego twarzy zniknął wyraz lekceważenia. Ev odniósł wrażenie, że Dugan po raz pierwszy go zobaczył — Everetta Hillmana, a nie jakiegoś stukniętego starucha, który wpadł przegłędzić pół ranka.

— Może streści mi pan swoje podejrzenia — zaproponował Dugan, kładąc przed sobą notatnik.

— Nie. Niech pan odłoży ten zeszyt.

Dugan patrzył na niego przez chwilę w milczeniu. Nie odłożył notatnika, lecz odłożył ołówek.

— Bright uważał mnie za wariata, chociaż nie opowiedziałem mu połowy swoich podejrzeń — powiedział Ev — dlatego panu nie powiem o żadnych. Sprawa wygląda tak: wydaje mi się, że David żyje. Nie sądzę, żeby był jeszcze w Haven, ale myślę, że gdybym tam wrócił, mógłbym wpaść na jego ślad. Mam powody przypuszczać — chyba całkiem uzasadnione — że nie jestem w Haven mile widziany. Uważam, że gdybym tam wrócił, w prawie każdym okolicznościach zniknąłbym jak David Brown. Albo miał wypadek jak Ruth.

Butch Dugan zmienił się na twarzy.

— Chyba muszę poprosić, żeby mi pan to wytłumaczył, panie Hillman — rzekł.

— Nie mam zamiaru. Co wiem, to wiem, i co podejrzewam, to podejrzewam, ale nie mam żadnego dowodu. Wiem, że mówię jak wariat, ale jeżeli popatrzy mi pan w oczy, przekona się pan, że przynajmniej wierzę w to, co mówię.

Dugan westchnął.

— Panie Hillman, gdyby pracował pan w branży, wiedziałby pan, jak szczerzy wydają się prawie wszyscy łgarze. Ev zaczął coś mówić, lecz Dugan pokręcił głową. — Niech pan da spokój. To cios poniżej pasa. Od niedzieli spałem może z sześć godzin. Robię się za stary na takie maratony. Fakt, rzeczywiście wierzę, że mówi pan szczerze. Ale wysyła pan tylko sygnały ostrzegawcze, nie przechodząc do żadnych konkretów. Czasem ludzie tak robią,

kiedy się boją, ale najczęściej wtedy, gdy nie wiedzą nic konkretnego. Tak czy inaczej, nie mam czasu, żeby zachęcać pana do zwierzeń. Odpowiedziałem na pańskie pytania; może najlepiej przedstawi mi pan swoją sprawę.

— Chętnie. Przyszedłem do pana z dwóch powodów, panie Dugan. Po pierwsze, żeby się upewnić, czy jutro w Haven będzie dużo policjantów. Zwykle mniej rzeczy się wydarza, kiedy w okolicy kręci się dużo glin, nie sądzi pan?

Dugan milczał, patrząc na Eva z kamienną twarzą.

— Po drugie, żeby panu powiedzieć, że ja też pojedę jutro do Haven. Ale nie będę na pogrzebie Ruth. Wezmę ze sobą raketnicę i jeżeli podczas pogrzebu pan albo któryś z pańskich ludzi zobaczy na niebie racę, będzie pan wiedział, że padłem ofiarą tego szaleństwa, w które nikt nie wierzy. Rozumie pan?

— Mówił pan, że powrót do Haven może być dla pana... hm, trochę niebezpieczny. — Dugan nadal miał nieruchomą twarz, ale to nie miało znaczenia; Ev wiedział, że glina wrócił do swojego poprzedniego przekonania: jednak dziadek okazał się stuknięty.

— Powiedziałem „prawie w każdych okolicznościach”. Ale w tych okolicznościach może mi się uda. Ruth kochało całe Haven, o czym chyba nie muszę panu mówić. Większość ludzi przyjdzie odprowadzić ją do grobu. Nie wiem, czy nadal ją kochali, gdy zginęła, ale to nieważne — i tak przyjdą.

— Skąd pan wie? — zapytał Dugan. — A może o tym też nie zamierza pan mówić?

— Nie, mogę powiedzieć. Gdyby nie przyszli, mogłoby to źle wyglądać.

— Źle? Dla kogo?

— Dla pana. Dla innych policjantów, którzy przyjaźnili się z nią i jej mężem. Dla polityków z Komitetu Demokratów Okręgu Penobscot. Wcale bym się nie dziwił, gdyby kongresman Brennan przysłał kogoś z Augusty — ciężko dla niego pracowała, jak startował w wyborach. Była znana poza miastem, rozumie pan, będą się więc z tym musieli liczyć. Są w sytuacji ludzi, którzy nie mają ochoty wydawać przyjęcia, ale mimo wszystko muszą. Mam nadzieję, że będą tak zajęci urządzaniem dobrego przedstawienia, że nawet się nie zorientują, że byłem w Haven.

Butch Dugan skrzyżował ręce na piersi. Ev był bliski prawdy — z początku Dugan uległ nawet złudzeniu, że David Bright, który zwykle raczej bezbłędnie interpretował ludzkie zachowania, tym razem się pomylił i Hillman w rzeczywistości nie był bardziej szalony niż on. Teraz nieco się zaniepokoił, nie dlatego, że Hillman w końcu okazał się stuknięty, ale dlatego, że okazał się solidnie stuknięty. A jednak... w spokojnym tonie głosu i rozsądnym, opanowanym spojrzeniu staruszka było coś przekonującego.

— Z pana słów wynika, jakby wszystkich w Haven łączył jakaś tajemny związek — odezwał się Dugan. — Moim zdaniem to niemożliwe. Chcę, żeby pan o tym wiedział.

— Tak, każdy normalny człowiek tak by właśnie powiedział. Dlatego tak długo udawało im się to ukrywać. Pięćdziesiąt lat temu ludzie sądzili, że niemożliwe jest skonstruowanie bomby atomowej, śmialiby się, gdyby im powiedzieć o telewizji, a co dopiero o magnetowidzie. Niewiele się zmieniło, panie Dugan. Większość ludzi nie sięga wzrokiem poza horyzont. Jeżeli ktoś im mówi, że coś za nim jeszcze jest, ludzie nie chcą tego słuchać.

Ev wstał i wyciągnął do Dugana rękę, jak gdyby miał prawo oczekiwać, że Dugan ją uściśnie. Butch był tak zdziwiony, że niewiele myśląc, zrobił to.

— Kiedy na pana spojrzałem, wiedziałem, że uważa mnie pan za świra — rzekł Ev z bladym, smutnym uśmiechem. A po tym, co powiedziałem, ma pan dwa razy więcej powodów żeby tak sądzić. Ale dowiedziałem się, czego chciałem, przysługę staremu człowiekowi i od czasu do czasu zerknie w niebo. Jak pan zobaczy purpurową racę..

— Tego lata lasy są suche — rzekł Dugan, ale zanim dokończył, słowa wydały mu się dziwnie nieważne, niemal niepoważne. Uświadomił sobie, że wbrew własnej woli znów wierzy staruszkowi.

Dugan odchrząknął i brnął dalej.

— Jeżeli naprawdę ma pan rakiетnicę, może pan wywołać gigantyczny pożar lasu. Jeśli nie ma pan pozwolenia — doskonale wiem, że pan nie ma — może pan trafić za kratki.

Ev uśmiechnął się nieco szerzej, ale wciąż bez cienia wesołości.

— Jeżeli zobaczy pan racę — powiedział — wtedy najmniej będę się przejmował tym, że zamkną mnie w pudle w Bangor. Do widzenia, panie Dugan.

Ev wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi. Dugan stał przez chwilę, skonsternowany jak jeszcze nigdy w życiu. Niech idzie, pomyślał, lecz zaraz potem wyszedł z pokoju.

Coś nie dawało spokoju Butchowi Duganowi. Na chwilę o tym zapomniał, gdy zniknęli dwaj policjanci, których znał i lubił. Wizyta Hillmana ożywiła ten niepokój, który kazał Duganowi ruszyć za staruszkiem.

Było to wspomnienie jego ostatniej rozmowy z Ruth. Już wcześniej się o nią martwił; poszukiwania Davida Browna Ruth McCausland prowadziła nie tak jak trzeba. Ten jedyny raz zabrała się do rzeczy nieprofesjonalnie.

Potem, wieczorem dzień przed jej śmiercią, zadzwonił do niej, żeby wymienić informacje na temat śledztwa; słowem, żeby pogadać. Wiedział, że żadne z nich nie ma nic nowego, ale czasem można coś wysnuć z czystych spekulacji. W trakcie rozmowy wspomnieli o dziadku zaginionego chłopca. Butch rozmawiał już z Brightem z „Daily News” — był z nim na piwie — i przekazał Ruth przekonanie Eva, że całe miasto w jakiś dziwny sposób zwariowało.

Usłyszawszy to, Ruth ani nie wybuchnęła śmiechem, ani nie wyrażała się z dezaprobatą o stanie umysłu Eva Hillmana, tak jak Butch się spodziewał. Nie był pewien, co właściwie powiedziała, bo właśnie wtedy zaczęło się psuć połączenie w tym akurat nie było nic niezwykłego; do miasteczek takich jak Haven linie telefoniczne wciąż były doprowadzane na słupach i z reguły coś nawalało w trakcie rozmów — wystarczył silniejszy podmuch wiatru i miałeś wrażenie, że ty i twój rozmówca trzymacie przy uchu puszeki po zupie pomidorowej połączone nawoskowanym sznurkiem.

„Lepiej mu powiedz, żeby nie zbliżał się do miasta — powiedziała wtedy Ruth. Tego był pewien. A potem, zanim zupełnie przestał ją słyszeć, zdawało mu się, że mówi coś — nie wiadomo dlaczego — o nylonowych pończochach. Pewnie źle ją zrozumiał, ale na pewno słyszał ton jej głosu, w którym brzmiał smutek i ogromne znużenie, jak gdyby brak postępów w poszukiwaniach Davida Browna zabił w niej wszelką nadzieję. Chwilę później połączenie ostatecznie się zerwało.

Butch nie zadzwonił jeszcze raz, bo zdążył przekazać jej wszystkie nowe informacje... czyli naprawdę bardzo niewiele.

Następnego dnia już nie żyła.

Lepiej mu powiedz, żeby nie zbliżał się do miasta. Tak, tona pewno usłyszał.

Mam powody przypuszczać... że nie jestem w Haven mile widziany.

Powiedz mu, żeby nie zbliżał się do miasta.

Prawdopodobnie zniknąłbym jak David Brown.

Żeby się nie zbliżał.

Albo miał wypadek jak Ruth.

Nie zbliżał.

Dogonił staruszka na parkingu.

14

Hillman miał starego fioletowego valianta z zardzewiałymi progami. Ev zdążył otworzyć drzwi i uniósł głowę, gdy wyrosła przy nim zwałista sylwetka Dugana.

— Pojadę jutro z panem.

Ev spojrział na niego szeroko otwartymi oczami.

— Nawet pan nie wie, dokąd jadę!

— Nie wiem. Ale przynajmniej nie będę się musiał martwić, że puści pan z dymem połowę lasów we wschodnim Maine, próbując wysłać mi wiadomość w stylu Jamesa Bonda.

Ev przyglądał mu się przez chwilę z namysłem, a potem pokręcił głową.

— Na pewno czułbym się lepiej, gdyby ktoś był ze mną — powiedział — zwłaszcza ktoś wielki jak Gorilla Monsoon, w dodatku z bronią u pasa. Ale ludzie w Haven nie są głupi, panie Dugan. Zresztą nigdy nie byli i wydaje mi się, że ostatnio są jeszcze mniej głupi. Spodziewają się zobaczyć pana na pogrzebie. Jeżeli się pan nie pojawi, zaczną coś podejrzewać.

— Chryste panie! Ciekawe, jakim cudem może pan wygadywać takie bzdury i sprawiać wrażenie zupełnie normalnego człowieka!

— Może dlatego, że pan też wie — odrzekł Ev. — Wie pan, jakie to dziwne. Wie pan, jakie dziwne rzeczy zaczęły się dziać w Haven. — Po chwili dodał z zaskakującą zdolnością przewidywania: — A może znał pan Ruth na tyle dobrze, żeby wyczuć, że ostatnio coś z nią było nie w porządku.

Patrzyli na siebie, stojąc w palącym słońcu na wysypanym żwirem parkingu przed komendą w Derry. Ich cienie, czarne i ostro zarysowane, padały skośnie na godzinie drugiej.

— Wieczorem zacznę udawać, że jestem chory — rzekł Dugan. — Grypa żołądkowa. Prawie wszyscy na komisariacie wiedzą, że mam kłopoty z żołądkiem.

Ev skinął głową z widoczną ulgą — zaskakująco ogromną ulgą. Myśl o ukradkowym powrocie do Haven przerażała go bardziej, niż był gotów przyznać, zwłaszcza przed samym sobą. Prawie udało mu się przekonać tego rosnącego gliniarza, że w mieście coś się dzieje; czytał to w jego twarzy. „Prawie” nie było może największym osiągnięciem, ale to i tak gigantyczny krok naprzód z miejsca, w którym Ev tkwił dotychczas. I oczywiście nie dokonał tego w pojedynkę; pomogła mu Ruth.

— Zgoda — powiedział. — Proszę mnie jednak posłuchać, panie Dugan. Proszę słuchać uważnie, bo od tego jutro może zależeć nasze życie. Niech pan nie dzwoni do nikogo, kto ma być jutro na pogrzebie, i nie mówi, że prawdziwym powodem pana nieobecności jest jakiś numer, który zamierza pan wyciąć. Niech pan zadzwoni dziś wieczorem do kilku osób i powie im, że naprawdę strasznie pana zmogło, że chciałby pan wydobrzeć do jutra, ale to mało prawdopodobne.

Dugan zmarszczył brwi.

— Dlaczego chce pan, żebym mówił... — Nagle domyślił się i otworzył zdębiały usta. Staruszek przypatrywał mu się spokojnie. — Jezu Chryste, chce mi pan powiedzieć, że ludzie w Haven potrafią czytać w cudzych myślach? I jeżeli moi ludzie będą wiedzieli, że wcale nie jestem chory, to ludzie z miasta odbiorą tę wiadomość prosto z ich głów?

— Nic takiego nie chcę powiedzieć, panie Dugan — odparł Ev. — To pańskie słowa.

— Panie Hillman, chyba jednak poniosła pana wyobraźnia...

— Kiedy do pana przyszedłem, nie spodziewałem się, że będzie pan chciał ze mną jechać. Nie próbowałem też nakłonić pana do takiej decyzji. Miałem tylko nadzieję pana przekonać, żeby zwrócił pan uwagę na moją rację, gdybym wpakował się w kłopoty, i żeby przynajmniej gliny zostały trochę dłużej w tym gnieździe węży. Ale kiedy komuś dać palec, chwyci całą rękę. Proszę mi jeszcze trochę zaufać. Ze względu na Ruth... jeżeli to ma pana przekonać, chętnie się na nią powołam. Jeszcze jedno: bez względu na to, co się stanie, będzie się pan jutro czuł trochę dziwnie.

— Już dzisiaj czuję się dość dziwnie — zauważył Dugan.

— Aha — rzekł Ev i czekał na decyzję Dugana.

— Ma pan na myśli jakieś konkretne miejsce, do którego chce się pan dostać? — spytał po chwili Dugan. — Czy raczej zamierza pan plątać się po całym mieście, dopóki się pan nie zmęczy?

— Mam na myśli konkretne miejsce — powiedział cicho Ev. Och, tak, pomyślał. Bardzo konkretne. Za domem starego Garricka, na skraju Wielkiego Lasu Indiańców, gdzie wszystkie kompasy można o kant dupy potłuc. I wierzę, że bez pudła znajdziemy drogę do tego „czegoś” — cokolwiek to jest — bo sprzęt, jakiego używa Bobbi Anderson i jej przyjaciel, musi zostawiać ślady szerokie jak autostrada. Nie, nie sądzę, żebyśmy mieli jakiś kłopot ze znalezieniem drogi.

— W porządku. Niech mi pan poda adres, pod którym zatrzymał się pan w Derry i jutro o dziewiątej podjadę po pana samochodem. Będziemy w Haven równo z początkiem nabożeństwa żałobnego.

— Wozem zajmę się sam — powiedział cicho Ev. — Ten nie wchodzi w rachubę; znają go w Haven. Wypożyczę. I lepiej niech pan się zjawi o ósmej, bo zrobimy małe kółeczko.

— Przecież mogę wjechać do Haven, omijając miasteczko — rzekł Dugan — Nie musi się pan o to martwić.

— Wcale się o to nie martwię. Ale chcę, żebyśmy okrążyli miasto i wjechali od strony Albion, i wydaje mi się, że wiem, jak to zrobić.

— Dlaczego akurat z tamtej strony, do cholery?

— Bo to punkt najbardziej oddalony od miejsca, w którym będą i właśnie tędy chcę wjechać do Haven. Jak najdalej od nich.

— Naprawdę się pan boi, co?

Ev skinął głową.

— Ale dlaczego wozem z wypożyczalni?

— Boże mój, ile pan zadaje pytań! — Ev tak komicznie przewrócił oczami, że Butch Dugan musiał się uśmiechnąć.

— Taką mam robotę — odparł. — Dlaczego chce pan jechać wozem z wypożyczalni? Przecież nikt w Haven nie zna mojego samochodu. — Urwał na chwilę, zastanawiając się. — Przynajmniej teraz, po śmierci Ruth.

— To moja obsesja — odrzekł Ev Hillman. Nagle na jego twarzy zagościł zaskakująco uroczy uśmiech. — A człowiek powinien płacić za swoje obsesje.

— No dobrze — powiedział Butch. — Poddaję się. Pana trasa, pana samochód i pana obsesja. Chyba oszalałem. Naprawdę.

— Jutro o tej porze będzie pan chyba o wiele lepiej wiedział, co to jest szaleństwo — rzekł Ev i wsiadł do swego fioletowego valianta, zanim Dugan zdążył zadać mu jeszcze jakieś pytanie.

Ale Butch nie miał już więcej pytań. Był przygnębiony, czuł się, jakby pierwszego dnia pobytu w Nowym Jorku kupił most Brooklyński, buląc żywą gotówkę, choć wiedział, że taka wielka rzecz pewnie nie może być na sprzedaż. Nabrać można tylko tego, kto chce się dać nabrać, pomyślał. Trzy lata pracował przy sprawach oszustw w okolicach Augusty i tego nauczył się na samym początku. Staruszek wydawał się przedziwnie przekonujący, ale Butch Dugan wiedział, że wcale nie trzeba go było przekonywać; sam skoczył na głęboką wodę. Dlatego że kochał Ruth McCausland i zapewne w przyszłym roku zdobyłby się wreszcie na odwagę, żeby się jej oświadczyć. Dlatego że jeśli ktoś, kogo kochasz, umiera, pozostawia ci w sercu czarną dziurę, a ty, chcąc zatkać tę dziurę, nie przyjmujesz do wiadomości, że ukochana osoba zginęła w wyniku głupiego nieszczęścia. Lepiej uwierzyć — nawet na krótką chwilę — że możesz dostać w swoje ręce winnego jej śmierci. W ten sposób można trochę zmniejszyć czarną dziurę. Tyle wie nawet prostak ze wsi.

Dugan westchnął i czując się o wiele starszy, powłókł się z powrotem do budynku.

Ev pojechał do szpitala i prawie całą resztę dnia przesiedział przy Hillym. Około trzeciej napisał dwa listy. Pierwszy położył na nocnym stoliku obok łóżka Hilly'ego, przyciskając kartkę wazonikiem z kwiatami, aby jej nie porwał podmuch wietrzyku, który co chwilę

wpadał do sali przez otwarte okno. Drugi list był dłuższy i gdy Ev skończył pisać, złożył go i schował do kieszeni. Potem wyszedł ze szpitala.

Pojechał do niskiego budynku w przemysłowej dzielnicy Derry. Nad drzwiami widniał napis ARTYKUŁY MEDYCZNE MAINE. A pod spodem: „Od 1946 roku specjalizujemy się w terapii oddychania i akcesoriach wspomagających oddychanie”.

Wyjaśnił człowiekowi w budynku, czego chce. Mężczyzna powiedział, że jego zdaniem Ev powinien raczej pojechać do Bangor i pogadać z ludźmi z klubu płetwonurków Downeast. Ev wyjaśnił, że akwalung jest ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje; interesuje go lądowy aparat przenośny. Rozmawiał ze sprzedawcą jeszcze chwilę, a potem wyszedł z dość specjalistycznym urządzeniem, podpisawszy wcześniej umowę, zgodnie z którą zobowiązywał się zwrócić wypożyczony sprzęt po trzydziestu sześciu godzinach. Człowiek z „Artykułów Medycznych Maine” stał w drzwiach, przyglądając się, jak odjeżdża, i skrobiąc się w głowę.

15

Pielęgniarka przeczytała tekst na kartce przy łóżku Hilly’ego.

Hilly,

Być może nie będę cię mógł odwiedzać przez jakiś czas, ale chciałem ci tylko powiedzieć, że moim zdaniem wyjdiesz z tego paskudztwa i jeśli ci w tym pomogę, będę chyba najszczęśliwszym dziadkiem na świecie. Wierzę, że David żyje i to na pewno nie twoja wina, że zaginął. Kocham cię, Hilly, i mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy.

Dziadek

Ale już nigdy nie zobaczył Hilly’ego Browna.

9 POGRZEB

1

Od dziewiątej rano do Haven Village zaczęli się zjeżdżać ludzie spoza miasta, którzy znali Ruth McCausland lub z nią pracowali. Wkrótce wszystkie miejsca parkingowe przy Main Street były zajęte. W Haven Lunch panował wzmożony ruch. Beach uwijał się, podając jajka, bekon, kielbaski i frytki. Parzył jeden dzbanek kawy za drugim. Kongresman Brennan nie przyjechał, ale przysłał bliskiego współpracownika. Sam powinien przyjechać, Joe, pomyślał Beach z ukradkowym uśmieszkiem. Miałbyś zupełnie nowe wyobrażenie o tym, jak należy rządzić.

Dzień wstał rześki i bezchmurny, jak gdyby kończył się wrzesień, a nie lipiec. Niebo było jasnoblękitne, temperatura wahała się w okolicach dwudziestu stopni, wiał zachodni wiatr z prędkością mniej więcej dwudziestu mil na godzinę. W Haven znów pojawili się obcy i Haven znów powitało ich dobrą pogodą. Niedługo nie będzie już ważne, czy mają szczęście, czy nie, mówili sobie bez słów mieszkańcy miasta; niedługo sami będą kierować własnym szczęściem.

Można by powiedzieć, że był ładny dzień; najładniejszy, jaki latem może się zdarzyć w Nowej Anglii; na taki zawsze czekają turyści. Dzień na zaostrzenie apetytu. Ludzie spoza miasta zamawiali obfite śniadania, jak to ludzie z pobudzonym apetytem, lecz Beach zauważył, że z większości talerzy znika zaledwie pół porcji. Nowo przybyłym szybko mijał apetyt, a ich oczy traciły blask; na ogół wyglądali, jakby nagle osłabli i ogarnęły ich mdłości.

Restauracja była zatłoczona, ale rozmowy jakoś się nie kleiły.

Pewnie powietrze w naszym miasteczku nie bardzo wam służy, pomyślał Beach. Wyobraził sobie, jak idzie do magazynu, gdzie pod stertą obrusów ukrył urządzenie, którym pozbył się dwóch wścibskich gliniarzy. Wyobraził sobie, że przynosi tu tę wielką śmiercionośną bazookę i snopem zielonego światła czyści całą salę ze wszystkich obcych.

Nie, jeszcze nie teraz. Niedługo to nie będzie już miało znaczenia. W przyszłym miesiącu. Ale na razie...

Spojrzał na talerz, który właśnie czyścił, i zobaczył czyjś ząb w resztkach jajecznicy.

Nadchodzą Stukostrachy, moi drodzy, pomyślał Beach.

Ale kiedy wreszcie przyjdą, chyba nie będą nawet zawracać sobie głowy stukaniem; pewnie po prostu wywalą drzwi.

Beach uśmiechnął się szerzej. Zgarnął z talerza ząb razem z resztkami niedojedzonego śniadania.

2

Dugan, kiedy chciał, umiał milczeć, a tego ranka miał właśnie ochotę pomilczeć. Widocznie chciał tego także staruszek. Dugan zjawił się pod starą kamienicą przy Lower Main Street, gdzie mieszkał Ev Hillman, punktualnie o ósmej i zobaczył jeepa cherokee zaparkowanego za valiantem starego. W samochodzie leżał duży worek jutowy zawiązany sznurkiem.

— Wypożyczył go pan w Bangor?

— Wynająłem w AMC w Derry — odrzekł Ev.

— Musiał sporo kosztować.

— Nie tak drogo.

Na tym skończyła się ich rozmowa. Godzinę i czterdzieści minut później dojechali w okolice granicy oddzielającej Albion od Haven. „Zrobimy małe kółeczko” — powiedział wcześniej starszek i Butch uznał, że to klasyczny przykład oględnego wyrażenia. W ciągu prawie dwudziestu lat przemierzył wzdłuż i wszerz tę część Maine i do dziś zdawało mu się, że zna ją jak własną kieszeń. Teraz zrozumiał, że był w błędzie. To Hillman znał ją jak własną kieszeń, a Butch Dugan w porównaniu z nim posiadał jedynie ogólną praktyczną znajomość okolicy.

Z autostrady zjechali na drogę numer 69; z 69 na asfaltową dwupasmówkę; potem na żwirówkę w zachodniej części Troy; następnie na jakąś bitą drogę; później wjechali w polną drogę, w której były wyżłobione głębokie koleiny, a pośrodku rosła trawa; wreszcie znaleźli się na utwardzonej kłodami, zarośniętej dróżce, którą wożono drewno, ale ostatni raz korzystano z niej chyba w okolicach 1950 roku.

— Kurwa, człowieku, ty w ogóle wiesz, dokąd jedziesz? krzyknął Butch, gdy jeep wpadł między przegniłe okrągłaki, potem cofnął z wyciem silnika, wyrzucając spod kół ziemię i drzazgi.

Ev tylko skinął głową. Trzymał się kurczowo wielkiej kierownicy jak stara, łysiejąca małpa.

Jedna leśna droga przechodziła w następną, a w końcu przedarli się przez gąszcz liści i wyjechali na drogę, którą Butch rozpoznał jako drogę powiatową numer 5 w Albion. Butch sądził, że to niemożliwe, lecz starszek zrobił dokładnie to, co obiecał: objechał całe Haven, ani razu nie przekraczając jego granic.

Ev zatrzymał jeepa sto stóp przed tablicą oznaczającą granicę Haven. Wyłączył silnik i odkręcił okno. Nie słychać było żadnego dźwięku poza tykaniem rozgrzanego silnika. Nie zaśpiewał ani jeden ptak, co zdziwiło Butcha.

— Co jest w tym worku z tyłu? — zapytał.

— Różne rzeczy. Niech pan tym sobie na razie nie zawraca głowy.

— Na co pan czeka?

— Na dzwony — odrzekł Ev.

3

Za kwadrans dziesiąta usłyszał je, ale nie był to dźwięk dzwonów kościoła metodystów, jaki Ev znał od dzieciństwa i jakiego się spodziewał; dzwony wzywały żałobników — prawdziwych i tych, którzy byli gotowi wylać morze krokodylich łez — do kościoła, gdzie miał się odbyć akt pierwszy uroczystości poświęconej pamięci Ruth (akt II: ceremonia na cmentarzu; akt III: poczęstunek w bibliotece miejskiej).

Pastor Goohringer, nieśmiały mężczyzna, który zwykle zachowywał się potulnie jak baranek, kilka tygodni wcześniej chodził po mieście i mówił ludziom, że strasznie męczy go to całe dzwonicie.

— To rusz głową i zrób coś, Gooley — poradziła mu Pamela Sargent.

Do wielebnego Lestera Goohringera nigdy w życiu nikt nie mówił „Gooley”, lecz w tym momencie poczuł się tak urażony, że prawie nie zwrócił na to uwagi.

— Może coś zrobię — powiedział, patrząc na nią ponuro przez grube szkła okularów. — Może zrobię.

— Masz jakiś pomysł?

— Niewykluczone — odparł chytrze. — Czas pokaże, prawda?

— Jak zawsze, Gooley — odrzekła. — Jak zawsze.

W istocie wielebny Goohringer miał doskonały pomysł na rozwiązanie sprawy dzwonów — nie mógł uwierzyć, że dotychczas nie przyszedł mu do głowy tak prosty i piękny sposób. Najlepsze było to, że nie musiał zwracać się do diakonów ani do Kobiecego Towarzystwa

Pomocy (organizacji, do której wstępowały chyba tylko dwa typy kobiet — tłuste wieloryby z piersiami wielkości beczek i płaskie jak deska kościste tyki, takie jak Pamela Sargent ze swoją cygarniczką ze sztucznej kości słoniowej i rżącym kaszlem nałogowej palaczki), ani do zamożnych członków parafii... przed wizytą u nich zawsze przez tydzień cierpiał na niestrawność. Nie lubił prosić. Nie, tym razem wielebny Goohringer mógł poradzić sobie zupełnie sam i tak właśnie uczynił. Pierdolić ich wszystkich, jeśli nie mają poczucia humoru.

— I jeśli jeszcze raz powiesz do mnie Gooney, Pam — szepnął, wymieniając przewody w skrzynce z bezpiecznikami w piwnicy kościoła, żeby wytrzymała wysokie napięcie, jakiego wymagał jego wynalazek — to zabiorę cię do pisuaru na plebanii, wsadzę w cipę przepychacz i wycisnę ci z głowy resztki rozumu... jeżeli do tej pory ich nie wysikałaś.

Zarechotał i wrócił do pracy. Pastor Lester Goohringer nigdy w życiu nie miał tak ordynarnych myśli i nie mówił tak wulgarnych rzeczy, ale stwierdził, że to bardzo radosne przeżycie, które daje poczucie nieopisanej swobody. Właściwie był gotów poradzić każdemu w Haven, komu nie będzie się podobał jego nowy kurant, żeby szedł się pierdolić w zagonie fasoli.

Ale wszyscy w mieście uważali tę zmianę za absolutnie wspaniałą. I była wspaniała. Dziś wielebny Goohringer pęczniał z dumy, gdy wcisnął nowy włącznik w zakrystii i nad Haven rozległ się dźwięk dzwonów grających wiązaną psalmów. Kurant można było programować i dziś Lester Goohringer włączył ulubione psalmy Ruth. Wśród nich były takie dyżurne hymny metodystów i baptystów jak „Jezus przyjacielem naszym” i „Oto świat Ojca mego”.

Wielebny Goohringer cofnął się, zacierając ręce i patrząc, jak ludzie dwójkami, trójkami i całymi grupami ruszają w kierunku kościoła, przyzywani dzwonami, dzwonami, zewem dzwonów.

— Niech mnie szlag! — wykrzyknął wielebny Goohringer. Nigdy w życiu nie czuł się lepiej. Chciał pożegnać Ruth McCausland w wielkim stylu. Zamierzał wygłosić wielką, jedyną w swoim rodzaju mowę.

W końcu wszyscy ją kochali.

4

Dzwony.

Słyszając ich dźwięk, Dave Rutledge, najstarszy obywatel Haven, nastawił ucha, uśmiechając się bezzębnymi ustami nawet gdyby dzwony grały fałszywie, uśmiechałby się, ponieważ je słyszał. Do początku lipca Dave był prawie kompletnie głuchy, a w nogach wiecznie czuł chłód, bo miał stale kłopoty z krążeniem. W końcu osiągnął dziewięćdziesiątkę, był więc starym piernikiem. Ale w tym miesiącu słuch i krążenie poprawiły się w jakiś czarodziejski sposób. Ludzie mówili mu, że wygląda, jakby mu dziesięć lat ubyło, a on, Bóg mu świadkiem, czuł się, jakby ubyło mu dwadzieścia. Ach, dźwięk dzwonów był naprawdę cudowny. Dave wstał i ruszył w stronę kościoła.

5

Zew dzwonów.

W styczniu doradca, którego kongresman Brennan przysłał do Haven, był w Waszyngtonie, gdzie poznał piękną młodą kobietę o imieniu Annabelle. Tego lata przyjechała do niego do Maine, a dziś rano zjawiała się w Haven, aby dotrzymać mu towarzystwa. Obiecał jej, że przed powrotem do Augusty przenocują w Bar Harbor. Z początku sądziła, że to zły pomysł, bo w restauracji ogarnęły ją lekkie mdłości i nie mogła dokończyć śniadania. Przede wszystkim facet za barem wyglądał jak trochę starszy i grubszy Charles Manson. Kiedy mu się zdawało, że nikt na niego nie patrzy, uśmiechał się dziwnie i ukradkowo — wystarczyło,

by człowiek zaczął się zastanawiać, czy dosypał do jajecznicy arszeniku. Jednak dźwięk dzwonów wygrywających psalmy, których nie słyszała od czasów dzieciństwa w Nebrasce, oczarował ją i zachwycił.

— Boże, Marty, jakim cudem taką małą miścinę stać na taki cudowny kurant?

— Może umarł jakiś bogaty letnik i zostawił im w spadku — odrzekł z roztargnieniem Marty. Nie interesował go kurant. Od przyjazdu do Haven bolała go głowa, i to coraz bardziej. Zaczęły mu też krwawić dźiąsła. Duża część jego rodziny cierpiała na ropotok dźiąseł; miał nadzieję, że to nie to. — Chodźmy już do kościoła. — Żebyśmy mieli to za sobą jak najszybciej, potem pojedziemy do Bar Harbor i będziemy się pieprzyć do upadłego, pomyślał. To miasteczko jest straszne.

Razem przeszli przez ulicę. Annabelle była ubrana w czarny kostium (ale, jak figlarnie wyznała mu w drodze, miała białą jedwabną bieliznę... choć bardzo skąpą), Marty w urzędowy grafitowy garnitur. Obok nich kroczyli mieszkańcy Haven w swoich najlepszych odświętnych strojach. Marty ze zdziwieniem zauważył sporo szaroniebieskich mundurów policji stanowej.

— Patrz, Marty! Zegar!

Pokazywała na wieżę ratuszową. Była zbudowana z solidnej czerwonej cegły, ale przez moment Marty'emu zdawało się, jakby drgnęła mu przed oczami. Natychmiast poczuł, jak wzmagają się bóle głowy. Może zmęczyły mu się oczy. Trzy miesiące temu był na badaniu i facet powiedział mu, że z takim wzrokiem mógłby zostać pilotem odrzutowca, ale mógł się mylić. W Ameryce połowa ludzi reprezentujących wolny zawód brała kokę. Czytał o tym w „Timie”... ale czemu przychodzi mu do głowy takie rzeczy? To przez dzwony. Jak gdyby ich melodia odbijała się w jego głowie wielokrotnym echem. Dziesięć, sto, tysiąc, milion dzwonów grało „Kiedy się spotkamy u Jezusa stóp”.

— Co zegar? — spytał zirytowany.

— Ma śmieszne wskazówki — odrzekła. — Jakby... narysowane.

6

Zew dzwonów.

Eddie Stampnell z komisariatu Derry przeszedł przez ulicę w towarzystwie Andy'ego Rideouta z Orono — obaj znali i lubili Ruth.

— Ładne, nie? — spytał z powątpiewaniem Eddie.

— Być może — odrzekł Andy. — Ciągle myślę o tym, jak paru trzepniętych buraków rozwalilo Benta i Jinglesa, potem pewnie zakopali ich na jakimś kartoflisku, i cały czas huczy mi to w głowie. Zdaje się, że Haven to pechowe miejsce. Wiem, że to brzmi głupio, ale tak czuję.

— Na pewno jest pechowe dla mojej głowy — odpowiedział Eddie. — Boli jak cholera.

— No, to chodźmy zrobić, co należy, i spadajmy stąd rzekł Andy. — To była dobra kobieta, ale odeszła. A tak między nami, skoro już jej nie ma, nie mam ochoty zostawać w Haven ani chwili dłużej niż trzeba.

Razem weszli do kościoła. Żaden z nich nie spojrział na wielbnego Lestera Goohringera, który stał obok wyłącznika swego cudownego kuranta, uśmiechając się, zacierając ręce i dziękując za komplementy.

7

Krzyk dzwonów.

Bobbi Anderson wysiadła ze swego niebieskiego chevroleta, zatrzasnęła drzwi, wygładziła granatową sukienkę na biodrach i sprawdziła makijaż w zewnętrznym lusterku, a potem

wolno ruszyła chodnikiem w stronę kościoła. Szła lekko zgarbiona, z opuszczoną głową. Starła się wykorzystać tę chwilę na odpoczynek, którego potrzebowała przed czekającą ją dalszą pracą, ale Gard trochę pohamował jej obsesję

(tak jest, to obsesja, nie ma co się oszukiwać)

Gard był jednak hamulcem, który powoli się zużywał. Nie był na pogrzebie, bo odsypiał gigantyczne pijaństwo, wtuliwszy we własne ramię zmiętą twarz, otoczony kwaśnym obłokiem swojego oddechu. To prawda, Anderson była zmęczona, ale wyczerpaniu towarzyszyło coś jeszcze — dziś przepełniał ją nieokreślony żal. Częściowo z powodu Ruth, częściowo z powodu Davida Browna, częściowo z powodu całego miasta. Przypuszczała jednak, że przede wszystkim żałuje sama siebie. „Przemiana” trwała nadal — u wszystkich w Haven, z wyjątkiem Garda — i tak miało być, ale Bobbi nie mogła odżalować własnego niepowtarzalnego „ja”, które rzedło jak poranna mgła. Wiedziała już, że „Łowcy bizonów” to jej ostatnia książka... choć podejrzewała, że jej większą część, jak na ironię, napisały Stukostrachy.

8

Dzwony, dzwony, dzwony.

Haven odpowiedziało na ich zew. Rozpoczął się akt pierwszy farsy pod tytułem „Pogrzeb Ruth McCausland, czyli o tym, jak bardzo ją kochaliśmy”. Nancy Voss zamknęła pocztę, aby przyjść na uroczystość. Rząd pewnie by tego nie pochwalał, ale rząd o wielu rzeczach nie wiedział. Zresztą już bardzo niedługo się dowie, pomyślała. Niebawem dostanie z Haven wielką przesyłkę ekspresową. Ten i wszystkie inne rządy na tej latającej kulce błota.

Na dźwięk dzwonów odpowiedział Frank Spruce, największy hodowca bydła w Haven. Odpowiedział John Mumphy, którego ojciec kandydował na konstabla miejskiego razem z Ruth. Odpowiedział Ashley Ruvall, który natknął się na nią przy granicy miasta dwa dni przed jej śmiercią; Ashley przyszedł z rodzicami i płakał. Zjawił się doktor Warwick i Jud Tarkington; przyszedł Adley McKeen, trzymając pod ramię Hazel McCready; na zew dzwonów odpowiedzieli Newt Berringer i Dick Allison, szli wolno, podtrzymując poprzednika Ruth, Johna Harleya. John był słaby i niemal przezroczysty. Maggie, jego żona, źle się czuła i nie mogła uczestniczyć w uroczystości.

Przyszli, odpowiadając na wezwanie dzwonów — Tremainowie i Thurlowowie, Applegate'owie i Goldmanowie, Duplisseyowie i Archinbourgowie. Można by powiedzieć, że to wszystko porządni ludzie z Maine pochodzący z jednego kotła, w którym gotowały się różne składniki, głównie francuskie, irlandzkie, szkockie i kanadyjskie. Ale teraz byli inni; gdy zgromadzili się w kościele, to samo zrobiły ich umysły, stały się jednym. Oni przyglądali się ludziom spoza miasta, nasłuchując najłżejszej fałszywej nuty w ich myślach... stanęli razem i nasłuchiwali, a ich obca krew pulsowała w rytmie dzwonów.

9

Słyszając dobiegający z daleka dźwięk dzwonów, Ev Hillman wyprostował się nagle za kierownicą jeepa, szeroko otwierając oczy ze zdumienia.

— Co to, do cholery...

— Dzwony, a cóż by innego? — rzekł Butch Dugan. — Bardzo ładnie grają. Chyba już się zaczyna. — *Zaczynają grzebać Ruth tam, w miasteczku... Boże, co ja robię na granicy miasta z tym stukniętym staruchem?*

Nie bardzo wiedział, ale było już za późno na zmianę planów.

— Za moich czasów dzwony w kościele metodystów nigdy tak nie grały — powiedział Ev. — Ktoś je wymienił.

— I co z tego?

— Nic. Wszystko. Sam nie wiem. Jedziemy, panie Dugan. — Przekręcił kluczyk i silnik jeepa zaczął mrużyć.

— Jeszcze raz pana pytam — rzekł Dugan, wykazując, jak sądził, anielską cierpliwość. — Czego właściwie szukamy?

— Właściwie to nie wiem. — Jeep przejechał granicę miasta.

Opuścili Albion i znaleźli się w Haven. Eva tknęło nagle złe przeczucie, że mimo wszystkich środków ostrożności, jakie podjął, nigdy już stąd nie wyjedzie. — Pożyjemy, zobaczymy.

Dugan nie odpowiedział. Złapał się tylko mocno, znów nie rozumiejąc, jak się tu w ogóle znalazł — chyba był tak samo stuknięty, jak ten stary pierdziel obok, a może bardziej. Położył dłoń na czole i potarł miejsce tuż nad brwiami.

Właśnie tam zaczął pulsować ból.

10

Gdy wielebny Goohringer, którego błyszcząca łysa czaszka mieniła się delikatnymi kolorami w promieniach słońca przeświecających przez witrażowe okna, rozpoczął mowę pożegnalną, ludzie w kościele mieli już zaczerwienione oczy, tu i ówdzie ktoś pociągał nosem albo załkał. Wcześniej odśpiewano, psalm, zmówiono modlitwę, odśpiewano następny psalm, pastor odczytał ulubiony przez Ruth fragment Pisma świętego (Osiem Błogosławieństw), a potem rozległ się jeszcze jeden psalm. Wokół pulpitu pyszniły się bukiety letnich kwiatów ułożone w półkole. Mimo że otwarto górne okna, a na dworze wiał całkiem silny wiatr, w kościele unosiła się słodka, dusząca woń.

— Zebrałiśmy się tu, aby uczcić pamięć Ruth McCausland i godnie ją pożegnać — zaczął Goohringer.

Mieszkańcy miasta siedzieli ze złożonymi rękami albo ściskali w nich chusteczki; oczy — u większości mokre — utkwili z powagą w twarzy Goohringera, wsłuchując się pilnie w jego słowa. Wyglądali na zupełnie zdrowych — mieli rumieńce i w większości nieskazitelnie gładką cerę. Ale nawet ktoś, kto nigdy nie był w Haven, mógłby bez trudu zauważyć, że wierni zgromadzeni w kościele dzielą się wyraźnie na dwie grupy.

Ludzie spoza miasta wyglądali niezdrowo. Byli bladzi. Mieli otepiały wzrok. W trakcie mowy dwa razy ktoś wybiegał z kościoła, pędził za róg i cicho wymiotował. Inni odczuwali nieco łagodniejsze mdłości — lekki niepokój w jelitach, który nie wymagał natychmiastowego opuszczenia uroczystości, ale nie ustępował.

Przed końcem dnia kilku obcych miało stracić parę zębów.

Kilku innych rozboleła głowa, ale ból ustąpił, gdy tylko wyjechali z miasta — domyślali się, że zaczęła działać aspiryna.

Natomiast wielu gościom siedzącym w twardej ławce i słuchającym mowy Goohringera przychodziły do głowy zdumiewające pomysły. U niektórych było to tak nieoczekiwane, a pomysł tak genialny, że czuli się, jakby ktoś strzelił im prosto w głowę. Musieli opanować chęć, by zerwać się z miejsca i wybiec na ulicę, wrzeszcząc na całe gardło „Eureka!”.

Nie umknęło to uwadze ludzi z Haven, którzy spoglądali na nich z rozbawieniem. Ni stąd, ni zowąd w czyjejs apatycznej i ciastowatej twarzy odmalowywał się głęboki szok. Rozbłyskiwały oczy, usta otwierały się w zdumieniu i mieszkańcy Haven nie mieli wątpliwości, że delikwenta ogarnęła gorączka epokowego pomysłu.

Na przykład Eddie Stampnell z komisariatu policji stanowej w Derry wymyślił ogólnokrajowe pasmo częstotliwości policyjnej, na którym mogliby się ze sobą komunikować wszyscy gliniarze w Stanach. Ujrzał też jak na dłoni sposób skutecznego maskowania takiego

pasma; wszyscy wścibscy cywile mogliby wsadzić sobie w tyłek swoje radia do podsłuchiwania policji. Dalsze udoskonalenia i nowe zastosowania przelatywały mu przez głowę tak błyskawicznie, że nie potrafił ich ogarnąć; gdyby pomysły składały się z wody, na pewno by utonął. Będzie sławny, myślał rozgorączkowany. Zapomniał o wielbnym Goohringerze; zapomniał o swoim partnerze, Andym Rideoucie; zapomniał o Ruth. Wielki pomysł bez reszty zawładnął jego myślami. *Będzie sławny... i zrewolucjonizuję pracę policji w Ameryce... może i na całym świecie. Jasna cholera! Jaaasna cholera!*

Mieszkańcy Haven, którzy wiedzieli, że wielki pomysł Eddiego zblednie w południe, a o trzeciej ulotni się bez śladu, uśmiechali się, słuchali i czekali. Czekali, aż to wszystko się skończy, żeby znów mogli poświęcić się temu, co się dla nich naprawdę liczyło.

Żeby znów mogli poświęcić się „przemianie”.

11

Przemknęli polnym traktem — drogą powiatową numer 5 w Albion, która w Haven przechodziła w drogę pożarową numer 16. Dwa razy mijali skrzyżowanie z drózkami biegnącymi w stronę lasu i przy każdym z nich Dugan przygotowywał się na jazdę po jeszcze większych wybojach. Hillman nie wybrał jednak żadnego z bocznych szlaków. Dojechał do drogi numer 9 i skręcił w prawo. Rozpędził jeepa do pięćdziesięciu mil na godzinę, kierując się w głąb Hayen.

Dugan nie mógł usiedzieć na miejscu. Nie wiedział właściwie dlaczego. Staruszek był stuknięty, nie uległo wątpliwości; myśl, że Haven zmieniło się w gniazdo węży, mogła się narodzić tylko w umyśle opętanym paranoją. Mimo to Bestia czuł narastający lęk. Nieokreślony niepokój na razie dopiero się tlił.

— Ciągłe pan pociera czoło — zauważył Hillman.

— Głowa mnie boli.

— Bolałaby o wiele bardziej, gdyby tak nie wiało.

Znów jakaś kompletnie bzdurna uwaga. Boże, co on tu w ogóle robi? I dlaczego jest taki roztrzęsiony?

— Czuję się, jakby mi ktoś podał garść proszków nasennych.

— Aha.

Dugan spojrział na niego.

— Ale pan wcale się tak nie czuje, prawda? Bije od pana cholernie stoicki spokój.

— Boję się, ale nie trzęsę portkami i nie boli mnie głowa.

— Dlaczego niby miałyby boleć? — spytał zirytowany Dugan. Rozmowa zaczynała za bardzo przypominać dialog z „Alicji w krainie czarów”. — Ból głowy nie jest zaraźliwy.

— Jeżeli pan i sześciu innych ludzi maluje zamknięty pokój, to w końcu wszystkich was rozboli głowa. Mam rację?

— No, chyba tak. Ale to nie...

— Zgadza się, nie. I trafiliśmy na dobrą pogodę. Mimo to zdaje mi się, że to coś wydaje silny smród, bo pan go czuje.

Widzę to. — Hillman zamilkł na moment, po czym dorzucił kolejne zdanie w stylu „Alicji w krainie czarów”: — Ma pan już jakiś dobry pomysł?

— O co pan pyta?

Hillman z zadowoleniem kiwnął głową.

— To dobrze. Gdyby coś panu zaświtało, proszę mi powiedzieć. Mam w tym worku coś dla pana.

— To jakieś szaleństwo — powiedział Dugan. Trudno byłoby określić jego głos jako opanowany. — Czyste wariactwo. Hillman, zawróć pan samochód. Chcę wracać.

Ev skupił całą uwagę na jednym zdaniu, jak najwyraźniej wypowiadając je w myślach. Z doświadczenia ostatnich trzech dni, jakie spędził w Haven, wiedział, że Bryant, Marie, Hilly i David regularnie czytają sobie w myślach. Wyczuł to, mimo że sam tego nie potrafił. Tym samym zorientował się, że i oni nie mają dostępu do jego myśli, jeżeli sam im na to nie pozwoli. Zaczął się zastanawiać, czy ma to coś wspólnego z kawałkiem stali w jego czaszce, pamiętacie po niemieckim granacie. Zobaczył wyraźnie ciemnoszary tłuczek toczący się nieuchronnie po śniegu. Pomyślał wtedy: To koniec, już po mnie. Potem nie pamiętał już nic i ocknął się dopiero we francuskim szpitalu. Przypomniawszy sobie, jak strasznie bolała go głowa; przypomniał sobie pielęgniarkę, która go pocałowała; jej oddech pachniał anyżkiem, a ona powtarzała, starannie wymawiając każde słowo, jak gdyby przemawiała do małego dziecka: *Je t'aime, mon amour. La guerre est fini. Je t'aime. Je t'aime les Etats-Unis.*

La guerre est fini, pomyślał teraz. *La guerre est fini.*

— Co to? — spytał ostro Dugan.

— O co pan py...

Ev zjechał raptownie na bok drogi, wzbijając kłęb kurzu. Byli już półtorej mili za granicą miasta; do farmy starego Garricka zostało trzy i pół mili.

— Niech pan nie myśli, nie mówi, tylko powie mi, co pomyślałem!

— *Tout fini*, pomyślał pan, *la guerre est fini*, ale pan zwariował, ludzie nie mogą czytać innym w myślach, nie mo...

Dugan urwał. Wolno odwrócił głowę i spojrzał na Eva. Ev słyszał, jak naprężyły mu się ścięgna w szyi. Policjant miał bardzo okrągłe oczy.

— *La guerre est fini* — wyszeptał. — Właśnie to pan pomyślał. I jeszcze to, że pachniała lukrecją...

— Anyżkiem — poprawił Ev z uśmiechem. Miała takie białe uda, taką ciasną cipkę.

— ...i zobaczyłem granat na śniegu, Jezus, co tu się dzieje?

Ev wyobraził sobie stary czerwony traktor.

— A teraz?

— Traktor — wykrztusił Dugan. — Farmall. Ale ma niedobre opony. Mój ojciec miał farmalla. Ten ma opony Dixie Field-Boss. Nie pasowałyby do far...

Nagle Dugan odwrócił się w drugą stronę, namacał klamkę w drzwiach, wychylił się i zwymiotował.

12

— Kiedyś Ruth spytała mnie, czy przeczytam Osiem Błogosławieństw na jej pogrzebie, gdyby przyszło mi go celebrować — mówił wielebny Goohringer aksamitnym głosem, który niewątpliwie spotkałby się z aprobatą wielebnego Donalda Hartleya. — Zatem uczyniłem zadość jej życzeniu. Jednakże...

(la guerre est fini pomyślał pan la guerre est)

Goohringer zamilkł na chwilę, a przez jego twarz przemknął wyraz zaskoczenia i niepokoju. Uważny obserwator mógłby pomyśleć, że odrobina gazów żołądkowych podeszła mu do gardła i pastor przerwał, by stłumić nieprzystojne beknięcie.

— ...sądzę, że Ruth zasługuje na jeszcze jeden fragment Pisma. Są to wersety...

(traktor Farmall traktor)

W mowie Goohringera znów nastąpiła króciutka przerwa i ten sam wyraz zatroskania przemknął mu przez twarz.

— ...o które, jak przypuszczam, żadna chrześcijanka nie ośmieliłaby się poprosić, wiedząc, że chrześcijanka musi na nie zasłużyć. Posłuchajcie słów, które odczytam wam z Księgi Przysłów i przekonajcie się sami, czy wy, którzy dobrze ją znaliście, zgodzicie się ze mną, że mówią one o Ruth McCausland.

(ten ma opony Dixie Field–Boss)

Dick Allison zerknął w lewo i pochwycił spojrzenie Newta siedzącego po przeciwnej stronie nawy. Newt był skonsternowany. John Harley w bezgranicznym zdumieniu otworzył usta; jego wyblakłe niebieskie oczy przesuwają się tam i z powrotem.

Goohringer odnalazł właściwy ustęp, znowu zgubił, omal nie upuszczając Biblii. Nie był już mistrzem ceremonii, ale zdenerwowanym studentem teologii, którego dusi trema. Nikt jednak tego nie zauważył; obcy byli pochłonięci albo oznakami złego samopoczucia, albo niewiarygodnymi pomysłami.

Mieszkańcy Haven skupili się razem na dźwięk alarmu, którego ostrzegawczy dzwonek rozbrzmiewał w myślach wszystkich po kolei — nowy kurant w dysonansie.

(ktoś zagląda tam gdzie)

(gdzie nie powinien)

Bobby Tremain ujął dłoń Stephanie Colson i uściśnął.

Ona także ścisnęła jego rękę, patrząc na niego dużymi brązowymi oczyma — były to oczy łani, która słyszy szczęk zamka strzelby myśliwego.

(na drodze numer 9)

(za blisko statku)

(jeden jest gliną)

(gliną, ale szczególnie gliną — to gliniarz Ruth, który kochał)

Ruth poznałaby te szeleszczące głosy. Teraz zaczęły je słyszeć nawet niektórzy z obcych, choć stosunkowo niedawno padli ofiarą zarazy w Haven. Kilku z nich rozglądało się wokół jak ludzie wyrwani z płytkiej drzemki. Jedną z tych osób była przyjaciółka doradcy kongresmana Brennana. Zdawało się, że myślami błędziła wiele mil stąd — była tylko niewiele znaczącą urzędniczką w Waszyngtonie, ale właśnie wymyśliła system przechowywania dokumentów, który mógł jej dać błyskawiczny awans. Nagle jej głowę przeszyła jak strzała jakaś przypadkowa myśl, mogłaby przysiąc, że nie jej myśl

(ktoś musi ich natychmiast zatrzymać!)

więc rozejrzała się, sprawdzając, czy nikt w kościele nie krzyknął.

Wszyscy jednak milczeli, z wyjątkiem pastora, który wreszcie odnalazł właściwy werset. Spojrzała na Marty'ego, lecz Marty siedział otepiały, wpatrując się w jedno z witrażowych okien szklanym wzrokiem osoby pogrążonej w głębokiej hipnozie. Przypuszczała, że jest po prostu znudzony, wróciła zatem do własnych myśli.

— „Niewiastę dzielną któż znajdzie? — czytał Goohringer odrobinę drżącym głosem. Przerzywał w niewłaściwych miejscach i kilka razy się zacinał. — Jej wartość przewyższa perły.

Serce małżonka jej ufa, na zyskach mu nie zbywa; nie czyni mu źle, ale dobrze przez wszystkie dni jego życia. O len się stara i wełnę...”^{*}

Wspólne czujne ucho w kościele pochwyciło następną falę dziwnie obcych myśli:

(przepraszam za to chyba nie mogłem)

(...)

(co?)

(Chryste Panie przecież to Wheeling! Jakim...)

(...)

Mówią dwa głosy, ale słyszymy tylko jeden, pomyślała sieć zjednoczonych umysłów i oczy wszystkich spoczęły na Bobbi. W Haven tylko jedna osoba potrafiła zablokować dostęp do swoich myśli i nie było jej w kościele. *Dwa głosy — czyżby tym drugim był głos twojego zapijaczonego przyjaciela?*

^{*} Cytat za Biblią Tysiąclecia: Księga Przysłów 31; 10–13 (przyp. tłum.).

Bobbi wstała raptownie i przycisnęła się między ławkami, czując na sobie straszny ciężar spojrzeń. Ten osioł Goohringer znów przerwał czytanie.

— Przepraszam — mruknęła Bobbi. — Przepraszam... przepraszam.

W końcu wyszła do przedsionka i na ulicę. Podażyli za nią inni — wśród nich Bobby Tremain, Newt, Dick i Bryant Brown. Żaden z obcych tego nie zauważył. Na powrót pogąrzyli się w dziwnych marzeniach.

13

— Przepraszam za to — powiedział Butch Dugan. Zatrzasnął drzwi, wyciągnął z kieszeni chustkę i zaczął ocierać usta. Chyba nie mogłem nic na to poradzić. Już mi lepiej.

Ev skinął głową.

— Nie zamierzam panu tego tłumaczyć. Nie mamy na to czasu. Ale chcę, żeby pan czegoś posłuchał.

— Czego?

Ev włączył radio i przejechał gałką po skali. Dugan wzdrygnął się zaskoczony. Nigdy nie słyszał tylu stacji, nawet w nocy, kiedy nakładały się na siebie, wyłaniając się z oceanu głosów i zanikając. Tyle że tu nic nie zanikało, większość sygnałów była kryształowo czysta.

Ev zatrzymał się na jakiejś stacji nadającej country. Kończyła się właśnie piosenka Juddsów. Potem rozbrzmiał sygnał stacji. Butch Dugan nie mógł uwierzyć własnym uszom.

— Wuu wuu fauu aaaaa! — zaśpiewał chórek dziarskich dziewczęcych głosów przy akompaniamencie skrzypiec i banjo.

— Chryste, przecież to Wheeling! — krzyknął Dugan. — Jakim...

Ev wyłączył radio.

— Teraz niech pan posłucha mojej głowy.

Dugan patrzył na niego przez chwilę zupełnie zbaraniały.

Podobne szaleństwo nie mieściło się nawet w konwencji „Alicji w krainie czarów”.

— O czym pan mówi, na Boga!?

— Proszę się ze mną nie kłócić, tylko zrobić, co mówię. Ev odwrócił się od Dugana, pokazując mu tył głowy. — Mam w głowie dwie stalowe płytki. Pamiątka z wojny. Tę większą z tyłu. Widzi pan to łyse miejsce?

— Tak, ale...

— Nie mamy czasu! Przystaw pan ucho do tej blizny i słuchaj!

Dugan spełnił polecenie... i ogarnęło go poczucie absolutnej nierzeczywistości. W czaszce starego grała muzyka. Wprawdzie ledwie ją było słyhać, jakby dobiegała z oddali, ale natychmiast rozpoznał piosenkę. Frank Sinatra śpiewał „New York, New York”.

Butch Dugan zaczął chichotać. Po chwili wybuchnął śmiechem. A potem ryknął, obejmując rękami brzuch. Siedział w aucie gdzieś pod lasem i słuchał pozytywki, w którą zmieniała się głowa jakiegoś starucha. Boże, to było lepsze niż cuda z „Kto chce, niech wierzy”.

Butch zarykiwał się ze śmiechu, tracąc oddech i ocierając łzy, gdy... nagle pokryta odciskami dłoń staruszka zdzieliła go mocno w twarz. Butch oberwał jak małe dziecko i fakt ten tak go zaskoczył, że w jednej chwili zapomniał o ataku hysterii i o bólu. Spojrzał na Eva zszokowany, łapiąc się za policzek.

— Półtora tygodnia przed moim wyjazdem z miasta — rzekł ponuro Ev — co jakiś czas zaczynała mi grać w głowie głośna muzyka. Kiedy jechałem tędy, była głośniejsza. Powinno mnie to wcześniej zastanowić, ale nie zastanowiło. Teraz dźwięk jest jeszcze silniejszy. Jak wszystko. Nie mamy czasu, żebyś pan rżał ze śmiechu. Nic panu nie jest?

Rumieniec, jaki oblał twarz Dugana, prawie zupełnie ukrył czerwony ślad pozostawiony przez rękę Eva. Rżał ze śmiechu. Tak, to odpowiednie określenie. Najpierw się porzygał, a

potem dostał ataku hysterii jak nastolatka. Staruszek nie tyle go zawstydził, ile zrobił z niego kompletnego durnia.

— Wszystko w porządku — powiedział.

— Wierzy mi już pan, że coś się tu dzieje? Że coś się w Haven zmieniło?

— Tak. Wie... — Przełknął ślinę. — Tak — powtórzył.

— To dobrze. — Ev wdusił gaz i wyjechał z powrotem na drogę. — To... coś... zmienia wszystkich w mieście, panie Dugan. Wszystkich z wyjątkiem mnie. Muzyka gra mi w głowie, ale nic poza tym. Nie umiem czytać w myślach... i nie mam pomysłów.

— Co to znaczy „pomysłów”? jakich znowu pomysłów?

— Różnych. — Wskazówka szybkościomierza dotarła do sześćdziesiątki i wspinała się dalej. — Chodzi o to, że nie mam dowodów na to, co się tu dzieje. Żadnych. Pan myślał, że zupełnie mi odbiło, prawda?

Dugan skinął głową. Trzymał się mocno deski rozdzielczej. Znowu poczuł zbliżającą się falę mdłości. Słońce oślepiało go, świecąc przez szybę i odbijając się od chromu.

— Dziennikarz i pielęgniarki też tak myślały. Ale w lesie coś jest i zamierzam to znaleźć. Zamierzam zrobić parę fotek, zabrać tam pana, a potem zaczniemy o tym rozpowiadać i może znajdziemy sposób, żeby odnaleźć mojego wnuka Davida, a może nie, w każdym razie powinno się nam udać wyłączyć to coś, zanim będzie za późno. Co ja mówię, powinno się nam udać? Musimy to zrobić.

Strzałka szybkościomierza zbliżała się już do siedemdziesiątki.

— Daleko to? — wykrztusił przez zaciśnięte zęby Dugan. Czuł, że znowu będzie rzygać, całkiem niedługo. Miał nadzieję, że uda mu się powstrzymać, aż dotrą na miejsce.

— Na farmie starego Garricka — odrzekł Ev. — Niecałą milę stąd.

Bogu dzięki, pomyślał Dugan.

14

— To nie Gard — powiedziała Bobbi. — Gard zaległ na werandzie domu.

— Skąd wiesz? — spytał Adley McKeen. — Przecież nie umiesz w nim czytać.

— Trochę umiem — odrzekła Bobbi. — Z każdym dniem coraz lepiej. Mówię wam, że ciągle jest na werandzie. Śni mu się jazda na nartach.

Przez moment patrzyli na Bobbi w milczeniu — kilkunastu mężczyzn stojących naprzeciw kościoła metodystów pod Hayen Lunch.

— No więc kto? — odezwał się w końcu Joe Summerfield.

— Nie wiem — przyznała Bobbi. — Ale to nie Gard.

Bobbi chwiała się lekko. Miała twarz kobiety nie trzydziestosiedmioletniej, ale pięćdziesięcioletniej. Pod oczami rysowały się brązowe cienie straszliwego zmęczenia. Mężczyźni zdawali się tego w ogóle nie zauważać.

Z kościoła dobiegł śpiew wielu głosów rozpoczynających hymn „Panie, Ciebie wielbimy”.

— Wiem, kto to jest — powiedział nagle Dick Allison. Jego oczy pociemniały od nienawiści. — Jest jeszcze jeden taki człowiek. Tylko jeden w mieście, który ma metal w głowie.

— Ev Hillman! — zawołał Newt. — Jezu!

— Trzeba się brać do roboty — powiedział Jud Tarkington.

— Dranie są coraz bliżej. Adley, weź jakąś broń ze sklepu żelaznego.

— Dobra.

— Weźcie broń, ale nie strzelajcie — wtrąciła Bobbi. Ogarnęła spojrzeniem wszystkich mężczyzn stojących na ulicy. Nie do Hillmana, jeżeli to rzeczywiście on i nie do gliniarza. Zwłaszcza nie do gliniarza. Nie możemy sobie pozwolić na nowe kłopoty w Haven. Przynajmniej dopóki

(„przemiana”)

to się nie skończy.

— Wezmę swoją rurę — powiedział Beach. Na jego twarzy malowało się głębokie przejęcie.

Bobbi chwyciła go za ramię.

— Nie, nie wezmiesz — powiedziała. — Żadnych nowych kłopotów, czyli żadnych znikających gliniarzy.

Spojrzała jeszcze raz po wszystkich, a potem na Dicka Allisona, który skinął głową.

— Hillman musi zniknąć — powiedział. — Nic się tu nie poradzi. Ale może uda się to załatwić po cichu. Ev jest stuknięty. Stuknięty staruszek może być zdolny do wszystkiego. Stuknięty staruszek może pewnego dnia zabrać manatki i wyjechać do parku Zion w Utah albo do Grand Forks w Idaho, żeby czekać tam na koniec świata. Z gliniarzem faktycznie będzie przykra sprawa, ale dopiero w Derry, poza tym sprawa będzie dla wszystkich jasna. Nikt więcej nie będzie nam smrodził. Ruszaj, Jud. Weź broń. Bobbi, podjedź swoim pikapem z tyłu Haven Lunch. Newt, Adley, Joe, pojedziecie ze mną. Ty jedziesz z Bobbi, Jud. Reszta cadillakiem Kyle’a. Dalej, ruszcie tyłki!

Zabrali się do roboty.

15

Szszsz...

Znów ten sam sen, choć z paroma nowymi elementami.

Cholernie dziwnymi elementami. *Śnieg zrobił się różowy. Był przesiąknięty krwią. Czyżby jego? Niech to szlag! Kto by przypuszczał, że taki opój może mieć w sobie tyle krwi?*

Jadą stokiem dla średnio zaawansowanych. Wie, że powinien zostać na stoku dla początkujących przynajmniej na jeszcze jednym treningu, ta trasa jest dla niego za szybka i na domiar złego widok zakrwawionego śniegu bardzo go rozprasza, zwłaszcza że ma świadomość, iż to jego własna krew.

Spogląda w górę, czując przy tym potworny ból głowy i drętwieje ze zdumienia. Na stoku jest jakiś jeep!

Annmarię krzyczy: Hamuj, Gard! Hamuj... Bobbi! Hamuj Bobbi!

Ale nie musi hamować Bobbi, bo to tylko sen, do którego zdążył się przyzwyczaić w ciągu kilku tygodni, podobnie jak do nieregularnych wybuchów muzyki w głowie; to sen i nie ma żadnego jeepa, nie ma stoku Straight Arrow, to tylko...

...jeep skręca w podjazd Bobbi.

Sen? Czy jawa?

Nie; Gardner uznał, że pytanie powinno brzmieć inaczej.

Ile z tego, co widzi, jest jawą?

Światło odbite od chromu strzeliło mu w oczy oślepiającymi strzałami. Skrzywił się i wyciągnął ręce, chcąc namacać

(kijki? nie, to nie sen, jest lato i znajdujesz się w Haven)

balustradę werandy. Pamiętał prawie wszystko. Jak przez mgłę, ale pamiętał. Od czasu powrotu do Bobbi nigdy nie urwał mu się film. W głowie grała mu muzyka, ale film nigdy się nie urwał. Bobbi pojechała na pogrzeb. Kiedy wróci, znów zabiorą się do kopania. Pamiętał o tym wszystkim tak samo dobrze, jak o widoku wieży zegarowej, która jak tłuste ptaszysko uniosła się w popołudniowe niebo. Wszystko na swoim miejscu, nic nie brakuje. Z wyjątkiem tego.

Stał, trzymając się balustrady, mimo oślepiającego blasku utkwivszy przekrwione oczy w jeepie. Zdawał sobie sprawę, że musi wyglądać jak uciekinier z nowojorskiej Bowery. *Dzięki Bogu, że w reklamach jest jeszcze odrobina prawdy — tak się właśnie czuję.*

Nagle mężczyzna siedzący obok kierowcy odwrócił się i zobaczył Garda. Był taki wielki, że przypominał stwora z baśni. Miał na twarzy okulary słoneczne, toteż Gardener nie był pewien, czy rzeczywiście ich oczy się spotkały. Sądził, że tak; poczuł to. Tak czy inaczej to nie miało znaczenia. Znał to spojrzenie. Jako weteran pół setki pikiet, znał je doskonale. Znał je także jako pijak, który nieraz zbudził się w celi.

Wreszcie przyjechała policja z Dallas, pomyślał. Myśli towarzyszyło uczucie złości i żalu... ale przede wszystkim ulgi. Przynajmniej w tym momencie.

To glina... ale co robi w jeepie? Boże, ale ma ogromną twarz... wielki jak pieprzona góra! To na pewno sen. Na pewno.

Jeep nie zatrzymał się; minął dom i zniknął Gardenerowi z oczu. Słysząc było tylko warkot silnika.

Jedźcie dalej. Do lasu. Czyli już wiedzą. Jezu, jeżeli rząd dostanie to w swoje łapy...

Wcześniejszy lęk wezbrał w nim jak żółć, uczucie ulgi uleciało jak dym. Zobaczył, jak Ted Energetyk ciska marynarkę na rozrzucone resztki maszyny do lewitacji i mówi: „Jaki aparat?”.

Lęk ustąpił miejsca mdlącej wściekłości.

Hej Bobbi, zbieraj tylek i przyjeżdżaj tu! — wrzasnął w myśli najgłośniejszy i najwyraźniejszy jak potrafił.

Z nosa znów buchnęła mu krew i zatoczył się słabo do tyłu, krzywiąc się z niesmakiem i szukając po omacku chusteczki.

Zresztą jakie to ma znaczenie? Niech to sobie wezmą. Po każdej stronie czyha diabeł. Jeżeli nawet położy na tym łapę policja z Dallas, co z tego? Przez to coś Bobbi i wszyscy w mieście zmieniają się w policję z Dallas. Zwłaszcza jej towarzystwo. Ci, których przywozi tu w nocy, kiedy myśli, że śpię. Ci, których zabiera do szopy.

Zdarzyło się tak dwukrotnie, za każdym razem około trzeciej nad ranem. Bobbi zdawało się, że Gardener twardo śpi zmorzony piorunującą mieszanką ciężkiej pracy, wody i valium. Istotnie, tabletek valium stale w fiolce ubywało, ale nie dlatego, że Gardener je łykał. Co wieczór tabletki lądowały w muszli klozetowej.

Po co ta konspiracja? Nie wiedział, tak jak nie miał pojęcia, dlaczego skłamał Bobbi o tym, co widział w niedzielę po południu. Zresztą spuszczenie valium z wodą nie było kłamstwem, bo Bobbi nie zapytała go wprost, czy bierze tabletki: po prostu zobaczyła, że tabletek ubywa i na tej podstawie wyciągnęła błędny wniosek. Gardener nie miał ochoty wyprowadzać jej z błędu.

Podobnie nie miał ochoty wyprowadzać jej z błędnego przekonania, że sypia twardo. W rzeczywistości dręczyła go bezsenność. Żadna ilość alkoholu nie mogła zamroczyć go na dłużej. W rezultacie był stale w stanie mętnej świadomości, którą czasami przykrywała cienka i szara zasłona snu, przypominająca niewypraną pończochę.

Za pierwszym razem, gdy przed świtem dostrzegł odbłask światła na ścianie pokoju gościnnego, wyrzwał przez okno i zobaczył wielkiego cadillaca zatrzymującego się na podjeździe. Zerknął na zegarek i pomyślał: Na pewno mafia... któż inny przyjeżdżałby cadillakiem na farmę w lesie o trzeciej rano?

Jednak gdy zapaliło się światło na werandzie, zobaczył, że samochód ma indywidualne tablice rejestracyjne — z napisem KYLE-1. Wątpił, by mafia gustowała w indywidualnych tablicach rejestracyjnych.

Bobbi podeszła do czterech mężczyzn i jednej kobiety, którzy wysiedli z samochodu. Była ubrana, ale bosa. Gardener znał dwóch mężczyzn — Dicka Allisona, szefa miejscowej ochotniczej straży pożarnej, i Kyle'a Archinbourga, miejscowego handlarza nieruchomości, który jeździł wielkim jak szafa cadillakiem. Dwaj pozostali wydawali się znajomi. Kobieta nazywała się Hazel McCready.

Po chwili Bobbi zaprowadziła ich do szopy za domem. Do szopy, na której drzwiach wisiała kłódka Kreig.

Może powinienem tam pójść. Zobaczyć, co się dzieje. Ale położył się z powrotem. Nie chciał się w ogóle zbliżyć do szopy. Bał się jej. Albo tego, co może kryć.

Znów zapadł w drzemkę.

Nazajutrz rano nie było cadillaca i śladu po gościach Bobbi. Natomiast Bobbi wydawała się pogodniejsza i bardziej niż kiedykolwiek od przyjazdu Gardenera przypominała dawną siebie. Gardener wmówił sobie, że to był tylko sen albo inny omam — nie delirium, ale coś bardzo podobnego — wywołany częstym obcowaniem z flaszką. Potem, w nocy cztery dni temu, znów przyjechał KYLE-1. Wysiedli z niego ci sami ludzie, spotkali się przed domem z Bobbi i poszli do szopy.

Gard runął na fotel bujany i sięgnął po butelkę szkockiej, którą wyniósł tego ranka na werandę. Butelka stała na swoim miejscu. Gardener podniósł ją wolno, pociągnął łyk i poczuł, jak płynny ogień parzy mu żołądek. Odgłos silnika jeepa stopniowo cichł, jak we śnie. Być może samochód rzeczywiście tylko mu się przyśnił. Wszystko wyglądało jak ze snu. Jak brzmiał tamten fragment piosenki Paula Simona? „Michigan wydaje mi się tylko snem”. Tak jest. Michigan, dziwaczne statki zakopane w ziemi, jeepy cherokee i cadillaki w środku nocy. Wystarczy tylko wypić odpowiednią ilość i wszystko zmieniało się w sen.

Tyle że to nie jest sen. Cadillakiem z tablicami KYLE-1 przyjeżdżają ludzie, którzy mieli objąć przywództwo. Jak policja z Dallas. Jak poczciwy Ted ze swoimi reaktorami. Jaki zastrzyk im aplikujesz, Bobbi? W jaki sposób chcesz ich podrasować, żeby byli jeszcze lepsi od reszty miejscowych geniuszy? Dawna Bobbi nie babrałaby się w takim gównie, ale Nowa Ulepszona Bobbi owszem. Jak brzmi odpowiedź na to wszystko? Czy w ogóle istnieje odpowiedź?

— Diabeł czyha z każdej strony! — krzyknął gromko Gardener. Wychylił resztkę szkockiej i cisnął butelkę ponad balustradą w krzaki. — Diabeł czyha z każdej strony! — powtórzył i stracił przytomność.

16

— Ten facet nas widział — powiedział Butch, gdy jeep przedzierał się przez ogród Bobbi po przekątnej, przewracając dorodną kukurydzę i słoneczniki górujące wysoko ponad dachem samochodu.

— Nic mnie to nie obchodzi — odrzekł Ev, mocując się z kierownicą. Wyjechali z ogrodu z przeciwległej strony. Koła jeepa zmiażdżyły sporo dyń, które wyrosły zadziwiająco wcześnie. Miały dziwnie bladą skórę, która pękając, ukazywała nieprzyjemnie cielistoróżowe wnętrza. — Jeżeli dotąd nie wiesz, że jesteśmy w mieście, to znaczy, że się strasznie pomyliłem... Niech pan patrzy! A nie mówiłem?

W głąb lasu prowadziła szeroka droga porożona koleinami. Ev bez namysłu w nią skręcił.

— Miał krew na twarzy. — Dugan przełknął ślinę. Czuł się podle. Głowa bolała go jak diabli i miał wrażenie, jakby wibrowały mu wszystkie plomby w zębach. Wnętrza zaczęły podchodzić mu do gardła. — I na koszuli. Wyglądał, jakby ktoś trafił go prosto w sz... Zatrzymaj się pan, znowu mi niedobrze — wykrztusił.

Ev wduśił hamulec. Dugan otworzył drzwi, wychylił się i zwymiotował cienkim żółtym strumyczkiem, a potem na chwilę zamknął oczy. Świat wirował i pikował.

W głowie szeleściły mu głosy. Mnóstwo głosów.

(Gard ich widział woła o pomoc)

(ilu)

(dwóch jechali jeepem w stronę)

— Wie pan co — powiedział Butch, słysząc własny głos, jak gdyby dobiegał z bardzo daleka — nie chciałbym psuć zabawy, ale kiepsko ze mną. Bardzo kiepsko.

— Spodziewałem się, że tak może być. — Głos Hillmana rozbrzmiewał echem, jakby dobiegał z głębi długiej sali. Butenowi udało się jakoś podnieść i wyprostować na fotelu, lecz nie miał siły zamknąć drzwi. Czuł się słaby jak mały kot. — Nie miał pan czasu rozwinąć w sobie żadnego mechanizmu obronnego, a tu działanie jest najsilniejsze. Niech się pan trzyma. Mam coś, co postawi pana na nogi. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Ev wcisnął guzik otwierający elektryczną szybę z tyłu, wysiadł, otworzył klapę i wyciągnął jutowy worek. Zaciągnął go do auta z drugiej strony i postawił na siedzeniu. Zerkając na Dugana, doszedł do wniosku, że nie podoba mu się to, co widzi. Twarz policjanta miała barwę wosku. Zamknięte powieki przybrały lekko sinawy odcień. Dugan miał półotwarte usta i szybki, płytki oddech. Ev przez moment zastanowił się, jak to możliwe, że to „nie wiadomo co” robi z Duganem takie rzeczy, podczas gdy on nie czuje nic, absolutnie nic.

— Jeszcze chwila, przyjacielu — powiedział i scyzorykiem przeciął sznurek, którym worek był zawiązany.

— ...niedobrze... mi — wyrzeźbił Dugan i bryznął odrobiną brązowego płynu. Ev ujrzał w świeżej plamie dwa zęby.

Wyciągnął z worka lekki plastikowy pojemnik z tlenem który facet w sklepie ARTYKUŁY MEDYCZNE MAINE nazywał pojemnikiem typu flat-pack. Zerwał foliowy krążek z końca wężyka wylotowego, a pod spodem ukazało się stalowe gniazdko. Następnie wyciągnął plastikową miseczkę złotego koloru — podobną do tych, w które wyposażone są odrzutowce pasażerskie. Do miseczki była dołączona karbowana rurka z białego plastiku zaopatrzona na końcu w plastikową wtyczkę — zawór.

Jeśli nie będzie działać tak, jak mówił tamten facet, to mi ten wielkolud wykituje na rękach.

Wcisnął wtyczkę miseczki do gniazdka pojemnika, mając nadzieję, że ten wymuszony stosunek stali z plastikiem poskutkuje i Dugan pozostanie na chodzie. Usłyszał, jak tlen z cichym sykiem przedostaje się do miseczki. W porządku. Na razie wszystko idzie dobrze.

Pochylił się i za pomocą elastycznych pasków umocował miseczkę na ustach i nosie Dugana. Czekał z niepokojem, co się stanie. Gdyby w ciągu trzydziestu lub czterdziestu sekund Dugan nie oprzytomniał, miałby przechłapanie. David zaginął, Hilly zachorował, ale ani jedno, ani drugie nie dawało mu prawa do zamordowania Dugana, który nie miał pojęcia, w jaki pasztet się pakuje.

Minęło dwadzieścia sekund. Trzydzieści.

Ev wrzucił wsteczny, chcąc zawrócić na skraju ogrodu Anderson, gdy nagle Dugan wciągnął gwałtownie powietrze, drgnął i otworzył oczy. Wielkie i niebieskie spoglądały w zdumieniu znad brzegu złotej miseczki. Na policzki zaczynał mu wracać rumieniec.

— Co to, do cholery... — Sięgnął do miseczki.

— Niech pan to zostawi — poradził Ev, kładąc artretyczną dłoń na ręce Butcha. — Zatrul się pan powietrzem na zewnątrz. Tak się panu spieszy łyknąć następną dawkę?

Butch dał spokój plastikowej miseczce. Kiedy mówił, podskakiwała mu na twarzy.

— Na jak długo tego wystarczy?

— Facet mi mówił, że na jakieś dwadzieścia pięć minut. Ale jest zawór regulacyjny. Od czasu do czasu może pan zamknąć dopływ tlenu. Jak znowu zacznie się panu robić słabo, wystarczy otworzyć. Chcę jechać dalej, jeżeli czuje się pan na siłach. Na pewno już niedaleko i... i chyba muszę się dowiedzieć, co to jest.

Butch Dugan skinął głową.

Jeep szarpnął i potoczył się dalej. Dugan patrzył przez okna na otaczający ich las. Panowała cisza. Nie śpiewały ptaki. Ani śladu żadnych zwierząt. Ani śladu niczego. Wyglądało to bardzo niedobrze. I cholernie podejrzanie.

Gdzieś w zakamarkach głowy słyszał szept myśli, jak gdyby nadawano je na falach krótkich.

Spojrzał na Eva.

— Tak w ogóle, to co tu się dzieje, do kurwy nędzy?

— Tego się właśnie musimy dowiedzieć. — Nie odrywając wzroku od nierównej drogi, Ev pogrzebał w worku. Dugan skrzywił się, gdy podwozie jeepa zahaczyło z piskiem o pniak wystający nieco wyżej od innych.

Ev wyciągnął dużą czterdziestkępiątkę. Pierwszy właściciel musiał się nią posługiwać jeszcze podczas pierwszej wojny światowej,

— Pańska? — spytał Dugan. Tlen zdumiewająco szybko przywracał mu siły.

— Tak. Uczą was, jak używać takich rzeczy, nie?

— Tak — odparł, choć broń Hillmana wyglądała bardziej jak zabytek.

— Być może będzie pan jej musiał dzisiaj użyć — rzekł Ev, podając mu antyk.

— Co...

— Ostrożnie. Naładowany.

Przed sobą zobaczyli nagle obniżenie terenu. Spomiędzy drzew błysnęło ostre światło: promienie słońca odbijały się od jakiegoś wielkiego metalowego przedmiotu.

Przerażony Ev raptownie nadepnął na hamulec.

— Co jest, do diabła? — mruknął Dugan.

Ev otworzył drzwi i wysiadł. Gdy dotknął stopami ziemi, natychmiast zauważył, że jest poznaczona mnóstwem drobnych pęknięć i bardzo gwałtownie wibruje. Zaraz potem w jego głowie buchnęła z siłą huraganu ogłuszająca muzyka. Trwało to może trzydzieści sekund, ale ból był porażający i zdawał się nie mieć końca. Wreszcie ustał w jednej chwili.

Zobaczył Dugana, który stał przed samochodem. Opuścił maseczkę pod brodę, pojemnik z tlenem trzymał za pasek w jednej ręce, a w drugiej czterdziestkępiątkę. Patrzył na Eva z obawą.

— Nic mi nie jest — powiedział Ev.

— Tak? Krew panu leci z nosa. Tak jak temu facetowi na farmie, którego mijaliśmy.

Ev otarł nos palcem i spojrzał na smugę krwi. Otarł palec o spodnie, po czym skinął głową Duganowi.

— Niech pan nałoży maskę z powrotem, jak tylko zrobi się panu słabo.

— Spokojna głowa.

Ev wsadził głowę do jeepa i znów zaczął grzebać w swoim worku skarbów. Wydobył aparat tarczowy Kodaka i coś, co wyglądało jak skrzyżowanie pistoletu i suszarki do włosów.

— Rakietnica? — spytał Dugan z lekkim uśmiechem.

— Aha. Niech się pan sztachnie jeszcze raz. Znowu pan blednie.

Dugan nałożył maskę i obaj ruszyli w kierunku jaśniejącego między drzewami przedmiotu. Ev zatrzymał się pięćdziesiąt stóp od jeepa. To coś było więcej niż ogromne, było gigantyczne i gdyby zostało odkopane do końca, największy liniowiec oceaniczny wydawałby się przy tym małeńki.

— Daj mi pan rękę — rzucił ostro do Dugana.

Dugan spełnił polecenie, ale chciał wiedzieć dlaczego.

— Bo mam cholernego cykora — odrzekł Ev. Dugan uściskał mu mocno dłoń. Stawy Hillmana przeszył ból, ale staruszek też uściskał mu rękę. Po chwili obaj ruszyli naprzód.

Bobbi i Jud wzięli broń ze sklepu żelaznego i wrzucili ją z tyłu pikapa. Cała operacja trwała niedługo, ale Dick i reszta zdążyli się wysunąć daleko naprzód i Bobbi wyciskała z

chevroleta, ile się dało, aby ich dogonić. Zbliżało się południe i samochód ciągnął za sobą coraz krótszy cień.

Nagle Bobbi lekko zeszywniała za kierownicą.

— Słyszałeś?

— Coś słyszałem — powiedział Jud. — To twój przyjaciel, nie?

Bobbi skinęła głową.

— Gard ich widział. Woła o pomoc.

— Ilu?

— Dwóch. Jechali jeepem w stronę statku.

Jud grzmotnął się pięścią w kolano.

— Skurwiele! Cholerne skurwiele, węszą jak psy!

— Dostaniemy ich — powiedziała Bobbi. — Spokojna głowa.

Piętnaście minut później dotarli na farmę. Bobbi zatrzymała samochód za nową Allisona i cadillakiem Archinbourga. Spojrzała na grupę mężczyzn i przemknęło jej przez myśl, że to bardzo przypomina jej nocne spotkania... z tymi, którzy mieli

(pierwsi się „przemienić”)

zyskać szczególną siłę. Ale nie było tu Hazel, natomiast był Beach; Joe Summerfield i Adley McKeen też nigdy nie odwiedzili szopy.

— Weź broń — powiedziała do Juda. — Joe, pomóż mu. Pamiętajcie — bez strzelania, chyba że zostaniecie zmuszeni. I nie strzelajcie do gliniarza, bez względu na to, co się będzie działo.

Spojrzała w stronę werandy i zobaczyła leżącego na wznak Garda. Miał otwarte usta i oddychał wolno, pochrapując gardłowo. Twarz Bobbi złagodniała. W Haven było wiele osób przede wszystkim Dick Allison i Newt Berringer — które uważały, że już dawno powinny pozbyć się Garda. Nikt nie powiedział tego głośno, lecz w Haven nic nie trzeba już było mówić głośno. Bobbi wiedziała, że gdyby wpakowała Gardowi kulę w głowę, godzinę później zgłosiłby się pluton ochotników, aby pomóc jej go pochować. Nie lubili Garda, bo płytka w głowie uczyniła go odpornym na „przemianę”. I utrudniała odczytywanie jego myśli. Ale Gard był jej hamulcem. Ale to też bzdura. Prawda była jeszcze prostsza: Bobbi nadal go kochała. Jeszcze na tyle pozostała człowiekiem.

Wszyscy musieli też przyznać, że choć Gard pił, to we właściwym momencie wysłał im ostrzeżenie.

Jud i Joe Summerfield wrócili ze strzelbami. Było ich sześć, różnego kalibru. Bobbi uważała, aby pięć sztuk wzięli ludzie, którym mogła zaufać. Szóstą, dwudziestkędwójkę, dała Beachowi, który mógłby narzekać, gdyby nie dostał gnata.

Zajęci rozdziałem broni nie zauważyli, że Gardener odemknął przekrwione oczy i im się przygląda. Nikt nie słyszał jego myśli; nauczył się je maskować.

— Idziemy — powiedziała Bobbi. — I pamiętajcie: chcę dostać tego gliniarza.

Ruszyli całą grupą.

18

Ev i Butch stali dość daleko od krawędzi nierównego wykopu, który miał już ponad trzysta jardów wzdłuż i sześćdziesiąt stóp w poprzek w najszerszym miejscu. Z boku stała stara ciężarówka Anderson, brudny i zużyty złom. Obok przerobiona koparka z dziobem przypominającym końcówkę gigantycznego śrubokrętu. Pod skleconą z okorowanych kłód wiatą znajdowały się inne narzędzia. Ev zobaczył wciągarkę łańcuchową i rębak. Tuż pod otworem wylotowym rębaka leżała sterta mokrych trocin. Pod wiatą stały kanistry z benzyną oraz czarna beczka z napisem OLEJ NAPEĐOWY. Gdy Ev pierwszy raz usłyszał hałasy

dobiegające z lasu, pomyślał, że to papiernia Nowej Anglii robi wycinkę, ale to nie była wycinka, tylko wielkie roboty ziemne.

Dysk. Monstrualny dysk błyszczący w słońcu.

Nie sposób było odwrócić od niego oczy; wzrok stale powracał tam jak przyciągany magnesem. Gardener i Bobbi usunęli sporą część wzniesienia. Z ziemi wystawało ponad dziewięćdziesiąt stóp srebrnoszarego metalu lśniącego w zielonozłotym blasku słońca. Gdyby zajrzeli w głąb wykopu, zobaczyliby jeszcze czterdzieści stóp albo i więcej.

Żaden z nich nie podszedł za blisko.

— Jezu drogi — powiedział Dugan. Wybałuszył niebieskie oczy, a złota maseczka podskakiwała mu na twarzy przy każdym słowie. — Jezu drogi, to statek kosmiczny. Nasz czy ruskich, jak pan sądzi? Jezu Chryste, jest wielki jak „Queen Mary”. Nie jest ruski, nie jest... nie jest...

Zamilkł. Mimo tlenu poczuł powracający ból głowy.

Ev uniósł do oka aparat fotograficzny i pstryknął siedem zdjęć, błyskawicznie wciskając raz za razem guzik migawki.

Potem przeszedł dwadzieścia stóp w lewo i zrobił jeszcze pięć ujęć, stojąc obok rębaka.

— Przesuń się pan w prawo! — zawołał do Dugana.

— He?

— W prawo! Chcę pana mieć na ostatnich trzech zdjęciach, dla zachowania proporcji.

— Nie ma mowy, ojczulku! — Chociaż głos tłumiała mu maska, wyraźnie było w nim słycać piskliwy ton.

— Nie trzeba aż tak. Wystarczą cztery kroki.

Dugan zrobił cztery bardzo małe kroczki w prawo. Ev jeszcze raz uniósł aparat tarczowy — prezent na dzień ojca od Bryanta i Marie — i pstryknął trzy ostatnie fotki. Dugan był bardzo wysoki, lecz na tle statku w ziemi wyglądał jak pigmej.

— W porządku — powiedział Ev. Dugan szybko wycofał się do miejsca, gdzie stał przedtem. Szedł ostrożnie, spoglądając na wielki okrągły obiekt.

Ev zastanawiał się, czy zdjęcia wyjdą. Drżały mu ręce.

A statek — bo to na pewno był jakiś statek kosmiczny — mógł wydzielać jakieś promieniowanie, które przymgliłoby film.

Nawet jeżeli wyjdą, kto w to uwierzy? Na świecie, gdzie dzieciaki co sobotę chodzą do kina na filmy typu „Gwiezdne wojny”?

— Zabierajmy się stąd — powiedział Dugan.

Ev patrzył jeszcze przez chwilę na statek, zastanawiając się, czy w środku jest uwięziony David, błakający się po nieznanach korytarzach, przeciskający się przez drzwi, które nie zostały zrobione z myślą o sylwetce człowieka, umierający w ciemnościach z głodu. *Nie... jeśli nawet tam był, musiał umrzeć z głodu już dawno temu. Z głodu albo pragnienia.*

Potem wsunął mały aparat do kieszeni spodni, wrócił do Dugana i wziął raketnicę.

— Aha. Chyba...

Urwał, spoglądając w stronę jeepa. Zobaczył mężczyzn i jedną kobietę stojących między drzewami. Niektórzy byli uzbrojeni. Ev poznał wszystkich... i nikogo.

19

Bobbi ruszyła w dół zbocza w kierunku dwóch mężczyzn. Reszta podążyła za nią.

— Witaj, Ev — powiedziała dość uprzejmie Bobbi.

Dugan uniósł czterdziestkępiątkę, gorzko żałując, że nie czuje w dłoni znajomego kształtu służbowej trzystapięćdziesiątkisiódemki.

— Stać — powiedział. Nie podobało mu się, że plastikowa miseczka tłumi jego głos, sprawiając, że rozkaz zabrzmiał mało autorytatywnie. Zdarł maskę tlenową. — Stać, wszyscy. Ci którzy mają strzelby, niech je odłożą. Jesteście aresztowani.

— Mamy większą siłę ognia, Butch — rzekł uprzejmie Newt Berringer.

— Po co tyle gadać! — warknął Beach. Dick Allison spojrział na niego spod zmarszczonych brwi.

— Lepiej włóż maskę z powrotem, Butch — rzekł z drwiącym uśmiechem Adley McKeen. — Chyba zaczynasz wysiadać.

Butch poczuł, że robi mu się słabo, gdy tylko ściągnął maskę. Bezustanny szept ich myśli jeszcze pogarszał sytuację.

Nałożył maseczkę z powrotem, zastanawiając się, ile powietrza zostało jeszcze w pojemniku.

— Odłóż broń — powiedziała Bobbi. — A ty odłóż raketnicę, Ev. Nikt nie chce wam zrobić krzywdy.

— Gdzie jest David? — spytał ostro Ev. — Najpierw chcę Davida, suko.

Jest na Altairze-4 z robotem Robbym i Doktorem Morbiusem — odrzekł Kyle Archinbourg, chichocząc. — Urządził sobie piknik między bankami pamięci rasy Krell.

— Zamknij się — rzuciła Bobbi. Nagle poczuła się niepewna, zupełnie zdezorientowana i zawstydzona. Suka? Tak ją nazwał staruszek? Suka? Chciała mu powiedzieć, że się mylił to nie ona jest suką, tylko jej siostra Anne.

Oczyrna wyobraźnia ujrzała nagle splątane ze sobą cierpienie staruszka, cierpienie Garda i swoje własne. Ta chwila nieuwagi wystarczyła, by Ev Hillman uniósł raketnicę i strzelił. Gdyby zrobił to Dugan, wcześniej zdążyliby odczytać jego zamiar, ale staruszek był inny.

Rozległ się głuchy huk i świst. Beach Jernigan buchnął białym płomieniem, zataczając się do tyłu. Dwudziestkadwójka wypadła mu z rąk. Jego oczy zasnuły się mgłą i zaskwierczały, a potem wypełnione płonącym fosforem wybuchły. Policzki zaczęły mu spływać z twarzy. Beach otworzył usta i wbił sobie palce w pierś, gdy rozpalone powietrze, które wciągnął, rozszerzyło się, dziurawiąc mu płuca. Wszystko stało się w ciągu paru sekund.

Szereg załamał się, gdy mężczyźni cofnęli się z twarzami tężejącymi z przerażenia. W głowach słyszeli, jak Beach Jernigan umiera.

— Chodź! — wrzasnął do Dugana Ev i ruszył w kierunku jeepa. Jud Tarkington niezgrabnie usiłował go zatrzymać. Ev przejechał mu po twarzy gorącą lufą raketnicy, wypalając mu piętno na policzku i łamiąc nos. Jud poleciał do tyłu, wymachując rękami, potknął się o własne stopy i runął jak długi.

Beach płonął na błotnistej, zrytej ziemi. Zakrzywionymi jak szpony palcami usiłował złapać się za gardło, zadygotał, a potem znieruchomiał.

Dugan podążył biegiem za staruszką, który sięgał już do klamki drzwi jeepa.

Bobbi usłyszała, jak myśli Beacha powoli zamierają i milkną zupełnie i kiedy się odwróciła, zobaczyła, że staruszkowi i gliniarzowi za chwilę uda się uciec.

Jezu, zatrzymajcie ich!

To wyrwało ich z paraliżu, ale Bobbi ruszyła pierwsza. Dogoniła Eva i kolbą śrutówki trzasnęła go w kark. Ev uderzył twarzą w drzwi samochodu. Z nosa trysnęła mu krew i staruszek oszołomiony osunął się na kolana. Bobbi uniosła śrutówkę, żeby zadać drugi cios, lecz w tym momencie Dugan, stojący po drugiej stronie auta, strzelił z czterdziestkopiątki przez okno jeepa.

Bobbi poczuła, jakby tuż pod barkiem walnął ją wielki gorący młot. Śrutówka, którą trzymała wysoko nad głową, wypadła jej z ręki. Od ciosu młota na chwilę straciła czucie, ale gorąco wróciło, rozchodząc się po całym ciele jak żar pieca, który usiłował spopielić ją od wewnątrz.

Odrzuciło ją w tył. Lewą ręką sięgnęła do miejsca, gdzie wylądował młot, spodziewając się zobaczyć krew. Krwi jednak nie było — przynajmniej na razie — tylko dziura w koszuli i w ciele pod materiałem. Dziura miała twardy brzeg, który pod dotykiem jej palców pulsował gorącem. Krew spływała jej po plecach, mnóstwo krwi, lecz pod wpływem wstrząsu odrętwiała i ledwie odczuwała ból. Lewą dłonią namacała ranę wlotową; rana wylotowa miała wielkość pięści dziecka.

Ujrzała białą i zmartwiałą w panice twarz Dicka Allisona.

wszystko idzie nie tak Chryste zupełnie nie tak trzeba go stuknąć zanim on stuknie nas och ty pierdolony szpiclu pierdolony szpiclu pierdolony szpiclu pierdolony szpiclu!

— Nie strzelajcie do niego! — wrzasnęła Bobbi. Poczowała eksplozję bólu. Z ust popłynęła jej cienka strużka krwi. Kula rozerwała jej prawe płuco.

Allison się zawahał. Zanim Dugan zdążył drugi raz wycelować broń, do akcji wkroczyli Newt i Joe Summerfield. Dugan odwrócił się do nich i w tym momencie Newt lufą strzelby rąbnął go w rękę, w której gliniarz trzymał czterdziestkępiątkę. Drugi strzał Dugana trafił w ziemię.

— Nie ruszaj się! Jeżeli się ruszysz, już po tobie! — wrzasnął John Enders, dyrektor szkoły podstawowej. — Z prawej masz cztery strzelby!

Dugan rozejrzał się i zobaczył czterech uzbrojonych ludzi.

I Allisona, który wciąż zezował na wszystkie strony, ledwie nad sobą panując, gotów strzelić na najłżejsze pierdnięcie wiewiórki.

I tak cię zabiją. Lepiej już odejść jak John Wayne. Cholera, wszyscy zwariowali.

— Nie — powiedziała Bobbi. Opierała się o maskę jeepa.

Z ust wciąż sączyła się jej krew. Tył koszuli miała zupełnie mokry. — Nie zwariowaliśmy. I nie chcemy cię zabić. Sprawdź mnie.

Dugan nieporadnie zaczął sondować myśli Bobbi Anderson i stwierdził, że mówiła serio... ale gdzieś tam czaiła się pułapka, którą mógłby dostrzec, gdyby nie był takim żółtodziobem w przedziwnej sztuczce czytania w myślach. Coś w rodzaju kruczka zapisanego drobnym drukiem na umowie sporządzonej przez sprytnego sprzedawcę samochodów. Potem o tym pomyśli. Ci faceci to amatorzy i może jeszcze nadarzy się dobra okazja, żeby się wyrwać. Jeżeli...

Nagle Adley McKeen zerwał mu z twarzy złotą maseczkę. Butch niemal natychmiast poczuł falę zawrotów głowy.

— Tak mi się bardziej podobasz — rzekł. — Nie będziesz tyle myślał o ucieczce, jak ci zakręcimy tę cholerną puszkę z powietrzem.

Walcząc z zawrotami głowy, Butch spojrzął na Bobbi.

Sądzę, że ona umrze,

uważaj sobie co chcesz

Kiedy ta nieoczekiwana myśl wypełniła mu głowę, wyprostował się i cofnął o krok. Spojrzął na Bobbi uważnie.

— Co ze starym? — spytał drewnianym głosem.

— To nie... — Bobbi rozkaszała się, pryskając krwią. Z nozdrzy wyszły jej bańki. Ruszyli do niej Kyle i Newt, ale powstrzymała ich zniecierpliwionym gestem. — To nie twoja sprawa. Ty i ja wsiądziemy z przodu jeepa. Ty poprowadzisz. Z tyłu usiądzie trzech ludzi z bronią, gdyby wpadł ci do głowy jakiś zabawny pomysł.

— Chcę wiedzieć, co się stanie ze starym — powtórzył Butch.

Bobbi z ogromnym wysiłkiem podniosła broń. Lewą dłonią odgarnęła z oczu zlepione potem włosy. Prawa ręka zwisała bezwładnie wzdłuż tułowia. Zachowywała się tak, jak gdyby chciała, żeby Dugan bardzo dobrze ją zobaczył i ocenił. Butch zrobił to. Chłód, jaki ujrzał w jej oczach, był prawdziwy.

— Nie chcę cię zabić — powiedziała cicho. — Wiesz, że mówię prawdę. Ale jeżeli piśniesz jeszcze słowo, każę tym ludziom natychmiast cię rozstrzelać. Pochowamy cię obok Beacha, zaryzykujemy.

Ev Hillman z trudem się podnosił. Wyglądał na oszołomionego, jakby nie bardzo wiedział, gdzie jest. Otarł krew z czoła, jak gdyby to był pot.

Butchowi znów zakręciło się głowie i zaświtała mu nieskończenie kojąca myśl: To sen. To tylko sen.

Bobbi uśmiechnęła się niewesoło.

— Myśl sobie, co chcesz — powiedziała. — Wsiadaj do samochodu.

Butch wsiadł i przesunął się za kierownicę. Bobbi ruszyła do drzwi z drugiej strony. Znowu zaczęła kaszleć, rozpryskując krople krwi. Ugięły się pod nią kolana. Dwóch ludzi skoczyło, żeby ją podtrzymać.

Co tam myślę. Wiem, że ona umrze.

Bobbi odwróciła głowę i spojrzała na niego. Głowę ponownie wypełnił mu

(myśl sobie co chcesz)

wyraźny głos jej myśli.

Na tylne siedzenie jeepa wcisnęli się Archinbourg, Summerfield i McKeen.

— Jedź — szepnęła Bobbi. — Powoli.

Butch zaczął cofać. Jeszcze raz zobaczy Everetta Hillmana, ale tego już nie miał pamiętać — później umysł Butcha w większości zostanie starty jak kreda z tablicy. Staruszek stał w słońcu, a za jego plecami lśnił gigantyczny talerzowaty kształt. Eva otaczali rośli mężczyźni, a pięć stóp od niego na ziemi leżało coś, co przypominało zwęgloną kłodę drzewa.

Nieźle sobie radziłeś, stary. W młodych latach musiał być z ciebie całkiem dobry kowboj... i na pewno nie byłeś stuknięty.

Hillman uniósł głowę i wzruszył ramionami, jak gdyby chciał powiedzieć: „Cóż, w każdym razie próbowaliśmy”.

Znów zakręciło mu się w głowie. Świat zaczął drgać Butchowi przed oczami.

— Nie wiem, czy dam radę prowadzić — powiedział. Własny głos dudnił mu w uszach jak z bardzo daleka. — To coś... słabo mi od tego.

— Zostało jakieś powietrze w tej jego manierce, Adley? — zapytała szeptem Bobbi. Jej twarz była trupio biała. Krew na wargach wydawała się przez to bardzo czerwona.

— Maskę trochę jeszcze syczy.

— Nałóż mu.

Po chwili, gdy wciśnięto mu na nos i usta złotą miseczkę, Butch poczuł się trochę lepiej.

— Ciesz się, póki jest czym — szepnęła Bobbi i straciła przytomność.

20

— Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. Oto powierzamy ciało naszej drogiej Ruth McCausland ziemi, a jej duszę miłosiernemu Bogu.

Żałobnicy przenieśli się na śliczny cmentarzyk na wzgórzu w zachodniej części miasteczka. Stali w małych grupkach wokół otwartego grobu. Trumna Ruth była nad nim zawieszona na szynach. Na cmentarz przyszło mniej żałobników niż do kościoła; wiele osób spoza miasta, dręczonych bólem głowy i nudnościami lub opętanych pomysłami, wykorzystało przerwę między pierwszym a drugim aktem i czmychnęło.

Kwiaty u szczytu grobu lekko falowały na letnim wietrzyku. Gdy wielebny Goohringer uniósł głowę, ujrzał jasnożółtą różę wijącą się na trawiastym wzgórzu. Za białym zniszczonym ogrodzeniem cmentarza zobaczył wieżę zegarową na ratuszu. Drżała nieznacznie w przejrzystym powietrzu jak daleki obraz widziany w upale. Mimo to

Goohringerowi wydawało się, że to diabelnie dobra iluzja. Obcy w mieście widzieli najlepszy w historii slajd, nawet o tym nie wiedząc.

Jego wzrok na moment napotkał spojrzenie Franka Spruce'a — wyczytując w nim ulgę — którą jak przypuszczał — Frank zobaczył także w jego oczach. Wielu obcych wróci tam, skąd przybyli i opowie swoim znajomym, że śmierć Ruth wstrząsnęła do głębi małą społecznością; ale w istocie miejscowi byli zupełnie gdzie indziej. Goohringer pomyślał, że żaden z przyjezdnych nie wiedział, iż większość ich z największą uwagą śledzi rozwój wypadków w pobliżu statku. Przez chwilę sytuacja przybrała bardzo zły obrót. Teraz odzyskano nad nią kontrolę, ale nie bez strat. Bobbi Anderson mogła umrzeć, gdyby nie dowieźli jej w porę do szopy.

Mimo to odzyskano kontrolę nad sytuacją. „Przemiana” będzie kontynuowana. Tylko to było ważne.

Goohringer trzymał w ręce otwartą Biblię. Kartki trzepotały lekko na wietrze. Uniósł drugą dłoń. Żałobnicy stojący wokół grobu Ruth opuścili głowy.

— Niech cię Pan błogosławi i strzeże; niech Pan rozpromieni oblicze swe nad tobą i niech cię obdarzy pokojem. Amen.

Żałobnicy unieśli głowy. Goohringer się uśmiechnął.

— Dla wszystkich, którzy zechcą wspomnieć Ruth, przygotowano skromny poczęstunek w bibliotece — powiedział.

Akt drugi był zakończony.

21

Kyle delikatnie wsunął dłoń do kieszeni w spodniach Bobbi i namacał pęk kluczy. Wydobyl je, obejrzał i znalazł klucz do kłódki wiszącej na drzwiach szopy. Włożył go do zamka, lecz nie przekręcił.

Adley i Joe Summerfield trzymali na muszce Dugana, który wciąż siedział za kierownicą jeepa. Butchowi coraz trudniej było wciągać powietrze przez maskę. Strzałka na wskaźniku pojemnika z tlenem już od pięciu minut pokazywała zero.

Kyle wrócił do nich.

— Idź sprawdzić tego pijaczka — powiedział Kyle do Joego Summerfielda. — Wygląda, jakby jeszcze nie oprzytomniał, ale nie wierzę skurwielowi.

Joe przeciął podwórko, wszedł na werandę i dokładnie obejrzał Gardenera, krzywiąc się ze wstrętem, gdy poczuł kwaśny odór jego oddechu. Tym razem naprawdę nie było żadnego udawania; Gardener napoczął nową butelkę szkockiej i upił się do nieprzytomności.

Kiedy dwaj mężczyźni czekali na powrót Joego, Kyle powiedział:

— Bobbi najprawdopodobniej umrze. Jeżeli tak się stanie, od razu pozbędę się tego moczymordy.

Wrócił Joe.

— Urznięty w trupa.

Kyle skinął głową i przekręcił klucz w kłódce, Joe stanął obok Adleya, celując ze strzelby w gliniarza. Kyle otworzył kłódkę i lekko uchylił drzwi. Buchnęło zza nich olśniewające zielone światło — tak jasne, że zdawało się przyćmiewać blask słońca. I dobiegł dziwny bulgot. Był to odgłos podobny (ale nie do końca) do dźwięków wydawanych przez jakąś maszynę.

Kyle cofnął się mimo woli, a jego twarz na moment stężała ze strachu, wstrętu i grozy. Sam zapach — gęsty, organiczny odór — mógłby zwalić człowieka z nóg. Kyle rozumiał — wszyscy rozumieli — że dwoista natura Stukostrachów zaczęła się zrastać. Niedługo miał się zakończyć taniec obłudy.

Odgłosy bulgotania, zapach... i jeszcze jeden dźwięk. Coś w rodzaju ledwie słyszalnego, gulgoczącego szczekania tonącego psa.

Kyle był już dwa razy w szopie, ale niewiele z tego pamiętał. Wiedział oczywiście, że to ważne, wspaniałe miejsce, dzięki któremu jego „przemiana” postępuje szybciej. Ale jego ludzki pierwiastek nadal czuł przed tym niemal zabobonny strach.

Wrócił do Adleya i Joego.

— Nie możemy czekać na resztę. Jeżeli chcemy uratować Bobbi, musimy natychmiast ją tam zabrać.

Zobaczył, że gliniarz zdjął maskę. Zupełnie zużyta leżała na siedzeniu obok niego. Tym lepiej. Tak jak powiedział w lesie Adley, bez swojej puszkę z powietrzem będzie mniej myślał o ucieczce.

— Trzymaj glinę na muszce — rzekł Kyle. — Joe, pomóż mi przy Bobbi.

— Pomóc ci ją zanieść do szopy?

— Nie, pomóż mi ją zanieść do zoo Rumforda, żeby mogła zobaczyć jebanego lwa! — krzyknął Kyle. — Jasne, że do szopy!

— Chyba... chyba nie chcę tam wchodzić. Nie teraz. — Joe oderwał wzrok od zielonego światła i spojrzał na Kyle'a, uśmiechając się ze wstydem i odrobiną odrazy.

— Ja ci pomogę — rzekł cicho Adley. — Z Bobbi jest świetny kumpel. Byłoby szkoda, gdyby kipnęła, zanim to się skończy.

— Dobra — powiedział Kyle. — Uważaj na gliniarza — zwrócił się do Joego. — I jak coś spieprzysz, przysięgam na Boga, że cię zabiję.

— Nie spieprzę, Kyle — odpowiedział Joe. Do ust miał wciąż przyklejony ten sam zawstydzony uśmiech, ale w oczach wyraźnie błysnęła ulga. — Na pewno. Dobrze go przypilnuję.

— Postaraj się — odezwała się słabym głosem Bobbi. Wszyscy wzdrygnęli się zaskoczeni.

Kyle spojrzał na nią, potem ponownie na Joego. Joe zachnął się w duchu na widok nieskrywanej pogardy w oczach Kyle'a... ale nie popatrzył w stronę szopy, światła i chlupoczących dźwięków.

— Chodź, Adley — rzekł w końcu Kyle. — Bierzemy Bobbi do środka. Im prędzej się zacznie, tym lepiej dla niej.

Adley McKeen, łysiejący i krępy pięćdziesięciokilkulatek, na chwilę stracił zapał.

— Czy... — Obliznął wargi. — Kyle, czy tam jest źle?

— Właściwie nie pamiętam — przyznał się Kyle. — Wiem tylko, że kiedy wyszedłem, czułem się wspaniale. Jakbym więcej wiedział. Jakbym więcej umiał zrobić.

— A — odezwał się Adley niemal niedosłyszalnym głosem.

— Będiesz jednym z nas, Adley — powiedziała Bobbi, równie słabo jak przedtem.

Z twarzy Adleya nie zniknął wyraz obawy, jednak w jego oczach znów pojawiło się zdecydowanie.

— W porządku — rzekł.

— Postaraj się nie zrobić jej krzywdy — powiedział Kyle.

Zanieśli Bobbi do szopy. Joe Summerfield odwrócił się na moment od Dugana, aby spojrzeć, jak znikają w zielonym blasku — zdawało mu się, że nie weszli do środka, lecz naprawdę zniknęli; jak gdyby przyglądał się przedmiotom znikającym w oślepiającej koronie słonecznej.

Chwila nieuwagi trwała bardzo krótko, ale wystarczyłaby dawnemu Butchowi Duganowi. Dostrzegł okazję ucieczki, lecz nie umiał jej wykorzystać. Miał nogi jak z waty. Żołądek podchodził mu do gardła. W głowie huczało i łomotało.

Nie chcę tam wchodzić.

Ale nic nie poradzi, jeżeli postanowią go tam zawlec. Był słaby jak dziecko.

Zapał w letarg.

Po jakimś czasie usłyszał głosy i uniósł głowę. Kosztowało go to sporo wysiłku, bo miał wrażenie, jak gdyby ktoś nalał mu do uszu betonu, wypełniając nim całą głowę. Przez gąszcz ogrodu Bobbi Anderson przedzierała się reszta oddziału. Ciągnęli ze sobą starszka, popychając go brutalnie. Hillmanowi zaplątały się nogi i upadł. Jeden z nich — Tarkington kopnął go w stopy, a Butch pochwycił wyraźnie myśl Tarkingtona: był oburzony atakiem na Beacha Jernigana, uważał ten czyn za morderstwo.

Hillman zbliżył się do jeepa, utykając. Zaraz potem otworzyły się drzwi szopy i wyszli z nich Kyle Archinbourg i Adler McKeen. McKeen już nie wyglądał na wystraszonego — oczy mu błyszczały, a bezzębne usta rozciągały się w szerokim uśmiechu. I coś jeszcze...

Po chwili Butch zauważył.

Wyglądało na to, że w ciągu kilku minut, jakie dwaj mężczyźni spędzili w szopie, zniknęła spora część włosów Adleya McKeena.

— Mogę tam wchodzić, kiedy tylko będzie trzeba, Kyle mówił. — Nie ma sprawy.

Powiedział coś jeszcze, ale Butch znów poczuł nadciągającą falę odrętwienia. Nie opierał się.

Świat zasnuł się mgłą i przygasł, aż w końcu zostały tylko bulgoczące odgłosy i powidok zielonego blasku pod powiekami.

22

Akt trzeci.

Siedzieli w miejskiej bibliotece, która zdaniem wszystkich powinna zmienić nazwę na Bibliotekę imienia Ruth McCausland. Pili kawę, mrożoną herbatę, coca — colę, napój imbirowy. Nie podawano napojów alkoholowych. Jedli małe trójkątne kanapki z tuńczykiem i podobne z pastą z serka śmietankowego i oliwek, kanapki z pastą z serka śmietankowego i pieprzu tureckiego. Zimne mięsa i galarety z kawałkami marchewki uwięzionymi w środku jak skamieniałości w bursztynie.

Dużo rozmawiali, ale w sali prawie cały czas panowała cisza — gdyby zamontowano tu pluskwy, podsluchujący byliby rozczarowani. Ustąpiło napięcie, jakie malowało się na ich twarzach w kościele, gdy sytuacja w lesie zaczęła się niebezpiecznie wymykać spod kontroli. Bobbi była już w szopie. Zabrali tam także ciekawskiego starucha. Wreszcie do szopy trafił też ciekawski policjant.

Zbiorowy umysł przestał śledzić tych ludzi, gdy weszli w gęstą smugę światła barwy spatynowanego mosiądzu.

Jedli, pili, słuchali i mówili, choć nikt nie wypowiedział ani słowa, jednak nie musieli się niczego obawiać; ostatni z obcych opuścili miasto zaraz po błogosławieństwie Goohringera na cmentarzu. Mieli więc Haven wyłącznie dla siebie.

(czy wszystko się dobrze skończy)

(tak rozumieją dlaczego Dugan)

(jesteś pewien)

(tak rozumieją będą przekonani że rozumieją)

Najgłośniejszym dźwiękiem w sali było tykanie stojącego na gzymsie kominka zegara Setha Thomasa, który ofiarowała bibliotece szkoła podstawowa po przeprowadzonej zeszłej wiosny zbiórce puszek i butelek. Od czasu do czasu rozlegał się wytworny brzęk porcelany. Zza otwartych, zasłoniętych okien dobiegł daleki odgłos samolotu.

Nie było słyhać śpiewu ptaków.

Nikomemu go nie brakowało.

Jedli i pili, a gdy mniej więcej wpół do drugiej po południu wyprowadzono Dugana z szopy Bobbi, wszyscy natychmiast o tym wiedzieli. Ludzie wstali i w jednej chwili zaczęły się rozmowy, prawdziwe rozmowy. Plastikowe miski Tupperware zostały zamknięte.

Niedojedzone kanapki powędrowały do torebek. Claudette Ruvall, matka Ashleya, folią aluminiową przykryła resztki zapiekanki, którą przyniosła. Wszyscy wyszli z biblioteki i skierowali się do domów, uśmiechając się i gwarząc.

Zakończył się akt trzeci.

23

Gardener ocknął się o zachodzie słońca z okropnym bólem głowy i przeświadczeniem, że zdarzyło się coś, co niezupełnie pamięta.

W końcu się udało, Gard, pomyślał. W końcu urwał ci się film. Zadowolony?

Z trudem zwał się z werandy i niepewnym krokiem ruszył za dom, z dala od drogi, a potem zwymiotował. Zobaczył w wymiocinach krew, lecz nie był zdziwiony. Nie pierwszy raz mu się to zdarzyło, choć było więcej krwi niż kiedykolwiek dotąd.

Sny, Chryste, choć urwał mu się film, miał jakieś dziwaczne koszmary. Jacyś ludzie przyjeżdżali i odjeżdżali, było ich tylu, że do kompletu trzeba było tylko orkiestry dętej i Kowbojek z Dallas,

(policji, rano była tu policja z Dallas, a ty się uchlałeś, żeby jej nie widzieć, pierdolony tchórze)

Koszmary i tyle.

Odwrócił się od kałuży rzygowin u swoich stóp. Z każdym uderzeniem serca świat tracił ostrość i znów ją odzyskiwał.

Nagle Gardener pomyślał, że otarł się o śmierć. W końcu popełniał samobójstwo... tylko robił to powoli. Oparł rękę o ścianę domu, a czoło o rękę.

— Panie Gardener, dobrze się pan czuje?

— Ach! — krzyknął, podskakując jak oparzony. Serce walnęło mu dwa razy jak młot, zamarło na chwilę, która dłużyła się w nieskończoność, a potem zaczęło bić tak szybko, że nie odróżniał pojedynczych skurczów. Ból spotężniał do granic wytrzymałości, nieomal rozsadzając mu głowę. Gardener odwrócił się gwałtownie.

Stał przed nim Bobby Tremain z zaskoczoną, nawet trochę rozbawioną miną... ale nie było mu zbyt przykro z powodu strachu, jakiego napędził Gardenerowi.

— Ojej, nie chciałem pana zaskoczyć, panie Gardener...

Przecież dobrze, kurwa, wiem, że chciałeś.

Szczeniak Tremain kilka razy szybko zamrugał. Gardener domyślił się, że wyczytał kawałek tej myśli, ale gównu go to obchodziło.

— Gdzie jest Bobbi? — zapytał.

— Jestem...

— Wiem, kim jesteś. Wiem, gdzie jesteś. Stoisz tu przede mną. Gdzie jest Bobbi?

— Zaraz panu powiem — rzekł Bobby Tremain. Spojrzał na niego tak szczerze i otwarcie, że Gardenerowi mimo woli przypomniały się czasy, kiedy jeszcze uczył. Tak samo wyglądali studenci, którzy spędzili długi weekend zimowy, jeżdżąc na nartach, pieprząc się i chlejąc, gdy zaczynali mu tłumaczyć, że nie mogą dziś oddać pracy, ponieważ w sobotę umarła im matka.

— Słucham. — Gardener oparł się o szalowanie ściany domu, spoglądając na nastolatka w czerwieniejącym blasku zachodzącego słońca. Nad jego ramieniem widział szopę z oknami zasłoniętymi deskami i drzwiami zamkniętymi na kłódkę.

Przypomniał sobie, że szopa też była w tym śnie.

Śnie? Albo w tym, co boisz się nazwać jawą?

Przez chwilę chłopak wydawał się naprawdę stropiony cyniczną miną Gardenera.

— Pani Anderson dostała udaru słonecznego. Paru ludzi znalazło ją niedaleko statku i zabrało ją do szpitala w Derry. Pan akurat leżał bez przytomności.

Gardener wyprostował się błyskawicznie.

— Nic jej nie jest?

— Nie wiem. Jeszcze nie wrócili. I nikt nie dzwonił. W każdym razie od trzeciej. Wtedy tu przyjechałem.

Gardener odsunął się od ściany budynku i ruszył w stronę frontu domu, idąc z opuszczoną głową i starając się zwalczyć kaca. Zdawało mu się, że chłopak skłamał i być może rzeczywiście skłamał o tym, co przytrafiło się Bobbi, ale Gardener wyczuwał, że sedno wiadomości było prawdziwe: Bobbi zachorowała, została ranna — coś się jej stało. To wyjaśniało, skąd się wzięli ludzie, których, jak mu się zdawało, widział we śnie. Przypuszczał, że Bobbi wezwała ich w myślach. Jasne. Wezwała ich w myślach, oto najwspanialszy numer tygodnia. Można go zobaczyć tylko w Haven, psze pań i panów...

— Dokąd się pan wybiera? — nieoczekiwanie ostro zapytał go Tremain.

— Do Derry. — Gardener dotarł do początku podjazdu. Stał tam pikap Bobbi. Obok Tremain zaparkował swojego żółtego dodge'a challenger. Gardener odwrócił się do chłopaka. Zachód słońca oblał jego twarz krwistą czerwienią przetykaną czarnymi cieniami, wskutek czego chłopiec przypominał Indianina. Gardener przyjrzał się mu uważniej i stwierdził, że nigdzie się nie wybiera. Ten chłopak, który miał szybki samochód i szerokie bary futbolisty, nie znalazł się tu tylko po to, żeby przekazać Gardowi złą nowinę, gdy tylko opary wody opadną na tyle, by Gard mógł wrócić do życia.

Mam uwierzyć, że Bobbi była w lesie, kopała jak szalona i nagle dostała udaru słonecznego i zasłabła, podczas gdy jej były partner leżał na werandzie urżnięty jak świnia? Tak? W takim razie to świetna sztuczka, bo Bobbi miała być na pogrzebie McCausland. Pojechała do miasteczka, ja zostałem sam i zacząłem rozmyślać o tym, co widziałem w niedzielę... zacząłem myśleć, a potem zacząłem pić, bo tak się to u mnie zwykle kończy. Oczywiście Bobbi mogła pojechać na pogrzeb, wrócić, przebrać się, pojechać do lasu, a potem dostać udaru... ale wyglądało to zupełnie inaczej. Dzieciak kłamie. Ma to wypisane na twarzy, a ja cieszę się jak skurwysyn, że nie potrafi mi czytać w myślach.

— Wydaje mi się, że pani Anderson wolałaby, żeby został pan tutaj i pracował dalej — rzekł spokojnie Bobby Tremain.

— Wydaje ci się?

— To znaczy, nam wszystkim tak się wydaje. — Chłopak przez chwilę wydawał się jeszcze bardziej stropiony niż dotąd — spoglądał nieufnie, chwając się lekko na nogach. Chyba się nie spodziewał, że ulubionemu pijaczkowi Bobbi zostały jeszcze zęby i pazury. Ta myśl dała początek kolejnej, dziwniejszej myśli i Gard przyjrzał się chłopakowi uważniej w świetle, które przybladło, przybierając różowopomarańczową barwę. Bary futbolisty, przystojna twarz z podbródkiem z dołkiem, którą mógłby narysować Alex Gordon lub Berni Wrightson, szeroka klata, wąskie biodra. Bobby Tremain — typowo amerykański chłopak. Nic dziwnego, że ta Colson oszalała na jego punkcie. Ale zapadłe i zwiotczałe usta dziwnie nie pasowały do reszty. „My wszyscy” to byli ci, którzy tracili zęby, a Gardener się do nich nie zaliczał.

Dobra — więc po co tu przyjechał?

Żeby mnie pilnować. Żeby nie ruszał się z miejsca. Bez względu na to, co by się działo.

— No, dobrze — powiedział do Tremaina bardziej pojedynczym tonem. — Skoro tak się wydaje wam wszystkim.

Tremain wyraźnie odetchnął.

— Właśnie tak.

— To może wejdźmy do domu nastawić kawę. Mam ochotę napić się kawy. Boli mnie głowa. A jutro rano trzeba będzie wcześniej brać się do pracy... — Urwał, spoglądając na Tremaina. — Bo pomożesz mi, prawda? Po to między innymi przyjechałeś, nie?

— Hm... tak jest.

Gardener skinął głową. Zatrzymał spojrzenie na szopie. Przez szpary między deskami przeświecało ostre zielone światło, znacząc ściany jaskrawymi tatuażami. Stał mu przed oczami tamten sen — w którym w zielonej poświacie ponurzy szewcy walili młotkami w nieznane urządzenia. Nigdy dotąd blask nie był tak jasny, a Gardener dostrzegł, że gdy Tremain zerknął w tamtą stronę, jego oczy zaraz niespokojnie uciekły na bok.

Gardenerowi przemknął przez głowę fragment starej piosenki — chyba niezupełnie przypadkowo: „Nie wiem, co robią, ale głośno się śmieją za zielonymi drzwiami... zielone drzwi, jaką skrywacie tajemnicę?”*

Słychać było dźwięk. Słaby... rytmiczny... nierozpoznawalny... lecz nie wiadomo dlaczego nieprzyjemny.

Obaj milczeli przez chwilę. Wreszcie Gardener ruszył w stronę domu. Tremain z wdzięcznością podążył za nim.

— To dobrze — rzekł Gardener, jak gdyby w ich rozmowie nie nastąpiła żadna przerwa. — Przyda mi się pomoc. Bobbi sądziła, że mniej więcej w ciągu dwóch tygodni powinniśmy odkopać jakiś właz... żebyśmy mogli dostać się do środka.

— Tak, wiem — rzekł bez wahania Tremain.

— Ale mówiła to wtedy, gdy pracowaliśmy we dwoje.

— Och, zawsze ktoś panu pomoże — zapewnił go Tremain z przyjaznym uśmiechem. Lodowaty dreszcz przebiegł Gardenerowi po plecach.

— Tak?

— Jasne! Może być pan pewien!

— Dopóki nie wróci Bobbi.

— Dopóki nie wróci — przytaknął Tremain.

Tyle że on wcale nie sądzi, żeby Bobbi miała kiedykolwiek wrócić.

— Chodź — powiedział. — Napijemy się kawy. Potem może rzucimy coś na ruszt.

— Brzmi nieźle.

Weszli do domu, zostawiając za plecami szopę, która bulgotała i mruczała w gęstniejących ciemnościach. Po zachodzie słońca zielone szwy w szczelinach ścian stawały się coraz jaśniejsze. W jedną ze świetlistych plamek, jakie blask rzucał na ziemię, skoczył świerszcz i padł martwy.

* Fragment piosenki „The Green Door” M. Moore’a i B. Daviego (przyp. tłum.).

Czwartek, 26 lipca

Butch Dugan obudził się w swoim łóżku w Derry dokładnie pięć po trzeciej nad ranem. Odrzucił kołdrę i spuścił stopy na podłogę. Miał szeroko otwarte, nieprzytomne oczy i opuchniętą od snu twarz. Ubranie, które poprzedniego dnia miał na sobie podczas wyprawy do Haven w towarzystwie staruszka, leżało na krześle przy małym biurku. W kieszeni koszuli tkwił długopis. Chciał go wziąć. Była to jedyna czytelna myśl, jaka kołatała mu w głowie.

Wstał, podszedł do krzesła, wziął długopis, zrzucił koszulę na podłogę, usiadł i siedział przez parę chwil, wpatrując się w ciemność i czekając na następną myśl.

Butch wszedł do szopy Anderson, lecz niewiele z niego zostało, kiedy wyszedł. Jakby się skurczył i zmałał. Niczego zbyt dobrze nie pamiętał. Nie mógłby podać nawet swojego drugiego imienia i nie pamiętał, jak wieziono go do granicy między Haven a Troy wynajętym przez Hillmana jeepem cherokee ani jak zajął miejsce kierowcy, gdy Adley McKeen wysiadł i wrócił do cadillaca Kyle'a Archinbourga. Podobnie nie pamiętał drogi powrotnej do Derry. A jednak to wszystko naprawdę się zdarzyło.

Zaparkował jeepa przed kamienicą, w której staruszek wynajmował pokój, zamknął go, a potem wsiadł do swojego samochodu. Dwie przecznice dalej zatrzymał się, żeby wrzucić kluczyki od jeepa do kratki ściekowej.

Potem od razu się położył i spał, dopóki nie odezwał się budzik, jaki zainstalowano mu w głowie.

W końcu pstryknął jakiś nowy włącznik. Butch mrugnął dwa razy, otworzył szufladę i wyciągnął blok listowy. Napisał:

We wtorek powiedziałem ludziom, że nie mogę jechać na jej pogrzeb, bo jestem chory. To była prawda. Ale nie chodziło o żołądek. Zamierzałem ją poprosić, żeby za mnie wyszła, ale wciąż odkładałem to na później. Bałem się, że mi odmówi. Gdybym się nie bał, może by żyła. Teraz, kiedy odeszła, nie mam już na co czekać.

Przepraszam za kłopot.

Przez chwilę patrzył na list, a potem u dołu złożył podpis: Anthony F. Dugan.

Odłożył długopis i list, po czym znów wyprostował się jak struna, utkwivszy wzrok w oknie.

W końcu odebrał kolejny impuls, który uruchomił jeszcze jeden mechanizm.

Ostatni impuls.

Wstał i podszedł do szafy. Otworzył zamek cyfrowy sejfów ściennego wbudowanego z tyłu szafy i wyciągnął swoje magnum .357. Przewiesił pas przez ramię, wrócił do biurka i usiadł.

Myślał przez chwilę, marszcząc czoło, a potem wstał, zgasił światło w szafie, zamknął drzwi, wrócił do biurka, znów usiadł, wyciągnął z kabury magnum, przycisnął lufę do lewej powieki i pociągnął za spust. Krzesło przewróciło się, lądując na podłodze z nieefektywnym drewnianym stukotem — odgłosem otwieranej zapadni pod szubienicą.

Wczesnym rankiem we wtorek zginął kapitan Anthony „Buten” Dugan z komendy policji stanowej w Derry. Wszystko wskazuje na to, że zastrzelił się z własnej broni służbowej. Jego śmierć wstrząsnęła komendą w Derry, której funkcjonariusze w zeszłym tygodniu zostali zaskoczeni wiadomością o zniknięciu dwóch swoich kolegów...

3

Sobota, 30 lipca

Gardener siedział bez koszuli na pniaku w lesie, jedząc kanapkę z jajkiem i tuńczykiem i popijając mrożoną kawę wzmocnioną brandy. Na pniaku naprzeciw niego siedział John Enders, dyrektor szkoły. Enders nie był stworzony do ciężkiej pracy i choć było dopiero południe, dyszał z gorąca i wyglądał na zupełnie wykończonego.

Gardener skinął głową.

— Niezłe — powiedział. — W każdym razie lepsze niż Tremaina. Tremain potrafiłby przypalić nawet wodę.

Enders uśmiechnął się słabo.

— Dziękuję.

Gardener spojrział ponad jego głowę na wielki krągły kształt wystający z ziemi. Wykop wciąż się poszerzał i musieli używać coraz więcej srebrzystej siatki, która zapobiegała osunięciu się ścian (nie miał pojęcia, jak im się to udało, wiedział tylko, że spory zapas w piwnicy już się prawie wyczerpał i kilka kobiet z miasta przywiozło wczoraj furgonetką nowy zapas siatki, starannie poskładanej niczym świeżo wyprasowane firanki). Potrzebowali więcej, bo usuwali coraz więcej zbocza wzniesienia... a mimo to nie było widać końca statku. W jego cieniu mógłby się teraz ukryć cały dom Bobbi.

Znów spojrział na Endersa. Enders przyglądał się olbrzymiemu kształtowi z zachwytem i nabożną czcią — jak gdyby był druidem z głębokiego zadupia, który pierwszy raz przyjechał zobaczyć Stonehenge.

Gardener wstał, zataczając się lekko.

— Chodź — rzekł. — Narobimy trochę huk.

Przed paroma tygodniami razem z Bobbi dotarli do miejsca, w którym statek tkwił mocno w surowej skale jak kawał stali w betonie. Podłoże skalne w ogóle go nie uszkodziło; perłowszary kadłub nie został nawet zadrażniony, a co dopiero wgnieciony czy pęknięty. Ale ugrzązł na dobre. Skalę trzeba było wysadzić. W innych okolicznościach byłoby to zadanie dla ekipy budowlanej, która wiedziała, jak wykorzystać w tym celu dynamit — mnóstwo dynamitu.

Lecz ostatnio w Haven znano materiał wybuchowy, przy którym dynamit wydawał się środkiem przestarzałym. Gardener nadal nie bardzo rozumiał, co w niedzielę wybuchło w Haven Yillage, i nie był pewien, czy w ogóle chce zrozumieć. Zresztą były to rozważania czysto teoretyczne, ponieważ nikt o tym nie rozmawiał. W każdym razie wiedział, że coś dużego zbudowanego z cegieł wystrzeliło w górę jak rakieta i że użyto do tego Nowych Ulepszonych Materiałów Wybuchowych. Przypomniawszy sobie, jak przez pewien czas zastanawiał się nawet, czy superodżywkę mózgu, jaką wydzielano z naleźnika Bobbi, można by wykorzystać do produkcji broni. Ale tamta chwila wydawała się niewiarygodnie odległa, a tamten Jim Gardener niewiarygodnie naiwny.

— Dasz radę, Johnny? — spytał dyrektora szkoły.

Enders wstał, krzywiąc się i łapiąc za krzyż. Wyglądał na straszliwie zmęczonego, lecz mimo to zdobył się na słaby uśmiech. Chyba pokrzepił go widok statku. Z kącika oka

pociekła mu jednak krew — jedna czerwona łąza. Coś mu tam musiało pęknąć. Za blisko statku, pomyślał Gard. Pierwszego dnia z dwóch, które Bobby Tremain spędził tu, „pomagając” mu, gdy tylko zjawili się przy wykopie, chłopak wypluł kilka pozostałych zębów z szybkością karabinu maszynowego.

Najpierw chciał powiedzieć Endersowi, że przecieka mu coś w prawym oku, ale uznał, że lepiej będzie, jeśli nauczyciel sam to odkryje. Nic mu nie będzie. Chyba. Nawet gdyby faktycznie coś mu się stało, Gardener nie przypuszczał, by facet w ogóle się tym przejął... to najbardziej nim wstrząsnęło.

Co cię to obchodzi? Wmawiasz sobie, że ci goście jeszcze są ludźmi? Gard, stary, lepiej spojrz prawdziw w oczy.

Ruszył w dół zbocza, zatrzymując się przy ostatnim pniu, poniżej którego kamienista ziemia przechodziła w obłupaną i poznaczoną złobieniami skałę. Podniósł tanie radio tranzystorowe z żółtego twardego plastiku. Chyba ze Snoopym. Do odbiornika była podłączona płytką z kalkulatora Sharp. I oczywiście baterie.

Nucąc pod nosem, Gardener zszedł na skraj rowu. Tam umilkł, wpatrując się w gigantyczny szary bok statku. Jego ten widok nie pokrzepiał, lecz wzbudzał głęboki respekt zabarwiony coraz bardziej bladym strachem.

Ale wciąż masz nadzieję. Byłbyś kłamcą, gdybyś zaprzeczył. Gdzieś tu... może się kryć klucz.

Jednak w miarę jak ogarniał go blady strach, bladła też nadzieja. Pewnie niedługo zupełnie go opuści.

Po poszerzeniu wykopu bok statku był już za daleko, by można go było dotknąć — ale Gardener wcale nie miał ochoty go dotykać; nie znosił, gdy jego głowa zmieniała się w wielki głośnik. Sprawiało mu to ból. Rzadko już krwawił, kiedy dotykał kadłuba statku (czasami nie mógł tego uniknąć), ale głowę zawsze rozdzierał mu ryk radia i bywało, że z nosa lub uszu pociekło mu więcej krwi, niż miałyby ochotę oglądać. Gardener pomyślał przez chwilę, jak długo już żyje na kredyt, lecz to pytanie także było retoryczne. Żył na kredyt od poranka, w którym ocknął się na falochronie w New Hampshire. Był chory i dobrze o tym wiedział, zdawał sobie jednak sprawę z ironii losu, który postawił go w szczególnej sytuacji: zapieprzał jak wół, żeby wykopać to cholerstwo, korzystał z narzędzi, które wyglądały, jakby zamówiono je w Katalogu Wszechświata im. Hugo Gernsbacka, a po odwaleniu w jakimś hipnotycznym transie roboty, przy której reszta prawdopodobnie zatępałaby się na śmierć, mógł w ogóle nie dostać się do środka, kiedy w końcu trafią na właz. Ale mimo wszystko zamierzał spróbować. Mógł się założyć o złoty zegarek, że spróbuje.

Włożył but w strzemię ze sznura, mocno zacisnął pętlę i włożył radio ze Snoopym za koszulę.

— Spuszczaj mnie, Johnny.

Enders zakręcił kołowrotem i Gardener zaczął zjeżdżać w dół wykopu. Z boku widział przesuający się w górę gładki szary kadłub.

Pomyślał, że gdyby chcieli się go pozbyć, nie było prostszego sposobu. Wystarczyło wysłać telepatyczny rozkaz do Endersa: *Puść koło, John. Mamy go już dość.* I poleciałyby czterdzieści stóp w dół, a za nim sznur. Chrup.

I tak był zdany na ich łaskę... przypuszczał, że niechętnie, ale uważają, że może się jeszcze na coś przydać. Młody i silny jak byk Tremain po dwóch dniach był wypompowany. Enders już dzisiaj będzie miał dość — być może — ale Gardener był gotów postawić złoty zegarek (jaki złoty zegarek, cha, cha?), że jutro pojawi się ktoś nowy, żeby mieć go na oku.

Mogłaby być Bobbi.

Mało jej było? Gdybyś nie przyjechał, zajechałaby się na śmierć.

Ale z robotą radziła sobie lepiej niż Enders czy Tremain...

Znów wróciła uparta myśl: Bobbi wchodziła do szopy z tamtymi. Tremain i Enders nigdy tam nie byli... w każdym razie ty nigdy ich nie widziałeś. Może na tym polega różnica.

Co więc tam może być? Dziesięć tysięcy aniołów tańczących na główce szpilki? Duch Jamesa Deana? Całun turyński?

Nie wiedział.

Dotknął stopą dna.

— Jestem na dole! — wrzasnął.

Zza krawędzi wykopu wyjrzał Enders. Jego twarz wydawała się bardzo mała. Za nim widać było maleńki skrawek błękitnego nieba. Zbyt maleńki. Gardener poczuł w środku zimny dotyk klaustrofobii.

Między statkiem a ścianą pokrytą srebrzystą siatką była tu bardzo wąska przestrzeń. Gardener musiał poruszać się ostrożnie, aby nie dotykać kadłuba i uniknąć wybuchów jazgotliwej muzyki w mózgu.

Skąła była bardzo ciemna. Kucnął i przesunął po niej palcami. Zrobiły się mokre. W ciągu ostatniego tygodnia codziennie robiły się coraz bardziej mokre.

Tego ranka za pomocą aparatu, który kiedyś był suszarką do włosów, udało mu się wyciąć w podstawie skalnej mały kwadratowy otwór o boku czterech cali i głębokości stopy. Otworzył teraz podręczny zestaw narzędzi, wyciągnął latarkę i skierował światło w głąb dziury.

Zalśniła woda.

Podniósł się i krzyknął:

— Spuść wąż!

— ...co?... — dotarło z góry. W głosie Endersa słychać było przeproszający ton. Gardener westchnął, zastanawiając się, jak długo wytrzyma ten stan wiecznego przemęczenia. Mimo że miał tyle sprzętu z Katalogu Wszechświata im. Hugo Gernsbacka, nikomu nie przyszło do głowy, żeby założyć interkom między dnem wykopu a górą. Musieli więc cały czas zdzierać gardła.

Och, dobrze wiesz, że ich błyskotliwe pomysły dotyczą zupełnie czego innego. Po co mieliby sobie zawracać głowę interkodem, skoro potrafią czytać w myślach? To ty jesteś staromodnym modelem człowieka, nie oni.

— Wąż! — wrzasnął. — Spuść mi ten jebany wąż, bałwanie!

— Ju... už...

Gardener stał, czekając na wąż, pragnąc ponad wszystko znaleźć się w zupełnie innym miejscu świata, pragnąc przekonać samego siebie, że to wszystko jest tylko koszmarnym snem.

Na nic. Statek był może elementem egzotycznym, lecz rzeczywistość przedstawiała się zbyt prozaicznie jak na sen: ostry zapach potu Johna Endersa, lekko zalatująca alkoholem woń jego potu, ucisk pętli ze sznura na śródstopiu, gdy zjeżdżał na dno wykopu, wilgotny dotyk skały.

Gdzie jest Bobbi, Gard? Nie żyje?

Nie, sądził, że Bobbi żyje, lecz domyślał się, że jest ciężko chora. W środę coś się jej przytrafiło. Gardener nie potrafił złożyć wspomnień w logiczną całość, wiedział jednak, że wcale nie urwał mu się film ani nie miał delirycznych omamów.

Pewnie byłoby dla niego lepiej, gdyby to faktycznie dręczyły go majaki. W zeszlą środę odbyła się jakaś gorączkowa akcja, która miała na celu zatajenie prawdy o tym, co się dzieje w miasteczku. I sądził, że Bobbi została ranna... zachorowała... coś jej się w każdym razie stało.

Ale nikt o tym nie mówi.

Bobby Tremain: *Bobbi? Kurczę, panie Gardener, wszystko z nią w porządku — po prostu mały udar. Migiem stanie na nogi. Niech sobie odpocznie. Pan pewnie wie najlepiej, że odpoczynek dobrze jej robi.*

Brzmiało świetnie. Tak świetnie, że można by nawet sądzić, iż Tremain sam w to wierzy, dopóki nie spojrzano się uważniej w jego dziwne oczy.

Wyobraził sobie nawet, że idzie do tych, których w myśli zaczął nazywać Ludźmi z Szopy, i pyta ich bez ogródek, co się stało z Bobbi.

Newt Berringer: *Zanim się spostrzeżecie, będzie próbował nam wmówić, że to my jesteśmy policją z Dallas.*

I na pewno wszyscy rykną śmiechem, nie? Oni policją z Dallas? A to dobre. Ubaw po pachy.

Być może, pomyślał Gard. Dlatego ja też mam ochotę ryczeć. Tyle że nie ze śmiechu.

A teraz stał w głębokiej szczelinie wyrąbanej w ziemi przez człowieka, w której tkwił gigantyczny pozaziemski statek latający, i czekał, aż Enders spuści mu wąż. I nagle niczym dzwon żałobny w głowie zadźwięczał mu końcowy straszny fragment „Folwarku zwierzęcego” George’a Orwella. Dziwne, gdy człowiek czasem odkrywa, że nauczył się czegoś na pamięć. „Clover przyglądała się starczymi, przyćmionymi oczyma to jednemu ryjowi, to drugiemu. Zwierzętom w ogrodzie, które patrzyły to na świnię, to na człowieka, potem znów na świnię i na człowieka, wydawało się, że oto zachodzi jakaś dziwna przemiana. Nikt już nie mógł rozpoznać, kto jest kim”^{*}.

Jezu, Gard, przestań!

Wreszcie pokazał się koniec siedemdziesięciostopowego węża, który dała im ochotnicza straż pożarna. Używano go oczywiście do lania, a nie wsysania wody, ale pompa próżniowa doskonale odwróciła jego działanie.

Enders popuszczał wąż gwałtownymi ruchami. Koniec kołysał się tam i z powrotem, od czasu do czasu stukając w kadłub statku. Za każdym razem rozlegał się głuchy łomot, ale jednocześnie dziwnie przenikliwy. Gardener uznał, że nie podoba mu się ten odgłos i zaczął wyczekiwać z niepokojem każdego kolejnego łupnięcia.

Chryste, mógłby tak nie machać tym wężem.

Łup... łup... łup. Dlaczego nie może normalnie dzwonić jak metal? Czemu wydaje odgłos jak ziemia rzucana na wieko trumny?

Łup... łup... łup...

Chryste, powinienem był skoczyć, gdy miałem okazję. Wystarczyło zrobić krok z falochronu w Arcadia Beach. To było czwartego lipca, nie? Cholera, mogłem zrobić Yankee-Doodle-Chłup.

Nic straconego. Kiedy wieczorem wrócisz do domu, połknij całe valium z szafki w łazience. Skończ ze sobą, jeśli nie masz odwagi doprowadzić tego do końca ani powstrzymać. Dobrzy ludzie z Haven pewnie urzędzą nad twoim trupem przyjęcie.

Wydaje ci się, że chcą, żebyś tu był? Gdyby nie zostało coś z Dawnej Nieulepszonej Bobbi, już by cię nie było. Gdyby nie stała między tobą a nimi...

Łup... łup... łup...

Czy rzeczywiście Bobbi stała między nim a resztą Haven? Tak. Ale gdyby umarła, jak długo jeszcze pozostałby niewiadomą w tym równaniu?

Pewnie niedługo, stary. Może z piętnaście minut.

Łup... łup... łup...

Krzywiąc się i zaciskając zęby na dźwięk martwego łomotu, Gard skoczył naprzód i chwycił mosiężną dyszę węża, zanim jeszcze raz stuknęła o bok statku. Ściągnął ją na dół, ukląkł nad otworem i zadarł głowę w stronę odległej twarzy Endersa.

^{*} Przekład Bartłomieja Zborskiego (przyp. tłum.).

— Włącz pompę! — krzyknął.

— ...co?...

I Jezus zapłakał, pomyślał Gardener.

— Włącz tę jebaną pompę! — wrzasnął i tym razem poczuł, dosłownie poczuł, jak głowa rozpada mu się na kawałki.

Zamknął oczy.

— Ju... už.

Gdy znów spojrzał w górę, Endersa nie było.

Gardener wsunął koniec węża do dziury, którą z niemałym wysiłkiem wyciął w skale tego ranka. Woda zaczęła bulgotać wolno, jakby w zamyśleniu. Z początku wydawała się lodowata, ale ręce szybko mu zdrętwiały. Choć rów miał głębokość czterdziestu stóp, wcześniej podczas poziomowania terenu usunęli całe zbocze, toteż miejsce, w którym kucał teraz Gardener, do końca czerwca znajdowało się zapewne dziewięćdziesiąt stóp pod ziemią. Dokładną liczbę można było uzyskać, mierząc wystającą część statku, lecz Gardener miał to gdzieś. Liczył się fakt, że chyba dotarli do warstwy wodonośnej; przepuszczalnych skał wypełnionych wodą. Wszystko wskazywało na to, że dolne dwie trzecie statku pływało w wielkim jeziorze podziemnym.

Jego ręce były tak zdrętwiałe, że zapomniał, czym są.

— No, dalej, cholero — mruknął.

Jak gdyby w odpowiedzi wąż zaczął wibrować i drżeć. Gardener nie słyszał stąd silnika pompy, ale nie musiał. Gdy poziom wody w dziurze opadł, znów zobaczył swoje zaczerwienione, mokre ręce. Przyglądał się, jak poziom wody opada coraz niżej.

Jeżeli trafiliśmy na warstwę wodonośną, robota trochę się opóźni.

Tak. Może stracimy cały dzień, zanim wykombinują jakąś superpompę. Może się zdarzyć jakaś zwłoka, ale nic ich nie zatrzyma, Gard. Nie wiesz o tym jeszcze?

Wąż zaczął wydawać odgłos jak gigantyczna słomka w gigantycznej szklance coli. Otwór był pusty.

— Wyłącz! — krzyknął Gardener. Enders dalej się na niego gapił. Gardener westchnął i mocno szarpnął wąż. Enders drgnął zaskoczony, ale zaraz pokazał Gardenerowi palec wskazujący i kciuk ułożony w kółko. Zniknął. Kilka sekund później wąż przestał wibrować. Potem zaczął pełznąć w górę.

Gardener przytrzymał jego koniec, żeby nie zmienił się znowu w wahadło i dopiero wtedy puścił.

Następnie wyciągnął zza koszuli radio i włączył. Aparat miał zadziałać z dziesięciominutowym opóźnieniem. Gardener postawił radio na dnie osuszonej dziury i przysypał kamieniami. Duża część siły wybuchu i tak zostanie skierowana w górę, ale to mocny materiał — cokolwiek to jest — który zdoła zapewne rozerwać podłoże skalne do głębokości może trzech stóp. Wtedy wyciągarką szybko usuną gruz z wykopu. Statek nie zostanie uszkodzony. Nic chyba nie mogło go uszkodzić.

Gardener wsunął stopę w pętlę i krzyknął:

— Wyciągnij mnie!

Nic się nie stało.

— Wyciągnij mnie, Johnny! — wrzasnął. Znów miał wrażenie, jakby głowa pękała mu wzdłuż jakiegoś spróchniałego szwu biegnącego przez środek czaszki.

Nadał nic.

Zanurzenie rąk po nadgarstki w lodowatej wodzie spowodowało, że temperatura jego ciała spadła o jakieś dwa stopnie.

Mimo to Gardener poczuł nagle, jak na czoło występuje mu nieprzyjemnie lepki pot. Zerknął na zegarek. Od chwili gdy włączył radio, minęły dwie minuty. Przeniósł wzrok z

tarczy zegarka na stertę granitowych odłamków, którymi zasypał dziurę. Mnóstwo czasu, żeby wygrzebać kamienie i wyłączyć radio.

Tylko że wyłączenie radia wcale nie zatrzyma tego, co się w środku zaczęło. Tak przypuszczał.

Spojrzał w górę, ale Endersa nie było.

Oto jak chcą się ciebie pozbyć, Gard.

Słone krople wpadły mu do oczu. Wierzchem dłoni starł pot.

— Enders! Hej! Johnny!

Musisz się wdrapać po linie, Gard.

Czterdzieści stóp? Marzenie ściętej głowy. Może w college'u. A pewnie nawet wtedy nie dalbym rady.

Spojrzał na zegarek. Trzy minuty.

Tak, właśnie tak ze mną skończą. Bum. Ślad nie zostanie.

Ofiara złożona Wielkiemu Statkowi. Mały prezencik, żeby zyskać przychyłność Stukostrachów.

— Już włączyłeś?

Uniósł głowę tak gwałtownie, że strzyknęło mu w karku. Strach błyskawicznie przerodził się we wściekłość.

— Włączyłem prawie pięć minut temu, pierdolony półgłówku! Wyciągnij mnie stąd, zanim wylecę w powietrze!

Enders ułożył usta w bardzo okrągłe O, przybierając niemal komiczną minę. Znow zniknął, a Gardener wpatrywał się w zegarek, który przez pot zalewający mu oczy zmienił się w niewyraźną plamę.

Potem pętla, w której tkwił jego but, drgnęła, a po chwili zaczął się unosić. Gardener zamknął oczy i chwycił się kurczowo liny. Widocznie nie był tak gotowy do drogi na tamten świat, jak mu się wydawało. Chyba dobrze, że się o tym przekonał.

W końcu wynurzył się z wykopu, stanął na ziemi, wysunął stopę z pętli i podszedł do Endersa.

— Przepraszam — powiedział Enders z nerwowym uśmiechem. — Ale chyba uzgodniliśmy, że krzykniesz, zanim...

Gardener go uderzył. Enders wyładował na ziemi z krwią na ustach i przekrzywionymi okularami, które zawisły mu na uchu, zanim Gardener zdążył zdać sobie sprawę z tego, co robi. I chociaż nie miał zdolności telepatycznych, miał wrażenie, że wszystkie głowy w Haven nagle odwracają się w tę stronę, nasłuchując czujnie.

— Gnojku, zostawiłeś mnie na dole z włączonym aparatem — powiedział. — Jeżeli zrobisz to albo ktokolwiek inny w mieście to zrobi jeszcze raz, lepiej mnie już nie wyciągaj. Słyszysz, co mówię?

W oczach Endersa zamigotała wściekłość. Poprawił okulary i podniósł się z ziemi. Na tysej głowie miał grudki ziemi.

— Chyba nie wiesz, do kogo mówisz.

— Wiem więcej, niż ci się wydaje — odparł Gardener. — Posłuchaj, Johnny. I reszta, jeżeli słyszycie, a zdaje mi się, że słyszycie. Chcę mieć na dole interkom. Chcę, żebyście po prostu mieli wzgląd na mnie, nic, kurwa, więcej. Grałem z tobą fair; jestem jedyną osobą w mieście, która nie musiała dać sobie namieszać we łbie, żeby to zrobić. Chcę, żebyście mieli wzgląd na mnie. Słyszysz, co mówię?

Enders patrzył na niego, ale Gardener odniósł wrażenie, że równocześnie słucha. Słucha innych głosów. Gardener czekał na ich decyzję. Był tak wzburzony, że niewiele go obchodziło, co się stanie.

— Zgoda — powiedział cicho Enders, przyciskając dłoń do zakrwawionych ust. — Być może masz rację. Założymy ci interkom i postaramy się mieć... jak to nazwałeś? — Na jego

wargach zaigrał pogardliwy uśmieszek. Gardener wyjątkowo dobrze znał ten uśmieszek. Raczyli go nim wszyscy Arbergowie i wszystkie McCardle tego świata. Tak samo uśmiechali się goście z elektrowni, kiedy mówili o energii jądrowej.

— „Wzgląd”, tak brzmiało to słowo. Lepiej je sobie zapamiętaj. Ale taki bystrzak jak ty chyba się łatwo uczy, nie, Johnny? W domu jest słownik. Potrzebujesz go, gnojku? Zrobił krok w stronę Endersa i nie bez satysfakcji zobaczył, że nauczyciel cofnął się o dwa kroki, a pogardliwy uśmieszek w jednej chwili zniknął. Ustąpił miejsca wyrazowi napięcia i obawy. — „Wzgląd”, Johnny. Zapamiętaj. Wszyscy sobie zapamiętajcie. Jeśli nie na mnie, to na Bobbi.

Stali obok wiaty, przyglądając się sobie nawzajem; małe, rozbiegane nerwowo oczka Endersa naprzeciw szeroko otwartych ze złości i nabiegłych krwią oczu Gardenera.

A jeśli Bobbi umrze, twoje pojęcie „względu” może objąć też szybką i bezbolesną śmierć. Tak to mniej więcej wygląda, zgadza się? Czy tak twoim zdaniem przedstawia się topografia sytuacji, łysy skurwielu?

— Doceniam... wszyscy doceniamy twoją szczerość — rzekł Enders. Jego usta, pozbawione oparcia zębów, wydymały się i zapadały nerwowo.

— No jasne.

— Może więc pora na słowa szczerości z naszej strony. Zdjął okulary, zaczął je przecierać połą przepoconej koszuli (zdaniem Gardenera brudząc je jeszcze bardziej) i nagle Gardener ujrzał w jego oczach błysk nienawiści. — Lepiej... nie rzucaj się więcej na nikogo, Jim. Dobrze ci radzę... radzimy ci, żebyś tego nie robił. W Haven zachodzą... hm... zmiany... tak, zmiany...

— Co ty powiesz.

— I przez te zmiany niektórzy stali się bardzo... hm... porywcy. Gdybyś więc kogoś zaatakował... mógłbyś popełnić wielki błąd.

— Czy boisz się nieoczekiwanych hałasów? — zapytał Gardener.

Enders posłał mu nieufne spojrzenie.

— Nie rozumiem, o co eh...

— Bo jeśli zegar w radiu dobrze chodzi, to zaraz taki usłyszysz.

Schronił się za wiatą, nie spiesząc się, ale i nie ociągając. Enders zerknął zaskoczony w stronę statku i biegiem ruszył za Gardem. Potknął się o szpadel i rozciągnął jak długi na ziemi, chwytając się z grymasem bólu za goleń. Chwilę później ziemią wstrząsnął potężny głęboki huk. Potem nastąpiła seria głuchych i jednocześnie przenikliwych łupnięć, gdy odłamki skał zadzwoniły o kadłub statku. Inne wleciały w powietrze i wylądowały na skraju wykopu albo wpadły z grzechotem na dno leju. Gardener zobaczył, jak jeden kamień odbija się od kadłuba statku i szybuje zdumiewająco daleko.

— Ty samolubny, dowcipny skurwysynu! — krzyknął Enders. Wciąż leżał na ziemi, trzymając się za goleń.

— Samolubny, też coś — odparł Gardener. — A kto mnie zostawił na dole?

Enders posłał mu piorunujące spojrzenie.

Gardener stał jeszcze chwilę za wiatą, a potem podszedł do niego i wyciągnął rękę.

— Daj spokój, Johnny. Było, minęło. Jeżeli Stalin i Roosevelt mogli ze sobą współpracować, dopóki nie pokonali Hitlera, też chyba potrafimy współpracować, dopóki nie oderwiemy tego cholerstwa od ziemi. Co ty na to?

Enders nic na to, lecz w końcu chwycił rękę Gardenera i wstał. Otrzepywał z ponurą miną ubranie, od czasu do czasu zaszczycając Gardenera spojrzeniem pełnym dezaprobaty.

— Chcesz zobaczyć, czy nasza studnia w skale już tryska?

— spytał Gardener. Nie czuł się tak dobrze od wielu dni, miesięcy, a może nawet lat. Wybuch złości bardzo dobrze mu zrobił.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nieważne — odrzekł Gardener, podszedł do krawędzi wykopu i zajrzał. Spodziewał się, że ujrzy wodę, usłyszy szum i bulgot. Nic takiego jednak nie zobaczył ani nie usłyszał. Chyba znów szczęście się do nich uśmiechnęło.

Nagle uświadomił sobie, że stoi pochylony nad czterdziestostopowym urwiskiem, opierając dłonie o uda, mając za plecami człowieka, któremu przed chwilą dał w twarz. Gdyby Enders miał ochotę, mógłby się rozpędzić i bez trudu wepchnąć mnie do tej dziury, pomyślał, słysząc jego słowa: *Gdybyś kogoś zaatakował, mógłbyś popełnić wielki błąd.*

Ale nie obejrzał się, a dobre samopoczucie, absurdalne i zupełnie nie na miejscu, nie chciało go opuścić. Wpakował się w taką kabałę, że nawet gdyby włożył sobie na głowę lustro wsteczne, żeby zawsze widzieć, kto stoi za jego plecami, niewiele by mu to pomogło.

Kiedy się w końcu odwrócił, Enders nadal stał obok wiaty, spoglądając na niego z miną urażonego kota, który właśnie dostał kopniaka. Gardener podejrzewał, że znów odbywa telekonferencję z resztą mutantów.

— Co ty na to? — zawołał do niego Gardener. Starł się, aby zabrzmiało to życzliwie, choć w jego głosie dała się słyszeć nutka ironii. — Jest tu kupa gruzu. Bierzemy się do roboty, czy dalej wylewamy żalę?

Enders wszedł pod wiatę, wyciągnął przenośnik lewitacyjny, którego używali do transportu większych kamieni, i ruszył w kierunku Gardenera. Gardener wziął przenośnik na plecy, ruszył w stronę liny z pętlą, a potem odwrócił się i spojrzął na Endersa.

— Nie zapomnij mnie wciągnąć, kiedy krzyknę.

— Nie zapomnę. — Oczy Endersa były mętne — a może tylko szkła jego okularów, ale Gardener stwierdził, że w ogóle go to nie obchodzi. Wsunął stopę w pętlę i zacisnął, a Enders wrócił do wyciągarki.

— Pamiętaj, Johnny. Wzgląd. To słowo na dziś.

John Enders bez słowa opuścił go w głąb wykopu.

4

Niedziela, 31 lipca

W niedzielę, kwadrans po jedenastej rano. Henry Buck, znany wśród przyjaciół jako Hank, popełnił w Haven ostatni akt czystego, irracjonalnego szaleństwa.

„Ludzie w Haven są bardzo porywczy” — powiedział Gardowi Enders. Podczas poszukiwań Davida Browna Ruth McCausland widziała dowody ich porywczosci; wyzwiska, przepychanki, od czasu do czasu ktoś dostał pięścią. Jak na ironię, to właśnie Ruth i normy moralne, których zawsze przestrzegała, sprawiły, że poszukiwania chłopca nie przerodziły się w ogólną bijatykę.

Porywczy? Zapewne lepiej byłoby powiedzieć o nich „szaleni”.

W szoku spowodowanym „przemianą” miasteczko zaczęło przypominać pokój wypełniony gazem, w którym wystarczyło, by ktoś zapalił zapałkę... albo wywołał katastrofę zupełnie przypadkowo, jak niewinny chłopiec z przesyłką, który naciska dzwonek, nieświadomie wywołując iskrę.

Jednak iskra nie padła. Częściowo za sprawą Ruth. Częściowo za sprawą Bobbi. Po odwiedzinach w szopie grupa złożona z sześciu mężczyzn i jednej kobiety, przypominająca hipisów — przewodników z lat sześćdziesiątych wprowadzających adeptów do świata LSD, zaczęła działać w Haven, pomagając jego mieszkańcom przebrnąć przez pierwszą trudną fazę „przemiany”.

Na szczęście dla ludzi z Haven wielki wybuch nie nastąpił — na szczęście dla ludzi w Maine, Nowej Anglii, może na całym kontynencie albo całej planecie. Nie twierdzą, że nigdzie we wszechświecie nie ma planet, które nie zmieniły się w wielkie bryły popiołu latające w przestrzeni kosmicznej dlatego, że wojna o to, kto zajął za dużo suszarek w

miejscowej pralni, przerodziła się w dzień globalnej zagłady. Nikt naprawdę nie wie, gdzie wszystko się skończy ani czy w ogóle się skończy. Natomiast pod koniec czerwca nastął taki moment, gdy świat mógł zostać rankiem zaskoczony wiadomością, że w nieznanym miasteczku w Maine rozgorzał straszliwy konflikt zagrażający Ziemi — który rozpoczął się od wymiany zdań na szalenie ważny temat: kto ma zapłacić rachunek w Haven Lunch.

Oczywiście pewnego dnia możemy wysadzić w powietrze świat bez niczyjej pomocy z powodów, które z perspektywy lat świetlnych mogą wydawać się zupełnie błahe; z odległego miejsca, gdzie się obracamy na jednej ze szprych Drogi Mlecznej w Małym Obłoku Magellana, kwestia, czy Rosjanie zaatakują pola naftowe w Iranie albo czy NATO zdecyduje się zainstalować amerykańskie rakiety Cruise w Niemczech Zachodnich, wydaje się równie ważna jak pytanie, kto ma dziś zapłacić za pięć filiżanek kawy i tyle samo porcji ciasta z kruszonką. Być może wszystko sprowadza się do tego samego, jeśli spojrzeć z galaktycznego punktu widzenia.

W każdym razie okres napięcia w Haven zakończył się z końcem lipca — do tego czasu prawie wszyscy w mieście stracili zęby, a u wielu zaczęły się inne, dziwniejsze mutacje. Siedem osób, które odwiedzały szopę Bobbi, obcując z tym, co czekało na nich w zielonym blasku, zaczęło doświadczać owych mutacji dziesięć dni wcześniej, lecz trzymało to w tajemnicy.

Zważywszy na charakter zmian, była to prawdopodobnie rozsądna decyzja.

Zemsta Hanka Bucka na Albercie „Pitsie” Barfieldzie zasługuje na krótką wzmiankę, ponieważ był to naprawdę ostatni akt skończonego szaleństwa.

Hank i Pits Barfield należeli do klubu czwartkowych pokerzystów, którego członkiem był również Joe Paulson. Poker skończył się jeszcze przed 31 lipca, ale nie dlatego, że ta dziwka Becka Paulson zwariowała i upiekła żywcem męża. Gra się skończyła, bo nie sposób blefować przy pokerze, kiedy wszyscy gracze mają zdolności telepatyczne.

Mimo to Hank żywił urazę do Pitsa Barfielda i im więcej o niej myślał, tym wydawała się głębsza. Przez wszystkie te lata Pits Barfield oszukiwał przy rozdawaniu. Kilku z nich miało pewne podejrzenia — Hank przypomniał sobie pewien wieczór w domu Kyle’a Archinbourga, chyba sprzed siedmiu lat, gdy grał w bilard z Mossem Harlingenem i Moss powiedział:

— Facet rozdaje ze spodu, Hank, jak amen w pacierzu. Szóstka do boku. Trach! Bila z szóstką weszła do bocznej tuzy jak po sznurku. — Ale gnojek jest w tym dobry. Jakby był trochę wolniejszy, bym go przyłapał.

— Skoro tak myślisz, to powinienesz wyjść z gry.

— Cholera! Wszyscy inni są uczciwi jak anioły. I prawda jest taka, że mogę ograć prawie każdego z nich. Dziewiątka. Do rogu. Bach! Zafajdany kutas, szybki jest i nigdy nie przesadza — bierze ze spodu tylko wtedy, jak zaczyna się splukiwać. Zauważyłeś, że w każdy czwartek wychodzi mniej więcej na czysto?

Hank zauważył. Mimo wszystko jednak sądził, że Moss po prostu wbił sobie coś do łba — nieźle grał w pokera i nie cierpiał każdego, od kogo nie udało mu się wyciągnąć kasy. Ale inni w ciągu paru lat zaczęli wyrażać podobne podejrzenia i większość wycofała się z gry — a byli to całkiem fajni goście, z którymi Hank lubił wypić parę piw i zagrać kilka partyjek. Wycofali się cicho, bez żadnych awantur i nikt nigdy nie dał do zrozumienia, że powodem ich decyzji może być Pits Barfield. Mówili, że w końcu udało im się dostać do ligi kręgli w Bangor i rozgrywki odbywają się w poniedziałki wieczorem, a żony nie chcą, żeby spędzali poza domem dwa wieczory w tygodniu. Że zmienił im się rozkład godzin w pracy i nie mogą już tak późno wychodzić. Tłumaczyli, że zbliża się zima (nawet, jeśli akurat był maj), muszą więc trochę podłubać przy skuterach śnieżnych.

I tak jeden po drugim odchodzili, zostawiając trzon grupy złożony z trzech, czasem czterech ludzi, którzy trzymali się do końca i nie było im dobrze ze świadomością, że tamci

zauważyli albo wyczuli szachrajstwo tak wyraźnie jak woń samogonu, którą często wydzielalo niemyte ciało Barfielda. Tamci się zorientowali. On, Kyle i Joe dali się wpuścić w maliny. I nie wychodzili z nich przez kilka ładnych lat.

Gdy „przemiana” w Haven zaczęła się na dobre, Hank wreszcie odkrył prawdę. Pits nie tylko oszukiwał przy rozdawaniu, ale także od czasu do czasu bawił się w dyskretne znaczenie kart. Nauczył się tej sztuczki podczas długich, monottonnych godzin służby w berlińskiej bazie–uzup, w której spędził parę miesięcy po zakończeniu drugiej wojny światowej. W gorące i parne lipcowe noce Hank leżał z bólem głowy, nie mogąc zasnąć, i wyobrażał sobie Pitsa, jak siedzi w ciepłym i przytulnym domu na farmie bez koszuli i butów, cuchnąc na kilometr, szczerząc się jak lis do gówna, i ćwiczy swoje sztuczki, marząc o frajerach, których oskubie zaraz po powrocie do domu.

Hank znosił te wizje i ból głowy przez całe dwa tygodnie... i nagle pewnej nocy go oświeciło. Postanowił, że wyśle Pitsa z powrotem do bazy–uzup. Może nie tej w Berlinie, ale do jakiejś bazy–uzup. Bazy–uzup jakieś pięćdziesiąt lat świetlnych stąd, a może pięćset albo pięć milionów. Do bazy–uzup w Strefie Widm. I Hank wiedział, jak to zrobić. Usiadł na łóżku wyprostowany, jakby kij połknął, uśmiechając się szeroko. Nareszcie minął mu ból głowy.

— A co to w ogóle jest baza–uzup, do diabła? — mruknął, ale zaraz uznał, że tym najmniej powinien sobie zawracać głowę. Wskoczył z łóżka i natychmiast zabrał się do pracy, o trzeciej nad ranem.

Zdybał Pitsa tydzień po tym, jak wpadł na swój wielki pomysł. Pits siedział przed sklepem Coodera i przechylony do tyłu na krześle oglądał zdjęcia w „Gallery”. Oto specjalność Pitsa, pomyślał Hank — oglądanie zdjęć nagich kobiet, rozdawanie ze spodu i smród bazy–uzup.

Była gorąca, pochmurna niedziela. Ludzie zobaczyli, jak Hank idzie w stronę Alberta „Pitsa” Barfielda, który siedział na krześle, oparłszy nogi w ciężkich butach o szczeble, i oglądał zdjęcia „dziewczyn z sąsiedztwa”, poczuli i usłyszeli pulsującą jednostajnie w głowie Hanka myśl

(bazauzupbazauzupbazauzupbazauzup)

ujrzeni w jego ręce wielki przenośny radiomagnetofon i pistolet wciśnięty z przodu za pasek od spodni i szybko odsunęli się na bok.

Pits był pochłonięty oglądaniem rozkładówki „Gallery”, na której szcudrze prezentowała się dziewczyna o imieniu Candi (czasopismo wyliczało jej zainteresowania, między innymi „żeglarstwo i mężczyźni o silnych i czułych dłoniach”), i uniósł głowę o wiele za późno, by uczynić jakiegokolwiek konstruktywne posunięcie. Zważywszy na rozmiary pistoletu, jaki Hank miał za pasem, ludzie wieczorem przy kolacji wyrażali przekonanie (otwierając usta tylko po to, by wsunąć w siebie kolejną porcję jedzenia), że biedny Pits prawdopodobnie spóźnił się w tę niedzielę ze wszystkim od samego rana, gdy wstał.

Krzesło przewróciło się z hałasem.

— Hej, Hank! Co...

Hank wyciągnął broń — pamiątkę swojego pobytu w armii. On odsłużył swoje w Korei, a nie w żadnej bazie–uzup.

— Lepiej siedź, gdzie siedzisz — powiedział Hank — bo inaczej będą musieli zmywać twoje flaki z okna sklepu, pieprzony kanciarzu.

— Hank... Hank... co...

Hank sięgnął za koszulę i wyciągnął małe słuchawki Borg. Podłączył je do wielkiego radia, włączył je i rzucił słuchawki Pitsowi.

— Nałóż je, Pits. Zobaczymy, jak załatwisz to rozdanie.

— Hank... proszę...

— Nie zamierzam z tobą pertraktować, Pits — oświadczył szczerze Hank. — Liczę do pięciu i jeżeli nie założysz słuchawek, zrobię ci operację zatok.

— Chryste, Hank, to była gra na pierdolone ćwierćdolarówki! — wrzasnął Pits. Pot spływał mu po twarzy, plamiąc koszulę khaki. Wydzielał bardzo intensywny zapach octu, niewiarygodnie odrażający.

— Raz... dwa...

Pits rozejrzał się gorączkowo. Nie było nikogo. Ulica opustoszała jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Żaden samochód nie jechał Main Street, choć kilka stało zaparkowanych skośnie przed sklepem. Zapadła absolutna cisza, w której obaj z Hankiem słyszeli muzykę dobiegającą ze słuchawek — Los Lobos zastanawiali się, czy wilk przeżyje.

— To była gra na cholerne ćwierćdolarówki z potrójnym podniesieniem stawki, zresztą prawie zawsze grałem fair! — wrzeszczał piskliwie Pits. — Jezu, niech go ktoś powstrzyma!

— ...trzy...

W ostatnim groteskowym odruchu buntu Pits krzyknął:

— Wkurwia się, bo zawsze przegrywał!

— Cztery — powiedział Hank, unosząc wojskowy pistolet.

Już prawie cała koszula Pitsa była pokryta niemal czarnymi plamami potu. Pits, przewracając oczami i cuchnąc jak kupa nawozu, którą właśnie potraktowano napalmem, w końcu się poddał.

— Już dobrze, dobrze! Dobrze! — wrzasnął, biorąc słuchawki. — Nakładam, widzisz? Nakładam!

Nałożył słuchawki na głowę. Nie opuszczając pistoletu,

Hank pochylił się nad maszyną, która mogła odtwarzać kasety i odbierać stacje radiowe na UKF i średnich. Nad przyciskiem odtwarzania pod kieszenią kasety był przyklejony kawałek taśmy, na którym widniało wypisane groźne słowo WYŚLIJ.

Hank wcisnął guzik.

Pits zaczął się drzeć. Po chwili wrzask stopniowo przycichł, jak gdyby ktoś przekręcił w nim gałkę natężenia dźwięku. Wydawało się także, jakby równocześnie ktoś zmniejszył nasycenie kolorów, fizyczną spójność jego postaci... wszystkie parametry jego „tu i teraz”. Pits Barfield zbladł jak stara fotografia. Jego usta poruszały się bezgłośnie, a skóra przybrała barwę mleka.

Za jego plecami jakby otworzył się kawałek rzeczywistości — mniej więcej wielkości dolnej połowy dwudzielnych drzwi. Zdawało się, że rzeczywistość — rzeczywistość Haven — obróciła się wokół jakiejś tajemniczej osi jak fałszywy regał w nawiedzonym domu. Za plecami Pitsa rozciągał się teraz nieziemski czarnofioletowy krajobraz.

Włosami Hanka targnął silny podmuch; kołnierz zatrzepotał, wydając odgłos jak karabin automatyczny z tłumikiem; śmieci leżące na asfalcie — papierki po cukierkach, zgniecione paczki po papierosach, kilka torebek po chipsach Humpty Dumpty — śmignęły przez jezdnie i wpadły prosto do tej dziury. Porwał je rwący strumień powietrza, które pędził w kierunku świata wypełnionego niemal całkowitą próżnią. Śmieci smyrnęły między nogami Pitsa, a niektóre, jak się zdawało Hankowi, przeleciały dosłownie przez jego nogi.

Nagle, jak gdyby sam stał się lekki jak śmieci walające się na sklepowym parkingu, Pits został wessany do dziury. W ślad za nim poleciał numer „Gallery”, którego kartki załopotwały jak skrzydła nietoperzy. Świetnie, pomyślał Hank. Będziesz miał co czytać w bazie—uzup, skurwielu. Krzesło Pitsa przechyliło się i zaczęło sunąć w stronę dziury, szorując po asfalcie, aż utknęło połową na zewnątrz. Tunel wirującego powietrza owinał się wokół Hanka, który pochylił się nad radiem, kładąc palec na przycisku STOP.

Zanim go wcisnął, usłyszał słaby, wysoki głos krzyczący z głębi mrocznego miejsca. Uniósł głowę, myśląc: To nie Pits.

Głos znów zawołał:

— ...Hilly...

Hank zmarszczył brwi. To był głos dziecka. Głos dziecka, w którym rozpoznawał coś znajomego. Coś...

— ...skończy? Chcę wracać do dooomu...

Rozległ się głośny, matowy brzęk szyby w oknie sklepu Coodera, która w zeszłą niedzielę wleciała do środka po wybuchu wieży ratuszowej, a dziś została wyssana na zewnątrz. Odłamki szkła tańczyły wokół Hanka, nie robiąc mu jednak żadnej krzywdy.

— ...proszę, trudno mi oddyyyychać...

Puszki fasoli B&M po promocyjnej cenie, które wcześniej piętrzyły się na witrynie sklepu, zaczęły latać wokół Hanka, po czym zniknęły wsysane przez drzwi rzeczywistości, które udało mu się otworzyć. Po jezdni sunęły z suchym, papierowym szelestem pięciofuntowe torebki odżywkki do trawników i dziesięciofuntowe torby węgla drzewnego.

Trzeba zamknąć cholerstwo, pomyślał Hank i jakby na potwierdzenie jego przekonania, puszka fasoli wyrznęła go w tył głowy, wyleciała wysoko w powietrze i wpadła w siłą otchłań.

— *Hillyyyyyy...*

Hank wdusił klawisz STOP. Drzwi natychmiast zniknęły. Krzesło, które utknęło w otworze, zostało z chrzęstem przecięte niemal równo po przekątnej. Połowa krzesła leżała na asfalcie. Drugiej połowy nigdzie nie było.

Randy Kroger, Niemiec, który był właścicielem Coodera od końca lat pięćdziesiątych, złapał Hanka i odwrócił go do siebie.

— Płacisz za szybę z wystawy, Buck — powiedział.

— Jasne, Randy, jak sobie życzysz — zgodził się Hank, masując w oszołomieniu guza, który zaczął mu rosnać z tyłu głowy.

Kroger pokazał dziwną skośną połówkę krzesła leżącą na asfalcie.

— Za krzesło też — oświadczył i wszedł z powrotem do sklepu.

I tak skończył się lipiec.

5

Poniedziałek, 1 sierpnia

John Leandro skończył mówić, wychylił resztę piwa i zapytał Davida Brighta:

— Jak sądzisz, co powie?

Bright namyślał się przez chwilę. Siedzieli z Leandrem w Bounty Tavern, urządzonym z krzykliwym przepychem pubie w Bangor, który miał tylko dwie zalety — znajdował się prawie dokładnie naprzeciw redakcji „Daily News” i w poniedziałek można tu było dostać butelkę heinekena za jednego dolca.

— Sądzę, że najpierw każe ci szybko jechać do Derry i obskoczyć resztę miejscowych wydarzeń — rzekł Bright. — A potem może cię zapytać, czy pomyślałeś o pomocy psychiatry.

Leandro wyglądał na zupełnie zdruzgotanego. Miał dopiero dwadzieścia cztery lata i dwie poważne sprawy, o których ostatnio napisał — zniknięcie (czytaj: prawdopodobne morderstwo) dwóch policjantów ze stanowej i samobójstwo trzeciego — zaostrzyły mu apetyt na naprawdę mocny materiał. W porównaniu z perspektywą wzięcia udziału w niebezpiecznych nocnych poszukiwaniach ciał dwóch policjantów ze stanowej reportaż z kolacji dobroczynnej wydawanej przez organizację weteranów w Derry wydawał się mało atrakcyjny. Leandro nie miał ochoty rezygnować z poważnego materiału. Bright prawie mu współczuł — ale kłopot Leandra polegał na tym, że był neptkiem. Dwudziestoczteroletniego neptka można jeszcze zaakceptować. Bright jednak był prawie pewien, że Johnny Leandro będzie neptkiem w wieku czterdziestu czterech lat... sześćdziesięciu czterech... i osiemdziesięciu czterech, jeżeli dożyje.

Myśl o osiemdziesięcioletnim neptku robiła wrażenie i napawała go prawdziwą grozą. Bright postanowił mimo wszystko zamówić jeszcze jedno piwo.

— Żartuję — powiedział.

— Czyli sądzisz, że pozwoli mi pociągnąć tę sprawę?

— Nie.

— Przecież powiedziałaś...

— Żartowałem, mówiąc o psychiatrze — odrzekł cierpliwie Bright. — To znaczy, tylko o psychiatrze.

Osobą, o której mówili, był Peter Reynault, redaktor działu miejskiego. Już wiele lat temu Bright nauczył się, że redaktorzy działu miejskiego mają jedną cechę wspólną z Bogiem Wszchemogącym i podejrzewał, że John Leandro wkrótce się o tym przekona. Dziennikarze mogli składać propozycje, ale to redaktorzy tacy jak Peter Reynault wydawali dyspozycje.

— Ale...

— Nie masz czego ciągnąć — powiedział Bright.

Gdyby elita Haven — ci, którzy odwiedzali szopę Bobbi Anderson — mogła słyszeć to, co potem powiedział Leandro, resztę swojego życia mógłby policzyć w dniach... może nawet w godzinach.

— Muszę pociągnąć sprawę Haven — powiedział i trzema dużymi łykami osuszył ciemnego heinekena. — Wszystko zaczyna się właśnie tam. Dzieciak znika w Haven, kobieta ginie w Haven, Rhodes i Gabbons wracali z Haven. Dugan popełnia samobójstwo. Dlaczego? Bo kochał tę McCausland, jak napisał. McCausland z Haven.

— Nie zapomnij o uroczym dziaduniu — rzekł Bright. Wszystkim naokoło mówi, że jego wnuk zniknął w wyniku jakiegoś spisku. Spodziewałem się, że zacznie szeptać o Fu Manchu i białych niewolnikach.

— A więc co to jest? — spytał teatralnym tonem Leandro. Co się dzieje w Haven?

— To na pewno sprawa podstępного doktora — powiedział Bright. Dostał piwo, ale nie miał już na nie ochoty. Chciał stąd wyjść. Popełnił błąd, wspominając o uroczym dziaduniu. Na myśl o Hillmanie ogarnął go lekki niepokój. Jasne, że dziadunio miał nierówno pod sufitem, ale w jego oczach było coś takiego...

— Co?

— Doktora Fu Manchu. Jeżeli zobaczysz gdzieś w okolicy Naylanda Smitha, będziesz miał bombę stulecia. — Bright nachylił się bliżej i szepnął ochryple: — Biali niewolnicy. Pamiętaj, kto pierwszy ci o tym powiedział, gdy zadzwonią do ciebie z „New York Timesa”.

— Nie uważam, żeby to było zabawne, David.

Osiemdziesięcioletni neptek, pomyślał znów Bright.

Tylko sobie wyobraźcie.

— O, albo coś takiego — ożywił się Bright. — Małe zielone ludziki. Rozpoczęła się już inwazja na Ziemię, tylko nikt jeszcze o tym nie wie. I proszę — ta-da! „Nikt nie wierzy młodemu reporterowi! Robert Redford jako John Leandro we wstrząsającej epopei...”.

Podszedł barman i powiedział:

— Może trochę ciszej?

Leandro wstał z kamienną miną. Rzucił na ladę trzy banknoty dolarowe.

— Masz sztubackie poczucie humoru, David.

— Albo tak — ciągnął w rozmarzeniu Bright. — Fu Manchu w komitywie z zielonymi ludzikami z kosmosu. Piekielny sojusz. I nikt o tym nie wie poza tobą, Johnny. *Klaatu barada nictu!**

* Zdanie pochodzące z filmu „Dzień, w którym Ziemia zamarła” z 1951 roku; Klaatu — imię bohatera, przybysza z innej planety, który przywozi Ziemianom ultimatum: albo wyrzekną się broni atomowej, albo ich planetę czeka zagłada (przyp. tłum.).

— Nie obchodzi mnie, czy Reynault pozwoli mi to pociągnąć, czy nie — oświadczył Leandro, a Bright zauważył, że być może trochę przeciągnął strunę: neptek się wściekł. — W przyszyły piątek zaczyna mi się urlop. Mogę pojechać do Haven.

Pociągnę to na własną rękę.

— Jasne — odrzekł podekscytowany Bright. Wiedział, że powinien już dać spokój, bo w przeciwnym razie Leandro spróbuje dać mu w zęby, ale facet sam go prowokował. — Jasne, przecież nie może być inaczej! Redford nie wzięłby tej roli, gdyby nie mógł zagrać samotnego bohatera. Samotny Wilk! *Klaatu barada nictu!* Nie mogę! Tylko kiedy tam pojedziesz, nie zapomnij zabrać specjalnego zegarka.

— Jakiego zegarka? — zapytał Leandro z tym samym gniewnym wyrazem twarzy. Och, był wkurzony, lecz mimo to trzymał fason.

— No wiesz, kiedy wyciągniesz pokrętło, wysyła sygnał ultradźwiękowy, który słyszy tylko Superman — odparł Bright, demonstrując mu to na swoim własnym zegarku (i wylewając sobie na spodnie sporą część piwa). — Robi takie ziuuum...

— Nie obchodzi mnie, co sądzi Peter Reynault, i nie obchodzą mnie twoje głupie żarty — rzekł Leandro. — Obaj możecie się bardzo zdziwić.

Ruszył do wyjścia, ale odwrócił się jeszcze.

— Tak między nami, uważam, że jesteś cynicznym palantem bez wyobraźni.

Wygłosiwszy to pożegnanie, Johnny Leandro obrócił się na pięcie i dostojnym krokiem opuścił pub.

Bright uniósł szklanekę w stronę barmana.

— Za wszystkich cynicznych palantów tego świata — powiedział. — Nie mamy wyobraźni, ale jesteśmy wyjątkowo odporni na neptektyzm.

— Jak pan uważa — odparł barman. Wydawało mu się, że wszystko już w życiu widział... ale przecież nigdy nie stał za barem w Haven.

6

Wtorek, 2 sierpnia

Późnym popołudniem w gabinecie Newta Berringera spotkało się sześć osób. Dochodziła siedemnasta, ale zegar na wieży — która wyglądała jak prawdziwa, choć mógłby przez nią przelecieć ptak, gdyby jakiegokolwiek ptaki ocalały w Haven — wciąż pokazywał pięć po trzeciej. Wszyscy spędzili pewien czas w szopie Bobbi; Adley McKeen był najmłodszym stażem członkiem grupy. Resztę stanowili Newt, Dick Allison, Kyle, Hazel i Frank Spruce.

Omówili rzeczy, które musieli omówić, nie odzywając się ani słowem.

Frank Spruce zapytał, co z Bobbi.

Jeszcze żyje — odparł Newt; tylko tyle wiedzieli. — Może jeszcze kiedyś wyjdzie z szopy. Prawdopodobnie jednak nie. Tak czy inaczej, będą wiedzieli, kiedy to się stanie.

Rozmowa na chwilę zesłała na temat tego, co Hank Buck zrobił dwa dni temu, i wołania, które, jak twierdził, dochodziło z tamtego świata. Żadne z nich nie przejmowało się zbytnio losem niesławnej pamięci Pitsa Barfielda. Być może poniósł karę odpowiednią do zbrodni; być może nieco zbyt surową. Nieważne. Stało się. Hank nie poniósł żadnych konsekwencji swojego czynu; dał Randy'emu Krogerowi czek za stłuczoną szybę w wystawie i towary wessane w dziurę, którą Hank wybił w rzeczywistości. Kroger zadzwonił do banku Northern National w Bangor, aby sprawdzić, czy czek ma pokrycie. Kiedy okazało się, że ma, nic więcej go nie obchodziło.

Niewiele mogli postanowić w sprawie Hanka, nawet gdyby mieli ochotę; jedyna ceka w mieście znajdowała się w zaadaptowanym magazynie w piwnicy ratusza, gdzie Ruth puszkowała od czasu do czasu weekendowych pijaczków, ale Hank Buck mógł spędzić tam w najlepszym razie dziesięć minut. Potrafiłby stamtąd uciec nawet silny czternastolatek. Nie

mogli też odesłać Hanka do aresztu okręgowego. Zarzut mógłby się wydawać dość dziwny. Pozostawały dwa proste rozwiązania: albo dadzą mu spokój, albo wyprawią na Altair-4. Na szczęście mogli zajrzeć w głąb umysłu Hanka i dokładnie zbadać jego motyw. Przekonali się, że jego gniew i oszołomienie powoli ustępują, jak u wszystkich w mieście. Nie był już skłonny do tak radykalnych działań, więc odebrali mu tylko przerobione radio, poprosili, żeby nie konstruował nowego i zajęli się sprawą, która wydawała im się ważniejsza... głosem, jaki Hank rzekomo usłyszał.

— To na pewno był David Brown — powiedział Frank Spruce. — Ktoś ma wątpliwości?

Nikt nie miał.

David Brown był na Altairze-4.

Nikt nie wiedział, gdzie dokładnie jest Altair-4, ale nie obchodziło ich to zbytnio. Nazwa pochodziła z jakiegoś starego filmu* i znaczyła nie więcej niż Stukostrachy, które pochodziły z jakiegoś starego wierszyka. Ważne (choć nawet nie tak bardzo), że Altair-4 był czymś w rodzaju kosmicznego magazynu, gdzie przechowuje się najróżniejsze rzeczy. Hank wysłał tam Pitsa, ale najpierw poddał cuchnącego sukinsyna jakiemuś gównianemu procesowi dezintegracji.

Wszystko wskazywało na to, że z Davidem Brownem stało się inaczej.

Nastąpiła długa, pełna namysłu cisza.

(tak, pewnie tak)

Ostatniej myśli nie można było przypisać konkretnej osobie; była wspólna i stanowiła całość samą w sobie.

(ale po co po co się przejmować)

Spojrzeni po sobie bez emocji. Potrafili odczuwać emocje, lecz nie w tak mało znaczącej sprawie jak ta.

Sprowadźmy go z powrotem — powiedziała obojętnie Hazel. — Bryant i Marie się ucieszą. I Ruth. Na pewno by tego chciała. Przecież wszyscy ją kochaliśmy. — Pomyślała to takim tonem jak kobieta, która proponuje, żeby przyjaciółka kupiła synowi coś do picia w nagrodę za to, że był grzeczny.

— Nie — odezwał się Adley i wszyscy na niego spojrzeli. Po raz pierwszy włączył się do rozmowy. Wyglądał na zawstydzonego, lecz mimo to ciągnął dalej. — Zaraz się tu zjawia wszystkie gazety i stacje telewizyjne, żeby zrelacjonować „cudowny powrót”. Myślą, że chłopiec nie żyje — to czterolatek i nie ma go od ponad dwóch tygodni. Jeżeli się nagle pojawi, wzbudzi wielką sensację.

Wszyscy kiwali głowami.

I co by powiedział? — wtrącił Newt. — Gdyby go zapytali, gdzie był, co by powiedział?

— Moglibyśmy wyczyścić mu pamięć — powiedziała Hazel. To nie kłopot, a prasa uznałaby amnezję za rzecz całkiem naturalną w tych okolicznościach.

(tak ale nie o to chodzi)

Znów wiele głosów mówiło jednym głosem. Połączyły się w dziwną zbitkę słów i obrazów. Chodziło o to, że wszystko zaszło za daleko, by można było wpuścić do miasta kogokolwiek poza przejezdny... których większość mogły zniechęcić fałszywe roboty drogowe i znaki objazdu. Najmniej pożądanymi gośćmi w Haven byli reporterzy i ekipy telewizyjne. Na filmie nie byłoby widać wieży zegarowej; była tylko slajdem myślowym, niczym więcej niż halucynacją. Nie, biorąc pod uwagę całą sytuację, najlepiej zostawić Davida Browna w spokoju. Na razie nic mu się nie stanie. Mało wiedzieli o Altairze-4, widzieli jednak, że czas płynie tam inaczej — odkąd Ziemia została wyrzucona ze Słońca, na Altairze-4 upłynął niecały rok. Czyli David Brown dostał się tam dosłownie przed chwilą. Mógł oczywiście umrzeć; jego organizm mogły zaatakować jakieś mikroby, mógłby go

* „Zakazana planeta” w reż. F. M. Wilcoxa z 1956 roku (przyp. tłum.).

pożreć jakiś szczur buszujący w magazynach na Altairze-4 albo mógłby umrzeć w wyniku szoku. Prawdopodobnie jednak przeżyje, lecz gdyby umarł, to naprawdę nie było ważne.

Mam przeczucie, że chłopiec mógłby się przydać — powiedział Kyle.

(jak)

Dla zmyłki.

(co to znaczy)

Kyle nie wiedział dokładnie, co to może znaczyć. Było to tylko przeczucie, że gdyby znów Haven znalazło się w blasku reflektorów — co próbowała osiągnąć Ruth, używając do tego celu swoich wybuchających lalek, które spisały się o wiele lepiej, niż miały — mogłoby sprowadzić Davida Browna z powrotem i umieścić go gdzie indziej. Gdyby zrobić to dobrze, może zyskaliby trochę czasu. Czas zawsze stanowił kłopot. Czas na „przemianę”.

Kyle ubierał to wszystko w myśli dość nieskładnie, ale pozostali przysłuchiwali się, kiwając głowami. Dobrze byłoby jeszcze trochę, by tak rzec, potrzymać Davida Browna za kulisami.

(uważajcie, żeby Marie się o tym nie dowiedziała — jej „przemiana” nie zaszła jeszcze dość daleko — musicie to przed nią ukryć na jakiś czas)

Wszyscy sześcioro rozejrzeli się zdumionymi oczyma. Głos, słaby, lecz wyraźny, nie należał do żadnego z nich. Był to głos Bobbi Anderson.

Bobbi! — zawołała Hazel, na wpół unosząc się z krzesła. Bobbi, nic ci nie jest? Jak się czujesz?

Brak odpowiedzi.

Bobbi tu nie było — w powietrzu nie czuli nawet jej śladu.

Spoglądali po sobie z uwagą, sprawdzając wzajemnie swoje reakcje na tę myśl, utwierdzając się w przekonaniu, że to naprawdę była Bobbi. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że gdyby każdy z nich był sam i nie mógł potwierdzić swego wrażenia u drugiej osoby, na pewno uznałby to za niewiarygodnie silną halucynację.

Jak mamy to ukryć przed Marie? — spytał niemal ze złością Dick Allison. — Nie da się niczego przed nikim ukryć!

Owszem — odparł Newt. — Da się. Może jeszcze nie za dobrze, ale trochę potrafimy maskować swoje myśli. Zasłaniać je przed innymi. Dlatego że

(że byliśmy)

(byliśmy tam)

(byliśmy w szopie)

(w szopie Bobbi)

(nakładaliśmy słuchawki w szopie Bobbi)

(i jedliśmy jedliśmy żeby się „przemienić”)

(bierzcie i jedzcie to czyńcie na moją pamiątkę)

Wszyscy wydali ciche westchnienie.

Musimy wracać — powiedział Adley McKeen. — Prawda?

— Tak — powiedział Kyle. — Musimy. — Pierwszy raz w trakcie spotkania ktoś przemówił na głos. Oznaczało to koniec narady.

7

Środa, 3 sierpnia

Andy Bozeman, który był jedynym pośrednikiem handlu nieruchomościami w Haven — a trzy tygodnie temu zamknął biuro — odkrył, że człowiek bardzo szybko oswaja się z umiejętnością czytania w myślach. Nie zdawał sobie tylko sprawy, że dzieje się to aż tak szybko i tak bardzo można się od tego uzależnić, dopóki nie przyszła jego kolej, by pojechać na farmę Bobbi pomóc w pracy i mieć oko na pijaka.

Pewien kłopot sprawiało mu przebywanie tak blisko statku — spodziewał się tego po rozmowie z Endersem i Tremainem. Miał wrażenie, jakby przebywał tuż obok największego na świecie źródła energii elektrycznej; czuł na skórze wiry i prądy tajemniczej siły jak dotyk trąby powietrznej na pustyni. Od czasu do czasu nasuwały mu się jakieś wielkie pomysły, uniemożliwiając koncentrację na tym, co akurat robił. Od czasu do czasu zdarzało się coś wręcz przeciwnego: myśl urywała się zupełnie jak transmisja mikrofalowa przerwana strumieniem promieniowania ultrafioletowego. Przede wszystkim jednak miał świadomość fizycznej obecności statku tuż obok siebie, ogromnego kształtu wprost ze snu. Świadomość napawała go radością, grozą, zachwytem i lękiem. Bozeman domyślał się, co musieli czuć Izraelici niosący przez pustynię Arkę Przymierza. W jednym ze swoich kazań wielebny Goohringer mówił, że któryś z nich odważył się wsadzić tak głowę, żeby zobaczyć, o co tyle hałasu, i natychmiast padł martwy.

Bo w środku był Bóg.

Andy sądził, że w statku też może być Bóg. I nawet jeśli Bóg stamtąd uszedł, mógł coś po sobie zostawić... część Siebie. Rozmyślanie o tym bardzo utrudniało mu skupienie się na chwili obecnej.

I do tego niepokojąca zasłona w umyśle Gardenera. Człowiek zderzał się z nią jak z zamkniętymi drzwiami, które powinny stać otworem. Trzeba było na niego wrzeszczeć, żeby coś podał, a on nawet nie odrywał się od pracy.

Po prostu... nie odpowiadał. Czasem Andy próbował się do niego dostroić, po prostu wpaść w tok jego myśli, tak jak podnosi się słuchawkę telefonu podłączonego do wspólnej linii, żeby sprawdzić, kto rozmawia, i nie słyszy się żadnego głosu. Żadnego. Głuchy telefon.

Zabrzączał interkom przybity od wewnętrznej wiaty. Przewód biegł przez zrytą ziemię i błoto, znikając w rowie, z którego wystawał statek.

Bozeman przesunął przełącznik na NADAWANIE.

— Jestem.

— Ładunek odbezpieczony — powiedział Gardener. — Wyciągnij mnie. — Miał bardzo zmęczony głos. Wczoraj wieczorem musiał sobie zaaplikować niezły kawał ordynarnego pijaństwa, jak domyślał się Bozeman, sądząc z odgłosów rzygania, jakie około północy dobiegały z werandy z tyłu domu. A gdy rano zajrzał do sypialni Gardenera, zobaczył krew na poduszce.

— Już. — Epizod z Endersem nauczył wszystkich, że kiedy Gardener kazał, żeby go wciągnąć, lepiej nie marnować czasu.

Podszedł do wyciągarki i zaczął obracać bęben. Musiał to robić ręcznie, co bardzo go wkurzało, ale znów chwilowo brakowało baterii. Jeszcze tydzień i wszystko będzie chodziło jak w zegarku... choć Bozeman wątpił, czy to zobaczy. Przebywanie w pobliżu statku było wyczerpujące. Przebywanie w pobliżu Gardenera też, ale inaczej — jak gdyby miał obok siebie naładowaną broń z lekko chodzącym spustem. Biedny John Enders dał się zaskoczyć i frajersko oberwał — tylko dlatego, że niczego nie przeczuł, bo Gardener miał tę paskudną zasłonę. Od czasu do czasu myśl — częściowa lub cała — wynurzała się jak bańka na powierzchnię jego umysłu, czytelna jak nagłówek w gazecie, ale to było wszystko. Może Endersowi się należało — Bozeman wiedział, że on nie straciłby do tego stopnia głowy, gdyby został na dnie wykopu z wybuchowym radiem. Ale nie o to chodzi. Johnny po prostu nie potrafił przewidzieć, co się święci. Gardener mógł zrobić cokolwiek i kiedykolwiek, a nikt nie umiałby go powstrzymać, bo nikt nie potrafiłby przewidzieć, co się święci.

Andy Bozeman niemal pragnął śmierci Bobbi, żeby się go mogli pozbyć. To prawda, że osamotnionym ludziom z Haven robota będzie szła gorzej i wolniej, ale skóra warta była wyprawki.

Człowiek czuł się kurewsko nieswojo, gdy nagle Gardener zaskakiwał go czymś nie z tej ziemi.

Na przykład dziś rano. Zrobili sobie przerwę na kawę. Bozeman siedział na pieńku, jedząc suchara z masłem orzechowym i popijając kawę mrożoną z termosu. Zawsze wolał gorącą kawę od zimnej, nawet gdy było ciepło, lecz odkąd stracił zęby, nie przepadał za gorącymi napojami.

Gardener siedział po turecku, niczym mistrz jogi, na płachcie brudnego brezentu, jedząc jabłko i pijąc piwo. Bozeman nigdy nie widział nikogo, kto jednocześnie jadłby jabłko i pił piwo, zwłaszcza rano, ale Gardener właśnie to robił. Ze swojego miejsca Bozeman widział bliźnię mniej więcej cal nad lewą brwią Gardenera. Pod nią kryła się zapewne stalowa płytka. Przez nią...

Gardener odwrócił głowę i pochwycił spojrzenie Bozemana. Bozeman zarumienił się, zastanawiając się, czy Gardener zacznie jakąś awanturę. Czy podejdzie i zada mu taki frajerski cios jak Johnny'emu Endersowi. Jeżeli spróbuje, pomyślał Bozeman, zaciskając pięści, zobaczy, że nie jestem taki frajer.

Natomiast Gardener zaczął mówić czystym i donośnym głosem — z cynicznym uśmiechem na ustach. Po chwili Bozeman zorientował się, że nie mówi, ale recytuje. Facet siedział po turecku w głębi lasu na brudnym brezencie, potwornie skacowany, na policzku tańczyły refleksy rzucane przez błyszczące cielsko statku w ziemi, a on recytował jak uczeń. Bozeman mógłby zaświadczyć wszem wobec, że facet jest kurewsko nieźrównoważony. Szczerze życzył Gardenerowi śmierci.

— „Tomek oddał wreszcie pędzel z niechęcią na twarzy a z wielką radością w sercu — mówił Gardener z na wpół przymkniętymi oczami i twarzą zwróconą w stronę porannego słońca. Z ust nie znikał mu ten uśmiezek. — I podczas gdy niedawny parowiec «Wielka Missouri» pracował w pocie czoła, artysta, który poniechał pędzla, siedział obok na beczce w cieniu, dyndał nogami, zjadał jabłko i myślał o rzezi dalszych niewiniątek”.

— Co... — zaczął Andy, lecz Gardener, uśmiechając się znacznie szerzej niż dotychczas — choć nie mniej cynicznie zupełnie go zlekceważył.

— „Ofiar było w bród. Co chwila zjawiali się chłopcy. Przybiegali, aby drwić z Tomka i zostawiali, aby malować parkan. Kiedy Ben upadał już ze zmęczenia, Tomek wypożyczył z kolei pędzel Billowi Fisherowi w zamian za latawca w dobrym stanie, a gdy i Bill miał już dosyć, prawo bielenia nabył Johnny Miller za zdechłego szczura i kawałek sznurka, na którym można nim było wywijać...”.*

Gardener dokończył piwo, beknął i przeciągnął się.

— Nie zapłaciłeś mi zdechłym szczurem i kawałkiem sznurka, na którym można nim wywijać, ale mam interkom, Bozie, to chyba dobre na początek, nie?

— Nie wiem, o czym mówisz — odparł wolno Bozeman. Studiował zarządzanie przez dwa lata, po których musiał rzucić college i zacząć pracować. Jego ojciec chorował na serce i chroniczne nadciśnienie. Tacy egzaltowani goście zawsze go denerwowali. Traktowali zwykłych ludzi z wyższością, jak gdyby fakt, że umieli zacytować słowa napisane przez kogoś, kto umarł dawno temu, sprawiał, że ich gównem pachnie ładniej niż innych.

— Jasne. To z drugiego rozdziału „Tomka Sawyera”. Kiedy Bobbi mieszkała w Utice i chodziła do siódmej klasy, urządzili im recital szkolny. To był konkurs recytatorski. Nie chciała brać w nim udziału, ale jej siostra Anne postanowiła, że powinna wystąpić, że to dla jej dobra czy coś w tym rodzaju, a kiedy Anne coś postanowiła — o, to było postanowione. Anne była wtedy straszną sekutnicą, Bozie, i teraz też jest straszną sekutnicą. Tak mi się przynajmniej wydaje. Dawno jej nie widziałem i, kurczę, cieszę się z tego powodu. Chyba można jednak zaryzykować twierdzenie, że jest taka sama. Tacy ludzie jak ona bardzo rzadko się zmieniają.

* „Przygody Tomka Sawyera” w przekładzie Kazimierza Piotrowskiego (przyp. tłum.).

— Nie mów do mnie Bozie — rzekł Andy w nadziei, że sprawi wrażenie groźniejszego, niż był w rzeczywistości. — Nie lubię tego.

— Kiedy miałem Bobbi na pierwszym roku, napisała kiedyś o tym, jak ją sparaliżowało, gdy próbowała wyrecytować fragment „Tomka Sawyera”. Mało nie pękłem ze śmiechu. Gardener wstał i ruszył w kierunku Andy’ego, który przyglądał mu się zdjęty nagłym niepokojem. — Następnego dnia rozmawiałem z nią po zajęciach i zapytałem, czy jeszcze pamięta, jak szedł „Znakomity pacykarz”. Pamiętała. Wcale się nie zdziwiłem. Pewnych rzeczy się nie zapomina, zwłaszcza gdy siostra albo matka wypychają cię na scenę w jakimś koszmarnym recitalu szkolnym. Możesz zapomnieć tekstu, gdy stoisz przed tymi wszystkimi ludźmi. Poza tym jednym wyjątkiem mógłbyś go wyrecytować na łożu śmierci.

— Słuchaj — powiedział Andy — powinniśmy wracać do pracy...

— Powiedziała ze cztery zdania, a potem do niej dołączyłem. Szczeka jej opadła prawie do kolan. Potem Bobbi zaczęła się uśmiechać i wyrecytowaliśmy cały tekst, słowo po słowie. Nie było w tym nic dziwnego. Oboje byliśmy w dzieciństwie nieśmiali. Smokiem w jej jaskini była siostra, smokiem w mojej — matka. Tacy ludzie często dochodzą do dziwnych wniosków, że sposobem wyleczenia dziecka z nieśmiałości jest postawienie go w sytuacji, która najbardziej go przeraża — na przykład na recitalu szkolnym. Nie był to nawet szczególnie zbieg okoliczności, że oboje nauczyliśmy się na pamięć fragmentu o bieleniu parkanu. Jedynym tekstem popularniejszym wśród recytatorów było „Serce — oskarżycielem”.

Gardener nabrał powietrza i wrzasnął:

— „Nikczemni! Nie udawajcie dłużej! Nie dręczcie mnie więcej! Wyznaję wszystko! Zerwijcie te deski! To tam! Tam pod podłogą! To trzepot jego straszliwego serca!...”

Andy wydał zduszony pisk. Upuścił termos i wylał sobie pół kubka kawy mrożonej na spodnie.

— Ojoj, Bozie — rzekł życzliwym tonem Gardener. — Taka plama nigdy nie zejdzie z poliestrowych spodni. Jedyna różnica między nami polegała na tym — ciągnął Gardener — że mnie nie paraliżowało. Wygrałem nawet drugą nagrodę. Ale nie wyleczyłem się ze strachu przed przemawianiem do ludzi... właściwie bałem się jeszcze bardziej. Ilekroć staję przed publicznością, żeby czytać wiersze, patrzę w te wygłodniałe oczy... myślę o malowaniu parkanu w „Znakomitym pacykarzu”. I myślę o Bobbi. Czasem to wystarczy, żeby jakoś przetrwać. W każdym razie, dzięki temu zostaliśmy przyjaciółmi.

— Nie rozumiem, co to może mieć wspólnego z naszą robotą! — krzyknął Andy napastliwym tonem, zupełnie do niego niepodobnym. Ale serce za szybko mu waliło. Gdy Gardener nieoczekiwanie wrzasnął, przez moment naprawdę mu się zdawało, że facet oszalał.

— Naprawdę nie widzisz podobieństwa z bieleniem parkanu? — spytał Gardener, po czym parsknął śmiechem. — Wobec tego musisz być ślepy, Bozie.

Pokazał statek wystający z szerokiego wykopu dokładnie pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

— Wykopujemy go zamiast malować, ale to w niczym nie zmienia zasady. Wykończyłem Bobby’ego Tremaina i Johna Endersa i jeżeli jutro tu wrócisz, z ciebie też wypruję żyły. Chodzi o to, że nie dostaję nic w zamian. Powiedz temu, kto ma się tu jutro zjawić, że chcę zdechłego szczura i kawałek sznurka, na którym można nim wywijać... albo przynajmniej białą kulę do gry. — Gardener zatrzymał się w pół drogi do wykopu. Obejrzał się przez ramię na Andy’ego. Nigdy dotąd Bozeman nie czuł się tak nieswojo jak teraz, gdy nie mógł odczytać myśli tego wysokiego mężczyzny o opadających ramionach i niewyraźnej, dziwnie nieregularnej twarzy.

* Edgar Allan Poe, „Serce — oskarżycielem” w przekładzie Bolesława Leśmiana (przyp. tłum.).

— Mam lepszy pomysł, Bozie — powiedział Gardener tak cicho, że Andy ledwie go mógł usłyszeć. — Przyrowadź tu jutro Bobbi. Chciałbym się przekonać, czy Nowa Ulepszona Bobbi wciąż pamięta „Znakomitego pacykarza” z „Przygód Tomka Sawyera”.

Potem bez słowa wsunął stopę w pętlę liny i czekał, by Bozeman spuścił go na dno wykopu.

Dla Andy’ego było to zagranie zupełnie nie z tej ziemi. Obracając teraz bęben wciągarki, dodał w myśli, że to było dopiero pierwsze piwo tego dnia. *Przy lunchu strzeli jeszcze pięć czy sześć i naprawdę zaczniesz świrować.*

Gardener wynurzył się z rowu, kołysząc się na linie, a Andy’ego korciło, żeby puścić korbę bębna. Załatwić sprawę raz na zawsze.

Jednak nie mógł — Gardener należał do Bobbi Anderson i dopóki Bobbi nie umrze albo nie wyjdzie z szopy, wszystko musiało się toczyć mniej więcej tak, jak dotychczas.

— Chodź, Bozie. Niektóre kamienie latają dość daleko. — Ruszył w stronę wiaty. Andy szybko podążył za nim i go dogonił.

— Mówiłem ci, żebyś nie mówił na mnie Bozie — rzekł.

Gardener posłał mu zagadkowo obojętne spojrzenie.

— Wiem — powiedział.

Stanęli za wiatą. Trzy minuty później wykopem znów targnął potężny huk. W niebo wystrzelił strumień kamieni, a potem opadł, stukając głucho w kadłub statku.

— No, to cho... — zaczął Bozeman.

Gardener chwycił go za ramię. Przechylił głowę, a w jego ciemnych oczach odmalowała się czujność.

— Cii!

Andy wyrwał rękę z uścisku.

— Co się z tobą dzieje, do diabła?

— Nie słyszysz?

— Nie sły...

Ale wtedy usłyszał. Z wykopu dobiegało syczenie jakby gigantycznego czajnika. Dźwięk narastał. Andy’ego ogarnęło nagle szalone podniecenie. I nie mniej szalony strach.

— To oni! — szepnęła, odwracając się do Garda. Miał oczy wielkości filiżanek. Lśniące od śliny wargi drżały. — Wcale nie umarli, obudziliśmy ich... wychodzą!

— Oto Jezus przychodzi na obłokach niebieskich, wkurzony jak diabli — mruknął Gardener z kamienną twarzą.

Syczenie stawało się coraz głośniejsze. Nastąpił kolejny huk — to jednak nie był wybuch, ale odgłos upadku czegoś bardzo ciężkiego. Po chwili nastąpił jeszcze jeden upadek: Andy’ego.

Nogi odmówiły mu posłuszeństwa i osunął się na kolana.

— To oni, to oni, to oni. — Bozeman się ślinił.

Gardener chwycił go pod pachą, krzywiąc się lekko, gdy poczuł gorący i wilgotny dotyk, i postawił Andy’ego na nogi.

— To nie Stukostrachy — rzekł — tylko woda.

— He? — Bozeman spojrzał na niego w oszołomieniu, niczego nie rozumiejąc.

— Woda! — krzyknął Gardener, potrząsając lekko Bozemanem. — Właśnie zrobiliśmy sobie basen, Bozie!

— Co...

Syk przerodził się nagle w stłumiony nieprzerwany ryk.

Woda szeroką ścianą trysnęła w niebo. Nie chlusnęła słupem; wyglądało to tak, jak gdyby gigantyczne dziecko przyłożyło palec do gigantycznego kranu, zalewając wszystko dookoła. Właśnie w taki sposób woda wypływała z mnóstwa szczelin na dnie wykopu.

— Woda? — spytał słabym głosem Andy. Nie potrafił tego objąć umysłem.

Gardener nie odpowiedział. W ścianie wody tańczyły tęczowe odbłaski; po gładkim kadłubie statku spływały cienkie strumyczki, znacząc za sobą ślad kroplami... i nagle zauważył, że kropelki zaczynają podskakiwać jak na tłuszczu rozgrzanym na blasze. Tyle że nie był to żaden chaotyczny ruch. Krople posłusznie układały się wzdłuż linii siły emitowanej przez statek, biegnących na powierzchni kadłuba jak południki na globusie.

Widzę to, pomyślał Gardener. Widzę w tych kroplach siłę promieniującą z powłoki statku. Boże...

Znów rozległ się łoskot. Gardener miał wrażenie, jakby ziemia odrobinę zapadła mu się pod stopami. Ciśnienie wody kończyło dzieło, które zapoczątkował wybuch na dnie wykopu — poszerzało szczeliny i dziury w kruchej skale. Coraz więcej wody wypływało coraz swobodniej. Strumienie opadły. W powietrzu zamigotał ostatni tęczowy blask rozproszonego światła i zniknął.

Gardener zobaczył, jak statek się poruszył, gdy puściły więzące go tak długo skały. Drgnął tak nieznacznie, że mogło to być złudzenie, lecz Gardener wiedział, że się nie myli. Przez tę krótką chwilę wyobraził sobie, jak może wyglądać statek, gdy w końcu podniesie się z dna wykopu — ujrzał jego ogromny cień przesuwający się wolno po ziemi, usłyszał nieludzki zgrzyt i pisk, z jakim kadłub szoruje po nierównościach podłoża skalnego, a wszyscy w Haven jednocześnie obracają głowy w tę stronę, patrząc, jak wznosi się w niebo — połyskująca monstrualna srebrna moneta, która po raz pierwszy od tysiącleci wolno przechyla się do poziomu i bezgłośnie ulatuje w niebo i niknie z oczu, nareszcie wolna...

Chciał tego. Boże! Nie wiedział, czy to dobrze, czy źle, ale pragnął tego z całej duszy.

Gardener potrząsnął energicznie głową, jak gdyby starał się odzyskać jasność myśli.

— Chodź, przyjrzyjmy się — powiedział do Andy'ego.

Nie czekając na niego, podszedł do wykopu i zajrzał. Słyszał szum wody, ale niewiele widział. Zawiesił na linie jedną z lamp łukowych, których używali do pracy w nocy, i opuścił na głębokość dziesięciu stóp. Wystarczyło. Gdyby spuścił linę jeszcze dziesięć stóp, lampa znalazłaby się pod wodą. Wyglądało na to, że musieli się przebić do prawdziwego podziemnego jeziora. Wykop wypełniał się bardzo szybko.

Po chwili obok niego stanął Andy. Miał zrozpaczoną minę.

— Tyle roboty! — krzyknął.

— Przyniosłeś trampolinę, Bozie? Może zorganizujemy darmowe wejścia w czwartki albo pią...

— Zamknij się! — wrzasnął na niego Andy Bozeman. — Zamknij się, nienawidzę cię!

Gardenera nagle ogarnęła histeria. Zatokczył się i usiadł na pieńku, zastanawiając się, czy to cholera mimo upływu lat jest wodoszczelne i ile można by wytargować za latający talerz noszący ślady uszkodzenia spowodowanego przez wodę. Zaczął się śmiać. Jim Gardener nie mógł się powstrzymać od śmiechu, nawet gdy Andy Bozeman podszedł do niego i uderzył go w twarz, powalając na ziemię.

8

Czwartek, 4 sierpnia

Kiedy nikt nie się zjawiał, mimo że była już za kwadrans dziewiąta, Gardener zaczął się zastanawiać, czy może dali sobie spokój. Bawił się tą myślą, siedząc na werandzie na bujanym fotelu Bobbi i dotykając pokaźnego sińca, jakiego nabił mu Bozeman.

Po północy znów parę osób przyjechało cadillakiem Archinbourga. Prawie tych samych, co zwykle. Jeszcze jedna impreza w szopie o północy. Gardener wsparł się na łokciu i obserwował ich przez okno pokoju gościnnego, zastanawiając się, kto przynosi chipsy i sos na te przyjęcia. Widać było tylko ich cienie zgromadzone wokół maski cadillaca coupe deville. Stali tam przez chwilę, a potem weszli do szopy. Gdy otworzyli drzwi, całe podwórko i

wnętrze gościnnego pokoju zalało upiorne zielone światło niczym blask fosforyzującej tarczy ogromnego zegarka. Weszli do środka. Blask przygasł, lecz nie zniknął zupełnie, bo zostawili uchylone drzwi, przez które przeziarał pionowy zielony pas. Mieszkańcy tej zapadłej miejsciny w Maine byli najgenialniejszymi ludźmi na Ziemi, ale widocznie nawet oni nie umieli wykombinować, jak zamknąć drzwi kłódką od zewnątrz, a nie pomyśleli, by założyć ją od środka.

Siedząc na werandzie i spoglądając w stronę miasteczka, Gardener pomyślał: Może kiedy tam wchodzi, są tak wniebowzięci, że nie w głowie im tak przyziemne rzeczy jak kłódki.

Przysłonił oczy dłonią. Nadjeżdżała jakaś ciężarówka. Wielki stary wóz do wożenia drewna wyglądał dziwnie znajomo. Z tyłu leżał jakiś kształt przykryty brezentem, który łopotał na wietrze. Gardener wiedział, że ciężarówka zmierza właśnie tu. Oczywiście, że nie zrezygnowali.

Zbudziwszy się nagle wśród nocnych ciemności, ujrzałem pod szopą gromadę gości. U Stukostrachów trwa zabawa na sto dwa, lecz ja nie chcę wiedzieć, w co tam się dzisiaj gra.

Nie sądził, aby jurorzy konkursu dla młodych poetów w Yale ocenili tę poezję zbyt wysoko. Tak jednak dziś wygląda twórczość Jima Gardenera, pomyślał Gardener. Może kiedyś nazwą to Fazą Stukostrachów. Albo Okresem pod Szopą, albo...

Ciężarówka zredukowała bieg i z rykiem wtoczyła się przed dom Bobbi. Silnik zarzęził i zamilkł. Mężczyzna w koszulce bez rękawów, który wysiadł z samochodu, był tym samym człowiekiem, który czwartego lipca podwiózł Gardę do granicy Haven. Gardener poznał go od razu. Kawa, pomyślał. Dałeś mi dobrze posłodzonej kawy. Bardzo smacznej. Facet wyglądał jak postać z powieści Jamesa Dickeya o chłopcach z miasta, którzy w weekend wybrali się na wycieczkę kajakową na Cahoolawassee. Gardener nie przypuszczał jednak, żeby mieszkał w Haven — chyba mówił wtedy o Albion.

Cholerstwo sięga coraz dalej, pomyślał. Czemu nie? Skutek opadu po wybuchu. Poza tym wiatry wiały właśnie w kierunku Albion.

— Patrzcie no — powiedział kierowca ciężarówki. — Chyba mnie nie pamiętasz — dodał takim tonem, jakby mówił: Nie próbuj ze mną żadnych pierdolonych sztuczek, Fred.

— Chyba pamiętam — odrzekł Gardener i nazwisko mężczyzny jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki stanęło mu w pamięci, mimo upływu... ledwie miesiąca, w ciągu którego wydarzyło się tyle dziwnych rzeczy, że wydawał się trwać ponad dziesięć lat. — Freeman Moss. Podwiózłeś mnie. Jechałem zobaczyć, co u Bobbi. Ale chyba wiesz.

— Aha.

Moss podszedł do pakunku na pace ciężarówki, zaczął rozwiązywać supły i szarpać sznur.

— Pomożesz mi z tym?

Gardener zaczął schodzić z werandy, ale przystanął na schodkach, uśmiechając się lekko. Najpierw Tremain, Enders, potem Bozeman w swoich żalonych poliestrowych spodniach.

— Jasne — rzekł. — Ale musisz mi coś powiedzieć.

— Aha? — Moss przestał wyciągać linki. Szarpnął plandekę i Gardener zobaczył mniej więcej to, czego się spodziewał dziwaczne urządzenie złożone z wielu elementów: zbiorników, węży i trzech samochodowych akumulatorów przybitych do deski. Nowa Ulepszona Pompa. — Jeśli tylko będę mógł.

Gardener uśmiechnął się niezbyt wesoło.

— Przywiozłeś mi zdechłego szczura i kawałek sznurka, na którym można nim wywijać?

9

Piątek, 5 sierpnia

Nad Haven nie odbywały się żadne regularne loty od końca lat sześćdziesiątych, gdy zamknięto bazę lotnictwa wojskowego Dow w Bangor. Gdyby ktoś wtedy odkrył statek w

ziemi, mógłby mieć kłopoty; cztery lub pięć razy dziennie po niebie śmigały myśliwce, od których huku drżały szyby w oknach, a czasem nawet pękały, gdy samoloty przekraczały prędkość dźwięku. Pilotom nie wolno było latać z prędkością naddźwiękową nad kontynentalną częścią Stanów, z wyjątkiem przypadków wyższej konieczności, lecz cwaniaków zasiadających za sterami F-4, których większość miała jeszcze na policzkach i czołach ślady trądziku, czasem ponosiła fantazja. W porównaniu z odrzutowcami mustangi i chargery, którymi jeszcze rok wcześniej jeździły te duże dzieci, wydawały się śmiesznymi zabawkami. Gdy zamknięto Dow, przebiegało tu jeszcze kilka tras lotniczych Gwardii Narodowej, ale nieco dalej na północ, w stronę Loring w Limestone.

Po pewnym okresie wahań bazę przekształcono w lotnisko cywilne, nadając mu nazwę Międzynarodowy Port Lotniczy w Bangor. Niektórzy sądzili, że to nazwa trochę na wyrost dla lotniska, które dziennie obsługuje zaledwie kilka rzeżących maszyn linii lotniczych Northeast udających się do Bostonu i parę lekkich piperów latających do Augusty i Portlandu. Ale ruch był coraz większy i przed rokiem 1983 lotnisko w Bangor zmieniło się w tętniący życiem port. Obsługiwało dwie komercyjne linie lotnicze i lądowało tu wielu międzynarodowych przewoźników, aby uzupełnić zapasy paliwa. Tak więc port lotniczy zasłużył w końcu na swą szumną nazwę.

Przez pewien czas samoloty pasażerskie latały nad Haven — na początku lat siedemdziesiątych. Ale piloci i nawigatorzy regularnie zgłaszali problemy z radarem, jakie zdarzały się zazwyczaj w rejonie znanym jako kwadrant G-3 — obszarze obejmującym większą część Haven, cały Albion i okolice China Lakes. Podobne zakłócenia, znane jako „popcorn” lub „echomgła”, lub jeszcze barwniej „gówno duchów”, regularnie zdarzają się w Trójkącie Bermudzkim. Zaczynały wariować kompasy. Czasem w sprzęcie odzywały się dziwaczne elektryczne, powtarzające się trzaski.

W 1973 roku odrzutowiec Deltę zmierzający z Bangor do Bostonu o mały włos nie zderzył się z odrzutowcem linii TWA lecącym z Londynu do Chicago. Wylały się napoje na pokładach obu samolotów; stewardesa w maszynie TWA oparzyła się kawą. Nikt poza załogami nie wiedział, jak niewiele brakowało do katastrofy. Drugi pilot samolotu Deltę popuścił ponadplanowy ładunek w spodnie i całą drogę do Bostonu śmiał się histerycznie, a dwa dni później na zawsze rzucił latanie.

W roku 1974 wielki odrzutowiec czarterowy Big Sky, pełen radosnych hazardzistów lecących do Las Vegas z Bangor oraz wschodnich prowincji Kanady, stracił nad Haven ciąg w jednym silniku i musiał wracać do Bangor. Kiedy po wylądowaniu uruchomiono silnik, działał doskonale.

Następnej kolizji dwóch maszyn ledwie udało się uniknąć w 1975 roku. Przed rokiem 1979 wycofano cały ruch pasażerski z tego rejonu. Gdyby spytać kontrolera z FAA* o powody takiej decyzji, wrzuciłby tylko ramionami i powiedział, że musi tam grasować smok. Takiego właśnie używali wyrażenia. Sporo było takich miejsc tu i ówdzie; nikt nie wiedział, dłaczego. Łatwiej było wytyczyć trasy gdzie indziej i o wszystkim zapomnieć.

Jeszcze przed 1982 rokiem kontrolerzy w Augustie, Waterville i Bangor rutynowo kierowali także prywatny ruch lotniczy poza G-3. Tak więc żaden pilot nie widział wielkiego błyszczącego obiektu, który sterczał dokładnie pośrodku kwadrantu G-3 na mapie FAA ECUS-2.

Dopóki piątego sierpnia po południu nie zobaczył go Peter Bailey.

Bailey był pilotem amatorem i miał na koncie dwieście godzin samodzielnych lotów. Latał cęsną hawk XP, która kosztowała go, jakby się wyraził, sporo bananowych skórek. Tak Peter nazywał pieniądze. Uważał, że to bardzo zabawne. Hawk latał z prędkością stu pięćdziesięciu mil na godzinę i bez kłopotów osiągał pułap siedemnastu tysięcy stóp. Dzięki urządzeniom

* Federal Aviation Association — federalny zarząd lotnictwa cywilnego (przyp. tłum.).

nawigacyjnym cessnie bardzo trudno się było zgubić (dodatkowa antena też kosztowała sporo bananowych skórek). Innymi słowy, był to dobry samolot, który właściwie mógłby latać sam — ale nie musiał, ponieważ za jego sterami siedział doskonały pilot w osobie Petera Bailey'a.

Jeśli Bailey na cokolwiek psioczył, to na ubezpieczenie. Uważał, że to rozbój w biały dzień, i zanudzał na śmierć kolegów, z którymi grywał w golfa, opowiadając im o skandalicznym potraktowaniu go przez firmy ubezpieczeniowe.

Zapewniał ich, marszcząc surowo brwi, że ma mnóstwo znajomych pilotów. Wielu z nich, choć wylatali znacznie mniej godzin niż on, buliło o wiele mniej bananowych skórek tym krwiożerczym barbarzyńcom od ubezpieczeń. Byli wśród nich i tacy, z którymi, jak twierdził, nie poleciałby za żadne skarby, nawet gdyby to miał być ostatni samolot na świecie, a jego żona umierała w Denver na krwotok mózgowy. Wcale nie kwota ubezpieczenia była dla niego największym upokorzeniem. Największym upokorzeniem był fakt, że Peter Bailey — szanowany neurochirurg, który zarabiał grubo ponad trzysta tysięcy bananowych skórek rocznie — jeśli chciał latać, musiał się zgodzić na ubezpieczenie z podwyższonym ryzykiem.

Mówił swoim słuchaczom (którzy często gorzko żalowali, że nie zdecydowali się grać tylko do dziewięciu dołków albo że w ogóle nie zostali w barze, żeby wysączyć kilka kolejek krwawej mary), iż taki poziom ryzyka ustala się zwykle przy obliczaniu składki ubezpieczenia samochodowego dla nastolatków i skazanych za jazdę po pijanemu. Cholera jasna! Bailey w życiu nie słyszał o przypadku bardziej rażącej dyskryminacji. Gdyby nie był tak zapracowany, wytoczyłby draniom proces z powództwa grupowego i na pewno by wygrał.

Wśród golfistów grających z Baileyem, było wielu prawników, którzy wiedzieli, że nic by z tego nie wyszło. Ryzyko ubezpieczeniowe ustalano na podstawie tabel statystyki ubezpieczeniowej, a Peter Bailey był nie tylko neurochirurgiem; przede wszystkim był lekarzem, a lekarze spośród wszystkich grup zawodowych na świecie mieli najgorsze notowania jako piloci.

Po szczęśliwej ucieczce graczy z jednego z takich meczów, kiedy Bailey zdążył do przebieralni, wciąż posapując z wściekłości, któryś z jego partnerów zauważył:

— Gdyby moja żona umierała na krwotok mózgowy, z tym upierdliwcem nie pojechałbym do Denver nawet samochodem.

Peter Bailey był właśnie takim lotnikiem, dla którego stworzono tabele statystyczne. W Ameryce niewątpliwie mieszkało wielu lekarzy, którzy byli wzorowymi pilotami. Bailey do nich nie należał. Umiał szybko podejmować decyzje na sali operacyjnej, posługując się skalpelem i laserem z gracją tancerza, gdy leżał przed nim pacjent z rozplataną czaszką, spod której wyzierała różowo — szara tkanka mózgową, natomiast w samolocie przypominał słonia w składzie porcelany, stale nie przestrzegając ustalonej wysokości, naruszając zasady bezpieczeństwa FAA i zbaczając z kursu. Był brawurowym pilotem, ale zważywszy na fakt, że miał na koncie tylko dwieście godzin, mimo najlepszych chęci trudno by go nazwać pilotem doświadczonym. Podwyższone ryzyko ubezpieczenia w jego przypadku stanowiło potwierdzenie prawdy, że pilot może być taki czy taki, ale żaden nie łączy w sobie obu cech.

Tego dnia Bailey leciał samotnie z Teterboro pod Nowym Jorkiem do Bangor. W Bangor miał wypożyczyć samochód i pojechać do szpitala w Derry. Poproszono go o konsultację przypadku małego Hillmana Browna. Zgodził się, ponieważ przypadek był interesujący, a zapłata godziwa (także dlatego, że słyszał sporo dobrego o polu golfowym w Orono).

Dzień był bezchmurny i bezwietrzny. Baileyowi leciało się znakomicie. Jak zwykle schrzanił coś w dzienniku pokładowym, nie zauważył jednej radiolatarni VOR i uznał, że druga się zepsuła (uderzył łokciem pokrętko częstotliwości), z ustalonej wysokości jedenastu tysięcy stóp wspiał się na piętnaście tysięcy, potem zszedł na sześć tysięcy i jeszcze raz udało mu się nikogo nie zabić... ale przez swoją głupotę nie podziękował za to Bogu.

Zboczył też spory kawałek z kursu i tak się złożyło, że przelatywał nad Haven, gdzie nagle poraził go oślepiający blask; jak gdyby ktoś puścił mu gigantycznego zajączka.

— Co jest, do licha ciężkiego...

Spojrzał w dół i zobaczył kuszące migotanie czegoś bardzo jasnego. Mógł to zlekceważyć i ocaleć, by przeżyć jeszcze jeden dzień (albo zderzyć się z nabitym ludźmi samolotem pasażerskim), ale miał jeszcze dużo czasu i widok bardzo go zaintrygował. Przechylił hawka i wrócił.

— Dobra, gdzie...

Znów błysnęło z taką siłą, że na długą chwilę miał w oczach powidok w kształcie błękitnego półksiężyca. Od górnej części kabiny odbiły się fale światła.

— Jeeezu!

Na polanie w szarozielonym lesie tkwił jakiś ogromny srebrny obiekt. Nie zdążył mu się zbyt dobrze przyjrzeć, bo zaraz potem zniknął pod lewym skrzydłem.

Lecąc dzisiaj już drugi raz na wysokości sześciu tysięcy stóp, Bailey znów przechylił maszynę. Zaczęła go boleć głowa — zauważył to i uznał, że zapewne z przejęcia. W pierwszej chwili pomyślał, że to wieża ciśnień, ale przecież nikt nie postawiłby takiej dużej wieży w lesie.

Znów przeleciał nad tajemniczym obiektem, tym razem na czterech tysiącach. Dość ryzykownie zdławił silnik hawka (bardziej doświadczony pilot nie podjąłby takiego ryzyka, ale hawki był dobrym samolotem i wybaczył Bailey owi).

Dzieło człowieka, pomyślał z przejęciem. Wielka konstrukcja w kształcie talerza tkwiąca w ziemi... a może jakiś obiekt rządowy? Jeśli to obiekt rządowy, dlaczego nie jest zamaskowany siatką? Poza tym ziemia wokół niego została wykopana — z góry doskonale było widać wcinający się w ziemię głęboki rów.

Bailey postanowił przelecieć nad tym jeszcze raz — do diabła, zamierzał zejść do wysokości lotu koszącego! — gdy nagle dojrzał kątem oka wskaźniki i serce w nim zamarło. Igła kompasu wirowała w kółko, wskaźniki poziomu paliwa migały na czerwono. Wysokościomierz pokazał dwadzieścia dwa tysiące stóp, zatrzymał się na moment, po czym opadł na zero.

Krzepkim silnikiem hawka o mocy stu dziewięćdziesięciu pięciu koni gwałtownie szarpnęło. Dziób samolotu przechylił się w dół i zaczął pikować, w przeciwieństwie do serca Bailey'a, które podjechało mu do gardła. W głowie mu dudniło. Przed jego wybałuszonymi oczami wirowały wskazówki, migały zielone i czerwone lampki niczym światła sygnalizacyjne dla krasnali, a brzęczyk alarmowy utraty wysokości, który miał ostrzegać zamyślnego pilota: „Obudź się, bo za chwilę się zderzysz z wielkim nieruchomym obiektem zwanym matką Ziemią”, rozdzwiewał się nagle, choć miał się włączać tylko wówczas, gdy samolot schodził poniżej pięciuset stóp — natomiast Bailey widział, że hawki wciąż jest na czterech tysiącach, może nawet wyżej. Zerknął na termometr cyfrowy pokazujący temperaturę na zewnątrz. Wyświetlacz migał, pokazując najpierw 8 stopni Celsjusza, potem 14 i — 15. Zatrzymał się na moment, a potem wyświetlił 537. Czerwone cyfry pulsowały przez chwilę i wreszcie zgasły.

— Jezu Chryste, co się tu dzieje? — wrzasnął Bailey i w bezbrzeżnym zdumieniu spostrzegł, że z ust wyleciał mu przedni ząb, odbił się od szybkościomierza i wylądował na podłodze.

Silnik znów szarpnął.

— Kurwa — szepnął Bailey. Był zielony ze strachu. Z pustego zębodołu zaczęła mu płynąć krew i ściekać po brodzie. Jedna kropla skapnęła na koszulę Lacoste.

Lśniący obiekt jeszcze raz przesunął się pod skrzydłami.

Silnik zakrzuszył się i zgasł. Hawki zaczął tracić wysokość. Zapominając o wszystkich lekcjach pilotażu, Bailey z całej siły pociągnął ster, ale milczący samolot nie mógł

zareagować. Serce waliło mu jak szalone. Cessna opadła na cztery tysiące stóp... trzy i pół... trzy. Bailey jak ślepiec naciskał przycisk ROZRUCH AWARYJNY i wduśił go kciukiem. W gaźnikach zadudniła głucho wysokogatunkowa benzyna. Śmigło hawka drgnęło i znów zastygło. Cessna opadła już na dwa i pół tysiąca stóp. Przeleciała nad dawną Derry Road tak nisko, że Bailey zobaczył tablicę z planem nabożeństw przed kościołem metodystów.

— Kurwa jego mać — szepnął. — Zaraz zginę.

Wyciągnął do oporu dźwignię ssania i jeszcze raz wcisnął guzik. Silnik kaszlnął, pomruczał przez chwilę, ale zaraz zaczął się dusić.

— Nie! — wrzasnął Bailey. Pękły mu naczynia krwionośne w jednym oku, które wypełniło się krwią. Krew pociekła mu po lewym policzku. W panice i przerażeniu nawet tego nie zauważył. Znów szarpnął dźwignię ssania. — Nie, nie gaśnij, zasrany gruchocie!

Silnik ryknął; śmigło odbiło promień słońca, stając się na chwilę niewidzialne. Bailey pociągnął ster. Przeciążonym hawkiem znów zaczęło rzucać.

— Zasrany gruchot! Zasrany gruchot! Zasrany gruchot! — wrzeszczał Bailey. Lewe oko miał pełne krwi i gdzieś w głębi świadomości zdawał sobie sprawę, że świat przybrał dziwnie różowawą barwę, lecz gdyby miał czas i ochotę głębiej się nad tym zastanowić, uznałby zapewne, że to z powodu wściekłości na idiotyczną sytuację, w jakiej się znalazł.

Puścił ster; hawk, mogąc swobodnie wspinać się pod w miarę rozsądnym kątem, gorliwie zabrał się do dzieła. W dole przesunęło się Haven Village i Bailey miał świadomość, że przyglądają mu się ludzie. Był na tyle nisko, że mogliby zapisać numery, gdyby im to przyszło do głowy. Proszę bardzo!, pomyślał wściekle. Proszę, spisujcie, bo kiedy skończę sprawy z Cessna Corporation, wszyscy akcjonariusze co do jednego zostaną w samych gaciach! Zamierzam oskubać tych pierdolonych partaczy do ostatniej bananowej skórki!

Hawk wznosił się płynnie, a silnik pracował równo. Mimo że głowa Bailey'a usiłowała oderwać się od tułowia, nagle wpadła mu do niej myśl — tak oszałamiająco prosta i mająca tak niesłychane konsekwencje, że natychmiast zapomniał o wszystkim innym. Zrozumiał ni mniej, ni więcej tylko fizjologiczną podstawę dwudzielności ludzkiego mózgu. To z kolei umożliwiło mu zrozumienie mechanizmu wspólnej pamięci, nie jako mętnej koncepcji Junga, ale jako funkcji rekombinowanego DNA oraz biologicznego wpajania. Równocześnie zrozumiał, na czym naprawdę polega zdolność ciała modelowatego do generowania liczonych w miliergach impulsów podczas wzmożonej aktywności gruczołów wydzielania wewnętrznego — nad tą kwestią od trzydziestu lat głowili się badacze ludzkiego mózgu.

Peter Bailey zrozumiał nagle, że podróż w czasie — rzeczywista podróż w czasie — jest w zasięgu ręki.

W tym samym momencie eksplodowała spora część jego mózgu.

W głowie rozbłysło mu białe światło — tak białe jak blask odbity od wielkiego obiektu w lesie.

Gdyby przechylił się do przodu, naciskając ciężarem ciała ster, mieszkańcy Haven mieliby kolejny kłopot. Ale odrzuciło go do tyłu. Głowa zwisała mu bezwładnie, a z uszu pociekła krew. Patrzył w sufit kabiny pilota z wyrazem bezbrzeżnego ostatecznego zdumienia na twarzy.

Gdyby był włączony pilot automatyczny, cessna najprawdopodobniej krążyłaby spokojnie po niebie, dopóki nie skończyłoby się paliwo. Warunki atmosferyczne były optymalne, poza tym nieraz się już tak zdarzało. Samolot szybował jeszcze przez pięć minut na stałej wysokości pięciu i pół tysiąca stóp. Radio skrzeczało na martwego neurochirurga, każąc mu natychmiast ruszyć tyłek i wrócić na wyznaczoną wysokość.

Prąd powietrza nad Derry łagodnie przechylił samolot na bok. Cessna długim łukiem zmierzała w stronę Newport. Przechył pogłębił się, przechodząc w spiralę. Spirala zmieniła się w korkociąg. Jakiś chłopiec, który łowił ryby pod mostem na drodze numer 7, uniósł głowę i zobaczył spadający z nieba samolot, który wirował jak świder. Gapił się z otwartymi

ustami na maszynę, która w następnej chwili rozbiła się na północnym polu Ezry Dockery'ego i wybuchła, wyrzucając w górę słup ognia.

— Dobry Jeezu! — wrzasnął chłopak. Rzucił wędkę i pobiegł na stację Mobil w Newport, aby zadzwonić po straż. Zaraz potem robaka chwycił okoń i pociągnął wędkę do wody. Chłopiec już jej nie znalazł, ale niewiele się tym przejął w zamieszaniu, jakie później nastąpiło, gdy walczyli z pożarem trawy na polu Dockery'ego i wyciągali z wraka cessny zwęglone zwłoki pilota.

10

Sobota, 6 sierpnia

Newt i Dick siedzieli w Haven Lunch, a między nimi leżała gazeta. Tematem dnia był wybuch nowych działań wojennych na Bliskim Wschodzie; ich jednak bardziej interesował artykuł na dole strony. Nagłówek brzmiał: NEUROCHIRURG GINIE W KATASTROFIE LEKKIEGO SAMOLOTU. Zamieszczono zdjęcie rozbitej maszyny. Piękną niegdyś cessnę hawk można było rozpoznać tylko po ogonie.

Odsunęli na bok talerze z prawie nietkniętym śniadaniem. Po śmierci Beacha gotowała Molly Fenderson, jego siostrzenica. Molly była przemiłą dziewczyną, ale jajka sadzone w jej wykonaniu wyglądały jak przypieczone półdupki. Dick sądził, że smakują podobnie, choć nigdy nie jadł półdupka, ani opiekanego, ani przyrządzonego w inny sposób.

Możliwe, że jadłeś — powiedział Newt.

Dick spojrzał na niego, unosząc pytająco brwi.

Do hot dogów pakują wszystko, jak leci. Tak w każdym razie gdzieś czytałem.

Dick poczuł, jak wywraca mu się żołądek. Kazał Newtowi zamknąć pieprzoną jadaczkę.

Po chwili Newt rzekł: Chyba ze dwadzieścia, trzydzieści osób widziało tego kretyna, jak leciał nisko nad miasteczkiem.

Wszyscy od nas? — zapytał Dick.

Tak.

To nie ma sprawy, nie?

Nie, zdaje się, że nie — odparł Newt, popijając kawę. Przynajmniej do następnego razu.

Dick pokręcił głową.

Nie powinno być następnego razu. W gazecie piszą, że zboczył z kursu.

Tak. Tak piszą. Skończyłeś?

Jasne.

Wyszli, nie płacąc. Pieniądze właściwie przestały interesować mieszkańców Haven. W piwnicy Dicka Allisona stało parę dużych kartonów pełnych gotówki, niedbale wciśniętych do pojemnika na węgiel — głównie dwudziestki, dziesiątki i dolarówki. Haven było małym miasteczkiem. Kiedy ludzie potrzebowali na coś gotówki, przychodzili i brali. Dom nie był zamknięty na klucz. Poza telepatycznymi maszynami do pisania i bojlerami, które czerpały energię z fuzji molekularnej, Haven odkryło niemal doskonałą formę kolektywizmu.

Stojąc na chodniku przed Haven Lunch, spojrzeli w stronę ratusza. Ceglana wieża zegarowa drgała niepewnie. Raz wyglądała trwale jak Tadź Mahal, choć nie tak pięknie, a za chwilę nad poszarpaną podstawą wieży rozciągało się tylko błękitne niebo. Potem znów iluzja wracała. Długi cień wieży drżał jak cień rolety okiennej poruszanej podmuchami kapryśnego wiatru. Newt doszedł do wniosku, że szczególnie niepokojący jest widok cienia, gdy nie widać samej wieży.

Chryste! Gdybym dłużej patrzył na to cholerstwo, chybabym ocipiał — powiedział Dick.

Newt spytał, czy ktoś już się zajął tym obniżeniem mocy.

Tommy Jacklin i Hester Brookline, musieli pojechać do Derry — odparł Dick. — Mają wstąpić do pięciu stacji benzynowych i obydwu sklepów z częściami samochodowymi.

Dałem im prawie siedem stów i powiedziałem, żeby przywieźli ze dwadzieścia akumulatorów, jeżeli się da. Ale mają kupować w różnych miejscach. Ludzie w niektórych miastach uważają, że ci z Haven dostali fioła na punkcie baterii.

Tommy Jacklin i Hester Brookline? — spytał z powątpiewaniem Newt. — Jezu, przecież to dzieci! Dick, czy Tommy w ogóle ma prawo jazdy?

Nie — odrzekł niechętnie Dick. — Ale ma piętnaście lat i prawo jazdy dla uczniów. Jeździ naprawdę bezpiecznie. Poza tym jest wysoki. Wygląda na starszego. Nic im nie będzie.

Jezu, takie cholerne ryzyko!

Tak, ale...

Wymieniali się myślami, które zawierały się raczej w obrazach niż słowach; czyniono tak w Haven coraz częściej, w miarę jak ludzie uczyli się dziwnego nowego języka myślowego. Mimo swoich obaw Newt rozumiał główny powód, dla którego Dick wysłał do Derry dwójkę dzieciaków półcieżarówką Fanninów. Potrzebowali baterii, i to bardzo, ale ludziom, którzy mieszkali w Haven, coraz trudniej było opuszczać Haven. Gdyby próbował stąd wyjechać taki stary grzyb jak Dave Rutledge albo John Harley, na pewno rozstałby się z życiem na długo przed dotarciem do granicy Derry. Młodszy, tacy jak Newt czy Dick, przeżyliby trochę dłużej, ale też by w końcu zginęli... prawdopodobnie w wielkich męczarniach, z powodu zmian fizycznych, jakie się u nich zaczęły w szopie Bobbi. Ani Dick, ani Newt nie dziwili się, że Hilly Brown był w śpiączce — a przecież opuścił miasto, kiedy wszystko dopiero się zaczynało. Tommy Jacklin miał piętnaście lat, Hester Brookline była dobrze rozwiniętą trzynastolatką. Atutem tych dwojga była młodość, mogli więc mieć nadzieję, że przetrwają wyprawę do obcej i nieprzyjaznej atmosfery bez konieczności wkładania czegoś w rodzaju skafandrów kosmicznych. Nawet gdyby mieli taki sprzęt, wykorzystanie go nie wchodziłoby w grę. Zapewne potrafiliby sklecić coś takiego, ale gdyby w sklepie Napa z akcesoriami samochodowymi w Derry pojawiło się dwoje ludzi w skafandrach księżycowych, mogłoby to nasunąć parę pytań. Albo więcej niż parę.

Nie podoba mi się to — powiedział w końcu Newt.

Cholera, mnie też nie — odparł Dick. — Dopóki nie wrócą, nie będę miał chwili spokoju. Kazałem doktorowi Warwickowi czekać na nich przy granicy między Haven a Troy, żeby się nimi zajął, gdy tylko wrócą.

Jeżeli w ogóle wrócą.

Aha... jeżeli. Przypuszczam, że wrócą, ale mocno odczują tę wyprawę.

Jakich kłopotów się spodziewasz?

Dick pokręcił głową. Nie wiedział, a doktor Warwick nie chciał się nawet domyślać... zdenerwowany spytał tylko Dicka w myślach, jak sądzi, co się stanie łososiowi, jeżeli zamiast popłynąć w górę rzeki, postanowi wyruszyć na tarło na rowerze.

No... — rzekł z wahaniem Newt.

No, nic — uciał krótko Dick. — Nie możemy tego tak zostawić. — Wskazał głową oscylującą w powietrzu wieżę zegarową.

Dotarliśmy już prawie do wjazdu — zauważył Newt. — Moim zdaniem możemy to zostawić, jak jest.

Może tak. Może nie. Ale dobrze wiesz, że potrzebujemy baterii do innych celów. I nadal musimy bardzo uważać. O tym też wiesz.

Nie ucz ojca dzieci robić, Dick.

(Pier)

Pierdolić to — chciał dodać Newt, lecz się powstrzymał, choć z każdym dniem znajdował coraz więcej powodów, by nie lubić Dicka. Prawda była taka, że całe Haven działało już na baterie, jak zabawkowy samochód z FAO Schwarz. Potrzebowali ich coraz więcej i coraz większych, a kupowanie ich w sprzedaży wysyłkowej nie tylko trwałoby zbyt długo, ale mogłoby wzbudzić gdzieś w kimś podejrzenia. Nigdy nie wiadomo.

Ogólnie rzecz biorąc, Newt Berringer nie był człowiekiem wolnym od trosk. Uniknęli katastrofy samolotu; czy jeśli coś się stanie Tommy'emu i Hester, unikną zagłady?

Nie miał pojęcia. Wiedział tylko, że nie zazną spokoju, dopóki dzieciaki nie wrócą do Haven, gdzie było ich miejsce.

11

Niedziela, 7 sierpnia

Gardener stał przed statkiem, patrząc na niego i znów starając się rozstrzygnąć, czy może z tego wyniknąć coś dobrego... a jeżeli nie, to czy istnieje jakieś wyjście. Dwa dni temu usłyszał lekki samolot, ale był w domu i wyszedł odrobinę za późno, żeby zobaczyć, jak trzeci raz przelatuje nad lasem. Trzy razy, czyli o dwa razy za dużo; Gard był prawie pewien, że pilot zauważył statek i wykop. Na myśl o tym poczuł dziwną, pełną goryczy ulgę. A wczoraj ujrzał tę notkę w gazecie. Nie trzeba być absolwentem college'u, aby dostrzec związek. Biedny doktor Bailey zboczył z kursu, a pozostałość kosmicznej armady okrutnego cesarza Minga rozwalila mu maszynę.

Czy fakt ten czynił Jima Gardenera współwinnym morderstwa? Być może, ale choć miał na koncie napaść na własną żonę z bronią w ręku, nie spodobała mu się ta myśl.

Freeman Moss, posepny drwal z Albion, dziś rano się nie zjawił — Gard przypuszczał, że statek przepalił mu bezpieczniki, tak jak jego poprzednikom. Gard po raz pierwszy od zniknięcia Bobbi był sam. Na pozór wydawało się, że to otwiera przed nim nowe możliwości. Gdy jednak zajrzało się głębiej, te same dawne zagadki pozostawały nierozwiązane.

Notka o katastrofie samolotu i śmierci neurochirurga była złą nowiną, lecz zdaniem Garda artykuł powyżej — ten, który zignorowali Newt i Dick — przynosił gorsze wiadomości. Na Bliskim Wschodzie znów się gotowało i jeżeli ludzie chwycą za broń, tym razem mogła to być broń jądrowa. Według gazety, wczoraj Unia Zatroskanych Naukowców* przesunęła wskazówki swojego Czarnego Zegara na dwie minuty przed nuklearną północą. Nie ma co, znowu nadchodzą radosne dni. Zawleczkę mógłby ostatecznie wyciągnąć statek... ale czy tego chcieli Freeman Moss, Kyle Archinbourg,

Bozie i reszta? Czasem Gard z dreszczem odrazy czuł pewność, że beczka prochu, na której siedziała cała planeta, była ostatnią rzeczą, jaką przejmowało się Nowe Ulepszone Haven. Więc?

Nie wiedział. Czasem serdecznie żałował, że jest telepatycznym zerem.

Jego wzrok spoczął na superpompie wciśniętej w błoto na krawędzi wykopu. Przedtem pracowało się w kurzu i ziemi, zmagając się z kamieniami i pniakami, które dawały się usunąć dopiero wówczas, gdy człowiek tracił nadzieję, że tego dokona. Teraz przyszedł czas mokrej roboty — naprawdę bardzo mokrej. Przez kilka ostatnich nocy wracał do domu z mokrą gliną we włosach, między palcami stóp i półdupkami. Błoto też nie było miłe, lecz glina była gorsza. Glina wczepiała się we wszystko.

Pompa stanowiła najdziwniejsze i najbrzydsze urządzenie, z jakim miał dotąd do czynienia, ale działała. Ważyła z tonę, lecz milczący na ogół Freeman Moss przetransportował ją tu z podwórka przed domem Bobbi bez niczyjej pomocy... poświęcił na to prawie cały czwartek i pięćset baterii, niemniej dokonał rzeczy, która zwykłej ekipie budowlanej zabrałaby co najmniej tydzień pracy.

Moss wykorzystał aparat przypominający wykrywacz metali, za pomocą którego doprowadził każdy element na miejsce przeznaczenia — z ciężarówki przez ogród, a potem mocno już wydeptaną ścieżką na brzeg wykopu. Części maszyny płynęły spokojnie w nagrzanym powietrzu, rzucając wyraźny cień. Moss w jednej ręce trzymał ów przyrząd, który

* Union of Concerned Scientists — organizacja antyatomowa i proekologiczna (przyp. tłum.).

kiedyś był wykrywaczem metali, a w drugiej coś w rodzaju walkie-talkie. Kiedy unosił zakrzywioną stalową antenę nadajnika i poruszał talerzem na końcu wykrywacza metali, unosił się silnik albo pompa. Kiedy poruszał nimi w lewo, element przesunął się w lewo. Gard, przyglądając się temu z zadumą weterana picia (czyli kogoś, który naoglądał się najdziwniejszych rzeczy na świecie), odniósł wrażenie, że Moss przypomina niemoralnego tresera, który prowadzi mechaniczne słonie przez las do jakiegoś niebywałego cyrku.

Gardener widział w życiu wiele operacji mozolnego transportowania ciężkiego sprzętu i wiedział, że to urządzenie mogłoby zrewolucjonizować techniki budowlane. Nie znał się na tym za dobrze, lecz przypuszczał, że dzięki jednemu takiemu aparatowi, którym Moss od niechcenia posłużył się w czwartek, można by co najmniej o dwadzieścia pięć procent zredukować koszty wielkich przedsięwzięć w rodzaju budowy Zapory Aswan.

Przynajmniej pod jednym względem operacja transportu pompy przypominała wyświetlanie iluzji wieży ratuszowej wymagała mnóstwa energii.

— Masz — powiedział Moss, podając Gardowi ciężki plecak. — Załóż to.

Gard skrzywił się, nakładając paski na ramiona. Moss zauważył to i lekko się uśmiechnął.

— W ciągu dnia będziesz miał coraz lżej. Nie martw się. — Włożył wtyczkę słuchawki do sterownika radiowego i wsunął słuchawkę do ucha.

— Co jest w plecaku? — zapytał Gardener.

— Baterie. Idziemy.

Moss włączył aparat, posłuchał chwilę, skinął głową i skierował antenę w stronę pierwszego silnika. Urządzenie uniosło się i zawisło w powietrzu. Trzymając sterownik w jednej ręce i przerobiony wykrywacz metali w drugiej, Moss podszedł do silnika. Przy każdym jego kroku silnik cofał się na podobną odległość. Gard zamykał pochód.

Moss przeszedł za silnikiem między domem a szopą, okrążył tomcata, a potem skierował się do ogrodu Bobbi. Przez środek biegła wydeptana ścieżka, ale rośliny po obu stronach nadal rosły jak szalone. Niektóre słoneczniki miały wysokość dwunastu stóp. Kojarzyły się Gardenerowi z „Dniem Tryfidów”. Tydzień wcześniej Gard zbudził się z koszmarne snu, w którym słoneczniki w ogrodzie wyrrywają z ziemi korzenie i zaczynają iść, a środki ich kwiatów rzucają na ziemię upiorne światło niczym latarki z zielonym szkiełkiem.

W ogrodzie rosły kabaczki wielkości torped U-Bootów. Pomidory wielkości piłek do koszykówki. Niektóre kukurydze dorównywały wysokością słonecznikom. Gardener zaciekawiony zerwał jedną kolbę, która miała dwie stopy długości. Gdyby była dobra, mogłoby się nią pożywić dwóch wygłodniałych ludzi. Ale gdy ugryził kęs jasnożółtych ziaren, natychmiast je wypluł, krzywiąc się i ocierając usta. Kukurydza miała ohydny, mięsny smak. Bobbi wyhodowała w ogrodzie gigantyczne rośliny, ale warzywa były niejadalne... być może nawet trujące.

Motor sunął przed nimi gładko i spokojnie, roztrzając lekko łodygi kukurydzy. Na zielonych liściach, przypominających miecze, Gardener zobaczył smugi smaru i oleju silnikowego. Na końcu ogrodu silnik zaczął się powoli zniżać. Moss pochylił antenę i silnik ze stłumionym łoskotem miękko osiadł na ziemi.

— Co jest? — spytał Gardener.

Moss odburknął coś w odpowiedzi i wyciągnął dziesięciocentówkę. Wsunął monetę w dolną część sterownika, przekręcił i wyciągnął sześć baterii R6. Cisnął je z obojętną miną na ziemię.

— Daj mi nowe — powiedział.

Gardener zsunął plecak, odpiął paski, otworzył klapę i zobaczył baterie paluszki, których na pierwszy rzut oka był co najmniej miliard; jak gdyby miał w rękach plecak turysty, który trafił główną wygraną w Atlantic City, a automat wypłacił mu ją w bateriach zamiast w dolcach.

— Jezu!

— Nim na pewno nie jestem — rzekł Moss. — Daj mi pół tuzina tego cholerstwa.

Tym razem Gardener nie miał na podorędziu żadnej dowcipnej uwagi. Podał mu sześć baterii i przyglądał się, jak Moss wsuwa je do korytka, potem zamyka klapkę i z powrotem wkłada słuchawkę do ucha.

— Idziemy — powiedział.

W lesie czterdzieści jardów dalej nastąpiła druga wymiana baterii; po sześćdziesięciu następnych jardach kolejna. Transport silnika pochłaniał mniej energii, gdy było z górki, ale zanim Moss w końcu posadził wielki blok silnika na skraju wykopu, zdążyli zużyć czterdzieści dwie baterie.

Tam i z powrotem, tam i z powrotem; jedną po drugiej przynosili części pompy z ciężarówki Freemana Mossa na skraj wykopu. Plecak Gardenera stawał się coraz lżejszy.

Podczas czwartego kursu Gard spytał Mossa, czy mógłby spróbować. Sto jardów od wykopu leżała na ziemi przechylona nieco na bok wielka pompa przemysłowa, która przed powietrzną podróżą służyła zapewne do usuwania ścieków z zapchanych szamb. Moss znów wymieniał baterie. Wzdłuż całej ścieżki wałało się już mnóstwo wyczerpanych baterijek, na których widok Gard przypomniał sobie z dziwnym wzruszeniem o chłopcu z Arcadia Beach. O chłopcu z petardami. Chłopcu, którego matka przestała pić.... Chłopcu, który znał wierszyk o Stukostrachach.

— No, możesz spróbować. — Moss podał mu aparat. Szczerzę powiem, że przyda mi się odrobina pomocy. Można się nieźle zmordować, targając ten majdan. — Dostrzegając pytające spojrzenie Gardenera, dodał. — Aha, ja też muszę odwalać kawał roboty, po to mam słuchawkę. Możesz spróbować, ale chyba nie za bardzo ci się uda. Nie jesteś taki jak my.

— Zauważyłem. Chodzi ci o to, że nie będę musiał kupować nowych zębów w „Sears and Roebuck”, kiedy to wszystko się skończy.

Moss bez słowa spojrział na niego kwaśno.

Gard usunął chusteczką brązowy ślad woskowiny, który Moss pozostawił na słuchawce i włożył słuchawkę do ucha.

Usłyszał daleki szmer, jak gdyby przyłożył do ucha dużą muszlę. Skierował antenę w stronę pompy, tak jak robił to Moss, a potem ostrożnie przesunął aparat w górę. Stłumiony szum morza trochę się zmienił. Pompa odrobinę drgnęła — na pewno mu się nie przywidziało. Ale w następnej chwili dwie rzeczy zdarzyły się równocześnie. Poczł na twarzy ciepły strumień krwi, która poleciała mu z nosa, a głowę rozdarł mu ogłuszający wrzask.

— Możesz taniej wyłożyć dywanem swój pokój albo cały dom! — wrzasnął jakiś prezenter radiowy, który nagle usadowił się pośrodku głowy Gardenera i najprawdopodobniej krzyczał przez megafon. — Tak jest, mamy już nową dostawę małych dywaników! Ostatnia sprzedała się na pniu, musicie więc koniecznie...

— O, Jezu, zamknij się! — krzyknął Gardener. Upuścił aparat z anteną i chwycił się za głowę. Słuchawka wypadła mu z ucha i wrzeszczący prezenter umilkł. Po jego krótkim występie Gardenerowi pozostał krwotok z nosa i wrażenie, jakby głowa zmieniła mu się w dzwiczący dzwon.

Freeman Moss, wyrwany ze swego milczącego spokoju, wlepił w Garda zaskoczone spojrzenie.

— Boże, co to było? — spytał.

— WZON — odrzekł słabym głosem Gardener. — „Gramy tylko rock and rolla, bo taka wasza wola”. Mogę usiąść na minutkę, Moss? Chyba się właśnie zlałem.

— I krew ci leci z nosa.

— Nie kituj, Sherlocku — rzekł Gardener.

— Chyba jednak lepiej będzie, jak sam się zajmę podnośnikiem. — Gard bardzo chętnie przystał na jego propozycję. Resztę dnia zajęło im przetransportowanie nad wykop

pozostałego sprzętu i gdy ostatni element dotarł na miejsce, Moss był tak zmęczony, że Gardener musiał go dosłownie zanieść do ciężarówki.

— Czuję się, jakbym narąbał dwa sagi drewna i wypruł sobie przy tym wszystkie flaki — wyznał słabo.

Gardener nie spodziewał się, że Moss wróci do pracy po takim wysiłku. Jednak mrukliwy drwal stawiał się nazajutrz rano punktualnie o siódmej. Nie przyjechał ciężarówką, ale zdezelowanym pontiakiem z dzieloną kratownicą wlotu powietrza. Wysiadł z samochodu z pojemnikiem na lunch, który obijał mu się o nogę.

— Chodź. Zabierajmy się do roboty.

Gardener żywił do Mossa większy szacunek niż do trzech poprzednich „pomocników” razem wziętych... nawet go lubił.

Moss rzucił mu krótkie spojrzenie, gdy szli do wykopaliska, mocząc nogawki spodni w porannej rosie.

— Jakoś się pozbierałem — burknął. — Tobie chyba też nic nie jest.

I to było mniej więcej wszystko, co Freeman Moss tego dnia miał mu do powiedzenia.

Zanurzyli w rowie kłęb węży, a na zewnątrz rozciągnęli jeszcze więcej węży — tym razem odpływowych — aby skierować wypompowywaną wodę w dół zbocza, stokiem wzniesienia, które biegło od ziemi Bobbi na południowy wschód. Wężę o dużej średnicy — „zrzutowe”, jak je nazywał Moss — były z grubego brezentu i Gardener przypuszczał, że zostały wygrzebane gdzieś u ochotniczej straży pożarnej.

— Aha, wziąłem trochę stąd, trochę stamtąd — rzekł Moss i więcej nie wracał do tego tematu.

Przed włączeniem pomp kazał Gardenerowi przybić wężę zrzutowe mnóstwem zacisków w kształcie litery U.

— Inaczej zaczęłyby walić we wszystkie strony i pryskać naokoło wodą. Jak widziałeś kiedyś puszczonej wolno wąż strażacki, to wiesz, że może komuś zrobić krzywdę. Brak nam ludzi, żeby stali cały dzień i trzymali parę sikawek.

— Pewnie nie mielibyśmy kolejni ochotników, co?

Freeman Moss spojrzał na niego i przez chwilę milczał.

Potem burknął:

— Wbij dobrze te klamry. I tak trzeba będzie często się zatrzymywać, żeby je poprawić. Na pewno się oblużą.

— Nie możesz jakoś pokierować wypływającej wody, żebyśmy nie musieli sobie zawracać głowy tymi pieprzonymi klamrami? — zapytał Gardener.

Moss w zniecierpliwieniu przewrócił oczami.

— Jasne — odrzekł. — Ale na dole jest od cholery wody, a ja chciałbym ją wypompować jeszcze przed dniem sądu, jeżeli nie robi ci to różnicy.

Gardener uniósł ręce w obronnym geście, niemal ze śmiechem.

— Hej, po prostu pytam. Spokojnie.

W odpowiedzi usłyszał burknięcie w niepowtarzalnym stylu Freemana Mossa.

O wpół do dziesiątej woda płynęła już wartko w dół zbocza. Była zimna i krystalicznie czysta — co mógłby poświadczyć każdy właściciel dobrej studni. W południe powstał już nowy strumień. Miał sześć stóp szerokości, był płytki, lecz płynął rwącą strugą, wciągając w nurt igliwie, drobiny gliniastej ziemi i drobne krzaki. Obaj mężczyźni nie mieli zbyt wiele do roboty, siedzieli więc, sprawdzając od czasu do czasu, czy sztywne i wydęte wężę zrzutowe trzymają się mocno i nie wyskoczą, tryskając wodą jak przejechany hydrant. Moss regularnie wyłączał kolejno pompy, żeby umocować oblużowane klamry albo wbić je gdzie indziej, jeśli w poprzednim miejscu nie chciały się już trzymać.

O trzeciej strumień porywał już większe krzewy, a tuż przed piątą Gardener usłyszał trzask łamanego drzewa. Wstał i wyciągnął szyję, ale wszystko odbyło się w dole wzniesienia, za daleko, by mógł cokolwiek zobaczyć.

— Z odgłosu jakby sosna — odezwał się Moss.

Tym razem to Gardener bez słowa popatrzył na Mossa.

— Raczej świerk — dodał Moss i choć zachował nieprzeniknioną twarz, Gardener doszedł do wniosku, że to mógł być żart. Drobny, ale zawsze żart.

— Myślisz, że woda sięgnie drogi?

— Aha, pewnie tak.

— To chyba ją podmyje, co?

— Nie. Ludzie z miasta zakładają już nowy przepust. Dużej średnicy. Pewnie na parę dni będą musieli zorganizować objazd, jak zerwą nawierzchnię, ale i tak jeździ tędy mniej aut niż kiedyś.

— Zauważyłem — rzekł Gardener.

— No i dobrze moim zdaniem. Nie ma gorszej zarazy niż letnicy. Słuchaj, Gardener — zakręcę dość mocno odpływ, ale pompy dalej będą ciągnąć jakieś piętnaście, może siedemnaście galonów na minutę. Przy czterech pompach to będzie ze trzy tysiące osiemset galonów na godzinę, przez całą noc. Nieźle jak na automat. Chodźmy stąd. Ten statek jest cudny, ale skacze mi od niego ciśnienie. Zanim wrócę do mojej starej, napiję się twojego piwa, jeżeli się zgodzisz.

Moss przyjechał swoim pontiakiem nazajutrz, w sobotę, i szybko podkręcił pompy na maksymalną moc. Każda zaczęła pracować w tempie trzydziestu pięciu galonów na minutę, a wszystkie razem — ośmiu tysięcy czterystu galonów na godzinę.

Dziś rano Freeman Moss się nie pojawił. W końcu wyprztykał się jak tamci, pozostawiając Gardenera sam na sam ze swoimi myślami i rozważaniem wciąż tych samych wariantów.

Wariant pierwszy. Pracować jak zwykle.

Wariant drugi: Uciekać ile sił w nogach. Już wcześniej doszedł do wniosku, że gdyby Bobbi umarła, wkrótce potem mógłby go spotkać jakiś śmiertelny wypadek. Może upłynęłaby godzina. Gdyby postanowił uciec, czy będą o tym wiedzieli z wyprzedzeniem? Gardener sądził, że nie. On i reszta Haven grali w pokera w staroświeckim stylu: nie pokazując kart przy rozdawaniu. A propos szajki — jak daleko będzie musiał uciec, żeby nie dosięgły go ich ręce albo aparaty rodem z komiksu o Bucku Rogersie?

Gardener podejrzewał, że wcale nie tak daleko. Derry, Bangor, nawet Augusta... wydawały się za blisko. Portland? Może. Prawdopodobnie. Powodem była teoria, którą nazwał w myślach analogią papierosową.

Kiedy dzieciak zaczyna palić, może mówić o wielkim szczęściu, jeżeli uda mu się wypalić papierosa do połowy i nie wyrzygać całego żołądka albo nie zemdleć. Po pół roku doświadczeń może już wypalić pięć czy dziesięć papierosów dziennie. Potem wystarczą trzy lata i mamy kandydata do raka płuc ze średnią dwie i pół paczki dziennie.

A teraz odwróćmy to. Jeśli ktoś powie dziecku, które zgasiło pierwszego w życiu papierosa i krztusi się, pozieleniałe na twarzy, że musi natychmiast rzucić palenie, szczeniak upadłby na kolana i z wdzięczności ucałował dobroczyńcę w tyłek. Gdyby to samo mu powiedzieć, gdy doszedł do poziomu pięciu czy dziesięciu fajek dziennie, zapewne będzie mu wszystko jedno... choć uzależniony dzieciak mógłby zacząć jeść za dużo słodczy i w chwilach zdenerwowania albo nudy miałby ochotę zapalić.

Weźmy, myślał Gardener, weźmy teraz nikotynowego weterana. Powiedzmy mu, że musi rzucić fajki, a chwyci się za serce, jak gdyby miał atak... ale będzie zasłaniał paczkę papierosów w kieszeni. Gardener podejmował na ogół udane próby zerwania z nałogiem albo przynajmniej przekształcenia go w śmiertcioną przywarę, dobrze więc wiedział, że palenie to uzależnienie fizyczne. W pierwszym tygodniu po rzuceniu papierosów palacze mają

drżączki, bóle głowy i skurcze mięśni. Żeby złagodzić najgorsze z tych objawów, lekarze mogą im przepisywać witaminę B12. Wiedzą jednak, że żadne pigułki nie zwalczą u byłego palacza depresji i poczucia opuszczenia podczas sześciu miesięcy, które zaczynają się w chwili, gdy palacz rozdusza ostatniego papierosa i postanawia samotnie wyrwać się z objęć nałogu.

I Haven, myślał Gardener, podkreślając pompy na pełną moc, przypomina teraz wypełniony dymem pokój. Z początku wszystkim było niedobrze... jak dzieciakom, które za stodołą uczą się palić skręty z liści kukurydzianych. Ale polubili już powietrze w pokoju, zresztą czemu nie? Są w ostatniej fazie uzależnienia. Oddychają wyłącznie dymem i Bóg jeden wie, jakie zmiany fizjologiczne zaszły w ich mózgach i ciałach. Sekcje płuc wykazywały obecność komórek rakowych w tkance ludzi, którzy palili zaledwie półtora roku. W miastach, gdzie jest przemysł powodujący duże zanieczyszczenia albo, Boże ucho, reaktory jądrowe, odnotowuje się dużo przypadków nowotworów mózgu. A co się dzieje z ludźmi w Haven?

Nie wiedział — nie widział żadnych zewnętrznych zmian z wyjątkiem utraty zębów i zwiększonej drażliwości. Nie sądził jednak, by ścigali go daleko, gdyby dał nogę. Może z początku ruszyliby za nim z zapalem oddziałów pościgowych w westernach z lat trzydziestych, ale wydawało mu się, że szybko straciliby zainteresowanie... gdy tylko pojawiłyby się objawy odstawienia.

Wszystkie cztery pompy pracowały już na najwyższych obrotach, niemal natychmiast zmieniając strumyczek w wartki strumień. Gardener zabrał się do pracy, sprawdzając klamry blokujące węże.

Gdyby uciekł, miałby dwa wyjścia: trzymać język za zębami albo wszystko ujawnić. Wiedział, że z różnych powodów zapewne nie pisałby słowem. W ten sposób po prostu by spasował, przekreślił cały miesiąc katorżniczej pracy, jednym ruchem przekreślił szansę zmiany samobójczego kursu, jaki przybrała polityka światowa, a przede wszystkim skreśliłby swoją dobrą przyjaciółkę i była kochankę Bobbi Anderson, która była nieobecna prawie od dwóch tygodni.

Wariant trzeci: Pozbyć się tego. Wysadzić w powietrze. Zniszczyć. Sprawić, żeby wszystko stało się kolejną niejasną plotką, jak rzekomi kosmici w Hangarze 18.

Mimo zapiekłej wściekłości na szaleństwo energii jądrowej i technokratyczne świnie żłopiające nuklearne pomyje, które stworzyły cały ten syf i finansują go, nie dostrzegając zagrożeń nawet po Czarnobylu, mimo przygnębienia wywołanego widokiem zdjęcia prasowego naukowców ustawiających Czarny Zegar na dwie minuty przed północą, Gardener doskonale zdawał sobie sprawę, że najlepszym rozwiązaniem mogłoby być zniszczenie statku. Dzięki utlenianiu się tajemniczej substancji, którą nasączono jego powłokę (nie miał wątpliwości, że celowo), w miasteczku zaczęły powstawać zupełnie fantastyczne urzędnictwa; sypały się jak z rogu obfitości; Bóg jeden wiedział, jakie cuda mogą czekać w środku. Ale była i druga strona medalu. Neurochirurg w rozbitym samolocie, tamten staruszek i wysoki gliniarz, być może pani konstabl Ruth McCausland, przypuszczalnie dwaj zaginiony gliniarze ze stanowej, pewnie nawet mały Brown... którą z tych ofiar złożona na ołtarzu kolosa, który wystawał z ziemi, jak pysk największego białego wieloryba, o jakim nikomu się nigdy nie śniło? Niektóre? Wszystkie? Żadnej?

Jedno Gardener wiedział na pewno — ostatnia możliwość nie wchodziła w grę.

Nie można było zaprzeczyć, że statek w ziemi był krynicą twórczych idei... stanowił jednak także wrak pojazdu jakiegoś nieznanego gatunku pochodzącego z odległego zakątka mrocznej otchłani — stworzeń, których umysły mogły różnić się od ludzkich w podobnym stopniu, jak umysły ludzkie różniły się od umysłów pajaków. Cudowne, niewiarygodne wykopalisko lśniące w przymglonym blasku niedzielnego poranka... mogło być też nawiedzonym domem, w którego pokojach i ciemnych zakamarkach wciąż krążą demony.

Bywały chwile, że spoglądał na statek i ogarniało go dziwne uczucie, jak gdyby z ziemi przypatrywały mu się uważnie jakieś matowe oczy.

Ale jak miałby się tego pozbyć? Jak miałby to wysadzić? Gdyby nawet chciał, jak by się do tego zabrał? Małe ładunki używane przez nich do rozkruszenia podłoża skalnego, w którym utkwiał statek, miały większą moc od dynamitu, ale nawet nie zadrasnęły kadłuba. Czy miał skoczyć do bazy lotniczej Limestone i ukraść bombę atomową, poruszając się z niewiarygodną kocią zwinnością Dirka Pitta z powieści Clive'a Cusslera? Czyż to nie byłoby zabawne, czyż nie byłoby to szyderstwo przewrotnego losu, gdyby rzeczywiście udało mu się zdobyć bombę jądrową, a po jej zdetonowaniu okazałoby się, że tym sprytnym manewrem zdołał jedynie uwolnić ze skalnych okowów statek, który pozostałby nadal cudownie nietknięty?

Tak przedstawiały się warianty działania, choć ten trzeci nie był w ogóle wariantem... doszedł też do wniosku, że jego ręce wiedzą więcej niż głowa, bo gdy po raz enty rozmyślał o dalszym rozwoju wypadków, spokojnie krzątał się przy swoich porannych obowiązkach — zwiększył moc pomp do maksimum, sprawdził, czy węże mocno się trzymają. Teraz wrócił na skraj wykopu, oglądając węże ssące. Zadowolony stwierdził, że potrzebuje silnej latarki, żeby dostrzec lustro wody — jej poziom bardzo szybko opadał. Sądził, że w środę, najdalej w czwartek, znów będzie można zacząć kopać i wysadzać... i tym razem robota powinna pójść przedziej. Warstwa wodonośna składała się z miękkich i porowatych skał, bo w naturalnych otworach skalnych mieszczą się ładunki znacznie większe od wybuchowego radia. Następna faza pracy będzie przypominała etap przekształcenia gęstej, kleistej packi w pięknie wyrośnięte ciasto.

Gard stał przez chwilę pochylony nad wykopem w ziemi, świecąc w głąb czarnej czeluści. Potem wyłączył latarkę, ponieważ postanowił jeszcze raz sprawdzić klamry mocujące. Proszę, dopiero wpół do dziewiątej, a on już miał ochotę się napić.

Odwrócił się.

Stała przed nim Bobbi.

Gardener otworzył usta. Po chwili raptownie je zamknął i ruszył w stronę Bobbi, przekonany, że to halucynacja, która zaraz rozplynie się w powietrzu. Jednak Bobbi nie zniknęła, a Gard zauważył, że wypadło jej sporo włosów — blade i błyszczące czoło sięgało niemal do połowy czaszki, gdzie zaczynała się ciemna linia włosów, zbiegając się pośrodku nad brwiami.

Odślonięte czoło nie było jednak najbledszym fragmentem jej ciała; Bobbi wyglądała, jakby przebyła straszną, wyniszczającą chorobę. Prawą rękę miała na temblaku. I...

...makijaż. Nałożyła na twarz puder w kremie. Tak to wygląda — położyła grubą warstwę jak ktoś, kto chce zamaskować siniec. Ale to przecież ona... Bobbi... to nie sen...

Nagle oczy napęłniły mu się łzami. Zobaczył Bobbi podwójnie, a potem potrójnie. Dopiero w tym momencie uświadomił sobie, jak bardzo się o nią bał. I jak czuł się samotny.

— Bobbi? — spytał schrypniętym głosem. — To naprawdę ty?

Bobbi uśmiechnęła się swoim dawnym uroczym uśmiechem, który tak uwielbiał i który tak często ratował go przed jego własną głupotą. Tak, to była Bobbi. Bobbi, którą kochał.

Podszedł do niej, otoczył ją ramionami i wtulił zmęczoną twarz w jej szyję. Tak kiedyś robił.

— Cześć, Gard — powiedziała i zaczęła płakać.

On też płakał. I zaczął ją całować. Całować. Całować.

Jego dłonie znalazły się nagle na jej ciele; Bobbi także dotknęła go wolną ręką.

Nie — mówił, ciągle ją całując. — Nie, nie możesz...

Cii, muszę. To moja ostatnia szansa, Gard. Nasza ostatnia szansa.

Całowali się. Bobbi miała już rozpiętą koszulę, pod którą nie kryło się ciało bogini seksu, o nie — było blade, wychudzone, o sflaczałych mięśniach i obwisłych piersiach, ale kochał je i wciąż ją całował. Ich łzy przemieszały się ze sobą.

Gard najdroższy, najdroższy, zawsze mój
cii

Och proszę kocham cię

Bobbi kocham

kocham

całuj mnie

całuj tak

Igliwie sosnowe. Słodycz. Jej łzy. Jego łzy. Całowali się, całowali, całowali. I gdy Gard wszedł w nią, dwie myśli przemknęły mu przez głowę: że bardzo za nią tęsknił i że nie słyszy ani jednego ptasiego głosu. Las był martwy.

Całuj.

12

Brazowe smugi pudru Gard wytarł z nagiego ciała koszulą, która i tak nie była zbyt czysta. Bobbi miała makijaż nie tylko na twarzy. Czyżby przyszła tu, oczekując, że będą się kochać? Lepiej jednak tego nie roztrząsać. Przynajmniej na razie.

Chodź oboje powinni być smacznym kąskiem dla muszek i gżów, wystawiając na słońce spoconą skórę, Gardener nie miał ani jednego śladu ukąszenia. Podejrzywał, że Bobbi też nie ma. To nie tylko wzmacniacz ilorazu inteligencji, myślał, patrząc na statek. Przy czymś takim najlepszy środek przeciw owadom na rynku nie byłby wart funta kłaków.

Rzucił koszulę na ziemię i dotknął twarzy Bobbi, przesuając palec po jej policzku i zbierając odrobinę pudru. Większość makijażu spłynęła z potem... albo ze łzami.

— Zrobiłem ci krzywdę — powiedział.

Kochałeś się ze mną — odpowiedziała.

— Co?

Słyszałeś, Gard. Wiem.

— Jesteś zła? — spytał, czując, jak znów stawia w głowie barierę i ponownie zaczyna grać, czując, że wszystko się skończyło, wszystko, co mieli, ostatecznie się skończyło. Było to przykre wrażenie. — Dlatego nie chcesz ze mną rozmawiać? Zamilkł na chwilę. — Wcale ci się nie dziwię, kobieto. Przez te lata musiałaś znosić różne moje numery.

— Ależ rozmawiałam z tobą — powiedziała. Choć było mu przykro, że musi jej kłamać tuż po tym, jak się kochali, ucieszył się, że słyszy w jej głosie powątpiewanie. — W myślach.

— Nie słyszałem.

— Przedtem słyszałeś. Słyszałeś... i odpowiedziałeś. Rozmawialiśmy, Gard.

— Byliśmy bliżej... tego. — Machnął ręką w stronę statku.

Uśmiechnęła się słabo i oparła policzek o jego ramię. Pozbawiona pudru skóra była niepokojąco przezroczysta.

— A więc zrobiłem ci krzywdę? Bolało cię?

— Nie. Tak. Trochę. — Znów się uśmiechnęła. To był ten sam nieodparty uśmiech dawnej Bobbi Anderson, lecz mimo to towarzyszyła mu łza wolno spływająca po policzku. — Warto było. Najlepsze zostawiliśmy na koniec, Gard.

Pocałował ją delikatnie, ale miała już inne usta. Usta Nowej Ulepszonej Roberty Anderson.

— Wszystko jedno, na początek, na koniec czy w środku, nie powinienem się z tobą kochać, a ty nie powinnaś tutaj być.

— Wiem, że wyglądam na zmęczoną — powiedziała Bobbi — i nałożyłam grubą tapetę, jak już zauważyłeś. Miałaś rację przeliczyłam się z własnymi siłami i przeżyłam coś w rodzaju załamania fizycznego.

Gówno prawda, pomyślał Gardener, lecz zaraz zagłuszył tę myśl, żeby Bobbi nie mogła jej odczytać. Zrobił to niemal bezwiednie. Konspiracja stawała się jego drugą naturą.

— Leczenie było... radykalne. Skutkiem ubocznym są drobne kłopoty ze skórą i wypadanie włosów. Ale odrosną.

— A — rzekł Gardener, myśląc: Dalej za diabła nie umiesz kłamać, Bobbi. — Cieszę się, że dobrze się czujesz. Ale powinnaś chyba zrobić sobie wolne przez parę dni, wyciągnąć się...

— Nie — przerwała mu cichym głosem Bobbi. — Teraz jest pora na ostatni ruch, Gard. Jesteśmy prawie u celu. Razem to zaczęliśmy, ty i ja...

— Nie — odparł Gardener. — Ty zaczęłaś, Bobbi. Dosłownie się o to potknęłaś. Wtedy jeszcze żył Peter, pamiętasz?

Na wzmiankę o Peterze w oczach Bobbi zjawił się cień bólu. Lecz zaraz zniknął. Wzruszyła ramionami.

— Ale niebawem się pojawiłeś. I uratowałeś mi życie. Nie byłoby mnie tu teraz, gdyby nie ty. Zróbmy więc to razem, Gard. Założę się, że do wjazdu zostało nie więcej niż dwadzieścia pięć stóp.

Przecucie mówiło mu, że Bobbi ma rację, ale Gardener nie miał ochoty się do tego przyznawać. W sercu uwierała go jakaś igła, sprawiając mu ból o wiele dotkliwszy niż wszystkie kace, które przeżył.

— Jeżeli tak sądzisz, wierzę ci na słowo.

— Co ty na to, Gard? Jeszcze kawałek. Ty i ja.

Siedział zamyślony, popatrując na Bobbi, znów zwracając uwagę na absolutną, śmiertelną ciszę panującą w lesie, w którym nie słychać było ani jednego ptaka.

Tak właśnie może być — tak będzie — gdy w końcu stopi się jedna z tych pieprzonych elektrowni. Ludzie zdążą uciec — jeżeli w porę zostaną ostrzeżeni, czyli jeśli ci z elektrowni i Komisji do spraw Energii Atomowej będą mieli odwagę im o tym powiedzieć — ale nikt nie potrafi nakazać sowie ani dzieciotłowi, aby opuściły teren zagrożenia. Nikt nie potrafi zabronić pirandze szkarłatnej patrzeć na ognistą kulę. Ptakom wypłyną oczy i biedne stworzenia będą latać w kółko, ślepe jak nietoperze, zderzając się z drzewami i ścianami budynków, dopóki nie padną z głodu albo nie skręcą karku. To naprawdę statek kosmiczny, Bobbi? A może obudowa bezpieczeństwa wielkiego reaktora, która już zaczęła przeciekać? Przecieka, prawda? Dlatego w lesie jest tak cicho i dlatego w piątek Poliastrolog Ptak Neurologa spadł z nieba, prawda?

— Co ty na to, Gard? Jeszcze kawałek?

Jakie jest więc dobre rozwiązanie? Jak zawrzeć pokój, nie tracąc twarzy? Uciekać? Oddać to w ręce amerykańskiej policji z Dallas, żeby wykorzystano to przeciw sowieckiej policji z Dallas? Co robić? Co? Masz jakieś nowe pomysły, Gard?

Nagle rzeczywiście zaświtał mu pomysł... lub zarys pomysłu.

Lepszy zarys niż nic.

Nieszczerym gestem objął Bobbi ramieniem.

— W porządku. Jeszcze kawałek.

Bobbi rozpromieniła się w uśmiechu... który ustąpił miejsca wyrazowi zdziwienia.

— Ile ci zostawiła, Gard?

— Kto mi ile zostawił?

— Wróżka od zębów — odrzekła Bobbi. — W końcu straciłeś ząb. Tu, z przodu.

Gard, zaskoczony i odrobinę przestraszony, wsunął palec do ust. Faktycznie, w miejscu, gdzie jeszcze wczoraj tkwił jeden z siekaczy, namacał przerwę.

A więc jednak się zaczęło. Po miesiącu pracy w cieniu metalowego giganta naiwnie uwierzył, że jest odporny, lecz okazało się, że nie. Zaczął się przepoczwarzać w Nowego Ulepszzonego Garda.

Zacząła się jego „przemiana”.

Zmusił się do uśmiechu.

— Nie zauważyłem — powiedział.

— Czujesz jakąś różnicę?

— Nie — odrzekł zgodnie z prawdą Gard. — Przynajmniej na razie. I co, chcesz pracować?

— Zrobię, co będę mogła — powiedziała Bobbi. — Tą ręką...

— Możesz sprawdzać węże i mówić mi, czy któryś nie zaczyna się obluźowywać. I rozmawiaj ze mną. — Spojrzał na nią z niezręcznym uśmiechem. — Żaden z tamtych nie miał pojęcia, jak się rozmawia. To znaczy, byli ze mną szczerzy, ale... Wzruszył ramionami. — Wiesz, prawda?

Bobbi znów się uśmiechnęła i Gard jeszcze raz zobaczył niczym nieskażony promienny przeblask dawnej Bobbi, kobiety, którą kiedyś kochał. Przypomniał sobie bezpieczne cieniste schronienie w zagłębieniu jej szyi i znów poczuł bolesną igłę w sercu.

— Chyba tak — odrzekła. — Zagadam cię na śmierć, jeśli sobie życzysz. Ja też czułam się samotna.

Wstali razem, uśmiechając się do siebie, i było prawie tak samo, gdyby nie panująca w lesie głucha cisza, której nie zakłócał śpiew żadnego ptaka.

Koniec miłości, pomyślał Gard. Wracamy do przerwane go pokera. W grze nic się nie zmieniło, tylko wczoraj zjawiała się wróżka od ząbków i pewnie dzisiaj znowu przyjdzie. Prawdopodobnie przyprowadzi kuzynkę i szwagra. Kiedy razem zaczną zaglądać mi w karty i zauważą zarys mojego pomysłu jak asa ukrytego w rękawie, będzie po mnie. To nawet na swój sposób zabawne. Zawsze wychodziliśmy z założenia, że kiedy nastąpi inwazja z kosmosu, Obcy będą przynajmniej żywi. Nawet Herbert George Wells nie spodziewał się inwazji duchów.

— Chcę zajrzeć do wykopu — oświadczyła Bobbi.

— Dobrze. Chyba spodoba ci się tempo osuszania.

Weszli razem w płamę cienia rzucanego przez statek.

13

Poniedziałek, 8 sierpnia

Wrócił upał.

Temperatura za oknem kuchni Newta Berringera piętnaście po siódmej rano wynosiła dwadzieścia sześć stopni, ale Newt nie mógł spojrzeć na termometr, bo nie było go w kuchni; w spodniach od piżamy stał w łazience, nieudolnie nakładając sobie na twarz puder w kremie należący do jego zmarłej żony i przeklinając cholerne grudki. Zawsze sądził, że makijaż to niewinne damskie dziwactwo, lecz teraz, próbując używać pudru zgodnie z jego przeznaczeniem — czyli nie po to, by podkreślić walory, ale zatuszować braki (czy raczej zaskakujące zmiany) — doszedł do wniosku, że nakładanie makijażu przypomina strzyżenie włosów. Jest kurewsko trudne, o wiele trudniejsze, niż mu się zdawało.

Starał się zamaskować fakt, że w ciągu ostatniego tygodnia zaczęła zanikać skóra na jego czole „i policzkach. Wiedział, oczywiście, że ma to związek z wizytami, jakie razem z innymi składał w szopie Bobbi — z których niewiele pamiętał; tylko tyle, że były straszne, ale później przepelniały go ogromną radością i trzy razy wyszedł stamtąd z wrażeniem, że ma dziesięć stóp wzrostu i może uprawiać seks w błocie z plutonem zapaśniczek. Skojarzył zmiany z tym, co działo się w szopie, ale z początku sądził, że traci letnią opaleniznę. Przed

pewnym mroźnym zimowym popołudniem, gdy ciężarówka z piekarni wpadła w poślizg i zabiła jego żonę, Elinor lubiła żartować, że po pierwszym maja wystarczy wystawić Newta na pierwszy promień słońca i od razu robi się brązowy jak Indianin.

Od zeszłego piątku nie potrafił się jednak dłużej oszukiwać. Widział rysujące się na policzkach żyły, tętnice i naczynka włosowate tak samo wyraźnie jak na modelu, który podarował na Boże Narodzenie przed dwoma laty swojemu siostrzeńcowi Michaelowi — model nazywał się Zdumiewający Widzialny Człowiek. Widok w lustrze cholernie wytrącił go z równowagi. I nie chodziło tylko o przezroczystość skóry; kiedy nacisnął palcami policzki, poczuł, że kości policzkowe zrobiły się miękkie. Jak gdyby się po prostu... rozpuszczały.

Nie mogę tak wyjść na ulicę, pomyślał. Jezu, nie.

Lecz w sobotę, gdy długo wpatrywał się we własne odbicie w lustrze, stwierdził, że szary cień, który widzi z boku twarzy, to jego własny język, i od razu pognął do Dicka Allisona.

Otwierając mu drzwi, Dick wyglądał zupełnie normalnie i przez kilka strasznych chwil Newt był przekonany, że tylko jego to dotknęło. Zaraz jednak, ku swej ogromnej uldze, w głowie zabrzmiała mu mocna i czytelna myśl Dicka: Chryste, nie możesz tak wychodzić na ulicę, Newt. Przestraszysz ludzi. Wejź, zaraz zadzwonię po Hazel.

(Oczywiście, wcale nie musiał korzystać z telefonu, ale trudno się było pozbyć starych przyzwyczajęń).

W kuchni pod okrągłą jarzeniówką Newt wyraźnie zobaczył, że Dick ma makijaż. Dick powiedział mu, że to Hazel pokazała mu, jak się malować. Tak, u wszystkich dzieje się to samo, z wyjątkiem Adleya, który dopiero dwa tygodnie temu pierwszy raz wszedł do szopy.

Jak to się skończy, Dick? — spytał niespokojnie Newt. Lustro w korytarzu przyciągnęło go jak magnes i popatrzył we własne odbicie: dostrzegł język za pobladłymi wargami, kłębek splątanych naczynek pulsujących na czole. Nacisnął opuszkami palców wysuniętą kość nad brwiami i gdy je oderwał, zobaczył nieznaczące, ale widoczne ślady. Przypominały odciski palców w twardym wosku. Na zsiniałej skórze rysowały się nawet łuki i kręgi linii papilarnych. Na ten widok Newtowi zrobiło się niedobrze.

Nie wiem — odrzekł Dick. Równocześnie rozmawiał przez telefon z Hazel. — Ale to naprawdę nie ma znaczenia. W końcu wszystkich to spotka. Wszystko. Wiesz, co mam na myśli.

Tak, wiedział doskonale. Spoglądając w ten upalny poniedziałkowy rano w lustro, Newt pomyślał, że pierwsze zmiany były pod wieloma względami gorsze, bardziej szokujące, dlatego że były... intymne.

Ale już się do nich przyzwyczaił, co, jak przypuszczał, stanowiło niezbity dowód, że człowiek może się przyzwyczaić do wszystkiego, jeśli ma dość czasu.

Stał teraz przed lustrem, słysząc dobiegający jak z oddali głos prezentera radiowego, który informował słuchaczy, że z południa napływa gorące powietrze, mogą się więc spodziewać co najmniej trzech dni, a może i tygodnia parnej pogody i temperatury około trzydziestu stopni. Newt przeklął w myślach nadciągającą wilgoć — jak zawsze w czasie takiej pogody będą mu się dawały we znaki hemoroidy — i dalej próbował pokryć coraz bardziej przezroczyście policzki, czoło, nos i szyję pudrem Max Factor należącym jeszcze do Elinor. Skończył przeklinać pogodę i kontynuował robienie makijażu, ani na chwilę nie przerywając swojego monologu, nie mając pojęcia, że po upływie pewnego czasu puder w kremie starzeje się i wysycha (a ten przeleżał na dnie szuflady w łazience od śmierci Elinor w 1984 roku).

Przypuszczał jednak, że w końcu nauczy się nakładać to gówno na twarz... dopóki nie trzeba już będzie tego robić. Człowiek może się przyzwyczaić prawie do wszystkiego. Z rozporka spodni od pizamy wypadła macka, biała na końcu, dalej różowa, a w okolicach ukrytej nasady krwistoczerwona. Jak gdyby na potwierdzenie tej tezy, Newt Berringer

roztargnionym ruchem wepchnął ją z powrotem do spodni i dalej próbował rozprowadzić równo na znikającej twarzy puder swojej zmarłej żony.

14

Wtorek, 9 sierpnia

Stary doktor Warwick wolno naciągnął prześcieradło na Tommy'ego Jacklina. Wzdęło się lekko, po czym opadło. Pod płótnem wyraźnie rysował się nos Tommy'ego. Był przystojnym chłopcem, ale miał duży nos, tak samo jak jego ojciec.

Jego ojciec, pomyślała smętnie Bobbi Anderson. Ktoś będzie musiał powiedzieć jego ojcu i ciekawe, na kogo padnie? Wiedziała, że nie powinna się już przejmować takimi rzeczami — śmiercią młodego Jacklina, myślą, że gdy dotrą do wjazdu statku, będzie się musiała pozbyć Garda — jednak zdarzało się jej jeszcze przejmować.

Przypuszczała, że z czasem i to się wypali.

Jeszcze kilka wizyt w szopie. Tyle powinno wystarczyć.

Bezwiednie strzepnęła coś z koszuli i kichnęła.

Z wyjątkiem jej kichnięcia i chrapliwego oddechu Hester Brookline leżącej na drugim łóżku w zaimprovizowanej miniklinice, którą doktor urządził w swoim salonie — gabinecie, przez chwilę panowała cisza. Wszyscy byli wstrząśnięci.

Kyle: Naprawdę nie żyje?

Nie, po prostu czasem nakrywam tak ludzi dla żartu — odrzekł ze złością Warwick. — Cholera jasna! Już o czwartej wiedziałem, że z nim koniec. Dlatego was wszystkich wezwałem.

Przecież teraz wy jesteście ojcami miasta, prawda?

Jego wzrok spoczął przez moment na Hazel i Bobbi.

Przepraszam. I dwiema matkami.

Bobbi uśmiechnęła się niewesoło. Niedługo w Haven będzie tylko jedna płeć. Nie będzie matek ani ojców. Miną po prostu kolejną tablicę reklamową kremu Burma-Shave* na Wielkiej Drodze „Przemiany”.

Spojrzała kolejno na Kyle'a, Dickę, Newta i Hazel. Stwierdziła, że wszyscy wyglądają na tak samo zszokowanych jak ona. Dzięki Bogu, nie była więc sama. Tommy i Hester wrócili w porę — nawet przed ustalonym czasem, bo gdy Tommy źle się poczuł, już trzy godziny po przekroczeniu granicy dzielącej Haven i Troy, wcisnął gaz i zaczął pędzić jak najszybciej.

Chłopak jest naprawdę bohaterem, pomyślała Bobbi. Możemy mu dać tylko kwaterę na cmentarzu, ale pozostanie bohaterem.

Popatrzyła na bladą jak woskowa kamea Hester, która oddychała sucho z zamkniętymi oczami. Mogli — i powinni wrócić, gdy tylko poczuli zbliżający się ból głowy, gdy zaczęły im krwawić dziąsła, ale nawet nie wspomnieli o takiej ewentualności. I nie chodziło tylko o dziąsła. Hester, która w trakcie „przemiany” trochę miesiączkowała (w przeciwieństwie do starszych kobiet u nastolatek menstruacja nie ustawała... w każdym razie do tej pory), zmusiła Tommy'ego, by zatrzymał się pod sklepem w Troy, żeby mogła kupić większe podpaski. Zaczęła krwawić naprawdę obficie. Zanim w sklepie z częściami samochodowymi przy drodze numer 7 na granicy między Newport i Derry kupili trzy akumulatory i dobry używany akumulator do ciężarówki, zdążyła zużyć cztery podpaski Stayfree w rozmiarze maxi.

Zaczęły ich boleć głowy, Tommy'ego bardziej niż Hester. Kiedy kupili pół tuzina akumulatorów Allstate w sklepie Sears i sporo ponad setkę baterii R14, R20, paluszków i

* Od lat dwudziestych do początku sześćdziesiątych przy wielu drogach w USA stały tablice reklamujące krem do golenia Burma-Shave. Napisy na ustawionych kaskadowo tablicach — pierwowzorach dzisiejszych billboardów — układały się w slogan reklamowy, często rymowany (przyp. tłum.).

minipaluszków w sklepie Tru-Value Hardware w Derry (który właśnie miał dostawę), oboje wiedzieli, że muszą wracać... i to szybko. Tommy miał halucynacje; kiedy jechali Wentworth Street, zdawało mu się, że widzi klauna, który uśmiechał się do niego z otwartej studzienki kanalizacyjnej — klauna, który zamiast oczu miał dwie błyszczące srebrne dolarówki, a w zaciśniętej ręce w białej rękawiczce trzymał pęk balonów.

Osiem mil za Derry, na drodze numer 9 prowadzącej do Haven, Tommy zaczął krwawić z odbytu.

Zatrzymał samochód i z rumieńcem zażenowania poprosił Hester o podpaszkę. Gdy spytała po co, wyjaśnił, ale unikał jej wzroku. Dała mu całą garść i Tommy na minutę zniknął w krzakach. Wrócił do samochodu zataczając się jak pijany i trzymając przed sobą wyciągniętą rękę.

— Musisz poprowadzić, Hester — powiedział. — Nie za dobrze widzę.

Kiedy dotarli do granicy miasta, siedzenie z przodu pokrywały plamy zakrzepłej krwi, a Tommy był nieprzytomny. Hester widziała wszystko jak przez ciemną zasłonę; wiedziała, że świeci słońce i jest dopiero czwarta po południu, ale zdawało się jej, że doktor Warwick wyłonił się z fioletowego zmierzchu zaciągniętego chmurami burzowymi. Wiedziała, że otwiera drzwi, dotyka jej rąk, mówiąc: „Już wszystko dobrze, skarbie, wróciłaś, możesz puścić kierownicę, jesteś już w Haven”. Otoczona troskliwymi ramionami, Hazel McCready mniej więcej zrozumiała opowiedziała przebieg popołudnia, ale straciła przytomność na długo, zanim przyjechali do doktora, choć Warwick gnał z niesłychaną prędkością sześćdziesięciu pięciu mil na godzinę, a jego białe włosy targał wiatr.

Co z dziewczyną? — szepnął Adley McKeen.

Ciśnienie jej spada — odrzekł Warwick. — Krwawienie ustało. Jest młoda i silna. Dobra wiejska glina. Znałem jej rodziców i dziadków. Wyjdzie z tego. — Spojrzał na nich ponuro wodnistymi, niebieskimi oczami, których nie mógł zwieść ich makijaż. W świetle wyglądali jak upiornie opaleni klauni.

Ale nie sądzę, żeby miała kiedykolwiek odzyskać wzrok.

Znów nastąpiła odrętwiała cisza. Przerwała ją Bobbi:

To nie tak.

Doktor Warwick odwrócił się, zęby na nią spojrzeć.

Znów będzie widziała — powiedziała Bobbi. — Kiedy skończy się „przemiana”, będzie widziała. Wszyscy będziemy wtedy widzieć jednym okiem.

Warwick pochwycił jej spojrzenie, ale po chwili spuścił oczy.

Tak — rzekł — chyba tak. Ale i tak cholerna szkoda.

Bobbi zgodziła się bez zapału. — Źle się skończyło dla dziewczyny. Gorzej dla Tommy'ego. Jego starym nie będzie miło. Muszę się z nimi zobaczyć. Przydałoby mi się jakieś towarzystwo.

Popatrzyła na nich, ale każde po kolei odwracało wzrok, a ich myśli rozplływały się w jednolitym szumie.

W porządku — powiedziała Bobbi. — Poradzę sobie. Chyba.

Pojadę z tobą, Bobbi, jeśli zechcesz. Dla towarzystwa. Odezwał się nieśmiało Adley McKeen.

Bobbi posłała mu zmęczony, ale promienny uśmiech i ścisnęła go za ramię. — Dzięki, Ad. Już drugi raz, dzięki.

Oboje wyszli. Pozostali przyglądali się im, a gdy usłyszeli silnik samochodu Bobbi, odwrócili się do Hester Brookline, która leżała nieprzytomna, podłączona do skomplikowanej maszyny podtrzymującej życie, zbudowanej z dwóch odbiorników radiowych, gramofonu ze zmieniaczem płyt, urządzeniem autodostrajania z nowego telewizora Sony, jaki sprawił sobie doktor...

...i, oczywiście, mnóstwa baterii.

Środa, 10 sierpnia

Mimo zmęczenia, dezorientacji, hamletyzowania i — co najgorsze — permanentnego uczucia, że wszystko w Haven cały czas zmierza w złym kierunku, Jim Gardener całkiem nieźle radził sobie z wodą od dnia, kiedy Bobbi wróciła i razem leżeli na wonnym sosnowym igliwiu. Przestał pić między innymi ze względu na własne dobro. Miał dość krwotoków z nosa i bólów głowy. Przypuszczał, że część z nich wywołał wpływ statku — nie zapomniał, jak krew buchnęła mu z nosa, gdy Bobbi nalegała, żeby dotknął jej znaleziska, i kiedy złapał wystającą krawędź statku, poczuł intensywną wibrację — lecz rozsądek podpowiadał mu, że ciągle picie też zrobiło swoje. Wprawdzie nie urywał mu się film, ale bywały dni, że nos krwawił mu trzy albo i cztery razy. Zawsze miał tendencje do nadciśnienia i nieraz mówiono mu, że ciągle picie może doprowadzić do poważnej choroby.

Tak więc radził sobie całkiem dobrze, dopóki nie usłyszał, jak Bobbi kicha.

Odgłos ten, tak bardzo znajomy, wywołał lawinę wspomnień. Nagle poraziło go straszne podejrzenie, eksplodując w głowie jak bomba.

Poszedł do kuchni, otworzył kosz na brudną bieliznę i spojrzał na sukienkę, którą Bobbi miała na sobie wczorajszego wieczoru. Bobbi nie widziała tej inspekcji; spała. Kichnęła przez sen.

Poprzedniego wieczoru Bobbi wyjechała z domu, nie mówiąc dokąd — wydawała się zdenerwowana. Mimo że oboje cały dzień ciężko pracowali, Bobbi prawie nie tknęła kolacji. Potem, tuż przed zachodem słońca, wykapała się, przebrała w tę sukienkę i wyjechała w ciągle upalny, parny wieczór. Gardener słyszał, że wróciła około północy, i zobaczył osłepiający błysk światła, gdy Bobbi weszła do szopy.

Zdawało mu się, że wróciła do domu o brzasku, lecz nie był pewien.

Dziś cały dzień chodziła posępna, odzywając się tylko, gdy ją o coś pytał, i to monosylabami. Gard niezdarnie próbował ją rozweselić, ale nic z tego nie wyszło. Wieczorem Bobbi znów nie jadła kolacji i przecząco pokręciła głową, gdy Gardener zaproponował kilka partyjek cribbage'a na werandzie, jak za dawnych czasów.

Oczy Bobbi, ciemne i zażawione, kontrastowały z dziwaczną warstwą cielistego makijażu. Gdy Gardener na nią spojrzał, Bobbi chwyciła garść chusteczek ze stołu za swoimi plecami i kilkakrotnie kichnęła, raz za razem.

— Chyba letnie przeziębienie. Pójdę w kimono, Gard. Przepraszam, że psuję ci wieczór, ale jestem padnięta.

— W porządku — rzekł Gard.

Jakieś skojarzenie — wspomnienie czegoś bardzo znajomego — nie dawało mu spokoju i tak znalazł się w kuchni, trzymając w rękach jej letnią sukienkę bez rękawów. W dawnych czasach sukienka zostałaby wyprana jeszcze dziś rano, potem rozwieszona na dworze, wyprasowana po kolacji, a późnym wieczorem znalazłaby się w szafie. Ale tak było kiedyś, teraz nadeszły Nowe Ulepszone Czasy i prali ubrania tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne; mieli przecież znacznie ważniejsze rzeczy do zrobienia, prawda?

Jak gdyby na potwierdzenie jego przypuszczeń, Bobbi dwa razy kichnęła przez sen.

— Nie — szepnął Gard. — Proszę. — Wrzucił sukienkę z powrotem do kosza, nie chcąc jej dłużej dotykać. Zamknął pokrywę i przez chwilę stał sztywny, bez ruchu, czekając, czy dźwięk zbudzi Bobbi.

Wzięła samochód. Pojechała zrobić coś, na co nie miała ochoty. Coś, czym bardzo się denerwowała. Coś na tyle oficjalnego, że musiała włożyć sukienkę. Wróciła późno i weszła do szopy. Nie wstąpiła nawet do domu, żeby się przebrać. Weszła tam, jak gdyby musiała tam wejść. Natychmiast. Po co?

Odpowiedź, biorąc po uwagę jej kichanie i to, co znalazł na sukience, wydawała się oczywista.

Potrzebowała pociechy.

A gdy mieszkająca samotnie Bobbi potrzebowała pociechy, od kogo mogła jej oczekiwać? Od Garda? Nie rozśmieszajcie mnie. Gard nigdy nie niósł jej pociechy, ale sam po nią przychodził.

Chciał się napić. Bardziej niż kiedykolwiek od samego początku tego wariactwa.

Daj spokój. Gdy odwracał się, aby wyjść z kuchni, gdzie Bobbi trzymała swoje „niezbędne zapasy” alkoholowe oraz brudną bieliznę w koszu, coś stuknęło o podłogę.

Gardener pochylił się, podniósł to coś, obejrzał i podrzucił w dłoń. Oczywiście, ząb. Jego numer dwa. Wsunął palec do ust, wyczuł pusty zębodół, a potem zobaczył plamę krwi na opuszcze palca. Podeszedł do kuchennych drzwi i przystanął, nasłuchując. Z sypialni dobiegało pochrapywanie Bobbi. Pewnie miała zatoki zapchane jak sklepy przed Bożym Narodzeniem.

Powiedziała, że to letnie przeziębienie. Może i tak.

Ale pamiętał, jak Peter wskakiwał jej czasem na kolana, gdy Bobbi czytała, siedząc w swoim starym fotelu bujanym pod oknem albo na werandzie. Bobbi mówiła, że Peter najczęściej wykonuje swoje skoki na cycki podczas zmiennej pogody i równie często wywołuje u niej ataki alergii, kiedy pogoda jest zmienna i upalna. „Jak gdyby wiedział — powiedziała kiedyś, tarmosząc beagle’a za uszy. — Tak, Pete? Wiesz? Lubisz, kiedy kicham? Lubisz mieć towarzystwo w niedoli, tak?”. A Pete patrzył na nią, śmiejąc się w swój jedyny psi sposób.

Gardener przypomniał sobie, że gdy wczorajszej nocy powrót Bobbi zbudził go na krótko (powrót Bobbi i błysk zielonego światła), usłyszał dobiegający z oddali pomruk burzy.

I przypomniał sobie, że czasem to Pete potrzebował odrobiny pociechy. Zwłaszcza podczas burzy. Pete śmiertelnie bał się grzmotów.

Chryste Panie, czyżby wsadziła Petera do szopy? A jeżeli tak, to, na litość boską, po co?

Na sukience Bobbi były plamy jakiejś dziwnej zielonej mazi.

I sierść.

Znajoma krótką, białą — brązowa sierść. Peter był w szopie, i to od początku. Bobbi skłamała, mówiąc, że pies nie żyje.

Bóg jeden wiedział, ile jeszcze kłamstw Gardener od niej usłyszał... ale dlaczego kłamała o Peterze?

Dlaczego?

Nie miał pojęcia.

Zmienił kierunek, podeszedł do szafki po prawej pod zlewem, wyciągnął pełną butelkę szkockiej i zerwał folię. Uniósł butelkę i powiedział:

— Za najlepszego przyjaciela człowieka.

Przytknął szyjkę do ust i pociągnął. Zanim przełknął, whisky zagulgotała mu nieprzyjemnie w gardle.

Pierwszy łyk.

Peter. Coś ty, kurwa, zrobiła Peterowi, Bobbi?

Chciał się upić.

W sztok.

Jak najszybciej.

KSIĘGA III STUKOSTRACHY

Oto nowy szef. Taki sam jak stary szef.

THE WHO „Won't Get Fooled Again”

Na górze grzmot piekielny

Noc rozdarł głosem złym:

Niech poznają moją mądrość, spowijcie ziemię w dym.

Uciekaj przez dżunglę i nie oglądaj się.

CREEDENCE CLEARWATER
REVIVAL „Run Through the Jungle”

Spałam i przyśnił mi się sen. Tym razem bez kostiumów.

Byłam złośliwym męsko-żeńskim skrzatem, samą radością zniszczenia; a Saul był moim odpowiednikiem, męsko-żeńskim, moim bratem i siostrą, i tańczyliśmy na otwartej przestrzeni pod ogromnymi białymi budynkami, w których było pełno czarnych, groźnych, potwornych maszyn, siejących zagładę. Ale we śnie on i ja, czy ona i ja, byliśmy przyjaźni, nie mieliśmy wrogich zamiarów, byliśmy ze sobą w zawziętym zaślepieniu. We śnie ogarniało mnie okropne uczucie bezbrzeżnej tęsknoty, pragnienia śmieci. Spletliśmy się w pocałunku, w uścisku miłosnej rozkoszy. To było okropne i wiedziałam o tym nawet we śnie. Bo rozpoznałam w nim wszystkie nasze sny, w których w pocałunku czy pieszczocie skupia się cała istota miłości i czułości, lecz była to pieszczota dwóch półludzkich istot, które celebrowały zniszczenie.

DORIS LESSING, „Złoty notatnik”

1

SIOSTRUNIA

1

— Mam nadzieję, że miała pani udany lot — powiedziała stojąca przy wyjściu stewardesa do czterdziestokilkuletniej kobiety, opuszczającej pokład samolotu linii Delta wraz z grupką pasażerów, którzy wytrzymali cały lot numer 230 do Bangor.

Siostra Bobbi Anderson, Anne, miała czterdzieści lat, ale myślała i wyglądała jak pięćdziesięciolatka (Bobbi, gdyby była lekko wstawiona, co zdarzało się jej bardzo rzadko, powiedziałyby, że Anne psychicznie ma pięćdziesiąt lat od dnia, w którym skończyła trzynaście). Przystanęła i utkwiała w stewardesie spojrzenie, które mogłoby zatrzymać wskazówki zegara.

— Powiem ci, skarbie — odrzekła. — Gorąco mi. Śmierdzi mi pod pachami, bo samolot wyleciał z opóźnieniem z La Guardii i z jeszcze większym z Logan. W powietrzu rzucało, a ja nie cierpię latać. Jakaś praktykantka, którą później odesłano do przedziału bydłęcego, wylała na mnie czyjś drinka i właśnie na ręce robi mi się skorupka z zaschniętego soku pomarańczowego. Majtki lepią mi się do tyłka, a ta miścinka wygląda jak pryszcz na kutasie Nowej Anglii. Jeszcze jakieś pytania?

— Nie — wykrztusiła stewardesa. Jej oczy zrobiły się szkliste, a ona poczuła się jak po trzech szybkich rundach z Rayem „Boom-Boom” Mancinim, kiedy akurat Mancini był wkurzony na cały świat. Anne bardzo często działała na ludzi w ten sposób.

— I bardzo dobrze. — Anne przemaszerowała obok stewardesy i ruszyła korytarzem, wymachując dużą, krzykliwie fioletową torbą, którą trzymała w ręce. Stewardesa nie zdążyła życzyć jej miłego pobytu w Bangor. Uznała jednak, że i tak na darmo strzepiłaby sobie język. Dama sprawiała wrażenie, jakby nigdzie nie potrafiła miło spędzić czasu. Szła wyprostowana, lecz wyglądała, jak gdyby poruszanie się sprawiało jej ból — jak mała syrenka, która wybrała się na spacer, mimo że każdy krok parzył ją w stopy jak ogień.

Ale jeżeli gdzieś na świecie kryje się ukochany i pomyślała stewardesa, mana nadzieja, że zna się na zwyczajach godowych pajaków podkopników.

2

Dziewczyna w biurze Avis powiedziała Anne, że nie ma wolnych samochodów; jeśli Anne nie dokonała wcześniej rezerwacji, to niestety, bardzo jej przykro, ale nie ma szczęścia. W sezonie letnim w Maine samochody z wypożyczalni były na wagę złota.

To był błąd dziewczyny z biura. Poważny.

Anne uśmiechnęła się ponuro, zakasała w duchu rękawy i zabrała się do dzieła. Takie sytuacje stanowiły ulubioną rozrywkę siostry Bobbie, opiekującej się swoim ojcem aż do jego śmierci, która nastąpiła osiem dni temu, pierwszego sierpnia. Nie zgodziła się, by umieścić go w zakładzie opieki i sama go myła, opatrywała mu odleżyny, zmieniała mu pieluchy i podawała pigułki w środku nocy. I to ona, oczywiście, doprowadziła do ostatniego wylewu, dręcząc go nieustannie, żeby sprzedał dom przy Leighton Street (nie chciał się zgodzić; Anne postanowiła przekonać go za wszelką cenę; trzy dni po wystawieniu domu na sprzedaż przyszedł ostatni potężny wylew, po trzech łagodniejszych, które zdarzały się w odstępach dwóch lat), ale nie przyznałaby się do tego, tak jak nie przyznałaby się, że choć od najwcześniejszego dzieciństwa chodziła do Świętego Bartłomieja w Utice i była jedną z najaktywniejszych działaczek świeckich w tym wspaniałym kościele, uważała koncepcję Boga za gówną wartą. Zanim Anne skończyła osiemnaście lat, umiała już narzucać swoją

wolę matce, a teraz wpędziła do grobu ojca i przypatrywała się, jak ziemia zasypuje jego trumnę. Żadna panienska z Avis nie mogła podskakiwać Siostruni. Po dziesięciu minutach dziewczyna zupełnie skapitulowała, ale Anne odrzuciła propozycję wypożyczenia małego auta, które Avis trzymało w rezerwie na wypadek wizyty w Bangor jakiejś znanej osobistości, co zdarzało się rzadko — bardzo rzadko i naciskała dalej, wyraźnie wyczuwając narastający strach dziewczyny, tak jak głodny drapieżnik wyczuwa woń krwi. Dwadzieścia minut po odrzuceniu oferty małego auta Anne spokojnie wyjechała spod Międzynarodowego Portu Lotniczego w Bangor, siedząc za kierownicą oldsmobile'a cutlass supreme zarezerwowanego przez biznesmena, który miał przylecieć o osiemnastej piętnaście. Wtedy dziewczyna miała już skończyć dyżur — poza tym tak ją wytrąciła z równowagi ofensywa Anne, że było jej wszystko jedno, nawet gdyby cutlass został zamówiony przez prezydenta Stanów Zjednoczonych. Trzęsąc się, poszła na zaplecze, zamknęła drzwi, przekręciła klucz, podparła krzesłem klamkę i wypaliła skręta, którego zostawił jej jeden z mechaników. Potem wybuchnęła płaczem.

Anne Anderson działała tak na wiele osób.

3

Kiedy dziewczyna z Avis padła ofiarą Anne, dochodziła trzecia. Anne mogła pojechać prosto do Haven — według mapy, którą wzięła z biura wypożyczalni, miała przed sobą niecałe pięćdziesiąt mil drogi — lecz przed konfrontacją z Robertą chciała być absolutnie świeża i czysta.

Na skrzyżowaniu przecinających się skośnie ulic Hammond i Union stał policjant — światła nie działały, co, jak sądziła, było typową sytuacją w takich zapadłych dziurach więc zatrzymała się na środku skrzyżowania, żeby go spytać o najlepszy hotel czy motel w mieście. Policjant zamierzał ją zganić, że blokuje ruch, pytając go o drogę, lecz na widok jej spojrzenia — którego temperatura wskazywała, że tli się w niej żar, gotów w każdej chwili strzelić płomieniem — uznał, iż lepiej będzie się jej pozbyć, udzielając żądanych informacji. Dama przypominała psa, którego policjant zapamiętał z dzieciństwa, psa, którego ulubioną zabawą było wrywanie dziur w spodniach dzieci idących do szkoły. Dziś, kiedy dokuczały mu upał i wrzód, nie miał absolutnie ochoty na kłopot tego rodzaju. Pokazał jej drogę do hotelu Cityscape przy drodze numer 7 i z ulgą patrzył na oddalający się samochód.

4

Hotel Cityscape był pełen.

Dla siostry Anne nie stanowiło to żadnego problemu.

Załatwiła sobie pokój dwuosobowy, a potem zmusiła znękanego kierownika, żeby dał jej inny, bo w pierwszym klimatyzator za bardzo hałasował, a kolory w telewizorze były tak złe, że, jak powiedziała, wszyscy aktorzy wyglądali, jakby najedli się gówna i zaraz mieli umrzeć.

Rozpakowała się, osiągnęła gorzko — ponury orgazm za pomocą wibratora, który rozmiarem przypominał jedną ze zmutowanych marchwi w ogrodzie Bobbi (miała tylko gorzko — ponure orgazmy; nigdy nie poszła do łóżka z mężczyzną i nigdy nie zamierzała), wzięła prysznic, zdrzemnęła się, a później zeszła na kolację. Przejrzała menu, marszcząc brwi, i gdy podszedł kelner, żeby przyjąć jej zamówienie, rozciągnęła wargi w karykaturze uśmiechu, obnażając zęby.

— Przynieś mi warzywa. Zielone, surowe warzywa.

— Pani chce sala...

— Pani chce zielone, surowe warzywa. Gówno mnie obchodzi, jak je tu nazywacie. Tylko każ najpierw zmyć z nich szczyzny robaków. I podaj mi drinka. Sombbrero.

— Dobrze, proszę pani — powiedział kelner, oblizując wargi. Patrzyli na nich ludzie. Kilkoro zaczęło się uśmiechać... ale ci, którzy spojrzeli w oczy Anne Anderson, zaraz przestawali. Kelner odszedł, lecz przywołała go z powrotem spokojnym, donośnym i nieznoszącym sprzeciwu głosem.

— Sombrero — powiedziała — składa się z likieru Kahlua i śmietanki. Śmietanki. Jeżeli przyniesiesz mi sombrero z mlekiem, umyjesz sobie tym skurwysyństwem włosy, koleś.

Grdyka kelnera jeździła w górę i w dół jak jojo. Próbował przywołać na twarz uśmiech arystokratycznego politowania, który jest głównym orężem dobrego kelnera przeciw ordynarnym klientom. Trzeba przyznać, że dobrze zaczął — lecz nagle kąciki ust Anne uniosły się w uśmiechu, na którego widok twarz mu stężała. W jej uśmiechu nie było cienia dobroduszości; ten uśmiech zapowiadał morderstwo.

— Mówię poważnie, koleś — dodała cicho siostra Anne.

Kelner nie miał co do tego wątpliwości.

5

O wpół do ósmej wróciła do pokoju. Rozebrała się, narzuciła szlafrok i usiadła, patrząc przez okno na czwartym piętrze. Mimo swojej nazwy ^{*} hotel Cityscape był położony daleko na obrzeżach Bangor. Jeśli nie liczyć kilku świateł na małym parkingu, Anne widziała tylko nieprzeniknioną ciemność. Właśnie taki widok lubiła najbardziej.

W torebce miała kapsułki z amfetaminą. Anne wyciągnęła jedną, otworzyła, wysypała biały proszek na lustro puderniczki, krótko obcięty paznokciem uformowała z niego kreskę i wciągnęła połowę. Serce natychmiast zaczęło trzepotać jej w chudej piersi jak królik w sidłach. Na bladej twarzy wykwitł rumieniec. Resztę zostawiła sobie na rano. Zaczęła brać prochy w ten sposób krótko po pierwszym wylewie ojca. Teraz stwierdziła, że nie potrafi zasnąć bez porcji amfy, która była całkowitym przeciwieństwem środka uspokajającego. Gdy Anne była małą dziewczynką — bardzo małą — matka krzyknęła kiedyś na nią w bezsilnej złości:

— Jesteś taka przekorna, że dostałabyś rozwolnienia od sera!

Anne przypuszczała, że miała wtedy rację i miałyby dziś... tylko że dziś matka, oczywiście, nie miałaby odwagi odezwać się do niej w ten sposób.

Anne zerknęła na telefon, lecz zaraz odwróciła wzrok. Sam widok telefonu przypominał jej o tym, jak Bobbi wykręciła się od przyjazdu na pogrzeb ojca — nie słowami, ale w typowy dla siebie tchórzliwy sposób, nie reagując po prostu na coraz bardziej natarczywe próby skontaktowania się z nią, jakie podejmowała Anne. Dzwoniła do niej dwa razy w ciągu dwudziestu czterech godzin po wylewie starego, gdy było już jasne, że tym razem na pewno się przekreśli. Bobbi nie odbierała telefonu.

Anne zadzwoniła znowu po śmierci ojca — cztery po pierwszej w nocy drugiego sierpnia. Telefon odebrał jakiś pijany.

— Chciałabym rozmawiać z Robertą Anderson — powiedziała Anne. Stała sztywno przed automatem telefonicznym w korytarzu Szpitala Wojskowego w Utice. Matka siedziała nieopodal na plastikowym krzeselku, otoczona niezmiernie gęstą cizbą swoich braci i sióstr o niezmiernie irlandzkich, białych twarzach, którzy płakali i płakali bez końca. — Natychmiast.

— Z Bobbi? — powiedział głos pijanego po drugiej stronie. — Chodzi o dawnego szefa czy Nowego Ulepszego Szefa?

— Daruj sobie te pierdoły, Gardener. Jej ojciec właśnie...

— Nie możesz teraz rozmawiać z Bobbi — przerwał jej pijany, to był Gardener, poznała już ten głos. Anne zamknęła oczy. Spośród nieuprzejmości, jakie mogły ją spotkać w

* Cityscape — widok, pejzaż miasta (przyp. tłum.).

rozmowach telefonicznych, tylko jednej nie cierpiała bardziej od przerywania jej w pół słowa.
— Jest w szopie z policją z Dallas. Wszyscy ulepszają się jeszcze bardziej.

— Powiedz Bobbi, że jej siostra Anne...

Trzask!

Z wściekłości gardło wyschło jej na wiór. Trzymała słuchawkę w wyciągniętej dłoni i patrzyła na nią jak na węża, który ją właśnie ukąsił. Paznokcie jej zbiały i zaczynały sinieć.

Najbardziej nie cierpiała, gdy ktoś bez słowa odkładał słuchawkę.

6

Jeszcze raz wykręciła numer Bobbi, ale pod długiej ciszy usłyszała dziwny sygnał przypominający dźwięk syreny.

Odłożyła słuchawkę i podeszła do zapłakanej matki i jej zrzędlivych krewnych.

— Dodzwoniłaś się do niej, córciu? — spytała jej matka.

— Tak.

— Co powiedziała? — Jej oczy błagały Anne o dobre wieści. — Powiedziała, że przyjedzie do domu na pogrzeb?

— Właściwie nie usłyszałam jednoznacznej deklaracji — odrzekła Anne i nagle wściekłość przeciw Robercie — Robercie, która miała czelność jej unikać — wybuchła z całą siłą, ale nie w przeraźliwym wrzasku. Anne nigdy nie wrzeszczała ani nie milczała. Na jej twarzy znów pojawił się ten szczególny uśmiech rekina. Szepczący krewni zamilkli i spojrzeli z niepokojem na Anne. Dwie starsze panie zacisnęły w dłoniach swoje różańce. — Powiedziała tylko, że cieszy się ze śmierci starego. A potem wybuchnęła śmiechem. I odłożyła słuchawkę.

Nastąpiła chwila pełnej oszołomienia ciszy. Potem Paula Anderson zasłoniła sobie uszy rękami i zaczęła krzyczeć.

7

Anne nie miała wątpliwości — przynajmniej z początku że Bobbi będzie na pogrzebie. Anne chciała, żeby Bobbi przyjechała, dlatego musiała przyjechać. Anne zawsze dostawała to, czego chciała; dzięki temu świat był dla niej miły i tak miało być. Kiedy Roberta przyjedzie, będzie musiała stawić czoło kłamstwu, jakie powiedziała Anne — zapewne nie usłyszy tego z ust matki, którą na jej widok ogarnie pożałowania godna radość; matka nie wspomni o tym (może w ogóle zapomni), ale niewątpliwie będzie pamiętać któryś ze zrzędlivych wujów. Bobbi zaprzeczy, toteż zrzędlivy wuj zapewne da spokój — jeśli zrzędlivy wuj nie będzie bardzo pijany, co w przypadku braci mamusi było całkiem możliwe — ale wszyscy zapamiętają oświadczenie Anne, a nie zaprzeczenia Bobbi.

I dobrze. Doskonale. Ale to za mało. Nadszedł już czas najwyższy — żeby Roberta wróciła do domu. Nie tylko na pogrzeb, ale na zawsze.

Już ona tego dopilnuje. Siostruni w tym głowa.

8

Tej nocy w hotelu Cityscape sen długo nie przychodził. Częściowo dlatego, że Anne leżała w obcym łóżku; częściowo z powodu przytłumionego bełkotu płynącego z telewizorów w sąsiednich pokojach i świadomości, że zewsząd otaczają ją inni ludzie, a ona próbuje zasnąć jak pszczoła w swojej komórce w ulu, tyle że komórka nie była sześciokątna, ale kwadratowa; częściowo dlatego, że jutro czekają wyjątkowo pracowity dzień; przede wszystkim jednak z powodu kipiącej w niej wściekłości, że ktoś jej psuł szyki. Tego szczególnie nie cierpiała —

inne zmory w porównaniu z tą wydawały się śmiesznymi pierdólkami. Osobą, która psuła jej szyki, była Bobbi. Dotąd robiła to ze stuprocentową skutecznością, zmuszając ją do tego głupiego wyjazdu podczas największej zdnaniem synoptyków fali upałów, jaka nawiedziła Nową Anglię od 1974 roku.

Po godzinie od kłamstwa, którym poczęstowała matkę, zrędliwych wujów i ciotki, Anne znów próbowała zadzwonić do Bobbi, tym razem z zakładu pogrzebowego (matka już dawno skierowała chwiejny krok do domu, gdzie pewnie będą siedziały razem z tą cipą Betty, jej siostrą, i zaprawiały się gównianym bordeaux, oplakując zmarłego). I znowu usłyszała ten sam syreni sygnał. Zadzwoniła do telefonistki i zgłosiła uszkodzenie linii.

— Sprawdźcie to, znajdźcie uszkodzenie i usuńcie — powiedziała Anne. — Mam pogrzeb w rodzinie i muszę się jak najszybciej skontaktować z siostrą.

— Dobrze, proszę pani. Jeśli poda mi pani numer, z jakiego pani dzwoni...

— Dzwonię z zakładu pogrzebowego — powiedziała Anne. — Zamierzam kupić trumnę dla ojca, a potem chcę iść spać. Zadzwonię rano. Dopilnuj tego, żebym się dodzwoniła, skarbie.

Odłożyła słuchawkę i odwróciła się do przedsiębiorcy pogrzebowego.

— Wezmę sosnową — rzekła. — Najtańszą.

— Ależ, pani Anderson, jestem pewien, że zechce się pani zastanowić...

— Nie mam ochoty nad niczym się zastanawiać — warknęła Anne. Czują ostrzegawcze pulsowanie zwiastujące początek kolejnego ataku migreny. — Sprzedaj mi pan najtańszą sosnową trumnę i wychodzę. Cuchnie tu trupem.

— Ależ... — wykrztusił osłupiały przedsiębiorca pogrzebowy. — Może zechce pani obejrzeć...

— Obejrzę, jak już w niej będzie — odrzekła Anne, wyciągając z torebki książeczkę czekową. — Ile?

9

Nazajutrz rano telefon Bobbi działał, ale nie odpowiadał. Nikt nie odbierał także później w ciągu dnia. Anne ogarniała coraz większa złość. Około szesnastej, gdy czuwanie w sąsiednim pokoju rozkręciło się na dobre, zadzwoniła do informacji Maine i powiedziała telefonistce, że chce dostać numer policji w Haven.

— Właściwie... nie ma tam posterunku policji, ale mam w spisie konstabla Haven. Czy pani...

— Tak. Dawaj.

Telefonistka spełniła jej polecenie. Anne zadzwoniła. Telefon dzwonił... dzwonił... dzwonił. Słyszała dokładnie taki sam sygnał jak wcześniej, gdy usiłowała się dodzwonić do domu, w którym od trzynastu lat ukrywała się jej tchórzliwa siostra. Można by nabrać podejrzeń, że dzwoni się pod ten sam numer.

Rozważała przez moment taką możliwość, lecz uznała, że to nieprawdopodobne. Jednak fakt, że tak paranoiczna myśl w ogóle przyszła jej do głowy, rozzłościł ją jeszcze bardziej. Sygnał brzmiał tak samo, bo wszystkie telefony na tym leśnym zadupiu instalowała i obsługiwała ta sama prowincjonalna firma i tyle.

— Dodzwoniłaś się? — spytała bojaźliwie Paula, stając w drzwiach.

— Nie. Nie odbiera telefonu, jakiś parszywy konstabl też nie odbiera, jakby cała ta dziura wyjechała na Bermudy. Jezu!

— Odgarnęła kosmyk włosów ze spoconego czoła.

— Może spróbuj zadzwonić do jej przyjaciół...

— Jakich przyjaciół? Do tego półgłówka, z którym żyje?

— Córciu! Nie wiesz przecież...

— Wiem, kto odebrał telefon, kiedy jeden jedyny raz udało mi się dodzwonić — odparła zgrzyliwie Anne. — Żyjąc w tej rodzinie, nauczyłam się, jak rozpoznać po głosie pijanego mężczyznę.

Matka milczała; miała mokre oczy i drżała, dotykała nerwowo kołnierzyka swojej czarnej sukienki, czyli zachowywała się tak, jak Anne sobie życzyła.

— Nie, on tam jest i oboje wiedzą, że próbuję z nią porozmawiać i wiedzą dlaczego, ale pożałują, że robili ze mnie wała.

— Córciu, naprawdę nie powinnaś się tak wyrażać...

— Zamknij się! — wrzasnęła na nią Anne, a matka oczywiście posłuchała.

Anne znów podniosła słuchawkę. Zadzwoiła do informacji i tym razem kazała sobie podać numer burmistrza Haven.

Takie stanowisko też nie istniało. Był tylko jakiś pieprzony przewodniczący zarządu miasta.

Z drugiej strony dobiegły ciche stuki jak odgłos szurzących pazurów drapiących szkło; telefonistka przeglądała spis na ekranie komputera. Matka uciekła. Z sąsiedniego pokoju dobiegł teatralny szloch i spazmy irlandzkiej rozpaczki. Anne pomyślała, że irlandzkie czuwanie przy zmarłym podobnie jak rakietę V-2 jest napędzane paliwem płynnym — i w obu wypadkach chodziło o podobny płyn. Anne zamknęła oczy. W skroniach jej łomotało. Zgrzytnęła zębami, czując gorzki, metaliczny smak. Zamknęła oczy, wyobrażając sobie, jak cudownie byłoby zrobić Bobbi małą operację twarzy za pomocą paznokci.

— Jesteś tam jeszcze, złotko? — zapytała, nie otwierając oczu — czy może nagle musiałas iść do WC?

— Tak, mam ten nu...

— Dawaj.

Telefonistka wyłączyła się, a numer wyrecytował automat w śmiesznym, rwanym rytmie. Anne natychmiast go wykręciła. Spodziewała się, że nikt nie odbierze, lecz ktoś po drugiej stronie od razu podniósł słuchawkę.

— Rada miasta. Tu Newt Berringer.

— Dobrze, że ktoś tam w ogóle jest. Nazywam się Anne Anderson. Dzwonię z Utiki w stanie Nowy Jork. Próbowałam dodzwonić się do waszego konstabla, ale zdaje się poszedł na ryby.

Głos Berringera brzmiał spokojnie.

— Nasz konstabl to kobieta, panno Anderson. Zginęła niespodziewanie w zeszłym miesiącu. Nie wybraliśmy jeszcze nikogo na jej stanowisko. Zrobimy to zapewne na następnym zgromadzeniu.

Wiadomość zbiła z tropu Anne tylko na ułamek sekundy.

Jej uwagę przykuło natomiast coś innego.

— Panno Anderson? Skąd pan wie, że jestem niezamężna, panie Berringer?

Bez chwili namysłu Berringer odrzekł:

— A nie jest pani siostrą Bobbi? Bo jeśli tak, to gdyby pani była zamężna, nie byłaby pani Anderson, prawda?

— Czyli zna pan Bobbi?

— Wszyscy w Haven ją znają, panno Anderson. To nasza miejscowa znakomitość. Jesteśmy z niej naprawdę dumni.

Anne poczuła, jakby odłamek szkła przeszył jej mózg na wskroś. Nasza miejscowa znakomitość. Święci pańscy, trzymajcie mnie.

— Świetnie, Sherlocku. Próbuję się do niej dodzwonić pod takie cholerne urządzenie, co w waszej pipidówce uchodzi za telefon, żeby powiedzieć, że wczoraj umarł jej ojciec i jutro ma zostać pochowany.

Spodziewała się od tego niewidocznego urzędnika konwencjonalnych wyrazów współczucia — przecież znał Bobbi lecz niczego takiego nie usłyszała.

— Fakt, miała jakieś kłopoty z telefonem — powiedział tylko Berringer.

Anne znów na moment poczuła się zbita z pantałyku; nigdy nie można jej było zbić z pantałyku na dłużej. Rozmowa przebiegała zupełnie inaczej, niż się spodziewała. Ten człowiek odpowiadał trochę dziwnie, powściągliwie nawet jak na mieszkańca Nowej Anglii. Próbowała go sobie wyobrazić, ale bezskutecznie. W jego głosie brzmiało coś bardzo zagadkowego.

— Mógłby pan jej powiedzieć, żeby do mnie zadzwoniła? Matka wypłakuje sobie oczy w pokoju obok, jest bliska załamania i jeżeli Roberta nie przyjedzie na pogrzeb, chyba naprawdę się załamie.

— Cóż, nie mogę jej kazać zadzwonić, panno Anderson — odparł Berringer, irytująco cedząc każde słowo. — Jest dorosłą kobietą. Ale oczywiście przekażę wiadomość.

— Lepiej podam panu numer — powiedziała przez zaciśnięte zęby Anne. — Wprawdzie mieszkamy pod tym samym adresem, ale tak rzadko ostatnio dzwoni, że mogła zapomnieć. A więc...

— Nie ma potrzeby — przerwał jej Berringer. — Jeżeli nie pamięta albo sobie nie zapisała, zawsze można zadzwonić do informacji, prawda? Chyba stamtąd ma pani mój numer.

Anne nie cierpiała telefonu, bo umożliwiał wykorzystanie zaledwie cząstki siły jej nieustępliwej osobowości. Pomyślała, że w tej chwili nie cierpi go bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

— Słuchaj pan! — krzyknęła. — Chyba pan nie rozumie...

— Chyba rozumiem — rzekł Berringer. Przerwał jej drugi raz, a rozmowa trwała krócej niż trzy minuty. — Wychodzę stąd jeszcze przed kolacją i wtedy jej przekażę. Dziękuję za telefon, panno Anderson.

— Słuchaj no...

Zanim zdążyła skończyć, zrobił coś, czego nie cierpiała najbardziej.

Anne odłożyła słuchawkę. Z radością przyglądałaby się, gdyby tego śmiecia, z którym właśnie rozmawiała, pożarły żywcem dzikie psy.

Zgrzytała zębami jak szalona.

10

Bobbi nie zadzwoniła tego popołudnia. Ani wczesnym wieczorem, gdy rakieta V-2 czuwania przy zmarłym znalazła się na wysokości wódosfery. Ani późnym wieczorem, gdy weszła już na orbitę. Ani w ciągu dwóch godzin po północy, gdy ostatni z żałobników chwiejnym krokiem podążali do samochodów, które miały stanowić poważne zagrożenie dla innych kierowców.

Przez większą część nocy Anne leżała bezsennie w łóżku, wyprostowana jak struna, nakręcona amfą jak bomba zegarowa, na przemian zgrzytając zębami i wbijając paznokcie w dłonie, i planowała zemstę.

Jeszcze wrócisz, Bobbi, och, na pewno. A kiedy wrócisz...

Kiedy nazajutrz też nie dzwoniła, Anne odłożyła pogrzeb mimo lamentów matki, że to nie uchodzi. Wreszcie Anne natarła na nią, warcząc:

— To ja decyduję, co uchodzi, a co nie. Nie uchodzi, żeby tej małej dziwki nie było jeszcze w domu, a ona nie raczyła nawet zadzwonić. Daj mi spokój!

Matka wycofała się chyłkiem.

Wieczorem Anne próbowała zadzwonić do Bobbi, a potem do biura rady miasta. Pierwszy numer znów odpowiedział sygnałem przypominającym syrenę. Pod drugim odezwała się automatyczna sekretarka. Cierpliwie zaczekawszy, aż wybrzmi sygnał, Anne powiedziała:

— Tu jeszcze raz siostra Bobbi, panie Berringer, z serdecznymi życzeniami, żeby dotknął pana syfilis i żeby stwierdzono go dopiero wtedy, gdy odpadnie panu nos i szernieją jaja.

Następnie zadzwoniła do informacji, pytając o trzy numery w Haven — numer Newta Berringera, jednego Smitha (wszystko jedno, złotko, w Haven wszyscy są spokrewnieni) oraz jednego Browna (ze względu na kolejność alfabetyczną, ostatni z żądanych numerów należał do Bryanta). Wszystkie trzy telefony odpowiadały tym samym syrenim wyciem.

— Jasna cholera! — wrzasnęła Anne i cisnęła telefonem o ścianę.

Na górze matka skuliła się w łóżku, mając nadzieję, że Bobbi nie przyjedzie do domu... przynajmniej dopóki Anne nie poprawi się nastrój.

11

Odłożyła uroczystość żałobną i pochówek o jeszcze jeden dzień.

Krewni zaczęli mrużyć, ale żaden z nich nie miał szans w starciu z Anne, o nie. Przedsiębiorca pogrzebowy tylko na nią spojrzął i uznał, że stary Irlandczyk może zgnieć w swojej sosnowej trumnie, zanim on przystąpi do swoich obowiązków. Anne, która spędziła cały dzień przy telefonie, mogłaby mu pogratulować trafności sądu. Jej furia zaczęła przekraczać wszystkie znane dotąd granice. Wyglądało na to, że wszystkie telefony w Haven są uszkodzone.

Wiedziała, że nie może dłużej odkładać pogrzebu. Tę bitwę Bobbi wygrała; trudno, niech tak będzie. Ale nie wygrała wojny. Co to, to nie. Jeżeli tak się jej wydaje, to czeka ją kilka niespodzianek — bardzo przykrych.

Anne ze złością, lecz bez wahania kupiła bilety lotnicze jeden z Nowego Jorku do Bangor... i dwa powrotne.

12

Chciała lecieć nazajutrz — miała już bilet na ten dzień — ale jej skretyniała matka spadła ze schodów i złamała sobie biodro. Sean O'Casey powiedział kiedyś, że życie z Irlandczykiem przypomina udział w paradzie błaznów i miał absolutną rację. Słyszając wrzaski matki, Anne przybiegła z podwórka za domem, gdzie opalała się na szezlongu, rozmyślając nad strategią zatrzymania Bobbi w Utice, kiedy już ją tu przywiezie. Matka leżała rozciągnięta u stóp wąskich schodów, wygięta pod okropnym kątem i Anne pomyślała z początku, że najchętniej zostawiłaby tu starą, dopóki nie przestanie działać znieczulenie wywołane bordeaux. Świeża wdowa roztaczała woń winiarni.

W tym momencie Anne, kipiąc ze złości, uświadomiła sobie, że będzie musiała zmienić plany i przemknęło jej przez myśl, że matka mogła to zrobić celowo — napiła się, żeby dodać sobie odwagi i wcale nie spadła, ale skoczyła ze schodów. Po co? Oczywiście po to, żeby utrzymać ją z dala od Bobbi.

Ale ci się nie uda, pomyślała, idąc do telefonu. Nie uda ci się; jeśli chcę, żeby coś się stało, jeżeli postanowię, że coś się ma stać, to się stanie; pojedę do Haven i wszystkim pokażę, że ze mną nie ma żartów. Przywiozę Bobbi, a oni długo mnie zapamiętają. Zwłaszcza ten dumny wieśniak, który odłożył słuchawkę, kiedy z nim rozmawiałam.

Zadzwoniła po karetkę, wściekle dźgając palcem wskazującym klawiaturę, wystukując numer, który był przyklejony do telefonu od pierwszego wylewu ojca. Zgrzytała przy tym zębami.

Tak więc mogła się wyrwać dopiero dziewiątego sierpnia. W okresie poprzedzającym wyjazd nie było żadnego telefonu od Bobbi, a Anne nie próbowała nawet się do niej dodzwonić — ani do tego chama, przewodniczącego zarządu miasta, ani do zapijaczonego gacha Bobbi, który mieszkał w Troy. Zresztą wyglądało na to, że przeprowadził się do niej, żeby posuwać ją na okrągło. No i dobrze. Lepiej uśpić ich czujność.

I tak znalazła się w hotelu Cityscape w Bangor, nie mogła zasnąć... i zgrzytała zębami.

Od zawsze zgrzytała zębami. Czasem tak głośno, że budziła w nocy matkę... a kilka razy nawet ojca, który zwykle spał jak kamień. Matka wspomniała o tym w rozmowie z ich lekarzem rodzinnym, gdy Anne miała trzy lata. Czcigodny doktor, lekarz ogólny z północy stanu, do którego doktor Warwick od razu zapałałby sympatią, wyglądał na zaskoczonego. Zastanowiwszy się przez chwilę, oświadczył:

— Sądzę, że się pani zdaje, pani Anderson.

— Jeśli tak, to musi być zaraźliwe — odrzekła Paula. — Mój mąż też to słyszy.

Spojrzeli na Anne, która budowała z klocków chwiejącą się niebezpiecznie wieżę. Pracowała w skupieniu, z zaciętą miną. Gdy postawiła szósty klocek, konstrukcja zawałiła się... a kiedy Anne przystąpiła do odbudowy, oboje usłyszeli kościany chrzęst, jaki wydały jej mleczne ząbki, zgrzytając o siebie.

— Robi to przez sen? — zapytał lekarz.

Paula Anderson skinęła głową.

— Cóż, to prawdopodobnie ustąpi z czasem — rzekł lekarz.

— To nieszkodliwe.

Ale oczywiście wcale nie ustąpiło i nie było nieszkodliwe; to był bruksizm, choroba, która obok zawałów, wylewów i wrzodów, często dotyka zdeterminowanych i bezkompromisowych ludzi. Pierwsze zęby mleczne, jakie Anne straciła, nosiły widoczne ślady zniszczenia. Rodzice wymienili uwagi na ten temat... a potem zapomnieli. Osobowość Anne zaczęła już się zaznaczać w bardziej zaskakujący i ostentacyjny sposób. Gdy miała sześć i pół roku, rządziła już rodziną Andersonów metodami, których nie można było dostrzec ani określić. I wszyscy przyzwyczaili się do cichego i nieco makabrycznego zgrzytu jej zębów w nocy.

Kiedy Anne miała dziewięć lat, ich dentysta zauważył, że problem wcale nie mija, lecz się pogłębia, jednak zaczął ją leczyć dopiero wtedy, gdy skończyła piętnaście lat i chorobliwe przyzwyczajenie zaczęło jej sprawiać ból. Starła sobie zęby do żywych nerwów. Dentysta dał jej szynę stabilizującą zrobioną według odcisku jej zębów, najpierw gumową, a potem z akrylu. Codziennie przed snem Anne nakładała ten aparat, zwany ochraniaczem nocnym. W wieku osiemnastu lat na większości górnych i dolnych zębów miała metalowe koronki. Andersonów nie było na to stać, ale Anne nalegała. Wcześniej zaniedbali problem, a ona nie zamierzała czekać, aż skończy dwadzieścia jeden lat i ojciec dusigrosz odwróci się od niej plecami, mówiąc: „Jesteś już dorosła, Anne, i to wyłącznie twoja sprawa. Jeżeli chcesz koronki, sama za nie zapłać”.

Chciała złote, ale na takie naprawdę nie mogli sobie pozwolić.

W ciągu kilku następnych lat, ilekroć Anne się uśmiechała, co zdarzało się bardzo rzadko, ukazywała zaskoczonemu światu błyszczące uzębienie przypominające część maszyny. Ludzie często wzdrygali się na ten widok. Czerpała z ich reakcji ponurą satysfakcję, a kiedy w jednym z filmów o Jamesie Bondzie zobaczyła Bużkę, czarny charakter, zaczęła się śmiać do rozpuku — po tym niezwykłym u niej wybuchu wesołości źle się poczuła i zakręciło się jej w głowie. Ale widząc tego wielkoluda, jak obnaża w rekinim uśmiechu stalowe zęby, zrozumiała, dlaczego ludzie tak się wzdrygają, i zaczęła żałować, że dała sobie pokryć metalowe koronki porcelaną. Mimo wszystko doszła do wniosku, że może lepiej nie

odkrywać się tak zupełnie — obnoszenie się ze swoją osobowością byłoby równie niemądre jak okazywanie uczuć. Może człowiek wcale nie musi wyglądać, jak gdyby potrafił przegryźć się przez dębowe drzwi i wystarczy mu sama świadomość, że potrafi tego dokonać, by osiągnąć cel.

Pomijając bruksizm, Anne miała też mnóstwo ubytków w zębach, zarówno w dzieciństwie, jak i w dorosłym wieku, mimo fluoryzowanej wody w Utice i ostrego reżimu w higienie jamy ustnej, jaki sobie narzuciła (często czyściła sobie zęby nitką, dopóki nie zaczęły jej krwawić dziąsła). Przyczyną w znacznej mierze także była jej osobowość, nie fizjologia. Determinacja i chęć dominowania wpływa destrukcyjnie na najbardziej miękkie części ludzkiego ciała — żołądek i inne narządy wewnętrzne — oraz najtwardsze, czyli zęby. Anne cierpiała na chroniczną suchość w ustach. Jej język był niemal biały. Zęby przypominały samotne suche wysepki. Przy braku stałego napływu śliny, która usunęłaby resztki jedzenia, szybko zaczęły się tworzyć dziury. Dziś, śpiąc niespokojnie w hotelu w Bagor, Anne miała w ustach sporo ponad dwanaście uncji plomb ze srebrzystego amalgamatu — czasem z ich powodu zaczynały brzęczeć wykrywacze metali na lotniskach.

W ciągu ostatnich dwóch lat mimo swoich rozpaczliwych wysiłków zaczęła tracić zęby: dwa z prawej u góry i trzy z lewej na dole. W obu wypadkach zdecydowała się na najdroższy mostek — żeby go założyć, musiała jechać do Nowego Jorku. Chirurg szczękowy usunął gnijące łuski, zdarł skórę z dziąseł do nagiej kości i zamontował maleńkie śruby tytanowe. Dziąsła zostały zszyte i pięknie się zagoiły — niektórzy wzdragają się przed metalowymi implantami w kości, lecz Anne Anderson zgodziła się na nie bez oporu — a z ciała wystawały tylko małe tytanowe słupki. Kiedy rany wokół nich już się zagoiły, na tych metalowych kotwach został zamontowany mostek.

Anne nie miała w głowie takiej ilości metalu jak Gard (płytką Gardenera zawsze uruchamiała alarm wykrywaczy metali na lotniskach), ale miała sporo.

Spała, nie wiedząc, że należy do wyjątkowo ekskluzywnego klubu: ludzi, którzy mogli wjechać do zmienionego Haven, mając cień szansy, że przeżyją.

14

Nazajutrz wyjechała do Haven o ósmej rano. Raz skręciła w niewłaściwą drogę, lecz mimo to o wpół do dziesiątej znalazła się na granicy Troy i Haven.

Zbudziła się z dziwnym uczuciem nerwowości i podniecenia, jak koń pełnej krwi tańczący przed bramką startową. Ale piętnaście, może dwadzieścia mil przed granicą Haven — letni krajobraz wokół niej był zupełnie pusty i sennie nieruchomy, a bujną zielenią nie poruszał najłżejszy podmuch rozgrzanego powietrza — niecierpliwosć i uczucie nerwowego napięcia powoli z niej opadły. Zaczęła ją boleć głowa. Z początku czuła tylko lekkie pulsowanie, które jednak szybko przerodziło się w znajome dudnienie zbliżającego się ataku migreny.

Przejechała granicę i znalazła się w Haven.

Zanim dojechała do Haven Village, trzymała się kierownicy już prawie samą siłą woli. Ból głowy przypląwał i odpływał falami. Raz zdawało się jej, że słyszy okropnie zniekształconą muzykę dobywającą się z jej ust, lecz uznała, że to złudzenie, które złożyła na karb migreny. Dostrzegała ludzi na ulicach miasteczka, ale nie widziała, jak wszyscy odwracają się, żeby spojrzeć na ni... a potem po sobie.

Słyszała dobiegające z lasu dudnienie maszyn — odgłos był daleki, jak ze snu.

Oldsmobile zaczął kreślić zygzaki na pustej drodze. Wszystko dwoiło się jej i troiło w oczach; na chwilę wróciło do normy, by znów rozdzielić się i roztrócić.

Z kącików ust pociekła jej krew, ale w ogóle tego nie zauważyła.

Trzymała się kurczowo jednej myśli: To tu, przy drodze numer 9, a na skrzynce ma być jej nazwisko. To tu, przy drodze numer 9, a na skrzynce ma być jej nazwisko. To tu, przy drodze numer 9...

Droga na szczęście była pusta. Haven spało w porannym słońcu. Dziewięćdziesiąt procent aut skierowano na objazdy z korzyścią dla Anne, której samochód skakał od lewego pobocza do prawego, wzbijając kołami tumany kurzu. Potrąciła znak skrętu, nawet tego nie zauważając.

Zobaczył ją młody Ashley Ruvall i zjechał rowerem z drogi, zatrzymując się w rozsądnej odległości na północnym pastwisku Justina Hurda. Stał, przyglądając się, dopóki samochód nie zniknął mu z oczu.

(jakaś pani jedzie jakaś pani i nic nie słyszę tylko że ją boli)

Odpowiedziała mu setka uspokajających głosów.

(wiemy Ashley wszystko w porządku cii... cii...)

Ashley uśmiechnął się, ukazując różowe dziąsła, gładkie jak u niemowlęcia.

15

Jej żołądek się zbuntował.

Jakimś cudem zjechała na pobocze i zgasła silnik, zanim śniadanie podjechało jej do gardła, a potem, ledwie zdążyła otworzyć drzwi, wydostało się z impetem na zewnątrz. Przez chwilę wisiała bezwładnie, opierając się przedramionami o otwarte okno, niezgrabnie wychylona przez półotwarte drzwi, walcząc z uporem, by nie zgasła w niej iskierka świadomości. Wreszcie wyprostowała się i zamknęła drzwi.

Usiłując zebrać rozedrgane myśli, doszła do wniosku, że to pewnie śniadanie — do bólu głowy była przyzwyczajona, ale prawie nigdy nie wymiotowała. Śniadanie w restauracji w tej zapchlonej norze, która miała być najlepszym hotelem w Bangor. Dranie ją otruli.

Może już umieram... Boże, tak, naprawdę czuję się, jakbym umierała. Ale jeśli nie umrę, pozwę ich choćby do Sądu Najwyższego. Jeżeli przeżyję, postaram się, żeby zaczęli żałować, że ich matki poznały ich ojców.

Być może to mocne postanowienie dodało Anne sił, bo po chwili uruchomiła samochód. Ruszyła trzydzieści pięć mil na godzinę, szukając skrzynki na listy z napisem ANDERSON. Przyszło jej do głowy okropne podejrzenie. A jeśli Bobbi zamalowała swoje nazwisko na skrzynce? To wcale nie takie głupie, kiedy się nad tym zastanowić. Niewykluczone, że spodziewała się przyjazdu Siostruni, a ta tchórzliwa mała cipa zawsze się jej bała. Anne nie była jednak w formie, żeby zatrzymywać się na każdej farmie i pytać o Bobbi (zresztą pewnie nie mogła oczekiwać żadnej pomocy od tych wieśniaków, jeżeli wszyscy są podobni do tego osła, z którym rozmawiała przez telefon), poza tym...

Wreszcie zobaczyła: R. ANDERSON. Za skrzynką stał dom, który знаła tylko z fotografii. Dom wuja Franka. Farma starego Garricka. Na podjeździe zaparkowano niebieską półciężarówkę. Dom się zgadzał, ale nie zgadzało się światło. Po raz pierwszy zdała sobie z tego sprawę, zbliżając się do podjazdu. Zamiast triumfu, jaki spodziewała się poczuć w tym momencie — triumfu drapieźnika, który wreszcie dopadł ofiary — ogarnęła ją niepewność i wahanie. I mimo że nawet nie umiała tego nazwać, ponieważ było to uczucie zupełnie jej obce — poczuła pierwszy nikły skurcz strachu.

Światło.

Nie zgadzało się; było zupełnie nie takie, jak powinno.

Za tą konstatacją nastąpiła szybka seria kolejnych. Zesztywniały kark. Plamy potu na sukience pod pachami. I jeszcze...

Jej dłoń powędrowała do krocza. Wyczuła pod palcami wysychającą wilgoć, a w samochodzie unosił się niewyraźny zapach amoniaku. Woń towarzyszyła jej już od pewnego czasu, ale dopiero teraz Anne skupiła na niej świadomą myśl.

Zsikałam się. Zsikałam się i siedzę w tym pierdolonym aucie tak długo, że prawie zdążyło wysch...

(światło, Anne)

Światło było nie takie, jak powinno. To był blask zachodzącego słońca.

Nie — przecież jest wpół do dziesiątej ra...

Ale to był blask zachodzącego słońca. Bez cienia wątpliwości. Kiedy zwymiotowała, poczuła się lepiej... i nagle zrozumiała dlaczego. Wiedziała cały czas, a plamy potu pod pachami sukienki i słaby zapach wysychającego moczu tylko czekały na odkrycie. Poczuła się lepiej, bo między zamknięciem drzwi i ponownym uruchomieniem silnika upłynęło — nie kilka sekund czy minut, ale wiele godzin — spędziła cały nieludzko upalny dzień w samochodzie rozpalonym jak piekarnik. Leżała w trupim odrętwieniu i gdyby miała włączoną klimatyzację i zamknięte na głucho okna, upiekłaby się jak indyk na Święto Dziękczynienia. Ale podobnie jak z zębami miała także kłopoty z zatokami, które źle znosiły powietrze z puszeki produkowane przez klimatyzatory samochodowe. Patrząc na starą farmę szeroko otwartymi, przekrwionymi oczami, uświadomiła sobie nagle, że problem zdrowotny prawdopodobnie ocalił jej życie. Miała pootwierane wszystkie okna. W przeciwnym razie...

Ten wniosek wywołał następną myśl. Cały dzień spędziła w trupim odrętwieniu w samochodzie zaparkowanym na poboczu i nikt się nie zatrzymał, żeby zobaczyć, czy coś jej się stało. Nie mogła przyjąć do wiadomości, że od wpół do dziesiątej rano na drodze numer 9 nie było żywej duszy. Takie rzeczy nie zdarzały się nawet w takich dziurach. A gdy w pipidówce ktoś widzi, że masz kłopoty, nie wciska gazu do dechy jak nowojorczyki, którzy potrafią przejść nad leżącym na chodniku pijaczkiem.

Co to w ogóle za miasteczko?

Znów ten obcy skurcz jak dotyk parzącego kwasu w żołądku.

Tym razem poznała, że to strach, toteż sprężyła się... i zabiła go w sobie. Być może później zjawi się nowy i też go zabije, tak jak całą chmarę nowych lęków, które będą miały odwagę ją zaatakować.

Wjechała na podwórko.

16

Anne widziała Gardenera tylko dwa razy, ale nie zapomniała jego twarzy. Mimo to ledwie poznała Wielkiego Poetę, chociaż mogłaby go wyczuć z odległości czterdziestu jardów, gdyby stał z wiatrem podczas średnio wietrznego dnia. Siedział na werandzie w niebieskich dżinsach i koszulce bez rękawów z otwartą butelką szkockiej w ręce. Na twarzy miał trzy- lub czterodniowy zarost mocno przyprószony siwizną i przekrwione oczy. Anne nie wiedziała — zresztą i tak by jej to nie obchodziło — że Gardener był w takim stanie od dwóch dni. Wszystkie szlachetne zobowiązania trafił szlag, kiedy znalazł na sukience Bobbi psią sierść.

Zapuchniętymi oczami, z pijacką obojętnością przyglądał się, jak samochód wjeżdża na podwórko, mijając skrzynkę na listy zaledwie o kilka cali. Z auta wysiadła kobieta, zatoczyła się i chwyciła otwartych drzwi, których trzymała się przez minutę.

O kurczę, pomyślał Gardener. Patrzcie, to ptak, nie, to samolot, nie to Super... suka. Szybsza od listu z inwektywami, gotowa jednym skokiem rzucić się na pokornych członków rodziny.

Anne zatrasnęła drzwi. Stała przez chwilę, rzucając długi cień, a jej widok wydał się Gardenerowi dziwnie znajomy. Wyglądała jak Ron Cummings, kiedy Ron ostro popił i próbował sprawdzić, czy da radę przejść przez pokój.

Anne przeszła przez podwórko, dla zachowania równowagi sunąc dłonią po samochodzie Bobbi. Gdy minęła pikapa, natychmiast wyciągnęła rękę do balustrady na werandzie. Kiedy uniosła głowę, ukazując twarz w padających ukośnie promieniach zachodzącego słońca, Gardener pomyślał, że ta kobieta wygląda staro i wiecznie młodo zarazem. Wyglądała też na złego człowieka — pełnego żółci i uginającego się pod ciężarem mrocznego zła, które wyczerpywało ją i zżerało równocześnie.

Pociągnął łyk z butelki, krztusząc się żywym ogniem. Następnie uniósł whisky w stronę Anne.

— Dzień dobry, Siostruniu. Witaj w Haven. Co rzekłszy, gorąco cię namawiam, żebyś stąd jak najszybciej wyjechała.

17

Pokonała dwa pierwsze schodki, lecz potem się potknęła i musiała się oprzeć kolaniem. Gardener wyciągnął do niej rękę. Zignorowała ten gest.

— Gdzie Bobbi?

— Nie wyglądasz najlepiej — powiedział Gard. — Ostatnio Haven źle wpływa na ludzi.

— Nic mi nie jest — odparła, wchodząc wreszcie na werandę. Stała nad nim, dysząc ciężko. — Gdzie ona jest?

Gardener ruchem głowy wskazał dom. Zza otwartego okna dobiegał szum wody.

— Bierze prysznic. Cały dzień pracowaliśmy w lesie i było wyją... wyjątkowo gorąco. Bobbi wierzy, że brud usuwa się pod prysznicem. — Gardener ponownie uniósł butelkę. — Ja wierzę w siłę dezynfekcji. Mniej czasochłonne i przyjemniejsze.

— Cuchnie jak martwy wieprz — zauważyła Anne, po czym minęła go, zmierzając do domu.

— Mój nos niewątpliwie nie jest tak wyczulony jak twój, skarbie, ale wydaje mi się, że i ty wydzielasz szczególny zapaszek — odparł Gard. — Jak Francuzi nazywają te perfumy? „Eau de Mauch”?

Odwróciła się do niego z wściekłością, dotknęła do żywego. Ludzie — przynajmniej ludzie w Utice — nie zwracali się do niej w ten sposób. Nigdy. Ale oni oczywiście ją znali. Wielki Poeta niewątpliwie oceniał ją tylko na podstawie tego, co usłyszał od swojego spermochłona: miejscowej znakomitości z Haven. Poza tym był pijany.

— Cóż — rzekł Gardener, rozbawiony, ale czując także lekki niepokój pod jej ciężkim spojrzeniem. — To nie ja poruszyłem temat woni.

— Nie ty — odparła wolno.

— Może powinniśmy zacząć jeszcze raz — zaproponował z pijacką uprzejmością.

— Co — zacząć? Jesteś Wielkim Poetą. Pijakiem, który chciał zastrzelić żonę. Nie mam ci nic do powiedzenia. Przyjechałam do Bobbi.

Wspomnienie żony to był celny strzał. Anne zobaczyła, jak twarz mu stężała, a dłoń zacisnęła się na szyjce butelki. Stał na werandzie z taką miną, jak gdyby na moment zapomniał, gdzie jest. Posłała mu życzliwy uśmiech. Dotarł do niej ten prześmieszny żarcik o „Eau de Mauch”, jednak choć źle się czuła, odniosła wrażenie, że nadal wygrywa na punkty.

Prysznic w środku umilkł. Może to było tylko przecucie, ale Gardenerowi zdawało się, że Bobbi ich słucha.

— Zawsze lubiłaś operować bez znieczulenia. Przypuszczam, że przedtem to był tylko zabieg rozpoznawczy, tak?

— Może.

— Dlaczego teraz. Po tylu latach, dlaczego musiałaś przyjechać akurat teraz?

— To nie twoja sprawa.

— Bobbi to moja sprawa.

Patrzyli na siebie. Anne przewiercała go wzrokiem, czekając, aż spuści oczy. Nie zrobił tego. Nagle przyszło jej do głowy, że gdyby nie mówiąc ani słowa więcej, chciała wejść do domu, próbowałby ją powstrzymać. Nic mu z tego nie przyjdzie, ale może prościej będzie odpowiedzieć na pytanie. Co za różnica?

— Przyjechałam zabrać ją do domu.

Znowu cisza.

Nie słyhać świerszczy.

— Dam ci radę, siostrze Anne.

— Daruj sobie. Nie przyjmuję cukierków od obcych ani rad od pijaków.

— Zrób to, co powiedziałem, kiedy wysiadłaś z samochodu. Wyjedź stąd. Natychmiast. To nie jest teraz dobre miejsce.

W jego oczach było coś rozpaczliwie szczerego, co znów wywołało w niej tamten zimny dreszcz i nieznane uczucie niepewności. Cały dzień przeleżała bez czucia w samochodzie na skraju drogi i nikt się nią nie zainteresował. Jacy ludzie tak by się zachowali?

Potem zbudziła się w niej Anne w całej potędze i zdusiła drobne ślady zwątpienia. Jeśli chciała, żeby coś się stało, jeżeli postanowiła, że coś się ma stać, to się stanie; tak było, jest i będzie, teraz i zawsze, alleluja, amen.

— Dobra, koleś — zaczęła. — Powiedziałeś, co chciałeś, teraz posłuchaj mnie. Wejść do tej smętnej chałupy i za chwilę bardzo duży kawał gówna trafi w wentylator. Proponuję ci spacer, jeżeli nie chcesz, żeby cię obryzgało. Usiądź sobie gdzieś na kamieniu, obejrzyj zachód słońca i zwal konia albo ulóż jakiś wierszyk, albo co tam jeszcze robią Wielcy Poeci, oglądając zachód słońca. W każdym razie lepiej trzymaj się z daleka od domu bez względu na to, co tu będzie się działo. To sprawa między Bobbi a mną. Jeśli wejdiesz mi w drogę, wypruję ci flaki.

— W Haven łatwiej zostać rozprutym niż rozpruwaczem.

— Sama się muszę o tym przekonać, chociaż na ogół łopatologia nie jest konieczna w moim przypadku — powiedziała Anne i ruszyła do drzwi.

Gardener spróbował jeszcze raz.

— Anne... Siostruniu... Bobbi się zmieniła. Jest...

— Idź na spacer, łachmyto — poradziła Anne i weszła do środka.

18

Okna były otwarte, lecz z jakiegoś powodu spuszczone rolety. Od czasu do czasu słaby podmuch wiatru usiłował wyssać rolety na zewnątrz i wtedy wyglądały jak żagle unieruchomionego przez flautę statku, które starają się z całych sił, ale bez rezultatu. Anne pociągnęła nosem z grymasem niesmaku. Fúj. Cuchnie jak w małpiarni. Po Wielkim Poecie można się było tego spodziewać, ale jej siostra została lepiej wychowana. Dom przypominał chlew.

— Cześć, Siostruniu.

Odwróciła się. Przez chwilę Bobbi była tylko cieniem i Anne poczuła, jak serce skacze jej do gardła, bo w sylwetce siostry było coś dziwnego, coś zupełnie nie tak...

Potem ujrzała białą plamę szlafroka, usłyszała krople wody spadające na podłogę, więc domyśliła się, że Bobbi dopiero co wyszła spod prysznic. Była prawie naga. To dobrze. Jednak Anne nie odczuwała takiej satysfakcji, jakiej się spodziewała. Pozostał niepokój, przekonanie, że w sylwetce stojącej w drzwiach jest coś nie tak.

To nie jest teraz dobre miejsce.

— Tata umarł — powiedziała, wyteżając wzrok. Mimo jej wysiłków Bobbi pozostawała niewyraźnym kształtem w drzwiach łączących salon z — jak przypuszczała — łazienką.

— Wiem. Newt Berringer dzwonił.

Coś w jej głosie. Coś zasadniczo odmiennego w wyglądzie jej niewyraźnej sylwetki. Wreszcie zrozumiała. W szoku i z przestrawieniem uświadomiła sobie, że w głosie i postawie Bobbi nie ma lęku. Po raz pierwszy w życiu Bobbi się jej nie boi.

— Pochowaliśmy go bez ciebie. Kiedy nie przyjechałaś do domu, Bobbi, twoja matka też była bliska śmierci.

Czekała, aż Bobbi zacznie się bronić. Odpowiedziało jej milczenie.

Na litość boską, wyjdź z cienia, żebym cię mogła zobaczyć, obrzydliwy tchórze!

Anne... Bobbi się zmieniła...

— Cztery dni temu spadła ze schodów i złamała biodro.

— Naprawdę? — spytała obojętnie Bobbi.

— Jedziesz ze mną do domu, Bobbi. — Chciała powiedzieć to bardzo stanowczo, ale przeraziła ją piskliwość własnego głosu.

— Wjechałaś tu dzięki swoim zębom — powiedziała Bobbi. — No jasne! Powinnam była o tym pomyśleć!

— Bobbi, podejdź bliżej, żebym cię mogła zobaczyć!

— Tak? — W jej głosie zabrzmiała nutka kpiny. — Zastanawiam się, czy naprawdę tego chcesz.

— Przestań mnie wkurwiać, Bobbi! — Podniosła drżący głos.

— Słuchaj no! Nigdy nie sądziłam, że usłyszę od ciebie coś takiego. Przez długie lata to ty mnie wkurwiałaś... wkurwiałaś wszystkich. Dobra. Skoro nalegasz. Zgoda.

Nie chciała tego widzieć. Nagle Anne pragnęła tylko uciec, jak najdalej od tego ciemnego domu i miasta, gdzie możesz leżeć cały dzień bez przytomności na poboczu. Ale było za późno. Zobaczyła nieznaczny ruch ręki młodszej siostry. Zapaliło się światło i w tym momencie z cichym szelestem opadł szlafrok.

Prysznic zmył makijaż. Cała głowa i szyja Bobbi były przezroczyste jak galaretka. Wydęte piersi zdawały się zlewać w jeden pozbawiony sutka wystający kawałek ciała. Anne widziała w brzuchu Bobbi zarys narządów, które w ogóle nie wyglądały jak ludzkie — pulsował w nich jakiś płyn, ale miał zieloną barwę.

Zobaczyła drżący za czołem Bobbi pęcherzyk jej umysłu.

Bobbi uśmiechnęła się bezzębnymi ustami.

— Witaj w Haven, Anne — powiedziała.

Poczuła, że cofa się na nogach ciężkich jak z waty, jak we śnie. Próbowwała krzyczeć, lecz brakło jej tchu.

Z krocza Bobbi zwisała groteskowa strzecha macek, falujących jak wodorosty, wyrastających z jej pochwy... w każdym razie z miejsca, gdzie kiedyś miała pochwę. Anne nie miała pojęcia, czy Bobbi jeszcze ma pochwę, czy nie, ale w ogóle jej to nie obchodziło. Wystarczył widok zapadłej doliny, w jaką zmieniło się jej krocze. I macek, które wyciągały się w jej stronę...

Naga Bobbi zaczęła iść w stronę Anne, która usiłowała się cofnąć i potknęła się o podnózek.

— Nie — szepnęła, rozpaczliwie próbując się odsunąć. Nie... Bobbi... nie...

— Dobrze, że jesteś — powiedziała z uśmiechem Bobbi. Nie liczyłam na ciebie... w ogóle... ale chyba znajdziemy ci zajęcie. Mamy jeszcze, jak to mówią, wolne stanowiska.

— Bobbi... — Zdołała wyszeptać z przerażeniem to ostatnie słowo i poczuła macki przesuujące się delikatnie po jej ciele.

Szarpnęła się do tyłu... i macki oplotły się wokół jej nadgarstków. Bobbi poruszyła biodrami w obscenicznej parodii kopulacji.

2

GARDENER IDZIE NA SPACER

1

Gardener skorzystał z rady Anne i poszedł na spacer. Poszedł do lasu i zatrzymał się dopiero przed statkiem. Uświadomił sobie, że po raz pierwszy znalazł się tu zupełnie sam i zaraz zapadnie zmrok. Czuł nieokreślony strach jak dziecko przechodzące obok domu, w którym straszy. *Czy tam są duchy? Duchy dawnych Stukostrachów? Albo prawdziwe Stukostrachy we własnej osobie, może w nieaktywnym stanie, istoty przypominające liofilizowaną kawę, które czekają, żeby je rozmrozić? I kim oni w ogóle są?*

Usiadł na ziemi obok szopy na sprzęt, patrząc na statek. Po chwili wzeszedł księżyc, oblewając jego powłokę upiorną srebrną poświatą. Był to dziwny, a jednak nie pozbawiony piękna widok.

Co tu się dzieje, jak rany?

Nie chcę wiedzieć.

Nie bardzo wiadomo, co jest grane...

Nie chcę wiedzieć.

*Hej, czekajcie, zaraz, zaraz, co to za okropny hałas?**

Przechylił butelkę i pociągnął spory łyk. Potem odstawił ją na bok, skulił się i oparł głowę, w której huczało, na ramionach. W tej pozycji zasnął, przycupnięty w lesie obok wystającej z ziemi łukowatej krawędzi majestatycznego statku.

Przespał tak całą noc.

Rano na ziemi leżały dwa zęby.

Oto cena, jaką się płaci za spanie zbyt blisko statku, pomyślał przygnębiony, lecz stratę wynagrodziła mu przynajmniej jedna rzecz — w ogóle nie bolała go głowa, choć wytrąbił prawie trzy czwarte litra szkockiej. Już wcześniej zauważył, że pomijając wszystkie inne atrybuty, statek — czy raczej wywołane przez niego zmiany w atmosferze — zapewniał ochronę przed kacem tym, którzy znaleźli się w niewielkiej odległości od niego.

Gardener nie chciał zostawiać swoich zębów na widoku. Posłuszny jakiemuś wewnętrznemu impulsowi, przysypał je ziemią, myśląc: Nie możesz sobie dłużej pozwolić na luksus hamletyzowania, Gard. Jeśli nie zdecydujesz się, w którą stronę iść — i to szybko, w najbliższych dniach — będziesz mógł tylko dołączyć do tłumu maszerującego w jednym kierunku.

Spojrzał na statek, myśląc o głębokim wąwozie rozciągającym się wzdłuż jego gładkiej powierzchni i znów pomyślał: Niedługo dotrzemy do wjazdu, jeżeli tam w ogóle jest jakiś wjazd... a potem?

Zamiast próbować znaleźć odpowiedź, zwawym krokiem ruszył do domu.

2

Oldsmobile zniknął.

— Gdzie byłeś w nocy? — spytała Gardenera Bobbi.

— Spałem w lesie.

— Mocno się zalałeś? — spytała Bobbi zaskakująco łagodnie. Jej twarz znów pokrywał ciemny makijaż. Od kilku dni Bobbi nosiła zagadkowo luźne i obszerne koszule; tego ranka przekonał się dlaczego. Zaczęła się jej powiększać klatka piersiowa. Zamiast dwóch piersi, miała teraz jedną szeroką. Jej widok kojarzył się Gardenerowi z ciężarówcami.

* Gardener cytuje fragment piosenki Buffalo Springfield „For What It’s Worth” (przyp. tłum.).

— Nie bardzo. Parę łyków i urwał mi się film. Rano nie miałem kaca. I nie pogryzło mnie żadne robactwo. — Uniósł ręce, pokryte u góry ciemną opalenizną, a u dołu białe i dziwnie bezbronne. — Latem zwykle człowiek budzi się o poranku tak pogryziony, że nie może otworzyć oczu. Ale owadów już nie ma. I ptaków. I zwierząt. Wydaje mi się, droga Roberto, że statek odrzuca wszystko z wyjątkiem takich głupców jak my dwoje.

— Zmieniłeś zdanie, Gard?

— Ciągle mnie o to pytasz, zauważyłaś?

Bobbi nie odpowiedziała.

— Słyszałaś wczoraj wiadomości w radiu? — Wiedział, że nie słyszała. Bobbi nie widziała, nie słyszała i nie myślała o niczym, co nie miało związku ze statkiem. Nie zdziwił się więc, kiedy przecząco pokręciła głową. — Koncentracja wojsk w Libii. Znowu walki w Libanie. Ruchy wojsk amerykańskich.

Rosjanie coraz głośniejszą mówią o gwiazdnych wojnach. Wciąż siedzimy na beczce prochu. Niewiele zmieniło się od roku 1945. Potem znajdujesz na własnym podwórku deus ex machina i ciągle pytasz, czy zmieniłem zdanie na temat wykorzystania twojego znaleziska.

— A zmieniłeś?

— Nie — odrzekł Gardener, choć nie był pewien, czy kłamie, czy nie — ale bardzo się cieszył, że Bobbi nie umie czytać mu w myślach.

Nie umie? Chyba jednak umie. Niewiele potrafi wyczytać, ale więcej niż przed miesiącem... co dzień coraz więcej. Bo ty też zacząłeś się „przemieniać”. Zmieniłeś zdanie? Śmiechu warte, najpierw trzeba w ogóle mieć jakieś zdanie!

Bobbi przestała o tym myśleć, takie w każdym razie sprawiała wrażenie. Odwróciła się do sterty narzędzi ręcznych złożonych w kącie werandy. Gardener zauważył, że robiąc makijaż, zapomniała o skrawku skóry pod prawym uchem o którym często zapominają mężczyźni podczas golenia. Bez specjalnego zdziwienia, ale z lekkim dreszczem obrzydzenia stwierdził, że przez tę plamkę może zajrzeć do wnętrza Bobbi — jej skóra zmieniła się w coś przypominającego półprzezroczystą galaretkę. W ciągu kilku ostatnich dni Bobbi robiła się niższa i grubsza — zmiany przebiegały coraz szybciej.

Boże, pomyślał przerażony, z nutką gorzkiego rozbawienia, to tak człowiek zmienia się w Stukostracha? Zaczyna wyglądać jak ofiara gigantycznej katastrofy po stopieniu rdzenia reaktora jądrowego?

Bobbi, która pochylona zbierała naręcze narzędzi, odwróciła się nagle i popatrzyła na Gardenera nieufnie.

— Co?

Powiedziałem, zbierajmy się, leniu — wysłał jej wyraźny komunikat Gard. Nieufna mina ustąpiła miejsca nikłemu uśmiechowi.

— Dobra. Pomóż mi z tym.

Nie, oczywiście, że ofiary promieniowania gamma nie robią się przezroczyste jak Claude Rains w „Niewidzialnym człowieku”. Nie zaczynają maleć i grubieć, a ich ciała nie deformują się w tak dziwny sposób. Ale wypadają im zęby i włosy — innymi słowy w obydwu wypadkach następowała fizyczna „przemiana”.

Znowu pomyślał: Oto nowy szef. Taki sam jak stary.

Bobbi posłała mu kolejne podejrzliwe spojrzenie.

Nie da się ukryć. Mam coraz mniejsze pole manewru.

— Co powiedziałeś, Gard?

— Powiedziałem: „Jedźmy, szefie, czas ucieka, stara”.

Po długiej chwili Bobbi skinęła głową.

— Tak — powiedziała. — Szkoda dnia.

3

Jechali tomcatem. Traktor nie latał jak rower w „ET”; tomcat Bobbi nie mógłby wystąpić w niezwykle filmowej scenie, przepływając na tle księżyca, setki stóp nad dachami domów. Z łatwością sunął jednak cicho osiemnaście cali nad ziemią, a jego duże koła obracały się leniwie jak śmigła samolotu, który właśnie wylądował. Dzięki temu o wiele mniej rzucało i trzęsło podczas jazdy. Gard siedział za kierownicą, a Bobbi stała za jego plecami na ramie.

— Twoja siostra wyjechała? — zapytał Gard. Nie musiał krzyczeć. Silnik tomcata wydawał ledwie słyszalny, daleki pomruk.

— Zgadza się — odrzekła Bobbi. — Wyjechała.

Dalej za diabła nie umiesz kłamać, Bobbi. Poza tym zdaje mi się — jestem prawie pewien — że słyszałem jej krzyk. Co trzeba zrobić, żeby zmusić do wrzasku tak narowistego, wrednego i niedojebanego babsztyla jak Siostrunia? Jaką okropność?

Odpowiedź była prosta. Straszna okropność.

— Nigdy nie umiała z godnością zejść ze sceny — powiedziała Bobbi. — I robiła wszystko, żeby uniemożliwić innym zachowanie godności. Wiesz, przyjechała, żeby zabrać mnie do domu... uważaj na ten pieniek, Gard, jest wysoki.

Gardener pchnął dźwignię zmiany biegów. Tomcat uniósł się jeszcze trzy cale, muskając czubek wysokiego pniaka. Kiedy minęli przeszkodę, Gard puścił dźwignię i traktor opadł na poprzednią wysokość, osiemnaście cali nad ziemią.

— Tak, przyjechała z wędzidłem i uzdą — ciągnęła Bobbi z nutką rozbawienia w głosie. — Kiedyś rzeczywiście mogłaby mnie zabrać. Ale w tej sytuacji nie miała szans.

Gardenerowi zrobiło się zimno. Taką uwagę można interpretować na wiele sposobów, prawda?

— Mimo to dziwię się, że udało ci się ją przekonać w jeden wieczór — rzekł Gardener. — Wydawało mi się, że Patricia McCardle to jędra, ale przy Siostruni Patty przypomina Anette Funicello.

— Starłam z siebie trochę pudru. Kiedy zobaczyła, co jest pod spodem, wrzasnęła i uciekła, jakby miała napęd rakietowy. To nawet śmiesznie wyglądało.

To brzmiało dość wiarygodnie. Do tego stopnia, że prawie nie można było oprzeć się pokusie, by w to uwierzyć. Jeżeli nie wzięło się pod uwagę faktu, że kobieta, o której mowa, nie mogła nigdzie uciec bez niczyjej pomocy. Bez pomocy ledwie powłóczyła nogami.

Nie, pomyślał Gardener. Nie wyjechała. Pytanie tylko, czy ją zabiłaś, czy siedzi w tej przeklętej szopie razem z Peterem.

— Jak długo będą jeszcze trwały zmiany fizyczne? — zapytał ją Gardener.

— Już niedługo — odparła, a Gard znów pomyślał, że Bobbi za diabła nie umie kłamać. — No, jesteśmy na miejscu. Zaparkuj pod szopą.

4

Wieczorem skończyli pracę dość wcześnie — upał nie ustępował, a żadne z nich nie czuło się na siłach harować do ostatniego promyka słońca. Wrócili do domu, wrzucili jedzenie na talerze i nawet trochę zjedli. Po zmywaniu Gardener oświadczył, że chyba pójdzie na spacer.

— Tak? — Bobbi patrzyła na niego z nieufną miną, która stała się już jedną z jej specjalności. — Sądziłam, że masz na dzisiaj dosyć ruchu.

— Słońce zaszło — rzekł lekkim tonem Gardener. — Zrobiło się chłodniej. Nie ma owadów. Poza tym... — Utkwił w Bobbi jasny wzrok. — Jeśli siądę na werandzie, na pewno wezmę ze sobą flaszkę. Jeśli wezmę flaszkę, znowu się zaleję. Jeżeli pójdę na długi spacer i wrócę zmęczony, może uda mi się choć raz położyć na trzeźwo.

Mówił prawdę... ale w środku kryła się inna prawda, jak mniejsza chińska szkatułka w większej. Gardener patrzył na Bobbi, chcąc sprawdzić, czy przystąpi do szukania ukrytej szkatułki.

Nie przystąpiła.

— W porządku — powiedziała. — Ale wiesz, że nie obchodzi mnie, ile pijesz, Gard. Jestem twoją przyjaciółką, nie żoną.

Nie, nie obchodzi cię, ile piję — postarałaś się, żebym mógł pić, ile dusza zapragnie. Bo to mnie neutralizuje.

Poszedł drogą numer 9, minął dom Justina Hurda, potem znalazł się na Nista Road i skręcił w lewo. Kroczył dość zwawo, wymachując rękami. Po miesiącu ciężkiej pracy był w niewiarygodnej formie — jeszcze nie tak dawno temu po dwóch milach takiego spaceru miałby nogi jak z waty i brakowałoby mu tchu.

Mimo to było dość upiornie. Żaden głos lelka nie witał nadciągającego zmierzchu; nie zaszczekał ani jeden pies. Większość domów była ciemna. W żadnym z niewielu oświetlonych okien nie było widać niebieskawego migotania telewizora.

Kto chciałby oglądać powtórki „Barneya Millera”, kiedy może być świadkiem własnej „przemiany”? pomyślał Gardener.

Zanim dotarł do znaku KONIEC DROGI ZA 200 JARDÓW, zapadła już niemal całkowita ciemność, ale wschodził księżyc, noc więc była bardzo jasna. Gard doszedł do końca drogi, gdzie wisiał gruby łańcuch rozpięty na dwóch słupkach. Chwiała się na nim podziurawiona kulami tablica z napisem WSTĘP WZBRONIONY. Gard przekroczył łańcuch i szedł dalej. Niebawem stanął nad opuszczoną żwirownią. Porośnięte chwastami zbocza dołu rozjaśniał biały jak kość blask księżyca. Panowała taka cisza, że Gardener poczuł, jak cierpnie mu skóra na głowie.

Co go tu przyciągnęło? Przypuszczał, że jego własna „przemiana” — odebrał jakiś sygnał z myśli Bobbi, nawet o tym nie wiedząc. Pewnie tak właśnie było, bo impuls, jaki go tu przywiódł, był znacznie silniejszy od zwykłego przeczucia.

Z lewej strony od gładkiej bieli żwiru wyraźnie odcinał się spory trójkąt. Tę część ktoś musiał naruszyć. Gardener podszedł bliżej. Przy każdym kroku kamienie chrzęściły mu pod butami. Zaczął kopać w świeżym żwirze, nic nie znalazł, przeszedł dalej, wykopał następną dziurę, znów nic nie znalazł, przeszedł więc dalej i wykopał trzecią dziurę, też bez skutku.

Ach, nie, chwileczkę.

Jego palce przesunęły się po czymś znacznie gładszym od kamieni. Z łomotem serca pochylił się, lecz niczego nie widział. Żałował, że nie wziął latarki, ale wzbudziłby jeszcze większe podejrzenia Bobbi. Poszerzył dziurę, sypiąc ziemię i kamienie po pochyłym zboczu.

Zobaczył, że wykopał reflektor samochodu.

Gardener patrzył na swe znalezisko ze zgrozą i upiornym rozbawieniem. A więc tak się człowiek czuje, kiedy znajdzie coś w ziemi, pomyślał. Tajemniczy obiekt. Tyle że ja nie musiałem się o to potykać. Wiedziałem, gdzie mam szukać.

Zaczął kopać szybciej, wspinając się po zboczu i sypiąc ziemię między własnymi nogami jak kundel szukający kości, nie zwracał uwagi na łupanie w głowie, nie zważał na ból rąk, które najpierw były po prostu podrapane, potem otarte, w końcu zaczęły broczyć krwią.

Oczyścił kawałek płaszczyzny maski oldsmobile’a tuż nad prawym reflektorem, gdzie mógł stanąć, toteż robota poszła szybciej. Bobbi i jej kumple nie bardzo się starali, urządzając ten pogrzeb. Gardener zgarniał żwir ramieniem i nogą strącał z samochodu. Kamyki stukały i dzwoniły o metal. Miał sucho w ustach. Powoli odkopywał przednią szybę i sam nie wiedział, czy lepiej będzie zobaczyć coś w środku, czy nie.

Jego palce znowu natrafiły na gładką powierzchnię. Nie pozwalając sobie nawet na chwilę namysłu — aby nie ulec mocy koszmarniej ciszy tego miejsca i nie uciec — odgarnął żwir z

kawałka szyby i przyłożywszy do niej stulone dłonie, żeby w szkłe nie odbijało się światło księżyca, zajrzał do środka.

Nic.

Wypożyczony przez Anne Anderson oldsmobile cutlass był pusty.

Mogli ją wsadzić do bagażnika. Niczego nie możesz być pewien.

Jednak sądził, że może. Logika podpowiadała, że w bagażniku nie ma ciała Anne. Po co mieliby ją tam pakować?

Każdy, kto znalazłby nowiutki samochód zagrzebany w opuszczonej żwirowni, uznałby to za dość podejrzane i zapewne zajrzałby do bagażnika... albo zadzwonił na policję, która by to zrobiła.

Ludzi z Haven pewnie guzik by to obchodziło. Mają na głowie o wiele pilniejsze sprawy niż samochody zakopane w żwirowniach. A gdyby auto znalazł ktoś z miasta, ostatnią rzeczą, jaka by mu przysłała do głowy, byłby telefon na policję. To by oznaczało obcych, a tego lata nie chcemy żadnych obcych w Haven, prawda? Niech Bóg broni!

Tak więc w bagażniku jej nie było. Prosta logika. CBDO.

Może ci, którzy to zrobili, nie mają tak znakomitych zdolności logicznego myślenia jak ty, Gard.

To też kawał bzdury. Jeśli on potrafił spojrzeć na sprawę z — powiedzmy — trzech punktów widzenia, to teleturniejowi geniusze z Haven umieli spojrzeć z dwudziestu trzech. Nie zaniedbali żadnego drobiazgu.

Gardener wycofał się na kolanach i zeskoczył z maski oldsmobile'a. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo go pieką podrapane ręce. Po powrocie do domu będzie musiał połknąć kilka pastylek aspiryny, a rano spróbuje ukryć zadrapania przed Bobbi — jutro obowiązują rękawice robocze. Cały dzień.

Anne nie było w samochodzie. Gdzie więc była Anne? W szopie, oczywiście, w szopie. Nagle Gardener zrozumiał, dlaczego tu przyszedł — nie tylko po to, by potwierdzić myśl, którą wyłuskał z głowy Bobbi (jeżeli rzeczywiście tego dokonał; mógł podświadomie dojść do wniosku, że to najlepsze miejsce na ukrycie dużego samochodu), ale żeby się upewnić, że Anne jest w szopie. Musiał się upewnić. Dlatego że musiał się zdecydować, a wiedział już, że nawet widok Bobbi przepoczwarzającej się w coś, co miało niewiele wspólnego z człowiekiem, nie wystarczy, aby go nakłonić do podjęcia decyzji. W głębi duszy wciąż pragnął wykopać statek, wykopać i zrobić z niego użytek — och, jak bardzo tego pragnął.

Przed podjęciem decyzji musiał sprawdzić, co kryje się w szopie Bobbi.

5

W połowie drogi przystanął w mdłym, zimnym blasku księżyca, porażony pytaniem, którego wcześniej sobie nie zadał — po co w ogóle ukryli samochód? Dlatego że ludzie z wypożyczalni zgłoszą zaginięcie i w Haven zjawi się więcej policji? Nie. Ludzie z Hertz czy Avis mogą przez wiele dni nawet nie wiedzieć, że auto zaginęło, a jeszcze dłużej potrałoby ustalenie przez policję, że w Haven mieszka osoba spokrewniona z Anne. Co najmniej tydzień, prawdopodobnie dwa. Gardener sądził, że do tego czasu Haven nie będzie się już przejmowało intruzami z zewnątrz — nigdy więcej.

Przed kim więc ukryli samochód?

Przed tobą, Gard. Ukryli go przed tobą. Nadal nie chcą, żebyś wiedział, do czego są zdolni, kiedy chodzi o ich bezpieczeństwo. Ukryli go, a Bobbi ci oznajmiła, że Anne wyjechała.

Wrócił do domu, obracając w myślach tę niebezpieczną tajemnicę jak drogocenny kamień.

3 WŁAZ

1

To się wydarzyło dwa dni później, gdy Haven ledwie dyszało w sierpniowym upale, leżąc w słońcu jak półżywy z gorąca pies. Prawdziwych psów już oczywiście w Haven nie było — choć pewnie jeden został w szopie Bobbi Anderson.

Gard i Bobbi znajdowali się na dnie wykopu, który miał już głębokość stu siedemdziesięciu stóp — kadłub statku tworzył jedną ścianę, a druga, osłonięta srebrzystą siatką, ukazywała przekrój cienkiej warstwy ziemi, gliny, łupku, granitu i porowatych skał wodonośnych. Geolog wpadłby w zachwyt. Oboje mieli na sobie dzinsy i bluzy z długim rękawem. Na powierzchni panował skwar i duchota, ale tu było chłodno Gardener czuł się jak robak pełzający po ścianie automatu z chłodzoną wodą. Na głowę włożył kask z latarką przylepioną srebrną taśmą. Bobbi przestrzegała go, aby używał światła oszczędnie — z bateriami było krucho. Miał uszy zapchane watą. Wiertarką pneumatyczną odłupywał duże kawałki skał. Bobbi robiła to samo na drugim końcu wykopu.

Gardener spytał rano, dlaczego muszą to robić wiertarką.

— Bardziej podobały mi się wybuchowe radia — powiedział. — Czyste, higieniczne, zdrowe, w sam raz na jankeską głowę.

Bobbi nawet się nie uśmiechnęła. Wydawało się, jakby Bobbi traciła poczucie humoru razem z włosami.

— Jesteśmy za blisko — powiedziała. — Materiał wybuchowy mógłby uszkodzić coś, czego nie chcemy uszkodzić.

— Właz?

— Właz.

Gardener nie czuł już ramion, bolała go też płytka w głowie — pewnie to sobie uroił, przecież metal nie boli, ale zawsze kiedy schodził na dno wykopaliska, zdawało mu się, że zaczyna boleć. Miał nadzieję, że niebawem Bobbi da sygnał, że czas zrobić przerwę na lunch.

Znów zagłębił wiertło w skały, ryjąc nim coraz bliżej statku i nie przejmując się za bardzo, gdy od czasu do czasu drasnęło srebrzystą powierzchnię kadłuba. Trzeba było tylko uważać, żeby czubek wiertła nie uderzył w nią za mocno; mogło się wtedy odbić i oderwać mu stopę. Statek natomiast był zupełnie niewrażliwy na brutalne pieszczoty wiertarki, tak samo jak na materiały wybuchowe, które Gardener podkładał ze swoimi licznymi pomocnikami. Przynajmniej nie istniało ryzyko uszkodzenia znaleziska.

Wiertło dotknęło powierzchni statku — i nagle jednostajny huk przypominający kanonadę broni maszynowej zmienił się w przeraźliwy pisk. Gardenerowi zdawało się, że zobaczył smużkę dymu unoszącą się znad drgającej końcówki wiertła. Coś trzasnęło. Coś przeleciało tuż obok jego głowy. Wszystko trwało krócej niż sekundę. Wyłączył wiertarkę i spostrzegł, że nie ma prawie całego wiertła. Pozostał tylko poszarpany kikut.

Gardener odwrócił się i zobaczył, że to, co przeleciało mu przed twarzą, utkwilo w skalnej ścianie, rozcinając równiutko na pół drut metalowej siatki. Doznał opóźnionego szoku, czuł, że miękną mu kolana i za chwilę osunie się na ziemię.

Minął mnie o milimetr. O cholerny włos. Matko!

Próbował wyciągnąć zaklinowany kawałek metalu i z początku pomyślał, że nie da rady. Potem zaczął nim poruszać tam i z powrotem. Jakbym wyciągał ząb z dziąsła, pomyślał z histerycznym chichotem.

Wreszcie wydłubał kawałek wiertła. Był wielkości pocisku czterdziestkipiątki. Może ciut większy.

Zorientował się, że zaraz zemdleje. Położył rękę na osłoniętej siatką ścianie i oparł głowę o ramię. Zamknął oczy, czekając, aż rzeczywistość albo rozplynie się w mroku, albo wróci. Wiertarka Bobbi chyba też umilkła.

Rzeczywistość zaczęła wracać... poczuł, że Bobbi potrząsa go za ramię.

— Gard? Gard, co się stało?

Miała w głosie szczerą troskę. Słyszając to, Gardener poczuł, że ma ochotę się rozbeczeć. Tak, był bardzo zmęczony.

— Przed chwilą omal nie zostałem postrzelony w głowę wiertłem kalibru czterdzieści pięć — powiedział Gardener. Nie, po namyśle porównałbym je raczej do magnum .trzystasiedemdziesiątkipiątki.

— O czym ty mówisz?

Gardener podał jej kawałek wydłubany ze ściany. Bobbi spojrzała i gwizdnęła.

— Jezu!

— Chyba spóźniłem się na niebiański pociąg. Już drugi raz o mały włos mnie nie zabiło w tej pieprzonej dziurze. Poprzednio twój przyjaciel Enders prawie zapomniał spuścić mi linę, kiedy założyłem ładunek w radiu.

— To nie jest mój przyjaciel — odrzekła z roztargnieniem Bobbi. — Moim zdaniem to bałwan... Gard, jak to się stało? Na co trafiłeś wiertłem?

— Jak to na co? Na skałę! Na co innego tu można trafić?

— Byłeś blisko statku? — Bobbi spojrzała na niego z nagłym przejęciem. Nie, to było coś więcej niż przejęcie. Rozgorączkowanie graniczące z euforią.

— Tak, ale wiertło już wcześniej kilka razy drasnęło statek i zawsze się odbi...

Ale Bobbi już go nie słuchała. Rzuciła się na kolana i rękami zaczęła rozgarniać skalny gruz obok statku.

Zaczął dymić, pomyślał Gardener. I nagle...

Jest, Gard! Nareszcie jest!

Dołączył do niej, zanim zdążył sobie zdać sprawę, że w ogóle się do niego nie odezwała; Gardener usłyszał ją w głowie.

2

Fakt, tu coś jest, pomyślał Gardener.

Odgarniając kamienie, których nalupała wiertarka Garda przed eksplozją, Bobbi odsłoniła w końcu linę na powłoce statku — pojedynczą linę na gigantycznej, gładkiej dotąd powierzchni. Patrząc na nią, Gardener zrozumiał przejęcie Bobbi. Wyciągnął dłoń, żeby dotknąć tajemniczej rysy.

— Lepiej nie — powiedziała ostro Bobbi. — Pamiętaj, co się działo przedtem?

— Daj mi spokój — odrzekł Gardener. Odtrącił jej rękę i dotknął rowka w kadłubie. W jego głowie rozległa się muzyka, ale tym razem przytłumiona i szybko ucichła. Zdawało mu się, że wibrują mu zęby, i podejrzewał, że wieczorem znów kilka wypadnie. Nieważne. Chciał tego dotknąć; musiał tego dotknąć. To było wejście; nigdy jeszcze nie znaleźli się tak blisko Stukostrachów i ich tajemnic, odkryli pierwszy prawdziwy znak, że ten niedorzeczny kolos nie jest wielką jednolitą bryłą (to by dopiero był kosmiczny żart). Dotykając go, Gardener miał wrażenie, jakby dotykał zakrzepłego blasku gwiazd.

— Właz — powiedziała Bobbi. — Wiedziała, że musi tu być!

Gardener uśmiechnął się do niej.

— Udało się, Bobbi.

— Tak, udało się. Dzięki Bogu, że wróciłeś, Gard!

Bobbi objęła go... i gdy Gardener poczuł galaretowaty ruch jej piersi i tułowia, wzdrygnął się z odrazą. Blask gwiazd? Może właśnie teraz dotykały go żywe gwiazdy.

Szybko ukrył tę myśl i sądził, że zdążył, że Bobbi jej nie odczytała.
Jeden zero dla mnie, pomyślał.
— Jak duży może być twoim zdaniem ten właz?
— Nie jestem pewna. Chyba uda nam się go dzisiaj odsłonić. Tak by było najlepiej. Mamy mało czasu, Gard.
— Jak to?
— Zmieniło się powietrze nad Haven. Przez to. — Bobbi stuknęła kostkami palców w kadłub statku. Rozległ się głuchy odgłos, jak stłumiony dźwięk dzwonu.
— Wiem.
— Ludzie z zewnątrz błyskawicznie chorują. Widziałeś Anne.
— Tak.
— Do pewnego stopnia chroniły ją metalowe protezy. Wiem, że to brzmi śmiesznie, ale to prawda. Mimo to uciekła stąd jak oparzona.
Och, doprawdy?
— Gdyby powietrze tylko truło przyjezdnych, nie byłoby jeszcze najgorzej. Ale my nie możemy już stąd wyjechać, Gard.
— Nie możemy?
— Nie. To znaczy, ty byś chyba mógł. Przez parę dni czułbyś się źle, ale mógłbyś wyjechać. Ja poza miastem bardzo szybko pożegnałabym się z życiem. Poza tym upał utrzymuje się już bardzo długo. Jeśli pogoda się zmieni — jeżeli powieje silniejszy wiatr — naszą biosferę zdmuchnie nad Atlantyk. Zostaniemy tu jak ryby tropikalne w akwarium, w którym ktoś wyciągnął korek ze zbiornika i zamknął odpieniacz. Wszyscy umrzemy.
Gard pokręcił głową.
— Przecież pogoda zmieniła się, kiedy pojechałaś na pogrzeb tamtej kobiety. Pamiętam, Bobbi. Było czyste niebo i wiało. Dlatego dziwne, że właśnie wtedy dostałaś udaru, po takim długim okresie upałów.
— Wiele się zmieniło. O wiele szybciej się „przemieniamy”.
Naprawdę wszyscy umrą?, zastanawiał się Gardener. Wszyscy? A może tylko ty i twoi kumple, którzy muszą się malować?
— Słyszę w twojej głowie wątpliwości, Gard — powiedziała Bobbi, zirytowana i rozbawiona równocześnie.
— Wątpię, czy to wszystko dzieje się naprawdę — odrzekł Gardener. — Pieprzyć to. Chodź, trzeba kopać.

3

Zmieniali się przy oskardzie co piętnaście minut, a w przerwach odgarniali skalny gruz. O trzeciej po południu Gard ujrzał rowek w kształcie okręgu o średnicy mniej więcej sześciu stóp. Przypominał pokrywę studzienki włazowej w kanale. I wreszcie ukazał się jakiś symbol. Patrzył na tajemniczy znak w zamyśleniu i w końcu postanowił go dotknąć. Tym razem muzyka zabrzmiała głośniejsz, jak gdyby w słabym proteście lub ostrzeżeniu, żeby uciekał, zanim osłona zupełnie przestanie działać. Ale musiał tego dotknąć, przekonać się, że naprawdę istnieje.

Przesuwając palce po przypominającym chiński symbol znaku, pomyślał: Stworzyła go jakaś istota, która żyła pod zupełnie innym słońcem. Co to może znaczyć? Wstęp wzbroniony? Przybywamy w pokoju? A może to symbol zarazy, kosmiczna wersja: Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzić?

Znak był wyciśnięty w metalowej powłoce jak relief. Kiedy go dotykał, poczuł ogarniający go zabobonny lęk, jakiego dotąd nie znał; roześmiałby się w głos, gdyby sześć tygodni temu ktoś mu powiedział, że poczuje coś takiego — niczym jaskiniowiec oglądający zaćmienie

słońca czy średniowieczny kmieć oglądający świetliste ciało, które później zostanie nazwane kometa Halleya.

Ten znak stworzyła istota żyjąca pod zupełnie innym słońcem. Ja, James Erie Gardener, urodzony w Portland w stanie Maine, w Stanach Zjednoczonych Ameryki, na półkuli zachodniej świata, dotykam symbolu wykonanego przez Bóg wie jakie stworzenie z głębi mroku odległego o całe lata świetlne. Mój Boże, mój Boże, dotykam odmiennego umysłu!

Od jakiegoś czasu dotykał odmiennych umysłów, lecz to było coś innego... coś zupełnie innego.

Naprawdę tam wejdziemy? Zauważył, że znów zaczął krwawić z nosa, lecz nawet to nie zmusiło go do oderwania dłoni od symbolu; ciągle przesuwiał opuszkami palców po gładkiej, nieznannej powierzchni.

Uściślając pytanie, czy będziesz chciał spróbować tam wejść? Nawet jeśli wiesz, że to mogłoby cię zabić i prawdopodobnie zabije? Za każdym razem, gdy tego dotykasz, zaczyna tobą telepać; co się stanie, jeśli będziesz na tyle głupi, żeby wejść do środka? Pewnie ta cholerna stalowa płytka wpadnie w drganie harmoniczne i roztrzaska ci łeb na kawałki jak łaska dynamitu wetknięta w zgniłą rzepę.

Straszenie się o siebie troszczysz jak na faceta, który jeszcze nie tak dawno był o krok od samobójstwa, nie sądzisz, stary?, pomyślał i się uśmiechnął. Oderwał dłoń od symbolu i machinalnie poruszył palcami, żeby się pozbyć mrowienia, jak gdyby chciał z nich strząsnąć pokaźnego gluta. *Co tam, do kurwy nędzy, nie ma się czego bać. Przecież i tak przeniesiesz się na tamten świat, a nie ma bardziej egzotycznego sposobu, niż dać zawibrować sobie mózg na śmierć wewnątrz latającego talerza.*

Gard roześmiał się w głos. Śmiech zabrzmiał bardzo dziwnie na dnie głębokiego wykopu w ziemi.

— Co cię tak bawi? — spytała cicho Bobbi. — Co cię bawi, Gard?

Śmiejąc się jeszcze głośniejszym głosem, Gardener odpowiedział:

— Wszystko. To znaczy... coś innego. Chyba mam tylko jeden wybór: śmiać się albo zwariować. Kapujesz?

Bobbi spoglądała na niego zaskoczona i Gardener pomyślał: Jasne, że nie kapuje. Bobbi wybrała drugą możliwość. Nie może się śmiać, bo zwariowała.

Gardener ryczał, dopóki po policzkach nie popłynęły mu łzy. Niektóre były zabarwione krwią, lecz w ogóle tego nie zauważył. Bobbi spostrzegła, ale nic mu nie powiedziała.

4

Dwie godziny zajęło im odsłonięcie całego wjazdu. Kiedy skończyli, Bobbi wyciągnęła do Gardenera rękę brudną od ziemi i pokrytą rozmazanim makijażem.

— Co? — zdziwił się, podając jej dłoń.

— To już — odparła Bobbi. — Skończyliśmy kopać. Koniec, Gard.

— Tak?

— Tak. Jutro wchodzimy.

Gard spoglądał na nią w milczeniu. Poczul, że ma sucho w ustach.

— Tak jest — powiedziała Bobbi, kiwając głową, jak gdyby

Gard wyraził jakieś wątpliwości. — Jutro wchodzimy. Czasem wydaje mi się, że wszystko zaczęło się milion lat temu. A czasem, że dopiero wczoraj. Potknęłam się, zobaczyłam, dotknęłam tego i zdmuchnęłam ziemię. Tak wyglądał początek.

Odgarnęła palcem odrobinę ziemi.

— A oto koniec.

— Na początku była inna Bobbi — zauważył Gardener.

— Tak — powiedziała w zamyśleniu. Uniosła głowę i na dnie jej oczu błysnęły ledwie dostrzegalne wesole iskierki. Gardener też był inny.

— Tak. Chyba wiesz, że prawdopodobnie zginę, jeżeli tam wejde... mimo to zamierzam spróbować.

— Nie zginiesz — oświadczyła Bobbi.

— Nie?

— Nie. Chodź, musimy jechać. Mam mnóstwo roboty. Wieczorem będę w szopie.

Gardener posłał jej ostre spojrzenie, lecz Bobbi patrzyła na opuszczającą się wolno na linach pętlę.

— Buduję tam mnóstwo rzeczy — powiedziała Bobbi w rozmarzeniu. — Ja i jeszcze kilka osób. Przygotowywaliśmy się na jutro.

— Dzisiaj też przyjadą — rzekł Gardener. Nie zabrzmiało to jak pytanie.

— Tak. Ale najpierw muszę ich tu przyprowadzić, żeby popatrzyli na właz. Czekali... oni też czekali na ten dzień, Gard.

— Nie wątpię — odparł.

Podnośnik zjechał na dół. Bobbi odwróciła się i utkwiała w Gardenerze podejrzliwe spojrzenie.

— Co to miało znaczyć, Gard?

— Nic. Zupełnie nic.

Ich oczy się spotkały i Gardener wyraźnie poczuł, jak Bobbi szuka drogi, by wśliznąć się w jego myśli i odkryć jego niebezpieczną sekretną wiedzę i wątpliwości, których strzegł jak drogiego kamienia.

Pomyślał wolno i dobitnie:

Wynoś się z mojej głowy, Bobbi, nie jesteś tu mile widziana.

Bobbi wzdrygnęła się, jakby dostała w twarz — lecz miała trochę zawstydzoną minę, jak gdyby Gard przyłapał ją na myszkowaniu w miejscu, od którego nie powinna się trzymać z daleka. A więc pozostała w niej jeszcze jakaś resztką cech ludzkich. Pociuszająca myśl.

— Ależ tak, pokaż im to — rzekł Gard. — Ale kiedy będziemy to otwierać, zrobmy to tylko we dwoje. Wykopaliśmy to cholerstwo i za cholere nie wpuszczymy tam nikogo przed nami.

Zgadzasz się?

— Tak — powiedziała Bobbi. — Wejdziemy pierwsi. Tylko my dwoje. Bez żadnej pompy i fanfar.

— I bez policji z Dallas.

Bobbi uśmiechnęła się nieznacznie.

— Zgoda, bez policji z Dallas. — Podała mu linę. — Chcesz jechać pierwszy na górę?

— Nie, ty jedź. Zdaje się, że masz napięty plan i jesteś dopiero w połowie.

— Zgadza się. — Bobbi wskoczyła na pętlę, wcisnęła guzik uruchamiający silnik i ruszyła w górę. — Jeszcze raz dzięki,

Gard.

— Proszę — odrzekł Gardener, przyglądając się jej z zadartą głową.

— Wszystko bardziej ci się spodoba...

(kiedy się „przemienisz”, kiedy zakończysz swoją „przemianę”)

Bobbi jechała w górę, aż w końcu zniknęła mu z oczu.

4 SZOPA

1

Był czternasty sierpnia. Gardener szybko obliczył, że spędził z Bobbi już czterdzieści jeden dni — prawie dokładnie tyle, ile trwały biblijne okresy zamętu lub okresy nieznannej długości, na przykład w zdaniach rodzaju „wędrował przez pustynię czterdzieści dni i czterdzieści nocy”. Zdawało mu się, że jest tu o wiele dłużej. Prawie całe życie.

Razem z Bobbi ledwie skubali mrożoną pizzę, którą Gardener podgrzał na kolację.

— Chyba mam ochotę na piwo — powiedziała Bobbi, podchodząc do lodówki. — A ty? Chcesz, Gard?

— Dzięki, nie.

Bobbi uniosła brwi, lecz nic nie powiedziała. Wzięła piwo i wyszła na werandę, a po chwili Gardener usłyszał skrzypnięcie starego fotela bujanego, gdy wygodnie się na nim usadowiła. Nalał sobie zimnej wody z kranu, wyszedł i usiadł obok Bobbi. Siedzieli dość długo, nie odzywając się do siebie, spoglądając w zamgloną, bezwietrzną dal wieczoru.

— Sporo czasu spędziliśmy razem, Bobbi — rzekł w końcu Gardener.

— Tak. Sporo. I tak dziwnie się kończy.

— Kończy? — spytał, odwracając się na krześle, by na nią spojrzeć. — To koniec?

Bobbi spokojnie wzruszyła ramionami. Uciekła spojrzeniem od wzroku Gardenera.

— No, koniec pewnej fazy. Jak, lepiej brzmi?

— Jeśli to ma być *le motjuste*, to nie jest lepsze ani najlepsze tylko jedyne słowo, które się liczy. Nie nauczyłem cię tego?

Bobbi parsknęła śmiechem.

— Tak, faktycznie. Najgorsi z najgorszych. Wściekłe psy, Anglicy... i nauczyciele angielskiego.

— Tak.

— Tak.

Bobbi pociągnęła łyk piwa i znów spojrzała w stronę dawnej Derry Road. Gardener przypuszczał, że nie może się doczekać ich przyjazdu. Jeśli oboje powiedzieli już wszystko, co można było powiedzieć po tylu latach, zaczął żałować, że w ogóle posłuchał impulsu i wrócił tu, bez względu na powody i ostateczny rezultat. Tak bezbarwne zakończenie związku, w którego historii był czas miłości, seksu, przyjaźni, niepewnego pokoju, troski, a nawet strachu, zdawało się ośmieszać wszystko — ból, cierpienie, starania.

— Zawsze cię kochałam, Gard — powiedziała Bobbi cicho i w zamyśleniu, nie patrząc na niego. — I wszystko jedno, jak to się skończy, pamiętaj, że wciąż cię kocham. — Wreszcie spojrzała na Gardenera, zwracając ku niemu karykaturę twarzy pod grubą maską makijażu — to musiała być jakaś beznadziejna dziwaczka, która przypadkiem trochę przypominała Bobbi. — Nie zapomnij też, że wcale nie chciałam się o to potknąć. Wolna wola nie była czynnikiem zasadniczym tego zdarzenia, jak chyba wyraził się jakiś przemądrzalec.

— Ale postanowiłaś to wykopać — rzekł Gardener. Mówił tak cicho jak Bobbi, ale w serce wkraść mu się nowy lęk. Może ta uwaga o wolnej woli miała być zawołanym usprawiedliwieniem tego, że wkrótce padnie ofiarą morderstwa?

Przestań, Gard. Nie rzucaj się na cienie.

A samochód zakopany na końcu Nista Road to też cień?, odpowiedziały natychmiast jego myśli.

Bobbi zaśmiała się cicho.

— Rany, sam pomysł, że decyzja, czy wykopać takie coś, czy nie, może zależeć od wolnej woli... może udałoby ci się wmówić coś takiego dzieciakowi w dyskusji w szkole średniej,

ale my se siedzimy na wyrandzie, Gard. Chyba nie sądzisz, że człowiek może świadomie decydować w takich sprawach? Sądzisz, że ludzie mogą z własnej woli zrezygnować z wiedzy, kiedy zobaczą jej skrawek?

— Owszem, wychodząc z takiego założenia, pikietowałem elektrownie jądrowe — powiedział wolno Gardener.

Bobbi machnęła niecierpliwie ręką.

— Może społeczeństwa nie wprowadzają w życie niektórych pomysłów — chociaż nawet i w to wątpię, ale teoretycznie przyjmijmy, że tak jest — ale zwykli ludzie? Nie, wybacz, Gard. Kiedy zwykły człowiek widzi coś wystającego z ziemi, musi to wykopać. Musi to wykopać, bo to może być skarb.

— I ani przez chwilę nie miałaś przecucia, nie obawiałaś się... — na usta cisnęło mu się „niebezpiecznych efektów ubocznych”, ale nie sądził, by takie wyrażenie spodobało się Bobbi. — ...konsekwencji?

Bobbi uśmiechnęła się szczerze.

— Ani przez ułamek sekundy.

— Ale Peterowi się nie podobało.

— Rzeczywiście, Peterowi się nie podobało. Ale to nie statek go zabił, Gard.

Tego akurat jestem pewien.

— Peter umarł śmiercią naturalną. Był stary. Ten kolos w lesie to statek z innego świata. Nie puszka Pandory i nie święta jabłoń. Nie usłyszałam śpiewnego głosu z niebios: „Ale ze statku tego nie wolno ci jeść, bo gdy z niego spożyjesz, niechybnie umrzesz”.

Gard uśmiechnął się nieznacznie.

— Ale to jest statek poznania dobra i zła, prawda?

— Tak, przypuszczam, że tak.

Bobbi znów patrzyła na drogę, najwyraźniej nie chcąc ciągnąć rozmowy na ten temat.

— Kiedy się ich spodziewasz? — spytał Gardener.

Zamiast odpowiedzieć, Bobbi ruchem głowy wskazała drogę. Zbliżał się cadillac Kyle’a Archinbourga, a za nim toczył się stary ford Adleya McKeena.

— Chyba pójde się przespać — rzekł Gardener, wstając.

— Jeśli masz ochotę, możesz z nami iść do statku.

— Z tobą może bym poszedł. Ale z nimi? — Wskazał kciukiem nadjeżdżające samochody.

— Uważają, że jestem stuknięty. I szczerze mnie nie cierpią, bo nie potrafią mi czytać w myślach.

— Jeżeli powiem, że możesz iść, to pójdziesz.

— Chyba jednak nie skorzystam z propozycji — rzekł Gardener, przeciągając się. — Ja też ich nie lubię. Działają mi na nerwy.

— Przykro mi.

— Niepotrzebnie. Po prostu... jutro. Tylko my dwoje, Bobbi. Zgoda?

— Zgoda.

— Pozdrów ich. I przypomnij im, że pomagałem, chociaż mam tę cholerną stalową płytkę w głowie.

— Przypomnę. Oczywiście, że przypomnę. — Bobbi znów odwróciła wzrok, co nie podobało się Gardenerowi. Bardzo mu się to nie podobało.

2

Sądził, że najpierw wejdą do szopy, ale nie weszli. Przez chwilę stali na podwórku, rozmawiając — Bobbi, Frank, Newt, Dick Allison, Hazel i reszta — a potem zwartą grupą ruszyli w stronę lasu. Niebo już poczerwieniało, ale mieli latarki.

Obserwując ich, Gardener pomyślał, że właśnie minęła ostatnia chwila, jaką spędził z Bobbi. Nie pozostało mu nic innego, jak wejść do szopy i zobaczyć, co tam jest. Czas w końcu podjąć ostateczną decyzję.

Ujrzałem oko, zerkające przez chmurę dymu za zielonymi drzwiami...

Wstał i poszedł do kuchni. Spoglądając przez okno, zdążył zobaczyć, że wszyscy kierują się do zarośniętego ogrodu Bobbi. Szybko policzył głowy, aby się upewnić, czy są wszyscy, a potem zszedł do piwnicy. Bobbi trzymała tam zapasowe klucze.

Otworzył drzwi piwnicy i ostatni raz przystanął.

Naprawdę chcesz to zrobić?

Nie, nie chciał. Ale postanowił, że zrobi. Ogarnęło go silniejsze od lęku poczucie osamotnienia. Nie było dosłownie nikogo, do kogo mógłby się zwrócić z prośbą o pomoc. Z Bobbi Anderson spędził na pustyni czterdzieści dni i czterdzieści nocy, a teraz został sam. Boże dopomóż.

Do diabła z tym, pomyślał. Jak podobno powiedział pewien stary sierżant do swojego plutonu podczas pierwszej wojny światowej: Ruszcie się, chłopcy, chcecie żyć wiecznie?

Gardener ruszył na dół po klucze Bobbi.

3

Kółko wisiało na swoim miejscu, a każdy klucz był starannie opisany. Cały figiel w tym, że brakowało klucza od szopy. Wcześniej tu był; Gardener nie miał wątpliwości. Kiedy widział go po raz ostatni? Nie mógł sobie przypomnieć. Ostrożność Bobbi? Być może.

Stał w Nowym Ulepszonym Warsztacie, czując krople potu na czole i na jajach. Nie ma klucza. Świetnie. I co pocznie? Chwyci siekierę Bobbi i zabawi się w Jacka Nicholsona w „Lśnieniu”? Wyobraził to sobie. Trach, bach, chrup: „Idzie GAAARDENER!”. Trudno jednak byłoby ukryć skutki takiej akcji przed powrotem pielgrzymów z Adoracji Świętego Włazu.

Stał w warsztacie Bobbi, zdając sobie sprawę z upływającego czasu, czując się stary i zupełnie nieulepszony. Jak długo ich nie będzie? Nie sposób określić, prawda? Rzeczywiście, nie sposób.

Dobra, gdzie ludzie zwykle trzymają klucze? Przy założeniu, że Bobbi jest po prostu ostrożna, a nie chowa ich przed tobą.

Nagle tak raptownie przysłała mu do głowy myśl, że niemal zachwiał się na nogach. Bobbi wcale nie wzięła klucza. I nikt nie próbował go chować. Klucz zniknął, gdy Bobbi rzekomo została odwieziona do szpitala w Derry z udarem słonecznym. Był prawie pewien, a to, czego nie pamiętał, podszeptała mu logika.

Bobbi wcale nie była w szpitalu w Derry; zabrano ją do szopy. Może jeden z tamtych wziął zapasowy klucz, żeby się nią opiekować? Albo wszyscy mieli dorobione klucze? Po co? Ostatnio nikogo w Haven nie interesowały kradzieże; każdy był bez reszty zaabsorbowany swoją „przemianą”. Czyli zamykali szopę tylko po to, żeby on się tam nie dostał. Mogli więc...

Gardener przypomniał sobie, jak kiedyś przyjechali, po tym jak „coś” zdarzyło się Bobbi... to „coś” musiało być znacznie poważniejsze od udaru cieplnego.

Zamknął oczy i ujrzał cadillaca. KYLE-1. Wysiadają, a potem...

...Archinbourg odłącza się na chwilę od reszty. Podnosisz się na łokciu, patrząc na nich przez okno i jeżeli w ogóle o tym myślisz, podejrzewasz, że skoczył się wysikać. Ale nie. Archinbourg poszedł po klucz. Jasne. Poszedł na drugą stronę po klucz.

Niewiele, ale wystarczyło, aby go wyrwać z bezruchu. Wybiegł z piwnicy i skierował się do drzwi, ale zawrócił. W łazience na szafce z lekarstwami leżała para wiekowych okularów przeciwsłonecznych Foster Grant — spoczęły tam z nieodwołalnością, z jaką drobiazgi na

zawsze pozostają w różnych miejscach w domach ludzi mieszkających samotnie (podobnie jak puder należący do żony Newta Berringera). Gardener wziął okulary, zdmuchnął grubą warstwę kurzu, dokładnie przetarł szkła, a potem złożył je i schował do kieszeni na piersi.

I wyszedł do szopy.

4

Przez chwilę stał przed zamkniętymi na kłódkę drzwiami z desek, patrząc na ścieżkę prowadzącą do wykopu. Zmierch zgęstniał już do tego stopnia, że las za ogrodem zmienił się w szaroniebieską plamę, w której roztopiały się wszystkie szczegóły. Gardener nie widział zbliżających się punkcików latarek.

Ale mogą się zjawić. Lada chwila mogą się zjawić i przyłapać cię z ręką po łokieć w słoju z konfiturami.

Chyba jednak trochę zmarudzą przy statku. Mają lampy łukowe.

Ale nie możesz być tego pewien.

Nie, nie mogę.

Gardener spojrzął z powrotem na drzwi z desek. Widział przez szpary zielone światło i słyszał nieprzyjemny dźwięk, jak gdyby pracowała pralka pełna bielizny i gęstych mydlin.

Nie — to nie była jedna pralka; kilka niesynchronizowanych ze sobą pralek.

W rytmie tych chlupoczących odgłosów pulsowało światło.

Nie chcę tam wchodzić.

Poczuł jakiś zapach. Nawet on kojarzył się z praniem: lekko mydlany, z nutką woni czegoś zjełczałego. Stare mydło. Wyschnięte.

Ale to nie pralki. Ten dźwięk jest żywy. Nie ma tam telepatycznych maszyn dopisania ani Nowych Ulepszonych Bojlerów, tylko coś żywego. Nie chcę tam wchodzić.

Jednak zamierzał wejść. W końcu czy nie po to uniknął spotkania ze śmiercią, żeby zajrzeć do szopy Bobbi i przyłapać Stukostrachy przy ich dziwnych stołach? Przypuszczał, że po to.

Gard poszedł z drugiej strony szopy. Na zardzewiałym gwoździu pod okapem wisiał klucz. Wyciągnął drżącą rękę i zdjął go. Próbował przełknąć ślinę, ale nie potrafił. Miał wrażenie, że gardło wysypano mu gorącymi trocinami.

Pić. Wypiję tylko jednego, wejdę do domu na jednego szybkiego. I będę gotowy.

Doskonale. Świetny pomysł. Ale dobrze wiedział, że tego nie zrobi. Z piciem koniec. Podobnie jak z dalszym zwlekaniem. Ściskając mocno klucz w wilgotnej dłoni, Gardener zbliżył się do drzwi. Pomyślał: Nie chcę tam wchodzić i boję się, że Stukostrach...

Przestań. Z tym też trzeba skończyć. Z Fazą Stukostracha.

Znowu się obejrzał, prawie z nadzieją, że zobaczy rząd światełek wynurzających się z lasu albo usłyszysz głosy.

I tak byś nie usłyszał, bo rozmawiają ze sobą w myślach.

Brak światełek, ruchu, świerszczy i ptaków. Słysząc było tylko odgłos pracujących pralek, odgłos wzmocnionych, pluszczących uderzeń serca: chlup—chlup—chlup...

Gardener spojrzął na pulsujące zielone światło prześwitujące przez szpary między deskami. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął stare okulary przeciwsłoneczne i nałożył.

Dawno się już nie modlił, lecz teraz zmówił modlitwę. Krótką, ale modlitwę.

— Boże, proszę — powiedział Jim Gardener w letni zmierzch i wsunął klucz do kłódki.

5

Spodziewał się eksplozji radia w głowie, ale nic takiego się nie stało. Wówczas zdał sobie sprawę, że jego żołądek skulił się jak człowiek spodziewający się wstrząsu elektrycznego.

Oblizał wargi i przekręcił klucz.

Rozległ się cichy trzask, ledwie słyszalny w bulgocie dobiegającym zza drzwi szopy.

Pałak odrobinę wyskoczył z kłódki. Gardener wyciągnął rękę, czując, jakby była z ołowiu. Zdjął kłódkę, zatrzasnął i wsunął razem z kluczem do lewej kieszeni. Poruszał się jak we śnie. Nie był to dobry sen.

Powietrze w środku musiało być normalne — no, może nie całkiem; powietrze w Haven nie było już normalne. Ale Gard przypuszczał, że musi być takie same jak na zewnątrz, ponieważ szopa była dziurawa jak rzeszoto. Jeżeli istnieje coś takiego jak czysta biosfera Stukostrachów, to na pewno nie tu. Tak przynajmniej sądził.

Mimo wszystko postanowił nie ryzykować. Nabral głęboko powietrza i zatrzymał, mówiąc sobie, że będzie liczył kroki. Trzy. Zrobisz tylko trzy kroki. Na wszelki wypadek. Rozejrzysz się szybko i zaraz wyjdiesz. Jak najszybciej.

Masz nadzieję, że się uda.

Tak, mam nadzieję.

Ostatni raz popatrzył na ścieżkę. Była pusta, odwrócił się więc i wszedł do szopy.

Zalał go zielony blask jak zepsute światło słońca, oślepiający mimo ciemnych okularów.

6

Z początku nic nie widział. Światło było zbyt jasne. Wiedział, że przedtem bywało jaśniejsze, ale nigdy nie znajdował się tak blisko. Blisko? Boże, był w samym środku tego światła. Ktoś stojący przed otwartymi drzwiami i zagląający do środka, w ogóle by go nie zobaczył.

Zmrużył oczy i zrobił jeden krok... potem drugi... i trzeci. Wyciągał przed siebie ręce jak ślepiec. Bo był ślepy; cholera, nawet miał na nosie ciemne okulary.

Dźwięk rozległ się głośniej. Chłup—chłup—chłup... dobiegało gdzieś z lewej. Odwrócił się w tę stronę, ale nie posuwał się dalej. Bał się iść dalej, bał się tego, czego mógłby dotknąć.

Wreszcie wzrok zaczął mu się przyzwyczajać. Ujrzał ciemne kształty w zielonej światłości. Ława... ale nie siedziały za nią Stukostrachy; postawiono ją pod ścianą, żeby nie przeszkadzała. I...

Boże, to naprawdę pralka!

Faktycznie, to była staromodna pralka z wyżymaczką, ale to nie ona wydawała dziwny dźwięk. Pralkę też ustawiono pod ścianą. Była w trakcie modyfikowania; ktoś pracował nad nią w najlepszym stukostrachowym stylu, ale w tym momencie nie pracowała.

Obok stał odkurzacz... stary Electrolux na kółkach, długi i niski, przypominający mechanicznego jamnika. Piła łańcuchowa z zamontowanymi kółkami. Sterta wykrywaczy dymu kupionych w Radio Shack, większość jeszcze w pudełkach. Sporo baryłek po nafcie, także na kółkach, z dołączonymi węzami i czymś przypominającym ręce...

Pewnie, że to ręce, to są roboty, pieprzone niedokończone roboty i żaden nie wygląda jak gołąbek pokoju, prawda, Gard? I...

Chłup — chłup — chłup.

Jeszcze dalej w lewo. Tam było źródło blasku.

Gard usłyszał zabawny dźwięk, jaki wydał. Wstrzymywane powietrze uleciało z niego jak z przekłutego balonu. W tym samym momencie jego nogi zrobiły się jak z waty. Wyciągnął na oślep rękę, namacał ławę i nie usiadł, ale po prostu na nią klapnął. Nie mógł oderwać oczu od lewego rogu szopy, gdzie na słupkach w starych pozbawionych drzwi kabinach prysznicowych z ocynkowanej stali wisieli Ev Hillman, Anne Anderson i beagle Bobbi, Peter. Jak kawały wołowiny na rzeźnickich hakach. Ale Gard zobaczył, że żyją... jakimś cudem jeszcze żyją.

Ze środka czoła Anne Anderson biegł gruby czarny kabel, który wyglądał jak przewód wysokiego napięcia lub bardzo gruby kabel koncentryczny. Podobny przewód wychodził z

prawego oka staruszka. Pies nie miał całej górnej części czaszki; z odsłoniętego, pulsującego mózgu Petera odchodziło kilkadziesiąt drobniejszych przewodów.

Oczy Petera, wolne od katarakty, obróciły się w stronę Garda. Beagle zaskomlał.

Jezu... Jezu drogi... Jezu Chryste.

Próbował podnieść się z ławy. Nie potrafił.

Zauważył, że staruszkowi i Anne też usunięto część czaszki. Kabiny prysznicowe miały wyrwane drzwi, ale mimo to były pełne jakiej przezroczystej cieczy — pewnie utrzymuje ją to samo, co tamto małe słońce pod bojlerem Bobbi. Gdyby spróbował wsadzić rękę do jednej z kabin, poczułby sprężystą zaporę. Bardzo elastyczną... ale nieprzepuszczalną.

Chcesz się tam dostać? Nie, chcę się tylko stąd wydostać!

Jego myśli wróciły do poprzedniej litanii.

Jezu... Jezu drogi... Jezu, jak oni wyglądają...

Nie chcę na nich patrzeć.

Nie chciał. Ale nie mógł oderwać oczu.

Płyn był przezroczysty, ale miał szmaragdowy kolor. Poruszał się, wydając cichy chłupot gęstych mydlin. Gardener pomyślał, że mimo przejrzystości ciecz musi być bardzo lepka. Ma pewnie konsystencję płynu do mycia naczyń.

Jak oni tam mogą oddychać? Jak mogą żyć? Może nie żyją; może ruch tej cieczy sprawia, że wydają się żywi. Może to tylko iluzja. Jezu, spraw, żeby to była tylko iluzja.

Peter... słyszałeś jego skomlenie.

Nie. To też iluzja. Nic więcej. Pies wisi na haku w kabine prysznicowej wypełnionej międzygwiazdnym odpowiednikiem płynu Joy, nie mógłby w tym skomleć, musiałby zrobić bańki, a ty masz po prostu zwidy. Tak jest, to po prostu pozdrowienia od Króla Zwida.

Ale wiedział, że nie ma żadnych zwidów. I wiedział, że nie uszami usłyszał skomlenie Petera.

Bolesne, bezradne skomlenie rozległo się dokładnie w tym samym miejscu, gdzie odbywała się muzyka z radia: w środku jego mózgu.

Anne Anderson otworzyła oczy.

Zabierz mnie stąd! Zabierz mnie stąd, dam jej spokój, czuję tylko, jak zadają mi ból, jak to boli, jak to boooli...

Gardener znów próbował wstać. Zdawał sobie sprawę, że wydaje jakiś dźwięk. Przypuszczał, że podobny odgłos mógłby wydać świszcz, którego przejeżdża samochód.

Zielonkawy płyn nadawał twarzy Siostruni upiornie trupią barwę. Jej niebieskie oczy wyblakły. Język unosił się bezwładnie jak mięsisty wodorost. Skóra palców przypominała pomarszczone suszone śliwki.

Czuję tylko, jak zadają mi ból, jak to boli, jak to boooli — łkała Anne, a Gardener nie mógł zatkać uszu, żeby jej nie słyszeć, bo głos dobiegał z wnętrza jego głowy.

Chłup–chłup–chłup.

Do górnej części kabin prysznicowych dołączono miedziane rury, wskutek czego metalowe kabiny przypominały komiczne skrzyżowanie komór hibernacyjnych z Bucka Rogersa i destylatorów do bimbru z komiksów o Li'lu Abnerze.

Sierść Petera odpadła płatami. Tylne części jego ciała zdawała się zapadać. Wolno poruszał łapami, rozgarniając leniwie ciecz, jak gdyby uciekał we śnie.

Jak to boli, jak to boooli!

Staruszek otworzył oko.

Chłopiec.

Myśl była wyraźna, nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Gardener bezwiednie na nią odpowiedział.

Jaki chłopiec?

Natychmiast padła odpowiedź, przez moment zaskakująca, ale po chwili oczywista.

David. David Brown.

Oko patrzyło prosto na niego, nieskończenie szafirowe ze szmaragdowym odcieniem.

Ratuj chłopca.

Chłopca. Davida. Davida Browna. Czy on też miał z tym coś wspólnego, maluch, którego wiele dni szukano w koszmarnym upale? Oczywiście. Może nie bezpośrednio, ale musiał mieć z tym coś wspólnego.

Gdzie on jest? — pomyślał Gardener do starszka unoszącego się w bladezielonym roztworze.

Chlup–chlup–chlup.

Na Altairze-4 — odrzekł w końcu. — *David jest na Altairze-4. Ratuj go... a potem nas zabij. To... to straszne. Nie mogę umrzeć. Próbowałem. Wszyscy próbowaliśmy. Nawet (sukasuka)*

ona. To piekło. Użyj transformatora, żeby ratować Davida. Potem wyciągnij wtyczki. Przetnij druty. Spal szope. Słyszysz?

Gardener spróbował wstać po raz trzeci i bezwładnie opadł z powrotem na ławę. Zauważył, że po podłodze walają się grube przewody elektryczne, i przypomniał mu się podróżujący zespół, który zabrał go z autostrady, gdy Gardener wracał z New Hampshire. Zastanawiał się, skąd to skojarzenie, ale zaraz zrozumiał. Podłoga przypominała scenę tuż przed koncertem zespołu rockowego. Albo studio telewizyjne.

Kable zbiegały się w dużej skrzyni wypełnionej płytkami obwodów drukowanych i stertą magnetowidów. Były ze sobą połączone. Gardener poszukał prostownika, nie znalazł, a potem pomyślał: Oczywiście, że nie ma, idioto. Przecież z baterii płynie prąd stały.

Magnetowidy były podłączone do mieszaniny przeróżnych komputerów domowych: Atari, Apple II i III, TRS-80, Commodore. Na jednym z włączonych monitorów migало słowo

PROGRAM?

Za zmodyfikowanymi komputerami znajdowało się jeszcze więcej płytek — całe setki. Urządzenie wydawało ciche, senne buczenie — dźwięk, który kojarzył mu się z...

(użyj transformatora)

wielkim sprzętem elektrycznym.

Ze skrzyni i ustawionych byle jak komputerów buchała zielona fala światła — ale blask nie miał stałego natężenia. Pulsował w rytmie mydlanych odgłosów dobiegających z kabin prysznicowych.

To jest centrum, pomyślał, nie potrafiąc wykrzesać z siebie ożywienia. Dobudówka statku. Przychodzą do szopy, żeby z tego korzystać. To transformator, z którego czerpią siłę.

Użyj transformatora, żeby ratować Davida.

Równie dobrze mógłbyś mnie poprosić, żebym poleciał Air Force One. Zadaj mi coś łatwiejszego, ojczulku. Gdybym mógł sprowadzić go z powrotem, recytując Marka Twaina — nawet Poego — proszę bardzo. Ale to? Wygląda jak pobojuwisko po wybuchu w hurtowni urządzeń elektronicznych.

Przecież... chodzi o chłopca.

Ile ma lat? Cztery? Pięć?

I gdzie oni go schowali, na litość boską? Możliwości były nieograniczone.

Ratuj chłopca... użyj transformatora.

Nie było nawet czasu, żeby uważnie się przyjrzeć cholernemu urządzeniu. Tamci mogli wrócić. Mimo to jak urzeczony utkwiał wzrok w jedynym włączonym ekranie.

PROGRAM?

A gdybym wstukał na klawiaturze „Altair-4”? — zastanawiał się. Nigdzie nie widział jednak klawiatury, a w tej samej sekundzie zmienił się napis na ekranie. Brzmiał teraz

ALTAIR-4

Nie!, wrzasnął w duchu, z poczuciem winy intruza. Nie, Jezu, nie!
Litery zadrgały.

NIE JEZU NIE

Pocąc się, Gardener pomyślał: Anuluj! Anuluj!

ANULUJ ANULUJ

Litery migaly, ukazując się i znikając na przemian. Gardener wpatrywał się w nie przerażony. Potem:

PROGRAM?

Z trudem zasłonił swoje myśli i znów spróbował wstać.

Tym razem się udało. Z transformatora biegły jeszcze inne przewody. Cieńsze. Było ich... policzył. Tak. Osiem. Zakończonych zatyczkami do uszu.

Zatyczki. Freeman Moss. Treser zwierząt prowadzący mechaniczne słonie. Tu było więcej zatyczek. Ich widok niedorzecznie skojarzył mu się ze szkolnym laboratorium językowym.

Uczą się tu innego języka?

Tak. Nie. Uczą się „przemieniać”. Maszyna ich uczy. Ale gdzie są baterie? Żadnych nie widzę. Do tego powinni podłączyć z dziesięć albo dwanaście dużych akumulatorów Delco. Żeby to w ogóle działało. Powinno być...

Zszokowany znów spojrzął na kabiny prysznicowe.

Zatrzymał wzrok na kablu koncentrycznym wychodzącym z czoła Anne i oka staruszka. Przyglądał się łapom Petera, które poruszały się, jakby pies sadził we śnie długie susy. Zastanawiał się, jak sierść znalazła się na sukience Bobbi czyżby przeprowadziła coś w rodzaju wymiany międzygwiazdowego oleju? Może uległa zwykłemu ludzkiemu uczuciu? Miłości? Wyrzutom sumienia? Poczuciu winy? Może przytuliła psa, zanim ponownie napelniła jego komorę płynem?

To są baterie. Organiczne Delco i Eveready. Wysysają z nich wszystko do sucha. Wysysają ich jak wampiry.

Przez strach, zgrozę i obrzydzenie przebiło się nowe uczucie. Była to wściekłość, którą Gardener powitał z ulgą.

Jak to boli... jak to boli... jak to boooli...

Jej głos urwał się raptownie. Stłumione buczenie transformatora obniżyło się o pół tonu. Światło padające ze skrzyni nieco przybladło. Pomyślał, że Anne straciła przytomność, obniżając tym samym moc wyjściową maszyny o niewiadomą liczbę... czego? Woltów? Dyn? Omów? Kto to mógł, kurwa, wiedzieć?

Skończ to, chłopcze. Uratuj mojego wnuka, a potem skończ.

Przez moment głowę Gardenera wypełnił czysty i wyraźny głos staruszka, który zaraz zamilkł. Oko staruszka zamknęło się wolno.

Zielone światło maszyny przybladło jeszcze bardziej.

Zbudzili się, kiedy wszedłem, pomyślał rozgorączkowany. W głowie wciąż pulsował mu świdrujący gniew. Gardener wypluł ząb, niemal nie zdając sobie z tego sprawy. Nawet Peter

na chwilę się ocknął. Teraz wszyscy wrócili do swojego poprzedniego stanu. Spali? Nie. To nie był sen. Coś innego. Stan organicznego zamrożenia.

Czy bateriom śnią się elektryczne owieczki?, pomyślał, parszkając idiotycznym rechotem.

Odsunął się od transformatora

(co on właściwie transformuje jak i po co)

od kabin prysznicowych i kabli. Przesunął wzrok na rząd aparatów ustawionych pod przeciwległą ścianą. Na palce z wyżymaczką zamontowano jakiś element przypominający łukowatą antenę telewizyjną, jaką widuje się na bagażnikach dużych limuzyn. Za pralką odrobinę w lewo stała staromodna pedałowa maszyna do szycia ze szklanym lejkiem zamontowanym na bocznym kółku. Baryłki po nafcie z węzami i stalowymi ramionami... zauważył, że na końcu jednego z ramion został przyspawany rzeźnicki nóż.

Chryste, co to jest? Po co to wszystko?

Jakiś głos szepnął mu: Może to zabezpieczenie, Gard. Na wypadek gdyby policja z Dallas zjawiła się za wcześnie. To Stukostrachowa Armia Starzyny — stare pralki z antenami komórkowymi, odkurzacze, piły łańcuchowe na kółkach. Do wyboru, do koloru.

Poczuł, że balansuje na krawędzi obłądu. Jego wzrok jak przyciągany magnesem wracał do Petera. Petera z odłupaną połową czaszki, Petera, któremu do zmasakrowanej głowy wpechnięto pęk przewodów. Jego mózg wyglądał jak blada pieczeń cieleca z pękiem czujników temperatury.

Peter poruszał łapami w lepkim płynie, jak gdyby uciekał.

Bobbi, pomyślał z furją i rozpaczą Gardener, jak mogłaś zrobić coś takiego Peterowi? Chryste! Widok ludzi był, rzecz jasna, okropny, ale widok Petera jeszcze gorszy. Jak gdyby do ordynarnej wiązanki ktoś dorzucił na koniec jeszcze jedno soczyste przekleństwo. Łapy Petera rozgarniały ciecz, jakby pies uciekał we śnie, pędząc długimi susami.

Baterie. Żywe baterie.

Cofając się, wpadł na coś tyłem. Rozległ się głuchy metaliczny łomot. Odwrócił się i ujrzał jeszcze jedną kabinę prysznicową z nieznacznymi zaciekami rdzy na bocznych ścianach, bez drzwi. W tylnej ścianie wycięto otwory, przez które przeciągnięto przewody zakończone grubymi stalowymi wtyczkami; teraz bezwładnie zwisały.

Dla ciebie, Gard! — jęknął jego mózg. — Tu jest twoje miejsce, jak mówili w reklamach. Otworzą ci czaszkę, może zrobią spięcie w korze ruchowej, żeby cię sparaliżowało, a potem będą wiercić w poszukiwaniu punktu, z którego będą mogli zaczerpnąć energii. Tu jest twoje miejsce, oto twoja wtyczka, przez którą wyciągną z ciebie wszystko... już czeka przygotowana! Super hiper!

Z trudem powstrzymał własne myśli, które wpadły w historyczny wir, i odzyskał nad nimi panowanie. Kabina nie była przeznaczona dla niego: przynajmniej pierwotnie. Ktoś z niej już korzystał. Unosił się tu ten szczególny mydlany i mdły zapaszek. Na ścianach od wewnątrz widniały kawałki zaskorupiałej mazi — ostatnie ślady po gęstym zielonym płynie.

Wygląda jak sperma Czarnoksiężnika z Krainy Oz, pomyślał.

Z jego ust znów wyrwał się dziwaczny rechot. Mocno przycisnął dłoń do warg, żeby go stłumić.

Spoglądając na podłogę, zobaczył parę beżowych butów rzuconych obok kabiny. Podniósł jeden i ujrzał zaschniętą krew.

Buty Bobbi. Jedyna para jej porządných butów. Wyjściowych. Była w nich, gdy szła wtedy na pogrzeb.

Drugi but był także zakrwawiony.

Gard zajrzał za kabinę prysznicową i znalazł resztę rzeczy, jakie Bobbi miała na sobie tego dnia.

Wszędzie krew.

Nie chciał unosić bluzki, lecz kształt pod nią był aż nazbyt wyraźny. Ostrożnie ujął dwoma palcami skrawek materiału i podniósł bluzkę leżącą na wyjściowej grafitowej spódnicy Bobbi.

Pod spodem leżał rewolwer. Największy i najstarszy, jaki Gardener widział w życiu, nie licząc obrazków w książkach.

Po chwili wziął broń do ręki i otworzył bębenek. Tkwiły w nim jeszcze cztery pociski. Dwóch nie było. Gardener był gotów się założyć, że te dwie kule trafiły Bobbi.

Zamknął bębenek i wsunął broń za pas. Natychmiast w jego głowie odezwał się głos. *Strzeliłeś do żony... Nieźle, kurwa, co?*

Mniejsza z tym. Broń może się przydać.

Kiedy zobaczą, że zniknęła, zaczną szukać u ciebie, Gard. Wydawało mi się, że już doszedłeś do takiego wniosku.

Nie, nie sądził, żeby musiał się tym przejmować. Zauważyliby zmienione słowa na ekranie komputera, ale ubrania nie dotykano od chwili, gdy Bobbi je zdjęła (czy raczej ktoś jej zdjął, co było bardziej prawdopodobne).

Kiedy tu wchodzi, wpadają w taką ekstazę, że nie zwracają sobie głowy sprzątaniem, pomyślał. Na szczęście nie ma much.

Znów dotknął rewolweru. Tym razem głos w jego głowie milczał. Może uznał, że nie ma żadnych żon, którymi należałoby się przejmować.

Gdybys musiał strzelić do Bobbi, potrafiłbyś to zrobić?

Na to pytanie nie potrafił odpowiedzieć.

Chlup–chlup–chlup.

Jak długo już nie ma Bobbi i jej towarzystwa? Nie wiedział, nie miał pojęcia. Staruszek nie mylił się; tutaj czas nie miał żadnego znaczenia. To było piekło. Ciekawe, czy Peter nadal reaguje na pieczętę swojej dziwnej pani, kiedy do niego przychodzi.

Jego żołądek był o krok od buntu.

Gardener musiał stąd wyjść — natychmiast. Czuł się jak postać w bajce. Jak żona Sinobrodego w tajemniczej komnacie, jak Jack grzebiący w górze złota na zamku olbrzymia.

Czuł, że zbliża się chwila, gdy go tu znajdą. Trzymał jednak przed sobą zakrwawioną część garderoby, jakby był sparaliżowany. Nie „jakby”, naprawdę go sparaliżowało.

Gdzie jest Bobbi?

Miała udar słoneczny.

Cholernie dziwny udar, od którego bluzka przesiąka krwią. Gardener interesował się kiedyś bronią i uszkodzeniami ciała, jakie może spowodować. Jeśli do Bobbi strzelano z tego wielkiego rewolweru, który tkwił teraz za jego paskiem, nie miała prawa żyć; nawet gdyby błyskawicznie zabrano ją do szpitala specjalizującego się w leczeniu ran postrzałowych, prawdopodobnie by nie przeżyła.

Przynieśli mnie tutaj we krwi po pachy, lecz posklejały mnie Stukostrachy.

Nie. Stara kabina prysznicowa nie była przeznaczona dla niego. Gardener miał przeczucie, że pozbędą się go w bardziej nieodwracalny sposób. Kabina była przeznaczona dla Bobbi.

Przynieśli ją do szopy i... i co?

No oczywiście, podłączyli ją do baterii. Nie do Anne, której jeszcze tu nie było, ale do Petera i... Hillmana.

Upuścił bluzkę na podłogę... a potem zmusił się do położenia jej z powrotem na spódnicy. Nie wiedział, w jakim stopniu zwracają uwagę na rzeczywistość, kiedy wchodzi do szopy (przypuszczał, że w niewielkim), ale nie chciał dodatkowo ryzykować.

Spojrzał na otwory w tylnej ścianie kabiny i dyndające przewody ze stalowymi wtyczkami.

Zielone światło znów zaczęło pulsować szybciej i jaśniej. Odwrócił się. Anne ponownie miała otwarte oczy. Jej krótkie włosy unosiły się wokół głowy. W oczach wciąż widział bezgraniczną nienawiść, lecz teraz spoglądały na niego z przerażeniem i coraz bardziej obco.

Zobaczył bańki.

Wypłynęły jej z ust krótkim i grubym strumieniem.

W głowie eksplodowała mu myśl/dźwięk.

Anne krzyczała.

Gardener uciekł.

7

Prawdziwe przerażenie jest uczuciem najbardziej wyczerpującym fizycznie. Wyciska soki z gruczołów wydzielania wewnętrznego, wstrzykuje prosto do krwiobiegu organiczne leki wywołujące napięcie mięśni, wzmacnia rytm serca, dręczy umysł. Jim Gardener wytoczył się z szopy Bobbi Anderson na miękkich nogach, z wybałuszonymi oczami i głupio rozchyłonymi ustami (z ich kącika bezwładnie zwieszał się język), ze skurczonym żołądkiem i boleśnie pełnymi jelitami.

Trudno było myśleć o czymkolwiek innym poza potwornymi, sugestywnymi obrazami, które co chwilę rozbłyskiwały mu w głowie jak neon nad barem: ciała zawieszane na hakach jak owady wbite na szpilki przez okrutne, znudzone dzieci; poruszające się bez przerwy łapy Petera; zakrwawiona bluzka z dziurą po kuli; wtyczki; staromodna pralka z łukowatą anteną. Najgorszy był obraz krótkiego strumienia baniek, jakie wypłynęły z ust Anne, kiedy krzyknęła wewnątrz jego głowy.

Wpadł do domu, popędził do łazienki i ukląkł nad muszlą, ale stwierdził, że nie może się wyrzygać. Chciał puścić pawia. Myślał o hot dogach z robakami, spleśniałej pizzy, różowej lemoniadzie z kłębami włosów; w końcu wepchnął sobie w gardło dwa palce. Zakrztusił się, ale nic więcej. Nie mógł zwymiotować.

Jeśli się nie wyrzygam, zwariuję.

W porządku, wariuj. Ale najpierw zrób, co trzeba. Spróbuj wytrzymać przynajmniej tak długo. Nawiasem mówiąc, Gard, masz jeszcze jakieś wątpliwości, co powinieneś zrobić?

Nie, już nie miał. Przekonały go poruszające się bez przerwy łapy Petera. Przekonał go strumień baniek. Nie rozumiał, jak mógł się tak długo wahać w obliczu wyraźnie niszczycielskiej i mrocznej siły.

Bo oszalałeś, odpowiedział sobie. Gard pokiwał głową. Otóż to. Nie trzeba było dalszych wyjaśnień. Był szalony — nie tylko przez ostatni miesiąc. Zaspał, tak, okropnie zaspał, ale lepiej zbudzić się późno niż wcale.

Ten dźwięk. Chłup—chłup—chłup.

Ten zapach. Mdły, ale z wyczuwalną wonią mięsa. Zapach, który nieodparcie kojarzył mu się z surową cieleciną psującą się powolutku w mleku.

Ścisnęło go w żołądku. Z gardła wyrwało mu się piekące beknięcie. Gardener jęknął.

Wrócił do niego tamten pomysł — zarys pomysłu — którego chwycił się kurczowo. Może udałoby się albo wszystko przerwać... albo przynajmniej wstrzymać na bardzo, bardzo długo. Może.

Niech świat idzie do diabła jak chce, Gard, choćby i do północy zostały dwie minuty.

Znów pomyślał o Tedzie Energetyku, pomyślał o szalonych organizacjach militarnych handlujących ze sobą wyrefinowaną bronią i wściekła, ogarnięta obsesją część jego umysłu po raz ostatni usiłowała zakrzyczeć rozsądek nieartykułowanym wrzaskiem.

Zamknij się, rozkazał jej Gardener.

Poszedł do gościnnej sypialni i zdjął koszulę. Wyjrząwszy przez okno, zobaczył jasne punkciki wyłaniające się z lasu. Było już ciemno. Wracali. Pójdą do szopy i być może

urządzą sobie mały seans. Spotkanie myśli wokół kabin prysznicowych. Braterstwo w przytulnym zielonym blasku zgwałconych umysłów.

Bawcie się dobrze, pomyślał Gardener. Wsunął czterdziestkępiątkę pod materac i rozpiął pasek. Może to ostatni raz, więc...

Spojrzał na koszulę. Z kieszeni na piersi sterczał wygięty kawałek metalu. Kłódka, no jasne. Kłódka z drzwi szopy.

8

Przez chwilę, która prawdopodobnie trwała o wiele krócej, niż mu się wydawało, Gardener nie potrafił wykonać żadnego ruchu. Do jego zmęczonego serca zakradło się tamto nierealne przerażenie jak z bajki. Został sprowadzony do roli biernego widza, który ze zgrozą wpatruje się w światelka sunące nieubłaganie ścieżką. Zaraz wejdą do zarośniętego ogrodu. Potem przetną podwórko. Staną przed drzwiami szopy. Zauważą brak kłódki. Wejdą do domu i albo zabiją Jima Gardenera, albo rozbiją na atomy i wyślą na Altaira-4, gdziekolwiek to jest.

Pierwszy zrozumiały głos, jaki odezwał mu się w głowie, był przeraźliwym wrzaskiem paniki: Uciekaj! Spadaj stąd!

Potem przez krzyk przebił się odrobinę drżący głos rozsądku: *Pilnuj myśli. Jeżeli kiedyś ich upilnowałeś, pilnuj ich teraz.*

Stał bez koszuli, w rozpiętych, opadających dzinsach, gapiąc się na kłódkę w kieszeni koszuli.

Biegnij i załóż ją z powrotem. Już!

Nie... nie ma czasu... Chryste, nie ma czasu. Są w ogrodzie. Może zdążysz. Możesz zdążyć, jeśli przestaniesz się zabawiać małym i ruszysz dupę!

Siłą woli wyrwał się z paraliżu, chwycił kłódkę, w której wciąż tkwił klucz, i pognał, zapinając po drodze spodnie. Wyśliznął się z domu tylnymi drzwiami, przystanął na moment, widząc, jak ostatnie dwie latarki znikają w ogrodzie, a potem pobiegł do szopy.

Słyszał w głowie ich niewyraźne głosy — rozradowane, przejęte i szczęśliwe.

Wyciszył je.

Zza uchylonych drzwi szopy padał wąski pasek zielonego światła.

Chryste, Gard, jak mogłeś być taki głupi? — pieklił się jego osaczony umysł, ale Gardener dobrze wiedział jak. Łatwo zapomnieć o czymś tak przyziemnym jak zamknięcie drzwi, kiedy widziało się kilkoro ludzi wiszących na słupach, z dołączonymi do głów kablami koncentrycznymi.

Słyszał ich już w ogrodzie — słyszał szelest bezużytecznych gigantycznych łodyg kukurydzy.

Trzymając w dłoni kłódkę, przypomniał sobie, że przed włożeniem jej do kieszeni, zatrzasnął pałąk. Dłoń mu drgnęła i upuścił to cholerstwo, które łupnęło o ziemię. Zaczął szukać kłódki, ale z początku w ogóle jej nie widział.

Nie... jest, tuż za wąską plamą pulsującego światła. Owszem, kłódka była, ale już bez kluczyka. Klucz wypadł przy wstrząsie, kiedy kłódka wylądowała na ziemi.

Boże, Boże, Boże — łkał głos w jego głowie. Całe ciało miał zlane potem. Zlepione włosy zasłaniały mu oczy. Przypuszczał, że musi cuchnąć jak mała.

Usłyszał głośniejszy szelest łodyg i liści kukurydzy. Ktoś zaśmiał się cicho — dźwięk dobiegł z przerażająco niewielkiej odległości. Za kilka sekund wynurzą się z ogrodu — czuł zawrotny upływ sekund, które pędziły jak parada zarozumiałych brzuchatych biznesmenów z teczkami. Rzucił się na kolana, chwycił kłódkę i zaczął macać ziemię dookoła w poszukiwaniu klucza.

Gdzie jesteś, gnojku? Gdzie jesteś, gnojku? Gdzie jesteś, gnojku?

Zdał sobie sprawę, że mimo paniki ustawił szczelną tarczę wokół swoich myśli. Działała? Nie wiedział, ale jeżeli nie znajdzie klucza, to i tak nie będzie miało znaczenia, prawda?

Gdzie jesteś, gnojku?

Dostrzegł nikły srebrzysty błysk daleko od miejsca, w którym szukał — klucz poleciał o wiele dalej, niż Gardener sądził. Zauważył go tylko dzięki ślepemu trafowi... pewnie tak samo jak przed dwoma miesiącami Bobbi potknęła się o wystający z ziemi kawałek metalu.

Gardener chwycił kluczyk i zerwał się na nogi. Róg domu osłoni go przed ich wzrokiem tylko przez chwilę, ale ani sekundy dłużej. Jeszcze jeden spieprzony ruch — najmniejszy i będzie po nim. Może już nie mieć czasu na wszystkie drobne, prozaiczne czynności, których wymagało porządne zamknięcie drzwi na kłódkę.

Los całego świata może zależeć od tego, czy człowiekowi uda się zamknąć drzwi szopy za pierwszym razem, pomyślał w oszołomieniu. Nie ma co, współczesność stawia przed nami ogromne wymagania.

Przez chwilę zdawało mu się, że nawet nie da rady wsunąć klucza w zamek kłódky. Ściśnięty w drżącej ręce klucz tańczył wokół szpary. I kiedy już Gardener pogodził się z tym, że to koniec, klucz trafił na miejsce. Przekreślił go, otwierając kłódkę. Zamknął drzwi, założył pałąk na ucho skobla i zatrzasnął kłódkę. Potem wyciągnął kluczyk, chowając go w spoczonej dłoni. Jak wąż prześliznął się za róg szopy. Właśnie w tym samym momencie grupka ludzi, którzy udali się oglądać statek, ukazała się na podwórku — szli gęsiego.

Gardener wyciągnął rękę, by zawiesić klucz na gwoździu. Przez koszmarną sekundę zdawało mu się, że znów go upuści i będzie musiał szukać w wysokich chwastach, które rosły po tej stronie szopy. Kiedy w końcu klucz zadyndał na gwoździu, Gardener odetchnął z dreszczem ulgi.

Przemknęło mu przez myśl, aby tu zostać, zastygnąć i nie ruszać się z miejsca. Po chwili jednak uznał, że lepiej nie ryzykować. Przecież nie wiedział, czy Bobbi ma przy sobie klucz.

Przemykał dalej wzdłuż ściany szopy. Zahaczył kostką lewej nogi o starą bronę, która rdzewiała w zaroślach, i zacisnął zęby, żeby nie krzyknąć z bólu. Przekroczył ją i skręcił za drugi róg. Znalazł się za szopą.

Zza ściany dobiegał mydlany dźwięk, nieznośnie głośny.

Jestem tuż za tymi przeklętymi prysznicami, pomyślał. Pływają kilka cali ode mnie... dosłownie kilka cali.

Szelest chwastów. Cichutki brzęk metalu. Gardener miał ochotę wybuchnąć śmiechem i wrzasnąć równocześnie. A więc nie mieli klucza Bobbi. Ktoś właśnie podszedł do bocznej ściany szopy i zdjął kluczyk, który parę sekund wcześniej zawiesił tam Gardener — być może była to sama Bobbi.

Jeszcze ciepły, zauważyłaś, Bobbi?

Stał pod ścianą, rozplaszczony na szorstkim drewnie, z lekko rozstawionymi ramionami, mocno przyciskając dłonie do desek.

Zauważyłaś? I słyszysz mnie? Czy ktoś z was mnie słyszy? Czy ktoś z was — Allison, Archinbourg albo Berringer — wystawi nagle głowę i krzyknie: „A kuku, Gardener, szklanki pobite”? Czy tarcza jeszcze działa?

Stał i czekał, aż go przyłapią.

Nie przyłapali. Gdyby to był zwykły letni wieczór, nie usłyszałby metalicznego szczęku przy otwieraniu drzwi — zagłuszyłoby go cykanie świerszczy. Tego lata jednak świerszczy nie było. Usłyszał, jak otwierają kłódkę; usłyszał skrzypnięcie zawiasów, kiedy uchyliły się drzwi, a potem drugie skrzypnięcie, gdy zamknęli je za sobą. Byli już w środku.

Niemal natychmiast światło padające przez szpary pojaśniało i zaczęło pulsować szybciej, a jego myśli rozdarł rozpaczliwy wrzask:

Boli! Boooli...

Oderwał się od ściany szopy i wrócił do domu.

Bardzo długo leżał w łóżku, czekając, aż wyjdą z szopy, chcąc się przekonać, czy odkryli ślady jego obecności.

No dobrze, mogę spróbować zatrzymać „przemianę”, myślał. Ale nic z tego nie będzie, jeżeli nie wejdę do statku. Potrafię to zrobić?

Nie miał pojęcia. Bobbi nie miała chyba żadnych obaw, ale Bobbi i reszta byli już zupełnie inni. Och, on także się „przemieniał”; miał dowód w postaci utraconych zębów, a także zdolności czytania w myślach. Zmienił słowa na ekranie komputera jedynie własnymi myślami. Nie było jednak sensu się oszukiwać: był daleko w tyle za nimi. Gdyby Bobbi przeżyła wejście na pokład statku, a jej stary kumpel Gardener — nie, czy ktoś z nich, Bobbi nie wyłączając, uroniłby choć łzę? Nie przypuszczał.

Może tego właśnie chcą. Łącznie z Bobbi. Żebyś wszedł do statku i padł z mózgiem rozplatanym przez wielką harmoniczną transmisję radiową. Takie rozwiązanie oszczędziłoby Bobbi cierpienie moralnych, jakich by doznała, gdyby musiała sama się tobą zająć. Morderstwo bez stresu.

Nie miał już wątpliwości, że chcą się go pozbyć. Sądził jednak, że Bobbi — ta dawna Bobbi — pozwoli mu jeszcze zobaczyć wnętrze dziwnego obiektu, przy którego odkopywaniu tak długo razem pracowali. To przynajmniej... wydawało się właściwe. Ostatecznie i tak nie będzie to miało znaczenia. Jeśli Bobbi planowała morderstwo, nie uda mu się w żaden sposób obronić. Naprawdę musiał wejść do statku. W przeciwnym razie jego pomysł, niewątpliwie szalony, nie miał szans powodzenia.

Trzeba spróbować, Gard.

Zamierzał spróbować, gdy tylko znajdą się w środku, co stanie się zapewne jutro rano. Zastanawiał się, czy powinien jeszcze raz poigrać z losem. Gdyby miał przeprowadzić swój pierwotny plan, który ledwie trzymał się kupy, nie mógłby zrobić nic w sprawie chłopca. Najpierw należało zająć się dzieckiem.

Gard, mały już pewnie nie żyje.

Może. Ale starszek uważał inaczej; starszek uważał, że chłopca wciąż można jeszcze ocalić.

Przy tym wszystkim jeden dzieciak nic nie znaczy. Doskonale o tym wiesz — Haven przypomina wielki reaktor atomowy tuż przed wybuchem. Topią się obudowa i polityka bezpieczeństwa, by tak rzec.

Wnioskował logicznie, ale była to logika krupiera. Logika mordercy. Logika Teda Energetyka. Jeżeli wchodził do gry z takim nastawieniem, po co się w ogóle przejmować?

Liczy się dziecko albo nic.

Być może w ten sposób uda mu się nawet uratować Bobbi. Chyba jednak nie; Bobbi nie można już było ocalić. Ale mógł spróbować.

Gard, stary, bez szans.

Jasne. Na zegarze za minutę północ... zaczynamy odliczać sekundy.

Z tymi myślami pograżył się w pozbawiony widziadeł sen. Później jednak przyszły koszmary, w których pływał w zielonej przezroczystej kąpieli na uwięzi z grubych kabli koncentrycznych. Usiłował krzyczeć, ale nie mógł, bo kable wychodziły mu z ust.

5 SENSACJA

1

Leandro — uwięziony w krzykliwie urządzonym grobowcu Bounty Tavern, pijąc heinekena po dolca za butelkę i narażając się na kpiny Davida Brighta, który sięgnął do najbardziej wulgarnych pokładów swego dowcipu, porównując na koniec Johna Leandra do kumpla Supermana, Jimmy’ego Olsena przeżył chwilę wahania. Nie było sensu się oszukiwać. Rzeczywiście się wahał. Ale ludzie o szerokich horyzontach zawsze muszą znosić drwiny, a wielu za swoje wizje zostało spalonych, ukrzyżowanych albo rozciągniętych o kilka cali na kole tortur przez Inkwizycję. Gdy David Bright spytał go przy piwie, czy jego tajemniczy zegarek jest na chodzie, nie była to najgorsza rzecz, jaka mogła go spotkać.

Ale cholernie bolesna.

John Leandro postanowił, że Davidowi Brightowi i każdemu, komu Bright mówił o podejrzeniach szalonego Johnny’ego, że w Haven coś się dzieje, wkrótce odechce się śmiać. Ponieważ naprawdę coś się tam działo. Czuł to każdym nerwem. Kiedy wiał wiatr z południowego wschodu, zdawało mu się, że niemal czuje zapach tego „czegoś”.

Urlop zaczął mu się już w ubiegły piątek. Miał nadzieję, że jeszcze tego dnia uda mu się pojechać do Haven. Ale mieszkał z matką, wdową, która bardzo liczyła, że odwiezie ją do Nowej Szkocji, gdzie mieszkała jej siostra, lecz jeśli John ma jakieś ważne sprawy, to ona, oczywiście, zrozumie; w końcu jest tylko nudną staruszką, która gotuje mu obiady i pierze bieliznę, naturalnie, jedź, Johnny, jedź i znajdź tę swoją sensację, zadzwonię do Megan, może za tydzień czy dwa twój kuzyn Alfie przywiezie ją do nas, Alfie zawsze jest taki dobry dla swojej matki i tak dalej, i tak dalej, w tym samym stylu, w nieskończoność.

W piątek Leandro zawiózł matkę do Nowej Szkocji. Oczywiście zostali na noc, a gdy wrócili do Bangor, minęła sobota. Niedziela nie była dobrym dniem na rozpoczęcie czegokolwiek. Przecież o dziewiątej rano miał zajęcia w szkółce niedzielnej dla pierwszej i drugiej klasy, o dziesiątej szedł na nabożeństwo, a o piątej po południu do probostwa metodystów na spotkanie Młodzieży Chrystusowej. Na spotkaniu młodzieży prelegent opowiadał o Armageddonie, ilustrując pogadankę slajdami. Kiedy mówił, jak zatwardziały grzeszników dotknie przekleństwo czyraków, ropiejących wrzodów, dolegliwości żołądkowych i jelitowych, Georgina Leandro i inne członkinie Kobiecego Towarzystwa Pomocy roznosiły papierowe kubki z sokami Za–Rex i ciasteczka owsiane. A wieczorem w podziemiach kościoła zawsze odbywało się wspólne śpiewanie pieśni na chwałę Jezusowi.

Końcowi niedzieli zawsze towarzyszyło uczucie ekstazy religijnej. I ekstremalnego zmęczenia.

2

Tak więc dopiero w poniedziałek piętnastego sierpnia Leandro wrzucił na przednie siedzenie swojego dodge’a żółty notatnik, magnetofon Sony, aparat Nikon oraz torbę z filmami i obiektywami i wyruszył na wyprawę do Haven... z której miał nadzieję wrócić w dziennikarskiej glorii. Nie przeraziłby się nawet, gdyby wiedział, że wybiera się do punktu zero największego wydarzenia od czasów ukrzyżowania Jezusa.

Pogoda tego dnia była łagodna i bezwietrzna, niebo błękitne — było bardzo ciepło, lecz nie tak gorąco i parno jak podczas kilku ostatnich dni. Ten dzień na zawsze pozostanie w pamięci wszystkich na Ziemi. Johnny Leandro chciał znaleźć wielki temat, ale nigdy nie słyszał starego przysłowia „Bóg powiada: bierz, co chcesz... i płąć”.

Wiedział tylko, że potknął się o krawędź czegoś ukrytego pod ziemią i kiedy próbował tym poruszyć, ani drgnęło... co oznaczało, że być może jest większe, niż można by przypuszczać. Nie potrafił tak po prostu pójść swoją drogą; zamierzał to wykopać. Nie powstrzyma go żaden David Bright na świecie ze swoimi dowcipasami o zegarku Jimmy'ego Olsena i Fu Manchu.

Uruchomił silnik dodge'a i zaczął wyjeżdżać na ulicę.

— Nie zapomnij lunchu, Johnny! — zawołała jego matka. Biegła zdyszana alejką z torbą z brązowego papieru w dłoni. Na papierze pojawiły się już duże tłuste plamy; od podstawówki Leandro najbardziej lubił kanapki z kielbasą, plastrami cebuli i oliwą Wesson.

— Dzięki, mamó. — Wychylił się, by wziąć od niej torbę, którą postawił na podłodze. — Naprawdę nie musiałaś tego robić. Mógłbym zjeść gdzieś hamburgera...

— Mówiłam ci już tysiące razy — przypomniła mu — że nie powinieneś chodzić do tych przydrożnych barów, Johnny. Nigdy nie wiadomo, czy w kuchni jest czysto, czy brudno. Mikroby — dodała złowieszczo, nachylając się nad nim.

— Mamó, muszę już...

— Mikrobów w ogóle nie widać — ciągnęła pani Leandro. Nigdy nie dała sobie przerwać, dopóki nie powiedziała na dany temat tego, co chciała.

— Tak, mamó — rzekł zrezygnowany Leandro.

— Niektóre z tych barów to prawdziwy raj dla mikrobów — mówiła. — Zdarza się, że kucharze nie dbają o czystość. Zdarza się, że nawet nie myją rąk po wyjściu z toalety. Zdarza się, że mają za paznokciami brud albo nawet ekskrementy. Nie chcę się nad tym rozwodzić, ale rozumiesz, czasem matka musi nauczyć czegoś syna. Od jedzenia w takich miejscach można się bardzo poważnie rozchorować.

— Mamó...

Zaśmiała się z wyrazem udreki na twarzy i brzeżkiem fartucha musnęła kącik oka.

— Och, wiem, twoja matka jest tylko głupią staruszką, która ma dziwne staroświeckie przekonania i pewnie powinna się nauczyć trzymać gębę na kłódkę.

Leandro rozpoznał chytrą sztuczkę, ale choć wiedział, że to tylko manipulacja, jak zawsze ogarnęło go poczucie winy i wstydu, jakby znów miał osiem lat.

— Nie, mamó — powiedział. — Wcale tak nie myślę.

— Oczywiście, jesteś ważnym dziennikarzem, a ja tylko siedzę w domu, ścielę ci łóżko, piórę ubrania i wietrzę sypialnię, kiedy wypijesz za dużo piwa i puszczasz bąki.

Leandro pochylił głowę i w milczeniu czekał, aż odzyska wolność.

— Ale zrób to dla mnie. Nie wchodź do przydrożnych barów, Johnny, bo się rozchorujesz. Przez mikroby.

— Obiecuję, mamó.

Zadowolona, że wymogła na nim obietnicę, była już skłonna go puścić.

— Wrócisz na kolację?

— Tak — odrzekł Leandro, choć wiedział tyle, co ona.

— O szóstej? — upewniała się.

— Tak! Tak!

— Wiem, wiem, jestem tylko głupią sta...

— Pa, mamó! — powiedział szybko i ruszył.

Spojrzał w lusterko wsteczne i zobaczył, jak macha do niego, stojąc na końcu alejki. Też do niej pomachał, a potem opuścił rękę w nadziei, że matka wróci do domu... choć wiedział, że nie. Kiedy dwie przecznice dalej skręcił w prawo i wreszcie stracił ją z oczu, poczuł lekkość na duchu. Słusznie czy nie, zawsze ogarniało go takie uczucie, ilekroć mama zniknęła mu z oczu.

W Haven Bobbi Anderson pokazywała Jimowi Gardenerowi zmodyfikowane aparaty do oddychania. Prawdopodobnie rozpoznałby je Ev Hillman; respiratory były bardzo podobne do aparatu, jaki zdobył dla Butcha Dugana. Ale tamten miał chronić Dugana przed miejscową atmosferą; respiratory Bobbi były natomiast wyposażone właśnie w zapas powietrza z Haven — oboje byli do niego przyzwyczajeni i mieli nim oddychać, gdy wejdą na pokład statku Stukostrachów. Było w pół do dziesiątej.

Tymczasem w Derry John Leandro zatrzymał się niedaleko miejsca, w którym znaleziono wypatroszonego jelenia i radiowóz funkcjonariuszy Rhodessa i Gabbonsa. Otworzył schowek, żeby spojrzeć na smitha & wessona kalibru .38, którego kupił przed tygodniem w Bangor. Wyjął go na chwilę, uważając, żeby palec nie dotykał okolic spustu, choć wiedział, że nie jest naładowany. Podobał mu się zgrabny kształt broni, która świetnie leżała w ręce, i podobało mu się poczucie siły, jakie dawała. Trochę jednak strach go obleciał, jak gdyby skubnął kawałek czegoś o wiele za dużego dla takich jak on.

Kawałek czego?

Nie miał pewności. Jakiegoś dziwnego miecha.

„Mikroby — odezwał się w jego głowie głos matki. — Od jedzenia w takich miejscach można się bardzo poważnie rozchorować”.

Sprawdził, czy pudełko naboju tkwi bezpiecznie w schowku, po czym odłożył broń z powrotem. Przypuszczał, że przewożenie broni w schowku pojazdu silnikowego stanowi naruszenie prawa (znowu pomyślał o matce, tym razem zupełnie bezwiednie). Wyobraził sobie, jak jakiś gliniarz każe mu się zatrzymać do rutynowej kontroli, prosi o dowód rejestracyjny i dostrzega trzydziestkęósemkę, kiedy Leandro otwiera schowek. Tak zawsze zatrzymywano morderców w serii „Alfred Hitchcock przedstawia”, który w każdy sobotni wieczór oglądali z matką w kablówce. To też mogłaby być sensacja, tylko nieco inna: DZIENNIKARZ „DAILY NEWS” Z BANGOR ARESZTOWANY POD ZARZUTEM NIELEGALNEGO POSIADANIA BRONI.

No więc wyciągnij dowód rejestracyjny ze schowka i włóż do portfela, skoro się tak boisz.

Jednak nie miał ochoty tego robić. Pomysł był całkiem niegłupi, ale zdawało mu się, że w ten sposób godzi się na kłopoty... a głos rozsądku brzmiał zupełnie jak głos matki, gdy przestrzegała go przed mikrobami albo pouczała (kiedy był mały), jakie okropieństwa mogą na niego czyhać, jeżeli zapomni wyłożyć papierem toaletowym sedesu w toalecie publicznej, zanim usiądzie. Leandro jechał więc dalej, uświadamiając sobie, że odrobinę za szybko bije mu serce i poci się trochę za bardzo jak na niezbyt upalny dzień.

To coś poważnego... czasem prawie czuję zapach tego „czegoś”.

Tak. Nie było wątpliwości, że coś się tam działo. Śmierć McCausland (wybuch pieca w lipcu?, doprawdy?); zniknięcie policjantów, którzy pojechali zbadać wypadek; samobójstwo gliniarza, który rzekomo był zakochany w tej kobiecie. A przedtem zniknął mały chłopiec. David Bright mówił mu, że dziadek Davida Browna wygadywał mnóstwo bzdur o telepatii i sztuczkach, które naprawdę były magiczne.

Szkoda, że zamiast do Brighta, nie przyszedł pan do mnie, panie Hillman, pomyślał po raz pięćdziesiąty Leandro.

Tyle że teraz zniknął sam Hillman. Od dwóch tygodni nie pokazał się w wynajmowanym przez siebie pokoju. Nie zaszedł też do szpitala w Derry, żeby odwiedzić wnuka, choć pielęgniarki musiały go nieraz wyrzucać późnym wieczorem. Według policji stanowej Ev Hillman oficjalnie nie zaginął, ale było to typowe błędne koło, ponieważ w oczach prawa osoby pełnoletniej nie można uznać za zaginioną, dopóki nie zgłosi tego inna osoba pełnoletnia i nie wypełni stosownych formularzy. Zatem w oczach prawa wszystko było cacy. W oczach Johna Leandra nie. Właścicielka domu, w którym Hillman wynajmował pokój, powiedziała, że staruszek naciągnął ją na sześćdziesiąt dolców — z tego, co Leandro zdołał ustalić, był to pierwszy rachunek, jakiego staruszek w swoim życiu nie zapłacił.

Coś poważnego... dziwne mięcho.

Było więcej oznak, że z Haven emanuje jakaś zagadkowa moc. Także w lipcu przy Nista Road zginęło w pożarze małżeństwo. W tym miesiącu pewien lekarz rozbił się małym samolotem i spłonął. Wprawdzie wydarzyło się to w Newport, ale kontroler FAA na lotnisku w Bangor potwierdził, że nieszczęsny doktor przelatywał nad Haven na niebezpiecznie małej wysokości. W Haven zaczęły szwankować telefony. Czasem ludziom udawało się dodzwonić, czasem nie. Leandro wysłał prośbę o spis wyborców z Haven do urzędu podatkowego w Augustie (uiszczając za dziewięć stron wydruków komputerowych wymaganą opłatę w wysokości sześciu dolarów) i w wolnym czasie udało mu się odnaleźć krewnych sześćdziesięciorga mieszkańców Haven — mieszkających w Bangor, Derry i okolicach.

Nie znalazł nikogo — absolutnie nikogo — kto widział swoich krewnych z Haven od mniej więcej dziesiątego lipca... czyli od ponad miesiąca. Nikogo.

Oczywiście wielu osobom, z którymi rozmawiał, w ogóle nie wydawało się to dziwne. Niektórzy nie byli w dobrych stosunkach z rodziną z Haven i nic by ich nie obchodziło, gdyby krewni nie dali znać albo nie pokazali się przez następne sześć miesięcy... czy sześć lat. Inni z początku się dziwili, potem zaczęli zastanawiać, gdy Leandro zwrócił ich uwagę na okres, o którym mówili. Rzecz jasna w lecie większość ludzi ma dużo zajęć. Czas mija niepostrzeżenie szybko, zupełnie inaczej niż zimą. Owszem, raz czy dwa rozmawiali z ciotką Mary albo bratem Billem przez telefon — niekiedy nie można się było dodzwonić, ale najczęściej się udawało.

W zeznaniach były jeszcze inne podobieństwa, od których Leandra zaczął świerzbic nos, niedwuznacznie dając mu do zrozumienia, że coś tu śmierdzi:

Ricky Berringer był malarzem pokojowym z Bangor. Jego starszy brat Newt miał warsztat stolarski i tak się złożyło, że był również radnym Haven.

— Pod koniec lipca zaprosiliśmy Newta na obiad — mówił Ricky — ale powiedział, że ma grypę.

Don Blue handlował nieruchomościami w Derry. Jego ciotka Syhda, która mieszkała w Haven, prawie co niedzielę przyjeżdżała na obiad do Dona i jego żony. Ostatnio wymówiła się trzy razy z rzędu — raz grypą (grypa szaleje w Haven, pomyślał Leandro nigdzie indziej, tylko w Haven), a dwa razy upałem, z powodu którego nie miała ochoty nigdzie wyjeżdżać. Po kilku dalszych pytaniach Don uświadomił sobie, że minęło już pięć niedziel, odkąd ciotka zaszczyciła ich wizytą — a może i sześć.

Bill Spruce hodował stado krów mlecznych w Cleaves Mills. Jego brat Frank hodował krowy w Haven. Zwykle spotykali się co tydzień lub dwa, wraz ze swoimi wyjątkowo licznymi rodzinami, i spędzali razem kilka godzin — klan Spruce'ów zjadał tony potraw z grilla, popijając galonami pepsi, a Frank i Bill siedzieli przy stole na podwórku u Franka albo na werandzie u Billa, wymieniając uwagi na temat tego, co nazywali po prostu interesami. Bill przyznał, że nie widział Franka mniej więcej od miesiąca — Frank mówił mu, że najpierw miał kłopoty z przenośnikiem paszy, a potem z kontrolerami mleka. Tymczasem Bill miał własne kłopoty. Podczas ostatniej fali upałów padło mu pół tuzina sztuk rasy Holstein-friesian. Poza tym, dodał po namyśle, żona miała atak serca. Tego lata nie miał czasu widywać się z bratem... ale szczerze się zdziwił, kiedy Leandro wydobył kieszonkowy kalendarz i razem ustalali, jak długo nie widział się z Frankiem: po raz ostatni spotkali się trzydziestego lipca. Spruce gwizdnął, zsuwając czapkę na tył głowy.

— Rany, faktycznie szmat czasu — rzekł. — Póki moja Evelyn jeszcze zdrowieje, chyba przejadę się do Haven i zobaczę się z Frankiem.

Leandro milczał, ale z innych zeznań, które zebrał w ciągu kilku tygodni, wynikało, że taka wyprawa mogłaby się okazać niebezpieczna dla zdrowia Billa Spruce'a.

— Czuję się, jakbym zdychał — oświadczył mu Alvin Rutledge. Rutledge był kierowcą dalekobieżnych ciężarówek, obecnie bezrobotnym. Jego dziadkiem był Dave Rutledge, który całe życie mieszkał w Haven.

— Co dokładnie ma pan na myśli? — zapytał Leandro.

Alvin Rutledge posłał młodemu reporterowi przebiegłe spojrzenie.

— Przydałoby się jeszcze jedno piwo — powiedział. Siedzieli w Nan Tavern w Bangor. — Od gadania cholernie kurzy się w gardle, koleś.

— Racja — odrzekł Leandro i poprosił kelnerkę, żeby nalała dwa.

Rutledge pociągnął głęboki łyk, wierzchem dłoni otarł pianę z górnej wargi i rzekł:

— Serce wali. Huczy w głowie. Czuję się, jakbym miał zaraz flaki wyrzygać. I porzygałem się. Zaraz, zanim zawróciłem. Odkręciłem okno i puściłem pawia na zawietrzną.

— No, no — powiedział Leandro, ponieważ komentarz wydawał się tu na miejscu. W wyobraźni ujrzał Rutledge'a „puszczającego pawia na zawietrzną”, Szybko odsunął od siebie ten obraz. W każdym razie próbował.

— I patrz pan.

Odsunął górną wargę, ukazując resztki zębów.

— Idzi an urę odu? — zapytał Rutledge. Leandro dostrzegł z przodu niejedną dziurę, lecz uznał, że taka uwaga nie zabrzmiałaby dyplomatycznie. Przytaknął. Rutledge skinął głową i puścił wargę. Leandro poczuł ulgę.

— Zęby zawsze miałem słabe — rzekł obojętnie Rutledge. Jak znowu dostanę robotę i będzie mnie stać na sztuczną szczękę, każę wszystkie powyrywać. Chuj z nimi. Ale miałem te dwa z przodu jeszcze tydzień wcześniej, zanim pojechałem do Haven zobaczyć się z dziadkiem. Kurna, nawet się nie ruszały.

— Wypadły, kiedy zbliżał się pan do Haven?

— Nie wypadły. — Rutledge dokończył piwo. — Ja je wyrzygałem.

— Ach — rzekł słabo Leandro.

— Wiesz pan co, przydałoby się jeszcze jedno. Od gadania...

— Wysycha w gardle, wiem — powiedział Leandro, dając znak kelnerce. Wprawdzie przekroczył swój limit, ale uznał, że on też napiłby się jeszcze piwa.

4

Alvin Rutledge nie był jedyną osobą, która próbowała w lipcu odwiedzić krewnego w Haven, i nie jedyną, która poczuła się źle i musiała zawrócić. Korzystając ze spisów wyborców i książek telefonicznych okolicy, Leandro odnalazł trzy osoby, które opowiedziały mu historię podobną do tej opowiedzianej przez Rutledge'a. Czwarty przypadek odkrył dzięki czystemu zbiegowi okoliczności — prawie czystemu. Jego matka wiedziała, że jest „na tropie” jakiegoś „wielkiego tematu” i wspomniała mu mimochodem, że jej przyjaciółka Eileen Pulsifier ma przyjaciółkę, która mieszka w Haven.

Eileen była piętnaście lat starsza od matki Leandra, czyli zbliżała się do siedemdziesiątki. Przy herbatce i słodkomdłych ciasteczkach imbirowych opowiedziała Johnowi Leandrowi historię podobną do tych, które już zdążył poznać.

Przyjaciółka pani Pulsifier nazywała się Mary Jacklin (była babcią Tommy'ego Jacklina). Odwiedzały się od ponad czterdziestu lat i często brały udział w lokalnych turniejach brydżowych. Tego lata pani Pulsifier w ogóle nie widziała się z Mary. Ani razu. Rozmawiała z nią przez telefon i wyglądało na to, że wszystko z nią w porządku; jej usprawiedliwienia zawsze brzmiały wiarygodnie... mimo to coś nie grało, gdy mówiła o okropnej migrenie, o tym, że musi upiec mnóstwo ciast, że rodzina pod wpływem impulsu postanowiła pojechać do Kennebunk i zwiedzić Muzeum Tramwajów.

— Można było uwierzyć w, każdą poszczególną wymówkę, ale w gromadzie wydawały się dziwne, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. — Podsunęła mu herbatniki. — Jeszcze ciasteczko?

— Nie, dziękuję — odparł Leandro.

— Och, śmiało! Dobrze was znam, chłopcy! Mama was uczy, żebyście byli grzeczni, ale nie urodził się jeszcze taki chłopiec, który by odmówił imbirowego ciasteczka! Nie krepuj się, bierz, ile dusza zapagnie.

Uśmiechając się posłusznie, Leandro wziął herbatnika.

Sadowiąc się wygodnie i zaplatając dłonie na pokaźnym brzuchu, pani Pulsifier ciągnęła:

— Zaczęłam myśleć, że coś może być nie tak... i prawdę mówiąc, do dzisiaj tak mi się zdaje. W pierwszej chwili przyszło mi do głowy, że Mary nie chce już być moją przyjaciółką... że zrobiłam albo powiedziałam coś przykrego i poczuła się urażona. Ale nie, mówię sobie, gdybym coś zrobiła, chyba mi o tym powiedziała. Po czterdziestu latach znajomości raczej by powiedziała. Poza tym jej głos nie brzmiał całkiem spokojnie...

— Czyli brzmiał inaczej.

Eileen Pulsifier zdecydowanie pokiwała głową.

— Aha. Dlatego pomyślałam sobie, że może jest chora, może lekarz, uchowaj Boże, znalazł u niej raka albo coś takiego i Mary nie chce, żeby jej dobre przyjaciółki się dowiedziały. Dzwonię więc do Very i mówię: „Vero, jedziemy do Haven zobaczyć się z Mary. Nie będziemy jej uprzedzać, żeby nie mogła nas powstrzymać. Bądź gotowa, bo przyjadę po ciebie o dziesiątej i jeżeli nie będziesz gotowa, pojedę bez ciebie”.

— Vera to...

— Vera Anderson, mieszka w Derry. Moja najlepsza przyjaciółka na świecie, Johnny, nie licząc Mary i twojej matki. Twoja matka była wtedy przez tydzień w Monmouth w odwiedzinach u siostry.

Leandro dobrze to pamiętał; tygodnia takiej ciszy i spokoju nie można zapomnieć.

— A więc pojechały panie.

— Aha.

— I w pewnym momencie źle się pani poczuła.

— Źle? Mój Boże, zdawało mi się, że umieram. Moje serce! — Teatralnym gestem położyła dłoń nad piersią. — Waliło jak szalone! Zaczęła mnie boleć głowa i krew poleciała mi z nosa.

Vera bardzo się przestraszyła. Mówi do mnie: „Zawróć, Eileen, musisz natychmiast jechać do szpitala!”.

— Jakoś udało mi się zawrócić — już nie pamiętam, jak to zrobiłam, bo cały świat zaczął się kręcić — i wtedy krew zaczęła mi lecieć z ust i wypadły mi dwa zęby. Ot tak, wypadły! Słyszałeś coś podobnego?

— Nie — skłamał Leandro, myśląc o Alvinie Rutledge'u. Gdzie to się stało?

— No przecież mówiłam, jechałyśmy odwiedzić Mary Jacklin...

— Tak, ale czy źle się pani poczuła już w Haven? Z której strony wjechały panie do miasteczka?

— Ach, rozumiem! Nie, to nie było jeszcze w Haven. Byłyśmy na dawnej Derry Road. W Troy.

— Czyli w pobliżu Haven.

— Jakaś milę od granicy miasta. Już wcześniej zaczęło mnie troszkę mdlić, ale nie mówiłam nic Verze. Miałam nadzieję, że zaraz przejdzie.

Vera Anderson nie poczuła się źle, co zmartwiło Leandra. Coś tu nie pasowało. Verze nie wypadł żaden ząb ani z nosa nie poleciała krew.

— Nie, Vera dobrze się czuła — powiedziała pani Pulsifier.

— No, może była tylko przestraszona. Bała się o mnie... i o siebie pewnie też.

— Jak to?

— Droga była zupełnie pusta. Vera bała się, że zemdleję. I rzeczywiście o mało nie zemdlałam. Pewnie upłynęłoby piętnaście albo dwadzieścia minut, zanim ktoś by nadjechał.

— Vera nie mogła prowadzić?

— John, chłopcze drogi, Vera od lat ma dystrofię mięśniową. Nosi na nogach wielkie metalowe klamry — wyglądają jak średniowieczne narzędzie tortur. Czasem aż chce mi się płakać, kiedy ją widzę.

5

Za piętnaście dziesiąta rano piętnastego sierpnia Leandro przejechał granicę Troy. Żołądek ścisnął mu się z przejęcia i spójrzmy prawdzie w oczy — trochę też ze strachu. Czuł, że ma lodowatą skórę.

Mogę źle się poczuć. Mogę źle się poczuć i gdyby tak się stało, wycofam się, zostawiając ślady opon długości dziewięćdziesięciu stóp. Zrozumiano?

Zrozumiano, szefie — odpowiedział sobie. — *Zrozumiano, zrozumiano.*

Możesz też stracić parę zębów — ostrzegł się, ale strata paru zębów wydawała się niezbyt wygórowaną ceną za temat, który mógł mu przynieść Nagrodę Pulitzera... i, co nie mniej ważne, na pewno sprawi, że David Bright zzielenieje z zazdrości.

Przejechał centrum Troy, gdzie wszystko wyglądało zupełnie normalnie... choć może życie toczyło się trochę wolniej niż zwykle. Pierwsza niecodzienna rzecz przydarzyła się milę dalej na południe i nadeszła z najmniej spodziewanej strony. Leandro słuchał stacji WZON z Bangor. Silny zazwyczaj sygnał zaczął słabnąć i uciekać. Usłyszał jedną... nie, dwie... nie, trzy inne stacje, które nałożyły się na tę samą częstotliwość. Zmarszczył brwi. Tak się czasem zdarzało w nocy, gdy chłód rozrzedzał atmosferę i sygnał radiowy docierał dalej, ale nigdy dotąd nie słyszał, aby coś takiego działo się na falach średnich rano, nawet w czasie optymalnych warunków transmisji radiowej, którą radioamatorzy nazywają „ciszą”.

Przeszukał skalę w swoim odbiorniku samochodowym, zdumiony natłokiem różnych stacji, które rozbrzmiewały naraz w głośnikach — rock and roll, country i muzyka klasyczna zagłuszały się nawzajem. Gdzieś w tle usłyszał Paula Harveya wychwalającego produkty Amwaya. Przekręcił gałkę jeszcze bardziej i złapał tak zaskakujący i czysty głos, że musiał się zatrzymać. Siedział, gapiąc się w osłupieniu na radio.

Dobiegały z niego japońskie słowa.

Siedział, czekając na wyjaśnienie, które musiało zaraz nastąpić. „Lekcję japońskiego dla początkujących usłyszeliście dzięki miejscowemu przedstawicielowi firmy Kyanize” czy coś w tym rodzaju. Spiker umilkł. Po chwili w głośnikach rozległy się pierwsze takty „Be True to Your School” Beach Boysów. Po japońsku.

Leandro dalej przeszukiwał skalę, nieco drżącą ręką. Wszędzie było mniej więcej tak samo. Podobnie jak w nocy, głosy i muzyka najgęściej przeplatały się w górnych częstotliwościach. Wreszcie zrobiło się tak gęsto, że zaczął się bać jak gdyby natknął się na foniczną formę gniazda węży. Wyłączył radio i siedział za kierownicą z szeroko otwartymi oczami, dygocząc nieznacznie jak po zażyciu słabej amfy.

Co to?

Nie ma co spekulować, skoro odpowiedź znajdowała się nie dalej niż sześć mil przed nim... oczywiście, przy założeniu, że zdoła ją odnaleźć.

Och, chyba ją odnajdziesz. Może ci się nie spodobać, ale chyba odnajdziesz ją bez kłopotu.

Leandro rozejrzał się wokół siebie. Na polu po prawej rosła wysoka i gęsta trawa. Zbyt wysoka i gęsta jak na sierpień. Nie było sianokosów na początku lipca. Leandro nie przypuszczał też, żeby odbyły się w sierpniu. Spojrzał w lewo i zobaczył walącą się stodołę, wokół której leżały rdzewiejące części samochodowe. W paszczy zrównanego budynku

gniło truchło studebakera rocznik 1957. Okna zdawały się przyglądać badawczo Johnowi. W środku nie było ludzi — w każdym razie nikogo nie widział.

Odezwiał się w nim jakiś cichutki i grzecznutki głosik. Głos dziecka, które uznało, że podwieczorek zmienia się w coś zdecydowanie przerażającego.

Chciałbym wrócić do domu.

Tak. Do domu, do matki. Żeby zdążyć na popołudniowe seriale. Ucieszy się, kiedy Johnny wróci ze swoją sensacją, a jeszcze bardziej się ucieszy, gdy wróci bez niej. Usiądą przy kawie i ciasteczkach. Będą rozmawiać. Właściwie to przede wszystkim mama będzie mówiła, a on będzie słuchał. Tak to zawsze wyglądało i wcale nie było takie złe. Czasem go trochę irytowała, ale było z nią...

Bezpiecznie.

Tak, bezpiecznie. Otóż to. A coś działo się tego lata na południe od Troy i na pewno nie było tam bezpiecznie.

Chciałbym wrócić do domu.

Jasne. Zapewne podobnie czuli się czasem Woodward i Bernstein, gdy chłopcy Nixona zaczynali ich za mocno naciskać. Zapewne podobnie czuł się Bernard Fali, kiedy po raz ostatni wysiadł z samolotu w Sajgonie. Kiedy widzi się korespondentów telewizyjnych w tak niebezpiecznych miejscach jak Liban i Teheran, sprawiają wrażenie rzeczowych, opanowanych i spokojnych. Widzowie nigdy nie mają okazji zajrzeć im do spodni.

Tam czeka mój wielki temat i zdobędę go, a kiedy odbiorę Nagrodę Pulitzera, będę mógł powiedzieć, że zawdzięczam ją wyłącznie Davidowi Brightowi... i mojemu tajemniczemu zegarkowi Supermana.

Uruchomił dodge'a i ruszył w stronę Haven.

6

Zanim zdążył ujechać milę, zrobiło mu się niedobrze. Pomyślał, że to fizyczny objaw strachu, i uznał, że nie ma sobie czym zawracać głowy. Potem, gdy czuł się coraz gorzej, zaczął się zastanawiać (jak każdy, kto zauważy, że mdłości nie mają zamiaru go opuścić, tylko gęstnieją jak czarna chmura), co takiego mógł zjeść. Tu nie znalazł jednak żadnych dowodów winy. Kiedy wstał rano, nie czuł żadnego lęku, ale był spięty i podekscytowany; dlatego zrezygnował z jajek na bekonie i zjadł suchą grzanekę, popijając herbatą. Nic więcej.

Chciałbym wrócić do domu! Głos zabrzmiał bardziej piskliwie.

Zacisnąwszy zęby, Leandro dalej parł naprzód. W Haven czekała sensacja. Jeżeli tam nie dotrze, nie będzie sensacji. Nie zobaczysz, nie ustrzelisz. Cbdo.

Niecałą milę przed granicą miasta — wokół panowała absolutna, niesamowita cisza — z tylnego siedzenia zaczęła rozbrzmiewać seria elektronicznych bzyków i pisków, które tak go zaskoczyły, że krzyknął i znów zjechał na pobocze.

Obejrzał się i z początku nie mógł uwierzyć własnym oczom. Pomyślał, że to na pewno halucynacja wywołana coraz silniejszymi mdłościami.

Kiedy w ubiegły weekend byli z matką w Halifaksie, zabrał swojego siostrzeńca Tony'ego do Dairy Queen. Tony (Leandro uważał go za źle wychowanego smarkacza) siedział z tyłu, bawiąc się plastikową zabawką, która trochę przypominała słuchawkę telefonu Princess. Zabawka nazywała się Merlin i była zbudowana na układzie scalonym. Można było na niej grać w kilka prostych gier, które wymagały dobrej pamięci oraz zdolności rozpoznania prostego szeregu matematycznego. Leandro przypomniał sobie, że dało się też na niej zagrać w kółko i krzyżyk.

W każdym razie Tony musiał jej zapomnieć i teraz szalała na tylnym siedzeniu, błyskając chaotycznie czerwonymi lampkami (rzeczywiście chaotycznie?, może po prostu zbyt szybko, aby mógł dostrzec regularność?), wydając ciągłe serie dźwięków. Sama się włączyła.

Me... nie, musiałem wjechać w jakąś dziurę czy coś w tym rodzaju. Ot, co. Zahaczyła o coś włącznikiem i tyle.

Ale widział mały czarny włącznik na boku zabawki ustawiony w pozycji *off*. Mimo to Merlin piszczał i bzyczał. Przypominał mu jednorękiego bandytę w Las Vegas, z którego wysypuje się główna wygrana.

Plastikowa obudowa zaczęła dymić. Plastik zapadał się... topił... ciągnął jak łój. Czerwone lampki błyskały coraz szybciej.... nagle zapaliły się wszystkie naraz i aparat wydał dziwny brzęczący sygnał. Obudowa pękła, sypiąc wkoło odłamkami plastiku. Tapicerka siedzenia zaczęła się tlić.

Zapominając o żołądku, Leandro ukląkł i zrzucił zabawkę na podłogę. Materiał na siedzeniu w miejscu, gdzie leżał Merlin, był zwęglony.

Co to?

W odpowiedzi usłyszał rozpaczliwy wrzask, zupełnie bez związku:

Chciałbym już wrócić do domu!

Zdolność wyodrębnienia prostego szeregu matematycznego. Ja tak pomyślałem? Ten sam John Leandro, który oblał matematykę w szkole średniej? Serio?

Nieważne, trzeba stąd spadać!

Nie.

Znów ruszył. Przejechał niecałe dwadzieścia jardów, gdy nagle pomyślał w radosnym uniesieniu:

Zdolność wyodrębnienia prostego szeregu matematycznego wskazuje na istnienie pewnego uogólnienia, prawda? Jeśli się zastanowić, można by wyrazić to tak:

$$ax^2 + bxy + cy^2 + dx + ey + f = 0$$

Aha. Wszystko będzie się zgadzało, o ile a, b, c, d i f będą stałymi. Chyba. Tak. No jasne. Ale a, b ani c nie mogą być równe zero — wtedy wszystko o dupę potłuc! A f niech się samo martwi o siebie. Ha!

Leandro miał ochotę się porzygać, mimo to wybuchnął przeraźliwym, triumfalnym śmiechem. Poczul, że jego mózg zaczął pracować na najwyższych obrotach, niemal rozsadzając mu czaszkę. Nawet o tym nie wiedząc (prawie wszystkie lekcje matmy przespał), odkrył na nowo równanie drugiego stopnia z dwiema zmiennymi, które rzeczywiście można wykorzystać do wyodrębnienia składników prostego szeregu matematycznego. Mało nie padł z wrażenia.

Chwilę później z nosa buchnął mu zdumiewająco obfity strumień krwi.

Tak zakończyła się pierwsza próba Leandra dotarcia do Haven. Wrzucił wsteczny i zaczął się cofać, jadąc zygzakami, trzymając ramię na oparciu przedniego siedzenia i zażawionymi oczami patrząc na drogę przez tylną szybę. Krew spływała mu na rękaw koszuli.

Jechał tyłem prawie milę, po czym skręcił w jakiś podjazd. Spojrzał na siebie. Koszulę miał przesiąkniętą krwią. Ale czuł się już lepiej. Odrobinę lepiej. Mimo to nie zamierzał tu dłużej zostawać; wrócił do Troy i zaparkował pod sklepem wielobranżowym.

Wszedł do środka, spodziewając się ujrzeć gromadkę staruszków, którzy wlepią oczy w jego zakrwawioną koszulę w typowym milczącym jankeskim zdziwieniu. Ale w sklepie został tylko sprzedawca, który w ogóle nie wyglądał na zaskoczonego. Nie zdziwił go ani widok krwi, ani pytanie Leandra, czy ma jakieś koszule.

— Zdaje się, że deczko krew panu poleciała z nosa — rzekł łagodnie sklepikarz i pokazał mu kolekcję koszulek. Niezwykle dużą kolekcję jak na taki mały sklep, pomyślał Leandro. Powoli dochodził do siebie, choć wciąż bolała go głowa i czuł niepokój w żołądku. Strumień krwi z nosa okropnie go przeraził.

— Faktycznie — odrzekł Leandro. Staruszek sam przerzucał koszulki, ponieważ Leandro miał palce lepkie od zasychającej krwi. Były w rozmiarach S, M, L i XL i miały różne nadruki. Na jednej widniał napis: GDZIE DO DIABŁA JEST TROY W STANIE MAINE?

Na innych był homar i slogan: W TROY W STANIE MAINE WYRWAŁEM SWOJĄ NAJLEPSZĄ SZTUKE W ŻYCIU. Na innych była wielka meszka, która wyglądała jak potwór z kosmosu. PTAK STANU MAINE — głosił podpis.

— Spory ma pan wybór — zauważył Leandro, pokazując koszulkę GDZIE DO DIABŁA JEST... w rozmiarze M. Jego zdaniem najzabawniejsza była ta z homarem, lecz sądził, że matka wykaże znacznie mniej entuzjazmu dla podtekstu sloganu.

— Aha — rzekł sklepikarz. — Muszę mieć spory wybór. Dużo mi schodzi.

— Turyści? — Leandro wybiegał myślą naprzód, próbując sobie wyobrazić, co będzie dalej. Zdawało mu się, że trafił na trop czegoś dużego; teraz podejrzewał, że to o wiele większe, niż w ogóle mógłby przypuszczać.

— Też — powiedział sprzedawca — ale tego lata niewielu ich tędy jeździ. Sprzedaję koszulki takim gościom jak pan.

— Jak ja?

— Aha. Gościom z krwawiącymi nosami.

Leandro gapił się w milczeniu na sklepikarza.

— Krew leci im z nosa, niszczą sobie koszule — ciągnął sprzedawca. — Tak samo jak pan. Potrzebują nowej i jeżeli są miejscowi — tak jak pewnie pan — nie mają nic na zmianę. Wstępują więc do pierwszego lepszego sklepu i kupują nową. Ja im się nie dziwię. Gdyby jechać gdzieś w takiej ubabranej koszuli, można by się porzygać. Tego lata przychodziły do mnie panie — całkiem niczego i ładnie ubrane — od których cuchnęło jak od świńskiego łba.

Sklepikarz zarechotał, ukazując bezzębne usta.

— Mam więc rozumieć — powiedział wolno Leandro — że inni ludzie też wracali z Haven z zakrwawionymi nosami? Nie tylko ja?

— Tylko pan? Cholera, pewnie, że nie tylko! Niech mnie szlag jasny! Kiedy chowali Ruth McCausland, sprzedałem piętnaście koszul! Tylko tego dnia! Zastanawiałem się już, czy zamknąć interes i wyjechać za te pieniądze na Florydę.

Sklepikarz znów zarechotał.

— Byli spoza miasta — powiedział takim tonem, jakby to wszystko wyjaśniało — i w jego przekonaniu pewnie wyjaśniało. — Z niektórych jeszcze sikała krew, jak tu wchodzili. Fontanny z nosa! Czasem i z uszu! Niech mnie szlag jasny!

— I nikt o tym nie wie?

Staruszek spojrział na Leandra przenikliwymi oczami.

— Ty wiesz, chłopcze — rzekł.

— Jesteś gotowy, Gard?

Gardener siedział na werandzie, patrząc na drogę numer 9. Głos dobiegł z za jego pleców i błyskawicznie skojarzył mu się z setką kiepskich filmów o więzieniach, w których zjawia się strażnik, aby eskortować skazańca w ostatniej drodze. Oczywiście takie sceny zawsze zaczynały się od warknięcia strażnika: „Jesteś gotów, Rocky?”.

Gotowy na to? Chyba żartujesz.

Wstał, odwrócił się, zobaczył sprzęt w rękach Bobbi, a potem lekki uśmiech na jej twarzy. Nie spodobał mu się ten znaczący uśmieszek.

— Coś cię bawi? — zapytał.

— Słyszałam, Gard. Usłyszałam cię. Myślałeś o starych filmach o więzieniach — powiedziała Bobbi. — A potem pomyślałeś: „Gotowy na to? Chyba żartujesz.”. Udało mi się złapać słowo w słowo, co zdarza mi się bardzo rzadko... chyba że świadomie wysyłasz mi myśl. Dlatego się uśmiecham.

— Podglądałaś.

— Tak. I coraz łatwiej mi idzie — rzekła Bobbi, wciąż się uśmiechając.

Zza rozpadającej się tarczy w głowie Gardener pomyślał: Mam broń, Bobbi. Jest pod moim łóżkiem. Przyniosłem ją z Pierwszego Reformowanego Kościoła pod wezwaniem Stukostrachów. To było ryzykowne... ale większym ryzykiem byłoby nie wiedzieć, jak głęboko Bobbi potrafi go „podejrzeć”.

Bobbi uśmiechała się już mniej pewnie.

— Co to było? — spytała.

— Ty mi powiedz — odparł, a kiedy zmierzyła go podejrzliwym spojrzeniem, dodał lekkim tonem — Daj spokój, Bobbi, tylko się z tobą drażnię. Zastanawiam się po prostu, co tam masz.

Bobbi pokazała mu sprzęt. Były to dwa gumowe ustniki z fajek do nurkowania połączone ze zbiornikami i własnej produkcji regulatorami.

— Założymy to — powiedziała. — Kiedy wejdziemy do środka.

Do środka.

Już dźwięk tych dwóch słów ścisnął mu żołądek i rozpałał całą gamę sprzecznych emocji — trwogi, obawy, niecierpliwości, ciekawości, napięcia. Czuł się trochę jak zabobonny tubylec, który zamierza wkroczyć na zakazaną ziemię, a trochę jak dziecko w wigilię Bożego Narodzenia.

— A więc jest tam inne powietrze — powiedział Gardener.

— Wcale nie tak bardzo różne od naszego. — Bobbi nałożyła dziś makijaż dość niedbale, uznając zapewne, że nie ma już potrzeby ukrywać przed Gardenerem coraz szybciej postępujących zmian fizycznych. Gard stwierdził, że gdy Bobbi mówi, widzi jej poruszający się język... który już nie wyglądał jak język. Źrenice oczu Bobbi wydawały się większe, ale trochę nierówne i drgające, jak gdyby spoglądały na niego spod wody. Spod wody z lekkim zielonkawym odcieniem. Wywróciło mu żołądek na lewą stronę.

— Wcale nie tak różne od naszego — powiedziała. — Po prostu... zgniłe.

— Zgniłe?

— Statek jest zamknięty od ponad dwudziestu pięciu tysięcy wieków — wyjaśniła cierpliwie Bobbi. — Absolutnie szczelnie zamknięty. Zepsute powietrze zabiłoby nas zaraz po otwarciu włazu. Założymy więc to.

— Co w tym jest?

— Tylko pocziwe powietrze z Haven. Zbiorniki są małe — wystarczą na czterdzieści, może pięćdziesiąt minut. Przypniesz to do paska w ten sposób. Widzisz?

— Tak.

Bobbi podała mu jeden aparat. Gard przypiął zbiornik do paska. Musiał w tym celu unieść koszulkę i ucieszył się w duchu, że postanowił na razie zostawić czterdziestkępiątkę pod łóżkiem.

— Przejdź na powietrze z puszki, zanim otworzę właz — powiedziała Bobbi. — Zapomniałabym. Masz. Na wypadek gdybyś ty zapomniał. — Podała Gardenerowi parę zatyczek do nosa. Gard wepchnął je do kieszeni dzinsów.

— Dobra! — ożywiła się Bobbi. — No więc, jesteś gotowy?

— Naprawdę tam wejdziemy?

— Naprawdę — odrzekła niemal czule Bobbi.

Gardener roześmiał się niepewnie. Miał zimne dłonie i stopy.

— Jestem kurewsko przejęty — oświadczył.

Bobbi uśmiechnęła się w odpowiedzi.

— Ja też.

— I trochę się boję.

Tym samym czułym tonem Bobbi powiedziała.

— Nie ma czego, Gard. Wszystko będzie dobrze.

W jej głosie zabrzmiało coś takiego, że Gardener przestraszył się jak nigdy w życiu.

2

Pojechali tomcatem; sunął bezgłośnie przez martwy las, którego ciszę zakłócało jedynie ciche buczenie baterii. Nie odzywali się przez całą drogę.

Bobbi zaparkowała traktor przy wiacie i przez chwilę stali, spoglądając na srebrzysty dysk wystający z wykopu. W słońcu poranka wyglądał jak gigantyczny trójkąt czystego światła.

Do środka, pomyślał znów Gardener.

— Jesteś gotowy? — spytała znowu Bobbi. No, Rocky — to po prostu krótki wstrząs, nawet nie poczujesz.

— Tak, możemy iść — odrzekł Gardener. Miał odrobinę schrypnięty głos.

Bobbi przyglądała mu się zagadkowo nowymi oczami zmiennymi, rozszerzającymi się źrenicami. Gardenerowi zdawało się, że czuje w głowie dotyk jej umysłu, który próbuje otworzyć i odczytać jego myśli.

— Wiesz, że możesz zginąć, kiedy tam wejdiesz — powiedziała w końcu. — Nie mówię o powietrzu — z tym sobie poradziliśmy. — Uśmiechnęła się. — To zabawne. Gdyby ktoś z zewnątrz przez pięć minut oddychał przez ten ustnik, straciłby przytomność. A po półgodzinie byłoby po nim. A my dzięki temu przeżyjemy. Ciebie to nie śmiesz, Gard?

— Owszem — odrzekł, patrząc na statek i myśląc o tym, o czym zawsze myślał: Skąd się wzięłeś? Jak długo musiałeś dryfować w głębokiej nocy, zanim się tu znalazłeś? — Śmiesz.

— Chyba nic ci nie będzie, ale wiesz... — Bobbi wzruszyła ramionami. — Twoja głowa... ta stalowa płytką wchodzi w jakąś reakcję z...

— Znam ryzyko.

— Skoro tak.

Bobbi ruszyła w stronę wykopu. Gardener został, przyglądając się jej przez chwilę.

Wiem, jakie ryzyko grozi mi ze strony płytki. Ale niewiele wiem, jakie ryzyko grozi mi z twojej strony, Bobbi. Kiedy nałożę maskę, wciągnę do płuc powietrze z Haven czy coś w rodzaju Raida w aerozolu?

Zresztą to i tak nie ma znaczenia, prawda? Kości zostały rzucone. I nic nie powstrzyma go przed wejściem do wnętrza statku — ani David Brown, ani cały świat.

Bobbi doszła do krawędzi wykopu. Odwróciła się i spojrzała za siebie, ukazując umalowaną jak maska twarz w promieniach słońca padających między starymi sosnami i świerkami, które otaczały to miejsce.

— Idziesz?

— Tak — odrzekł Gardener i podszedł do statku.

3

Zjazd na dół okazał się nieoczekiwanie skomplikowanym zadaniem. Jak na ironię, wyjazd z dna wykopu był o wiele łatwiejszy. Przycisk na dole był tuż pod ręką, jak klawisz w przenośnym telefonie. Na górze konwencjonalny włącznik elektryczny został zamontowany na jednym ze słupków podtrzymujących wiatę. Pięćdziesiąt stóp od krawędzi wykopu. Po raz pierwszy Gardener zrozumiał, jak to się działo, że producenci samochodów dopiero po pewnym czasie dostrzegali usterki; dotąd ani on, ani Bobbi nie przejmowali się faktem, że nie mają ramion długości pięćdziesięciu stóp.

Liny z pętlą na końcu używali już od dawna i nauczyli się traktować ją jak zwykłe narzędzie. Stojąc na krawędzi wykopu, zorientowali się, że nigdy nie zjeżdżali na dół razem. Zdali sobie również sprawę, choć żadne z nich o tym nie mówiło, że mogli zjeżdżać tylko pojedynczo; wszystko działało świetnie, kiedy ktoś stał przy guzikach na dole. Żadne z nich o tym nie wspomniało, bo bez słów zrozumieli, że teraz, jeden jedyny raz, muszą zjechać razem, stopa w stopę w jednym strzemieniu, obejmując się ramionami jak para kochanków. To było głupie, po prostu głupie i dlatego nie mogli postąpić inaczej.

Spojrzelі na siebie, nie odzywając się ani słowem — lecz w powietrzu przecięły się ich myśli.

(oto dwoje absolwentów college'u)

(Bobbi gdzie mój klucz francuski dla leworęcznych)

Dziwne nowe usta Bobbi zadrgały. Odwróciła się i parsknęła. Gardowi przez moment zrobiło się ciepło koło serca, jak kiedyś. Po raz ostatni zobaczył Dawną Nieulepszoną Bobki Anderson.

— Mogłabyś złożyć jakiś przenośny aparat do opuszczania pętli?

— Mogłabym, ale szkoda czasu. Mam inny pomysł. — Jej wzrok spoczął na twarzy Gardenera. Było to zamyślane i taksujące spojrzenie, które nie bardzo umiał zinterpretować. Potem Bobbi weszła pod wiatę.

Gardener ruszył za nią, lecz przystanął w połowie drogi, widząc, jak Bobbi otwiera dużą zieloną, metalową skrzynię przymocowaną do słupka. Przerzucała narzędzia i różne śmieci w środku, a po chwili wydobyła radio tranzystorowe. Było mniejsze niż odbiorniki, które Gard razem ze swoimi pomocnikami zamieniał w Nowe Ulepszone Ładunki Wybuchowe, podczas gdy Bobbi wracała do zdrowia. Gardener nigdy wcześniej nie widział tego radia. Było bardzo małe.

Któreś z nich przyniosło je wczoraj wieczorem, pomyślał.

Bobbi wyciągnęła krótką antenę, wsunęła wtyczkę do gniazdka w plastikowej obudowie i słuchawkę do ucha. Gardowi natychmiast przypomniał się Freeman Moss, który prowadził elementy pomp jak treser słoni oprowadzający grupkę kolosów po arenie.

— To nie potrwa długo. — Bobbi skierowała antenę w stronę farmy. Gardenerowi wydało się, że słyszy niskie, donośne buczenie, które dochodziło jakby z środka powietrza. Przez moment usłyszał w głowie muzykę i poczuł ból pośrodku czoła, jak gdyby za szybko wypił zbyt dużą porcję zimnej wody.

— I co teraz?

— Zaczekamy — powiedziała Bobbi i powtórzyła: — To nie potrwa długo.

Znów posłała mu badawcze spojrzenie, lecz tym razem Gardener chyba odgadł jego znaczenie. *Chce, żebym coś zobaczył. I nadarza się okazja, żeby mi to pokazać.*

Usiadł w pobliżu wykopu i w kieszeni koszuli znalazł bardzo starą paczkę, w której zostały dwa papierosy. Jeden był złamany, drugi wygięty, ale cały. Gardener zapalił i zaciągnął się w zamyśleniu, nie martwiąc się zbytnio z powodu zwłoki. Dzięki temu mógł jeszcze raz przeanalizować swoje plany. Oczywiście, gdyby przekroczywszy okrągły właz, od razu padł trupem, jego plany zostałyby pokrzyżowane.

— O, jest! — powiedziała Bobbi, wstając.

Gard też się podniósł. Rozejrzał się, ale na razie nic nie dostrzegł.

— Tam, Gard. Na ścieżce. — Bobbi mówiła z dumą dziecka chwalącego się swoją pierwszą drewnianą wyścigówką.

Wreszcie Gardener zobaczył i wybuchnął śmiechem. Naprawdę nie chciał się roześmiać, nie potrafił się jednak powstrzymać. Cały czas sądził, że zaczął się przyzwyczajać do nowego wspaniałego świata kleconych naprędce wytworów supernauki w Haven, ale zdarzało się, że na widok kolejnego wynalazku znów staczał się w głąb króliczej nory. Jak teraz.

Bobbi uśmiechała się, ale nieznacznie, jak gdyby nie przejmowała się śmiechem Gardenera.

— Fakt, że wygląda trochę dziwnie, ale robi, co trzeba. Możesz mi wierzyć.

To był electrolux, który Gard widział w szopie. Nie jechał po ziemi, ale unosił się tuż nad nią, obracając w powietrzu białymi kółeczkami. Z boku przesuwiał się jego cień przypominający jamnika na smyczy. Z tyłu, gdzie w normalnym świetle powinno się dołączać rurę, wystawały dwa druciki w kształcie litery V. Antena, pomyślał Gardener.

Odkurzacz wylądował, jeśli lądowaniem można nazwać opuszczenie się na ziemię z wysokości trzech cali, i potoczył się po ubitej ziemi w stronę wiaty, pozostawiając za sobą wąskie ślady. Zatrzymał się pod dwoma przyciskami sterującymi liną podnośnika.

— Patrz — powiedziała Bobbi tym samym tonem dziecięcej dumy.

Rozległo się ciche pstryknięcie. Buczenie. Z boku odkurzacza wysunął się cienki czarny sznur jak z wiklinowego kosza hinduskiego fakira. Tylko że to nie był sznur, jak zauważył Gardener; to był kabel koncentryczny.

Unosił się w powietrzu... unosił... unosił... dotknął bocznej ścianki płytki z włącznikiem i prześliznął się naprzód. Gardener poczuł dreszcz odrazy. Jak gdyby patrzył na coś w rodzaju nietoperza — ślepe stworzenie, które kieruje się jakimś radarem. Ślepe stworzenie, które potrafi... szukać.

Końcówka kabla odnalazła przyciski — czarny włącznik i czerwony wyłącznik silnika wciągającego i wyciągającego linę. Końcówka kabla dotknęła czarnego guzika i nagle zeszywniała. Czarny guzik gładko wszedł w płytkę. Odezwał się silnik za wiatą i pętla zaczęła się opuszczać w głąb wykopu.

Kabel zmiękł. Przesunął się do czerwonego wyłącznika, zeszywniał i wdusił go. Kiedy wyłączył się silnik — Gardener zobaczył, że pętla na linie obija się o ścianę wykopu na głębokości mniej więcej dwunastu stóp — kabel znów wspiął się do czarnego przycisku. Silnik znów zawarczał i wciągnął linę z powrotem. Kiedy pętla wynurzyła się z wykopu, silnik wyłączył się automatycznie.

Bobbi odwróciła się do Gardenera. Uśmiechała się, ale wzrok miała czujny.

— Proszę — powiedziała. — Działa jak trzeba.

— Niewiarygodne — rzekł Gardener. Gdy kabel przełączał guziki, Gard spoglądał to na Bobbi, to na odkurzacz. Bobbi nie poruszała radiem, tak jak to robił Freeman Moss swoim walkie-talkie, lecz Gard widział wyraz skupienia na jej twarzy i dostrzegł, że nieznacznie spuściła oczy, zanim kabel koncentryczny ześliznął się z czarnego przycisku na czerwony.

Wygląda jak mechaniczny jamnik prosto z zabójczych obrazów science fiction Kelly'ego Freasa. Tak wygląda, ale to nie robot, w każdym razie niezupełnie. Nie ma mózgu. To Bobbi jest jego mózgiem... i chce, żebym o tym wiedział.

W szopie pod ścianą stało mnóstwo podobnie przerobionych urządzeń. Jego myśl wracała uparcie do pralki z łukowatą anteną.

Szopa. Nasuwało się sporo ciekawych pytań. Gard otworzył usta, żeby je zadać... i natychmiast zamknął, starając się równocześnie jak najszczelniej osłonić swoje myśli. Czuł się jak ktoś, kto zagapiwszy się na piękny zachód słońca, omal nie wpadł w głęboką otchłań.

W domu nie ma nikogo — tak mi się przynajmniej wydaje a na drzwiach szopy wisi kłódka. Jakim więc cudem Fido Odkurzacz wy dostał się stamtąd?

Naprawdę miał to pytanie na końcu języka, kiedy zorientował się, że Bobbi nie wspomniała, skąd wziął się odkurzacz. Gard poczuł nagle kwaśną woń własnego potu.

Spojrzał na Bobbi i zauważył, że przygląda mu się z tym irytującym uśmiechem, który oznaczał, że wie, iż Gardener rozmyśla... ale nie wie o czym.

— Skąd właściwie wziął się ten odkurzacz? — spytał Gardener.

— Och... był gdzieś niedaleko. — Bobbi wykonała nieokreślony ruch ręką. — Ważne, że działa. Koniec niespodziewanego przestoju. To co, zjeżdżamy?

— Zjeżdżamy. Mam tylko nadzieję, że odkurzaczowi nie wyczerpią się baterie, kiedy będziemy na dole.

— Ja jestem jego baterią — odrzekła. — Dopóki mnie nic się nie stanie, wyjedziesz z powrotem, Gard. W porządku?

To twoja polisa ubezpieczeniowa. Tak, chyba rozumiem.

— W porządku — powiedział.

Podeszli do wykopu. Bobbi zjechała pierwsza, podczas gdy kabel odkurzacza obsługiwał przyciski. Gdy pętla wróciła na górę, Gardener wsunął w nią stopę i złapał się liny, która ponownie ruszyła w dół.

Spojrzał ostatni raz na poobijany odkurzacz, zastanawiając się znowu: Jak się, do cholery, stamtąd wy dostał?

Po chwili znalazł się w półmroku i owionął go mineralny zapach wilgotnych skał. Z lewej wznosiła się coraz wyżej i wyżej gładka powierzchnia statku, niczym ściana pozbawionego okien drapacza chmur.

4

Gard wysunął stopę z pętli. Stali z Bobbi ramię w ramię przed kolistym rowkiem wjazdu, który miał kształt dużego iluminatora. Gardener nie potrafił oderwać oczu od wrytego w nim symbolu. Przypomniało mu się coś z wczesnego dzieciństwa. Na przedmieściach Portlandu, gdzie się wychowywał, wybuchła kiedyś epidemia dyfterytu. Zmarło dwoje dzieci i miejscowy urząd zdrowia zarządził kwarantannę. Pamiętał, jak szedł do biblioteki, bezpiecznie trzymając się dłoni matki, i mijał domy, na których drzwiach przypięto kartki z takim samym słowem wypisanym grubymi czarnymi literami. Spytał matkę, co to znaczy, i powiedziała mu, że to oznacza chorobę w domu. Wy tłumaczyła mu, że to dobre słowo, bo ostrzega ludzi przed wchodzeniem. Gdyby weszli, mówiła, mogliby też zachorować, a potem zarazić innych.

— Jesteś gotowy? — spytała Bobbi, wrywając go z zamyślenia.

— Co to znaczy? — Wskazał symbol na włączniku.

— Burma-Shave — odparła Bobbi bez uśmiechu. — No, jesteś gotowy?

— Nie... ale chyba już nie będę bliższy tego stanu.

Spojrzał na pojemnik przypięty do paska i znów pomyślał, czy to jest jakaś trucizna, która rozerwie mu płuca przy pierwszym wdechu. Sądził, że jednak nie. To miała być jego nagroda. Odwiedzi Wielką Świątynię, a potem raz na zawsze zostanie usunięty z równania.

— Dobra — powiedziała Bobbi. — Otwieram...

— Chcesz go otworzyć myślą — rzekł Gardener, spoglądając na słuchawkę w jej uchu.

— Tak — odparła zniecierpliwiona Bobbi, jak gdyby chciała powiedzieć: „A jak to sobie wyobrażałeś?”. — Otworzy się od środka, jak przesłona obiektywu. Potem buchnie zepsute powietrze... mam na myśli naprawdę zepsute powietrze. Jak twoje ręce?

— O co pytasz?

— Masz jakieś zadrapania?

— Na wszystkich porobiły się już strupy. — Wyciągnął ręce jak mały chłopiec poddający się skrupulatnym oględzinom matki przed obiadem.

— Dobra. — Z tylnej kieszeni spodni Bobbi wyciągnęła bawełniane rękawice robocze i włożyła. Widząc pytające spojrzenie Garda, wyjaśniła: — Mam zadartą skórę przy dwóch paznokciach. Może to za mało — a może nie. Gard, kiedy zobaczysz, że właz zaczyna się otwierać, zamknij oczy. Oddychaj powietrzem ze zbiornika. Jeżeli wciągniesz haust tego, co wyjdzie ze statku, zabije cię jak koktajl z dran-o.

— Przekonałaś mnie — powiedział Gardener. Wsunął do ust gumową końcówkę i zatkał nos zatyczkami. Bobbi zrobiła to samo. Gardener słyszał i czuł puls w skroniach, jak gdyby ktoś wystukiwał szybki rytm na wytłumionym bębenku.

To już... nareszcie.

— Dobra, gotowy? — spytała ostatni raz Bobbi. Ustnik zniekształcał jej słowa i mówiła trochę jak Elmer Fudd: *Dobła, go-o-ty?*

Gardener skinął głową.

— Pamiętasz? — *A-ę-asz?*

Gardener ponownie skinął głową.

Na litość boską, Bobbi, chodźmy już!

Bobbi skinęła głową.

Dobra. Przygotuj się.

Zanim zdążył ją zapytać na co, nagle symbol pękł i rozszedł się szerokimi łukami. Gardener z głębokim, przenikającym do szpiku kości przejęciem zdał sobie sprawę, że właz się otwiera. Rozległ się przeraźliwy pisk, jak gdyby poruszyło się coś zardzewiałego, czego nie ruszano od bardzo dawna... i co nie bardzo miało ochotę się ruszać.

Zobaczył, że Bobbi odkręca zawór w przypiętym do paska pojemniku. Zrobił to samo, a potem zamknął oczy. Chwilę później poczuł na twarzy podmuch wiatru, który odgarnął mu włosy z czoła. Gardener pomyślał: Śmierć. To śmierć. Przemknęła obok mnie, wypełniając wykop jak chlor. W tym momencie giną wszystkie mikroby na moim ciele.

Serce waliło mu o wiele za szybko. Gardener zaczął się zastanawiać, czy strumień gazu (jak podmuch gazu z trumny podsunęła mu pobudzona wyobraźnia) jednak go nie zabije, gdy zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech.

Zrobił wdech przez ustnik rurki. Odczekał chwilę, chcąc sprawdzić, czy to go zabije. Nie zabiło. Powietrze miało suchy, stęchły posmak, ale dało się nim oddychać.

Czterdzieści, może pięćdziesiąt minut.

Zwolnij trochę, Gard. Spokojnie. Bez zadyszki.

Zwolnił.

W każdym razie próbował.

Po chwili głośny pisk umilkł. Podmuchał powietrze zelżał, a potem zupełnie ustał. Gardener spędził całą wieczność w ciemności, zwrócony twarzą do otwartego włazu, z zamkniętymi oczami. Jedyńm dźwiękiem, jaki słyszał, był stłumiony łomot serca i szum powietrza

wyływającego przez zawór regulatora. W ustach czuł smak gumy i mocno zaciskał zęby na gumowych końcówkach ustnika. Zmusił się do uspokojenia oddechu i rozluźnienia.

W końcu wieczność dobiegła końca. Usłyszał w głowie wyraźną myśl Bobbi:

Dobra... chyba już powinno być w porządku... możesz otworzyć oczęta, Gard.

Niczym dziecko, dla którego przygotowano niespodziankę, Jim Gardener zrobił, co mu kazała.

5

Zobaczył korytarz.

Był idealnie kolisty, z wyjątkiem płaskiego występu chodnika w połowie wysokości jednej ściany. Położenie przejścia wydawało się zupełnie nieprawidłowe. Przez chwilę wyobraził sobie Stukostrachy jako potworne inteligentne muchy pełzające tym chodnikiem na lepkich nogach. Zaraz jednak odzyskał zdolność logicznego rozumowania. Przejście jest przechylone i wszystko jest przechylone, bo cały statek spoczywa pod kątem.

Z gładkich zaokrąglonych ścian emanowało przyćmione światło.

Tu baterie się nie wyczerpały, pomyślał Gardener. Muszą mieć cholernie przedłużoną trwałość. Zaglądał do korytarza za włazem w głębokim i absolutnym zdumieniu. To żyje. Nawet po tylu latach. Wciąż żyje.

Wchodzę, Gard. Idziesz ze mną?

Spróbuję, Bobbi.

Wkroczyła do środka, schylając głowę, żeby nie uderzyć w łukowatą krawędź włazu. Gardener zawahał się przez chwilę, gryząc gumową końcówkę maski, wreszcie podążył za nią.

6

Nastąpił moment niewypowiedzianego cierpienia — Gard nie usłyszał, ale raczej poczuł, jak głowę wypełnia mu transmisja radiowa. I to niejedna stacja; w jego mózgu jakby rozwrzeszczały się równocześnie wszystkie programy świata.

Potem głosy ucichły. Pomyślał o chwili, kiedy wjeżdża się do tunelu i sygnał radiowy nagle słabnie. Kiedy wszedł do statku, wszystkie transmisje z zewnątrz natychmiast uległy przerwaniu. Zaraz się zorientował, że nie tylko transmisje z zewnątrz. Bobbi patrzyła na niego, wyraźnie wysyłając mu myśl: *Wszystko w porządku?*, ale Gardener mógł się tego tylko domyślać. Bo przestał słyszeć Bobbi w głowie.

Zaciekawiony wysłał w odpowiedzi: *Wszystko gra, idź!*

Bobbi nadal spoglądała na niego pytająco — w komunikacji myślowej była o wiele lepsza od Gardenera, ale też nie mogła niczego odbierać. Gard dał jej znak, żeby szła dalej. Po chwili skinęła głową i ruszyła w głąb korytarza.

7

Przeszli dwadzieścia kroków. Bobbi poruszała się po korytarzu bez wahania, nie zawahała się też, kiedy dotarli do okrągłego luku wewnętrznego wbudowanego w płaski chodnik. Luk o średnicy około trzech stóp był otwarty. Nie oglądając się na Gardenera, Bobbi przeszła na drugą stronę.

Gardener przystanął, spoglądając za siebie na słabo oświetlony korytarz. Na końcu widać było właz, za którym majaczył półmrok wykopu. Gard ruszył naprzód.

W nowym korytarzu znajdowała się przyśrubowana drabina, średnica korytarza była tak niewielka, że można by go nazwać tunelem. Gard i Bobbi nie potrzebowali drabiny; przechyl

statku sprawił, że tunel znalazł się niemal w poziomym położeniu. Zaczęli iść na czworakach, od czasu do czasu trącając drabinę plecami.

Widok drabiny zaniepokoił Gardenera. Po pierwsze, rozstaw szczebli miał prawie cztery stopy. Człowiek — nawet niezwykle długonogi — z trudem by się po niej wspinał. Drugi szczegół wyglądał groźniej: pośrodku każdego szczebla widniało wyraźne półkoliste zagłębienie.

A więc Stukostrachy mają płaskostopie, pomyślał, słuchając swojego świszczącego oddechu. Nieźle, Gard.

Lecz w wyobraźni zamiast płaskich stóp ujrzał wylaniający się powoli, lecz nieodparcie obraz istoty wspinającej się po tej drabinie, istoty, której obie stopy są zakończone pojedynczym grubym pazurem dokładnie pasującym do zagłębień w szczeblach...

Nagle poczuł, jak mdło oświetlone zaokrąglone ściany napierają na niego, i musiał stawić czoło okropnemu atakowi klaustrofobii. Był pewien, że Stukostrachy tu są, wciąż żywe. Lada chwila może poczuć grubą nieludzką dłoń chwytającą go za kostkę...

Kropla piekącego potu wpadła mu do oka.

Gwałtownie obrócił głowę, oglądając się przez ramię.

Nic tu nie ma. Nic. Weź się w garść, Gard!

Jednak tu były. Być może martwe — ale mimo to w pewnym sensie nadal żywe. Przede wszystkim w Bobbi. Ale...

Ale musisz zobaczyć, Gard! Idź!

Znów zaczął pełznąć. Zobaczył, że zostawia na metalu wilgotne odciski dłoni. Odciski ludzkich dłoni wewnątrz czegoś, co przybyło Bóg wie skąd.

Bobbi dotarła na brzuchu do wylotu korytarza, skrzyła i zniknęła mu z oczu. Gard podążył za nią, zatrzymując się u wylotu, żeby wyjrzeć. Zobaczył dużą otwartą przestrzeń w kształcie sześciokąta, przypominającą komórkę w ulu. W wyniku zderzenia pomieszczenie również było przechylone jak w becze śmiechu w wesołym miasteczku. Ściany lśniły przyćmionym, bezbarwnym blaskiem. Z uszczelki na podłodze biegł gruby kabel, rozdzielając się na pół tuzina cieńszych przewodów, które były zakończone aparatami przypominającymi wybrzuszone pośrodku słuchawki.

Bobbi nie patrzyła na urządzenie. Patrzyła w róg. Gardener podążył za jej spojrzeniem i poczuł, jak żołądek robi mu się bardzo ciężki. Zakręciło mu się w głowie, a serce na moment zamarło.

Kiedy statek zderzył się z ziemią, siedzieli zgromadzeni wokół telepatycznego steru czy jakiegoś innego urządzenia. Być może do końca próbowali wyprowadzić pojazd z lotu nurkowego, ale im się nie udało. I zostali tu, przynajmniej dwóch czy trzech, wciśnięci w kąt. Trudno było powiedzieć, jak wyglądają — tworzyli jedną masę. W chwili uderzenia rzuciło ich w ten koniec pomieszczenia. I nadal tu leżeli.

Międzygwiazdny wypadek samochodowy, pomyślał słabo Gardener. To wszystko, Alfie?

Bobbi nie podchodziła do sterty brązowych skorup w położonym najniżej kącie dziwnego pustego pomieszczenia. Patrzyła tylko, zaciskając i rozwierając dłonie. Gardener usiłował odgadnąć, o czym myśli i co czuje, lecz nie potrafił. Obrócił się i ostrożnie opuścił się z tunelu do sześciokątnego pomieszczenia. Podszedł do Bobbi, krocząc ostrożnie po nachylonej ukośnie podłodze. Bobbi popatrzyła na niego swymi dziwnymi nowymi oczami (ciekawe, jak teraz wyglądam w tych nowych oczach?, pomyślał Gard), po czym ponownie spjrzała na splątane szczątki. Dalej zamykała i otwierała dłonie.

Gardener ruszył w stronę kąta. Bobbi chwyciła go za ramię, ale bezwiednie strząsnął jej rękę. Musiał na nich popatrzeć. Czuł się jak dziecko, które przyciąga widok otwartego grobu i musi podejść, mimo lęku. Musiał zobaczyć.

Gardener, wychowany w południowym Maine, przechodził właśnie przez pomieszczenie, które, jak sądził — mimo surowości wystroju — było sterownią pojazdu międzygwiazdowego.

Podłoga wyglądała na gładką jak szkło, mimo to podeszwy jego butów bez trudu znajdowały oparcie. Nie słyszał żadnego dźwięku poza własnym głośnym oddechem, czuł tylko zapach zakurzonego powietrza z Haven. Pokonał pochyłą podłogę i spojrzał na ciała.

Oto Stukostrachy, pomyślał. Bobbi i reszta nie będą wyglądać dokładnie tak samo, kiedy zakończy się ich „przemiana”, może z powodu środowiska, a może dlatego, że pierwotne cechy fizjologiczne — jak to sformułować? grupy docelowej? — za każdym razem przybierają odrobinę inną formę. Mimo to istnieje między nimi uderzające podobieństwo. Może to nie są oryginały... ale i tak są bardzo do nich zbliżone. Paskudztwa.

Ogarnęła go trwoga... przerażenie... i przesywająca do szpiku kości odraza.

W nocy, gdy cały dom już śpi — zanucił mu w głowie niepewny głos — *Stukostrachy, Stukostrachy stukają do drzwi.*

Z początku zdawało mu się, że jest ich pięć, lecz naprawdę były tylko cztery — jeden był w dwóch kawałkach. Żaden nie wyglądał — wyglądała — wyglądało — jakby zmarł lekką i spokojną śmiercią. Miały paskudne twarze z długimi pyskami. Ich oczy zasnuwała biała błona przypominająca kataraktę. Wargi były rozchylone w identycznym wściekłym grymasie.

Ich skórę pokrywała łuska, ale przezroczysta — Gardener widział zastygłe sploty mięśni wokół szczęk, skroni i szyi.

Nie miały zębów.

8

Bobbi stanęła obok niego. Gard zauważył, że na jej twarzy również maluje się trwoga — ale nie odraza.

To są przecież jej bogowie, a bogowie rzadko budzą odrazę w swoich wyznawcach albo wcale, pomyślał Gardener. To są teraz jej bogowie i nic dziwnego. W końcu dzięki nim jest, jaka jest.

Wolno wskazywał każdego po kolei, gestem instruktora tłumaczącego coś nowemu adeptowi. Wszyscy byli nadzy i wyraźnie było widać ich rany. Tak, to były ofiary międzygwiazdowego wypadku samochodowego. Gardener jednak nie sądził, by doszło do jakiejś awarii mechanicznej. Pokryte dziwaczną łuską ciała były poharatane i poznaczone strzępiastymi ranami. Jedna z sześciopalczystych dłoni wciąż zaciskała się na rękojeści narzędzia przypominającego nóż z zaokrąglonym ostrzem.

Spójrz na nich, Bobbi, pomyślał, choć wiedział, że Bobbi nie potrafi tego odczytać, nawet gdyby otworzył przed nią głowę na oścież. Wskazał na wyszczerzone usta wpijające się w gardło innego stwora; potem na głęboką ranę ziejącą w szerokiej piersi; następnie na nóż w zaciśniętej ręce.

Spójrz na nich, Bobbi. Nie trzeba być Sherlockiem Holmesem, aby stwierdzić, że doszło tu do bójki. W sterowni odbyło się stare dobre mordobicie do krwi ostatniej. Twoi bogowie mieli gdzieś rozwiązanie w stylu „zastanówmy się razem, co zrobić”. Tłukli się na całego. Być może zaczęło się od kłótni o to, czy należy tu lądować, a może o to, czy nie trzeba było odbić w lewo w okolicach Alfji Centauri. W każdym razie skutek jest ten sam. Pamiętasz, zawsze zakładaliśmy, że istoty, które kiedykolwiek nawiążą z nami kontakt, będą bardzo zaawansowane w rozwoju technicznym. Sądziliśmy, że będą zaradne jak Pan Czarodziej z telewizji i mądre jak Robert Young w serialu „Ojciec wie najlepiej”. Teraz widzisz, jaka jest prawda, Bobbi. Statek rąbnął w ziemię, bo zaczęli się bić. I gdzie są blastery? Karabiny fazerowe? Gdzie przesyłownia? Widzę tylko nóż. Reszty musieli dokonać za pomocą luster... albo gołymi rękami... albo tymi wielkimi pazurami.

Bobbi odwróciła wzrok z upartą i zawziętą miną — uczennica, która nie nauczyła się lekcji i postanowiła, że za nic w świecie się jej nie nauczy. Zaczęła się wycofywać. Gardener chwycił ją za ramię i przyciągnął z powrotem. Wskazał na stopy stworów.

Bobbi, gdyby Bruce Lee miał taką stopę, zabijałby tysiąc osób na tydzień.

Nogi Stukostrachów były groteskowo długie — ich widok kojarzył się Gardenerowi z przebierańcami na szczudłach, którzy w stroju Wuja Sama idą w paradach w Święto Niepodległości. Mięśnie pod półprzezroczystą skórą były długie, szare i węzlaste. Stopy długie i właściwie pozbawione palców. Każda była natomiast zakończona grubym chitynowym pazurem przypominającym szpon drapieżnego ptaka.

Gardener pomyślał o zagłębieniach w szczelach drabiny i wzdrygnął się.

Spójrz, Bobbi. Zobacz, jakie ciemne są te pazury. To krew czy cokolwiek tam mają w środku. Jest na pazurach, bo to oni dokonali większości szkód. Statek przed wypadkiem na pewno ani trochę nie przypominał mostku na pokładzie okrętu „Enterprise”. Tuż przed uderzeniem w Ziemię odbyło się tu coś w rodzaju walki kogutów za stodołą jakiegoś kmiotka. Tak ma wyglądać postęp, Bobbi? W porównaniu z nimi Ted Energetyk przypomina Gandhiego.

Marszcząc brwi, Bobbi odsunęła się od niego. Zostaw mnie w spokoju, mówiły jej oczy.

Bobbi, nie widzisz...

Bobbi się odwróciła. Nie interesowało jej oglądanie.

Gardener stał przy wysuszonych ciałach, przyglądając się, jak Bobbi wspina się po pochyłym pokładzie, jak gdyby wchodziła na strome wzgórze o gładkim zboczu. Skręciła w stronę przeciwległej ściany, gdzie znajdował się kolejny okrągły otwór, podciągnęła się i wgramoliła do środka. Przez chwilę Gardener zobaczył jej nogi i brudne podeszwy tenisówek, a potem Bobbi zniknęła.

Gard ruszył w górę stromizny i na moment przystanął niedaleko środka pomieszczenia, spoglądając na gruby kabel wychodzący z podłogi i na rozgałęziające się przewody ze słuchawkami na końcu. Podobieństwo do urządzenia w szopie Bobbi było niezaprzeczone. Poza tym...

Rozejrzał się wokół. Sześciokątne pomieszczenie. Zupełnie puste. Ani jednego krzesła. Na ścianach żadnych zdjęć Niagary ani nawet gwiazdozbioru Łabędzia. Żadnych map astronawigacyjnych, żadnego sprzętu z Szalonego Laboratorium. Gardener pomyślał, że wszyscy wielcy producenci filmów science fiction i spece od efektów specjalnych byłiby zniesmaczeni taką pustką.

Nic poza słuchawkami leżącymi na podłodze w plątaninie kabli i ciał, doskonale zakonserwowanych, choć zapewne lekkich jak jesienne liście. Słuchawki i szczątki jak puste skorupy rzucone do kąta siłą grawitacji. Nic specjalnie ciekawego. Nic szczególnie inteligentnego. Wszystko się zgadza. Bo choć mieszkańcy Haven robili mnóstwo rzeczy, żadna z nich nie była szczególnie inteligentna, jeśli rozłożyć ją na czynniki pierwsze.

Właściwie nie czuł się rozczarowany, lecz odniósł głupie wrażenie, że wszystko dokładnie pasuje. Nie, nie chodziło o prawidłowość — nic tu nie było prawidłowe — ale pasowało, tak jakby zawsze wiedział, że tak to będzie wyglądać, kiedy dostaną się do środka. Żadnego blichtru w stylu Disneylandu; nudny gatunek żyjący w pustce. Przypomnił mu się wiersz W. H. Audena o ucieczce; prędzej czy później zawsze trafia się do pustego pokoju i pod nagą żarówką stawia pasjansa o trzeciej nad ranem. Wyglądało na to, że disneyowski świat jutra miał się skończyć na tym, że ludzie zdolni do podboju gwiazd oszaleją i porozdzierają się nawzajem na strzępy pazurami u nóg.

Tyle Robert Heinlein, pomyślał Gard i podążył za Bobbi.

9

Wędrował w górę, zdając sobie sprawę, że zupełnie stracił orientację w stosunku do świata na zewnątrz. Łatwiej było o tym nie myśleć. Podczas wspinaczki przytrzymał się drabiny. Dotarł do prostokątnego iluminatora i zajrzał do pomieszczenia, które wyglądało na

maszynownię — zobaczył duże metalowe bloki, kanciaste na jednym końcu i zaokrąglone na drugim, ułożone w podwójnym rzędzie. Z kanciastych końców bloków wystawały grube, ciemnoszare rury, rozchodząc się pod dziwnymi kątami.

Jak rury wydechowe w gruchocie jakiegoś dzieciaka, pomyślał Gard. Na skórze nad ustami poczuł dotyk ciepłego płynu. Strumyczek rozdzielił się na dwa mniejsze i ściekł mu na brodę. Znow zacząła mu lecieć krew z nosa... wolno, lecz zanosilo się na dłuższy krwotok.

Czyżby zrobiło się trochę jaśniej?

Przystanął, żeby się rozejrzeć.

Tak. I usłyszał cichy szum, a może to było tylko złudzenie?

Przekrzywił głowę. Nie, to nie złudzenie. Jakaś maszyna.

Nagle zaczęła pracować.

Dobrze wiesz, że nie zaczęła pracować sama. To my ją włączyliśmy. Zaczynamy to wszystko uruchamiać.

Mocno zagryzł gumowy ustnik. Chciał się stąd wydostać.

Chciał wyciągnąć stąd Bobbi. Statek żył; Gard wyobraził sobie, że to statek jest Najwyższym Stukostrachem. Można skonać ze śmiechu. I umrzeć ze strachu. Czująca istota... Co? Obudziliśmy ją, oczywiście. Gard wołał, żeby dalej spała. Nagle znow poczuł się jak Jack z bajki myszkujący po zamku, podczas gdy olbrzym spał. Musieli stąd wyjść. Zaczął pełznąć szybciej. W pewnej chwili poraziła go nowa myśl, od której zamarł w miejscu.

A jeśli to coś nas nie wypuści?

Starając się o tym nie myśleć, ruszył dalej.

10

Korytarz rozwidłał się w kształcie litery Y. Lewa odnoga biegła dalej w górę, prawa prowadziła stromo w dół. Usłyszał Bobbi, która szła lewym korytarzem, toteż zaczął się czołgać w tamtą stronę i trafił na kolejny luk. Stała pod nim Bobbi. Zerknęła przelotnie na Gardenera; miała szeroko otwarte, zalęknione oczy. Po chwili odwróciła wzrok.

Przełożył jedną nogę przez krawędź luku i zatrzymał się. Nie ma mowy, żeby tu wszedł.

Pomieszczenie miało kształt rombu. Znajdowały się w nim setki hamaków zawieszonych ma metalowych ramach. Wszystkie były lekko uniesione i przechylone w lewo; pomieszczenie wyglądało jak zdjęcie kubryku na żaglowcu zrobione w chwili, gdy statek zakołysał się na wysokiej fali. Wszystkie hamaki były zajęte, a leżące na nich postacie przypięto do nich pasami. Miały przezroczystą skórę, psie pyski i mleczone, martwe oczy.

Z każdej pokrytej łuską trójkątnej głowy biegł kabel.

Nie są przypięci, pomyślał Gardener. Są przykuci. To oni byli napędem statku, prawda, Bobbi? Jeśli to ma być przyszłość, to pora strzelić sobie w łeb. To martwi galernicy.

Wykrzywiali się we wściekłym grymasie, ale Gardener zauważył, że część tych grymasów została unicestwiona, bo niektóre głowy chyba eksplodowały — jak gdyby w chwili uderzenia gigantyczny przepływ wsteczny energii dosłownie rozerwał im czaszki.

Wszyscy nie żyli. Przypięci na zawsze do hamaków, z odrzuconymi w tył głowami i pyskami zastygniętymi w wiecznym grymasie wściekłości. Niedaleko odezwał się następny silnik, z początku zgrzytał jak zardzewiałe żelastwo, ale stopniowo zaczynał pracować coraz równiej. Po chwili ożyły wentylatory — Gard przypuszczał, że napędzał je właśnie ten silnik. Poczuł na twarzy powiew powietrza — lecz nie miał zamiaru sprawdzać, czy jest świeże.

Może otwarcie wiązu włączyło to całe cholerstwo, ale nie sądzę. Tomy. Co jeszcze się włączy, Bobbi?

Przypuścimy, że teraz ożyją one — same Stukostrachy? Przypuścimy, że ich szaroprzezroczyste sześciopalczaste dłonie zaczną się zaciskać i otwierać jak ręce Bobbi, gdy

patrzyła na zwłoki w pustej sterowni? Co będzie, jeśli drgną szponiaste stopy? Albo zaczną się odwracać trójkątne głowy i zasnutę mlecznym bielmem oczy nagle na nich popatrzą?

Chcę stąd wyjść. Tutejsze duchy mają w sobie za dużo życia. Chcę wyjść.

Dotknął ramienia Bobbi. Drgnęła zaskoczona. Gardener zerknął na zegarek, ale spostrzegł, że go nie ma — na opalonym przegubie widniał tylko ciemniejszy pasek jaśniejszej skóry. To był timex, twardej nad twardej, który wyszedł cało z niezliczonych pijackich wybryków. Ale wytrzymał tylko dwa dni przy kopaniu. Tego egzemplarza John Cameron Swayze nie wypróbował w swoich starych reklamówkach, pomyślał Gard.

Bobbi zrozumiała. Wskazała butlę z powietrzem przypiętą do swojego paska i patrząc na Gardenera, uniosła pytająco brwi. *Ile czasu minęło?*

Gard nie wiedział i nic go to nie obchodziło. Chciał stąd wyjść, zanim cholerny statek zbudzi się do końca i Bóg wie co im zrobi.

Wskazał korytarz za nimi. *Spadajmy stąd.*

W ścianie obok niego rozległ się niski i głuchy, dudniący dźwięk. Gardener wzdrygnął się jak oparzony. Ścianę obryzgały kropelki krwi ciekącej mu z nosa. Serce zabiło mu jak szalone.

Przestań, to tylko jakaś pompa...

Głuche dudnienie powoli stawało się miarowe... i nagle coś się stało. Nastąpił przeraźliwy pisk zgrzytającego o siebie metalu i seria stłumionych wybuchów. Gardener poczuł, jak ściana wibruje, a światło przez chwilę zamigotało i przygasło.

Będziemy mogli znaleźć drogę powrotną w ciemności, gdyby światło zupełnie zgasło? Pana raszi szanować, señor.

Pompa usiłowała na nowo ruszyć. Rozległ się przenikliwy metaliczny jazgot — Gardener zacisnął zęby na gumowych końcówkach ustnika. Wreszcie hałas ucichł. Coś głośno zagrzecotało jak słomka w pustej szklance. I zaległa cisza.

Nie wszystko po tylu latach działa bez zarzutu, pomyślał z niejaką ulgą Gardener.

Bobbi pokazała korytarz. *Idź, Gard.*

Zanim jej posłuchał, zobaczył, jak Bobbi przystaje i jeszcze raz spogląda na rzędy trupów na hamakach. Na jej twarzy ponownie odmalował się lęk.

Po chwili Gard zaczął się czołgać z powrotem, starając się utrzymywać równe tempo, ponieważ znowu poczuł, jak bierze go w objęcia klaustrofobia.

11

Jedna ze ścian w sterowni zmieniała się w gigantyczne okno panoramiczne długości pięćdziesięciu stóp i wysokości dwudziestu.

Gardener gapił się w bezbrzeżnym zdumieniu na błękitne niebo nad Maine i rzędy sosen, świerków i klonów rosnących na skraju lasu przy wykopie. W dolnym prawym rogu widział grzbiet dachu wiaty na narzędzia. Wpatrywał się w to przez kilka sekund — widząc białe chmurki płynące po błękitnie nieba — i zorientował się, że to nie może być okno. Byli gdzieś w środkowej części statku i na dodatek głęboko pod ziemią. Za oknem w tej ścianie można by zobaczyć najwyżej część statku. Nawet gdyby znajdowali się bliżej ściany kadłuba, mogliby najwyżej zobaczyć pokrytą siatką skalną ścianę i rąbek nieba na samej górze.

To jakiś obraz telewizyjny. W każdym razie coś w rodzaju obrazu telewizyjnego.

Ale nie dostrzegwał żadnych linii. Doskonała iluzja.

Zafascynowany, zapominając o klaustrofobii, która kazała mu jak najprędzej opuścić statek, Gardener wolno podszedł do ściany. Kąt nachylenia dawał mu złudzenie lotu — jak gdyby zasiadł za sterami symulatora lotów, żeby poderwać wyimaginowaną maszynę. Niebo było tak jasne, że musiał zmrużyć oczy. Próbował zobaczyć ścianę, tak jakby podchodząc do ekranu w kinie, usiłował dostrzec jego powierzchnię przez wyświetlany film. Ściany jednak

nie było. Zieleń sosen miała wyraźny, soczysty odcień; do pełni sugestywnej iluzji brakowało jedynie wiatru i zapachu lasu.

Podszedł jeszcze bliżej, wciąż szukając wzrokiem ściany.

To musi być jakaś kamera — zamontowana na zewnątrz statku, może nawet na tej części, o którą Bobbi się potknęła. Kąt by się zgadzał. Jezu! To tak cholernie prawdziwe! Gdyby zobaczyli to ludzie z Kodaka albo Polaroida, na pewno by zgłu...

Ktoś brutalnie chwycił go za ramię i Gard zmartwił z przerażenia. Odwrócił się, spodziewając się ujrzeć któregoś z Obcych, szczerzącego psi pysk i trzymającego w sześciopalczastej dłoni kabel zakończony wtyczką. *Proszę się pochylić, panie Gardener, w ogóle nie zaboli.*

To była Bobbi. Pokazała na ścianę. Zaczęła szybko i gwałtownie gestykulować, jakby odgrywała jakąś szaradę. Potem znów pokazała na okno w ścianie. Po chwili Gardener zrozumiał. Mimo makabryczności było to nawet zabawne. Bobbi pokazywała na migi porażenie prądem, chcąc mu powiedzieć, że dotknięcie okna mogłoby spowodować podobny skutek jak dotknięcie trzeciej szyny w metrze.

Gardener skinął głową i wskazał szersze zejście, którym weszli na pokład statku. Bobbi odpowiedziała skinieniem głowy i ruszyła przodem.

Sunąc korytarzem, Gardener odniósł wrażenie, że słyszy szelest suchych liści i odwrócił się z lękiem, jaki może odczuwać dziecko we śnie. Przeczynał, że to zwłoki w kącie wolno stają na szponiastych stopach jak gromada zombi.

Ale oni wciąż leżeli w plątaninie swych dziwnych rąk i nóg. Szeroka panorama nieba i drzewa na ścianie (lub przez ścianę) przygasła, tracąc wyrazistość i realność.

Gardener odwrócił się i jak najszybciej popełznął za Bobbi.

Wiesz, że zwariowałeś, powiedział sobie John Leandro, parkując dokładnie w tym samym miejscu, gdzie niecałe trzy tygodnie wcześniej zatrzymał samochód Everett Hillman. Oczywiście Leandro o tym nie wiedział. I chyba bardzo dobrze.

Zwariowałeś, powtórzył. Krwawiłeś jak zarżnięte prosię, masz o dwa zęby mniej, a mimo to chcesz wrócić. Zwariowałeś!

Owszem, pomyślał, wysiadając ze starego samochodu. Mam dwadzieścia cztery lata, nie mam żony, zaczyna mi rosnąć brzuch i jeżeli zwariowałem, to tylko dlatego, że to znalazłem. Ja, nikt inny — po prostu się o to potknąłem. Mój wielki temat. Nie, lepiej użyć tego drugiego słowa. Jest staroświeckie, ale kogo to obchodzi — lepiej pasuje. Moja sensacja. Nie pozwolę, żeby mnie zabiła, ale nie zamierzam zsiadać z tego konia, dopóki sam nie zrzuci mnie z grzbietu.

Leandro stał na parkingu kwadrans po pierwszej po południu dnia, który miał się okazać najdłuższym w jego życiu (i ostatnim, mimo jego deklaracji, że na pewno do tego nie dopuści) i myślał: Tak jest. Nie zsiadę, dopóki sam mnie nie zrzuci. Pewnie od czasu do czasu myślał tak Robert Capa czy Ernie Pyle.

To rozsądne. Sarkastyczne, ale rozsądne. Jednak głos w głębi duszy zagłuszał rozsądek. Mój temat, powtarzał uparcie. Moja sensacja.

John Leandro, ubrany w koszulkę z napisem GDZIE DO DIABŁA JEST TROY W STANIE MAINE? (na jej widok David Bright zapewne uśmiełby się do rozpuku), przeciął parking i wszedł do sklepu ARTYKUŁY MEDYCZNE MAINE („Od 1946 roku specjalizujemy się w terapii oddychania i akcesoriach wspomagających oddychanie”).

— Trzydzieści dolców kaucji za maseczkę do oddychania to trochę dużo, nie sądzi pan? — spytał Leandro sprzedawcy, przeliczając gotówkę. Przypuszczał, że miał trzydzieści, ale zobaczył, że po zapłaceniu zastawu zostanie mu półtora dolara. — Nie powiedziałbym, że dobrze idą na czarnym rynku.

— Nigdy nie żądaliśmy żadnych kaucji — odrzekł sprzedawca — i nadal nie żądamy, jeżeli znamy klienta albo organizację. Ale dwa... trzy tygodnie temu przepadł jeden aparat. Przyszedł jeden staruszek i powiedział, że chce coś z powietrzem. Myślałem, że chodzi mu o nurkowanie — był stary, ale niezłe się trzymał — więc zacząłem mu mówić o klubie płetwonurków Downeast w Bangor. Na to on, że nie, że interesuje go lądowy aparat przenośny. No więc mu wypożyczyłem. I nie oddał. To był nowiutki flat-pack Bella. Wart dwie stowy.

Leandro spojrzął na sprzedawcę, niemal chory z przejęcia. Czuł się, jakby kierując się strzałkami, zmierzał w głąb strasznej, lecz fantastycznej i niezbadanej jaskini.

— To pan wypożyczył mu maskę? Osobiście?

— Właściwie to był aparat typu flat-pack, ale tak. Sklep prowadzimy razem z ojcem. Tato pojechał z dostawą butli z tlenem do Augusty. Strasznie mnie potem opieprzył. Nie wiem, czy mu się spodoba, że wypożyczam następnego flat-packa, ale jak pan zapłaci kaucję, chyba nic się nie stanie.

— Może mi pan opisać tego człowieka?

— Dobrze się pan czuje? Trochę pan blady na...

— Nic mi nie jest. Może pan opisać człowieka, który wypożyczył aparat?
— Stary. Opalony. Prawie całkiem łysy. I chudy... żyłasty, można by powiedzieć. Mówiłem już, że nieźle się trzymał. Sprzedawca zamyślił się. — Jeździł valiantem.
— Może pan sprawdzić, kiedy dokładnie wypożyczył aparat?
— Pan jest gliną?
— Reporterem. Z „Daily News” w Bangor. — Leandro pokazał mu legitymację prasową. Teraz przejęcie odmalowało się z kolei na twarzy sprzedawcy.
— To znaczy, że dziadek ma coś jeszcze na sumieniu poza tym, że gwizdnął nam flat-packa?
— Mógłby pan sprawdzić datę i nazwisko?
— Jasne.

Sprzedawca przerzucił kartki rejestru wypożyczeń. Znalazł właściwy wpis i odwrócił księgę, aby Leandro mógł go odczytać. Wpis nosił datę 26 lipca. Nazwisko było nagryzmołone, ale dało się odczytać. Everett Hillmann.

— Nie zgłosiliście policji zaginięcia sprzętu — powiedział Leandro. To nie było pytanie. Gdyby złożono doniesienie o kradzieży popełnionej przez dziadka, to — biorąc jeszcze pod uwagę skargę właścicielki kamienicy, w której wynajmował pokój, ale nie uregulował czynszu za dwa tygodnie — gliniarze być może bardziej zainteresowałiby się losem Hillmana i spróbowaliby się dowiedzieć, jak i dlaczego... i gdzie zniknął.

— Nie, tato powiedział, żeby sobie tym nie zawracać głowy. Ubezpieczenie nie obejmuje kradzieży wypożyczonego sprzętu, rozumie pan... no i dlatego.

Sprzedawca wzruszył ramionami i uśmiechnął się, lecz gest zdradzał zakłopotanie, a uśmiech był trochę niepewny, co wiele powiedziało Leandrowi. Może i był nieuleczalnym neptkiem, czego obawiał się David Bright, ale nie był głupi. Gdyby zgłosili kradzież albo zaginięcie aparatu, firma ubezpieczeniowa nie pokryłaby strat. Ale ojciec tego gościa znał jakiś inny sposób, dzięki któremu mogli wydebić pieniądze od firmy ubezpieczeniowej. W tej chwili jednak była to kwestia drugorzędna.

— Dziękuję za pomoc — rzekł Leandro, odwracając księgę z powrotem do sprzedawcy.
— I jeżeli możemy skończyć...

— Jasne, oczywiście. — Sprzedawca z wyraźną ulgą porzucił temat ubezpieczenia. — Nie napisze pan w gazecie o tym, dopóki nie porozumie się pan z moim ojcem, prawda?

— Absolutnie nie — odparł Leandro ze szczerością, jakiej mógłby mu pozazdrościć sam P. T. Barnum. — Mogę już chyba podpisać tę umowę...

— Proszę. Ale najpierw chciałbym jednak zobaczyć jakiś dowód tożsamości. Staruszek nie pokazał mi żadnego i za to też nasłuchałem się tyle od ojca, że lepiej nie mówić.

— Pokazałem już legitymację prasową.

— Wiem, ale wołałbym jakiś prawdziwy dokument.

Leandro z westchnieniem położył na ladzie prawo jazdy.

3

— Wolniej, Johnny — powiedział David Bright. Leandro stał przy automacie telefonicznym na skraju parkingu pod restauracją dla zmotoryzowanych. W głosie Brighta usłyszał pierwsze tony podekscytowania. *Uwierzył mi. Skurwysyn, w końcu mi jednak chyba uwierzył!*

Kiedy Leandro opuścił sklep ARTYKUŁY MEDYCZNE MAINE i ruszył z powrotem w stronę Haven, jego podniecenie sięgało zenitu i czuł, że może wybuchnąć, jeśli z kimś nie porozmawia. Poza tym wiedział, że musi dać komuś znać o swoich zamiarach; uznał, że to jego obowiązek, przed którym powinno ustąpić pragnienie samotnego zdobycia sensacji. Musiał, bo zamierzał tam wrócić i coś mogło mu się przytrafić; gdyby coś mu się stało, wołał

wiedzieć, że ktoś znał jego plany. A Bright, choć bywał nie do zniesienia, był przynajmniej stuprocentowo uczciwy; na pewno by go nie wystawił do wiatru.

Wolniej, fakt, powinienem trochę przyhamować.

Przyłożył słuchawkę do drugiego ucha. Popołudniowe słońce mocno grzało go w kark, lecz w ogóle mu to nie przeszkadzało. Zaczął od pierwszej próby wjazdu do Haven: mówił o niewiarygodnym tłoku w eterze; o nagłym i gwałtownym ataku mdłości; o krwotoku z nosa; o utracie zębów. Zrelacjonował mu rozmowę ze staruszką w sklepie w Troy, opowiedział o zupełnie pustym krajobrazie, jak gdyby cała okolica wywiesiła na drzwiach wypisaną wielkimi literami informację POJECHALIŚMY NA RYBY. Nie wspominał o swoich odkryciach matematycznych, ponieważ prawie nic z nich nie pamiętał. Coś się stało, lecz straciło ostrość i rozmyło mu się w pamięci.

Podzielił się natomiast z Brightem swoimi podejrzeniami, że powietrze w Haven mogło zostać czymś skażone — może nastąpił wyciek chemiczny albo dostał się do atmosfery jakiś naturalny, ale śmiertelnie trujący gaz.

— Gaz, który poprawia sygnał radiowy, Johnny?

Owszem, wiedział, że to nieprawdopodobne, zdawał sobie sprawę, że nie wszystkie kawałki pasują do układanki, ale przecież był tam i nie miał wątpliwości, że zrobiło mu się niedobrze przez powietrze. Dlatego postanowił zaopatrzyć się w przenośny aparat tlenowy i wrócić.

Opowiedział mu o swoim przypadkowym odkryciu, że Everett Hillman, którego Bright osobiście odprawił z kwitkiem, uznając go za stukniętego dziadka, był przed nim w tym samym sklepie w identycznej sprawie.

— I co o tym wszystkim sądzisz? — spytał w końcu Leandro.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem Bright wypowiedział słowa, które Leandro uznał za najcudowniejsze, jakie w życiu usłyszał.

— Chyba od początku miałeś rację, Johnny. W miasteczku dzieje się coś bardzo dziwnego i dobrze ci radzę, żebyś się tam nie zbliżał.

Leandro przymknął oczy, opierając głowę o automat telefoniczny. Uśmiechał się błogim, rozanielonym uśmiechem. *Miałem rację. Od początku. Ach, co to za słodkie słowa; błogosławiony balsam na jego duszę. Od początku miałem rację.*

— John? Johnny? Jesteś tam jeszcze?

Nie otwierając oczu, z tym samym uśmiechem, Leandro rzekł:

— Jestem. — *Stary, po prostu się tym rozkoszuję, bo chyba całe życie czekałem, żeby ktoś mi powiedział, że od początku miałem rację. W jakiejś sprawie. W jakiegokolwiek sprawie.*

— Nie zbliżaj się tam. Zawiadom policję stanową.

— Ty byś tak zrobił?

— Kurwa, nie!

Leandro parsknął śmiechem.

— Sam widzisz. Nic mi się nie stanie. Mam tlen...

— Według tego, co powiedział ten gość w sklepie ze sprzętem medycznym, Hillman też miał tlen. I mimo to zniknął.

— Jadę tam — powtórzył Leandro. — Bez względu na to, co dzieje się w Haven, zobaczę to pierwszy... i zrobię zdjęcia.

— Nie podoba mi się to.

— Która godzina? — Zegarek Leandra stanął, co wydawało się trochę dziwne; był niemal pewien, że nakręcał go rano.

— Dochodzi druga.

— Dobra. Zadzwoń koło czwartej. Potem o szóstej. I tak dalej, aż wszystko się dobrze skończy. Jeżeli nie odezwę się do ciebie ani do kogoś innego w ciągu dwóch godzin, daj znać policji.

— Johnny, zachowujesz się jak dzieciak, który bawi się zapalkami i mówi ojcu, że gdyby zajął się ogniem, tacie wolno go ugasić.

— Nie jesteś moim ojcem — powiedział ostro Leandro.

Bright westchnął.

— Posłuchaj, Johnny. Jeżeli to ma jakieś znaczenie, przepraszam, że nazwałem cię cholernym Jimmym Olsenem. Miałeś rację, to ci nie wystarczy? Nie zbliżaj się do Haven.

— Dwie godziny. Chcę mieć tylko dwie godziny. Niech to szlag, David, zasłużyłem na nie. — Leandro odłożył słuchawkę.

Ruszył z powrotem do samochodu... ale zawrócił i beczelnie pomaszerował prosto do okienka restauracji, gdzie zamówił dwa cheeseburgery ze wszystkimi dodatkami. Pierwszy raz w życiu zamówił coś do jedzenia w miejscu, które matka nazywała „barami przydrożnymi” — tylko że gdy ona wymawiała te słowa, brzmiały jak z najbardziej odrażającego horroru pod tytułem „Koszmar z bani przydrożnego, czyli Ziemia kontra potworne mikroby”.

Cheeseburgery były gorące i dostał je w poplamionym tłuszczem woskowanym papierze z cudownym nadrukiem DERRY BURGER RANCH. Pierwszego pochłonął, zanim jeszcze wrócił do swojego dodge’a.

— Wyśmienite — mruczał z pełnymi ustami, więc brzmiało to jak „wychmie-ite”. — Wyśmienite, wyśmienite.

Mikroby, róbcie, co chcecie!, pomyślał oszołomiony radością z własnego nieposłuszeństwa, wyjeżdżając na drogę numer 9. Oczywiście, nie wiedział, że począwszy od południa wypadki w Haven rozgrywały się bardzo szybko; używając terminologii fizyki jądrowej, sytuacja w Haven stała się krytyczna. Haven zostało odrębnym państwem z pilnie strzeżonymi granicami.

Nie mając o tym pojęcia, Leandro jechał dalej, wgrzyzając się w drugiego cheeseburgera i żałując, że nie zamówił jeszcze koktajlu waniliowego.

4

Zanim minął sklepik w Troy, jego euforia znacznie przygasła i wróciło wcześniejsze podenerwowanie — niebo miało barwę czystego błękitu, po którym płynęło kilka wątych chmur, ale nerwy miał tak napięte, jakby w powietrzu wisiała burza. Zerknął na aparat tlenowy na siedzeniu obok i złotą maseczkę zabezpieczoną celofanowym krążkiem z napisem ZAMKNIĘTE STERYLNICIE DLA TWOJEGO BEZPIECZEŃSTWA. Innymi słowy, pomyślał Leandro, mikrobom wstęp wzbroniony.

Na drodze nie było żadnych samochodów. Na polu nie pracował żaden traktor. Poboczem drogi nie maszerował ani jeden bosy chłopiec z wędką na ramieniu. Troy drzemało w blasku sierpniowego słońca, ciche i, jak przypuszczał Leandro, bezzębne.

Radio miał nastawione na WZON, lecz gdy mijał kościół baptystów, zaczął tracić sygnał w coraz gęstszym szumie innych głosów. Niedługo potem cheeseburgery zaczęły najpierw kręcić się nerwowo w jego żołądku, a później podskakiwać. Wyobraził sobie, jak przy każdym ruchu tryskają tłuszczem. Był bardzo blisko miejsca, z którego zawrócił przy pierwszej próbie dostania się do Haven. Bezzwłocznie zjechał na bok — nie chciał czekać na poważniejsze objawy. Cheeseburgery były za dobre.

5

Gdy założył maseczkę tlenową nudności natychmiast ustąpiły. Uczucie dręczącego niepokoju nie chciało. Leandro dostrzegł własne odbicie w lusterku wstecznym, ze złotą miseczką na ustach i nosie. Na chwilę ogarnął go lęk — to naprawdę on? Oczywiście tego

mężczyzny wydawały się zbyt poważne, zbyt skupione... wyglądały jak oczy pilota myśliwca. Leandro nie chciał, żeby ludzie w rodzaju Davida Brighta uważali go za neptka, lecz nie był pewien, czy chce wyglądać aż tak poważnie.

Za późno. Zabrnąłeś za daleko.

Radio bełkotało setką, może tysiącem głosów. Leandro je wyłączył. Zobaczył przed sobą granicę Haven. Leandro, który w ogóle nie wiedział o niewidzialnej nylonowej pończosze, podjechał do tablicy granicznej miasta... i minął ją, — bez kłopotu wjeżdżając do Haven.

Mimo że sytuacja z bateriami w Haven znów zbliżała się do punktu krytycznego, wzdłuż większości dróg prowadzących do miasta można było jeszcze ustawić pola siłowe. Ale w strachu i zamieszaniu wywołanym porannymi wydarzeniami Dick Allison i Newt Berringer podjęli decyzję, której skutków doświadczył John Leandro. Chcieli, aby Haven pozostało zamknięte, lecz nie chcieli, żeby ktokolwiek zderzył się z niewidzialną barierą, która w niewytłumaczalny sposób wyrosła w powietrzu, a potem przekazał wiadomość o tym niewłaściwym ludziom...

...czyli w obecnej sytuacji wszystkim innym na Ziemi.

Nie sądzę, żeby ktoś mógł podjechać tak blisko — powiedział Nick. Razem z Dickiem siedzieli w półciązarówce Dicka, która w procesji innych aut podążała na farmę Bobbi.

Też tak mi się zdawało — odparł Dick. — Ale to jeszcze było przed przyjazdem Hillmana... i siostry Bobbi. Nie, będzie można wjechać... ale już się nigdy nie wyjedzie.

Dobra, w porządku. Ty dziś rządzisz. Ale nie mógłbyś, kurwa, jechać trochę szybciej?

Myśli obu mężczyzn — i wszystkich dookoła — były chropowate z wściekłości i głębokiego niepokoju. W tym momencie najmniej przejmowali się możliwością wtargnięcia do Haven obcych.

— Wiedziałem, że powinniśmy się pozbyć tego cholernego pijaka! — wrzasnął Dick, waląc pięścią w deskę rozdzielczą. Nie miał dziś makijażu. Jego skóra, coraz bardziej przezroczysta, zaczynała się też robić coraz bardziej szorstka. Środkowa część jego twarzy — a także twarzy Newta i wszystkich, którzy wchodzili do szopy Bobbi — znacznie się powiększyła i wydłużyła. Zaczynała zdecydowanie przypominać pysk.

6

Oczywiście, John Leandro nic o tym nie wiedział — wiedział tylko, że otacza go trujące powietrze, o wiele bardziej trujące, niż mógłby przypuszczać. Zsunął złotą miseczkę z twarzy i gdy zrobił jeden płytki wdech, świat natychmiast stracił ostrość i zaczął pogrążyć się w mroku. Czym prędzej zimnymi dłońmi z powrotem nałożył maskę. Serce tłukło jak szalone.

Mniej więcej dwieście jardów za granicą miasta silnik dodge'a przestał pracować. Większość samochodów osobowych i ciężarowych w Haven została przerobiona w taki sposób, aby były odporne na przybierające na sile pole elektromagnetyczne generowane od około dwóch miesięcy przez statek (przeróbek dokonywano przede wszystkim w warsztacie Elta Barkera przy stacji Shella), lecz wóz Johna Leandra nie przeszedł takiej modyfikacji.

Leandro siedział przez moment za kierownicą, wpatrując się tępo w czerwone kontrolki. Przerzucił dźwignię zmiany biegów na luz i przekręcił kluczyk. Silnik nie zareagował. Do diabła, nie usłyszał nawet pstryknięcia w cewce.

Może spadł kabel z akumulatora.

To nie był kabel. Gdyby spadł, nie świeciłyby się lampki ciśnienia oleju i ładowania. Mniejsza z tym. Wiedział, że to nie kabel akumulatora, po prostu to wiedział.

Wzdłuż drogi po obu stronach rosły drzewa. Słońce, przeświecając przez ich poruszające się liście, rzucało cętkowany wzór na asfalt i biały kurz pobocza. Nagle Leandro poczuł, jakby zza drzew przyglądały mu się czyjeś oczy. Rzecz jasna, to było głupie, lecz mimo to wrażenie pozostawało niezwykle silne.

Dobra, teraz musisz wysiąść i spróbować opuścić zatruty teren, zanim zabraknie ci powietrza. Szanse maleją z każdą sekundą, którą marnujesz, siedząc tu i trzęsąc gaciami.

Jeszcze raz spróbował przekręcić kluczyk w stacyjce. Bez rezultatu.

Wziął swój aparat fotograficzny, zarzucił pasek na ramię i wysiadł. Stał, spoglądając niespokojnie na las po prawej stronie drogi. Zdawało mu się, że słyszy coś za sobą — jakieś szuranie — i obrócił się gwałtownie, rozciągając usta w grymasie strachu.

Nic... w każdym razie nic nie widział.

Las jest cudowny, ciemny i głęboki...

Rusz się. Stoisz i tylko marnujesz powietrze.

Otworzył drzwi auta, pochylił się i ze schowka wyciągnął broń. Załadował ją i próbował wcisnąć do przedniej kieszeni.

Była za duża. Bał się, że może wypaść i wystrzelić. Uniósł więc połę swej nowej koszulki, wsunął pistolet za pasek i przykrył koszulką.

Znów spojrzął w stronę lasu, potem rozgoryczony popatrzył na samochód. Pewnie mógłby zrobić parę zdjęć, ale co na nich będzie widać? Tylko pustą wiejską drogę. Takie same są w całym stanie, nawet w szczycie letniego sezonu turystycznego. Zdjęcia nie oddadzą przejmującej ciszy lasu; zdjęcia nie pokażą, że powietrze zostało skażone.

Masz swoją sensację, Johnny. Och, napiszesz o tym mnóstwo artykułów i mam przecucie, że opowiesz niejednej ekipie z programu informacyjnego, co akurat potrafisz, ale zdjęcie na okładce „Newsweeka”? Nagroda Pulitzera? Zapomnij o tym.

Pewien wewnętrzny głos — bardziej dorosły — uparcie twierdził, że lepszy rydz niż nic i większość reporterów na świecie byłaby gotowa zabić, aby móc choćby powąchać tego rydza, czymkolwiek miałyby się okazać.

Lecz John Leandro miał znacznie mniej niż dwadzieścia cztery lata. Gdy David Bright doszedł do wniosku, że widzi w nim pokątną porcję neptka, wcale się nie pomylił. Naturalnie, istniały pewne powody takiego stanu rzeczy, ale nie zmieniały faktu. Leandro czuł się jak debiutant w lidze seniorów, który w pierwszym meczu staje na pozycji pałkarza, dostaje potężny narzut i odbija tak mocno, że może dotrzeć do trzeciej bazy. Niezle... ale głos w jego sercu wołał: *Hej, Boże, jeżeli dałeś mi taką cudowną szansę, dlaczego nie pozwalasz mi jej wykorzystać do końca?*

Do Haven Village miał niecałą milę. Mógłby tam dojść w ciągu piętnastu minut... ale dobrze wiedział, że wtedy nie wystarczyłoby mu powietrza, żeby się wydostać z zatrutego terenu.

Cholera, gdybym wypożyczył dwa aparaty.

Nawet gdybyś o tym pomyślał, nie miałeś kasy na pieprzoną kaucję za dwa. Pytanie brzmi: czy jesteś gotów umrzeć dla swojej sensacji, czy nie, Johnny?

Nie był gotów. Jeśli jego zdjęcie miało się ukazać na okładce „Newsweeka”, nie chciał, żeby widniało w czarnej obwódce.

Powlókł się w stronę granicy Troy. Po kilkudziesięciu krokach zdał sobie sprawę, że słyszy odgłos silników — wielu silników, ale bardzo słaby.

Coś się dzieje po drugiej stronie miasta.

Równie dobrze mogłoby się coś dziać po ciemnej stronie księżyca. Daj sobie spokój.

Jeszcze raz spojrzął niespokojnie w stronę lasu, ruszył dalej. Uszedł kilkanaście kroków i usłyszał inny dźwięk: ciche buczenie, zbliżające się do niego z tyłu.

Odrócił się. I opadła mu szczęka. W Haven przez większą część lipca odbywał się Miejski Festiwal Dziwnych Urządzeń. Jednak w miarę jak postępowała „przemiana”, mieszkańcy miasteczka stopniowo tracili zainteresowanie takimi wynalazkami... ale aparaty zostały, jak dziwne bezużyteczne bibeloty, w rodzaju tych, które Gardener widział w szopie Bobbi. Wiele z nich z braku lepszych rozwiązań wykorzystano jako strażników granic Haven. Hazel McCready siedziała w swoim gabinecie w ratuszu przed rzędem słuchawek i szybko

sprawdzała wszystkie po kolei. Była wściekła, że zlecono jej takie nudne zadanie, podczas gdy przyszłość wszystkiego ważyła się w tej chwili na farmie Bobbi. Ale teraz... ktoś w końcu wszedł do miasta.

Ciesząc się z urozmaicenia nudy, Hazel ochoczo zajęła się intruzem.

7

To był automat do coca-coli, który wcześniej stał przed sklepem Coodera. Leandro wrósł w ziemię ze zdumienia, patrząc, jak maszyna zbliża się do niego: śmieszny czerwono-biały prostokąt wysokości sześciu i pół stopy i szerokości czterech. Automat ciął powietrze, mknąc mniej więcej osiemnaście cali nad powierzchnią drogi.

Wpadłem do reklamy, pomyślał Leandro. Jakiejś pokręconej reklamy. Za parę sekund otworzą się drzwi tej maszyny i wyleci z niej O. J. Simpson.

Zabawna myśl. Leandro zaczął się śmiać. I kiedy się śmiał, przyszło mu do głowy, że to może być zdjęcie... Boże, ależ zdjęcie. Automat do coli leci nad jednopasmową wiejską asfaltową drogą.

Chwycił nikon. Maszyna do coli, nucąc do siebie, obleciała dookoła samochód Leandra i zaczęła się zbliżać. Wyglądała jak halucynacja szaleńca, lecz widok jej przedniej ściany świadczył, że jakkolwiek ktoś chciał wierzyć, że jest inaczej — była prawdziwa.

Wciąż chichocząc, Leandro zorientował się, że automat nie zamierza się zatrzymać — a nawet nabiera szybkości. Czym tak naprawdę jest automat do napojów? Lodówką oklejoną reklamami. A lodówki są ciężkie. Maszyna do coli jak czerwono-biały pocisk kierowany nadlatywała prosto w Leandra. Wiatr cicho pogwizdywał w otworze do zwrotu monet.

Leandro zapomniał o zdjęciu. Oskoczył w lewo. Automat do coli trafił go w prawą goleń i złamał ją. Na chwilę noga Leandra zmieniła się w błyskawicę czystego bólu. Wrzasnął w złotą maseczkę, lądując na brzuchu i rozdzierając sobie koszulkę. Nikon wyleciał na całą długość paska i z trzaskiem uderzył w żwir pobocza.

Skurwysynu, ten aparat kosztował czterysta dolarów!

Wygramolił się na kolana i odwrócił. Z rozoranej skóry na piersi sączyła się krew, w nodze tętnił przeszywający ból.

Maszyna do coli zawróciła. Przez chwilę wisiała w powietrzu, obracając płytę czołową tam i z powrotem, co skojarzyło się Leandrowi z wahadłowym ruchem radaru. Promienie słońca odbiły się od szklanych drzwiczek. Leandro dostrzegł butelki coli i fanty.

Nagle automat zwrócił się w jego stronę — i pomknął wprost na niego.

Znalazł mnie, Jezu...

Wstał i skacząc na lewej nodze, próbował dostać się do samochodu. Maszyna do napojów runęła na niego, gwizdząc groźnie otworem na monety.

Leandro rzucił się z wrzaskiem naprzód, okręcając się wokół własnej osi. Automat minął go o cztery cale. Leandro wylądował na jezdni, wyjąc z bólu, który eksplodował w złamanej nodze.

Maszyna skręciła, zatrzymała się, potem odnalazła go i ponowiła atak.

Leandro namacał pistolet za pasem i wyszarpnął go. Balansując na kolanach, strzelił cztery razy. Wszystkie kule trafiły w cel. Trzecia roztrzaskała szklane drzwiczki.

Ostatnią rzeczą, jaką Leandro zobaczył, zanim ważąca trochę ponad sześćset funtów maszyna go trafiła, były spienione strumienie napojów płynące z rozbitych szyjek butelek, strzaskanych pociskami z jego broni.

Rozbite szyjki butelek zbliżały się do niego z prędkością czterdziestu mil na godzinę.

Mamo! — wrzasnął w duchu Leandro, zasłaniając twarz skrzyżowanymi rękami.

Nie musiał się przejmować ostrymi szyjkami butelek ani tym bardziej mikrobami, jakie mogły się czaić w cheeseburgerach z Burger Ranch. Jedna z wielkich prawd życiowych

brzmi: Jeżeli ktoś ma zostać trafiony latającym sześćsetfuntowym automatem do coli, nie musi się przejmować niczym innym.

Rozległ się głuchy, chrzęszczący łomot. Czaszka Johna Leandra rozprysnęła się jak waza z epoki Ming upuszczona na podłogę. Ułamek sekundy później trzasnął mu kręgosłup. Przez chwilę maszyna wlokła go jak wielkiego owada rozmazanego na przedniej szybie pędzącego samochodu. Jego nogi szorowały po nawierzchni drogi, a biała linia środkowa zdawała się rozwijać pomiędzy nich. Obcasy mokasynów starły się i zmieniły w dymiące kawałki gumy. Jeden spadł mu ze stopy.

Potem Leandro osunął się po automacie i bezwładnie upadł na drogę.

Maszyna do coli ruszyła z powrotem do Haven Village. Pojemnik na monety zaciął się, kiedy uderzyła w Leandra, dlatego bucząc w powietrzu, pluła gradem ćwierćdolarówek, dziesięciocentówek i pięciocentówek, które wyskakiwały z otworu zwrotnego i toczyły się po drodze.

8 GARD I BOBBI

1

Gardener wiedział, że Bobbi niedługo wykona ruch, którego się spodziewał — dawna Bobbi spełniła obowiązek, który według Nowej Ulepszonej Bobbi był ostatnią powinnością wobec pocziwego Jima Gardenera za to, że przybył pomóc przyjaciółce i został dłużej, aby pobielić cholernie dziwny parkan.

Sądził, że to będzie pętla — Bobbi będzie chciała pierwsza wyjechać z wykopu, a potem nie spuści mu liny. Gard zostanie przy włazie i umrze obok tajemniczego symbolu. Bobbi nie musiałyby nawet zawracać sobie głowy paskudnie rzeczywistym morderstwem. Nie musiałyby się też dręczyć myślą, że pocziwy Gard wolno umiera z głodu. Pocziwy Gard, nękany licznymi krwotokami, umarłby bardzo szybko z upływu krwi.

Ale Bobbi upierała się, żeby Gard wyjechał na górę pierwszy, a sardoniczne błyski w jej oczach świadczyły, że doskonale wiedziała, co Gardener podejrzewa... i wcale nie musiała czytać mu w myślach.

Pętla uniosła się w powietrze, a Gardener mocno złapał się liny, walcząc z atakiem mdłości — przed którym, jak sądził, nie będzie się mógł zbyt długo bronić, lecz Bobbi wysłała mu głośną i wyraźną myśl, gdy tylko wygramolili się przez właz ze statku: *Nie zdejmuj maski, dopóki nie wyjedziesz na górę.* Zdawało mu się czy myśli Bobbi stały się wyraźniejsze? Nie, nie zdawało mu się. Oboje dostali wewnątrz statku nowy impuls.

Nos Gardenera nadal krwawił, przesiąkła mu już cała koszulka; powoli wypełniała się maska do oddychania. Był to zdecydowanie najgorszy krwotok z nosa, jaki mu się przydarzył, odkąd Bobbi pierwszy raz go tu przyprowadziła.

Dlaczego nie? — wysłał ostrożnie w odpowiedzi, starając się nadać tylko myśl z wierzchu — niczego więcej, co kryło się pod spodem.

Maszyny, które słyszeliśmy, to głównie wymienniki powietrza. Gdybyś zaczął oddychać tym, co jest teraz na dole, padłbyś równie szybko, jak gdybyś wciągnął to, co było w statku, kiedy go otworzyliśmy. Powietrze będzie się mieszać cały dzień, może dłużej.

Nie była to myśl, jakiej można by się spodziewać u kobiety, która chce cię zabić — ale w oczach Bobbi wciąż błąkały się te same błyski, a w każdej myśli Bobbi wyczuwało się ten sam ton.

Trzymając się z całej siły liny i gryząc gumowe końcówki ustnika, Gardener z trudem panował nad żołądkiem.

Pętla wyjechała na górę. Wyszedł z niej na miękkich nogach, jakby były zrobione z gumek i spinaczy, ledwie dostrzegając odkurzacz i kabel, którym manipulował przy przyciskach. Dolicz do dziesięciu, pomyślał. Dolicz do dziesięciu, odejdz jak najdalej od wykopu, potem zdejmij maskę i niech będzie, co ma być. Zresztą wolę umrzeć, niż dłużej tak się czuć.

Oddalił się jednak zaledwie o pięć kroków i dłużej nie mógł wytrzymać. Przed oczami tańczyły mu szalone sceny: Patricia McCardle z drinkiem, który wylał jej za dekollet, Bobbi schodząca chwiejnym krokiem z werandy, żeby go przywitać, gdy w końcu przyjechał; wysoki mężczyzna ze złotą maseczką na twarzy i ustach, spoglądający na niego zza szyby terenowego auta, kiedy Gardener leżał pijany na werandzie.

Gdybym zaczął kopać w paru innych miejscach zwirowni, może znalazłbym też tego jeepa, pomyślał i w tym momencie żołądek w końcu się zbuntował.

Gardener wyszarpnął ustnik i zwymiotował, łapiąc się pnia sosny rosnącej na skraju polany, żeby nie stracić równowagi.

Zrobił to jeszcze raz, zdając sobie sprawę, że nigdy w życiu nie doświadczył takich torsji. Kiedyś jednak o tym czytał. Wyrzucał z siebie treść żołądka, przemieszane z krwią duże

porcje wylatywały z niego z szybkością pocisków. I przypominały pociski. Dostał ataku wymiotów szybkostrzelnych. W kręgach medycznych nie uważano tego za oznakę zdrowia.

Przed oczami wirowały mu szare płyty. Ugięły się pod nim kolana. Kurwa, umieram, uświadomił sobie, ale myśl była pozbawiona gradientu emocjonalnego. Ponura wiadomość, nic więcej. Jego dłoń zsunęła się po chropowatej korze sosny, dotykając lepkiego soku. Jak przez mgłę zdał sobie sprawę, że w powietrzu unosi się ohydna ostra i siarkowa woń — taki zapach czuć w papierni po tygodniu bezwietrznej i pochmurnej pogody. Nic go to nie obchodziło. Nieważne, czy po tamtej stronie czekają na niego pola elizejskie, czy wielkie czarne nic, na pewno nie będzie tam tego smrodu. Może więc jednak okaże się zwycięzcą. Najlepiej sobie odpuścić...

Nie! Nie możesz tak po prostu odpuścić! Wróciłeś, żeby ratować Bobbi i choć być może nie dało się już jej uratować, jest jeszcze dzieciak, którego może da się ocalić. Proszę, Gard, przynajmniej spróbuj!

— Spraw, żeby nie na darmo — powiedział załamującym się głosem. — Jezu Chryste, spraw, żeby to wszystko nie okazało się na darmo.

Szare strzępy mgławicy trochę się rozrzedziły. Wymioty ustąpiły. Gardener uniósł dłoń do twarzy, strącając płatek zakrzepłej krwi.

W tym momencie jego szyi dotknęła ręka i całe ciało Gardenera pokryło się gruzełkami gęsiej skórki. Ręka... ręka Bobbi... ale już nie ludzka ręka.

Gard, dobrze się czujesz?

— Dobrze — odrzekł głośno i ciężko dźwignął się na nogi.

Świat zadygotał i rozmył się, lecz po chwili znów nabrał ostrości. Pierwsza pojawiła się w nim Bobbi. Na jej twarzy malował się wyraz zimnego wyrachowania. Gard nie dostrzegł cienia miłości ani nawet udawanej troski. Bobbi takie uczucia już były obce.

— Chodźmy — powiedział ochryple Gardener. — Ty poprowadź. Czuję się... — Potknął się i żeby nie upaść, złapał Bobbi za dziwne, węzlaste ramię —trochę nie bardzo.

2

Zanim wrócili na farmę, Gardener poczuł się lepiej. Krwawienie z nosa zmniejszyło się w wąską strużkę. Kiedy trzymał w zębach ustnik, połknął sporo krwi i stąd tyle krwawych śladów, jakie widział w wymiocinach. Taką przynajmniej miał nadzieję.

Stracił w sumie dziewięć zębów.

— Chcę się przebrać w czystą koszulkę — rzekł do Bobbi.

Bobbi dość obojętnie skinęła głową.

— Przyjdź potem do kuchni — powiedziała. — Musimy porozmawiać.

— Tak, chyba musimy.

Gardener zdjął koszulkę i nałożył czystą. Wypuścił ją na spodnie. Podeszedł do łóżka, podniósł materac i wyciągnął czterdziestkępiątkę. Wetknął ją za pasek. Koszulka była za duża; mocno schudł. Kiedy wciągnął brzuch, przez materiał prawie nie było widać zarysu rękojęści. Przystanął jeszcze na chwilę, zastanawiając się, czy jest gotów. Przypuszczał, że nigdy nie można wiedzieć takich rzeczy z góry. W skroniach pulsował nieznośny ból, a świat zdawał się na przemian tracić i odzyskiwać ostrość w wolnych, regularnych cyklach. Bolały go usta, nos miał zapchany zaschlą krwią.

No i w końcu do tego doszło; ostateczny pojedynek, jak z westernów Bobbi. W samo południe w środkowym Maine. Twój ruch, chłopie.

Po jego twarzy jak duch przemknął cień uśmiechu. Wszyscy ci przemądrzali i niewarci złamanego grosza filozofowie twierdzili, że życie to dziwna sprawa, ale było to twierdzenie skandaliczne.

Wszedł do kuchni.

Bobbi siedziała przy stole i patrzyła. Pod przezroczystą skórą jej twarzy ledwie dostrzegalnie krążył dziwny zielony płyn. Jej oczy — o nienaturalnie zniekształconych źrenicach wpatrywały się posepnie w Gardenera.

Na stole stał wielki radiomagnetofon. Trzy dni temu na prośbę Bobbi przyniósł go Dick Allison. Był to ten sam aparat, za pomocą którego Hank Buck wysłał Pitsa Barfielda do wielkiej bazy–uzup w przestworzach. W ciągu niecałych dwudziestu minut Bobbi podłączyła obwody urządzenia do zabawkowego pistoletu fotonowego, który trzymała wycelowany w Gardenera.

Na stole stały dwa piwa i fiolka tabletek. Gardener poznał fiolkę. Kiedy się przebierał, Bobbi pewnie poszła do łazienki.

To było jego valium.

— Usiądź, Gard — powiedziała Bobbi.

3

Gard zasłonił tarczą swoje myśli, gdy tylko wyszedł ze statku. Pytanie, ile zostało mu z tej osłony.

Wolno podszedł do stołu i usiadł. Poczul, jak czterdziestkapiątka wbija mu się w brzuch i pachwinę; poczul też, jak wbija mu się w umysł, opierając się ciężko na tym, co pozostało z jego zasłony.

— To dla mnie? — zapytał, wskazując tabletki.

— Pomyślałam, że napijemy się piwa — powiedziała spokojnie Bobbi. — Jak przyjaciele, co? I kiedy będziemy rozmawiać, mógłbyś kilka połknąć. Pomyślałam sobie, że tak będzie najbardziej humanitarnie.

— Humanitarnie — zadumał się Gardener. Poczul pierwszy, choć jeszcze słaby przypływ gniewu. Nie dam się więcej nabrać, powiada piosenka*, ale okropnie trudno zerwać z przyzwyczajeniem. Nieraz dawał się nabrać jak dziecko. Gard, stary, może akurat jesteś wyjątkiem od reguły, pomyślał.

— Ja dostanę tabletki, ale Peter trafił do tego dziwaczego akwarium w szopie. Bobbi, twoje pojęcie o tym, co jest humanitarne, przeszło kurewsko radykalną zmianę od czasów, kiedy płakałaś, gdy Peter przynosił do domu martwego ptaszka. Pamiętasz te czasy? Mieszkaliśmy tu razem, robiliśmy wstręty twojej siostrze, kiedy przyjeżdżała, ale nigdy nie musieliśmy jej wsadzać do kabiny prysznicowej. Po prostu wysyłaliśmy ją do wszystkich diabłów. — Spojrzał na nią posepnie. — Pamiętasz, Bobbi? Byliśmy przyjaciółmi i kochaliśmy się. Być może zapomniałaś. Mogłem umrzeć dla ciebie. I umarłbym bez ciebie. Pamiętasz? Pamiętasz nas?

Bobbi spoglądała na własne ręce. Czyżby widział łzy w tych dziwnych oczach? Zapewne chciał je zobaczyć.

— Kiedy byłeś w szopie?

— Wczoraj wieczorem.

— Czego dotykałeś?

— Kiedyś dotykałem ciebie — odrzekł w zadumie Gardener. — A ty mnie. I żadne z nas nie miało nic przeciwko temu.

Pamiętasz?

— Czego dotykałeś? — wrzasnęła przenikliwym głosem i gdy uniosła głowę, nie zobaczył Bobbi, tylko wściekłego potwora.

* „Won't Get Fooled Again”, The Who — cytowana w motcie (przyp. tłum.).

— Niczego — powiedział Gardener. — Niczego nie dotykałem. — Jego pogardliwa mina musiała wyglądać bardziej przekonująco niż wszelkie protesty, ponieważ Bobbi nieco się uspokoiła. Ostrożnie pociągnęła łyk piwa.

— Nieważne. I tak nie mogłeś tam nic popsuć.

— Jak mogłaś to zrobić Peterowi? Tego staruszka nie znałem, a Anne sama się w to wpakowała. Ale znałem Petera. On też był gotów dla ciebie umrzeć. Jak mogłaś to zrobić? Na miły Bóg!

— Dzięki niemu żyłam, kiedy cię tu nie było — rzekła Bobbi. Nie zamierzała się bronić, w jej głosie brzmiała ledwie słyszalna nutka niepokoju. — Kiedy pracowałam dwadzieścia cztery godziny na dobę. Tylko dzięki niemu coś ze mnie zostało, gdy w końcu przyjechałeś.

— Pieprzony wampir!

Spojrzała na niego i odwróciła wzrok.

— Jezu Chryste, zrobiłaś coś takiego, a ja na to przystałem! Wiesz, jak to boli? Przystałem na to! Widziałem, co się z tobą dzieje... i w mniejszym stopniu z innymi, a mimo to przystałem na to. Bo zwariowałem. Ale ty, oczywiście, o tym wiedziałaś. Wykorzystałaś mnie tak samo jak Petera, tylko że ja nie miałem chyba nawet tyle sprytu co stary beagle, bo nie musiałaś mnie pakować do szopy i wsadzać mi do głowy tych obrzydliwych, zgniłych kabli. Po prostu wlewałaś we mnie wodę. Dalaś mi łopate, mówiąc: „Masz, Gard, wykopujemy to cacko i powstrzymamy policję z Dallas”. Tylko że to ty jesteś policją z Dallas. A ja na to wszystko przystałem.

— Wypij piwo — powiedziała Bobbi. Jej twarz znów była zimna i nieruchoma.

— A jeżeli nie?

— Wtedy włączę radio — odparła Bobbi — otworzę dziurę w rzeczywistości i wyślę cię... gdzieś...

— Na Altaira-4? — spytał Gardener. Powiedział to beztróskim tonem, zaciskając w duchu dłoń

(tarcza-tarcza-tarcza)

na zasłonie myśli. Czoło Bobbi przecięła zmarszczka, a Gardener znów poczuł w głowie wścibskie palce jej myśli, które grzebały w środku, usiłując odkryć, co wie, ile wie... i skąd.

Odwróć jej uwagę. Wkurz ją i odwróć jej uwagę. Ale jak?

— Trochę powęszyłeś, co? — zapytała Bobbi.

— Dopiero kiedy się przekonałem, ile kłamstw mi nawygadywałaś. — I już wiedział. Znalazł to w szopie, nawet o tym nie wiedząc.

— Większość kłamstw sam sobie nawygadywałeś, Gard.

— Doprawdy? A co z tym chłopakiem, który zginął? I dziewczyną, która oślepla?

— Skąd wie...

— Z szopy. Tam się przecież chodzi, żeby nabrać rozumu, nie?

Milczała.

— Wysłałaś ich po baterie. Zabiłaś chłopaka i oślepiłaś dziewczynę dla baterii. Jezu, Bobbi, do jakiej głupoty możesz się jeszcze posunąć?

— Jesteśmy inteligentniejsi, niż kiedykolwiek mógłbyś...

— Kto mówi o inteligencji? — krzyknął z wściekłością. Mówię o logice! Odrobinie zdrowego pierdolonego rozsądku!

Tuż za twoim domem biegną linie energetyczne Central Maine Power! Dlaczego pod nie się nie podłączyłaś?

— Jasne. — Bobbi uśmiechnęła się swoimi nowymi ustami. — Rzeczywiście inteligentny, przepraszam, rozsądny, pomysł. I kiedy tylko jakiś technik na podstacji w Augustie zauważy, jak szaleją wskazówki poboru energii...

— Przecież wszystko zasilasz bateriami R14, R20 i paluszkami — powiedział Gard. — To zaledwie strumyczek. Gość zasilający z sieci piłą taśmową spowodowałby większe wychylenie tych twoich wskazówek.

Przez moment wyglądała na zmieszaną. Zaczęła słuchać nie kogoś innego, ale własnego wewnętrznego głosu.

— Baterie dają prąd stały, Gard. Prąd zmienny z sieci byłby na...

Gardener rąbnął się pięściami w skronie.

— Nigdy nie widziałaś prostownika? Można je kupić w Radio Shack za trzy dolce! Poważnie próbujesz mi wmówić, że nie potrafiłaś zrobić zwykłego prostownika, skoro umiesz latać traktorem i telepatycznie pisać na maszynie?

— Nikt o tym nie pomyślał! — wrzasnęła nagle.

Nastąpiła chwila ciszy. Bobbi wyglądała na oszołomioną tonem własnego głosu.

— Nikt o tym nie pomyślał — powtórzył Gardener. — No, tak. A więc wysłałaś tych dwoje dzieciaków gotowych zrobić wszystko dla poczciwego Haven i teraz jedno nie żyje, a drugie nie widzi. Zrobiło się z tego straszne gówno, Bobbi. Nie obchodzi mnie, kto czy co cię opętało — jakaś część ciebie musi gdzieś tam w środku być. I musi zdawać sobie sprawę, że nie robicie nic twórczego. Wręcz przeciwnie. Najedliście się szaleju i gratulujecie sobie nawzajem, jakie to wszystko wspaniałe. Ale to ja zwariowałem. Powtarzałem sobie, że wszystko będzie dobrze, nawet kiedy już wiedziałem, że nie. Jednak to takie samo gówno jak zawsze. Umiecie dezintegrować ludzi, umiecie ich teleportować do jakiegoś miejsca, żeby ich tam przechować czy pochować, ale jesteście głupi jak dziecko z naładowanym pistoletem.

— Chyba lepiej będzie, jak się zamkniesz, Gard.

— Nie pomyśleliście o tym — powiedział cicho. — Jezu, Bobbi! Jak możesz patrzeć na siebie w lustrze? Jak każde z was może?

— Powiedziałam, że lepiej będzie...

— Wspomniałaś kiedyś o genialnych idiotach. Ale z wami jest znacznie gorzej. Jakbyście byli gromadką dzieciaków, które siedzą nad planami drewnianych wyścigówek, przygotowując się do wysadzenia świata. Nie jesteście nawet źli. Głupi, ale nie źli.

— Gard...

— Jesteście po prostu gromadą głupków ze śrubokrętami. — Wybuchnął śmiechem.

— Zamknij się! — wrzasnęła.

— Jezu — rzekł Gard. — Naprawdę mogłem pomyśleć, że Siostrunia nie żyje? Naprawdę? Bobbi dygotała.

Wskazał pistolet fotonowy.

— Czyli jeżeli nie wypiję piwa i nie połknę tabletek, wyślesz mnie na Altaira-4, zgadza się? Będę się zajmował Davidem Brownem, dopóki się obaj nie podusimy, nie umrzemy z głodu albo od promieniowania kosmicznego.

Spoglądała na niego z lodowatą nienawiścią. Zabolało bardziej, niż mógłby przypuszczać — ale przynajmniej nie próbowała czytać mu w myślach. Zapomniała o tym w złości.

Tak jak oni wszyscy zapomnieli, jak łatwo podłączyć zasilany bateriami magnetofon do gniazdka w ścianie, umieszczając prostownik między źródłem prądu a urządzeniem.

— Tak naprawdę nie ma żadnego Altaira-4 ani żadnych Stukostrachów. Nie istnieją rzeczowniki, które można przypisać pewnym rzeczom — one po prostu są. Ktoś w jednym miejscu nadaje im taką nazwę, gdzie indziej nadaje im inną. Nie ma dobrej nazwy, ale to nieważne. Wróciłeś z New Hampshire, mówiąc i myśląc o Stukostrachach, więc tak się tu nazywamy.

Gdzie indziej nazywano nas inaczej. Podobnie z Altair-4. To po prostu miejsce, gdzie przechowuje się różne rzeczy. Zwykle martwe przedmioty. Na strychu bywa chłodno i ciemno.

— Stamtąd pochodzicie? Ty i twoi ludzie?

Bobbi — lub raczej to coś, co trochę ją przypominało — zaśmiała się prawie łagodnie.

— Nie jesteśmy „ludźmi”, Gard. Ani „rasą”. Ani „gatunkiem”. Nie ukaże się Klaatu, mówiąc: „Zaprowadź nas do waszego przywódcy”. Nie, nie jesteśmy z Altaira-4.

Spojrzała na niego, wciąż uśmiechając się nieznacznie. Odzyskiwała spokój... i na razie chyba zapomniała o tabletkach.

— Jeśli wiesz o Altairze-4, ciekawa jestem, czy nie zdziwił cię fakt istnienia statku.

Gardener spojrzał na nią w milczeniu.

— Nie przypuszczam, żebyś miał czas zastanowić się, dlaczego rasa, która ma dostęp do technik teleportacji... — Bobbi poruszyła lekko plastikowym pistoletem — w ogóle zadaje sobie trud śmigania po niebie w fizycznym statku.

Gardener uniósł brwi. Rzeczywiście, nie zastanawiał się nad tym, ale kiedy Bobbi poruszyła tę sprawę, przypomniał sobie, jak jego znajomy z college’u zastanawiał się kiedyś na głos, dlaczego Kirk, Spock i reszta latają statkiem kosmicznym, zamiast się po prostu teleportować po wszechświecie.

— Jeszcze jedna porcja szaleju — powiedział.

— Ależ nie. To przypomina radio. Są różne długości fal. Rozumiemy niewiele więcej ponadto. Dotyczy to zresztą większości rzeczy, Gard. Jesteśmy od budowania, nie od rozumienia.

— W każdym razie udało się nam wyizolować około dziewięćdziesięciu tysięcy „czystych” długości fal — czyli ustawień liniowych, które spełniają dwa warunki: unikają paradoksu uniemożliwiającego reintegrację żywej tkanki i niezwiązanej materii i w ogóle dokądś prowadzą. Ale w prawie wszystkich wypadkach nikt nie miałby ochoty się tam wybierać. — Jak wycieczka do Utiki z opłaconym przejazdem i pobytem, co?

— Znacznie gorzej. Jest takie miejsce, które bardzo przypomina powierzchnię Jowisza. Jeśli otworzysz prowadzące tam drzwi, różnica ciśnień wywoła tornado, które szybko osiągnie taki ładunek elektryczny, że zacznie rozdymać drzwi coraz szerzej... jakby rozdzierało ranę. Siła grawitacji jest tak ogromna, że zacznie wysysać ziemię świata — intruza, tak jak korkociąg wyciąga korek z butelki. Gdyby zostać na tej „stacji” dłużej, spowodowałoby to zaburzenie grawitacyjne w orbicie planety, przy założeniu, że masa byłaby zbliżona do masy Ziemi. Albo mogłoby ją rozzerwać na kawałki, w zależności od składu planety.

— Czy tutaj mogło dojść do czegoś podobnego? — Gard miał zdrętwiałe usta. Wobec takiej perspektywy Czarnobyl wydawał się równie ważny jak pierdnięcie w budce telefonicznej. *A ty na to przystałeś, Gard!* — krzyknął głos w jego głowie. — *Pomogłeś to wykopać!*

— Nie, chociaż niektórych trzeba byto odwieść od kombinowania przy transporcie/transmaterii. — Uśmiechnęła się. — Jednak coś takiego stało się w innym miejscu, które odwiedziliśmy.

— Co się stało?

— Zamknęli drzwi przed ostateczną katastrofą, ale kiedy zmienił się tor orbity, wielu ludzi się ugotowało. — Mówiła takim tonem, jakby temat bardzo ją nudził.

— Wszyscy? — szepnął Gardener.

— Nie. Na jednym z biegunów żyje jeszcze dziewięć czy dziesięć tysięcy — odrzekła Bobbi. — Chyba.

— Jezu. Jezu drogi, Bobbi.

— Inne kanały wychodzą na skałę. Po prostu skałę. Wnętrze jakiegoś miejsca. Większość wychodzi na otwartą przestrzeń. Nigdy nie umieliśmy nanieść na naszych mapach ani jednego z tych punktów. Pomyśl tylko, Gard! Każde miejsce jest dla nas obce... nawet dla nas, a jesteśmy przecież wielkimi podniebnymi wędrowcami.

Pochyliła się, pociągając kolejny łyk piwa. Zabawkowy pistolet, który nie był już zabawką, tkwił wymierzony w pierś Gardenera i ani drgnął.

— I tak wygląda teleportacja. Nieźle, co? Parę skał, mnóstwo dziur i jeden kosmiczny strych. Może pewnego dnia ktoś znajdzie długość fali prosto do serca jakiegoś słońca i w okamgnieniu spali całą planetę.

Zaśmiała się, jak gdyby był to najprzedniejszy żart. Jednak pistolet ani drgnął.

Poważniejąc, Bobbi powiedziała:

— Ale to nie wszystko, Gard. Kiedy włączasz radio, myślisz o nastawieniu go na jakąś stację. Ale zakres — wszystkie megaherce, kiloherce i tak dalej — to nie tylko stacje. To także puste miejsca między stacjami. Właściwie niektóre pasma składają się głównie z takich miejsc. Nadążasz?

— Tak.

— W taki zawołany sposób próbuję cię przekonać, żebyś połknął tabletki. Nie wyślę cię w miejsce, które nazywasz Altairem-4, Gard — tam umierałbyś długo i w bardzo przykry sposób.

— Tak jak umiera David Brown?

— Z tym nie miałam nic wspólnego — powiedziała szybko. — To sprawka tylko i wyłącznie jego brata.

— Jak na procesie w Norymberdze, co? Właściwie nikt nie był niczemu winien.

— Idioto — powiedziała Bobbi. — Nie rozumiesz, że to czasem prawda? Jesteś takim tchórzem, że nie umiesz się pogodzić z myślą o zdarzeniach losowych?

— Umiem. Ale wierzę też w zdolność jednostki do zmiany irracjonalnych zachowań.

— Doprawdy? Ty nigdy nie byłeś do tego zdolny.

„Strzeliłeś do żony — usłyszał głos dłubiącego w nosie zastępcy szeryfa. — Nieźle, kurwa, co?”.

Może czasem ludzie trochę późno postanawiają oddać się pokucie, pomyślał, spoglądając na własne dłonie.

Oczy Bobbi wpiły się w jego twarz. Musiała wyczytać część myśli. Próbował wzmocnić osłonę — splątany gąszcz chaotycznych myśli — jak elektryczny szum.

— O czym myślisz, Gard?

— O niczym, o czym powinnaś wiedzieć — odparł, uśmiechając się nieznacznie. — Powiedzmy, że to... taka kłódka na drzwiach szopy.

Rozciągnęła wargi w gniewnym grymasie... lecz po chwili na jej twarz powrócił zagadkowy łagodny uśmiech.

— Nieważne — powiedziała. — I tak mogłabym nie zrozumieć. Jak mówiłam, nigdy nie byliśmy najlepsi w rozumieniu. Nie jesteśmy rasą super-Einsteinów. Chyba lepszym porównaniem byłby Thomas Edison w kosmosie. Mniejsza z tym. Nie wyślę cię tam, gdzie umierałbyś długo i boleśnie. Na swój sposób ciągle cię kocham, Gard, i jeśli muszę cię dokądś wysłać, wolę cię wysłać... donikąd.

Wzruszyła ramionami.

— To pewnie tak, jakby zażyć eter... chociaż możliwe, że trochę zaboli. Może nawet będziesz cierpieć. W każdym razie zawsze lepszy znany wróg niż nieznan.

Nagle Gardener wybuchnął płaczem.

— Bobbi, zaiste mogłaś mi oszczędzić żalu, gdybyś przypomniała mi o tym wcześniej.

— Weź tabletki, Gard. Staw czoło znanemu wrogowi. W tym stanie dwieście miligramów valium szybko załatwi sprawę. Nie zmuszaj mnie, żebym cię wysyłała jak list adresowany donikąd.

— Opowiedz mi jeszcze o Stukostrachach — powiedział Gard, ocierając twarz.

Bobbi się uśmiechnęła.

— Najpierw tabletki. Jeżeli zaczniesz łykać tabletki, powiem ci wszystko, co zechcesz. A jeśli nie... — Uniosła pistolet fotonowy.

Gardener odkręcił fiolkę, wytrząsnął z niej sześć niebieskich tabletek z serduszkami (walentynki z Doliny Otepienia, pomyślał), wrzucił do ust, a potem otworzył piwo, pociągnął łyk i połknął. Zdrówko — poszło sześćdziesiąt miligramów. Może jedną mógłby schować pod językiem, ale sześć? *Spójrzmy prawdzie w oczy. Zostało mało czasu. Żołądek opróżniłem do dna, straciłem dużo krwi, nie brałem tego gówna imam zerową tolerancję, schudłem o trzydzieści funtów, odkąd dostałem pierwszą receptę. Jeżeli szybko się tego nie pozbędę, cholera rąbnie mnie jak rozpedzona ciężarówka.*

— Opowiedz mi o Stukostrachach — poprosił znowu. Opuścił jedną rękę na kolana, dotykając rękojęści

(*tarcza–tarcza–tarcza*)

rewolweru. Kiedy to świństwo zacznie działać? Za dwadzieścia minut? Nie pamiętał. Nikt mu zresztą nie mówił o przedawkowaniu valium.

Bobbi wskazała plastikowym pistoletem tabletki.

— Weź jeszcze trochę, Gard. Jak mogła kiedyś powiedzieć Jacqueline Susann, sześć to za mało.

Wytrząsnął z fiolki jeszcze cztery, ale położył je na ceracie.

— Miałaś tam cholernego cykora, prawda? — spytał Gardener. — Widziałem twoją minę, Bobbi. Wyglądałaś, jakbyś myślała, że wszyscy wstaną i zaczną iść. „Dzień umarłych”.

Nowe Ulepszone Oczy Bobbi mrugnęły... ale głos pozostał cichy.

— Ale my żyjemy, Gard. Wróciliśmy.

Gard wziął cztery tabletki valium i podrzucił je w dłoń.

— Chcę, żebyś powiedziała mi jedną rzecz, wtedy je połknę. — Tak. Ta jedna rzecz w pewien sposób dawałaby odpowiedź na wszystkie pozostałe pytania — te, których nigdy nie będzie już miał okazji zadać. Może dlatego jeszcze nie użył broni. Bo naprawdę musiał to wiedzieć. Tę jedną jedyną rzecz.

— Chcę wiedzieć, kim jesteście — powiedział Gard. — Powiedz mi, kim jesteście.

4

— Odpowiem ci, a przynajmniej spróbuję — powiedziała Bobbi — jeżeli połkniesz tabletki, które w tej chwili podrzucasz w ręce. Inaczej — pa–pa, Gard. Coś ci siedzi w głowie. Nie potrafię tego odczytać — jak gdybym widziała jakiś kształt przez gazę. Ale to coś wyjątkowo mnie denerwuje.

Gardener włożył tabletki do ust i połknął.

— Więcej.

Wytrząsnął jeszcze cztery i wziął. Teraz miał już w sobie sto czterdzieści miligramów. Grał o wszystko. Bobbi wyraźnie się rozluźniła.

— Mówiłam, że bliżej nam do Thomasa Edisona niż do Alberta Einsteina i to porównanie jest dobre — powiedziała Bobbi. — Przypuszczam, że niektóre rzeczy w Haven nie mieściłyby się Albertowi w głowie, ale Einstein wiedział, co to znaczy $E = mc^2$. Rozumiał względność. On wiedział. Natomiast my... robimy różne rzeczy. Naprawiamy. Nie teoretyzujemy. Budujemy. Jesteśmy złote rączki.

— Ulepszenie — powiedział Gardener. Połknął. Pamiętał, że gdy valium zaczyna działać, człowiekowi robi się sucho w gardle. Kiedy to poczuje, będzie musiał działać. Sądził, że może już przyjął śmiertelną dawkę, a w fiolce zostało jeszcze przynajmniej dwanaście tabletek.

Twarz Bobbi nieco pojaśniała.

— Ulepszamy! Otóż to! Ulepszyli... ulepszyliśmy Haven. Kiedy tylko przyjechałeś, przekonałeś się, jakie to daje możliwości. Nie trzeba więcej ssać ze wspólnego cycka! Może kiedyś będzie można zupełnie przestawić się na... hm... źródła oparte na akumulatorach organicznych. Są odnawialne i dość trwałe.

— Mówisz o ludziach.

— Nie tylko, chociaż rzeczywiście wyższe gatunki wytwarzają energię dłużej niż niższe — być może to funkcja raczej duchowości niż inteligencji. Najlepszym słowem jest chyba łacińskie *esse*. Ale nawet Peter działa wyjątkowo długo, wytwarzając naprawdę dużo energii, choć to tylko pies.

— Może dlatego, że ma duszę — rzekł Gardener. — Może dlatego, że cię kocha. — Wyciągnął czterdziestkę z pasa, przyciskając ją

(*tarcza tarcza tarcza*)

do wewnętrznej strony uda.

— To nie ma nic do rzeczy. — Bobbi machnięciem ręki zbyła temat miłości i duszy Petera. — Z jakiegoś powodu uznałeś, że moralność tego, co robimy, jest nie do przyjęcia — ale spektrum zachowań, które twoim zdaniem są moralnie do przyjęcia, jest bardzo wąskie. Nieważne; niedługo i tak zaśniesz...

Nie mamy żadnej historii, ani spisanej, ani przekazywanej ustnie. Kiedy powiedziałeś, że statek się rozbił, bo dowodzący nim walczyli o ster, było w tym chyba ziarno prawdy... ale z drugiej strony wydaje mi się, że tak pewnie musiało się stać, że to było z góry przesądzone. Telepaci są przynajmniej do pewnego stopnia jasnowidzami, Gard, a jasnowidze są bardziej skłonni poddawać się silniejszym i słabszym prądom płynącym przez wszechświat. Niektórzy ludzie nazywają te prądy „Bogiem”, ale „Bóg” to tylko słowo, tak jak Stukostrachy albo Altair-4.

Chodzi mi o to, że niemal na pewno dawno byśmy wyginęli, gdybyśmy nie zaufali tym prądom, bo zawsze byliśmy dość zapalczywi i gotowi do kłótni. Chociaż nie, „kłótnia” to zbyt ogólne słowo. Nie kłócimy się, tylko... tylko... — Oczy Bobbi błysnęły nagle głęboką, jaskrawą zielenią. Jej usta rozciągnęły się w bezzębnym uśmiechu. Gardener ścisnął rękę, broni spoconą dłonią.

— Sprzecząmy się! — oznajmiła triumfalnie Bobbi. — *Le mot juste*, Gard!

— Brawo — rzekł Gardener i głośno przełknął ślinę. Suchość w gardle nie skradała się powoli, lecz zjawiała się nagle.

— Tak, sprzecząmy się, zawsze się sprzeczałyśmy. Jak dzieci, można powiedzieć. — Bobbi uśmiechnęła się. — Jesteśmy bardzo dziecinni. To nasza dobra strona.

— Teraz też? — Nagle w głowie Gardenera zjawił się makabryczny obraz: dzieci z podstawówki idą do szkoły, uzbrojone w książki i uzi, pudełka w Smurfy z drugim śniadaniem, i M-16, jabłka dla nauczycieli, których lubią, i granaty odłamkowe dla nauczycieli, których nie lubią. Chryste, każda dziewczynka wyglądała jak Patricia McCardle, a każdy chłopiec jak Ted Energetyk. Ted Energetyk o lśniących zielonkawych oczach, które tłumaczyły całe pieprzone gówno tego świata, od krucjat z kuszami po uzbrojone w pociski satelity Reagana.

Sprzecząmy się od czasu do czasu i nawet trochę się poszarpiemy. Jesteśmy chyba dorośli, ale często wpadamy w gniew jak dzieci i lubimy się bawić jak dzieci, dlatego aby pogodzić te dwa pragnienia, budujemy te zmyślne proce nuklearne i od czasu do czasu zostawiamy tu i ówdzie, żeby ludzie mogli je znaleźć i wiesz co? Zawsze je znajdują. Ludzie tacy jak Ted, skłonni zabijać, żeby żadnej kobiecie w Braintree, którą na to stać, nie brakło prądu do suszarki do włosów. Ludzie tacy jak ty, Gard, dla których zabijanie w imię pokoju ma tylko nieznaczące minusy.

Bez broni i sprzeczek świat byłby przecież taki nudny, prawda?

Gardener zdał sobie sprawę, że coraz bardziej chce mu się spać.

— Dziecinni — powtórzyła Bobbi. — Kłócimy się... ale potrafimy też być bardzo hojni. Tak jak tu.

— Rzeczywiście, byliście bardzo hojni dla Haven — rzekł Gardener i nagle jego szczęki rozwarły się w potężnym ziewnięciu, mocno napinając ścięgna.

Bobbi się uśmiechnęła.

— W każdym razie przypuszczalnie rozbiliśmy się, bo według prądów, o których ci mówiłam, akurat przyszedł „czas na rozbicie”. Oczywiście, statek nie uległ żadnym uszkodzeniom. A kiedy zaczęłam go odkopywać... wróciliśmy.

— Jest was więcej?

Bobbi wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. — I nic mnie to nie obchodzi, mówił jej gest. Teraz jesteśmy tutaj. Trzeba wprowadzić parę ulepszeń. I tyle.

— Naprawdę jesteście tylko tym? — Chciał się upewnić; upewnić, że nie kryją żadnej więcej tajemnicy. Strasznie się bał, że za bardzo to przeciąga... jednak musiał wiedzieć. — Nikim więcej?

— Jak to, nikim więcej? A więc to mało?

— Szczerze mówiąc, tak — odrzekł Gardener. — Widzisz, całe życie szukałem diabła poza własnym życiem, bo tego w środku cholernie trudno było złapać. Niełatwo jest tyle czasu uważać się za... Homera... — Znów szeroko ziewnął. Powieki ciążyły mu jak kamienie. — A potem odkryć, że zawsze było się... kapitanem Ahabem.

Wreszcie, po raz ostatni, niemal rozpaczliwie, spytał:

— I naprawdę tylko tym jesteście? Naprawiaczami?

— Chyba tak — odparła. — Przykro mi, że sprawiłam ci taki za...

Gardener uniósł pod stołem pistolet i w tym samym momencie poczuł, że valium w końcu go zdradziło: opadła zasłona jego myśli.

Oczy Bobbi rozbłysły — nie, tym razem cisnęły wściekle błyskawice. Głowę Gardenera jak tasak rzeźnicki rozdarł przenikliwy wrzask jej myśli

(broń ma broń ma broń)

rozcinający unoszącą się mgłę.

Próbowała się poruszyć, usiłując równocześnie wymierzyć do niego z pistoletu fotonowego. Gardener wycelował do Bobbi z czterdziestkapiątki i pociągnął za spust. Rozległ się tylko suchy trzask. Stary pocisk nie wystrzelił.

John Leandro umarł. Sensacja przeżyła.

David Bright obiecał dać Leandrowi czas do czwartej i zamierzał dotrzymać tej obietnicy — bo tak oczywiście nakazywał honor, ale także dlatego, że nie był pewien, czy chce w tym maczać palce. Może się okazać, że to nie temat, ale młockarnia, która wciągnie palec, a potem całą rękę.

Mimo to nie miał wątpliwości, że John Leandro mówi prawdę albo to, co uważa za prawdę, choć wydawała się zupełnie zwariowana. Johnny był neptkiem, czasem nie tyle pochopnie wyciągał wnioski, ile wrywał je w gorączkowym pośpiechu — ale nie kłamał (nawet gdyby kłamał, Bright nie sądził, żeby miał tyle sprytu, aby wymyślić tak poplątaną historię).

Okolo wpół do trzeciej po południu Bright nagle zaczął myśleć o innym Johnnym — biednym Johnnym Smisie, który czasem dotykał przedmiotów i miał „wrażenia”. To też było wariactwo, ale Bright wierzył Johnny’emu Smithowi i wierzył w to, co Johnny twierdził, że potrafi. Nie sposób było spojrzeć w jego znękane oczy i nie uwierzyć. Bright wprawdzie nie dotykał niczego, co należało do Johna Leandra, ale widział jego biurko na drugim końcu pokoju, pokrowiec starannie naciągnięty na komputer i zaczynał mieć okropne wrażenie. Czuł, że John Leandro może już nie żyć.

Powtarzał sobie, że zachowuje się jak stara baba, ale wrażenie nie zniknęło. Bright myślał o głosie Leandra, zdesperowanym i łamiącym się z przejęcia. To mój temat i nie zamierzam go tak po prostu zostawić. Myślał o oczach Johnny’ego Simtha i charakterystycznym geście, jakim pocierał sobie czoło z lewej strony. Oczy Brighta jak przyciągane magnesem wracały do pokrowca na biurku Leandra.

Wytrzymał do trzeciej. Wrażenie zmieniło się w bolesne przekonanie. Leandro nie żył. Nie było miejsca na niejasności. Pewnie nigdy w życiu nie będzie miał drugiego prawdziwego przecucia, ale teraz na pewno je miał. Leandro nie zwariował, nie został ranny, nie zaginął. Po prostu nie żył.

Bright podniósł słuchawkę i choć wykręcił numer centrali w Cleaves Mills, Bobbi i Gard od razu wiedzieli, że w rzeczywistości to jest rozmowa zamiejscowa: pięćdziesiąt pięć dni po tym, jak Bobbi Anderson potknęła się w lesie, ktoś postanowił w końcu zadzwonić na policję z Dallas.

Człowiekiem na komendzie policji stanowej w Cleaves Mills, z którym rozmawiał Bright, był Andy Torgeson. Bright znał go od college’u i mógł z nim rozmawiać bez obawy, że ma wytatuowany na czole jaskrawoczerwonymi literami SZPICEL PRASOWY. Torgeson słuchał cierpliwie, niewiele się odzywając, a Bright opowiedział mu o wszystkim, zaczynając od zlecenia Leandrowi napisania artykułu o dwóch zaginionych policjantach.

— Krwawił z nosa, wypadły mu zęby, wymiotował i był przekonany, że to wszystko przez coś w powietrzu?

— Tak — odrzekł Bright.

— I to „nie wiadomo co” w powietrzu cholernie poprawiło mu odbiór w radiu?

— Zgadza się.

— Sądzisz, że mógł się wpakować w kłopoty.

— Znów się zgadza.

— Ja też sądzę, że mógł się wpakować w poważne kłopoty, Dave. Wygląda na to, że chłopak podpada pod paragraf ósmy — zwolnienie ze służby ze względu na nieprzystosowanie psychiczne.

— Wiem, że tak to może brzmieć. Ale nie sądzę, żeby tak było.

— David — powiedział Torgeson tonem, który znamionował wielką cierpliwość — możliwe — przynajmniej w filmach że ktoś opanował miasto i w jakiś sposób je zatrął. Ale przez to miasto biegnie autostrada. W tym miasteczku mieszkają ludzie. I są tam telefony. Naprawdę sądzisz, że ktoś mógłby zatruć całe miasto albo odciąć je od świata i nikt by nic nie wiedział?

— Dawna Derry Road nie jest naprawdę autostradą — zauważył Bright. — Odkąd trzydzieści lat temu wybudowano odcinek I-95 między Bangor a Newport. Od tego czasu dawna Derry Road bardziej przypomina długi opuszczony pas startowy z żółtą linią biegnącą przez środek.

— Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że ostatnio nikt z niej nie korzystał?

— Nie, nie chcę ci niczego powiedzieć... ale Johnny twierdził, że znalazł ludzi, którzy od dwóch miesięcy nie widzieli swoich krewnych z Haven. A ludzie, którzy próbowali ich odwiedzić, nagle zaczęli chorować i musieli szybko wracać. Większość kładła to na karb jakiegoś zatrucia pokarmowego czy czegoś w tym rodzaju. Wspomniał też o sklepie w Troy, gdzie jeden ramol robi kokosy na handlu koszulkami, bo ludziom jadącym z Haven leci krew z nosa... i tak się dzieje od wielu tygodni.

— Mrzonki — powiedział Torgeson. Spoglądając przez salę odpraw, zobaczył, jak dyżurny wyprostował się raptownie i przełożył słuchawkę do lewej ręki, żeby móc pisać. Coś się gdzieś stało i wnioskuje ze zdenerwowanej miny dyżurnego, nie chodziło o słuczkę czy kradzież torebki. Oczywiście ludzie byli, jacy byli, i zawsze coś się gdzieś działo. Choć przyznawał to bardzo niechętnie, coś mogło się również dziać w Haven. Historia wydawała się równie zwariowana jak herbatka w „Alicji w krainie czarów”, ale David nigdy nie sprawiał wrażenia członka klubu czubków. Przynajmniej nie pełnoprawnego, poprawił się.

— Niewykluczone — mówił Bright — ale można to potwierdzić lub temu zaprzeczyć w bardzo prosty sposób, wysyłając jednego człowieka do Haven. — Zamilkł na chwilę. — Proszę cię jako przyjaciel. Nie należę do wielkich fanów Johnny’ego, ale martwię się o niego.

Torgeson wciąż patrzył w stronę dyżurki, gdzie Smokey Dawson kłapał szczęką, terkocząc do słuchawki jak karabin maszynowy. Smokey uniósł głowę, pochwycił spojrzenie Torgesona i wyciągnął rękę, rozczapierzając palce. Czeka — mówił ten gest. — Duża sprawa.

— Dopilnuję, żeby ktoś tam jeszcze dzisiaj pojechał — powiedział Torgeson. — Pojadę sam, jeśli będę mógł, ale...

— Gdybym przyjechał do Derry, mógłbyś mnie zabrać ze sobą?

— Zadzwoń później — rzekł Torgeson. — Coś się dzieje. Dawson wygląda, jakby miał atak serca.

— Będę czekał — powiedział Bright. — Naprawdę bardzo się martwię, Andy.

— Wiem — odparł Torgeson; kiedy wspomniał mu, że coś się dzieje, w głosie Brighta nie usłyszał nawet nutki zainteresowania, co było zupełnie do niego niepodobne. — Zadzwoń.

Dawson wyszedł z dyżurki. Był środek lata i poza Torgesonem, który nadrabiał papierkowe zaległości, cały zespół będący na służbie przebywał w terenie. Mieli całą komendę dla siebie.

— Jezu, Andy — powiedział Dawson. — Nie wiem, co o tym myśleć.

— O czym? — Poczł, jak rodzi się w nim dobrze znane podniecenie; od czasu do czasu Torgeson miewał przebłyski intuicji i w sprawach związanych z własną profesją raczej się nie mylił. Jasne, to musi być duża sprawa. Właściwie nie cierpiał tego dobrze znanego podniecenia, ale jakaś jego część była od niego uzależniona. I nagle właśnie ukryty w nim

nałogowiec dokonał radosnego skojarzenia — które było irracjonalne, lecz bezdyskusyjne. To miało coś wspólnego ze sprawą, o której mówił mu przez telefon David Bright. Niech ktoś zawoła Susła i Kapelusznika, i nie zapomni wrzucić Susła do czajnika, pomyślał. Chyba zaraz zacznie się herbatka.

— Pożar lasu w Haven — powiedział Dawson. — To musi być pożar lasu. Według zgłoszenia, prawdopodobnie pali się Wielki Las Indiańców.

— Prawdopodobnie? Co to za cholerne „prawdopodobnie”?

— Zgłoszenie jest ze stanowiska obserwacyjnego w China Lakes — wyjaśnił Dawson. — Odnotowali dym ponad godzinę temu. Koło drugiej. Zadzwonili do pogotowia straży w Derry i na trzeci posterunek straży leśnej w Newport. Wysłano wozy strażackie z Newport, Unity, China, Woolwich...

— A Troy? Albion? Co z nimi? Chryste, przecież granicą z tym miastem!

— Troy i Albion nie odpowiada.

— A Haven?

— Telefony milczą.

— Daj spokój, Smokey, nie rób sobie jaj. Które telefony?

— Wszystkie. — Spojrzał na Torgesona, z trudem przelękając ślinę. — Oczywiście, jeszcze tego nie potwierdziłem. Ale to jeszcze nie jest najbardziej pokręcone. To znaczy, cała historia jest zwariowana, ale...

— Gadaj, o co chodzi.

Dawson opowiedział. Zanim skończył, Torgesonowi zrobiło się sucho w ustach.

Trzeci posterunek straży leśnej odpowiadał za ochronę przeciwpożarową w okręgu Penobscot, przynajmniej dopóki pożar nie rozprzestrzenił się na większy obszar. Pierwszym zadaniem było prowadzenie obserwacji; drugim wykrycie zarzewia ognia; trzecim zlokalizowanie. Wydawało się to bardzo proste. Ale nie było. W tym wypadku sytuacja wyglądała jeszcze gorzej niż zwykle, ponieważ zgłoszono pożar z odległości dwudziestu mil. Trzeci posterunek wezwał konwencjonalne wozy strażackie, bo w zasadzie istniała możliwość, że będą mogli z nich skorzystać: nie potrafili się skontaktować z nikim z Haven, kto mógłby im powiedzieć, jak jest naprawdę. Według informacji strażników, pożar mógł trawić wschodnie pole Franka Spruce'a albo szaleć milę w głąbi lasu. Wysłali trzy dwuosobowe zespoły w samochodach terenowych, wyposażone w mapy topograficzne, oraz samolot rozpoznawczy. Dawson wspominał o Wielkim Lesie Indiańców, ale wódz Wahwayvokah dawno nie żył, a dziś bardziej do niego pasowała nowa antyrasistowska nazwa na mapach topograficznych: Ognisty Las.

Pierwsze przyjechały jednostki strażackie z Unity... na nieszczęście dla siebie. Trzy czy cztery mile przed granicą Haven, widząc słup dymu unoszący się osiem mil przed nimi, strażacy nagle źle się poczuli. Nie jeden czy dwaj: cała siedmioosobowa załoga wozu. Kierowca parł dalej naprzód... dopóki nie stracił przytomności za kierownicą. Wóz zjechał z dawnej Schoolhouse Road w Unity i rozbił się w lesie półtorej mili przed Haven. W wypadku zginęło trzech ludzi; dwóch wykrwawiło się na śmierć. Przeżyło tylko dwóch, którzy wyczołgali się stamtąd dosłownie na czworakach, wymiotując po drodze.

— Podobno czuli się jak po zatruciu gazem — powiedział Dawson.

— To oni dzwonili?

— Chryste, nie. Ci dwaj, co przeżyli, jadą karetką do szpitala w Derry. Dzwonili z trzeciego posterunku. Próbuje nad tym zapanować, ale w tej chwili wygląda na to, że w Haven poza pożarem lasu doszło do czegoś więcej. Sytuacja powoli wymyka się spod kontroli, meteorolodzy twierdzą, że przed zmierzchem wiatr zmieni się na wschodni i chyba nikt nie będzie mógł się tam przedostać, żeby ugasić ogień!

— Co jeszcze wiedzą?

— Gównno! — wykrzyknął Smokey Dawson, jakby poczuł się osobiście dotknięty. — Ludzie, którzy zbliżają się do Haven, zaczynają chorować. Im bliżej, tym objawy są silniejsze. Więcej nic nie wiadomo, poza tym, że coś się pali.

Do Haven nie dostała się ani jedna jednostka straży pożarnej. Najbliżej dotarły wozy z China i Woolwich. Torgeson podszedł do anemometru na ścianie i pomyślał, że chyba wie, dlaczego tak się stało. Nadjeżdżali z wiatrem. Jeśli powietrze wokół Haven zostało skażone, wiatr wiał w przeciwnym kierunku.

Dobry Boże, a jeśli to jest radioaktywne?

Jeżeli tak, było to promieniowanie, o jakim Torgeson jeszcze nigdy nie słyszał — jednostki z Woolwich zgłosiły awarię silnika, który zgasł, gdy zbliżyli się do granicy Haven. Z China wysłano wóz bojowy i cysternę. Wóz bojowy odmówił posłuszeństwa, ale cysterna jechała dalej i kierowcy jakoś udało się wycofać ze strefy zagrożenia. Wymiotowali wszyscy ludzie — stłoczeni w kabinie, uczeplieni zderzaków i rozplaszczeni na zbiorniku. Większość miała krwotok z nosa, kilku z uszu; jednemu pękła gałka oczna.

Wszystkim wypadły zęby.

Co to może być za kurewski rodzaj promieniowania?

Dawson zerknął do dyżurki i zauważył, że palą się lampki wszystkich linii zgłoszeniowych.

— Andy, sytuacja ciągle się rozwija. Muszę...

— Wiem — odrzekł Torgeson. — Musisz iść rozmawiać z wariatami. A ja muszę zadzwonić do prokuratury stanowej w Auguście i pogadać z innymi wariatami. Jim Tierney to najlepszy prokurator stanowy, jakiego mieliśmy w Maine, odkąd założyłem ten mundur, i wiesz, Smokey, gdzie on jest tego radosnego dnia?

— Nie.

— Na urlopie — rzekł Torgeson, wybuchając nieco szalonym śmiechem. — Pierwszy raz, odkąd zaczął tu pracować. Jedyne człowiek z administracji, który mógłby coś zrozumieć z tej pokręconej historii, wyjechał z rodziną na kemping do Utah. Kurwa mać, do Utah! Pięknie, co?

— Pięknie.

— Co tu się, kurwa, dzieje?

— Nie wiem.

— Są jeszcze jakieś ofiary?

— Zginął jeden człowiek ze straży leśnej z Newport — powiedział z ociąganiem Dawson.

— Kto?

— Henry Amberson.

— Co? Henry? Chryste!

Torgeson poczuł, jakby ktoś wymierzył mu potężny cios prosto w żołądek. Znał Henry'ego Ambersona od dwudziestu lat — nie byli najlepszymi przyjaciółmi, nic z tych rzeczy, ale w spokojniejszych chwilach grywali w cribbage'a, czasem łowili na muchę. Umawiali się na kolację z rodzinami.

Henry, Jezu, Henry Amberson. A Tierney jest w pierdolonym Utah.

— Był w jednym z jeepów, które wysłali na rekonesans?

— Tak. Wiesz, miał rozrusznik serca i...

— Co? Co? — Torgeson zrobił krok w stronę Smokeya, jakby chciał nim potrząsnąć. — Co?

— Facet, który prowadził jeepa, zameldował przez radio trzeciemu posterunkowi, że rozrusznik Ambersona eksplodował.

— Chryste Panie!

— Nie jestem jeszcze pewien — dodał szybko Dawson. Właściwie nic nie jest pewne. Sytuacja ciągle się rozwija.

— Jak rozrusznik serca może eksplodować? — spytał cicho Torgeson.
— Nie wiem.
— To jakiś żart — oświadczył z przekonaniem Torgeson. Albo jakiś idiotyczny kawał, albo coś w rodzaju tamtego słuchowiska, wiesz „Wojny światów”.
Smokey powiedział nieśmiało:
— Nie sądzę, żeby to miał być kawał... albo jakaś mistyfikacja.
— Ja też nie — rzekł Torgeson. Poszedł do biura, żeby zadzwonić.
— Kurwa mać, Utah — powiedział półgłosem i zostawił Smokeya Dawsona samego z coraz bardziej niewiarygodnymi informacjami, płynącymi coraz szerszą falą z okolicy, której centrum stanowiła farma Bobbi Anderson.

3

Gdyby Tierney nie wyjechał do Utah, Torgeson od razu zadzwoniłby do prokuratury stanowej. Ponieważ jednak wyjechał, odłożył to na trochę później, wykorzystując chwilę, by zadzwonić do Davida Brighta z „Daily News” w Bangor.

— David? Tu Andy. Posłuchaj...
— Mamy sygnały o pożarze w Haven, Andy. Chyba dość dużym. Wiecie już o tym?
— Tak. David, nie mogę cię tam zabrać. Ale potwierdzają się informacje, które mi podałeś. Wozy strażackie i ekipy rozpoznania nie mogą wjechać do miasta. Natychmiast chorują. Straciliśmy człowieka ze straży leśnej. Znałem go. Słyszałem... — Pokręcił głową.
— Nieważne, co słyszałem. To zbyt nieprawdopodobne, zupełnie wariactwo.
— Co słyszałeś? — W głosie Brighta brzmiało podniecenie.
— Nieważne.
— Ale mówisz, że strażacy i ekipy ratunkowe chorują, tak?
— Ekipy rozpoznania, nie ratunkowe. Jeszcze nie wiemy, czy trzeba kogoś ratować. Do tego jeszcze ten szajs z samochodami. Każdy pojazd, który zbliża się albo wjeżdża do Haven, zaraz gaśnie.
— Co?
— Słyszałeś.
— To znaczy, że to coś w rodzaju impulsu?
— Impulsu? Jakiego impulsu? — Przez głowę przemknęła mu szalona myśl, że Bright mówi o rozruszniku Henry’ego, że wiedział od początku.
— Takie zjawisko, które następuje podobno po dużym wybuchu jądrowym. Gasną wszystkie samochody.
— Chryste. A radia?
— Radia też.
— Ale twoi znajomi mówili...
— Owszem, setki stacji na całym paśmie. Mogę cię zacytować przynajmniej przy informacji o chorobie strażaków i ratowników? I o awariach pojazdów?
— Tak. Jako informatora zastrzegającego sobie anonimowość.
— Kiedy pierwszy raz dowiedziałeś się...
— Nie mam czasu na wywiady dla „Playboya”, David. Ten twój Leandro pojechał po aparat tlenowy do sklepu „Artykuły Medyczne Maine”?
— Tak.
— Wydawało mu się, że to powietrze — mruknął Torgeson, bardziej do siebie niż do Brighta. — Tak mu się wydawało.
— Andy... wiesz, co jeszcze może unieruchomić samochody według relacji, jakie do nas czasem trafiają?
— No?

— UFO. Nie śmieję się, to prawda. Ludzie, którzy widzieli z niewielkiej odległości latające talerze, siedząc w samochodach albo samolotach, prawie zawsze mówią, że silniki gasły, dopóki to coś nie zniknęło. — Zamilkł na chwilę. — Pamiętasz tego lekarza, który tydzień czy dwa temu rozbił się samolotem w Newport?

„Wojna światów”, pomyślał znów Torgeson. Co za kupa gówna.

A rozrusznik Henry’ego Ambersona... eksplodował, tak? To w ogóle możliwe?

Postanowił, że zrobi wszystko, żeby się dowiedzieć; na bank.

— Odezwe się, Davey — powiedział Torgeson i odłożył słuchawkę. Było piętnaście po trzeciej. Pożar w Haven, który wybuchł na dawnej farmie Franka Garricka, szalał już od ponad godziny i coraz szerszym łukiem zbliżał się do statku.

4

Torgeson zadzwonił do Augusty o piętnastej siedemnaście. O tej godzinie autostradą I-95 zmierzały już na północ dwa samochody, w których siedziało sześciu śledczych; trzeci posterunek straży dzwonił do prokuratury stanowej o czternastej dwadzieścia sześć, a o czternastej czterdzieści dziewięć złożył meldunek na komendzie policji stanowej w Derry. W zgłoszeniu w Derry była mowa o pierwszych fatalnych wydarzeniach — wypadku wozu strażackiego z Unity oraz śmierci strażnika leśnego, który zginął prawdopodobnie od własnego rozrusznika serca. O trzynastej trzydzieści czasu górskiego radiowóz policji stanowej Utah podjechał na kemping, gdzie zatrzymał się Jim Tierney z rodziną. Funkcjonariusz poinformował go, że w jego stanie doszło do sytuacji kryzysowej. Jakiej sytuacji kryzysowej? Funkcjonariusz oznajmił, że według instrukcji, które otrzymał, jest to informacja poufna, którą może uzyskać na miejscu. Tierney mógł zadzwonić do Derry, ale Torgeson w Cleaves Mills był człowiekiem, którego znał i któremu ufał. W tej chwili chciał porozmawiać z kimś, komu ufał. Poczuł, jak z wolna ogarnia go lodowaty lęk — przeczucie, że coś musiało się stać w Maine Yankee, w jedynej w stanie elektrowni jądrowej. Tak, to musiało być to, tylko coś tak poważnego kazałoby policji szukać go na drugim końcu kraju. Funkcjonariusz połączył go z Cleaves Mills. Słyszając głos Tierneya, Torgeson poczuł radość i ulgę.

O trzynastej trzydzieści siedem czasu górskiego Tierney wszedł do radiowozu i spytał:

— Ile wóz może wyciągnąć?

— Panie prokuratorze, samochód może jechać sto trzydzieści mil na godzinę, a ja jestem mormonem i nie boję się jechać z taką prędkością, ponieważ jestem przekonany, że nie trafię do piekła.

— Udowodnij to — rzekł Tierney.

O czternastej trzy Tierney siedział na pokładzie nieoznakowanego learjeta, który tylko na ogonie miał wymalowaną flagę amerykańską. Samolot czekał na niego na małym prywatnym lotnisku niedaleko Cottonwoods... miasta, o którym Zane Grey pisał w „Jeźdźcach purpurowego stepu” — książce, którą najbardziej lubił w dzieciństwie Roberta Anderson i która być może przesądziła o jej decyzji, by zostać pisarką westernów.

Pilot był ubrany po cywilnemu.

— Jest pan z Departamentu Obrony? — zapytał go Tierney.

Pilot spojrział na niego zza nieprzenikniętych ciemnych okularów.

— Ze Sklepiku. — Były to jedyne słowa, jakie wypowiedział przed lotem, w jego trakcie i po zakończeniu.

Tak do gry włączyła się policja z Dallas.

5

Haven było tylko trochę szerszym od drogi punktem na mapie, sennym miasteczkiem, które całe życie spokojnie drzemało, z dala od głównych szlaków turystycznych Maine. Teraz je zauważono. Teraz ludzie zaczęli tu tłumnie walić. Nic nie słyszeli o coraz liczniej zgłaszanych anomaliach, tak więc widzieli tylko gęstniejący obłok dymu na horyzoncie, do którego z początku pędzili jak ćmy do płomienia świecy. Dopiero o siódmej wieczorem policji stanowej i miejscowej jednostce Gwardii Narodowej udało się zablokować drogi prowadzące do miasteczka. Rano pożar był największym pożarem lasu w historii Maine. Zgodnie z prognozą zaczął wiać silny wiatr ze wschodu i kiedy to nastąpiło, nic już nie mogło prześcignąć pędzącej jak błyskawica ściany ognia. Nie wszyscy od razu zdali sobie z tego sprawę, ale w końcu jednak to do nich dotarło; pożaru nie udało się powstrzymać, nawet gdyby był zupełnie bezwietrzny dzień. Niewiele da się zrobić z ogniem, jeśli nie można się do niego dostać, a wszelkie próby przedostania się w jego pobliże powodują bardzo nieprzyjemne skutki.

Rozbił się samolot rozpoznania.

Autobus pełen członków Gwardii Narodowej z Bangor zjechał z drogi, uderzył w drzewo i wybuchł, gdy mózg kierowcy po prostu rozprysnął się jak pomidor, do którego wsadzono petardę. Zginęli wszyscy — siedemdziesięciu niedzielnych wojowników, ale tylko połowa z nich w wypadku; pozostali umarli, próbując się wydostać z zatrutej okolicy.

Niestety, wiatr wiał ze złej strony... jakby im powiedział Torgeson.

Pożar, który zaczął się w Ognistym Lesie, zdążył spalić na wiór połowę Newport, zanim strażacy porządnie wzięli się do roboty... ale wtedy ich szeregi były już znacznie przerzedzone, a linia ognia osiągnęła długość prawie sześciu mil.

Do siódmej wieczorem tego dnia w okolicy Haven ściągnęły setki ludzi — wśród nich byli samozwańcy strażacy, lecz większość stanowili przedstawiciele pospolitego gatunku *Homo sapiens*. Większość natychmiast zrejterowała; mieli pobladłe twarze i wybałuszone oczy, z ich nosów i uszu tryskała krew. Niektórzy, niczym podziurawione perły, ściskali w dłoniach własne zęby. Niejeden padł martwy... nie wspominając mniej więcej o setce nieszczęsnych mieszkańców wschodniego Newport, którzy nagle otrzymali wielką dawkę Haven, kiedy powiał silniejszy wiatr. Większość umarła we własnych domach. Ciekawskich, którzy udusili się w zgniłym powietrzu, znajdowano na różnych drogach lub w ich pobliżu, zwiniętych w pozycji embrionalnej, z rękami przyciśniętymi do brzucha. Jak później w rozmowie z „Washington Post” powiedział jeden z żołnierzy (zastrzegając sobie anonimowość) — wyglądali jak zakrwawione ludzkie przecinki.

Ten los nie spotkał jednak Lestera Morana, sprzedawcy podręczników, który mieszkał na przedmieściu Bostonu, lecz większość czasu spędzał na autostradach północnej części Nowej Anglii.

Lester wracał z dorocznego letniego objazdu szkół w szkolnych rejonach administracyjnych w okręgu Aroostook, gdy nagle zobaczył na horyzoncie dym — mnóstwo dymu. Stało się to około szesnastej piętnaście.

Lester natychmiast zбочzył z trasy. Nie spieszył się do domu, ponieważ był kawalerem i nie miał żadnych planów na najbliższe dwa tygodnie, ale zбочzyłby z trasy, nawet gdyby nazajutrz miała się odbyć ogólnokrajowa konferencja akwizytorów, na której on miał być głównym prelegentem, a jego wystąpienie nie zostało jeszcze napisane. Nie mógł się powstrzymać. Od najwcześniejszego dzieciństwa Lester Moran był maniakiem ognia. Nie zastanawiał się ani przez chwilę, mimo że spędził ostatnie pięć dni w drodze, półdupki miał rozplaszczony jak deska, a nerki ciężkie jak kamienie po nieustannej trzęsionce, jaką zafundował mu rozklekotany wóz na kiepskich drogach w powiatach tak małych, że na mapie zamiast nazw miały tylko współrzędne. Zmęczenie opadło z niego w okamgnieniu; w oczach błysnął nadnaturalny blask, który dobrze znali i na którego widok drżeli wszyscy komendanci

straży pożarnej od Manhattanu po Moskwę: diabelnego podniecenia urodzonego maniaka ognia.

Komendanci straży pożarnej korzystają jednak z pomocy takich ludzi... kiedy zostają przyparci do muru. Jeszcze pięć minut temu Lester Moran, którego w wieku dwudziestu jeden lat nie przyjęto do straży pożarnej Bostonu z powodu stalowej płytki w głowie, czuł się jak zbity pies. Teraz czuł się jak na amfetaminowym haju. Teraz czuł, że mógłby z radością wziąć na plecy starą gaśnicę z ocynkowanym zbiornikiem ważącą prawie połowę tego co on i targać całą noc, wdychając dym z taką lubością, jak niektórzy mężczyźni wdychają zapach perfum na szyi pięknej kobiety, i walczyć z płomieniami, dopóki nie popękałaby mu pokryta pęcherzami skóra na policzkach i nie spaliły mu się doszczętnie brwi.

Zjechał z autostrady w Newport i pognał drogą prowadzącą do Haven.

Płytką w głowie była pamiątką po okropnym wypadku, jaki się wydarzył, gdy Moran miał dwanaście lat i należał do patrolu młodzieżowego. Potrafił go samochód i Moran przeleciał trzydzieści stóp, ale na drodze stanęła mu ceglana ściana hurtowni mebli, która zdecydowanie przerwała jego lot. Udzielono mu sakramentów; chirurg, który go operował, powiedział jego zapłakany rodzicom, że ich syn prawdopodobnie umrze w ciągu sześciu godzin lub przed śmiercią pozostanie w śpiączce przez kilka dni albo tygodni. Ale jeszcze tego samego dnia chłopiec się zbudził i poprosił o lody.

— To chyba cud! — krzyczała ze szlochaniem matka. — Cud boski!

— Też tak sądzę — przytaknął chirurg, który podczas operacji widział mózg Lestera Morana przez ziejącą w czaszce dziurę.

Brnąc teraz w głąb chmury cudownego dymu, Lester poczuł lekkie mdłości, ale złożył to ma karb podniecenia i wkrótce zupełnie o tym zapomniał. W końcu płytka w jego czaszce była prawie dwa razy większa od płytki Jima Gardenera. Brak samochodów policji, straży pożarnej i służb leśnych w gęstniejącym mroku mocno go dziwił, ale zarazem ucieszył. Kiedy pokonał ostry zakręt, ujrzał brązowego plymoutha leżącego na dachu w rowie. Czerwony kogut na desce rozdzielczej wciąż błyskał. Na drzwiach auta widniał napis STRAŻ POŻARNA DERRY.

Lester zatrzymał swego starego forda kombi, wysiadł i truchtem podbiegł do rozbitego wozu. Na kierownicy, siedzeniu i dywaniku po stronie kierowcy zobaczył krew. Czerwone krople pokrywały też przednią szybę.

W sumie bardzo dużo krwi. Lester wpatrywał się w nią ze zgrozą, a potem spojrzał w stronę Haven. Słup dymu podświetlała ciemnoczerwona luna, a Lester zdał sobie sprawę, że słyszy głuchy trzask płonącego drewna. Jak gdyby stał przed największym na świecie otwartym kominkiem... albo jak gdyby największy na świecie otwarty kominek dostał nóg i wolno zbliżał się do niego.

Wobec głuchego odgłosu i widoku ciemnej, lecz potężnej łuny, przewrócony samochód komendanta straży w Derry i krew w środku wydały się nagle o wiele mniej ważne. Lester wrócił do swojego samochodu, stoczył krótką bitwę z własnym sumieniem i wygrał, obiecując sobie, że zatrzyma się przy pierwszym napotkanym automacie telefonicznym, żeby zadzwonić na policję w Cleaves Mills... nie, w Derry. Jak prawie każdy porządny akwizytor, Lester Moran miał w głowie szczegółową mapę okolicy i po zajrzeniu do niej uznał, że Derry jest bliżej.

Musiał powstrzymać przemożną chęć, by nie wyciskać ze starego forda, ile się dało... czyli najwyżej sześćdziesięciu mil na godzinę, bo na więcej nie było go ostatnio stać. Przed każdym zakrętem spodziewał się, że zaraz zobaczy ustawione w poprzek drogi koziołki blokujące przejazd i zaparkowane byle jak auta, usłyszy krzyki mężczyzn w hełmach, kaskach i gumowych kombinezonach oraz hałas ustawionego na cały regulator radia CB, wyrzaskującego najnowsze komunikaty.

Nic takiego się jednak nie stało. Zamiast koziołków i uwijających się ludzi, natknął się na przewrócony wóz strażacki z Unity. Kabina oderwała się od reszty pojazdu, a ze zbiornika wyciekały resztki jego zawartości. Lester, oddychając dymem zmieszany z powietrzem, które zabiłoby prawie każdego na Ziemi, stał na miękkim poboczu, wpatrując się jak urzeczony w bezwładną białą rękę zwisającą z okna amputowanej kabiny wozu. Białą delikatną skórę po wewnętrznej stronie ramienia znaczyły nieregularne wzory ze strużek zasychającej krwi.

Tu się dzieje coś złego. Coś więcej niż tylko pożar lasu. Musisz stąd uciekać, Les.

Zamiast posłuchać, znów odwrócił się w stronę ognia i był zgubiony.

Powietrze coraz mocniej smakowało dymem. Płomienie już nie trzaskały, ale huczały jak przetaczająca się gwałtownie burza. Nagle go oświeciło — myśl spadła na niego jak wiadro cementu: Nikt nie walczy z pożarem. Absolutnie nikt. Z jakichś niezrozumiałych powodów albo nikt nie mógł się dostać w pobliże pożaru, albo nikomu na to nie pozwolono. W rezultacie pożar szalał zupełnie swobodnie, a przy wzmagającym się wietrze rozrastał się nieokiełznanie jak radioaktywny potwór z horroru.

Kiedy to sobie uświadomił, ogarnęło go przerażenie... podniecenie... i chora, mroczna radość. Nie powinien się cieszyć, ale fakt pozostawał faktem i nie sposób mu było zaprzeczyć. Zresztą nie tylko on miał takie odczucia. Mroczna radość ogarniała każdego ze strażaków, którym stawiał drinki (czyli prawie wszystkich, jakich spotkał od dnia, gdy po badaniach lekarskich nie przyjęto go do bostońskiej straży).

Potykać się i zataczając, wrócił do auta, uruchomił je nie bez kłopotów (podejrzewał, że wciskając w przejściu gaz, prawdopodobnie o mało nie zalał cholernego dinozaura), odkręcił do końca klimatyzator i ruszył dalej w stronę Haven. Zdawał sobie sprawę, że to najczystszej wody idiotyzm — przecież nie był Supermanem, tylko czterdziestopięcioletnim, łysiejącym akwizytorem podręczników, który pozostawał kawalerem, bo był zbyt nieśmiały, żeby umawiać się z kobietami. Jego zachowanie trudno było jednak nazwać po prostu idiotycznym. Opinia ta, choć surowa, była racjonalna. Natomiast Lester zachowywał się jak szaleniec. I nie potrafił się powstrzymać, zupełnie jak ćpun, kiedy zobaczy działkę bulgoczącą na łyżeczce.

Nie mógł z tym walczyć...

...ale mógł przynajmniej pojechać to zobaczyć.

A będzie na co popatrzeć, myślał. Pot płynął mu już ciurkiem po twarzy, jak gdyby w oczekiwaniu na mający go ogarnąć żar. Och, tak, będzie na co popatrzeć. Pożar lasu, któremu z jakiegoś powodu pozwolono rozszaleć się bez żadnej kontroli, jak miliony lat temu, gdy ludzie byli tylko małym plemieniem bezwłosych małp przycupniętych w bliźniaczych kolebkach Nilu i Eufratu, a ogień wybuchał samorzutnie, wzniecany uderzeniem pioruna lub upadkiem meteorytu, a nie wywoływany przez pijanych myśliwych, których gównem obchodziło, gdzie rzucają niedopałki. Zobaczy jasnopomarańczową gardziel pieca, ścianę ognia w lesie wysokości dziewięćdziesięciu stóp; będzie pędziła przez polany, ogrody i łąki jak pożar prerii w Kansas w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku, pochłaniając domy z taką szybkością, że od nagłej zmiany ciśnienia powietrza będą implodowały, tak jak domy i fabryki od bomb zapalających podczas drugiej wojny światowej. Będzie mógł zobaczyć, jak droga, którą jechał, zniknie w paszczy żarłocznego pieca jak autostrada w otchłani piekła.

Asfalt zacznie najpierw płynąć lepкими, cienkimi strużkami, myślał... a potem zacznie płonać.

Wcisnął mocniej gaz, myśląc: jak można nie jechać dalej? Kiedy masz szansę — jedyną w życiu — zobaczyć coś takiego, jak można nie jechać?

— Nie wiem tylko, jak wytłumaczę ojcu to wszystko — powiedział sprzedawca w sklepie „Artykuły Medyczne Maine”. Szczerze żałował, że przed czterema laty upierał się, aby poszerzyli ofertę o wypożyczanie sprzętu. Ojciec wyrzucał mu to, kiedy tamten staruch pożyczył flat-pack i nie oddał, a teraz w Haven rozpełtało się piekło — w radiu mówili, że wybuchł pożar lasu i dawali do zrozumienia, że mogą się też tam dzieć dziwniejsze rzeczy — mógł więc iść o zakład, że nigdy też już nie zobaczy aparatu, który wypożyczył rano reporterowi w grubych okularach. Teraz przyszło jeszcze dwóch, ni mniej, ni więcej, tylko gliniarzy ze stanowej. Obaj byli wysocy i na domiar złego jeden miał chyba najczarniejszą skórę na świecie. Zażądali niejednego, ale sześciu aparatów typu flat-pack.

— Możesz powiedzieć ojcu, że je zarekwirowaliśmy — powiedział Torgeson. — Dostarczacie przecież sprzęt do oddychania strażakom, prawda?

— Tak, ale...

— W Haven jest pożar lasu, zgadza się?

— Tak, ale...

— No to je przynieś. Nie mamy czasu na duperele.

— Ojciec mnie zabije! — jęknął płacząco sprzedawca. — To wszystkie, jakie mamy!

Torgeson spotkał Claudela Weemsa, kiedy ten właśnie wjeżdżał na parking pod komendę, a Torgeson właśnie wyjeżdżał. Jedyne czarne funkcjonariusze stanowej w Maine były wysoki nie tak wysoki jak nieżyjący Bestia Dugan, lecz sześć stóp i cztery cale budziły respekt. Claudell Weems miał z przodu złoty ząb i kiedy podchodził do kogoś bardzo blisko — na przykład do podejrzanego — i uśmiechał się, ukazując lśniący złoty siekacz, człowiek zaczynał się mocno denerwować. Torgeson spytał kiedyś, dlaczego tak się dzieje, a ten odrzekł, że jego zdaniem to po prostu czarna magia, co nie, stary? Potem wybuchnął gromkim śmiechem, aż zadźwięczały szyby w oknach komendy.

Weems nachylił się blisko sprzedawcy i uciekł się do czarnej magii, *w której był miszczem, co nie, stary?*

Kiedy wyszli ze sklepu z sześcioma aparatami typu flat-pack, sprzedawca nie był pewien, co się właściwie stało... Wiedział tylko, że ten czarny gość miał największy złoty ząb, jaki w życiu widział.

7

Bezębny staruszek, który sprzedał Johnowi Leandrowi koszulkę, stał na werandzie, przyglądając się obojętnie mknącemu drogą radiowozowi Torgesona. Kiedy samochód zniknął mu z oczu, wszedł do środka, podniósł słuchawkę i wykręcił numer, pod który większość ludzi nie mogłaby się dodzwonić; usłyszeliaby tylko sygnał przypominający syrenę, który tak rozwścieczył Anne Anderson. Ale telefon sklepikarza był wyposażony w specjalny aparat i po chwili połączył go z coraz bardziej zniekaną Hazel McCready.

8

— No! — powiedział wesoło Claudell Weems, zerknąwszy na szybkościomierz. — Widzę, że jedziemy ponad dziewięćdziesiąt mil na godzinę! A ponieważ panuje przekonanie, że prawdopodobnie prowadzisz pojazdy mechaniczne najgorzej ze wszystkich dupków w policji stanowej Maine...

— Jakie, kurwa, przekonanie? — spytał Torgeson.

— Moje, kurwa, przekonanie — odparł Claudell Weems. W każdym razie płynie stąd logiczny wniosek. Taki, że wkrótce umrę. Nie wiem, czy wierzysz w takie bzdury jak prawo skazańca do ostatniego życzenia, ale jeżeli wierzysz, może mi z łaski swojej powiesz, o co tu chodzi. Znaczy się, żebyś zdążył, zanim zrobisz nam implanty z bloku silnika.

Andy otworzył usta, ale zaraz je zamknął.

— Nie — powiedział. — Nie mogę. To zbyt pokrecone. Tylko tyle ci powiem. Może ci się zrobić niedobrze. Wtedy pociągnij powietrza z puszkii.

— O Jezu — powiedział Weems. — Powietrze w Haven jest zatrute?

— Nie wiem. Chyba tak.

— O Jezu — powtórzył Weems. — Kto puścił i co?

Andy tylko pokręcił głową.

— Dlatego nikt nie gasi ognia? — Znad horyzontu unosił się coraz szerszy pas skłębionego dymu — Bogu dzięki, prawie całkiem białego.

— Nie wiem. Chyba tak. Sprawdź jedno pasmo w radiu.

Weems spojrział zdumiony na Torgesona jak na wariata.

— Które pasmo?

— Którekolwiek.

Weems zaczął przeszukiwać pasmo policyjne, odnajdując z początku tylko chaotyczny gwar zdezorientowanych głosów gliniarzy i strażaków, którzy chcieli gasić pożar, lecz nie mogli się do niego dostać i zaczęli się trochę bać. Potem, w dolnej części skali, usłyszeli prośbę o przysłanie posiłków do sklepu z alkoholem, na który dokonano napadu. Ktoś podał adres Mystic Avenue 117, Medford.

Weems spojrział na Andy'ego.

— Rany Julek, Andy, nie wiedziałem, że w Medford jest jakaś Mystic Avenue — właściwie nie przypuszczałem, że w Medford w ogóle są jakieś aleje. Parę parszywych dróg na krzyż.

— Zdaje się, że ten przeciek — powiedział Andy, słysząc własny głos, jakby docierał z bardzo daleka — jest z Medford w stanie Massachusetts.

9

Dwieście jardów za granicą Haven silnik forda Lestera Morana zgasł. Nie zaczął się krztusić ani szarpać, nic nie strzeliło w gaźniku. Po prostu zgasł, cicho i bez fanfar. Lester wysiadł, nie zawracając sobie nawet głowy przekręcaniem kluczyka.

Zdawało się, jakby cały świat wypełniał nieustanny trzask płomieni. Temperatura powietrza podniosła się co najmniej o dwadzieścia stopni. Wiatr niósł w jego stronę gęsty dym, ale górą, dlatego powietrzem dało się oddychać. Mimo to miało gorący, gryzący smak.

Z lewej i prawej rozciągały się szerokie pola — ziemia Clarendona po prawej i ziemia Ruvalla po lewej. Teren wznosił się łagodnie w stronę lasu. Między drzewami Lester widział coraz jaśniejsze błyski czerwonego i pomarańczowego światła; dym wznosił się nad lasem ciemniejącym słupem. Lester słyszał huk pękających drzew, które implodowały, gdy ogień wysysał z nich tlen jak szpik ze starych kości. Wiatr nie dmuchał mu prosto w twarz, ale prawie; ogień wyjdzie z lasu na pole już za kilka minut... może nawet sekund. Śmiertelnie szybko pokona odległość dzielącą go od miejsca, w którym stał Lester z czerwoną i spoconą twarzą. Lester chciał wrócić do samochodu, zanim to się stanie — ford ruszy, na pewno ruszy, staruszek jeszcze nigdy dotąd go nie zawiódł, i zacznie się oddalać od tej czerwonej nadciągającej bestii.

Rusz się! Na litość boską, rusz się! Już zobaczyłeś, więc rusz się!

W zasadzie jednak jeszcze nie zobaczył. Czuł żar ukrytego smoka, widział, jak błyska oczami i puszcza chrapami kłęby dymu... ale jeszcze nie ujrzał ognia.

I nagle dostrzegł.

Płomienie jednym susem wyskoczyły z zachodniego pola Luthera Ruvalla. Główny front ognia skierował się w głąb Wielkiego Lasu Indiańców, ale wysunęła się z niego mniejsza odnoga. Drzewa rosnące na drugim końcu pola nie były żadnym przeciwnikiem dla

czerwonego potwora. Przez chwilę jakby poczerniały, gdy rozgorzał za nimi blask — najpierw żółty, potem pomarańczowy, wreszcie oślepiająco czerwony. Potem po prostu porwał je płomień. Błyskawicznie. Lester przez chwilę zobaczył ich wierzchołki, które też zaraz zniknęły. Jak gdyby oglądał numer fantastycznego prestidigitatora, czarodzieja, jakim z całej duszy chciał kiedyś zostać Hilly Brown.

Lester Moran z otwartymi ustami gapił się jak urzeczony na osiemdziesięciostopową ścianę ognia pochłaniającą drzewa.

Płomienie zaczęły biec po stromiznie pola. Dym gęstniał coraz bardziej, otaczając go duszącym całunem. Lester zaczął kaszleć.

Uciekaj! Na litość boską, uciekaj stąd!

Tak. Teraz już powinien; już mógł. Zobaczył i widok okazał się tak niesamowity, jak się spodziewał. Ale to była bestia.

A myślący człowiek, stając oko w oko z bestią, może zrobić tylko jedno: uciekać jak najszybciej i jak najdalej. Tak robią wszystkie żywe stworzenia. Wszystkie żywe stworzenia...

Lester wycofał się do samochodu, ale w połowie drogi przystanął.

Wszystkie żywe stworzenia.

Tak. Przed pożarem lasu uciekają wszystkie żywe stworzenia. Porządek rzeczy ulega zawieszeniu. Kojot ucieka razem z królikiem. Ale przez pole nie biegły ani kojoty, ani króliki; przez spizowe niebo nie przemknął ani jeden ptak.

Nie było nikogo poza nim.

Jeżeli przed ogniem nie uciekały żadne ptaki i zwierzęta, znaczyło to, że w lesie nie było żadnych żywych stworzeń.

Przewrócony samochód straży z Derry, krew na szybie i fotelu.

Rozbitý wóz strażacki w lesie. Zakrwawione ramię.

Co tu się dzieje? — wrzasnęło mu w głowie.

Nie wiedział... ale zorientował się, że dobrze by było mieć teraz na nogach siedmiomilowe buty. Otworzył drzwi fordą i obejrzał się ostatni raz.

Na widok tego, co wyłoniło się zza grubej zasłony dymu, wydał krótki wrzask. Wciągnął do płuc dym, kaszlnął i znów wrzasnął.

Coś — jakieś ogromne coś — wyłoniło się z dymu niczym największy we wszechświecie wieloryb wyłaniający się wolno z oceanu.

Na boku olbrzyma załśniły przyćmione chmurą dymu promienie słońca — a on wznosił się, wznosił i wznosił, i nie było słycać żadnego dźwięku poza nierównym dudnieniem kroczonego ognia.

W górę... w górę... i w górę.

Lester wyciągał szyję, śledząc powolny, niewiarygodny lot i nie zauważył małego, dziwnego pojazdu, który wynurzył się z dymu i żwawo potoczył drogą w jego stronę. Był to czerwony zabawkowy wózek. Na początku lata należał do małego Billy'ego Fannina. Na platformie pośrodku wózka zamontowano podkaszarkę Bensohn — czyli po prostu ruchome ostrze na końcu długiego kija. Ostrzem sterowało się za pomocą uchwytu pistoletowego. Na górnej części kija wciąż powiewała metka z napisem BENSOHNEM NATNIESZ CO NIEMIARA! Podkaszarka była zamocowana na ruchomym przegubie i wyglądała trochę jak bukszpryt nedorzecznego statku.

Lester kulił się rozplaszczony o bok samochodu, wpatrując się w niebo, gdy czujnik encefalograficzny aparatu — wcześniej cyfrowa sonda do mięsa — uruchomił elektroniczny włącznik podkaszarki (projektantom z Bensohna nigdy nie przyszło do głowy takie rozwiązanie). Ostrze ożyło z wizgiem małego silnika spalinowego, który zawył jak zraniony kot.

Lester odwrócił się i zobaczył, że atakuje go coś w rodzaju zębatej wędki. Krzyknął i ukrył się za samochodem.

Co tu się dzieje? — wrzasnęło mu w głowie. Co tu się dzieje, co tu się dzieje, co tu się dzieje, co tu się dzieje...

Podkaszarka zakotłosała się na przegubie, szukając fal mózgowych Lestera, które odczytywała jak małe impulsy podobne do punktów odbieranych przez radar. Podkaszarka nie była zbyt błyskotliwa (jej mózg pochodził z programowanej zabawki o nazwie Śmiercionośny Czołg Tropiciel), ale miała tyle inteligencji, by wykryć i śledzić słabe sygnały elektryczne wysyłane przez mózg Lestera Morana. Jej baterię, można by rzec.

— Zostaw mnie! — wrzasnął Lester, gdy wózek Billy'ego Fannina potoczył się w jego stronę. — Daj mi spokój! Zostaw mnieeee!

Ale zamiast go posłuchać, wózek zaatakował. Lester Moran, czując, że serce tłucze mu się w piersi jak szalone, zrobił unik w lewo. Podkaszarka podążyła za jego ruchem. Lester Moran spróbował zrobić unik w prawo — i wtedy padł na niego poruszający się wolno ogromny cień. Lester wbrew sobie spojrział w górę... nie mógł się powstrzymać. Jego stopy zaczepiły się jedna o drugą, a maszyna skoczyła. Wirujące noże wgrzyły się w głowę Lestera. Podkaszarka ciągle pracowała, gdy ogień pochłoniął ją i jej ofiarę.

10

Torgeson i Weems równocześnie dostrzegli ciało na drodze. Obaj oddychali już powietrzem z puszek. Bardzo szybko poczuli przerażająco silne mdłości, które jednak minęły jak ręką odjął, gdy tylko nałożyli maski. Leandro miał rację. To powietrze. Coś w powietrzu.

Claudell Weems przestał zadawać pytania, kiedy złapali komunikat policji z Massachusetts. Siedział z rękami na kolanach, rozglądając się czujnie. Podczas przeszukiwania niższych częstotliwości usłyszeli, co się dzieje u policji w tak ciekawych miejscach jak Friday w stanie Dakota Północna i Arnette w Teksasie.

Torgeson zatrzymał wóz i obaj wysiedli. Weems przystanął, po czym wziął karabinek gładkolufowy podpięty pod deską rozdzielczą. Torgeson skinął głową. Sytuacja powoli stawała się jasna. Ani trochę mniej zwariowana, ale jasna. Gabbons i Rhodes zniknęli w drodze powrotnej z tego miasta. Bestia był tam w dniu poprzedzającym jego samobójstwo. Jak to śpiewał Phil Collins w tej piosence ze złowrogo brzmiącą perkusją? „Czuję, że to wisi w powietrzu...”.

Tak, to coś na pewno wisało w powietrzu.

Torgeson delikatnie odwrócił leżącego człowieka. Sądził, że to ten, który w końcu ujawnił światu szaleństwo trawiące miasteczko.

Widział w życiu wiele paskudnych jatek na autostradach, lecz mimo to stracił dech z wrażenia i gwałtownie odwrócił twarz.

— Jezu, co go stuknęło? — zapytał Weems. Maską tłumiała jego słowa, ale wyraźnie i głośno było słycać jego przerażony ton.

Torgeson nie miał pojęcia. Widział kiedyś człowieka, którego potracił pług śnieżny. Ten wyglądał podobnie. Było to najlepsze porównanie, jakie mu przyszło do głowy.

Człowiek był zakrwawiony od pasa do... miejsca, które kiedyś było jego głową. Klamra paska wbiła mu się głęboko w brzuch.

— Jezu, przykro mi, stary — mruknął, kładąc delikatnie ciało na drodze. Mógł zajrzeć do portfela, ale nie chciał już dotykać zmasakrowanego ciała. Ruszył z powrotem do radiowozu. Weems podążył za nim, trzymając karabinek ukośnie przy piersi. Dym daleko na zachodzie gęstniał z każdą chwilą, ale tu czuć było tylko słabą, cierpką woń lasu.

— To jakieś cholerne wariactwo — powiedział przez maskę Weems.

— Tak.

— Mam złe przeczucia. Tu jest niebezpiecznie.

— Tak.

— Chyba powinniśmy stąd spadać, i to bie...

Coś trzasnęło za ich plecami i przez chwilę Torgeson pomyślał, że to na pewno ogień — wprawdzie pożar szalał stosunkowo daleko, ale płomienie mogły się już tu przedostać.

Całkiem możliwe! Na podwieczorku u Zwariowanego Kapelusznika wszystko było możliwe. Odwracając się, stwierdził, że to nie był trzask płonących gałęzi, ale łamanych.

— Ja pierdziele! — krzyknął Claudell Weems.

Torgesonowi opadła szczeka.

Głupi, lecz niezawodny automat do coca-coli po raz drugi wkroczył do akcji. Tym razem wychynął z rosnących przy drodze krzaków. Miał rozbitą frontową szybę. Boki wielkiego kanciastego pudła były zadrapane. Na metalowej części frontu Torgeson zobaczył makabrycznie sugestywny kształt, odcisnięty tak głęboko, że wyglądał jak wyrzeźbiony.

Kształt połowy głowy.

Automat przesunął się nad drogą i przez chwilę zawisł w powietrzu jak pomalowana w niestosownie wesołe barwy trumna. Kolory wydawały się wesołe, dopóki nie spostrzegło się smug rozmazanej krwi, która zaczęła zasychać w duże rdzawoczerwone plamy.

Torgeson usłyszał ciche buczenie i stukot. Jak serwomechanizm, pomyślał. Może jest uszkodzony. Może, ale mimo to...

Nagle automat do coli wystrzelił prosto na nich.

— Kurwa twoja mać! — wrzasnął Weems. W jego głosie było słycać szok i przerażenie, ale także oszalały śmiech.

— Strzelaj! Strzelaj! — krzyknął Torgeson, odskakując w prawo.

Weems zrobił krok do tyłu i natychmiast potknął się o ciało Leandra, padając na drogę. Było to wyjątkowo głupie.

I wyjątkowo szczęśliwe. Automat do coli chybił o kilka cali.

Kiedy zrobił nawrót, szykując się do drugiego ataku, Weems usiadł i posłał mu trzy kule z karabinka. Metal wybuchł do wewnątrz, ukazując kwiatuszki o czarnych środkach, które nagle wykwitły na obudowie. Maszyna zaczęła brzęczeć. Zawisła w powietrzu, trzęsąc się na boki jak człowiek dotknięty płasawicą Huntingtona.

Torgeson wyciągnął pistolet służbowy i oddał cztery strzały. Automat do coli rzucił się na niego, ale poruszał się, jakby zapadał w letarg, w ogóle nie mógł się rozpedzić. Zatrzymał się, potem szarpnął do przodu, znów się zatrzymał i jeszcze raz szarpnął. Zakolebał się jak pijany. Brzęczenie przybrało na sile. Z drzwiczek maszyny trysnęły lepkie strugi napojów.

Kiedy automat zbliżył się do niego, Torgeson obrócił się wokół własnej osi, bez wysiłku robiąc unik.

— Na ziemię, Andy! — zawołał Weems.

Torgeson padł na ziemię. Claudell Weems strzelił do maszyny jeszcze trzy razy, przeładowując z szaloną szybkością.

Po trzecim strzale coś w środku eksplodowało. Z boku automatu buchnął czarny dym i pojedynczy płomień.

Torgeson zobaczył, że to zielony ogień. Zielony.

Automat do coli opadł na drogę dwadzieścia stóp od ciała Leandra. Zachwiał się i runął do przodu z głuchym łomotem.

Zadzwońiło tłuczone szkło. Nastąpiły trzy sekundy ciszy; potem rozległ się długi metaliczny dźwięk. Wreszcie umilkł. Automat do coca-coli leżał martwy w poprzek białej linii biegnącej przez środek drogi numer 9. Jego czerwono-biała skóra była podziurawiona kulami jak sito. Unosił się z niego dym.

— Melduję, że właśnie zastrzeliłem z broni służbowej automat do coli — zadudnił przez maskę Claudell Weems.

Andy Torgeson odwrócił się do niego.

— Nie wezwałeś go do zatrzymania się i nie oddałeś strzału ostrzegawczego. Pewnie zostaniesz zawieszony, ośle.

Patrzyli na siebie ponad złotymi maskami i nagle wybuchnęli śmiechem. Claudella Weemsa niemal zgięło w pół.

Zielone, pomyślał Torgeson i choć wciąż się śmiał, w środku wcale mu nie było do śmiechu. Z tego cholerstwa bluznęło zielone światło.

— Nie oddałem strzału ostrzegawczego — rechotał bez tchu Weems. — Nie, nie oddałem. Ani jednego.

— Kurwa, pogwałciłeś jego prawa obywatelskie — powiedział Torgeson.

— Trzeba przeprowadzić dochodzenie! — śmiał się Weems. — O kurczę! Nie mogę... nie mogę... — Zachwiał się na nogach. Nagle Torgeson zdał sobie sprawę, że jemu także kręci się w głowie. Oddychali czystym tlenem... doszło do hiperwentylacji.

— Przestań się śmiać! — krzyknął, słysząc własny głos, jakby dobiegał z bardzo daleka. — Claudell, przestań się śmiać!

Udało mu się jakoś pokonać odległość dzielącą go od Weemsa, który chwiał się na nogach w oszołomieniu. Odległość wydawała się bardzo duża. Kiedy już prawie mu się udało, potknął się. Weems złapał go i przez chwilę obaj kołysali się jak pijani, spleceni ramionami jak Rocky Balboa i Apollo Creed pod koniec pierwszej walki.

— Ściągasz mnie na ziemię, gnojku — mruknął Weems.

— Pierdol się, sam zacząłeś. — Świat odzyskał ostrość, zadrżał i w końcu się uspokoił. Oddychać wolno, myślał Torgeson. Oddychać wolno i głęboko. Spokojnie. Milcz, serce moje. Ostatnia myśl znów wywołała atak chichotu, który jednak zaraz opanował.

Chwiejnym krokiem wracali do radiowozu, podtrzymując się w pasie.

— Ciało — powiedział Weems.

— Na razie zostanie. On nie żyje. My tak. Jeszcze.

— Patrz — rzekł Weems, gdy mijali szczątki Leandra. — Koguty! Wyłączone!

Niebieskie lampy na dachu radiowozu były ciemne i nieruchome. Dziwne — pozostawianie włączonych kogutów na miejscu wypadku mieli we krwi.

— Zapomniałeś włą... — zaczął Torgeson, ale zaraz urwał.

W krajobrazie zaszła jakaś zmiana. Pociemniało, jak gdyby słońce przysłoniła wielka chmura albo zaczęło się zaćmienie. Spojrzeli po sobie, a potem odwrócili się równocześnie. Torgeson zobaczył pierwszy: wielki srebrzysty kształt wynurzający się z kłębow dymu. W słońcu zalsniła szeroka wystająca krawędź.

— Chryste Panie! — niemal pisnął Weems. Jego wielka brązowa dłoń odnalazła ramię Torgesona i ciężko na nie opadła.

Torgeson prawie tego nie poczuł, choć następnego dnia miał znaleźć na skórze siniec w kształcie ręki Weemsa.

Unosiło się coraz wyżej... i wyżej... i wyżej. Przymglone dymem promienie słońca odbijały się od srebrzystometalicznej powierzchni. Olbrzym uniósł się pod kątem mniej więcej czterdziestu stopni. Drżał nieznacznie, choć mogło to być złudzenie optyczne w rozgrzanym powietrzu.

Oczywiście, że to było złudzenie — musiało. Niemożliwe, żeby to była prawda, pomyślał Torgeson, iluzja z przedawkowania tlenu.

Ale jakim cudem obaj mamy tę samą halucynację?

— Boże drogi — jęknął Weems. — To latający talerz, Andy, kurwa mać, to latający talerz!

Ale Torgesonowi zdawało się, że to coś nie wygląda jak talerz, ale jak dno wojskowej menażki — największej menażki we wszechświecie. Wznosiło się coraz wyżej i wyżej; można by pomyśleć, że musi się wreszcie skończyć, że między krawędzią giganta a słupem

dymu ukaże się w końcu wąski pasek zamglonego nieba, ale to coś wznosiło się coraz wyżej; wobec tego ogromu małały drzewa, małał cały krajobraz. Siny obłok unoszący się nad lasem przypominał dymek z dwóch niedopałków żarzących się w popielniczce. To coś wypełniało coraz większą część nieba, przesłaniając horyzont, unosząc się i unosząc z Wielkiego Lasu Indianców w śmiertelnej ciszy bez najlżejszego dźwięku.

Wpatrywali się w to bez słowa, a potem Weems chwycił się kurczowo Torgesona, a Torgeson chwycił się kurczowo Weemsa. Tulili się do siebie jak dzieci i Torgeson pomyślał: Och, jeśli to się na nas zwali...

Ale wynurzało się z dymu i ognia, coraz wyżej, jakby nigdy nie miało się skończyć.

11

Przed zmierzchem Gwardia Narodowa odcięła Haven od świata. Gwardziści otoczyli miasteczko, a ci od zawietrznej zostali wyposażeni w sprzęt tlenowy.

Torgeson i Weems wydostali się z drogi numer 9 — ale nie swoim radiowozem, który był zimny i martwy jak John Wilkes Booth. Przyszli pieszo. Zanim zużyli tlen w ostatnim pojemniku, korzystając z niego na zmianę, byli już dość daleko od granicy oddzielającej Haven od Troy i mogli oddychać powietrzem atmosferycznym; mieli szczęście do wiatru, jak potem powiedział Claudell Weems. Wyszli z miejsca, które w supertajnych raportach rządowych zaczęto wkrótce nazywać „strefą skażenia”, i pierwsi złożyli oficjalny meldunek o tym, co się dzieje w Haven. Wcześniej nadeszły setki nieoficjalnych informacji o śmiertelnych właściwościach powietrza w okolicy, a także o gigantycznym UFO, które według świadków uniosło się z dymu w Wielkim Lesie Indianców.

Weems miał krwotok z nosa. Torgeson stracił sześć zębów. Obaj uważali się za wyjątkowych szczęściarzy.

Początkowo pierścień wokół miasteczka był dość wąty, bo tworzyli go tylko członkowie Gwardii Narodowej z Bangor i Augusty. Przed dwudziestą pierwszą dołączyli do nich gwardziści z Limestone, Presque Island, Brunswicku i Portlandu. Zanim nastał świt, z miast na wschodnim wybrzeżu na miejsce przyleciało tysiąc gwardzistów w pełnym rynsztunku.

Między dziewiętnastą a pierwszą w nocy NORAD^{*} podwyższył stan gotowości armii do stopnia DEFCON-2. Prezydent latał nad Środkowym Zachodem w „Zwierciadle”^{*}, żując pastylki Tums, po pięć, sześć naraz.

FBI stawiało się o osiemnastej, CIA o dziewiętnastej piętnaście. Przed ósmą rano głośno domagali się prawa dowodzenia akcją. O dwudziestej pierwszej piętnaście przestraszony i rozwścieczony agent CIA Spacklin zastrzelił agenta FBI Richardsona. Incydent wyciszono, ale Gardner i Bobbi Anderson doskonale by to zrozumieli — policja z Dallas była już na miejscu i całkowicie opanowała sytuację.

* North American Aerospace Defense Command — Północnoamerykańskie Dowództwo Obrony Powietrznej.

* Looking glass — samolot EC-135, latające stanowisko dowodzenia (przyp. tłum.).

Kiedy stara czterdziestkapiątka Eva Hillmana nie wystrzeliła, w kuchni Bobbi nastąpiła chwila martwej ciszy — ciszy fizycznej i mentalnej. Szeroko otwarte niebieskie oczy Garda wpatrywały się w zielone oczy Bobbi.

— Próbowaleś... — zaczęła Bobbi, a jej myśl

(próbowałeś!)

odbijała się echem w głowie Gardenera. Chwila zdawała się trwać wiecznie. Ale w końcu rozprysnęła się jak tafla szkła.

Bobbi w zaskoczeniu opuściła rękę, w której trzymała pistolet fotonowy. Teraz ponownie ją podniosła. Druga okazja już się nie trafi. W swoim wzburzeniu zupełnie odsłoniła myśli przed Gardenerem. Była w szoku, że w ogóle dała mu okazję do ataku, i postanowiła, że drugiej nie będzie.

Gardener nie mógł nic zrobić prawą ręką, którą trzymał pod stołem. Zanim Bobbi zdążyła wymierzyć w niego lufę pistoletu fotonowego, położył lewą dłoń na brzegu blatu i niewiele myśląc, z całej siły pchnął stół. Nogi z przeraźliwym piskiem przesunęły się po podłodze. Stół uderzył w rozdętą i zniekształconą pierś Bobbi. W tym samym momencie z zabawkowego pistoletu podłączonego do radiomagnetofonu Hanka Bucka wystrzelił promień jasnozielonego światła. Zamiast trafić w pierś Gardenera, śmignął trochę wyżej, nad jego barkiem — właściwie więcej niż stopę — mimo to Gard poczuł nieprzyjemne mrowienie na skórze, jak gdyby cząsteczki na jej powierzchni zaczęły tańczyć niczym krople wody na gorącej patelni.

Gardener przechylił się w prawo i rzucił w dół, uciekając przed czymś, co wyglądało jak promień światła. Rąbnął żebrami o stół, który znów uderzył w Bobbi, tym razem mocniej. Krzesło Bobbi przechyliło się do tyłu na tylnych nogach, zakołysało, a potem z trzaskiem poleciało do tyłu razem z Bobbi. Promień zielonego światła strzelił w górę i Gardenerowi przemknął przez myśl obraz ludzi stojących w nocy na płycie lotniska, którzy za pomocą silnych latarek kierują samoloty do miejsca postoju.

Nad jego głową rozległ się cichy trzask i chrupnięcie, jak gdyby rozłupywanej sklejki. Uniósł głowę i zobaczył, że pistolet fotonowy wyrwał dziurę w suficie. Gardener podniósł się i stał niepewnie. Nie do wiary, ale szczęki znów rozwarły mu się z drzeniem w potężnym ziewnięciu. W głowie dźwięczało mu echo bijących na alarm myśli Bobbi

(ma broń próbował do mnie strzelać drań drań ma broń ma)

a on próbował się osłonić, zanim oszaleje. Nie potrafił. Bobbi krzyczała mu w głowie i leżąc na podłodze, zakleszczona na razie między stołem a przewróconym krzesłem, usiłowała wymierzyć do niego z pistoletu.

Gardener z grymasem bólu kopnął stół, wywracając go. Piwo, tabletki i radiomagnetofon zsunęły się z blatu, lądując na Bobbi. Piwo rozchlapało się jej na twarzy i spływało pianistymi strużkami po jej Nowej Ulepszonej Skórze. Radio uderzyło ją w szyję, a potem spadło na podłogę prosto w płytką kałużę piwa.

Błyśnij, skurwielu! — wrzasnął w myślach Gardener. Eksploduj! Zniszcz się! Eksploduj, niech cię szlag, eksplo...

Radio zrobiło coś więcej. Najpierw odrobinę się rozděło, a potem z odgłosem, jaki wydaje zgniła szmata rozdierana wzdłuż szwu, trzasnęło, bluzgając wkoło językami zielonego ognia, jakby było błyskawicą w butli. Bobbi krzyknęła. To, co usłyszał, było okropne, ale dźwięk w głowie był nieskończenie gorszy.

Gardener krzyknął razem z nią, lecz w ogóle się nie usłyszał. Zobaczył, że koszulka Bobbi zaczęła płonąć.

Nie zastanawiając się, co robi, ruszył w jej stronę. Bezwiednie upuścił czterdziestkępiątkę. Tym razem wystrzeliła, a pocisk trafił prosto w kostkę Jima Gardenera, gruchocząc ją. Ból zawirował mu w głowie jak gorące tornado. Znów krzyknął. Zrobił chwiejny krok naprzód, słysząc w głowie potworne wrzaski Bobbi. Czuł, że za moment od nich oszaleje. Pomyślał o tym z ulgą, bo kiedy w końcu oszaleje, gównu go to wszystko będzie obchodziło.

Przez sekundę Gard po raz ostatni zobaczył swoją dawną Bobbi.

Zdawało mu się, że Bobbi próbowała się uśmiechnąć.

Potem znów zaczęły się krzyki. Krzyczała, usiłując zdusić płomienie, które roztapiały jej tułów w łój. Wrzask był za głośny, o wiele za głośny i było go za dużo, o wiele za dużo; stał się nie do zniesienia. Chyba dla nich obojga. Gardener schylił się, znalazł na podłodze po trzykroć przekłuty pistolet i podniósł. Musiał użyć obydwu kciuków, żeby odbezpieczyć broń. Ból w kostce był okropny — Gard dobrze o tym wiedział — ale na razie stracił znaczenie, zgłuszony przez rozdzierające wrzaski Bobbi. Wycelował pistolet Hillmana w jej głowę.

Działaj, cholerna pukawko, błagam, działaj...

A jeśli broń zadziała, a on chybi? W magazynku może już nie być ani jednego pocisku.

Cholerne ręce wciąż się trzęsły.

Osunął się na kolana, jak gdyby zdjęty nagłą potrzebą modlitwy. Podpełznął do Bobbi, która płonęła, wijąc się z wrzaskiem na podłodze. Czuł jej zapach; widział czarne odłamki plastiku z obudowy radia, które bulgocząc, zatapiały się w jej ciele. Omal nie stracił równowagi i nie upadł na nią. Potem przycisnął lufę czterdziestkiątki do szyi Bobbi i pociągnął za spust.

Znów suchy trzask.

Bobbi krzyczała i krzyczała. Jej krzyk wypełniał mu głowę.

Próbował jeszcze raz odciągnąć kurek. Prawie mu się udało. Nagle ześliznął mu się palec. Prztyk.

Błagam, Boże, ostatni raz pozwól mi być jej przyjacielem!

Tym razem odciągnął kurek do końca. Znów nacisnął spust. Broń wypaliła.

Krzyk w głowie Gardenera przerodził się nagle w głośne brzęczenie. Wiedział, że słucha mentalnego głosu śmierci, dźwięku ostatecznego rozłączenia. Zadarł głowę. Wąski pasek słonecznego blasku przeświecającego przez rozcięty dach padł prosto na jego twarz, rozdzielając ją dokładnie na pół. Gardener wrzasnął.

Nagle brzęczenie ustało i zaległa cisza.

Bobbi Anderson — czy raczej to, w co się przemieniła — leżała martwa jak sterta wyschniętych niczym jesienne liście zwłok w sterowni statku, jak galernicy, którzy byli napędem statku.

Nie żyła i Gardener też chętnie zgodziłby się umrzeć... ale to nie był koniec.

Jeszcze nie.

2

Kiedy w jego głowie rozległ się wrzask, Kyle Archinbourg pił właśnie pepsi w sklepie Coodera. Jego dłonie odruchowo powędrowały do skroni, upuszczając butelkę, która roztrzaskała się na podłodze. Dave Rutledge, siedząc pod sklepem na własnoręcznie wplecionym krześle, drzemał oparty o budynek i śnił dziwaczne sny w kosmicznych kolorach. Otworzył raptownie oczy i wyprostował się jak struna, naprężając ścięgna na szyi, jak gdyby ktoś dotknął go kablem pod napięciem. Krzesło wysliznęło się spod niego, a gdy grzmotnął głową w drewnianą ścianę sklepu, kark pękł mu, jakby był ze szkła. Zanim wylądował na asfalcie, już nie żył. Hazel McCready zaparzała herbatę. Gdy zaczęły się krzyki, dłoń, w której trzymała czajnik, drgnęła i oblała wrzątkiem drugą, w której trzymała filiżankę, parząc ją paskudnie. Hazel cisnęła czajnik, krzycząc z bólu i strachu. Ashley

Ruvall, jadąc na rowerze obok ratusza, przewrócił się i oszołomiony leżał na ulicy. Dick Allison i Newt Berringer siedzieli u Newta, grając w cribbage'a, co było dość głupim zajęciem, ponieważ obaj wiedzieli, jakie karty ma przeciwnik, ale Newt nie miał chińczyka, a poza tym musieli się czymś zająć, czekając na telefon, czekając na wiadomość od Bobbi, że pijak nie żyje i mogą przystąpić do kolejnej fazy. Newt, który rozdawał, rozsypał karty na stole i podłodze. Dick, z dzikim spojrzeniem i zjeżonymi włosami, zerwał się na nogi i rzucił do drzwi. Wpadł na ścianę trzy stopy w lewo od drzwi i runął jak długi na podłogę. Doktor Warwick był w swoim gabinecie i przeglądał stare dzienniki. Wrzask zaatakował go z siłą pędzącego po torach muru z pustaków. Jego ciało wstrzyknęło do serca śmiertelną ilość adrenaliny, rozrywając je niczym starą oponę. Ad McKeen siedział za kierownicą swojej półciężarówki, zmierzając do Newta. Zjechał z drogi prosto w starą budę z hot dogami Poocha Bailey'a.

Rąbnął twarzą w kierownicę, ale tylko na chwilę go zamroczyło. Nie jechał zbyt szybko. Potoczył wkoło ogłupiałym i przerażonym wzrokiem. Wendy Fannin wychodziła z piwnicy, niosąc dwa słoje z dżemem brzoskwiniowym. Od momentu rozpoczęcia swojej „przemiany” odżywiła się prawie wyłącznie dżemem brzoskwiniowym. W ciągu czterech tygodni sama opróżniła ponad dziewięćdziesiąt słoików. Jęknęła, podrzucając słoje w powietrze jak gapowaty żongler. Słoje spadły i rozbiły się na schodach, po których zaczął spływać gęsty sok z kawałkami brzoskwiń. Bobbi, pomyślała w odrętwieniu, Bobbi Anderson się pali! Nancy Voss stała w oknie z tyłu domu, patrząc przed siebie z obojętną miną i rozmyślając o Joem. Brakowało jej go, i to bardzo. Przypuszczała, że „przemiana” w końcu wymaże tę tęsknotę — co dzień wydawała się coraz odleglejsza — ale choć cierpiała z powodu braku Joego, nie chciała, żeby cierpienie się skończyło. Bez sensu, lecz tak właśnie było. Potem usłyszała wrzask w głowie i tak raptownie rzuciła się naprzód, że stłukła czołem potrójną szybę.

3

Wrzask Bobbi rozbrzmiał w całym Haven jak syrena alarmowa przed nalotem. Wszystko i wszyscy zamarli... a potem odmienieni mieszkańcy Haven wolno wylegli na ulice miasteczka. Na ich twarzach malowały się te same uczucia: z początku strach, ból i zgroza... a potem gniew.

Wiedzieli, kto jest sprawcą tych rozdzierających krzyków.

Przez wrzask nie można było usłyszeć żadnej innej myśli, toteż nie pozostało im nic innego, jak tylko słuchać strasznego głosu.

Potem rozległo się agonalne brzęczenie i nastąpiła cisza, tak absolutna, że mogła oznaczać tylko śmierć.

Kilka chwil później wszyscy wyczuli słaby puls myśli Dicka Allisona. Drżała od emocji, lecz wyraźnie brzmiał w niej rozkazujący ton.

Na farmę. Wszyscy na jej farmę. Powstrzymać go, zanim zrobi coś jeszcze.

Myśl podjęła Hazel, wzmacniając ją — do pierwszego głosu dołączył drugi, tworząc duet.

Na farmę Bobbi. Jedźcie na farmę. Wszyscy.

Teraz odezwał się dudniący głos Kyle'a i powstało trio. Trójgłos brzmiał coraz mocniej i niósł się coraz dalej.

Wszyscy. Powstrzymać go...

Głos Adleya. Głos Newta Berringera.

...zanim zrobi coś jeszcze.

Ci, których Gardener nazwał Ludźmi z Szopy, zestroili głosy w jeden wyraźny, rozkazujący i nie znoszący sprzeciwu głos... choć nikt w Haven nawet nie pomyślał, żeby mu się sprzeciwić.

Powstrzymać go, zanim zrobi coś ze statkiem. Powstrzymać go, zanim zrobi coś ze statkiem.

Rosalie Skehan odeszła od zlewu, nie zakręcając nawet kranu, pod którym myła dorsza na kolację. Dołączyła do męża, który rąbał drewno za domem i omal nie amputował sobie kilku palców, kiedy Bobbi zaczęła krzyczeć. Bez słowa podeszli do samochodu, wsiedli i ruszyli na farmę Bobbi, od której dzieliły ich cztery mile. Wyjeżdżając z podjazdu, o mały włos nie potracili Elta Barkera, który pędził ze stacji benzynowej swoim starym harleyem. Freeman Moss toczył się swoją ciężarówką do transportu drewna. Czuł nieokreślony żal — na swój sposób lubił Gardenera. Miał do niego, jak mawiał stary Freemana, „sętyment” — co jednak nie mogło go powstrzymać przed wyruceniem draniowi flaków. Andy Bozeman jechał swoim oldsmobile’em delta 88 z żoną, która siedziała obok niego, trzymając dłonie splecione na torebce. W środku miała stymulator molekularny — przyrząd, który potrafił w ciągu piętnastu sekund wzbudzić ciepło punktowe w dowolnym obiekcie, rozgrzewając miejsce o średnicy dwóch cali do temperatury około tysiąca stopni. Miała nadzieję, że ugotuje Gardenera jak homara. Niech no się tylko zbliży na pięć stóp, myślała. Tylko pięć stóp. Wystarczy. Z większej odległości aparat często zawodził. Wiedziała, że może zwiększyć jego zasięg do pół mili, i żałowała, że tego nie zrobiła, ale kiedy Andy nie miał co najmniej sześciu czystych koszul w szafie, był zły jak osa. Twarz Bozemana stężała w grymasie pogardy i wściekłości, który rozciągnął mu usta w szyderczym uśmiechu, odsłaniając kilka pozostałych zębów. Kiedy cię dorwę, kutafonie, już ja ci pobiele parkan, pomyślał, rozpędzając oldsmobile’a do dziewięćdziesiątki i mijając kawalkadę wolniejszych aut zmierzających na farmę Bobbi. Wszyscy odbierali rozkazujący głos, który powtarzał jak litanię: POWSTRZYMAĆ GO, ZANIM ZROBI COŚ ZE STATKIEM, POWSTRZYMAĆ GO, POWSTRZYMAĆ GO!

4

Gard stał nad zwłokami Bobbi, wstrząśnięty i na wpół oszalały z bólu i żalu... gdy nagle szczęki rozwarły mu się w następnym szerokim ziewnięciu. Zataczając się, ruszył do zlewu, próbując skakać na jednej nodze, ale nie bardzo mu szło po dawce prochów, jaką w siebie władował. Ilekroć stawał na pokiereszowanej nodze, czuł, jakby szarpał go od wewnątrz metalowy pazur. Gardło wyschło mu już na wiór. Ręce i nogi miał ciężkie. Myśli straciły dawną przenikliwość; zdawały się... ciągnąć jak rozbełtane żółtka jajek. Kiedy wreszcie dotarł do zlewu, znów ziewnął i celowo stanął na pogruchotanej kostce. Ból przeciął otaczającą go mgłę jak naostrzony tasak rzeźnicki.

Ledwie musnął kurek kranu z ciepłą wodą i napełnił szklankę prawie ukropem. Pogrzebał w szafce nad zlewem, zrzucając na podłogę pudełko płatków i butelkę syropu klonowego. Jego dłoń zacisnęła się na kartoniku soli z obrazkiem małej dziewczynki. Nieszczęścia chodzą parami, pomyślał ociężale. Ileż w tym prawdy. Chyba całą wieczność szukał w opakowaniu dziobka i gdy w końcu znalazł, wyspał do szklanki tyle soli, że woda zmętniała. Zamieszał palcem. Wychylił. Poczł smak, jakby tonął.

Zaczął zwracać słoną wodę zabarwioną na niebiesko.

W wymiocinach zobaczył też nierozpuszczone kawałki niebieskich tabletek. Niektóre wyglądały na zupełnie nietknięte. *Ile we mnie wmusiła?*

Potem szarpał nim nowy atak wymiotów... i następny... i następny. Jak gdyby powtarzał numer z szybkostrzelnymi wymiotami w lesie — jakiś przeciążony obwód w mózgu uparcie wtaczał ten sam odruch, wywołując kolejne czknięcia, które mogły go zabić.

Wreszcie skurcze zwolniły, potem ustały zupełnie.

W zlewie widział tabletki. I niebieskawą wodę.

I krew. Dużo krwi.

Odsunął się, stając na pogruchotanej nodze. Wrzasnął i upadł na podłogę. Nad nierówną powierzchnią linoleum ujrzał szkliste oko Bobbi i zamknął oczy. Natychmiast ogarnęła go fala senności... ale w mroku odezwały się głosy. Nie — wiele głosów połączonych w jeden. Rozpoznał go. To był głos Ludzi z Szopy.

Szli po niego, zawsze wiedział, że przyjdą...

Powstrzymać go... powstrzymać go... powstrzymać!

Rusz się, bo inaczej nie będą cię w ogóle musieli powstrzymywać. Zastrzelą cię albo zdeintegrują, albo cokolwiek jeszcze zechcą z tobą zrobić, kiedy będziesz sobie drzemał na podłodze.

Wygramolił się na kolana, a potem, chwytając się blatu, zdołał wstać. Pomyślał, że w szafce w łazience było pudełko pastylek No-Doz, ale wątpił, czy żołądek utrzyma je po ostatniej torturze. W innych okolicznościach może warto Dy sprawdzić, lecz Gardener bat się, że jeśli znów dostanie szybkostrzelnych wymiotów, tym razem mogą się nie skończyć.

Musisz po prostu iść. Jeżeli będzie bardzo źle, wystarczy przejść parę kroków na tej kostce. To cię migiem otrzeźwi.

Na pewno? Nie wiedział. Wiedział tylko, że musi ruszać, i to szybko, ale nie był pewien, czy w ogóle będzie się mógł długo ruszać.

Skacząc na jednej nodze, dowlókł się do drzwi i obejrzał przez ramię po raz ostatni. Bobbi, która wiele razy ratowała Gardenera przed nękającymi go demonami, sama była wrakiem. Jej koszulka wciąż dymiała. W końcu okazało się, że nie potrafił uratować Bobbi przed jej demonami. Nie mógł jej zabrać do żadnego niedostępnego dla nich miejsca.

Zastrzełeś swoją najlepszą przyjaciółkę. Nieźle, kurwa, co?

Przycisnął wierzch dłoni do ust. W żołądku zaburczało. Zamknął oczy i powstrzymał wymioty, zanim nastąpił atak.

Odwrócił się, otworzył oczy i ruszył przez salon. Najpierw szukał czegoś w miarę solidnego, skakał na jednej nodze do upatrzonemu przedmiotowi i opierał się na nim. Jego umysł chciał być srebrzystym balonikiem, w jaki się zmieniał tuż przed tym, gdy Garda porywał potężny czarny cyklon. To pragnienie też usiłował zwalczyć, wyszukując kolejne przedmioty i skacząc do nich. Jeżeli Bóg istniał i był dobry, może wszystkie wytrzymają jego ciężar i uda mu się pokonać ten bezkresny pokój, tak jak Mojżesz i jego lud pokonali pustynię.

Wiedział, że niedługo zjawią się tu Ludzie z Szopy. Wiedział, że jeśli jeszcze tu wtedy będzie, to umarł w butach; nie, nie w butach — w kaloszach nuklearnych. Bali się, że może coś zrobić ze statkiem. Słusznie. Skoro o tym mowa, rzeczywiście miał taki zamiar i wiedział, że tam będzie najbezpieczniejszy.

Wiedział też, że nie może tam jechać. Jeszcze nie teraz.

Miał jeszcze sprawę do załatwienia w szopie.

Dotarł na werandę, na której przesiadali z Bobbi wiele letnich wieczorów w towarzystwie Petera śpiącego na deskach między nimi. Siedzieli, pijąc piwo, podczas gdy Red Soksi rozgrywali mecz na Fenway albo Comiskey Park, albo diabli jeszcze wiedzą gdzie, ale przede wszystkim grali w radiu Bobbi; maleńcy baseballiści śmigający między lampami i obwodami. Piwo chłodziło się w wiadrze pełnym wody ze studni, a oni siedzieli, rozmawiając o życiu, śmierci, Bogu, polityce, miłości, literaturze. Może nawet raz czy dwa o możliwości życia na innych planetach. Gardener przypomniał sobie taką rozmowę, ale może to zmęczony umysł płatał mu figle. Byli wtedy szczęśliwi. Wydawało się to tak bardzo dawno temu.

Jego myśli zaprzętał Peter. Właśnie Peter był jego pierwszym celem, pierwszym, do którego musiał doskakać na jednej nodze. Jednak prawda była trochę inna — zanim skróci męki Petera, musiał podjąć próbę uratowania Davida Browna, lecz David Brown nie mógł mu dać impulsu emocjonalnego, jakiego potrzebował; nigdy w życiu nie widział Davida Browna. Z Peterem było inaczej.

— Dobry, poczciwy Peter — odezwał się do rozgrzanego powietrza popołudnia (było jeszcze popołudnie? — na Boga, tak). Dowłókl się do schodków i wtedy nastąpiła katastrofa.

Szczęście go opuściło i stracił równowagę. Stał się całym ciężarem na strzaskanej kostce. Niemal usłyszał, jak rozłupane kości zgrzytają o siebie. Gardener wydał wysoki, płaczliwy wrzask — nie był to krzyk kobiety, ale bardzo małej i nieszczęśliwej dziewczynki. Padając na bok, chwycił się balustrady.

Podczas szału przeróbek na początku lipca Bobbi naprawiła balustradę między kuchnią a piwnicą, ale w ogóle nie zwracała sobie głowy tą, która oddzielała werandę od podwórka. Balustrada chybotwała się od lat i kiedy Gard oparł się na niej całym ciężarem ciała, trzasnęły obydwie słupki. W słońcu zawirował wiekowy pył ze spróchniałego drewna... wraz z głowami kilku zaskoczonych termitów. Gard zleciał z werandy na bok, krzycząc żałością, i gruchnął na podwórku jak wielki kawał mięsa. Próbował się podnieść, ale zaczął się zastanawiać, po co to robi. Świat zaczął mu się kołysać przed oczami. Najpierw zobaczył dwie skrzynki na listy, potem trzy. Postanowił zapomnieć o tym wszystkim i zasnąć. Zamknął oczy.

5

W swoim długim, dziwnym i bolesnym śnie Ev Hillman poczuł i zobaczył, jak Gardener pada i wyraźnie usłyszał jego myśl

(zapomnieć o wszystkim i zasnąć)

Potem sen zaczął się rwać i chyba dobrze; trudno było go śnić. Sprawiał mu ból, przysparzał nieopisanych cierpień. Walka z zielonym światłem też sprawiała mu ból. Kiedy człowieka razilo słońce

(pamiętał jeszcze trochę słońce)

wystarczyło, że zamknął oczy, ale zielone światło było w środku, zawsze w środku — miał tam trzecie oko i płonące światło. Były z nim inne umysły. Jeden należał do KOBIECY, drugi do MNIEJ-UMYSŁU, który kiedyś był Peterem. Teraz MNIEJ-UMYSŁ mógł tylko wyć. Czasem wył do BOBBI, żeby przysłała i uwolniła go od zielonego światła... ale przede wszystkim wył, kiedy paliło go podczas tortury czerpania energii. KOBIECY też krzyczała, żeby ją uwolnić, ale czasem jej myśli układały się w przerażające obrazy nienawiści, których Ev nie mógł znieść. A więc: tak. Lepiej

(lepiej)

zasnąć

(łatwiej)

i niech wszystko...

....ale jest David.

David umierał. Jego myśli — które Ev z początku odbierał wyraźnie — zaczęły wpadać w coraz głębszą spiralę, która skończy się najpierw utratą przytomności, a potem szybką śmiercią.

Tak więc Ev pokonał mrok.

Pokonał i zaczął wołać:

Wstawaj! Wstawaj! Ty tam, na słońcu! Pamiętam słońce! David Brown zasługuje na to, żeby nacieszyć się słońcem! Więc wstawaj! Wstawaj! Wstawaj! WSTA...

6

WAJ WSTAWAJ WSTAWAJ!

Myśl uparcie pulsowała w głowie Gardenera. Nie, nie pulsowała. Przypominała samochód na kołach ze szkła, które wrzynały mu się w mózg, podczas gdy samochód jeździł tam i z powrotem.

zasługuje na to, żeby nacieszyć się słońcem David Brown WSTAWAJ David WSTA David WAJ David Brown! WSTAWAJ! DAVID BROWN! WSTAWAJ! WSTAWAJ, DO DIABŁA!

— Już dobrze — mruknął Gardener ustami pełnymi krwi. Już dobrze, słyszę, daj mi spokój!

Zdołał dźwignąć się na kolana. Próbował wstać. Świat pociemniał. Niedobrze. Przynajmniej ten ochrypły głos w jego głowie trochę przycichł... Gard wyczuwał, jakby jego właściciel patrzył jego oczami, jak gdyby wyglądał przez nie jak przez brudne okna

(śnił przez nie)

widząc to, co on.

Znów spróbował wstać i znów mu się nie udało.

— Mam jeszcze za wysoki iloraz dupowatości — wychrypiał Gardener. Wypluł dwa zęby i zaczął się czołgać po ziemi w stronę szopy.

7

W pościg za Jimem Gardenerem ruszyło całe Haven.

Jechali samochodami, półciągarówkami, traktorami, motocyklami. Pani Eileen Crenshaw, sprzedająca produkty Avon, ta sama, która okropnie się nudziła podczas DRUGIEGO POKAZU SZTUKI MAGICZNEJ Hilly'ego Browna, jechała plażową terenówką swojego syna, Galena. Za jej plecami siedział wielbny Goohringer, a resztki jego siwiejących włosów powiewały na opalonej czaszce. Vern Jernigan jechał karawanem, który próbował przerobić na wóz kempingowy jeszcze przed przyspieszeniem „przemiany”. Drogi wypełniły się pojazdami. Ashley Ruvall wymijał slalomem pieszych, pedałując jak szalony na rowerze. Zdażył jeszcze wpaść do domu, żeby zabrać coś, co nazywał wypalaczem. Wiosną była to duża zabawka, która kurzyła się na strychu. Teraz, wyposażona w dziewięciowoltową baterię i płytkę drukowaną z elektronicznej zabawki do nauki pisania Speak 'n Spell, należącej do jego młodszego brata, zmieniła się w broń, którą mógłby się zainteresować Pentagon. Wyrzywała dziury w różnych przedmiotach. Duże dziury. Tkwiała przypięta do bagażnika roweru, gdzie Ashley trzymał wcześniej gazety, kiedy je rozwoził. Jechali w ogromnym pośpiechu i doszło do kilku wypadków. Kiedy volkswagen Early'ego Hutchinsona zderzył się z kombi Fanninów, zginęło dwoje ludzi, ale nikt się nie zatrzymywał z powodu takich drobiazgów. Przestrzeń w powietrzu wypełniał ciągły, rytmiczny krzyk ich skandowanych myśli:

Zanim zrobi coś ze statkiem! Zanim zrobi coś ze statkiem!

Był ciepły letni dzień, świetny dzień na zabijanie, a jeśli trzeba było kogoś zabić, to był to James Eric Gardener, więc jechali. Ponad pięciuset dobrych, uczciwych ludzi ze wsi, którzy nauczyli się paru nowych sztuczek. Jechali. I wieźli ze sobą nową broń.

8

Gdy Gardener był w połowie drogi do szopy, zaczął się czuć lepiej — mógł złapać drugi oddech. Przypuszczał jednak, że może rzeczywiście pozbył się prawie całego valium i powoli przezwyciężał działanie reszty.

A siłę przekazywał mu w jakiś sposób staruszek.

Wszystko jedno, co to było, ale postawiło go na nogi i znów mógł skakać. Na chwilę chwycił się drzwi szopy, czując galopujący łomot serca. Przypadkiem zerknął w dół i ujrzał

dziurę w drzwiach. Okrągłą. Jej nierówne krawędzie znaczył kołnierz białych drzazg. Dziura wyglądała, jakby została wygryziona.

Odkurzacz, który obsługiwał guziki. A więc tak się wydostał. Miał Nową Ulepszoną Końcówkę Tnącą. Chryste, ci ludzie naprawdę zwariowali.

Skacząc, przedostał się na drugą stronę budynku i nagle zyskał absolutną pewność: nie będzie klucza.

Chryste, Gard, przestań! Dlaczego miałoby...

Ale faktycznie. Klucza nie było. Gwóźdź, na którym wisiał, był pusty.

Wyczerpany Gardener oparł się o ścianę szopy, drząc i lśniąc od potu. Spojrzał w dół i słońce odbiło się od czegoś na ziemi — od klucza. Gwóźdź trochę się skrzywił. Ostatnio zawiesił klucz w pośpiechu i prawdopodobnie gwóźdź odrobinę przesunął się w dół w miękkim drewnie. Klucz się z niego zsunął.

Pochylił się z trudem, podniósł klucz i ruszył w mozolną drogę powrotną do drzwi. Doskonale zdawał sobie sprawę z upływu czasu. Niedługo przyjadą; jakim cudem zdąży załatwić swoją sprawę w szopie, a potem dostać się do statku, zanim się pojawią? Było to niemożliwe, toteż najlepiej nie zawracać sobie tym głowy.

Zanim stanął przed drzwiami, usłyszał słaby odgłos silników. Dźgnął kluczykiem w kłódkę, ale chybił. Słońce świeciło jasno, a cień Gardenera wyglądał jak niewielka kałuża u jego nóg. Jeszcze raz. Tym razem klucz trafił bez pudła. Gard przekreślił go, pchnął drzwi i dał nura do szopy.

Zalało go zielone światło.

Było silne — silniejsze niż podczas jego poprzedniej wizyty.

Wielka maszyna sklecona z przeróżnych urządzeń

(transformator)

jarzyła się jasno. Światło pulsowało tak jak przedtem, ale znacznie szybciej. W blasku zielonego ognia srebrzyste obwody drukowane na płytkach lśniły jak drogi na mapie.

Rozejrzał się. Staruszek, pływający w swojej zielonej kąpieli, patrzył na Gardenera jedynym okiem. Spojrzenie było udręczone... ale przytomne.

Użyj transformatora, żeby ratować Davida.

— Idą po mnie, staruszkule — wychrypiał Gardener. — Mam mało czasu.

W rogu, tam, w rogu.

Spojrzał w tę stronę i zobaczył coś, co wyglądało trochę jak antena telewizyjna, trochę jak duży ruchomy wieszak na ubrania i trochę jak rozkładane urządzenie, na którym kobiety wieszają ubrania za domem.

— To?

Weź to na podwórko.

Gardener nie zadawał żadnych pytań.

Nie miał na to czasu.

Przedmiot stał na małej kwadratowej podstawie, gdzie, jak przypuszczał Gardener, znajdowały się baterie i obwody. Z bliska zobaczył, że pręty przypominające wygięte ramiona anteny telewizyjnej w rzeczywistości są grubymi stalowymi rurkami. Chwycił środkowy pręt. Przedmiot nie był ciężki, ale nieporęczny. Czy to mu się podoba, czy nie, będzie musiał obciążyć pogruhotaną kostkę.

Obejrzał się na zbiornik, w którym unosił się Ev Hillman.

Jesteś pewien, dziadku?

Ale odpowiedziała mu kobieta. Otworzyła oczy. Patrząc w nie, Gard odniósł wrażenie, jakby zaglądał do kotła czarownic z „Makbeta”. Na chwilę zapomniał o bólu, znużeniu i mdłościach. Znalazł się w mocy jej kipiącego jadem wzroku.

W okamgnieniu zrozumiał prawdę o władzy tej strasznej kobiety, którą Bobbi nazywała Siostrunią, i zrozumiał, dlaczego Bobbi uciekła od niej jak od demona. Bo była demonem.

Była czarownicą. I nawet teraz, mimo straszliwych cierpień, nienawiść nie zniknęła z jej oczu.

Weź, głupi! Ja to będę zasilać!

Gardener stanął na strzaskanej nodze i wrzasnął, czując, jakby od kostki sięgnęła w górę długa ręka, chwytając go brutalnie za miękką mosznę.

Staruszek:

czekaj czekaj

Przedmiot uniósł się w powietrzu. Niewysoko, najwyżej dwa cale nad ziemię. Fala zielonego światła przybrała na sile.

Będiesz to musiał poprowadzić, chłopcze.

Z tym potrafił sobie poradzić. Przedmiot zaczął sunąć chwiejnie przez zieloną szopę jak szkielec dziwnego parasola plażowego, przechylając się na wszystkie strony i rzucając wydłużone cienie na ściany i podłogę. Gardener niezdarnie skakał za nim na jednej nodze, nie chcąc, nie mając odwagi spojrzeć w oczy oszalałej kobiety. W głowie brzęczała mu uporczywie jedna myśl: Siostra Bobbi Anderson była czarownicą... czarownicą... czarownicą...

Wyprowadził podskakujący parasol na słońce.

9

Pierwszy przyjechał Freeman Moss. Na podwórku przed domem Bobbi zatrzymał ciężarówkę do przewozu drzewa, którą kiedyś podwiózł Garda, i wyskoczył, zanim umilkł silnik, który gasł wolno, kaszłąc i popierdując. Jezu, niech go szlag, jeśli to nie ten skurwiel. Stał na samiuśkim środku podwórka, trzymając się czegoś, co wyglądało jak ogrodowa suszarka do bielizny. Gość wyglądał jak zdyszany biegacz. Trzymał w górze jedną nogę — lewą — jak pies, który wbił sobie kolec w łapę. Tenisówka była jasnoczerwona i kapła z niej krew.

Wygląda na to, że Bobbi posłała ci przynajmniej jedną kulkę, gadzie.

Jej kumpel morderca usłyszał widocznie tę myśl, bo uniósł głowę, uśmiechając się ze znużeniem. Wciąż trzymał się suszarki na kwadratowej podstawce. Opierał się na niej.

Freeman ruszył do niego, nie zamykając za sobą drzwi ciężarówki. W uśmiechu tego człowieka było coś dziecinnego i ujmującego. Dopiero po chwili Freeman zrozumiał, co to jest: facet był szczerbaty jak mały chłopiec i jego uśmiech przypominał dynię na Halloween.

Jezu, nawet cię lubiłem; dlaczego tak wszystko spierdoliłeś?

— Co ty tu robisz, Freeman? — zapytał Gardener. — Powinieneś siedzieć w domu i oglądać mecz Red Soxów. Parkan już pobielony.

Ty skurczysynu zafajdany!

Moss był ubrany w ocieplaną kamizelkę, pod którą nie miał koszuli; po prostu kamizelka pierwsza wpadła mu w ręce, kiedy wybiegał z domu. Odślonił teraz jej połę, ukazując nie żaden przemyślny aparat ani gadżet, tylko colta woodsmana. Wyciągnął broń. Gardener stał w miejscu i patrzył na niego, trzymając się pręta suszarki i unosząc stopę.

Zamknij oczy. To potrwa tylko chwilę. Tyle przynajmniej mogę zrobić.

10

(na ziemię gnojku na ziemię bo stracisz łeb razem z nim gównu mnie obchodzi w kogo trafi na ziemię jeżeli chcesz jeszcze żyć)

W oczach Anne Anderson płonęła nienawiść i zapiekła wściekłość; nie miała już zębów, ale puste dziąsła zgrzytały o siebie, zgrzytały, zgrzytały i w zbiorniku unosił się strumyczek baniek.

Światło pulsowało coraz szybciej jak rozkręcająca się karuzela. Zaczęło migotać z szybkością lampy stroboskopowej. Buczenie przybrało na sile, zmieniając się w cichy elektryczny jęk, a w szopie uniósł się ostry zapach ozonu.

Na włączonym ekranie monitora słowo

PROGRAM?

ustąpiło miejsca słowu

ZNISZCZ

które zaczęło szybko migać i migało bez końca.
(na ziemię gnojku albo stój dalej wszystko mi jedno)

11

Gardener się uchylił. Strzaskana stopa dotknęła ziemi. Nogę znów przeszła błyskawica bólu. Padł w kurz na dłonie i kolana.

Suszarka nad jego głową zaczęła wirować, z początku wolno. Moss utkwiał w niej spojrzenie, na chwilę opuszczając lekko rękę, w której trzymał colta. Dopiero w ostatnim momencie uprzytomnił sobie, że został mu tylko ten moment. Potem z cienkich rurek trysnęło zielone światło. Przez chwilę konstrukcja do złudzenia przypominała parasol plażowy — wielki i zielony, który częściowo złożono, tak że okrągłym rąbkiem dotykał ziemi. Ale parasol był zrobiony z ognia i Gard kulił się pod nim, mrużąc oczy, osłaniając twarz jedną ręką i krzywiąc się jak gdyby z gorąca... ale nie czuł gorąca, przynajmniej nie tu, pod ognistym muchomorem Siostruni.

Na brzegu parasola znalazł się Freeman Moss. Najpierw zajęły się jego spodnie, potem kamizelka. Z początku płomienie były zielone; potem buchnęły na żółto.

Moss wrzasnął i zatoczył się do tyłu, upuszczając broń. Suszarka nad głową Gardenera zawirowała szybciej. Szkieletowe ramiona z metalu, które opadały komicznie, pod wpływem siły odśrodkowej coraz bardziej się prostowały. Ognisty klosz sięgnął dalej, pochłaniając ramiona i twarz Mossa, który usiłował się cofnąć. W głowie Garda znów rozległo się okropne zawodzenie. Próbował je wyłączyć, ale nie było sposobu. Dostrzegł kątem oka jego twarz, która rozpływała się jak gorąca czekolada, a potem zasłonił oczy jak dziecko oglądające straszny film.

Płomienie wirowały na podwórku Bobbi coraz szerszym kręgiem, zmieniając pas czarnej ziemi w coś w rodzaju szklistego żwiru. Na skraju obwodu ognistego parasola znalazły się ciężarówka Mossa i niebieski pikap Bobbi; szopa leżała odrobinę dalej, lecz jej sylwetka tańczyła w rozgrzanym powietrzu. Gard nie miał wątpliwości, że na brzegu koła musi być bardzo gorąco, o wiele bardziej niż w miejscu, gdzie się kulił.

Lakier na masce ciężarówki Mossa i na bokach auta Bobbi najpierw pokrył się pęcherzami, potem szerniał, a wreszcie buchnął płomieniem i spalił się do gołej stali. Resztki kory, trociny i wióry na pace ciężarówki Mossa spłonęły jak wysuszona podpałka w piecu. Dwie duże beczułki z różnymi śmieciami na pace pikapa, zrobione z prasowanego gipsu, też zajęły się ogniem i paliły się jak kinkiety. Tam gdzie sięgał promień, parasol ognia wypalił piętno w kształcie talerza. Zapalił się koc wojskowy, którym było przykryte dziurawe siedzenie w kabinie ciężarówki Mossa, od niego zajęła się tapicerka, potem łatwopalne wypełnienie foteli; cała kabina zmieniła się w gorejące pomarańczowym płomieniem wnętrze pieca, w którym majaczyły szkielety sprężyn.

Freeman Moss zatoczył się do tyłu, zwijając się w konwulsjach. Wyglądał jak kaskader, który zapomniał nałożyć kombinezon ognioodporny. Potem padł na ziemię.

12

Przez wrzaski umierającego Mossa przebił się krzyk myśli Anne Anderson:

Pierdol się! Pierdol...

Potem nagle coś w niej puściło — rozbłysnął ostatni zielony płomień, który pulsował prawie dwie sekundy. Transformator zabuczał o ton wyżej i wszystkie deski w szopie wpadły w rezonans, wibrując i grzechocząc.

Później buczenie ucichło, wracając do poprzedniego sennego szumu; głowa Anne opadła bezwładnie, a jej włosy unosiły się w zielonym płynie jak u topielicy. Komunikat na ekranie komputera

ZNISZCZ

zgasł jak zdmuchnięty płomyk świecy i zmienił się w

PROGRAM?

13

Ognisty parasol drgnął i zniknął. Suszarka, która wirowała w szalonym tempie, zaczęła zwalniać, skrzypiąc rytmicznie jak otwarta brama na wietrze. Rurki opadły, wracając do pierwotnego położenia. Konstrukcja jeszcze raz skrzypnęła i znieruchomiała.

Nagle eksplodował bak w samochodzie Bobbi. W niebo strzeliło jeszcze więcej żółtych płomieni. Gard poczuł, jak obok niego śmignął kawałek metalu.

Uniósł głowę i gapiąc się na płonące auto, myślał: Bobbi i ja jeździliśmy nim czasem do kina samochodowego Starlite w Derry. Chyba nawet raz kochaliśmy się, kiedy leciał jakiś głupi film z Ryanem O'Nealem. Co się stało? Boże, co się stało?

W jego głowie odezwał się głos staruszka, niemal krańcowo wyczerpany, ale kategoryczny: Szybko! Ja będę zasilać transformator, kiedy przyjdzie reszta, ale musisz się pospieszyć! Chłopiec! David! Człowieku, szybko!

Mało czasu, pomyślał ze znużeniem Gardener. Jezu, zawsze za mało.

Ruszył z powrotem w stronę otwartych drzwi szopy. Policzki miał blade jak wosk. Przystanął przy ciemnym wypalonym w ziemi okręgu, a potem niezgrabnie przez niego przeskoczył. Nie chciał go dotykać. Zachwiał się, omal nie tracąc równowagi, lecz utrzymał się na nodze i pokicał dalej. Kiedy znalazł się w szopie, z wściekłym hukiem wyleciały w powietrze dwa baki w ciężarówce Mossa. Kabina oderwała się od korpusu. Ciężarówka przewróciła się na bok jak plastikowa pchełka. Przez otwarte okno od strony pasażera zaczęły wylatywać płonące strzępy tapicerki i wypełnienie siedzeń, unosiły się w powietrzu niczym zapalone piórka. Opadały na podwórko i gasły. Niektóre jednak przefrunęły aż na werandę, a kilka wleciało przez otwarte drzwi do domu, niesione pierwszym podmuchem wiatru, który wkrótce miał zacząć wiać od wschodu. Jeden z płonących kłębków bawełny wylądował miękko na książce, którą Gardener tydzień temu zostawił na stoliku przy drzwiach. Okładka zajęła się ogniem.

W salonie inny kawałek siedzenia podpalił dywan, który zrobiła w swojej sypialni pani Anderson i pewnego dnia w tajemnicy przysłała Bobbi, kiedy Anne nie było w domu.

Gdy Jim Gardener wyszedł później z szopy, płonął już cały dom.

Światło w szopie nigdy nie było tak słabe jak teraz — przyćmiona zieleń miała barwę wody w martwym stawie.

Gardener ostrożnie spojrział w stronę Anne, obawiając się widoku jej rozwścieczonych oczu. Ale nie było się czego bać. Pływała z opuszczoną głową, jakby głęboko zamyślona, a jej włosy leniwie falowały.

Ona nie żyje, chłopcze. Jeżeli chcesz ocalić chłopca, musisz to zrobić teraz. Nie wiem, jak długo mogą dostarczać energii. Ale nie rozdwoję się, nie mogę nasłuchiwać ich i jednocześnie zasilać transformatora.

Ev wpatrywał się w Gardenera, a Garda ogarnęło głębokie współczucie... i podziw dla niesłychanej odwagi starego drania. Czy na miejscu dziadka zrobiłby choć połowę tego, co on? Nie sądził.

Chyba bardzo cię boli, co?

Nie jestem w najlepszej formie, chłopcze, jeśli o to ci chodzi. Ale dam radę... jeżeli zaczniesz działać.

Działać. Tak. Już za długo marudził, o wiele za długo.

Znowu szeroko otworzył usta w niepomowanym ziewnięciu, a później zbliżył się do sterty urządzeń piętzących się wewnątrz i obok pomarańczowej skrzyni — czyli tego, co staruszek nazywał transformatorem.

PROGRAM?

pytał zachęcająco ekran komputera bez klawiatury.

Hillman mógł powiedzieć Gardenerowi, co zrobić, ale Gardenerowi nie trzeba było mówić. Wiedział. Pamiętał też krwotok z nosa i ryk radia w głowie, jakich doświadczył po jednorazowym eksperymencie z aparatem lewitacyjnym Mossa. Wobec tego zadania tamto wydawało się dziecinną igraszką jak konstrukcja z klocków Lincoln Logs. Od tego czasu jednak, czy mu się to podobało, czy nie, zrobił duże postępy w „przemianie”. Mógł mieć nadzieję, że to wysta...

Cholera, chłopcze, nastaw ucha, mamy towarzystwo.

Nagle ponad głosem Hillmana zabrzmiał inny głos, znajomy, choć Gardener nie potrafił dokładnie określić, do kogo należał.

(cofnąć się cofnąć się wszyscy czekać)

Chyba tylko chyba jeden może dwóch

To znów odezwał się zmęczony głos myśli staruszka. Gardener poczuł, jak skupia się na suszarce na podwórku. Zielony blask w szopie znowu pojaśniał i zaczęło się śmiercionośne pulsowanie.

Gdy zaczął się wrzask myśli Freemana Mossa, Dick Allison i Newt Berringer byli jeszcze dwie mile od farmy Bobbi. Kilka chwil wcześniej gwałtownie skręcili, żeby ominąć Elta Barkera. Dick spojrział w lusterko wsteczne i zobaczył, że harley Elta gwałtownie skręcił w poprzek drogi i wyskoczył w powietrze. Przez moment Elt wyglądał jak Evel Knievel, tylko siwy. Potem oddzielił się od motocykla i wylądował w krzakach.

Newt obiema nogami wcisnął hamulec i ciężarówka zatrzymała się z piskiem opon na środku drogi. Spojrział na Dicka wzrokiem, w którym malowały się strach i wściekłość.

Skurwysyn ma jakiś gadżet!

Tak. Ogień. Coś w rodzaju.

Odgłos myśli Dicka raptownie przerodził się w krzyk. Newt podjął i wzmocnił jego wołanie. Zaraz dołączyli do nich Kyle Archinbourg i Hazel McCready jadący cadillakiem Kyle'a.

(cofnąć się cofnąć się wszyscy czekać)

Zatrzymali się w miejscu. Te Stukostrachy z reguły rzadko słuchały poleceń, ale okropne krzyki Mossa, które już słabły, miały wielki dar przekonywania. Stanęli wszyscy, z wyjątkiem niebieskiego oldsmobile'a delta 88 z nalepką z tyłu głoszącą POŚREDNICZY HANDLU NIERUCHOMOŚCIAMI WCISNĄ CI CAŁE AKRY.

Kiedy padł rozkaz, by się cofnąć i zatrzymać, Andy Bozeman widział już farmę Anderson. Jego nienawiść rosła w postępie geometrycznym — umiał myśleć wyłącznie o krwawiącym i martwym Gardenerze. W ostrym wirażu wpadł na podjazd domu Bobbi. Kiedy Bozeman wdepnął na hamulec, uniósł się tył starego oldsmobile'a; wielki samochód omal się nie wywrócił.

Ja ci pobielę parkan, gnojku pierdolony. Ja ci dam zdechłego szczura i kawałek sznurka, na którym można nim wywijać, złamasie.

Jego żona wyciągnęła z torebki stymulator molekularny. Wyglądał jak blaster z komiksu o Bucku Rogersie wykonany przez dość błyskotliwego szaleńca. Rama urządzenia niegdyś była częścią narzędzia ogrodniczego, które sprzedawano pod nazwą „Chwastojad”. Wychyliła się przez okno samochodu i pociągnęła za spust, zupełnie na oślep. Wschodnia część domu Bobbi wybuchła niczym kocioł ognia. Ida Bozeman uśmiechnęła się radosnym, gadzim uśmiechem.

Gdy Bozemanowie zaczęli wysiadać z oldsmobile'a, zawirowała suszarka do bielizny. Chwilę później otworzył się parasol zielonych płomieni. Ida Bozeman usiłowała wycelować w niego „molekularną dyskotekę”, jak nazywała swój aparat, lecz za późno. Gdyby jej pierwszy strzał zamiast w dom trafił w suszarkę, wszystko mogło wyglądać inaczej...

Oboje zmienili się w krzewy gorejące. Chwilę później eksplodował oldsmobile, za którego trzeba jeszcze było spłacić trzy raty.

16

Krzyki Freemana Mossa zaczęły przycichać, ustępując miejsca krzykom Andy'ego i Idy Bozemanów. Newt i Dick z grymasem na twarzach czekali, aż się skończą.

Wreszcie ucichły.

Dick Allison widział przed sobą auta zaparkowane po obu stronach drogi numer 9 i pośrodku. Frank Spruce wychylał się przez okno szoferki cysterny, patrząc niecierpliwie na Newta i Dicka. Wyczuwał/obaj wyczuwali wyczekiwanie pozostałych — wszystkich pozostałych — na drodze, na innych drogach; tych co stali na polach, przez które gnali na przełaj na farmę. Wszyscy czekali na jakąś decyzję.

Dick odwrócił się do Newta.

Pożar.

Tak, pożar.

Możemy go ugasić?

W myślach Newta nastąpiła chwila ciszy, kiedy się zastanawiał; Dick wyczuwał, że ma ochotę odsunąć tę sprawę na bok i jechać tam, gdzie był Gardener. Pragnienia Dicka nie były skomplikowane: chciał wyprać flaki Jimowi Gardenerowi. Ale to nie była odpowiedź, z czego obaj zdawali sobie sprawę — wszyscy Ludzie z Szopy zdawali sobie z tego sprawę, nawet Adley. Gra toczyła się o wyższą stawkę. Dick był pewien, że Jim Gardener i tak straci flaki, w taki czy inny sposób.

Przeciwstawianie się Stukostrachom nie było najlepszym pomysłem. Sprzeciw doprowadzał je do szału. Przekonało się o tym wiele ras w innych światach na długo przed dzisiejszą zabawą w Haven.

Dick i Newt spojrzeli w stronę okolonego drzewami pola, na którym rozbił się Elt Barker. Trawy i pióropusze drzew kołysały się — wprawdzie nieznacznie, ale wyraźnie kołysały się na wietrze, który wiał ze wschodu na zachód. Właściwie ten zefirek trudno było nazwać wiatrem... ale Dick sądził, że niedługo zaczną dmuchać mocniej.

Tak, możemy zgasić pożar — odrzekł w końcu Newt.

Powstrzymać pożar i pijaka? Damy radę zrobić jedno i drugie?

Znowu długa chwila pełnej namysłu ciszy. Potem Newt udzielił odpowiedzi, potwierdzając podejrzenia Dicka.

Nie wiem, czy damy radę. Możemy zrobić albo jedno, albo drugie, ale nie wiem, czy damy radę zrobić obie rzeczy.

A więc na razie zostawimy pożar

tak zostawimy pożar

Ochronimy statek nic się nie

statkowi nic się nie stanie a wiatr wiatr wieje ze

Spojrzeli po sobie z uśmiechem, gdy ich myśli zestroiły się w idealnej harmonii w jeden głos, w jeden umysł.

Ogień mu przeszkodzi, ogień odetnie mu drogę do statku!

Ludzie, słuchający tej rozmowy na drogach i na polach, nieco odetchnęli. Nie będzie się mógł dostać do statku.

Ciągle jest w szopie?

Tak.

Newt zwrócił zdziwioną i zaniepokojoną twarz do Dicka.

Co on tam, kurwa, robi? Ma coś, co pomoże mu coś zrobić? Coś złego ze statkiem?

Po chwili milczenia odezwał się głos Dicka, ale mówił nie do Newta, a do wszystkich Ludzi z Szopy; głos był donośny i kategoryczny:

POŁĄCZCIE UMYSŁY POŁĄCZCIE UMYSŁY W SIEĆ Z NASZYMI, WSZYSCY, KTÓRZY MOGĄ, POŁĄCZCIE UMYSŁY W SIEĆ Z NASZYMI I NASŁUCHUJCIE, NASŁUCHUJCIE GARDENERA, NASŁUCHUJCIE.

Nasłuchiwali. W upalnej ciszy wczesnego letniego popołudnia. Nasłuchiwali. Kilka wzniesień dalej w niebo uniosły się pierwsze smugi dymu.

17

Gardener czuł, że nasłuchują. Miał paskudne wrażenie, jakby coś obrzydliwego pełzało mu po powierzchni mózgu. Śmieszne, ale prawdziwe. Pomyślał: Teraz wiem, jak się czuje latarnia uliczna, kiedy wokół niej trzepocą émy.

Staruszek poruszył się w zbiorniku, próbując pochwycić spojrzenie Gardenera. Nie udało mu się, ale pochwycił jego myśl. Gard uniósł głowę w stronę starca.

Nieważne, chłopcze — chcą wiedzieć, co zamierzasz, ale zapomnij o nich. Nic się nie stanie, kiedy się dowiedzą. Może nawet tak będzie lepiej. Przyhamuj ich. Uspokój ich myśli. Nie obchodzi ich David, tylko ten przeklęty statek. Szybko, chłopcze! Szybko!

Gardener stał obok transformatora, trzymając w dłoni jedną ze słuchawek. Nie chciał jej wkładać. Czuł się, jakby musiał znowu dotknąć elektrody, która kiedyś bardzo mocno go poraziła.

Naprawdę muszę sobie wkładać do ucha to cholerstwo? Poprzednio zmieniłem ekran samą myślą.

Tak i tylko tyle możesz zrobić. Musisz to włożyć, chłopcze. Przykro mi.

Nie do wiary, ale Gardenerowi znów zaczęły ciążyć powieki. Musiał się powstrzymać siłą woli, aby nie opadły.

Boję się, że to mnie zabije — pomyślał do staruszka, mając nadzieję, że staruszek zaprzeczy. Ale jedyną odpowiedzią było pełne bólu spojrzenie jego oka i ciche chlup–chlup–chlup sprzętu.

Tak, to mnie może zabić i on też o tym wie.

Słyszał dobiegające z zewnątrz stłumione trzaski płomieni.

Ustało trzepotanie na powierzchni mózgu. Niewidzialne ćmy odleciały.

Gardener niechętnie wsunął słuchawkę do ucha.

18

Kyle i Hazel odetchnęli. Spojrzeli po sobie. Ich oczy wyrażały identyczną — bardzo ludzką — ulgę. Ulgę, jaką mogą odczuwać ludzie, kiedy odkryją coś zbyt pięknego, by mogło być prawdą.

David Brown? — zapytał z niedowierzaniem Kyle. — Ty też to

usłyszałam tak próbuje uratować chłopaka, spro

sprowadzić go z powrotem

z Altaira–4

Wybijając się na chwilę ponad sieć, odezwał się podniecony, drwiący i pełen triumfu głos Dicka Allisona:

Cholera! Wiedziałem, że dzieciak się nam przyda!

19

Przez chwilę Gardener nic nie czuł. Zaczął się powoli odprężyć, znów omal nie zapadając w drzemkę. I nagle zaatakował go ból, jednym strasliwym ciosem, niczym miazdzącym uderzeniem tarana, który o mało nie roztrzaskał mu głowy.

— Nie! — wrzasnął. Uderzył się dłońmi w skronie. — Nie, Boże, nie, za bardzo boli, Jezu, nie!

Wytrzymaj, chłopcze, spróbuj wytrzymać!

— Nie mogę, nie mogę, Chryste zatrzymaj to!

W porównaniu z tym ból zgruchotanej kostki był niczym ugryzienie komara. Ledwie zdawał sobie sprawę, że krwawi mu nos i usta ma także pełne krwi.

Wytrzymaj, chłopcze!

Ból odrobinę zelżał. Ustąpił miejsca innemu wrażeniu. Nowe odczucie było okropne, przerażające.

Kiedyś w college’u Gard brał udział w turnieju Wielka Wyżerka u McDonalda. Pięć bractw wystawiło do zawodów „mistrzów jedzenia”. Gard był „mistrzem” bractwa Delta Tau Delta. Kiedy jadł szóstego big maca — znacznie poniżej ostatecznego wyniku zwycięzcy — nagle uświadomił sobie, że jest bardzo bliski całkowitego przeciążenia fizycznego. Nigdy w życiu nie doświadczył czegoś podobnego. W obrzydliwy sposób było to nawet ciekawe. Brzuch miał pełen bulgoczącego jedzenia. Nie miał ochoty wymiotować; słowo „mdłości” niezbyt dokładnie oddawało jego stan. Oczywista wyobraźni zobaczył własny żołądek jako wielki, rozdęty sterowiec unoszący się w jego wnętrzu. Zdawało mu się, że czuje, jakby w jakimś umysłowym Centrum Kontroli Zadań zapalały się czerwone lampki ostrzegawcze, podczas gdy różne układy jego ciała próbowały sobie poradzić z szalonym ładunkiem mięsa,

pieczywa i sosu. Nie zwymiotował. Pospacerował i przeszło. Mijało bardzo wolno, ale przeszło. Przez wiele godzin czuł się jak Tweedledum i Tweedledee z rysunków z książki „O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra”; miał okrągły i napięty brzuch, który lada moment mógł wybuchnąć.

Teraz to samo działo się z jego głową. Jim Gardener uprzytomnił sobie jasno, z chłodną obojętnością, niczym akrobata ćwiczący na trapezie bez siatki zabezpieczającej, że balansuje na krawędzi śmierci. Ale towarzyszyło temu jeszcze jedno odczucie, którego nie można było z niczym powiązać. Po raz pierwszy zrozumiał naturę Stukostrachów — zrozumiał, co je porusza, co je pcha naprzód.

Mimo bólu, który tylko nieznacznie osłabł, lecz nie zniknął, mimo strasznego wrażenia, że jest wypchany jak pyton, który połknął dziecko, gdzieś w zakamarkach duszy był zachwycony. Jak gdyby wziął niewiarygodnie silny narkotyk. Czuł się, jakby jego mózg zmienił się w silnik najbardziej zajebistego chevroleta, jaki kiedykolwiek zbudowano, który mruczy na wolnych obrotach, smakując wysokooktanową benzynę i czekając, aż wrzuci bieg i z piskiem opon ruszy...

Dokąd?

Dokądkolwiek.

Choćby do gwiazd, gdyby zechciał.

Chłopcze, przestaję cię słyszeć

Był to głos staruszka, zmęczony jak jeszcze nigdy dotąd.

Gardener skupił się na czekającym go zadaniu — następnym meblu, do którego musiał doskakać na jednej nodze. Och, to było cudownie upojne uczucie, ale kradzione. Przywołał obraz wyschniętych brązowych sylwetek zakleszczonych w hamakach. Galerników. To staruszek go zasiliał; wysysał staruszka jak wampir krew. Kiedy sam stanie się wampirem?

Kiedy stanie się taki jak oni?

Pomyślał: Jestem, stary, jestem.

Ev Hillman z milczącą ulgą zamknął jedyne oko. Gard odwrócił się do ekranu monitora, z roztargnieniem przytrzymując słuchawkę w uchu jak reporter nadający korespondencję na żywo, który słucha pytania prezentera wiadomości siedzącego w studiu.

Zielone światło w zamkniętej przestrzeni szopy Bobbi znów zaczęło cyklicznie pulsować.

20

nasłuchujcie

Nasłuchiwali wszyscy; wszyscy uczestniczyli w telekonferencji obejmującej całe Haven, której centrala znajdowała się dwie mile od bladej jeszcze smugi dymu. Połączeni w sieć nasłuchiwali. Nie akceptowali żadnych bezwzględnych, wspólnych prawd; Stukostrachy były nazwą, którą przyjęli równie obojętnie jak każdą inną, a w rzeczywistości byli gromadą międzygwiazdnych cyganów pozbawionych króla. Jednak w momencie kryzysu, podczas okresu regeneracji — kiedy byli wyjątkowo bezbronni — chętnie zaakceptowali głos tych, których Gardener nazywał Ludźmi z Szopy. W końcu stanowili ich najczystsza kwintesencję.

nadeszła pora zamknąć granice

Rozległo się powszechne westchnienie oznaczające zgodę — odgłos myśli, który od razu rozpoznałaby Ruth McCausland: szelest zeschniętych liści na listopadowym wietrze.

Ludzie z Szopy stracili kontakt z Gardenerem, przynajmniej na razie. Wystarczyło im wiedzieć, że jest zajęty gdzie indziej. Jeśli chciał się dostać do ich statku, wkrótce na przeszkodzie stanie mu ogień.

Połączony głos szybko wyjaśnił program zadań, jakie należało wykonać — zarys części planów przygotowano już wiele tygodni temu, a nabierały konkretniejszych kształtów, w miarę jak postępowała „przemiana” Ludzi z Szopy.

Budowano różne aparaty — na pozór chaotycznie. Ale zachowanie ptaków, które wobec nadciągającej zimy wybierają się na południe, też może się wydawać chaotyczne; być może same uważają kierunek swojej migracji za przypadkowy — uważają, że to miejsce jak każde inne nadaje się na spędzenie zimowych miesięcy. Masz ochotę jechać do Karoliny Północnej, skarbie? Oczywiście, najdroższy, cóż za cudowny pomysł.

Tak więc budowali i czasem zabijali się nawzajem nowymi zabawkami, a niekiedy kończyli jakąś konstrukcję, przyglądali się jej z powątpiewaniem i chowali ją gdzieś głęboko, bo nie była im przydatna w codziennych zajęciach. Niektóre jednak wywozili do granic Haven w bagażnikach samochodów, na pakach ciężarówek, pod plandekami. Jednym z takich urządzeń był automat do coli, który zamordował Johna Leandra; przerobił go nieżyjący Dave Rutledge, który kiedyś trudnił się naprawą takich maszyn. Innym była podkaszarka Bensohn, która nacięła co niemiara Lestera Morana. Jeszcze innymi podrasowane telewizory strzelające ogniem; wykrywacze dymu (podczas pierwszej wizyty w szopie Gardener widział część, ale nie wszystkie), które fruwały w powietrzu jak kółka frisbee, emitując zabójcze ultradźwięki, w kilku miejscach znajdowały się bariery pola siłowego. Niemal wszystkie urządzenia można było uruchomić, przesyłając myśl do prostych układów elektronicznych nazwanych „wywoływaczami” i niewiele różniących się od aparatu, którym Freeman Moss przeniósł elementy pomp do lasu.

Nikt się właściwie nie zastanawiał, po co należy rozmieścić te urządzenia wzdłuż granic miasta, tak jak ptak nie zastanawia się, dlaczego leci na południe, albo gaśienica nie zachodzi w głowę, po co przedzie kokon. Ale zawsze przychodził w końcu ten czas, kiedy należało zamknąć granice. Nadszedł dość wcześnie... ale chyba nie za wcześnie.

Ludzie z Szopy zaproponowali także, aby część Stukostrachów wróciła do miasteczka. Miała z nimi jechać Hazel McCready — jako reprezentant bardziej zaawansowanych Stukostrachów. Sprzęt ochraniający granice mógł działać właściwie bez nadzoru, dopóki nie wyczerpią się baterie. W miasteczku czekały jeszcze inne aparaty o mniej określonym przeznaczeniu, można było wysłać je do lasu i utworzyć kordon ochronny, gdyby pijak próbował się tam jednak przedostać.

Było jeszcze jedno ważne urządzenie, którego należało pilnować, na wypadek gdyby ktoś — ktokolwiek — chciał się wdrzeć do miasteczka. Znajdowało się za domem Hazel McCready ukryte jak mały cyrk pod pięcioosobowym namiotem. Było to ich zabezpieczenie. Urządzenie, które kiedyś było piecem, mogło wykonywać wiele zadań, do jakich przeznaczony był transformator w szopie, ale istotnie różniło się od transformatora pod dwoma względami. Ocynkowane aluminiowe rury, które kiedyś prowadziły do otworów wentylacyjnych w pokojach domu McCready, skierowano w górę. Do Nowego Ulepszanego Pieca podłączono dwadzieścia cztery akumulatory do ciężarówek zamontowane na dwóch rampach ze sklejki i oddzielone od elementów urządzenia srebrzystą siatką, jaka umacniała ścianę wykopu, w którym spoczywał statek. Po włączeniu maszyna produkowała powietrze.

Powietrze Stukostrachów.

Kiedy ta mała fabryka atmosfery zaczęła działać, nie będą już więcej zdani na łaskę wiatru i zmiennej pogody; nawet gdyby nadszedł huragan, wymiennik powietrza otoczony polem siłowym ochroni większość, jeśli zgromadzą się w miasteczku.

Wniosek, żeby zamknąć granice miasta, zapadł w chwili, gdy Gardener wkładał do ucha jedną ze słuchawek transformatora. Pięć minut później Hazel i około czterdziestu innych odłączyło się od sieci i ruszyło do miasteczka — część do ratusza, aby nadzorować granice i wysłać inne urządzenia do ochrony statku; część pojechała sprawdzić, czy fabryka atmosfery jest zabezpieczona w razie wypadku... albo gdyby świat zewnętrzny dowiedział się wcześniej, zareagował szybciej i w bardziej zorganizowany sposób, niż się spodziewali. Wszystko to działo się już kiedyś, w innych czasach lub innych światach, i sprawy zwykle zmierzały do pomyślnego finału... choć „przemiana” nie zawsze kończyła się szczęśliwie.

W ciągu dziesięciu minut między decyzją zamknięcia granic a odjazdem grupy Hazel rozmiar i kształt smugi dymu unoszącego się w niebo znacząco się nie zmieniły. Wiatr także nie przybierał na sile... przynajmniej dotąd. I dobrze, ponieważ świat zewnętrzny później zwróci na nich uwagę. Z drugiej strony źle, ponieważ Gardener nie zostanie odcięty od statku tak szybko, jak przypuszczano.

Mimo to Newt/Dick/Adley/Kyle sądzili, że los Gardenera jest już przesądzony. Umarł w butach. Zatrzymali pozostałe Stukostrachy jeszcze przez pięć minut, czekając na potwierdzenie, że maszyny wzdłuż granic miasta ocknęły się i są gotowe do swoich zadań.

W ich głowach rozbrzmiał szum budzących się aparatów.

Newt spojrział na Dicka, który skinął głową. Obaj odłączyli się od sieci i ponownie skupili uwagę na szapie. Gardener, którego myśli nawet Bobbi nie mogła kiedyś odczytać, nadal stanowił twardy orzech do zgryzienia. Powinni jednak bez trudu odebrać sygnał transformatora; powinni „usłyszeć” ciągłe, ciężkie pulsowanie energii z równą łatwością, jak zakłócenia częstotliwości telewizora czy radia wywołane pracą silnika miksera elektrycznego.

Ale odgłos transformatora nie był głośniejszy od szeptu przypominał cichutki szum oceanu we wnętrzu muszli.

Newt znów spojrział na Dicka, tym razem z obawą.

jezu nie ma go uciekł skurwysyn

Dick się uśmiechnął. Nie wierzył, by Gardener, który ledwie umiał odczytywać i nadawać myśli, mógł tak szybko zrealizować swój cel... jeżeli w ogóle miał okazję go zrealizować.

Irytowała go obecność tego faceta i perwersyjna słabość, jaką miała do niego Bobbi. Ale sądził, że wreszcie przestanie się irytować.

Mrugnął swoim dziwnym okiem do Newta. Dziwaczne połączenie pierwiastka ludzkiego i obcego wyglądało równocześnie koszmarnie i komicznie.

Nie uciekł, Newt. Gnojek umarł.

Newt przez chwilę patrzył w zamyśleniu na Dicka, a potem zaczął się uśmiechać.

Ruszyli naprzód, wszyscy razem, zbliżając się do domu Bobbi jak zaciskająca się pętla.

21

Dźwigam ciężki łeb.

Te słowa bezustannie dźwięczały gdzieś w zakamarkach umysłu Gardenera, gdy odwracał się do ekranu monitora chyba tłukły mu się w głowie od dłuższego czasu. Dawniej tamten Jim Gardener, który już nie istniał, wokół takich wersów układał wiersze, jak perły wokół kawałka żwiru.

Dźwigam ciężki łeb, szefie.

To z jakiegoś filmu o skazańcach? „Nieugiętego Luke’a”?

Z piosenki? Tak. Z jakiejś piosenki. Coś mu się plątało w głowie, jakiś obraz z lat sześćdziesiątych na Zachodnim Wybrzeżu, psychodeliczne dziecko — kwiat o twarzy bezdomnego zwierzątka, ubrane w kurtkę Aniołów Piekła, z łańcuchem rowerowym owiniętym wokół delikatnej, białej dłoni skrzyпка...

Twoja głowa, Gard, coś się dzieje z twoją głową...

Tak, masz, kurwa, rację, tatuśku, dźwigam ciężki łeb, to się dzieje, urodziłem się, by szaleć, utknąłem w korku ciągnącym się przez całe miasto i jeśli mówią, że cię nie kochałem, to wiesz, że kłamię.* *Dźwigam ciężki łeb. Czuję, jak puchnie mi w nim każda żyłka, tętnica i naczynko — grubieje i występuje jak żyły na naszych rękach, kiedy w dzieciństwie nakładaliśmy sobie na przeguby kilkanaście gumek i czekaliśmy, co się stanie. Dźwigam*

* Strzępki tekstów piosenek „Born To Be Wild” Steppenwolf, „Crosstown Traffic” Jimiego Hendrixa i „L.A. Woman” The Doors (przyp. tłum.).

ciężki łeb. Gdybym teraz spojrział w lustro, wiem, co bym zobaczył — cienkie wiązki zielonego światła padające ze źrenic jak błyski maleńkich latarek. Ciężki łeb — jeśli nim poruszysz, pęknie z hukiem. Tak. Lepiej więc uważaj, Gard, uwa...

Uważaj, chłopcze.

Tak, staruszk, tak.

David.

Tak.

I to uczucie, jakby kołysał się na krawędzi przepaści. Przypomniał sobie fragment wiadomości, w którym Karl Wallenda, wspinały stary akrobata i linoskoczek spadł podczas występu w Puerto Rico — zdążył się jeszcze złapać liny, trzymał się przez minutę — i było po nim.

Gardener pozbył się obrazu linoskoczka. Próbował wyrzucić z głowy wszelkie niepotrzebne myśli, szykując się do roli bohatera. Zostanie bohaterem albo umrze.

22

PROGRAM?

Gard wepchnął słuchawkę głęboko do ucha i marszcząc brwi, wbił wzrok w ekran, kierując w jego stronę ciężki taran swoich myśli. Poczł rozbłysk bólu; poczuł, jak balon mózgu jeszcze bardziej puchnie. Ból zelżał; uczucie nienaturalnego puchnięcia pozostało. Gard patrzył na ekran.

ALTAIR-4

Dobra... co teraz? Czekał, żeby głos staruszka powiedział mu, co robić, ale słyszał tylko ciszę. Albo połączenie z transformatorem pochłaniało bez reszty umysł staruszka, albo staruszek sam nie wiedział. Tak czy inaczej, nie miało to znaczenia, prawda?

Spojrział na ekran.

ZAREJESTRUJ...

Nagle ekran zapełnił się dziewiątkami, od góry do dołu i od lewej do prawej. Gardener patrzył w konsternacji, myśląc: Jezu Chryste, zepsułem!

Rzędy dziewiątek zniknęły. Przez chwilę na ekranie migotał jak duch komunikat:

JEZU CHRYSTE ZEPSUŁEM

Po chwili ekran wyświetlił:

GOTOWY DO REJESTRACJI

Gard odetchnął. Maszyna był w porządku. Ale dobrze wiedział, że jego mózg jest napięty do granic możliwości. Jeżeli maszyna, którą zasilał staruszek, i to, co zostało z Petera, będzie mogła sprowadzić chłopca z powrotem, może wyjdzie stąd żywy... albo zważywszy na stan kostki, wyskoczy na jednej nodze. Jeżeli jednak to cholerstwo spróbuje czerpać energię także z niego, jego mózg rozpułknie się jak nadmuchana papierowa torebka.

Ale chyba nie czas teraz o tym myśleć, prawda?

Oblizując wargi zdrętwiałym językiem, spojrział na ekran.

ZAREJESTRUJ DAVID BROWN

Znów dziewiątki na ekranie.
Dziewiątki w nieskończoność.

REJESTRACJA UDANA

Dobra. W porządku. Co teraz? Gardener wzruszył ramionami. Wiedział, co usiłuje zrobić; po co robić uniki?

SPROWADŹ DAVIDA BROWNA Z ALTAIRA-4

Na monitorze znowu dziewiątki. Tym razem trwało to nie wieczność, a dwie wieczności. W końcu ukazał się komunikat, tak prosty i logiczny, a jednak tak szalony, że Gard ryknąłby śmiechem, gdyby nie wiedział, że to może rozsadzić wszystkie obwody, jakie jeszcze w nim działały.

DOKĄD CHCESZ GO PRZENIEŚĆ?

Już mu się nie chciało śmiać. Trzeba było odpowiedzieć na pytanie. Rzeczywiście, dokąd? Na bazę domową stadionu Jankesów? Na Picadilly Circus? Na falochron biegnący w morze od plaży przed hotelem Alhambra? Oczywiście, że do żadnego z tych miejsc — ale na pewno nie do Haven. Chryste, nie.

Nawet gdyby nie zabiło go powietrze, co było raczej nieprawdopodobne, to jego rodzice przepoczwarczali się w potwory.

A więc dokąd?

Spojrzał na staruszkę, a staruszek patrzył na niego błagalnie — i nagle go oświeciło. Przecież było tylko jedno miejsce, do którego można przenieść chłopca, prawda?

Powiedział maszynie.

Czekał, aż zapyta go o dalsze wyjaśnienia albo oświadczy, że to niewykonalne, albo przedstawi mu system poleceń, z którymi sobie nie poradzi. Pojawiły się tylko rzędy dziewiątek. Jarzyły się na ekranie bez końca. Zielone pulsujące światło transformatora stało się tak jasne, że nie mógł na nie patrzeć.

Gard zamknął oczy i w przypominającym głębię morską zielonym mroku, jaki miał pod powiekami, usłyszał dobiegający jakby z oddali krzyk staruszki.

Potem energia wypełniająca mu głowę zniknęła. Bingo!

I już jej nie było. Gardener zatoczył się do tyłu. Słuchawka wypadła mu z ucha i stuknęła o podłogę. Z nosa wciąż płynęła mu krew, wsiąkając w czystą koszulkę. Ile litrów krwi mieści się w ludzkim ciele? I co się stało? Nie było żadnego

PRZENIESIENIE UDANE

ani

PRZENIESIENIE NIEUDANE

ani nawet

W TWOIM ŻYCIU POJAWI SIĘ WIELKI CZARNY STUKOSTRACH

Po co to wszystko? Uświadomił sobie ze smutkiem, że nigdy się nie dowie. Przypomniały mu się dwa wersy z Edwina Arlingtona Robinsona: „Tyraliśmy dalej i czekaliśmy świtu,/Jedliśmy kiepsko i klęliśmy na forse”^{*}...

Nie świta, szefie, nie świta. Jeżeli będziesz czekał na świt, spalą cię na miejscu, a parkan jeszcze nawet w połowie niepobielony.

Nie świta. Żadnego błysku — tylko matowy, pusty ekran. Spojrzał na staruszkę, który wyczerpany zwiesił bezwładnie głowę.

Gardener płakał. Łzy mieszały się z krwią. Z płytki w głowie promieniował tępy ból, ale zniknęło wrażenie, że nadęty mózg zaraz wybuchnie. Podobnie poczucie mocy. Doszedł do wniosku, że tego ostatniego żałuje. Jakaś jego część pragnęła powrotu mocy, bez względu na konsekwencje.

Rusz się, Gard.

Dobra, już. Zrobił dla Davida Browna, co mógł. Może coś się już stało, może nic. Może zabił chłopaka; może David Brown, który bawił się figurkami z „Gwiezdných wojen” i bardzo chciał spotkać ET, tak jak Eliott z filmu, był już tylko chmurą rozproszonych atomów unoszącą się gdzieś w przestrzeni między Altair-4 a Ziemią. Skąd miał wiedzieć. Ale dotarł do kolejnego mebla i dość długo się go trzymał — być może za długo. Wiedział, że czas ruszać dalej.

Staruszek uniósł głowę.

Staruszkę, wiesz?

Czy jest bezpieczny? Nie wiem. Ale zrobiłeś, co mogłeś, chłopcze. Dziękuję ci, teraz proszę, proszę, chłopcze

Znikał... głos myśli staruszka zanikał

proszę wypuść mnie z tego

długim korytarzem i potem

zajrzyj na półkę tam z tyłu

Gardener musiał wyteńczyć uwagę, żeby go słyszeć.

proszę och PRO

Ledwie szept; głowa staruszka zwiśla, resztki rzadkich siwych włosów unosiły się w zielonej miksturze.

Nogi Petera poruszały się leniwie, gdy pies we śnie ścigał króliki... albo szukał swojej ukochanej Bobbi.

Gard, skacząc na jednej nodze, zbliżył się do półek z tyłu szopy. Były ciemne, zakurzone i upačkane smarem. Było tu mnóstwo zapomnianych bezpieczników i puszka po kawie Maxwell House pełna śrub, podkładek, zawiasów i kluczy z zamkami, których pochodzenie i przeznaczenie również zostało dawno zapomniane.

Na jednej z półek leżał kosmiczny miotacz dźwiękowy Transco. Kolejna dziecięca zabawka. Z boku wystawał włącznik. Gard przypuszczał, że dziecko, które dostało to na urodziny, używało plastikowej broni do wydawania głośnych jazgotów różnej częstotliwości.

A teraz, do czego broń była zdolna?

Gównu to kogo obchodzi, pomyślał ze znużeniem Gardener. Cały ten szajs stał się jednym wielkim nudziarstwem.

Nudziarstwo nie nudziarstwo, wsunął zabawkę za pasek i skacząc na jednej nodze, ruszył do wyjścia. Stojąc przy drzwiach szopy, spojrział na staruszkę.

Dzięki.

Słaby, słabszy, coraz słabszy — szelest suchych liści:

Uwolnij od tego chłopcze.

Tak. Ciebie i Petera. Możesz być pewien.

^{*} Wiersz „Richard Cory” (przyp. tłum.).

Przeskoczył za próg i rozejrzał się dookoła. Nikt więcej się jeszcze nie pojawił. I dobrze — ale jego szczęście nie mogło trwać wiecznie. Byli niedaleko; jego i ich umysły zetknęły się ze sobą w przelotnym muśnięciu jak ciała dwojga obcych ludzi tańczących walca. Wyczuł, że tamci połączyli się w

(sieć)

jedną świadomość. Nie słyszeli go... nie czuli... wszystko jedno, jak to zwać. Stracili kontakt z jego myślami albo dlatego, że korzystał z transformatora, albo dlatego, że w ogóle wszedł do szopy. Wkrótce się jednak przekonają, że nastąpił wielki comeback i Gard powraca w blasku reflektorów niczym gruby Elvis, który choć ledwie trzyma się na nogach, ma jeszcze ochotę się pogibać.

Blask słońca oślepił. Gorące powietrze przesycił smród spalenizny. Dom Bobbi palił się jak kupka suchej podpałki w kominku. Na oczach Garda zapadło się pół dachu. W niebo strzelił warkocz iskier, niemal bezbarwnych w świetle dnia chylącego się ku końcowi. Dick, Newt i reszta niewiele zauważyli, bo ogień płonął bezbarwnym, mocnym płomieniem, niemal nie wydzielając dymu. Najbardziej kopciły samochody na podwórku.

Gard stał przez chwilę na zdrowej nodze w drzwiach szopy, a potem zaczął skakać w stronę nieruchomej suszarki do bielizny. Mniej więcej w połowie drogi rozciągnął się jak długi w kurzu. Padając, pomyślał o kosmicznym miotaczu dźwiękowym, który tkwił za jego paskiem. Dziecięca zabawka.

Dziecięca zabawka nie ma bezpiecznika. Gdyby wcisnął spust, zasadnicza część Gardenera mogłaby ulec drastycznej redukcji. Program Odchudzania Stukostrachów. Wyciągnął zabawkowy pistolet, trzymając go, jak gdyby to była odbezpieczona mina. Pozostałą część drogi do suszarki pokonał, czołgając się na rękach i kolanach, a potem wstał.

Czterdzieści stóp od niego zapadła się druga część dachu domu Bobbi. Gorące iskry trysnęły w kierunku ogrodu i lasu za nim. Gard odwrócił się w stronę szopy i pomyślał, wkładając w to jak najwięcej sił: Dziękuję, przyjacielu.

Zdawało mu się, że słyszy bardzo słabą i znużoną odpowiedź.

Gardener wycelował z zabawki do szopy i wcisnął spust. Z plastikowej lufy wystrzelił zielony promień nie grubszy od grafitu w ołówku. Rozległ się dźwięk bekonu skwierczącego na patelni. Przez moment snop zielonego światła odbił się od ściany szopy jak struga wody z węża, a potem deski buchnęły płomieniem. Znowu bawię się ogniem, pomyślał ze znużeniem Gardener. Miś Smokey* chyba by mnie nie polubił.

Zaczął skakać, kierując się na tył domu, z kosmicznym miotaczem dźwiękowym w dłoni. Po twarzy płynął mu pot i krwawe łzy. Spodobałbym się Winstonowi Churchillowi, pomyślał i wybuchnął śmiechem. Ujrzał tomcata... i znów ziewnął, rozwierając szeroko szczękę. Przyszło mu do głowy, że Bobbi najprawdopodobniej ocalała mu życie, nawet sobie z tego nie zdając sprawy. Valium mogło go osłonić przed siłą niewyobrażalnego ładunku energii, jaki miał transformator. Być może to też sprawka valium, że...

Coś we wnętrzu domu eksplodowało z hukiem pocisku artyleryjskiego — jeden z aparatów Bobbi. Gard instynktownie schylił głowę. Zdawało mu się, że uniosła się cała połowa domu. Na szczęście dla Gardenera była to połowa z przeciwległej strony. Spojrzał w niebo i drugie ziewnięcie przerodziło się w kompletnie zbaraniałą, głupkowatą minę.

Underwood Bobbi.

Maszyna do pisania szybowała coraz wyżej, wirując w powietrzu.

Gard ruszył dalej. Dotarł do tomcata. W stacyjce tkwił kluczyk. I dobrze. Miał dość kłopotów z kluczami na resztę życia — którego zresztą niewiele mu zostało.

* Rysunkowy miś ostrzegający turystów na tablicach i plakatach o niebezpieczeństwie wywołania pożaru w lesie (przyp. tłum.).

Podciągnął się na siedzenie traktora. Za jego plecami na podwórko zaczęły wjeżdżać samochody i inne pojazdy. Nie odwrócił się. Tomcat stał za blisko domu. Jeśli zaraz stąd nie ruszy, upiecze się jak prosię.

Przekręcił kluczyk. Silnik tomcata nie wydał żadnego dźwięku, ale Gard wcale się tym nie przejął. Traktor zaczął ledwie wyczuwalnie wibrować. W domu wybuchło coś jeszcze.

Sypnęło iskrami, które oparzyły mu skórę. Na podwórko wjeżdżało coraz więcej aut. Myśli nadjeżdżających Stukostrachów kierowały się ku szopie:

upiekł się jak prosię

upiekł się w szopie

tak martwy w szopie

Dobrze. Niech tak myślą. Nowy Ulepszony Tomcat nie naprowadzi ich na jego ślad. Robił tyle hałasu co ninja. Gard naprawdę musiał już jechać; zaczynał się palić ogród. Płomienie trawiły już gigantyczne słoneczniki i wielkie łodygi kukurydzy z niejadalnymi kolbami. Ale ścieżką przez środek ogrodu dało się jeszcze przejechać.

Hej! Hej! Jest za domem! Żyje! Ciagle...

Gardener spojrział przerażony w prawo i zobaczył Nancy Voss prującą przez kamieniste pole leżące między domem Bobbi a kamiennym murem na granicy z ziemią Hurda. Voss siedziała na motocyklu krosowym Yamaha. Włosy miała zaplecione w warkocze, które furkotały na wietrze. Jej twarz wykrzywił złośliwy grymas wiedźmy... ale Gard pomyślał, że i tak przy Siostruni wygląda jak Rebeka z Sunnybrook Farm.

Hej! Tutaj z tyłu! Tutaj!

Oż, ty dziwko, pomyślał Gardener i uniósł kosmiczny miotacz dźwiękowy

23

Na podwórku znalazło się ich dwudziestu albo trzydziestu. Wśród nich byli: Adley i Kyle, prócz nich Frank Spruce, Goldenowie, Rosalie Skehan i Pop Cooder. Newt i Dick zostali na drodze, doglądając wszystkiego.

Wszyscy odwrócili się w stronę

(tu! z tyłu! żyje! skurwysyn ciagle)

krzyczącej Nancy Voss. Wszyscy zobaczyli, jak pędzi motorem przez pole niczym dżokej na galopującym koniu, podrzucana w górę i w dół na twardym zawieszaniu yamaha. Wszyscy zobaczyli, jak zza płonącego domu strzela zielony promień i ją spowija.

Nikt nie patrzył na suszarke, która znów zaczęła się obracać.

24

Całą ścianę szopy ogarnęły płomienie. Zapadła się część dachu. W górę trysnął gruby snop iskier. Jedna wylądowała na stercie przesiąkniętych smarem szmat, które zakwitły ognistymi różami.

Wybawienie, pomyślał Ev Hillman. Już ostatnia rzecz. Ostatnia rzecz. Ostatnia...

Transformator po raz ostatni zaczął pulsować jaskrawym zielonym blaskiem, przez chwilę dorównując jasności ognia.

25

Dick Allison usłyszał skrzypnięcie suszarki. Kiedy zdał sobie sprawę, że Gardener jeszcze żyje, myśli wypełnił mu dziki, furiacki wrzask wściekłości. Wszystko rozegrało się bardzo szybko. Nancy Voss płonęła jak szmaciana lalka na polu z prawej strony domu Bobbi.

Yamaha przejechała jeszcze dwadzieścia jardów, trafiła na kamień, zrobiła salto w powietrzu i wylądowała na ziemi.

Dick zobaczył spalone wraki samochodu Bobbi, ciężarówki Mossa i oldsmobile'a Bozemanów — a potem ujrzał suszarkę.

UCIEKAJCIE OD TEGO! UCIEKAJCIE! UCIEKAJ

Ale nic z tego. Dick odłączył się od sieci i nie potrafił przebić się przez dwie myśli, które tętniły w niej jak prymitywny rockandrollowy rytm:

Ciągle żyje. Za domem. Ciągle żyje. Za domem.

Nadjeżdżało coraz więcej osób. Ogromną falą przewalali się przez podwórko, nie zwracając uwagi na płonący dom, płonąca stodołę i dogasające, szerniałe samochody.

NIE! PIEPRZENI DURNIE! NIE UCIEKAJCIE! NA ZIEMIĘ!

Newt jak urzeczony wpatrywał się w piekło, jakie rozpętało się w domu Bobbi, nie zwracając uwagi na suszarkę, która wirowała coraz szybciej. W tym momencie Dick z radością by go zabił. Ciągle go jednak potrzebował, zadowolili się więc tylko brutalnym pchnięciem, które powaliło Newta na ziemię, sam runął na niego.

Chwilę później zielony parasol rozpiął nad podwórkiem swą delikatną pajęczynę.

26

Gdy Gard usłyszał wrzaski — tym razem mnóstwo — usiłował je wyciszyć. Nie miały znaczenia. Nic już nie miało znaczenia, tylko jego cel — dotrzeć do ostatniego przystanku.

Nie było sensu podrywać tomcata w górę. Gard wrzucił jedynekę i ruszył w stronę monstualnego, bezużytecznego ogrodu Bobbi, w którym szalał pożar.

W pewnej chwili zaczął się obawiać, że nie da rady; w chwastach i rozrośniętych warzywach ogień rozprzestrzeniał się znacznie szybciej, niż mógłby przypuszczać. Panował tu nieopisany żar, jak w piecu. Gard pomyślał, że za chwilę ugotują mu się płuca.

Usłyszał głuchoe trzaski, jakby sosnowe sęki wybuchały w kominku. Spojrzał w stronę, skąd dobiegały, i zobaczył eksplodujące dynie i tykwy. Kierownica tomcata parzyła go w dłonie.

Poczuł żar na głowie. Sięgnął tam ręką. Palily mu się włosy.

27

Płoneło już całe wnętrze szopy. Transformator pośrodku rozjaśniał się i przygasał, rozjaśniał i przygasał, jak pulsujące kocie oko pośrodku piekła.

Peter leżał na boku. Jego nogi wreszcie znieruchomiały. Ev Hillman zmęczonym okiem patrzył w skupieniu na transformator. Otaczający go płyn robił się coraz bardziej gorący. Nic nie szkodzi; nie czuł bólu w sensie fizycznym. Izolacja na głównym kablu łączącym go z transformatorem zaczęła się topić, ale połączenie nie zostało jeszcze przerwane. Mimo ognia trawiącego szopę połączenie nadal się utrzymywało. Ev Hillman pomyślał:

Ostatnia rzecz. Daj mu szansę ucieczki. Ostatnia rzecz...

OSTATNIA RZECZ

błysnęło na monitorze.

OSTATNIA RZECZ OSTATNIA RZECZ OSTATNIA RZECZ

Potem ekran zappełnił się dziewiątkami.

28

Zniszczenia na podwórku przed domem Bobbi Anderson były niewiarygodne.

Dick i Newt przyglądali się zafrapowani, nie dowierzając własnym oczom. Tak jak tamtego dnia w lesie, kiedy stali przed staruszkim i wysokim gliną, Dick zaczął się zastanawiać, jakim cudem mogło pójść aż tak źle. Obaj — i cała reszta, która jeszcze nie przyjechała — znajdowali się daleko poza śmiertelnym zasięgiem parasola, lecz mimo to Dick nie podniósł się z ziemi. Nie był pewien, czy potrafi.

Ludzie na podwórku palili się jak suche kukły. Niektórzy biegli, wymachując rękami, skrzecząc i piszcząc głośno i w myślach. Kilku szczęśliwców zdołało się w porę cofnąć. Frank Spruce wolnym krokiem przeszedł obok miejsca, w którym leżeli Dick i Newt. Miał spaloną połowę twarzy i widać było jego szczękę wyszczerzoną w półuśmiechu. Rozległy się eksplozje, którym towarzyszyły błyski, gdy broń, jaką ze sobą przywieźli, topiła się, ulegając samozniszczeniu.

Dick napotkał wzrok Newta.

Wyślij ich naokoło! Otoczyć go! Trzeba

Tak rozumiem ale Chryste pali się nas dziesięciu albo dwudziestu

Przestań, kurwa, kwękać!

Newt odsunął się od niego, otwierając bezzębne usta w grymasie wściekłości. Dick nie zwracał na niego uwagi. Sieć umysłów rozpadła się i mogli go wreszcie usłyszeć.

Naokoło! Naokoło! Łapcie go! Łapcie pijaka! Naokoło!

Ruszyli, z początku wolno, z oszołomionymi minami, a potem coraz szybszym i zdecydowanym krokiem.

29

Ekran komputera implodował. Rozległ się kaszłący wybuch przypominający gigantyczne odchrząknięcie z odkrztuszeniem flegmy. Z kabiny prysznicowej wylał się gęsty zielony płyn, który więził Eva Hillmana. Zetknął się z ogniem, zmieniając się w trującą zieloną parę. Ev, szczęśliwie już martwy, wypłynął jak ryba z rozbitego akwarium. Chwilę później to samo stało się z Peterem. Ostatnia z kabiny wynurzyła się Anne Anderson, której martwe dłonie wciąż zaciskały się w szpony.

30

Ognisty parasol zamarł. Nie było słyhać żadnego dźwięku poza krzykami umierających i stanowczym głosem Dicka.

Letni dzień zmienił się w piekło. Podwórko przed domem Bobbi zmieniło się w ziemny staw z wysepkami ognia. Ale Stukostrachy zawsze na koniec przynoszą ogień, dlatego szybko się do niego przyzwyczyli.

Newt dołączył do nawoływań Dicka. Kyle nie żył, Adley był strasznie poparzony. Mimo to Ad dołączył do nich swój słabnący głos.

Złapcie go, zanim dostanie się do statku! Ciągłe żyje! Złapcie go, zanim dostanie się do statku! Zanim dostanie się do statku!

Stukostrachy poniosły druzgocące straty. Piętnastu spalonych na podwórku nie miało specjalnego znaczenia. Ale nie żyła Bobbi; nie żył Kyle; Adley wkrótce też miał umrzeć; transformator został zniszczony właśnie teraz, gdy najbardziej go potrzebowali po zamknięciu granic. A Gardener ciągle żył. Niewiarygodne, ale Gardener ciągle żył.

Chyba najgorsze było jednak to, że zaczął się wzmagać wiatr.

31

Złapać go jak najszybciej.

Sieć, Stukostrachy znów połączyły się w sieć.

Szły przez pola, szły w stronę rozprzestrzeniającego się ognia.

SZYBKO!

Dick Allison odwrócił się w stronę miasta, a sieć odwróciła się razem z nim niczym talerz radaru. Wyczuł zdumienie

Hazel, która oniemiała, obserwując rozwój wypadków.

Dick

(sieć)

zignorował to.

Wyślij na niego, co tam masz pod ręką, Hazel.

Dick odwrócił się do Newta.

Do cholery, nie musiałeś mnie tak mocno popychać — powiedział nadąsany Newt, ścierając z brody kroplę krwi.

— Pierdol się — odrzekł powoli i wyraźnie Dick. — Chodźmy złapać tego skurwiela.

32

Suszarka, teraz już nieruchoma, wznieciła pożar, który rozprzestrzenił się od domu Bobbi w kształcie przypominającym ognisty wachlarz. Jego oś stanowił dom Bobbi, teraz zmieniony w szkielet czarnych kości migoczący w czerwonym słupie ognia. Skrzydła rozciągały się przez nieprzyzwoicie przerośnięty ogród i gdy zaczynały się palić zmutowane rośliny, ogień przybierał zieloną barwę.

Jim Gardener przemykał między płomieniami w ognistej koronie własnych włosów. Tliła mu się koszulka; jeden rękaw najpierw zadymił, a potem buchnął płomieniem. Gardener go zdusił. Chciał krzyknąć, ale czuł się zbyt zmęczony i osłabiony.

Paskudnie mnie wykorzystano, pomyślał Gardener, i to wyłącznie moja wina.

Dotarł do końca ogrodu. Tomcat szarpnął i stoczył się z łagodnego wzniesienia do lasu. Niskie krzewy rosnące wzdłuż ścieżki już się paliły, a jezory ognia sięgały w głąb Wielkiego Lasu Indiańców. Gard niewiele się nimi przejmował. Powoli mijało mu wrażenie, że upiecze się jak w mikrofalówce. Bez przerwy walił się dłonią po głowie. Włosy cuchnęły potwornie — jak jedzenie smażone przez dziecko.

Kiedy tomcat wjeżdżał do lasu, nad prawym ramieniem zaskwierczał mu zielony ogień.

Gard zrobił unik w lewo, schylając głowę. Obejrzał się i zobaczył Hanka Bucka z jego własnym wypalaczem. Hank przyjechał na farmę motocyklem, który porzucił na tym samym polu, gdzie rozbiła się Nancy Voss, potem pozbierał się i zaczął biec.

Gardener odwrócił się i wyprostował rękę z kosmicznym miotaczem dźwiękowym, chwytając lewą ręką prawy nadgarstek. Wcisnął spust. Z lufy wystrzeliła świetlista wiązka i bardziej dzięki szczęściu niż własnym umiejętnościom strzeleckim udało mu się trafić Hanka w lewą, górną część piersi. Rozległ się odgłos smażonego bekonu. Twarz Hanka oblała zielona śmierć i padł na ziemię.

Gard znów spojrzął przed siebie i zauważył, że tomcat z prędkością pięciu mil na godzinę beztrudnie zmierza wprost na spory świerk, który palił się jak pochodnia. Obiema poparzonymi rękami z całej siły pociągnął kierownicę, ledwie unikając zderzenia czołowego. Jedna z grubych opon tomcata otarła się o pień drzewa i przez chwilę Gardener rozgarniał płonące, wonne gałęzie świerku, jak gdyby torował sobie drogę przez palące się zaslony.

Mały traktor przechylił się niebezpiecznie, zakołysał... a potem z łomotem wylądował na czterech kołach. Gardener wcisnął dźwignię gazu do oporu i popruł ścieżką w głąb lasu.

33

Nadchodziły Stukostrachy. Szły wzdłuż coraz dłuższych skrzydeł ognistego wachlarza, a Dick Allison rozpaczał z wściekłości, bo uświadomił sobie, że go nie złapią. Gardener zdążył skorzystać ze ścieżki; to zmieniało całą sytuację. Trzy minuty później — może nawet minutę — Gardener naprawdę mógłby się upiec jak prosię. Cztery Stukostrachy (między innymi Eileen Crenshaw i wielbny Goohringer) próbowały gonić go tą samą drogą i spłonęły żywcem. Na Eileen Crenshaw runęły dwie płonące kukurydze; wrzasnęła i wypuściła kierownicę plażowej terenówki. Auto natychmiast potoczyło się w głąb ogrodu. Opony eksplodowały jak bomby. Parę sekund później ścieżkę zagroziła bariera ognia.

Frustracja Dicka sięgała głębiej niż do szpiku kości. Już wcześniej zdarzało się, że coś przeszkadzało lub udaremniało „przemianę” — rzadko, ale zdarzało się — lecz zawsze działo się tak w wyniku interwencji natury... tak jak błyskawica podczas letniej burzy zabija całe pokolenie larw komarów dorastających w spokojnym, nieruchomym stawie. To jednak nie była żadna burza, żadne zjawisko naturalne; to był jeden człowiek, człowiek, traktowany przez wszystkich z nieufnością i pogardą jak głupi pies, który może ugryźć. Człowiek, który większość czasu spędzał z Bobbi w pijackim letargu, któremu udało się podstępnie zabić Bobbi i który nie chciał umrzeć, mimo ich wysiłków.

Jeden człowiek nie może nas powstrzymać, pomyślał w desperacji Dick. Nie powstrzyma! Ale czy istniał jakiś realny sposób, aby temu zapobiec? Front ognia rozszerzał się zbyt szybko, by mogli go złapać. Gardenerowi udało się wpaść w uliczkę między płomieniami, ale wszystko wskazywało na to, że będzie jedynym szczęściarzem. Hank Buck też próbował... ale temu pieprzonemu skurwysynowi udało się zastrzelić Hanka.

Dick zapamiętał się w furii, wpadając w uniesienie (Newt wyczuwał to i trzymał się od niego z daleka — Dick był dwadzieścia funtów cięższy i dziesięć lat młodszy), ale w środku wściekłości czaił się paniczny strach, niczym łyżka kwaśnej, skisłej śmietany w beczce zatrutej czekolady.

Bobbi powiedziała Gardenerowi, że Stukostrachy są wielkimi podniebnymi wędrowcami. To była prawda. Ale nigdy i nigdzie nie spotkali kogoś takiego jak ten człowiek, który parł naprzód, mimo że miał zgruchotaną kostkę, stracił mnóstwo krwi i połknął lek, po którym powinien paść bez przytomności już piętnaście minut temu, i mimo wielokrotnych ataków wymiotów.

Niemożliwe — lecz prawdziwe.

Ogień, który miał odciąć Gardenerowi drogę do statku, stał się jego tarczą.

Zostali tylko automatyczni dyżurni — urządzenia pilnujące granic i statku.

— Dostaną go — szepnął Dick. Razem z Newtem stali na pagórku z prawej strony domu jak dwóch generałów i przyglądali się, jak ludzie ciągną do lasu... ale wchodzili z dwóch stron, pod irytującym kątem. Dick otwierał dłonie i zaciskał, otwierał i zaciskał. W szyi pulsowała mu zielona krew. — Dostaną go, zatrzymają, nie dostanie się do statku, nie dostanie, nie dostanie.

Newt Berringer zachował rozsądne milczenie.

34

Wykrywacz dymu, sam przypominający latający talerz, śmigał bezgłośnie przez las, mrugając umieszczoną pod spodem czerwoną lampką czujnika, która pulsowała nieregularnie. Maleństwem sterowała Hazel McCready. Odebrała falę gniewu, rozpaczy i strachu Dicka

Allisona i postanowiła, że zajmie się Gardenerem — niejako na odległość. Najpierw przydzieliła jeszcze jedno zadanie Pauline Goudge, którą darzyła największym zaufaniem, a potem weszła do swojego gabinetu i zamknęła drzwi na klucz.

Z dolnej szuflady szafki na akta wyciągnęła radiomagnetofon, nieco mniejszy od śmiertcionośnego urządzenia Hanka Bucka. Postawiła go na biurku, włączyła, z przegródki na dokumenty wyciągnęła słuchawkę i włożyła ją do ucha.

Siedziała z zamkniętymi oczami, lecz widziała drzewa migające z jednej i drugiej strony wykrywacza dymu, który gnał przez las około sześciu stóp nad ziemią. Ten widok na pewno przypominałby Gardenerowi scenę z „Powrotu Jedi”, kiedy bohaterowie pozytywni ścigają negatywnych na czymś w rodzaju latających motocykli, gnając z zawrotną prędkością przez las, który zdawał się nie mieć końca.

Jednak Hazel nie miała czasu na metafory — i nie znalazłaby, nawet gdyby im się udało. Stukostrachy nie przepadały także za metaforami.

Część cyborga–interfejsu, jaki Hazel tworzyła z maszyną część, która pozostała wykrywaczem dymu — chciała spełnić swą pierwotną funkcję i ostrzegawczo zabrzączeć, ponieważ w lesie było pełno dymu. Było to wrażenie podobne do wiercenia w nosie poprzedzającego nieuchronne kichnięcie.

Wykrywacz dymu lekko przechylał się w prawo i lewo, omijając slalomem drzewa, przelatując nad pagórkami, a potem ostro pikując w dół jak najmniejszy na świecie samolot do opryskiwania pól.

Hazel siedziała pochylona nad biurkiem, przyciskając mocno słuchawkę do ucha, głęboko skupiona. Pędziła mały wykrywacz dymu przez las z prędkością przekraczającą granice bezpieczeństwa, ale urządzenie wystartowało z granicy między Haven a Newport, całe pięć mil od statku. Musiała dopaść Gardenera, a czasu zostało niewiele.

Wykrywacz dymu położył się na boku, mijając o kilka cali niewysoką sosnę. Niewiele brakowało. Ale... wreszcie go zobaczyła. Zobaczyła też statek, od którego powierzchni odbijały się promienie słońca, tatuując drzewa w tańczące jasne cętki.

Wykrywacz dymu przez chwilę zawisł nieruchomo nad grubą matą igliwia pokrywającą runo leśne... a potem wystrzelił prosto w Gardenera. Hazel przygotowała się do włączenia generatora ultradźwięków, który miał na kawałeczki roztrzaskać kości w ciele Gardenera.

35

Hej, Gard! Z lewej!

Niewiarygodne. Tego głosu nie można było pomylić z żadnym innym. To był głos Bobbi Anderson. Dawnej nieulepszonej Bobbi. Gardener nie miał jednak czasu się nad tym zastanawiać. Spojrzał w lewo i zobaczył, że spomiędzy drzew coś zasuwa wprost na niego. Było beżowe. Pod spodem błyskało mu czerwone światelko. Tylko tyle zdążył zauważyć.

Uniósł kosmiczny miotacz dźwiękowy, zastanawiając się, jakim cudem zdoła trafić to coś, gdy nagle jego uszy wypełnił dziki cienki pisk, jak gdyby wszystkie komary świata zaczęły bzyczeć jednocześnie — uszy... głowę... i całe ciało. Tak, dźwięk wdarł się do jego wnętrza; wszystko w środku zaczynało mu wibrować.

Potem poczuł, jak za przegub złapały go czyjeś ręce — złapały, a potem skrzyły. Wystrzelił. Światło dnia znów przeciął zielony promień. Wykrywacz dymu eksplodował. Kilka ostrych kawałków plastiku przeleciało tuż obok głowy Gardenera.

36

Hazel wrzasnęła i wyprostowała się jak struna na swoim starym krześle obrotowym. Przez słuchawkę przepłynął potężny ładunek energii. Hazel wykonała ruch, jakby próbowała go

chwycić — ale chybiła. Słuchawkę miała w lewym uchu. Z prawego trysnęła nagle zielonkawa, gęsta ciecz. Wyglądała jak radioaktywna owsianka. Mózg przez chwilę wyciekał jej z głowy przez ucho, lecz ciśnienie okazało się za duże. Prawa strona czaszki wybuchła jak pęk dziwnego kwiatu, a mózg z mokrym plaśnięciem trafił w kalendarz Currier & Ives.

Hazel runęła bezwładnie na biurko z rozpostartymi ramionami. Jej szkliste oczy wpatrywały się z niedowierzaniem w pustkę.

Radiomagnetofon buczał przez chwilę, a potem umilkł.

37

Bobbi, pomyślał Gardener, rozglądając się gorączkowo.

Pierdol się, stary — odpowiedział rozbawiony głos. — *Na więcej pomocy nie licz, przecież nie żyję, nie pamiętasz?*

Pamiętam, Bobbi.

Dam ci tylko jedną radę: uważaj na wściekle odkurzacze.

Potem zniknęła, jeśli w ogóle się pojawiła. Zza jego pleców dobiegł głośny trzask i łoskot walącego się drzewa. Z lasu między Gardenerem a farmą zaczęły się wydobywać odgłosy jak z wielkiego otwartego kominka. Usłyszał też za sobą krzyki, głośnie i wydawane w myślach. Głosy Stukostrachów.

Ale Bobbi zniknęła.

Zdawało ci się, Gard. Po prostu w głębi duszy chcesz... potrzebujesz Bobbi i próbujesz ją sobie na nowo wymyślić, nic więcej.

Tak? A ta ręka? Ręka na mojej ręce? Też ją sobie wymyśliłem? Przecież nie mógłbym sam trafić tego cholerstwa. Nawet Annie Oakley nie mogłaby w to trafić bez niczyjej pomocy.

Głosy — te w powietrzu i te w jego głowie — zbliżały się coraz bardziej. Ogień też. Gardener wciągnął haust przesyconego dymem powietrza, wrzucił bieg i ruszył dalej. Na razie nie miał czasu na rozważania.

Skierował tomcata w stronę statku. Pięć minut później wyjechał na polanę.

38

Hazel? — wykrzyknął Newt z niemal nabożną zgrozą. Hazel? Hazel?

Tak, Hazel! — odwrzasnął wściekle Dick Allison. Nie mogąc już dłużej nad sobą panować, rzucił się na Newta. — Głupi gnoju!

Sukinkot! — wyrzucił z siebie Newt i obaj potoczyli się po ziemi, sięgając sobie do gardeł. Ich zielone oczy miały błyskawice. Zważywszy na okoliczności, nie było w tym krzty logiki, ale jakiegokolwiek podobieństwo Stukostrachów do postaci w rodzaju Spocka było czysto przypadkowe.

Ręce Dicka odnalazły pofałdowane gardło Newta i zacisnęły się na nim. Palce przebiły ciało, z którego trysnęła zielona krew, obryzgując mu dłonie. Dick zaczął unosić Newta i walić nim o ziemię. Newt szamotał się coraz słabiej... słabiej... słabiej. Dick dusił go, dopóki nie nabrał pewności, że Newt nie żyje.

Potem Dick wstał i stwierdził, że czuje się trochę lepiej.

39

Gard wysiadł z tomcata, zatoczył się, stracił równowagę i upadł. W tym samym momencie w powietrzu świsnął brzęczący i warczący pocisk, trafiając w miejsce, w którym przed chwilą stał. Gardener spojrzał w bezbrzeżnym zdumieniu na odkurzacze Electrolux, który właśnie o mało nie oderwał mu głowy.

Odkurzacz przeciął polanę jak torpeda, zawrócił i zaatakował ponownie. Na jednym końcu miał coś, co wyglądało jak srebrzysta mgielka — jakiś rodzaj śmigła.

Gardener przypomniał sobie okrągłą dziurę wygryzioną w drzwiach szopy i nagle wyszło mu w ustach.

Uważaj na...

Electrolux rzucił się do lotu nurkowego. Jego końcówka tnąca brzęczała i wyła jak silnik spalinowy dziecięcego modelu myśliwca. Kółeczka, które miały ułatwić pracę zmęczonej gospodyni domowej, gdy ciągnęła za sobą wierny odkurzacz z pokoju do pokoju, kręciły się leniwie w powietrzu. Otwór, do którego należało podłączać różne końcówki, wyglądał jak ziejąca paszcza.

Gardener zrobił ruch, jakby chciał dać nura w prawo, odczekał jeszcze chwileczkę — gdyby skoczył za wcześniej, electrolux podążyłby za nim i przegryzł mu brzuch z równą łatwością, jak przegryzł się przez drzwi szopy, kiedy wezwała go Bobbi.

Zaczekał, zamarkował ruch tym razem w lewo, a potem w ostatniej chwili rzucił się w prawo. Wylądował na ziemi z bolesnym łomotem. Zgrzytnęły kości zgruchotanej kostki. Gardener wrzasnął żałośnie.

Odkurzacz zarył śmigłem w ziemię. Potem odbił się jak samolot, który podrywa się w górę, gdy za mocno uderzy w pas startowy. Poleciał ze świstem w stronę nachylonego ukośnie wielkiego talerza statku, po czym przechylił się na bok, szykując się do kolejnego szturm na Gardenera.

Z otworu na wąż wysunął się kabel, którym wcześniej electrolux wciskał guziki. Kabel gwizdał w powietrzu, wydając suchy dźwięk jak syk węża, który ledwie było słychać przez huk płomieni. Gardener przypomniał sobie rodeo, na które kiedyś zabrała go matka (w tym słynnym miasteczku leżącym na kowbojskim szlaku, Portland w stanie Maine). Występował tam kowboj w wysokim białym kapeluszu, który pokazywał sztuczki ze sznurem. W jednej z nich wywijał lassem na wysokości kostek, wskakując i wyskakując z wirującej pętli i grając przy tym na organkach „Moją drogą Sal”. Kabel wystający z otworu na końcówki odkurzacza wyglądał jak tamto lasso.

Gard, stary, jeżeli na to pozwolisz, skurwieli utnie ci łeb jak kurze.

Electrolux gwizdnał na niego, ciągnąc za sobą cień.

Unosząc się na kolanach, Gard wymierzył do niego z kosmicznego miotacza dźwiękowego i strzelił. Kiedy celował, odkurzacz zszedł z toru, ale Gardener zdążył go postrzelić, odłupując kawałek chromu nad tylnym kółkiem. Kabel nakreślił na ziemi falistą linię.

złapać go tak złapać go zanim uszkodzi statek

Bliżej. Głosy były coraz bliżej. Musiał z tym skończyć.

Odkurzacz okrążył drzewo i zawrócił łukiem. Najpierw nabrał wysokości, a potem runął niczym kamikadze, siekąc wirującym ostrzem powietrze.

Gardener uspokoił się myślą o Tedzie Energetyku.

Powinieneś rzucić okiem na ten szajs, Teddy, pomyślał z furią. Oszalałbyś z zachwyty! Elektryczność ułatwia życie!

Wcisnął spust zabawkowego pistoletu, zobaczył, jak zielona wiązka rozpryskuje się na pysku odkurzacza, a potem skoczył naprzód, odbijając się obiema nogami i nie przejmując się zgruchotaną kostką. Electrolux grzotnęła obok tomcata, wbijając się trzy stopy w ziemię. Z wystającej końcówki wyrzucił mały obłoczek czarnego dymu. Wydał niski odgłos przypominający pierdnięcie i znieruchomiał.

Gardener wstał, przytrzymując się tomcata. Kosmiczny miotacz dźwiękowy dyndał mu w bezwładnie opuszczonej ręce. Zobaczył, że plastikowa lufa była już częściowo stopiona. Broń długo już nie pociągnie. To samo niewątpliwie dotyczyło także jego.

Odkurzacz był martwy i wystawał z ziemi jak niewypał. Ale zmierzała tu cała gromada innych przemyślnych urządzeń, lecąc albo tocząc się ochoczo przez las na dorobionych kółkach. Nie mógł dłużej zwlekać.

Co na koniec pomyślał sobie starszek? *Ostatnia rzecz... i... Wybawienie.*

— Dobre słowo — powiedział ochryple Gardener. — Wybawienie. Wspaniałe słowo.

Uświadomił sobie, że to także tytuł powieści napisanej przez poetę, Jamesa Dickeya. Powieści o ludziach z miasta, którzy dostają w kość, w dupę i po mordzie, a na końcu stwierdzają, że jednak poczciwie z nich chłopaki. Ale w książce była taka kwestia... którą jeden z nich wypowiada, zwracając się do jednego ze swoich towarzyszy: „Maszyny w końcu się zepsują, Lewis”.

Gardener miał nadzieję, że tak będzie.

Skacząc na zdrowej nodze, dotarł do wiaty i wcisnął guzik opuszczający pętlę do wykopu. Zamierzał opuścić się po linie na rękach. Głupi pomysł, ale wymuszony przez przyjazną technikę Stukostrachów. Zawarczał silnik i lina zaczęła zjeżdżać. Gardener podskoczył do krawędzi wykopu i spojrzał w dół. Gdyby udało mu się pokonać ten ostatni odcinek drogi o własnych siłach, byłby bezpieczny.

Bezpieczny wśród martwych Stukostrachów.

Silnik umilkł. Gardener widział niewyraźnie pętlę kołyszącą się beużytecznie na dnie. Głosy i ogień się zbliżały, wyczuwał też bliskość naciągającej gromady aparatów spod ciemnej gwiazdy. Nieważne. Pokonał labirynt zjeżdżalni i drabin i udało mu się dotrzeć do mety przed innymi.

Gratulacje, panie Gardener! Wygrał pan latający talerz! Chce pan skończyć grę czy zagrać o w pełni opłaconą wycieczkę w kosmos?

— Kurwa mać — wychrypiał Gardener, rzucając na wpół stopiony plastikowy pistolet. — Zróbmy to.

To także z czymś mu się kojarzyło.

Chwycił linę i przerzucił nogi za skraj wykopu. W tej samej chwili przypomniał sobie. No jasne. Gary Gilmore. Tak powiedział Gary Gilmore, zanim stanął przed plutonem egzekucyjnym w Utah.

40

Był w połowie drogi, gdy zorientował się, że opuściły go resztki sił i jeśli czegoś szybko nie zrobi, spadnie.

Zaczął się opuszczać szybciej, przeklinając w myśli ich bezmyślność, to, że umieścili przyciski silnika tak daleko. Oczy zalewał mu piekący pot. Mięśnie drżały i trzepotały. Żołądek znów zaczynał wywracać leniwe koziołki. Dłonie ześliznęły się... przytrzymały... znowu ześliznęły. Nagle lina zaczęła mu sunąć między rękami jak słup wrzącego oleju. Ścisnął ją, zwiększając tarcie i krzycząc z bólu. Stalowa nić, która wyszła z grubego splotu liny, przebiła mu dłoń.

— Boże! — wrzasnął Gardener. — Boże drogi!

Opadł z łomotem dokładnie w środek pętli, lądując na zgruchotanej nodze. Ból przeszył nogę, żołądek, szyję. O mało nie rozsadził mu czaszki. Kolano ugięło się i rąbnęło w bok statku. Rzepka trzasnęła jak sucha klepka.

Gardenerowi pociemniało w oczach i z najwyższym trudem udało mu się nie stracić przytomności. Zobaczył właz, który wciąż był otwarty. Wymienniki powietrza nadal szumiały.

Lewa noga zmieniła się w sopel bólu. Spojrzał na nią i zobaczył, że magicznym sposobem stała się krótsza od prawej.

Wyglądała na... wymiękłą, jak zapomniane tanie cygaro, które ktoś za długo nosił w kieszeni.

— Chryste, rozlatuję się — szepnął, a potem ku własnemu zdziwieniu wybuchnął śmiechem. Tak, na korzyść takiej śmierci na pewno przemawiało jedno: była o wiele ciekawsza niż skok na kacu z falochronu.

Nad jego głową zabrzmiało urocze brzęczenie. Zbliżało się coś nowego. Gardener nie czekał, aby się przekonać, co to jest. Wgramolił się przez właz do środka i zaczął pełznąć kolistym korytarzem. Przytłumiony blask ścian rozjaśniał jego wymizerowaną twarz. Światło — białe, nie zielone — wydało mu się dobre. Gdyby ktoś zobaczył Gardenera w tym świetle, mógłby prawie uwierzyć, że ten człowiek wcale nie umiera.

Prawie.

41

*W nocy, gdy cały dom już śpi,
(Wśród dzwoneków sań, po skrzącym śniegu)
Stukostrachy, Stukostrachy stukają do drzwi,
(jedziemy do babci przez wzgórze i las)
Milczą jak kamień, lecz tli się w nich życie
(Nasz koń rwie z kopyta, o drogę nie pyta)
Strachostukasz jak refren na zdartej płycie!
(I pędzi, by zdążyć na czas)**

Rymowanki dźwięczały mu w głowie, kiedy czołgał się korytarzem, w pewnym momencie się zatrzymał, by odwrócić głowę i zwymiotować. Powietrze wciąż cholernie śmierdziało.

Gardener pomyślał, że górniczy kanarek, którego używano kiedyś w kopalniach do wykrywania trujących gazów, leżałby już ledwie żywy na dnie klatki.

Ale maszyny. Gard... słyszysz? Słyszysz, o ile głośniej pracują, odkąd wszedłeś?

Tak. Głośniej i pewniej. Pracowały nie tylko wymienniki powietrza. W głębi statku ożywały nowe maszyny. Światła paliły się coraz jaśniej. Statek karmił się tym, co z niego zostało. Smacznego.

Dotarł do pierwszego luku. Obejrzał się przez ramię. Marszcząc brwi, spojrzał na właz, za którym widać było ścianę wykopu. Niedługo dotrą na polanę; może już są. Możliwe, że spróbują go ścigać. Zważywszy jednak na wcześniejsze reakcje pełnych nabożnego lęku „pomocników” (nawet taki realista jak Freeman Moss okazał się nie całkiem odporny), nie sądził, żeby się odważyli... ale nie mógł zapominać o ich desperacji. Chciał mieć pewność, że raz na zawsze pozbędzie się tych pomyłków ze swojego życia. Bóg jeden wiedział, że niewiele miał życia przed sobą; nie chciał, żeby te gnojki zatrwały mu tę mizerną resztkę.

Znów poraził go ból, szarpiąc mózg jak haczyk na wędce; tak przeraźliwy, że łzy napłynęły mu do oczu. Okropność, ale to drobnostka w porównaniu z bólem w kostce i całej nodze. Bez zdziwienia zauważył, jak zamyka się główny właz. Będzie mógł go otworzyć, jeżeli zechce? Wątpił, czy mu się uda. Został uwięziony... uwięziony z martwymi Stukostrachami.

Martwymi? Jesteś pewien, że nie żyją?

Nie, wprost przeciwnie. Był pewien, że żyją. Miały w sobie tyle energii, żeby zacząć wszystko od nowa. Tyle energii, żeby zmienić Haven w jedną fabrykę zbrojeniową. Martwi?

* Fragment dziecięcej piosenki na Święto Dziękczynienia „Over the River” (przyp. tłum.).

— Gówniana gówno prawda — wychrypiał Gardener i przełazi przez następny luk do kolejnego korytarza. W brzuchu statku huczała i szumiała maszyna; kiedy dotknął jarzącej się kolistej ściany, poczuł wibracje.

Martwi? Ależ nie. Gard, stary, właśnie się czolgasz w najstarszym nawiedzonym domu we wszechświecie.

Zdawało mu się, że usłyszał hałas i odwrócił się błyskawicznie, a do ust napłynęła mu gorzka ślina. Oczywiście, niczego nie zobaczył. Tyle że coś tam było.

Nie bez powodu wszcząłem ten alarm, wierzcie mi; spotkałem Stukostrachy i wiem, że to my.

— Pomóż mi, Boże — powiedział Gardener. Odgarnął z oczu cuchnące włosy. Nad sobą miał pajęczą drabinę o szeroko rozstawionych szczeblach... z niepokojącym wgłębieniem pośrodku każdego. Drabina znajduje się w pionie, kiedy... jeśli... statek kiedykolwiek wróci do właściwego położenia.

Coś tutaj czuć. Mimo wymienników powietrza coś czuć, chyba śmierć. Długą śmierć. I szaleństwo.

— Pomóż mi, błagam, Boże, tylko trochę, dobrze? Proszę tylko o cień szansy dla małego, nic więcej, dobrze?

Rozmawiając z Bogiem, Gardener dalej parł naprzód. Wreszcie dotarł do wylotu korytarza i szedł do położonej niżej sterowni.

42

Gromada Stukostrachów stała na skraju polany, patrząc wyczekująco na Dicka. Przybywało ich z każdą minutą. Przychodziły i stawały jak proste maszyny, które wykonały wszystkie zaprogramowane komputerowo zadania.

Stały, spoglądając to na ukośną płaszczyznę statku... to na Dicka... znów na statek... i na Dicka. Przypominały tłum lunatyków oglądających mecz tenisowy. Dick wyczuwał, że pozostali, którzy wrócili do miasta, żeby nadzorować obronę granic, także czekają... przyglądając się oczami tych, którzy byli na miejscu.

Za plecami mieli zbliżającą się i potężniejszą ścianę ognia. Na polanę zaczęły już wpełzać wąskie pasma dymu. Kilka osób zakaszało... ale nikt się nie ruszał.

Dick patrzył na nich zdziwiony — czego właściwie od niego chcieli? Po chwili zrozumiał. Był ostatnim z Ludzi z Szopy. Reszta zginęła, a winę za śmierć każdego z nich ponosił bezpośrednio lub pośrednio Gardener. Było to naprawdę niewytłumaczalne i dość przerażające. Dick nabierał przekonania, że nic podobnego nigdy się jeszcze nie zdarzyło w długiej historii Stukostrachów.

Patrz na mnie, bo jestem ostatni i mam im powiedzieć, co robić.

Nie mogli jednak nic zrobić. Odbył się wyścig, w którym Gardener powinien był przegrać, ale jakimś cudem nie wygrał i teraz nie pozostawało im nic innego, jak czekać. Patrzeć, czekać i mieć nadzieję, że zanim zrobi coś złego, statek zdąży go zabić. Zanim...

Nagle jakaś potężna ręka ścisnęła głowę Dicka Allisona, wyzymając mu mózg jak ścierkę. Chwycił się za skronie, rozczapierzając palce niczym porażone, zeszywniałe pajęczę łapy. Usiłował krzyknąć, lecz nie potrafił. Dostrzegł niewyraźnie, że ludzie na polanie padają całymi rzędami na kolana jak pielgrzymi będący świadkami cudu albo objawienia.

Statek zaczął wibrować — powietrze wypełnił niski szum poniżej progu słyszalności.

Dick zdążył to wszystko zauważyć... a potem oczy wybuchły mu jak kawałki na wpół skrzepniętej galarety i nic już nie widział. Ani wtedy, ani nigdy.

43

Pomóż, tylko trochę, zgoda, Boże?

Siedział pośrodku sześciokątnego pomieszczenia, wyciągnąwszy przed siebie złamaną nogę (wymiękła, to słowo cały czas tłukło mu się w głowie, jego noga była wymiękła) niedaleko miejsca, gdzie z uszczelki w podłodze wychodził gruby kabel.

Pomóż małemu. Wiem, że ja niewiele znaczę, strzelałem do żony, nieźle, kurwa, co, zastrzeliłem najlepszą przyjaciółkę, jeszcze lepiej, kurwa, co, Nowe Ulepszone Nieźle, można by rzec, ale błagam, Boże, naprawdę potrzebuję teraz wsparcia.

Nie było w tym żadnej przesady. Potrzebował więcej niż tylko trochę. Gruby kabel rozdzielał się na osiem cieńszych, z których każdy był zakończony nie małą słuchawką wkładaną do ucha, ale podwójnymi słuchawkami na głowę. Jeżeli w szopie Bobbi grał w rosyjską ruletkę, to teraz zamierzał wsadzić głowę do armaty i poprosić kogoś, by pociągnął za sznur spustowy.

Ale trzeba to było zrobić.

Podniósł słuchawki, znów zwracając uwagę na wewnętrzne wybrzuszenie, a potem spojrzał w stronę sterty wyschniętych brązowych zwłok spoczywających w przeciwległym kącie pomieszczenia.

Stukostrachy? A hej, no–ni–no nonsensowna nazwa, lecz i tak za dobra. Byli po prostu jaskiniowcami z kosmosu. Obsługiwali maszyny długimi pazurami, ale nie próbowali zrozumieć ich działania. Barbarzyńcy ze szponami jak u walczących kogutów. Złośliwa narośl, którą trzeba szybko wyciąć.

Proszę, Boże, niech moje przypuszczenie okaże się słuszne.

Czy zdoła wycisnąć ich wszystkich? Oto naprawdę pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące. Gdyby „przemiana” była układem zamkniętym — gdyby coś z powierzchni statku ulegało biodegradacji, wyparowując po prostu do atmosfery — odpowiedź prawdopodobnie brzmiałaby nie. Ale Gardener zaczął dochodzić do wniosku, a może tylko mieć nadzieję, że była czymś więcej, układem otwartym, w którym statek zasila ludzi, wywołując ich „przemianę”, a ludzie zasilają w zamian statek, żeby... co? Żeby znów ożył, naturalnie. Czy można użyć słowa „zmartwychwstanie”? Wybaczcie, nie. Jest zbyt godne. Jeśli Gardener miał rację, było to coś w rodzaju partenogenezy z gabinetu osobliwości, dla której właściwym miejscem była jarmarczna estradka i łamy tandetnych brukowców, a nie nieśmiertelne mity i wierzenia religijne. Układ otwarty... niewolniczy... czyli układ absolutnie do dupy.

Błagam, Boże. Teraz, teraz mi pomóż.

Gardener nałożył słuchawki. Tym razem nie było żadnego bólu, tylko wielka olśniewająca biel. Światła w sterowni rozbłysły z całą mocą. Jedna ze ścian zmieniła się w okno, ukazując zasnuite dymem niebo i skraj lasu. Potem następna z ośmiu ścian stała się przezroczysta... i następna... i następna. W ciągu kilku sekund Gard siedział jakby w otwartej przestrzeni, mając nad głową niebo, a wokół siebie osłonięte srebrzystą siatką ściany wykopu. Zdawało się, że statek zniknął. Gardener miał panoramę 360 stopni.

Silniki ożywały jeden po drugim, osiągając pełną moc.

Gdzieś odezwał się dzwon. Jeden po drugim zadudniły wielkie serwomechanizmy, wywołując drżenie metalowego pokładu.

Poczucie siły było niewiarygodne; Gardener miał wrażenie, jakby przez głowę przewalała mu się wezbrana Missisipi.

Czuł, że ta fala go zabija, ale się tym nie przejmował.

Wycisnąłem wszystkich, pomyślał słabo. Och, Boże, dzięki, Boże, wycisnąłem wszystkich. Udało się!

Statek zaczął dygotać. Wibrować. Wibracja przeszła w spazmy gwałtownych wstrząsów. Nadszedł czas.

Obnażając mizerne resztki zębów, Gardener pogratulował sobie zdobycia pierwszej nagrody.

Wycisnął wszystkich, ale proces rozruchu statku najbardziej dotknął Dicka Allisona (ze względu na większe zaawansowanie w „przemianie”) oraz czterdziestu strażników granic towarzyszących Hazel w mieście — tych ostatnich nadal wiązała jedna sieć, po którą statek po prostu sięgnął.

Z oczu i nosów pociekła im krew, a potem osunęli się bezwładnie na ziemię i umarli, gdy statek wysał ich mózgi.

Statek zaczerpnął też energii ze Stukostrachów w lesie, co kilka starszych przyplaciło życiem; większość jednak poczuła tylko potworny ból w głowie, kiedy klęczała albo leżała wokół polany. Kilka zrozumiało, że pożar jest już bardzo blisko.

Przy wzmagającym się wietrze ognisty wachlarz rozkładał się coraz szerzej. Nad polaną płynęły gęste chmury szaro-białego dymu. Ogień trzaskał i huczał.

Już, pomyślał Gardener.

Poczuł, jak coś w jego głowie zaskakuje, puszcza, zaskakuje, puszcza... i zaskakuje na dobre. Jak przy zmianie biegów. Bolało, ale znośnie.

To tamtych przede wszystkim boli, pomyślał słabo.

Ściany wykopu drgnęły. Z początku tylko trochę. Potem bardziej zauważalnie. Rozległ się zgrzyt i pisk.

Gardener zwarł się w sobie, marszcząc z całej siły brwi i zaciskając oczy w wąskie szparki.

Srebrzysta siatka zaczęła się przesuwać, wolno, lecz równomiernie. Oczywiście, to nie ona się poruszała; poruszał się statek; odrywał się ze zgrzytem od skały, która tak długo go więziła.

Jedziemy w górę, pomyślał chaotycznie Gardener. Bielizna damska, artykuły pończosznicze i pasmanteryjne, i nie zapomnijcie odwiedzić naszego działu zoologicznego...

Statek nabierał prędkości i wewnątrz wykopu coraz szybciej przemykało za przezroczystymi ścianami. Niebo otworzyło się szerzej — miało barwę matowego spiżu. W górę tryskały snopy iskier, które przypominały stadka płonących ptaków.

Przepęłniało go uniesienie.

Gardenerowi przyszło na myśl metro; kolejka rusza ze stacji, z początku wolno, potem zaczyna przyspieszać, a wykafelkowane ściany zaczynają się rozwijać jak pas papieru w pianoli i można czytać przesuujące się z lewej na prawą reklamy

— „Annie”, „Chorus Line”, „Na te czasy tylko «The Times»”, „Velvet — aksamitny smak”. Potem, gdy pociąg wjeżdża w ciemność, jest tylko ruch i niejasne wrażenie przemykających z boków czarnych ścian.

Trzy razy zadźwięczał potężnie klakson, omal go nie ogłuszając, wrywając z jego ust przerażony wrzask; kolana obryzgała mu nowa porcja krwi. Statek dygotał, dudnił i zgrzytał, wychodząc z podziemnej krypty; wznosił się w gęstniejące pasma dymu i przymglony blask słońca, ukazując gładki bok, który rósł coraz wyżej nad krawędzią wykopu jak ruchoma metalowa ściana. Jakiś świadek tego szalonego zjawiska mógłby odnieść wrażenie, że z ziemi wynurza się stalowa góra albo tytanowy mur.

Łuk krawędzi statku poszerzał się, dotykając brzegów rowu, który Gard i Bobbi miarowo wydłużali — kopiąc w ziemi swoimi inteligentno-kretyńskimi narzędziami jak para półgłówków usiłujących przeprowadzić cesarskie cięcie.

W górę, wciąż w górę, na zewnątrz. Skały zgrzytały. Jęczała ziemia. Z wykopu unosił się pył i dym powstały przy potężnym tarciu. Z bliska można było jeszcze ulec złudzeniu, że to

górze lub mur, ale ze skraju polany widać już było wyraźnie okrągły kształt gigantycznego talerza, który wynurzał się z ziemi jak olbrzymia lokomotywa. Nie wydawał żadnego dźwięku, lecz polanę wypełniał donośny huk kruszonych skał.

Unosił się coraz wyżej, rozdzierając wykop i stopniowo przykrywając cieniem polanę i płonący las.

Zewnętrzna krawędź — ta, o którą potknęła się Bobbi ścięła wierzchołek najwyższego świerku w lesie, który stoczył się w dół, lądując z trzaskiem na ziemi. A statek dalej rodził się z łona, w którym tak długo tkwił; wychodził, dopóki nie zasłonił całego nieba.

Potem przestał rozdzierać wykop; chwilę później między brzegiem wykopu a krawędzią wynurzającego się statku ukazała się przerwa. Środek w końcu wydostał się na zewnątrz.

Statek opuszczał zadymiony wykop w ziemi, unosząc się w zadymione niebo; w końcu umilkł zgrzyt i huk kruszonych skał i między statkiem a ziemią błysnęło światło dnia.

Wynurzył się zupełnie.

Wzniósł się ukośnie, a potem wyprostował, przyjmując poziome położenie, swym nieznanym i niepoznawalnym ciężarem miażdżąc drzewa, z których pni trysnęły bursztynowe strużki soków.

Poruszał się nad ogarniętą pożarem ziemią z dostojną, powolną elegancją, siekąc wierzchołki drzew jak sekator przycinający żywopłot. Potem zawisł w miejscu, jakby na coś czekał.

46

Podłoga pod Gardenerem także stała się przezroczysta; miał wrażenie, że unosi się w powietrzu. Spoglądał na skłębione obłoki dymu unoszące się znad brzegów lasu i zasnuwające niebo jak wzdęte żagle.

Statek ożył, odzyskując wszystkie siły — ale on szybko je tracił.

Ręce niemrawo powędrowały do słuchawek.

Scotty, pomyślał, prędkość warpowa. Spadamy stąd.

Znów zwarł się w sobie i skupił. Tym razem ból był wyraźny, dojmujący i włóknisty.

Stopienie reaktora, pomyślał niewyraźnie. Tak właśnie wygląda stopienie reaktora.

Odczuł zawrotną prędkość. Niewidzialna ręka rozpląsała go na pokładzie, choć nie czuł potężnej siły wielokrotności przyspieszenia ziemskiego; widocznie Stukostrachy znalazły na to sposób.

Statek nie przechylił się na bok; po prostu uniósł się pod kątem prostym.

Po chwili nie przesłaniał już całego nieba, tylko trzy czwarte, później połowę. Dym spowijał go coraz gęstszą zasłoną, jego twardy, metalowy zarys tracił ostrość i realność.

Potem zniknął w szarym obłoku, pozostawiając grupę oszołomionych, wyciśniętych jak gąbki Stukostrachów, które musiały się szybko pozbierać, by nie dogonił ich ogień. Zostawił Stukostrachy, polanę, wiatę... i wykop w ziemi ziejący pustką jak czarna jama, z której wyrwano jadowity kieł.

47

Gard leżał na podłodze sterowni, patrząc w górę. Niebo straciło przydymioną, chromową barwę. Stało się na powrót błękitne — najjaśniejszym i najczystszy błękitem, jaki kiedykolwiek w życiu widział.

„Cudowne” — usiłował powiedzieć, ale z jego ust nie dobyło się żadne słowo ani nawet ochryply jęk. Przelknął krew i zakasłał, nie odrywając wzroku od olśniewającego nieba.

Błękit zmienił się w głębokie indygo... potem fiolet.

Proszę, niech to się nie kończy, proszę...

Fiolet w czerni.

Potem na tle czerni ujrzał lśniące drobiny pierwszych gwiazd.

Znów zaryczał klakson. Gardener poczuł kolejne szarpnięcie bólu, gdy statek zaczerpnął z niego jeszcze jedną porcję energii, a potem odczuł przyspieszenie, gdy statek nabierał coraz większej prędkości.

Dokąd zmierzamy?, pomyślał chaotycznie Gardener, a następnie ogarnęła go ciemność, gdy statek uwolnił się od atmosfery ziemskiej z taką samą łatwością, z jaką wynurzył się z ziemi, w której tkwił tyle lat. Dokąd...

Coraz wyżej i wyżej, dalej i dalej — statek mknął, unosząc na pokładzie Jima Gardenera urodzonego w Portlandzie w stanie Maine.

Gard osunął się w głęboki mrok nieświadomości i krótko przed początkiem ostatniego ataku wymiotów — którego już nawet nie zauważył — miał sen. Sen tak rzeczywisty, że uśmiechał się, leżąc pośrodku czerni, otoczony zimną przestrzenią, w której Ziemia wyglądała jak gigantyczna niebiesko-szara kulka do gry.

Udało mu się — jakimś cudem udało mu się przetrwać. Patricia McCardle próbowała go złamać, ale nie potrafiła. Teraz wrócił do Haven i Bobbi wyszła mu na spotkanie, zbiegając ze schodków werandy i idąc przez podwórko, Peter czekał i merdał ogonem, a Gard chwycił Bobbi i mocno ją uścisnął, bo dobrze być z przyjaciółmi, dobrze być tam, gdzie człowiek ma swoje miejsce... dobrze mieć swoją bezpieczną przystań, do której zawsze można wrócić.

Ponad siedemdziesiąt tysięcy mil od Ziemi Jim Gardener leżał na przezroczystej podłodze sterowni w coraz większej kałuży własnej krwi... uśmiechnięty.

EPILOG

*Kryj się, skarbie! Kryj się w mrok!
Kryj się, gdzie nie sięga wzrok!
Cicho sza!
Tam gdzie nie sięga wzrok,
Pod osłonę nocy.*

THE ROLLING STONES „Undercover”

*Każdego dnia i każdej nocy
Kropla po kropli jak rana broczysz...
Zegnij grzbiet, swe miejsce znasz
Narkoza zagłuszy wszystko w lot
A gdy powiedzą, że już czas:
Czekaj, aż z hukiem spadnie młot*

QUEEN „Hammer to Fall”

1

Większość zginęła w płomieniach.

Nie wszyscy; ponad stu nie zdążyło dotrzeć na polanę, zanim statek wyrwał się z okowów ziemi i uleciał w niebo.

Niektórzy, jak Elt Barker, który spadł z motocykla, nie dotarli na polanę, bo po drodze odnieśli rany albo zginęli... jak to w zawierusze wojennej. Inni, jak Ashley Ruvall i stara panna Timms, która pracowała w miejskiej bibliotece we wtorki i w czwartki, po prostu się spóźnili albo poruszali się za wolno.

Nie wszyscy z tych, którzy stanęli na skraju polany, zginęli. Statek wzbił się w niebo i okropna siła wysysająca z nich wszystko zmalowała do zera, zanim ogień dotarł na polanę (choć od iskier zapaliło się już wówczas wiele niskich drzew na wschodnim skraju). Niektórym udało się przedrzeć dalej w głąb lasu i uciec przez rozkładającymi się skrzydłami ognistego wachlarza. Oczywiście grupka uciekinierów (wśród których znaleźli się Rosalie Skehan, Frank Spruce i Rudy Barfield, brat odżałowanej pamięci Pitsa) nie mogła kierować się prosto na zachód, ponieważ mimo przeważających wiatrów w końcu zabrakłoby im powietrza nadającego się do oddychania. Musieli więc najpierw iść na zachód, a potem skrócić na południe lub na północ, starając się ominąć linię ataku... był to rozpaczliwy manewr, który, gdyby zakończył się spalonym, mógł być ukarany nie stratą piłki, ale dosłownym spalaniem na popiół w Wielkim Lesie Indiańców. Kilkorgu z nich — nie wszystkim, lecz kilkorgu — jednak się udało.

Lecz większość zginęła na polanie, na której Bobbi Anderson i Jim Gardener pracowali w pocie czoła przez długie tygodnie — parę stóp od pustej jamy, gdzie dawno temu coś zostało pogrzebane, a potem stamtąd wyrwane.

Zostali brutalnie wykorzystani przez potężną siłę, której nie potrafili sprostać we wczesnej, wstępnej fazie „przemiany”. Statek sięgnął do sieci ich umysłów, przejął nad nimi kontrolę i wykorzystał ich, spełniając słaby, lecz wyraźny rozkaz Sterującego, przekazany organicznie — cybernetycznym obwodom statku jako PRĘDKOŚĆ WARPOWA. W słowniku statku nie istniał termin PRĘDKOŚĆ WARPOWA, lecz samo pojęcie nie pozostawiało wątpliwości.

Ci, którzy przeżyli, leżeli na ziemi, w większości nieprzytomni, niektórzy w bolesnym oszołomieniu. Kilku usiadło, trzymając się za głowy i jęcząc, nieświadomi tańczących wokół nich iskier. Inni, dostrzegłszy nadciągające ze wschodu niebezpieczeństwo, próbowali wstać i padali z powrotem.

Jednym z tych, którzy nie upadli, był Chip McCausland, mieszkający przy Dugout Road z konkubina i dziesięciorgiem dzieci; dwa miesiące (i milion lat temu) Bobbi Anderson pojechała do Chipa po kartony na jajka, żeby mieć w czym trzymać rozrastającą się kolekcję baterii. Chip krokiem pijanego starca doszedł do środka polany i wpadł do pustego wykopu.

Stoczył się z wrzaskiem na dno, gdzie umarł, zginął, łamiąc sobie kark i roztrzaskując czaszkę.

Inni, choć pojęli niebezpieczeństwo i prawdopodobnie mogli uciec przed zbliżającym się ogniem, postanowili zostać.

Nastąpił koniec ich „przemiany”. Zakończyła się wraz z odlotem statku. Cel ich życia został anulowany. Siedzieli więc, czekając, aż ogień zajmie się tym, co z nich zostało.

2

O zmierzchu w Haven zostało mniej niż dwustu ludzi. Większa część gęsto zalesionej zachodniej połowy powiatu spaliła się albo wkrótce miała się spalić. Wiatr jeszcze bardziej przybrał na sile. Powietrze zaczęło się zmieniać i reszta Stukostrachów, poblądłych i rżących, zgromadziła się na podwórku za domem Hazel McCready. Phil Golden i Bryant

Brown uruchomili wielki wymiennik powietrza. Gromada ocalonych skupiła się wokół urządzenia, tak jak kiedyś osadnicy skupiali się wokół pieca w przenikliwie zimne noce. Ich przerywane oddechy z wolna się uspokoiły.

Bryant spojrział na Phila.

Jaka pogoda na jutro?

Bezchmurne niebo, słabnący wiatr.

Marie stała nieopodal i Bryant zobaczył, jak odetchnęła.

Dobrze, to dobrze.

I było dobrze... na razie. Ale wiatr nie mógł przecież ustać na resztę ich życia. Po odlocie statku przed uduszeniem chronił ich już tylko ten aparat i dwadzieścia cztery akumulatory.

Na jak długo to wystarczy? — spytał Bryant, lecz nikt nie odpowiedział. Wśród rozświetlonej pożarem nocy widział jedynie matowy blask ich przerażonych, nieziemskich oczu.

3

Nazajutrz rano ubyło kolejnych dwudziestu. W nocy świat obiegła sensacja Johna Leandra, spadając na ludzkość z siłą młota. Departamenty Stanu i Obrony wszystkiemu zaprzeczyły, ale kilkadziesiąt osób zdążyło zrobić zdjęcia wzbijającemu się statkowi. Zdjęcia były niezwykle przekonujące... i nikt nie zdołał powstrzymać fali przecieków od „dobrze poinformowanych źródeł”, jakimi byli przestraszeni mieszkańcy sąsiednich miasteczek i członkowie Gwardii Narodowej, którzy pierwsi przybyli na miejsce.

Granice Haven pozostały szczelne, przynajmniej na razie.

Front pożaru wkroczył do Newport, gdzie ogień wreszcie zaczęto opanowywać.

W nocy kilka Stukostrachów strzeliło sobie w łeb.

Poley Andrews połknęła dran-o.

Phil Golden, zbudziwszy się, stwierdził, że Queenie, jego żona od dwudziestu lat, wskoczyła do suchej studni Hazel McCready.

Tego dnia wydarzyły się tylko cztery samobójstwa, ale w nocy... w nocy było gorzej.

Zanim pod koniec tygodnia wojsko w końcu wdarło się do Haven jak nieudolni włamywacze do mocnego sejfu, przy życiu pozostało nie więcej niż osiemdziesiąt Stukostrachów.

Justin Hurd zastrzelił grubego sierżanta z dziecięcej wiatrówki Daisy, która pluła zielonym ogniem. Gruby sierżant eksplodował. Przestraszony kapral w transporterze opancerzonym, który z rykiem przejeżdżał właśnie obok sklepu Coodera, obrócił karabin kalibru .50, za którym siedział, w stronę Justina Hurda, stojącego przed sklepem żelaznym i ubranego tylko w pończółki slipy i pomarańczowe buty robocze.

— Załatwiłem świszcze! — darł się Justin. — Załatwiłem wszystkie, a was, skurwiele, was...

W tym momencie trafiło go dwadzieścia pocisków kalibru .50. Justin też prawie eksplodował.

Kapral narzygał sobie do maski przeciwigazowej i o mało się nie udusił, dopóki ktoś nie nałożył mu czystej.

— Niech ktoś zdejmie tę pukawkę! — krzyknął przez megafon jakiś major. Maską tłumiała jego słowa, ale nie zniekształcała. — Zdjąć, ale zachować ostrożność! Wziąć za lufę! Powtarzam, zachować szczególną ostrożność! Nie celować w nikogo!

Dopiero potem przychodzi czas, żeby w kogoś wycelować, powiedziałby Gard.

4

Pierwszego dnia inwazji zastrzelono ponad dwunastu. Zrobili to przestraszeni żołnierze, dzieciaki, które naciskały spust przy byle okazji, goniąc Stukostrachy od domu do domu. Po jakimś czasie intruzi zaczęli się wyzbywać strachu. Po południu już się świetnie bawili — jakby gonili króliki przez pole pszenicy. Zginęły jeszcze dwa tuziny osób, zanim lekarze wojskowi i eksperci z Pentagonu zdali sobie sprawę, że powietrze poza granicami Haven jest śmiertelne dla tych cudacznych mutantów, które kiedyś były amerykańskimi podatnikami. Było to oczywiste, zważywszy na fakt, że intruzi nie mogli oddychać powietrzem w Haven, ale w zamieszaniu i przejściu nikt nie myślał zbyt logicznie (Garda wcale by to nie zdziwiło).

W końcu pozostało ich mniej więcej czterdzieści. Większość oszalała; ci, którzy pozostali przy zdrowych zmysłach, nie chcieli mówić. Na placu, który uchodził za rynek w Haven Village — tuż obok pozbawionego wieży ratusza urządzono prowizoryczny obóz jeniecki. Trzymano je tam jeszcze tydzień, podczas którego zmarło kolejne czternaście.

Zanalizowano zmienione powietrze; dokładnie zbadano maszynę, która je produkowała; wymieniono wyczerpane akumulatory. Tak jak przewidziała Bobbi, zrozumienie mechanizmu urządzenia nie zabrało ekspertom zbyt wiele czasu, a w MIT, Cal Tech, Laboratoriach Bella i Sklepiku w Wirginii zasady jego działania już zaczęli badać naukowcy, którzy niemal wymiotowali z przjęcia.

Pozostałe dwadzieścia sześć Stukostrachów, przypominających zniszczone ospą resztki ostatniego istniejącego plemienia Apaczów, przetransportowano w ładowni lockheeda C-140 starliftera, gdzie stworzono sztuczną atmosferę, do rządowego obiektu w Wirginii. W obiekcie, który został kiedyś doszczętnie spalony przez pewne dziecko, mieścił się Sklepik. Prowadzono tam nad nimi badania... i tam poumieraly.

Ostatnim żywym Stukostrachem była Alice Kimball, nauczycielka, która była lesbijką (o czym pewnego upalnego dnia w lipcu Becka Paulson dowiedziała się od Jezusa). Umarła trzydziestego pierwszego października... w Halloween.

5

Mniej więcej wtedy, gdy Queenie Golden stała nad studnią Hazel, szykując się do skoku, do pokoju Hilly'ego Browna weszła pielęgniarka. Chciała zobaczyć, jak czuje się chłopiec, który od kilku dni wykazywał słabe oznaki odzyskiwania przytomności.

Spojrzała na łóżko i zmarszczyła brwi. Niemożliwe, żeby widziała to, co widziała — to musiało być złudzenie, wywołane być może podwójnym cieniem, jaki rzucało na ścianę światło z korytarza...

Wcisnęła ścienny włącznik światła i zrobiła krok naprzód.

Otworzyła usta. To nie było złudzenie. Na ścianie były dwa cienie, bo w łóżku leżało dwóch chłopców. Spali, obejmując się ramionami.

— Co...?

Zrobiła jeszcze jeden krok, łapiąc się bezwiednie za krzyżyk, który nosiła na szyi.

Jednym z chłopców był oczywiście Hilly Brown o wychudłej twarzyczce, rękach cienkich jak patyczki i skórze niemal tak białej jak szpitalna koszula.

Drugiego chłopca nie знаła. Był bardzo mały i miał na sobie niebieskie szorty oraz koszulkę z napisem NAZYWAJĄ MNIE DR LOVE. Stopy miał czarne od ziemi... której widok wydał się jej nienaturalny.

— Co...? — szepnęła znowu, a młodszy chłopiec poruszył się i objął mocniej szyję Hilly'ego. Opierał policzek o ramię Hilly'ego i pielęgniarka z niejaką zgrozą zobaczyła, że chłopcy są do siebie bardzo podobni.

Postanowiła, że musi o tym powiedzieć doktorowi Greenleafowi. Natychmiast. Z mocno bijącym sercem odwróciła się

STUKOSTRACHY do drzwi, wciąż ściskając w dłoni krzyżyk... i nagle ujrzała coś zupełnie niewiarygodnego.

— Co...? — szepnęła po raz trzeci. W jej oczach odmalowało się bezbrzeżne zdumienie.

Zobaczyła więcej tej dziwnej czarnej ziemi. Na podłodze. Ślady na podłodze. Prowadzące do łóżka. Chłopczyk podszedł do łóżka i położył się. Podobieństwo chłopców świadczyło, że to zaginiony — i od dawna uważany za zmarłego brat Hilly'ego.

Ślady nie prowadziły z korytarza. Zaczynały się na środku pokoju.

Jak gdyby chłopczyk przyszedł znikąd.

Pielęgniarka wybiegła z sali, wołając doktora Greenleafa.

6

Hilly Brown otworzył oczy.

— David?

— Zamknij się Hilly, śpiem.

Hilly uśmiechnął się, nie wiedząc za bardzo, gdzie jest, nie wiedząc, kiedy to się dzieje, wiedząc jedynie, że stało się dużo złych rzeczy — ale nieważne już jakich, bo teraz wszystko było dobrze. Leżał obok niego David, ciepły i rzeczywisty.

— Ja też — powiedział Hilly. — Musimy się jutro zamienić GI Joe.

— Czemu?

— Nie wiem. Ale musimy. Obiecałem.

— Kiedy?

— Nie wiem.

— Jak dostanę Crystal Ball — odrzekł David, wtulając się mocniej w zgięcie ramienia Hilly'ego.

— No... dobra.

Cisza... z dyżurki pielęgniarek w korytarzu dobiegał jakiś stłumiony gwar, ale chłopcy leżeli w ciepłej i przytulnej ciszy.

— Hilly?

— Co? — mruknął.

— Tam było zimno.

— Naprawdę?

— Tak.

— Teraz lepiej?

— Lepiej. Kocham cię, Hilly.

— Ja też cię kocham, David. Przepraszam.

— Za co?

— Nie wiem.

— Aha.

Ręka Davida sięgnęła po koc, odnalazła go i naciągnęła wyżej. Dziewięćdziesiąt trzy miliony mil od Słońca i sto parseków od osi Galaktyki Hilly i David Brownowie spali, obejmując się ramionami.

19 sierpnia 1982

19 maja 1987